

Charles Dickens

Klub Pickwicka

The Posthumous Papers Of The Pickwick Club
Przełożył Włodzimierz Górski
Uzupełnili Zofia i Wiktor Popławscy

PRZEDMOWA

Karol Dickens urodził się w roku 1812 w Landsport pod Portsmouth. Był synem drobnego urzędnika w zarządzie marynarki. Wczesne dzieciństwo upłynęło mu beztrudnie w spokojnej atmosferze rodzinnego domu, przepełnionej umiłowanymi starymi angielskimi tradycjami (sentyment do nich pozostanie już Dickensowi na zawsze). Spokojne te lata skończyły się jednak nader szybko. Mały Karol miał zaledwie dziesięć lat, gdy ojciec jego dostał się do więzienia za długi; w jakiś czas potem znalazła się tam także pozostawiona bez środków do życia i matka wraz z młodszym rodzeństwem. Karol został zupełnie sam; a niełatwe było życie samotnego dziecka w społeczeństwie kapitalistycznym. Różne były koleje losu Dickensa. Pracuje początkowo w fabryce pasty do obuwia, potem jako kopista i praktykant u adwokata, wreszcie jako stenograf—sprawozdawca z posiedzeń parlamentu. Te właśnie warunki życiowe pozwoliły Dickensowi stykać się od wczesnej młodości z różnymi warstwami społeczeństwa i instytucjami społecznymi, z cierpieniem i nędzą, jakie niósł z sobą ustroj kapitalistyczny.

Twórczość Dickensa służy sprawiedliwości społecznej (dodajmy: sprawiedliwości społecznej w rozumieniu autora), piętnuje bezlitośnie wadliwe instytucje społeczne i dąży do ich naprawy.

Swą karierę pisarską rozpoczyna Dickens od drobnych szkiców z życia ulicy londyńskiej, drukowanych w prasie. Ale sławę przynosi mu dopiero *Klub Pickwicka* w r.1837. W roku 1839 powstaje *Oliver Twist*, atakujący opiekę społeczną i domy pracy, oraz *Nicholas Nickleby* — ostra krytyka fatalnych metod pedagogicznych stosowanych w zakładach pracy dla młodocianych. W roku 1842 Dickens wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych; owocem poczynionych tam obserwacji, jest powieść *Martin Chuzzlewit*, w której Dickens atakuje ostro stosunki amerykańskie, będące wynikiem sprzeczności tkwiących w łonie młodego kapitalizmu amerykańskiego. Rok 1850 przynosi *Dawida Copperfielda*, powieść zawierającą wiele szczegółów autobiograficznych, podobnie jak *Mała Dorrit* (1855), opowieść o piekle więzienia za długi. W roku 1859 Dickens pisze *Opowieść o dwóch miastach* osnutą na tle rewolucji francuskiej, w której dostrzega już walkę klasową między szlachtą i mieszczaństwem, a klasą najemników. Nie dostrzegając jej istotnych przyczyn, pokazuje jednak uczciwie jej aspekty: nędzę, głód i przemoc. Ale pisarz? przeraża wybuch nienawiści klasowej, nie widzi w walce klasowej środka przekształcenia społeczeństwa.

Z pozostałego, bardzo bogatego zresztą dorobku pisarskiego Dickensa wymienić należy jeszcze *Opowieść Wigilijną*, *Świerszcza za kominem* (1845), *Dombey i Syn* (1846), *Ciężkie czasy* (1853), *Nasz wspólny przyjaciel* (1861). Wymienione wyżej książki ukazały się w polskim tłumaczeniu.

Dickens umiera w roku 1870 w Gats Hill wskutek ataku apopleksji.

* * *

Klub Pickwicka ukazał się w roku 1837, akcja utworu toczy się w latach 1827–9. Jedną z londyńskich firm wydawniczych zleciła pisarzowi Whiteheadowi napisanie tekstu do rysunków znanego karykaturzysty Seymoura, mających ilustrować dzieje klubu niefortunnych sportowców. Whitehead odmówił swej współpracy i polecił firmie początkującego Dickensa. W jakiś czas po otrzymaniu zlecenia Seymour popełnia

samobójstwo i następne ilustracje wykonuje Hablot Brown (Phiz). Dickens zmienia propozycję krępującą możliwość jego talentu: niechaj karykaturzysta dorabia rysunki do jego opowiadań. Trzeba przyznać, że powieści wyszło to na dobre. Książka zdobyła rychło szerokie rzesze czytelników i stała się jedną z celniejszych pozycji w literaturze angielskiej. Powieść ta daje nam obraz dawnej, przemijającej już Anglii, kraju lat dziecinnych Dickensa. Jest pożegnaniem dawnych tradycji i zwyczajów tej Anglii, gdzie podróżowano jeszcze dylizansami i zatrzymywano się w oberżach, Anglii zacisznych dworców i patriarchalnych stosunków.

Z tą Anglią Dickens żegna się bezpowrotnie. Nowa opoka przekształca wszystkie dziedziny życia społecznego, a tym samym i życie jednostki. Jest to epoka pełnego rozwoju kapitalizmu, jaki nastąpił w Anglii po rewolucji przemysłowej, która przekształciła drobne manufaktury w wielkie fabryki. Społeczeństwo coraz wyraźniej dzieli się na dwie tylko klasy: wielkich kapitalistów i najemników. Rozwój kapitalizmu, opartego na wolnej konkurencji i pogoni za zyskiem, niszczy dawną klasę średnią, którą stworzyły pierwsze lata rewolucji technicznej, oraz powoduje ogromną nędzę klas pracujących. W pogoni za zyskiem fabrykanci muszą dążyć do jak największego obniżenia, kosztów produkcji, a to oczywiście kosztem robotnika, przez obniżenie jego płacy i maksymalne wykorzystanie jego siły roboczej.

W Anglii bardzo wcześnie występuje walka klasowa między burżuazją a proletariatem, o niezwykle ostrym i dramatycznym przebiegu. Pierwsza połowa XIX wieku jest widownią wielu manifestacji i wystąpień robotniczych. Dochodzi do krwawych starć między robotnikami a wojskiem i policją. W tym również okresie powstaje pierwszy wielki zorganizowany ruch robotniczy o charakterze politycznym („czartyści”).

Zastanówmy się teraz, jaki obraz rzeczywistości społecznej ukazuje nam Dickens w swej powieści.

Występuje on tutaj wyraźnie jako ideolog klasy średniej wypieranej przez wielki kapitalizm. Pickwick, „ten anioł w kamaszach i okularach”, Wardle — ideał ojca i syna, Snodgrass, Winkle i Tupman, nawet ojciec Sama — stary Weller — wszyscy oni są przedstawicielami tej klasy. Kpiąc dobrodusznie z ich słabostek, autor zachowuje dla nich szczerą sympatię. Nieporadny kawaler, Pickwick, staje się ucieleśnieniem ideałów Dickensa: dobroci, ludzkości i gotowości niesienia pomocy bliźnim.

Dickens patrzy na otaczającą go rzeczywistość oczami postępowego *bourgeois*, który wierzy jeszcze w harmonijny rozwój społeczeństwa kapitalistycznego; dostrzega wprawdzie jego wady i słabości, ufa jednak możliwościom naprawienia ich za pomocą racjonalnych reform.

Sprzeczności kapitalizmu nie są jeszcze wyraźnie dostrzegalne. Toteż Dickens widzi tylko wyniki tych sprzeczności: — nędzę, cierpienie, korupcję i występki. Nie szuka jednak ich przyczyn w ustroju społecznym, ale raczej w człowieku, w jego charakterze i postawie moralnej. Krytykuje wadliwe funkcjonowanie instytucji społecznych, wymiar sprawiedliwości, więzienie za długi, system wyborczy; braki te wynikają według niego jedynie z opieszałości czy złej woli wykonawców. (Najbezwzględniej bodaj występuje przeciwko więzieniom za długi, tym „lombardom na ludzi”, jak mówi Sam Weller, domaga się stanowczo zniesienia ich.)

Wzorem ideologów burżuazyjnych przenosi problem społeczny w dziedzinę moralności i w niej szuka środków zaradczych na bolączki i wady ustroju. Gdyż, jak powiedzieliśmy, źródeł ich nie upatruje w samym ustroju kapitalistycznym, ale w złym, zepsutym charakterze ludzi. Kapitalizmu jako takiego nie potępia, ale kapitalistów dzieli

na dobrych i złych. Złego potępia za to właśnie, że jest zły, nie ma litości i miłosierdzia dla ubogich i cierpiących. Dobry kapitalista zaś cieszy się sympatią autora. Przecież i Pickwick jest kapitalistą, byłym przedsiębiorcą, rentierem żyjącym z cudzej pracy, co nie przeszkadza Dickensowi uczynić z niego niemal anioła–dobroczyncy.

Toteż jedynym lekarstwem jest, zdaniem Dickensa, filantropia i moralizatorstwo. Skoro tylko ludzie źlej woli są winni wszelkiemu złu, to należy ich poprawić. Przyczyn ich wad nie doszukuje się w ustroju, wypaczającym charakter ludzki przez wprowadzenie kapitalistycznego prawa dżungli, prawa silniejszego, ale w zboczeniach natury ludzkiej niezależnej od czasu i przestrzeni. Drogą najpewniej prowadzącą do celu, do naprawienia człowieka jest według Dickensa dobroć i miłosierdzie; należy bowiem do pokolenia ideologów burżuazyjnych, które wierzyło w przyrodzoną dobroć człowieka. I gdy Pickwick odpląca Jingle'owi dobrem za złe, autor znajduje dlań tylko słowa pochwały, bez względu na następstwa społeczne tego czynu; czyn Pickwicka osiąga zresztą zamierzony skutek — Jingle poprawia się.

Zwalczając objawy Dickens nie sięga do źródła choroby. Postępuje po trosze jak ów lekarz, który szkarlatynę leczyłby maścią na wysypkę skórą, bo przecież choroba ta objawia się wysypką. Wyleczmy maścią wysypkę, a zniknie sama choroba. Leczymy nędzę mas, korupcję, występki i głupotę „maścią” filantropii i moralizatorstwa, a wszystko będzie dobrze!

W tym okresie Dickens nie może jeszcze dostrzec w walce klas, w przekształceniu ustroju jedyne go środka zaradczego na te właśnie objawy chorobowe, środka sięgającego do samego ich źródła. I daremnie szukalibyśmy w *Klubie Pickwicka* echa walk robotniczych, których widownią była wówczas Anglia. Od tego problemu książka jest równie daleka, jak autor jej daleki jest od wszelkiej myśli o rewolucji.

* * *

Ale upraszczaniem byłoby traktować Dickensa tylko jako ideologa mieszczańskiego, choćby nawet postępowego. Dickens to przede wszystkim wielki realista, umiejący patrzeć krytycznie na rzeczywistość, na klasę społeczną, do której należy i — co więcej — dać w swej twórczości prawdziwy, realistyczny obraz swoich czasów.

Autor *Klubu Pickwicka* pochodzi z klasy średniej: ale nawet żywa sympatia, jaką dla niej odczuwa, nie przeszkadza mu dostrzec jej śmieszności, wad i słabości, które ostro wykpiwa. Z ogromnym zacięciem satyrycznym ośmiesza jej snobizm, zakłamanie, fałszywą dumę czy głupotę. Niezapomniany jest obraz wyborów w małym miasteczku, któremu przygląda się Pickwick. Autor zdobywa się tutaj na krytykę współczesnego sobie liberalizmu. Przebieg kampanii wyborczej, podobnie jak zażarta walka dwóch dzienników eatansvillskich, dostarcza doskonałego pola dla Dickensa–satyryka. Gdyż bronią, jaką Dickens walczy w *Klubie Pickwicka*, jest przede wszystkim satyra i ironia, ukryte niekiedy pod maską pozorowanej powagi.

Ale pisarz ten nie tylko potrafi kpić czy uśmieszać się; potrafi również nienawidzić, chłostać bezlitośnie występki, złą wolę, podłość ludzi silnych i możnych, żerujących na słabości, łatwowierności czy ignorancji swego otoczenia (Dodson i Fogg, kaznodzieja Stiggins, Snubbin, Buzfuz i in.).

Dickens, bystry obserwator otaczającego go świata, dostrzega ciemne plamy na „burżuazyjnym słońcu”. Jest nazbyt realistą, zbyt wiele sam przeżył i wycierpiał, aby zamykać oczy na wady i cierpienia społeczeństwa, w którym żyje. I nawet w tej

najpogodniejszej z jego książek znajdujemy wiele wzmianek ilustrujących nędzę materialną jego czasów: to opowiadania Sama o nocach pod mostem i owych przytułkach nędzy, jakimi są domy noclegowe, to obrazy z życia borykających się z biedą studentów, to wzruszające opowieści o ofiarach więzienia za długi, to wreszcie owa scena z polowania, gdzie Dickens mówi: „Pan Pickwick... nie był w stu procentach pewny, czy nie panująca na wsi nędza, o której tyle słyszał, zmuszała te biedne dzieci, by służyły za cel niedoświadczonym sportowcom”. W tych paru słowach, rzuconych jakby od niechcenia na marginesie zabawnej przygody Winkle’a, Dickens odsłania jedną prawdę więcej o położeniu chłopca w owej „szczęśliwej” epoce wiktoriańskiej Anglii.

Pod piórem wielkiego realisty powieść, zamierzona zrazu jako beztraska humoreska, rozrasta się w kapitalny obraz rzeczywistości, w ostrą krytykę społeczną. Twórczość Dickensa daje nam ogromne bogactwo rysów obyczajowych, typowych sytuacji społecznych, dzięki czemu udaje mu się stworzyć żywy i plastyczny obraz burżuazyjnej Anglii epoki wiktoriańskiej. Karol Marks powiedział o nim, że „w doskonale zarysowanych i wymownych obrazach świata odsłonił więcej prawdy politycznej i społecznej niż wszyscy zawodowi politycy, publicyści i moralisci razem wzięci” (*Angielska klasa średnia* str. 197 wydania niemieckiego).

I dlatego, mimo pewnych braków ideologii społecznej Dickensa, zrozumiałych i uzasadnionych w ówczesnym stadium kapitalizmu, którego sprzeczności nie były jeszcze obnażone i łatwo dostrzegalne, cenimy go przede wszystkim jako wielkiego pisarza i wielkiego realistę, mającego niewiele równych sobie wśród angielskich pisarzy mieszczańskich. Musi wzbudzać w nas szacunek jego głęboko humanitarna postawa, jego niezachwiana wiara w człowieka i dobroć ludzką, jego żywa nienawiść wszelkiej podłości, wyzysku, brzydoty moralnej.

Książki Dickensa cieszą się ogromną popularnością wśród szerokich rzesz czytelników, a *Klub Pickwicka* doczekał się już trzeciego powojennego wydania.

Zofia Kamińska i Halina Suwała

Rozdział pierwszy Pickwickczycy

Pierwsze promienie światła, które rozjaśniły grube ciemności towarzyszące ukazaniu się nieśmiertelnego Pickwicka na horyzoncie uczonego świata, jak też pierwszą urzędową wzmiankę o tym niepospolitym mężu, znajdujemy w protokołach Klubu Pickwicka. Wydawca niniejszego dzieła szczęśliwym się mieni, że może przedstawić je swym czytelnikom jako dowód sumienności, uwagi, usilnej pracy i zdolności badawczych, jakie rozwinął przy poszukiwaniach w licznych powierzonych mu starych dokumentach.

Dnia 12 maja 1827, przewodniczący Józef Smigger Esq.*, D. W. P. C. K. P.* Postanowiono jednogłośnie:

„Towarzystwo z uczuciem niczym nie zamąconego zadowolenia i bezwzględnego uznania wysłuchało czytania dokumentów udzielonych przez Samuela Pickwicka Esq., D. P. C. K. P.*, a zatytułowanych:

»Badania spekulatywne stawów hampsteadzkich* tudzież niektóre spostrzeżenia nad teorią skakania żab«

Towarzystwo wyraża swoje najszczerze podziękowanie rzeczonemu Samuelowi Pickwickowi Esq., D. P. C. K. P.

Towarzystwo, uznając wielkie korzyści, jakie nauka odnieść powinna z wyżej przytoczonego dzieła, jak również z niez mordowanych poszukiwań Samuela Pickwicka w Hornsey, Highgate, Brixton i Camberwell, nie może także nie uznać nieobliczalnych skutków, jakie by, o ile sobie pochlebiać można, miało to dla rozpowszechnienia pożytecznych wiadomości i rozwoju oświaty, gdyby prace tego znakomitego męża przeniesione zostały na rozleglejsze pole, to jest gdyby podróże jego i spostrzeżenia obszerniejszy obejmowały zakres.

Dlatego też Towarzystwo poddało gruntownej rozwadze wnioski wyżej wymienionego Samuela Pickwicka Esq. D. P. C. K. P. i trzech innych pickwickczyków wymienionych poniżej, mający na celu utworzenie nowego związku zjednoczonych pickwickczyków pod nazwą: Korespondujący Oddział Klubu Pickwicka.

Po przyjęciu i zatwierdzeniu wzmiankowanego wniosku przez Towarzystwo, Oddział Korespondujący Klubu Pickwicka uznaje się niniejszym za ukonstytuowany. Samuel Pickwick Esq., D. P. C. K. P., August Snodgrass Esq., C. K. P., Nataniel Winkle Esq., C. K. P., Tracy Tupman Esq., C. K. P. zostają również wybrani i mianowani członkami rzeczonego stowarzyszenia korespondentów, z zaleceniem, ażeby od czasu do czasu przesyłali Towarzystwu Klubu Pickwicka w Londynie autentyczne szczegóły o swych podróżach i poszukiwaniach, spostrzeżenia nad charakterem i obyczajami, na koniec opisy przygód, jak również opowiadania i inne utwory będące wynikiem uwag nad miejscowymi wydarzeniami lub wynikiem wspomnień w związku z nimi pozostających.

Towarzystwo z wdzięcznością zatwierdza zasadę, że członkowie Oddziału Korespondującego sami będą ponosić koszty podróży, i nie ma nic przeciw temu, ażeby

* Esq. (skrót. Esquire) — tytuł nadawany w Anglii każdemu, kto nie należy do warstwy kupieckiej lub rzemieślniczej. (Przyp. tłum.)

* D. W. P. C. K. P. — Dożywotni Wiceprezes Członków Klubu Pickwicka.

* Dożywotni Prezes Członków Klubu Pickwicka.

* Hampstead — miejscowość w okolicach Londynu. (Przyp. tłum.)

członkowie rzeczonoego stowarzyszenia robili swe poszukiwania, dopóki im się będzie podobać, byle poszukiwania te odbywały się na tych samych warunkach.

Na koniec uwiadamia się niniejszym członków wyżej wymienionego oddziału, że wniosek ich w sprawie opłacenia portorii od listów i posyłek roztrząsany był przez Towarzystwo, że Towarzystwo wniosek ten poczytuje za godny wielkich umysłów, z których łona wyszedł, i udziela mu swego zupełnego zatwierdzenia”.

Powierzchowny obserwator — dodaje sekretarz, z którego papierów zaczerpujemy opowiadanie — powierzchowny obserwator może by nie dostrzegł nic nadzwyczajnego w łysej głowie i okrągłych okularach, stałe zwróconych na jego (sekretarza) twarz, gdy ten czyta wyżej przytoczone statuty; był to jednak widok ze wszech miar godny zastanowienia dla każdego, kto wiedział, że potężny mózg Pickwicka pracował pod tą łysiną i że wyraziste oczy Pickwicka błyszczały poza tymi okularami. I w samej rzeczy mąż, który dotarł aż do źródeł stawów hampsteadzkich, który poruszył cały świat uczoną swoją teorią o żabim skoku, siedział tam tak spokojny i nieruchomy jak wody tych stawów, gdy je lód zetnie, albo raczej jak pojedynczy egzemplarz żaby w przepaścistych głębiach gliniastych jam.

Ale o ileż widok ten stał się bardziej zajmujący, gdy na wielokrotne wołania: „Pickwick! Pickwick!”, które jednocześnie wyrwały się z ust wszystkich jego wielbicieli, znakomity ów mąż podniósł się, pełen życia i wzruszenia, wstąpił powoli na prostą ławkę, na której przedtem siedział, i przemówił do klubu, którego był założycielem. Jakim to studium dla artysty mogłaby być ta zajmująca scena! Wymowny Pickwick stał przed nami, jedną rękę wdzięcznie kryjąc pod połą fraka, drugą poruszając w powietrzu dla nadania większej wyrazistości swej gorącej wymowie. Wzniesione stanowisko mówcy pozwalało widzieć jego obcisłe spodnie z kamaszami, na które nie zwrócono by pewnie wielkiej uwagi, gdyby okrywały innego człowieka, ale które uświetnione, ilustrowane, jeżeli tak można wyrazić się, osobą Pickwicka, mimowolnie przejmowały widzów uszanowaniem i czcią.

Otaczali go ludzie, którzy oświadczyli gotowość podzielenia niebezpieczeństw jego podróży i których przeznaczeniem było dzielić sławę jego odkryć. Po prawej jego ręce siedział pan Tracy Tupman, wielce zapalny Tupman, który z mądrością wieku dojrzałego łączył uniesienie i zapal młodego chłopca w tym, co dotyczy najbardziej zajmującej i najgodniejszej przebaczenia słabości ludzkiej — miłości. Czas i dobre jądło rozszerzyły mu kibić niegdyś tak romantyczną; czarna jedwabna kamizelka uwypuklała się coraz więcej; złoty łańcuch od zegarka zniknął cał po cał sprzed własnych jego oczu; szeroki podbródek coraz więcej wyłaniał się spoza białego krawata, ale dusza Tupmana nie zmieniła się: uwielbienie dla płci pięknej było w niej zawsze górującym uczuciem.

Na lewo od mistrza siedział poetyczny Snodgrass; tajemniczo otulony w niebieski płaszcz podszyty psami. Obok niego Winkle, myśliwiec, rybak, jeździec, bokser, sportsmen, z wdziękiem ukazywał zupełnie nową kurtkę, szkocki krawat i szaraczkowe spodnie.

Mowa pana Pickwicka i rozprawy, które się wywiązały następnie, przytoczone są w protokołach klubu. Przedstawiają one uderzające podobieństwo do rozpraw najznakomitszych zgromadzeń, a ponieważ budujące jest zawsze porównanie czynów wielkich ludzi, podajemy tu protokół tego pamiętnego posiedzenia.

„Pan Pickwick zrobił uwagę — mówił sekretarz — że sława jest droga sercu każdego człowieka. Sława poetycka jest droga sercu jego przyjaciela Snodgrassa. Sława miłosnych podbojów jest tak samo droga jego przyjacielowi Tupmanowi, a żądza zdobycia sobie

sławy we wszystkich ćwiczeniach ciała płonie w wysokim stopniu w piersi jego przyjaciela Winkle'a. On (pan Pickwick) nie może zapomnieć, że i na niego samego wywierają wpływ namiętności ludzkie, ludzkie uczucia (Oklaski), może nawet ludzkie słabości (Głośne wołania: — Nie! Nie!). Ale powie i to, że jeżeli kiedy ogień miłości własnej zapalał w jego łonie, to wnet tłumila go żądza, aby być pożytecznym rodzajowi ludzkiemu. Chęć zjednania sobie szacunku rodu ludzkiego była zawsze jego bodźcem, filantropia jego gwiazdą przewodnią. (Gwałtowne oznaki uznania). Czuł on pewną dumę, wyznaje to otwarcie, i niech jego przyjaciele zużytkują to wyznanie, jeżeli im się podoba, czuł on pewną dumę, gdy przedstawił uczonemu światu swoją teorię skoku żab. Teoria ta może być znakomitą albo nią może nie być. (Jeden głos: — Jest nią! — Głośne oklaski). Zgadza się mówca ze zdaniem szanownego pickwickczyka, którego głos usłyszał. Teoria jego jest znakomita. Ale choćby sława tego traktatu doszła do krańców uczonego świata, i wtedy дума, jaką by uczuwał autor tego dzieła, nie była niczym wobec uczucia dumy, jakiego doznaje w tej chwili najszcześniejszej w jego życiu (Oklaski). Jest on tylko bardzo mizerną jednostką (— Nie! Nie!); nie może jednak nie uznać tego, że powołany został przez Towarzystwo do czynności wielkiej wagi, połączonej z pewnym narażeniem się, dziś zwłaszcza, gdy nieład panuje na wielkich drogach, a woźnice są zdemoralizowani. Spójrzcie na stały ład Europy i na sceny zdarzające się we wszystkich krajach. Wszędzie wywracają się dylizanse, konie ponoszą, statki idą na dno, kotły parowe pękają. (Oklaski. Jeden głos: Nie!) Nie?!... (Oklaski). Byłaby to zbita z tropu miłość własna człowieka... nie chcę powiedzieć niedowarzonego (Żywe oklaski), który zazdroszcząc pochwał oddanych może niezasłużenie uczonym pracom mówcy i urażony skarceniem, jakiego doznały jego własne słabe wystąpienia, natchniony zazdrością, powodowany zatem niskim uczuciem...

Pan Blotton (z Algate) powstaje i żąda przywołania pana Pickwicka do porządku oraz zapytuje, czy szanowny pickwickczyk do niego robił aluzję? (Wołania: — Do porządku! Tak! Nie! Słuchajcie! Dość tego! itd.).

Pan Pickwick oświadcza, że go nie zastraszą te hałasy. Tak, zrobił aluzję do szanownego gentlemana! (Żywe wzburzenie).

W takim razie pan Blotton odpowie w dwóch tylko słowach: z największą pogardą odrzuca on zarzut szanownego gentlemana, jako fałszywy i oszczerczy (Głośne oklaski). Szanowny gentleman jest blagier (Okropne wzburzenie. Wielkie krzyki: — Do porządku!).

Pan Snodgrass wstaje żądając przywołania do porządku pana Blottona (— Słuchajcie! Słuchajcie!). Zapytuje, czy nie zostanie zamknięta niewłaściwa dyskusja między dwoma członkami klubu (— Słuchajcie! Słuchajcie!).

Prezydent jest przekonany, że szanowny pickwickczyk cofnie wyrażenie, którego użył.

Pan Blotton, pomimo całego szacunku dla prezydenta, oświadcza, że tego nie uczyni.

Prezydent jest zdania, że obowiązek nakazuje mu zapytać szanownego gentlemana, czy wyrażenia, które mu się wyrwało, użył w znaczeniu, jakie mu się nadaje pospolicie.

Pan Blotton nie waha się odpowiedzieć, że nie i że użył tego wyrażenia w znaczeniu pickwickowskim (— Słuchajcie! Słuchajcie!). Czuje się w obowiązku oświadczyć, że osobiście przejęty jest najgłębszym szacunkiem dla tak szanownego gentlemana, jakim jest pan Pickwick. Nazwał go blagierem tylko z punktu widzenia czysto pickwickowskiego (— Słuchajcie! Słuchajcie!).

Pan Pickwick oświadcza, że najzupełniej poprzestaje na szlachetnym i szczerym wyjaśnieniu swego szlachetnego przyjaciela. Życzy on sobie, by należycie zostało

zrozumiane, iż własne jego spostrzeżenia powinny być także pojmowane w znaczeniu czysto pickwickowskim (Oklaski)”.

Tu kończy się protokół. I w samej rzeczy dyskusja nie mogła już być prowadzona dalej, doszedłszy do konkluzji tak zadowolającej i jasnej. Nie mamy urzędowych dowodów co do faktów, jakie czytelnik znajdzie w rozdziale następnym, lecz ułożone one zostały podług listów i innych dokumentów rękopiśmiennych, których autentyczność nie podlega wątpliwości.

Rozdział drugi

Pierwszy dzień podróży i pierwszy wieczór przygód z ich skutkami

Słońce, ten punktualny sługa pracy, za ledwie wstało i rzuciło światło na poranek trzynastego maja 1827 roku, gdy pan Pickwick, podobny do drugiego słońca, wyrwał się z objęć snu; otworzył okno i spojrzał na świat. Ulica Goswell leżała u jego stóp, ulica Goswell po prawej ręce — jak daleko wzrok sięgał — ulica Goswell po lewej ręce; a naprzeciwko niego druga strona ulicy Goswell.

„Takie to są — pomyślał pan Pickwick — ciasne poglądy filozofów poprzestających na badaniu powierzchni rzeczy i nie usiłujących zbadać ukrytych tajemnic. I ja mógłbym tak jak oni poprzestać na badaniu ulicy Goswell, nie robiąc żadnych usiłowań, by dostać się do otaczających ją nieznanych okolic!”

Wynurzywszy tę szczytną myśl, pan Pickwick zajął się ubieraniem i układaniem rzeczy w torbie podróżnej. Wielcy ludzie bardzo rzadko bywają wybredni pod względem ubrania, toteż golenie brody, toaleta i śniadanie następowały szybko po sobie. Po upływie godziny pan Pickwick znajdował się już na placu St. Martin le Grand z torbą podróżną pod pachą i perspektywą w kieszeni surduta, w kieszeni zaś kamizelki umieścił notatnik do zapisywania godnych upamiętnienia odkryć, jakie dałyby się zrobić.

— Dorożka! — zawołał pan Pickwick.

— Jestem, panie! — odpowiedział szczególny gatunek rodzaju ludzkiego w bluzie i płóciennym fartuchu, z blachą numerowaną na szyi, jakby był skatalogowany w jakiejś kolekcji osobliwości. Był to miejscowy posługacz dorożek.

— Jestem, panie! Hej! Kolejna dorożka!

Gdy woźnica wyszedł z szynku, gdzie palił fajkę, pan Pickwick i jego torba wsadzeni zostali do powozu.

— Golden Cross — rzekł pan Pickwick.

— Nędzny kurs szylingowy, Tomie! — zawołał woźnica w złym humorze, dla informacji posługacza, gdy powóz ruszał.

— Ile lat, mój przyjacielu, ma ten koń? — zapytał pan Pickwick, pocierając sobie nos szylingiem przygotowanym na zapłacenie.

— Czterdzieści dwa — odrzekł woźnica, spojrzawszy boki na pana Pickwicka.

— Co? — zawołał znakomity człowiek, sięgając ręką po notatnik.

Woźnica powtórzył swe twierdzenie, pan Pickwick uważnie spojrzał mu w oczy, ale nie dostrzegł w ich wyrazie żadnego wahania i bezzwłocznie fakt zanotował.

— I jak długo bywa w zaprzęgu? — pytał dalej pan Pickwick, zawsze starający się o zbieranie pożytecznych wiadomości.

— Dwa albo trzy tygodnie.

— Dwa albo trzy tygodnie w zaprzęgu! — zawołał filozof, pełen zdumienia, i znowu wyciągnął notatnik.

— Stajnie — dodał obojętnie woźnica — znajdują się w Pentonwill, ale on tam rzadko staje, z powodu osłabienia.

— Z powodu osłabienia? — powtórzył Pickwick ze zdumieniem.

— Tak, pada, jak się go tylko wyprzeże z dorożki, a przeciwnie, gdy jest zaprzężony jak należy i lejce trzyma się krótko, to nawet się nie potknie. Mamy przy tym parę

znakomitych kół, tak że byle koń ruszył, już się toczą za nim; musi więc biec, nie może się oprzeć!

Pan Pickwick zapisał każdy wyraz tego opowiadania, by udzielić klubowi wiadomości o tym szczególnym dowodzie żywotności koni w okolicznościach najmniej przyjaznych. Kończył właśnie pisać, gdy dorożka dotarła do Golden Cross. Woźnica zeskoczył, pan Pickwick wysiadł z wszelką ostrożnością, panowie Tupman, Snodgrass i Winkle, z niecierpliwością oczekujący na przybycie swego znakomitego mistrza, przystąpili, aby go przywitać.

— Masz — rzekł pan Pickwick, podając woźnicy szylinga. Ale jakież było zdziwienie uczonego męża, gdy ów nieobliczalny człowiek, rzuciwszy pieniądze na bruk, oświadczył w mowie wielce wyrazistej, iż nie żąda innej zapłaty, jak tylko przyjemności przeboksowania z panem Pickwickiem całego szylinga.

— Szalony! — zawołał pan Snodgrass.

— Pijany! — dodał pan Winkle.

— I jedno, i drugie — dorzucił pan Tupman.

— Dalejże! — krzyknął woźnica, rękami wyczyniając w powietrzu mnóstwo młynków przygotowawczych. — Występujcie wszyscy czterej.

— A to gratka! — zawołało pół tuzina innych woźniców. — Do roboty, Samie! — I z wielkim zadowoleniem ustawili się w półkole.

— Co to, Samie? — zapytał jakiś gentleman, właściciel mankietów z czarnego perkalu.

— Co to? — odrzekł woźnica. — Ten stary zanotował mój numer.

— Nie notowałem numeru! — odpowiedział z oburzeniem pan Pickwick.

— A więc dlaczegoś go pan zapisywał? — zapytał woźnica.

— Nie zapisywałem! — zawołał pan Pickwick tonem jeszcze większego oburzenia.

— Czy uwierzycie — ciągnął dalej woźnica, zwracając się do tłumu — czy uwierzycie, że ten oto szpicel siadł do mej dorożki, zapisał numer i notował każde powiedziane słowo! (Notatnik, jak błysk światła, przychodzi na myśl panu Pickwickowi).

— Zrobił to? — mruknął inny woźnica.

— Tak, zrobił. A teraz, swymi szykanami doprowadziwszy mnie do wyznania, ma gotowych trzech świadków przeciwko mnie. Ale zapłaci mi za to, choćbym miał pół roku siedzieć!... Występuj!

I w uniesieniu, ze szczytną obojętnością dla własnych ruchomości, woźnica cisnął swój kapelusz na bruk, zrzucił okulary panu Pickwickowi, zaaplikował jedno uderzenie pięścią w nos pana Pickwicka, drugie uderzenie pięścią w piersi pana Pickwicka, trzecie w oko pana Snodgrassa, czwarte dla różnaitości w kamizelkę pana Tupmana, potem jednym skokiem wypadł na środek ulicy, następnie wskoczył znów na chodnik i w końcu wyparł tę odrobinę powietrza, jaką zawierały jeszcze płuca pana Winkle'a. Wszystko to odbyło się w jakie dwanaście sekund.

— Czy nie ma tu konstabla? — zapytał pan Snodgrass.

— Wpakujcie ich pod pompę — doradzał jakiś przekupień z gorącymi pasztecikami.

— Zapłacisz mi za to! — zawołał pan Pickwick, oddychając z trudnością.

— Szpicel! — krzyknęło kilka głosów z tłumu.

— Występujcie! — bełkotał woźnica, nie przestając przez ten czas młynkować pięściami w próżni. Aż dotąd tłum zachowywał się biernie wobec tej sceny; ale kiedy z ust do ust przeszła wiadomość, że pickwickczycy są policyjnymi szpiegami, obecni zaczęli roztrząsać z wielkim roznamiętnieniem, czy nie należałoby postąpić według wniosku przekupnia z gorącymi pasztecikami. Niepodobna odgadnąć, do czego by to

doprowadziło, gdyby interwencja pewnej nowo przybyłej osobistości nie położyła końca tej awanturze.

— Co to jest? — zapytał młody wysmukły człowiek w zielonym fraku, wychodzący z biura postojowego dorożek.

— Szpicel! — wrzasnął tłum.

— To fałsz! — zawołał pan Pickwick z wyrazem, który powinien był przekonać każdego nieuprzedzonego słuchacza.

— Czy tak? Czy tak? — pytał młody człowiek, torując sobie drogę przez tłum za pomocą niezawodnego sposobu polegającego na szturchaniu łokciami na prawo i na lewo.

Pan Pickwick w kilku zwięzłych słowach przedstawił mu rzeczywisty stan rzeczy.

— Jeśli tak, to chodźcie — rzekł zielony frak, pociągając za sobą znakomitego człowieka i nie przestając mówić przez całą drogę. — Ty, nr 924, weź, co ci się należy za kurs, i wynoś się. To szanowny gentleman, ja odpowiadam za niego. Żadnych głupstw. Tędy, panie! Gdzie pańscy przyjaciele? Jak widzę, zaszła omyłka. Mniejsza o to... wypadek... każdemu to się może zdarzyć... odwagi! Od tego nikt nie umarł... Trzeba mężnie stawić czoło przeciwnościom. Zaskarż go pan do komisarza... A to łotry!

Wygłaszając z niepospolitą potocznością długi szereg podobnych sentencji, nieznajomy wprowadził pana Pickwicka i jego uczniów do pokoju, gdzie zwykle podróżni czekają na odejście dylizansów.

— Chłopcze! — zawołał nieznajomy, targając za dzwonek z nadzwyczajną gwałtownością — szklanek dla wszystkich, gorącego grogu, mocno ucukrzonego i sporo. Oko podbite, panie! Chłopcze! Kawalek surowego mięsa na oko dla pana. Nic tak nie pomaga na sińce jak surowe mięso. Słup latarni gazowej także doskonały, ale niewygodny. Strasznie głupio stać pół godziny na ulicy z okiem przyłożonym do latarnianego słupa. Dobry żart, co? Cha! Cha!

I nieznajomy, nie zatrzymując się nawet dla nabrania oddechu, przełknął od razu pół kwarty gorącego ponczu, potem rozwalił się na krześle z taką obojętnością, jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło.

Pan Pickwick miał teraz czas przyjrzeć się ubiorowi i postawie tego nowego znajomego, a tymczasem trzech jego towarzysze zajęci byli wyrażaniem wybaczenia swej wdzięczności.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, ale że był szczupły i miał długie nogi, wydawał się więc nierównie słuszniejszy. Jego zielony frak musiał być niegdyś elegancki, za owych pięknych dni fraków o krótkich połach; na nieszczęście w owych dniach był on na pewno robiony na męczyznę znacznie niższego aniżeli nieznajomy, ponieważ zabrudzone rękawy dochodziły mu zaledwie do łokcia. Bez względu na poważne lata tego ubioru, nieznajomy zapiął go pod sam podbródek, narażając tym na pęknięcie na grzbiecie. Szyja nieznajomego okryta była czarną chustką, ale nie dostrzegłbyś na niej ani śladu kołnierza od koszuli. Wąskie spodnie ukazywały tu i ówdzie połyskujące miejsca, co znamionowało długą służbę; były mocno naciągnięte za pomocą strzemiączek na połatanych zapewne trzewikach, ażeby ukryć pończochy niegdyś białe, które zdradzały się jednak pomimo tej zbytecznej ostrożności. Z każdej strony jego kapelusza o podniesionych kryzach spadały w zaniedbanych kędziarach długie, czarne włosy, a pomiędzy rękawiczkami a rękawami ubrania widać było nagie części rąk. Na koniec twarz jego była blada i wychudzona, a cała osoba tchnęła bezwstydem, niedbalstwem i niczym nie zachwianą zarozumiałością.

Takiemu to indywiduum pan Pickwick przypatrywał się przez okulary (które na szczęście znalazły się) i w wyborowych słowach wyrażał swe podziękowanie, gdy trzech jego znajomi wyczerpali już swoje dziękczynienia.

— Nie mówmy więcej o tym — rzekł nieznajomy, przerywając komplementy — dość tego. Zresztą woźnica dzielnie wywijał pięściami; ale gdybym był na miejscu pańskiego przyjaciela w myśliwskiej kurtce, to — niech mnie Bóg skarże! — rozwaliłbym mu głowę w jednej sekundzie... i temu przekupniowi z pasztecikami także, słowo honoru.

Mowa ta, wygłoszona jednym tchem, przzerwana została przez konduktora z Rochester, oznajmiającego, że Kommodor odjeżdża.

— Kommodor! — mruknął nieznajomy, wstając. — W tym powozie mam miejsce. Miejsce na imperiale. Płaćcie za ten grog trzeba by zmienić banknot pięciofuntowy — w obiegu jest dużo fałszywej monety — znamy to.

I potrząsnął głową z przebiegłą miną.

Właśnie pan Pickwick i jego trzech towarzysze zamierzali zrobić pierwszy przystanek w Rochester. Oświadczyli więc nowemu swojemu znajomemu, że jadą tą samą drogą, co on, i umówili się, że zajmą miejsca z tyłu powozu, gdzie pomieszczą się wszyscy pięciu.

— Hop! Do góry! — zawołał nieznajomy, pomagając Pickwickowi wgramolić się na imperiał z pośpiechem, który materialnie naruszył zwykłą powagę filozofa.

— Pakunków nie ma pan? — zapytał woźnica.

— Kto? Ja? — odparł nieznajomy. — Pakiecik zawinięty w bibułę, to wszystko! Resztę wyprawilem wodą! Wielkie skrzynie obite gwoździemi, wielkie jak domy! Ciężkie, ciężkie, diabelnie ciężkie!

To mówiąc, pakował do kieszeni pakiet owinięty w brązowy papier, a zawierający, jak można było wnosić z powierzchowności, koszulę i chustkę do nosa.

— Ostrożnie! ostrożnie z głowami! — krzyczał gadatliwy nieznajomy, gdy przejeżdżali pod jednym ze sklepień — straszne to miejsce — bardzo niebezpieczne — niedawno — pięcioro dzieci — matka — słuszna kobieta — jadła chleb z masłem... zapomniała o sklepieniu; trach! dzieci oglądają się — matka bez głowy!... chleb z masłem w rękę, a nie ma gęby, by go włożyć — głowa rodziny zginęła. Okropność! okropność! Pan przypatruje się pałacowi Whitehall? — piękny pałac — małe okienka; tu także zleciała jedna głowa!... Także nie uważał!* Och! och! panowie! och!

— Myślałem właśnie — rzekł pan Pickwick — o dziwnej zmienności rzeczy ludzkich.

— A! domyślam się. Dziś wchodzi się do pałacu drzwiami, jutro wylatuje się oknem. Pan filozof?

— Badacz natury ludzkiej, panie.

— Ja także, jak większa część ludzi nie mających nic lepszego do roboty, a jeszcze mniej do zarobienia. Pan poeta?

— Mój przyjaciel, pan Snodgrass, ma bardzo wybitne zdolności poetyckie — odpowiedział pan Pickwick.

— Ja także — rzekł nieznajomy — napisałem poemat epiczny — dziesięć tysięcy wierszy — rewolucja lipcowa — stworzony na miejscu — w dzień Mars — w nocy Apollo — w dzień karabin — w nocy lira.

— Czy był pan obecny przy tych sławnych zdarzeniach? — zapytał pan Snodgrass.

— Obecny? Tak, cokolwiek; mierzyłem w Szwajcarów i wymierzyłem wiersze — spisywałem je w handlu win — na ulicy pif! paf! nowa myśl! — wracam do handlu —

* Karol I, ścięty w 1949 r. na rusztowaniu przed oknami pałacu Whitehall. Skąd go wyprowadzono (Przyp. tłum.)

pióro, atrament — na ulicy siekanina. Szczytny czas, panie. Pan myśliwy? — zapytał, zwracając się nagle do pana Winkle'a.

— Trochę — odrzekł zagadnięty.

— Piękne zajęcie! Bardzo piękne! A pies?

— Teraz nie mam.

— Ach, powinien by pan mieć. Szlachetne zwierzę — istota inteligentna! Miałem niegdyś psa — legawca — zdumiewający instynkt. Pewnego dnia, polując, wchodzę do lasu — gwizdzę — pies nie rusza się — gwizdzę znowu: Ponto! Nic nie pomaga — stoi jak wryty. Ponto! Ponto! — ani drgnie. Skamieniał przed jakąś tablicą. — Napis: Strażnicy leśni mają rozkaz zabijać wszystkie psy, które się znajdują w tym lasku. — Nie chciał iść dalej. Zadziwiający pies. Sławny pies. O tak! Sławny!

— Szczególny wypadek! — rzekł pan Pickwick. — Czy pozwoli pan, bym go zanotował?

— Owszem, owszem: sto innych anegdot o tym samym zwierzęciu. Piękna dziewczyna, panie — mówił nieznajomy zwracając się do pana Tracy'ego Tupmana, który zajęty był antypickwickowskim zerkaniem na młodą kobietę, idącą brzegiem drogi...

— Bardzo piękna — odpowiedział pan Tupman.

— Angielki niewarte Hiszpanek — szlachetne istoty! Włosy hebanowe — oczy czarne — kształty ponętne — słodkie istoty — cudne!

— Byłeś pan w Hiszpanii? — zapytał pan Tracy Tupman.

— Wieki tam przeżyłem.

— Musiał pan mieć wiele przygód miłosnych...

— Przygód miłosnych? Tysiące! Don Bolaro Fizzgig — grand hiszpański — córka jedynaczka — donna Krystyna — wspaniała dziewica — kochała mię do szaleństwa. Ojciec zazdrosny — córka namiętna — Anglik piękny — donna Krystyna w rozpacz — kwas pruski — pompa do płukania żołądka w mojej torbie podróżnej — wykonywam operację — stary Bolaro w uniesieniu — zgadza się na nasz związek — łączy ręce — strumień łez — historia romantyczna — bardzo romantyczna.

— Czy dama ta znajduje się obecnie w Anglii? — przerwał pan Tupman, na którym opis tyłu wdzięków żywe wywarł wrażenie.

— Umarła, panie, umarła! — odrzekł nieznajomy, przykładając do oczu szczątki batystowej chustki. — Nigdy nie przyszła do siebie po operacji z pompą do płukania żołądka — delikatna konstytucja wstrząśnięta — ofiara miłości.

— A ojciec? — zapytał poetyczny Snodgrass.

— Wyrzuty sumienia — nagłe zniknięcie — gadanina o tym w całym mieście. Szukają po wszystkich kątach — nie ma! Wtem fontanna na publicznym placu zatrzymuje się — mija jakiś czas — nie ma wody — rzemieślnicy biorą się do roboty — mój teść w wielkiej rurze wodociągowej — w prawym bucie wyznanie, że zgryzoty skłoniły go do samobójstwa. Wydobywają go — fontanna tryska w najlepsze.

— Pozwoli mi pan spisać ten mały romans? — zapytał Pan Snodgrass, głęboko rozczulony.

— Z największą chęcią, z największą chęcią. — Pięćdziesiąt innych do usług pańskich. Dziwna to historia — nie nadzwyczajna — ale ciekawa.

Nie przestawał mówić w ten sposób przez całą drogę, zatrzymując się tylko na przystankach dla przełknięcia szklanki piwa; coś w rodzaju interpunkcji. Toteż gdy powóz przytoczył się do Rochester, notatniki panów Pickwicka i Snodgrassa były całkowicie wypełnione opisem jego przygód.

Gdy ujrzano stary zamek, pan August Snodgrass zawołał z cechującym go poetycznym zapałem:

— Co za wspaniałe zwaliska!

— Jakie studium dla archeologa! — to były słowa wyrzeczone przez samego pana Pickwicka w chwili, gdy przykładał perspektywę do oka.

— Piękna miejscowość — odrzekł nieznajomy. — Wspaniała masa! Ciemne mury — zburzone arkady — ponure przejścia — zawałone schody. Stara katedra! Także zapach stęchlizny — stopnie wydeptane nogami pielgrzymów — małe furtki saksońskie — konfesjonały jak budki kontrolerów odbierających bilety w teatrze... Dziwni to ludzie ci zakonnicy — ci papieże — ci przełożeni i wszelkiego rodzaju nieboszczyki o wielkich obliczach, o obtłuczonych nosach, których wykopują codziennie. Pasy z bawolej skóry — muszkiety — sarkofagi. Piękne miejsce — stare legendy — szczytne historie — zadziwiające.

Nieznajomy ciągnął ten monolog, dopóki powóz nie zatrzymał się na ulicy Wielkiej przed oberżą „Pod Bykiem”.

— Czy pan zatrzymuje się tutaj? — zapytał go pan Nataniel Winkle.

— Tu? Nie, panie. Ale radzę panom, byście tu się zatrzymali, dom dobry, łóżka czyste. Tuż obok jest hotel „Wright”, bardzo drogi; pół korony dopisują do rachunku za spojrzenie na garsona; każą płacić drożej, gdy się je obiad w mieście, niż gdyby się jadło w hotelu; szczególnie ludzie, doprawdy.

Pan Winkle zbliżył się do pana Pickwicka i szepnął mu parę słów do ucha. Szeptanie przeszło od pana Pickwicka do pana Snodgrassa, od pana Snodgrassa do pana Tupmana, a gdy następnie zamieniono pomiędzy sobą znaki zgody, pan Pickwick tak przemówił do nieznajomego:

— Dziś rano wyświadczył nam pan ważną usługę. Zechciej pan zatem przyjąć słaby dowód naszej wdzięczności i zrób nam zaszczyt obiadując z nami.

— Z wielką przyjemnością... Nie chciałbym wyjawiać panom swego gustu, ale pieczony drób i grzyby rzecz wyśmienita — o której godzinie?

— Teraz — rzekł pan Pickwick wyjmując zegarek — jest około trzeciej. O piątej, jeśli pan chce.

— Bardzo dobrze, punkt o piątej; aż do tej chwili niech się panowie zajmą swoimi sprawami.

Tak powiedział nieznajomy, a potem podniósł o kilka cali swój kapelusz o zadartych kryzach, niedbale osadził go znowu na bakier, przeszedł dziedziniec z miną zamyśloną i skręcił w ulicę; pakiet owinięty w brązowy papier sterczał mu ciągle z kieszeni.

— Widocznie wielki to podróżnik po rozmaitych krajach i skrupulatny obserwator ludzi i rzeczy — rzekł pan Pickwick.

— Chciałbym widzieć jego poemat — dodał pan Snodgrass.

— A ja tego psa — rzekł pan Winkle.

Pan Tupman nie mówił nic, ale myślał o donnie Krystynie, pompie do płukania żołądka i fontannie — i oczy jego napełniły się łzami...

Zamówiwszy osobny pokój jadalny, obejrzawszy łóżka i ułożywszy dania obiadu, nasi znajomi wyszli, by przyjrzeć się miastu i jego okolicom.

Pilnie przewertowaliśmy notatki pana Pickwicka o czterech miastach: Strood, Rochester, Chatham i Brompton, ale nie sądzimy, by zdanie jego o nich różniło się co do istotnej treści od zdania innych uczonych, którzy zwiedzali te same miejsca. Opis jego można streścić w tych wyrazach:

Głównymi produktami tych miast są, zdaje się, żołnierze, majtkowie, Żydzi, kreda, raki, oficerowie i urzędnicy marynarki. Najważniejsze towary, wystawione na ulicach, to: zboże dla floty, cukier lodowaty, jabłka, ryby i ostrygi. Ulice są wielce ożywione, co jest po największej części wynikiem dobrego humoru wojskowych. Mężni ci ludzie, pod wpływem nadmiaru wesołości i napojów spirytusowych, wyśpiewując i robiąc zygzaki po ulicach, przedstawiają widok prawdziwie zajmujący dla umysłu filantropijnego, zwłaszcza jeżeli zważymy, jakiej niewinnej i taniej uciechy dostarczają wszystkim miejskim ulicznikom biegającym za nimi i przedrzeźniającym ich. Nic — dodaje pan Pickwick — nie zdoła dorównać ich dobremu humorowi. W przeddzień mego przybycia jeden z wojskowych został w pewnej oberży grubiańsko obrażony. Dziewczyna nie chciała mu pozwolić więcej pić. Wskutek tego, z prostej swawoli, żołnierz wydobyl bagnet i ranił ją w ramię, lecz już nazajutrz zuch ten udał się do oberży i sam oświadczył pierwszy, że nie zachowuje żadnej urazy i zapomina o tym, co zaszło.

Konsumpcja tytoniu musi być w tym mieście bardzo znaczna — pisze dalej pan Pickwick — a zapach tej rośliny, rozchodzący się po wszystkich ulicach, musi być szczególnie przyjemny dla lubiących palić. Podróżnik nie zgłębiający istoty rzeczy może by krytykował błoto charakteryzujące ulice miejskie, gdy przeciwnie, przedstawia ono prawdziwy przedmiot zadowolenia dla tych, którzy widzą w tym dowód ruchu i pomyślności handlowej.

Piąta godzina sprowadziła jednocześnie obiad i nieznanego. Pozbył się on pakietu w brązowym papierze, ale nie dokonał żadnej zmiany w swym kostiumie i jak przedtem, odznaczał się gadatliwością:

— Co to? — spytał, gdy garson zdejmował pokrywę z półmiska.

— Flądry, panie.

— Flądry! ach! kapitalna ryba! wszystkie flądry pochodzą z Londynu! przedsiębiorcy dyliżansów popierają obiady polityczne — całe wozy fląder — tuziny kosztów — chytne sztuki — szklaneczkę wina, panie?

— Z przyjemnością! — odrzekł pan Pickwick. I nieznanomy napił się wina naprzód z nim, potem z panem Snodgrassem, potem z panem Tupmanem, potem z panem Winkle'em, wreszcie z całym zebraniem towarzystwem, a wszystko to uczynił, nie przestając mówić ani na chwilę.

— Jakieś szczególne bachanalie na schodach. Wnoszą ławki, uwijają się stolarze — szklanki — arfa. Co to znaczy, garsonie?

— Bał, panie.

— Piknik?

— Nie, panie. Bał publiczny, panie, na rzecz ubogich, panie...

— Powiedz mi pan — zapytał pan Tupman z żywym zajęciem — czy w tym mieście kobiety są piękne?

— Pyszne, wspaniałe. Kent, panie. Cały świat zna hrabstwo Kent słynące z jabłek, wiśni, chmielu i kobiet. Szklankę wina?

— Z wielką przyjemnością — odparł pan Tupman. Nieznanomy nalał swoją szklankę i wychylił.

— Bardzo bym chciał pójść na ten bal — rzekł pan Tupman — bardzo bym chciał.

— Bilety, panie, mamy w kantorze, po pół gwinei — rzekł garson.

Pan Tupman powtórnie wyraził życzenie, że chce być obecny na tej uroczystości, ale nie znajdując żadnej odpowiedzi w pociemniałym oku pana Snodgrassa ani w roztargnionym wzroku pana Pickwicka, rzucił się z nowym zajęciem do wina porto i do

deseru, który przyniesiono. Garson oddalił się, a towarzystwo mogło rozkoszować się spokojem kilku poobiednich godzin.

— Za pozwoleniem panów — rzekł nieznajomy — butelka drzemie, zmusimy ją do krążenia jak słońce.

I wypił szklanke, którą nappełnił był przed dwiema minutami, po czym nalał sobie drugą, ze świadomością człowieka przyzwyczajonego do podobnych manipulacji.

Wypito wino i żądano więcej, nieznajomy rozprawiał, pickwickczycy słuchali, pan Tupman co chwila odczuwał coraz to większą ochotę pójścia na bal, twarz pana Pickwicka jaśniała wyrazem uniwersalnej filantropii, panowie Winkle i Snodgrass wpadli w głęboki sen.

— Na górze już zaczynają — rzekł nieznajomy — słuchajcie! Stroją skrzypce, a teraz arfę, już zaczęli!

W samej rzeczy dźwięki orkiestry zapowiadały początek kontredansa.

— Bardzo bym chciał pójść na ten bal — powtórzył pan Tupman.

— Ja także. Przekłete bagaże, statek opóźnił się, nie mam w co się ubrać.

Powszechna uprzejmość była charakterystycznym rysem pickwickczyków, a pan Tupman był nią obdarzony w wyższym od innych stopniu. Przeglądając protokoły klubu zdumiewać się trzeba, ile razy ten zacny człowiek odsyłał do innych członków towarzystwa rozmaitych biedaków udających się do niego z prośbą o stare suknie lub pieniądze zapomogę.

— Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł panu na ten bal pożyczyć mego fraka — rzekł do nieznajomego — ale pan jest dość szczupły, a ja...

— Dość otyły. Stary zdemontowany Bachus w pantalonach. Zlazł z beczki! Winne liście, do diabła! Cha! cha! Przysuń no pan wino!

Nie umiemy powiedzieć, czy pan Tupman był oburzony zbyt swobodnym tonem, z jakim nieznajomy wzywał go, by przysunął wino, które tak szybko przesuwało się znów przez gardło, lub też czy słusznie zgorszony tym, że wpływowy członek Klubu Pickwicka porównany został do zdemontowanego Bachusa — ale przysunawszy wino, odchrząknął dwa razy i patrzył na nieznajomego przez kilka sekund z surową stanowczością. Jednak, gdy indywiduum to zachowało najzupełniejszy spokój i pogodę pod tym badawczym spojrzeniem, pan Tupman zmniejszył stopniowo jego natężenie i znowu zaczął mówić o balu.

— Chciałbym właśnie powiedzieć panu — odezwał się — że gdyby moje ubranie było dla pana za przestronne, suknie mego przyjaciela, pana Winkle'a, mogłyby być dla niego w sam raz.

Nieznajomy zmierzył pana Winkle'a i zawołał z zadowoleniem:

— Takich właśnie nam trzeba!

Pan Tupman spojrział dokoła. Wino, które wywarło swój wpływ usypiający na panów Snodgrassa i Winkle'a, ciążyło również nad zmysłami pana Pickwicka. Gentleman ten kolejno przeszedł wszystkie fazy poprzedzające obezwładnienie wywołane obiadem i winem. Przeszedł wszystkie stopnie od nadmiaru wesołości do bezdennego smutku. Jak płomień gazowy na ulicy, gdy wiatr dostanie się do rury, roztaczał on chwilami to nadzwyczajną jasność, to znów tak malał, iż zaledwie go można było dojrzeć; po krótkiej przerwie błysnął oślepiającym blaskiem, potem drgnął i zgasł zupełnie. Głowa pochyliła mu się na piersi i jednostajne chrapanie, któremu czasem towarzyszyło głucho mruczenie, były jedynymi dowodami słuchowymi mogącymi świadczyć o istnieniu tego wielkiego męża.

Pana Tupmana opanowała gwałtowna pokusa znalezienia się na balu, aby wydać sąd o pięknościach hrabstwa Kent. Chciało mu się również zaprowadzić tam nieznajomego, słyszał bowiem, że mówi o mieszkańcach miasta, jak gdyby mieszkał w nim od urodzenia, gdy on sam znajdował się w miejscu zupełnie mu obcym. Pan Winkle spał głęboko, a pan Tupman zbyt dobrze znał z doświadczenia stan, w jakim się znajdował jego towarzysz, by nie wiedzieć, że według zwykłego przebiegu praw natury przyjaciel jego, przebudziwszy się, nie będzie myślał o niczym innym, tylko o tym, by się jakoś dowlec do łóżka. Mimo to jednak był jeszcze niezdecydowany.

— Napelnij pan sobie szklanekę i przysuń wino — rzekł niezmordowany gość.

Pan Tupman spełnił to żądanie i ta ostatnia, uzupełniająca szklanka wymogła na nim postanowienie.

— Z sypialnego pokoju pana Winkle'a — rzekł do nieznajomego — są drzwi do mojego pokoju, a gdybym go teraz obudził, nie potrafiłbym mu dać do zrozumienia, czego żądam; ale wiem, że w swej torbie podróżnej ma on kompletne ubranie. Gdyby pan przywdział je na bal, a po powrocie zdjął, mógłbym je łatwo złożyć na tym samym miejscu, nie niepokojąc mego przyjaciela.

— Doskonale — odparł nieznajomy — wyborny plan! Głupie położenie, śmieszne. Czternaście fraków mieć w swoim kufrze i być zmuszonym przywdziewać cudzy! Bardzo głupio! Doprawdy.

— Trzeba wziąć bilety — rzekł pan Tupman.

— Nie warto mieniać gwinei. Zagrajmy, kto zapłaci za obu. Rzuć pan złotą monetę w górę, ja będę zgadywał. Zaczynaj pan. Kobieta, kobieta, kobieta czarodziejka!

Złoty pieniądz upadł i ukazała się postać smoka przez grzeczność nazywanego kobietą. Skazany losem pan Tupman zadzwonił, wziął bilety i zażądał światła. Po kwadransie nieznajomy był kompletnie ustrojony w szaty pana Nataniela Winkle'a.

— To frak zupełnie nowy — rzekł Tupman, podczas gdy nieznajomy z zadowoleniem przyglądał się sobie — to pierwszy frak, który został ozdobiony guzikami naszego klubu.

I wskazywał towarzyszowi duże złoczone guziki, na których wyryte były litery K. P. po obu stronach popiersia pana Pickwicka.

— K. P. — powtórzył nieznajomy — śmieszna dewiza, portret tego dziada i K. P.! Co to znaczy to K. P.? Komiczny portret? Co?

Pan Tupman z wielką powagą i źle ukrywanym oburzeniem objaśnił mistyczny symbol Klubu Pickwicka, a tymczasem nieznajomy wykręcił się, by zobaczyć tył fraka, którego stan dochodził mu do połowy pleców.

— Stan cokolwiek za krótki, co? Jak kurtki tragarzy: śmieszne ubiory, robi się bez miary, na hurt; tajemnicze drogi opatrności, wszystkim ludziom małego wzrostu dostają się długie ubrania, wszystkim słusznego — krótkie.

Mieląc w ten sposób językiem, nowy towarzysz pana Tupmana kończył poprawiać swe ubranie, a raczej ubranie pana Winkle'a, i w chwilę potem dwaj miłośnicy balu weszli razem na schody.

— Nazwiska panów? — zapytał jakiś jegomość przy drzwiach stojący. Pan Tupman podszedł, by wygłosić swe tytuły i charakter, gdy nieznajomy zatrzymał go, mówiąc:

— Żadnych nazwisk! — i mruknął do ucha panu Tupmanowi: — Po co nazwiska? Nieznajomi! Doskonale nazwisko, w swoim rodzaju incognito, to przyjemność! Gentlemani z Londynu, szlachetnie urodzeni i basta.

Po tych ostatnich wyrazach, głośno wymówionych, otworzyły się drzwi i pan Tupman wraz z nieznajomym weszli do sali balowej.

Był to długi pokój z karmazynowymi kanapami wzdłuż ścian i oświetlony świecami w kryształowym żyrandolu. Muzykanci byli umieszczeni na estradzie: trzy lub cztery koła kontredansowe rozwijały się i zwiły systematycznie. W bocznym pokoju znajdowało się parę stołów do gry, przy których cztery stare damy, z taką samą ilością otyłych mężczyzn, z całą powagą grały w wista.

Po przetańczeniu ostatniej figury tancerze zaczęli przechadzać się po sali, a nasi dwaj znajomi stanęli w kącie, by przyjrzeć się towarzystwu.

— Śliczne kobiety! — rzekł z westchnieniem pan Tupman.

— Zaczekaj no pan. Zobaczysz jeszcze. Matadory jeszcze się nie pojawiły. Śmieszne zwyczaje! Wyżsi urzędnicy marynarki nie rozmawiają z niższymi urzędnikami; niżsi urzędnicy nie rozmawiają z mieszczaństwem; komisarz rządowy nie rozmawia z nikim.

— Co to za jasnowłosy chłopak z czerwonymi oczyma i w fantastycznym ubraniu?

— Ts! Milcz pan, jeżeli możesz! Czerwone oczy! Fantastyczne ubranie! Chłopak!... Ho, ho! Ciszej, ciszej, to chorąży z 97 pułku, szanowny Wilmot Snipe. Snipy wielka rodzina, liczna rodzina.

— Sir Tomasz Clubber, pani Clubber i panny Clubber — zawołał donośnym głosem anonsujący.

Głębokie wrażenie owładnęło całą salą, gdy wszedł ogromny gentleman w niebieskim fraku ze złotymi guzami, z nim dorodna dama w niebieskim atlasie tudzież dwie młode panienki, wykrojone według tegoż modelu, w strojnych sukniach takiej samej barwy.

— Komisarz rządowy, naczelnik marynarki, wielki człowiek, niezaprzeczalnie wielki! — cicho mówił nieznajomy do pana Tupmana, gdy gospodarze balu prowadzili sir Tomasza Clubbera na drugi koniec sali. Szanowny Wilmot Snipe i znakomici goście pośpieszyli złożyć swe uszanowanie pannom Clubber, a sir Tomasz Clubber, wyprostowany jak głoska I, majestatycznie spoglądał na zgromadzonych z wysokości swego czarnego krawata.

— Pan Smithie, pani Smithie i panny Smithie — zaanonsowano następnie.

— Co to za państwo Smithie? — zapytał pan Tupman.

— Także coś z marynarki — odpowiedział nieznajomy.

Pan Smithie uklonił się z uszanowaniem sir Tomaszowi Clubber, a sir Tomasz Clubber oddał mu ukłon z widoczną przychylnością. Lady Clubber przez lornetkę przypatrywała się pani Smithie i jej córkom, a znowu pani Smithie z góry spoglądała na jakąś damę, której mąż nie służył w marynarce.

— Pułkownik Bulder, pani Bulder, panna Bulder.

— Dowódca garnizonu — rzekł nieznajomy odpowiadając na pytający wzrok pana Tupmana.

Panna Bulder bardzo serdecznie została przyjęta przez panny Clubber; powitanie pani Bulder i lady Clubber było najczulsze, pułkownik Bulder i sir Tomasz Clubber poczęstowali się nawzajem tabaką i obaj spojrzeli dokoła jak para Aleksandrów, władców wszystkiego, co ich otaczało.

Podczas gdy miejscowa arystokracja, Buldery, Clubbery i Snipy, zachowywała w ten sposób swoją godność na honorowym miejscu w sali, inne klasy towarzystwa naśladowały ich na szarym końcu, ile tylko mogły. Najmniej arystokratyczni oficerowie 97 pułku poświęcali się rodzinom pomniejszych urzędników marynarki, żona adwokata i żona kupca win stały na czele dwóch osobnych frakcji, żona piwowara składała swe uszanowanie państwu Bulder, a pani Tomlinson, żona dyrektora biura pocztowego, zdawało się, za powszechną zgodą obrana została na przewodniczącą partii kupieckiej.

Jedną z najpopularniejszych osobistości w swym kółku był mały, tłusty człowieczek o łysej głowie, otoczonej wieńcem czerwonych, twardych włosów. Był to doktor Slammer, chirurg 97 pułku. Doktor Slammer zażywał tabakę ze wszystkimi, śmiał się, tańczył, żartował, grał w wista, był wszędzie, robił wszystko. Do tych i tak już licznych zajęć doktor dołączył jeszcze jedno: największymi i niezmordowanymi względami otaczał starą, małą wdowę, której toaleta i liczne klejnoty znamionowały znaczny majątek, co czyniło z niej pożądany dodatek do ograniczonych dochodów.

Oczy pana Tupmana i jego towarzysza były już od niejakiego czasu zwrócone na doktora i wdowę, gdy nieznajomy przerwał milczenie.

— Kupa pieniędzy — stara baba — doktor zawraca jej głowę — wyborna myśl — doskonała sztuka!

Podczas gdy te uwagi, niezbyt zrozumiałe, wybiegały z ust nieznajomego, pan Tupman patrzył nań okiem badawczym.

— Pójdę tańczyć z wdową.

— Kto to?

— Nie wiem, nigdy nie widziałem. Wykurzyć doktora! Naprzód marsz!

Domawiając to nieznajomy przeszedł salę, oparł się o gzyms kominka, i utkwiał wzrok, z wyrazem uwielbienia i melancholii, w tłuste policzki starej wdowy. Pan Tupman patrzył na to oniemiały z podziwu. Nieznajomy robił widocznie szybkie postępy; doktor tańczył z inną damą. Wdowa upuściła wachlarz; nieznajomy zerwał się i podał go jej pośpiesznie: uśmiech, ukłon, wymiana kilku grzeczności. Nieznajomy zuchwale przeszedł przez salę, by wyszukać mistrza ceremonii, powrócił z nim do pani Budger i po kilku chwilach przedwstępnej prezentacji pochwycił swą zdobycz za rękę i stanął z wdową do kontredansa.

Zdziwienie pana Tupmana na widok tego sumarycznego trybu postępowania było wielkie, ale zdziwienie doktora, zdaje się, było jeszcze większe. Nieznajomy był młody, pochlebiało to wdówce; nie zwracała już teraz uwagi na nadszoki doktora — a jego oburzenie nie wywarło żadnego wrażenia na rywalu. Doktor Slammer stał jakby paraliżem tknięty. On, doktor Slammer, z 97 pułku, w jednej chwili wniwecz obrócony przez człowieka, którego nikt dotąd nie widział, nikt nie znał! Doktor Slammer! Doktor Slammer z 97 pułku! To nie do uwierzenia! To być nie może! A jednak tak było! Dobrze. Oto nieznajomy przedstawia swego przyjaciela! Doktor nie wierzy własnym oczom. Patrzy znowu i znajduje się w przykłej konieczności uznania, że go nie łudzą jego nerwy wzrokowe. Pani Budger tańczy z panem Tupmanem; trudno mylić się. Jego wdowa, z ciałem i kośćmi, jest tu przed nim i hasa z niezwykłą energią! Jest tu także przed nim i pan Tupman, wyskakujący to w prawo, to w lewo, z miną pełną powagi, tańczący (co się zresztą zdarza wielu osobom) tak, jak gdyby kontredans był jakąś uroczystą próbą, dla której odbycia trzeba zawsze uzbroić swą moralną stronę w niewzruszoną stanowczość.

Doktor zniósł to wszystko w milczeniu i cierpliwie. Widział, jak nieznajomy podawał wdowie poncz, potem odnosił szklanki, rzucił się na biszkopty; widział tysiące wzajemnych umizgów i nie powiedział nic. Ale w kilka sekund po zniknięciu nieznajomego z panią Budger, którą rywal odprowadził do powozu, doktor wyleciał z sali, a każdy atom jego długo powstrzymywanego gniewu, zdawało się, tryskał mu z twarzy strumieniem.

Nieznajomy powrócił i począł rozmawiać po cichu z panem Tupmanem; śmiał się, był rozpromieniony i triumfował. Mały doktor zapragnął jego życia.

— Panie — odezwał się groźnie, podając swój bilet wizytowy i odchodząc nieco na stronę — nazwisko moje Slammer, doktor Slammer, panie! Z 97 pułku, koszar Chatham. Oto mój bilet, panie! Bilet mój!

Chciał mówić dalej, ale oburzenie mowę mu odjęło.

— A! — odrzekł nieznajomy, jakby od niechcienia — Slammer, bardzo dobrze, dziękuję, teraz nie jestem chory. Slammer... Gdy zachoruję, udam się do pana.

— Pan... jesteś intrygant... jesteś tchórz... jesteś nikczemny... jesteś głaz... jesteś... jesteś... Czy pan zdecyduje się dać mi swój bilet?

— A! rozumiem — rzekł nieznajomy półgłosem — poncz za mocny — przyjęcie zbyt hojne — limoniada lepsza — w pokojach za gorąco — gentleman już w pewnym wieku — nazajutrz daje się to odczuć — nieznośne cierpienia... — i zrobił kilka kroków.

— Mieszkaś pan w tym domu! — krzyknął wzburzony mały jegomość. — Teraz jesteś pan pijany, panie! ale usłyszysz pan o mnie jutro rano, panie! Dowiem się, coś pan za jeden! Dowiem się, kto pan zacz!

— Prędzej dowie się pan, kto jestem, niż gdzie mieszkam! — odrzekł niewzruszony nieznajomy.

Doktor Slammer spojrział na niego z nieopisaną zawziętością i oddalił się, nasuwając na głowę kapelusz w sposób wymownie świadczący o oburzeniu.

Nieznajomy poszedł do pana Tupmana, by zwrócić garderobę pożyczoną u niewinnego pana Winkle'a, którego znaleziono w głębokim śnie; zwrot został niebawem dokonany. Nieznajomy był nadzwyczaj żartobliwie usposobiony, a pan Tupman, oszołomiony winem, ponczem, światłem i widokiem tylu kobiet, całą tę sprawę uważał za doskonały żart. Po odejściu nowego swego przyjaciela napotkał na pewne trudności przy szukaniu otworu szlafmicy, wyrócił lichtarz i dopiero po całym szeregu wielce skomplikowanych ewolucji zdołał dostać się do łóżka. Pomimo tych drobnych wypadków rychło znalazł pożądany spoczynek.

Na drugi dzień rano, za ledwie wybiła siódma, uniwersalny umysł pana Pickwicka został gwałtownym kołatanem do drzwi wyrwany ze stanu odrętwienia, w którym pogrążył go sen.

— Kto tam? — zawołał filozof, podnosząc się.

— Garson, panie.

— Czego chcesz?

— Czy nie może mi pan powiedzieć, który z towarzyszy pańskich ma niebieski frak ze złoconymi guzikami i literami na nich?

„Zapewne wziął go do wyczyszczenia — pomyślał pan Pickwick — i zapomniał, do kogo należy”.

— Pan Winkle — odrzekł — trzecie drzwi na prawo.

— Bardzo panu dziękuję — odpowiedział garson i odszedł.

— Co się stało? — zawołał pan Tupman, gdy głośnie stukanie do jego drzwi wyrwało i jego ze snu.

— Czy mogę mówić z panem Winkle? — spytał czyścibut zza drzwi.

— Winkle! Winkle! — zawołał pan Tupman do pokoju w głębi.

— Halo! — odpowiedział słaby głos spod kołdry.

— Pytają o ciebie... ktoś przy drzwiach — zmusiwszy siebie do wypowiedzenia aż tylu słów, pan Tracy Tupman odwrócił się do ściany i zasnął.

— Pytają o mnie! — zawołał pan Winkle wyskakując z łóżka i nakładając na siebie coś niecoś z garderoby. — Pytają o mnie! W takiej odległości od Londynu! Kto, do licha, może mieć do mnie interes?

— Jakiś gentleman na dole w kawiarni, panie... Powiada, że chce tylko chwilkę pomówić z panem, ale nie chce czekać.

— To dziwne — mruknął pan Winkle. — Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

Zawinął się w szlafrok, szyję obwiązał chustką i poszedł. Stara baba i dwaj chłopcy zamiatali kawiarnię. Przy oknie stał jakiś oficer, który, ujrawszy wchodzącego pana Winkle'a, skłonił mu się zimno, potem kazał wyjść sprzątającym, starannie zamknął drzwi i powiedział:

— Panie Winkle, jak sądzę?

— Tak jest, panie, nazywam się Winkle.

— Przychodzę tu w imieniu mego przyjaciela, doktora Slammera, z 97 pułku. To pana nie powinno dziwić.

— Doktora Slammera? — powtórzył pan Winkle.

— Doktora Slammera. Poleciał mi, bym oznajmił panu w jego imieniu, że postępowanie pańskie wczorajszego wieczora było niehonorowe i że człowiek honorowy darować tego nie może.

Zdumienie pana Winkle'a było zbyt prawdziwe i widoczne, by go nie dostrzegł wysłannik doktora Slammera, który też tak dalek mówił:

— Przyjaciel mój, doktor Slammer, jest zdaje się najmocniej przekonany, że przez znaczną część wieczoru był pan mocno podchmielony i niemal bez możliwości zrozumienia wyrządzonej mu obrazy. Poleciał mi przeto oznajmić panu, że jeżeli w ten sposób wytłumaczysz się ze swego postępowania, on przyjmie takie tłumaczenie, napisane przez pana własnoręcznie tak, jak ja je panu podyktuję.

— Tłumaczenie na piśmie! — powtórzył znowu pan Winkle tonem najwyższego zdumienia.

— W przeciwnym razie — mówił dalej oficer — wiadomo panu, czym się to powinno skończyć.

— Czy zlecenie, którego się pan podjął, dotyczy mnie? — zapytał pan Winkle, którego siły umysłowe doszczętnie zdeorganizowała ta niezwykła rozmowa.

— Nie byłem obecny przy tej scenie, a więc i przy tym, jak pan uparłeś się, by nie dać swej karty doktorowi Slammerowi. Uprosił więc mnie, bym się dowiedział, kto jest właścicielem fraka niebieskiego ze złożonymi guzikami i literami K. P.

Pan Winkle aż drgnął ze zdziwienia usłyszawszy tak szczegółowy opis swego ubioru. Przyjaciel doktora Slammera mówił dalej:

— Dowiedziałem się, że właściciel rzeczzonego fraka przybył tu wczoraj z trzema innymi panami. Posłałem do tego z nich, który zdaje się być przewodniczącym całego towarzystwa, a ten odesłał mię do pana.

Gdyby wielka wieża zamku Rochester zlazła nagle ze swych fundamentów i stanęła naprzeciw okien, zdziwienie pana Winkle'a nie byłoby większe nad to, jakiego doznał usłyszawszy te wyrazy. Pierwszą jego myślą było, że mu skradziono frak. Rzekł więc oficerowi:

— Czy zechce pan zaczekać tu na mnie przez chwilę?

— Dobrze — odpowiedział niepożądany gość.

Pan Winkle pobiegł prędko go schodach i drżącą ręką otworzył swą torbę podróżną. Niebieski frak leżał w zwykłym miejscu; ale przypatrzwszy się mu starannie, można było poznać, że był w użyciu poprzedniej nocy.

— Prawda! — powiedział do siebie pan Winkle upuszczając frak. — Za wiele piłem wczoraj po obiedzie i coś mi się marzy, jakobym potem chodził po mieście i palił cygaro. Faktem jest, że byłem tego ścięty. Musiałem zmienić ubranie i łączyć gdzieś; musiałem kogoś obrazić — to pewne... i oto jakie okropne skutki!

Dręczony tymi myślami, zeszedł do kawiarni z ponurym postanowieniem przyjęcia wyzwania śmiałego doktora i poddania się najgroźniejszemu tego skutkom.

Różne względy doprowadziły go do takiej decyzji. Naprzód dbałość o swą reputację w klubie. Tam uchodził zawsze za pierwszorzędną powagę we wszystkim, co dotyczyło ćwiczeń ciała, tak zaczepnych jak odpornych i bezspornych. Gdyby się cofnął przy pierwszej próbie, w oczach prezydenta klubu stanowisko jego byłoby na zawsze stracone. Po wtóre, przypomniał sobie, iż słyszał (od niewtajemniczonych), że świadkowie zwykle umawiają się i nie kładą kul do pistoletów. Na koniec sądził, że gdy wybierze sobie za świadka pana Snodgrassa i przedstawi mu całe niebezpieczeństwo, gentleman ten uwiadomi pewno o wszystkim pana Pickwicka, który niezawodnie da znać władzy miejscowej zapobiegając zabiciu albo uszkodzeniu jego ucznia.

Obliczywszy wszystkie te szanse powrócił do sali i oświadczył, iż przyjmuje wyzwanie doktora.

— Czy zechce mi pan wskazać swego świadka, bym się z nim ułożył co do czasu i miejsca spotkania? — zapytał wtedy oficer nader uprzejmie.

— To zbyt cenne, wskaż mi pan tylko czas i miejsce, świadek przyjdzie razem ze mną.

— Niech i tak będzie — rzekł oficer obojętnie — dziś o zachodzie słońca, jeżeli pan nie ma nic przeciw temu.

— Bardzo dobrze — odparł pan Winkle myśląc w duchu, że bardzo źle.

— Zna pan warownię Pitt?

— Widziałem ją wczoraj.

— Pójdzie pan więc polem, koło wałów, potem ścieżką na lewo od rogu fortyfikacji, a potem prosto, aż tam, gdzie ja stać będę. Następnie pójdziemy razem w miejsce ustronne, gdzie rzecz odbędzie się bez żadnej przeszkody.

„Bez przeszkody!” — pomyślał pan Winkle.

— Sądzę, że nie mam nic więcej do omówienia.

— Zdaje się, że nic.

— A więc żegnam.

— Żegnam.

I oficer odszedł, wygwizdując jakąś wesołą melodię.

Przy śniadaniu w dniu tym było jakoś niewesoło naszym podróżnikom.

Pan Tupman po niezwykłych zdarzeniach ubiegłej nocy nie był w stanie podnieść się z łóżka; pan Snodgrass, zdawało się, doświadczał poetyckiego zaćmienia umysłu; sam pan Pickwick okazywał niezwykłą skłonność do sodowej wody i milczenia; co do pana Winkle'a, ten szukał przede wszystkim sposobności do porozumienia się ze swym świadkiem. Sposobność ta wkrótce się nadarzyła; pan Snodgrass zaproponował zwiedzenie zamku, a ponieważ z całego towarzystwa jeden tylko Winkle był usposobiony do tej przechadzki, poszli więc we dwóch.

— Snodgrass — rzekł pan Winkle, gdy znaleźli się na ulicy — Snodgrass, mój przyjacielu! Powiedz mi, czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

A mówiąc to pragnął gorąco, by na nią liczyć nie mógł.

— Możesz — odparł pan Snodgrass. — Przysięgam...

— Nie, nie! — przerwał mu Winkle, przerażony myślą, iż przyjaciel jego najniepotrzebniej może się zobowiązać do niewydania go. — Nie przysięgaj! To zbyt bezczyste.

Pan Snodgrass opuścił rękę, którą podniósł był poetycznie ku niebu, i przybrał postawę wyczekującą.

— Potrzebuję, mój przyjacielu, twych usług w sprawie honorowej.

— Gotów jestem — odparł pan Snodgrass, ściskając rękę swego towarzysza.

— Z doktorem, doktorem Slammerem, z 97 pułku — dorzucił pan Winkle, chcąc przedstawić rzecz jak można najpoważniej. — Sprawa jest z oficerem, który będzie miał za świadka innego oficera. Dziś przed zachodem słońca, w ustronnym miejscu, poza warownią Pitt.

— Możesz liczyć na mnie — odrzekł pan Snodgrass, zdziwiony, ale nie przejęty. I rzeczywiście, nie masz nic godniejszego uwagi nad obojętność, z jaką dowiadujemy się o podobnego rodzaju sprawach, gdy sami nie jesteśmy główną stroną działającą.

Pan Winkle zapomniał o tym. Sądził o uczuciach swego przyjaciela według własnych uczuć.

— Skutki mogą być okropne — przemówił pan Winkle.

— Spodziewam się, że nie.

— Doktor, jak sądzę, strzela bardzo dobrze.

— Większa część wojskowych strzela dobrze — zauważył pan Snodgrass ze spokojem — ale i ty strzelasz doskonale?

Pan Winkle odpowiedział twierdząco, lecz widząc, że niedostatecznie przeraził swego towarzysza, zmienił baterię.

— Snodgrass — rzekł doń głosem drżącym ze wzruszenia — jeżeli zginę, znajdziesz w moim pugłaresie list do...

Ten atak także się nie udał. Pan Snodgrass był wzruszony, ale zobowiązał się doręczyć list, i to z taką łatwością, jakby przez całe życie był listonoszem.

— Jeżeli zginę — mówił dalej pan Winkle — albo jeżeli doktor zginie, ty, mój przyjacielu, będziesz sądzony jako współnik czynu działający z rozmysłem. Czyż mam narażać przyjaciela na wygnanie? Może dożywotnie więzienie?

Tym razem pan Snodgrass zawahał się: ale heroizm jego był niepokonany.

— Dla przyjaciela — zawołał z zapalem — gotów jestem na wszystkie niebezpieczeństwa.

Bóg to jeden wie, jak nieszczęśliwy pan Winkle przeklinał w duchu poświęcenie swego przyjaciela. Przez jakiś czas szli w milczeniu, obaj pogrążeni w myślach. Dzień upływał, a z nim znikła wszelka nadzieja ratunku.

— Snodgrass — zawołał wreszcie pan Winkle stanąwszy nagle — nie wydaj mię przed miejscową władzą, nie żądaj konstablów dla zapobieżenia pojedynkowi; nie staraj się o to, by przytrzymano mnie albo doktora Slammera z 97 pułku, obecnie mieszkającego w koszarach Chatham. Proszę cię, byś nie czynił tego w zamiarze niedopuszczenia do pojedynku.

Pan Snodgrass pochwycił rękę swego przyjaciela i zawołał z uniesieniem:

— Nie! Za nic w świecie!

Dreszcz przeszedł po ciele pana Winkle'a, gdy się przekonał, że i z tej strony nie ma się czego spodziewać i że nieodwołalnym jego przeznaczeniem jest służyć za żywy cel.

Opowiedziawszy sobie ze wszystkimi szczegółami powody pojedynku wstąpili obaj do rusznikarza. Tu wynajęli skrzynkę z pistoletami, używanymi zwykle przy dawaniu satysfakcji, i dołączyli do tego odpowiednią ilość prochu, kapsli i kul. Potem powrócili do oberży: pan Winkle, by rozmyślać o mającej nastąpić walce, pan Snodgrass, by uporządkować broń.

Gdy udali się następnie na niemiłą wyprawę, nadchodził wieczór, smutny i jakiś ociążały. Pan Winkle z obawy, by nie być spostrzeżonym, owinął się w szeroki płaszcz, pan Snodgrass pod swoim płaszczem niósł narzędzia zniszczenia.

— Czyś wziął ze sobą wszystko, co potrzeba? — zapytał pan Winkle głosem wzruszonym.

— Wszystko. Mam zapasowe naboje na wypadek, gdyby pierwszy strzał nie dał rezultatu, ćwierć funta prochu w skrzynce i dwa dzienniki w kieszeni dla zrobienia przybitek, gdy będzie potrzeba.

Były to dowody przyjaźni, za które niepodobna było nie czuć wdzięczności. Przypuszczać należy, iż wdzięczność tę pan Winkle uczuwał aż nadto żywo, aby mógł ją wyrazić, gdyż nie wyrzekł ani słowa, tylko zaczął iść nieco wolniej.

— Przybywamy w sam czas — powiedział pan Snodgrass, przechodząc przez miedzę pierwszego zagonu — właśnie słońce zachodzi.

Pan Winkle spojrział na czerwoną tarczę chylącą się za widnokrąg i z boleścią pomyślał, iż może już jej nie zobaczy więcej.

— Oto oficer! — zawołał po niejakiem czasie.

— Gdzie? — zapytał pan Snodgrass.

— Tam! Ten gentleman w niebieskim płaszczu.

Oczy pana Snodgrassa zwróciły się w kierunku palca pana Winkle'a i ujrzał drugą figurę, która dała znak ręką i poszła przodem. Dwaj nasi przyjaciele podążyli za nią w milczeniu.

Wieczór nadchodził. Melancholijny wiatr dął po pustym polu, rzekłbyś — daleki poświst olbrzyma nawołującego psy. Wszystko to wywarło ponure wrażenie na panu Winkle'u. Przechodząc obok rogu wartowni zadrżał: wydawało mu się, iż widzi jakiś olbrzymi grobowiec.

Wtem oficer zeszedł ze ścieżki i przeskoczywszy przez płot, wszedł na ustronne pole. Tu czekało dwóch panów. Jeden młody, tłusty, czerwono włosy; drugi — słuszny i przystojny mężczyzna w surducie z potrzebami, siedział na składanym krześle w najdoskonalszym spokoju.

— Nasi przeciwnicy — rzekł pan Snodgrass — jak mi się zdaje, z chirurgiem. Przełknij no łyk wódki.

Pan Winkle chciwie chwycił oplataną butelkę, podaną mu przez towarzysza, i długim łykiem wciągnął w siebie wzmacniający płyn.

— Mój przyjaciel, pan Snodgrass — rzekł potem do zbliżającego się oficera.

Świadek doktora Slammera ukłonił się i podał szkatułkę podobną do tej, jaką przyniósł ze sobą pan Snodgrass.

— Sądzę, mój panie, że nie mamy sobie nic do powiedzenia — zauważył zimno, otwierając szkatułkę. — Żadne tłumaczenie nie wchodzi w grę.

— Nie wchodzi — odpowiedział pan Snodgrass, któremu zaczęło się robić niedobrze.

— Czy zechce pan wymierzyć ze mną plac? — zapytał oficer.

— Naturalnie — odparł pan Snodgrass.

— Może jest pan zdania, że moje pistolety są lepsze niż panów. Widziałeś pan, jak je nabijałem. Czy ma pan co przeciwko temu, byśmy się nimi posłużyli?

— Nie mam nic — odpowiedział pan Snodgrass. Propozycja ta wybawiła go z wielkiego kłopotu, gdyż wiadomości jego o sposobie nabijania pistoletów były cokolwiek nieokreślone i niejasne.

— Sądzę więc, iż możemy ustawić przeciwników — mówił dalej oficer z taką obojętnością, jakby chodziło o partię szachów.

— Sądzę, że możemy — odparł pan Snodgrass, który by zresztą zgodził się na każdą inną propozycję, gdyż nic a nic nie znał się na tego rodzaju sprawach.

Oficer podszedł ku doktorowi Slammerowi, a tymczasem pan Snodgrass zbliżył się do pana Winkle'a.

— Wszystko gotowe — rzekł wręczając pistolet. — Daj mi swój płaszcz.

— Masz tu mój pugilares — rzekł nieszczęśliwy pan Winkle.

— Wszystko pójdzie dobrze. Zachowaj spokój i mierz prosto w piersi.

Pan Winkle pomyślał, iż rada ta była podobna do rady dawanej zwykle przez widzów przypatrujących się borykaniu dwóch uliczników: — Powal go na ziemię i trzymaj pod sobą. — Doskonała rada, byle tylko wiedzieć, jak ją wykonać! Ale koniec końców pan Winkle zdjął płaszcz w milczeniu (płaszcz ten miał tę właściwość, że zdejmowanie go wymagało dość długiego czasu) i wziął pistolet. Świadkowie odeszli na bok: jegomość ze składanym krzesłem, a także dwaj wrogowie poczęli podchodzić ku sobie.

Pan Winkle odznaczał się zawsze wysokim humanitaryzmem. Są poszlaki pozwalające przypuszczać, że i tym razem wstręt, jakiego doznawał widząc się zmuszonym do szkodenia z rozmysłem jednemu ze swych bliźnich, zniewolił go do zamknięcia oczu w chwili, gdy się zbliżał do fatalnego punktu, i że ta właśnie okoliczność nie dozwoliła mu dostrzec niczym nie wytłumaczonego postępowania doktora Slammera. Człowiek ten zbliżając się do pana Winkle'a zadrzał, otworzył szeroko oczy, jak tylko mógł, i w końcu zawołał:

— Stójcie! stójcie!

— Co to ma znaczyć? — mówił dalej, gdy pan Snodgrass wraz z jego świadkiem nadbiegli. — To nie ten.

— Nie ten? — zawołał świadek doktora Slammera.

— Nie ten? — zawołał pan Snodgrass.

— Nie ten? — zawołał jegomość ze składanym stołkiem pod pachą.

— Nie ten — powtórzył raz jeszcze doktor. — Tak, to nie ten człowiek, który mnie wczoraj obraził!

— To szczególne! — zawołał oficer.

— Szczególne — powtórzył jegomość ze stołkiem. — Ale teraz — dodał — zachodzi następująca kwestia. Czy pan znajdujący się obecnie na placu nie powinien by być dla zachowania formalności uznany za osobę, która wczoraj wieczorem obraziła naszego przyjaciela, doktora Slammera?

Rzuciwszy tę nową myśl, z miną niezwykle mądrą i tajemniczą, jegomość ze stołkiem zażył tęgi niuch tabaki i spojrzał dokoła z powagą osoby przywykłej być autorytetem.

Ale teraz i pan Winkle otworzył oczy, a także i uszy, usłyszawszy, że przeciwnik jego żąda zawieszenia kroków nieprzyjacielskich. Domyśliwszy się tego, co następnie powiedziano, iż zaszła jakaś omyłka co do osoby, pojął od razu, ile może zyskać jego reputacja, jeżeli ukryje rzeczywiste powody, które go skłoniły do pojedynkowania się. Poszedł więc śmiało naprzód i powiedział:

— Wiem dobrze, że to nie ja jestem przeciwnikiem doktora.

— W takim razie — rzekł jegomość ze stołkiem — jest to afront dla doktora Slammera, a co za tym idzie, dostateczny powód do pojedynku.

— Daj pokój, Payne — przerwał świadek doktora. A potem, zwracając się do pana Winkle'a, zapytał:

— Dlaczego nie powiedział mi pan tego dziś rano?

— Tak! tak! Dlaczego nie powiedział dziś rano? — wyrwał się znowu oburzony jegomość ze stołkiem.

— Proszę cię, Payne, daj spokój! — odezwał się świadek i znów, zwracając się do pana Winkle'a, dodał: — Czy mam powtórzyć moje pytanie?

— Ponieważ — odrzekł pan Winkle, który miał już czas obmyślić odpowiedź — ponieważ powiedział mi pan, iż osoba, o którą chodzi, ubrana była we frak, który ja tylko mam honor nosić, który sam wynalazłem. Jest to uniform zaprojektowany dla Klubu Pickwicka w Londynie. Czuję się w obowiązku bronić honoru tego uniformu i w takim to celu, bez dalszych wyjaśnień, przyjąłem wyzwanie.

— Kochany panie — odrzekł na to mały, poczciwy doktor, podając mu rękę — szanuję pańską odwagę. Pozwól mi pan dodać, iż wysoko cenię jego postępowanie i że bardzo żałuję, żem go niepotrzebnie fatygował.

— Nie mówmy o tym więcej — odrzekł grzecznie pan Winkle.

— Będę miał sobie za zaszczyt bliżej poznać pana — ciągnął dalej mały doktor.

— I dla mnie, panie, będzie to największą przyjemnością — odpowiedział pan Winkle. Następnie uściśnął rękę doktora, jego świadka, porucznika Tappletona, jegomością ze składanym stołkiem, na koniec pana Snodgrassa, który z niesłychanym uwielbieniem patrzył na szlachetne zachowanie się swego bohaterskiego przyjaciela.

— Sądzę, że teraz możemy się rozejść — rzekł porucznik Tappleton.

— Naturalnie — odpowiedział doktor.

— Chybaby pan Winkle — wtrącił jegomość ze stołkiem — chybaby pan Winkle czuł się obrażony wyzwaniem. W takim razie jestem zdania, iż ma prawo żądać satysfakcji.

Pan Winkle, z najdalej idącą abnegacją swego własnego „ja”, oświadczył, że czuje się najzupełniej usatysfakcjonowany.

— Może — zaczął znowu jegomość ze stołkiem — może świadek pana Winkle'a czuje się osobiście obrażony niektórymi mymi uwagami w początkach tego spotkania. W takim razie gotów jestem dać mu bezzwłocznie satysfakcję.

Pan Snodgrass pośpieszył oświadczyć, że jest wdzięczny za tę uprzejmą propozycję i że tylko jedno stoi mu na przeszkodzie do jej przyjęcia, a mianowicie to, że czuje się wielce usatysfakcjonowany obrotem, jaki wzięła sprawa.

Po tak szczęśliwym rozwiązaniu świadkowie powkładali do skrzynek mordercze przyrządy i opuścili plac boju, nierównie weselsi, niż gdy tam szli.

— Czy pan długo tu pozostanie? — zapytał doktor Slammer pana Winkle'a, gdy powracali.

— Sądzę, że odjedziemy pojutrze.

— Bardzo bym był szczęśliwy, gdybyś pan po tym śmiesznym *qui pro quo* zrobił mi zaszczyt i zechciał odwiedzić mię wraz ze swym przyjacielem. Czy jest pan gdzie zaproszony?

— Mam kilku przyjaciół w oberży „Pod Bykiem” i chciałbym być z nimi. Ale bardzo by nam było przyjemnie, gdybyście panowie spędzili wieczór z nami.

— Z największą chęcią. Czy nie będzie późno o dziesiątej godzinie?

— Bynajmniej. Bardzo mi będzie miło przedstawić panów moim przyjaciołom, panu Pickwickowi i panu Tupmanowi.

— I mnie także — odpowiedział doktor nie przypuszczając, że zna pana Tupmana.

— Więc panowie przyjdą z pewnością? — zapytał pan Snodgrass.

— O, najniezawodniej.

Tak rozmawiając, wyszli na gościniec. Pożegnano się z wielką serdecznością. Doktor ze swymi przyjaciółmi udał się do koszar, a panowie Winkle i Snodgrass wesoło powrócili do obozu.

Rozdział trzeci

Nowa znajomość — Opowieść włóczęgi — Niemila przeszkoda — Przykre spotkanie

Pan Pickwick doznawał pewnego niepokoju z powodu za długiej nieco nieobecności dwóch swoich przyjaciół, przypomniawszy sobie zwłaszcza niepojęte ich ranne zachowanie się. Toteż z prawdziwą przyjemnością powitał ich i z niezwykłym zajęciem zapytał, gdzie bawili tak długo. W odpowiedzi na to pan Snodgrass zabierał się już do treściwego opisu zaszyłych wypadków, gdy spostrzegł między panem Tupmanem, a towarzyszem ich podróży w zielonym fraku jakiegoś nowego nieznanego, wyglądającego nie mniej oryginalnie. Był to człowiek widocznie zestarzały wśród trosk, którego wychudłym policzkom, sterzącym kościom, błyszczącym, chociaż mocno zapadłym oczom nadawały jeszcze ostrzejszego wyrazu czarne, długie włosy spadające w nieładzie na kołnierz. Szczęki jego były tak długie i tak chude, iż można by sądzić, że naumyślnie je wyciągał, gdyby nieruchomość rysów i na pół otwarte usta nie przekonywały, że jest to zwykły jego wygląd. Szyję miał okręconą zielonym szalem, którego szerokie końce, spadające na piersi, wyglądały spomiędzy guzików starej kamizelki. Miał na sobie długi, czarny surdut, spodnie z grubego sukna i buty mocno sfatygowane. Oczy pana Winkle'a zatrzymały się na tej nie umytej figurze; pan Pickwick, dostrzegłszy to, powiedział wskazując ręką na nieznanego:

— Przyjaciel naszego nowego przyjaciela. Dziś rano odkryliśmy, że nowy nasz przyjaciel jest zaangażowany do tutejszego teatru, chociaż nie życzy sobie, by to rozgłaszano. Gentleman należy również do tej profesji i właśnie, gdyście wchodzili, miał nam opowiedzieć pewną anegdotę.

— Masa anegdot! — rzekł nieznanomy w zielonym fraku, podchodząc do pana Winkle'a i dodając po cichu: — Szczególnego rodzaju człowiek, nie artysta, grywa role drugorzędne, dziwny człowiek, wszelkiego rodzaju nędza. Nazywamy go Jakubem Ponurym.

Panowie Winkle i Snodgrass skłonili się gentlemanowi noszącemu to dziwne przezwisko i zasiadłszy do stołu zażądali grogu, naśladując w tym resztę towarzystwa.

— Teraz, panie — rzekł pan Pickwick — zechciej zrobić nam tę przyjemność i zacznij.

Jakub Ponury wyjął z kieszeni zwój zasmolonego papieru i zwracając się do pana Snodgrassa, zapytał ochryplym głosem, będącym w najdoskonalszej harmonii z jego powierzchownością:

— Czy pan jest poetą?

— Tak... próbuję sił w tej dziedzinie — odrzekł pan Snodgrass, nieco zmieszany niespodziewanym zapytaniem.

— O! Poezja jest dla życia tym, czym światło i muzyka dla teatru. Ogołoc pan jedno z jego fałszywych ozdób, a drugie ze złudzeń, cóż zajmującego pozostanie w obu? Tak na przykład: przed kinkietami patrzy pan na królewski orszak, podziwia pan jedwabne szaty świetnego tłumu, a stanąwszy za kulisami jesteś ludem wyrabiającym te piękne stroje, motłochem nic nie znaczącym i pogardzanym, który może upadać i podnosić się, żyć i umierać, jak się podoba losowi, i nikogo to nie obchodzi.

— Niewątpliwie — odpowiedział pan Snodgrass, gdyż zapadłe oczy nieznanego były weń utkwione, czuł więc potrzebę powiedzenia czegokolwiek.

— No, Jakubie — zawołał hiszpański podróżnik — nabierz no otuchy, dość tego skrzeczenia.

— Czy pozwoli pan jeszcze jedną szklaneczkę przed zaczęciem? — zapytał pan Pickwick.

Ponury człowiek przyjął propozycję, nalał sobie szklanekę grogu, z wolna odpił połowę, rozwinął rulon papieru i zaczął ni to czytać, ni to opowiadać następujące zdarzenie, które zostało wniesione do protokołów klubu jako „Opowieść włóczęgi”.

OPOWIEŚĆ WŁÓCZĘGI

— W tym, co chcę państwu opowiedzieć, nie ma nic cudownego — powiedział ponury człowiek — nawet nic nadzwyczajnego. Niedostatek i choroba nazbyt są znane w wielu warunkach życia, aby zasługiwały na większą uwagę, niż w ogóle okazuje się najpowszechniejszym słabostkom natury ludzkiej. Zebrałem tu luźne notatki, gdyż przedmiot ich był mi dobrze znany od wielu lat. Śledziłem jego upadek, krok za krokiem, aż wreszcie osiągnął to dno nędzy, z którego nigdy nie mógł się już podnieść.

Człowiek, o którym mówię, był nędznym aktorem pantomimicznym. I jak wielu ludzi tej sfery, zwyczajnym opojem; za lepszych swoich dni, zanim wyczerpały go hulanki i wyniszczyły choroby, otrzymywał dobre honorarium, które, gdyby był rozsądny i zapobiegliwy, mógłby otrzymywać jeszcze przez jakiś czas, niezbyt długi, gdyż ci ludzie albo umierają wcześniej, albo przez nadmierne opodatkowanie swojej energii cielesnej tracą przedwcześnie owe fizyczne uzdolnienia, na których wyłącznie mogą oprzeć swoje istnienie. Uparty nałóg opanował go jednak tak szybko, że było rzeczą niemożliwą używać go w sytuacjach, w których naprawdę był pożyteczny teatrowi. Karczmy miały dla niego urok, któremu nie potrafił się oprzeć. Gdyby nie zmienił na czas kursu, choroba i beznadziejna nędza oczekiwałyby go równie pewnie jak śmierć; a że go nie zmienił, więc rezultatu łatwo się domyślić. Nie mógł otrzymać *engagement* i nie miał na kawałek chleba.

Każdy choć trochę obeznany ze sprawami teatru wie, że całe zastępy obdartych, zjedzonych nędzą ludzi kręcą się koło sceny większych przedsiębiorstw teatralnych; nie są to aktorzy stale zaangażowani, ale baletnicy, ludzie z tłumu, akrobaci itp., których się bierze do jakiejś pantomimy lub przedstawienia wielkanocnego, a potem zwalnia do czasu, aż nowe uroczyste przedstawienie da sposobność do korzystania z ich usług. Do tego rodzaju życia został zmuszony ów człowiek. Gdyby znalazł zajęcie co noc w którymś z podrzędnych teatrów, miałby o kilka szylingów więcej tygodniowo i jednocześnie mógłby hołdować swojemu dawnemu nałogowi. Ale i te źródła zawiodły go wkrótce. Zanadto brykał, by mógł zarobić sobie na nędzne pokrzepienie, i wkrótce został doprowadzony do stanu graniczącego z głodem; zaledwie od czasu do czasu zdobywał marne grosze, gdy udało mu się pożyczyć od którego z dawnych kompanów lub gdy pozwolono mu pokazać się w którymś z mniejszych teatrów, a gdy zdobył w końcu jakieś pieniądze, trwonił je w zwykły sposób.

W tym czasie, kiedy mniej więcej od roku żył nie wiadomo z czego, otrzymałem małe *engagement* w jednym z teatrów na brzegu rzeki od strony Surrey. Tam spotkałem owego człowieka, którego od dawna straciłem z oczu, gdyż podróżowałem po prowincji, on zaś wałęsał się po alejach i zaułkach Londynu. Ubrałem się do wyjścia i właśnie przechodziłem przez scenę, gdy uderzył mnie po ramieniu. Nigdy nie zapomnę

odpychającego widoku, jaki ujrzały moje oczy, gdy się odwróciłem! Był ubrany do pantomimy z całą absurdalnością błazeńskiego stroju. Upiorne postacie „Tańca Śmierci”, najpotworniejsze kształty, jakie najbardziej utalentowany malarz kiedykolwiek rzucił na płótno, ani w połowie nie były tak upiorne. Jego opuchłe ciało i drżące nogi — efekt ten tysiącrotnie powiększał fantastyczny strój — szkliste oczy stanowiły potworny kontrast z grubą warstwą białej szminki pokrywającej twarz. Groteskowe przybranie głowy, trzęsącej się jak u paralityka, i długie, kościste ręce wysmarowane białą kredą — wszystko to nadawało mu straszny i nienaturalny wygląd. Najdokładniejszy opis nie może dać o tym właściwego pojęcia — dziś jeszcze drzę na to wspomnienie. Głos miał głęboki i tremolujący, gdy odciągnął mię na stronę. Urywającymi słowami wygłosił długą litanię chorób i braków, kończąc, jak zwykle, gorącą prośbą o pożyczenie mu trochę pieniędzy. Włożyłem mu kilka szylingów do ręki, a kiedym się odwrócił, usłyszałem wybuch śmiechu towarzyszący jego skokom na scenie.

W parę wieczorów później jakiś chłopiec wsunął mi do ręki brudny skrawek papieru, na którym było kilka słów donoszących, że ów człowiek jest niebezpiecznie chory i prosi, abym po przedstawieniu odwiedził go w jego mieszkaniu na jakiejś tam ulicy — zapomniałem już nazwy — niezbyt odległej od teatru. Obiecałem stawić się, jak tylko będę wolny; gdy kurtyna zapadła, poszedłem spełnić swą smutną misję.

Było późno, gdyż grałem w ostatniej sztuce. A ponieważ był to wieczór benefisowy, przedstawienie ciągnęło się niezwykle długo. Noc była ciemna, zimna, przejmujący wichur gwałcił strumień deszczu w okna i fronty domów. Kałuże wody potworzyły się w nie uczęszczanych i wąskich zaułkach, a ponieważ większość latami olejnych zgasił wichur, przechadzka była nie tylko niewygodna, ale i niepewna. Szczęśliwie poszedłem we właściwym kierunku i po pewnych trudnościach udało mi się odnaleźć dom, do którego mnie skierowano — skład na węgle z jednopiętrową nadbudówką. W ubogim pokoju, w głębi, leżał przedmiot moich poszukiwań.

Kobieta o nędznym wyglądzie, żona owego człowieka, spotkała mię na schodach i mówiąc, że właśnie wpadł w rodzaj ośpienia, wprowadziła mię ostrożnie i przysunęła mi krzesło do łóżka. Chory leżał z twarzą obróconą do ściany, a ponieważ nie zwrócił żadnej uwagi na moją obecność, miałem możność rozejrzeć się, gdzie jestem.

Leżał na lichym łóżku; zniszczone szczątki poszarpanych firanek wisiały w głowie łóżka, aby zasłonić chorego od wiatru, który pomimo to torował sobie drogę do ubożego pokoju przez liczne szpary we drzwiach i dał w rozmaitych kierunkach. Na żelaznym ruszcie tlił się ogień. Zniszczony trójkątny stół, na nim kilka flaszek od lekarstw i stłuczona szklanka. Na prowizorycznym posłaniu na podłodze spało dziecko, przy nim na krześle siedziała kobieta. Pod ścianą — półki, na nich kilka talerzy, kubków i salaterek; obok para trzewików teatralnych i kilka blach. Z wyjątkiem garści szmat i gałganów, rzuconych niedbale w kąt, nic więcej nie było w pokoju.

Miałem czas dostrzec te szczegóły i zauważyć ciężki oddech oraz gorączkowe ruchy chorego, zanim on zdał sobie sprawę z mojej obecności. Niespokojnie szukając miejsca, w którym mógłby położyć głowę, wyciągnął rękę z łóżka i dotknął mojej ręki. Zerwał się i spojrzał badawczo w moją twarz.

— Pan Hutley, Johnie — powiedziała żona — pan Hutley, po którego posyłałeś wieczorem.

— A! — powiedział chory, trąc ręką czoło. — Hutley... Hutley... pozwólcie... — Przez chwilę usiłował zebrać myśli, po czym schwycił mię za przegub dłoni i zawołał: — Nie zostawiaj mnie... nie zostawiaj mnie... Ona mnie zamorduje, zamorduje mnie!

— Czy to już dawno? — spytałem, zwracając się do płaczącej niewiasty.

— Od wczoraj wieczorem — odpowiedziała. — John! John! Czy mnie nie poznajesz?!

— Nie puszczaj jej do mnie! — zawołał chory i wzdrygnął się. — Zabierz ją! Nie znoszę jej obecności. — Spojrzał na nią dziko, z wyrazem śmiertelnego przestachu, po czym szepnął mi do ucha: — Biłem ją, Jakubie. Biłem ją wczoraj i nieraz przedtem... Głodziłem ją i małego również. A teraz, kiedy jestem słaby i bezbronny, ona mię zamorduje. Jakubie, wiem, że mię zamorduje! Gdybyś słyszał ją, jak płacze — ja słyszałem! — też byś wiedział, że mię zamorduje! Nie dopuszczaj jej do mnie! — Zwolnił uścisk i, wyczerpany, opadł na poduszkę.

Wiedziałem aż nadto dobrze, co to znaczy. Gdybym miał choć cień wątpliwości, jedno spojrzenie na bladą twarz niewiasty i na jej wychudzoną postać wytłumaczyłoby mi dostatecznie całą prawdę.

— Lepiej niech pani nie podchodzi — powiedziałem do nieszczęśliwej. — Nic mu pani nie pomoże. Może się uspokoi nie widząc pani. — Usunęła mu się z oczu. Otworzył powieki po chwili i obejrzał się trwożliwie.

— Poszła? — spytał gorączkowo.

— Tak, tak! — potwierdziłem z zapalem. — Nic ci nie zrobi!

— Coś ci powiem, Jakubie — powiedział cichym głosem. — Ona już mi coś robi... Jest w jej oczach coś, co budzi w moim sercu taki strach, że dochodzę do szaleństwa! Przez całą zeszłą noc jej badawcze oczy i blada twarz były tuż przy mnie. Gdzie ja się obróciłem, obracały się i one. Ile razy budziłem się ze snu, siedziała przy łóżku, patrząc na mnie. — Kazał mi się przysunąć bliżej i mówił głębokim, trwożliwym szeptem: — Jakubie, to musi być zły duch! Diabeł! Brr! Wiem, że jest diabłem! Gdyby była kobietą, dawno by umarła. Kobieta nie zniosłaby tego, co ona.

Słabo mi się zrobiło na myśl o tym potwornym zaniedbywaniu żony i znęcaniu się nad nią, które musiało go doprowadzić do takiego wniosku. Nie znalazłem odpowiedzi; któż bowiem znalazłby wyrazy nadziei lub pociechy dla tej nikczemnej kreatury, którą miałem przed oczyma?!

Siedziałem przy nim około dwóch godzin. Przez ten czas rzucał się, jęczał z bólu lub niecierpliwości, nieustannie wymachiwał rękami i przewracał się z jednego boku na drugi. W końcu popadł w stan półświadomości, w której myśli wędrują od sceny do sceny bez kontroli rozumu. Niezdolny był jednak uwolnić się od cierpienia. Przekonawszy się ze skoków jego myśli, że zaszedł ten właśnie wypadek, i wiedząc, że według wszelkiego prawdopodobieństwa gorączka natychmiast się podniesie, opuściłem go, obiecując nieszczęsnej żonie, że ponowię swoje odwiedziny następnego wieczora, a jeżeli zajdzie tego potrzeba, będę czuwał nad chorym w nocy.

Dotrzymałem obietnicy. Ostatnie 24 godziny sprawdziły straszliwą zmianę. Oczy, olbrzymie, głęboko zapadłe, błyszczały tak, że trudno było wytrzymać ich spojrzenie. Wargi miał spieczone i popękane w wielu miejscach. Sucha skóra była rozpalona. W twarzy tego człowieka wyczytałem jakiś niesamowity wyraz strachu, zdradzający jeszcze wyraźniej postępy choroby. Gorączka doszła do najwyższego stopnia.

Siadłem na krześle, które zajmowałem poprzedniej nocy, i siedziałem przy nim długie godziny, słuchając dźwięków, które trafić muszą do głębi serc najbardziej zatwardziałych ludzi. Było to potworne bredzenie konającego. Z tego, co usłyszałem od felczera, wiedziałem, że nie ma żadnej nadziei. Siedziałem przy łożu śmierci. Patrzyłem na schorzałe kończyny, które przed kilkoma godzinami wykrzywiały się ku uciezce burzliwej

galerii, wijące się w mękach gorączki, słyszałem ostry śmiech kłowna poprzez charczenie konającego.

Jest to moment wzruszający, gdy słyszy się, jak mózg czepia się zwykłych zajęć i zdrowia, a ciało leży bezsilne i słabe. Ale gdy charakter owych zajęć jest najbardziej krańcowym przeciwieństwem naszych pojęć o tym, co uważamy w życiu za uroczyste i poważne, natenczas wrażenie jest jeszcze potężniejsze. Teatr i karczma — oto główne tematy mające nieszczęśliwego. Zdawało mu się, że jest wieczór; ma grać tej nocy; jest już późno, musi natychmiast wyjść z domu. Dlaczego go zatrzymują? I nie dają mu iść! Straci zarobek — musi iść! Nie! Nie! Nie puszczają go! Ukrył twarz w rozpalonych dłoniach i słabym głosem skarżył się na swoją słabość i na okrucieństwo swego otoczenia. Krótka pauza — a potem wyrzucił z siebie kilka wierszydeł o podłych rymach; ostatnie, których się nauczył. Podniósł się na łóżku, zmógł się w sobie i przybrał dziwaczną pozycję; był w teatrze... Chwila milczenia, po czym szeptem zaczął śpiewać jakąś piosenkę. Jest znowu w swoim starym domu! Na koniec! Jak ciepło w tym pokoju! Był chory, bardzo chory, ale już jest zdrow i bardzo szczęśliwy. Napęlić szklanke! Kto to odejmuje ją od warg?! Ten sam prześladowca, który dokuczał mu przedtem. Znowu opadł na poduszki, jęcząc głośno. Krótki okres zapomnienia, i oto znowu wędruje przez szereg niskich, sklepionych izb — tak niskich, że chwilami musi zginać ręce i nogi, żeby móc przejść. Ciemno tu było i ciasno, w którąkolwiek stronę się zwrócił, wszędzie napotykał przeszkody. Roilo się tam od insektów — wstrętne, pełzające stworzenia z oczyma utkwionymi w niego, zdawało się, wypełniały powietrze — błyszczały groźnie w nieprzepartym mroku. Ściany i sufit były jakby żywe od ruszających się płazów. Sklepienie przybierało potworne rozmiary — straszne postacie uwijały się wszędzie — twarze ludzi, których znał, wykrzywione grymasem, migwały między nimi. Przypiekały go rozpalonym żelazem, ścisnęły głowę sznurami, aż krew krzepła. Wściekle walczył o życie.

Po jednym z takich ataków (z trudem utrzymałem go na łóżku) popadł w stan, który wydawać się mógł snem. Zmęczony czuwaniem i mocowaniem się z nim, zamknąłem na chwilę oczy, gdy nagle uczułem, że ktoś schwycił mię za ramię. Zbudziłem się natychmiast. Uniósł się tak, że prawie siedział na łóżku. Twarz miał strasznie zmienioną, ale wróciła mu przytomność — gdyż wyraźnie poznał mnie. Dziecina, którą dawno już zbudziły jego jęki, podniosła się na swym posłaniu i biegła do ojca krzycząc ze strachu — matka szybko pochwyciła ją w ramiona, bojąc się, że ojciec skrzywdzi ją w napadzie szału. Ale przerażona zmianą, jaka w nim zaszła, stanęła nieruchomo przy łóżku. Konwulsyjnie schwycił mię za ramię i dotknął ręką piersi... Rozpaczliwie próbował wydobyć z piersi głos... Nie mógł. Wyciągnął do nich ręce — i zrobił jeszcze jeden rozpaczliwy wysiłek... Charkot — błysk oczu — stłumiony jęk — i opadł z powrotem... nieżywy!

* * *

Sprawiłoby nam najwyższą radość, gdybyśmy mogli zaprotokołować opinię pana Pickwicka o opowiedzianej przed chwilą anegdocie. Nie wątpimy, że moglibyśmy przedstawić tę opinię naszym czytelnikom, gdyby nie pewne nieszczęśliwe okoliczności.

Pan Pickwick postawił na stół szklanke, której podczas ostatnich zdań opowiadania nie wypuszczał z rąk. Pan Pickwick gotował właśnie swój wzniosły umysł do wypowiedzenia w tej sprawie sądu i nawet otworzył już usta (o czym mamy wiadomości z notatek pana Snodgrassa), gdy garson wszedł do pokoju i powiedział:

— Panie, przybyło tu kilku panów.

Pan Pickwick surowo spojrział na garsona, a potem po całym towarzystwie, jakby zapytując, kto by to mógł przyjść.

— O! — zawołał pan Winkle, wstając — to moi przyjaciele, prosz, niech wejdą.

A gdy garson oddalił się, rzekł:

— Bardzo przyjemni ludzie, oficerowie z 97 pułku, z którymi zaznajomił mnie dość szczególny traf. Pewny jestem, że będą się podobać nam wszystkim.

Pogoda powróciła na twarz pana Pickwicka. Garson wprowadził do pokoju trzech gentlemanów i pan Winkle począł ich przedstawiać.

— Porucznik Tappleton; pan Pickwick — doktor Payne; pan Pickwick... Panowie znają już mego przyjaciela, pana Snodgrassa... Przyjaciel mój, pan Tupman. Doktor Slammer; pan Pickwick... pan Tup...

Tu pan Winkle nagle zatrzymał się, dostrzegłszy wielkie wzruszenie doktora i pana Tupmana.

— Już spotkałem raz tego gentlemana — rzekł doktor z energią.

— A! a! — zawołał pan Winkle.

— I to indywiduum także, jeżeli się nie mylę — mówił dalej doktor Slammer, utkwivszy badawczy wzrok w nieznanym w zielonym fraku. — Sądzę, że zeszłej nocy wystosowałem do tego indywiduum aż nazbyt dosadne wezwanie, które uznał za właściwe odrzucić.

Wymawiając te wyrazy, doktor rzucił na nieznanego wzrok pełen oburzenia i począł rozmawiać po cichu, ale żywo z porucznikiem Tappletonem. Gdy skończył, porucznik zawołał:

— Czy tak?

— Tak — odpowiedział doktor Slammer.

— Trzeba z nim skończyć od razu — rzekł z największą powagą właściciel składanego stołka.

— Proszę cię, Payne, bądź spokojniejszy — odezwał się porucznik, potem zwracając się do pana Pickwicka, szczególnie zaintrygowanego całym tym niegrzecznym zachowaniem, mówił dalej:

— Pozwoli pan zapytać, czy ta osoba należy do towarzystwa panów?

— Nie, panie — odrzekł pan Pickwick — to tylko jeden z naszych gości.

— Sądzę, że jest członkiem klubu?

— Bynajmniej.

— I nie nosi nigdy klubowego uniformu?

— Nigdy — odpowiedział zdumiony pan Pickwick.

Porucznik Tappleton zwrócił się do swego przyjaciela, doktora Slammera, lekko wzruszywszy ramionami, co zdawało się wyrażać pewne powątpiewanie o dokładności wspomnień doktora.

Doktor był w najwyższym stopniu rozgniewany, ale zarazem jakby zbity z tropu. Uprzejme zachowanie się pana Pickwicka doprowadziło pana Payne'a niemal do wściekłości.

— Pan byłeś na balu zeszłej nocy! — wykrzyknął nagle doktor do pana Tupmana tonem, od którego ten drgnął tak widocznie, jak gdyby kto niespodzianie wsadził mu szpilkę w łydkę.

Pan Tupman odpowiedział słabym głosem: — Tak — nie przestając patrzeć na pana Pickwicka.

— Ten jegomość był z panem? — mówił doktor dalej, wskazując na niczym nie wzruszonego nieznajomego.

Pan Tupman stwierdził to.

— Teraz, mój panie — powiedział doktor do nieznajomego — zapytuję pana raz jeszcze w obecności wszystkich tych gentlemanów, czy chce mi pan dać swą kartę i być traktowanym jak gentleman, czy też chce mnie pan zmusić do skarcenia go osobiście tu, w tym miejscu?

— Za pozwoleniem — przerwał pan Pickwick — nie mogę zgodzić się na dalsze posuwanie się tej sprawy bez pewnych wyjaśnień. Tupman, opowiedz, jak to było.

Pan Tupman, wezwany w sposób tak uroczyście, opowiedział całą rzecz w niewielu słowach; lekko dotknął szczegółu wypożyczenia fraka, szeroko rozwiódł się nad tym, że stało się to po obiedzie, wynurzył nieco żalu, jeśli chodzi o jego osobę, i pozostawił nieznajomemu wydobywanie się z kłopotu, jak umie.

Ten zabierał się właśnie do przemówienia, gdy porucznik Tappleton, który przypatrywał mu się z wielką ciekawością, zapytał tonem wyniosłym:

— Czy nie widziałem pana na scenie?

— Bardzo być może — odrzekł nieustraszony nieznajomy.

— To wędrowny komediant! — zawołał porucznik z pogardą, a potem zwracając się do doktora Slammera dodał: — Gra w sztuce, którą na żądanie oficerów 52 pułku dają jutro. Nie możesz więc, doktorze, prowadzić dalej tej sprawy. Wykluczone!

— Wykluczone! — powtórzył doktor Payne.

— Przykro mi, że wprowadził pana w tak niemiłe położenie — rzekł następnie porucznik Tappleton do pana Pickwicka. — Ale pozwól pan powiedzieć sobie, że najlepszym sposobem uniknięcia podobnych scen w przyszłości jest zachowanie większej rozwagi w dobieraniu sobie towarzystwa. Najniższy sługa! — I rzekłszy to, wyszedł z pokoju.

— I pozwól pan także powiedzieć sobie — dodał drażliwy doktor Payne — że gdybym ja był na miejscu porucznika Tappletona lub Slammera, to nakręciłbym uszu panu i wszystkim obecnym tu indywiduom. Nazwisko moje jest Payne, doktor Payne z 43 pułku. Dobranoc.

Ukończywszy tę przemowę, której ostatnie wyrazy wygłoszone były głosem bardzo doniosłym, poszedł majestatycznie za porucznikiem, a za nim Slammer, który wprawdzie nic nie powiedział, ale użył swej żółci, rzuciwszy na całe towarzystwo wzrok pełen pogardy.

Podczas tych długich prowokacji niesłychane oburzenie i gniew, wzmagający się straszliwie, napełniły szlachetną pierś pana Pickwicka tak, że omal nie pękła mu kamizelka. Stał jak skamieniały, spoglądając na miejsce zajmowane przed chwilą przez doktora Payne'a, aż trzask zamykanych drzwi opamiętał go nieco. Rzucił się tedy naprzód, z gniewną twarzą i błyskawicami w oczach. Ręka jego była już na klamce. Jeszcze chwila, a znalazłaby się na gardle doktora Payne'a z 43 pułku, gdyby pan Snodgrass nie pochwylił czcigodnego swego mentora za poję i nie począł ciągnąć w tył.

— Winkle! Tupman? — zawołał z wyrazem rozpaczony — trzymajcie go! Nie powinien narażać swego drogiego życia w podobnej sprawie.

— Puście mnie! — krzyczał pan Pickwick.

— Trzymajcie! — wołał pan Snodgrass. Aż dzięki połączonym wysiłkom całego towarzystwa udało się posadzić pana Pickwicka w fotelu.

— Dajcie mu spokój — rzekł wtedy nieznajomy w zielonym fraku. — Szklanę grogu! A to dzielny stary! Przełknij no pan trochę. Znakomity napój.

Mówiąc to i wprzód sam pociągnąwszy spory łyk dymiącego płynu, nieznajomy przyłożył szklanę do ust pana Pickwicka, aż reszta tego, co się w niej znajdowało, znikła w niedługim czasie w gardle znakomitego filozofa. Nastąpiła krótka pauza; grog skutkował i wkrótce znowu pogoda zajaśniała na obliczu pana Pickwicka. Nieznajomy odezwał się:

— Oni nie są godni pańskiej uwagi.

— Ma pan słuszność — odparł pan Pickwick — nie są godni. Wstydzę się, że tak puścił wodze moim namiętnościom. Przysuń pan swe krzesło.

Komediant nie dał się prosić dwa razy. Wszyscy zasiedli dokoła stołu i harmonia zapanowała znowu. Tylko pan Winkle, zdawało się, był nieco zirytowany. Czyżby przyczyną tego usposobienia była samowolna pożyczka fraka? Ale tak błaha okoliczność nie mogła wzbudzić uczucia gniewu, choćby przelotnego, w sercu pickwickczyka. To pewne że wyjąwszy ten szczegół, dobry humor powrócił w towarzystwie i wieczór zakończył się wesoło, tak jak się zaczął.

Rozdział czwarty

Mała wojna — Nowi znajomi — Zaproszenie na wieś

Wielu autorów upiera się przy zasadzie nie tylko głupiej, ale właściwie nieuczciwej, żeby nie podawać źródeł, z których czerpią najważniejsze informacje. Nie podzielamy tych zasad. Będziemy starali się jedynie o to, by wywiązać się w sposób właściwy z obowiązków, jakie nakłada na nas nasz zawód wydawcy. I jakkolwiek w innych okolicznościach ambicja skłoniłaby nas, byśmy rościli sobie prawa do autorstwa tych przygód, względ na prawdę pozwala nam jedynie przypisać sobie zasługę opracowania szczegółów i nadania im formy bezstronnej opowieści. Za źródła służą nam dokumenty pickwickowskie. Można nas więc porównać z Kompanią Eksploatacji Nowych Źródeł Wody. Praca innych stworzyła dla nas olbrzymie rezerwuary doniosłych faktów. Zbieramy je po prostu i za pośrednictwem tych stronicy w postaci wesołego i wartkiego strumienia dajemy do użytku tym, którzy są spragnieni wiedzy pickwickczyków.

Działając w tym duchu i odważnie wprowadzając w czyn postanowienie wymieniania autorytetów, do których zwracaliśmy się o radę, wyznajemy otwarcie, że notatnikowi pana Snodgrassa zawdzięczamy szczegóły umieszczone w tym rozdziale. Szczegóły te (teraz, gdyśmy ulżyli swemu sumieniu) podamy bez dalszych komentarzy.

Cała ludność Rochester i okolicznych miasteczek zerwała się nazajutrz wcześniej z łóżek, bardzo wzruszona i podekscytowana. Wielka rewia miała się odbyć na Błoniach. Orli wzrok dowódcy miał dokonać przeglądu pół tuzina pułków. Wzniesiono tymczasową twierdzę, którą miano oblegać, zdobyć szturmem i w końcu wysadzić w powietrze.

Czytelnicy nasi mogli już wywnioskować z notat pana Pickwicka o mieście Chatham, że mąż ów był namiętnym wielbicielem wojska. Nic też nie mogło być przyjemniejszego, tak dla niego, jak i dla jego towarzyszy, jak widok małej wojny. Wcześniej więc zerwali się i szybkim krokiem poszli ku twierdzy, dokąd już ze wszystkich stron zdążyły tłumy ciekawych.

Wszystko zapowiadało, że manewry będą niezwykle świetne. Ustawiono warty, by zabezpieczyć wolny plac dla wojska. Sierżanci biegali na wszystkie strony, roznosząc kartki z rozkazami. Pułkownik Bulder, w galowym mundurze, galopował to w jedną, to w drugą stronę, cofał swego konia na ciekawych, kazał mu wykonywać wolty i kurbety i krzyczał tak głośno, iż twarz mu poczerwieniała i głos zachrypł, chociaż nikt nie mógł pojąć, na co to się wszystko przyda. Oficerowie latali tu i tam, odbierali rozkazy od pułkownika Buldera, powtarzali je sierżantom, potem znikali w galopie. Nawet szeregowcy patrzyli spoza płotu błyszczących luf z minami tajemniczo uroczytymi, co dostatecznie tłumaczył wyjątkowy charakter sytuacji.

Pan Pickwick i trzech jego towarzysze umieszcili się w pierwszym rzędzie ciekawych, cierpliwie oczekując na rozpoczęcie manewrów. Tłum powiększał się ciągle, a wysiłki, jakie zmuszeni byli czynić dla utrzymania się na swych stanowiskach, dostatecznie im zapełniły dwie godziny oczekiwania. Czasami odczuwano nagle pchnięcie od tyłu i pan Pickwick wylatywał naprzód z szybkością i elastycznością nie bardzo zgodną ze zwykłą powagą jego ruchów. To znowu żołnierze wzywali widzów do cofnięcia się, opuszczając kolby karabinów na nogi pana Pickwicka, by przypomnieć mu, aby się nie wysuwał naprzód, lub też rzeczono kolby przykładali mu do piersi, wzywając do utrzymania się w szeregu. Innym razem żartobliwy jakiś gentleman, nacisnąwszy pana Snodgrassa,

doprowadziwszy go w ten sposób do możliwie najmniejszej objętości i wystawiwszy na najostrzejsze tortury, zapytał go, dlaczego pozwala sobie tak się rozpychać. Zaledwie pan Winkle miał czas wyrazić całe swe oburzenie na tę niczym nie usprawiedliwioną pretensję, gdy jakieś indywiduum, stojące tuż za nim, wtoczyło mu kapelusz na oczy prosząc, by był na tyle grzeczny i schował do kieszeni swą głowę. Te dowcipy, połączone z niepokojem, jakim nappełniało ich nagłe i niepojęte zniknięcie pana Tupmana, sprawiały, że w ogóle położenie naszych znajomych było bardziej niewygodne aniżeli przyjemne.

Na koniec rozległ się w tłumie gwar, zapowiadający, że nadchodziło to, na co tak długo czekano. Oczy wszystkich zwróciły się ku twierdzy i ujrano bataliony jedne po drugich rozwijające się na równinie, z wdzięcznie powiewającymi sztandarami i bronią połyskującą od słońca. Wojsko zajęło stanowiska. Zwięzłe słowa komendy przebiegły po całej linii; broń zaprezentowano ze szczękiem; naczelną dowódca, pułkownik Bulder, z licznym sztabem przejechał galopem przed frontem. Nagle zagrała muzyka wszystkich pułków, konie stanęły dęba i cofnęły się; psy poczęły szczekać, tłum krzyżeć, wojsku zakomenderowano: — Baczość! — a jak daleko sięgał wzrok, na prawo i na lewo, widać było tylko długi szereg czerwonych mundurów i białych spodni, nieruchomych, jakby skamieniałych.

Pan Pickwick był tak zajęty cofaniem się i wymijaniem nóg końskich, iż nie miał czasu zachwycać się tym widokiem. Gdy wreszcie udało mu się odzyskać nieco równowagi, wojsko stało już nieruchomo, jak to opisaliśmy wyżej; wtedy zachwyty filozofa doszedł do najwyższego punktu.

— Czy jest coś piękniejszego, cudniejszego? — rzekł do pana Winkle'a.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział ten ostatni, który od kwadransa dźwigał na sobie dwóch wyrostków.

— Tak! — zawołał pan Snodgrass, w którego łonie zapłonął nagle ogień poezji. — Tak, wspaniałe to i wzniosłe widowisko, gdy tylu mężnych obrońców ojczyzny rozwija się w świetnych szeregach przed spokojnymi obywatelami. Twarze ich nacechowane są nie tyle wojowniczą gwałtownością, ile raczej duchem cywilizacji, ich oczy nie błyszczą dzikim ogniem rozboju i zemsty, ale łagodnym światłem inteligencji i ludzkości.

Pan Pickwick najzupełniej zgadzał się z tymi pochwałami, jeśli chodzi o ducha, który je natchnął, ale niezupełnie przystawał na wyrażenia. Bo rzeczywiście łagodne światło inteligencji błyszczało tu dość słabo, zważywszy, że znowu zakomenderowano: — Baczość! — i widzowie mieli przed sobą nie mniej niż kilka tysięcy par oczu, spoglądających prosto przed siebie i najzupełniej pozbawionych wszelkiego wyrazu.

Tymczasem tłum z wolna usunął się i podróżnicy nasi pozostali prawie sami.

— Teraz jesteśmy w doskonałym punkcie — rzekł pan Pickwick spoglądając dokoła siebie.

— Doskonałym — odpowiedzieli panowie Winkle i Snodgrass.

— Zda... zdaje mi się... — wybelkotał nagle pan Winkle, blednąc — zdaje mi się, że będą strzelać...

— Ale cóż znowu! — zawołał szybko pan Pickwick.

— Sądę... sądę, że... że Winkle ma słuszość — dodał Snodgrass, cokolwiek przerażony.

— To być nie może! — powtórzył pan Pickwick. Zaledwie jednak wymówił te słowa, gdy sześć pułków, jak jeden mąż i jakby miały jeden cel tylko, skierowało lufy na nieszczęśliwych pickwickczyków i rozległ się huk, jaki może nigdy nie wstrząsnął ziemią ani odwagą gentlemana w latach dojrzałych.

W tym krytycznym położeniu, wystawiony na ciągły ogień ślepych naboju, zaniepokojony ruchami wojska, dla którego nadchodziły nowe posiłki, rozwijające swe szeregi z tyłu, poza panem Pickwickiem, mąż ten okazał zimną krew, nieodstępną towarzyszkę wielkich umysłów. Uchwyciwszy za rękę pana Winkle'a i umieściwszy się między nim a panem Snodgrassem, przedstawiał im przekonywająco, że wyjąwszy niebezpieczeństwo ogłuchnięcia od strzałów, nie ma się czego obawiać.

— Ale... ale... — rzekł pan Winkle, blednąc — przypuśćmy, że który z żołnierzy ma ostry nabój... przez pomyłkę... Słyszałem ostry świst tuż koło...

— Czy nie byłoby dobrze położyć się plackiem na ziemię? — zapytał pan Snodgrass.

— Nie, nie, wszystko już się skończyło — odrzekł pan Pickwick.

Gdy mówił to, usta jego mogły drżeć, policzki blednąc, ale żaden okrzyk strachu lub niepokoju nie wyrwał się z ust tego nieśmiertelnego męża.

Pan Pickwick miał słuszność; strzelanie skończyło się. Myślał więc już tylko o niezawodnej trafności swej hipotezy, gdy dostrzegł na całej linii szybkie ruchy. Krzyki komendy rozległy się znowu i pierwaj nim nasi podróżni mieli czas poczynić domysły, co to może być za nowy manewr, sześć pułków przyspieszonym krokiem poszło na bagnety ku miejscu, gdzie stał pan Pickwick z towarzyszami.

Człowiek jest śmiertelny, a odwaga ludzka ma swe granice. Przez chwilę pan Pickwick spoglądał przez okulary na posuwającą się naprzód kolumnę, potem odwrócił się do niej tyłem i począł... nie powiemy uciekać, najprzód dlatego, że jest to wyrażenie ubliżające, po wtóre, że sama osoba Pickwicka zupełnie nie nadawała się do tego rodzaju odwrotu — począł tylko dreptać tak szybko, jak mu pozwalały na to niezbyt długie nogi i ciężar ciała; ale za późno ocenił całe niebezpieczeństwo położenia.

Wojsko przeciwnika, którego ukazanie się z tyłu zaniepokoiło pana Pickwicka przed kilkoma sekundami, teraz rozwinęło się w szyk bojowy dla odparcia ataku oblegających twierdzę, tak że trzej nasi znajomi ujrzeli się pomiędzy dwoma długimi rzędami bagnatów, z których jeden szybko się przybliżał, a drugi w miejscu czekał na natarcie.

— Na bok! Na bok! — wołali oficerowie posuwającej się kolumny.

— Usuńcie się! — krzyczeli oficerowie kolumny nieruchomej.

— Gdzie się podziać? — krzyknęli przerażeni pickwickczycy.

— Na bok! Na bok! — było odpowiedzią. Potem nastąpiła chwila niesłychanego zamieszania; odgłos miarowych kroków, gwałtowne uderzenia, stłumione śmiechy; wojska cofnęły się pięćset kroków, a podeszwy butów pana Pickwicka ujrzyć można było w powietrzu.

Pan Snodgrass i pan Winkle wykonali również z najzupełniejszą dokładnością po jednym obowiązkowym koziołku. Właśnie pan Winkle, siadłszy na ziemi, tamował sobie chustką krew z nosa, gdy wtem ujrzeli w pewnej odległości swego czcigodnego mentora, biegnącego za kapeluszem, który oddalał się coraz bardziej, złośliwie podskakując.

Mało jest chwil w życiu, w których by człowiek doznawał większej przykrości, nie zjednywając sobie przy tym żadnego współczucia, jak wówczas, gdy odbywa polowanie na swój własny kapelusz. Trzeba mieć wielki zasób zimnej krwi i zdolność do szybkiej decyzji, by go złowić. Biegając zbyt szybko, wyprzedza się go; jeżeli schylamy się zbyt wolno, gdyż sądzimy, iż go już trzymamy, kapelusz odbiega gdzieś daleko... Najlepsza metoda polega na tym, by biec równoległe do przedmiotu naszych zabiegów, zachować największą przezorność, umieć skorzystać ze sposobnej chwili, stopniowo wyprzedzać, potem nagle pochylić się, ująć kapelusz za rondo i mocno osadzić go na głowie,

wdzięcznie uśmiechając się podczas tej gonitwy, jak gdybyśmy sami, jak wszyscy inni, widzieli w tym tak dobry żart.

Lekki wietrzyk podmuchiwał i kapelusz pana Pickwicka potoczył się przed nim jakby igrając. Wiatr dmuchał, pan Pickwick sapał, a kapelusz bujał jak rybka w bystrym nurcie. I pewno dotoczyłby się Bóg wie jak daleko, gdyby nie trafił na opatrnościową przeszkodę w chwili, gdy nasz podróżnik zamyślał już pozostawić go nieszczęśliwemu losowi.

Pan Pickwick, niezwykle zmęczony, miał już zaniechać pogoni, gdy kapelusz wpłatał się w koło jednego z kilkunastu powozów stojących rzędem. Filozof potrafił wnet skorzystać z tej pomyślnej chwili, szybko pochylał się, pochwycił niesforne nakrycie głowy, silnie nasunął je na czoło i stanął, by odetchnąć. Upłynęło może nie więcej niż pół minuty, gdy usłyszał swoje nazwisko wymówione donośnym i przyjaznym głosem. Podniósł oczy i wtedy przedstawił mu się widok, który go nappełnił zarazem zdziwieniem i radością.

W wielkim otwartym powozie, od którego wyprężono konie, stały osoby poniżej wymienione: stary dorodny gentleman w niebieskim fraku ze złożonymi guzikami, aksamitnych spodniach i długich butach; dwie młode damy w szarfach i stroikach; młody człowiek, prawdopodobnie zakochany w jednej z młodych panien; dama wieku niewątpliwego, prawdopodobnie ciotka dwóch wyżej wymienionych panien, wreszcie pan Tupman, tak spokojny i swobodny, jakby należał do rodziny od samego dzieciństwa. Z tyłu powozu przywiązane było pudło wielkich rozmiarów, jedno z tych pudeł, które przez asocjacje idei wzbudzają zawsze w organizacjach spostrzegawczych myśli o kapłonach na zimno, wędzonych ozorach i butelkach dobrego wina. Na koniec, na koźle powozu, w stanie błogiej drzemki, siedział chłopak tłusty, czerwony i pyzaty, na którego badawczy spostrzegacz nie mógł patrzeć przez kilka minut, by nie dojść do wniosku, że jest to właśnie urzędowy rozdawca zawartych w pudle skarbów, gdy nadejdzie właściwa chwila ich spożywania.

Zaledwie pan Pickwick ogarnął wzrokiem wszystkie te zajmujące przedmioty, gdy wierny jego uczeń znów począł go nawoływać:

— Pickwick! Pickwick! Właż pan tu prędko!

— Choć pan! Proszę — dodał stary gentleman. — Joe! Przeklęty chłopak! Znowu śpi! Joe! Spuść stopień!

Pyzaty chłopiec z wolna zsunął się z kozła, spuścił stopień i w uprzejmy sposób otworzył drzwiczki. W tej chwili nadeszli panowie Snodgrass i Winkle.

— Wszyscy się tu pomieścimy — zaczął znowu właściciel powozu. — Dwóch wewnątrz, jeden zewnątrz. Joe! Zrób na koźle miejsce dla jednego z panów. Teraz prosimy.

I stary gentleman wyciągnął żyłastą rękę, wwindował do powozu naprzód pana Pickwicka, potem pana Snodgrassa. Pan Winkle siadł na koźle. Pyzaty chłopak pochylił się ku niemu i natychmiast zasnął.

— Cieszy mię, że oglądam panów — mówił dalej stary gentleman — znam panów bardzo dobrze, chociaż być może, iż panowie nie przypominacie mię sobie. Niejeden wieczór spędziłem w klubie panów ostatniej zimy. Dziś rano spotkałem mego przyjaciela, pana Tupmana, co mię wielce uradowało. No i cóż, panie? Jak się pan ma! Wygląda pan dzielnie, ale to bardzo dzielnie!

Pan Pickwick, do którego były zwrócone te ostatnie słowa, odwdzieczył się odpowiednim komplementem i silnie uściśnął dłoń starego gentlemana.

— A pan — ciągnął dalej mówca, spoglądając z ojcowskim zajęciem na pana Snodgrassa. — Doskonale! Nieprawdaż? Tym lepiej, tym lepiej. A pan jak się ma, panie Winkle? Dobrze? To mię cieszy. Moje córki, panowie. A to moja siostra, panna Rachel Wardle. Dziewica, a nie dziewczątka, co? He? — dodał, śmiejąc się na całe gardło i uprzejmie szturchając łokciem w bok pana Pickwicka.

— Ależ, bracie! — zawołała miss Wardle z błagalnym uśmiechem.

— Tak, tak — zaczął znów stary gentleman — nikt temu zaprzeczyć nie może. Panowie! Przedstawiam wam mego przyjaciela, pana Trundle'a. A teraz, kiedy już wszyscy znacie się, bądźmy dobrej myśli i patrzmy, co się dzieje. Takie jest moje zdanie.

To rzekłszy, włożył okulary. Pan Pickwick wydobyl swoją perspektywę i wszyscy stojąc w powozie, przypatrywali się manewrom wojskowym.

Były to manewry godne podziwu. Jeden szereg strzelał ponad głowami drugiego szeregu i natychmiast cofał się, potem drugi szereg strzelał ponad głowami trzeciego i także cofał się; formowano czworoboki z oficerami w środku; włączono po drabinach na wały, burzono barykady utworzone z koszów, a wszystko to robiono z niezrównaną odwagą. Na okopach armatnich artylerzyści pakowali ogromne naboje w działa, a gdy wystrzelili, żaloszny krzyk trwożliwych kobiet długo rozlegał się w powietrzu. W powozie młode panny Wardle tak były przerażone, że pan Trundle był zmuszony podtrzymywać jedną z nich, a pan Snodgrass drugą. Nerwy miss Racheli Wardle były tak okropnie podrażnione, że pan Tupman uznał za nieodzowną konieczność ująć ją za kibić, by nie upadła. Jednym słowem, wszyscy doznali niezwykłego wzruszenia, wyjąwszy pyzatego chłopca, który przy huku dział spał tak głęboko, jak przy zwykłej piosence piastunki.

Gdy zdobyto twierdzę i tak obleżonym, jak i oblegającym zastawiono obiad, stary gentleman zawołał:

— Joe! Joe! Przeklęty chłopak, znowu śpi. Bądź pan tak dobry i uszczypnij go w łydkę. Tylko w ten sposób można go obudzić.

Dziękuję panu. Joe, rozpakuj pudło. Pызaty chłopak, rzeczywiście rozbudzony za pomocą ściśnięcia mięsnych części nogi wielkim i wskazującym palcem pana Winkle'a, znowu zsunął się z kozła i rozpoczął rozpakowywanie pudła z nierównie większym pośpiechem, aniżeli by to można było przypuszczać po jego poprzedniej niemrawości.

— Teraz siadajmy, jak można — rzekł gentleman. Po wielu żartobliwych napomknięciach o szerokości kobiecych sukien, po wielu rumieńcach, spowodowanych propozycją, by damy siadły na kolanach u panów, całe towarzystwo usadowiło się w powozie, a stary gentleman jął puszczać wkoło przedmioty podawane mu przez pyzatego chłopca.

— Teraz, Joe, podaj noże i widelce.

Rozdano noże i widelce. Damy i mężczyźni w powozie, a pan Winkle na kozle, zaopatrzeni zostali w te niezbędne narzędzia.

— Talerze, Joe! Talerze!

Talerze również podano w ten sam sposób.

— Teraz, Joe, podaj drób. Przeklęty chłopak, znowu śpi. — Kilka energicznych szturchańców wyrwało go z letargu.

— No, dawaj jeść!

W dźwięku tych słów było coś takiego, co zupełnie rozbudziło zaspanego chłopca. Drgnął, a jego ołowiane oczy, na pół zatopione w tłustych policzkach, miłośnie spoglądały na jadło, w miarę jak je wydobywał.

— No, żywo! — zawołał pan Wardle, bo pyzaty chłopiec pożerał wzrokiem kapłona, z którym, zdawało się, nie był w stanie rozstać się. Wreszcie westchnął głęboko, rzucił rozpaczliwe spojrzenie na pulchne pieczone i smutno podał je panu.

— Dobrze, tylko żywiej! Teraz ozór. Teraz pasztet z gołębi. Uważaj na cielęcinę i szynkę. Pilnuj raków. Wydobądź sałatę, podaj pieprzu...

Wydając te szybkie rozkazy, pan Wardle rozdawał wewnątrz powozu wymienione wyżej artykuły i stawiał niezliczoną ilość półmisków na kolanach biesiadników.

Gdy rozpoczęto dzieło zniszczenia, wesoły starzec zapytał:

— Co? Czy nie doskonale?

— Przewyborne — odrzekł pan Winkle krojąc kawałek kapłona.

— Szklaneczkę wina?

— Z wielką przyjemnością.

— Czy nie lepiej będzie, gdy podam panu na kozioł całą butelkę?

— O! Jeśli pan tak łaskaw!

— Joe!

— Słucham pana. (Tym razem pyzaty chłopiec nie spał, gdyż zwędził kawał cielęciny).

— Butelkę wina dla pana na kozioł. Za pańskie zdrowie.

— Bardzo jestem panu wdzięczny — odrzekł pan Winkle, stawiając butelkę przy sobie.

— Czy zechce pan wypić ze mną szklanekę wina? — zapytał pan Trundle pana Winkle'a.

— Z największą przyjemnością — odpowiedział zapytany i obaj wychylili po szklance, a wszyscy obecni, nie wyłączając dam, naśladowali ten dobry przykład.

— Jak nasza kochana Emilka kokietuje tego młodego człowieka — szepnęła panu Wardle'owi ciotka–panna z zazdrością właściwą ciotkom–pannom.

— Ba! — odpowiedział ojciec. — Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. To rzecz całkiem naturalna. Panie Pickwick! Szklanekę wina?

Pan Pickwick, przerwawszy na chwilę głębokie poszukiwania we wnętrzach pasztetu z gołębi, przyjął propozycję z wdzięcznością.

— Emilio, moja droga — rzekła ciotka, niezadowolona — nie mów tak głośno, moje życie.

— Co ciocia mówi?

— Zdaje się, że ciotka i ten mały tłusty jegomość chcieliby, by tylko im wszystko było wolno — szepnęła panna Izabela Wardie do swej siostry Emilii. Potem obie panny poczęły serdecznie śmiać się, a stara panna wysilała się, by nadać sobie przyjemny wyraz twarzy, co się jej jednak nie udawało.

— Młode dziewczęta są zwykle takie puste! — rzekła do pana Tupmana z miną czulego ubolewania, jak gdyby wesołość była rodzajem kontrabandy i jakby nie wolno było nosić jej z sobą bez osobnego świadectwa; ale pan Tupman nie dał odpowiedzi, jakiej żądano.

— Ma pani słuszność — rzekł — to bardzo miłe.

— O! — zawołała miss Wardle z powątpiewaniem.

— Czy pozwoli pani — zaczął znowu pan Tupman, dotykając w sposób nadzwyczaj ujmujący lewą ręką dłoni ponętnej Racheli, podczas gdy prawa ręka z wolna podawała butelkę. — Czy pozwoli pani?

— O, panie!

Pan Tupman przybrał postawę jeszcze bardziej ujmującą. Miss Rachela wyraziła obawę, by nie strzelano z dział, co by naturalnie znowu zmusiło kawalera do podtrzymywania jej.

— Czy uważa pan, że moje siostrzenice są piękne? — szepnęła następnie ciotka bardzo słodko do ucha panu Tupmanowi.

— Uważałbym je za piękne, gdyby nie było tu ich ciotki — odpowiedział ugrzeczniony pickwickczyk, spoglądając namiętnie.

— O! Szkaradny z pana człowiek. Ale doprawdy, gdyby miały nieco więcej świeżości, czy nie wyglądałyby efektownie... przy świetle?

— Tak sędzę — odrzekł pan Tupman obojętnie.

— Kpiarz z pana. Domyślam się, co chce pan powiedzieć. Wiem, wiem! Mężczyźni mają szczególny dar dostrzegania wszystkiego! Tak! To prawda! Nie mogę temu zaprzeczyć! Bo niezawodnie, jeżeli jest coś wadliwego w młodej osobie, to trzymanie się pochyło. Często jej to powtarzam, że gdy wejdzie nieco w lata, będzie szkaradna. O! Widzę, że pan jest złośliwy!

Pan Tupman, zachwycony zjednaniem sobie takiej opinii tak tanim kosztem, usiłował przybrać minę dyplomatyczną i uśmiechnął się tajemniczo.

— Co za sarkastyczny uśmiech! — zawołała zapalna Rachel. — Przestrasza mnie pan.

— Ja przestraszam?

— O! Przede mną nic się nie ukryje. Wiem ja, co ten uśmiech znaczy!

— Cóż takiego? — zapytał pan Tupman, który sam nie miał o tym najmniejszego wyobrażenia.

— Chcesz pan przez to powiedzieć — rzekła miła ciocia, jeszcze więcej zniżając głos — chce pan powiedzieć, że sztywność Izabeli jeszcze mniej podoba się panu aniżeli trzpiotowatość Emilii. To prawda, Emilia jest płocha. Nie uwierzy pan, jaką mi to nieraz sprawia przykrość. Nieraz całymi godzinami płaczę z tego powodu. Brat mój jest tak łatwowierny, iż tego zupełnie nie widzi. Ale gdyby widział, jestem pewna, że serce by mu pękło. Chciałabym wmówić w siebie, iż w gruncie rzeczy nie ma w tym nic złego. Serdecznie pragnę, by tak było. (Tu czuła ciotka westchnęła głęboko i smutno potrząsnęła głową).

— Pewna jestem, że ciotka mówi o nas — szepnęła miss Emilia Wardle do swej siostry — nie ma wątpliwości, bo przybrała bardzo złośliwą minę.

— Tak sądzisz? — zapytała Izabela. — Ciociu! Ciociu!

— Co chcesz, moja droga?

— Ciocia dostanie kataru. Proszę okręcić sobie szalem swą sędziwą główkę. W twoim wieku, ciociu, należy więcej dbać o zdrowie.

Chociaż takie wet za wet było słuszne, ale było zarazem tak dokuczliwe, iż nie wiadomo, jak by się przejawiał gniew ciotki, gdyby pan Wardle nie zrobił był dywersji, zawoławszy donośnym głosem:

— Joe! Przeklęty chłopiec! Znów śpi!

— Szczególny chłopak — rzekł pan Pickwick — czy zawsze taki zaspany?

— Zaspany? Ciągłe śpi! Śpiąc wypełnia zlecenia, a przy stole chrapie.

— To szczególnie!

— O! Bardzo szczególnie! — odpowiedział stary gentleman. — Dumny jestem z tego chłopca. Za żadną cenę nie pozbyłbym się go. Jest to w swoim rodzaju osobliwość. Hej! Joe! Zabierz to wszystko i odkorkuj jeszcze jedną butelkę! Czy słyszysz?

Pyzaty chłopiec otworzył oczy, połknął wielki kawał pasztetu, który właśnie zaczął był przeżuwać, gdy zasnął, i wykonując rozkazy, spoglądał czule na resztki uczyty, w miarę jak je układał w pudle. Odkorkowano nową butelkę i wypróżniono bardzo prędko, pudło przymocowano na dawnym miejscu, a pyzaty chłopak znów włożył na koziół; okulary i

perspektywy zwrócono na wojsko, które znów rozpoczęło manewry. Było jeszcze dużo huków dział i niemało przestraszu kobiet. Potem podpalono minę, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich. Wreszcie wojsko i widzowie rozeszli się.

Kończąc rozmowę przerwaną strzelaniem, stary gentleman rzekł do pana Pickwicka, podając mu rękę:

— Pamiętaj pan, że jutro macie wszyscy nas odwiedzić.

— Niezawodnie — odrzekł pan Pickwick.

— Ma pan adres?

— Manor Farm w Dingley Dell — odpowiedział pan Pickwick, zaglądając do swego notatnika.

— Tak. I pamiętaj pan, że zatrzymam was u siebie przynajmniej tydzień. Podejmuję się pokazać wam wszystkie osobliwości okolicy, a poza tym będziemy studiowali wiejskie życie. O! Tylko przyjedźcie! Joe! Przekłety chłopak! Znów śpi! Joe! Pomóż Tomowi zaprzęgać konie.

Konie zaprzężono; woźnica siadł na koźle, pyzaty chłopiec umieścił się obok niego; nastąpiły pożegnania i powóz potoczył się. W chwili gdy pickwickowscy odwrócili się, by jeszcze raz spojrzeć na odjeżdżających, zachodzące słońce oświetliło oblicze starego gentlemana i tłuste policzki pyzatego chłopca. Po chwili głowa tego ostatniego pochyliła się i znów zasnął.

Rozdział piąty

zawierający między innymi opis, jak to pan Pickwick podjął się powożenia, a pan Winkle jazdy konnej, i jak się obaj z tego wywiązali

Niebo było jasne i spokojne, powietrze balsamiczne, a wszystko jakby oblane niewysłowionym urokiem. Pan Pickwick, wsparty na poręczy mostu w Rochester, przypatrywał się krajobrazom w oczekiwaniu śniadania.

Widok, jaki miał przed oczyma, mógłby zachwycić każdego nawet w mniejszym stopniu zdolnego do uniesień nad wiejską przyrodą. Po lewej stronie wznosił się mur, w wielu miejscach poszczerbiony, ponurą swą masą panując nad zielonymi brzegami rzeki Medway. Zwoje bluszczy smutno wieńczyły czarne blanki, a pęki morskich roślin, zwieszonych na kamieniach, drżały za powiewem wiatru. Poza tymi zwaliskami wznosił się stary zamek, którego wieża bez dachów i walące się mury świadczyły o ubogiej wielkości owych chwil, gdy szczęk broni i donośne śpiewy rozlegały się pod wspaniałymi arkadami. Po obu stronach, jak daleko wzrok sięgał, widać było brzegi rzek, pokryte łąkami i polami, spośród których tu i ówdzie wznosiły się młyny i kościoły; bogaty i urozmaicony to krajobraz, któremu jeszcze dodawały wdzięku lekkie obłoczki pływające w świetle porannego słońca. Rzeka Medway, odbijając lazur niebieski, płynęła w milczeniu, połyskując pod wiosłami rybaków posuwających się z jej nurtem w ciężkich, ale malowniczych łódkach. Widok tego uśmiechniętego krajobrazu pogrążył pana Pickwicka w słodkim marzeniu. Wywarło go zeń głębokie westchnienie, które usłyszał tuż koło siebie, i lekkie dotknięcie ramienia. Odwrócił się i poznał Jakuba Ponurego.

— Przypatruje się pan krajobrazowi? — zapytał ten poważnym głosem.

— Tak jest — odparł pan Pickwick.

— I jest pan rad, żeś wstał tak rano?

Pan Pickwick przytaknął temu skinieniem głowy.

— O! to prawda! Trzeba wstąpić, by oglądać słońce w całym jego przepychu, bo jasność jego rzadko trwa cały dzień. Początek dnia i początek życia są, niestety, aż nadto podobne do siebie.

— Ma pan słusność.

— Często mówią — ciągnął dalej Jakub Ponury — często mówią: ranek zbyt piękny, to nie potrwa długo. Jakże trafnie można zastosować tę uwagę do naszego istnienia! Czegóż bym nie dał, by mi wróciły dni mojej młodości albo bym o nich zapomniał na zawsze!

— Miał pan wiele smutnych przeżyć? — zapytał pan Pickwick ze współczuciem.

— Miałem — odrzekł Jakub Ponury drżącym głosem — więcej, niżby można przypuszczać, patrząc na mnie.

Zatrzymał się przez chwilę, a potem zapytał nagle:

— Czy nigdy w taki piękny poranek nie przychodziła panu myśl, że byłoby rzeczą bardzo miłą i błogą — utopić się?

— Nie! Niech mię Bóg uchowa! — zawołał pan Pickwick, cofając się nieco z obawy, by nieznanemu nie przysłała chętka zepchnąć go na próbę do wody.

— Ja często o tym myślałem — mówił dalej Ponury, który, zdawało się, nie dostrzegł tego ruchu. — Ta woda, zimna i spokojna, szmerem swym zdaje się wzywać mnie, bym w

niej szukał pokoju i zapomnienia. Jeden skok!... Buch!... Szamotanie przez chwilę... Fala wznosi się nad głową... odmęt... Woda się wygładza... i koniec wszystkich cierpień!

Zapadłe oczy błyszczały mu ponuro, gdy to mówił. Ale to chwilowe uniesienie wkrótce minęło. Jakub odwrócił się i rzekł najspokojniej:

— Dajmy temu pokój! Chcę pomówić z panem o czymś innym. Wczoraj wieczorem wezwał mię pan, bym mu odczytał powieść...

— Tak jest — odrzekł pan Pickwick — i sędzę...

— Obędę się bez pańskich sądów — przerwał Ponury — niepotrzebne mi one. Pan podróżuje dla rozrywki i kształcenia się... Rękopis nienadzwyczajny, ale zajmujący jako kartka z rzeczywistego życia. Czy odda go pan klubowi, o którym mówi pan tak często?

— Oczywiście, zamieścimy go w pamiętnikach klubu, jeżeli pan sobie tego życzy.

— Więc będzie go pan miał. Adres pański?

Pan Pickwick objaśnił, dokąd mniej więcej zamierza się udać. Jakub Ponury zanotował wszystko starannie w grubym pugilaresie, odprowadził uczonego gentlemana do oberży i wymówiwszy się od śniadania, odszedł powolnym krokiem.

Trzej towarzysze pana Pickwicka czekali właśnie na niego, by zasiąść do przekąski ustawionej na stole w sposób bardzo ponętny. Zasiedli wreszcie, a szynka, jajka, kawa, herbata i tym podobne przysmaki zaczęły znikać z szybkością dającą wymowne świadectwo tak o jakości jadła, jak i o apetycie podróżnych.

— Teraz — rzekł pan Pickwick — trzeba obmyślić, jak dostaniemy się do Manor Farm.

— Najlepiej zapytać garsona — zauważył pan Tupman i zdrowa ta rada została przyjęta, jak na to zasługiwała. Wezwano garsona.

— Dingley Dell, panie? Piętnaście mil, panie, droga boczna, zła... Może bryczkę pocztową?

— W bryczce mogą się pomieścić tylko dwie osoby — odparł pan Pickwick.

— To prawda, przepraszam, ale mamy bardzo piękną czterokołową bryczkę podwójną z siedzeniem dla gentlemana powożącego... Ale przepraszam, i w tej mogą się pomieścić tylko trzy osoby.

— Cóż więc pocznjemy? — zapytał pan Snodgrass.

— Może który z panów zechce odbyć drogę konno — rzekł garson, spoglądając na pana Winkle'a. — Mamy doskonałego wierzchowca. Ludzie pana Wardle'a, idąc do Rochester, mogliby go nam odprowadzić.

— Bardzo dobrze! — zawołał pan Pickwick. — Winkle, chcesz jechać konno?

W najgłębszych tajnikach swej duszy pan Winkle żywił wielką wątpliwość co do swej umiejętności konnej jazdy; ale ponieważ za nic w świecie nie chciał, by ktokolwiek go o to podejrzewał, więc natychmiast odpowiedział zuchowato:

— I owszem, bardzo mnie to cieszy! — Sam rzucił rękawicę swemu losowi i niepodobna było się cofnąć.

— Sprowadź konia i bryczkę na jedenastą — rzekł pan Pickwick do garsona.

— Dobrze, panie.

Po śniadaniu podróżni rozeszli się do swoich pokoi, by spakować rzeczy, które mieli zabrać ze sobą.

Pan Pickwick, ukończywszy te przygotowania, stał przed oknem w kawiarni i spoglądał na ulicę, gdy wszedł garson z wiadomością, że wszystko gotowe, co rzeczywiście potwierdziło ukazanie się bryczki przed domem.

Było to małe, zielone pudło, ustawione na czterech kołach, na przedzie znajdowało się wysokie siedzenie dla woźnicy, w tyle wąska ławka dla dwóch pasażerów. Interesujący

ten mechanizm wprowadzony był w ruch za pomocą ogromnego karego konia, na którym z zupełną łatwością można było studiować osteologię. Chłopak stajenny trzymał dla pana Winkle'a drugiego ogromnego konia, prawdopodobnie bliskiego krewnego zwierzęcia zaprzęgniętego do powozu.

— Niech nas Bóg ma w swojej opiece! — zawołał pan Pickwick, podczas gdy układano rzeczy w bryczce. — Niech nas Bóg ma w swojej opiece. A kto będzie powoził? Nie pomyślałem o tym.

— Naturalnie, że pan — odrzekł pan Tupman.

— Naturalnie — dodał pan Snodgrass.

— Ja?! — zawołał pan Pickwick.

— Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, panie — odezwał się chłopiec stajenny. — Zaręczam panu, że koń jest spokojny, dziecko mogłoby nim kierować.

— A czy nie jest lękliwy?

— Lękliwy? Nie drgnie, choćby widział przejeżdżający cały wóz małą z ognistymi ogonami.

Ostatnia pochwała była niezaprzeczalna. Pan Snodgrass i pan Tupman wleźli do pudła. Pan Pickwick usiadł na koźle, umieszczając nogi na stołku pokrytym ceratowym pokrowcem.

— Teraz, świetny Williamie — rzekł chłopak stajenny do swego pomocnika — podaj lejce gentlemanowi.

Świetny William, nazywany tak zapewne dlatego, że twarz i włosy świeciły mu się od tłuszczu, umieścił lejce w lewej ręce pana Pickwicka, a tymczasem jego przełożony wpakował bicz w prawą rękę filozofa.

— Hola! — krzyknął pan Pickwick, bo wielki czworonóg okazywał stanowczą skłonność do wjechania oknem do kawiarni.

— Hola! — zawołał panowie Tupman i Snodgrass z powozu.

— Bawi się trochę, ot i wszystko — rzekł chłopak dla ośmielenia. — Przytrzymaj no go, Williamie.

Pomocnik poskromił zapędy konia, a naczelný koniuszy pobiegł, by dopomóc panu Winkle'owi siąść w siodło.

— Nie z tej strony, panie.

— Niech mnie powiesz, jeżeli ten gentleman nie zamierza siąść twarzą do ogona — rzekł wykrzywiając się jakiś pocztylion do garsona hotelowego, który z nieopisaną rozkoszą przypatrywał się całej tej scenie.

Pan Winkle, otrzymawszy powyższą przestrożę, wgramolił się na siodło z taką niemal trudnością, jakiej by doznał wchodząc po raz pierwszy na okręt wojenny.

— Czy już wszystko dobrze? — zapytał pan Pickwick, dręczony wewnętrznym przecuciem, że wszystko źle.

— Wszystko dobrze — odrzekł słabym głosem pan Winkle.

— W drogę! — krzyknął posługacz stajenny. — Trzymaj go pan mocno!

I wśród głośnego śmiechu obecnych bryczka i wierzchowiec ruszyły z miejsca, z panem Pickwickiem na koźle tej pierwszej, a panem Winkle'em na grzbiecie drugiego.

— Dlaczego on tak bokiem idzie? — zapytał pan Snodgrass pana Winkle'a z głębi pudła.

— Albo ja wiem! — odpowiedział nieszczęśliwy jeździec, którego koń w samej rzeczy kroczył bokiem w sposób wielce ekscentryczny, z głową zwróconą w jedną stronę ulicy, a ogonem w drugą.

Pan Pickwick nie miał czasu zwracać uwagi na to, co się działo poza nim, gdyż sam musiał wyęźać wszystkie siły umysłowe, by zdać sobie sprawę z postępowania zwierzęcia zaprzęzonego do bryczki. Stworzenie to wyrabiało szczególne jakieś sztuki, mogące bardzo ubawić postronnego widza, ale wcale nie uspokajające tych, którzy znajdowali się w pewnej od niego zależności. Potrząsając nieustannie głową w sposób niesmaczny i niewłaściwy, koń szarpał zarazem tak gwałtownie, iż pan Pickwick zaledwie był w stanie utrzymać lejce. Na domiar nieszczęścia, tenże koń znalazł szczególne upodobanie w rzucaniu się ku jednej stronie ulicy, gdzie nagle stawał, po czym znów ruszał nagle z miejsca z szybkością, którą pokonać było fizycznym niepodobieństwem. Już po raz dwudziesty wykonywał ten manewr, gdy pan Snodgrass zapytał swego towarzysza:

— Co temu koniowi?

— Nie pojmuję — odparł pan Tupman. — Czy nie jest czasem płochliwy? Coś tak mi się widzi.

Pan Snodgrass chciał odpowiedzieć, gdy wtem przerwał mu krzyk pana Pickwicka.

— Aj! — zawołał mistrz. — Upuściłem bicz!

W tej chwili pan Winkle, w kapeluszu nasuniętym po same uszy, nadjechał na olbrzymim koniu, który wstrząsał nim z taką gwałtownością, iż zdawało się, że jeździec się rozsypie.

— Winkle! — krzyknął pan Snodgrass. — Tyś dobry chłopak, podnieś no bicz!

Pan Winkle, pochylając się w tył, ściągnął konia tak silnie, że aż sam poczerwieniał. Gdy udało mu się wreszcie zatrzymać olbrzymiego rumaka, zlął, podał bicz panu Pickwickowi i ujawszy cugle, zamierzał znowu wsiąść.

Nie umiemy tego powiedzieć (jak łatwo się domyślić), czy wielki koń z niewinnej tylko wesołości chciał poigrać nieco z panem Winkle'em, czy też wyobraził sobie, że większą będzie miał przyjemność, gdy odbędzie podróż bez jeźdźcy, ale czy takie, czy inne były jego motywy, faktem jest, że zaledwie pan Winkle dotknął cugli, zwierzę pochyliwszy głowę, cofnęło się o całą swą długość.

— Kosiu, dobry kosiu — odezwał się pan Winkle ujmującym głosem — dobry, stary kosiu!

Ale dobry kosio nie dał się uwieść tym pochlebstwem i im bardziej pan Winkle usiłował zbliżyć się do niego, tym uporczywiej koń się odsuwał, tak że w ciągu dziesięciu minut, pomimo pieśzcot i podstępów, pan Winkle i wielki koń, obracając się ciągle jeden dokoła drugiego, znajdowali się zawsze w jednej i tej samej odległości. Była to sytuacja wcale nieprzyjemna pod każdym względem, zwłaszcza na bezludnej drodze, gdzie niepodobna było znaleźć żadnej pomocy.

Gdy wirowanie to nie ustawało, pan Winkle krzyknął na swych towarzyszy:

— Co tu robić? Nie mogę dosiąść konia.

— Najlepiej doprowadzić go gdzie do jakiego płotu — odpowiedział pan Pickwick z kozła.

— Ale kiedy nie chce iść — zawołał pan Winkle — chodźcie no, proszę, przytrzymajcie go.

Pan Pickwick był prawdziwym uosobieniem uprzejmości i ugrzecznienia. Zsiadł więc z kozła, odprowadził konia wraz z bryczką pod płot, by nie zagrażać drogi, i zwrócił się ku swemu towarzyszowi gwoli dopomożenia mu w jego kłopotcie, pozostawiając panów Tupmana i Snodgrassa w bryczce.

Gdy tylko koń ujrzał pana Pickwicka podchodzącego z wielkim biczem, wnet zaniechał ruchu kolistego, w który się dotąd bawił, i rozpoczął ruch wsteczny tak stanowczy, iż

zmusił pana Winkle'a, nie chcącego wypuścić cugli, do biegnięcia za nim z nadzwyczajną szybkością w kierunku Rochester. Pan Pickwick pośpieszył z pomocą, ale im prędzej biegł pan Pickwick, tym szybciej koń się cofał. Kopyta jego dźwięczały po bitej drodze, kurzawa wznosiła się w górę. W końcu pan Winkle, któremu ręka zdrętwiała od trzymania, zmuszony był puścić lejce. Koń stanął, spojrzął ze zdziwieniem dookoła, odwrócił się i pokłusował spokojnie ku stajni, pozostawiając pana Winkle'a i pana Pickwicka spoglądających na siebie i mocno skonfundowanych. Wtem jakiś podejrzany niedaleki łoskot zwrócił uwagę obu panów. Odwrócili głowy.

— Tego tylko brakowało! — zawołał pan Pickwick rozpaczliwie — i drugi koń ucieka!

Tak było rzeczywiście. Bucafał zaprzężony do bryczki przeraził się hałasowi sprawianego przez towarzysza: lejce miał zarzucone na grzbiet, więc nietrudno wyobrazić sobie, co z tego wynikło. Rzucił się naprzód, szybko unosząc panów Tupmana i Snodgrassa. Niestety! Trwało to niedługo. Pan Tupman, przerażony, wyskoczył z bryczki, a pan Snodgrass instynktownie poszedł za jego przykładem. Koń rozbił powóz uderzywszy nim o poręcz mostu, aż pudło oddzieliło się od kół, potem stanął nieruchomy, przypatrując się ruinom, które sprawił.

Pierwszym staraniem dwóch nie uszkodzonych przyjaciół było wydobycie spomiędzy krzaków dwóch innych przyjaciół. Po dokonaniu tego spostrzeżono z zadowoleniem, trudnym do opisania, iż ci dwaj drudzy nie ponieśli żadnego poważniejszego szwanku i tylko w wielu miejscach porozdzierali sobie ubranie i własną skórę. Natenczas wszyscy razem zajęli się wyplątaniem konia ze szczątków powozu; a ukończywszy tę skomplikowaną operację, wzięli go pomiędzy siebie i poszli wolnym krokiem, pozostawiając resztki bryczki ich smutnemu losowi.

Po godzinie drogi podróżni nasi znaleźli się przed małą oberżą stojącą pomiędzy dwoma wiązami przy drodze. Z przodu widać było wielką stągiew i ogromny szyld, z tyłu kilka popsutych narzędzi rolniczych, z jednego boku ogród warzywny, z drugiego na pół rozwalone budynki gospodarcze porośnięte mchem. Wieśniak o rudych włosach pracował w ogrodzie. Pan Pickwick, ujrzawszy go, zawołał:

— Hej, ty!

Wieśniak podniósł się z wolna, przetaił oczy ręką i z najzimniejszą krwią począł przyglądać się panu Pickwickowi i jego towarzyszom.

— Hej, ty — powtórzył pan Pickwick.

— A co tam? — zapytał rudowłosy.

— Daleko stąd do Dingley Dell?

— Siedem dobrych mil.

— A droga dobra?

— Nie! — odparł krótko wieśniak.

Potem raz jeszcze bacznie obejrzawszy naszych podróżników, wziął się do roboty, nie zajmując się nimi więcej.

— Chcielibyśmy zostawić tu konia — zaczął pan Pickwick.

— Konia zostawić? — zapytał wieśniak, oparłszy się na łopacie.

— Tak — odrzekł pan Pickwick, podsunąwszy się wraz z rumakiem do samego płotu.

— Jejmość! — krzyknął rudowłosy, wychodząc z ogrodu i podejrzliwym okiem spoglądając na konia. — Jejmość!

Wysoka, koścista i wyprostowana jak tyka kobieta odezwała się na to wołanie.

— Dobra kobieto — zaczął znowu Pickwick podchodząc bliżej i nadając swemu głosowi ton ujmujący — czy nie moglibyśmy zostawić tu tego konia?

Wieśniak powiedział coś do ucha kobiecie. Ta spojrzała z góry na całą karawanę i pomyślawszy chwilę odrzekła:

— Nie! Nie mam jakoś do tego serca.

— Serca! — powtórzył pan Pickwick — co ona mówi tu o sercu?

— Już raz mieliśmy z tym kłopot — odrzekła kobieta, odchodząc do domu — i drugi raz mieć nie chcemy.

— To szczególne! — zawołał pan Pickwick, mocno zdziwiony — w żadnej mojej podróży nie zdarzyło mi się nic podobnego.

— Zdaje mi się... doprawdy, zdaje mi się — szepnął pan Winkle do swych przyjaciół — iż baba ta podejrzewa nas, że tego konia skradliśmy.

— Co?! — krzyknął pan Pickwick z oburzeniem.

Pan Winkle skromnie powtórzył swe zdanie.

— Hej, ty! Rudy! — zawołał pan Pickwick na wieśniaka — czy sądzisz, żeśmy tego konia skradli?

— Nie sędzę, ale jestem tego pewny — odpowiedział rudowłosy z uśmiechem, który mu rozszerzył usta od ucha do ucha. Powiedziawszy to, wszedł do domu i starannie zamknął drzwi za sobą.

— To jakby sen! — zawołał pan Pickwick — szkaradny sen! O nieba, wystawcie sobie człowieka idącego pieszo cały dzień i ściganego przez strasznego konia, którego nie może się pozbyć!

Zmartwieni pickwickczycy poszli dalej drogą ze zwieszonymi głowami; ogromny czworonóg, do którego czuli głęboką odrazę, kroczył z wolna w ślad za nimi.

Już było dobrze po południu, gdy czterej nasi przyjaciele, wciąż w towarzystwie nieznośnego zwierzęcia, doszli do drogi skracającej ku Manor Farm. Ale chociaż byli już prawie u kresu podróży, zadowolenie ich znacznie słabło na myśl, jak głupio będą wyglądali, gdy się pokażą. Podarta odzież, podrapane twarze, powalane buty, wycieńczone postacie, na domiar wszystkiego ten koń okropny! O! Jakże go przeklinał pan Pickwick! Od czasu do czasu rzucał na niego wzrokiem, w którym wyrażała się cała nienawiść i żądza strasliwej zemsty. Niejednokrotnie obliczał, ile mniej więcej wypadłoby zapłacić za przyjemność poderżnięcia mu gardła; chęć zamordowania go i porzucenia w pustym polu zajmowała gwałtownie jego umysł. Pomimo to szedł ciągle, aż wreszcie na jednym z zakrętów drogi okropne te myśli rozwiały się na widok dwóch osób. Był to pan Wardle i wierny jego sługa, pyzaty chłopak.

— Gdzieście to przepadli? — zapytał gościnny gentleman. — Czekam na panów dzień cały. Widzę, żeście zmęczeni. Co? Podrapani? Ale spodziewam się, żeście nie ranni? Nie? To mię cieszy. Wywróciliście się? Nie myślmy o tym więcej: to rzecz zwyczajna w tych stronach. Joe! Przekłety chłopak! Znowu śpi! Joe! Zaprowadź konia do stajni!

Joe ujął za uzdę fatalnego rumaka i powlókł się leniwym krokiem, a tymczasem stary gentleman pocieszał swych gości...

Przybywszy do Manor Farm, zaprowadził ich najpierw do kuchni, mówiąc:

— Tu wszystko naprawimy, a potem zaprowadzę was do salonu. Emmo! Przynieś no wiśniówki? Joanno! Igły i nici! Mario! Wody i ręczników! No, dziewczęta! Żywo!

Trzy czy cztery hoże dziewczyny pobiegły szybko po żądane przedmioty, podczas gdy sprzed kominka podniosło się kilku osobników rodzaju męskiego (choć był to wieczór majowy, przywiązanie ich do płonących dREW zdawało się nie mniej silne niż w okresie Bożego Narodzenia) o wielkich głowach i szerokich twarzach, którzy zniknęli w jakichś zakamarkach i zjawili się uzbrojeni we flaszkę czernidła i pół tuzina szczotek.

— Żywo! Żywo! — powtarzał stary gentleman. Ale to wezwanie było zbyt cenne, gdyż już jedna służąca nalewała wiśniówki, druga podawała ręczniki, a jeden ze sług, pochwywszy pana Pickwicka za nogę i narażając filozofa na utracenie równowagi, czyścił mu buty z taką gorliwością, że aż poczerwieniały odciski. Jednocześnie drugi służący ogromną szczotką czyścił Winkle'a, wydając rodzaj świstu, właściwego masztalerzom czyszczącym konie.

Co do pana Snodgrassa, ten, dokonawszy ablucyj, odwrócił się tyłem do pieca i z błogością pociągając z kieliszka, począł oglądać kuchnię.

Według jego opisu, była to obszerna izba wyłożona czerwoną cegłą. Piec miała ogromny, sufit zdobiły pęki cebul, szynki i słonina; na ścianach wisiały bicze, uzdy, siodła i stara, zardzewiała strzelba; pod nią mieścił się napis wielkimi literami: „Nabita”, który zarówno dziś, jak i przed pół wiekiem budził ten sam respekt. Stary zegar z kukułką poważnie tykał w kącie.

— Czyście już gotowi? — zapytał swych gości stary gentleman, gdy byli już umyści, wyczyszczeni i połatani jak należy.

— Zupełnie gotowi — odrzekł pan Pickwick.

— A więc chodźmy!

Trzej podróżni poszli licznymi korytarzami. Dopiero przed drzwiami salonu przyłączył się do nich pan Tupman, który pozostał z tyłu w zamiarze skradzenia Emmie całusa, ale otrzymał tylko kilka szturchańców. Stary gentleman wprowadził gości do salonu, mówiąc:

— Panowie! Witam was w Manor Farm.

Rozdział szósty

Jak za dawnych czasów przepędzano wieczór na wsi — Wiersz wikarego — Powrót skazańca

Liczni goście zgromadzeni w salonie powstali dla przywitania nowo przybyłych. Gdy odbywały się ceremonialne formalności przyjęcia, pan Pickwick miał czas obejrzeć zebranych i poczynić wnioski co do ich charakterów i zajęć. Był to rodzaj rozrywki, której chętnie się oddawał, jak i wielu innych wielkich ludzi.

Bardzo stara dama, w wysokim czepku i jedwabnej wypłowiałej sukni — ni mniej, ni więcej tylko matka pana Wardle'a — zajmowała honorowe miejsce po prawej stronie kominka. Liczne dowody, że w młodości otrzymała wychowanie takie, jakie powinna była otrzymać, i że później nie sprzeniewierzyła się tym zasadom, porozwieszane były na ścianach w postaci robótek wykonanych w zamierzchłych czasach, haftowanych landszaftów z teje epoki i czerwonego jedwabnego sznura do kociołka z nieco nowszego okresu. Ciotka—panna, dwie młode panienki i pan Wardle, ugrupowani dokoła starej damy, współzawodniczyli w okazywaniu jej nieustających względów. Jedna trzymała jej akustyczną trąbkę, druga pomarańczę, trzecia flakonik z pachnidłami, sam zaś pan Wardle starannie poprawiał poduszki, na których była wsparta.

Z drugiej strony kominka siedział stary gentleman, obdarzony uprzejmą postawą i łysą głową. Był to wikary z Dingley Dell; koło niego mieściła się jego żona, zacna stara kobieta, której czerstwa twarz i ożywione rysy zdawały się świadczyć, że jeżeli była wysoce biegła w wyrabianiu rozmaitych kordiałów, jak przystoi na dobrą gospodynię, to znała się również i na właściwym ich użyciu. Mały człowieczek, właściciel głowy podobnej do jabłka, rozmawiał w kącie ze starym tłustym gentlemanem, a dwaj czy trzej inni starcy i tyleż starych pań siedziało sztywno i nieruchomo na krzesłach, litośnie spoglądając na pana Pickwicka i jego towarzyszy podróży.

— Matko! — rzekł pan Wardle, mocno natężając głos — pan Pickwick.

— Och! — zawołała stara dama, potrząsając głową — nie słyszę.

— Pan Pickwick, babciu! — głośno krzyknęły razem dwie młode panny.

— A! — odrzekła stara dama — to wszystko jedno. I tak niewiele dba o taką starą kobietę jak ja, jestem tego pewna.

— Zapewniam panią — powiedział pan Pickwick, ujmując rękę starej damy i mówiąc tak głośno, że aż łagodna twarz jego nabrała szkarłatnej barwy — zapewniam panią, iż nic mnie tak nie zachwyca jak oglądanie, na czele tak pięknej rodziny, osoby w jej wieku, która przy tym wygląda tak młodo i zdrowo.

— Ach! — zaczęła znowu stara dama po krótkim milczeniu — wszystko to bardzo pięknie, jestem tego pewna, ale nic nie słyszę.

— Babcia jest teraz źle usposobiona — rzekła łagodnie miss Izabela Wardle — ale po jakimś czasie będzie rozmawiać z panem.

Pan Pickwick okazał znakiem swą gotowość uwzględnienia ułomności wieku; potem odwrócił się i przyjął udział we wspólnej rozmowie.

— Śliczne mieszkanie! Cudna okolica! — zawołał.

— Prześliczna! — powtórzyli panowie Snodgrass, Tupman i Winkle.

— O! Pochlebiam sobie! — odrzekł pan Wardle.

— Panie — rzekł właściciel głowy podobnej do jabłka — nie ma lepszego gruntu w całym hrabstwie Kent. Doprawdy, panie, że nie ma. Jestem tego pewny, że nie ma!

I spojrzął dokoła z miną triumfującą, jak gdyby ktoś zaprzeczał mu gwałtownie i jak gdyby on zmusił go do milczenia.

— Nie ma lepszego gruntu w całym hrabstwie Kent — po krótkiej pauzie powtórzył właściciel głowy podobnej do jabłka.

— Wyjawszy Mullins — wygłosił uroczyście tłusty gentleman.

— Mullins! — wykrzyknął pierwszy z głęboką pogardą.

— To bardzo piękna ziemia — dodał inny tłusty gentleman.

— O! Piękna! — dorzucił trzeci tłusty gentleman.

— Wszyscy o tym wiedzą — nadmienił zamaszysty gospodarz. Właściciel głowy podobnej do jabłka spojrzął z powątpiewaniem dokoła, ale znalazłszy się stanowczo w mniejszości, przybrał minę zapoznanej wyższości i nie powiedział nic więcej.

— O czym mówią? — zapytała stara dama jedną ze swych wnuczek głosem mocno podniesionym, gdyż według zwyczaju głuchych nie mogła wyobrazić sobie, by ją mógł kto usłyszeć inaczej.

— O gruntach, babciu.

— Co mówią o gruntach? Czy co się stało?

— Nie, nie. Pan Miller mówi, że nasze grunta są gorsze aniżeli w Mullins.

— Któż to utrzymuje? — zapytała dama z oburzeniem. — Miller jest samochwał, impertynent, powiedzcie mu to ode mnie.

Wypowiedziawszy to zdanie stara dama podniosła się i spojrzała surowo na delikwenta, nie wątpiąc ani na chwilę, iż mówiła tak, że wszyscy mogli ją słyszeć.

— No! No! — zawołał pan Wardle usiłując, naturalnie, zmienić temat rozmowy. — Co powie pan o wście, panie Pickwick?

— Lubię tę grę nade wszystko, ale proszę, byś jej pan nie aranżował dla mnie jedynie.

— O! Zapewniam pana, że moja matka bardzo lubi wista. Prawda, matko?

Stara dama, która co do tego punktu była nierównie mniej głucha, odpowiedziała twierdząco.

— Joe! Joe! — zawołał stary gentleman. — Joe! Przeklęty chłopak!... A! Jesteś! Przygotuj stoły do gry.

Flegmatyczny młodzieniec postawił dwa stoły; jeden do wista, drugi do „pół do dwunastej”. Do wista zasiedli: pan Pickwick, stara dama, pan Miller i tłusty gentleman. Reszta towarzystwa zajęła się drugą grą.

Wist prowadzony był z całą ścisłością i powagą, jakich wymaga ten uroczysty akt, który, według naszego zdania, niewłaściwie i krzywdząco nazwano grą. Ale przy okrągłym stole weselono się tak hałaśliwie, iż to przeszkadzało widocznie kombinacjom pana Millera. Nieszczęśliwy ten człowiek, nie mogąc zająć się grą, jak by należało, popełniał błędy nie do przebaczenia, wzbudzając w wysokim stopniu gniew tłustego gentlemana i w tej samej mierze dobry humor starej damy.

— Aha! — zawołał pan Miller zwycięskim tonem, biorąc siódmą lewę. — Myślę, że nie można by lepiej zagrać; niepodobna było wziąć ani jednej lewy więcej.

Stara dama niedługo go pozostawiła w tym szczęśliwym przekonaniu.

— Miller powinien był bić dzwonkę — powiedziała — prawda, panie?

Pan Pickwick skłonił się twierdząco.

Nieszczęśliwy gracz odwołał się do swego partnera, mówiąc z powątpiewaniem:

— Czy tak, panie?

- Naturalnie — odpowiedział sucho tłusty gentleman.
- Bardzo tego żałuję — odrzekł Miller, zbity z tropu.
- W samą porę — mruknął jego partner.
- Dwa honory to czyni razem osiem — rzekł z powagą pan Pickwick.

Znowu rozdano karty.

- Czy może pan zrobić jeszcze jedną lewą? — zapytała stara dama.

— Mogę — odrzekł pan Pickwick. — Dubla, sympl i rober. — Nigdy nie widziałem takiego szczęścia! — zauważył pan Miller.

- Ani ja takich nędznych kart — dodał tłusty gentleman.

Nastąpiło uroczyście milczenie. Pan Pickwick był ożywiony, stara dama bardzo uważna, tłusty gentleman złośliwy, a pan Miller w ciągłej trwodze.

- Jeszcze jedna dubla, panie — rzekł pan Pickwick.

- Wiem o tym — odrzekł cierpko tłusty gentleman.

W ciągu drugiej partii, której rezultat był taki sam, pan Miller miał nieszczęście zrobić renons. Tłusty gentleman nie mógł dłużej powstrzymać swego gniewu. Stara dama, przeciwnie, słyszała coraz lepiej, gdy tymczasem pan Miller, zdawało się, był tak mało w swoim żywiole, jak delfin w klatce.

Gdy wista skończono, tłusty gentleman usunął się w kąt i tam przesiedział w najzupełniej szym milczeniu dwadzieścia siedem minut, po czym, wyszedłszy ze swego ustronia, podał panu Pickwickowi szczyptę tabaki ze wspaniałomyślnością człowieka, któremu miłość bliźniego nakazuje przebaczać doznane urazy.

Podczas tych wypadków gra przy okrągłym stole szła dalej wesołym trybem. Tymczasem utworzyły się nierozłączne pary: Izabela Wardle — pan Trudle, Emilia Wardle — pan Snodgrass; pan Tupman z ciotką–panną utworzyli także spółkę co do punktów i wzajemnych grzeczności. Stary Wardle był u szczytu dobrego humoru. Prowadził bank tak przebiegle, damy okazywały taką chęć wygrania, że grzmoty śmiechu rozlegały się prawie nieustannie. Była tam stara dama, ciągle płacąca najmniej za sześć kart. Wszyscy śmiali się z tego regularnie za każdym razem, a gdy stara dama, płacąc, krzywiła się, śmiano się jeszcze głośniej. Wtedy twarz jej rozpromieniała się stopniowo i kończyło się na tym, że sama śmiała się w ogólnym chórze. Gdy ciotka–panna dostawała króla do damy, inne panny parskwały śmiechem, a ciotka–panna wpadała w bardzo zły humor, zaraz jednak czuła rękę pana Tupmana ściskającą jej rękę pod stołem, i twarz jej wypogadzała się natychmiast; potem przybierała minę, jakby chciała powiedzieć, że mariaż nie był bynajmniej tak daleki, jak sądzono.

Wtedy wszyscy znów śmiać się poczynali, zwłaszcza pan Wardle, którego każdy żart rozweselał przynajmniej w tym stopniu, co najmłodszych.

Pan Snodgrass tymczasem ciągle szeptał do ucha swojej partnerce coś wielce poetycznego, co skłoniło pewnego starszego gentlemana do robienia żartobliwych, acz nie pozbawionych złośliwości uwag o dobieraniu sobie partnerów w kartach i w życiu, czemu towarzyszyły trącania łokciem i uśmiechy. Wesołość wzrastała jeszcze wskutek tego; szczególnie zaś cieszyła się żona wzmiankowanego gentlemana.

Pan Winkle od czasu do czasu rzucał żarty, dobrze znane w Londynie, które jednak były nowością na prowincji, a ponieważ wszyscy śmiali się z nich serdecznie i uważali je za doskonałe, pan Winkle jaśniał humorem i sławą.

Zacny duchowny spoglądał na te sceny z zadowoleniem, gdyż dobrego starca cieszył widok tylu szczęśliwych twarzy dokoła. Wesołość bowiem, choć hałaśliwa, szła z serca, nie z ust tylko, a na tym właśnie polega prawdziwa, szczerza wesołość.

Wśród takich rozrywek wieczór upłynął szybko. Po prostej, lecz posilnej wieczerzy zebrano się wokół kominka, pan Pickwick oświadczył, że nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy, nigdy nie był tak usposobiony do używania terażniejszości, niestety tak szybko przemijającej.

— To właśnie — powiedział gościnny gospodarz, który umieściwszy się wygodnie w pobliżu fotela matki, ujął jej rękę — to właśnie lubię. Najszczęśliwsze lata mego życia upływały przy tym starym kominku... Tak jestem do niego przywiązany, że każę rozpałać co wieczór ogień, chyba że upał czyni to niemożliwym. Stara matuchna, tu obecna, siadywała na tym małym taborecie, gdy jeszcze była dzieckiem. Prawda, matko?

Łzy, które napływają do oczu na niespodziewane wspomnienie dawnych czasów i minionego szczęścia, spływały po policzkach starej damy, gdy z melancholijnym uśmiechem pochyliła głowę.

— Musi pan wybaczyć, panie Pickwick, że ciągle mówię o tej starej dziurze — podjął po krótkiej pauzie gospodarz. — Ale kocham ją nade wszystko i nie znam innej; stare domy i pola są dla mnie jak żywi przyjaciele, i kościółek obrosły bluszczem również... Nasz doskonały przyjaciel napisał o nim wiersz, gdy przyjechał do nas po raz pierwszy. Panie Snodgrass, czy ma pan co w szklance?

— Pełno, dziękuję — powiedział ów gentleman, którego poetycka ciekawość została silnie podrażniona ostatnim zdaniem opowiadającego. — Przepraszam pana, ale pan wspominał o pieśni o bluszczu.

— Musi pan zapytać o to naszego przyjaciela siedzącego tam naprzeciw — powiedział gospodarz, pochyleniem głowy znacząco wskazując wikarego.

— Czy wolno mi powiedzieć, że pragnąłbym usłyszeć tę pieśń? — zapytał pan Snodgrass.

— Co, naprawdę? — zapytał wikary. — To taka drobnostka! Mogę tylko powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że byłem wtedy bardzo młody. Ale jeżeli pan chce, może ją pan usłyszeć!

Odpowiedzią był oczywiście szmer zaciekawienia i stary gentleman zaczął, ponaglony przez żonę, recytować następujące wiersze:

BLUSZCZ*

*Dziwne to ziele ów bluszcz zielony,
Co stare oplata mury!
Starannie strawę dobiera sobie
W swej celi zimnej, ponurej!
Wszystko w proch zmienić, zetlić się musi,
By mu do smaku przypadło,
A pleśń wiekowa, pleśń dawnych czasów —
Najmilsze jego jadło.
Tam, gdzie już życie zgasło w popiele,
Bluszcz pnie się. — Dziwne, dziwne to ziele!
Rzekłbyś, że leci, choć skrzydeł nie ma,
Lecz serce jakież ma czule!*

* Ten i pozostałe wiersze przełożył Wilam Horzycyca

*Jak tuli, pieści swojego druha,
Starego dęba gadułę!
Wesoło błyszczą mu liście szklane,
Chociaż pełzanie go trudzi
–Lecz nic to – kiedyż otuli wszystkie
Mogiły pomarłych ludzi.
Tam, gdzie Śmierć przeszła na swych wojsk czele,
Bluszcz pnie się. – Dziwne, dziwne to ziele!
Mijają wieki, narody giną
I w grób się kładą miliony,
Ale bluszcz stary nie więdnie nigdy,
Liść jego zawsze zielony.
Tuczy się stary bluszcz jadłem ruin,
Przeszłością tuczy się krwawą:
Gdyż najdumniejszy twór ludzki w końcu
Dla bluszczu tylko jest strawą.
I tam gdzie Czas w swym królował kościele,
Bluszcz pnie się. – Dziwne to ziele!*

Kiedy stary gentleman powtórzył wiersz po raz drugi, aby ułatwić panu Snodgrassowi notowanie, pan Pickwick nadał rysom swojego oblicza wyraz największego zainteresowania. Gdy stary gentleman skończył dyktować, a pan Snodgrass schował notatnik do kieszeni, pan Pickwick oznajmił:

– Wybacz pan, że pozwolę sobie na zrobienie uwagi pomimo krótkiej znajomości. Gentleman, jak pan, nie mógł, sądzę, pełniąc przez długie lata służbę bożą, nie zaobserwować wielu scen i wydarzeń godnych zapamiętania.

– Niejedno, oczywiście, widziałem – odrzekł stary gentleman. – Ale ludzie i wypadki były, powiedziałbym, natury codziennej i domowej, gdyż sfera mego działania jest bardzo ograniczona.

– Sądzę, iż zanotował pan wypadek Johna Edmunda, prawda? – zapytał pan Wardle, którego pożerała chęć wyciągnięcia na słowa przyjaciela ku zbudowaniu nowych gości.

Stary gentleman wolno pochylił głowę na znak potwierdzenia i już chciał zmienić temat, gdy głos zabrał pan Pickwick:

– Proszę mi wybaczyć, ale czy wolno mi zapytać, kto to był John Edmunds?

– Właśnie to miałem na końcu języka – dodał gorąco pan Snodgrass.

– Nie wywinie się pan – powiedział jowialnie gospodarz. – Wcześniej czy później będzie pan musiał zaspokoić ciekawość tych gentlemanów. Radzę skorzystać z miłej sposobności i opowiedzieć to zaraz.

Stary gentleman uśmiechnął się pogodnie i wysunął nieco swój fotel; całe towarzystwo zbliżyło krzesła, zwłaszcza pan Tupman i ciotka–panna (możliwe, że słuchanie sprawiało im pewną trudność); gdy podano trąbkę starej damie, a pana Millera (który zasnął podczas recytowania wierszy) zbudzono ze snu wymownym kuksańcem, który wymierzył mu eks–partner, tłusty gentleman, stary pan bez dalszych wstępów zaczął poniższe opowiadanie, któremu pozwoliliśmy sobie nadać tytuł:

POWRÓT SKAZAŃCA

— Kiedym po raz pierwszy przybył do tego miasteczka — powiedział stary gentleman — to jest równo przed 25 laty, najgorzej notowanym między moimi parafianami był człowiek nazwiskiem Edmunds, który dzierżawił małą fermę niedaleko stąd. Był to ponury, zatwardziały leniuch i rozpustnik, okrutny i zawzięty z natury. Z wyjątkiem kilku leniwych i niespokojnych włóczęgów, z którymi łąził po polach lub zalewał pałę w piwiarni, nie miał przyjaciół ani znajomych. Nikt nie chciał mówić z tym drabem, wielu się go bało, a wszyscy nienawidzili go. Kto żyw — unikał Edmundsa.

Człowiek ten miał żonę i jednego syna, który, gdym tu przybył, liczył około 12 lat. Trudno wyobrazić sobie ogrom cierpień tej kobiety oraz pogody i pokory, z jaką je znosiła, wreszcie troskliwości, z jaką wychowywała chłopca. Niech Bóg wybaczy mi moją podejrzliwość, jeżeli nie ma ona litości, ale mocno wierzę, że człowiek ów przez wiele lat systematycznie usiłował złamać serce swej żony. Ale ona znosiła wszystko ze względu na malca i jakkolwiek wielu wyda się to dziwne, ze względu na ojca. Chociaż bowiem był to brutal i okrutnie się z nią obchodził, kochała go niegdyś, a wspomnienie, czym był wtedy dla niej, budziło w jej zbolałym sercu cierpliwość i powolność, uczucia obce wszystkim stworzeniom ludzkim z wyjątkiem niewiast.

Byli ubodzy. Nie mogło być inaczej, skoro człowiek ów wybrał taki sposób postępowania. Ale ciągła i nieustanna praca tej kobiety, od rana do nocy, w świątek i w piątek, broniła ich od ostatecznej nędzy. Za trudy te otrzymywała nędzne wynagrodzenie... Ludzie, którzy mijali ich dom wieczorem, a czasami późną nocą, opowiadali, że słyszeli jęki i szlochy nieszczęśliwej kobiety oraz odgłosy razów. Nieraz dobrze już po północy chłopczyna pukał do drzwi sąsiada, wysłany przez matkę, która chciała go ochronić przed pijaną furją nieprzytomnego ojca.

Przez cały ten czas nieszczęśliwa ta kobieta chodziła stale do naszego kościółka, chociaż często nie mogła ukryć śladów znęcań i razów męża. Regularnie każdej niedzieli, z rana i po południu, zajmowała tę samą ławkę. Chłopiec siadał przy niej i chociaż oboje odziani ubogo, o wiele gorzej niż sąsiedzi, od których byli w gorszej sytuacji, zawsze wyglądali czysto i schludnie. Każdy miał przyjacielski ukłon i uprzejme słówko dla „biednej pani Edmunds” i często, gdy po nabożeństwie zatrzymywała się, by zamienić z kimś kilka słów w alei brzostowej, prowadzącej do drzwi kościoła, albo z dumą i miłością matczyną patrzyła na swego chłopaka, bawiącego się opodal z towarzyszami, jej stroskane oblicze jaśniało wyrazem głębokiej wdzięczności. Miała wówczas uśmiech, jeżeli nie wesoły, to w każdym razie zawsze spokojny i pogodny.

Upłynęło pięć czy sześć lat. Chłopak wyrósł na silnego i dorodnego młodzieńca. Czas, który wzmocnił delikatne członki chłopca i nadał męski wygląd jego kształtom, zgiął postać matki i osłabił jej kroki. Ale ramię, w którym powinna była znaleźć oparcie, nie podtrzymywało jej. Oblicze, które powinno było ją rozweselać, nie zwracało się do niej. Zajmowała tę samą ławkę. Ale miejsce obok niej było puste. Biblia była przechowywana starannie jak zawsze, odpowiednie miejsca zakreślone, kartki zagięte, ale nie miał kto czytać matce Pisma, więc lży, ciężkie i obfite, padały na księgę i zalewały słowa przed oczyma biedaczki. Sąsiedzi byli uprzejmi, jak dawniej. Skończyły się jednak pogawędki w alei brzostowej... i radosne oczekiwanie szczęścia, które przyjść miało. Nieszczęśliwa kobieta nasuwała głębiej czepek na oczy i szybko odchodziła.

Czy mam wam powiedzieć, że młodzieniec, spoglądając wstecz na lata swego dzieciństwa (do czego zmuszały go pamięć i sumienie), wracając wspomnieniami do tych chwil, nie mógł sobie przypomnieć nic, co nie byłoby w ten czy inny sposób związane z długą serią ofiar dobrowolnych, jakie matka przyjmowała na siebie przez wzgląd na niego, z krzywdą i cierpieniem swoim... wszystko dla niego?! Czy mam państwu powiedzieć, że lekkomyślnie lekceważąc jej zbolełe serce, umyślnie nie pamiętając o niczym, co uczyniła dla niego, wdał się ze zdeprawowanymi i zepsutymi ludźmi i po wariacku, bez opamiętania, zanurzył się w życie, które miało przynieść wyrok śmierci jemu, a hańbę jej. Niestety! Taka jest natura ludzka! Domyśliliście się tego, zanim wam powiedziałem.

Miara udręczeń i cierpień nieszczęśliwej kobiety miała się przepelnąć. W okolicy popełniono kilka zbrodni. Sprawców nie wykryto, więc czelność ich wzrosła. Napad niezwykle śmiały i zuchwały wzmógł czujność. Złoczyńcy nie przewidzieli tego. Młody Edmunds został ujęty wraz z trzema towarzyszami. Schwytano go, aresztowano, stawiono przed trybunał, osądzono na śmierć.

Dziki i przejmujący krzyk kobiety, który rozległ się w sali sądowej, gdy uroczyście przeczytano wyrok, dotychczas dźwięczy mi w uszach! Krzyk ten przejął strachem serce zbrodniarza. Nie dokonał tego sąd ani wyrok, ani pewność śmierci. Wargi, zaciśnięte aż do tej chwili z upartym gniewem, zadrżały i rozchyliły się teraz wbrew jego woli. Twarz nabrała ziemistej barwy. Nogi ugięły się pod zbrodniarzem, aż zwałił się na ławę oskarżonych.

W pierwszym przystępie rozpaczy zboleła matka upadła u moich nóg, gorąco błagając Wszehmocnego, który dotychczas ratował ją w każdym nieszczęściu, aby zabrał ją z tego świata udręki i bólu w zamian za życie jej syna. Potem nastąpił wybuch rozpaczy takiej, jakiej nigdy nie widziałem. Czułem, że od tej chwili serce w niej zamarło, ale nigdy nie usłyszałem z jej ust skargi...

Codziennie zjawiała się na dziedzińcu więziennym, gorąco i serdecznie usiłując zmiękczyć syna. Widok ten był zaiste żaloszny, bo wszystko okazało się daremne! Był wciąż ponury, uparty, niewzruszony... Nawet niespodziewana wiadomość, że wyrok śmierci zamieniono na 14 lat zesłania, ani na chwilę nie zmieniła jego ponurej zatwardziałości.

Ale duch rezygnacji i wytrwania, który tak długo podtrzymywał ją, nie mógł oprzeć się niemocy i chorobom ciała. Zaniemogła. Zwłokła się z łóżka, żeby raz jeszcze odwiedzić syna, ale siły ją zawiodły i upadła na podłogę.

Wtedy uparty chłód i obojętność młodzieńca wystawione zostały na ciężką próbę. Cios, który weń uderzył, doprowadził go niemal do szaleństwa. Dzień minął... matka nie przyszła. Minął dzień drugi... a ona się nie zjawiała... Zapadł trzeci wieczór, a on jej nie widział... A za 24 godziny miał się z nią rozstać — może na zawsze! Dawno wygasłe wspomnienia wirowały mu w mózgu, gdy biegał tam i z powrotem po ciasnym dziedzińcu, jak gdyby to bieganie mogło przyspieszyć pracę myśli! Ileż goryczy było w uczuciu beznadziejności i rozpaczy, gdy serce pojęło prawdę! Matka, jedyna krewna, leży chora — w odległości mili od tego miejsca! Gdyby był wolny, w jednej chwili znalazłby się przy niej! Biegł do furty i schwywszy za żelazne sztaby z taką siłą, jaką daje rozpacz, potrzasał nimi, tłukł głową o mur, jak gdyby w ten sposób mógł utorować sobie drogę! Ale twardy kamień urągał jego słabym siłom, więc gryzł ręce i płakał jak dziecko.

Przyniosłem mu do więzienia przebaczenie i błogosławieństwo matki. Do jej łóżka zaś zaniósłem jego uroczyste zapewnienie poprawy i gorące modły o przebaczenie.

Słuchałem z litością i współczuciem, kiedy skruszony zbrodniarz robił tysiące planów, jaką otoczy ją troskliwością, gdy powróci, ale wiedziałem, że na parę miesięcy przedtem, zanim dojedzie do miejsca swego przeznaczenia, matka jego odejdzie z tego świata.

Zabrano go tejże nocy. W parę tygodni później dusza nieszczęśliwej kobiety uleciała — ufam i wierzę głęboko — do miejsca wiecznej szczęśliwości. Pochowałem szczątki jej doczesnej powłoki. Na mogile jej nie leży kamień: smutki jej były znane ludziom, zasługi — Bogu.

Umówiłem się ze skazańcem, zanim go zabrali, że napisze do matki, jak tylko otrzyma pozwolenie, i że list adresowany będzie do mnie. Ojciec stanowczo odmówił widzenia się z synem. Było mu obojętne, czy syn żyje, czy nie. Kiedy minęła prawie połowa czasu, na jaki został zesłany, a ja nie odebrałem żadnej wieści o nim, doszedłem do przekonania, że umarł. Nie ukrywam: miałem nadzieję, że się tak rzeczywiście stało.

Edmunds został jednak wysłany daleko w głąb kraju, do którego go deportowano. Temu, być może, przypisać należy fakt, że chociaż kilka listów wysłał, ani jeden nie doszedł do moich rąk. Pozostał na tym miejscu przez całe 14 lat. Kiedy się skończył czas kary, wierny swemu postanowieniu i przysiędze danej matce, udał się w powrotną drogę do Anglii i po wielu trudach piechotą wrócił do rodzinnej wioski.

Pewnego pięknego sierpniowego wieczora, była to niedziela, John Edmunds zjawił się we wsi, którą przed siedemnastu blisko laty opuścił z hańbą i wstydem. Najbliższa droga prowadziła przez cmentarz. Serce mu biło, gdy wszedł na schody. Wysokie stare brzości zbudziły wspomnienie dawnych lat. Słońce przeświecało gdzieniegdzie przez gałęzie... Wyobraził sobie teraz, jak trzymając rękę matki, jako mały chłopak, szedł do kościoła. Wspomnił, jak patrzył na jej bladą twarz i jak oczy jej napępniały się łzami, gdy spoglądała mu w oczy... jej gorące łzy, które nieraz spadały mu na czoło... i jak płakał on sam, nie rozumiejąc jednak, jak gorące były jej łzy! Przypomniał sobie, ile razy wesoło biegał po tych ścieżkach z kolegami, odwracając się raz po raz, by pochwycić uśmiech matki i posłyszeć jej miły głos! A potem... jak gdyby nagle z pamięci jego spadła zasłona: zrozumiał nie docenione słowa dobroci, zlekceważone przestrogi, nie dotrzymane obietnice, aż serce nie wytrzymało i załamał się...

Wszedł do kościółka. Nabożeństwo popołudniowe już się skończyło, pobożni wyszli, ale kościół był jeszcze otwarty. Kroki jego dźwięczały głucho pod niskim sklepieniem. Cisza i spokój świątyni przerażały go prawie. Nic się nie zmieniło... Kościółek tylko wydał mu się mniejszy niż dawniej. Ale stare nagrobki, na które nieraz jako dziecko patrzył z zachwytem, były na dawnym miejscu... mały pulpit z wygniecioną poduszką... Stół Ofiarny, przed którym tyle razy powtarzał przykazania: szanował je jako chłopiec, zlekcewał jako mężczyzna... Zbliżył się do starej ławki. Wydała mu się zimna i opuszczona. Usunięto poduszki, zabrano Biblię... może matka zajmowała inną, uboższą ławkę, a może jest tak schorowana, że nie może chodzić na nabożeństwa. Nie miał odwagi myśleć o tym, czego się obawiał. Poczul nagły chłód, zadrżał, wyszedł.

W chwili gdy zbliżył się do drzwi, zobaczył jakiegoś staruszka. Znał go dobrze. Ileż razy przypatrywał mu się, gdy kopał groby na cmentarzu! Jak ten przywita zbrodniarza?

Stary podniósł oczy, spojrzał na twarz przybysza i z cichym „dobry wieczór” przeszedł... Nie poznał go!

Poszedł w dół pagórka, potem przez wieś. Wieczór był ciepły, mieszkańcy siedzieli przed drzwiami domów lub w ogródkach, rozkoszując się piękną pogodą i odpoczynkiem po ciężkim trudzie dnia. Niejedno spojrzenie biegło ku niemu, a on patrzył na nich, czy czasem nie odwrócić się, gdy go poznają. Prawie przed każdym domem widział obce

twarze. Tu i ówdzie poznawał dawnych kolegów... Znał ich, gdy byli małymi chłopcami, a teraz każdy z nich siedzi w otoczeniu gromadki malców... Tam znowu zobaczył na fotelu staruszka: pamiętał go, jak był młodym i silnym robotnikiem. Ale wszyscy zapomnieli o nim i tak przeszedł niepostrzeżenie.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca padły na ziemię, nadając czerwony odcień żółtym łanom zboża i wydłużając cienie drzew. Stał przed swoim starym domem, domem lat dziecińczych, do którego serce rwało mu się z nieopisaną tęsknotą przez długie lata smutków i udręki. Ogródzenie było niskie (pamiętał jednak, że kiedyś wydawało mu się ogromnie wysokie), spojrzął w ogródek. Nie było w nim, jak dawniej, klombów wesołych kwiatów, ale stare drzewa pozostały te same... i to, pod którym kładł się setki razy, żeby odpocząć po gonitwie w słońcu, pod którym zasypiał szczęśliwym snem dziecka! Z domu dochodziły jakieś głosy. Słuchał, ale dźwięk ich wydał mu się obcy... Były wesołe, a on wiedział, że matka jego nie może być wesoła, zwłaszcza odkąd go zabrano. Drzwi się otworzyły i gromadka dzieci, krzycząc i śmiejąc się wybiegła z izby. Ojciec z małym dzieciątkiem na ręku zjawił się na progu, więc obstały go, klaszcząc w ręczęta i prosząc, żeby szedł się z nimi bawić. Skazaniec przypomniał sobie, że na tym samym miejscu on jako dziecko chował się przed ojcem... Przypomniał sobie, jak często ukrywał drżącą głowinę pod kołdrą, żeby nie słyszeć głośnych słów, donośnych razów i płaczu matki. I chociaż jęknął głośno opuszczając to miejsce, pięści miał zaciśnięte i zęby zwarte w dumnej pasji.

Taki był jego powrót, o którym marzył przez tyle lat, dla którego tyle przecierpiał! Nikt go nie wita, nikt nie ma dlań słowa przebaczenia, nikt mu nie pomoże — i to tutaj, w jego rodzinnej wiosce! Czym wobec tego była samotność w dziewiczych lasach, gdzie nie spotkałeś żywej duszy?...

Czuł, że na wygnaniu myślał o swojej wiosce takiej, jaką porzucił, nie jaką zastanie. Smutna rzeczywistość przeniknęła mu serce, upadł na duchu. Nie miał odwagi o nic pytać ani stawić się przed jedynym człowiekiem, który przyjąłby go z miłością i wyrozumieniem. Odszedł wolnym krokiem, unikając gościńca jak zbrodniarz. Skręcił na dobrze znaną łąkę. Ukrywając twarz w dłoniach, rzucił się na trawę.

Nie zauważył, że obok leży jakiś starzec. Łachmany zaszeleściły, gdy się odwrócił, aby spojrzeć na przybysza. Edmunds podniósł głowę.

Człowiek ów przybrał pozycję siedzącą. Postać miał zgarbioną, twarz w zmarszczkach. Suknie wskazywały, że był pensjonarzem przytułku. Wyglądał na bardzo starego, ale miało się wrażenie, że choroby i nałogi wyniszczyły go więcej niż lata. Patrzył surowo na przybysza i chociaż na pierwszy rzut oka wzrok jego zdawał się jasny, wyczytać w nim mogłeś jakiś nienaturalny lęk. Edmunds wolno podniósł się na kolana, badawczo przyglądając się starcowi. Patrzyli na siebie w milczeniu.

Stary był upiornie błydy. Drgnął i zerwał się na nogi. Edmunds uczynił to samo. Stary cofnął się parę kroków. Edmunds postąpił ku niemu.

— Niech usłyszę twój głos — powiedział skazaniec grubym, łamiącym się głosem.

— Nie podchodź — zawołał stary. Wściekły z gniewu, podniósł laskę i uderzył Edmundsa w twarz.

— Ojciec! Diabeł! — zawołał skazaniec przez zaciśnięte zęby. Jak oszalały rzucił się naprzód i schwycił starego za gardło. Ale był to ojciec, więc ręka opadła...

Stary wydał przeciągły krzyk, który dźwięczał na pustym polu jak wycie złego ducha. Twarz mu szerniała. Krew rzuciła się nosem i ustami... upadł na twarz barwiąc trawę... Pękło mu jakieś naczynie krwionośne; umarł, zanim syn zdążył go podnieść...

W tym kącie cmentarza — ciągnął dalej stary gentleman po krótkiej pauzie — w tym kącie cmentarza, o którym mówiłem, leży pochowany człowiek, który po tym zdarzeniu służył u mnie przez trzy lata. Okazywał szczery żal i skruchę. Był pokorny, jak tylko człowiek pokorny być może. Nikt prócz mnie nie wiedział, skąd przyszedł ani jak się nazywa. Był to nawrócony zbrodniarz, John Edmunds.

Rozdział siódmy

Jak pan Winkle zamiast mierzyć do gołębia i trafić wronę, mierzył do wrony, a zranił gołębia — Jak klub graczy w krykieta z Dingley Dell walczył z klubem z Muggleton i jak Muggleton jadł obiad na koszt Dingley Dell, tudzież rozmaite inne materie pouczające, a zarazem ciekawe

Nużące przygody dnia poprzedniego tak oddziały na nerwy pana Pickwicka, iż znalazłszy się w łóżku, w pięć minut zasnął głębokim snem. Obudziły go dopiero nazajutrz świetne promienie wschodzącego słońca, które wdarłszy się do sypialni zdawały się czynić mu wyrzuty.

Pan Pickwick nie był leniwy: jak dzielny wojownik wyskoczył ze swego namiotu—łóżka.

— Cudny krajobraz — zawołał w uniesieniu, otwierając okno. — O! kto raz widział taki krajobraz, czyż może przystać na to, by żyć, nie widząc nic codziennie oprócz cegieł i bruku? Czy podobna istnieć na miejscu, gdzie siano można widzieć tylko w stajni, roślinność tylko na dachu, krowy tylko na sztydach? Czyż można wlec życie w takim miejscu? Pytam się, czy można wytrzymać takie istnienie?

Przez długi czas zadając sobie, obyczajem wszystkich wielkich poetów, takie pytanie w samotności, pan Pickwick wysunął głowę za okno i spojrzął dokoła.

Ostry, a zarazem przyjemny zapach siana tylko co skoszonego dochodził aż do niego. Tysiączne kwiaty w ogrodzie napełniały balsamiczną wonią powietrze; zielona łąka błyszcząca od rosy i każde źdźbło połyskiwało, poruszane lekkim wietrzykiem. Wreszcie ptaki śpiewały, jakby każda łąka poranna była dla nich źródłem natchnienia. Przypatrując się temu pan Pickwick wpadł w słodką i tajemniczą zadumę.

— Hej! hej!

Dźwięki te przywoływały go do rzeczywistego życia. Wzrok jego zwrócił się nagle w prawo i nic nie odkrył. Więc skierował się w lewo, ale na próżno błądził w przestrzeni. Śmiałym okiem zmierzył firmament, ale nie stamtąd go wołano. Na koniec uczynił to, co pospolity umysł uczyniłby od razu: spojrzął prosto w ogród i zobaczył pana Wardle'a.

— Jak się pan miewa? — zapytał wesoły gospodarz. — Piękny poranek, prawda? Cieszę się, żeś pan wstał tak rano. Ubieraj się pan, czekam tu na niego.

Pan Pickwick nie potrzebował, by go zapraszano dwa razy. W dziesięć minut był gotów i stał już przy starym gentlemanie.

— Co to będzie? — zapytał widząc, że gospodarz uzbrojony jest w strzelbę, a druga leży tuż koło niego na trawie.

— Przyjaciel pański i ja — odrzekł pan Wardle — chcemy przed śniadaniem strzelać do wron. Jest on doskonałym strzelcem, prawda?

— Słyszałem, że mówił o tym, ale nigdy nie widziałem, by co trafił.

— Ale dlaczego nie przychodzi? — zapytał pan Wardle i zawołał: — Joe! Joe!

Wkrótce ujrzano wychodzącego z domu pyzatego chłopca, który pod orzeźwiającym wpływem poranka był zaspany tylko w trzech czwartych.

— Idź, zawołaj gentlemana — rzekł mu jego pan. — I powiedz mu, że znajdzie mnie z panem Pickwickiem w lasku. Pokażesz mu drogę, rozumiesz?

Joe oddalił się, by wykonać to zlecenie, a pan Wardle, niby jaki drugi Robinson Crusoe, wyprowadził pana Pickwicka za ogród, zabrawszy z sobą obie strzelby.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł po kilku chwilach, zatrzymując się wśród alei. Było to zresztą zbyteczne wyjaśnienie, gdyż ciągle krakanie biednych wron najdokładniej wskazywało miejsce ich pobytu.

Stary gentleman położył jedną strzelbę na ziemi, a drugą nabił...

— A otóż i nasi! — rzekł pan Pickwick. Rzeczywiście z daleka ukazali się pan Tupman, pan Snodgrass i pan Winkle, gdyż Joe, nie wiedząc, którego mianowicie z tych trzech gentlemanów miał sprowadzić, osądził w swej głębokiej mądrości, iż dla zapobieżenia omyłkom najlepiej będzie, gdy zawoła wszystkich trzech razem.

— Chodźże pan, chodź! — wołał stary gentleman na pana Winkle'a — Taki znakomity strzelec, jak pan, powinien był być gotów od dawna, nawet i dla tak drobnej zwierzyny.

Pan Winkle odpowiedział wymuszonym uśmiechem i strzelbę dla niego wyznaczoną podniósł z wyrazem twarzy, który by przystał raczej wronie obdarzonej darem jasnowidzenia i dręczonej myślą o gwałtownym bliskim zgonie. Może to była obojętność, ale w każdym razie niezwykle podobna do upadku na duchu.

Stary gentleman dał znak i dwóch obdartych chłopaków zaczęło z wolna gramolić się na drzewo.

— Po co te dzieci? — spytał ostro pan Pickwick. Był nieco zaniepokojony. Nie był w stu procentach pewny, czy to nie panująca na wsi nędza, o której tyle słyszał, zmuszała te biedne dzieci, by służyły za cel niedoświadczonym sportowcom.

— Do rozpoczęcia zabawy — odrzekł ze śmiechem pan Wardle.

— Do czego? — nalegał pan Pickwick.

— Mówiąc po prostu, do płoszenia wron.

— Tylko tyle?

— Zadowolony pan?

— Najzupełniej.

— Doskonale. Mam zaczynać?

— Jeżeli pan łaskaw — rzekł pan Winkle rad, że zyskuje na czasie.

— Usuńcie się nieco! No! Teraz!...

Jeden z chłopców krzyknął, potrząsając gałąź, na której znajdowało się gniazdo, i w tej samej chwili około tuzina młodych wron, którym przerwano hałaśliwą rozmowę, rzuciło się naprzód, by zobaczyć, o co chodzi. Stary gentleman w odpowiedzi wystrzelił. Jeden z ptaków upadł, inne odleciały.

— Podnieś, Joe — rzekł stary gentleman. Pызaty chłopak wystąpił, a twarz jego wypogodziła się niby do uśmiechu, niejasne zarysy pasztetu z młodych wron zamigotały mu w wyobraźni.

Podniósłszy ptaka, już się śmiał rzeczywiście, bo ten był tłusty i pulchny.

— Teraz kolej na pana, panie Winkle — rzekł stary gentleman, nabijając strzelbę po raz drugi. — Strzelaj pan!

Pan Winkle wystąpił naprzód i zmierzył. Pan Pickwick i jego towarzysze cofnęli się mimowolnie, pewno dla ukrycia się przed gradem wron, które niezawodnie padną od niszczącego śrutu ich towarzysza. Nastąpiła uroczysta chwila, potem krzyk, trzepotanie skrzydeł, lekki szcęk...

— A to co? — zawołał stary gentleman.

— Nie wystrzeliło? — zapytał pan Pickwick.

— Nie wypaliło — odrzekł pan Winkle, który strasznie pobladł, zapewne wskutek doznanego zawodu.

— To szczególnie — rzekł stary gentleman biorąc strzelbę. — To się nigdy nie wydarzyło. Ale cóż to? Nie widzę ani śladu pistona!

— No, proszę! — zawołał pan Winkle — zupełnie o nim zapomniałem...

Poprawiono to drobne przeoczenie. Pan Pickwick znów usunął się, pan Tupman stanął za drzewem, pan Winkle zrobił z determinacją krok naprzód, oburącz przytrzymując strzelbę. Chłopiec krzyknął: zerwały się cztery wrony, pan Winkle podniósł broń; rozległ się strzał, a potem krzyk, ale w niczym niepodobny do krakania wrony. Oto pan Tupman uratował życie wielu niewinnym ptakom, przyjąwszy we własne ramię część naboju. Trudno opisać zamieszanie, jakie nastąpiło wskutek tego; trudno opowiedzieć, jak pan Pickwick w pierwszych chwilach wzruszenia nazwał pana Winkle'a nędznikiem, jak pan Tupman leżał rozciągnięty na trawie, jak pan Winkle, trwogą zdjęty, ukląkł przy nim, jak pan Tupman w gorączce wymieniał rozmaite imiona kobiet, otwierał to jedno, to drugie oko i znowu obydwaj zamykał. Scena ta tak trudna jest do opisanja, jak trudne jest przedstawienie samego nieszczęśliwego rannego, stopniowo przychodzącego do siebie, widzącego, jak mu przewiązują ranę chustkami, wolnym krokiem powracającego do domu i wspartego na ramionach swych zaniepokojonych przyjaciół.

Panie znajdowały się na progu, oczekując przybycia panów na śniadanie. Ponad wszystko jaśniała ciotka–panna, uśmiechała się i dawała znaki, by szli prędzej. Widocznie nie wiedziała o tym, co zaszło. Biedna istota! Są chwile, w których nieświadomość jest prawdziwym dobrodziejstwem. Zbliżano się coraz bardziej...

— Co się stało temu małemu staruszkowi? — zapytała półgłosem miss Izabela Wardle. Ciotka–panna nie zwróciła uwagi na te wyrazy, sądziła, że chodzi o pana Pickwicka, ponieważ w jej oczach pan Tracy Tupman był młodzieńcem. Patrzyła na jego lata przez szkła pomniejszające.

— Tylko się nie trwóście — rzekł pan Wardle do córek.

Małe grono mężczyzn tak okrążyło pana Tupmana ze wszech stron, iż nie można było jeszcze rozpoznać natury wypadku.

— Nie przestraszcie się! — zawołał znowu pan Wardle o kilka kroków bliżej.

— Co się stało? — krzyknęły razem wszystkie damy.

— Panu Tupmanowi zdarzył się mały przypadek, to wszystko. Ciotka–panna krzyknęła przeraźliwie, zamknęła oczy i padła na wznak na ręce dwóch młodych miss.

— Kropcie jej twarz zimną wodą! — zawołał stary gentleman.

— Nie! Nie! — szepnęła ciotka–panna. — Już się czuję lepiej. Bello... Emilio... chirurga! Raniony! Czy żyje?... Ach! ach! ach!

I ciotka–panna, znów krzyknawszy przeraźliwie, dostała ataku nerwowego nr 2.

— Uspokój się, pani — rzekł pan Tupman, do łez prawie rozczulony takim współczuciem dla jego cierpień. — Droga pani, uspokój się!

— To jego głos! — zawołała ciotka–panna i gwałtowne symptomy ataku nerwowego nr 3 nastąpiły bezzwłocznie.

— Niech się pani nie przeraża, błagam cię, najdroższa pani — rzekł znowu pan Tupman rzewnym głosem. — Jestem bardzo lekko raniony, zapewniam panią.

— Więc pan żyje? — zawołała histeryczna ciotka. — O, powiedz pan, żeś nie umarł!

— Nie pleć głupstw, Rachelo! — zawołał pan Wardle, trochę może zbyt brutalnie, jak na tę pełną poezji scenę. — Po cóż u diabła ma mówić, że nie umarł?

— Nie, nie umarłem...

A do ucha dodał: — O! Miss Rachelo!

Wzruszona dama jego myśli podała mu rękę. Razem weszli do salonu. Pan Tracy Tupman przycisnął lekko do ust rękę, której nie cofnięto, a potem padł na kanapę.

— Czy panu niedobrze? — zapytała miss Rachela znowu zaniepokojona.

— Nic, to nic, zaraz będzie lepiej — odrzekł pan Tupman, zamykając oczy.

— Śpi — szepnęła ciotka–panna (od dwudziestu sekund pan Tupman miał zamknięte oczy). — Śpi, drogi Tupman.

Pan Tupman skoczył na równe nogi.

— O! Powtóż, pani, raz jeszcze te słowa — zawołał. Kobieta zadrżała.

— Przecież pan ich nie słyszał — rzekła wstydliwie.

— O! Słyszałem — odrzekł pan Tupman z ogniem. — Powtóż, pani, te słowa, jeżeli chcesz, bym wyzdrowiał, powtóż!

— Ts!... — zawołała dama.

Pan Tracy Tupman rzucił się znów na kanapę. Do pokoju wszedł pan Wardle z chirurgiem.

Obejrzano ramię, przewiązano ranę, uznawszy ją za bardzo lekką. Po zaspokojeniu w ten sposób umysłów zajęto się śniadaniem. Weselość znów zajaśniała na wszystkich twarzach. Tylko pan Pickwick był milczący i zamyślony. Wątpliwość i nieufność malowały się w jego wyrazistych rysach, jego wiara w pana Winkle'a była wstrząśnięta porannymi wypadkami.

— Czy gra pan w krykieta? — zapytał nagle pan Wardle pana Winkle'a.

W każdym innym wypadku pan Winkle odpowiedziałby twierdząco, ale rozumiejąc delikatność swego położenia odpowiedział skromnie:

— Nie.

— A pan? — wesoło zapytał pan Snodgrass starca.

— Dawniej grywałem, teraz już nie. Chociaż jednak nie gram, należę zawsze do klubu.

— Wszak to dziś podobno ma być rozegrana wielka partia między dwoma przeciwnymi obozami: Muggleton i Dingley Dell? — rzekł pan Pickwick.

— Tak jest — odpowiedział gospodarz — pójdziemy tam, co?

— Owszem — odrzekł pan Pickwick — lubię bardzo przypatrywać się zabawom, którym można oddawać się bez niebezpieczeństwa i przy których niezręczność ludzka nie naraża życia istot podobnych sobie.

To rzekłszy pan Pickwick zrobił wymowną pauzę i ostro spojrzął na pana Winkle'a, który nie mógł bez drżenia wytrzymać przenikliwego wzroku swego mentora. Pan Pickwick mówił dalej:

— Zdaje mi się, iż najwłaściwiej będzie powierzyć naszego rannego przyjaciela opiece dam.

— Nie możecie umieścić mnie w lepszych rękach — rzekł pan Tupman.

— Niepodobna! — dodał pan Snodgrass. Ułożono się więc tak, że pan Tupman pozostanie w domu pod dozorem dam, a męska część towarzystwa pod dowództwem pana Wardle'a pójdzie popatrzeć na walkę, która wyrwała Muggleton z ospałości i napęliła Dingley Dell gorączkowym wzruszeniem.

Było tylko dwie mile do tego miejsca. Droga szła pomiędzy cienistymi drzewami. Rozmowa toczyła się głównie o pięknych krajobrazach ukazujących się kolejno, a pan Pickwick, znalazłszy się na wielkiej ulicy w Muggleton, żałował prawie, że podróż trwała tak krótko.

Wszystkie osobistości, których geniusz obdarzony jest jakimi takimi wiadomościami z geografii, wiedzą niewątpliwie, iż miasto Muggleton posiada radę miejską, burmistrza, obywateli i wyborców, zażywających przez parlament określonych przywilejów korporacji. Ktokolwiek by zaś zechciał przejrzeć odezwy burmistrza do mieszkańców lub adresy mieszkańców do burmistrza, lub burmistrza i mieszkańców do rady miejskiej, lub burmistrza, mieszkańców i rady miejskiej do parlamentu, ten dowiedziałby się z nich o tym, co by powinien był dawno wiedzieć, a mianowicie, że Muggleton jest miastem starożytnym i lojalnym, łączącym gorliwość dla zasad chrystianizmu ze stałym przywiązaniem do ustaw handlowych. Na dowód tego burmistrz, rada miejska i inni mieszkańcy w rozmaitych czasach przedstawili sześćdziesiąt osiem petycji o zezwolenie na sprzedaż beneficjów kościelnych, osiemdziesiąt sześć petycji o wzbronienie sprzedaży ulicznej w dniu niedzielnym, tysiąc czterysta dwadzieścia petycji o zniesienie handlu niewolnikami w Ameryce i takąż samą ilość petycji przeciw wszelkiemu mieszaniu się prawodawstwa do spraw przeciążania dzieci pracą w fabrykach angielskich.

Pan Pickwick, znalazłszy się na wielkiej ulicy tego świetnego grodu, spoglądał na sceny roztaczające się przed jego oczami z ciekawością połączoną z zainteresowaniem.

Rynek miał kształt czworoboku, w którego środku wznosiła się wielka oberża. Ogromny jej sztyl przedstawił przedmiot bardzo zwyczajny w dziedzinie sztuk pięknych, ale niezmiernie rzadko spotykany w naturze, a mianowicie niebieskiego lwa z trzema łapami w powietrzu, kołyszącego się na środkowym pazurze czwartej łapy. W pobliżu widać było biuro towarzystwa ubezpieczeń od pożarów i lombard, magazyny handlarza zbożem i handlarza płótnem, sklep siodlarza, handlarza wódek, korzennika i sklep z obuwem. Ten ostatni odznaczał się tym, że był przystosowany do sprzedawania kapeluszy, czapek, ubrania, bawełnianych parasoli i rozmaitych pożytecznych wiadomości. Stał tu prócz tego mały dom z czerwonej cegły, z niewielkim brukowanym podwórzem, o którym każdy wiedział, że należy do adwokata. Był tam inny jeszcze dom, także z czerwonej cegły, nad którego drzwiami zawieszona blacha miedziana bardzo czytelnym pismem objaśniała, że dom ten należy do chirurga. Kilku młodych ludzi szło na plac, gdzie miano grać w krykieta, a dwóch czy trzech kupców, stojących na progu swych sklepów, widocznie miało wielką chętkę udać się w to samo miejsce, co zresztą, według wszelkich pozorów, mogli zrobić nie tracąc wielkiej liczby kupujących.

Pan Pickwick już się był zatrzymał, by robić spostrzeżenia, które potem zamierzał spisać, ale ponieważ towarzysze jego zeszli z głównej drogi, pośpieszył wraz z nimi na plac boju. Tu, oprócz przyrządów do gry, znajdowały się dwa namioty mające służyć za miejsce wypoczynku i posiłku dla stron wojujących. Ale gra jeszcze nie rozpoczęła się. Dwaj czy trzy dingleydellczycy i tylu muggletonczyków zabawiało się przerzucaniem od niechcenia piłek z ręki do ręki. Kilku innych jegomościów, ubranych jak oni w słomiane kapelusze, flanelowe kurtki i białe spodnie (strój ten upodabniał ich do amatorów-mularzy), przechadzało się przed namiotem, ku któremu pan Wardle poprowadził swe towarzystwo.

Kilka tuzinów „Jak się masz?” powitało starego gentlemana; jednocześnie nastąpiło generalne podniesienie kapeluszy słomianych z widocznie zaraźliwym pochyleniem flanelowych kurtek, gdy pan Wardle przedstawił swych gości jako gentlemanów z Londynu, pragnących gorąco być obecnymi przy uroczystościach dnia tego, które, nie wątpi o tym, zyskają ich uznanie.

— Sądzę, że najlepiej będzie, gdy panowie pójdą pod namiot — rzekł ogromnie tłusty mężczyzna, którego ciało zdawało się być olbrzymią półsztuką flaneli, nawiniętą na parę poduszek.

— Tam będzie panom nierównie wygodniej — dodał inny gentleman, tak potężnych jak pierwszy rozmiarów i podobny do drugiej półsztuki tejże flaneli.

— Panowie bardzo łaskawi — odrzekł pan Pickwick.

— Tędy — zaczął znów stary gentleman — tu najlepsze miejsce. — I poszedł naprzód, sapiąc jak koń dychawiczny.

— Pyszna gra — szlachetne zajęcie — doskonale ćwiczenie — wyborne!

Takie okrzyki doszły uszu pana Pickwicka, gdy wchodził pod namiot, a pierwszym przedmiotem, który ukazał się jego oczom, był jego przyjaciel z dylizansu w Rochester, teraz perorujący z zapalem ku niemałemu zadowoleniu i zbudowaniu wybranego kółka elity Muggleton. Ubrany był trochę lepiej i nosił buty. Ale to był nieomylnie on.

Nieznajomy natychmiast poznał swych przyjaciół. Podbiegł, schwycił za rękę pana Pickwicka, zaciągnął go na krzesło ze zwykłą sobie żywością, gadając bez przerwy, jakby urządzenie tej zabawy było jego dziełem i zasługą.

— Tędy! Tędy! Będzie tu siarczyście wesoło! Kadzie piwa — góry wołowiny — beczki musztardy — świetny dzień — siadaj pan — rozgość się — ciesz się, że pana widzę — bardzo się cieszę.

Pan Pickwick usiadł, panowie Winkle i Snodgrass poszli również za wskazaniem swego tajemniczego przyjaciela. Pan Wardle oglądał go z milczącym zdumieniem.

— Pan Wardle, nasz przyjaciel — rzekł pan Pickwick do nieznajomego.

— Przyjaciel panów? — wykrzyknął nieznajomy. — O, kochany panie! Jakże się pan ma? Przyjaciele naszych przyjaciół są... Niechże uścisknę pańską dłoń!

Wygłaszając te frazesy nieznajomy pochwycił rękę pana Wardle'a z ogniem dawnej zażyłości, potem cofnął się parę kroków, jakby chciał lepiej przypatrzeć się jego twarzy i postawie, potem znów uściskał pana Wardle'a jeszcze serdeczniej niż za pierwszym razem.

— Skąd się pan tu wziął? — zawołał pan Pickwick z uśmiechem, w którym życzliwość walczyła ze zdziwieniem.

— Skąd? Mieszkam „Pod Koroną” w Muggleton. Spotkałem towarzystwo. Flanelowe kurtki — białe pantalony — butersznytę — smażone cynadry — dzielni chłopcy — dzielni!

Pan Pickwick znał dość dobrze stenograficzny styl nieznajomego, by wywnioskować z tej gadaniny, szybkiej i bez związku, że w ten czy ów sposób zaznajomił się z muggletonczykami i że następnie, także we właściwy sobie sposób, udało mu się otrzymać zaproszenie. Zadowolony swą ciekawością pan Pickwick poprawił okulary i począł przypatrywać się grze, która już się zaczęła.

Muggleton miało pierwszeństwo, a zainteresowanie było ogromne, gdyż dwaj najznakomitsi gracze ze słynnego klubu w Muggleton: pan Dumbkins i pan Podder, stanęli uroczyście z kijami w ręku przy swych bramkach. Pan Luffey, duma i ozdoba Dingley Dell, wybrany został na przeciwnika straszliwego Dumbkinsa, a pan Struggles miał stawić czoło niezwyciężonemu Podderowi. Inni gracze rozeszli się po placu dla łapania piłek i każdy z nich przyjął odpowiednią postawę, to jest oparł ręce o kolana i pochylił się jak do zabawy, gdy chłopcy skaczą jeden przez drugiego. Wszyscy klasyczni gracze tak stają. Panuje nawet ogólne przekonanie, iż w innej postawie niepodobna dojrzeć piłki.

Sędziowie ustawili się za bramkami, liczący punkty gotowi byli do zapisywania. Nastąpiła głęboka cisza. Pan Luffey cofnął się o kilka kroków w tył poza bramkę i przez kilka sekund trzymał piłkę pod prawym swym okiem. Dumbkins czekał na piłkę ze szlachetną dufnością i śledził poruszenia Luffeya.

— Baczość! — krzyknął pan Luffey i w tejże chwili piłka jak błyskawica wyleciała mu z ręki. Roztropny Dumbkins pilnował się: chwycił ją na koniec kija i przerzucił ponad głowami otaczających graczy, którzy byli właśnie pochyleni dość głęboko, by pozwolić piłce przelecieć nad sobą.

— Punkt — punkt — jeszcze — rzucić — dalej — spalony — drugi — nie — tak — nie — jest, jest.

To były okrzyki, które nastąpiły po uderzeniu, dzięki któremu muggletończykom zapisano dwa punkty.

Podder uzbierał dość laurów, by ustroić nimi siebie i cały Muggleton. Przytrzymywał podejrzone piłki, przepuszczał złe, chwycił dobre i odbijał je w rozmaitych kierunkach. Inni gracze byli zgorączkowani i zmęczeni; rzucający piłki zmieniali się i rzucali je, aż im ręce opadały; tylko Dumbkins i Podder byli nie zmęczeni. Kiedy który ze starszych panów próbował zatrzymać piłkę, przewijała mu się ona między nogami lub wymykała z rąk. Gdy usiłował ją schwycić który ze zręcznych graczy, piłka uderzyła go w nos i z podwójną mocą odskakiwała wysoko, a oczy nieszczęśliwca napełniały się łzami, na czoło zaś występował pot przerażenia. Podług rachunku Dumbkinsa i Poddera, Muggleton miał czterdzieści pięć, gdy tablica dingleydellczyków była biała jak ich twarze; różnica była zbyt wielka, by można było myśleć o odegraniu się. Na próżno impetyczny Luffey, na próżno roznamiętniony Struggies robili wszystko, co umiejętność i wprawa dyktowały, by zdobyć pole — nic nie pomagało. Dingley Dell zmuszone było uznać Muggleton za zwycięzcę.

Przez cały ciąg gry nieznajomy w zielonym fraku jadł, pił i gadał bez przerwy. Przy każdym trafnym rzucie wyrażał się o grających z pochwałą. Ale też za każdym razem, gdy gracz piłki pochwycić nie mógł, piorunował przeciw niezręcznemu. „Ach, niezdara... Niezgrabny!” itp. wykrzykniki przekonywały obecnych, że nieznajomy był najnieomylniejszym sędzią w szlachetnej grze w krykieta.

— Świetna partia! Wybornie zagrana! Niektóre rzuty doskonałe — rzekł, gdy grę skończono i obie strony wtoczyły się do namiotu.

— Czy pan grywa? — zapytał pan Wardle, którego bawiła ta gadatliwość.

— Czy grywam?! Ja myślę — tysiące razy — nie tutaj — w Indiach Zachodnich — bardzo podniecające — gorąca robota — bardzo.

— Klimat tamtejszy wydaje mi się za ciepły na takie przedsięwzięcia — rzucił uwagę pan Pickwick...

— Ciepły, gorący — wrzący — rozpalony do czerwoności. Grałem kiedyś — o zakład — z przyjacielem pułkownikiem — Sir Tomaszem Blazo — który z nas zrobi najwięcej rund. — Wygrywam — pierwsza tura — siódma rano — sześciu krajowców do pomocy — zaczynam — upał wzmaga się — wszyscy krajowcy mdleją — wynoszą ich — świeża szóstka. — Blazo ugotowany — dwóch krajowców podtrzymuje go — nie może dotrzymać mi placu — mdleje — wynoszą go — nie chce ustąpić — wiemy adiutant Guanko Samba — on jeden na placu — słońce pali — kije do piłek zwęglone — piłki opalone na brązowo — pięćset siedemdziesiąt rund — trochę wyczerpujące — Guanko gra ostatkiem sił — kąpiel — idę na obiad.

— A co się stało z tym panem, jakże mu?... — zapytał jakiś stary gentleman.

— Z kim? Z pułkownikiem Blazo?

— Nie, z tym drugim gentlemanem.

— Guanko Samba?

— Tak.

— Biedny Guanko! Nigdy już nie przyszedł do siebie. Skończył grę i skończył życie, umarł, panie.

Tu nieznajomy zasłonił sobie twarz kuflem piwa, ale czy dla przełknięcia tego, co kufel w sobie zawierał, czy dla ukrycia wzruszenia, tego nigdy nie mogliśmy ustalić. Wiemy tylko, że po chwili zatrzymał się nagle, westchnął długo i głęboko, potem z niepokojem spojrzął na dwóch głównych członków klubu z Dingley Dell, którzy zbliżywszy się do pana Pickwicka powiedzieli:

— Idziemy na skromną przekąskę „Pod Błękitnego Lwa”. Spodziewamy się, że zechce pan przyjąć w niej udział ze swoimi przyjaciółmi.

— A, rozumie się — rzekł pan Wardle — w liczbie naszych przyjaciół liczymy i pana...

I zwrócił się ku nieznajomemu.

— Jingle — odrzekła ta uniwersalna osoba. — Alfred Jingle, Esq. z Niemanic.

— Przyjmuję zaproszenie z wielką przyjemnością — odpowiedział pan Pickwick.

— I ja także! — odpowiedział pan Alfred Jingle, biorąc pod jedną rękę pana Pickwicka, a pod drugą pana Wardle'a i szepcząc do ucha panu Pickwickowi:

— Pyszny obiad! Zimny, ale doskonały. Zaglądałem tam dziś rano: drób, pasztety i reszta. Bardzo mili ludzie, a przy tym grzeczni, bardzo grzeczni.

Towarzystwo małymi grupami poszło przez miasto i w kwadrans potem wszyscy siedzieli już w wielkiej sali hotelu „Pod Błękitnym Lwem”.

Pan Dumbkins sprawował urząd przewodniczącego, a pan Luffey wiceprezydenta.

Panował tam wielki zgiełk głosów i szcęk talerzy, noży i widelców. Wielka bieganina trzech obciążonych półmiskami garsonów i szybkie znikanie zawartości półmisek na stole; do wzmożenia hałasu wesóły pan Jingle przyczyniał się tyleż, co przynajmniej sześciu przeciętnych biesiadników. Gdy każdy zjadł tyle, ile mógł, sprzątnięto obrusy i postawiono na stole deser, butelki i szklanki. Służba usunęła się, żeby „sprzątnąć”, innymi słowy — zagarnąć na prywatny użytek i pożytek wszystko, co zostało zjadła i napojów, a na co mogli położyć rękę.

Wkrótce słychać było tylko gwar rozmów i wybuchy śmiechu. Między innymi znajdował się tam pewien mały, nadęty człowieczek, mający minę taką, jakby chciał powiedzieć: „nie mów nic, bo ci zaprzeczę”, ale który do tej pory zachowywał się bardzo spokojnie. Czasami tylko, gdy rozmowa przycichła, spoglądał dokoła, jak gdyby miał wielką ochotę wygłosić coś zajmującego, i odkasliwał z niewysłowioną godnością. Wreszcie, gdy zapanowała względna cisza, mały człowieczek wykrzyknął donośnym i uroczystym głosem: — Panie Luffey!

Wszyscy umilkli. Osoba zainteresowana odrzekła wśród głębokiej ciszy:

— Co, panie?

— Mam zamiar przemówić kilka słów do panów, jeżeli pan zechce wezwać ich do napełnienia szklanek.

Pan Jingle tonem protekcyjnym zawołał:

— Słuchajcie! Słuchajcie!

Wyrazy te powtórzyło chórem całe towarzystwo. Wiceprezydent, przybrawszy minę poważnego człowieka, powiedział:

— Pan Staple!

— To, co chcę powiedzieć — rzekł mały człowieczek, powstając — zwracam do pana, nie do naszego czcigodnego prezydenta, ponieważ nasz czcigodny prezydent jest pod wieloma względami, mogę nawet powiedzieć — w większej części, przedmiotem tego, co mam powiedzieć i mogę powiedzieć, tego, co mam... tego, co mam...

— Wykazać — dodał pan Jingle.

— Tak, wykazać — zaczął mały człowieczek — dziękuję memu szanownemu przyjacielowi, jeśli ten pozwoli mi tak się nazwać (cztery — Słuchajcie! — i jedno — Najchętniej! — ze strony pana Jingle'a). Mogę przypisać sobie ten zaszczyt, iż powiększam o jedną jednostkę liczbę ludności Muggleton. Ale wyznam otwarcie, panie, że nie pragnę tego zaszczytu. Powiem dlaczego, panie. (Słuchajcie!) Chętnie przyznaję Muggleton wszystkie zalety, wszystkie zaszczyty, jakich żądać może; są one zbyt liczne i zanadto znane, by trzeba było je wymieniać. Ale, panie, gdy pamiętamy, że Muggleton dał życie takiemu Dumbkinsowi i takiemu Podderowi, to nie zapominajmy, że Dingley Dell może się szcycić wydaniem takiego Luffeya i takiego Strugglesa. (Hałaśliwe oklaski). Niech nikt mnie, panie, nie posądza o chęć przyćmienia sławy gentlemanów, których wymieniłem na pierwszym miejscu; zazdroszczę im przyjemności, jakiej doznawać muszą w tym dniu pamiętnym. (Oklaski). Wszyscy panowie znacie odpowiedź daną Aleksandrowi Wielkiemu przez indywiduum, które, że użyję pospolitego wyrażenia, mieszkało w beczce: „Gdybym nie był Diogenesem, chciałbym być Aleksandrem”. Sądzę, że ci panowie powinni by powiedzieć: „Gdybym nie był Dumbkinsem, chciałbym być Luffeyem, gdybym nie był Podderem, chciałbym być Strugglesem”. (Entuzjazm). Ale, gentlemani z Muggleton, czyż nasi współobywatele odznaczają się tylko w grze w krykieta? Czyście nigdy nie słyszeli nazwiska Dumbkinsa, przytaczanego jako przykład wytrwałości? Czyście nie przywykli łączyć nazwiska Poddera z pojęciem prawa własności? (Wielkie oklaski). Walcząc o wasze prawa, waszą wolność, wasze przywileje, czyście nigdy nie byli doprowadzeni, choćby na chwilę, do zwątpienia i rozpacz? A gdy upadaliście na duchu, czyż imię Dumbkinsa nie ożywiało w waszych sercach ognia nadziei? Jedno słowo tego kolosalnego człowieka czyż nie nadawało jej takiego blasku, jakby nigdy nie gasła? (Wielkie oklaski). Panowie! Wzywam was, byście świetną aureolą oklasków otoczyli imiona Dumbkinsa i Poddera!

Tu mały człowieczek zamilkł, a towarzystwo poczęło okropnie hałasować i stukać, co z małymi przerwami trwało przez resztę wieczora... Pan Luffey i pan Struggles, pan Pickwick i pan Jingle byli kolejno przedmiotem pochwał i każdy z nich kolejno dziękował za zaszczyt.

Rozmówcami w szlachetnym przedsięwzięciu, któremu poświęciliśmy się, doznaliśmy niczym niewysłowionego uczucia dumy i bylibyśmy pewni nieśmiertelności, gdybyśmy byli w stanie dać naszym czytelnikom najśłabsze streszczenie tych mów. Jak zwykle pan Snodgrass robił wiele notat i nie ulega wątpliwości, iż moglibyśmy w nich znaleźć mnóstwo niesłychanie ważnych wskazówek, gdyby ognista wymowa oratorów, czy też wpływ wina, nie sprawiły, że ręka tego gentlemana trzęsła się do tego stopnia, iż pismo stało się zupełnie nieczytelne, a styl ciemny. Uzbrowszy się w wielką cierpliwość, zdołaliśmy zaledwie wyczytać niektóre wyrazy, nieco podobne do nazwisk mówców. Rozpoznaliśmy również szkic piosenki (zapewne śpiewanej przez pana Jingle'a), w której w krótkich odstępach rymują się z sobą wyrazy: wina i przyczyna, troski i boski. Sądzymy również, że pod koniec notat wyczytaliśmy kilka aluzji do resztek pieczeni i smażonych kurcząt; potem wyróżniliśmy wyrazy: „zimny”, „grog”. Ale ponieważ hipotezy, które

moglibyśmy budować na tych wskazówkach, nie miałyby nigdy innej wartości nad przypuszczenia, więc nie chcemy robić domysłów, jakie się nam nasuwają.

Dlatego też powracamy do pana Tupmana, przestając na nadmienieniu, że w kilka minut po północy słyszano, jak połączone znakomości Dingley Dellu i Muggletonu wyśpiewywały energicznie tę znaną a poetyczną piosenkę:

*Dopiero rankiem przyjdziemy,
I dopiero w dzień zaśniemy!
Dopiero rankiem przyjdziemy,
I dopiero w dzień zaśniemy!
Jutro rano z brzaskiem dnia,
Aż z dnia brzaskiem jutro rano!*

Rozdział ósmy

Jasno udowadniający, że koleje prawdziwej miłości nie zawsze bywają tak gładkie jak koleje żelazne

Spokojna samotność Dingley Dell, obecność tylu osób płci pięknej, pomoc i serdeczna opieka, jakie okazywano panu Tupmanowi — wszystko to wpłynęło na rozwinięcie zarodka i wzrost słodkiego uczucia, które natura zasiała w jego łonie, a które zdawało się obecnie skupiać na jednym miłym przedmiocie. Młode panny były piękne, obejście ich ujmujące, charaktery nadzwyczaj miłe, ale w ich latach nie można mieć pretensji do godności ruchów, do postawy *noli me tangere*, do majestatu wzroku, który zdaniem pana Tupmana wyróżniał ciotkę–pannę wśród wszystkich kobiet, na jakie zerkał kiedykolwiek. Widoczne było, że dusze ich są sobie pokrewne, że w ich naturach było coś sympatyzującego z sobą, jakaś tajemnicza zgodność uczuć. Imię ciotki–panny wyrwało się pierwsze z ust pana Tupmana, gdy ranny upadł na trawę; rozdierający jej krzyk najpierw obił mu się o uszy, gdy go prowadzono do domu. Ale czy wzruszenie to było wynikiem zwykłej kobiecej czułości i wrażliwości, które by równie zamaifestować się mogły wobec każdego innego, czy też wyrwało je uczucie bardziej namiętne, gorętsze, które on jeden między śmiertelnikami zdołał rozbudzić w tym sercu? Takie to wątpliwości dręczyły umysł pana Tupmana, leżącego na sofie, i takie to wątpliwości postanowił rozwiązać bezzwłocznie i raz na zawsze.

Był wieczór. Izabela i Emilia przechadzały się z panem Trundle'em; stara głucha dama usnęła w swym fotelu; jednostajne chrapanie pyzatego chłopca dolatywało z odległej kuchni; służące gapiły się przy bramie, flirtując w sposób bardzo pierwotny z kilkoma wiejskimi drągalami. Interesująca para siedziała w salonie, na wszystko obojętna, marząc tylko o sobie, podobna do pary rękawiczek z jagnięcej skóry, razem złożonych i zwiniętych.

— Zapomniałam o moich biednych kwiatkach — szepnęła ciotka–panna.

— Niech je pani teraz podleje — odrzekł pan Tupman przekonywająco.

— Może wieczorne powietrze zaszkodzi panu? — szepnęła czule miss Rachel.

— Nie! Nie! — zawołał pan Tupman wstając. — Owszem, to mi pomoże. Pozwoli pani, bym jej towarzyszył?

Interesująca dama starannie poprawiła szarfę, na której zawieszona była ręka młodzieńca, i razem poszli do ogrodu.

W jednym z jego końców znajdowała się altana z kapryfolium, jaśminu i innych wonnych roślin, jeden z tych miłych przytułków, jakie właściciele ogrodów wnoszą dla wygody pajaków.

Ciotka–panna wzięła w altanie wielką konewkę i już zamierzała wyjść, gdy pan Tupman zatrzymał ją i posadził koło siebie na ławce.

— Miss Wardle — rzekł z westchnieniem.

Ciotkę–pannę opanowało tak mocne drżenie, że kamyki znajdujące się przypadkowo w konewce poczęły stukać o dno, jak w grzechotce.

— Miss Wardle — powtórzył pan Tupman — pani jesteś aniołem.

— Panie Tupman! — zawołała Rachel poczerwieniawszy jak jej konewka.

— Tak — mówił dalej wymowny pickwickczyk — wiem o tym... aż nadto... na moje nieszczęście.

— Wszystkie kobiety są aniołami, powiadają mężczyźni — odpowiedziała żywo Rachela.

— Więc czym jest pani? Do czego mam panią porównać? Gdzie jest kobieta podobna do pani? Gdzie znajdę takie rzadkie połączenie wysokich zalet i piękności? Gdzie mam szukać? Ach!

Tu pan Tupman zatrzymał się i uściskał rękę trzymającą za ucho szczęśliwą konewkę. Trwożliwa heroina odwróciła nieco głowę, mówiąc słabym głosem:

— Mężczyźni to tacy zwodziciele.

— Tak jest, ma pani słuszość — zawołał pan Tupman — ale nie wszyscy... istnieje jedna przynajmniej istota, która nigdy się nie zmieni! Istota, która by uważała się za szczęśliwą, gdyby poświęcić mogła całe swe życie uszczęśliwieniu pani. Istota ta, która żyje, patrząc na panią, oddycha tylko uśmiechem pani! Istota, która tylko dla pani znosi ciężkie brzemię życia!

— Czyżby istota taka istniała? — powiedziała dama.

— Może istnieć! — przerwał ognisty Tupman. — Istnieje! Oto ona, panno Wardle — i zanim dama zdążyła odgadnąć jego zamiary, upadł na kolana u jej stóp.

— Panie Tupman, wstań pan! — zawołała Rachela.

— Nigdy! — odpowiedział z mocą. — O! Rachelo! — I pochwycił jej rękę, która upuściła konewkę, i przycisnął ją do ust.

— O! Rachelo! Powiedz, że mnie kochasz!

— Panie Tupman — szepnęła młoda niegdyś osoba, odwracając głowę — zaledwie mam siłę odpowiedzieć panu... ale... ale pan mi nie jest obojętny.

Gdy pan Tupman usłyszał to słodkie wyznanie, natychmiast pośpieszył spełnić to, do czego go natchnęło namiętne wzruszenie i co każdy spełnia w podobnych okolicznościach (przynajmniej tak sądzimy, bo z tego rodzaju sprawami nie jesteśmy obeznani), zerwał się, objął kibić czulej dziewicy i wycisnął na ustach mnóstwo pocałunków. Po przyzwoitym oporze dama poddała się im tak biernie, iż nie wiadomo, ile by pan Tupman tych pocałunków nawyciskał, gdyby Rachela nagle nie drgnęła bez żadnej tym razem afektacji, i nie krzyknęła, przerażona:

— Panie Tupman! Widzą nas, podglądają!

Pan Tupman odwrócił się. Za nim stał pyzaty chłopiec, najzupełniej nieruchomo, wytrzeszczywszy na altankę wielkie, okrągłe oczy, ale z twarzą tak pozbawioną wszelkiego wyrazu, że najzręczniejszy fizjonomista nie zdołałby dopatrzeć się w niej ani zdziwienia, ani ciekawości, ani żadnej z namiętności wzruszających serca ludzkie. Pan Tupman patrzył na pyzatego chłopca, pyzaty chłopiec patrzył na pana Tupmana, a im dłużej pan Tupman studiował kompletną nieruchomość jego rysów, tym mocniej przekonywał się, że zaspany młody człowiek nic nie widział albo też nie pojmował tego, co widział. W tym przekonaniu zapytał go z wielką stanowczością:

— Co tu robisz?

— Kolacja na stole, sir — brzmiała szybka odpowiedź.

— Od dawna tu jesteś? — spytał pan Tupman, patrząc na niego ostro.

— Przyszedłem przed chwilą — odrzekł pyzaty chłopiec.

Pan Tupman przyjrzał mu się badawczo. Chłopiec nie mrugnął okiem, twarz mu nie drgnęła.

Pan Tupman podał ramię ciotce–pannie i poszli ku domowi. Pyzaty chłopiec za nimi.

— Nie widział — szepnęła pan Tupman.

— Nie! — powiedziała ciotka–panna.

Poza nimi dał się słyszeć lekki szmer, podobny do tłumionego śmiechu, pan Tupman żywo obrócił się. Nie... to nie mógł być pyzaty chłopiec. Na twarzy jego nie było śladu wesołości i w ogóle żadnego innego wyrazu oprócz wyrazu żarłoczności.

— Zapewne spał, idąc tu — szepnął pan Tupman.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — odrzekła ciotka–panna, po czym oboje poczęli się śmiać.

Jednak mylili się. Raz tylko w życiu letargiczny młodzieniec nie spał. Czuwał on, czuwał najzupełniej i wszystko widział.

Podczas wieczery nikt nie silił się na podtrzymanie rozmowy. Stara dama poszła spać, Izabela Wardle zajęła się wyłącznie panem Trundle'em, ciotka–panna Tupmanem, a myśli panny Emilii Wardle zdawały się być zajęte jakimś dalekim przedmiotem. Może błędziły około pana Snodgrassa.

Jedenasta i dwunasta godzina wybijały kolejno, a gentlemani nie wracali jeszcze z Muggletonu. Niepokój malował się na wszystkich twarzach. Może ich napadnięto i obrabowano?... Czy nie należałoby wysłać im naprzeciw ludzi z latarniami? Czy może?... Słuchajcie! Otóż i oni! Dlaczego tak się spóźnili? Jakies głosy nieznajome! Kto by to mógł być? Wszyscy rzucili się do kuchni, gdzie wylądowali wędrowcy, i od pierwszego rzutu oka poznali rzeczywisty stan rzeczy.

Pan Pickwick z rękami w kieszeniach i kapeluszem nasuniętym na bakier, oparty o fotel, kołyszając głową od prawej strony ku lewej, produkował całą serię uśmiechów najśłodszych i najbardziej uprzejmych w świecie, ale bez widocznego powodu. Stary pan Wardle, z twarzą szczególnie rozpromienioną, ścisnął rękę nieznajomego gościa, bełkocząc coś o wiecznej przyjaźni. Pan Winkle, trzymając się skrzynki zegara, przywoływał słabym głosem zemstę niebios na każdego, kto by mu doradzał iść spać. Na koniec pan Snodgrass osunął się na krzesło, a każdy rys jego wyrazistej twarzy nosił piętno najokropniejszej i najgłębszej rozpacz, jaka tylko może się malować w rysach ludzkich.

— Co się stało? — zapytały trzy damy.

— Nic, nic — odrzekł pan Pickwick — wszyscyśmy... w dobrym... stanie, prawda... Wardle?... żeśmy... w dobrym stanie?...

— Tak, w niezłym — odrzekł gospodarz. — Moje kochane... Oto mój przyjaciel, pan Jingle, przybył... w odwiedzinach...

— Panie!... — zapytała Emilia z niepokojem — co się stało panu Snodgrassowi?

— Nic zupełnie — odrzekł pan Jingle. — Obiad w klubie — wesołe towarzystwo — wyborne śpiewki — stare porto — stare bordeaux — dobre, bardzo dobre. Wino — pani — wino.

— To nie wino — wybełkotał pan Snodgrass poważnym tonem — to łoś. (Trzeba wiedzieć, że w podobnych wypadkach to nigdy nie jest wino).

— Czy nie lepiej, żeby panowie poszli spać? — powiedziała pokojówka Emma. — Po dwu służących odnieś każdego z panów do jego pokoju.

— Nie pójdę spać! — zawołał pan Winkle z mocą.

— Żaden żywy człowiek nie odnieś mnie! — rzekł nieustraszony pan Pickwick, a potem znów począł się uśmiechać jak przedtem.

— Hura! — wybełkotał słabo pan Winkle.

— Hura! — powtórzył pan Pickwick, po czym zdjął kapelusz i rozpląszczył go na podłodze, a pochwywszy okulary cisnął je na kuchnię; po dokonaniu tego szczęśliwego żartu począł się znów śmiać jak szalony.

— Przynieście nam jeszcze jedną... butelkę! — zawołał pan Winkle, zaczynając bardzo donośnym głosem, a kończąc bardzo cicho. Ale powoli głowa zaczęła mu się chylić ku pierścionom, raz jeszcze powtórzył swe niezłomne postanowienie, że nie pójdzie spać, wybełkotał melancholijne ubolewanie z powodu tego, że rano nie dokończył starego Tupmana, po czym usnął głęboko. W takim stanie zanieiony został do sypialnego pokoju przez dwóch olbrzymów, pod bezpośrednim dozorem pyzatego chłopca, któremu w chwilę potem pan Snodgrass powierzył swoją osobę, pan Pickwick przyjął ramię pana Tupmana i znikł spokojnie, uśmiechając się słodziej niż kiedykolwiek. Pan Wardle pożegnał swą rodzinę tak czule i patetycznie, jak gdyby rozstawał się z nią, by iść na rusztowanie; wyrządził panu Trundle'owi ten zaszczyt, że pozwolił się odprowadzić po schodach, i oddalił się, czyniąc bezowocne wysiłki, by nadać sobie minę uroczystą i poważną.

— Co za gorsząca scena! — zawołała ciotka–panna.

— Niesmaczna! — odrzekły młode damy.

— Okropna! Okropna! — rzekł pan Jingle uroczystym tonem. (Wypił przynajmniej półtora raza więcej od swych towarzyszy).

— Okropny widok! Bardzo okropny!

— Miły człowiek! — rzekła cicho ciotka–panna do pana Tupmana.

— I przystojny — szepnęła Emilia Wardle.

— O! bardzo przystojny — dodała ciotka–panna. Pan Tupman pomyślał o wdówce z Rochester i zasepił się. Następne pół godziny rozmowy nie mogło go uspokoić. Nowy gość mówił wiele, ale zawsze ilość jego anegdot nie dorównywała ilości komplementów. Pan Tupman czuł, że papiery jego spadały, w miarę jak wzrastały względy dla pana Jingle'a. Uśmiech jego był wymuszony, wesołość udana, a gdy w końcu przyłożył do poduszki rozpalone skronie, pomyślał z okrutną rozkoszą, iż chciałby trzymać w tej chwili głowę pana Jingle'a pomiędzy rzeczoną poduszką a materacami.

Niezmordowany pan Jingle obudził się nazajutrz wcześniej i podczas gdy towarzysze jego spali jeszcze, zmęczeni wczorajszą hulanką, z wielkim skutkiem zajął się rozweseleniem towarzystwa przy śniadaniu. Usiłowania jego w tym względzie były tak szczęśliwe, iż stara dama kazała sobie powtórzyć przez akustyczną trąbkę dwie czy trzy lepsze anegdoty i doprowadziła nawet łaskawość swą do tego, iż głośno powiedziała ciotce–pannie, że on (pan Jingle) jest bardzo miłym łobuzem. Inni członkowie rodziny najzupełniej podzielali to zdanie.

W pogodne dni letnie stara dama miała zwyczaj chodzić co rano do altany, w której pan Tupman odznaczył się tak znakomicie. Rzecz odbywała się w sposób następujący: najpierw pyzaty chłopak przynosił z sypialni starej damy kapelusz, a raczej czarny, atłasowy kapiszon, i ciepły, wełniany szal, potem zaś mocną laskę z wygodną rączką. Następnie stara dama włożywszy, jak należy, szal i kapelusz, z jedną ręką opartą na lasce, drugą na ramieniu pyzatego pazia, szła wolnym krokiem ku altanie, gdzie przez pół godziny rozkoszowała się świeżym powietrzem, po czym chłopiec przychodził znowu, by odprowadzić ją do domu.

Stara dama lubiła porządek i punktualność, a ponieważ od trzech lat pielgrzymka ta odbywała się bez najmniejszego naruszenia ustanowionych prawideł, zdziwiła się więc niemało w ów poranek, o którym właśnie mowa, gdy ujrzała, że pyzaty chłopiec, zamiast ciężkim swym krokiem opuścić altanę, obejrzał się uważnie na wszystkie strony, po czym przystąpił do niej na palcach z miną nadzwyczaj tajemniczą.

Stara dama była bojaźliwa, jak prawie wszystkie stare damy, pierwszą więc jej myślą było, że pyzaty chłopiec zamyśla popełnić jakiś okropny gwałt, by wydrzeć jej trochę drobnych pieniędzy, które miała przy sobie. Chciała wołać ratunku, ale wiek i niemoc od dawna pozbawiły ją możliwości krzyczenia. Poprzestała więc na śledzeniu ruchów swego pazia z głębokim strachem, który bynajmniej nie zmniejszył się, gdy chłopak podszedł do niej i krzyknął do ucha wzruszonym, jej zaś wydawało się, że groźnym głosem:

— Pani!

Otóż tak się właśnie zdarzyło, iż w tym samym czasie pan Jingle przechadzał się niedaleko altanki i także usłyszał ten wykrzyk — Pani! — zatrzymał się więc, by słuchać dalej. Trojakiego rodzaju powody nakazywały mu tak postąpić. Naprzód, nie miał żadnego zajęcia, a był ciekawy, po wtóre, nie miał żadnych skrupułów, po trzecie, ukryty był za krzakami. Zatrzymał się więc i słuchał.

— Pani! — krzyknął powtórnie pyzaty chłopak.

— Co takiego, Joe? — zapytała stara dama, cała drżąc. — Wiesz, że zawsze byłam dobra dla ciebie. Zawsze dobrze obchodziłam się z tobą, Joe! Nigdy nie miałeś wiele do roboty, a jadła zawsze pod dostatkiem.

Zręczna ta przemowa dotknęła najczulszej strony pyzatego chłopca. Odpowiedział z uczuciem:

— Wiem o tym.

— A więc dlaczego tak mnie przestraszasz? Czego chcesz? — mówiła dalej stara dama, nabierając odwagi.

— Chcę, żeby pani zadrżała.

Szczególny to sposób przekonywania o wdzięczności, a ponieważ stara dama z pewnością nie pojmowała, jak można tą drogą dojść do takiego rezultatu, więc czuła, że strach jej wzmagają się znowu.

— Czy wie pani, com widział w tej altanie wczoraj wieczorem? — zapytał pyzaty chłopak.

— Boże, zlituj się! Cóż takiego? — zawołała stara dama, przerażona uroczystą miną pytającego.

— Gentleman z przewiązaną ręką całował!...

— Kogo, Joe? Kogo? Spodziewam się, że nie żadną służącą.

— Gorzej jeszcze! — krzyknął pyzaty chłopiec do ucha starej damie.

— Żadną z moich wnuczek?

— Gorzej jeszcze!

— Gorzej jeszcze? Joe! — krzyknęła stara dama, która była tego zdania, że całowanie jej wnuczki jest największą okropnością, jakiej mężczyzna dopuścić się może. — Więc kogo, Joe? Chcę wiedzieć!

Szpieg spojrział badawczo dokoła, a potem krzyknął do ucha starej damie:

— Miss Rachelę!

— Co? — zapytała stara. — Mów głośniej.

— Miss Rachelę! — krzyknął pyzaty chłopiec.

— Moją córkę?!

Joe odpowiedział całym szeregiem znaków potwierdzających, co nadało jego policzkom ruch falisty.

— I ona pozwoliła na to? — zawołała stara dama.

— Sama go całowała! Widziałem — rzekł pyzaty chłopiec z przebiegłą miną.

Gdyby pan Jingle ze swej kryjówki mógł dostrzec wyraz twarzy starej damy, kiedy usłyszała powyższe słowa, prawdopodobnie nagły wybuch śmiechu zdradziłby jego obecność. Ale słyszał tylko urywki gniewnych frazesów, jak to:

— Bez mego pozwolenia!... W takich latach... O, biedna ja stara!... Mogła poczekać, aż umrę! — Potem usłyszał ciężkie kroki pызatego chłopca, który oddalił się pozostawiając starą damę samą.

Być może, iż wyda się to dziwne, niemniej jednak faktem jest, że pan Jingle w pięć minut po swym przybyciu do Manor Farm w głębi swej duszy postanowił opanować bezzwłocznie serce ciotki–panny. Był dość dobrym obserwatorem, aby dostrzec, że jego swobodne obejście nie budziło odrazy w pięknym przedmiocie jego ataków, a podejrzewał mocno, że ciotka–panna posiada najpożądańszą ze wszystkich doskonałości: mały, niezależny majątek. Gwałtowna potrzeba wyparowania w ten lub ów sposób rywala natychmiast przyszła mu na myśl, bezzwłocznie więc postanowił działać w tym kierunku.

Fielding mówi, że mężczyzna jest ogniem, a kobieta hubką i że księżę ciemności upodobał sobie w zbliżaniu ich. Pan Jingle wiedział, że młodzi ludzie są dla ciotek–panien tym, czym iskra dla prochu, i postanowił zaraz na miejscu zrobić próbę wybuchu. Rozmyślając nad sposobami wykonania tego ważnego postanowienia, wysunął się ze swego ukrycia i pod osłoną krzaków powrócił niepostrzeżony do domu. Los zdawał się stanowczo sprzyjać jego zamiarom. Widział, jak pan Tupman i inni gentlemani zagłębiali się w ogród, wiedział, że młode panny wyszły razem po śniadaniu: teren był zatem wolny.

Drzwi salonu były otwarte, pan Jingle wsunął przez nie głowę i zajrzał do wnętrza. Ciotka–panna robiła pończochę. Kaszlnął: ciotka–panna podniosła oczy i uśmiechnęła się. Wahanie nie leżało bynajmniej w charakterze pana Jingle'a; przyłożył więc tajemniczo palec do ust, wszedł do salonu i zamknął drzwi za sobą.

— Miss Wardle — rzekł z udanym zapalem — przebacz pani tę śmiałość — krótka znajomość — nie ma czasu na ceremonie — wszystko odkryto!...

— Panie! — zawołała ciotka–panna bardzo zdziwiona, wątpiąc nawet, czy pan Jingle jest przy zdrowych zmysłach.

— Ts! — szepnął pan Jingle z teatralnym gestem. — Pызaty chłopak — twarz mazgajowata — oczy okrągłe — łotr!...

Tu potrzęsnał wyraziście głową — a ciotka–panna zadrżała ze wzruszenia.

— Jak sądzę, pan mówi o Joe'em — rzekła, wysilając się na spokój.

— Tak, pani. Przeklęty ten Joe! — Pies zdradliwy ten Joe! — opowiedział starej damie — stara dama rozgniewana — zła, zawzięta! — altanka — Tupman — uściski — pocałunki. — O pani! O!

— Panie Jingle! — zawołała ciotka–panna — jeżeli przyszedł pan tu, by mnie znieważać...

— Bynajmniej! Wcale nie! — Słyszałem historię, przyszedłem uprzedzić panią o niebezpieczeństwie, ofiarować usługi, zapobiec plotkom. Oto wszystko... Pani poczytuje to za zniewagę, wynoszę się...

I wykręcił się na pięcie, jakby dla wykonania pogrózki.

— Cóż mam począć? — zawołała biedna ciotka, zalewając się łzami. — Mój brat będzie piorunował!

— Naturalnie.

— O, panie Jingle, co tu począć?

— Powiedz pani, że tłustemu chłopcu śniło się — odrzekł pan Jingle.

Promień otuchy rozjaśnił myśli ciotki–panny, gdy usłyszała tę radę. Pan Jingle dostrzegł to i umiał z tego skorzystać.

— Ba, ba! Rzecz bardzo prosta: chłopak niepoń — miła kobieta — chłopaka oćwiczą — pani dadzą wiarę, koniec afery... Wszystko się ułoży.

Czy prawdopodobieństwo uniknięcia skutków tego odkrycia nie w porę było tak przyjemne dla ciotki–panny, czy też gorycz jej smutków złagodziła się, gdy nazwano ją miłą kobietą, dość że zwróciła do rozmówcy swą twarz z wyrazem wdzięczności i okrytą lekkim rumieńcem.

Przebiegły gentleman westchnął głęboko, utkwiał na kilka chwil wzrok w twarzy ciotki–panny, wpatrywał się w nią melo dramatycznie, po czym szybko odwrócił oczy.

— Pan, zdaje się, jest nieszczęśliwy, panie Jingle — rzekła dama żalonym głosem. — Czy mogę panu okazać moją wdzięczność tym, że zapytam o przyczynę jego smutku, by mu przynieść ulgę?...

— Ach! — zawołał pan Jingle, powtórnie spojrzawszy melodramatycznie. — Ulżyć! Ulżyć! Gdy miłość pani otoczyła człowieka niegodnego takiego szczęścia! Człowieka, który nawet teraz ma niegodny zamiar pozyskania względów siostrzenicy anioła. Ale nie! To mój przyjaciel, nie chcę odsłaniać wad jego. Miss Wardle, żegnam panią!

I kończąc ten monolog, najgładszy, jaki kiedykolwiek wygłosił, pan Jingle przyłożył do oczu resztki chustki, o której już raz wspomnieliśmy, i zwrócił się ku drzwiom.

— Zatrzymaj się pan, panie Jingle — rzekła z mocą ciotka–panna. — Pan zrobiłeś aluzję do pana Tupmana. Wyłumacz się pan.

— Nigdy! — zawołał pan Jingle teatralnym tonem. — Nigdy!

I by przekonać, że nie chce, by go wypytywano, wziął krzesło i siadł tuż koło ciotki–panny.

— Panie Jingle — zaczęła znowu ciotka–panna — błagam pana, zaklinam, byś mi odkrył ogromną tajemnicę otaczającą pana Tupmana.

— Ach! — zawołał pan Jingle, wlepiając wzrok w twarz ciotki–panny — co za widok! Cudna istota! Ofiara! Brudna chciwość!

Przez kilka sekund zdawał się walczyć ze wzruszeniami różnorakiej natury, potem rzekł głosem stłumionym i cichym:

— Tupman kocha tylko pieniądze pani.

— Nędznik! — zawołała ciotka–panna z energicznym oburzeniem.

Wątpliwości pana Jingle’a były rozwiązane; miała pieniądze.

— Więcej — dodał — kocha inną.

— Inną — szepnęła ciotka. — Kogo?

— Młodą panienkę... czarne oczy... siostrzenicę Emilię.

Nastąpiło milczenie. Jeżeli bowiem istniała w całym świecie istota rodzaju żeńskiego, wobec której Rachelę odczuwałaby zazdrość głęboką, śmiertelną, to była nią właśnie ta siostrzenica. Czerwoność wystąpiła jej na twarzy i szyi — w milczeniu potrząsnęła głową z wyrazem nieubłaganej wzgardy.

W końcu, przygryzając swe wąskie usta i podnosząc się nieco, rzekła słodko–kwaśnym głosem:

— To niemożliwe. Nie mogę temu uwierzyć.

— Niech pani uważa na nich!

— Zrobię to! — rzekła ciotka.

— Niech pani śledzi jego spojrzenia.

— Dobrze.

- Jak szepce.
- Dobrze.
- Usiądzie przy niej.
- Niech siada.
- Będzie się do niej umizgał.
- Niech się umizga.
- Będzie się do niej zalecał.
- Niech się zaleca.
- I zostawi panią na koszu!
- Mnie na koszu! – wrzasnęła ciotka–panna. – On mnie na koszu! – tu zadrżała z gniewu i rozpaczy.
- Potrafi pani opanować się?
- Potrafię.
- Okaze pani stanowczość?
- Okażę.
- Nie zechce go pani potem?
- Nigdy!
- Poszuka pani innego kochanka?
- Poszukam.
- Ja nim będę.

Pan Jingle upadł na kolana i pozostał w tej pozycji przez pięć minut. Gdy wstał, miał już nominację na kochanka ciotki–panny, co prawda jeszcze warunkowo, dopóki zdrada pana Tupmana nie zostanie udowodniona.

Dowodów miał dostarczyć pan Jingle i dokonał tego podczas obiadu. Miss Rachela zaledwie wierzyć mogła własnym oczom. Pan Tracy Tupman siadł koło Emilii, zerkał na nią, uśmiechał się, szeptał, współzawodnicząc z panem Snodgrassem. Ani jednego wyrazu, ani jednego spojrzenia nie zwrócił ku tej, która przeszłego wieczora była damą jego serca.

„Przeklęty chłopak! Przeklęty! – myślał pan Wardle, gdyż dowiedział się od matki o całej historii. – Przeklęty chłopak spał niezawodnie, wszystko to śniło mu się”.

„Zdrajca! – myślała ciotka–panna. – Drogi panie Jingle, pan mnie nie zwiodłeś. O! Jak pogardzam tym nędznikiem!”

Niepojętą zmianę w postępowaniu pana Tupmana zrozumieją czytelnicy, gdy zapoznają się z następującą rozmową:

Wieczorem, tego samego dnia, scena odbywa się w ogrodzie. Dwie osoby przechodzą się w odosobnionej alei. Jedna krótka i gruba, druga chuda i długa. Są to panowie Tupman i Jingle.

Pan Tupman rozpoczyna dialog zapytaniem:

- Czy dobrze się sprawiłem?
 - Doskonale! Wybornie! Sam bym lepiej nie odegrał tej roli. Jutro trzeba robić to samo aż do dalszego rozkazu.
 - Czy Rachela żąda tego?
 - Naturalnie. To jej nie bawi, ale trzeba. Brat surowy; boi się.
- Za kilka dni podejrzenia rozwieją się, starych wyprowadzimy w pole, ona uwieńczy twoje szczęście.
- Nie ma pan innego zlecenia?

— Miłość — najtkliwsza miłość! — najśłodsze uczucie — skłonność niewzruszona. Czy mam powiedzieć jej co od pana?

— Mój kochany panie — odrzekł w prostocie ducha pan Tupman, serdecznie ściskając rękę swego przyjaciela — wyrażaj jej pan moją najgłębszą miłość. Powiedz, jak mi trudno to ukrywać. Powiedz, co tylko można najczulszego, ale dodaj, iż czuję potrzebę roli, którą mi wskazała dziś rano za radą pana. Powiedz, że przyklaskuję jej roztropności i uwielbiam jej przezorność.

— Powiem. Czy już wszystko?

— Wszystko. Dodaj pan tylko, iż gorąco wzdycham do chwili, w której będzie do mnie należeć, kiedy wszelkie udawanie stanie się zbyteczne.

— Dobrze, dobrze. Czy już wszystko?

— O, mój przyjacielu — rzekł biedny Tupman, znowu ściskając rękę swego powiernika — o, mój przyjacielu! Przyjmij najszczerze dzięki za twe bezinteresowne usługi i przebac, jeśli kiedykolwiek, choć w myśli, popełniłem niesprawiedliwość podejrzewając, że możesz mi szkodzić. Mój drogi przyjacielu! Czy będę się mógł kiedykolwiek odwdziżyć ci za takie usługi?

— Nie mówmy o tym — rzekł pan Jingle — nie mów... I nagle urwał, jakby coś sobie przypomniał.

— *À propos!* — zawołał potem. — Czy nie mógłby mi pan pożyczyć dziesięć funtów, co? Bardzo pilny interes. Za trzy dni zwrócę.

— Sądzę, iż mogę uczynić panu tę przysługę — odrzekł pan Tupman w prostocie swego serca. — Za trzy dni, mówi pan?

— Jeszcze tylko trzy dni — wszystko ułoży się — po kłopotach!

Pan Tupman wyłożył pieniądze na dłoń towarzysza, który schował je, sztuka po sztuce, do kieszeni, gdy skierowali się ku domowi.

— Uważaj pan! Ani jednego spojrzenia! — pouczał pan Jingle.

— Nie spojrzę! — rzekł pan Tupman.

— Ani słowa!

— Ani sylaby!

— Jak największa atencja w stosunku do siostrzenicy... dla ciotki raczej opryskliwy... tylko w ten sposób oszukacie starych!

— Będę się miał na baczności — rzekł pan Tupman głośno.

„I ja będę się miał na baczności” — powiedział pan Jingle w duchu. I weszli do domu.

Scena obiadowa powtórzyła się wieczorem i przez trzy następne obiady i wieczory. Czwartego wieczora pan Wardle wyglądał na bardzo zadowolonego, gdyż przekonał się, że pana Tupmana obwiniono fałszywie. Ten także był zadowolony, gdyż pan Jingle powiedział mu, że wszystko wkrótce się skończy, pan Pickwick był bardzo szczęśliwy, gdyż był to jego stan zwykły, a pan Snodgrass nie był nim, gdyż zazdrościł panu Tupmanowi; stara dama była w bardzo dobrym humorze, gdyż wygrywała w wista; na koniec pan Jingle i miss Wardle byli zachwyceni z powodów tak wielkiej wagi dla wątków tej prawdziwej historii, iż opowiemy o nich w rozdziale następnym.

Rozdział dziewiąty

Odkrycie i pogoń

Podano wieczerzę, ustawiono krzesła przy stole, butelki i szklanki uporządkowano na bufecie, słowem — wszystko zapowiadało jedną z najbardziej miłych chwil w ciągu doby.

— Gdzie jest Rachela? — zapytał pan Wardle.

— I pan Jingle? — dodał pan Pickwick.

— A to dziwne! — rzekł gospodarz. — Jak się to stało, żeśmy dotąd nie zauważyli ich nieobecności. Od dwóch najmniej godzin nie słyszę ich głosu. Emilio, zadzwoń no, moja kochana!

Rozległ się dzwonek i wszedł pyzaty chłopiec.

— Gdzie jest panna Rachela?

Nic nie wiedział.

— Więc gdzie jest pan Jingle?

I tego nie umiał powiedzieć.

Wszyscy się zdziwili. Było już późno. Minęła jedenasta, pan Tupman śmiał się w duchu, gdyż był pewny, że gdzieś w kącie pan Jingle rozmawia z ciotką–panną. A to szczególna zabawa! Cha! cha! cha!

— To nic — rzekł pan Wardle po krótkiej pauzie. — Jestem pewny, że zaraz przyjdą, a z kolacją nie zwykłem czekać na nikogo.

— Rozumna zasada! — zawołał pan Pickwick. — Doskonała!

— Siadajcie, państwo, siadajcie — mówił dalej gospodarz.

— I owszem — rzekł pan Pickwick.

Siedli.

Podano olbrzymi kawał wołowiny na zimno; pan Pickwick otrzymał sporą jej porcję. Właśnie podniósł widelec do ust i miał już je otworzyć dla wprowadzenia odpowiedniego kawałka, gdy wtem powstał w kuchni wielki hałas. Pan Pickwick podniósł głowę i położył widelec; pan Wardle przestał krajać i mimo woli upuścił nóż, który sterczał już w mięsie. Spojrzał na pana Pickwicka, pan Pickwick spojrział na niego.

W korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki. Drzwi jadalnego otworzyły się i służący, który czyścił buty pana Pickwicka w dniu jego przybycia, wpadł na środek pokoju, a za nim pyzaty chłopiec i reszta służby.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał gospodarz.

— Czy zapaliły się sadze? — zapytała stara dama.

— Nie, babciu! — krzyknęły obie panny.

— Co się stało? — krzyknął pan domu.

Służący odsapnął, a potem rzekł zdyszczanym głosem:

— Pojechali, panie... dali nogę.

W tej chwili zauważono, że pan Tupman położył nóż i widelec i zbladł okropnie.

— Kto pojechał? — zapytał gniewnie pan Wardle.

— Pan Jingle i miss Rachela, w powozie pocztowym, spod „Błękitnego Lwa” w Muggleton! Byłem tam, ale nie mogłem ich zatrzymać; więc przybiegłem tu, by powiedzieć panu.

— I to ja zapłaciłem za podróż — zawołał pan Tupman, wstając ze zrozpaczoną miną.
— Wyłudził ode mnie dziesięć funtów! Łapcie go! Oszukał mnie! Tego za wiele! Zemszczę się! Nie zniosę tego!

I wygłaszając bez związku tysiące wykrzykników tej samej treści, nieszczęśliwy gentleman w przystępie strasznego gniewu biegał dokoła stołu.

— Niech nas Bóg ma w swej opiece! — mówił pan Pickwick patrząc ze zdziwieniem i przestachem na ekscentryczne ruchy swego przyjaciela. — Oszalał! Co tu począć?

— Co począć? — odrzekł stary pan Wardle, który zwrócił tylko uwagę na ostatnie słowa swego gościa. — Zaprzęgajcie konia do bryczki! „Pod Błękitnym Lwem” wezmę pocztę i puszcę się za nimi w pogoń! Gdzie ten łotr Joe?

— Jestem tu, ale to nie ja jestem łotr — odezwał się pyzaty chłopiec.

— Dajcie mi go tu! — ryknął pan Wardle rzucając się ku nieszczęśliwemu chłopcu. — On był zapłacony przez tego infamisa Jingle’a, by zmylić ślad, i dlatego opowiadał androny o mojej siostrze i panu Tupmanie. (Tu pan Tupman padł na krzesło).

Dajcie mi go tu!

— Trzymajcie ojca! — krzyknęły razem wszystkie kobiety, a wśród ich przerażonych głosów słychać było wyraźnie szlochanie pyzatego chłopca.

— Nie pozwolę, by mnie trzymano! — krzyknął choleryczny starzec. — Panie Winkle, usuń pan rękę! Panie Pickwick, puść mnie pan!

W tej chwili zamieszania i nieładu piękny zaiste widok przedstawiała filozoficzna postawa pana Pickwicka. Majestatyczna słodycz jaśniała na jego twarzy, chociaż nieco rozognionej wysiłkiem przy hamowaniu gwałtowności pana Wardle’a, którego formalnie objął wpół obiema rękami. Przez ten czas Joe został podrapany, wyszturchany i wypędzony z pokoju przez kobiety. Po jego zniknięciu puszczonego pana Wardle’a i w tejże chwili oznajmiono, że powóz już gotów.

— Nie puszczajcie go samego! — krzyczały kobiety. — Jeszcze kogo zabije!

— Ja z nim pojedę — rzekł pan Pickwick.

— Pan jest zacnym człowiekiem — odrzekł pan Wardle, ściskając mu rękę. — Emmo, daj szal panu Pickwickowi, by sobie obwiązał szyję. Spiesz się! Pilnujcie tu babki, moje dzieci. No, czy pan gotów?

Gdy usta i podbródek pana Pickwicka okręcono szalem, gdy wsadzono mu na głowę kapelusz, a na ramiona narzucono okrycie, filozof odpowiedział twierdząco.

Dwaj przyjaciele wsiedli do bryczki, a pan Wardle krzyknął:

— Ruszaj, Tomie!

I powóz szybko potoczył się po wąskich ulicach, wpadając w rowy i uderzając w płoty, tak że w każdej niemal chwili mógł się rozlecieć w kawałki.

— Czy dawno wyjechali? — zapytał pan Wardle, stanąwszy u bramy „Błękitnego Lwa”, koło której mimo spóźnionej pory zebrało się nieco ludzi.

— Nie więcej niż trzy kwadransy! — odpowiedzieli razem wszyscy obecni.

— Powóz i cztery konie, natychmiast! Bryczka niech tu zostanie.

— Spieszcie się, dzieci! — krzyknął oberżysta. — Powóz i cztery konie! Prędko! Prędko!

Stajenni pobiegli, chłopcy pobiegli! Latarnie błyskały, gdy służba uwijała się tu i tam: kopyta koni uderzały o nierówny bruk dziedzińca; karetka turkotała, gdy wyciągano ją z wozowni. Ruch, gwar, zamieszanie.

— Cóż? Czy będzie gotów tej nocy? — krzyczał pan Wardle.

— Powóz jest już na dziedzińcu, panie — odrzekł oberżysta.

Rzeczywiście powóz już stał; zaprzężono konie, pocztylioni wsiedli na nie, a podróżni do powozu.

— Pocztylion! — zawołał pan Wardle. — Siedem mil do następnej stacji w pół godziny. Pocztylioni użyli biczów i ostróg, garsoni skłonili się; podróżni ruszyli szalonym pędem.

„Piękne położenie! — pomyślał pan Pickwick, gdy nadszedł czas refleksji. — Piękne położenie dla dożywotniego prezydenta Klubu Pickwicka. Ciemny wóz, szalone konie, piętnaście mil na godzinę i po północy!”

Przez trzy czy cztery pierwsze mile dwaj przyjaciele pogrążeni w dumaniach nie przemówili do siebie ani słowa; lecz gdy konie, rozgrzawszy się, poczęły gnać jak wicher, pana Pickwicka zanadto ożywiła szybkość ruchu, by mógł być niemy.

— Sądzę, że dopędzimy ich — tak zaczął.

— Spodziewam się — odrzekł jego towarzysz.

— Piękna noc — ciągnął dalej pan Pickwick, spoglądając na świecący jasno księżyc.

— Tym gorzej, bo im także księżyc przyświeca do ucieczki, a za godzinę już zajdzie.

— Nie bardzo będzie miło jechać tak szybko po ciemku.

— Niewątpliwie — odrzekł sucho pan Wardle.

Chwilowe uniesienie pana Pickwicka poczęło nieco opadać na myśl o niedogodnościach i niebezpieczeństwach wyprawy, w której przyjął udział tak lekkomyślnie. Z niemiłych tych rozmyślań wyrwały go głosy pocztylionów:

— Hej! hej! hej! hej! — krzyczał pierwszy.

— Hej! hej! hej! hej! — ryczał drugi.

— Hej! hej! hej! hej! — wrzeszczał pan Wardle, połowę ciała wysunawszy z powozu.

— Hej! hej! hej! hej! — powtórzył pan Pickwick, przyłączając się do chóru krzyzących, chociaż nie miał najmniejszego wyobrażenia, co to wszystko znaczy.

Wśród tych powszechnych krzyków powóz stanął.

— Co się stało? — zapytał pan Pickwick.

— Rogatka — odpowiedział stary Wardle — dowiemy się czegoś o zbiegach.

Po pięciu minutach, spędzonych na kołataniu i bezustannym krzyczeniu, wyszedł z domku strażniczego staruszek ubrany tylko w spodnie i koszulę i otworzył roгатkę.

— Jak dawno przejeżdżał tędy powóz? — zapytał pan Wardle.

— Jak dawno?

— Tak, jak dawno?

— Doprawdy, że nie wiem. I dawno, i niedawno, tak jakoś pośrodku.

— Czy przynajmniej przejeżdżał?

— A! Przejeżdżał, przejeżdżał powóz.

— Ile czasu odtąd upłynęło, mój przyjacielu — rzekł pan Pickwick. — Godzina?

— A, bardzo być może — odpowiedział strażnik.

— Może dwie godziny? — zapytał pierwszy pocztylion.

— Może i dwie godziny — odrzekł zapytany z powątpiewaniem.

— W drogę! — krzyknął rozgniewany pan Wardle — dość już czasu straciliśmy z tym niedołęgą.

— Niedołęga! — powtórzył strażnik drwiąco, spoglądając na powóz malejący, w miarę jak się oddalał. — No nie, nie taki niedołęga, jak myślicie. Straciliście tu dziesięć minut i wiecie akurat tyle, co przedtem. Jeżeli wszyscy koledzy po drodze wzięli po gwinei, a zarobią ją w połowie tak uczciwie jak ja, to nie dopędzisz ich i do świętego Michała, mój ty gruby panie...

Po tym ironicznym monologu stary strażnik zamknął rogatek, wszedł do domku i zarygłował drzwi za sobą.

Tymczasem nasi podróżni pędzili bez wytchnienia. Księżyc, jak to przepowiedział pan Wardle, szybko zachodził za czarne chmury, od niejakiego już czasu przesuujące się po niebie, które teraz połączyły się w jedną czarną masę. Duże krople deszczu uderzały w okna powozu, jakby zapowiadając nadejście burzy. Wiatr, wiejący prosto w oczy, na wąskiej drodze przemieniał się w wichurę i smutno jęczał pomiędzy drzewami. Pan Pickwick zapiął starannie surduty, wcisnął się wygodnie w kąty i zapadł w głęboki sen, z którego wyrwało go wkrótce ustanie wszelkiego ruchu, odgłos dzwonka i donośne krzyki:

— Koni! Koni natychmiast!

Ale tu nastąpiła innego rodzaju zwłoka. Pocztylioni spali snem tak dziwnie głębokim, iż potrzeba było więcej niż pięciu minut, by każdego obudzić. Masztalerz zgubił klucz od stajni, a gdy go wreszcie znaleziono, dwaj zaspani chłopcy poprzemieniali uprzęż tak, że trzeba było na nowo rozpocząć całą operację zaprzęgnięcia. Gdyby pan Pickwick był sam, przeszkody te, mnożące się na każdym kroku, rychło by położyły kres pogoni; ale stary Wardle nie zrażał się łatwo. Tyle rozwinął dobrej woli, popychając jednego, szturchając drugiego, tu podając łańcuch, tam zapinając sprzączkę, że powóz był gotowy do drogi w nierównie krótszym czasie, aniżeli można było spodziewać się, zważywszy na takie trudności.

Zaczęła się więc znowu podróż, w warunkach bez wątpienia niezbyt zachęcających. Do stacji było 15 mil, noc ciemna, wiatr gwałtowny, deszcz ulewny. Niepodobieństwem było jechać prędko, walcząc przeciw tylu przeszkodom; toteż dojechano dopiero po dwóch godzinach. Ale tu ukazał się przedmiot, który ożywił nadzieję i podniósł nieco upadającego ducha podróżnych.

— Kiedy ten powóz przybył tu? — zapytał stary Wardle wskazując na jeszcze mokrą bryczkę stojącą na dziedzińcu.

— Dopiero przed kwadransem — odpowiedział stajenny, do którego zwrócone było to pytanie.

— Z damą i gentlemanem? — zapytał znowu pan Wardle drżący od niecierpliwości.

— Tak, panie.

— Gentleman we fraku, długonogi, szczupły?

— Tak, panie.

— Dama w średnim wieku, twarz chuda, skóra i kości? Co?

— Tak, panie.

— Pickwick, to oni! — zawołał stary gentleman.

— Byliby prędzej tu przyjechali — mówił dalej stajenny — ale złamał się im dyszel.

— To oni! — krzyczał Wardle. — Na Jowisza! Powóz i cztery konie! Natychmiast! Dopędzimy ich jeszcze przed następną stacją. Hej! Pocztylion! Prędko! Każdemu po gwinei! Spieszcie się! Spieszcie się, dzieci!

Zachęcając w taki sposób, stary gentleman biegał to na prawo, to na lewo, zajmując się wszystkimi szczegółami z energią, która udzieliła się nawet panu Pickwickowi. Pod wpływem tego filozof zaplątał swe nogi w uprzęż, przycisnął koło brzuchem wyobrażając sobie i wierząc mocno, że znakomicie przyczynia się do przyśpieszenia odjazdu.

— Właż pan, właż prędzej — zawołał stary Wardle, siadając do powozu i zamykając za sobą drzwiczki.

Pan Pickwick znajdował się z drugiej strony i nim miał czas zdać sobie sprawę z tego, o co chodziło, uczuł, jak go podnosi stary gentleman i wpycha posługacz stajenny. Konie ruszyły natychmiast z kopyta.

— No, teraz to jedziemy! — zawołał pan Wardle z zadowoleniem.

O tym, że jechali dzielnie, dostatecznie przekonywała pana Pickwicka ta okoliczność, iż nieustannie wchodził w styczność albo z twardymi bokami powozu, albo ze swym towarzyszem.

— Trzymaj się pan mocno — rzekł barczysty starzec do filozofa, który właśnie uderzył głową w sam środek jego przestronnej kamizelki.

— Nigdy w życiu tak mną nie trzęsło — odrzekł pan Pickwick.

— Nie zważaj pan na to — odpowiedział jego towarzysz. — To się prędko skończy.

Pan Pickwick wsunął się w ką, jak mógł najgłębiej, a powóz potoczył się jeszcze prędzej.

W ten sposób ujechali około trzech mil, gdy pan Wardle, który od kilku minut trzymał głowę za oknem, cofnął ją, całą obryzganą błotem, i zawołał zadyszany z niecierpliwości:

— Oto są!

Pan Pickwick wysunął natychmiast głowę za drugie okno i ujrzał w niewielkiej odległości powóz pędzący równie chyżo.

— Prędej! prędzej! — wrzeszczał stary gentleman. — Po dwie gwinee pocztylionom! Dopędzajcie ich! Dopędzajcie!

Konie z pierwszego powozu biegly z największą szybkością, konie pana Wardle'a pędziły zawzięcie za nimi.

— Widzę jego głowę! — zawołał choleryczny starzec. — Niech mnie Bóg skarzę, jeżeli nie widzę jego głowy!

— I ja także — odrzekł pan Pickwick. — To on!

Nie mylił się. W oknie pierwszego powozu najdokładniej było widać twarz pana Jingle'a, zupełnie pokrytą błotem od kół. Ruchy jego rąk, którymi gwałtownie wymachiwał ku pocztylionom, przekonywały, że zachęcał ich do pośpiechu.

Napięcie stało się ogromne. Pola, drzewa, płoty tylko migają obok nich z szybkością wichru. Już dojeżdżali do pierwszego powozu, słyszeli wśród turkotu kół głos pana Jingle'a łającego pocztylionów... Stary Wardle pienił się ze złości; sywał tuzinami „łotrów, łajdaków”; zaciskał pięści i groził nimi przedmiotowi swego oburzenia; ale na obraźliwe wyrazy pan Jingle odpowiadał tylko drwiącym uśmiechem, potem okrzykiem triumfu, gdy konie, powolne wzrastającej energii bicza i ostróg, podwoiły szybkość i zostawiły goniących nieco w tyle.

Pan Pickwick cofnął głowę od okna, pan Wardle, zmęczony krzykiem, uczynił to samo, gdy wtem gwałtowne wstrząśnięcie rzuciło ich ku przodowi powozu. Rozległ się okropny trzask, koło odleciało i powóz przewrócił się.

Po kilku chwilach zamieszania, podczas których słyhać było tylko tupanie koni i brzęk tłukących się szyb, pan Pickwick poczuł, jak go gwałtownie wyciągano spod szczątek powozu, a gdy stanął na nogach i wypłatał głowę z szala, co w bardzo znacznym stopniu utrudniało funkcjonowanie jego okularów, wtedy dopiero ocenił cały rozmiar klęski. Dniało i scena cała była najdoskonalej oświetlona światłem porannym.

Stary Wardle stał przy nim bez kapelusza, w podartym ubraniu. U stóp jego leżał pogruchotany powóz. Pocztylioni obryzгани błotem, obciąższy postronki, stali przed końmi. O sto kroków na przedzie widać było drugi powóz, który zatrzymał się na odgłos katastrofy. Jego pocztylioni z drwiącą miną spoglądali z wysokości swych siodeł na

przeciwników, a tymczasem pan Jingle patrzył z widocznym zadowoleniem na ruinę swych prześladowców.

— A co? — zawołał bezczelny komediant. — Czy nikt nie potłukł się? Gentleman już w pewnym wieku — odpowiedniej ciężkości — to niebezpieczne — bardzo niebezpieczne.

— Kanalia! — wrzasnął pan Wardle.

— A! tak! — odrzekł pan Jingle, a potem dodał mrugając okiem i z chytrą miną wskazując na wnętrze powozu: — Dobrze się ma, składa swoje uszanowanie, prosi, byście się panowie nie fatygowali! Ukłon staremu Tuppy... Może chcecie przysiąść z tyłu? W drogę, poczytylioni!

Poczytylioni wsiedli na konie, powóz potoczył się, a pan Jingle, wysunąwszy rękę za drzwiczki, począł machać chustką na znak pożegnania.

Dotychczas cała ta awantura nie zamąciła zawsze spokojnego umysłu pana Pickwicka; nawet wywrócenie się powozu i własnej jego osoby. Ale nie mógł znieść cierpliwie bezwstydu człowieka, który, pożyczwszy pieniędzy u jego wiernego zwolennika, pozwalał sobie skracać jego nazwisko na Tuppy. Poczzerwieniał aż do samych okularów i mocno odetchnąwszy rzekł powolnym i poważnym głosem:

— Jeżeli kiedykolwiek spotkam tego człowieka, to...

— Tak, tak — przerwał mu pan Wardle — wszystko to bardzo piękne, ale gdy my tu rozmawiamy, oni dostaną indult i pobiorą się w Londynie.

Pan Pickwick zamilkł i zachował zemstę w głębi serca.

— Jak daleko stąd do pierwszej stacji? — zapytał pan Wardle jednego z poczytylionów.

— Sześć mil, czy tak, Tomie?

— Cokolwiek więcej.

— Trochę więcej niż sześć mil, panie.

— Nie ma sposobu, trzeba iść piechotą, panie Pickwick — rzekł Wardle.

— Nie ma sposobu — powtórzył ten prawdziwie wielki mąż.

Z rozkazu pana Wardle'a jeden z poczytylionów pojechał konno naprzód, by zamówić inny powóz, drugi zaś pozostał, by pilnować rozbitego powozu. Tymczasem stary gentleman i pan Pickwick śmiało puścili się w drogę, starannie okręciwszy się szalami i nasunąwszy kapelusze na uszy, by, o ile można, chronić się od deszczu, który znowu począł padać.

Rozdział dziesiąty

przeznaczony na rozproszenie wszelkich wątpliwości (jeżeli jakie istniały) co do bezinteresowności pana Jingle'a

Istnieje dotąd w Londynie wiele starych oberży, które służyły za główną kwaterę najznakomitszym dylizansom w owych czasach, kiedy to dylizanse odbywały podróże w sposób poważny i uroczysty. Ale oberże te podupadły już, dziś dają przytułek tylko powozom do wynajęcia. Na próżno czytelnik szukałby tych dawnych gospod pomiędzy „Złotymi Krzyżami”, „Złotymi Bykami” lub „Złotymi Ustami”, podnoszącymi dziś dumnie czoło na pięknych ulicach Londynu. Jeżeli chciałby zobaczyć to, co z nich pozostało, powinien by udać się do najgorszych dzielnic miasta, a tam w jakim odległym zakątku ujrzy je jeszcze, stojące z ponurym uporem pośród nowoczesnych budynków.

W Borough zwłaszcza jest jeszcze z pół tuzina takich starych domostw, które bez zmiany zachowały szczególną swą fizjonomię, uniknąwszy zarówno szalu nowoczesnych upiększeń, jak i zakusów prywatnej spekulacji. Są to wielkie, obszerne, dziwaczne stare budynki z galeriami, korytarzami i schodami, szerokimi i staromodnymi dostatecznie, by dostarczyć tematu do całych setek niesamowitych opowieści, gdybyśmy kiedyś stanęli przed tą smutną koniecznością i musieli je wymyślać. Ba, trwałoby to chyba aż do końca świata, gdybyśmy chcieli wyczerpać wszystkie te niezliczone a prawdziwe opowiadania, zwłaszcza o starym Moście Londyńskim i jego najbliższym sąsiedztwie w okolicy Surrey. Na dziedzińcu „Białego Jelenia”, oberży może najznakomitszej pomiędzy tymi gotyckimi oberżami, rano, na drugi dzień po nieszczęsnych wypadkach, które opisaliśmy w poprzedzającym rozdziale, pewien mężczyzna zajęty był pracowitym zeskrobywaniem błota z pary butów. Człowiek ten miał na sobie kraciatą kurtkę z mankietami z czarnego perkalu i guzikami z zielonego szkła, spodnie z grubego sukna i kamasze, na szyi niedbale okręconą jaskrawoczerwoną chustkę i stary biały kapelusz na lewej stronie głowy. Przed osobą tą stały dwa rzędy butów: jeden czystych, drugi zabłoconych. Dostawiając nową parę do rzędu czystych osoba ta za każdym razem zatrzymywała się na chwilę, by popatrzeć na dzieło swoje z widocznym zadowoleniem.

Na dziedzińcu nie było ani hałasu, ani ruchu, jaki charakteryzuje zajazdy, w których przystają dylizanse. Dwa czy trzy kabriolety, dwie czy trzy bryczki pocztowe stały pod dachem. Trzy czy cztery wozy, naładowane towarami do wysokości drugiego piętra zwyczajnych domów, mieściły się pod ogromną szopą w jednym kącie dziedzińca; jeden z powozów, który miał zapewne tego rana wyruszyć w podróż, wytoczono.

Budynki wznoszące się po dwóch stronach równoległoboku ozdobione były podwójnym rzędem galerij z potężnymi drewnianymi podporami; na galerie te wychodził podwójny szereg drzwi do pokojów. Dwa rzędy sznurów od dzwoneków ciągnęły się nad drzwiami pod małym daszkiem łupkowym. Od czasu do czasu tupanie koni lub szcęk łańcuchów oznajmiał tym, których by to mogło obchodzić, że przy końcu dziedzińca znajduje się stajnia. Jeżeli do tego obrazu dodamy kilku ludzi w płóciennych bluzach, śpiących na pakach towarów, kilka worów wełny i innych tego rodzaju artykułów, tudzież kupy siana, to będziemy mieli dokładny, o ile można, opis wewnętrznej strony dziedzińca „Białego Jelenia” przy High Street, Borough, w ów poranek, o którym mowa.

Rozległ się głos jednego z dzwonek i na galerii drugiego piętra ukazała się zwinna służąca, zapukała do jednych drzwi, weszła do pokoju i otrzymawszy zlecenie krzyknęła z galerii:

— Sam!

— Jestem — odpowiedział człowiek w białym kapeluszu.

— Nr 22 żąda butów.

— Niech panna zapyta nr 22, czy chce mieć je zaraz, czy też zechce poczekać, bym je wyczyścił.

— No, no. Samie! Bez tych konceptów — dobrotliwie odrzekła dziewczyna — gentleman potrzebuje butów natychmiast.

— Słowo honoru! panna jest wyborna — odparł czyścibut. — Popatrz no panna na te buty. Jedenaście par i jeden trzewik, należący do nru 6, z drewnianym szcudłem. Buty muszą być oddane o wpół do dziewiątej, a trzewik o dziewiątej. Cóż to za nr 22, który tak chce wszystkich ubiec? Nie, nie — po kolei, jak mówił mistrz Jan Wiesidełko do gentlemanów, których miał wieszać. Przykro mi, że musiał pan czekać, ale zaraz się z panem załatwię.

Tak mówiąc, człowiek w białym kapeluszu zaczął pracować nad butami ze zdwojonym pośpiechem.

Znów rozległ się głos innego dzwoneka i stara oberżystka spod „Białego Jelenia” ukazała się zakłopotana, na przeciwległej galerii.

— Sam! — krzyknęła. — Gdzie ten próżniak? Ten... A! Jesteś tu! Sam! Dlaczego nie odpowiadasz?

— Czyżby to było grzecznie odpowiadać, kiedy pani nie skończyła jeszcze? — odrzekł Sam trochę ostro.

— Masz wyczyścić natychmiast te trzewiki dla nru 17 i zanieść je do salonu nr 5, na dole.

To powiedziawszy oberżystka rzuciła na dziedziniec damskie trzewiki i odeszła.

— Nr 5 — rzekł Sam biorąc trzewiki i wyjmując z kieszeni kawałek kredy, by zanotować ten numer na podeszwie. — Damskie trzewiki i salon... założę się, że ta pani nie wozem tu przyjechała.

— Przyjechała dziś rano — odezwała się służąca z galerii — dorożką, z gentlemanem, i on to właśnie potrzebuje owych butów. Ale prędko! Co cię to wszystko obchodzi?

— Czemuś mi panna nie powiedziała od razu? — zawołał Sam z wielkim oburzeniem, szukając rzeczonych butów w kupie obuwia. — Skąd mogłem wiedzieć, że to nie zwyczajna nasza praktyka trzypensowa. Osobny pokój i do tego dama! Jeżeli w jego skórze mieści się prawdziwy gentleman, to mi pewno da szylinga, nie licząc komisowego.

Zachwycony tymi pocieszającymi uwagami, Samuel począł czyścić z takim zapałem, że w kilka minut tak butom, jak i trzewikom nadał połysk niepospolity, mogący napełnić zazdrością nawet serce czcigodnego pana Warrena (gdyż czyścidle do butów dla zajazdu „Pod Białym Jeleniem” dostarczała firma Day i Martin). Potem udał się czyścibut z wzorowymi okazami swej sztuki pod drzwi nr 5.

— Wejść! — odpowiedział głos męski na pukanie Sama.

Sam, ukłoniwszy się, jak mógł najpiękniej, znalazł się w obecności damy i gentlemana zabierających się do śniadania. Uprzejmie więc ustawiwszy buty przy nogach gentlemana, a trzewiki przy nogach damy, cofnął się ku drzwiom.

— Garson! — zawołał gentleman.

— Jestem, panie — odrzekł Sam, zamykając drzwi i trzymając rękę na klamce.

— Czy nie znasz tego... jakże się to nazywa?... Doctors' Commons?

— Znam, panie.

— Gdzie to jest?

— Paul's Churchyard, panie. Niska arkada od ulicy na lewo, tuż obok księgarnia, po drugiej stronie oberża, a w środku stoi przy drzwiach dwóch pośredników podejmujących się wyrabiania indultów dla tych, którzy tego potrzebują.

— Indultów? — powtórzył gentleman.

— Tak, ślubnych indultów — powtórzył Sam. — Dwa indywidua w białych frakach zdejmują kapelusze, gdy pan wchodzi, i mówią: — Indult, panie, indult? — Śmieszni ludzie i ich panowie także! Nie więcej warci od adwokatów, u których zasięgają rady procesujący się w sądzie.

— A cóż oni robią? — zapytał gentleman.

— Co oni robią? Oni, panie, wyprowadzają ludzi w pole! To byłoby jeszcze nie najgorsze. Wmawiają w stare mózgownice rzeczy, o jakich im nigdy się nie śniło. Mój ojciec, panie, był stangretem, stangretem wdowcem, panie, dostatecznie otyłym, by się odważyć na wszystko. Zdumiewająco otyły jest mój ojciec. Gdy mu żona umarła, zostawiła mu czterysta gwinei — dobrze! Idzie ojciec do Commons, by się zobaczyć z prawnikiem i dostać *quibus*. Dzielną postawę ma mój ojciec! Buty z cholewami, w butonierce bukiet, kapelusz z szerokimi brzegami, zielony szal — skończony gentleman! Idzie pod arkadę, myśląc, gdzie by ulokować pieniądze. Dobrze! Nadchodzi pośrednik. Dotyka kapelusza: — Czy nie o indult, panie? — Co takiego? — pyta mój ojciec. — Pozwolenie na małżeństwo — powiada. — Niech mnie Bóg skarże — mówi mój ojciec — jeżeli kiedy pomyślałem o tym. — Sądzę, że panu potrzebny indult — mówi komisjoner. Mój ojciec zatrzymuje się i odrobinę się namyśla: — Nie — powiada — niech diabli wezmą! Za stary jestem. A przy tym zanadto otyły — powiada. — O, ba! panie — mówi tamten. — Czy tak pan myślisz? — pyta ojciec. — Jestem tego pewny — odpowiada. — Przeszłego poniedziałku ożeniliśmy gentlemana dwa razy większej korpulencji. — Czy tak? — pyta mój ojciec. — A tak! Pan obok niego jesteś jak szczapa. Tędy, panie, tędy!

I mój ojciec idzie za nim, jak oswojona małpa za katarzynką, do ciemnego biura, gdzie siedział jakiś jegomość pomiędzy zatłuszczonymi papierami i blaszanymi skrzynkami i pracował nad tym, by sądono, że coś robi. — Siadaj pan, ja tymczasem napiszę świadectwo — mówi prawnik. — Dziękuję panu! — mówi mój ojciec, siada i wytrzeszczywszy oczy, z otwartymi ustami przygląda się napisom na skrzynkach. — Jak się pan nazywa? — pyta prawnik. — Tony Weller — mówi mój ojciec. — Parafia pańska? — pyta tamten. — Belle Savage — odpowiada mój ojciec, bo zwykle zajeżdżał do tej oberży i nic nie znał się na parafiach. — A jak się nazywa dama? — zapytał prawnik. Tu mój ojciec zapomniał języka w gębie. — Niech mnie diabli wezmą, jeżeli wiem! — powiada. — Pan nie wie? — pyta prawnik. — Wiem tyle, co i pan — powiada ojciec. — Czy nie można by dodać nazwiska potem? — powiada. — Niepodobna — mówi prawnik. — Bardzo dobrze — mówi ojciec, pomyślawszy nieco. — Pisz pan: pani Clarke. — Clarke, co więcej? — mówi prawnik, maczając pióro w kałamarzu. — Zuzanna Clarke z oberży „Pod Markizem Granby” w Dorking — mówi mój ojciec. — Sądzę, że weźmie mnie, gdy się oświadczę. Nigdy wprawdzie nie wspominał jej o tym, ale weźmie, jestem tego pewny. — Otóż w ten sposób indult został napisany. I rozumie się, że wzięła; ale co najgorsze, trzyma go do dziś dnia, a ja nie widziałem nawet, jak wygląda tych czterysta gwinei. Nie ma nadziei. Bardzo pana przepraszam — dodał Sam pod koniec swego opowiadania —

ale jak raz zacznę mówić o tym kłopotcie, to już nie mogę zatrzymać się, jak nowa taczka z dobrze nasmarowanym kołem.

To rzekłszy i zaczekawszy jeszcze chwilę, by się przekonać, czy nie będzie potrzebny, wyszedł z pokoju.

— Pół do dziesiątej! Już czas! — rzekł wówczas gentleman, którym był pan Jingle, czego zdaje się, nie mamy potrzeby mówić.

— Czas na co? — zapytała ciotka–panna wdzięcząc się.

— Czas wyrobić indult, drogi aniele. Potem trzeba będzie dać znać do kościoła. Jutro rano będziemy już należeć do siebie — odpowiedział pan Jingle, ściskając rękę ciotki–panny.

— Indult!... — krzyknęła Rachela i zarumieniła się.

— Indult — powtórzył pan Jingle.

Cwałem, cwałem, biegnę, leczę.

Biorę indult i powracam!

— Jak się pan spieszy! — rzekła Rachela.

— Spieszy! Zobaczy pani, jak nam lecieć będą godziny, dni, tygodnie, miesiące, lata, gdy się połączymy. Pioruny, błyskawice, lokomotywy o sile tysiąca koni nie lecą tak szybko.

— Czy nie moglibyśmy... czy nie moglibyśmy wziąć ślubu przed jutrem? — zapytała Rachela.

— Niepodobna! Trzeba dać znać do kościoła! Dziś indult — ceremonia jutro!

— Strasznie się obawiam, by nas brat nie wysłodził.

— Nas wysłodził? Żarty! Za silne wstrząśnienie przy wywrocie! Zresztą nadzwyczajna ostrożność: wysiedliśmy z pocztowego powozu, szli piechotą, wzięli fiakra, przybyli do Borough; ostatnie to miejsce, gdzie nas szukać będą. O! Pomyśl doskonały.

— Nie baw pan długo — rzekła ciotka–panna z afektacją, widząc, że pan Jingle bierze swój kapelusz z zadartym rondem.

— Długo? Z dała od pani? O okrutna piękności!

I pan Jingle podszedł z rozczuloną miną ku Racheli, wycisnął na jej ustach niewinny pocałunek, po czym lekko wymknął się z pokoju.

— Luby kochanek! — rzekła ciotka–panna, gdy zamykał drzwi.

„Śmieszna stara wariatka!” — pomyślał pan Jingle, wychodząc.

Przykre to zadanie rozwodzić się nad przewrotnością naszego rodzaju. Nie będziemy więc śledzić wątku rozmyślań pana Jingle’a w drodze do Doctors’ Commons. Dość, gdy powiemy, że uniknął zasadzki indywiduów w białych fartuchach, strzegących wejścia do tego zaczarowanego miejsca, i dotarł do samego biura generalnego wikarego. Tam zaopatrzył się w uprzejme pismo biskupa z Canterbury: „Wiernym nam i miłym Alfredowi Jingle i Racheli Wardle pozdrowienie”. Starannie schował do kieszeni ten mistyczny dokument i z triumfem powrócił do Borough.

Był jeszcze w drodze, gdy dwóch gentlemanów otyłych i jeden gentleman chudy weszło na dziedziniec oberży „Pod Białym Jeleniem”, szukając wzrokiem kogokolwiek, komu by mogli zadać pewną ilość pytań. Pan Samuel Weller, urzędowy czyścibut „Białego Jelenia”, był właśnie zajęty w tej chwili czernieniem pary butów należących do właściciela pewnej dzierzawy, który po przeżyciach targu w Borough pokrzepiał się

małym śniadaniem złożonym z kilku funtów zimnego mięsa i z większej ilości szklanic piwa. Do niego więc zwrócił się chudy gentleman.

— Mój przyjacielu — odezwał się.

„Ten, zdaje się, lubi bezpłatne konsultacje. W przeciwnym razie nie byłby we mnie tak rozmiłowany od pierwszego wejrzenia” — pomyślał sprytny chłopak, ale poprzestał na zapytaniu: — Co, panie?

— Mój przyjacielu! — powtórzył chudy gentleman z pojednawczym „hm!” — macie tu teraz wielu podróżnych, co?

Sam spojrział na pytającego. Był to niewielki człowieczek, z miną zakłopotaną, twarzą śniadą i kościstą, której małe oczy, ciągle mrugające po obu stronach chudego inkwizytorskiego nosa, zdawały się grać w chowanego przy pomocy tego organu. Czarny jego frak mocno uwydatniał białość koszuli i wąskiej chustki na szyi, na czarnych zaś spodniach jaśniał złoty łańcuch z brelokami, a buty błyszczały jak oczy. W rękę trzymał kozłowe rękawiczki, a gdy mówił, wsadzał obie ręce pod poły fraka z miną człowieka przywykłego do stawiania pytań.

— Wiele roboty, co? — rzekł mały człowieczek.

— A tak, sporo, panie — odrzekł Sam. — Nie zbankrutujemy ani też nie zrobimy fortuny. Jadamy duszoną baraninę bez kaparów, a gdy dorwiemy się do wołowiny, to dodajemy chrzanu.

— A! — zawołał mały człowieczek — widzę, że żartowniś z siebie? Co?

— Mój starszy brat dotknięty był tą chorobą — odrzekł Sam. — Sypialiśmy razem, może to zaraźliwe...

— Szczególny stary dom! — zaczął znów mały człowieczek spoglądając dokoła.

— Trzeba było nas uprzedzić o przybyciu, porobiono by reperacje — odrzekł nie zmieszany pucybut.

Rozmawiający, zdawało się, był nieco zbity z tropu tymi ironicznymi odpowiedziami. Nastąpiła krótka narada między nim a dwoma tłustymi gentlemanami; potem chudy jegomość wziął szczyptę tabaki z dużej srebrnej tabakierki i miało się wrażenie, że zamierzał na nowo rozpocząć rozmowę, gdy jeden z jego towarzyszy, który oprócz uprzejmej powierzchowności posiadał parę okularów i parę czarnych kamaszy, zbliżył się i powiedział, wskazując na drugiego tłustego gentlemana:

— Rzecz się ma tak: mój przyjaciel da pół gwinei, jeżeli zechcesz odpowiedzieć na jedno lub dwa...

— Ależ kochany panie! Kochany panie! — przerwał mały człowieczek. — Pozwól pan, proszę bardzo, kochany panie! Pierwszą zasadą, jaką należy zachować w podobnych wypadkach, jest to, że jeżeli oddaje pan sprawę w ręce człowieka kompetentnego, nie należy mieszać się mu pod żadnym pozorem do jego czynności. Trzeba powierzyć się z zupełnym zaufaniem. Doprawdy, panie...

Tu zwrócił się do drugiego tłustego gentlemana, mówiąc:

— Zapomniałem nazwiska pańskiego przyjaciela...

— Pickwick — rzucił pan Wardle, gdyż on to był we własnej osobie.

— A! Pickwick. Doprawdy, panie Pickwick, niech mi pan daruje, kochany panie. Z największą przyjemnością wysłucham prywatnie zdania pańskiego, jakie pan ma, jako *amicus curiae*, ale sam pan powinien zrozumieć niesłuszność swej interwencji w tej chwili, zwłaszcza co do argumentu *ad captandam*, jakim jest ofiara gwinei. Doprawdy, kochany panie, doprawdy... — I mały człowieczek przybrał minę poważną, zażywszy szczyptę tabaki w sposób bardzo przekonujący.

— Jedynym moim życzeniem — odrzekł pan Pickwick — było jak najprędzej doprowadzić do końca tę nieprzyjemną sprawę.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — rzekł mały człowieczek.

— Dlatego też — mówił dalej pan Pickwick — zrobiłem użytek z argumentu, który moje doświadczenie każe mi poczytywać za najskuteczniejszy w każdym wypadku.

— Tak, tak — odrzekł mały człowieczek — dobrze, bardzo dobrze, to prawda, ale pan powinieś być mnie go podać. Pan wie, jestem tego pewny, jak nieograniczone zaufanie należy pokładać w swym pełnomocniku. Jeżeli trzeba przytoczyć autorytet, to pozwól mi pan powołać się na znany wypadek Barnwella...

— Niech sobie panowie nie kręcą głowy tym Jerzym Barnwellem — przerwał Sam, którego mocno dziwił cały dialog. — Cały świat zna jego historię, a ja, jak mnie pan widzi, zawsze byłem zdania, że raczej młoda kobieta zasługiwała na powieszenie. Ale to wszystko jedno; to nie należy do rzeczy. Chcecie, panowie, bym przyjął pół gwinei? Bardzo dobrze, nie mam nic przeciwko temu — cóż mogę więcej zrobić? Prawda, panie? (Pan Pickwick uśmiechnął się). Więc idzie tylko o to, bym wiedział, czego, u licha, chcecie ode mnie, jak tam ktoś powiedział, ujrzawszy upiora.

— Chcielibyśmy wiedzieć... — zaczął pan Wardle.

— Ależ mój kochany panie! — przerwał mały człowieczek z zakłopotaną miną. Pan Wardle wzruszył ramionami i zamilkł.

— Chcielibyśmy dowiedzieć się — zaczął uroczyście mały człowieczek — i zwracam to pytanie do pana, by nie wzbudzać niepotrzebnych domysłów w oberży: chcielibyśmy wiedzieć, kto się tu obecnie znajduje?

— Kto się tu znajduje? Jest para butów węgierskich pod numerem 13 — odrzekł Sam, w którego umyśle lokatorowie reprezentowani byli przez obuwie zostające pod jego bezpośrednim nadzorem. — Jest drewniane szczudło pod numerem 6, dwie pary półbucików w sali wspólnej. Są buty z cholewami, tu na dole, i pięć par butów w pokoju gościnnym.

— Więcej nie ma? — zapytał mały człowieczek.

— Zaczekaj no pan trochę — odrzekł Sam przypominając sobie. — Tak, jest jeszcze para butów *à la* Wellington; dobrze przechodzonych, i damskie trzewiki pod nrem 5.

— Co to za trzewiki? — zapytał z pośpiechem pan Wardle, który, jak i pan Pickwick, zgubił się w tym dziwnym katalogu mieszkańców oberży.

— Trzewiki z prowincji.

— Czy jest nazwisko szewca?

— Brown.

— Skąd?

— Z Muggleton.

— To oni! — wykrzyknął pan Wardle. — Przysięgam, żeśmy ich znaleźli!

— Pst! — szepnął Sam. — Wellingtony poszły do Doctors' Commons.

— Oho! — zawołał mały człowieczek.

— Tak, tak, po indult.

— W czas przybywamy — zawołał pan Wardle. — Pokaż nam ich pokój, nie ma chwili do stracenia.

— Ależ, proszę pana, kochany panie, bardzo proszę — rzekł mały człowieczek. — Roztropność! Roztropność!

To mówiąc, wyjął z kieszeni czerwoną jedwabną sakiewkę, a z niej suwerena i znacząco spojrzął na Sama, który uśmiechnął się wymownie.

— Pokaż nam pokój natychmiast, lecz nie anonsując — rzekł mały człowieczek — a będzie twój.

Sam rzucił w kąt but, który trzymał, i poprowadził naszych znajomych przez długi, ciemny korytarz, zatrzymał się i wyciągnął rękę.

— Oto masz — rzekł cicho adwokat, kładąc suwerena na dłoni przewodnika. Sam zrobił jeszcze kilka kroków i znowu zatrzymał się przy drzwiach.

— Czy tu? — zapytał mały człowieczek. Sam skinął głową potwierdzająco. Stary Wardle otworzył drzwi i wszyscy trzej weszli do pokoju właśnie w tej samej chwili, gdy pan Jingle, który już powrócił, pokazywał indult ciotce–pannie.

Rachela krzyknęła głośno, pochyliła się na krzesło i zakryła twarz rękami. Pan Jingle zmiął indult i włożył go do kieszeni. Goście wtenczas wystąpili na środek pokoju.

— Pan jesteś wielki łotr! — zawołał stary Wardle zadyszany od gniewu. — Pan jesteś...

— Kochany panie, mój kochany panie! — przerwał mały człowieczek, kładąc na stole swój kapelusz. — Proszę pana, uważaj pan. *Scandalum magnum...* — infamia... — sprawa o obrazę honoru... — Uspokój się pan, proszę.

— Jak pan śmiałeś uwozić moją siostrę z mego domu? — zaczął znowu pan Wardle.

— Tak, tak, bardzo dobrze — odrzekł mały człowieczek. — O to może go pan pytać. Jak pan śmiałeś uwozić jego siostrę, co, panie!

— A to co za diabeł! — krzyknął pan Jingle głosem tak gwałtownym, że mały człowieczek mimowolnie cofnął się o dwa czy trzy kroki.

— Co za diabeł? Łotrze! To mój adwokat, pan Perker. Perker! Chcę wytoczyć proces temu wagabundzie, chcę, aby go uwięziono... chcę... chcę... niech mnie Bóg skarże... chcę go zniszczyć. A ty — mówił dalej pan Wardle, zwróciwszy się do swej siostry — ty, Rachelo! W twoim wieku! Kiedy już powinnaś była znać świat! O czym myślałaś, uciekając z tym urwisem? Weź kapelusz i ubieraj się. Każcie sprowadzić powóz i podać rachunek tej pani.

— Jestem, panie! — odrzekł Sam, który na gwałtowne dzwonicie pana Wardle'a nadbiegł z szybkością mogącą się wydać podejrzaną każdemu, kto by nie wiedział, że całą tę scenę czyścibut widział przez dziurkę od klucza.

— Bierz kapelusz — powtórzył pan Wardle.

— Nie rób, pani, tego — zawołał Jingle. — Wyoś się pan stąd! Nie ma pan tu co robić. Dama jest wolna i jest panią swych czynów. Ma skończone dwadzieścia jeden lat.

— Dwadzieścia jeden lat! — zawołał pan Wardle z pogardą. — Ma więcej niż czterdzieści!

— Nieprawda! — zawołała ciotka–panna, której oburzenie przemogło chęć zemdlenia.

— Prawda — odrzekł pan Wardle. — Masz pięćdziesiąt lat, jak jeden dzień.

Ciotka–panna krzyknęła przeraźliwie i straciła przytomność.

Pan Pickwick ze zwykłą swą słodyczą przywołał gospodynię domu i poprosił o szklanekę wody.

— Szklanekę! — wrzasnął impetyczny starzec. — Przynieście wiadro i całe wylejcie na nią. To ją ochłodzi.

— Fe! Jaki z pana brutal! — zawołała ze współczuciem właścicielka hotelu. Potem, po mnóstwie wykrzykników w rodzaju: — Biedna kobiecina! Uspokój się, pani, uspokój! Wypij, pani, trochę tego, to panią wzmocni. Nie martw się, pani. Biedna istota! — itd. i przy pomocy służącej poczęła skraplać skronie ciotki–panny, trzepać ją po rękach, łaskotać w nos, rozsznurowywać gorset, słowem — robić wszystko, co robią czule matrony damom usiłującym mieć ataki nerwowe.

— Powóz gotów, panie — rzekł Sam ukazując się we drzwiach.

— No! Chodźmy! — rzekł pan Wardle. — A ją niech zaniosą do powozu. Na tę propozycję atak rozpoczął się z nową gwałtownością.

Już właścicielka hotelu miała zaprotestować przeciw takiemu postępowaniu i już nawet zapytała z oburzeniem, czy pan Wardle poczytuje siebie za pana wszelkiego stworzenia, gdy wmieszał się pan Jingle.

— Garson! — zawołał. — Sprowadź konstabla.

— Czekał pan! Czekał — rzekł mały Perker. — Zważ pan, że...

— Nie chcę na nic zważać — rzekł pan Jingle. — Ona jest niezależna. Zobaczymy, kto się ośmieli uprowadzić ją stąd wbrew jej woli.

— Nie chcę, by mnie uprowadzono — szepnęła omdlała dama. — Nie chcę! (Tu znów nastąpił okropny atak nerwowy).

— Moi kochani panowie — rzekł mały adwokat, biorąc na stronę pana Wardle'a i pana Pickwicka — znajdujemy się w położeniu bardzo krytycznym. Jest to wypadek przykry; nie znałem dotąd podobnie przykrego wypadku; bo, prawdę mówiąc, nie mamy żadnego prawa kontrolowania tej damy. Uprzedziłem, nim tu przyszedliśmy, moi kochani panowie, że nie ma innego sposobu, tylko ugoda.

— Jaką pan chce zrobić ugodę? — zapytał pan Pickwick.

— Widzi pan, kochany panie, przyjaciel pański jest w położeniu bardzo nieprzyjemnym, nadzwyczaj nieprzyjemnym. Powinien więc przystać na poniesienie pewnych strat pieniężnych.

— Wolę zapłacić aniżeli znosić taką hańbę! Nizeli cierpieć, by ta kobieta, chociaż wariatka, była nieszczęśliwa przez całe życie.

— Sądzę, że da się to ułożyć — rzekł mały, zakłopotany człowieczek. — Panie Jingle, czy nie zechce pan pójść z nami na chwilkę do sąsiedniego pokoju?

Pan Jingle przystał na to, poszli więc we czterech.

— Teraz, mój panie — rzekł mały człowieczek starannie zamykając drzwi — czy nie ma sposobu porozumienia się w tej sprawie? Chodź no pan tu, pod okno, rozmówimy się w cztery oczy. Tu, panie, tu! Siadaj pan. Teraz, kochany panie, między nami mówiąc, wiemy, kochany panie, żeś porwał tę damę z miłości do jej majątku. Niech pan nie marszczy brwi, kochany panie, to się na nic nie przyda. Mówię panu, że między nami mówiąc, my wiemy o tym. Obaj jesteśmy ludzie światowi i obaj wiemy bardzo dobrze, że nasi znajomi, tu obecni, nie są nimi. Prawda, panie?

Twarz pana Jingle'a rozjaśniała się stopniowo podczas tej przemowy, a nawet zdawało się, że lewa jego powieka jakby mrugnęła odrobinę.

— Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! — mówił dalej pan Perker, dostrzegłszy wrażenie, jakie sprawił. — Teraz faktem jest, że dama nie będzie miała nic albo nie bardzo wiele, aż do śmierci matki... osoby wielkiego zdrowia, kochany panie.

— Już stara! — odrzekł pan Jingle lakonicznie, ale z energią.

— Tak, to prawda — odrzekł adwokat, lekko odkaszlnąwszy — ma pan słusność, kochany panie, już bardzo podeszła w latach. Ale pochodzi ze starej rodziny, kochany panie, starej w całym tego słowa znaczeniu. Przodek jej rodziny przybył do hrabstwa Kent za czasów inwazji Juliusza Cezara i od tego czasu jeden tylko z Wardle'ów nie dożył osiemdziesięciu pięciu lat i to dlatego tylko, że został ścięty z rozkazu króla Henryka. Stara dama ma dopiero siedemdziesiąt trzy lata, kochany panie.

Mały człowieczek zatrzymał się i zażył tabaki.

— A więc? — zapytał pan Jingle.

— A więc, kochany panie... Czy pan nie zażywa tabaki? Ma pan słuszość, to kosztowne przyzwyczajenie. A więc, kochany panie, pan jesteś przystojny, światowy, na drodze do fortuny... Czy ma pan jaki kapitał?

— Co? — zapytał pan Jingle.

— Pan mię nie rozumie?

— Niezupełnie.

— Czy nie sądziłby pan... przechodzę do faktu, kochany panie, czyby nie był pan zdania, że pięćdziesiąt gwinei i wolność byłoby przyjemniejsze aniżeli miss Wardle i nadzieje?

— Niepodobna! — odrzekł pan Jingle wstając. — Dwa razy tyle byłoby też za mało.

— Nie, nie, kochany panie — odparł mały adwokat, zatrzymując go za guzik — to piękna, okrągła sumka. Człowiek taki jak pan może ją potroić w bardzo krótkim czasie. Z pięćdziesięcioma gwineami można zrobić niejedno, kochany panie.

— Ze stu pięćdziesięcioma jeszcze więcej — odrzekł zimno pan Jingle.

— No, no, kochany panie, nie traćmy czasu na rozszczepianie włosa na czworo. Powiedzmy... powiedzmy osiemdziesiąt!... — zdecydował adwokat.

— Mało!

— Czekaj no pan, czekaj! Ile pan chce?

— Sprawa kosztowna — wydatki, konie pocztowe dziesięć gwinei, indult trzy gwinee — dwadzieścia, stracone korzyści sto gwinei — sto dwadzieścia. Strata honoru mojego i damy...

— No, no, kochany panie, no! — przerwał adwokat z ironiczną miną — nie mówmy o dwóch ostatnich artykułach. Wszystko razem czyni sto dwadzieścia gwinei. Niech będzie okrągłe sto.

— Sto dwadzieścia.

— No, no! Napiszę panu czek — rzekł mały człowieczek, siadając przy stole i biorąc się do pisania. — Czek płatny pojutrze; a przez ten czas zabierzemy damę? — dodał zapytując wzrokiem pana Wardle'a.

Ten kiwnął ponuro na znak zgody.

— Sto — powtórzył mały człowieczek.

— I dwadzieścia — dodał pan Jingle.

— Ale, kochany panie! — zawołał adwokat.

— Daj mu je pan — przerwał pan Wardle — i niech idzie do diabła razem z nimi!

Czek został napisany przez małego gentlemana i schowany do kieszeni przez pana Jingle'a.

— Teraz wynoś się pan natychmiast! — zawołał pan Wardle, wstając.

— Mój kochany panie... — zaczął znowu adwokat.

— I wiedz pan o tym — ciągnął dalej pan Wardle nie zważając, że mu przerywano — i wiedz pan, że nic na świecie, nawet honor mojej rodziny, nie zmusiłby mnie do przystania na ten układ, gdybym nie miał tego przekonania, że im prędzej będziesz miał pieniądze, tym prędzej diabli cię wezmą.

— Mój kochany panie... — zaczął znowu perswadować adwokat.

— Siedź pan cicho — rzekł jego gniewny klient — a pan wynoś się...

— W drogę! Bez zwłoki! — odparł beznamiętny pan Jingle. — *Adieu, Pickwick!*

Gdyby jaki bezinteresowny widz mógł widzieć przy końcu tej rozmowy zachowanie się znakomitego męża, którego nazwisko zdobi tytuł naszego dzieła, to zdziwiłby się, że ogień oburzenia tryskający mu z oczu nie stopił mu szkieł okularów. Nozdrza rozdęły mu

się, pięści zacisnęły mimowolnie, gdy nędznik nazwał go tak familiarnie. Ale się pohamował i nie zmiażdżył go.

— Masz pan! — ciągnął dalej zatwardziały zbrodniarz, rzucając indult pod nogi pana Pickwicka. — Zmieńcie nazwisko, zabierzcie damę, przyda się dla Tuppy.

Pan Pickwick był filozofem. Ale, niech kto co chce mówi, i filozofowie nie są niczym więcej jak ludźmi odzianymi w zbroję mądrości.

Morderczy cios przebił filozoficzny pancerz naszego bohatera i głęboko zranił mu serce. W napadzie wściekłości pan Pickwick cisnął na chybił trafił kałamarzem, którym posługiwał się pan Perker, i sam rzucił się w tym kierunku. Ale przeciwnik jego znikł i pan Pickwick znalazł się w objęciach Sama.

— Oho! — zawołał znakomity czyścibut. — Ruchomości muszą być niedrogie w pańskich okolicach. Oto atrament sam piszący. Wypisał na ścianie nazwisko pana. Teraz daj pan pokój! Na co się zdało biec za człowiekiem, który jest już na pewno na drugim końcu Borough?

Umysł pana Pickwicka, jak wszystkich osobistości prawdziwie wielkich, zawsze był dostępny perswazjom, a ponieważ rozumował mądrze i szybko, więc wystarczyło jednej chwili zastanowienia, by przekonać się o bezużyteczności tego gniewu. Pan Pickwick uspokoił się więc równie prędko, jak się wzburzył, i łagodnym wzrokiem spojrzął na swych przyjaciół.

Czy mamy tu przytaczać lamentacje panny Wardle, gdy się dowiedziała, w jaki sposób opuścił ją kochanek? Czyż mamy kreślić tu szczegółowo przebieg tej rozdzierającej sceny, tak ślicznie opisanej przez pana Pickwicka? Jego notatnik leży otwarty przed nami, niewielka żółta plama świadczy, ile mu łez wycisnęła sympatia dla ludzkości. Jedno słowo i notaty te będą w rękach drukarza. Ale nie! Oprzemy się tej myśli! Nie będziemy zasmucać czytelników obrazami okropnych cierpień.

Na drugi dzień ciężki powóz z Muggleton powiózł powoli i smutno dwóch przyjaciół i opuszczoną damę.

Cienie nocne od dawna już wszystko zaległy, gdy przybyli do Manor Farm.

Rozdział jedenasty

opisujący inną podróż i odkrycie starożytnego zabytku oraz zawierający postanowienie pana Pickwicka asystowania przy wyborach — Rękopis starego księdza

Całonocny wypoczynek wśród ciszy Dingley Dell, a rano godzina oddychania świeżym balsamicznym powietrzem wiejskim zatarły zupełnie u pana Pickwicka ślady znużenia, jakiego doznało jego ciało, i usunęły niepokój, który poruszył jego umysł. Od dwóch dni znakomity ten człowiek nie widział swych przyjaciół i uczniów, gdy więc wracając z przechadzki spotkał panów Winkle'a i Snodgrassa, błogie wzruszenie, z jakim podszedł do nich, by powiedzieć im „dzień dobry”, zaledwie zdołałaby pojąć pospolita wyobraźnia. Radość była obopólna. Bo któż, w samej rzeczy, mógł spoglądać na rozpromienione oblicze pana Pickwicka i nie doznać wielkiego wrażenia? A jednak zdawało się, że jakaś chmura zaciemnia czoła jego zwolenników. Mieli miny tajemnicze, niezwykle, a zarazem niepokojące. Wielki człowiek spostrzegł to, ale nie mógł odgadnąć przyczyny.

Uściskawszy ręce dwóch młodych ludzi i gorąco wygłosiwszy powitanie, pan Pickwick zapytał:

— Jak się ma pan Tupman?

Pan Winkle, do którego zwrócone były te wyrazy, nie dał żadnej odpowiedzi. Odwrócił głowę i zdawało się, pogrążył się w melancholijnym rozmyślaniu.

— Snodgrass — zaczął znowu pan Pickwick z ożywieniem — jak się ma nasz przyjaciel? Czy chory?

— Nie — odparł pan Snodgrass i łza zabłysła mu na czulej powiece, jak kropla deszczu na oknie. — Nie, nie jest chory.

Pan Pickwick spoglądał kolejno to na jednego, to na drugiego.

— Winkle, Snodgrass! — zawołał potem, dostatecznie napatrzywszy się. — Co to wszystko znaczy? Gdzie nasz przyjaciel? Co się stało? Powiedzcie, błagam was, zaklinam! Ale co mówię? Rozkazuję wam, mówcie!

W postawie i akcencie pana Pickwicka było tyle godności i powagi, iż niepodobna było opierać się.

— Opuścił nas — odrzekł pan Snodgrass.

— Opuścił? — zawołał pan Pickwick.

— Opuścił — powiedział pan Snodgrass.

— Gdzie jest? — zapytał pan Pickwick.

— Możemy tylko czynić pewne przypuszczenia na podstawie tego pisma — odrzekł pan Snodgrass, wyjmując z kieszeni list i wręczając go swemu mistrzowi. — Wczoraj rano, gdyśmy otrzymali wiadomość od pana Wardle'a, że powróci w nocy wraz ze swą siostrą, zauważyliśmy, że melancholia zaciemniająca duszę naszego przyjaciela jakby się jeszcze powiększyła. Wkrótce znikł. Na próżno szukaliśmy go potem przez cały dzień. Wieczorem masztalerz z zajazdu „Pod Koroną” w Muggleton przyniósł ten list. Przyjaciel nasz wręczył go jeszcze rano, ale zalecił go nam oddać dopiero wtedy, gdy cienie nocy osłonią naturę.

Pan Pickwick otworzył list. Było to pismo pana Tupmana i zawierało, co następuje:

Kochany Pickwicku!

Ty, który przebywasz w sferach wyższych nad ludzkie słabości, Ty nie wiesz, jaki cios fatalny w nas uderza, gdy opuszcza nas istota cudna i czarowna, gdy staniemy się ofiarą potwora, który ukrywał przewrotność pod maską przyjaźni. Obyś tego nigdy nie doznał!

Listy, adresowane do oberży „Pod Skórzaną Butelką” w Cobham w Kent, będą mi odsyłane, jeśli tylko będę żył. Usuwam się z tej części świata, która stała mi się wstrętna. Jeżeli opuszczę świat zupełnie, pożałujcie mnie i przebaczcie mi. Życie, mój przyjacielu, stało się dla mnie nieznośne! Ogień palący w naszym wnętrzu jest jak hak, na którym wisi ogromny ciężar zabiegów i cierpień świata; gdy tego ognia nam zabraknie, ciężar staje się zbyt wielki, byśmy go mogli udźwignąć, i znużeni, padamy na ziemię... Możesz to powiedzieć Racheli... Ach! to imię!...

Tracy Tupman

— Jedziemy natychmiast — rzekł pan Pickwick, składając list. — W żadnym razie nie moglibyśmy tu pozostać po tym, co zaszło. Ale teraz obowiązkiem naszym jest odszukać przyjaciela.

Wypowiedziawszy te szlachetne słowa, pan Pickwick poszedł do domu.

O jego zamiarze wszyscy się wkrótce dowiedzieli. Prośby gospodarza, by się zatrzymał, były bardzo usilne, ale bezskuteczne.

— Ważne sprawy — odpowiedział — czynią mój wyjazd niezbędnym. Był przy tym stary wikary.

— Więc postanowił pan opuścić nas? — rzekł do pana Pickwicka, biorąc go na stronę, a gdy filozof odparł twierdząco, dodał:

— Oto — powiedział stary gentleman — mały rękopis, który miałem nadzieję sam odczytać panu. Znalazłem go po śmierci jednego z moich przyjaciół, lekarza w szpitalu wariatów w naszym hrabstwie, pośród rozmaitych innych papierzysków, które mogłem wedle uznania przechować lub zniszczyć. Z trudem chce mi się wierzyć, by ten rękopis nie był sfalszowany, chociaż wiem z całą pewnością, że to nie jest pismo mego przyjaciela. Jednak, bez względu na to, czy to jest autentyczny utwór maniaka, czy powieść oparta tylko na bredzeniu chorego umysłu (co wydaje mi się bardziej prawdopodobne), proszę, przeczytaj pan i sam osądź.

Pan Pickwick wziął rękopis i pożegnał się z uprzejmym starcem po tysiącnych zapewnieniach szacunku i poważania.

Daleko trudniej było rozstać się z mieszkańcami Manor Farm, gdzie nasi podróżnicy byli podejmowani z taką gościnnością i takimi względami. Pan Pickwick ucałował młode panny. Chcielibyśmy powiedzieć — jak gdyby były jego własnymi córkami, ale porównanie to nie byłoby zupełnie dokładne, ponieważ w całowaniu tym było nieco więcej ognia. Uściskał starą damę z synowską czułością i wsunąwszy do ręki służącym realne dowody swej życzliwości, poklepał je po rumianych policzkach w sposób wielce patriarchalny. Następnie, jeszcze serdeczniejsze i jeszcze dłuższe oświadczenia wymieniono z samym gospodarzem i panem Trundle'em. Tymczasem pan Snodgrass znikł i kilkakrotnie trzeba go było wołać, zanim wyszedł z ciemnych korytarzy.

Wkrótce potem ukazała się miss Emilia, a oczy jej, zwykle tak błyszczące, były jakby nieco przyćmione. Na koniec trzej przyjaciele wyzwolili się z miłych objęć gospodarstwa i oddalając się powoli, rzucali poza siebie czułe spojrzenia. Utrzymują nawet, że pan Snodgrass rzucał w powietrze niezliczone mnóstwo całusów ku jakiemuś białemu przedmiotom i poruszającemu się w jednym z okien, aż do chwili, w której na skrócie

ulicy stary dom znikł podróżnym z oczu. Przedmiot, o którym mowa, był bardzo podobny do kobiecej chustki.

W Muggleton znajomi nasi wzięli powóz do Rochester, a gdy przybyli do tej miejscowości, boleść ich złagodniała dostatecznie, by mogli zjeść obiad ze smakiem. Wkrótce potem, zasięgnąwszy potrzebnych informacji o drodze, w którą mieli się udać, wolnym krokiem poszli do Cobham.

Był prześliczny wieczór czerwcowy. Drogę, wijącą się w cieniu lasu, ożywiał śpiew ptaków i orzeźwiał oddech wiatru, bluszcze i mchy zdobiły pnie starych drzew, ziemię pokrywała zielona murawa, miękka jak jedwabny kobierzec. Wyszedszy z lasu podróżni nasi znaleźli się w otwartym parku, wśród którego wznosił się starożytny zamek, zbudowany w oryginalnym i malowniczym stylu czasów Elżbiety. Piękny i rozległy widok roztaczał się dokoła pomiędzy olbrzymimi dębami i wiązami, liczne stado sam pasło się na świeżej łące, a od czasu do czasu przestraszona łania przebiegła drogę lekka jak cień chmury szybko przesuwał się po krajobrazie oblanym gorącym światłem słońca.

— Gdyby wszyscy cierpiący na taką chorobę, jak nasz przyjaciel, schronili się do tej okolicy — rzekł pan Pickwick, spoglądając dokoła — to sądzę, że dawne przywiązanie do świata rychło by im powróciło.

— I ja tak sądzę — odpowiedział pan Winkle.

— Doprawdy — dodał pan Pickwick, gdy po półgodzinnym marszu stanęli we wsi — doprawdy, że miejsce to, chociaż wybrane przez mizantropa, jest, zdaje się, najpiękniejsze i najponętniejsze ze wszystkich, jakie widziałem.

Pan Winkle i Snodgrass bez żadnych zastrzeżeń przyłączyli się do tych pochwał. Wkrótce potem, wypytawszy się o „Skórzaną Butelkę”, podróżnicy nasi skierowali się ku tej oberży, o dość dobrej powierzchowności jak na wiejską gospodę, i poszli dowiadywać się, czy nie ma tu gentlemana nazwiskiem Tupman.

— Tomie — zawołała oberżystka — zaprowadź panów do sali. Pod przewodnictwem barczystego parobka trzej przyjaciele weszli do długiego, niskiego pokoju, którego ściany ozdobione były szeregiem starych portretów i oleodruków niezgrabnie kolorowanych; dokoła stało mnóstwo skórzanych krzeseł fantastycznego kształtu i o olbrzymich poręczach. U końca sali wyróżniał się stół, przykryty śnieżnej białości obrusem, przystrojony pulchnym drobiem, smażoną szynką, kuflem świeżego piwa itd. Przy tym to ponętym stole siedział pan Tupman, bynajmniej nie mający miny człowieka, który usunął się od świata.

Ujrzawszy swych przyjaciół położył nóż i widelec i podszedł ku nim z ponurą twarzą.

— Nie spodziewałem się widzieć was tutaj — powiedział ująwszy rękę pana Pickwicka. — Bardzo mi miło.

— Ach! — zawołał pan Pickwick, siadając i ocierając czoło spotniałe od przechadzki. — Skończ obiad, a potem wyjdziemy razem. Chcę rozmówić się z tobą, z tobą samym.

Pan Tupman spełnił, co mu zlecono, a pan Pickwick, odświeżywszy się porządnym łykiem piwa, czekał na przyjaciela. Nie więcej niż w godzinę załatwiono się z obiadem, po czym obaj wyszli razem. Przez pół godziny można ich było widzieć, jak chodzili po cmentarzu; przez ten czas pan Pickwick zwalczał postanowienie pana Tupmana. Zbyteczne byłoby przytaczać tu jego argumenty, jakież bowiem język zdoła oddać wyraz i siłę, które towarzyszyły całej akcji wielkiego mówcy? Niemniej zbyteczne jest mówić o tym, czy pan Tupman był już znudzony samotnością, czy też niepodobieństwem było oprzeć się wymownym naleganiom. Dość, że nie oparł się.

Niewiele go obchodziło — mówił — gdzie będzie wlec nędzne resztki swego istnienia; ale ponieważ jego przyjaciele przywiązują tyle wagi do jego skromnego współdziałania, przystanie na dzielenie z nimi ich prac.

Pan Pickwick uśmiechnął się, potem wymienili uścisk ręki i powrócili do swych towarzyszy.

W tej to właśnie chwili pan Pickwick zrobił nieśmiertelne odkrycie, które na zawsze pozostanie przedmiotem dumy jego przyjaciół i przedmiotem zazdrości wszystkich badaczy starożytności we wszystkich częściach świata. Wyszli za bramę oberży i nie zważając, dokąd idą, oddalili się nieco od wsi. Gdy wracali, wzrok pana Pickwicka padł na niewielki kamień, rozbity i na wpół zapadły w ziemię przed jedną z chat.

Pan Pickwick zatrzymał się.

— To szczególne! — powiedział.

— Co tu szczególnego? — zapytał pan Tupman, pilnie przypatrując się wszystkim otaczającym go przedmiotom, wyjąwszy ten, o który chodziło. — Co to jest?

Ten ostatni wykrzykownik wyrwał mu się z piersi na widok pana Pickwicka, który, zachwycony odkryciem, ukląkł przed małym kamieniem i chustką ścierał zeń kurz.

— Tu jest napis! — wykrzyknął pan Pickwick.

— Czy być może? — zawołał pan Tupman.

— Już widzę coś niecoś — mówił pan Pickwick, trzymając kamień z całą siłą i pilnie przypatrując mu się przez okulary — widzę krzyż i B, a dalej T. To bardzo ważne! — ciągnął dalej, wstając. — Jest to napis bardzo starożytny. Tego nie można zaniedbać.

To rzekłszy, pan Pickwick zastukał do drzwi chaty. Otworzył je wieśniak.

— Mój przyjacielu — uprzejmym tonem zapytał filozof — czy nie wiesz, skąd się tu wziął ten kamień?

— Nie, panie, nie wiem — odpowiedział grzecznie zapytany. — Był on tu długo przede mną i dawniej jeszcze, niż pamięta najstarszy człowiek w całej wsi.

Pan Pickwick z triumfem spojrział po swych towarzyszach.

— Sądzę, że nie jesteś do niego bardzo przywiązany — mówił dalej, drżąc z niepokoju. — Nie miałbyś chyba nic przeciwko temu, by go sprzedać?

— O!... Ale któż go kupi? — odrzekł wieśniak, z wyrazem twarzy, o którym był pewno zdania, że jest bardzo przebiegły.

— Dam ci za niego natychmiast pół gwinei — rzekł pan Pickwick — jeżeli tylko zechcesz wydobyć go z ziemi.

Gdy wykopano mały kamień przy pomocy łopaty, pan Pickwick z wielką trudnością i ku zdumieniu całej wsi podniósł go własnymi rękami, zaniósł do oberży i starannie wymywszy położył na stole.

Radosne uniesienie pickwickczyków nie miało już granic, gdy ujrzeli, że pomyślny skutek uwieńczył ich cierpliwość i wytrwałość, mycie i odskrobywanie.

Kamień był kanciasty i nadtluczony, litery niekształtne, można jednak było wyczytać następujący fragment napisu:

†
B J L S
T U M P
S J E G
O Z N
A K

Żrenice pana Pickwicka zamigotały rozkoszą, gdy zasiadł przy stole i wzrokiem objął odkopany skarb. Dosięgnął najwyższego celu swej ambicji. W hrabstwie, o którym wiadomo, że posiada liczne zabytki starożytności, we wsi, w której istniały jeszcze pewne ślady dawnych czasów, on, prezydent Klubu Pickwicka, odkrył szczególnie ciekawy napis o niezaprzeczonej starożytności, który zupełnie uszedł uwagi wszystkich uczonych będących tu przed nim. Zaledwie mógł wierzyć własnym zmysłem.

— To — powiedział — skłania mię do kroków stanowczych. Jutro wracamy do miasta.

— Jutro! — wykrzyknęli jego zwolennicy, pełni uwielbienia.

— Jutro — powtórzył pan Pickwick. — Skarb ten powinien być bezzwłocznie umieszczony w miejscu, gdzie będzie go można należycie zbadać i dokładnie pojąć. Jeszcze inny powód zmusza mię do tego. Za kilka dni będą wybory do parlamentu w Eatanswill. Pewien gentleman, którego niedawno poznałem, pan Perker, jest ajentem jednego z kandydatów. Będziemy oglądać i studiować scenę obchodzącą każdego, kto jest Anglikiem.

— Pojedziemy z panem! — zawołały razem trzy głosy, będące jakby jednym głosem.

Pan Pickwick powiódł wzrokiem dokoła. Przywiązanie i gorliwość jego uczniów zapaliły mu w głowie ogień entuzjazmu.

Czuł, że był ich mistrzem.

— Uczcijmy — zawołał — uczcijmy to szczęśliwe odkrycie przyjacielską uczcią.

Ta nowa propozycja również przyjęta została jednogłośnie. Pan Pickwick umieścił ważny kamień w sosnowej skrzynce, którą mu dała oberżystka, usiadł w fotelu przy wyższym końcu stołu, po czym cały wieczór poświęcono wesołości i rozmowom.

Już minęła jedenasta, godzina niezwykła dla małej wsi Cobham, gdy pan Pickwick udał się do przygotowanego dlań pokoju.

Zapuścił firanki i postawiwszy świecę na stole, począł głęboko zastanawiać się nad wypadkami dwóch ubiegłych dni.

Miejsce i czas nadawały się do tego rodzaju rozmyślań, a pana Pickwicka wyrwał z nich dopiero odgłos kościelnego zegara z wolna wydzwaniającego północ. Pierwsze uderzenie obilo mu się o uszy w sposób uroczysty i zarazem ponury; ale gdy zegar umilkł, cisza wydała mu się nieznośna. Miał uczucie, jakby utracił drogiego przyjaciela. Jego nerwy były wzburzone; czuł to; rozebrał się więc prędko, postawił świecę na kominie i położył się. Wszyscy doświadczali tego nieprzyjemnego stanu, w którym uczucie znużenia walczy na próżno z bezsennością. Taki był stan pana Pickwicka w tej chwili. Przewracał się z boku na bok, uporczywie trzymał oczy zamknięte, jakby w ten sposób chciał zwabić sen; wszystko na próżno. Czy pochodziło to z niezwykłego znużenia, jakiego doświadczył, czy z gorąca, czy grogu, czy od zmiany łóżka, dość że sen ciągle odbiegał od jego powiek, a myśli mimowolnie i uporczywie krążyły dokoła okropnych obrazów, które widział w jadalnym pokoju, i starych baśni opowiadanych w ciągu wieczora. Po półgodzinnych próżnych usiłowaniach doszedł do przekonania, że nie zdoła usnąć.

Wstał więc i ubrał się częściowo. „Wszystko jest lepsze — pomyślał — niż leżeć tu, dręczony najstraszliwszymi fantazjami”. Wyjrzał przez okno — było okropnie ciemno. Począł chodzić tam i z powrotem po pokoju — czuł się jednak niezmiernie samotny.

Już kilka razy odbył drogę od okna do drzwi i z powrotem, gdy nagle przyszedł mu na myśl rękopis wikarego. Doskonała myśl! Choć nie był może bardzo interesujący, mógł go jednak ukołysać do snu! Wyciągnął go więc z kieszeni płaszcza, przysunął mały stolik do łóżka, poprawił światło, włożył okulary i zaczął czytać. Dziwny to rękopis — kartki jego

były poplamione i wysmarowane. Także tytuł miał w sobie coś niesamowitego, a pan Pickwick nie mógł się powstrzymać, by nie rzucać strwożonych spojrzeń po pokoju. Po chwili zastanowienia zrozumiał jednak nierozsądną poddawania się takim uczuciom. Znowu poprawił światło i zaczął czytać, co następuje:

REKOPIS WARIATA

Tak! Wariat! Przed kilku laty serce moje zmartwiało by na dźwięk tego wyrazu! Dźwięk ten wzbudziłby we mnie strach, który nachodził mnie czasami... Krew z sykiem i drżeniem przeciskała mi się wtedy przez żyły, aż na skórze występowały zimne krople potu i dzwoniły, tłukąc się o siebie, drżące ze strachu kolana. Teraz go lubię! To piękne przezwisko. Pokażcie mi monarchę, którego gniewne zmarszczki czoła budzą kiedykolwiek strach równy jak błysk oczu wariata — którego topór i stryczek byłyby równie pewne jak uścisk wariata. Ho! ho! wielka to rzecz — być wariatem! Żeby na ciebie patrzano przez żelazne kraty jak na dzikiego lwa! Szczerysz zęby, wyjesz przez całą długą noc, wesoło dzwonisz ciężkimi kajdanami, przewracasz się i koziołkujesz na sianie przy dźwiękach tej dziarskiej muzyczki! Hura! Niech żyje dom wariatów! Och, niezwykle to miejsce!

Pamiętam dni, kiedy się bałem, że jestem obłąkany. Kiedy budziłem się ze snu i padałem na kolana błagając, żeby mi oszczędzono przekleństwa mego rodu... kiedy unikałem szczęścia i wesołości... kiedy ukrywałem się w samotności, przez długie, milczące godziny śledząc postęp, jaki robiła gorączka w moim zniszczonym mózgu. Wiedziałem, że obłądł wchodził mi się w krew, wżarł się w szpik kości, że poprzednie pokolenie uniknęło zarazy i że ja jestem pierwszy, w którym ona znowu odżyje. Wiedziałem, że tak być musi; że tak zawsze było i będzie. I kiedyś, wciśnięty w ciemny kąt gwarnej sypialni, patrzyłem, jak ludzie szepczą i zwracają na mnie oczy, wiedziałem, że rozmawiają o człowieku skazanym, skazanym na szaleństwo, i uciekałem, by myśleć w samotności.

Czyniłem tak latami. Długie, długie były to lata... Noce bywają długie, czasami bardzo długie — ale są niczym w porównaniu z niespokojnymi nocami i strasznymi snami, jakie przeżywałem wtedy. Na samo wspomnienie robi mi się zimno. Wielkie, ponure postacie z chytrymi, kpiącymi twarzami pełzały po kątach sypialni i pochylały się nocami nad moim łóżkiem. Kusily mię, żebym zwariował... Szeptaly mi, że posadzka w starym domu, w którym umarł mój dziadek, przesiąknięta jest jego krwią, przelaną jego własnymi rękami w przystępie szaleństwa. Zatykałem uszy palcami, ale krzyczały mi nad głową, aż cały pokój drżał od ich wrzasku, że w pokoleniu poprzedzającym dziadka obłądł ścichał, ale że dziadek żył długie lata z rękoma przykutymi do ziemi, z obawy, żeby nie rozszarpał sam siebie w kawały. Wiedziałem, że mówią prawdę, wiedziałem dobrze. Dowiedziałem się o tym dawno, chociaż starali się to ukryć przede mną.

Ha! ha! Byłem chytry! Za chytry dla nich, chociaż uważali mię za wariata.

Nareszcie przyszło to na mnie. Nie rozumiem, czego się bałem. Teraz mogłem dopiero żyć między ludźmi, śmiać się i bawić z nimi w najlepsze! Wiedziałem, że jestem obłąkany, ale oni nawet nie podejrzewali tego! Jakże się cieszyłem na myśl, że spłatałem im figła za te wszystkie szeptanki, za te miny, kiedy jeszcze nie byłem obłąkany! Wtedy tylko bałem się, że zwariuję! Jakże śmiałem się wesoło sam do siebie na myśl, że tak doskonale umiem zachować tajemnicę! Że moi kochani przyjaciele opuściliby mię natychmiast, gdyby

dowiedzieli się prawdy! Wstrzymałem się, żeby nie krzyknąć z uniesienia, kiedy podczas obiadu z którymś z przyjaciół przychodziło mi nagle na myśl, jak by ten człowiek zbladł i szybko uciekł, gdyby wiedział, że jego drogi przyjaciel jest wariatem! Że posiada on całą siłę wariata i połowę chęci zatopienia ostrego noża w jego sercu! O, to było wesołe życie.

Posypały się na mnie bogactwa, otoczył mnie dobrobyt. Używałem. A radość moją tysiąckrotnie zwiększała świadomość, że dobrze ukrywam tajemnicę... Odziedziczyłem majątek. Prawo — nawet sokolookie prawo — pozwoliło się oszukać i oddało spore tysiące w ręce wariata! Gdzie był spryt ludzi zdrowych na umyśle?! Gdzież zręczność prawników, umiejętność wynajdywania kruczków?! Chytróść wariata oszukała wszystkich.

Miałem pieniądze. Jak ubiegano się o moje względy! Traciłem je. Jak mię za to chwalono! Jak ci trzej pyszni bracia poniżali się przede mną! Stary, siwowłosy ojciec również. Co za nagła zmiana! Tyle szacunku! Tyle przyjaźni! Ubóstwiał mię! Stary miał córkę, młodzi siostrę, wszyscy pięcioro byli niezamożni. Ja byłem bogaty. Kiedy ożeniłem się z panią, widziałem uśmiech triumfu na twarzach jej ubogich krewnych. Zastanawiali się nad swoim chytrym planem i piękną nagrodą, jaka ich spotka. To ja mogłem się uśmiechać! Uśmiechać? Śmiać się mogłem i rwać włosy, i tarzać się po ziemi z uciechy! Nie przypuszczali, że wydali ją za wariata!

Stój! Gdyby wiedzieli — czy byliby ją oszczędzili? Szczęście siostry przeciw pieniądзом szwagra... Piórko, które rzucam na wiatr, przeciw ciężkim kajdanom zdobiącym moje ciało...

W jednym dałem się podejść... mimo całej swojej chytróści. Gdybym nie był obłąkany — chociaż my, wariaci, jesteśmy sprytni, pomimo to czasem dajemy się oszukać — wiedziałbym, że lepiej byłoby dla dziewczyny, gdyby złożyli ją w ciasnym i zimnym grobie, niż to, że wprowadziłem ją jako godną zazdrości małżonkę do mego bogatego, kapiącego od złota domu. Wiedziałbym, że serce jej należy do innego, ciemnookiego chłopca, którego imię szepnęła kiedyś w niespokojnym śnie. I wiedziałbym, że ją poświęcono, aby ochronić od nędzy siwowłosego starca i trzech pysznych braci!

Nie pamiętam dziś postaci ani twarzy, ale wiem, że była prześliczna. Wiem. W ciche księżycowe noce, kiedy budzę się ze snu, a wszystko wkoło mnie dyszy spokojem, widzę ją, jak stoi bez ruchu w kącie mojej celki... Wysmukła postać z długimi, czarnymi włosami spływającymi po plecach. Nieziemski powiew rozwiewa jej sploty, a oczy utkwione we mnie nie drgają i nie zamykają się...

Ha! Krew nabiega mi do serca, gdy to piszę! To postać jej! Twarz jej bardzo blada, a oczy wielkie, szkliste! Znam je dobrze... Postać ta nie rusza się nigdy. Nigdy nie marszczy się ani nie drży, jak ci wszyscy, którzy zapełniają ten dom... ale jest dla mnie straszliwsza od nich, straszliwsza nawet od upiórów, które straszły mię przed wielu laty. Przychodzi wprost z grobu... i tak przypomina śmierć...

Przez rok blisko patrzyłem, jak twarz ta blednie. Przez rok blisko patrzyłem na łzy spływające po smutnych policzkach. I nigdy nie znałem powodu. Wreszcie odkryłem go. Nie kochała mię nigdy. Nie myślałem, że jest inaczej! Ale ona nienawidziła mego bogactwa, gardziła dobrobytem, którym ją otoczyłem. Tego nie oczekiwałem! Kochała innego. To nigdy nie przyszło mi do głowy. Dziwne uczucie ogarnęło mię i myśli, narzucone tajemną siłą, wirowały mi w mózgu. Nie nienawidziłem jej, chociaż nienawidziłem chłopca, którego wciąż oplakiwała. Litowałem się — tak, litowałem się nad marnym życiem, na które skazali ją jej zimni i pyszni krewni! Wiedziałem, że nie może żyć długo, ale myślałem, że przed śmiercią da życie innej istotce, z góry skazanej na

zagładę, istotce napiętnowanej od urodzenia szaleństwem — przyspieszyła moją decyzję. Postanowiłem ją zabić.

Przez wiele tygodni myślałem o truciźnie. Potem o rzece, potem o ogniu. Piękny byłby to widok: nasz wielki dom w płomieniach i żona wariata rozsypująca się w popiół! Jakie by to było zabawne! Wyznaczono by wielką nagrodę za wyratowanie jej i zdrowy na umyśle człowiek rzuciłby się w płomień — a wszystko przez chytrą wariata! Często myślałem nad tym, ale w końcu porzuciłem ten plan. Och, ta radość ostrzenia brzytwy — dzień po dniu próbowania ostrza, rozkosz myślenia, jaką zada ono ranę.

Wreszcie upiory, które tyle razy szeptały mi już nad uchem, że czas nadszedł, włożyły mi do rąk otwartą brzytwę. Ująłem ją mocno. Ostrożnie wyszedłem z łóżka i pochyliłem się nad moją śpiącą żoną. Twarz miała ukrytą w dłoniach. Usunąłem je delikatnie... opadły na piersi... Płakała... ślady łez widniały jeszcze na policzkach. Była spokojna i pogodna. Nawet uśmiechała się, kiedy na nią spojrzałem. Delikatnie położyłem jej dłoń na ramieniu. Drgnęła. To nie był sen... drzemała... Nachyliłem się bliżej. Krzyknęła i zbudziła się. Jeden ruch mojej ręki, a nigdy z ust jej nie wyrwałby się jęk ani krzyk. Ale ja stropiłem się — cofnąłem się. Oczy jej utkwione były we mnie. Nie wiem dlaczego, ale lękałem się, bałem się tych oczu! Wilem się pod ich spojrzeniem. Wstała z łóżka, wciąż patrząc na mnie. Drżałem. Nie śmiałem się ruszyć. Brzytwę trzymałem w ręce. Skierowała się ku drzwiom. Odwróciła się i oderwała oczy od mojej twarzy. Urok przestał działać. Podbiegłem i schwyciłem ją za ramię. Krzycząc, upadła na podłogę.

Teraz mogłem ją spokojnie zabić. Ale w domu powstał hałas. Słyszałem odgłosy kroków na schodach. Schowałem brzytwę, otworzyłem drzwi i głośno wołałem o pomoc.

Weszli, podnieśli ją i ułożyli na łóżku. Leżała bez ducha przez wiele godzin. A kiedy wróciło jej życie, spojrzenie i mowa, rozsądek opuścił ją i zaczęła dziko majaczyć.

Sprowadzono lekarzy. Wielcy panowie, którzy zajeżdżali przed mój dom doskonałymi powozami, zaprzężonymi we wspaniałe konie, w asyście wytwornej służby. Przez wiele tygodni nie odstępowali jej łoża. Zwołali wielkie konsylium, naradzali się przyciszonymi i uroczystymi głosami. Jeden z nich, najznakomitszy i najmądrzejszy, wziął mię na stronę i ostrożnie przygotował na cios: oznajmił mnie, wariatowi, że żona moja jest obłąkana. Stał blisko mnie w otwartym oknie, patrzył mi w oczy, dotykał mego ramienia. Bez wysiłku mogłem go wyrzucić na ulicę. Byłaby to znakomita zabawa. Ale chodziło mi o moją tajemnicę, więc pozwoliłem mu odejść. W parę dni później powiedzieli mi, że muszę ją otoczyć specjalną opieką. Ja! Wyszedłem w otwarte pole, gdzie nikt nie mógł mię słyszeć, i śmiałem się do rozpuku!

Umarła nazajutrz. Siwowłósy starzec poszedł za nią do grobu. Dumni bracia wylali parę łez nad ciałem tej, której cierpienia śledzili za życia, jakby mieli żelazne nerwy. Wszystko to było strawą dla mojej tajemniczej radości; jadąc do domu śmiałem się za moją białą chustką, aż łzy nabiegały mi do oczu!

Ale chociaż dopiąłem celu i zabiłem ją, niespokojny byłem i nieswój. Czulem, że tajemnica moja musi się niedługo wydać. Nie mogłem ukryć dzikiej radości i zadowolenia, które gotowało się we mnie i kazało mi, gdy sam byłem w domu, skakać, klaskać w ręce i głośno krzyczeć. Kiedy wychodziłem i patrzyłem na ludzi, albo w teatrze, kiedym słuchał muzyki i patrzył na tańczących, rozpierała mnie taka radość, że gotów byłem rzucić się między nich i szarpać ich w kawały. Ale mój zaciskał zęby. Mocno opierałem się nogami o podłogę. Wpijałem ostre paznokcie w ręce. Ukrywałem radość. Nikt nie wiedział jeszcze, że byłem wariatem.

Pamiętam — jest to jedna z ostatnich rzeczy, jakie pamiętam — bo teraz mieszam rzeczywistość ze snami, mam ciągle mnóstwo roboty, ciągle mi się śpieszy i nie mogę oddzielić snu od rzeczywistości — taka dziwna mieszanina się z nich wytworzyła — pamiętam, jakem się ostatecznie zdradził. Ha! Ha! Zdaje mi się, że jeszcze teraz widzę ich przerażone spojrzenia, czuję łatwość, z jaką odtrącam ich, siłę, z jaką waliłem pięściami w ich pobladłe twarze... A potem uciekłem szybko jak wichur — a oni z krzykiem biegli za mną. Kiedy dziś pomyślę o tym, czuję w sobie siłę olbrzyma. Patrzcie, jak te żelazne sztaby gną się w moich rękach. Mógłbym je zgiąć łatwo jak gałązkę, ale tyle tu jest długich galerii i tyle drzwi, nie wiem, czy nie błędzę. Ale nawet gdybym się wydostał, wiem, że na dole są żelazne drzwi i wrota, że je zamykają. Wiedzą, jaki ja jestem mądry wariat, są dumni, że mię tu mają, chcą mię pokazywać innym!

Niech sobie przypomnę. Tak. Wychodziłem. Wróciłem do domu. Późno. Najdumniejszy z trzech braci czekał na mnie. — Ważne sprawy — powiedział. Dobrze pamiętam. Nienawidziłem tego draba całą nienawiścią wariata. Wiele, wiele razy ręce mię swędziły, by z nim skończyć! Powiedziano mi, że przyszedł. Szybko pobiegłem na górę! Chciał mi powiedzieć słówko. Odesłałem służbę. Było późno. Zostaliśmy sami. Pierwszy raz!

Z początku starannie odwracałem od niego oczy: wiedziałem, że myśli (jakże mię to cieszyło!), iż szaleństwo pali się w nich jak ogień. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Wreszcie przemówił. Moje hulanki i dziwne uwagi, na które pozwalałem sobie bezpośrednio po śmierci jego siostry, obrażają jej pamięć. Łącząc rozmaite szczegóły dochodzi do przekonania, że ją krzywdziłem. Pragnie wiedzieć, czy postanowiłem nadal obrażać jej pamięć i hańbić jej rodzinę. Pytanie to każe mu zadać mundur, jaki nosi!

Człowiek ten miał jakiś urząd w armii, kupiony za moje pieniądze i nieszczęście jego siostry. Człowiek ten stał na czele sprzysiężenia, które miało mię usidlić i zagrabić moje dobra. Ten człowiek był głównym narzędziem zmuszenia siostry do poślubienia mnie!

Dobrze wiedział, że serce oddała tamtemu chłopcu! Jego mundur! Była to liberia jego degradacji! Utkwiłem w nim oczy, nie mogłem inaczej, ale nie powiedziałem ani słowa.

Zauważyłem zmianę, jaka zaszła w nim pod moim spojrzeniem.

Był odważny, ale krew odpłynęła mu z twarzy i odsunął swoje krzesło. Przysunąłem swoje. Gdy się zaśmiałem... było mi bardzo wesoło... zauważyłem, że drży. Bał się mnie.

— Bardzo kochałeś siostrę, póki żyła — powiedziałem. — Bardzo.

Obejrzał się niepewnie. Widziałem, że chwycił za poręcz krzesła.

— Ty łotrze! — krzyknąłem. — Znam cię! Odkryłem twoje piekielne zamiary! Wiem, że serce oddała innemu, zanim zmusiłeś ją do poślubienia mnie! Wiem! Wiem!

Krzyczałem raczej, niż mówiłem. Czulem, jak ogień biegnie mi przez żyły, a dobrze znane upiory szepcą, żebym mu wyrwał serce.

— Niech cię piekło pochłonie! — zawołałem i rzuciłem się na niego: — Zabiłem ją! Jestem wariat! Giń! Krwi! Krwi! Chcę twojej krwi!

Odbiłem krzesło, którym rzucił we mnie ze strachu. Zwarłem się z nim, z hałasem upadliśmy na posadzkę.

Piękna to była walka. Bo był wysoki, silny i walczył o życie. A ja, silny jak każdy wariat, pragnąłem go zabić. Wiedziałem, że nie ma siły równej mojej, nie myliłem się. Nie myliłem się — znowu! Chociaż wariat! Bronił się coraz słabiej. Ukląknął na nim. Dwiema rękami ścisnąłem mu gardło. Twarz jego stała się purpurowa. Oczy wyszły z orbit... Wywieszony język zdawał się urągać mi... Ścisnąłem silniej...

Drzwi otworzyły się nagle. Z hałasem wbiegli jacyś ludzie. Krzyczeli do siebie głośno, żeby ująć wariata.

Tajemnica się wydała. Teraz walczyłem o swobodę i wolność. Zerwałem się, zanim ktoś zdążył dotknąć mię ręką, rzuciłem się między napastników, uutorowałem sobie drogę silnym ramieniem, jak gdybym miał topór w ręku. Dopadłem do drzwi. Zbiegałem ze schodów. W jednej chwili byłem na ulicy.

Biegłem szybko. Nikt nie śmiał mię zatrzymać. Słyszałem za sobą odgłos biegnących kroków, zdwoilem szybkość. Ale słabłem coraz bardziej i w końcu czułem, że umieram. Alem pędził przez błota i strumyki, przez płoty i mury, z dzikim krzykiem, który podchwytywały dziwaczne istoty uwijające się koło mnie, aż zappełniło się nimi całe powietrze... Czułem, że płynę na ramionach demonów, a demony niesie wiatr, iż płynę z taką szybkością, że mi się aż w głowie mąci...

Wreszcie rzuciły mię z rozmachem na ziemię... Kiedym się rozbudził, znalazłem się w tej oto celi, dokąd słońce zagląda rzadko, a księżyc czasami tylko po to, by wyraźniej rysowały się cienie i ciemne postacie po kątach. Kiedy leżę i nie śpię, słyszę dziwne krzyki i jęki ze wszystkich stron. Co to jest — nie wiem. Nie wydaje ich jednak ta blada postać... Ani ich nie słyszy... Od wczesnego zmierzchu do pierwszego brzasku stoi nieruchomo w tym samym miejscu, słuchając muzyki moich żelaznych kajdan i patrząc, jak rzucam się na moim posłaniu ze słomy...

Rękopis kończył się następującym dopiskiem — inną ręką:

Nieszczęśliwy, którego szaleństwo zostało opisane powyżej, służyć może za smutny dowód, do jak zgubnych rezultatów prowadzi źle w dzieciństwie skierowana energia oraz wybryki młodości, pociągające za sobą konsekwencje, których nigdy niepodobna naprawić. Bezmyślne hulanki, zabawy i wybryki lat młodzieńczych spowodowały gorączkę i delirium. Pierwszym przejawem tego ostatniego było dziwaczne przypuszczenie oparte na dobrze znanej teorii medycznej, gorąco bronionej przez jednych, a zwalczanej przez innych, że obłęd był dziedziczny w jego rodzinie. Rezultatem tego było stałe zamroczenie umysłu, chorobliwe zaćmienie, które ostatecznie przeszło w ostry szał. Mamy pewne dane, by przypuszczać, że opis wypadków, aczkolwiek zmienionych w chorobliwej wyobraźni, odpowiada rzeczywistości. Dziwne się tylko wydaje tym, którzy znali wybryki jego młodości, że namiętność, nie kontrolowana przez rozsądek, nie doprowadziła go do wielu innych, równie okropnych czynów.

* * *

Świeca zgasła panu Pickwickowi w chwili, gdy skończył czytać rękopis wikarego. Ponieważ zgasła nagle, bez uprzedniego drżenia i skwierczenia, wywarło to niemałe wrażenie na filozofie. Szybko zrzucił te części ubrania, które był włożył na siebie, gdy się zerwał ze swego niewygodnego łóżka, i obejrzawszy się dookoła z niepokojem, wskoczył do łóżka, po czym natychmiast zasnął.

Gdy się obudził, było już późno, a słońce wspaniale świeciło w jego sypialni. Smutek, który go tak dręczył z wieczora, znikł wraz z ciemnością nocy; myśli i uczucia pana Pickwicka były tak wesołe jak sam poranek. Po należyтым śniadaniu czterej filozofowie w towarzystwie człowieka niosącego kamień w sosnowej skrzynce skierowali się ku Gravesend, skąd rzeczy swe wysłali do Rochester. Około pierwszej stanęli w Gravesend

(rzeczy kazali już z Rochester wysłać do Londynu) i szczęśliwym trafem znaleźli jeszcze miejsca w dyliżansie, tak że cali i zdrowi stanęli w swym rodzinnym mieście tego jeszcze wieczora.

Trzy czy cztery dni następne upłynęły na niezbędnych przygotowaniach do podróży do miasta Eatanswill; ale ponieważ ważna ta wyprawa wymaga osobnego rozdziału, więc pozostałego tu miejsca użyjemy na określenie w niewielu słowach historii zabytku odkrytego przez pana Pickwicka.

Z pamiętników klubu dowiadujemy się, że pan Pickwick mówił o swym odkryciu na ogólnym zebraniu klubu, które odbyło się nazajutrz po jego przybyciu i na którym zachwyił umysły swych słuchaczy mnóstwem genialnych i uczonych pomysłów dotyczących treści napisu. Z pamiętników dowiadujemy się także, że pewien zręczny artysta wykonał rysunek kamienia, który potem odlitografowano i przedstawiono Królewskiemu Towarzystwu Badaczy Starożytności w Londynie tudzież innym uczonym towarzystwom; że zazdrość i współzawodnictwo zrodziło mnóstwo zdań sprzecznych z sobą w tym względzie; że sam pan Pickwick napisał broszurę obejmującą dziewięćdziesiąt sześć stron bardzo drobnego druku, w której znaleźć można dwadzieścia siedem stron rozmaitych wersji napisu. Dalszym następstwem tego było, że trzech członków klubu wydziedziczyło swych pierworodnych synów i zapisało im tylko prawnie zastrzeżonego szylinga, a to dlatego, ponieważ wazyli się podać w wątpliwość archeologiczną wartość odkrycia; że pewien entuzjastyczny zwolennik badań nad starożytnościami pozbawił się życia z rozpaczy, gdyż nie mógł odgadnąć sensu napisu, że pan Pickwick mianowany został członkiem siedemnastu uczonych towarzystw, tak krajowych, jak i zagranicznych, za dokonanie powyższego odkrycia; że żadne z siedemnastu uczonych towarzystw nie mogło zrozumieć w napisie ani joty i dlatego wszystkie zgodziły się na to, iż zabytek jest niezmiernie ciekawy. Prawda, że pan Blotton (nazwisko jego będzie w wiecznej pogardzie u wszystkich uprawiających to, co jest tajemnicze a szczytne), że pan Blotton, powiadamy, drobiazgowy i niedowierzający, jak zwykle umysły pospolite, pozwolił sobie zapatrywać się na całą sprawę z punktu widzenia zarazem ubliżającego, jak i śmiesznego. Pan Blotton w nikczemnym zamiarze zaćmienia świetnego imienia Pickwicka przedsięwziął we własnej osobie podróż do Cobham, a po powrocie pozwolił sobie ironicznie oświadczyć w klubie; iż widział wieśniaka, u którego kupiono kamień, że człowiek ten uważał go rzeczywiście za stary, ale najuroczyściej zaprzeczał starożytności napisu i zapewniał, że sam wrył w wolnych chwilach te najkształtniejsze litery, które po prostu znaczyły Bil Stumps (takie nosił nazwisko), jego znak. Pan Blotton dodawał, że Stumps, nie bardzo biegły w ortografii, porozdzielał niewłaściwie wyrazy.

Członkowie Klubu Pickwicka, jak się można było tego spodziewać po tak znakomitym i uczonym stowarzyszeniu, wysłuchali tej historii z pogardą, na jaką zasługiwała; następnie wypędzili upartego nieuka Blottona, panu Pickwickowi zaś ofiarowali złote okulary jako dowód swego uwielbienia i zaufania. W uznaniu tego pan Pickwick kazał wymalować się w całej postawie i w sali zgromadzeń klubu zawiesić ten swój portret, którego, nawiasem mówiąc, nie miał żadnej ochoty potem usunąć, gdy jego model po kilku latach znacznie się postarzał.

Pan Blotton został wydalony, ale nie przyznał się do przegranej. Siedemnastu towarzystwom uczonym przesłał on broszurę, w której powtórzył wyżej wspomnianą historię i dość jasno udowodnił, że członków wszystkich siedemnastu uczonych towarzystw uważa za wielkich niedołęgów.

Na taką bezczelną konkluzję siedemnaście towarzystw opanowało zrozumiałe wzburzenie i pojawiło się mnóstwo nowych broszur. Uczone towarzystwa zagraniczne korespondowały z uczonymi towarzystwami krajowymi, uczone towarzystwa krajowe przetłumaczyły na język angielski broszury zagranicznych towarzystw uczonych; uczone towarzystwa zagraniczne przetłumaczyły na wszelkie języki broszury uczonych towarzystw krajowych, i tak to zaczął się ów uczony spór, znany całemu światu pod nazwą „kontrowersji pickwickowskich”.

Potwarcze usiłowania, których celem było przyćmienie pana Pickwicka, spadły na głowę nikczemnego ich twórcy. Siedemnaście uczonych towarzystw jednogłośnie uznało, że uparty Blotton był niczym więcej jak tylko zarozumiałym nikczemnikiem, i napisały przeciw niemu mnóstwo pamfletów. Koniec końców, kamień istnieje dotąd — nieczytelny pomnik wielkości pana Pickwicka i drobiazgowości jego antagonistów.

Rozdział dwunasty

zawiera bardzo poważne postanowienia pana Pickwicka stanowiące epokę zarówno w jego życiu, jako też i w niniejszej historii

Chociaż niezbyt obszerne, mieszkanie pana Pickwicka przy ulicy Goswell było za to czyste i wygodne, przede wszystkim zaś pozostawało w doskonałej harmonii z jego geniuszem spostrzegawczym. Jego bawialny pokój znajdował się na dole, sypialnia na pierwszym piętrze od frontu, w ten sposób, czy był na dole, czy też przed zwierciadłem do golenia na górze, mógł w równej mierze badać naturę ludzką we wszystkich jej fazach, i to w miejscu, które nieustannie roztaczało przed nim bujne życie ludu ulicznego. Gospodyni jego, pani Bardell, niepokieszona wdowa i jedyna egzekutorka testamentu swego nieboszczyka męża, była to kobieta pulchna, o powabnym obliczu, wiecznie czymś zajęta. Do tych zalet fizycznych dodać należy cenne jej przymioty moralnej natury: wskutek szczęśliwych studiów i długiej praktyki przeistoczyła ona w wytworny talent owo szczególnie uzdolnienie, jakie otrzymała od natury, ów dar do wszystkiego, co dotyczyło kuchennej umiejętności. W domu jej nie było ani dzieci, ani kur, ani służących. Jeden wielki człowiek i jeden mały chłopiec uzupełniali liczbę mieszkańców. Pierwszym był nasz bohater, drugim własne dzieło samej pani Bardell. Wielki człowiek powracał do domu punktualnie o godzinie dziesiątej wieczorem i wkrótce potem zanurzał się we francuskim łóżku. Co do młodego Bardella, to jego dziecięce gry i gimnastyczne ćwiczenia były ograniczone wyłącznie do przestrzeni sąsiednich chodników i rynsztoków. Czystość więc i spokój panowały w całym budynku, a wola pana Pickwicka stanowiła w nim prawa.

Rano, w przeddzień zamierzonego wyjazdu do Eatanswill, postępowanie naszego filozofa musiało wydawać się szczególnie tajemnicze i niewytłumaczone każdemu, kto znał jego podziwiania godną równość charakteru i jego domowe zwyczaje. Przechadzał się po swoim pokoju krokiem przyśpieszonym. Co trzy minuty wysuwał głowę przez okno, ciągle spoglądał na zegarek i okazywał rozmaite inne symptomy zniecierpliwienia, bardzo u niego niezwykle. Widocznie zanosilo się na fakt wielkiej wagi. Ale cóż to mógł być za fakt? Sama pani Bardell odgadnąć tego nie umiała.

— Pani Bardell — rzekł wreszcie pan Pickwick, gdy miła ta dama miała już skończyć strzeptywanie kurzu, za długo trwające w pokoju filozofa.

— Co, panie? — odrzekła pani Bardell.

— Syn pani długo coś nie wraca.

— To prawda, ale też stąd do Borough kawał drogi.

— A tak — odpowiedział pan Pickwick i znowu zapadł w milczenie.

— Pani Bardell — zaczął po kilku minutach.

— Co, panie?

— Czy sądzi pani, że utrzymanie dwóch osób kosztuje więcej niż jednej?

— O! Panie Pickwick! — odrzekła pani Bardell, rumieniąc się aż do sztarek swego czepka, gdyż zdawało się jej, że dostrzegła w oczach swego lokatora coś jak matrymonialne mruganie. — O! Panie Pickwick, co za pytanie!

— No, jak pani myśli?

— To zależy — odpowiedziała pani Bardell, przysuwając trzepaczkę w kierunku łokcia pana Pickwicka — więc zależy, jak panu wiadomo, od osoby i jeżeli jest to osoba dbała i oszczędna...

— Wielka prawda! Ale osoba, którą mam na myśli (tu spojrzął na panią Bardell), posiada, jak sądzę, te przymioty. Ma przy tym wielką znajomość świata i wiele sprytu. Będzie mi niezmiernie przydatna.

— O! Panie Pickwick! — szepnęła pani Bardell, znów rumieniąc się.

— Jestem o tym przekonany! — mówił dalej filozof ze wzrastającą energią, jak to się zwykle działo, gdy mówił o przedmiocie zajmującym — jestem tego pewny i jeżeli mam powiedzieć całą prawdę, pani Bardell, to już rzecz postanowiona.

— Wielki Boże! — krzyknęła pani Bardell.

— Może pani wyda się to dziwne — mówił dalej ujmujący pan Pickwick, rzucając na kobietę wzrok pełen zadowolenia — może wyda się pani dziwne, że nie zasięgałem jej rady w tym względzie i nawet nigdy o tym nie mówiłem aż do chwili, w której wyprawilem jej syna?

Pani Bardell mogła tylko wzrokiem odpowiedzieć na to, od dawna bowiem wielbiła już pana Pickwicka jak bóstwo, do którego nie godziło się jej nawet przybliżyć; i oto naraz bóstwo zstępuje ze swego piedestału i bierze ją w objęcia. Pan Pickwick robił jej po prostu propozycję, która była wynikiem obmyślanego planu, gdyż wysłał jej małego chłopca do Borough, by zostać z nią sam na sam. Co za delikatność! Jakie względy!

— No — rzekł filozof — co pani myśli o tym?

— Ach? Panie Pickwick — odrzekła pani Bardell, drżąc ze wzruszenia — pan jest bardzo dobry!

— To pani zaoszczędzi pracy, prawda?

— O! Nigdy nie myślałam o tym; zresztą będę pracować więcej niż kiedykolwiek, by się przypodobać panu. Ale pan jest taki dobry! Pan pomyślał o mojej samotności!

— A! Prawda! Nie pomyślałam o tym... Gdy będę w mieście, będziesz pani miała zawsze z kim porozmawiać. Tak, tak!

— To pewna, że powinnam poczytywać się za kobietę bardzo szczęśliwą.

— A syn pani?

— Niech Bóg błogosławi to kochane dziecię! — przerwała pani Bardell w macierzyńskim uniesieniu.

— On także będzie miał towarzysza — ciągnął dalej pan Pickwick, wdzięcznie uśmiechając się — i to wesołego towarzysza, który, jestem tego pewny, nauczy go więcej figlów w jednym tygodniu, aniżeli by sam nauczył się w ciągu roku.

— O! Co za drogi człowiek — szepnęła pani Bardell.

Pan Pickwick zadrżał.

— O! Drogi przyjacielu!

I bez dalszych ceremonii dama zerwała się z krzesła, objęła rękami szyję pana Pickwicka, czemu towarzyszył potok łez i nawałnica szlochów.

— Niech mnie Bóg ma w swej opiece! — zawołał pan Pickwick, zdumiony niesłychanie.

— Pani Bardell! Dobra pani! Boże Wszechmocny! Co za położenie! Ależ pani, proszę! Puść mię pani! Gdyby kto nadszedł!

— Cóż mi to obchodzi! — zawołała w szale pani Bardell. — Nigdy pana nie opuszczę! Kochane, szlachetne serce!

I wymawiając te wyrazy przytuliła się do pana Pickwicka jak bluszcz do dębu.

— Boże! Miej mię w swojej opiece! — zawołał pan Pickwick, szamocąc się. — Słyszę, że ktoś idzie po schodach. Puść mię, moja dobra pani! Zaklinam panią, puść mię!

Ale prośby i przedstawienia pozostały bez skutku, gdyż dama zemdląła w objęciach filozofa i nim miał czas usadowić ją na krześle, młody Bardell wprowadził do pokoju panów Tupmana, Winkle'a i Snodgrassa.

Pan Pickwick skamieniał. Stał on z miłym ciężarem na ręku i spoglądał w osłupieniu na swych przyjaciół, nie robiąc żadnego znaku powitania, nie mogąc dać im żadnych wyjaśnień. Ci znowu patrzyli ze zdumieniem na niego, a mały Bardell z niepokojem spoglądał na wszystkich, nie wiedząc, co to ma znaczyć.

Zdumienie pickwickczyków było tak wielkie, a zmieszanie pana Pickwicka tak okropne, że i on, i oni mogliby trwać w tym samym położeniu, dopóki by omdlała nie przyszła do siebie, gdyby czuły jej syn nie przyśpieszył rozwiązania pięknym i rozrzewniającym wybuchem miłości synowskiej. Młody ten człowiek, ubrany w kurtkę z wielkimi miedzianymi guzikami, naprzód stał, niepewny i zmieszany, we drzwiach: ale myśl, że matce jego wyrządzono jakąś krzywdę, stopniowo ośwadczyła jego na wpół rozwiniętym umysłem. Uznawszy pana Pickwicka za stronę zaczepną, krzyknął dziko i rzuciwszy się głową naprzód, zaatakował tego nieśmiertelnego gentlemana w okolicach między grzbietem a nogami, szczypiąc i bijąc, o ile mu pozwalała na to siła i gwałtowność uniesienia.

— Weźcie tego smarkacza! — zawołał pan Pickwick w przystępie rozpacz. — Oszalał!

— Co się stało? — zapytali trzej pickwickczycy, wielce zdumieni.

— Albo ja wiem! — odrzekł mentor z niesmakiem. — Zabierzcie tego bębna.

Pan Winkle odniósł w przeciwległy kąt pokoju interesującego chłopca, który krzyczał i szamotał się co miał sił.

— Teraz — mówił pan Pickwick — dopomóżcie mi sprowadzić na dół tę kobietę.

— Ach! Już mi lepiej — westchnęła słabo pani Bardell.

— Pozwól, pani, podać sobie rękę — rzekł pan Tupman, zawsze ugrzeczniony.

— Dziękuję panu, dziękuję! — zawołała dama głosem spazmatycznym, po czym sprowadzono ją na dół w towarzystwie tak bardzo przywiązanego do niej syna.

— Pojąć nie mogę — zaczął pan Pickwick, gdy przyjaciele jego wrócili — pojąć nie mogę, co się tej kobiecie stało... Chciałem po prostu oznajmić jej, że przyjmę służącego, gdy wtem wpadła w jakiś szczególny paroksyzm, w którym ją zastaliście. To bardzo dziwne...

— Niezawodnie — odpowiedzieli trzej przyjaciele.

— Postawiła mnie w położeniu bardzo kłopotliwym — mówił dalej filozof.

— Tak, tak — powtórzyli jego uczniowie, lekko chrząkając i spoglądając na siebie z wyrazem powątpiewania. Nie uszło to uwagi pana Pickwicka. Dostrzegł tę nieufność; widocznie niewinność jego budziła zastrzeżenia.

Po kilku chwilach ogólnego milczenia pan Tupman odezwał się:

— Tam, w przedpokoju, czeka jakiś człowiek.

— Pewno ten, o którym była mowa — odrzekł pan Pickwick — posyłałem po niego do Borough. Panie Snodgrass, bądź tak dobry i każ mu wejść.

Pan Snodgrass wykonał to zlecenie i Samuel Weller ukazał się bezzwłocznie.

— Sądzę, że mnie poznajesz? — rzekł pan Pickwick.

— Niby! — odpowiedział Sam, mrugnawszy protekcyjnie. — A to urwis, tamten, za sprytny dla pana, co? Zadrwił sobie ze wszystkich, a znikł, zanim starczyło czasu, by sięgnąć po tabakierkę — co?

— Nie o to teraz chodzi — odrzekł żywo filozof — mam do pomówienia o czym innym. Usiądź.

— Dziękuję panu — odrzekł Sam i usiadł bez dalszych ceremonii, postawiwszy uprzednio na podłodze swój stary, biały kapelusz. — Nie bardzo to świetne — mówił dalej, wskazując na swe nakrycie głowy i przyjemnie uśmiechając się do pickwickczyków — ale doskonale w noszeniu. Gdy miał rondo, był pięknym boliwarem: od czasu jak go nie ma, jest lżejszy, a przy tym każda dziura przepuszcza świeże powietrze; to także coś warte. Nazywam go kapeluszem z wentylacją.

— Teraz — rzekł pan Pickwick — pomówmy o sprawie, dla której cię tu wezwałem.

— Owszem, panie. Zaczynajmy od środka — jak tam ktoś mówił do dziecka, które połknęło grosz.

— Najpierw chciałbym wiedzieć, czy masz jakie powody, by być niezadowolonym ze swego obecnego zajęcia?

— Nim odpowiem na to pytanie, chciałbym wiedzieć przede wszystkim, czy masz pan lepsze dla mnie?

Promień łagodnej życzliwości rozjaśnił rysy pana Pickwicka, gdy odpowiedział:

— Chcę wziąć cię na służącego.

— Czy tak? — zapytał Sam.

Pan Pickwick skinął twierdząco.

— Płaca?

— Dwanaście gwinei rocznie.

— Ubranie?

— Dwa ubrania.

— Robota?

— Służyć mi i podróżować z tymi gentlemanami.

— Zdejmcie kartę! — rzekł Sam z naciskiem. — Jestem w służbie u jednego gentlemana i zgadzam się na warunki.

— Przyjmujesz moją propozycję?

— Naturalnie. Jeżeli ubrania tak mi będą odpowiadać jak miejsce, to wszystko pójdzie jak z płatka.

— Rozumie się, że przedstawiś dobre świadectwa.

— Spytaj się pan oberżystki spod „Białego Jelenia”, ona panu powie.

— Możesz przyjść dziś wieczorem?

— Z ubrania mogę skorzystać natychmiast, jeżeli tu jest! — zawołał Sam, wielce uradowany.

— Wracaj wieczorem o ósmej — rzekł pan Pickwick — a jeżeli świadectwa będą zadowalające, pomyślimy o ubraniu.

Pomijając pewną miłosną awanturkę, której jednocześnie okazała się winną jedna z dziewcząt hotelowych, konduita pana Wellera była zawsze wzorową. Pan Pickwick nie wahał się więc przyjąć go do służby i z szybkością i energią, jakimi nacechowane były zawsze nie tylko kroki publiczne, ale nawet i prywatne czyny tego niepospolitego człowieka, zaprowadził bezzwłocznie nowego służącego do jednego z tych dogodnych składów, gdzie można dostać gotowe, przenoszone już ubranie i gdzie formalność brania miary nie jest znana. Przed końcem dnia jeszcze Sam Weller ubrany był w szaraczkowy frak z guzikami K.P., w czarny kapelusz z kokardą, kraciastą kamizelkę, krótkie spodnie i kamasze tudzież w wiele innych rzeczy, których wyliczać tu nie będziemy.

I nazajutrz rano ten tak nagle przeistoczony człowiek mówił do siebie, siadając na wierzchu dylżansu jadącego do Eatanswill: — Doprawdy, że jeszcze nie wiem z pewnością, czy mam być lokajem, *groomem** czy strzelcem; mam jakąś pośrednią fizjonomię. Ale to wszystko jedno; użyję świeżego powietrza, zwiedzę kawał kraju i nie będę miał wiele do roboty. To bardzo mi odpowiada. Dlatego hasłem moim: niech żyją pickwickowcy!

* groom — służący, chłopiec stajenny

Rozdział trzynasty

Wiadomość o Eatanswill, o stronnictwach rozdzielających je tudzież o wyborze członka do parlamentu przez ten gród starożytny, lojalny i patriotyczny

Szczerze wyznajemy, że aż do chwili, w której zagłębiliśmy się w ogromne stosy papierów Klubu Pickwicka, nigdyśmy nie słyszeli o Eatanswill. Przyznajemy się również z taką samą szczerością, że na próżno szukaliśmy dowodów rzeczywistego istnienia takiej miejscowości. Wiedząc, jak głęboką wiarę pokładać należy we wszystkich notatach pana Pickwicka i nie wając się przeciwstawiać naszym myśli twierdzeniom tego wielkiego człowieka, zasięgaliśmy co do tego przedmiotu zdania wszystkich autorytetów, do jakich tylko można było się odwołać. Zbadaliśmy wszystkie nazwy w wykazie miast mających prawo do wybierania do parlamentu, ale Eatanswill nie znaleźliśmy; najstaranniej przejrzelśmy wszystkie mapy hrabstw, wydane przez znakomitych naszych wydawców, i rezultat naszych poszukiwań był ten sam.

Zniewoleni przeto jesteśmy do przypuszczenia, że w żywej trosce, by nie ubliżyć nikomu, i przez poczucie delikatności, którą był obdarzony w wysokim stopniu, pan Pickwick z rozmysłem nadał fikcyjną nazwę zamiast rzeczywistej tej miejscowości, w której robił swoje spostrzeżenia.

Utwierdza nas w tym mniemaniu okoliczność mogąca sama w sobie wydawać się błahą i nic nie znaczącą, ale która, rozważana z naszego punktu widzenia, godna jest zanotowania... W notatach pana Pickwicka zostało zapisane, że miejsce dla niego i dla jego uczniów zamówione było w dylizansie udającym się do Norwich, ale wyraz ten został natychmiast wykreślony, prawdopodobnie, by nie dać wskazówki, w jakiej stronie znajduje się to miasto, o którym mowa. Nie odważymy się więc robić wniosków co do tego i będziemy nadal prowadzić naszą historię bez przerwy, ograniczając się do bogatych materiałów, ukazujących dowodnie charakter tych wydarzeń.

Zdaje się, że mieszkańcy Eatanswill, jak i wielu innych małych miejscowości, poczytywali siebie za niezmiernie ważnych dla państwa, a każde indywiduum, w uznaniu wagi przywiązywanej do dawanego przez siebie przykładu, czuło się zobowiązane do należenia duszą i ciałem do jednego z dwóch stronnictw dzielących gród, to jest do błękitnych lub żółtych. Owóż błękitni nie zaniebdywali żadnej sposobności, by przeciwstawić się żółtym; żółci zaś ze swej strony nie zaniebdywali żadnej sposobności, by przeciwstawić się błękitnym, tak że gdy żółci i błękitni stawali oko w oko na jakimkolwiek publicznym zgromadzeniu, w ratuszu, na rynku czy na targowicy, natychmiast powstawały kłótnie i wzajemne łajania. Zbyteczne jest dodawać, że w Eatanswillu wszystko stawało się sprawą stronnictw. Gdy żółci doradzali zaopatrzyć targowicę w nowe latarnie, błękitni zwoływali zgromadzenia publiczne, na których piętnowali ten szalony pomysł. Gdy błękitni proponowali zbudowanie nowej studni przy głównej ulicy, żółci powstawali jak jeden człowiek przeciwko takiej niegodziwej myśli. Były sklepy błękitne i sklepy żółte, oberże błękitne i oberże żółte, w samym kościele jedna strona była błękitna, druga żółta.

Każde z tych potężnych stronnictw, rzecz oczywista, miało swój organ i dlatego dwa dzienniki wychodziły w mieście. „Gazeta Eatanswillska” i „Eatanswillska Niepodległość”. Pierwsza popierała zasady błękitne, druga stała na gruncie stanowczo żółtym. Obydwie gazety były znakomite. Co za piękne artykuły polityczne! Jaka dowcipna i śmiała polemika! — „Gazeta”, nasza nikczemna antagonistka... „Niepodległość”, ten dziennik niesmaczny i godny pogardy... „Gazeta” to pismo kłamliwe i brudne... „Niepodległość”, skandaliczna i potworna... Takiego rodzaju zajmujące rekryminacje tuzinami wypełniały kolumny każdego numeru, budząc w miejscowych mieszkańcach najgorętsze uczucia zadowolenia lub oburzenia.

Pan Pickwick ze zwykłą swą przezornością i bystrością umysłu wybrał dla zwiedzenia grodu tego epokę wyjątkową... Nigdy jeszcze nie było tak zaciętej walki. Szanowny Samuel Slumkey ze Slumkey Hall był kandydatem błękitnych. Horacjusz Fizkin Esq., z Fizkin Lodge pod Eatanswill, ustępując naleganiom przyjaciół, przyzwolił podać siebie za kandydata popierającego interesy żółtych. „Gazeta” oznajmiła wyborcom eatanswillskim, że oczy nie tylko Anglii, ale całego cywilizowanego świata na nich są zwrócone. „Niepodległość” zaś zapytywała tonem stanowczym, czy wyborcy eatanswillscy zasługują jeszcze na nazwę wielkich obywateli, czy też stali się niewolniczymi narzędziami despotyzmu, nie zasługującymi na miano Anglików i dobrodziejstwa wolności. Nigdy jeszcze tak wielkie wzburzenie nie wstrząsnęło miastem.

Już był wieczór, gdy pan Pickwick i jego towarzysze wraz z Samuelem Wellerem wysiedli z dyliżansu w Eatanswill. Wielkie błękitne chorągwie powiewały w oknach oberży

„Pod Miejskim Herbem”, a napisy wystawione w oknach oznajmiały olbrzymimi literami, że tam zasiada komitet szanownego Samuela Slumkey. Grupa gapiów, zgromadzonych przed drzwiami oberży, przypatrywała się zachryplemu człowiekowi stojącemu na balkonie i zdającemu się przemawiać na korzyść pana Samuela Slumkey z takim zapalem, iż poczerwieniała mu cała twarz. Ale siła i piękno argumentów cierpiały nieco wskutek tego, że na rogu ulicy nieustannie huczał odgłos czterech ogromnych bębnow ustawionych przez komitet pana Fizkina. Obok mówcy stał mały, zakłopotany człowieczek, który od czasu do czasu zdejmował kapelusz i dawał znak zgromadzonym, by klaskali. Wtedy zgromadzeni klaskali z wielką regularnością i entuzjazmem, a ponieważ zachryplę człowiek mówił ciągle, chociaż twarz czerwieniała mu coraz bardziej, można więc było mniemać, że cel jego został osiągnięty, tak samo, jak gdyby słyszano to, co mówił.

Zaledwie pickwickczycy wysiedli z pojazdu, zostali natychmiast otoczeni przez grupę „prawych i niezależnych”, którzy bezzwłocznie wydali trzykrotny ogłuszający okrzyk. Okrzyk ten, powtórzony przez resztę zgromadzenia (bo tłum nie ma bynajmniej potrzeby wiedzieć, dlaczego krzyczy), zmienił się w ryk triumfu, tak przeraźliwy, że człowiek z poczerwieniałą twarzą, stojący na balkonie, nagle urwał mowę.

— Hura! — wrzasnął tłum na zakończenie.

— Jeszcze jeden okrzyk! — zawołał z balkonu mały, zakłopotany człowieczek. I tłum znów ryknął, jakby miał gardło z lanego żelaza, a płuca z hartowanej stali.

— Niech żyje Slumkey! — wrzasnęła tłuszcza.

— Niech żyje Slumkey! — powtórzył pan Pickwick, zdejmując kapelusz.

— Precz z Fizkinem! — wrzasnął tłum.

— Tak, rozumie się — zawołał pan Pickwick.

— Hura!

I znów rozległ się ryk taki sam jak we wszystkich menażeriach, gdy nadchodzi pora żywienia zwierząt.

— Co to za Slumkey? — zapytał cicho pan Tupman.

— Nie wiem — odparł tym samym tonem pan Pickwick.

— Cicho! Nie zadawajcie żadnych pytań. W takich razach należy robić to, co wszyscy.

— Ale przypuśćmy, że są dwa stronnictwa — zauważył pan Snodgrass.

— Krzyczcie z silniejszymi — odrzekł pan Pickwick.

Całe tomy nie zdołałyby więcej powiedzieć. Weszli do oberży; tłum wydając nagle hałaśliwe okrzyki rozsunął się na prawo i na lewo, by ich przepuścić. Przede wszystkim należało zapewnić sobie pomieszczenie na noc.

— Czy możemy tu dostać łóżka? — zapytał pan Pickwick garsona.

— Nie wiem, panie. Obawiam się, że wszystkie są zajęte. Zresztą pójdę, dowiem się. Odszedł, ale powrócił niebawem i zapytał, czy gentlemani są błękitni.

Ponieważ dla pana Pickwicka i jego towarzyszy obojętna była sprawa kandydatów, więc rozstrzygnięcie tego stawało się trudne. W tym dylemacie przyszedł panu Pickwickowi na myśl nowy jego przyjaciel, pan Perker.

— Czy znasz gentlemana nazwiskiem Perker?

— Znam, panie; jest to agent szanownego pana Samuela Slumkey.

— On jest błękitny, jak sądzę?

— O tak, panie.

— Więc i my jesteśmy błękitni — rzekł pan Pickwick; ale zauważywszy, że garson z pewnym powątpiewaniem przyjął to wyznanie wiary politycznej, dał mu swój bilet wizytowy i polecił, by go natychmiast wręczył panu Perkerowi, jeżeli ten jest w domu. Garson znikł, lecz wkrótce ukazał się znowu, poprosił pana Pickwicka, by poszedł za nim, i wprowadził go do wielkiej sali, w której pan Perker siedział przy długim stole za stosem książek i papierów.

— Cha! Cha! Cha! Kochany panie! — zawołał mały człowieczek, wstając na przyjęcie pana Pickwicka. — Bardzo jestem szczęśliwy, że pana widzę... Siadaj pan, proszę... Więc doprowadził pan do skutku swój projekt? Przyjechał pan, by być obecnym przy wyborach, czy tak?

Pan Pickwick odpowiedział twierdząco.

— Są to wybory bardzo trudne, kochany panie.

— To mnie cieszy — odrzekł pan Pickwick zacierając ręce. — Lubię patrzeć na zapał patriotyczny, mniejsza o to, po czyjej stronie. Więc to są wybory trudne?

— O, nadzwyczaj trudne. Zamówiliśmy wszystkie miejsca w oberżach i przeciwnikom naszym pozostawiliśmy tylko piwiarnie... To mistrzowska sztuka, kochany panie. Co pan powie na to?

Mówiąc to mały człowieczek uśmiechnął się uprzejmie, wsuwając sobie w nozdrza ogromną szczyptę tabaki.

— A jaki jest prawdopodobny rezultat wyborów?

— Wątpliwy, kochany panie, dotąd wątpliwy. Ludzie Fizkina mają trzydziestu trzech głosujących w wozowniach „Białego Jelenia”.

— W wozowniach! — zawołał pan Pickwick, niezmiernie zdziwiony tym zamachem stanu.

— Trzymają ich tam w zamknięciu, dopóki nie będą potrzebni, ażeby, jak pan może domyślić się, nie dopuścić nas do nich, ale choćbyśmy mieli możliwość rozmówienia się z

nimi, nie na wiele by się to nam przydało, gdyż utrzymują ich ciągle w stanie podpitym! O! Agent Fizkina to zręczny człowiek! Bardzo zręczny.

Pan Pickwick zrobił wielkie oczy, ale nic nie odpowiedział.

— Pomimo to — mówił dalej pan Perker, zniżając głos — pomimo to nie tracimy nadziei. Wczoraj wieczorem dawaliśmy tu herbatę. Czterdzieści pięć kobiet, kochany panie; gdy odchodziły, ofiarowaliśmy każdej po zielonej parasolce.

— Parasolce! — zawołał pan Pickwick.

— Tak, tak, kochany panie; czterdzieści pięć zielonych parasolek, po siedem szylingów i sześć pensów sztuka. Wszystkie kobiety są zalotne; parasolki te sprawiły efekt nie do uwierzenia: zapewniliśmy sobie wszystkich mężów i połowę braci. To mój pomysł, kochany panie, tylko mój. Grad, deszcz czy pogoda, nie zrobisz pan piętnastu kroków w mieście, by nie spotkać pół tuzina zielonych parasolek.

Tu mały adwokat wpadł w wielki paroksyzm wesołości, przerywanej dopiero ukazaniem się na scenie trzeciej osoby.

Był to człowiek długi i chudy. Włosy jego, ognistorudawej barwy, zdawały się skłaniać ku siwiźnie; na twarzy malowała się uroczysta powaga i niezmiernie głęboka myśl. Ubrany był w długi, ciemny surdut i w czarne sukienne spodnie. Podwójna lornetka kołysała mu się na piersiach; na głowie miał nadzwyczaj niski kapelusz z nadzwyczaj szerokim rondem. Nowo przybyły przedstawiony został panu Pickwickowi jako pan Pott, redaktor „Gazety Eatanswillskiej”.

Po kilku wstępnych uwagach pan Pott zwrócił się do pana Pickwicka i rzekł z uroczystą miną:

— Czy wybory te wzbudzają wielkie zainteresowanie w stolicy?

— Tak sędzę — odrzekł pan Pickwick.

— Do zainteresowania tego, pochlebiam sobie — mówił pan Pott, spoglądając na pana Perkera w taki sposób, jakby żądał potwierdzenia swych słów — do zainteresowania tego, jak mogę sobie pochlebić, i ja przyczyniłem się moim artykułem w ostatnią sobotę.

— Nie ulega wątpliwości — zapewniał mały człowieczek.

— Prasa, panie — mówił dalej pan Pott — to potężne narzędzie. Pan Pickwick najzupełniej zgodził się z tym zapatrywaniem.

— Ale pochlebiam sobie, panie, że nigdy nie nadużyłem ogromnej władzy, jaką posiadam. Pochlebiam sobie, że szlachetnego narzędzia, które mi opatrność do rąk dała, nigdy nie nadużywałem przeciw nietykalnej świętości prywatnego życia, przeciw osobistej reputacji jak kwiatek delikatnej i kruchej. Pochlebiam sobie, panie, że poświęciłem całą swoją energię... poświęciłem... usiłowaniami... słabym może, tak jest, przyznaję, usiłowaniami słabym, by zaszczerpać zasady, które, których... dla których...

Zdawało się, że wydawcy „Gazety Eatanswillskiej” poplątał się język; pan Pickwick przyszedł mu z pomocą, mówiąc:

— Tak, panie, niezawodnie.

— I pozwól pan, że go zapytam, że zapytam pana, jako człowieka bezstronnego, co publiczność Londynu myśli o mojej polemice z „Niepodległością”?

Tu wmieszał się pan Perker, mówiąc z drwiącym nieco uśmiechem, który jednak nie był przypadkowy:

— Nie ulega wątpliwości, że publiczność londyńska bardzo się tym zajmuje.

— Polemika ta — mówił dalej dziennikarz — będzie trwała, dopóki mi pozostanie odrobina zdrowia i sił, odrobina tego talentu, jakim obdarzyła mnie natura. Tej polemice, panie, choćby jeszcze bardziej poruszała umysły i roznamiętniała ludzi tak, że byłiby

zdolni do pełnienia prozaicznych obowiązków powszedniego życia, tej polemice, panie, poświęcę całe moje istnienie, dopóki nie zmiążdżę mymi nogami „Eatanswillskiej Niepodległości”. Pragnę, panie, by ludność Londynu, by lud mego kraju wiedział o tym, że może liczyć na mnie, że go nie opuszczę, że postanowiłem wytrwać do końca!

— Postanowienie pana jest bardzo wzniosłe! — zawołał pan Pickwick i gorąco uściśnął rękę szlachetnego dziennikarza.

— Widzę, panie — odrzekł pan Pott, zadyszany od gwałtownych wzruszeń patriotycznych — widzę, że pan jest człowiekiem dużego rozumu i talentu. Bardzo rad jestem, że szczerze się mogę znajomością z człowiekiem takim jak pan.

— A ja, panie — odrzekł pan Pickwick — czuję się bardzo wzruszony tą pańską opinią. Pozwól pan, że go przedstawię moim towarzyszom podróży, członkom korespondentom klubu, którego szczerze się być założycielem.

Gdy pan Pott oświadczył, że będzie tym zachwycony, pan Pickwick podszedł do swych trzech przyjaciół i formalnie ich przedstawił redaktorowi „Gazety Eatanswillskiej”.

— Teraz, mój kochany Pott — rzekł mały pan Perker — zachodzi pytanie, co pocniemy z naszymi tu obecnymi przyjaciółmi?

— Sądzę, że możemy zostać w tym domu — rzekł pan Pickwick.

— Ani jednego wolnego łóżka, panie, ani jednego!

— To bardzo przykre — zawołał pan Pickwick.

— Nadzwyczaj — powtórzyli jego towarzysze.

— Jeżeli o to chodzi — powiedział pan Pott — mam pewną myśl, która, jak się spodziewam, da się urzeczywistnić. „Pod Srebrnym Pawiem” są dwa łóżka, a w imieniu pani Pott śmiało powiedzieć mogę, że będzie zachwycona, gdy da u siebie gościnę panu Pickwickowi i jednemu z jego towarzyszy, jeżeli dwaj inni gentlemani i ich służący zechcą pomieścić się, jak będą mogli, „Pod Srebrnym Pawiem”.

Po długich naleganiach ze strony pana Potta i oświadczeniach ze strony pana Pickwicka, iż nie może robić subiekcji szanownej małżonce redaktora, uznano, że jest to jedyny sposób załatwienia sprawy, zgodzono się więc na niego. Zjadłszy wspólnie obiad „Pod Miejskim Herbem” i umówiwszy się, że wszyscy przybędą tam nazajutrz rano, by wziąć udział w pochodzie szanownego pana Samuela Slumkey, przyjaciele nasi wyruszyli: panowie Tupman i Snodgrass „Pod Srebrnego Pawia”, panowie Pickwick i Winkle pod gościnny dach pana Potta.

Domowe kółko pana Potta składało się z niego samego i jego żony. Wszyscy ludzie, których potężny geniusz wyniósł na wyższy szczebel w świecie, miewają jakąś słabość, która wydaje się jeszcze większą wskutek kontrastu, jaki tworzy z ich pozycją publiczną. Jeżeli pan Pott miał jakąś słabość, to niezawodnie tę, że był zanadto uległy lekko pogardliwej woli swej małżonki. Ale nie mamy żadnego prawa rozwodzić się nad tym faktem, tym bardziej że w tym wypadku pani Pott użyła wszystkich swych czarów, przyjmując dwóch gentlemanów przyprowadzonych przez męża.

— Moja droga — rzekł pan Pott — pan Pickwick, pan Pickwick z Londynu.

Pani Pott z wdziękiem przyjęła ojcowskie uściśnięcie ręki pana Pickwicka, a tymczasem pan Winkle, którego wcale nie przedstawiono, kłaniał się raz po raz w ciemnym kącie, czego nie zauważono.

— Mój kochany... — rzekła dama.

— Co, moja droga? — zapytał redaktor.

— Przedstawże i drugiego gentlemana.

— Po milion razy przepraszam — rzekł pan Pott. — Pozwól pan... pani Pott, pan...

— Winkle — rzekł pan Pickwick.

— Winkle — powtórzył pan Pott i ceremonia przedstawiania została zakończona.

— Musimy bardzo przeprosić panią — rzekł pan Pickwick — za naruszenie porządku domowego.

— Nie mówmy o tym — rzekła żywo żeńska połowa pana Potta. — Zapewniam pana, że oglądanie nowych twarzy wielką sprawia mi przyjemność, gdyż żyję tu z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, nie widząc na tym odludziu nikogo.

— Nikogo, moja droga? — zawołał pan Pott z ironią.

— Nikogo, prócz ciebie — odparta żona nieco ostro.

— W samej rzeczy, panie Pickwick — zaczął znów redaktor, objaśniając żale swojej żony — w samej rzeczy pozbawieni jesteśmy wielu przyjemności, których w innych warunkach moglibyśmy używać. Moje stanowisko, jako redaktora „Gazety Eatanswillskiej”, miejsce, jakie to pismo zajmuje w kraju, ciągle zagłębianie się w wir spraw politycznych...

Pani Pott przerwała mężowi słowami:

— Mój kochany!

— Co, moja droga?

— Wybierz do rozmowy taki przedmiot, który by mógł także zająć tych panów.

— Ależ mój aniele! — rzekł z pokorą pan Pott — pana Pickwicka bardzo to zajmuje.

— Szczęśliwy, jeśli może go zajmować — odparła pani Pott znacząco — ale mnie nudzi śmiertelnie ta wasza polityka, wasze kłótnie z „Niepodległością” i wszystkie tym podobne głupstwa. Dziwi mnie to, Pott, że możesz wyrwać się z tymi niedorzecznościami.

— Moja kochana — szepnął nieszczęśliwy mąż.

— Głupstwo!... Nie mówmy o tym. Czy grasz pan w *écarté*, panie Winkle?

— Rad bym był bardzo nauczyć się tej gry od pani — odpowiedział ugrzeczniony pickwickczyk.

— Dobrze! Przesuń pan ten stół do okna, bym już nie słyszała więcej tej polityki.

— Joanno! — zawołał pan Pott na służącą, która wniosła świecę.

— Zejdź do biura i przynieś mi rocznik gazety za rok zaprzeszły. Przeczytam panu — mówił dalej zwracając się do pana Pickwicka — przeczytam panu kilka artykułów wstępnych, które napisałem w owej epoce o znowie żółtych, dążących do zamianowania nowego poborcy rogatekowego. Spodziewam się, że zajmie to pana.

— Bardzo chętnie posłucham — odrzekł pan Pickwick.

Życzenia jego zostały spełnione. Służąca powróciła z plikiem gazet, a redaktor, zasiadłszy koło swego gościa, rozpoczął bezzwłocznie czytanie.

Przeglądaliśmy notaty pana Pickwicka w nadziei, że znajdziemy przynajmniej streszczenie tych znakomitych utworów; ale na próżno. Mamy jednak powody przypuszczać, że siła i świeżość stylu najzupełniej go zachwyciły, gdyż pan Winkle zauważył, że mistrz jego miał oczy, jakby z nadmiaru zadowolenia, zamknięte przez cały czas czytania.

Wiadomość, że podano kolację, położyła koniec grze i prezentacji piękności „Gazety Eatanswillskiej”. Pan Winkle poczynił już znaczne postępy w łaskach pani Pott. Dama ta była teraz w cudownym humorze i nie zaniedbała powiedzieć poufnie swemu rozmówcy, że pan Pickwick jest bardzo miłym staruszkim.... W tego rodzaju wyrażeniach jest pewna familiarność, na którą by sobie nigdy nie pozwolił ten, kto by znał należycie kolosalny umysł filozofa. Jednak zachowaliśmy je tutaj, gdyż w rozczulający sposób i

dowodnie przekonywają o łatwości, z jaką mistrz zjednywał sobie wszystkie serca oraz jak wielkie miał poważanie u wszystkich klas społeczeństwa.

Była już późna noc, panowie Tupman i Snodgrass spali twardo pod skrzydłami „Srebrnego Pawia”, gdy nasi dwaj znajomi udali się do swych pokojów. Sen rychło opanował ich zmysły; ale chociaż uczynił on pana Winkle’a nieczułym na wszystkie ziemskie przedmioty, twarz i postawa pięknej pani Pott długo jeszcze nie dawały spokoju jego rozbudzonej fantazji.

Ruch i gwar następnego poranka wystarczyły najzupełniej, by usunąć z najbardziej nawet poetycznej wyobraźni wszystkie inne myśli prócz myśli o wyborach. Huk bębnow, głosy trąb i rogów, krzyki pospólstwa, tętent koni rozlegały się na ulicach od świtu; od czasu do czasu utarczka między maruderami obu stronnictw rozweselała i urozmaicała przygotowania do ceremonii.

Sam ukazał się we drzwiach sypialnego pokoju pana Pickwicka właśnie w chwili, gdy ten kończył cię ubierać.

— No! Cóż, Samie! — rzekł filozof. — Wszyscy dziś w ruchu?

— O! Czyste wyścigi, panie. Nasi partykularzyści, którzy zgromadzili się „Pod Miejskim Herbem”, tyle już tam nakrzyczeli, że wszyscy pochrypli.

— A bardzo są przywiązani do swego stronnictwa?

— Nigdy nie widziałem podobnego przywiązania.

— Energiczni, co?

— Myślę, że tak. Nigdy nie widziałem, by kto pił i żarł z taką energią. Sądzę, że niejeden z nich pęknie.

— To wynika ze źle zrozumianej wspaniałomyślności tutejszych obywateli.

— Bardzo być może — odrzekł Sam krótko.

— A! — zawołał pan Pickwick, spoglądając przez okno — piękne chłopcy, silne, świeże.

— Bardzo świeże, to pewna. Dwóch garsonów spod „Srebrnego Pawia” i ja wypompowaliśmy ogromną ilość wody na wszystkich tych, którzy wczoraj byli na wieczerzy.

— Pompowaliście wodę na niezależnych?

— Tak, panie. Chrapali całą noc tam, gdzie wczoraj poupadali, popiwszy się śmiertelnie. Dziś rano jednego po drugim braliśmy pod pompę i — patrz pan! — wszyscy teraz wyglądają doskonale. Komitet dał nam po szylingu za głowę.

— Czy podobna, by robiono takie rzeczy! — zawołał pan Pickwick, pełen zdumienia.

— Ba! panie, to jeszcze nic.

— Nic?

— Nic a nic, panie. W nocy przed ostatnimi wyborami przeciwna partia przekupiła służącą spod „Miejskiego Herbu”, by ta zaprawiła grog czterem wyborcom, którzy przez noc bawili w oberży.

— Co rozumiesz przez zaprawienie grogu?

— Dodanie opium z blekotem — odparł Sam. — Niech mię Bóg skarzę, jeżeli od tego nie spali przynajmniej ze dwanaście godzin po wyborach. Próbowano jednego z nich przywieźć na taczkach i wnieść do lokalu wyborczego, ale diabła tam! Burmistrz nie chciał przyjąć jego głosu; więc go odwieźli z powrotem i położyli do łóżka.

— Co za szczególne sposoby! — mruknął pan Pickwick w połowie do siebie, a w połowie do służącego.

— Nie taka jeszcze krotchwila wydarzyła się memu ojcu podczas wyborów w tym miejscu, panie — rzekł Sam.

— A co takiego? — zapytał pan Pickwick.

— Tak to było, panie. Onego czasu jeździł on tu dylizansem z Londynu. Nadchodzą wybory i jedno stronnictwo zamawia go do transportowania wyborców ze stolicy. W wilię dnia, gdy miał wyruszyć w drogę, komitet drugiego stronnictwa najspokojniej posyła po niego. Idzie tedy z komisjonerem, który go wprowadza do ogromnego pokoju. Kupa gentlemanów, góry papieru, piór itd. — Ach, pan Weller — mówi prezydent — cieszę się, że widzę pana. Jak się pan ma? — powiada. — Bardzo dobrze, dziękuję panu — powiada mój ojciec. — Spodziewam się, że i pan nie chudnie — powiada. — Dziękuję, nieźle idzie — powiada gentleman i obaj wytrzeszczają na siebie ślepią. — Pan mnie nie poznaje? — pyta tamten. — Nie mogę powiedzieć, bym pana kiedy widział — odpowiada ojciec. — O! ja pana znam — mówi tamten.

— Znałem pana małym jeszcze chłopcem. — To wszystko jedno — mówi mój ojciec — wcale sobie pana nie przypominam. — To dziwne — mówi tamten. — Bardzo dziwne — mówi ojciec. — Pan musi mieć bardzo słabą pamięć, panie Weller — mówi tamten. — Nieświetną, to prawda — mówi mój ojciec. — Tak się domyślałem — mówi tamten, potem nalewa mu szklankę wina i zaczyna rozwodzić się nad sposobem, w jaki powozi, i wprowadza mego ojca w doskonały humor, a w końcu pokazuje mu banknot na dwadzieścia funtów szterlingów. — Kiepska droga stąd do Londynu — powiada. — Gdzieś tam trafiają się złe miejsca — mówi mój ojciec. — A zwłaszcza koło kanału, jak mi się zdaje — mówi gentleman. — Co do drogi, to tam jest kiepska — mówi ojciec. — No, panie Weller — mówi tamten — pan jesteś doskonałym woźnicą i co zechcesz, możesz zrobić ze swymi końmi, to wiadomo. My wszyscy jesteśmy dla pana wielce życzliwi, panie Weller. Otóż w razie, gdyby panu przypadkiem coś się wydarzyło, jak będziesz wiózł wyborców, w razie, gdybyś wywrócił się w kanał, nie robiąc im zresztą nic złego, przeznaczamy to dla pana — powiada. — Panie, jesteś pan nadzwyczaj łaskaw — mówi mój ojciec — i wypiję za zdrowie pana jeszcze jedną szklankę — powiada. — Cóż pan powie na to — mówi dalej Sam, patrząc na swego pana z trudnym do opisanego wyrazem bezczelności — czy da pan wiarę, że akurat w dniu, w którym ojciec wiózł wyborców, dylizans wywrócił mu się w tym właśnie miejscu i wszyscy podróżni wlecieli do kanału?

— Ale ich zaraz wydobyto? — zapytał żywo pan Pickwick.

— Co do tego — odparł Sam bardzo powoli — to mówiono, że jednego gentlemana brakowało. Wiem dobrze, że wyłowiono jego kapelusz, ale czy była w tym kapeluszu głowa, tego z pewnością powiedzieć nie mogę. Co mię dziwi, to mianowicie ta okoliczność, że dylizans wywrócił się właśnie w tym miejscu i w tym samym dniu, jak to gentleman ojcu powiedział.

— Jest to szczególny wypadek, niewątpliwie — odparł pan Pickwick — ale wyczyść no mi kapelusz, Samie, gdyż słyszę, że pan Winkle woła mnie na śniadanie.

Pan Pickwick zszedł do jadalnego pokoju, gdzie znalazł śniadanie i wszystkich zgromadzonych. Jadło znikło bardzo szybko; kapelusze gentlemanów przyozdobiono w ogromne błękitne kokardy wyrobu pięknych rąk samej pani Pott; pan Winkle podjął się towarzyszenia tej damie na dach domu znajdującego się koło mównicy, pan Pickwick zaś z panem Portem udali się pod „Miejski Herb”. Jakiś członek komitetu pana Slumkeya przemawiał z okna tego hotelu do sześciu uliczników i jednej dziewczyny, których co chwila nazywał pompatycznie mężami Eatanswill; w odpowiedzi na to sześciu uliczników klaskało zawzięcie.

Dziedziniec hotelowy przedstawiał mniej dwuznaczne symptomy sławy i potęgi eatanswillskich błękitnych. Był tam cały las chorągwi i sztandarów z dewizami

zastosowanymi do okoliczności, wypisanymi złotymi literami, a wysokimi na cztery stopy przy odpowiedniej szerokości. Była tam także cała orkiestra trębaczy, fagocistów i doboszy, ustawionych po czterech w szereg i sumiennie zarabiających swą płacę: zwłaszcza dobosze byli bardzo obrotni. Był oddział konstablów z niebieskimi laskami i cały tłum wyborców z niebieskimi kokardami. Byli wyborcy konni i wyborcy piesi. Był kryty czterokonny powóz dla szanownego Samuela Slumkeya. Chorągwie powiewały, muzykanci grali, konstable klęli, członkowie komitetu perorowali, tłum wrzeszczał, konie rżały i tupały, pocztylioni pocili się, a wszystko to i wszyscy ci ludzie, zebrani w tym miejscu, znaleźli się tu dla korzyści, honoru, sławy i specjalnego użytku szanownego Samuela Slumkeya ze Slumkey Hall, jednego z kandydatów na reprezentanta miasta Eatanswill w Izbie Gmin Parlamentu Zjednoczonych Królestw.

Rozległy się długie i hałaśliwe okrzyki, po czym jedna z błękitnych chorągwi, z napisem „Wolność prasy”, zakołysała się konwulsyjnie, gdy tłum w jednym z okien ujrzał rudą głowę pana Potta. Ale entuzjazm przeszedł wszystko, gdy szanowny Samuel Slumkey we własnej osobie, w butach z cholewami i błękitnej chustce na szyi, wystąpił i ujął za rękę szanownego Potta oraz melodramatycznymi ruchami wyraził swą wieczną wdzięczność za usługi oddane mu przez „Gazetę Eatanswillską”.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał następnie szanowny Samuel Slumkey pana Perkera.

— Gotowe, kochany panie — odparł mały człowieczek.

— Spodziewam się, że nic nie zapomniano?

— Nie, kochany panie, żadnej drobnostki. Jest dwudziestu ludzi należycie wymytych, którym pan uściśniesz rękę we drzwiach; jest sześcioro dzieci na rękach matek, które pan pogłaszczesz po głowie i o które spytasz pan, ile mają lat. Zwłaszcza pamiętaj pan o dzieciach, kochany panie. Takie postępowanie sprawia zawsze dobry efekt.

— Pomyślę o tym — rzekł szanowny Samuel Slumkey.

— A może też pan, kochany panie — dodał przewidujący mały człowieczek — może będzie pan mógł... nie mówię, by to było konieczne... ale gdybyś pan mógł zdecydować się ucałować jedno z dzieci, to by wywarło ogromne wrażenie.

— Czy nie byłby ten sam skutek, gdybyś pan podjął się tego? — zapytał pan Samuel Slumkey.

— Obawiam się, że nie, kochany panie. Ale gdybyś pan sam to zrobił, sądzę, że uczyniłoby to pana bardzo popularnym.

— Bardzo dobrze — odrzekł szanowny Samuel Slumkey z rezygnacją — i to przebedziemy, jeżeli potrzeba.

— Pochód! Pochód! — wołało dwudziestu członków komitetu.

Wśród okrzyków tłumu, muzykantów, konstablów, członków komitetu, pieszych i konnych, powozy zajęły swe miejsca. Każdy powóz dwukonny zawierał tylu gentlemanów, usadowionych i stojących, ilu tylko zmieścić się mogło. W przeznaczonym dla pana Perkera powozie usiedli panowie Pickwick, Tupman, Snodgrass i pół tuzina członków komitetu. Nastąpiła chwila uroczystego milczenia, nabrzmiałego oczekiwaniem, kiedy szanowny Samuel Slumkey wsiadzie do swego koczka.

Nagle tłum wydał okrzyk.

— Wsiadł! — zawołał mały Perker, tym mocniej wzruszony, że położenie, w którym się znajdował, nie pozwalało mu widzieć, co się dzieje na przedzie.

Inny okrzyk, jeszcze głośniejszy.

— Podaje rękę wyborcom! — rzekł mały agent.

Znowu okrzyk, nierównie głośniejszy.

— Poglaskał dzieci go głowach! — mówił dalej pan Perker, drżąc ze wzruszenia.

Grzmot okłasków rozdarł powietrze.

— Pocałował jedno! — zawołał zachwycony mały człowieczek.

Drugi grzmot.

— Pocałował drugie!

Trzeci grzmot ogłuszający.

— Wszystkie całuje! — wrzasnął roznamiętniony mały gentleman i w tej chwili pochód ruszył, witany okrzykami tłumu.

Z jakiego powodu dwa pochody zetknęły się i jak ukończyło się wynikię stąd zamieszanie, tego nie podejmujemy się opisywać, gdyż na samym początku starcia panu Pickwickowi wtłoczono kapelusz na oczy, nos i usta, zaaplikowawszy mu żółtą chorągwią potężne uderzenie w łeb. Według tego, co znakomity filozof mógł wywnioskować przy pomocy skąpego światła przeciskającego się pomiędzy jego policzkami a kapeluszem, zdawało mu się, że został otoczony ze wszystkich stron przez gniewne i drapieżne fizjonomie, gęsty obłok kurzawy i ściśnięty przez tłum walczących. Opowiadał, że z powozu został porwany przez jakąś niewidzialną siłę i sam osobiście wziął udział w walce, ale z kim, jak i co, tego w żaden sposób nie mógł określić. Na koniec wypchnięty został na drewniane stopnie przez osoby z tyłu stojące, a gdy zdjął kapelusz, znalazł się pośród przyjaciół w pierwszym rzędzie na lewo od mównicy. Prawa strona przeznaczona była dla stronnictwa żółtego, środek zaś dla burmistrza i jego asystentów. Jeden z nich potrząsał ogromnym dzwonem: bardzo to dowcipny środek do nakazywania ciszy.

Tymczasem pan Horacjusz Fizkin i szanowny Samuel Slumkey z rękami na sercach zajęci byli kłanianiem się z największą grzecznością wzburzonemu morzu głosów, zalewającemu plac, z którego podnosiła się burza stękań, krzyków, gwizdań, ryku, mogących zrobić zaszczyt trzęsieniu ziemi.

— Oto Winkle — rzekł pan Tupman do swego uczonego przyjaciela, ciągnąc go za rękaw.

— Gdzie? — zapytał pan Pickwick wsadzając okulary, które na szczęście miał dotąd w kieszeni.

— Tam — odrzekł pan Tupman — na dachu tego domu.

I rzeczywiście, w szerokim dymniku pan Winkle i pani Pott siedzieli wygodnie na krzesłach, poruszając chustkami, by dać się poznać; pan Pickwick odpowiedział na te pozdrowienia, posławszy damie całusa.

Wybory jeszcze się nie zaczęły, a ponieważ beczynny tłum jest w ogóle usposobiony do wesołości, ten czyn filozofa wystarczył, by się posypały tysiące żartów.

— Hej! Stary lisie! Czy to pięknie umizgać się do kobiet?

— O? Co za grzesznik!

— Nosi okulary, by lornetować zamężne kobiety!

— Łotr! Mizdrzy się przez szkła!

— Pilnuj swojej żony, Pott!

A za każdym takim dowcipem następował wielki wybuch śmiechu.

Ponieważ konceptom tym towarzyszyły szkaradne porównywania pana Pickwicka do starego kozła i inne tym podobne i ponieważ prócz tego zmierzały one do pokrzywdzenia honoru niewinnej damy, oburzenie naszego bohatera było niesłychane; ale gdy w tej samej chwili wezwano do uciszenia się, pan Pickwick poprzestał na obrzuceniu tłumu spojrzeniem pogardy i litości, co wywołało jeszcze większy śmiech.

— Cicho! — ryknęli asystenci burmistrza.

— Whiffin, wezwij, by się uciszono — zawołał burmistrz z pompatyczną miną, odpowiadającą jego wzniosłemu stanowisku. Wezwany, powolny temu rozkazowi, wykonał drugi koncert na dzwonie, po czym pewien gentleman z tłumu krzyknął na całe gardło: Fifine! — co spowodowało nowy wybuch śmiechu.

— Gentlemani! — rzekł burmistrz, nadając możliwie największą donośność swemu głosowi — gentlemani! Bracia! Obywatele miasta Eatanswill! Zebraliśmy się dziś tu dla wyboru nowego reprezentanta na miejsce ostatniego naszego...

Tu burmistrzowi przerwał głos z tłumu:

— Wszelkiej pomyślności panu burmistrzowi! Niech zawsze przebywa pomiędzy gwoździami i rondlami, na których zrobił majątek.

Ta aluzja do handlowych przedsięwzięć mówcy spowodowała huragan wesołości, który przy akompaniamencie dzwonu nie pozwolił słyszeć ani słowa z przemówienia burmistrza, wyjąwszy jednak ostatni frazes, którym dziękował słuchaczom za uprzejmą uwagę, z jaką go wysłuchano. To wyrażenie wdzięczności przyjęte zostało nowym wybuchem wesołości, trwającym około kwadransa.

Słuszny, wychudzony gentleman w białej, sztywnej chustce, okrutnie krępującej mu szyję, wystąpił wtedy na arenę, wśród przerywań tłumu, radzącego mu, by posłał kogo do domu po głos, który zapewne zapomniał pod poduszką. Gentleman ten prosił o pozwolenie przedstawienia właściwej i odpowiedniej osoby dla reprezentowania w parlamencie wyborców eatanswillskich; a gdy oświadczył, że osobą tą był Horacjusz Fizkin z Fizkin Lodge pod Eatanswillem, fizkiniści poczęli klaskać, a slumkeyiści szemrać tak długo i hałaśliwie, że polecający kandydata zamiast przemawiać mógł śpiewać jakąkolwiek pijacką piosenkę i nikt by się tego nie domyślił.

Gdy już przyjaciele Horacjusza Fizkina Esq. zrobili użytek ze swego prawa pierwszeństwa, wystąpił mały, choleryczny człowieczek, o twarzy czerwonej jak goździk, także w tym celu, by wymienić inną właściwą i odpowiednią osobę do reprezentowania w parlamencie wyborców eatanswillskich; ale natura tego człowieka była zanadto wrażliwa, by mu mogła pozwolić spokojnie przepłynąć między falami głosów tłumu... Po kilku okresach ozdobionych metaforami choleryczny gentleman począł piorunować na przerywających mu, a potem rozpoczął kłótnię z gentlemanami znajdującymi się w pobliżu mównicy. Natenczas ze wszech stron powstał hałas, co zniewoliło go do wyrażenia swych uczuć za pomocą pantomimy; wreszcie ustąpił miejsca innemu mówcy, który miał polecone popieranie wniosku przedmówcy. Ten w ciągu pół godziny wygłaszał mowę pisaną, której żadna już wrzawa nie zdołała zaszkodzić, bo zawczasu przesłał ją w odpisie do „Gazety Eatanswillskiej”, gdzie przedrukowano ją co do słowa.

Na koniec ukazał się Fizkin Esq. z Fizkin Lodge pod Eatanswillem w celu przemówienia do wyborców, ale natychmiast muzykanci, wynajęci przez szanownego Samuela Slumkeya, zaczęli wykonywać ze szczególną siłą jakąś fanfarę. Odwzajemniając się za tę uwagę, tłum żółty począł walić po głowach i plecach tłum błękitny; tłumowi błękitnemu zachciało się znów uwolnić się od niedogodnego sąsiedztwa tłumu żółtego i wskutek tego wywiązała się bójka, którą na próżno usiłowalibyśmy opisać. Sam burmistrz nie zdołał położyć jej końca; nic także nie pomogło wydanie dwunastu konstablom rozkazu pochwylenia głównych wichrzycieli, których było najmniej dwudziestu pięciu; zamieszanie nie ustawało. Wśród tego harmideru Horacjusz Fizkin Esq. z Fizkin Lodge i przyjaciele jego dawali się coraz więcej opanowywać złości; Horacjusz Fizkin tonem wyzywającym zapytał swego przeciwnika, Samuela Slumkeya ze

Slumkey Hall, czy muzykanci ci grają z jego rozkazu. A gdy szanowny Samuel Slumkey ze Slumkey Hall odmówił odpowiedzi na to pytanie, Horacjusz Fizkin Esq. z Fizkin Lodge pokazał pięść szanownemu Samuelowi Slumkeyowi ze Slumkey Hall i wskutek tego krew szanownego Samuela Slumkeya zawrzała i wyzwał na śmiertelny bój Horacjusza Fizkina Esq. z Fizkin Lodge.

Burmistrz, ujrzawszy to pogwałcenie wszystkich obowiązujących ustaw i wszystkich zasad, zarządził nową fantazję na dzwonie i oświadczył, że obowiązek nakazuje mu zawezwać przed siebie Horacjusza Fizkina Esq. z Fizkin Lodge i szanownego Samuela Slumkeya ze Slumkey Hall do złożenia przysięgi, iż nie naruszą pokoju Jej Królewskiej Mości. Wskutek takiej strasznej groźby wdali się w sprawę przyjaciele dwóch kandydatów i gdy oba stronnictwa wyklóciły się należycie, po upływie trzech kwadransów Horacjusz Fizkin Esq. przyłożył rękę do kapelusza, spoglądając na szanownego Samuela Slumkeya; szanowny Samuel Slumkey przyłożył rękę do kapelusza, spoglądając na Horacjusza Fizkina Esq. — muzykanci przestali grać, tłum po części uspokoił się i Horacjusz Fizkin mógł dalej mówić.

Mowy obu kandydatów, chociaż różniące się co do wszystkich innych punktów, zgadzały się w tym, że oddawały należny i rozrzewniający hołd zasługom i szlachetności wyborców eatanswillskich. Każdy z kandydatów wynurzył głębokie swe przekonanie, iż nigdy nie istniało w świecie zgromadzenie ludzi bardziej niezależnych, oświeconych, bardziej patriotycznych, cnotliwych, bezinteresownych nad tych, którzy przyrzekli głosować za nim; każdy dał niejasno do zrozumienia, iż podejrzewa wyborców przeciwnego stronnictwa o pozostawanie pod wpływem brudnych motywów i oddawanie się poniżającemu nałogowi pijaństwa, co czyni ich zupełnie niegodnymi wykonywania funkcji powierzonych ich honorowi dla dobra ojczyzny. Fizkin objawił gotowość spełnienia wszystkiego, co mu zostanie zaproponowane; Slumkey oświadczył, iż nie uczyni nic z tego, czego się odeń zażąda. Jeden i drugi podnieśli to, że rolnictwo, przemysł, handel i pomyślność Eatanswillu zawsze droższe będą ich sercu nade wszystko w świecie. Każdy na koniec był szczęśliwy, iż mógł oświadczyć, że dzięki zaufaniu, jakie pokłada w rozsądku wyborców, pewny jest swego wyboru.

Po tych przemowach rozpoczęto głosowanie przez podniesienie rąk; burmistrz zawyrokował na korzyść szanownego Samuela Slumkeya ze Slumkey Hall Horacjusz Fizkin Esq. z Fizkin Lodge zażądał głosowania imiennego; wskutek tego zarządzone zostało głosowanie imienne. Następnie przegłosowano podziękowanie burmistrzowi za takt okazany w przewodniczeniu, a burmistrz, który stał przez cały czas trwania czynności, podziękował zgromadzonym, życząc z całego serca, ażeby krzesło przewodniczącego nie było tylko czczym wyrazem. Pochody znowu się uporządkowały i powozy z wolna potoczyły się pomiędzy tłumem, który to klaskał, to gwizdał, według tego, co mu nakazywało jego usposobienie lub kaprys.

Przez cały czas głosowania miasto było w stanie jakiegoś gorączkowego entuzjazmu. Wszystko odbywało się w sposób najliberalniejszy. Napoje spirytusowe były szczególnie tanie we wszystkich szynkach. Po mieście roznoszono nosze dla dogodności wyborców, którzy by doznawali chwilowego zawrotu głowy, ponieważ przez cały czas trwania walki wyborczej ten rodzaj choroby rozwijał się pomiędzy głosującymi z zadziwiającą i przerażającą szybkością; często widywano ich leżących na bruku w stanie zupełnej bezwładności. W ostatnim dniu mała tylko liczba wyborców jeszcze nie głosowała. Byli to ludzie oględni, kalkulujący, jeszcze nie przekonani należycie dowodami stronnictw, chociaż odbywali liczne konferencje z jednym i drugim. Na godzinę przed zamknięciem

głosowania pan Perker upraszał o zaszczyt prywatnego porozumienia się z tymi szlachetnymi i inteligentnymi patriotami. Argumenty, jakich użył, były krótkie, ale skuteczne. Ci, którzy się spóźnili, poszli głosować wszyscy razem, a gdy tego dokonali, szanowny Samuel Slumkey ze Slumkey Hall wyszedł z urny wyborczej.

Rozdział czternasty **zawierający krótkie opisanie towarzystwa** **zgromadzonego „Pod Srebrnym Pawiem”, a przy tym** **historię opowiedzianą przez komiwojażera**

Po napatrzeniu się na walki i kłopoty życia politycznego zawsze z nową przyjemnością zwracamy następnie uwagę na spokój życia prywatnego. Chociaż w rzeczywistości pan Pickwick nie bardzo się trzymał tej lub owej partii, roznamiętniał go jednak do pewnego stopnia entuzjazm Potta, jak to widzimy z opisu czynności wyborczych, któreśmy opowiedzieli według jego pamiętnika. Podczas gdy pan Pickwick tym był zajęty, pan Winkle nie pozostawał bezczynny. Poświęcał on cały swój czas przechadzkom i małym romantycznym wycieczkom z panią Pott, gdyż jak tylko nadarzała się sposobność, miła ta dama nie zaniedbywała szukać ulgi od nudnej jednostajności, na którą narzekała tak gorzko. Gdy pan Pickwick i pan Winkle w ten sposób zupełnie zaaklimatyzowali się w domu redaktora, panowie Tupman i Snodgrass musieli z konieczności radzić sobie, jak mogli. Niewiele zajmując się sprawami publicznymi, dla urozmaicenia wolnych chwil musieli uciekać się do rozrywek, jakie można było znaleźć „Pod Srebrnym Pawiem”. Rozrywki te stanowiła niewinna gra w karty na pierwszym piętrze i gra w kręgle na tylnym podwórzu. Dzięki poświęceniu Sama, podróźni nasi zostali stopniowo wtajemniczeni w sposoby takiego przepędzania czasu, daleko bardziej atrakcyjne, aniżeli przypuszczają ludzie pospolicci. W ten sposób skracali sobie długie godziny bezczynności, chociaż po większej części pozbawieni byli towarzystwa pana Pickwicka. Zwłaszcza wieczory „Pod Srebrnym Pawiem” szczególnie podobały się dwom przyjaciółom i przedstawiały dla nich tyle ponęt, iż mieli dość siły, aby oprzeć się usilnym zaproszeniom wymownego, chociaż gadatliwego dziennikarza. Wieczorami mianowicie w kawiarni hotelowej zbierało się kółko oryginałów, których charaktery i maniere dawały panu Tupmanowi szerokie pole do spostrzeżeń, a mowy ich i czyny zwykle notował pan Snodgrass.

Większość ludzi zdaje sobie po największej części sprawę z tego, co rozumie się przez kawiarnię. Kawiarnia „Pod Srebrnym Pawiem” nie wyłamała się spod ogólnych reguł. Był to wielki pokój, którego skąpe umeblowanie wyglądało niewątpliwie lepiej, gdy było nowe. Ciekawa kolekcja krzesel, o kształtach dziwacznych a rozmaitych, ustawiona była dokoła wielkiego stołu na środku sali i dokoła mnóstwa małych stołów: okrągłych, kwadratowych i trójkątnych, podłoga zaś pokryta była tureckim dywanem, którego rozmiary miały się tak do powierzchni pokoju, jak damska chusteczka do podłogi hallu. Ściany ozdobione były trzema wielkimi mapami geograficznymi i szeregiem rozmaitych płaszców pozawieszanych na kołkach. Na kominku leżała książka pocztowa, historia hrabstwa Kent, bez okładek, śmiertelne szczątki pstrąga w szklanej trumnie i drewniany kałamarz z kawałkiem pióra i połową opłatka do pieczętowania. Bufet miał zaszczyt dźwigać mnóstwo rozmaitych przedmiotów, pomiędzy którymi szczególną uwagę zwracały: bardzo brudny gąsior, dwa czy trzy bicze, tyleż płaszców podróżnych, noże, widelce, a przede wszystkim musztarda. Na koniec, atmosfera zgęszczona dymem tytoniowym nadawała brunatną barwę wszystkim przedmiotom, głównie zaś czerwonym i zapyłonym firankom, smutno wiszącym u okien.

Tam to panowie Tupman i Snodgrass pili i palili tytoń wieczorem po wyborach, wraz z wielu innymi chwilowymi mieszkańcami zajazdu.

— No, panowie — zawołał *ex abrupto* słuszny i barczysty mężczyzna około czterdziestki, posiadający jedno tylko, ale czarne oko, błyszczące złośliwością i dobrym humorem. — No, panowie! Nasze szlachetne zdrowie! Zawsze taki toast wznoszę w kompanii, ale w głębi mej duszy piję za zdrowie Marii. Prawda, Mario?...

— Daj mi pan spokój! Szkaradny pan jesteś — odpowiedziała służąca, której widocznie pochlebił ten komplement.

— Nie odchódź, Mario — zaczął znowu jednooki.

— Daj mi pan spokój, jest pan impertynent.

— Nie płacz, gdy będziesz zmuszona mnie porzucić, Mario — mówił dalej mężczyzna o jednym oku, gdy dziewczyna wychodziła z pokoju — zaraz pójde cię odszukać, nie martw się, moja droga... — Mówiąc to, mrugnął samotnym okiem w stronę kompanii, ku wielkiemu zadowoleniu pewnego starszawego gentlemana z glinianą fajką i twarzą jednakowo zakopconymi.

— Kobiety to dziwne stworzenia — rzekł człowiek z zakopconą twarzą po chwili milczenia.

— O, wielka prawda! — zawołał inny jegomość o twarzy miedzianorudej, ukrytej poza cygarem.

Po tych filozoficznych uwagach nastąpiło znów milczenie.

— A jednak, wiecie, panowie, są na świecie rzeczy dziwniejsze niż kobiety — zaczął znów człowiek o jednym czarnym oku, nakładając z powagą ogromnych rozmiarów holenderską fajkę.

— Czy pan żonaty? — zapytała zakopcona twarz.

— O ile wiem, nie.

— Domyślałem się.

Mówiąc to człowiek o zakopconej twarzy wpadł w wielką wesołość spowodowaną własną odpowiedzią; naśladował go w tym gentleman o głosie łagodnym i spokojnej twarzy, który uważał za swój obowiązek przytakiwać każdemu zapatrywaniu.

— A jednak, panowie — rzekł poetyczny pan Snodgrass — kobiety są rozkoszą i radością naszego istnienia.

— To prawda — odpowiedział gentleman o łagodnej twarzy.

— Kiedy są w dobrym humorze — dodała twarz okopcona.

— O, wielka prawda — rzekł gentleman łagodny.

— Odrzucam to zastrzeżenie! — zaczął znowu pan Snodgrass, którego myśli nagle przeniosły się do Emilii Wardle. — Odrzucam je z pogardą. Pokażcie mi mężczyznę, który by powiedział cokolwiek przeciw kobietom, a ja śmiało oświadczę, że nie jest mężczyzną. — Wymawiając te wyrazy pan Snodgrass wyjął z ust cygaro i gwałtownie uderzył w stół zaciśniętą pięścią.

— Tęgi argument! — rzekł łagodny gentleman.

— Zawierający twierdzenie, któremu zaprzeczam — przerwała twarz okopcona.

— I w tym, co pan mówisz, jest także bez wątpienia wiele prawdy — odrzekł łagodny.

— Zdrowie pańskie! — zaczął znów kupiec o jednym oku, zwracając się przyjaźnie do pana Snodgrassa.

Pickwickczyk odpowiedział na tę grzeczność, jak należało.

— Lubię słyszeć dobre argumenty — mówił dalej komiwojażer — argumenty dobitne, jak pański. To bardzo budujące. Ale ta mała dyskusja o kobietach przypomina mi pewną

historię, którą słyszałem od mego wuja. I dlatego to właśnie powiedziałem przed chwilą, iż są na świecie rzeczy dziwniejsze niż kobiety.

— Chciałbym usłyszeć tę historię — rzekł gentleman o miedzianorudej twarzy poza cygarem.

— Naprawdę? — zapytał komiwojażer i począł palić fajkę z wielką gwałtownością.

— I ja także — odrzekł pan Tupman, który po raz pierwszy przemówił, a zawsze chętnie powiększał bagaż swego doświadczenia.

— I pan także? Dobrze! Opowiem ją panom. Ale to niewarte zachodu, bo jestem pewny, że nie dacie jej wiary.

Podczas gdy kupiec mówił to, jego samotne oko mrugało szczególnie tajemniczo.

— Jeżeli pan mię zapewni, że prawdziwa, to, naturalnie, będę wierzył — rzekł pan Tupman.

— Dobrze, pod tym warunkiem opowiem ją. Czyście słyszeli kiedy o domu handlowym Bilson i Slum? Zresztą, czyście słyszeli czy nie, to mniejsza, gdyż panowie ci dawno już usunęli się od interesów. Już minęło osiemdziesiąt lat od czasu, jak historia ta wydarzyła się pewnemu komiwojażerowi tego domu; był on bliskim przyjacielem mego wuja, a wuj mój opowiadał mi ją prawie tymi samymi słowami, jak ją teraz usłyszycie. Dał jej tytuł:

OPOWIEŚĆ KOMIWOJAŻERA

— Pewnego wieczora w zimie, w chwili gdy zmrok zapadał, można by było widzieć na drodze przechodzącej przez płaszczyznę Marlborough jednokonkę, a w tej jednokonce człowieka popędzającego swą zmęczoną klacz. Mówię, że można by było widzieć i nie ulega żadnej wątpliwości, że widziano by, gdyby tylko przechodziła tamtędy jakaś osoba, która by nie była ślepa. Ale było tak zimno, ciemno i słotno, że oprócz deszczu, który padał, ani psa nie było na dworze. Jeżeliby jaki komiwojażer z tych czasów spotkał był tę małą jednokonkę z szarym pudłem i czerwonymi kołami, tę klacz bułąną, długonogą i kapryśną — od pierwszego rzutu oka powiedziałby, że powożącym tym ekwipażem był niezawodnie Tom Smart z wielkiego domu handlowego Bilson i Slum z Cateaton Street w City, ale ponieważ nie było tam żadnego komiwojażera w pobliżu, nikt więc nie wiedział, dlaczego Tom Smart, jego szara jednokonka, czerwone koła i kapryśna klacz jednostajnie kuśtykały teraz razem, zachowując tę tajemnicę, od której nikt by zresztą nie zmałdzał. Nawet na tym smutnym świecie wiele jest miejsc nierównie weselszych aniżeli płaszczyzna Marlborough, gdy wieje wiatr gwałtowny. Jeżeli dodacie do tego ponury wieczór zimowy, drogę błotnistą i nierówną, deszcz zimny i gęsty, i drogą doświadczenia sprawdzicie to na własnej osobie, to pojmiecie całą siłę obrazu.

Wiatr nie wiał ani w oczy, ani z tyłu, chociaż i to już źle, ale w poprzek drogi, ukośnie pędząc deszcz, jak linie nakreślone w naszych zeszytach, byśmy należycie pochylali litery. Gdy na chwilę przycichł, podróżnik począł sobie roić, że wycieńczony gwałtownością (wiatr, nie podróżnik) ustał na koniec. Ale puff! i znowu zaczynał ryczeć i świstać w oddali, staczać się z pagórków, gnać po płaszczyźnie i przybliżając się ze wstrząsającą gwałtownością wirować dokoła bryczki i konia, ciskać w oczy i w uszy kłębami ostrego i zimnego deszczu, wilgotny i lodowaty swój oddech wdmuchiwać aż do szpiku kości, potem popędziwszy dalej ryczeć i gwizdać jakby naigrawając się z ludzkiej słabości i pyszniąc się swoją potęgą.

Bułana klacz babrała się w błocie zwiesiwszy uszy i od czasu do czasu potrząsając głową, zapewne dla wyrażenia wstrętu, jakim przejmowało ją w najwyższym stopniu nieuprzejme zachowanie się żywiołów. Ale ciągle szła dobrym krokiem. Wtem usłyszawszy nadlatujący z dala wicher zatrzymała się nagle, rozstawiła cztery nogi i mocno oparła się o grunt, aby nie być zdmuchniętą. Widocznie wskutek specjalnej łaski opatrności tak sobie postąpiła, gdyż bryczka była lekka, Tom Smart tak drobny, a kapryśna klacz tak zmęczona, że raz pochwyceni przez huragan, wszyscy troje niezawodnie potoczyliby się jedno przez drugie aż do samych krańców ziemi albo tam, gdzie by ich wiatr zagnał. Otóż, przyjmując jedno czy drugie przypuszczenie, bardzo jest prawdopodobne, że w obu wypadkach ani kapryśna klacz, ani Tom Smart, ani szara jednokonka o czerwonych kołach nigdy by się już wówczas na nic zdać nie mogli.

— Na moje strzemiączka i moje faworyty! — zawołał Tom Smart (miewał on czasem brzydki zwyczaj klęcia) — na moje strzemiączka i moje faworyty! — zawołał Tom. — Jeśli to nie piękny czas, to niech mię diabli roztrzęsą!

Zapytacie mię, zapewne, dlaczego Tom Smart, który i tak już był dostatecznie roztrzęsiony, wyraził życzenie, by został raz jeszcze poddany podobnemu procesowi. Nie wiem dlaczego, wiem tylko, że Tom Smart tak się wyraził, a przynajmniej opowiadał memu wujowi, iż się tak wyraził, co na jedno wychodzi.

— Niech mnie diabli roztrzęsą — rzekł Tom Smart, a klacz parsknęła, jak gdyby najzupełniej podzielała to zdanie.

— No, stara! — zaczął znów Tom, głaszcząc jej szyję końcem bicza. — Niedaleko ujedziemy tej nocy. Zatrzymajmy się lepiej w pierwszej z brzegu oberży. A więc, moja stara, im prędzej pobiegiesz, tym prędzej będzie koniec temu utrapieniu. Hej! Hej! Wio! Wio! Czy kapryśna klacz do tego stopnia przywykła do głosu swego pana, iż zrozumiała jego myśli, czy też uważała, że zimniej jest stać na miejscu aniżeli iść, tego powiedzieć nie mogę, ale to pewna, że zaledwie Tom przestał mówić, podniosła uszy i poczęła biec. Klusowała tak szybko i tak wstrząsała jednokonką, iż Tom co chwila oczekiwał, kiedy czerwone koła rozsypią się, a on sam wypadnie na rozmokłą ziemię. Chociaż dobrze powoził, nie był jednak w stanie wstrzymać jej biegu, aż do chwili, w której zmyślne stworzenie samo zatrzymało się przed oberżą na prawo od drogi, około dwóch mil od pagórków Marlborough. Podróżny nasz, kładąc bicz i oddając lejce parobkowi stajennemu, uważnie wpatrywał się w dom. Był to dziwny stary budynek z małych kamieni ciosanych, ujętych w bloki składane na krzyż. Okna z ostrymi daszkami wychodziły na drogę, drzwi były niskie; ażeby wejść do domu, trzeba było zejść pod ciemny ganek po dwóch dość stromych schodach, zamiast iść do góry, jak się to teraz praktykuje. Ale pomimo to oberża miała przyjemny wygląd; z okna w sali wybiegało wesołe światło, łuskające na drodze aż do przeciwległego płotu; i inne jeszcze światło, to drżące i słabe, to żywe i jasne, błyszczało spoza zasuniętych firanek okna tejże sali; miła wskazówka, że paliło się na kominie. Rozpatrzywszy się w tych drobnych znamionach okiem doświadczonego podróżnika, Tom zeskoczył tak lek— ko, jak tylko mu pozwalały na wpół przemarzłe członki, i wszedł do domu.

Nie upłynęło kilka minut, a już siedział w sali naprzeciw bufetu koło dobrego ogniska, na które składała się mała miara węgla kamiennego i chrustu w takiej ilości, że można było zrobić zeń dziesięć bardzo przyzwoitych pęków. Paliwo to, nawalone do połowy kominka, skrzyło się, trzaskało i buchało z hałasem, który by wystarczył do rozgrzania serca każdego rozsądnego — człowieka. Miłe to było, ale nie na tym koniec: oto zwinna, młoda dziewczyna bystrooka i o zgrabnej nóżce, rozścielała na stole obrus doskonałej

białości. Więcej jeszcze: Tom, z nogami w pantoflach, wspartymi na kominku, plecami zwrócony do otwartych drzwi, widział w zwierciadle nad kominkiem prześliczną perspektywę bufetu, z ponętym szeregiem serów, szynek, wędlin i butelek ze złotymi napisami, słoików z marynatami i konserwami, a wszystko ustawione było na półkach w sposób nadzwyczaj nęcący. Otóż wszystko to było bardzo ponętne; ale jeszcze i nie na tym koniec, bo za bufetem zasiadła do herbaty ponętniejsza nad wszystko wdówka, przy najpiękniejszym małym stolyczku obok najcudniejszego ognia, jaki sobie można wyobrazić, a wdówka ta, mająca zaledwie czterdzieści osiem lat i o twarzy tak pociągającej jak bufet sam, była widocznie panią i właścicielką oberży, najwyższą władzą wszystkich uroczych posiadłości. Na nieszczęście był i brzydki cień na tym pięknym obrazie, a mianowicie słuszny mężczyzna, bardzo słuszny, w brunatnym surducie z ogromnymi metalowymi guzikami, z czarnymi wąsami i takimiż kręconymi włosami. Pił herbatę obok wdowy i jak można było odgadnąć bez wielkiej domyślności, znajdował się na prostej drodze do owładnięcia samą wdówką wmówiwszy w nią, by mu oddała na wieczne czasy przywilej zasiadania za tym bufetem.

Z charakteru Tom nie był bynajmniej ani cholerykiem, ani zazdrosnym, a jednak z tego czy z owego powodu, słuszny mężczyzna w brunatnym surducie wzburzył mu nieco żółć, która stanowiła także część jego jestestwa. Szczególnie gniewało go to, że od czasu do czasu dostrzegał w zwierciadle pewne czułości, niewinne, ale czule, wymieniane między wdówką i słusznym mężczyzną, które były widocznym dowodem, że wysoki mężczyzna cieszył się względami damy, i to w stopniu odpowiadającym jego wzrostowi. Tom lubił gorący poncz, mogę nawet powiedzieć, iż go bardzo lubił, toteż upewniwszy się, że klacz jego ma dobry owies i dobrą podściółkę, podjadłszy sobie tak, że nie zostawił ani kawałka z doskonałej przekąski, którą mu wdówka przyrządziła własnymi rękami, zażądał szklanki grogu na próbę. Otóż, jeżeli było coś, co wdówka umiała przyrządzić lepiej niż wszystko inne, to był to właśnie ten artykuł. Pierwsza szklanka tak szczęśliwie przypadła do gustu Tomowi, iż nie omieszkał zażądać drugiej. Poncz gorący, panowie, jest to rzecz bardzo przyjemna we wszystkich okolicznościach; ale w tej starej sali, tak czyściutkiej, przed tak wesołym ogniem, przy szumie wichru hulającego na dworze tak, że aż trzeszczało wiązanie starego domu, Tom uznał swój poncz za bezwzględnie doskonały. Zażądał trzeciej szklanki, potem czwartej, potem piątej; nie wiem z pewnością, czy nie kazał dać sobie jeszcze jednej po tej ostatniej. Jakkolwiek było, im więcej pił ponczu, tym bardziej oburzał się na słusznego mężczyznę.

„Co za piekielny bezwstyd! — pomyślał Tom w duchu. — Co ten pysk szkaradny ma tu do czynienia za tym ślicznym bufetem? Gdyby wdówka miała choć trochę dobrego smaku, niezawodnie znalazłaby sobie przystojniejszego chłopca”.

Tu oczy Toma przestały patrzeć w zwierciadło i zwróciły się ku szklance z ponczem. Wychylił ją, bo poczynił być sentymentalny, i kazał podać sobie drugą.

Smart, moi panowie, zawsze odczuwał wielką skłonność do trybu życia właściwego oberżom. Od dawna już marzył o tym, jak by zasiadł za bufetem należącym do niego, w długim, zielonym surducie, aksamitnych spodniach z lampasami i butach z wykładanymi cholewami. Miał też wysoką ambicję prezydowania przy ucztach; sądził, że przemawiałby pięknie w sali jadalnej, będącej jego własnością, i że znakomity dawałby przykład współbiednikom pijąc nieustraszenie. Wszystko to nagle ujrzał w myśli, gdy pociągnął ponczu przy kominku, i czuł się rzetelnie oburzony na słusznego mężczyznę, który zdawał się być na drodze do pozyskania tego pięknego domu, podczas gdy on, Tom Smart, dziś był od niego dalej niż kiedykolwiek. Wskutek tego, zapytując sam siebie przy dwóch

ostatnich szklankach, czy nie ma prawa pokłócić się ze słuszną mężczyzną o to, że tak wkradł się w łaski ciepłej wdówki, Tom Smart doszedł ostatecznie do tej konkluzji, niezbyt zadowalającej, że był biedakiem, którym pomiatano, którego prześladowano, i że najlepiej będzie, jeżeli sobie pójdzie spać.

Przystojna dziewczyna poszła przed Tomem po szerokich schodkach; ręką osłaniała świecę, by ją zabezpieczyć od przeciągu, który w starych budynkach, tak nieregularnych jak opisana oberża, znalazłby tysiąc sposobów do pohulania, nie mając wcale zamiaru zgaszenia świecy. A jednak świeca zgasła, co dało nieprzyjaciółom Toma Smarta powód do utrzymywania, że on, a nie wiatr, zgasił świecę i że pod pozorem zapalenia jej pocałował służącą. Tak czy owak, dość że świeca została na nowo zapalona i Tom został doprowadzony do apartamentu przygotowanego na jego przyjęcie. Młoda dziewczyna powiedziała mu dobranoc i zostawiła go samego.

Znalazł się w ogromnym pokoju. Łóżko mogło służyć dla całego batalionu; dwie dębowe poczerńnięte szafy mogłyby objąć bagaże niewielkiej armii; ale co najwięcej pociągnęło uwagę Toma, to szczególnego rodzaju fotel z wysokim oparciem, miną napuszoną, rzeźbiony w sposób najdziwaczniejszy, obity czerwonym adamaszkiem w wielkie liście, gdy nogi jego starannie były owinięte w małe czerwone worki, jak gdyby miał podagrę w stopach.

Innym razem Tom powiedziałby po prostu, że ze wszystkich niezwykłych foteli ten jest najbardziej niezwykły, ale w fotelu tym było coś — nie mógł powiedzieć, co mianowicie — coś, czego nigdy nie dostrzegł w żadnym meblu, coś, co przykuwało wzrok do niego. Tom siadł przy ogniu i więcej niż pół godziny trzymał oczy wlepione w ten fotel. Przeklęty stary grat! Pomimo największych wysiłków, nie mógł jednak nie patrzeć na niego...

— Słowo daję — rzekł Tom, rozbierając się powoli i ciągle spoglądając na stary fotel, z tajemniczą miną stojący przy łóżku — nigdy w życiu nie widziałem nic tak dziwnego; nadzwyczajnie dziwny! — I zwiesił głowę z miną znamionującą wielką mądrość, i znów spojrzął na fotel; ale chociaż patrzył i patrzył, nic nie wypatrzył i nie zrozumiał. A więc włożył do łóżka, okrył się ciepło i zasnął.

W pół godziny potem zerwał się ze snu, w którym widział mnóstwo słusznym mężczyzn i szklanek z ponczem. Pierwszym przedmiotem, który się ukazał jego rozespanej wyobraźni, był ów dziwny fotel.

— Nie chcę patrzeć na niego — rzekł Tom do siebie, starannie mrużąc oczy i siłąc się wmówić w siebie, że zaśnie powtórnie. Niepodobna! Mnóstwo najdziwaczniejszych foteli zaczęło tańczyć mu przed oczami, podnosić nogi, skakać, jeden przez drugi i broić tysiące podobnych figlów.

„Lepiej już widzieć jeden fotel rzeczywisty aniżeli dwa albo trzy tuziny urojonych” — pomyślał wysuwając głowę spod kołdry.

Przedmiot jego podziwu stał ciągle przed nim fantastycznie oświetlony drżącym ogniem kominka.

Tom ostro wpatrzył się w fotel i wkrótce dostrzegł, że zmienia on kształty. Rzeźba na grzbiecie przybrała rysy starczej i pomarszczonej twarzy ludzkiej, adamaszek w szerokie liście przeistoczył się w staroświecką kamizelkę, nogi wydłużyły się i obuły w czerwone pantofle — wreszcie sam fotel przedstawił się jako bardzo stary i bardzo brzydki gentleman z zeszłego wieku, trzymający się pod boki. Tom siadł na łóżku i przetarł oczy, by odpędzić złudzenie. Ale nie, fotel rzeczywiście był starym gentlemanem, i co więcej, zaczął mrugać spoglądając na Toma.

Tom, rozumie się, był śmiały, a oprócz tego miał w sobie pięć szklanek ponczu. Chociaż zrazu nieco wypadł z równowagi, poczuł wkrótce, że żółć mu się burzy, gdy dostrzegł, że starożytny gentleman zerka na niego bezwstydnie. W końcu postanowił skończyć z tym i gdy tylko stara twarz poczęła szybciej mrugać, Tom rzekł tonem rozgniewanym:

— Po co, u licha, wyrabiasz wszystkie te grymasy?

— Bo mi się tak podoba, Tomie Smart — odrzekł fotel albo stary gentleman, jak chcecie. I nie tylko, że nie przestał mrugać, ale jeszcze poczał wyszczerzać zęby jak stara, zgrzybiała małpa.

— Skąd znasz moje nazwisko, ty stary dziadku do orzechów? — zapytał Tom, nieco zaniepokojony, chociaż chciał udawać zucha.

— No, no, Tomie! Tak się nie mówi do solidnego hiszpańskiego mahoniu. Niech mię Bóg skarże! Nie godzi się tak traktować nawet prostego stołka olchowego.

— Nie miałem zamiaru ubliżać panu — odpowiedział nierównie pokorniejszym tonem.

— Dobrze! dobrze! — zawołał stary — wierzę temu, Tomie, wierzę.

— Panie!

— Znam całą twoją historię. Tomie, znam całą. Nie jesteś bogaty, Tomie.

— Prawda, ale skąd pan to wiesz?

— Mniejsza o to. Słuchaj, Tomie, ty za bardzo lubisz poncz.

Już Tom chciał oświadczyć, że od ostatnich swoich imienin nie brał kropli do ust, gdy oczy jego spotkały oczy fotela. Tom zarumienił się i zamilczał.

— Tomie! Wdówka to piękna kobiecina, smaczna kobiecina, co?

Mówiąc to, stary wywrócił oczy, mlasnął językiem i podniósł jedną ze swych kruchych nóg z miną tak rozpustną, iż Tomowi nie w smak poszła podobna lekkomyślność, zwłaszcza w takim wieku.

— Tomie! — zaczął znowu stary gentleman — ja jestem jej opiekunem.

— Czy tak?

— Znałem jej matkę, Tomie, i babkę także. Szalała za mną. To ona uszyła mi tę kamizelkę.

— Oho!

— I te pantofle także! — mówił dalej stary, podnosząc jeden ze swych worków. — Ale nie opowiadaj o tym, Tomie, nie chcę, by wiadano, jak była do mnie przywiązana; mogłoby to doprowadzić do nieporozumień w rodzinie.

Mówiąc to, stary rozpustnik miał minę tak bezwstydną, że Tom twierdził później, iż bez żadnego wyrzutu sumienia usiadłby na nim.

— Niegdyś szalały za mną kobiety. Niemało też piękności trzymałem na mych kolanach całymi godzinami. Cóż ty na to, Tomie?

Stary gaduła zamierzał mówić dalej, zapewne, by opowiedzieć którą z przygód swej młodości, gdy wtem dostał ogromnego napadu kaszlu.

„Dobrze ci tak, stary libertynie!” — pomyślał Tom, ale nie powiedział nic.

— Ach! — odjęknął wreszcie stary — teraz mię trapi choroba. Starzeję się, Tomie. Niedawno zrobiono mi szkaradną operację: wsadzono mi w grzbiet łatę. Była to okropna próba. Tomie.

— Wyobrażam sobie — rzekł Tom Smart.

— Ale nie o to chodzi, Tomie; chcę, byś się ożenił z wdówką.

— Ja, panie?

— Ty.

— Niech Bóg błogosławi twoje białe włosy! — rzekł Tom (fotel zachował jeszcze część swego owłosienia). — Ale ona mnie nie zechce.

I Tom westchnął mimowolnie, bo pomyślał o bufecie.

— Eh, ba! — rzekł stary gentleman stanowczo.

— Nie! Nie! Tu inny wiatr wieje: jest tam jakiś przeklęty łotr, ogromnego wzrostu, z czarnymi faworytami!

— Tomie! — odpowiedział stary uroczyście. — On się z nią nigdy nie ożeni!

— O! Gdybyś był pan na dole, mój stary panie, to inaczej byś mówił.

— Ba, ba! Znam całą tę historię...

— Jaką historię?

— Całusy kradzione za drzwiami i tam dalej — odrzekł starzec spoglądając tak bezwstydnie, że aż krew w Tomie zawrzała, bo pytam się panów, czy jest coś wstrętniejszego niż to, że człowiek w tym wieku tak się wyraża zamiast zająć się czymś właściwszym.

— Wiem o tym, Tomie, niejedna robiła tak samo, ale koniec końców nic z tego nie wynikło.

— Pan musiał w swoim czasie widzieć ciekawe rzeczy?

— Może masz słuszość, Tomie — odpowiedział stary, wykrzywiwszy się w sposób wielce skomplikowany, potem zaś, westchnąwszy głęboko, dodał: — Niestety! Jestem ostatni z rodu.

— A miał pan liczną rodzinę? — zapytał Tom Smart.

— Było nas dwunastu zuchów, dobrze zbudowanych, a prostych jak głoska I. To nie to, co wasze terazniejsze pokurcze. A przy tym tak nas wysztafirowano (choć nie powinien bym mówić tego o sobie), że aż serce się radowało.

— Cóż się stało z innymi?

Stary gentleman zasłonił sobie łokciem oczy i odpowiedział smutno:

— Pomarli, Tomie, pomarli! Ciężka wypadła nam służba, a nie wszyscy mieli moje zdrowie. Podostawali reumatyzmu w nogach i w rękach, tak że podnoszono ich do kuchni i innych szpitali. Jeden z nich wskutek długiej służby i złego obchodzenia się tak się roztrząsł, iż postanowiono go spalić; przykry to koniec, Tomie.

— Okropny! — potwierdził Tom Smart.

Stary gentleman zamilkł. Walczył, widocznie, z naporem uczuć, po chwili zaś tak przemówił:

— Nie o to chodzi, Tomie. Ten słuszny mężczyzna to łotr i awanturник. Gdyby ożenił się z wdówką, sprzedałby zaraz wszystkie ruchomości i drapnąłby. Cóż by potem nastąpiło? Zostałaby opuszczona, zrujnowana, a ja umarłbym z przeziębienia gdzieś na tandecie...

— Tak, ale...

— Nie przerywaj mi, Tomie. O tobie mam zupełnie inne zdanie. Wiem, że gdybyś raz osiedlił się w szynku, tobyś go już nie porzucił, dopóki by była choć jedna kropla do wypicia.

— Bardzo jestem panu wdzięczny za taką opinię.

— Dlatego też — mówił dalej stary gentleman dyktatorskim tonem — dlatego też ty się z nią ożenisz, a nie on.

— A któż mu w tym przeszkodzi? — zapytał Tom żywo.

— Mała okoliczność: on ma już żonę.

— Jakże tego dowiodę? — zawołał Tom, na wpół wyskakując z łóżka.

— On nie domyśla się, że w prawej kieszeni spodni znajdujących się w tej szafie jest list jego nieszczęśliwej żony, która go zaklina, by powracał i dał jeść swoim sześcioru... zapamiętaj to dobrze, Tomie, swoim sześcioru dzieciom, samym niedorostkom jeszcze.

Gdy stary gentleman uroczyście domawiał te wyrazy, rysy jego stawały się coraz mniej wyraźne, a cała postać nikła z wolna. Oczy Toma jakby zaszyły mgłą; staroświecka kamizelka gentlemana przeistoczyła się w adamszkową poduszkę, czerwone pantofle w worki, na koniec cała osoba przybrała postać starego fotela. W tej chwili ogień zgasł na kominku, a Tom Smart upadł na poduszki i zasnął głęboko.

Poranek wyrwał go z letargicznego snu, który nim owładnął po zniknięciu starego gentlemana. Usiadł na łóżku i przez kilka minut na próżno starał się sobie przypomnieć wydarzenia poprzedniego wieczora. Wtem wszystko stanęło mu w pamięci. Spojrzał na fotel. Był to sobie zwykły, stary sprzęt gotycki, ponury i fantastyczny, ale trzeba było mieć wyobraźnię nierównie bujniejszą aniżeli Tom, by dopatrzeć się w nim jakiegoś podobieństwa do człowieka.

— Jak się masz, stary? — zapytał Tom, odważniejszy już w dzień, jak się to wielu ludziom zdarza.

Ale fotel stał nieruchomy i nic nie odpowiedział.

— Brzydki ranek! — mówił dalej Tom. Ani słowa. Fotel nie chciał się wdawać w pogawędkę.

— O jakiej to szafie mówiłeś? — zapytał znów Tom. To samo milczenie: fotel ani pisnął.

„Zresztą sam sobie poradzę” — pomyślał Tom; wyskoczył z łóżka i zbliżył się do jednej z szaf. Klucz był w drzwiach: przekręcił go i otworzył je. W szafie wisiały spodnie; Tom wsunął rękę do kieszeni i wydobyl list, o którym mówił mu stary gentleman.

— Szczególna historia — rzekł Tom spoglądając naprzód na fotel, potem na szafę, w końcu na list — dziwna historia.

Ale choć patrzył i patrzył, niczego się nie dopatrzył; pomyślał więc, iż najlepiej zrobi, gdy się ubierze i bezzwłocznie skończy sprawę ze słusznym mężczyzną.

Zszedłszy na dół, badawczym okiem pana obejrzał oberżę myśląc, iż bardzo być może, że wszystkie te pokoje, z tym, co zawierają, zostaną jego własnością. Słuszny mężczyzna stał przy ponętym bufecie z rękami założonymi w tył, jak gdyby był u siebie. Uśmiechał się do Toma z miną roztargnioną. Pospolity obserwator mógłby wnosić, iż uczynił to dlatego jedynie, by pokazać swe białe zęby, ale Tomowi wydawało się, że to pycha tak się w nim uśmiecha, zaśmiał mu się więc prosto w oczy i przywołał gospodynię.

— Dzień dobry pani — rzekł, zamykając drzwi małego pokoiku, gdy weszła wdówka.

— Dzień dobry panu — odrzekła dama — co pan życzy sobie na śniadanie? Tom nic nie odpowiedział, bo myślał właśnie, jak tu rozpocząć interes.

— Jest doskonała szynka — zaczęła znowu wdówka — wyborny kapłon na zimno. Co mam przysłać panu?

Po tych wyrazach Tom przestał rozmyślać, a jego uwielbienie dla wdowy jeszcze bardziej wzrosło. „Miła osoba — powiedział sobie w duszy — przewidująca i uprzejma”.

— Pani — zapytał — kto jest ten mężczyzna, który siedział za bufetem?

— Nazywa się Jinkins — odrzekła wdówka, rumieniąc się cokolwiek.

— Wysoki mężczyzna...

— Bardzo przystojny mężczyzna — odpowiedziała wdówka, rumieniąc się jeszcze więcej — i bardzo dobrze wychowany.

— Hm! — mruknął Tom.

— Czy pan życzy sobie czego? — zapytała znowu wdówka, nieco zakłopotana zachowaniem się Toma.

— A życzę, życzę sobie — odrzekł Tom. — Bądź pani tak dobra, usiądź na chwilę. Wdówka zdawała się być bardzo zdziwiona, ale usiadła. Tom usiadł przy niej. Nie wiem, jak się to stało, moi panowie, a mój wuj miał zwyczaj utrzymywać, że i sam Tom Smart tego nie wiedział, ale w ten czy inny sposób dłoń jego znalazła się w ręce wdówki i pozostała tam przez cały czas rozmowy.

— Moja kochana pani — rzekł Tom, gdyż umiał przypodobać się — moja kochana pani, doprawdy, że warta jesteś pani dobrego męża.

— Mój panie! — zawołała wdówka, jak mogła najuprzejmiej, taki bowiem początek mowy był co najmniej niezwykły, by nie powiedzieć więcej, zwłaszcza jeżeli zważymy, że do wczorajszego wieczora nigdy nie widziała Toma.

— Nie jestem pochlebcą, kochana pani. Pani warta jesteś doskonałego męża, a kto nim zostanie, ten będzie bardzo szczęśliwym człowiekiem.

Podczas gdy Tom to mówił, oczy jego mimowolnie oderwały się od oblicza wdówki i poczęły błąkać się po rozmaitych wygodnych sprzętach otaczających go dokoła.

Wdówka przybrała minę jeszcze więcej zakłopotaną; zrobiła ruch, by wstać, ale Tom lekko uściśnął jej rękę, jak gdyby chciał ją powstrzymać — i pozostała. Wdowy, moi panowie, rzadko są lekkie; tak utrzymywał mój wuj.

— Jestem panu bardzo zobowiązana za jego pochlebne zdanie — rzekła uśmiechając się — i jeżeli kiedy wyjdę za mąż...

— Jeżeli? — przerwał Tom spoglądając na nią szelmowsko prawym kątem swego lewego oka. — Jeżeli...

— Otóż, jeżeli pójdę za mąż, spodziewam się, że będę miała tak dobrego męża, jak go pan przedstawia.

— To jest Jinkinsa?

— Ależ panie! — zawołała wdowa.

— No, no! nie mów mi pani o nim, znam go... — rzucił domyślnie Tom Smart.

— Jestem pewna, iż wszyscy, którzy go znają, nie mogą o nim powiedzieć nic złego — zaczęła znowu wdowa, nieco zaintrygowana tajemniczą miną Toma.

— Hm! — mruknął komiwojażer.

Wdowa poczęła przypuszczać, że właśnie nadeszła pora rozplakać się. Wyjęła więc chustkę i zapytała, czy Tom ma zamiar obrażać ją, czy sądzi, że przystoi jednemu gentlemanowi obmawiać drugiego gentlemana; dlaczego, jeżeli ma co powiedzieć, nie powie tego jej kawalerowi, jak mężczyzna mężczyźnie, zamiast przeproszać biedną kobietę itd.

— I jemu powiem parę słów — odrzekł Tom. — Tylko chciałbym, byś pani przedtem mnie wysłuchała.

— Dobrze! Mów pan — odrzekła wdówka, uważnie patrząc mu w oczy.

— Zdziwię panią — mówił dalej Tom, sięgając do kieszeni.

— Jeżeli tym, że Jinkins nie ma pieniędzy, to rzecz wiadoma — i nie ma pan potrzeby się trudzić.

— Ba! To jeszcze nic! Ja także nie mam pieniędzy! Ale nie o to chodzi.

— Ach! Mój Boże! O cóż więc? — zawołała biedna kobieta.

— Nie przestraszaj się pani — rzekł Tom, wyjmując list. — I nie krzycz pani — ciągnął dalej, powoli rozwijając papier.

— Nie, nie! Tylko pokaż pan.

— Czy nie zrobi się pani niedobrze i czy nie będzie żadnych podobnych ekstrawagancji? — spytał Tom.

— Nie, przyrzekam panu.

— I nie rzuci się pani do wspólnej sali, by mu powiedzieć słowa prawdy? — dodał Tom.

— Bo widzi pani, nie warto się irytować.

— Nie, nie, tylko daj mi pan ten list.

— Oto jest — odrzekł Tom Smart, kładąc papier na rękę wdówki.

Lamentacje biednej kobiety, gdy go przeczytała, mogłyby przebić kamienne serce. Tom zawsze miał serce czułe, toteż zostało przebite na wylot. Wdówka rzuciła się na krzesło i załamała rękę.

— O, zdrado! O, przewrotności męska! — zawołała.

— Tak, tak, kochana pani; ale uspokój się.

— Nie! nie chcę się uspokoić — łkała wdówka. — Nigdy nie znajdę człowieka, którego bym tak kochała!

— Owszem, owszem, kochana pani! — zawołał Tom Smart, wylewając ogromny potok łez nad stroskaną kobietą. Potem w uniesieniu współczucia objął jej kibić, a wdówka w przystępie boleści uściśnęła mu rękę, spojrzała w oczy i uśmiechnęła się przez łzy. Tom pochylił się ku niej, spojrzał w oczy i także uśmiechnął się wśród płaczu.

Nie mogłem nigdy dowiedzieć się, czy w tej chwili pocałował wdówkę. Często mówił wujowi, że nie uczynił tego, ale ja mam w tym względzie wielką wątpliwość. Między nami mówiąc, panowie, przypuszczam, że ją pocałował.

Nie wiem, jak tam dalej było, dość że Tom wyrzucił wysokiego mężczyznę za drzwi, a w miesiąc później ożenił się z wdówką. Często widziano go potem, jak jeździł po okolicy w szarym kabriolecie z czerwonymi kołami, aż po wielu latach usunął się od interesów i wyjechał z żoną do Francji, po czym dom zburzono.

Po kupcu przemówił stary, ciekawy gentleman.

— Za pozwoleniem, czy mogę zapytać, co się stało ze starym fotelem?

— Zauważono, że w dzień ślubu bardzo skrzypiał, ale Tom Smart nie umiał powiedzieć, czy z radości, czy też wskutek cielesnej niemocy. Zawsze jednak przypuszczał, że to z tego ostatniego powodu, bo więcej nie słyszano go już.

— I wszyscy uwierzyli tej historii? — zapytała okopcona twarz, nabijając fajkę.

— Wszyscy, wyjąwszy nieprzyjaciół Toma. Ci utrzymywali, że było to wszystko błagą. Inni mówili, że był pijany i że mu się to wszystko śniło.

— A Tom Smart twierdził przeciwnie?

— Rozumie się.

— A wuj pana?

— Zgadzał się z Tomem.

— W takim razie obaj byli zuchy co się zowie — rzekła zakopcona twarz.

— O, zuchy — odrzekł komiwojazer. — Prawdziwe zuchy.

Rozdział piętnasty

w którym znajduje się prawdziwy wizerunek dwóch osób dystygowanych i dokładny opis wielkiego śniadania w miejscu ich pobytu — Rzeczone śniadanie doprowadza do spotkania dawnych znajomych i do początku następnego rozdziału

Sumienie pana Pickwicka wyrzucało mu, iż zaniedbał cokolwiek swoich przyjaciół „Pod Srebrnym Pawiem”. Właśnie gdy rano na trzeci dzień po wyborach zamierzał ich odwiedzić, wszedł jego wierny sługa i wręczył mu bilet wizytowy, na którym znajdował się następujący napis gotyckimi literami:

*PANI LEO HUNTER
Pieczara, Eatanswill*

- Osoba czeka — rzekł Sam lakonicznie.
- Czy tylko o mnie pyta?
- O pana, osobiście i bez zastępstwa, jak mówił tajny sekretarz diabła, gdy przyszedł po doktora Fausta — brzmiała odpowiedź Sama Wellera.
- A więc to jest gentleman? — zapytał pan Pickwick.
- Jeżeli to nie jest gentleman, to przynajmniej bardzo staranne jego naśladownictwo — odparł Sam.
- Ależ to bilet wizytowy damy.
- A pomimo to wręczył mi go mężczyzna. Czeka w salonie i mówi, że musi widzieć się z panem, choćby miał czekać cały dzień.
- Dowiedziawszy się o tym postanowieniu pan Pickwick zeszedł do salonu. Siedział tam człowiek o dostojnej minie, który ujrawszy naszego filozofa wstał i przemówił tonem głębokiego szacunku:
 - Pan Pickwick, jak sądzę?
 - Tak jest, panie.
 - Pozwól mi pan na ten zaszczyt, że uścisknę jego rękę. Pozwól mi pan ją uściskać — rzekł dostojnie wyglądający mężczyzna.
 - Z przyjemnością — odrzekł pan Pickwick.
- Nieznamy, uściskawszy podaną mu rękę, tak mówił dalej:
 - Panie! Sława mówi o panu jako o uczonym badaczu starożytności. Rozgłos jego odkryć obił się o uszy pani Hunter, żony mojej, panie; ja jestem mąż, także Hunter.
- Tu poważny człowiek zatrzymał się, sądząc, że wiadomość ta sprawi ogromne wrażenie na panu Pickwicku; ale widząc, że filozofa najzupełniej nie wyprowadza to z równowagi, ciągnął dalej:
 - Moja żona, panie, pani Hunter, dumna jest z tego, iż liczy pomiędzy swymi znajomymi wszystkich znakomitych podróżników i ludzi geniuszu. Pozwól mi pan na tej liście umieścić także nazwisko pana Pickwicka i członków klubu, który został przezeń założony.

— Bardzo mi będzie miło poznać damę o takich przymiotach ducha — odparł pan Pickwick.

— Jutro rano dajemy wielkie śniadanie, urządzamy zabawę wiejską dla wielkiej liczby osób, które wsławiły się swymi dziełami i talentem. Zrób pan tę przyjemność pani Hunter, by mogła pana jutro oglądać u siebie.

— Z wielką chęcią.

— Pani Hunter daje często podobne śniadania, uroczystości rozumu i uczyty duszy, jak się z wielką oryginalnością wyraził jeden z jej gości, który dedykował jej sonet o tych śniadaniach.

— Czy osoba ta wsławiła się swymi dziełami, czy też talentami? — zapytał pan Pickwick.

— I jedno, i drugie. Wszyscy znajomi pani Hunter są sławni; ambicja jej polega na tym, by nie mieć innych znajomości.

— Bardzo to szlachetna ambicja — zauważył pan Pickwick.

— Gdy powiem pani Hunter, że uwaga ta wyszła z ust pana, żona moja będzie dumna z tego. W towarzystwie pana znajduje się gentleman, który podobno napisał kilka małych poematów wielkiej piękności?

— Mój przyjaciel, pan Snodgrass, ma wielki zmysł do poezji.

— To tak jak pani Hunter. Ona, panie, uwielbia poezję, szaleje za nią. Mogę powiedzieć, iż cała jej dusza, cały umysł przesiąknięty jest poezją. Sama napisała kilka prześlicznych rzeczy. Zapewne czytał pan jej ode „Do konającej żabki”?

— Nie zdaje mi się — odparł pan Pickwick.

— Zdumiewa mię pan — rzekł pan Hunter. — Oda ta wywarła ogromne wrażenie. Ukazała się po raz pierwszy w „Magazynie dla Dam” i podpisana była literą L. z dziewięcioma gwiazdkami. Początek jej brzmi:

*Ach, czy mogę bez żalości
Patrzeć, jak — ofiara złości —
Giniesz w pierwszej swej młodości,
Mała, biedna, drżąca —
Żabko konająca!*

— Ładne — zauważył pan Pickwick.

— Piękne — rzekł pan Hunter — i takie proste.

— Bardzo — odparł pan Pickwick.

— Następna strofa jest jeszcze bardziej wzruszająca; pozwoli pan, że ją wygłoszę.

— Jak pan sobie życzy — odparł pan Pickwick.

— Brzmi ona tak — mówił dostojny pan coraz dostojniej:

*Powiedz, czy cię chłopcy dzicy,
Z błota na środek ulicy,
Psem wyszczuli, okrutnicy?
O, boleści wrząca —
Żabko konająca!*

— Bardzo piękne — rzucił pan Pickwick.

— I jakie trafne, mój panie — rzekł pan Hunter. — Ale usłyszysz pan samą panią Hunter, jak deklamuje ten utwór. Ona jedna potrafi nadać temu właściwy wyraz. Jutro będzie go deklamowała w stylowym kostiumie.

— Jako co?

— Jako Minerwa. Ach, zapomniałem panu powiedzieć — wszyscy mają być w kostiumach.

— O, nieba — rzekł pan Pickwick, spojrzawszy po sobie — niemożliwe.

— Niemożliwe? Bynajmniej; to się da łatwo zrobić — rzekł pan Hunter. — Salomon Lucas, Żyd przy ulicy Wielkiej, ma tysiąc najrozmaitszych kostiumów. Może pan wybrać ubiór najbardziej mu odpowiadający: Platon, Zenon, Epikur, Pitagoras — wszyscy byli założycielami klubów.

— Wiem o tym; ale ponieważ nie mogę porównywać się do tych znakomitości, więc też nie powinienem przywłaszczać sobie ich ubioru.

Dostojny pan zamyślił się głęboko, a po kilku minutach powiedział:

— Zastanowiwszy się należycie, nie wiem, czy pani Hunter nie będzie przyjemniej, gdy będzie mogła przedstawić swym gościom osobę tak jak pan znakomitą raczej w ubiorze, który zwykle nosi, aniżeli w szatach jej niewłaściwych. Sądzę, iż mogę wziąć na siebie odpowiedzialność za to i przyrzec panu w imieniu pani Hunter, iż zrobi wyjątek dla pana. Tak jest, panie, jestem pewny, iż mogę mu to przyrzec.

— W takim razie bardzo mi będzie przyjemnie skorzystać z zaproszenia — odparł pan Pickwick.

— Ale ja panu czas zajmuję — rzekł nagle dostojny gentleman. — Znam wartość czasu i nie chcę go panu zabierać. Powiem więc pani Hunter, iż z pewnością może liczyć na pana jak również na pańskich znakomitych przyjaciół. Dumny jestem z poznania tak sławnej osobistości. Ani kroku, panie! ani słowa!

I nie dając panu Pickwickowi czasu na odpowiedź pan Hunter poszedł dostojnie ku drzwiom.

Filozof wziął kapelusz i udał się „Pod Srebrnego Pawia”, ale pan Winkle już tam opowiedział o śniadaniu kostiumowym.

— Pani Pott będzie także! — To były pierwsze słowa, którymi powitał swego mistrza.

— A! — odparł pan Pickwick.

— W postaci Apollina. Tylko pan Pott nie zgadza się na tunikę.

— Ma słuszność! Ma zupełną słuszność — rzekł uczonego męża uroczyście.

— Tak, toteż weźmie białą atlasową suknię w złote muszki.

— Ale czy w takim razie nie będzie trudno poznać, kogo przedstawia? — zapytał pan Snodgrass.

— Dlaczego?! — zawołał pan Winkle z oburzeniem. — Przecież będzie trzymała lirę!

— Prawda! Zapomniałem o lirze — rzekł pan Snodgrass.

— A ja — rzekł pan Tupman — przebiorę się za bandytę.

— Co! — krzyknął pan Pickwick podskakując.

— Za bandytę — powtórzył łagodnie pan Tupman.

— Pan nie ma chyba zamiaru — rzekł pan Pickwick, przypatrując się swemu przyjacielowi z uroczystą surowością — nie ma pan chyba zamiaru, panie Tupman, powiedzieć, że chcesz przywdziać zieloną kurtkę aksamitną z połami na dwa cale?

— Właśnie mam taki zamiar — odrzekł z ogniem pan Tupman — i dlaczegoż by nie? Pytam pana.

— Ponieważ — odpowiedział pan Pickwick, wielce wzburzony — ponieważ jest pan za stary.

— Za stary! — krzyknął pan Tupman.

— A jeżeli potrzeba jeszcze jednego powodu: ponieważ jesteś pan za otyły!...

Twarz pana Tupmana poczerwieniała.

— Panie! — zawołał. — Pan mnie obraża!

— Panie! — odparł pan Pickwick tym samym tonem — jeżeli pan stanie przede mną w zielonej aksamitnej kurtce z połami na dwa cale, będzie to dla mnie obrazą nierównie większą.

— Panie! Jest pan impertynentem! — rzekł pan Tupman.

— To określenie odpowiada przede wszystkim panu — odparł pan Pickwick.

Pan Tupman zrobił parę kroków naprzód i spojrzał na pana Pickwicka wzrokiem wyzywającym. Pan Pickwick odpowiedział spojrzeniem skoncentrowanym za pomocą okularów. Jego twarz wyrażała mężne wyzwanie. Panowie Snodgrass i Winkle stali nieruchomi, jak skamieniali, na widok takiej sceny między takimi ludźmi.

Po krótkiej przerwie pan Tupman zaczął znowu tonem znacznie niższym, ale wielce dobitnym:

— Powiedział pan — zaczął pan Tupman głosem głębokim, powoli — że jestem stary.

— Powiedziałem.

— I otyły.

— Nie cofam tego.

— I impertynent.

— Bo jesteś pan impertynentem.

Nastąpiła straszliwa pauza.

— Moje przywiązanie do pańskiej osoby — zaczął pan Tupman, drżąc ze wzruszenia, a jednocześnie zakasując rękawy — jest wielkie, bardzo wielkie, ale muszę natychmiast zemścić się na tej oto osobie.

— Występuj pan! — odparł pan Pickwick.

Pod wpływem wzburzającego dialogu nieśmiertelny ten człowiek stanął w postawie człowieka chorego na żołądek, przekonany niewątpliwie, tak jak to przypuszczali dwaj świadkowie tej sceny, że była to postawa odporna.

Na szczęście pan Snodgrass rzucił się między dwóch zapaśników z narażeniem się na otrzymanie jednocześnie policzków od obu.

— Co? — zawołał, odzyskując nagle dar słowa, którego pozbawił go był na chwilę nadmiar zdumienia. — Co? Panie Pickwick! Pan? Pan, na którego zwrócone są oczy świata? Panie Tupman!

Pan? Uświetniony jego imieniem, jak my wszyscy? Wstyd, panowie, wstyd!

Jak ślady ołówka ustępują łagodnemu naciskowi elastycznej gumy, tak samo niezwykle zmarszczki, które zebrały się na gładkim i otwartym czole pana Pickwicka, zniknęły stopniowo podczas przemówienia jego młodego przyjaciela. Jeszcze mówił, a już fizjonomia przybrała swój zwykły błogi wyraz.

— Znadto się uniosłem — powiedział. — Tupman! Podaj mi rękę!

Czarna chmura okrywająca twarz pana Tupmana znikła przy tych słowach, gorąco uścisnął rękę swego przyjaciela mówiąc:

— Znadto się uniosłem.

— Nie, nie! — odparł pan Pickwick. — To ja jestem winien. Włóżysz dziś zieloną kurtkę aksamitną.

- Za nic! Za nic! — zawołał pan Tupman.
- Dla mnie to zrobisz, że włożysz — rzekł pan Pickwick.
- Jeżeli tak, to zgoda.

Ułożono więc, iż panowie Tupman, Winkle i Snodgrass przywdzieją kostiumy fantastyczne. Tak to namiętność doprowadziła pana Pickwicka do postępowania sprzecznego z jego zdrowym rozsądkiem. Trudno by znaleźć bardziej przekonywający dowód łagodności jego charakteru, choćby wszystkie zdarzenia, o których mowa w tym rozdziale, były zmyślane.

Pan Hunter nie przesadził w opisie zasobów Salomona Lucasa.

Kostiumów miał on wiele, bardzo wiele; być może, iż nie były ściśle klasyczne ani zupełnie nowe, nie przedstawiały też ubiorów żadnego wieku ani kraju, ale za to były mniej więcej suto wyszywane złotem, a cóż jest świetniejszego nad złoto? Można by im też zarzucić, że nie sprawiały wiele efektu przy świetle dziennym — ale cały świat wiedział, iż tym świetniej błyszczeć będą przy świecach. Jeżeli więc kto daje bal kostiumowy w dzień, wskutek czego kostiumy nie błyszczą, jak by błyszczały przy świecach, wina tego nie spada na naszyca i galony, ale na osoby dające bal w dzień. Tak rozumował Salomon Lucas.

Pod jego wpływem panowie Tupman, Winkle i Snodgrass przystali na wzięcie kostiumów, jakie zalecił im jego gust i doświadczenie.

W zajeździe „Pod Herbem Miejskim” wynajęli pickwickczycy powóz; inny powóz tego samego zakładu miał zawieźć państwa Pott do miejsca pobytu pani Hunter. Delikatnie wywdzięczając się za otrzymane zaproszenie, pan Pott przepowiedział z góry w „Gazecie Eatanswillskiej”, że rezydencja pani Hunter przedstawiać będzie niezwykle czarowny widok, urozmaicony i miły, świetne zebranie piękności i talentów, ujmujący obraz uprzejmości, a przede wszystkim przepychu, umiarkowanego najwykwintniejszym smakiem, zbytu, upiękzonego doskonałą harmonią i najlepszym tonem, obok którego bajeczne cuda „Tysiąca i jednej nocy” wydadzą się tak mroczne i ponure, jak umysły grubiańskich osobistości ośmielających się jadem zazdrości kłaść przygotowania do zabawy robione przez znakomitą i cnotliwą damę, na której ołtarzu składa się ten znakomity hołd uwielbienia. Ostatni ten frazes był ostrym sarkazmem wymierzonym przeciw „Niepodległości”, która, jako nie zaproszona na śniadanie, w ostatnich swych czterech numerach usiłowała wydrwić całą uroczystość, drukując większymi literami dowcipy na ten temat.

Nadszedł poranek. Wspaniale wyglądał pan Tupman w aksamitnej kurtce, niesłychanie obcisłej. Górne części nóg jego zawarte były w aksamitnych spodniach, dolne ujęte w bardzo skomplikowane bandaże, do jakich wszyscy bandyci mają szczególne a niepojęte zamiłowanie. Miło było widzieć jego wąsy podkręcone do góry i wielki wykładany kołnierz od koszuli, z którego wyglądały jego pełne policzki; rozkosz sprawiał jego kapelusz podobny do głowy cukru i przewiązany wstążkami wszystkich kolorów, który to kapelusz bandyta musiał umieścić na kolanach, gdyż żaden śmiertelnik nie utrzymałby go na głowie w powozie. Wygląd osoby pana Snodgrassa był równie przyjemny i ujmujący. Miał on kaftan atłasowy i jedwabną tunikę, a głowę ocieniał mu grecki hełm; był to, jak wiadomo całemu światu (a jeżeli nie całemu światu, to panu Salomonowi Lucasowi), zwyczajny i autentyczny ubiór trubadura od czasów najdawniejszych aż do chwili, gdy ostatecznie znikł z powierzchni ziemi. Wszystko to było miłe, ale nic nie da się porównać z wrzaskiem pospólstwa, kiedy powóz ruszył za powozem pana Potta, kiedy powóz pana Potta zatrzymał się przed drzwiami jego

mieszkania, kiedy drzwi tego mieszkania otworzyły się i ukazały wielkiego dziennikarza ubranego w mundur rosyjskiego policjanta z ogromnym knutem w ręce. Był to taktowny symbol surowej i silnej władzy posiadanej przez „Gazetę Eatanswillską”, i okropnej kary, jaka zagrażała jej przeciwnikom politycznym.

— Brawo! — zawołali panowie Tupman i Snodgrass, ujrzawszy tę chodzącą alegorię.

— Brawo! — odezwał się głos pana Pickwicka z głębi sali.

— Hu! hu! Pott! Chi! chi! Pott! — wrzeszczał tłum.

Podczas tych powitań redaktor wszedł do powozu, uśmiechając się z pewnego rodzaju uprzejmą godnością dowodzącą, iż czuł swą władzę i umiał ją sprawować.

Po redaktorze ujrzano, jak wyszła z domu pani Pott, która byłaby najzupełniej podobna do Apollina, gdyby nie miała na sobie sukni. Prowadził ją pod rękę pan Winkle, którego dzięki jego czerwonemu ubiorowi nie można było wziąć za kogo innego jak za strzelca, gdyby nie był podobny równocześnie do listonosza londyńskiego. Na koniec ukazał się pan Pickwick przy oklaskach uliczników równie hałaśliwych jak poprzednie, ponieważ jego spodnie i kamasze wydawały im się także zabytkami starożytności.

Oba powozy skierowały się ku posiadłości pani Hunter: na koźle tego, w którym znajdował się pan Pickwick, siedział Samuel Weller, który miał pomagać służbie.

Cały tłum, mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta, dzieciaki i starcy, zgromadzeni, by przypatrzeć się kostiumom, doznali największej rozkoszy ujrzawszy pana Pickwicka pod rękę, z jednej strony z bandytą, z drugiej zaś z trubadurem. A gdy pan Tupman, chcąc wystąpić w całej okazałości, począł czynić wysiłki, by osadzić na głowie swój kapelusz, powstał hałas tak niesłychany, jakiego nigdy ani przedtem, ani potem nie słyszano.

Wspaniałe przygotowania do uroczystości najzupełniej sprawdziły prorocze pochwały pana Potta o bajecznych cudach „Tysiaca i jednej nocy”, a jednocześnie zadawały kłam przewrotnym insynuacjom jadowitej „Niepodległości”.

Ogród, zajmujący przeszło pół morgi przestrzeni, pełen był gości. Nigdy nie błyszczała piękność, elegancja i literatura takim blaskiem! Młoda dama pisująca poezje do „Gazety Eatanswillskiej” była ubrana lub raczej rozebrana za odaliskę. Opierała się na rękę gentlemiana pisującego artykuły krytyczne, który bardzo właściwie przywdział mundur feldmarszałka, wyjąwszy palone buty. Mnóstwo było tu geniuszów tej samej miary i wszyscy rozsądni ludzie uważali się za szczęśliwych, że mogli ich tu spotkać. Więcej jeszcze! Było tam z pół tuzina lwów londyńskich, autorów, prawdziwych autorów, którzy ponapisywali już całe księgi i wydrukowali je. Można było widzieć, jak przechadzali się niczym prości śmiertelnicy, uśmiechali się, rozmawiali, a nawet prawili niedorzeczności, ożywiane niewątpliwie tym pełnym przychylności zamiarem, by ich zrozumieli ludzie, wśród których się znajdowali. Prócz tego była tu orkiestra w kartonowych złożonych kapeluszach, czterech śpiewaków, tak zwanych włoskich, w odpowiednich ubiorach, i około tuzina wynajętych lokajów, także w odpowiednich ubiorach, mówiąc nawiasem, bardzo brudnych. Na koniec, a zarazem przede wszystkim była tu pani Hunter w stroju Minerwy, przyjmująca gości i jaśniejąca dumą i zadowoleniem, iż mogła zgromadzić tylu znakomitych ludzi.

— Pan Pickwick! — oznajmił służący, i znakomity filozof podszedł ku prezydującej bogini, trzymając pod rękę bandytę i trubadura.

— Co? Gdzie? — zawołała pani Hunter z udanym zachwytem.

— Tu, pani — rzekł pan Pickwick słodkim głosem.

— Czy być może, że rzeczywiście oglądam pana Pickwicka we własnej osobie?!

— We własnej osobie, pani — odrzekł filozof, kłaniając się bardzo nisko. — Pozwoli pani przedstawić autorce „Konającej żabki” przyjaciół moich: panów Tupmana, Winkle’a i Snodgrassa.

Niewiele osób, które same na sobie tego nie wypróbowały, pojmie, jak trudno jest kłaniać się w obcisłych, zielonych aksamitnych spodniach, za ciasnej kurtce i kapeluszu podobnym do głowy cukru lub też w błękitnym jedwabnym kaftanie, zwłaszcza gdy wszystkie te przedmioty robione były nie na tego, kto je nosi, i włożone bez najmniejszej uwagi na stosowne rozmiary ubioru i ubranego. Nigdy nie widziano takich wykrętaków, jakie wykonywał pan Tupman, by się okazać zwinnym, nigdy nie widziano tak szczególnej sytuacji, jak u jego towarzyszy kostiumowych.

— Panie Pickwick — rzekła pani Hunter — musi mi pan przyrzec, iż pozostanie pan przy mnie przez cały dzień. Jest tu ze sto osób, którym koniecznie muszę pana przedstawić.

— Pani tak łaskawa — odrzekł pan Pickwick.

— Najpierw, oto moje córeczki: prawie zapomniałam o nich — rzekła Minerwa, niedbale wskazując na dwie panny, doskonale rozwinięte, mogące mieć od dwudziestu do dwudziestu dwóch lat, obie w dziecinnych sukienkach (czy to dla wybitniejszego wykazania ich skromności, czy też dlatego, by mama wydała się młodsza — pan Pickwick mówi o tym niejasno).

— Prześliczne! — zawołał pan Pickwick, gdy dwoje miłych dzieci oddaliło się po prezentacji.

— Panie! — zauważył pan Pott z majestatyczną miną — to dlatego, że podobne są jak dwie krople wody do matki.

— Milcz pan, szkaradny człowieku! — zawołała wesoło pani Hunter, uderzając redaktora wachlarzem. (Minerwa z wachlarzem).

— Tak jest, droga pani Hunter — zaczął znowu pan Pott, będący urzędową trąbą Pieczary.

— Wiesz pani dobrze, iż zeszłego roku, gdy portret pani znajdował się na wystawie, wszyscy zapytywali, czy to portret pani, czy też jej młodszej córki; tak trudno było dopatrzeć się różnicy.

— Ale choćby i tak było, dlaczego powtarza pan to przed obcymi? — odparła Minerwa, powtórnie uderzając wachlarzem lwa „Gazety Eatanswillskiej”.

— Hrabio! Hrabio! — zawołała następnie na jakieś indywiduum, przechodzące niedaleko, w cudzoziemskim uniformie i z ogromnymi wąsami.

— A! chce pani czegoś ode mnie? — rzekł hrabia podchodząc.

— Chcę zaznajomić ze sobą dwie znakomitości. Panie Pickwick, miło mi jest przedstawić panu hrabiego Smorltorka. — Pani Hunter szepnęła do ucha filozofowi: — Znakomity cudzoziemiec zbierający materiały do wielkiego dzieła o Anglii. — Hrabia Smorltork, pan Pickwick.

Pan Pickwick skłonił się hrabiemu z całym uszanowaniem przynależnym tak znakomitej osobie; hrabia wyjął swój notatnik.

— Jak pani powiedziała, pani Hunter? — spytał hrabia, uśmiechając się uprzejmie do wniebowziętej pani Hunter. — Pig Wig czy Big Wig, jak się to u was nazywa... adwokat, co? — i hrabia zapisał pana Pickwicka do swego notatnika jako gentelmana, którego nazwisko pochodzi od profesji, jaką uprawia, gdy pani Hunter przerwała:

— Nie, panie hrabio — rzekła dama — Pickwick.

— A, rozumiem! — odrzekł hrabia — Peek — imię, Weeks — nazwisko. Doskonale, wspaniale. Jak się pan ma, panie Weeks?

— Dziękuję, bardzo dobrze — odrzekł pan Pickwick z właściwą sobie łagodnością. — Jak długo bawi pan w Anglii?

— Od dawna... od bardzo dawna... coś około dwu tygodni.

— I jak długo jeszcze pan zabawi?

— Tydzień.

— Będzie pan miał dużo roboty, chcąc zebrać potrzebne materiały — uśmiechnął się pan Pickwick.

— Och, już je mam! — odrzekł hrabia.

— Doprawdy? — zdziwił się pan Pickwick.

— Mam je tutaj — rzekł hrabia uderzając się w czoło. — W domu wielkie dzieło — mnóstwo notat, muzyka, malarstwo, poezja, polityka... wszystko.

— To jedno pojęcie, polityka — rzekł pan Pickwick — stanowi przedmiot trudnych i długich studiów.

— A! — zawołał hrabia, wyjmując notatnik — doskonale — świetny początek rozdziału! Rozdział czterdziesty drugi. To jedno pojęcie, polityka, stanowi przedmiot... — i uwaga pana Pickwicka znalazła się w notatkach hrabiego Smorltorka z wariantami i dodatkami, które miały swe źródło w jego bogatej fantazji lub były wynikiem niedostatecznej znajomości języka.

— Hrabio! — powiedziała pani Hunter.

— Pani Hunter? — odrzekł hrabia.

— Pan Snodgrass, przyjaciel pana Pickwicka i poeta.

— Chwileczkę! — zawołał hrabia, znowu wyciągając notatnik. — Rozdział: poezja, ustęp: przyjaciele—poeci, nazwisko: Snodgrass; bardzo dobrze. Przedstawiony panu Snodgrass — wielki poeta, przyjaciel Peeka Weeks... przez panią Hunter, autorkę czulego poematu... jak go pani nazwała? Żabka? Kochająca żabka. Bardzo pięknie. — Hrabia schował notatnik i odszedł ze zmarszczonymi brwiami, przekonany, że wzbogacił swoje notatki o parę cennych informacji.

— Wspaniały człowiek ten hrabia Smorltork! — rzekła pani Hunter.

— Zdrowo myślący filozof — rzekł Pott.

— Głowa otwarta, umysł jasny — rzekł pan Snodgrass.

Chór osób stojących opodal podjął pochwały wygłoszone pod adresem hrabiego Smorltorka, poważnie pokiwał głowami i zawołał jednocześnie: — Bardzo!

Entuzjazm dla hrabiego Smorltorka, wzrastając z każdą chwilą, mógłby być trwać do końca uroczystości, gdyby trzej tak zwani włoscy śpiewacy nie byli ugrupowali się dokoła solisty, by wyglądać malowniczo, i nie rozpoczęli swych narodowych śpiewów. Przyznać trzeba, iż pieśni te nie przedstawiały wielkich trudności w wykonaniu; cała bowiem tajemnica polegała na tym, że trzej tak zwani śpiewacy włoscy warczeli, podczas gdy czwarty miauczał. Gdy zajmujący ten występ zakończył się, ku powszechnemu zadowoleniu, natychmiast wystąpił jakiś młodzian, który przewijał się przez nogi wybranego w tym celu krzesła, przeskakiwał przez nie, przelazł pod nim, padał z nim razem, słowem — robił z krzesłem wszystko, tylko nie to, do czego jest ono przeznaczone. Po tych sztukach splótł sobie nogi na kształt krawata i założył je na szyję, dając tym praktyczny dowód, iż łatwo jest z człowieka stać się najzupełniej podobnym do ropuchy — same czyny budzące w zgromadzonych widzach niebywały zachwyty i zadowolenie.

Potem słabym piskiem rozbrzmiewał głos pani Pott, a słuchacze jej, pełni ugrzecznienia, wyobrażali sobie, że słyszą śpiew najzupełniej klasyczny i najzupełniej odpowiadający jej kostiumowi, ponieważ Apollo był kompozytorem, a kompozytorowie rzadko śpiewają własne utwory i nie mniej rzadko utwory innych. Na koniec wystąpiła pani Hunter i przedeklamowała swoją nieśmiertelną odę „Do konającej żabki”. — Brawo — i — jeszcze — dało się słyszeć zewsząd, pani Hunter przedeklamowała więc odę po raz drugi i miała już deklamować po raz trzeci, ale większość gości sądząc, że pora już coś przekąsić, poczęła wołać, że nie godzi się nadużywać uprzejmości pani Hunter. Na próżno pani Hunter zapewniała, że gotowa jest przedeklamować odę swoją raz jeszcze; przyjaciele byli zanadto grzeczni, zanadto dyskretni, zanadto dbali o jej zdrowie, by pozwolić na to. Otworzono więc salę, w której zastawione było śniadanie, i wszyscy, którzy już przedtem bywali u pani Hunter, rzucili się tam tłumnie, by pierwsi stanąć w szeregu. Wiedziano bowiem, iż znakomita ta dama miała zwyczaj przyrządzać śniadanie na pięćdziesiąt osób, a zapraszać po trzysta, czyli innymi słowy: karmić znakomite lwy, pozostawiając drobniejsze zwierzęta ich własnemu przemysłowi.

— Gdzie jest pan Pott? — zapytała pani Hunter, sadowiąc wyżej rzeczony lwy koło siebie.

— Jestem! — zawołał z najodleglejszego końca pokoju redaktor, nie mający żadnego widoku na zjedzenie czegokolwiek, chyba gdyby gospodyni sama się nim zajęła.

— Zechce pan może przyjść tu?

— O! Niech pani nie troszczy się o niego — odezwała się pani Pott możliwie najśłodszy głosem. — Jemu jest tam bardzo dobrze. Nieprawdaż, mój drogi, że ci tam dobrze?

— Dobrze, mój aniele — odrzekł nieszczęśliwy pan Pott ze smutnym uśmiechem. Niestety! Na cóż mu się przydał jego knut? Potężne ramię, które z olbrzymią siłą karcilo nim ludzi stojących na świeczniku, sparaliżowane zostało jednym spojrzeniem wszechwładnej pani Pott.

Pani Hunter z triumfem spoglądała dokoła. Hrabia Smorltork zajęty był zapisywaniem nazw potraw; pan Tupman z gracją, jakiej nigdy nie okazywał żaden włoski bandyta, podawał damom sałatę z morskich raków, pan Snodgrass wysadził młodego człowieka kierującego żądłem krytyki w „Gazecie Eatanswillskiej” i zajęty był teraz namiętną rozprawą z młodą damą, która uosabiała poezję; na koniec pan Pickwick był uniwersalnie przyjemny. Niczego, zdawało się, nie braknie temu wyborowemu towarzystwu, gdy wtem pan Hunter, którego czynność w takich razach polegała na staniu przy drzwiach i rozmawianiu z gośćmi mniejszej wagi, krzyknął z całej siły do Minerwy:

— Moja droga! Pan Karol Fitz-Marshall.

— Nareszcie! — zawołała pani Hunter. — Z jakąż niecierpliwością wyglądałam go! Panowie! Pozwólcie przejść panu Fitz-Marshall. Mój kochany! Poproś pana Fitz-Marshall, by zaraz tu przyszedł; muszę go wyłajać za to, że się spóźnił.

— Jestem, droga pani — odezwał się czysty głos. — Jak można najprędzej — tłum ogromny — pokoje pełne — trudno precyzyjnie się — bardzo trudno.

Nóż i widelec wypadły z rąk panu Pickwickowi. Spojrzał na pana Tupmana, któremu także wypadł z ręki nóż i widelec i który wyglądał teraz tak, jakby chciał ukryć się pod ziemię.

— Ach! — zawołał ów głos, gdy jego właściciel torował sobie przejście między ostatnimi dwudziestu pięcioma Turkami, oficerami, rycerzami i Karolami Drugimi, którzy tworzyli ostatnią barykadę między nim a stołem. — Ubranie wyprasowane —

warto opatentować ten wynalazek — ani jednej fałdy na fraku — znakomity ścisk — cha! cha! — dobry pomysł — dziwny pomysł — prasować ubranie na człowieku — operacja nużąca — bardzo nużąca.

Wymawiając ostatnie oderwane frazesy, młody człowiek w mundurze oficera marynarki dotarł już do stołu i ukazał zdumionym oczom pickwickczyków postawę i autentyczne rysy pana Alfreda Jingle'a.

Zaledwie miał czas ująć rękę podaną mu przez panią Hunter, gdy oczy jego spotkały oburzone źrenice pana Pickwicka.

— Ach! Ach! — zawołał. — Zapomniałem — nie dałem rozkazów pocztylionom — wrócę za chwilę.

— Służący albo i pan Hunter powie im, co trzeba, panie Fitz-Marshall — rzekła pani domu.

— Nie! Nie! — Ja sam — to nie potrwa długo — powrót w okamgnieniu — odrzekł pan Jingle i znikł w tłumie. Pan Pickwick wstał, pełen oburzenia.

— Pani — powiedział — pozwól pani zapytać, kto jest ten młody człowiek i gdzie mieszka?

— Jest to bardzo bogaty gentleman, którego pragnę przedstawić panu. Hrabiemu także miło będzie poznać go.

— Tak, tak, bądź pani pewna — odrzekł pan Pickwick żywo. — Gdzie on mieszka?

— W Bury, w hotelu „Pod Aniołem”.

— W Bury?

— Tak, stąd kilka mil... ale mój Boże! Panie Pickwick, pan nas nie opuści? Pan nas nie może opuścić!

Nim pani Hunter wymówiła te wyrazy, pan Pickwick wpadł między tłum i znalazł się w ogrodzie. Wkrótce przybył i pan Tupman, który biegł za nim.

— To się na nic nie zdało — już pojechał!

— Wiem — odrzekł pan Pickwick z zapałem — pojedę za nim!

— Za nim! Ale dokąd?

— „Pod Anioła” w Bury. Czyż nie możemy przypuszczać, że i tam wyprowadza kogoś w pole? Raz oszukał zacnego człowieka i myśmy byli mimowolną przyczyną; drugi raz to mu się nie uda, jeżeli potrafimy przeszkodzić! Chcę zedrzeć z niego maskę. Sam! Gdzie mój służący?

— Jestem tu, panie — rzekł Sam wychodząc z ustronnego miejsca, gdzie właśnie zajęty był badaniem wnętrza butelki madery, którą na parę godzin przedtem zwędził ze stołu. — Oto jest pański sługa, dumny z tego tytułu, jak mówił do publiczności żywy szkielet, którego pokazywano za trzy pensy.

— Chodź ze mną natychmiast! — zawołał pan Pickwick. — Tupman! Jeżeli zabawię dłuższy czas w Bury, przyjedziesz tam, gdzie ci napiszę. Teraz bądź zdrow!

Próżne były wszelkie perswazje: pan Pickwick był wzburzony i powziął postanowienie nieodwołalne.

Pan Tupman powrócił do swych towarzyszy, a w godzinę potem utopił całkiem wspomnienie o panu Alfredzie Jingle, czyli Fitz-Marshallu, w butelce wina szampańskiego i wesołym kontredansie.

Tymczasem pan Pickwick i Samuel Weller, siedząc na wierzchu dylizansu, widzieli, jak co chwila zmniejszała się odległość między nimi a starym miastem, pocziwym miastem Bury Saint Edmunds.

Rozdział szesnasty

Opisujący zbyt wiele wypadków, by je tu można było streścić

W całym roku nie ma miesiąca, w którym natura byłaby tak urocza jak w sierpniu. Wiosna ma wiele uroku, kwietny i świeży maj jest niewątpliwie pięknym miesiącem, ale wdzięk swój zawdzięcza poniekąd kontrastowi z zimą. Sierpień nie ma tych prerogatyw. Nadchodzi, gdy w pamięci mamy jeszcze pogodne niebo, zielone pola, balsamiczne wonie kwiatów — gdy wspomnienia śniegu, lodu i mroźnych wiatrów znikły z naszej pamięci, jak znikły z powierzchni ziemi — a jednak co to za rozkoszna pora roku! Sady i pola dzwonią odgłosami pracy; drzewa uginają się pod brzemieniem owoców, ciężkie gałęzie niemal dotykają ziemi; zboże, związane w snopki lub poruszane tchnieniem wiatru, jakby stęsknione do sierpa, wyłącza krajobraz; łagodny spokój unosi się nad całą ziemią; urok tej pory roku, zda się, ogarnia nawet kopiasto naładowany wóz, który posuwa się tak bezgłośnie po ściernisku, że ruch jego pochwycić może tylko wzrok.

Gdy dylizans toczy się szybko wśród pól i sadów, grupy kobiet i dzieci, wiążących snopy lub zbierających do koszów owoce, zatrzymują się na chwilę, ręką osłaniają opalone twarze i ciekawie spoglądają na jadących; kilku silniejszych chłopczyków, za młodych jeszcze, by pracować, ale zanadto niespokojnych, by można ich było pozostawić w domu, wygląda z koszów, gdzie ich osadzono; żniwiarz zatrzymuje kosę, wyprostowuje się, zakłada ręce i patrzy także na powóz przebiegający tuż koło niego. Konie zaprzężone do wozu rzucają ospałe spojrzenie na piękny zaprzęg powozu. Wzrok ich mówi, jak tylko wzrok koński powiedzieć potrafi: „Przyjemnie na to patrzeć! Ale wolę iść powolutku po polu niż pędzić do siódmego potu po zapyłonym gościńcu!”. Odwracasz się na zakręcie drogi: kobiety i dzieci powracają do pracy, żniwiarz chwyta za kosę, konie zaprzężone do wozu ruszają z miejsca, wszystko znowu wre życiem.

Podobna scena nie mogła nie wywrzeć wpływu na delikatny a wrażliwy umysł pana Pickwicka. Zajęty postanowieniem zdemaskowania pana Jingle'a i odkrycia jego prawdziwego charakteru, zrazu nasz filozof był milczący i zamyślony, zastanawiał się bowiem nad tym, jakich ma użyć sposobów, ale powoli uwagę jego poczęły zajmować przedmioty, które widział dokoła, i w końcu nabrał tak dobrego humoru, jak gdyby przedsiębrał podróż w najprzyjemniejszym celu.

— Śliczny krajobraz, Samie — rzekł do swego służącego.

— Niech się schowają dachy i kominy — odrzekł Sam, dotykając ręką kapelusza.

— Sądzę — zaczął znowu pan Pickwick z uśmiechem — że przez całe swe życie nie widziałeś nic innego tylko kominy i dachy, cegły i wapno.

— Nie zawsze, panie, byłem służącym w oberży — odrzekł Sam, potrząsając głową — dawniej byłem woźnicą.

— Kiedyż to?

— Jak tylko na zbity łeb wyrzucono mnie na świat, bym grał w ciuciubabkę z kłopotami. Najpierw byłem popychadłem u gospodarza na wsi, potem u furmana, potem byłem komisjonerem, a potem służącym w oberży. Teraz jestem sługą gentlemana. Może kiedyś sam zostanę gentlemanem z fajką w ustach i altanką w ogrodzie. Kto wie? Mnie by to nie zdziwiło.

— Jesteś prawdziwym filozofem, Samie — zauważył pan Pickwick.

— To już, panie, jest coś takiego w całej naszej rodzinie. Mój ojciec ma także ku temu skłonności. Kiedy macocha zaczyna zrzędzić, on zaczyna gwizdać; macocha burzy się jak zupa mleczna i tłucze mu fajkę, ojciec najspokojniej bierze drugą. Wtedy macocha wrzeszczy, ile ma sił, i dostaje ataku nerwowego; ojciec nie rusza się i najspokojniej pali fajkę, dopóki macocha nie przyjdzie do siebie. To, panie, filozofia.

— Albo przynajmniej doskonały jej równoważnik — odrzekł śmiejąc się pan Pickwick.
— Takie zasady musiały ci wychodzić na dobre w tym koczowniczym życiu.

— Spodziewam się. Uciekłeś ze wsi, nim wstąpiłem do furmana, przez parę tygodni sypiałem w nieumeblowanym apartamencie.

— W nieumeblowanym apartamencie?

— Tak, pod arkadami mostu Waterloo. Piękna sypialnia; dziesięć minut drogi do centrum miasta. Jeżeliby można jej co zarzucić, to chyba to, że zanadto jest przewiewna. Dziwne widziałem tam rzeczy.

— Domyślam się — odrzekł pan Pickwick z zainteresowaniem.

— Rzeczy, które by przeszły czułe serce pana i wyszły drugą stroną. Nie znajdzie pan tam żebraków z zawodu — ci umieją sobie radzić — a tylko młodych nędzarzy, mężczyzn i kobiety, dopiero początkujących; w ogóle są to biedacy bez przytułku, zmęczeni, umierający z głodu i tarzający się z bólu po kątach tego smutnego miejsca; biedacy, których nie stać nawet na kawałek sznurka za dwa pensy.

— A co to jest sznurek za dwa pensy? — zapytał pan Pickwick.

— Oberża, panie, w której za łóżko płaci się dwa pensy za noc...

— Dlaczegoż takie łóżko nazywa się sznurkiem?

— Ach, jaki pan jeszcze niedoświadczony? Gdy gentlemani utrzymujący te hotele otworzyli swoje lokale, urządzali łóżka na podłodze, ale w ten sposób nie robili interesów. Zamiast spać tyle, ile należy się za dwa pensy, lokatorowie wylegiwali się tam przez pół dnia. Toteż teraz właściciele mają sznurki i zawieszają łóżka na trzy stopy nad podłogą, a łóżka są płócienne.

— No?

— Ano! Korzyść jest widoczna. Co rano, o szóstej, spuszcza się sznurki — i bęc! Wszyscy lokatorowie są już na ziemi. To doskonale budzi: wszyscy nabierają dobrego humoru i wynoszą się jak przyzwoici ludzie... Za pozwoleniem pana — rzekł Sam — czy to nie Bury?

— Tak jest — odparł pan Pickwick.

Wkrótce potem dyliżans potoczył się po czystych ulicach schludnego miasteczka i stanął przed oberżą przy szerokiej ulicy, prawie naprzeciw starego opactwa.

— To oberża „Pod Aniołem” — rzekł pan Pickwick, spoglądając na szyld. — Tu wysiadziemy, Samie. Ale musimy postępować ostrożnie. Zażądaj osobnego pokoju i nie wymieniaj mego nazwiska, rozumiesz mnie?

— Jak wyrocznie, panie — odrzekł Sam, mrugając znacząco. Potem zabrał rzeczy pana Pickwicka, które w pośpiechu rzucił do tylnej skrzyni, gdy wsiadali do eatanswillskiego dyliżansu, i znikł, by spełnić dane polecenia. Osobny pokój łatwo się znalazł, a pan Pickwick bezzwłocznie został doń wprowadzony.

— Teraz, Samie — rzekł filozof — trzeba przede wszystkim...

— Zamówić obiad — dorzucił Sam — już późno.

— Masz słuszość — odrzekł pan Pickwick, spoglądając na zegarek. — Masz słuszość, Samie.

— Gdybym był na miejscu pana, tobym po tym wszystkim wyspał się należycie przez całą noc i dopiero wtenczas zaczął zasięgać wiadomości o tym filucie. „Nic tak nie orzeźwia umysłu jak sen” — mówiła jedna służąca, połykając kieliszek anyżówki.

— Sądzę, że masz słuszność; ale przede wszystkim chciałbym upewnić się, czy ten łotr znajduje się w tym hotelu i czy nie ma zamiaru wyjeżdżać.

— Niech pan mnie to zostawi. Pójdę zamówić panu porządny obiad i zapytam się w kuchni. W pięć minut dowiem się o wszystkim od tutejszego czyścibuta.

— Bardzo dobrze — rzekł pan Pickwick, po czym Sam oddalił się.

W pół godziny potem filozof siedział już przy bardzo smacznym obiedzie, a po upływie kwadransa Sam zaraportował mu, że pan Fitz-Marshall zatrzymał osobny pokój do dalszego rozporządzenia; że obecnie pojechał na wieczór w sąsiedztwo, kazał czekać na siebie i zabrał ze sobą swego służącego.

— Teraz, panie — mówił dalej Sam — gdybym mógł pomówić z tym jego służącym, dowiedziałbym się wszystkiego o jego panu.

— A to w jaki sposób?

— O, panie. Wszyscy służący obgadują panów!

— Zapomniałem o tym.

— Wtenczas będzie pan wiedział, co należy przedsięwziąć, i podług tego postąpimy.

Ponieważ plan taki wydał się najlepszy, został więc przyjęty. Sam oddalił się za pozwoleniem swego pana, by przepędzić wieczór, jak mu się spodoba. Zwrócił więc swe kroki do bufetu i wkrótce potem przez zgromadzonych w sali został obwołany prezydującym. Doszedłszy do tego szczytowego stanowiska, rozwinął tyle zdolności, że huczne śmiechy zebranych dolatywały aż do sypialni pana Pickwicka i skróciły normalny czas jego snu co najmniej o trzy godziny.

Nazajutrz rano Sam Weller zajął się uspokajaniem gorączkowego wzruszenia (pozostałość po wczorajszym wieczorze) i zaaplikował sobie tusz, umówiwszy się za jednego pensa z pewnym gentlemanem ze stajni, iż ten będzie mu pompował wodę ze studni na twarz i głowę aż do zupełnego odrestaurowania zdolności umysłowych. Podczas tego medycznego zabiegu uwagę jego zajął młody człowiek, siedzący na dziedzińcu na ławce. Ubrany był w fioletową liberię i czytał księgę podobną do modlitewnika, co mu jednak nie przeszkadzało od czasu do czasu zerkać na Sama, jakby go zajmowała niesłychana operacja, której się ten poddawał.

„A to jakiś oryginał, sądząc z wyglądu” — pomyślał Sam, gdy oczy jego po raz pierwszy spotkały się z oczami nieznanego w fioletowej liberii, odznaczającego się bladą, szeroką i płaską twarzą, zapadłymi oczami i ogromną głową, z której spadały pukle czarnych, połyskujących włosów.

„A to oryginał” — pomyślał Sam Weller i począł myć się dalej, nie myśląc o nim więcej. Tymczasem człowiek w fioletowej liberii spoglądał ciągle to na Sama, to na modlitewnik, jak gdyby miał ochotę rozpocząć rozmowę. W końcu, by mu to ułatwić, Sam przemówił pierwszy, familiarnie kiwnąwszy głową.

— Jak się masz, kochaneczku?

— Szczęśliwy jestem, iż mogę powiedzieć, że nieźle — odpowiedział fioletowy człowiek miarowym głosem i starannie zamknął swą księgę. — Spodziewam się, że i pan ma się nieźle.

— Ech! Byłoby mi jako tako, gdybym się nie czuł jak chodząca butelka wódki — odparł Sam. — Czy mieszkasz tutaj?

Fioletowy człowiek odpowiedział twierdząco.

— Dlaczego więc nie byłeś wczoraj razem z nami? — Zapytał Sam, wycierając sobie twarz ręcznikiem. — Wydaje mi się, że się lubisz pobawić; wyglądasz jak pstrąg w koszu — dodał ciszej nieco.

— Wyjeżdżałem z moim panem.

— A jak się twój pan nazywa? — zapytał żywo Sam Weller, którego twarz poczerwieniała pod podwójnym wpływem: zdziwienia i tarcia ręcznikiem.

— Fitz-Marshall! — odrzekł fioletowy człowiek.

— Podaj łapę! — zawołał Sam, podchodząc ku niemu. — Mam ochotę zaznajomić się z tobą; twoja fizjonomia podoba mi się, mój ty czopie.

— A to szczególnie — odrzekł fioletowy człowiek z wielką prostotą. — Pańska tak mi się spodobała, iż miałem ochotę przemówić do pana od pierwszej chwili, jak go ujrzałem pod pompą.

— Czy być może?

— Na honor! Czyż to nie szczególnie, co?

— Bardzo szczególnie — odrzekł Sam, ciesząc się w duchu z dobroduszości nieznajomego. — A jak ci na imię, mój patriarcho?

— Hiob.

— Piękne imię. Jedyne, o ile wiem, którego nie skrócono!... A nazwisko?

— Trotter — odrzekł nieznajomy. — A wy?

Sam przypomniał sobie rozkaz swego pana i odpowiedział:

— Nazywam się Welker, a mój pan Wilkins. Czy łykniesz czego na śniadanie, mości Trotter?

Trotter najzupełniej przychylił się do tej miłej propozycji i włożywszy książkę do kieszeni poszedł z Welkerem do bufetu. Tu zaczęła się dyskusja nad zaletami bardzo przyjemnej mieszaniny zawartej w cynowej wazie, a składającej się z esencji kwiatu goździkowego i pewnej ilości holenderskiej jałowcówki fabrykowanej w Anglii.

— Dobrze masz miejsce? — zapytał Sam, po raz drugi napełniając szklanekę swego towarzysza.

— Złe — odpowiedział Hiob oblizując się — bardzo złe.

— Niemożliwe!

— Tak jest. A co najgorsze, to mój pan chce się żenić.

— Nie może być!

— Tak, i jeszcze gorzej. Chce porwać bogatą dziedziczkę z pewnej pensji.

— A to smok! — rzekł Sam, znowu napełniając szklanekę towarzysza. — Pensja ta pewno jest w tym mieście, nie?

Zapytanie to postawione zostało najobojętniejszym tonem, jaki tylko można sobie wyobrazić. A jednak Hiob Trotter jasno okazał swym postępowaniem, iż zauważył, z jakim niepokojem nowy jego przyjaciel czekał na odpowiedź. Wypróżnił swą szklanekę, spojrzał tajemniczo na Sama, kolejno mrugnął jednym i drugim małym okiem i ostatecznie zrobił ręką znak, jak gdyby poruszał jakąś urojoną pompę, dając tym do zrozumienia, iż uważa swego towarzysza za wścibskiego, który bardzo chętnie wypompałby z każdego jego sekrety.

— Nie, nie, takich rzeczy nie mówi się wszystkim. To tajemnica, wielka tajemnica. Wymawiając te słowa fioletowy człowieczek przewrócił swą szklanekę, w ten sposób dowcipnie dając do zrozumienia swemu towarzyszowi, że już nie pozostało nic dla ugaszenia pragnienia. Sam zrozumiał to napomnienie i uznając jego delikatność kazał po

raz drugi napełnić cynową wazę. Rozkaz ten rozjaśnił radością małe oczki fioletowego człowieka.

— A więc to tajemnica? — zaczął znów Sam.

— Coś takiego — odrzekł Hiob popijając.

— Twój pan musi być bogaty? — zapytał Sam.

Trotter uśmiechnął się, trzymając w lewej ręce szklanę, po czterykroć uderzył prawą ręką po kieszeniach swych fioletowych spodni, jak gdyby chciał dać tym do zrozumienia, że i pan jego może uczynić to samo, nie przestraszając nikogo dźwiękiem pieniędzy.

— A! — zaczął znów Sam. — Tak się rzeczy mają?

Fioletowy człowiek pochylił głowę w znaczący sposób.

— A czy nie pomyślałeś o tym, mój stary, że byłbyś wielkim łotrem, gdybyś pozwolił swemu panu porwać pannę?

— Wiem o tym — odparł Hiob Trotter wzdychając głęboko i zwróciwszy ku Samowi zmartwioną twarz dodał: — wiem o tym i to mi właśnie ciąży, ale cóż mam począć?

— Co począć? — zawołał Sam. — Wyśpiewać wszystko przełożonej pensji.

— Któż mi uwierzy? Młoda panna uchodzi za wzór rozsądku i skromności: powie, że nieprawda, mój pan powie to samo. Więc któż mi uwierzy? Stracę miejsce i będę mnie prześladować jako oszczercę lub coś w tym rodzaju. Oto, co na tym zarobię!

— Jest racja — mruknął Sam — jest racja w tym, co mówisz.

— Gdybym znał jakiego porządnego gentlemana, który by zechciał zająć się tą sprawą, mógłbym mieć nadzieję, że przeszkodzę memu panu w porwaniu. Ale i tu zachodzi trudność, panie Welker. Nie znam w tych stronach żadnego takiego gentlemana, a gdybym nawet znał, to można stawiać dziesięć przeciw jednemu, że i ten by mi nie uwierzył.

— Chodź ze mną! — zawołał Sam, zrywając się nagle i chwytając swego towarzysza za rękę. — Mój pan jest właśnie takim gentlemanem, jakiego potrzeba.

Po lekkim oporze Hiob Trotter został wprowadzony do pokoju pana Pickwicka i przedstawiony po krótkim streszczeniu rozmowy, którą przytoczyliśmy.

— Przykro mi bardzo, że zdradzam mego pana — mówił fioletowy człowiek, przykładając do oka czerwoną chustkę wielkości około trzech cali kwadratowych.

— Uczucie to przynosi ci wiele zaszczytu — odpowiedział pan Pickwick. — Ale to jest twoim obowiązkiem...

— Wiem, że jest to moim obowiązkiem — odparł Hiob wielce wzruszony. — Wszyscy powinniśmy się starać spełniać nasze obowiązki, panie, i ja też staram się o to. Ale ciężka to próba zdradzać swego pana, którego suknie się nosi, którego chleb się je, nawet gdy człowiek ten jest łotrem.

— Zacny z ciebie chłopak — rzekł pan Pickwick, bardzo rozczulony — zacny chłopak!

— No! no! — zauważył Sam, z wielką niecierpliwością patrzący na łzy Trottera — dość już tych wodotrysków, to na nic się nie zda.

— Sam! — zawołał pan Pickwick tonem wyrzutu — przykro mi, że tak mało masz szacunku dla uczuć tego młodego człowieka.

— Bardzo to piękne uczucie, panie, tak piękne, iż szkoda nawet tak je rozpraszać; sędzę, że lepiej by zrobił, gdyby je zachował w sobie, zamiast przemieniać na ciepłą wodę, tym bardziej że do niczego to nie prowadzi. Łzami nikt nigdy nie nakręcił zegarka ani też nie puścił w ruch maszyny. Następny raz, gdy przyjdiesz na świat, mój stary, nabij sobie łeb tą prawdą, a tymczasem wpakuj do kieszeni tę twoją czerwoną płachtę. Nie jest na tyle piękna, byś nią potrzasał w powietrzu, jakbyś był linoskoczkiem.

— Sam ma słuszość — zauważył Pickwick, zwracając się ku Hiobowi. — Sam ma słuszość, chociaż jego sposób wyrażania się jest nieco pospolity, a czasami niezrozumiały.

— Ma najzupełniejszą słuszość, panie — odrzekł Trotter — więcej nie poddam się już tej słabości.

— Bardzo dobrze — odparł nasz mędrzec. — A teraz powiedz, która to pensja?

— Jest to stary dom z czerwonej cegły, zaraz za miastem, panie.

— A kiedy ten niegodziwy zamiar ma być doprowadzony do skutku? Kiedy ma nastąpić porwanie?

— Tej nocy, panie.

— Tej nocy?

— Tej jeszcze nocy. I to mię właśnie tak niepokoi.

— Trzeba bezzwłocznie zapobiec temu. Pójdę zaraz zobaczyć się z damą prowadzącą zakład — rzekł pan Pickwick.

— Przepraszam pana, ale to na nic się nie zda — rzekł Hiob.

— Dlaczego?

— Mój pan jest bardzo przebiegły.

— Wiem o tym.

— I tak się wkradł w łaski starej damy, iż ta niczemu nie uwierzy, co by na niego mówiono, choćby pan przysięgał na obu kolanach. Zresztą, nie ma pan innych dowodów oprócz zeznań służącego; mój pan nie omieszka powiedzieć, że mnie oddalił i że ja w ten sposób chcę się zemścić.

— Cóż zrobić? — zapytał pan Pickwick.

— Nic nie zdoła przekonać starej damy, chyba to, że złapałaby mego pana na gorącym uczynku.

— Ale — zauważył pan Pickwick — obawiam się, że złapać go na gorącym uczynku będzie nadzwyczaj trudno.

— Zdaje mi się, panie — rzekł Hiob po chwili namysłu — zdaje mi się, że to rzecz bardzo łatwa.

— A to jak?

— Mój pan pozyskał sobie dwie służące, które dziś wieczorem o dziesiątej godzinie mają nas wpuścić do kuchni. Gdy wszyscy pokładą się spać, panna wyjdzie z sypialni, konie pocztowe będą w pogotowiu, i w drogę!

— A więc? — zapytał pan Pickwick.

— A więc sędzę, panie, że gdyby pan czekał na nas w ogrodzie sam...

— Sam? Dlaczego sam?

— Sędzę, że tej starej damie nie będzie w smak, gdy tak niemile odkrycie zostanie dokonane wobec wielu osób: a przy tym młoda panna... wyobraź pan sobie jej zmieszanie.

— Masz najzupełniejszą słuszość. Uwaga ta przekonywa o delikatności twych uczuć. Mów dalej.

— Otóż sędzę, panie, że gdyby zaczekał pan sam w ogrodzie, mógłbym potem wprowadzić pana do domu, równo o wpół do dwunastej; wtedy właśnie nadejdzie pora, by popsuć szyki temu złemu człowiekowi, który na swoje nieszczęście okłamał mnie.

Tu Trotter westchnął.

— Nie martw się tym — rzekł pan Pickwick.

Hiob uklonił się bardzo nisko i wbrew poprzednim przedstawieniom Sama oczy jego znów napełniły się łzami.

— Nigdy nie widziałem takiego płaksy — rzekł Sam. — Niech mię Bóg skarże, jeżeli w jego głowie nie ma zawsze odkręconego kranu.

— Sam! — zawołał pan Pickwick z wielką surowością — trzymaj język za zębami.

— Słucham pana — odparł Sam Weller.

— Nie podoba mi się ten plan — mówił dalej nasz filozof po głębokim namyśle. — Dlaczegoż by nie porozumieć się z krewnymi tej panny?

— Bo mieszkają, panie, o pięćdziesiąt mil stąd.

— Tak, to przeszkoda — zauważył Sam na stronie.

— A przy tym ten ogród... — zaczął znowu pan Pickwick — jak dostać się do niego?

— Mur jest bardzo niski, panie. Służący może pana podsadzić...

— Służący może mnie podsadzić — powtórzył machinalnie pan Pickwick — ale czy będziesz na pewno przy drzwiach, o których mówiłeś?

— Nie może się pan omylić. Tylko jedne drzwi wychodzą na ogród; zapukaj pan do nich; jak tylko wybije oznaczona godzina, ja odemknę natychmiast.

— Nie podoba mi się ten plan — znowu powtórzył pan Pickwick — ale muszę go przyjąć, bo nie widzę innego, a tu idzie o los tej młodej osoby. Pójdę!

W ten sposób po raz drugi wrodzona dobroć pana Pickwicka wpłatała go w sprawę, której nie pochwałał jego zdrowy rozsądek.

— Jak się nazywa dom? — zapytał.

— Westgate House, panie. Gdy wyjdzie pan za miasto, skręci pan trochę na prawo; dom odosobniony, stoi niedaleko drogi, a na drzwiach wypisana jest jego nazwa na miedzianej tablicy.

— Wiem — odpowiedział pan Pickwick — zauważyłem ten dom, gdy po raz pierwszy zwiedzał to miasto. Możesz liczyć na mnie...

Gdy Trotter uklonił się i zabierał się do wyjścia, pan Pickwick wsunął mu gwineę w rękę.

— Porządny jesteś człowiek — powiedział — i podziwiam dobroć twego serca. Żadnych podziękowań. Pamiętaj, o pół do dwunastej!

— Nie zapomnę, panie — odrzekł Hiob Trotter i wyszedł.

— Słuchaj no, kolego — rzekł mu Sam, idący za nim — to nie taka zła rzecz ta płaczliwość. Za taką cenę ja sam gotów jestem płakać jak rynna podczas deszczu. Jak ty to robisz.

— To idzie z serca, panie Welker — odrzekł Hiob uroczyście. — Żegnam pana.

„A to ci dopiero płaksa! — pomyślał Sam Weller patrząc za odchodzącym. — Ale mniejsza o to, zawsze wyciągnęliśmy go na słowo”.

Nie możemy powiedzieć stanowczo, jakie myśli zajmowały w tej chwili Trottera, ponieważ ich nie znamy.

Tymczasem dzień minął, nastąpił wieczór. Przed dziesiątą Sam zaraportował swemu panu, że pan Jingle i Hiob wyszli razem, że rzeczy ich zostały spakowane i że zamówili powóz pocztowy. Widocznie zamach przechodził w stadium wykonania, jak to przepowiedział Trotter.

Wybiło pół do jedenastej. Czas był już na pana Pickwicka, aby udał się na delikatną wyprawę. By nie mieć trudności przy przełazeniu przez mur, nie chciał wziąć płaszcza, jak mu zaproponował Sam, i wyszedł ze swym wiernym sługą. Była pełnia, ale księżyc zasłonięty był chmurami; noc była piękna i pogodna, ale nadzwyczaj ciemna; ścieżki,

płoty, pola, domy i drzewa okrywał gęsty mrok; powietrze było ciężkie i gorące; od czasu do czasu błyskawice oświetlały chmury, i to było jedynym światłem rozdzierającym ciemności, w które wszystko było spowite. Żaden odgłos, z wyjątkiem odległego szczekania psów, nie mącił ciszy.

Awanturnicy nasi znaleźli dom, rozpoznali napis na miedzianej blasze, obeszlili mur i zatrzymali się przed ogrodem.

— Samie — rzekł pan Pickwick — pomożesz mi przeleźć mur, a potem wrócisz do oberży.

— Dobrze, panie.

— I będziesz czekał na mnie.

— Słucham pana.

— Potrzymaj mi nogę, a gdy powiem — hop! podnieś mię lekko.

— Jestem gotów, panie.

Ułożywszy te punkty wstępne, pan Pickwick uchwycił się za wierzch muru i powiedział: hop! Sam wykonał rozkaz jak najściślej, ale czy to dlatego, że ciało filozofa podzielało w pewnym stopniu elastyczność jego umysłu czy też pojęcia jego pana, dość że bezpośrednim skutkiem jego pomocy było to, że filozof przeleciał przez mur, po drugiej zaś stronie, rozgniółszy trzy krzaki truskawek i jeden krzak róży, znakomity gentleman rozciągnął się na ziemi jak długi.

— Czy się pan nie skaleczył? — zapytał Sam, gdy tylko przyszedł nieco do siebie ze zdumienia spowodowanego nagłym zniknięciem filozofa.

— Nie, ja się nie skaleczyłem — odpowiedział mu głos zza muru — przeciwnie, sędzę, że to ty mnie skaleczyłeś.

— Spodziewam się, że nie.

— Bądź spokojny — odpowiedział nasz mędrzec, podnosząc się — to nic... trochę podrapałem się. Odejdź, bo nas usłyszą.

— Wszelkiej pomyślności, panie.

— Bądź zdrów.

Sam odszedł cicho, pozostawiając pana Pickwicka samego w ogrodzie.

W różnych oknach domu błyszczały jeszcze światła lub też migały na schodach, jakby oznajmiając, że mieszkańcy udają się na spoczynek. Nie mając żadnej ochoty zbliżyć się do domu przed oznaczoną godziną, pan Pickwick wcisnął się w kąt i czekał.

Znajdował się teraz w położeniu, które by osłabiło odwagę niejednego bohatera. A jednak pan Pickwick nie czuł ani niepokoju, ani zniechęcenia; wiedział, że zamiary ma uczciwe, i wierzył nieograniczenie w szlachetne uczucia Trottera. Niewątpliwie, położenie jego było nieszczególne, żeby nie powiedzieć przykre: ale umysł filozoficzny łatwo znajduje ucieczkę w rozmyślanii. Wskutek natężenia władz umysłowych pan Pickwick znalazł się w stanie pewnego rozmarzenia, z którego wyrwał go dźwięk zegara sąsiedniego kościoła; było pół do dwunastej.

„Już czas” — pomyślał, podchodząc bliżej. Spojrzał na dom: światła znikły, okiennice pozamykano; niezawodnie wszyscy spali. Na palcach podszedł ku drzwiom i zapukał. Dwie czy trzy minuty upłynęły bez odpowiedzi. Zapukał powtórnie, nieco mocniej, potem po raz trzeci, jeszcze mocniej. Na koniec na schodach dał się słyszeć odgłos kroków; przez dziurkę od klucza błysnęło światło świecy, odsunięto z wolna zasuwki, drzwi otwierały się.

Drzwi otwierały się powoli, a w miarę jak się otwierały, pan Pickwick coraz bardziej cofał się za nie, ostrożnie wychylając głowę, by zobaczyć, kto idzie... Ale jakież było jego

zdziwienie, gdy zamiast Trottera ujrzał nie znaną sobie służącą ze świecą w ręce. Pan Pickwick cofnął głowę z szybkością, która by zaszczyt przyniosła nawet magikowi.

— Saro! — zawołała służąca, zwracając się do kogoś w głębi domu — to pewnie kot. Misiu! Misiu! Kić, kić, kić!

Gdy żadne zwierzę nie zjawilo się na to wezwanie, służąca z wolna zamknęła drzwi i zasunęła zasuwki, pozostawiając pana Pickwicka pod murem.

„To bardzo dziwne — pomyślał smutno filozof. — Nie kładą się spać dłużej niż zazwyczaj. Źle, że to właśnie dzisiaj tak się stało, bardzo źle”.

Rozmyślając w ten sposób pan Pickwick ostrożnie cofnął się do kąta, gdzie przedtem był ukryty, i postanowił czekać, dopóki nie będzie wskazane powtórzyć sygnału.

Zaledwie pięć minut upłynęło, gdy po silnej błyskawicy zahuczał grzmot, potem znów okropnie błysnęło i zagrzmiało jeszcze głośniejsze; wreszcie lunął deszcz, przykrzejszy niż błyskawice i grzmoty.

Pan Pickwick wiedział dobrze, że drzewo jest niebezpiecznym sąsiadem podczas burzy, a oto miał jedno drzewo po prawej swej stronie, drugie po lewej, trzecie przed sobą, czwarte z tyłu. Zostając w tym miejscu mógł łatwo paść ofiarą pioruna, gdyby zaś wyszedł na środek ogrodu, mógłby się zdradzić i oddano by go konstablom. Parę razy próbował przeskoczyć przez mur, ale ponieważ nie miał nikogo do pomocy, jedynym wynikiem tych wysiłków było sute zlanie potem całej jego osoby i nieskończona ilość zadrapań i sińców na łokciach i kolanach.

— Co za okropne położenie — powiedział sam do siebie, zaniechawszy tych ćwiczeń, by obetrzeć czoło i rozetrzeć kolana. Jednocześnie spojrzął na dom i nie dostrzegłszy światła ucieszył się, że już wszyscy śpią; postanowił zatem powtórzyć sygnał.

Na palcach poszedł po rozmokłym piasku, zapukał do drzwi, wstrzymał oddech i począł słuchać przyłożywszy ucho do dziurki od klucza. Żadnej odpowiedzi. To szczególnie! Zastukał powtórnie. Znowu nasłuchuje: w głębi domu słychać szepty, a potem głos jakiś zapytał:

— Kto tam?

„To nie Hiob — pomyślał pan Pickwick, przyciskając się do ściany. — To głos kobiety”. Zaledwie doszedł tej konkluzji, gdy okno na pierwszym piętrze otworzyło się i trzy czy cztery kobiece głosy powtórzyły to samo pytanie.

Pan Pickwick nie śmiał się ruszyć. Widoczne było, że wszyscy w domu pobudzili się. Postanowił więc pozostać w miejscu, gdzie był ukryty, dopóki wszystko nie uspokoi się, a następnie zaś chciał zrobić nadludzki wysiłek, by przeskoczyć przez mur lub zginać.

Jak wszystkie postanowienia pana Pickwicka, tak i to było najlepsze, jakie w obecnym położeniu mógł uczynić; ale na nieszczęście opierało się ono na przypuszczeniu, że mieszkańcy domu nie ośmielą się otworzyć drzwi. Jakże więc mocno rozczarował się nasz filozof usłyszawszy, że odsuwają się zasuwki, i widząc, jak drzwi otwierają się z wolna, ale coraz szerzej. Wykonał wtedy odwrót, krok za krokiem, aż do swego kąta, ale na próżno tulił się do ściany; objętość jego osoby nie pozwoliła drzwiom otworzyć się całkowicie.

— Kto tam? — krzyknął ze schodów liczny chór cienkich głosów. Składały się nań głosy: starej panny, przełożonej zakładu, trzech guwernantek, pięciu sług rodzaju żeńskiego i trzydziestu pensjonarek, na wpół ubranych i okrytych całym lasem papilotów.

Jak łatwo można się domyślić, pan Pickwick nie odpowiedział na to — kto tam? — a wtenczas chór zaczął z innego tonu, zawodząc: Boże! Boże! Ja się tak boję!

— Kucharko! — powiedziała stara panna z wielką godnością na najwyższym stopniu schodów, z tyłu za całą grupą. — Kucharko! Dlaczego nie wyjdiesz do ogrodu?

— Ach, proszę pani! Nie mam najmniejszej chęci do tego.

— Boże, Boże! Jaka ona głupia! — krzyknęło trzydzieści pensjonarek.

— Kucharko! — powtórzyła stara panna z wielką godnością. — Proszę nie rezonować! Każę ci natychmiast zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie!

Teraz kucharka poczęła płakać; jedna ze służących powiedziała, że nie godzi się tak postępować z ludźmi, i za taką buntowniczą uwagę natychmiast wymówiono jej służbę.

— Kucharko! Czy słyszysz? — krzyknęła stara panna, tupiąc nogą.

— Kucharko! Czy słyszysz, co pani mówi? — krzyknęły wszystkie trzy guwernantki.

— Co za nędzna istota! — krzyknęło trzydzieści pensjonarek. Nieszczęśliwa kucharka, wypchnięta naprzód, zrobiła parę kroków, trzymając świecę tak, iż nic nie była w stanie zobaczyć.

Następnie oświadczyła, że w ogrodzie nie ma nikogo i że to musiał być wiatr. Wskutek tego drzwi miano już zamknąć, gdy wtem jedna ciekawsza pensjonarka ośmieliła się spojrzeć przez szparę przy zawiasach i krzyknęła okropnie.

W mgnieniu oka kucharka, służąca i jeszcze parę odważniejszych cofnęło się ku schodom.

— Co się stało, panno Smithers? — zapytała stara panna, podczas gdy rzeczona panna Smithers dostała ataku nerwowego jak cztery panny naraz.

— Boże! Boże! Kochana panno Smithers! — zawołało razem dwadzieścia dziewięć pensjonarek.

— Och! Mężczyzna! Mężczyzna za drzwiami! — krzyknęła panna Smithers przerywanym głosem.

Gdy stara panna usłyszała te przerażające słowa, natychmiast wykonała odwrót aż do swego sypialnego pokoju, zamknęła drzwi na dwa spusty, po czym zrobiło się jej niedobrze. Tymczasem pomocnice jej, pensjonarki i służące rzuciły się ku schodom. Nigdy nie słyszano tyle krzyku, nie widziano tylu załamanych rąk i zemdleń. Wśród tego zamieszania pan Pickwick wyszedł ze swej kryjówki i stanął przed spłoszonymi gołębicami.

— Panie! Kochane panie! — przemówił.

— Ach! Nazywa nas kochanymi paniami! — krzyknęła najbrzydsza i najstarsza z guwernantek. — Boże! Co za nędznik!

— Panie! — wołał pan Pickwick przyproszony do rozpacz swym trudnym położeniem. — Wysłuchajcie mnie! Nie jestem złodziejem. Wszystko, czego żądam, to przełożonej...

— O! Co za potwór drapieżny! — zawołała druga guwernantka: — Chce panny Tomkins!

Teraz jęki stały się powszechne.

— Uderzcie na alarm! — zawołało z pół tuzina głosów.

— Nie! Nie! — krzyknął pan Pickwick — spojrzycie tylko na mnie. Czyż mam minę złoczyńcy? Drogie panie! Możecie mię związać, zamknąć, jeśli wam się podoba, ale wysłuchajcie mnie, co powiem, tylko wysłuchajcie!

— Jak pan dostałeś się do ogrodu? — zapytała jedna ze służących.

— Przywołajcie przełożoną, a wszystko opowiem, wszystko! — krzyczał dalej pan Pickwick z całych płuc. — Zawołajcie i uspokójcie się, wszystko usłyszycie!

Czy to dzięki wyrazowi twarzy pana Pickwicka, czyjego wymowie, czy też nieprzewycięzonej dla umysłów kobiecych chęci usłyszenia czegoś tajemniczego, tego nie wiemy, ale najrozsądniejsze niewiasty w zakładzie, w liczbie czterech czy pięciu, zdołały w końcu odzyskać względny spokój. Wezwały więc pana Pickwicka, by bezzwłocznie poddał się osobistemu aresztowaniu gwoźli powszechnego bezpieczeństwa; filozof przystał na to i by móc rozmówić się z panną Tomkins, wszedł do szatni, w której przychodzące pensjonarki zawieszały swe kapelusze i okrycia. Gdy go starannie zamknięto, spłoszone owieczki poczęły z wolna odzyskiwać odwagę. Pannę Tomkins ocucono z omdlenia, wyprowadzono z pokoju i konferencja rozpoczęła się.

— Powiedz pan, coś robił w moim ogrodzie? — zapytała panna Tomkins słabym głosem.

— Przyszedłem tu, aby uprzedzić panią, że jedna z jej pensjonarek ma uciec dzisiejszej nocy — odpowiedział pan Pickwick z głębi gabinetu.

— Uciec! — krzyknęła panna Tomkins, trzy guwernantki, trzydzieści pensjonarek i pięć służących. — A z kim?

— Z przyjacielem pani, panem Fitz-Marshall.

— Moim przyjacielem! Nie znam żadnego pana Fitz-Marshall.

— Więc z panem Jingle...

— Nigdy w życiu nie słyszałam tego nazwiska.

— A więc oszukano mnie! — zawołał pan Pickwick. — Jestem ofiarą zmywy! Poślij pani do oberży „Pod Aniołem”, jeżeli słowa moje nie znajdą u niej wiary. Zaklinam, poślij, pani, do oberży „Pod Aniołem” i każ przywołać służącego pana Pickwicka...

— Zdaje mi się, że to jakiś porządny człowiek, kiedy trzyma służącego... — rzekła panna Tomkins do nauczycielki kaligrafii i rachunków.

— Mnie się raczej zdaje — odrzekła nauczycielka połączonej kaligrafii i rachunków — że to służący jego trzyma. Zdaje mi się, że to wariat, a służący pilnuje go.

— Może ma pani słuszość — odpowiedziała stara panna. — Niech dwie służące pójdą do oberży „Pod Aniołem”, a reszta niech zostanie i strzeże nas.

Wyprawiono więc dwie służące po Samuela Wellera, a trzy zostały dla ochrony miss Tomkins, nie licząc trzech guwernantek i trzydziestu pensjonarek. A pan Pickwick siedział w zamknięciu za całą górą „butersznytów” i z całym hartem i filozoficznym spokojem, na jaki stać go było, oczekiwał powrotu wysłanek.

W tym przykrym położeniu upłynęło mu półtorej godziny; gdy dwie służące powróciły, pan Pickwick, oprócz głosu Sama, rozpoznał jeszcze dwa inne głosy, jakby znane mu, do kogo jednak należały, tego, mimo najlepszych chęci, nie mógł sobie przypomnieć.

Nastąpiła krótka konferencja; drzwi otworzyły się, pan Pickwick wyszedł z zamknięcia i znalazł się wobec całego pensjonatu, Sama, starego Wardle’a i jego przyszłego zięcia.

— Drogi przyjacielu! — zawołał pan Pickwick, rzucając się ku panu Wardle’owi i chwytając go za rękę. — Drogi przyjacielu! Na rany boskie, zaklinam cię, wytłumacz tym paniom przykre, okropne położenie, w jakim się znalazłem. Zapewne dowiedziałaś się o wszystkim od mego służącego. Powiedzże im, że nie jestem ani zabójcą, ani szalonym.

— Już powiedziałem, drogi przyjacielu, już powiedziałem — orzekł pan Wardle, ściskając prawą rękę filozofa, podczas gdy pan Trundle ścisnął lewicę.

— A ci, którzy powiedzą albo już powiedzieli, że pan jest nim — zawołał Sam, występując naprzód — ci nie powiedzieli prawdy, ale coś zupełnie przeciwnego. I jeżeli są tu mężczyźni, mniejsza o to, wielu, to dam im tego dowody najzupełniej przekonująco,

tu, w tym samym pokoju, jak tylko te szanowne damy zechcą usunąć się i każą swym ludziom wystąpić jednemu po drugim!

Wygłosiwszy tak rycerskie wyzwanie z wielkim zapalem, Sam Weller uderzył energicznie pięścią w dłoń i spojrzał na pannę Tomkins, z wielką uprzejmością mrugnawszy okiem. Ale rycerskość Sama nie wywarła wielkiego wrażenia na tej cnotliwej osobie, która z oburzeniem usłyszała przypuszczenie, iż w domu jej mogą znajdować się mężczyźni.

Sprawę pana Pickwicka załatwiono prędko, lecz nie zdołano wydobyć z niego ani słowa, ani podczas powrotu do oberży, ani też gdy zasiadł ze swymi przyjaciółmi przy dobrym ogniu do wieczerzy, której wielce potrzebował. Zdawało się, że był oszołomiony i w najwyższym stopniu zdumiony. Raz tylko, raz jeden, zwrócił się do pana Wardle'a z zapytaniem:

— Skąd się pan tu wziął?

— Ułożyliśmy się z panem Trundle'em, że zapolujemy sobie pierwszego dnia tego miesiąca. Przybyliśmy tu dzisiaj w nocy i bardzo nas zdziwiła wiadomość, że pan się tu znajduje — mówił dalej wesoły starzec, uderzając pana Pickwicka po ramieniu. — Bardzo mię to cieszy. Zapolujemy tu sobie doskonale i damy panu Winkle'owi sposobność zrehabilitowania się. Dobrze, stary?

Pan Pickwick nic nie odpowiedział. Nie pytał nawet o swych przyjaciół w Dingley Dell. Wkrótce potem poszedł spać, rozkazawszy Samowi, by przyszedł zabrać świecę, gdy zadzwoni.

Po jakimś czasie ozwał się głos dzwonka i Sam Weller stanął przed swym panem.

— Sam! — zawołał pan Pickwick, poprawiając koldrę.

— Słucham pana — odpowiedział sługa.

Nastąpiło milczenie; Sam poprawił świecę.

— Sam! — powtórzył pan Pickwick, jakby z rozpaczliwym wysiłkiem.

— Słucham pana — powtórzył sługa.

— Gdzie jest ten Trotter?

— Hiob, panie?

— Tak.

— Pojechał.

— Ze swym panem, jak sędzę.

— Z panem czy kolegą, czy... już nie wiem, z kim. Razem drapnęli. To dobra parka, panie!

— Jingle zwietrzył mój projekt i wyprawił tego łotra, by nas wywieść w pole — rzekł pan Pickwick, którego te wyrazy niemal dławily.

— Akurat tak, panie.

— Wszystko to było zmyślane.

— Od początku do końca, panie. Wyfrycowano nas. W każdym razie bardzo sprytnie.

— Nie sędzę, by drugi raz potrafili nam się tak łatwo wymknąć, Samie?

— I ja nie sędzę, panie.

— Gdzie tylko spotkam tego Jingle'a — zawołał pan Pickwick, podnosząc się i zadając poduszce straszliwy cios — nie tylko, że go zdemaskuję, jak na to zasługuje, ale ukarzę własnoręcznie. Tak! Zrobię to — albo nie nazywam się Pickwick!

— A ja, jak pochwycę tego mazgaja z czarną czupryną, to jeżeli mu nie wydobędę rzeczywistej wody z jego ślepiów, nie nazywam się Weller. Dobranoc panu!

Rozdział siedemnasty

wskazuje, że atak reumatyzmu w niektórych wypadkach może pobudzić do czynności twórczych

Aczkolwiek pan Pickwick obdarzony był konstrukcją zdolną wytrzymać wiele pracy i znużenia, nie potrafił oprzeć się skomplikowanym atakom nieprzyjaznych wypadków, na jakie był wystawiony ostatniej nocy, jak to opisuje poprzedni rozdział. Niebezpieczna to rzecz i niezwykła moknąć na deszczu w nocy, a potem schnąć w dusznej szatni. Pan Pickwick uległ atakowi reumatyzmu.

Ale chociaż siły wielkiego męża zmożone były cierpieniem, duch zachował swój dawny wigor. Myślał jak dawniej sprężyste, a dobry humor powrócił mu. Opuściło go nawet pewne zmieszanie, które wywołała ostatnia przygoda, i z serdecznym śmiechem, bez gniewu i wstydu mógł słuchać aluzji pana Wardle'a. Przez dwa dni pan Pickwick był przykuty do łóżka, a Sam nie odstępował go ani na krok. Pierwszego dnia starał się zabawić swego pana anegdotami i rozmową. Na drugi dzień pan Pickwick zażądał pióra i atramentu i przez cały dzień usilnie nad czymś pracował. Trzeciego dnia, kiedy mógł już siedzieć w łóżku, posłał Sama do pana Trundle'a i pana Wardle'a z prośbą, aby jeśli chcą, wypili wieczorem wino w jego pokoju. Zaproszenie to przyjęto z przyjemnością, a kiedy goście zasiedli przy winie, pan Pickwick, rumieniąc się raz po raz, odczytał im następujące opowiadanie, które, jak twierdził, napisał podczas swej niedyspozycji, opierając się na bezpretensjonalnej opowieści Sama.

ZAKRYSTIANIN

OPOWIEŚĆ O WIERNEJ MIŁOŚCI

Żył sobie raz w dość znacznej odległości od Londynu w maleńkim miasteczku maleńki człowieczek imieniem Nataniel Pipkin; był on zakrystianem w tym maleńkim miasteczku i mieszkał w maleńkim domku przy malutkiej uliczce, gdzie stał także malutki kościółek. Codziennie od dziewiątej do czwartej uczył on małych chłopców. Nataniel Pipkin był nieszkodliwym i dobrodusznym stworzeniem o zadartym nosie i krzywych nogach: miał wadę w oczach i wadę w nogach. Cały czas swój dzielił między kościół i szkołę i święcie wierzył, że na całej kuli ziemskiej nie ma nikogo mądrzejszego od proboszcza, nic piękniejszego nad zakrystię i nic lepiej zorganizowanego nad jego własną szkołę. Raz tylko jedyny w życiu Nataniel Pipkin widział biskupa, prawdziwego biskupa, z rękoma ukrytymi w szerokich rękawach i z głową nakrytą ogromną peruką. Widział, jak biskup chodzi, słyszał, jak biskup mówi, a w czasie konfirmacji, której asystował z niezwykłym przejęciem, biskup położył mu rękę na głowie, co tak biednego Pipkina wzruszyło, że zemdlał i musiano go wynieść z zakrystii.

Było to wielkie zdarzenie, najpotężniejszy przełom w życiu Nataniela Pipkina, jedyny wypadek, który zmącił bieg jego życia. Aż pewnego razu, kiedy właśnie Nataniel Pipkin zastanawiał się nad rozwiązaniem trudnego dodawania, które zadał pewnemu rozswawolonemu chłopakowi, podniósł swe krzywe oczy w górę i ujrzał nimi oblicze panny Marii Lobbs, jedynej córki znakomitego siodlarza z przeciwległej strony ulicy.

Oczy Pipkina zatrzymywały się na tej cudnej twarzy nieraz już przedtem, w kościele i na ulicy. Ale oczy panny Marii Lobbs nigdy nie były tak piękne ani policzki tak hoże jak podczas tego niezwykłego zdarzenia. Nic więc dziwnego, że Nataniel Pipkin nie mógł oderwać oczu od twarzy panny Lobbs; nic też dziwnego, że panna Lobbs, dostrzegłszy, iż przypatruje się jej młody człowiek, natychmiast cofnęła się z okna i zapuściła żaluzję. Nie można się też dziwić, że Nataniel Pipkin natychmiast rzucił się na zuchwałego chłopca i wytłukł go, ile mu tylko podyktowało jego zbolące serce. Wszystko to jest bardzo naturalne i nie ma w tym nic dziwnego.

Dziwne jest w tym wszystkim tylko to, że ani nieśmiałość, ani nerwowość, ani skromne dochody pana Pipkina nie mogły go od tej chwili powstrzymać od starań o rękę i serce jedynej córki dumnego Lobbsa, starego Lobbsa, znakomitego siodlarza, który jednym pociągnięciem pióra mógł kupić całe miasteczko i nigdy nie liczył się z wydatkami! Tego Lobbsa, o którym mówiono, że ma nieprzebrane skarby zamknięte w małej żelaznej szkatułce, od której klucz zawsze leżał na kominku w bawialni! Tego Lobbsa, który na uroczystych przyjęciach podawał prawdziwy srebrny imbryk i przy tym srebrny dzbanek do śmietanki, i takąż cukiernicę, i który mówił, że wszystkie te skarby przejdą na tego, kogo wybierze serce jego córki. Powtarzano, że było rzeczą nader zdumiewającą, iż Nataniel Pipkin odważył się podnieść wzrok na pannę Lobbs. Ale miłość jest ślepa. Nataniel zaś miał wadę wzroku i, być może, te dwa fakty razem wzięte przeszkodziły mu widzieć rzeczy we właściwym świetle.

Gdyby Lobbsowi przyszedł do głowy choćby cień myśli, że Pipkin ośmiela się żywić podobne uczucia, rozbiłby w puch pokój szkolny, zmiotł z powierzchni ziemi nauczyciela i uczynił jeszcze wiele tym podobnych a okrutnych rzeczy, które wprost trudno byłoby opisać. Straszny był bowiem stary Lobbs, kiedy obrażono jego dumę i zagrała w nim krew. A umiał kłąć! Tak potworne potoki przekleństw wypływały czasem z ust tego człowieka, kiedy wyrzucał lenistwo swemu kościstemu i cienkonogiemu terminatorowi, że Nataniel Pipkin słysząc to, pocił się ze strachu, a uczniom włosy stawały dęba.

Tak to było. Dzień w dzień, kiedy kończyły się lekcje i uczniowie rozchodzili się, Nataniel Pipkin siadał przy oknie, udawał, że czyta, i ukradkiem szukał pięknych oczu panny Lobbs. Niewiele dni tak spędził, a już owe piękne oczy pojawiały się w oknie, pozornie bardzo zajęte czytaniem. Napełniało to serce Nataniela Pipkina pociechą i rozkoszą. Znaczyło to dla Nataniela Pipkina tyle, że mógł siedzieć tak godzinami i patrzeć na piękną twarzyczkę ze spuszczonej oczami. Ale rozkosz jego nie miała granic, kiedy te oczy podnosiły się i wysyłały promienie w jego kierunku. Pewnego razu, wiedząc, że stary Lobbs wyszedł, Pipkin odważył się przesłać Marii pocałunek ręką. A Maria Lobbs, zamiast zamknąć okno i zapuścić żaluzję, uśmiechnęła się i przesłała mu również pocałunek. Wobec tego Nataniel postanowił, że niech się stanie, co chce, uczucia swoje zadeklarować musi natychmiast.

Nie było nigdy piękniejszej nóżki, weselszego usposobienia, wdzięczniejszej kibici i powabniejszej twarzyczki wśród wszystkich ziemianek! W jasnych oczach Marii Lobbs były błyski, które dotrzeć by potrafiły do serc daleko mniej czułych niż Nataniela Pipkina. A tyle było radości w jej uśmiechu, że najzagorzalszy mizantrop musiał się uśmiechnąć. Nawet sam stary Lobbs w przystępie najbardziej szewskiej pasji nie mógł ostać się uśmiechom swej córki. A kiedy Maria i kuzynka jej, Kasia, nieznośna, zuchwała, ale czarująca osobka, zawzięły się na starego rymarza, ten nie umiał im niczego odmówić, nawet gdyby zażądały od niego części jego niezmiernych skarbów ukrytych przed okiem ludzkim w żelaznej skrzyni.

Mocno zabiło serce Nataniela Pipkina, kiedy w parę dni później przechadzając się po łące, gdzie często samotnie marzył o piękności Marii, ujrzał przed sobą obie piękne dziewczyny. Ale chociaż często postanawiał sobie, że przy pierwszym spotkaniu z Marią podbiegnie do niej i oświadczy jej swą gorącą miłość, kiedy teraz ujrzał ją niespodziewanie, poczuł, że cała krew napłynęła mu do twarzy, a niezwykle drżenie nóg zmieniło mu zwyczajną krzywą ich pozycję. Kiedy dziewczyny zatrzymywały się, aby obejrzeć jakiś kwiat polny lub posłuchać śpiewu ptaków, Nataniel udawał, że wpada w zachwyt, chociaż nawet i nie bardzo udawał. Myślał sobie, co się stanie, kiedy dziewczęta nagle się obróca, do czego przecież musi dojść, i staną z nim twarzą w twarz. Lecz choć bał się do nich podejść, za nic w świecie nie chciał ich stracić z oczu. Szedł prędzej, kiedy one szły prędzej, zatrzymywał się, kiedy one się zatrzymywały. I chodziłby tak do zmroku, gdyby w końcu Kasia nie odwróciła się i w zachęcający sposób nie skinęła Natanielowi dłonią. Było coś w zachowaniu Kasi, czemu nie można się było oprzeć, wobec tego Nataniel Pipkin przyjął zaproszenie. Po wielu rumieńcach Nataniela i nieopanowanych wybuchach śmiechu zepsutej kuzynki, Nataniel upadł na kolana na zroszoną trawę i oświadczył, że nie wstanie dopóty, dopóki Maria Lobbs nie uzna go za narzeczonego. Wesoły śmiech Marii Lobbs rozbrzmiał w cichym powietrzu wieczornym, zbytnio zresztą jego spokoju nie naruszając. Śmiech ten brzmiał tak cudnie; coraz więcej śmiała się też nieznośna kuzyneczka i coraz mocniej rumienił się biedny Nataniel Pipkin. Wreszcie Maria Lobbs, wzruszona miłością małego człowieczka, odwróciła głowę i szepnęła do kuzynki, aby ta powiedziała — a w każdym razie Kasia tak powiedziała — że czuje się bardzo zaszczycona oświadczyniami pana Pipkina. A ponieważ wszystko to było powiedziane bardzo uroczyście i Nataniel Pipkin wracał do domu z Marią Lobbs, a nawet na pożegnanie wywalczył sobie jej pocałunek, poszedł więc spać jako człowiek szczęśliwy i przez całą noc śnił, że udało mu się zmiękczyć serce starego Lobbsa, otworzyć żelazną skrzynkę i poślubić Marię.

Następnego dnia Pipkin zobaczył starego Lobbsa wyjeżdżającego na swym siwym koniu. Po wielu rozmaitych znakach w oknie, dawanych przez zepsutą kuzyneczkę, znakach, których pan Pipkin w żaden sposób nie mógł zrozumieć, przybiegł do niego kościsty terminator na cienkich nogach i oznajmił, że stary pan Lobbs wróci dopiero w nocy, panie zaś proszą Pipkina na herbatę o godzinie szóstej. Ani uczniowie, ani Nataniel Pipkin nie wiedzą więcej od nas, w jaki sposób dnia tego przeszły lekcje. Jakoś jednak przeszły i kiedy chłopcy się rozbiegli, pan Nataniel Pipkin ubierał się do godziny szóstej. Nie można powiedzieć, żeby dużo czasu zabierał mu wybór garnituru, bo właściwie nie było z czego wybierać. Ale najtrudniejszą i najważniejszą rzeczą było włożenie i należyte obciążenie tegoż garnituru.

Zebrało się milutkie kółko, złożone z Marii Lobbs jej kuzynki Kasi i jeszcze trzech czy czterech wesołych i różowych panienek. Nataniel Pipkin mógł się naocznie przekonać, że słuchy o bogactwie starego Lobbsa nie są przesadzone. Podano solidny z czystego srebra imbryk, takiż dzbanuszek do śmietanki i cukiernicę, łyżeczki z prawdziwego srebra i filiżanki z chińskiej porcelany, a także talerzyki, aby na nie kłaść ciastka i grzanki. Solą w oku dla Pipkina był tylko kuzyn Marii, a brat Kasi, nazywany przez Marię „Heniem”. Kuzyn ten starał się zupełnie zagarnąć dla siebie Marię Lobbs i siedział z nią ustawicznie przy jednym końcu stołu. Rozkoszna to rzecz patrzeć na miłość w rodzinie, ale i ta miłość może posunąć się za daleko. Nataniel Pipkin nie mógł zwalczyć w sobie myśli, że Maria Lobbs bardzo musi kochać swoich krewnych, jeżeli jednemu kuzynowi poświęca tyle uwagi. Po herbacie kuzyneczka Kasia zaproponowała grę w ślepą babkę.

Z tego czy innego powodu pan Nataniel Pipkin był ciągle „ślepą babką” i ilekroć dotknął kuzyna Henia, wyczuwał, że tuż koło niego znajduje się Maria Lobbs. I chociaż kuzyneczka Kasia oraz inne dziewczęta szczypały go, ciągnęły za włosy i robiły mnóstwo innych miłych rzeczy, Maria Lobbs nie zjawiała się nigdy w jego pobliżu. Raz nawet Nataniel Pipkin usłyszał odgłos pocałunku — na to mógłby przysiąc... Zaraz potem nastąpiło jakieś lekkie szamotanie się Marii Lobbs i stłumione śmiechy jej przyjaciółek. Wszystko to było przykre, bardzo przykre i nie wiadomo, co zrobiłby Nataniel Pipkin, gdyby nagle coś nie zwróciło wszystkich jego myśli w innym kierunku.

Tą okolicznością, która nadała inny kierunek jego myślom, było głośnie stukanie do drzwi wejściowych, a tą osobą, która to czyniła, był stary Lobbs we własnej osobie, który, powróciwszy niespodziewanie, tłukł w drzwi jak stolarz zabijający trumnę; Lobbs był głodny. Gdy tylko ostrokościsty terminator doniósł tę hiobową wieść, natychmiast wszystkie panienki uciekły do sypialni Marii, a Nataniel i kuzynek Henio zostali wepchnięci do szafy, ponieważ nie znaleziono dla nich na razie innego schowka. Maria Lobbs i kuzyneczka Kasia, usunąwszy naprędce nakrycia i doprowadziwszy pokój do porządku, otworzyły drzwi staremu Lobbsowi, który nie przestawał się dobijać.

Na nieszczęście stary Lobbs, kiedy był głodny, bywał zły jak pies. Pipkin słyszał, jak Lobbs kipi ze złości. Ilekroć ostrokościsty terminator wchodził do pokoju, Lobbs natychmiast zaczynał mu wymyślać w sposób dziki, zgoła saraceński, prawdopodobnie tylko dlatego, aby uwolnić swe piersi od pokładów przekleństw, które się w nich nagromadziły. W końcu postawiono przed panem Lobbssem jakąś tam odgrzewaną kolację i rymarz mógł powrócić do zwykłej swej formy. Opustoszywszy talerze, pocałował córkę i zażądał fajki. Natura obdarzyła Nataniela Pipkina nogami zgiętymi w formie litery X. Ale kiedy usłyszał, że Lobbs żąda fajki, kolana ścisnęły się tak mocno, jak gdyby miały zgnieść się wzajemnie. Właśnie bowiem w tej szafie, gdzie on się znajdował, wisiała inkrustowana srebrna fajka o długim cybuchu, którą nieraz widywał w ustach Lobbsa. A widywał ją codziennie w tych samych ustach, rano i wieczorem, przez długich pięć lat. Dziewczęta pobiegły najpierw po fajkę na dół, potem na górę, szukały jej wszędzie, gdzie by się podziać mogła, a przez cały ten czas stary Lobbs przeklinał w sposób niewiarygodny. Wreszcie przypomniał sobie o szafie i podszedł do niej.

Na próżno człowieczek tak mały jak Nataniel Pipkin zatrzymywałyby drzwi szafy od wewnątrz, gdyby tak wielki człowiek jak Lobbs chciał je od zewnątrz otworzyć. Stary Lobbs raz a dobrze pociągnął drzwi, które się natychmiast otworzyły prezentując Nataniela Pipkina w całej jego okazałości, drżącego od stóp do głowy. Boże, zlituj się nad nami! Jakież straszne spojrzenie rzucił Lobbs wyciągając Pipkina za kołnierz i trzymając go na odległość wyprężonego ramienia.

— Co ty tu, u diabła, robisz? — spytał stary Lobbs strasznym głosem.

Nataniel Pipkin nie był w stanie nic odpowiedzieć, więc stary Lobbs trząśł nim przez kilka minut, aby ułatwić mu uporządkowanie myśli.

— Czego tu chcesz? — ryczał Lobbs. — Pewnieś przyszedł do mojej córki!

Stary Lobbs powiedział to jako drwinę — nie przyszłoby mu bowiem nawet do głowy, żeby Pipkin miał przyjść w tym celu! Jakież było jego oburzenie, kiedy biedny Pipkin odpowiedział:

— Tak, panie Lobbs. Przyszedłem do pańskiej córki. Kocham ją, panie Lobbs.

— Ach, ty smoluchu! Krzywooki bękaracie — zawołał Lobbs, rażony tą odpowiedzią. — Co to ma znaczyć? Powtórz mi to wyraźnie. O, do diabła, utrę cię na maść.

Jest wielce prawdopodobne, że w przystępie gniewu stary Lobbs wykonałby swoją pogrózkę, gdyby ramienia nie zatrzymało nieoczekiwane zjawisko w postaci kuzyna Henia, który wyszedłszy ze swej szafy, powiedział:

— Nie mogę na to pozwolić, mój panie, aby ta niewinna osoba, którą zaproszono na zwyczajną panięską zabawę, brała na siebie w sposób bohaterski winę (o ile to można nazwać winą), którą ja popełniłem i za którą gotów jestem przyjąć odpowiedzialność. To ja, mój panie, kocham pańską córkę i przyszedłem, aby się z nią zobaczyć.

Stary Lobbs szeroko otworzył oczy — nie szerzej jednak niż Nataniel Pipkin.

— Ty? — zawołał stary Lobbs i aż mu oddech zaparło.

— Ja.

— Zabroniłem ci przychodzić do mojego domu już od dawna.

— Tak, zabronił mi pan! Więc musiałem to robić po kryjomu.

Wstydzić się muszę za starego Lobbsa, ale mam wrażenie, że kropnąłby kuzynka, gdyby nie to, że piękna Maria schwyciła go za ramię.

— Nie zatrzymuj go, Mario! — odpowiedział młody człowiek.

— Jeżeli chce mnie uderzyć, niech bije! Ale ja za żadne skarby świata nie dotknę ani jednego włosa na jego siwej głowie!

Usłyszawszy to stary spuścił oczy, a kiedy je podniósł, spotkał się z oczyma córki. Powiedziałem już parę razy, że były to bardzo piękne oczy, a i teraz urok ich nie zmalął, choć pełne były łez. Stary Lobbs chciał uniknąć tego wzroku, odwrócił głowę, ale na szczęście tym razem spotkał oczy kuzyneczki, która, trochę śmiejąc się z Nataniela Pipkina, a trochę bojąc się o brata, wyglądała tak wdzięcznie, że żaden mężczyzna, stary czy młody, nie mógłby oprzeć się jej urokowi. Pieszczotliwie ujęła za ramię starego pana i coś mu szepnęła do ucha. Chcąc nie chcąc stary Lobbs musiał się uśmiechnąć, a jednocześnie łzy spłynęły mu po policzkach.

W pięć minut później sprowadzono z sypialni dziewczęta, które weszły krygując się i chichocząc. I kiedy młodzież weseliła się, jak mogła, stary Lobbs wziął do ręki fajkę i zapalił ją; dziwna rzecz: zdawało mu się, że fajka nigdy jeszcze bardziej mu nie smakowała. Nataniel Pipkin poszedł po radę do głowy, co uważał za najrozsądniejsze, i działając według obmyślonego planu, powoli wkradł się w łaski starego Lobbsa, który nauczył go palić. Przez wiele lat później siadywali w ogródku, paląc i pijąc do woli. Wkrótce potem zebrał owoce swego przywiązania do rodziny Lobbsów, gdyż w księgach parafialnych znajdujemy jego nazwisko jako świadka ślubu Marii Lobbs z kuzynkiem Heniem. Z innych znów dokumentów dowiadujemy się, że w dzień ich ślubu został wpakowany do kozy, ponieważ w stanie silnego zatrucia alkoholem dopuścił się wielu ekscesów na ulicy, w czym dopomagał mu ostrokościsty terminator na cienkich nogach.

Rozdział osiemnasty

związłe przedstawiający — po pierwsze, siłę ataków nerwowych, po drugie, wpływ okoliczności

Jeszcze przez dwa dni po śniadaniu u pani Hunter trzech pickwickczycy pozostali w Eatanswill, z niecierpliwością wyczekując wiadomości o swym szanownym mistrzu. Panowie Tupman i Snodgrass znów pozostawieni zostali sobie samym, gdyż pan Winkle, ustępując uprzejmym naleganiom pana Potta, mieszkał ciągle u niego i wszystek swój czas poświęcał towarzystwu miłej jego żony. By szczęście tych dwojga uczynić całkowitym, sam pan Pott od czasu do czasu przyjmował udział w ich rozmowach. Zwykle zajęty szerokimi planami, mającymi na celu dobro publiczne i obalenie „Niepodległości”, wielki ten człowiek nie zwykł był zstępować z wyżyn inteligencji ku nizinom zamieszkałym przez zwykłe umysły. Lecz w tym wypadku, jakby dla uczczenia pana Pickwicka, rozjaśniał czoło, schylał się, zstępował ze swego piedestału i zgadzał się na chodzenie po ziemi.

Takie było postępowanie tego znakomitego publicysty wobec pana Winkle’a. Łatwo zatem pojmiemy zdziwienie tego ostatniego, gdy pewnego poranka, kiedy pan Winkle był sam w jadalnym pokoju, usłyszał, że drzwi otwierają się z trzaskiem, i ujrzał wchodzącego majestatycznie pana Potta, który odtrącił podaną sobie rękę, zazgrzytał zębami, by uczynić swe słowa jeszcze bardziej gryzącymi, i powiedział głosem ostrym, podobnym do skrzypienia piły:

— Wężu!

— Co?! — zawołał pan Winkle, z drzeniem zrywając się z krzesła.

— Wężu! — powtórzył pan Pott podnosząc głos. A potem zniżając go nagle dodał: — Powiedziałem, że jesteś pan wężem. Spodziewam się, iż pan mnie zrozumiał.

Otóż jeżeli ktoś rozstał się z kimś o godzinie drugiej nad ranem wśród obopólnych wynurzeń najserdeczniejszej życzliwości, a o pół do dziesiątej rano słyszy, że mianują go wężem, to nie jest rzeczą nierozsądną wyprowadzić wniosek, iż w pomienionym czasie musiało się coś zdarzyć, i to coś bardzo nieprzyjemnego. Tak też myślał i pan Winkle. Spojrzał więc na pana Potta badawczym wzrokiem i zgodnie z życzeniem wyrażonym przez tego gentlemana, począł wysilać się na zrozumienie tego węża, ale na próżno. Po głębokim milczeniu, trwającym kilka minut, powiedział:

— Wąż, panie Pott? Co pan przez to rozumie? To chyba żarty?

— Żarty, panie! — zawołał redaktor czyniąc ręką ruch zdradzający gwałtowną chęć rzucenia na głowę swego gościa imbryka ze stali „Brytania” — żarty, panie!... Ale nie! Będę spokojny; chcę być spokojny, panie!...

I na dowód, że jest spokojny, pan Pott rzucił się na krzesło, pieniać się ze złości.

— Kochany panie... — zaczął pan Winkle.

— Kochany panie! Jak pan śmie nazywać mnie kochanym panem? Jak pan śmie patrzeć na mnie wymawiając te wyrazy?

— Ależ, mój panie, kiedyśmy już do tego doszli, to jak pan śmie patrzeć mi w twarz, nazywając mnie wężem?

— Bo pan nim jesteś!

— Proszę o dowód! — zawołał pan Winkle wzburzony. — Proszę o dowód!

Ponura i groźna chmura zaciemniła twarz redaktora; wyjął z kieszeni numer „Niepodległości” i przez stół podał panu Winkle’owi, palcem wskazując jedno miejsce...

Zdumiony pickwickczyk wziął dziennik i przeczytał głośno, co następuje:

— Nasz ciemny i bezecny rywal był w niesmacznych swych spostrzeżeniach nad ostatnimi wyborami na tyle niegodziwy, iż gwałcił świętość prywatnego życia i robił bardzo jasne aluzje do osobistych spraw naszego ostatniego kandydata, pana Fizkina, który, nawiasem mówiąc, mimo niezasłużonej klęski następnym razem z całą pewnością odniesie zwycięstwo. Do czego to zmierza nasz nikczemny rywal? I cóż by powiedział na to ten nędznik, gdybyśmy, gardząc jak on przyzwoitością, podnieśli zasłonę, która na szczęście dla niego, kryje brudy jego prywatnego życia przed światem? Co by powiedział, gdybyśmy wydrukowali następujące wiersze, nadesłane nam w chwili, gdyśmy oddawali dziennik pod prasę, pióra jednego z najdowcipniejszych naszych współpracowników?

WIERSZ DO MIEDZIANEGO GARNKA

O, ty garnku miedziany, sadzą zakopcony!
Zamiast ślęczyć po nocach nad twą bazgraniną
Lepiej byś dopilnował twojej własnej żony,
Która z biedy znaj duj e pociechę jedyną
W tym, że gdy z sąsiedniej wieży
Zegar północ uderzy,
Wśród ciszy wydzwanając tink, tinkle, tinkle, tinkle,
Miejsce twe przy niej zastępuje...*

— No i cóż?! — zawołał pan Pott uroczyście. — Co, zbrodniarzu, co rymuje się z *tinkle*?

— Co rymuje się z *tinkle*? — przerwała pani Pott, która w tej chwili weszła do pokoju i słyszała tylko ostatnie wyrazy. — Co rymuje się z *tinkle*? Sądzę, że Winkle.

To mówiąc, pani Pott uśmiechnęła się z wielkim wdziękiem do wzruszonego pickwickczyka i podała mu rękę. Zmieszany młody człowiek miał już zamiar uścisnąć tę rękę, gdy między nich rzucił się oburzony pan Pott.

— Stój! — krzyknął. — Jeszcze podajesz mu rękę w mojej obecności!

— Panie Pott! — zawołała zdziwiona małżonka.

— Kobieto niegodna! Patrz tu! Patrz tu! Wiersz do miedzianego garnka... to ja! Pani, która znajduje pociechę, to jesteś ty!

I w gwałtownym uniesieniu, miarkowanym nieco wyrazem twarzy swej małżonki, pan Pott rzucił jej pod nogi numer „Niepodległości”.

— I cóż z tego, panie? — zawołała pani Pott, schylając się, zdziwiona, by podnieść dziennik. — I cóż z tego?

Pan Pott wiał się pod pogardliwym wzrokiem swojej żony. Robił rozpaczliwe wysiłki, by zebrać całą swą odwagę, ale na próżno.

Gdy się czyta ten krótki frazes: — I cóż z tego? — ma się wrażenie, iż nie zawiera on nic przerażającego. Ale ton, jakim był wymówiony, wzrok, który mu towarzyszył, zdawały się zapowiadać w przyszłości zemstę zawieszoną na włosku nad głową redaktora, i to wywarło magiczny efekt.

* Pot znaczy po angielsku garnek

Najniezręczniejszy obserwator zauważyłby w strwożonej postawie redaktora gorącą chęć ustąpienia swoich butów każdemu, kto zgodziłby się w nie wleźć.

Pani Pott przeczytała wiersz, krzyknęła i jak długa padła na dywan przy kominku, a leżąc poczęła krzyczeć i uderzać piętami w posadzkę z gwałtownością, która nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do delikatności jej uczuć w tej chwili.

— Moja kochana — bąknął pan Pott, bardzo zmieszany — nie powiedziałem przecież, że temu wierzę. Ja... nie...

Ale głos nieszczęśliwego męża zagłuszyły krzyki jego miłej połowicy.

— Ależ — zaczął pan Winkle. — Moja droga, błagam, uspokój się!

Na próżno. Krzyki i uderzenia piętami jeszcze bardziej się wzmożyły.

— Moja kochana — przemówił znowu redaktor — bardzo mi przykro... Jeżeli nie masz względu na swe zdrowie, to przynajmniej, moja droga, miej wzgląd na mnie. Za chwilę cały tłum stanie pod naszymi oknami...

Im goręcej pan Pott błagał, tym głośniej krzyczała jego żona. Na szczęście miała pani Pott przy sobie rodzaj straży przybocznej w osobie młodej damy, której rzekomym obowiązkiem było pomaganie przy toalecie, ale która była bardzo przydatna w tysiącach innych przypadków, głównie zaś w dopomaganiu miłej swej pani, gdy chodziło o przeciwstawianie się wszelkim życzeniom i skłonnościom biednego dziennikarza. Histeryczne krzyki pani Pott dotarły wkrótce do uszu rzeczonyj straży przybocznej i sprowadziły ją do pokoju z szybkością zagrażającą wyszukanej harmonii jej czepka i włosów.

— O moja droga pani! Droga pani! — zawołała młoda osoba, klękając koło rozciągniętej na podłodze pani Pott. — O, droga pani! Co się stało?

— Twój pan... ten potwór... — wybełkotała chora.

Pott wyraźnie stchórzył.

— Wstydz się pan! — zawołała straż przyboczna tonem wyrzutu. — Jestem pewna, że pan o śmierć ją przyprawi! O, biedaczka!

Pan Pott zmiękł jeszcze bardziej. Przeciwna partia nie ustawała w atakach.

— O! Nie opuszczaj mnie! Nie opuszczaj mnie. Goodwin! — szepnęła pani Pott, z konwulsyjną siłą chwytając za rękę młodą osobę. — Ty jedna mnie kochasz, Goodwin!

Na taką czułą apostrofę panna Goodwin ze swej strony odegrała małą tragedię i zalała się łzami.

— Nigdy, pani! Nigdy! — zawołała. — Ach! Panie, miej się pan na baczności... powinieneś być pan ostrożniejszy! Pan nie wie, ile wyrządzasz pani złego... Pożałujesz pan kiedyś tego... Wiem o tym... Zawsze to mówię!

Nieszczęśliwy pan Pott spoglądał na swoją połowicę z miną wystraszoną, ale nie mówił nic.

— Goodwin... — rzekła pani Pott łagodnym głosem.

— Słucham panią.

— Gdybyś wiedziała, jak ja kochałam tego człowieka.

— Nie dręcz się, pani, tym wspomnieniem!

Pan Pott zrobił przerażoną minę. Wtedy nadeszła dla przeciwnika chwila zadania stanowczego ciosu.

— A teraz — łkała pani Pott — teraz! Za tyle miłości! Być tak traktowaną! Zapoznaną! Pokrzywdzoną! Wobec trzeciej osoby, obcej! Ale nie poddam się temu. Goodwin — mówiła dalej pani Pott, podnosząc się przy pomocy młodej panny. — Mój brat, porucznik, ujmie się za mną... Rozwiódę się, Goodwin!

— Naturalnie! On na to zasługuje — rzekła Goodwin.

Jakie były myśli redaktora, gdy usłyszał o rozwodzie, tego nigdy nie powiedział. Poprzestał tylko na bolesnych i żalonych słowach:

— Mój aniele, chciej mnie wysłuchać.

Nowy wybuch łkań był odpowiedzią; pani Pott stała się teraz jeszcze bardziej nerwowa i zapytywała przerywanym głosem, dlaczego przysłała na świat, dlaczego wyszła za męża, krótko mówiąc — pragnęła informacji co do mnóstwa innych kwestii tego rodzaju.

— Moja droga — przedstawiał jej pan Pott — nie poddawaj się tym bolesnym uczuciom. Nigdy nie wierzyłem, by wiersz ten miał jakąś podstawę; nigdy! Byłem tylko zirytowany, mogę powiedzieć — rozszłoszczony na wydawców „Niepodległości”, którzy mieli bezczelność wydrukować coś podobnego. Oto wszystko.

Mówiąc to pan Pott rzucił błagalny wzrok na niewinny powód tego zajścia, jakby go chciał prosić, by nic nie wspominał o „wężu”.

— A jakie pan przedsięwzięmie kroki, by otrzymać satysfakcję — zapytał pan Winkle, który nabierał odwagi widząc, że pan Pott ją traci.

— O, Goodwin — szepnęła pani Pott. — Czy on obje redaktora „Niepodległości”? Czy zrobi to, Goodwin?

— Cicho, cicho. Uspokój się, pani, proszę! Niezawodnie obje, jeżeli pani życzy sobie tego.

— Niezawodnie — powtórzył pan Pott widząc, że jego połowica szykuje się do powtórnego zemdlenia. — Naturalnie, że obje...

— Kiedy, Goodwin, kiedy? — mówiła dalej pani Pott nie wiedząc jeszcze, czy ma zemdleć.

— Naturalnie, że bezzwłocznie — odrzekł redaktor — nim się dzień skończy.

— O, Goodwin! — zaczęła znowu dama. — Jest to jedyny środek, by odeprzeć oszczerstwo i ukazać mnie światu w prawdziwym świetle.

— Niezawodnie, pani; żaden mężczyzna, jeżeli jest mężczyzną, nie może tego odmówić — odparła Goodwin.

Ale ataki nerwowe wciąż jeszcze unosiły się na horyzoncie, pan Pott powtórzył raz jeszcze, że to uczyni: lecz pani Pott była tak przygnębiona tą jedyną myślą, iż cześć jej mogłaby być podana w wątpliwość, że jeszcze z jakich dwanaście razy omal znów nie dostała ataku nerwowego. Nastąpiłoby to niemal na pewno, gdyby nie wytrwałe wysiłki panny Goodwin i błagania strony pokonanej. W końcu, gdy nieszczęśliwy pan Pott został ostatecznie zmaltretowany i usunięty na należne mu stanowisko, pani Pott zrobiło się lepiej i we troje zasiedli do śniadania.

— Spodziewam się — rzekła pani Pott z uśmiechem promieniejącym spoza śladów łez — spodziewam się, panie Winkle, że nikczemna potwarz tego dziennika nie skróci pańskiego pobytu u nas.

— Spodziewam się, że nie — dodał pan Pott, w duszy swej gorąco pragnąc, aby gość jego udławił się kawałkiem mięsa, który niósł do ust, i aby na tym skończyły się jego wizyty. — Spodziewam się, że nie.

— Państwo są bardzo łaskawi — odrzekł pan Winkle — ale dziś rano otrzymałem od pana Tupmana kartkę z zawiadomieniem, iż pan Pickwick wzywa nas, byśmy przybyli do Bury... Musimy odjechać dziś po południu.

— Ale pan wróci — rzekła pani Pott.

— O! Na pewno — odparł pan Winkle.

Śniadanie ukończono w milczeniu, gdyż każdy z biesiadników przeżywał swe osobiste zmartwienia. Pani Pott żałowała, że traci wielbiciela; pan Pott żałował nierozważnego przyrzeczenia, iż obije redaktora „Niepodległości”; pan Winkle żałował umizgów, które go postawiły w tak kłopotliwym położeniu. Nadchodziło południe i po pożegnaniu oraz przyrzeczeniu powrotu pan Winkle oddalił się.

„Jeżeli kiedy tu powróci, otruję go!” — pomyślał pan Pott odchodząc do gabinetu, gdzie wykuwał gromy swej wymowy.

„Jeżeli kiedy zadam się z tymi ludźmi — pomyślał pan Winkle idąc «Pod Srebrnego Pawia» — to warto będzie dać mi w skórę”.

Przyjaciele jego byli gotowi; wkrótce nadjechał dylizans, a po upływie pół godziny trzej pickwickczycy byli już u kresu swej podróży. Ponieważ jednak o drodze tej już mówiliśmy, przeto nie uważamy za stosowne podawać pięknego i poetyckiego jej opisu pióra pana Snodgrassa.

We drzwiach oberży „Pod Aniołem” czekał na nich Sam Weller i zaraz wprowadził ich do apartamentu pana Pickwicka.

Tu ku wielkiemu zdziwieniu pana Winkle’a i pana Snodgrassa i ku niezmiernemu zmieszaniu pana Tupmana zastali starego pana Wardle’a i pana Trundle’a.

— Jak się pan ma? — zawołał wesoło starzec, ściskając rękę pana Tupmana. — No, no; nie przybieraj pan sentymentalnej miny. To się na nic nie przyda, stary kolego. Z przywiązania do niej pragnąłbym, byś się z nią ożenił, ale w interesie pana cieszę się, że się tak stało. Taki zuch jak pan znajdzie coś lepszego.

Pocieszając w ten sposób pana Tupmana, pan Wardle uderzył go po ramieniu, śmiejąc się z całego serca.

— A wy, panowie, jakże się miewacie? — mówił dalej stary gentleman, ściskając ręce panów Winkle’a i Snodgrassa. — Mówiłem już panu Pickwickowi, iż zapraszam was wszystkich na Boże Narodzenie. Będziemy mieli wesele, prawdziwe wesele!

— Wesele! — zawołał pan Snodgrass blednąc.

— Tak, tak. Ale nie przerażaj się pan — odrzekł uprzejmy starzec — to tylko Trundle, którego tu widzicie, i Bella.

— A! Tylko to! — odrzekł pan Snodgrass, któremu ulżyło na sercu. — Winszuję panu. Jak się ma Joe?

— Joe? Bardzo dobrze, ciągle śpi — odparł stary gentleman. — A szanowna matka pana? A wikary? A inni?

— Doskonale.

— Panie — zapytał pan Tupman, siląc się na spokój — gdzie jest... gdzie jest ona? — A mówiąc to, zakrył sobie twarz ręką.

— Ona? — odrzekł stary gentleman, pochylając głowę filuternie. — Zapewne pyta pan o moją siostrę?

Pan Tupman skinieniem dał do zrozumienia, iż rzeczywiście pytanie jego dotyczy nieszczęsnej Racheli.

— O! Wyjechała; mieszka teraz u jednej z naszych krewnych, daleko. Nie mogła dłużej znieść widoku moich córek. Ale otóż i obiad; pewno głodni jesteście po podróży, bo ja i bez tego jestem głodny. A więc do roboty!

Obiadowi oddano pełną sprawiedliwość, a gdy podano deser i wszyscy się wygodnie roz siedli, pan Pickwick opowiedział przygody, jakie go spotkały, i triumf, jakim uwieńczony został niecny podstęp szatańskiego Jingle’a. Zwolennicy znakomitego męża niemal skamienieli z oburzenia.

— A na dobitek — dodał mistrz — reumatyzm, który złapałem, sprawił, że okulałem.

— Mnie także wydarzyła się awantura — rzekł pan Winkle z uśmiechem i na żądanie pana Pickwicka opowiedział o złośliwym paszkwilu „Niepodległości” i wynikłym z tej przyczyny niepokoju w domu redaktora „Gazety Eatanswillskiej”.

Czoło pana Pickwicka zachmurzyło się podczas tego opowiadania. Przyjaciele jego dostrzegli to i gdy pan Winkle zamilkł, zachowali głębokie milczenie. Po chwili mistrz z uniesieniem uderzył w stół zaciśniętą pięścią i przemówił, jak następuje:

— Czy to nie dziwne zrzządzenie losu, że wchodząc w czyjś dom wnosimy weń coś w rodzaju zamieszania. Powiedzcie, czy nie mam powodów przypuszczać, że przyjaciele moi są lekkomyślni, co gorsza, wprost źli — o, jak trudno powiedzieć coś takiego! — gdy widzi się, jak w każdym domu, dokąd przybędą, znika spokój serca i szczęście domowe jakiejś łatwowiernej kobiety. Czy nie...

Według wszelkiego prawdopodobieństwa pan Pickwick mówiłby na ten temat jeszcze przez dłuższy czas, gdyby ukazanie się Sama z listem nie przerwało jego wymownych stów. Potarł więc ręką czoło, zdjął okulary, przetarł je również i znowu włożył na nos. Wystarczyło to, by przybrał zwykły swój łagodny wygląd i zapytał:

— Cóż to przynosisz mi, Samie?

— Przychodzę z poczty, panie, znalazłem tam list, który od dwóch już dni leżał.

— Nie znam tego pisma — rzekł pan Pickwick, otwierając list. — Niech niebo ma nas w swej opiece! Co to takiego? To chyba sen!... To... to być nie może!

— Cóż takiego? — zapytali wszyscy biesiadnicy.

— Spodziewam się, że nikt nie umarł? — rzekł pan Wardle przerażony wyrazem twarzy pana Pickwicka.

Filozof nic nie odpowiedział, ale podając przez stół list, poprosił pana Tupmana, by go odczytał głośno; sam zaś padł na krzesło, zdumiony i przerażony, że aż litość brała.

Pan Tupman drżącym głosem przeczytał list następującej treści:

Freeman's Court, Cornhill 28 sierpnia 1827

Bardell contra Pickwick

Do Pana Samuela Pickwicka

Szanowny Panie!

Mając polecenie pani Marty Bardell wytoczyć Panu proces o niedotrzymanie przyrzeczenia małżeństwa, za co skarżąca żąda 1 500 funtów odszkodowania, ośmielamy się uwiadomić Szanownego Pana, że skarga przeciw niemu wniesiona została do sądu Common Pleas, a zarazem upraszamy o powiadomienie nas odwrotną pocztą, jakie jest nazwisko adwokata pańskiego w Londynie, któremu Szanowny Pan sprawę tę powierzy. Pozostajemy najniższymi Pana sługami

Dodson et Fogg

Nieme zdziwienie, z jakim wysłuchano pisma, miało w sobie coś tak uroczystego, iż zdawało się, że każdy z obecnych obawiał się przerwać milczenie i kolejno spoglądał to na swego sąsiada, to na pana Pickwicka. W końcu pan Tupman powtórzył mechanicznie:

— Dodson et Fogg.

— Bardell contra Pickwick — szepnął pan Snodgrass w roztargnieniu.

— Spokój serc, domowe szczęście łatwowiernej kobiety... — mruknął pan Winkle.

— To zmowa! — zawołał pan Pickwick, odzyskując na koniec mowę. — Niegodziwa zmowa tych dwóch drapieżnych adwokatów, Dodsona i Fogga. Pani Bardell nigdy by tego nie zrobiła: ani serce, ani prawo nie mogłoby jej tego doradzić. To śmieszne! Śmieszne!

— Co do jej serca — zaczął pan Wardle z uśmiechem — to naturalnie, pan jesteś jego najlepszym sędzią; ale co do prawa, to nie chcę pana straszyć, powiem jednak, że Dodson i Fogg są lepszymi sędziami aniżeli my wszyscy.

— To nikczemne usiłowanie, by wydrwić ze mnie pieniądze.

— Tak myślę — odrzekł krótko i sucho pan Wardle.

— Kto słyszał, bym zachowywał się wobec niej inaczej, niż przystało lokatorowi wobec właścicielki domu? — mówił pan Pickwick z wielkim uniesieniem. — Kto mnie widział kiedy z nią? Nikt! Nawet obecni tu moi przyjaciele.

— Wyjawszy raz jeden — przerwał pan Tupman.

Pan Pickwick zbladł.

— A — zaczął znowu pan Wardle — to rzecz ważna; spodziewam się, że nie było w tym nic podejrzanego?

Pan Tupman spojrzał trwożliwie na swego mistrza.

— Tak — powiedział — nie było nic podejrzanego, ale... nie wiem, jak to się stało... to tylko pewne, że trzymał ją w swych objęciach.

— Sprawiedliwe nieba! — zawołał pan Pickwick, gdy nagle cała znana nam scena przysłała mu na myśl. — To prawda! Prawda! Cóż to za fatalny zbieg okoliczności!

— Nasz przyjaciel usiłował ją pocieszyć — dodał pan Winkle z uśmiechem cokolwiek złośliwym.

— Tak, to prawda — powtórzył pan Pickwick. — Nie mogę temu zaprzeczyć.

— O! O! — zawołał pan Wardle — to rzecz podejrzana! A! Pickwick! A! Łotrze!

I wybuchnął śmiechem, aż szklanki zatrzęsły się na stole.

— Co za okropny stek pozorów! — wykrzyknął pan Pickwick, wsparłszy podbródek na dłoniach. — Winkle! Tupman! Przebaczcie mi moje niedawne wyrzuty. Wszyscy jesteśmy ofiarą okoliczności, a ja największą!

Po tej mowie obrończej pan Pickwick ukrył całą głowę w dłoniach i począł namyślać się; pan Wardle tymczasem kiwał głową i mrugał na całe towarzystwo.

— Jakkolwiek bądź jest — rzekł pan Pickwick, podnosząc głowę i uderzając ręką w stół — muszę wszystko to wyjaśnić! Zobaczę tego Dodsona i Fogga. Pojadę do Londynu... jutro.

— O! jutro niepodobna, zanadto kulejesz — rzekł pan Wardle.

— No to pojutrze.

— Pojutrze, przyrzekłeś, że będziesz z nami na śniadaniu u sir Geoffreya Manning, jeżeli już nie chcesz towarzyszyć nam na polowaniu.

— No, to do dnia następnego. Sam!

— Jestem, panie!

— Zamów na czwartek dwa miejsca w dylizansie do Londynu.

— Dobrze, panie.

Sam oddalił się, by wypełnić ten rozkaz. Idąc z wolna ulicą, z rękami w kieszeni i oczyma w ziemię utkwionymi, tak mówił do siebie:

— Szczególny człowiek ten mój imperator. Umizgać się do pani Bardell! Kobiety mającej już podrostka! Tacy to zawsze ci starzy kawalerowie. Nigdy jednak nie spodziewałem się tego po nim, nigdy.

Tak moralizując, Sam Weller kierował swe kroki do biura pocztowego.

Rozdział dziewiętnasty

Szczęśliwy dzień nieszczęśliwie zakończony

Ptaki przywitały poranek 1 września jako jeden z najpiękniejszych w tej porze roku, nie wiedziały bowiem, na swoje szczęście, o ogromnych przygotowaniach w celu wytepienia ich, dzięki czemu mogły zachować spokój ducha i poczucie bezpieczeństwa. Niejedna młoda kuropatwa biegała wesoło po łące z całym wdziękiem pierwszej młodości i niejedna stara kuropatwa okrągłym swym okiem pogardliwie spoglądała na tę lekkomyślność, jak przystoi na ptaka doświadczonego i rozsądnego. I te, i tamte, nie wiedząc nic o niebezpieczeństwie, kąpały się, upojone rozkoszą istnienia, w świeżym porannym powietrzu. A za kilka godzin trupy ich miały już leżeć na sianie! Ale sza! Czas już skończyć ten ustęp, bo stajemy się zanadto sentymentalni.

Ograniczając się do prostego stwierdzenia faktów przyznać musimy, że ranek był piękny — tak piękny, że z trudem uwierzyłbyś, iż minęło już kilka miesięcy krótkiego angielskiego lata. Łąki, pola i drzewa, pagórki i bagna cieszyły oczy głębią swej zieleni. Zaledwie kilka liści opadło, zaledwie gdzieś żółta barwa mieszała się z barwą lata ostrzegając, że jesień za pasem. Niebo było bez chmur. Słońce grzało i świeciło: śpiew ptaków i brzęczenie tysięcy owadów napełniały powietrze. Ogródki przed domami, usiane kwieciami rozmaitych barw i odcieni, błyszczały w porannej rosie jak klejnoty. Wszystko nosiło jeszcze piętno lata, którego barwy nie zdążyły zblednąć.

Taki był ów poranek, kiedy otwarty powóz, w którym siedzieli trzej pickwickczycy (pan Snodgrass wolał zostać w domu), pan Wardle, pan Trundle z Samem Wellerem na koźle, zatrzymał się przed bramą przy drodze. Stał tam słuszny, chudy leśniczy i chłopak na pół obuty w skórzane kamasze. Obaj mieli torby myśliwskie wielkich rozmiarów i stali otoczeni przez sforę wyłów.

— Powiedz mi pan — przemówił po cichu pan Winkle do pana Wardle'a — czy oni myślą, że nabijemy zwierzyny pełne te dwie torby?

— O! Pan napełnij jedną, a ja drugą! A kiedy zabraknie już miejsca w torbach, mamy jeszcze kieszenie naszych kurtek myśliwskich.

Pan Winkle wysiadł z powozu i nic na to nie odpowiedział, ale pomyślał, że jeżeli towarzystwo zechce zostać na świeżym powietrzu, dopóki on nie napełni jednej torby, to narazi się na poważne niebezpieczeństwo przeziębienia.

— Cyt, Juno, cyt, staruszko! Leżeć, Dafne, leżeć! — mówił pan Wardle pieszcząc psy. — Sir Geoffrey naturalnie jeszcze w Szkocji, co, Marcinie?

Strzelec odpowiedział twierdząco, ze zdumieniem spoglądając na pana Winkle'a, trzymającego swą strzelbę tak, jakby chciał, by jego własna kamizelka oszczędziła mu trudu pociągania za cyngiel, i pana Tupmana, który znowu trzymał swoją, jakby był przestraszony; jest nawet wielkie prawdopodobieństwo, że tak by można określić jego stan ducha. Pan Wardle dostrzegł niepokój strzelca i powiedział:

— Moi przyjaciele jeszcze nie są wprawni, ale to nic!... Z czasem będą z nich dzielni myśliwi... Mój przyjaciel, pan Winkle, ma już nawet nieco doświadczenia.

Na ten komplement pan Winkle słabo się uśmiechnął i w swej wstydlivej skromności tak począł wywijać strzelbę, iż gdyby była nabita, niezawodnie sam by się zastrzelił.

— Jeżeli pan będzie tak majstrował nabita bronią — rzekł nadąsany strzelec — to niech mnie Bóg skarże, jeżeli z którego z nas nie narobi pan bigosu.

Przestraszony tym pan Winkle zmienił natychmiast pozycję i w pośpiechu wprowadził lufę w bardzo ścisły kontakt z głową Sama.

— Hola! — zawołał Sam, podnosząc z ziemi kapelusz i pocierając sobie skronie — w ten sposób od jednego razu napelni pan zwierzyną całą torbę i coś jeszcze ponadto.

Na te słowa chłopiec w skórzanych kamaszach wybuchnął śmiechem, próbując jednocześnie przybrać wygląd tak poważny, jakby to nie on się śmiał. Pan Winkle majestatycznie zmarszczył brwi.

— Marcinie — zapytał pan Wardle — gdzie kazałeś chłopcu czekać na nas ze śniadaniem?

— Pod dębem na łące, to jest już na gruntach kapitana Boldwiga.

— Bardzo dobrze. No, to już czas. W południe spotkamy się.

Pan Pickwick pragnął widzieć polowanie głównie dlatego, iż niepokoił się o życie i całość członków pana Winkle'a. A przy tym w tak piękny poranek przykro mu było zostać samemu. Więc z żalną miną odpowiedział:

— Ba, sądzę, że już tak być musi.

— Czy gentleman nie myśliwy? — zapytał drugi strzelec.

— Nie — odparł pan Wardle — a przy tym kuleje.

— Bardzo bym chciał pójść z wami — rzekł pan Pickwick.

Nastąpiło krótkie milczenie współczucia. Mały chłopak przerwał je, mówiąc:

— Tam za płotem są taczki. Jeżeli służący gentlemiana zechce powieźć go ścieżką, to mógłby być z nami, przez płot przeniesiemy go.

— Bardzo dobrze — pośpieszył dodać Sam, który także pragnął widzieć polowanie. — Dobrze mówisz, mój malcze. Zaraz sprowadzę taczki!

Ale tu powstała nowa trudność. Szuszy strzelec stanowczo zaprotestował przeciw udziałowi w polowaniu gentlemiana w taczkach, oświadczając, że byłoby to niesłychanym pogwałceniem wszelkich myśliwskich reguł i zwyczajów.

Sprzeciw był poważny. Ułagodzone jednak strzelca, wsuwając mu coś w łapę, a on sam ulżył swemu sercu biorąc w obroty głowę małego chłopca, który doradził użycie taczek, po czym karawana ruszyła. Na przedzie szedł pan Wardle ze strzelcem; pan Pickwick w taczkach, popychanych przez Sama, stanowił straż tylną.

— Stój, Samie! — krzyknął pan Pickwick, zaledwie przeszli pierwszą miedzę.

— A co tam? — zapytał pan Wardle.

— Nie ruszę się z miejsca — odpowiedział pan Pickwick — jeżeli Winkle nie będzie inaczej trzymał strzelby.

— Jakże ją mam trzymać? — zapytał nieszczęśliwy pan Winkle.

— Lufą do dołu.

— To nie po myśliwsku — zauważył pan Winkle.

— Co mi tam, że nie po myśliwsku! Nie mam ochoty, by z powodu jakiejś formalności zastrzelono mię w taczkach.

— Założyłbym się, że ten pan wpakuje komuś nabój, zanim się spostrzeże — mruknął wysoki strzelec.

— Dobrze, dobrze! — odrzekł nieszczęśliwy pan Winkle, odwracając strzelbę — wszystko mi jedno...

— Wzajemne ustępstwa stanowią urok życia — zauważył Sam i pochód ruszył dalej. Zaledwie zrobiono sto kroków, gdy pan Pickwick znowu krzyknął:

— Stójcie!

— Cóż tam znowu? — zapytał pan Wardle.

— Strzelba pana Tupmana jest tak samo niebezpieczna.
— Co? Niebezpieczna? — zawołał pan Tupman, wielce przestraszony.
— Niebezpieczna, jeżeli ją pan tak będzie trzymał jak obecnie. Przykro mi, ale nie mogę jechać dalej, jeżeli nie niżysz jej tak jak pan Winkle.
— Sądzę, że dobrze pan zrobi — dodał strzelec — bo w przeciwnym razie wsadzisz pan nabój we własną albo cudzą kamizelkę.

Pan Tupman z pośpiechem, pełnym najdalej idącej uprzejmości, nadał swej strzelbie żądane położenie; znowu ruszono z miejsca. Dwaj amatorzy polowania szli z odwróconymi strzelbami, jak dwu żołnierzy na pogrzebie.

Wtem psy stanęły; strzelcy także.

— Co się temu psu stało w nogę? — zapytał pan Winkle. — Tak zabawnie stoi!

— Jak to? — łagodnie zdziwił się pan Wardle. — Nie poznaje pan? Nie widzi pan, że wystawia?

— Wystawia — powiedział pan Winkle oglądając się dokoła, jakby w nadziei, że odkryje jakieś szczególne piękno w krajobrazie, który sprytnie psy, zdawało się, również interesuje.

— Wystawia! Cóż on takiego może wystawiać?

— Otwieraj pan szeroko oczy! — powiedział pan Wardle, zbyt podekscytowany, by w takiej chwili odpowiadać na pytania. — Lekko! Pil!

Dało się słyszeć trzepotanie skrzydeł tak gwałtowne, że pan Winkle aż cofnął się, jakby do niego strzelano. Potem rozległy się dwa strzały.

— Gdzie one są? — zawołał pan Winkle w największym zapale, oglądając się na wszystkie strony. — Gdzie są? Powiedzcie mi, kiedy trzeba będzie strzelić! Gdzie są?

— Oto są — odrzekł pan Wardle wskazując na dwie kuropatwy przyniesione przez psy.

— Nie, nie te!... Ale tamte — zaczął znów pan Winkle, zaciętrzewiony.

— Tamte są już daleko — odrzekł zimno pan Wardle, nabijając strzelbę.

— Za pięć minut znajdziemy inne stado — rzekł strzelec. — Jeżeli gentleman zacznie teraz strzelać, to nabój jego wyleci w czas z lufy.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Sam.

— Sam! — zawołał pan Pickwick, dotknięty kontuzją swego ucznia.

— Słucham pana.

— Nie śmieć się.

— Dobrze, panie — odrzekł służący, lecz aby sobie to wynagrodzić, począł za taczkami wyrabiać najdziwaczniejsze miny gwoli wyłącznie przyjemności chłopca, który zachichotał głośno i zaraz został za to wyszturchany przez strzelca jedynie dlatego, by sam szturchający miał pretekst do odwrócenia się i ukrycia własnej ochoty do śmiechu.

— Brawo, stary! — zawołał pan Wardle do pana Tupmana. — Tym razem przynajmniej w porę strzeliłeś!

— O, tak — rzekł pan Tupman z dumną świadomością dokonanego czynu — pociągnąłem za cyngiel.

— Grackość się pan spisał. Trafisz w coś następnym razem, jeżeli będziesz dobrze mierzył.

— Tak, to bardzo łatwo — rzekł pan Tupman. — Ale jak to bije w ramię! Prawie pchnęło mię w tył! Nie miałem pojęcia, że mała broń może tak szarpać!

— O! — rzekł stary gentleman, uśmiechając się — z czasem przyzwyczaisz się pan do tego. A teraz, czyśmy gotowi? Jak tam z taczkami?

— Wszystko dobrze, panie — odrzekł Sam.

— Więc w drogę!

— Niech się pan mocno trzyma! — powiedział Sam Weller, pchając taczki.

— Aj! aj! — odrzekł pan Pickwick i ruszyli z miejsca, jak można było najszybciej.

— Cofnij się pan ze swoją taczka! — zawołał pan Wardle.

— Słucham pana — powiedział Sam odsapnąwszy.

— Teraz, Winkle — powiedział stary gentleman — idź pan za mną... ostrożnie... A nie spóźnij się tym razem!

— Nie bój się pan — odpowiedział pan Winkle. — Czy wystawiają?

— Nie, nie, nie w tej chwili! Spokojnie! Spokojnie! Byliby zbliżyli się ostrożnie, gdyby pan Winkle, chcąc wykonać swoją strzelbę jakąś dziwną ewolucję, nie wywinął nią tak, że wystrzeliła i cały nabój przeszedł ponad głową małego chłopca, akurat w tym miejscu, gdzie by znajdowała się głowa słusznego strzelca, gdyby stał był przy panu Winkle'u.

— Na Boga! Po coś pan strzelił? — zawołał pan Wardle, gdy tymczasem ptactwo rozlatywało się na wszystkie strony.

— Jak żyję, nie widziałem takiej strzelby — odrzekł biedny pan Winkle, spoglądając na kurek, jakby to coś pomogło. — Sama strzela.

— A! Sama strzela! — powtórzył pan Wardle, nieco zirytowany. — Daj Boże, by kogo sama nie zastrzeliła!

— Dojdzie i do tego — zauważył strzelec.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał z goryczą pan Winkle.

— Nic, nic, panie. Ja nie mam rodziny, a matka tego chłopca zawsze coś dostanie od sir Geoffreya, jeżeli chłopiec zostanie zabity na jego gruncie. Nabij pan ją znowu! Nabij!

— Odbierzcie mu strzelbę! — zawołał z taczek pan Pickwick, przerażony ponurym przypuszczeniem strzelca. Odbierzcie mu strzelbę, czy słyszycie?

Ale nikt nie wykonał tego polecenia; pan Winkle, spojrzawszy buntowniczo na filozofa, nabił strzelbę i poszedł naprzód.

Winniśmy nadmienić, powołując się na autorytet pana Pickwicka, że sposób obchodzenia się z bronią pana Tupmana był nierównie racjonalniejszy od sposobu pana Winkle'a. Nie umniejsza to bynajmniej powagi pana Pickwicka, jaką był we wszystkich sprawach dotyczących polowania. Albowiem, jak to pan Pickwick sprytnie zauważył, od niepamiętnych czasów zdarza się, że najlepsi i najzdolniejsi filozofowie, będący prawdziwym kagańcem wiedzy w kwestiach teoretycznych, nie potrafią zastosować jej praktycznie.

Jak większa część znakomitych odkryć, tak i ten sposób wydawał się bardzo prosty. Z bystrością człowieka genialnego pan Tupman zrobił w krótkim czasie spostrzeżenie, iż o dwie główne chodzi sprawy: 1-o, o wystrzelenie bez uszkodzenia siebie, 2-o, o wystrzelenie bez uszkodzenia kogokolwiek z obecnych. Jeżeli więc kto na to się zdobył, że uzyskał możliwość wystrzału, to najlepiej w takim razie — zamknąć oczy i strzelać na wiatr.

Raz po dokonaniu takiego bohaterskiego czynu pan Tupman otworzył oczy i ujrzał na ziemi zranioną kuropatwę. Już miał wieszować panu Wardle'owi jego wciąż pomyślnych strzałów, gdy ten podszedł do niego i gorąco ściskając mu rękę powiedział:

— Tupman, do tej kuropatwy mierzył pan?

— Nie, nie!

— O, do tej! Zauważyłem to! Widziałem, jak mierzyłeś, i otwarcie powiem: najlepszy strzelec nie trafiłby jej lepiej. Pan nie jesteś takim nowicjuszem, jak sądziłem; przyznaj się pan, żeś już nieraz polował.

Na próżno pan Tupman protestował z uśmiechem skromności. Sam ten uśmiech poczytywany był za dowód czegoś przeciwnego; od tej chwili reputacja jego była ustalona.

Przez ten czas pan Winkle otaczał się ogniem, hukiem i dymem, nie osiągnąwszy żadnego godnego zanotowania rezultatu. Czasami walił ładunkiem przed siebie, to znowu puszczał go tak nisko nad ziemią, że życiu psów zagrażało poważne niebezpieczeństwo. Jako przykład fantastycznego strzelania był to widok wielce interesujący i ciekawy. Jako strzelanie do określonego celu — przedsięwzięcie chybione. Przywykliśmy uważać za prawdę, że każda kula gdzieś trafi. Do strzałów pana Winkle'a nie dałoby się tego zastosować, kule jego były bezdomne, urągały prawom przyrodzonym, błędziły po świecie i nigdzie nie trafiały.

— No! — rzekł pan Wardle, podchodząc do taczek i ocierając z potu swą wesołą, zaczerwienioną twarz — gorąco dziś, co?

— Gorąco — odrzekł pan Pickwick. — Słońce okropnie dopieka, nawet mnie. Nie wiem, jak tam wam.

— Ba! Gorąco! Ale to nic. Już przeszło południe; czy widzisz ten zielony pagórek?

— Widzę — rzekł pan Pickwick.

— Tam będziemy jedli śniadanie. Na Boga! Chłopak jest już tam z koszykiem.

— Widzę go — odrzekł pan Pickwick, którego twarz rozpromieniła się. — Porządny chłopak! Dam mu szylinga za fatygę. No! Samie! Tocz mnie!

— Niech się pan trzyma — odrzekł Sam, ożywiony widokiem śniadania. — A ostrożnie, młody kirasjerze! Jeżeli cenisz moje drogie życie, to mię nie wywracaj — jak mówił gentleman do pacholka wiozącego go pod szubienicę.

Po tym szczęśliwym zacytowaniu myśli Sam ruszył szybkim krokiem, dotoczył zręcznie swego pana na szczyt wzgórzka, wysadził go z taczek i umieścił koło kosza z jadłem, które, nie tracąc chwili, począł wyładowywać.

— Pasztet z cielęciny — mówił Sam, układając jedzenie na trawie. — Bardzo to dobra rzecz taki pasztet z cielęciny, jeżeli znamy damę, która go przyrządziła, i jeżeli mamy pewność, że to nie jest pasztet z kota. A zresztą, cóż to szkodzi, skoro w smaku tak są podobne do siebie, że nawet amatorzy pasztetów nie czują różnicy?

— Nie czują różnicy, Samie? — zapytał pan Pickwick.

— Nie, panie — odrzekł Sam, dotykając kapelusza.

— Mieszkałem raz w jednym domu z pewnym pasztetnikiem, człowiekiem przyjemnym i wcale niegłupim. Ten umiał robić pasztety! Mniejsza o to, z czego. Raz, kiedy się już z nim zaprzyjaźnił, mówię mu: — Ależ macie tu stado kotów, panie Brook. — A! — odpowiada — to prawda; wiele mam kotów — powiada, mrugnawszy do mnie — są ludzie, co lubią koty. Ale to — powiada — jeszcze nie ich pora, trzeba czekać do zimy. — Nie ich pora? — Nie — powiada. — Gdy owoc dojrzewa, kot chudnie. — Cóż to pan wygaduje? — powiadam. — Nic z tego nie rozumiem. — Widzi pan — powiada — nie chcę należeć do zmowy rzeźników podnoszących cenę mięsa dla ubogich ludzi. Panie Weller — powiada, ściskając mi rękę uprzejmie i szepcząc do ucha — panie Weller — powiada — nie powtarzaj pan tego; ale przyprawa to wszystko; wszystkie moje pasztety są z tych szlachetnych zwierząt — powiada wskazując na pięknego kotka. — Przyrządzam je jak wołowinę, cielęcinę albo siekankę, według gustu konsumenta. Lepiej jeszcze — powiada — mogę zrobić wołowinę z cielęciny albo cielęcinę z siekanki, albo z obu baraninę, byle mi na trzy minuty przedtem konsument powiedział, czego sobie życzy.

— Musiał to być człowiek bardzo pomysłowy — rzekł pan Pickwick z lekkim dreszczem.

— O, bardzo! A wyroby miał doskonale — odrzekł Sam, wypróżniając kosz dalej.

— Ozór, czyli język, to dobra rzecz, jeżeli nie jest to tylko język kobiecy. Chleb, szynka, ładna jak malowanie. Wołowina na zimno. Bardzo dobra. A co tam jest w tych naczyniach, mój ty świszczypało?

— W tym piwo, a w tym zimny poncz — odrzekł chłopak zdejmując z pleców dwa duże dzbany kamienne razem związane sznurem.

— A to mi dopiero śniadanie, gdy tak jedno łączy się z drugim — zaczął znów Sam, z wielkim zadowoleniem oglądając wszystkie specjały. — Teraz niech panowie zaczynają, jak mówili Anglicy do Francuzów, nasadzając bagnety.

Nie trzeba było drugi raz powtarzać zaproszenia, by towarzystwo oddało sprawiedliwość specjałom, ani nalegać, by Sam, strzelec i dwaj chłopcy zasiedli na murawie w niewielkiej odległości i także zabrali się do jedzenia. Stary dąb udzielał swego miłego cienia obu grupom, przed nimi zaś roztaczał się wspaniały widok pól poprzedzielanych laskami.

— Cudownie! Cudownie tu! — zawołał pan Pickwick, którego wyrazista twarz pod wpływem promieni słonecznych nabrzękała tak, że skóra poczęła na niej pękać.

— Ano tak, tak, stary przyjacielu — rzekł pan Wardle. — A może by tak jeszcze szklaneczkę ponczu?

— Z największą przyjemnością — odparł pan Pickwick, a gdy wypił, twarz mu się rozjaśniła, świadcząc o szczerości odpowiedzi danej panu Wardle'owi. — Dobry! — powtórzył, mlaskając językiem — bardzo dobry! Wypiję jeszcze szklanekę. Smaczny! Bardzo smaczny!... No, panowie! — zawołał następnie, nie puszczać z rąk dzbana. — Zdrowie naszych przyjaciół z Dingley Dell!

Toast ten spełniono przy głośnych okrzykach.

— Teraz powiem wam, jak się wezmę do tego, by uzyskać zręczność myśliwską — rzekł pan Winkle, zajądając szynkę. — Umieszczę na słupie wypchaną kuropatkę i będę się ćwiczył w strzelaniu do niej, poczynając od krótkich odległości i stopniowo odsuwając się. To wyborby sposób.

— Panie — rzekł Sam — znam pewnego gentlemana, który tak zrobił i który zaczął od czterech kroków; ale nigdy nie mógł postąpić kroku dalej, bo od pierwszego strzału tak dobrze trafił w ptaka, że nie zostało z niego ani piórka.

— Sam! — zawołał pan Pickwick.

— Jestem, panie.

— Bądź tak dobry, zachowaj swe anegdoty, aż dopóki ich od ciebie nie zażądamy — rzekł pan Pickwick.

— Dobrze, panie.

Sam umilkł, ale tak komicznie mrugał okiem, niedostatecznie zasłoniętym kuflem piwa, który trzymał przy ustach, że dwóch chłopców opanował konwulsyjny śmiech i sam strzelec raczył uśmiechnąć się.

— Doprawdy, że ten zimny poncz jest doskonały — rzekł pan Pickwick, czule spoglądając na kamienny dzban — a dzień nadzwyczaj gorący i... Tupman, mój kochany przyjacielu, może by tak jeszcze szklaneczkę?

— Bardzo chętnie — odrzekł pan Tupman. Wypiwszy tę szklanekę, pan Pickwick wychylił potem jeszcze drugą, dlatego tylko, by przekonać cię, czy nie ma w ponczu pomarańczowych skórek, bo od pomarańczowych skórek zawsze mu się robi niedobrze.

Przekonawszy się, że ich w ponczu nie było, wypił znów szklanekę za zdrowie pana Snodgrassa; potem czuł się w obowiązku wznieść toast na cześć nieznanego fabrykanta ponczu.

Ten szereg szklanek ponczu wywarł widoczny wpływ na mędrca. Oblicze jego jaśniało najszczęśliwszą radością; uśmiech igrał na ustach, dobry humor skrzył się w oczach. Ulegając stopniowo skombinowanym wpływom podniecającego płynu i gorąca, zapragnął koniecznie przypomnieć sobie pewną pieśń, którą słyszał będąc dzieckiem; a że próżne były wszelkie jego w tej mierze usiłowania, musiał odświeżyć sobie pamięć jeszcze kilkoma szklankami, co wywarło skutek wręcz przeciwny, bo nie tylko nie przypomniał sobie pieśni, ale nie mógł sobie też przypomnieć żadnego artykułowanego dźwięku. W końcu, gdy z trudem stanąwszy na nogach, począł wypowiadać wzruszającą mowę do zebranych, nagle upadł na taczki i natychmiast zasnął.

Kosz zapakowano z powrotem, ale przekonano się, że niepodobieństwem jest rozbudzić pana Pickwicka. Naradzano się, czy Sam ma go dalej wieźć uszpiętego, czy też lepiej pozostawić go na miejscu aż do powrotu z polowania. W końcu zgodzono się na to ostatnie, a ponieważ zamierzano polować tylko godzinę, Sam zaś bardzo nalegał, by go wzięto, uradzono, że pan Pickwick pozostanie w taczkach, a potem weźmie się go do domu. Towarzystwo oddaliło się więc, a filozof nasz najspokojniej chrapał w cieniu dębu.

Że pan Pickwick byłby chrapał w cieniu aż do powrotu swych przyjaciół, albo też, że byłby chrapał, aż mroki wieczora położyłyby się na łące, zdaje się, nie ulega wątpliwości, o ile przyjmiemy, że mógłby to uczynić bez przeszkody. Lecz tak się niestety nie stało. Złożyło się inaczej.

Kapitan Boldwíg był to mały, gwałtowny człowieczek w niebieskim surducie, zapiętym aż po sam podbródek, wznoszący się nad czarnym stojącym kołnierzem. Gdy raczył przechadzać się po swojej posiadłości, czynił to zawsze w towarzystwie wielkiej laski z ołowianą gałką oraz ogrodnika i jego pomocnika, współzawodniczących z sobą w płaszczeniu się przed panem. Tej to (ekipie, nie lasce) wydawał kapitan Boldwíg rozkazy szorstko i z należyty poczuciem własnej dostojności. Siostra bowiem żony kapitana była za markizem, więc dom jego nazywał się willą, jego pola — majątkiem ziemskim i wszystko u kapitana było bardzo wielmożne, bardzo imponujące i bardzo pańskie.

Zaledwie upłynęło pół godziny od czasu, jak pan Pickwick zasnął, gdy nadszedł mały kapitan ze swą eskortą, robiąc tak wielkie kroki, na jakie pozwalały mu krótkie nogi i wielkie poczucie dostojności. Stanąwszy pod dębem, wydał policzki bardzo pańsko i wypuścił z nich powietrze niezmiernie dostojnie, potem zaś spojrzął po okolicy, jakby okolica powinna była być niezmiernie uradowana tym, że on na nią patrzy; wreszcie, uderzywszy mocno kijem o ziemię, przywołał ogrodnika.

— Hunt! Wywałkować jutro ten trawnik.

— Słucham jaśnie wielmożnego pana.

— I trzymać to miejsce w porządku.

— Słucham jaśnie wielmożnego pana.

— I przypomnij mi, by umieścić tu tablicę z napisem grożącym żelazami na wilki każdemu, kto ośmieli się chodzić po moim gruncie. Rozumiesz?

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

— Przepraszam jaśnie wielmożnego pana — rzekł pomocnik ogrodnika, podchodząc z kapeluszem w rękę.

— Co tam, Wilkins?

— Zdaje mi się, jaśnie wielmożny panie, że tu dziś byli jacyś ludzie.

— A! — zawołał kapitan, rzucając dokoła gniewne spojrzenie.
— Tak, jaśnie wielmożny panie, sędzę, że jedli tu obiad.
— Diabli! Tak jest! — krzyknął kapitan, ujrawszy skórki chleba na trawie. — Żarli tu, na moim gruncie! A, wagabundy! Gdybym ich złapał!...
— Przepraszam jaśnie wielmożnego pana, ale... ale...
— Ale co? — ryknął kapitan. Idąc za nieśmiałym wzrokiem Wilkinsa, ujrzał taczki, a w nich pana Pickwicka.
— Coś za jeden, łotrze?! — spytał kapitan, dźgając pana Pickwicka grubą lachą. — Jak się nazywasz?

— Zimny poncz! — mruknął pan Pickwick i znowu usnął.
— Co?! — krzyknął kapitan. Milczenie.
— Jak powiedział, że się nazywa? — spytał kapitan.
— Zdaje się, że Poncz — odrzekł Wilkins.
— To bezczelność, bezczelna zuchwałość! — powiedział kapitan Boldwig. — Teraz udaje, że śpi! — mówił dalej w największej pasji. — Upił się. Pijany cham. Odwieź go, Wilkins, odwieź go natychmiast!
— Gdzie go mam zatoczyć, psze pana? — nieśmiało spytał Wilkins.
— Do wszystkich diabłów! — ryknął kapitan.
— Słucham — powiedział Wilkins.
— Stój! — zawołał kapitan.

Wilkins zatrzymał się.

— Zatocz go do zagrody, gdzie się zapędza zajęte bydło, a zobaczymy, czy się nazywa Poncz. Nie pozwolę drwić z siebie — nie, nie pozwolę drwić. Zabrać go.

Wskutek tego dyktatorskiego zlecenia zabrano pana Pickwicka, a kapitan Boldwig, pełen oburzenia, poszedł dalej.

Ogromne było zdziwienie naszych myśliwych, gdy powróciwszy ujrzeli, że pan Pickwick znikł i nawet zabrał z sobą taczki. Był to najbardziej tajemniczy i niepojęty fakt, o jakim kiedykolwiek słyszano. Byłoby już dość dziwne, gdyby kulawy człowiek nagle wstał i poszedł; ale gdyby się okazało, że ot tak, dla zabawy, pcha przed sobą ciężkie taczki — wydawałoby się to niemal cudem. Przeszukali każdy kąt, razem i w pojedynkę; wołali, krzyczeli, śmiali się, hukali — wszystko bez rezultatu. Ani śladu pana Pickwicka. Po kilku godzinach bezowocnych poszukiwań doszli do wniosku, że muszą wrócić do domu bez niego.

Tymczasem naszego filozofa, głęboko uśpionego w taczkach, zatoczono do wsi i umieszczono w ogrodzeniu w towarzystwie rozmaitych zwierząt. Wszyscy chłopcy wiejscy i trzy czwarte mieszkańców okrążyło go czekając, aż się obudzi. Ich niezmierne zadowolenie, jakie odczuwali, gdy patrzyli, jak mędrca toczono, jeszcze się zwiększyło, gdy ten, krzyknawszy kilkakrotnie, by przywołać Sama, usiadł następnie w taczkach i spojrzał z trudnym do opisania zdziwieniem na rozweselone twarze otaczających go ludzi.

Ogólny wybuch śmiechu powitał jego przebudzenie, pytanie zaś: — Gdzie jestem? — wywołało nowy wybuch, jeszcze głośniejszy, o ile to było możliwe.

— To ci zabawa! — ryczał tłum.

— Gdzie jestem?! — zawołał Pan Pickwick.

— W zagrodzie dla bydła! — wrzasnęła hałastrą.

— W jaki sposób się tu dostałem?! Co zrobiłem? Skąd mię przywieźli?!

— Boldwig! Kapitan Boldwig! — brzmiała jedyna odpowiedź.

— Zabierzcie mnie stąd! — wołał filozof. — Gdzie mój służący? Gdzie moi przyjaciele?

— Nie masz pan przyjaciół! Hura! — I najpierw rzepa, potem parę ziemniaków, potem jajo, potem kilka innych drobnych przedmiotów dały wyraz wesołości wielogłowego tłumu.

Trudno odgadnąć, jak długo trwałaby ta scena i ile by ucierpiał pan Pickwick, gdyby nagle hałas powozu toczącego się drogą nie zwrócił powszechnej uwagi. Powóz zatrzymał się przy zagrodzie, a stary Wardle i Sam wysiedli z niego. Pierwszy utorował sobie drogę do pana Pickwicka prędej, niżby to opisać i przeczytać było można, po czym usadowił go w powozie, drugi staczał tymczasem walkę z miejscowym strażnikiem.

— Biegnijcie po wójta! — krzyknęło około tuzina głosów.

— Aha! Biegnijcie! — odpowiedział Sam wskakując na kozioł — a pokłońcie mu się ode mnie, od pana Wellera, powiedzcie, że mu nadwerżył strażnika i że jak sobie sprawi nowego, to mu i tego uszkodzę. Bywajcie zdrowi!

— Jak tylko przyjadę do Londynu, rozpocznę kroki przeciwko kapitanowi Boldwigowi o bezprawne zatrzymanie — rzekł pan Pickwick, gdy powóz skierował się ku miastu.

— Zdaje mi się, żeśmy przekroczyli granice jego posiadłości — rzekł pan Wardle.

— Nic mię to nie obchodzi. Zaskarżę kapitana.

— Nie zrobisz tego — rzekł Wardle.

— Owszem, jakim... — ale ponieważ oblicze pana Wardle'a miało wyraz żartobliwy, pan Pickwick zmitygował się i spytał: — A dlaczego?

— Ponieważ oni mogliby zwrócić ostrze przeciwko niektórym z nas — rzekł pan Wardle, z trudem wstrzymując śmiech. — I okazałoby się, że niektórzy nadużyli zimnego ponczu.

Wbrew woli pana Pickwicka, uśmiech rozjaśnił jego oblicze. Uśmiech przeszedł w śmiech, śmiech w ryk, a ryk w powszechny ryk. Chcąc zachować dobry humor zatrzymali się w pierwszej przydrożnej gospodzie, zamówili po szklance brandy z wodą dla każdego, a jedną szczególnie mocną dla Sama.

Rozdział dwudziesty

z którego przekonywamy się, że pp. Dodson i Fogg znają się na interesach, w którym znajduje się czuły opis spotkania Samuela Wellera z ojcem, od dawna nie widzianym; rozdział ten pokazuje również, jak wytworne towarzystwo zbierało się „Pod Sroką i Ogarkiem” i że następny rozdział będzie doskonały

W parterowym pokoju ponurego domu w głębi Freeman Court w Cornhill siedziało czterech dependentów pp. Dodsona i Fogga, oskarżycieli prywatnych Jej Królewskiej Wysokości przy westminsterskim sądzie Bench i Common Pleas oraz adwokatów przy Wysokim Sądzie. Wzmiankowani dependenci mieli w ciągu dnia tyleż sposobności do oglądania słońca, ile jej może mieć człowiek siedzący na dnie wcale głębokiej studni. Byli jednak pozbawieni możliwości oglądania gwiazd wśród dnia, co gwarantuje tamta wyjątkowa sytuacja.

Pokój dependentów pp. Dodsona i Fogga był ciemny, ponury i czuć w nim było wilgoć. Przepierzenie broniło dependentów od zetknięcia się z gawiedzią. W pokoju znajdowało się kilka starych krzeseł drewnianych, stojak na parasole, haki do wieszania kapeluszy, parę półek, na nich pliki brudnych papierów, kilka starych pak sosnowych z papierowymi etykietami i całe baterie flaszek atramentu rozmaitego kształtu i wielkości. Szklane drzwi wychodziły na pasaż w dziedzińcu. Za tymi drzwiami ukazał się pan Pickwick w towarzystwie Sama Wellera. Było to w piątek po wypadkach wiernie opisanych w poprzednim rozdziale.

— Czemu nie wchodzicie? — odpowiedział jakiś głos zza przepierzenia na delikatne pukanie pana Pickwicka. Pan Pickwick i Sam Weller weszli posłusznie.

— Czy panowie Dodson i Fogg są u siebie? — zapytał uprzejmie pan Pickwick podchodząc w kierunku przepierzenia, z kapeluszem w ręku.

— Pana Dodsona nie ma, a pan Fogg jest bardzo zajęty — odpowiedział głos. Głowa z piórem za uchem, do której ów głos należał, spojrzała sponad przepierzenia na pana Pickwicka.

Głowa ta była rozczochrana. Włosy barwy piasku, skrupulatnie przedzielone i wyglansowane pomadą, w drobnych kosmykach spadały na twarz płaską, ozdobioną małymi oczkami, a ujętą w brudny kołnierzyk oraz wymorusany halsztuk.

— Pana Dodsona nie ma w domu, a pan Fogg jest bardzo zajęty — powtórzył człowiek, do którego należała głowa.

— Kiedy pan Dodson powróci? — spytał pan Pickwick.

— Nie wiem.

— A pan Fogg czy długo będzie zajęty?

— Nie mogę powiedzieć.

Tu człowiek poprawił z rozmachem pióro, drugi zaś dependent, który właśnie mieszał proszek Seidlitzta pod biurkiem, roześmiał się z uznaniem.

— Chyba zaczekam — powiedział pan Pickwick. Nie odpowiedziano mu. Więc usiadł nie proszony i słuchał głośnego cykania zegara i przyciszonej rozmowy dependentów.

— Pyszna heca, co? — powiedział jeden z gentlemanów w brązowej kurtce z guzikami, konkludując w ten sposób jakieś opowiadanie o przygodzie z poprzedniego wieczora.

— Bycza! Bycza! — dodał człowiek mieszający proszek Seidlitz.

— Tom Cummins przydował — ciągnął człowiek w brązowej kurtce. — Było wpół do czwartej, kiedy zajechał do Somers Town tak straszliwie wstawiony, że nie mogłem znaleźć dziurki od klucza i musiałem dzwonić na starą. Ciekaw jestem, co by stary Fogg zrobił, gdyby się o tym dowiedział, co? Miałbym się z pyszna, co?

Na samo to przypuszczenie dependenci roześmiali się chórem.

— Miałem tu dziś rano hecę z Foggiem — powiedział człowiek w brązowej kurtce. — Kiedy Jack porządkował papiery na górze, wy obaj poszliście do urzędu stemplowego, a Fogg czytał tutaj listy, wszedł ten drab, któremu posłaliśmy pozew w sprawie Camberwella — wiecie, o kim mówię? Jakże mu tam?

— Ramsey — powiedział dependent, który rozmawiał z panem Pickwickiem.

— Ach, Ramsey, stary wyga! — Panie — mówi Fogg, patrząc na niego dumnie, a wiecie, jak umie patrzeć! — Tak — mówi Ramsey, wkładając rękę do kieszeni i wyciągając z niej pieniądze. — Dług dwa funty pięć, koszty trzy funty dziesięć — proszę! — i sapnął jak miech, kładąc pieniądze zawinięte w skrawek papieru. Stary Fogg spojrział najpierw na pieniądze, później na niego, a potem odchrząknął we właściwy sobie sposób. Wiedziałem, że coś będzie. — Czy pan nie wie, że wypełniliśmy deklarację, co podnosi kosztą rzeczywiste? — Niech pan tego nie mówi! — zawołał Ramsey, cofając się. — Termin upłynął dopiero wczoraj wieczorem! — Owszem, mówię to! — rzekł Fogg. — Prawda, panie Wicks, że pan Jackson poszedł wypełnić deklarację w sprawie Bullman-Ramsey. — Oczywiście, odpowiedziałem, że tak. Fogg odchrząknął i spojrział na Ramseya. — Mój Boże — odpowiedział Ramsey. — A ja zrobiłem szalony wysiłek, aby wydobyć te trochę pieniędzy, i wszystko na próżno! — Nie na próżno — odpowiedział Fogg zimno. — Radzę panu trochę jeszcze pogrzebać, jeszcze trochę wydobyć i wrócić tu na czas! — Nie mogę więcej wydobyć — odpowiedział Ramsey, uderzając pięścią w stół. — Tylko niech mi pan nie grozi! — mówi Fogg udając, że wpada w gniew. — Wcale panu nie grożę! — odpowiada Ramsey. — Owszem, grozi pan! Proszę wyjść, proszę wyjść z biura i wrócić wtedy, kiedy nauczy się pan odpowiednio zachowywać! — Ramsey jeszcze chciał coś powiedzieć, ale Fogg nie dał mu przyjść do słowa, więc schował pieniądze do kieszeni i wyszedł. Tylko tamten wyszedł, Fogg zwraca się do mnie ze słodkim uśmiechem i wyjmuje deklarację z kieszeni. — Słuchaj, Wicks — mówi Fogg — weź dorożkę, jedź do Temple, jak możesz najprędzej, i wypełń deklarację! Koszta są prawie pewne. To człowiek solidny, ma dużą rodzinę i zarabia 25 szylingów tygodniowo. Jeżeli nie będzie chciał zapłacić, to zapłacą za niego jego własni czeladnicy. Musimy z niego wyciągnąć, ile się da, panie Wicks! To po prostu chrześcijański uczynek, panie Wicks! Mając tak dużą rodzinę i nędzne dochody, będzie na przyszłość ostrożniejszy w pożyczaniu. Prawda, panie Wicks? — I, wychodząc, uśmiechnął się tak dobroduszenie, że aż przyjemnie było na niego patrzeć. — To doskonały businessman! — rzekł Wicks tonem najgłębszego podziwu. — Doskonały, nieprawdaż?

Trzech innych jak najchętniej zgodziło się na tę opinię, a opowiadanie podobało im się niezmiernie.

— Mili chłopcy — szepnął pan Weller do swojego pana. — Ładnie się tu bawią.

Pan Pickwick skinął głową potakująco i chrząknął, aby zwrócić na siebie uwagę młodych gentlemanów za przepierzeniem. Ci, ulżywszy sobie rozmową między sobą, postanowili zwrócić nieco uwagi na przybyłych.

— Ciekaw jestem, czy Fogg już wolny — powiedział Jackson.

— Zobaczę — odparł Wicks, lekko zeskakując z krzesła. — Kogo mam oznajmić?

— Pickwick — odpowiedział znakomity bohater tych przygód. Jackson poszedł na górę i natychmiast wrócił oznajmiając, że pan Fogg przyjmie pana Pickwicka za pięć minut. Dokonawszy tego wrócił do swego biurka.

— Powiedział, że jak się nazywa? — spytał Wicks.

— Pickwick — odpowiedział Jackson. — Oskarżony w sprawie Pickwick *contra* Bardell. Szuranie nogami, zmieszane ze stłumionym śmiechem, dało się słyszeć za przepierzeniem.

— Panie — odezwał się Sam cicho. — Biorą pana na fundusz!

— Biorą na fundusz? Co to znaczy? — zapytał pan Pickwick. Za całą odpowiedź Sam wskazał palcem na przegrodę, a pan Pickwick podniósłszy głowę przekonał się o prawdziwości faktu: czterej dependenti spoglądali na niego wesoło, z wielkim zainteresowaniem przypatrując się postawie i rysom tego Iowelasa, tego wielkiego burzyciela spokoju serc niewieścich... Leczący skutek ruchu pana Pickwicka cztery głowy znikły, po czym bezzwłocznie dało się słyszeć skrzypienie piór suwanych po papierze z niezmienną szybkością.

Odgłos dzwonka przywołał jednego z dependentów do apartamentu pana Fogg. Wkrótce oznajmiono panu Pickwickowi, że adwokat może go przyjąć.

Pan Pickwick poszedł po schodach. Na pierwszym piętrze na jednych z drzwi wypisane było olbrzymimi literami to imponujące słowo: Fogg. Jackson zapukał i na wezwanie: — Wejść! — wprowadził pana Pickwicka do pokoju.

— Czy pan Dodson powrócił? — zapytał Fogg.

— W tej chwili powrócił!

— Poproś go pan do mnie.

— Zaraz, panie — odpowiedział Jackson i wyszedł.

— Proszę siadać — rzekł następnie pan Fogg do pana Pickwicka. — Oto dzisiejsze dzienniki. Mój wspólnik przyjdzie za chwilę i pomówimy o sprawie.

Pan Pickwick usiadł, ale zamiast czytać dzienniki, zaczął przypatrywać się adwokatowi. Był to człowiek już w starszym wieku, o pociągłej twarzy, jarosz, w czarnym surducie, ciemnych spodniach i krótkich czarnych kamaszkach, słowem — istota, która, zdawało się, stanowiła integralną część biurka, przy którym siedziała, i która czuła i myślała tyle właśnie co ono. Po upływie kilku minut wszedł pan Dodson, osoba otyła i barczysta, o ostrym spojrzeniu i doniosłym głosie. Rozmowa zaczęła się natychmiast.

— Pan Pickwick — rzekł pan Fogg do swego wspólnika.

— A! Oskarżony w procesie Bardell *contra* Pickwick.

— Tak jest — odrzekł filozof.

— Co pan nam proponuje? — zapytał Dodson.

— A! — zawołał Fogg, wkładając ręce do kieszeni i rzucając się na krzesło. — Co pan proponuje, panie Pickwick?

— Cicho, Fogg — powiedział Dodson. — Niech pan Pickwick mówi.

— Przyszedłem tu — odrzekł mędrzec, spoglądając łagodnie na obu — przyszedłem tu, by wynurzyć panom wielkie zdumienie, jakiego doznałem otrzymawszy ich list, i zapytać, jaki może być powód procesu przeciwko mnie?

— Powód?! — zaczął Fogg, ale powstrzymał go Dodson.

— Panie Fogg — powiedział Dodson. — Ja mówię.

— Przepraszam pana, panie Dodson — powiedział pan Fogg.

— Jaki powód? — spytał pan Dodson, przybierając minę wysoce moralną. — O powód niech pan spyta własne sumienie. My rządymy się wyłącznie oświadczeniami naszej klientki. Oświadczenia te mogą być fałszywe lub prawdziwe. Wiarogodne lub niewiarogodne. Jeżeli są prawdziwe, to są tym samym wiarogodne; nie waham się oznajmić panu, że podstawy naszego oskarżenia są mocne i nie dam nimi wstrząsnąć! Pan może być człowiekiem albo bardzo nieszczęśliwym, albo bardzo przewrotnym. Ale gdyby mię pod przysięgą, jako sędziego, spytano, co o tym sędzę, mógłbym powiedzieć tylko jedno. — Tu Dodson, z miną obrażonej cnoty, wyprostował się całą swą postacią, po czym spojrzał na Fogga, który wsadził głębiej ręce do kieszeni i potrząsając głową powiedział z miną mędrca: — Naturalnie!

— Otóż, panie — powiedział pan Pickwick, a wyraz boleści wykrzywił jego rysy — zapewniam pana, że mam tylko ogromnego pecha, przynajmniej w tej sprawie!

— Mam nadzieję, że tak — powiedział Dodson. — Spodziewam się, że tak. Jeżeli pan jest rzeczywiście niewinny w tej sprawie, jest pan najbardziej pechowym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Cóż pan na to, panie Fogg?

— Jestem pańskiego zdania — powiedział pan Fogg, uśmiechając się niedowierzająco.

— Pozew dotyczący tej sprawy — ciągnął Dodson — wydany został według przepisów. Panie Fogg, gdzie księga *Praecipae*?

— Proszę — powiedział pan Fogg podając wielką księgę oprawną w pergamin.

— Oto początek — podjął Dodson — Middlesex. Capias Marta Bardell, wdowa, *contra* Samuel Pickwick. Odszkodowanie 1500 funtów. Dodson i Fogg. Sierpień 28. 1830. Wszystko w porządku, panie! — Dodson odkaslnął i spojrzał na Fogga, który powtórzył: — W porządku! — po czym obaj spojrzeli na Pickwicka.

— Więc panowie chcecie dać mi do zrozumienia, że rzeczywiście zamiarem ich jest wytoczyć mi proces?

— Dać panu do zrozumienia? Oczywiście! — powiedział Dodson, niemal uśmiechając się, o ile pozwalała mu na to jego powaga.

— I że odszkodowanie obliczono na 1500 funtów? — ciągnął pan Pickwick.

— Pozwoli pan, że dodam — odpowiedział Dodson — iż gdyby to od nas zależało, powiększylibyśmy tę sumę trzykrotnie.

— Zdaje mi się, że pani Bardell powiedziała wyraźnie — rzucił Fogg, spoglądając na Dodsona — iż nie zgodzi się na mniejszą sumę.

— Niewątpliwie — surowo potwierdził Dodson. Rozpoczęli dopiero akcję i kompromis był im nie na rękę, nawet gdyby pan Pickwick zdradził ochotę do ustępstw.

— Ponieważ nie proponuje pan żadnych warunków — powiedział Dodson, wygładzając prawą ręką kartę pergaminu, a lewą machając przed panem Pickwickiem papierową kopią — służę panu pozwem. Oto oryginał, panie!

— Bardzo dobrze, panowie, bardzo dobrze — powiedział pan Pickwick, którego osoba i gniew powstały jednocześnie. — Mój adwokat odpowie panom.

— Bardzo nam będzie miło — powiedział Fogg zacierając ręce.

— Bardzo! — dodał Dodson otwierając drzwi.

— Ale zanim odejdę, panowie — mówił podniecony pan Pickwick, odwracając się od drzwi — pozwolę sobie powiedzieć, że ze wszystkich kruczków haniebnych i niegodnych...

— Za pozwoleniem! Zaraz! — zawołał Dodson z wielkim ugrzecznieniem. — Panie Wicks, panie Jackson!

— Jesteśmy — odpowiedzieli obaj dependenci.

— Chciejcie tylko wysłuchać, co gentleman mówi — powiedział Dodson. — A więc mówi pan, że ze wszystkich kruczków haniebnych i niegodnych...

— Tak jest, panie — mówił pan Pickwick, bardzo rozgniewany — ze wszystkich haniebnych, jakie wynajdują ludzie bez czci i wiary, ten kruczek jest najhaniebniejszy i najniegodniejszy. Powtarzam to.

— Czy słyszy pan, panie Wicks? — zapytał Dodson.

— Nie zapomni pan, panie Jackson? — dodał Fogg.

— Może zechce pan nazwać nas oszustami? — powiedział Dodson. — Owszem, panie, jeżeli mu to zrobi przyjemność!

— Tak — powiedział Pickwick. — Jesteście oszuści!

— Bardzo dobrze — powiedział pan Dodson. — Mam nadzieję, że pan słyszał, panie Wicks?

— O tak, panie! — odpowiedział Wicks.

— Może pan zechce pozwolić sobie na więcej? — dodał Fogg. — Prosimy! Prosimy! Pozwól pan sobie! Może zechcesz pan nazwać nas złodziejami albo znieważyc czynnie którego z nas? Owszem, jeżeli to tylko zrobi panu przyjemność! Nie będziemy stawiać oporu! Prosimy, prosimy!

Ponieważ Fogg stanął w sposób nader kuszący, blisko zaciśniętych pięści pana Pickwicka, jest wielce prawdopodobne, że filozof uległby jego namowom, gdyby Sam, słysząc całą poprzednią rozmowę, nie wbiegł po schodach i nie schwycił swego pana za rękę.

— Niech pan da spokój! — powiedział. — Wolant to doskonała gra, ale nie z prawnikami, chyba że pan jest raketką, a oni piłką! Chodźmy, proszę pana! Jeżeli chcesz pan ulżyć swemu sercu, to wyjdźmy na dziedziniec i niech pan mnie wyszturcha. Bo z prawnikami to za kosztowna zabawa!

To mówiąc, Sam bez ceremonii wyprowadził pana Pickwicka na podwórze, a potem na Comhill, zdecydowany iść za swoim panem, gdzie ten mu każe.

Pan Pickwick szedł bezmyślnie. Minął Mansion House i skierował się do Cheapside. Sam Weller zaczął się już dziwić, dokąd zmierzają, kiedy pan Pickwick odezwał się:

— Idę natychmiast do pana Perkera, Sam!

— Właśnie tam powinniśmy byli iść już wczoraj! — odezwał się Sam.

— Zdaje mi się! — powiedział pan Pickwick.

— Jestem tego pewny! — powiedział Sam.

— Dobrze, dobrze, Samie — powiedział pan Pickwick. — Zaraz tam pójdziemy, ale ponieważ zirytowałem się, chciałbym więc przedtem napić się grogu. Gdzie by to znaleźć, Samie?

Sam Weller posiadał niezwykłą i wyjątkową znajomość Londynu. Odpowiedział bez wahania:

— Drugi dziedziniec na prawo, ostatni dom po tej samej stronie; radzę panu zająć stolik przy kominku, nie ma nóg w środku, jak wszystkie inne — to jest bardzo niewygodne.

Według tych wskazówek pan Pickwick poszedł do oberży. Podano mu grog; Sam usiadłszy w przyzwyczajonej odległości przy tym samym stole, otrzymał kufel portera.

Sala, w której się znaleźli, była bardzo skromnie umeblowana i wyglądała, jakby była pod specjalną opieką stangretów od dyliżansów; wielu gentlemanów, należących do tej uczonej profesji, piło tam i paliło fajki. Pomiędzy nimi znajdował się pewien mężczyzna, otyły i czerwony, w starszym już wieku.

Siedział on naprzeciw pana Pickwicka i zwrócił jego uwagę. Otyły człowiek palił fajkę z wielką gwałtownością, a zawsze po sześciu pociągnięciach wyjmował ją z ust i przypatrywał się naprzód Samowi, a potem panu Pickwickowi, po czym zanurzał twarz w półkwaterek i wlewał w siebie z niego tyle, ile półkwaterek zawierał. Dokonawszy tego, znów przypatrywał się Samowi i panu Pickwickowi. Po chwili znów pociągnął z fajeczki — jakie sześć razy — zamyślał się i znów patrzył na Sama i na pana Pickwicka. Wreszcie otyły człowiek, położywszy nogi na krześle, oparł się plecami o mur i nie przestając pykać fajki, wpatrywał się w nowo przybyłych, jak gdyby chciał ich najdokładniej wystudiować.

Ewolucje otyłego mężczyzny zrazu uszły uwagi Sama: ale widząc, że oczy pana Pickwicka od czasu do czasu zwracają się ku nieznanemu, i on też począł mu się przypatrywać, po chwili jednak przysłonił oczy ręką, jak gdyby, poznawszy po części przedmiot, który miał przed sobą, chciał upewnić się o jego tożsamości. Ale wkrótce rozwiały się jego wątpliwości, gdyż otyły mężczyzna, puściwszy gęsty dym spoza potężnego szala, okręcającego mu szyję, odezwał się głosem ochryłym, jakby próbując bruchomówstwa:

— No i cóż, Sammy?

— Kto to jest, Samie? — zapytał pan Pickwick.

— Nigdy bym temu nie uwierzył, panie — odrzekł Sam, szeroko otwierając oczy — to stary.

— Stary! — zaczął znowu pan Pickwick. — Jaki stary?

— Mój ojciec, panie. Jak się masz, mój antyku?

Po tym czułym wynurzeniu synowskich uczuć Sam zrobił na ławie koło siebie miejsce dla otyłego człowieka, który zasiadł z fajką w ustach i kuflem w rękę.

— No, Sammy — rzekł ojciec — nie widziałem cię od dwóch lat.

— Tak, tak, stary zuchu. A jak się ma macocha?

— Macocha, Sammy, powiem ci — rzekł pan Weller senior głosem bardzo uroczystym — powiem ci, że świat nie widział milszej osoby nad nią, jak długo była wdową — bo już jestem przecież jej drugim mężem. Miła to była istota, Sammy, i dziś tyle mogę powiedzieć, że ponieważ była z niej arcymiła wdówka, to wielka szkoda, że zmieniła stan. Na żonę niezdatna, Sammy.

— Ba! Czy tak? — zapytał Weller junior.

Weller senior pochylił głowę i uśmiechnął się.

— Za drugim razem nie udała mi się sztuka, Sammy, nie udała się za drugim razem. Bierz przykład z twojego ojca, mój chłopcze, i dopóki żyjesz, wystrzegaj się wdów, zwłaszcza trzymających oberże, Sammy.

Udzieliwszy z wielkim namaszczeniem takiej ojcowskiej rady, Weller senior wydobyl z kieszeni blaszaną puszkę, nabił sobie fajkę, zapalił ją od ognia z poprzedniej fajki i począł pykać z wielką gwałtownością.

Po długiej pauzie zwrócił się do pana Pickwicka w tej samej materii.

— Z przeproszeniem szanownego pana, ale mniemam, że nie dotknę pana osobiście; czyś pan nie zahaczył o jaką wdowę?

— Jeszcze nie — odrzekł pan Pickwick, uśmiechając się.

Tymczasem Sam objaśnił ojcu na ucho swój stosunek do filozofa.

— Z przeproszeniem szanownego pana — rzekł Weller uchylając kapelusza — spodziewam się, że nie ma pan powodu, aby być niezadowolonym z Sammy'ego?

— Najmniejszego — odrzekł pan Pickwick.

— To mnie bardzo cieszy, panie. Wiele pracowałem nad jego edukacją, panie. Wypuszczałem go na ulicę, gdy jeszcze był małym bębniem, aby sam umiał sobie radzić. To jedyny sposób, by młody człowiek nabrał rozumu.

— Sądziłbym, że trochę niebezpieczny — zauważył pan Pickwick z uśmiechem.

— I nie bardzo pewny — dodał Sam — niedawno przekonałem się o tym.

— Nie może być?! — rzekł ojciec.

— Tak jest! — odrzekł syn i jak można najkrócej opowiedział, jak go Trotter wyprowadził w pole.

Weller słuchał tego opowiadania z największą uwagą; gdy je skończył, zapytał:

— Czy jednym z tych klejnotów nie będzie mężczyzna chudy, z czarnymi włosami i galopującą wymową?

Pan Pickwick nie bardzo zrozumiał ten rysopis, ale na wszelki wypadek powiedział, że tak.

— Drugi urwis, z ogromną głową, ma fioletową liberię?

— Tak, tak! To oni! — zawołali razem pan i sługa.

— W takim razie wiem, gdzie się wsrubowali. Obaj znajdują się teraz w Ipswich i dobrze się mają.

— Nie może być! — zawołał z kolei pan Pickwick.

— To fakt — odrzekł Weller — a oto, jak się o tym dowiedziałem. Od czasu do czasu zastępuję jednego kolegę, jeżdżącego do Ipswich. Właśnie jechałem tam, nazajutrz po nocy, kiedy pan złapałeś reumatyzm. „Pod Murzynkiem” w Chelmsford przyjąłem ich, bo tam się zatrzymali, i powiozłem prościutko do Ipswich. Tam, powiedział mi fioletowy fagas, mają mieszkać przez dłuższy czas.

— Pojadę za nimi! — zawołał pan Pickwick.

— A czy jesteś pewny, mój gubernatorze — rzekł Sam do ojca — że to są oni?

— Najpewniejszy, Sammy. Raz, że to są szczególnie ludzie, a po wtóre, że dziwiła mnie poufałość gentlemiana z jego sługą. Więcej jeszcze: siedzieli zaraz za mną i słyszałem, jak cieszyli się, że wyfrycowali jakiegoś starego pryka!

— Starego kogo? — zapytał pan Pickwick.

— Starego pryka, panie, i w mózgownicy mojej widzi mi się, że to o panu była mowa. Właściwie nie ma nic krzywdzącego w wyrażeniu „stary pryk”, ale w każdym razie nie jest to wyrażenie oznaczające wielki szacunek. Wszystkie przykrości, jakich doznał od pana Jingle’a, przysły na myśl panu Pickwickowi podczas opowiadania Wellera. Teraz już lada piórko mogło przechylić szalę, i „stary pryk” to sprawił.

— Pojadę za nimi! — zawołał filozof, uderzając pięścią w stół.

— Pojutrze jadę do Ipswich, panie — rzekł Weller — dylizans odchodzi spod „Byka” w Whitechapel. Jeżeli pan chce jechać, to najlepiej jechać ze mną.

— Bardzo dobrze — odrzekł pan Pickwick. — Napiszę do moich przyjaciół, by także tam przyjechali. Ale nie odchodź pan tak prędko, panie Weller. Może pan jeszcze czego się napije?

— Pan bardzo łaskaw — odrzekł Weller, zatrzymując się. — Można by kieliszek wódki za zdrowie szanownego pana i za pomyślność Sama.

— Pewnie, że można by — zawołał pan Pickwick. — Jedna wódka!

Przyniesiono żądany napój i pan Weller, uprzejmie skinąwszy Pickwickowi i kiwnąwszy na Sama, wlał zrecznie do gardła spory kielich tak, jakby nie był on większy od naparstka.

— Doskonale wykonane, papo! Ale musisz być ostrożny, stary zuchu, bo złapiesz podagrę.

— Na podagrę wynalazłem niezawodne lekarstwo — odrzekł Weller, stawiając kieliszek na stole.

— Niezawodne lekarstwo na podagrę! — zawołał pan Pickwick, szybko wydobywając swój notatnik. — Cóż to za lekarstwo?

— Podagra, panie, jest to choroba powstająca z wielkich wygod i komfortu. Jeżeli pan dostanie kiedy napadu podagry, niech pan natychmiast ożeni się z wdową o pięknym mocnym głosie, umiejącą nim należycie władać — podagra zniknie bez śladu. To kapitalny przepis, panie. Używam go regularnie i zaręczam, że usuwa wszelkie choroby wynikające z nadmiaru wesołego życia.

Po udzieleniu tego nieocenionego sekretu Weller raz jeszcze wypróżnił kielich, mrugnął okiem, westchnął głęboko i wyszedł.

— No, Samie, co myślisz o tym, co mówił twój ojciec? — zapytał pan Pickwick z uśmiechem.

— Co myślę, panie? Myślę, że mój ojciec jest ofiarą małżeństwa, jak ze łzami w oczach mówił kapelan Sinobrodego, kiedy go grzebał.

Trudno było znaleźć odpowiedź na te słowa, wobec tego pan Pickwick skierował się do Gray's Inn. Ale zanim tam dobrnął, wybiła godzina ósma. Niepowstrzymany potok gentlemanów w brudnych białych kapeluszach i zniszczonych ubraniach, płynący do wszystkich wyjść, uświadomił go, że większość tych biur już zamknięto.

Wdrapawszy się na dwie kondygnacje bardzo brudnych schodów, pan Pickwick przekonał się o słuszności swoich przypuszczeń. Drzwi kancelarii pana Perkera były zamknięte. Śmiertelna cisza, która była jedyną odpowiedzią na liczne pukania Sama Wellera, oznajmiła im, że dependenci już się rozeszli.

— A to przyjemność, Samie! — powiedział pan Pickwick. — Nie mam ani godziny do stracenia, muszę go natychmiast zobaczyć. Nie zmruję dzisiejszej nocy oka, dopóki nie będę mógł stwierdzić z całym spokojem, że oddałem swoją sprawę w ręce specjalisty.

— O, właśnie idzie jakaś staruszka! Może ona będzie wiedziała, gdzie kogo znajdziemy! Hej, starsza pani! Gdzie są ludzie pana Perkera?

— Ludzie pana Perkera — odpowiedziała chuda, wynędzniała staruszka, przystanąwszy, żeby złapać oddech. — Ludzie pana Perkera wyszli. A ja idę sprzątać biuro.

— Czy pani jest służącą pana Perkera? — spytał pan Pickwick.

— Nie, jestem praczką — odpowiedziała staruszka.

— A — powiedział pan Pickwick, a potem rzekł na boku do Sama: — To bardzo ciekawe, Samie, że w tych instytucjach służące nazywają praczkami.

— Ponieważ ich panowie mają śmiertelną awersję do oczyszczania czegokolwiek.

— To dziwne — rzekł pan Pickwick, patrząc na starszą kobietę, której postać, zarówno jak i biuro (właśnie je otworzyła), zdradzały zdecydowany wstręt do wody i mydła. — Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę pana Perkera?

— Nie, nie mogę — odrzekła ponuro — poszedł do miasta!

— To istne nieszczęście! — odpowiedział pan Pickwick. — A czy nie wie pani, gdzie jego dependent?

— Owszem, wiem, ale nie podziękowałby mi za to, gdybym powiedziała — rzekła praczka.

— Mam bardzo ważny interes — powiedział pan Pickwick.

— Nie może pan zaczekać do jutra? — spytała kobieta.

— Nie bardzo — odpowiedział pan Pickwick.

— Dobrze — powiedziała stara. — Gdyby zaszło coś ważnego, kazał mi powiedzieć, gdzie jest. Więc przypuszczam, że mam prawo to zrobić. Idźcie, panowie „Pod Srokę i Ogarek” i spytajcie w barze o pana Lowtena. Wtedy pokażą wam, który to jest Lowten. A to właśnie będzie dependent pana Perkerera.

Kierując się tymi wskazówkami i otrzymawszy dalsze, z których wynikało, że wyżej wymieniona gospoda leży w dzielnicy sądowej, zadowoleni, że znajdują się w pobliżu Clare Market i niedaleko tyłów New Inn, pan Pickwick i Sam jakoś szczęśliwie zeszli po karkołomnych schodach i dobrnęli „Pod Srokę i Ogarek”.

Ta faworyzowana oberża, w której pan Lowten i jego koledzy odprawiali swe wieczorne uczty, była właściwie tym, co ludzie zwykle nazywają karczmą. Że gospodarz należał do typu ludzi, którzy kiedyś zrobią majątek, dowodził fakt, że umieszczony przy oknie szynkwas, przypominający kształtem lektykę, wydzierżawił szewcowi; że zaś był przy tym filantropem, widać było z tego, iż na progu swojej własnej oberży pozwalał jakiemuś obdartusowi sprzedawać rozmaite delikatesy. W oknach, zawieszonych firankami barwy szafranowej, wisiało parę ogłoszeń mówiących o cydrze z Devonshire i o gdańskiej wódce. Wielka czarna tablica dużymi literami głosiła wszem wobec, że w piwnicach tego zakładu znajduje się pół miliona baryłek mocnego portera. Wywoływała ona w umyśle każdego gościa miłe zainteresowanie, w jakim kierunku prowadzić mogą te piwnice. Jeżeli dodamy do tego, że zewnętrzny szyld ozdobiony był na wpół zatartym wizerunkiem sroki, jednym okiem zezującej na kawałek czegoś brązowego, co najstarsi ludzie od dzieciństwa nauczyli się czcić jako ogarek, to będziemy mieli już wszystko, co dotyczy zewnętrznego wyglądu tego zakładu.

Gdy pan Pickwick stanął przed szynkwasem, zza wąskiej lady wynurzyła się nagle starsza kobieta, ukazując się w całej swej okazałości.

— Czy jest tutaj pan Lowten? — zapytał pan Pickwick.

— Tak, jest — odpowiedziała oberżystka. — Karolciu, zaprowadź gentlemana do pana Lowtena!

— Gentleman nie może teraz tam wejść — rzekł z przejęciem czerwonowłosego chłopiec.

— Pan Lowten śpiewa teraz komiczne piosenki i nikogo nie puszcza do siebie. Ale zaraz skończy, proszę jaśnie pana!

Zaledwie czerwonowłosego chłopak powiedział to, gdy hałaśliwe bicie w stoły i dzwonięcie w szklanki dało znać, że pieśń została skończona. Pan Pickwick wyraziwszy życzenie, aby Sam do woli dogodził sobie w szynkowni, pozwolił się zaprowadzić do pana Lowtena. Po zaanonsowaniu, że „gentleman chce mówić z jaśnie panem”, tłusty młody człowiek, który wypełniał sobą krzesło u szczytu stołu, z pewnym zdumieniem spojrzął w kierunku, skąd dochodził głos. Zdumienie młodego człowieka nie zmniejszyło się bynajmniej, kiedy oczy jego spoczęły na indywiduum, którego przedtem nigdy w życiu nie widział.

— Bardzo przepraszam — powiedział pan Pickwick — i przykro mi, że przeszkadzam także reszcie gentlemanów, ale przybywam w bardzo ważnej sprawie. Jeśli pan pozwoli zająć sobie pięć minut czasu, tu w kąci, będę panu niezmiernie wdzięczny.

Tłusty młodzieniec wstał i przesunawszy sobie krzesło do kąta, tuż obok krzesła pana Pickwicka, uważnie wysłuchał jego bolesnej opowieści.

— A — rzekł po skończeniu — Dodson i Fogg — twardą mają rękę! Kapitalni businessmani, ci Dodson i Fogg!

Pan Pickwick przyznał, że Dodson i Fogg mają twardą rękę, potem pan Lowten ciągnął dalej:

— Perker wyjechał i wróci prawdopodobnie pod koniec tygodnia. Ale jeśli pan chce, żebyśmy zajęli się pańską sprawą, proszę mi zostawić kopię pozwu, a ja zrobię wszystko, co potrzeba, zanim Perker wróci.

— Właśnie po to przyszedłem — powiedział pan Pickwick, podając dokument. — Jeżeli zajdzie coś niespodziewanego, zechce pan łaskawie napisać — *poste restante*, Ipswich.

— Doskonale — odpowiedział dependent pana Perkera, a zauważywszy, że spojrzenie pana Pickwicka wędruje wzdłuż stołu, dodał: — Może się pan do nas przysiadzie na jakieś pół godzinki? Mamy tu dzisiaj kapitalną kompanię. Jest tam główny dependent od Samkina i Greena, kancelista od Smithersa i Price'a i jeszcze jeden od Pimkina i Thomasa, który na chwilę wyszedł — świetnie śpiewa piosenki! Jest jeszcze Jack Bamber i paru innych. Przebywa pan zawsze we wsi? Może zechce się pan do nas przysiąść?

Ta doskonała sposobność studiowania natury ludzkiej była pokusą zbyt silną, aby pan Pickwick mógł się jej oprzeć. Pozwolił się tedy doprowadzić do stołu, gdzie go w odpowiedni sposób przedstawiono i podano mu krzesło w sąsiedztwie prezydującego. Po czym pan Pickwick zażądał szklanki swego ulubionego napoju.

Wbrew temu, czego oczekiwał pan Pickwick, zapadło głębokie milczenie.

— Przypuszczam, że nie jest to dla pana przykre?— zapytał sąsiad z prawej strony, gentleman w koszuli ozdobionej mozaikowymi spinkami i z ogromnym cygarem w ustach.

— Bynajmniej — odpowiedział pan Pickwick. — Bardzo lubię cygara, chociaż sam nie palę...

— Przykro by mi było twierdzić to samo o sobie — odezwał się gentleman z przeciwnej strony stołu. — Palenie zastępuje mi dach nad głową i wikt.

Pan Pickwick spojrział na mówiącego i pomyślał, że pewnie i opierunek... Nastąpiła pauza. Pan Pickwick, jako człowiek obcy, najwidoczniej zepsuł nastrój.

— Pan Grundy zechce zaszczyścić towarzystwo piosenką — rzekł przewodniczący.

— Nie zechce — odpowiedział pan Grundy.

— Dlaczego? — zapytał przewodniczący.

— Bo nie może — odparł pan Grundy.

— To niech pan powie lepiej: nie chce! — rzekł przewodniczący.

— No, więc nie chce — odpalił pan Grundy. Zdecydowana odmowa pana Grundy'ego zaszczycenia towarzystwa piosenką znowu wywołała milczenie.

— Więc nikt nas nie zechce rozweselić! — powiedział przewodniczący.

— A czemu pan nas nie rozwesela, panie prezesie? — spytał młody zezowaty człowiek z bokobrodami, w szeroko otwartej (brudnej) koszuli, siedzący przy końcu stołu.

— Słuchajcie! słuchajcie! — odrzekł jegomość z mozaikowymi spinkami, palący cygaro.

— Ponieważ znam tylko jedną piosenkę i właśnie już ją śpiewałem. A tylko pieśń „Niech krążą szklance” może być śpiewana dwa razy tej samej nocy.

Była to replika nieodparta, znów więc zapadło milczenie.

— Byłem dziś wieczorem, moi panowie — zaczął pan Pickwick mając nadzieję, że wciągnie do rozmowy całe towarzystwo — byłem dziś wieczorem w miejscu, które wy, moi panowie, wszyscy dobrze znacie, ale gdzie ja nie byłem od dawna i dlatego mało je znam. Mówię, panowie, o Gray's Inn. Ciekawe to zakątki w naszym wielkim Londynie te stare gospody.

— O, na Boga! — rzekł szeptem przewodniczący, nachylając się przez stół do pana Pickwicka. — Poruszył pan temat, na który przynajmniej jeden z nas zawsze gotów rozprawiać. Łatwo naciągnie pan na to starego Jacka Bambera. Bamber o niczym innym nigdy nie mówi, jak o Gray's Inn; mieszka tam od wieków i na wpół od tego zwariował!

Indywidualność, o którym wspomniał Lowten, był to żółty, przygarbiony człowiek. Miał zwyczaj garbić się silnie, kiedy nic nie mówił, i z tego zapewne powodu pan Pickwick nie zwrócił na niego z początku uwagi. Kiedy teraz mały człowiek podniósł swoją zmarszczoną twarz i utkwiał w panu Pickwicku szare oczy o pytającym wyrazie, pan Pickwick nie mógł się dość nadziwić, że mógł przez chwilę nie zwrócić na niego uwagi. Na twarzy małego człowieka gościł stale zgryźliwy uśmiech. Oparł brodę na długiej, kościstej dłoni, której palce posiadały niezwyklej długości paznokcie. A kiedy pochylił głowę na bok i spojrzął spod szarych krzaczastych brwi, dziwna chytryść zabłysła w jego spojrzeniu, chytryść trudna do zniesienia dla patrzącego w te oczy.

Ta właśnie postać wystąpiła teraz na widownię i wylała z siebie całą kaskadę słów. Ponieważ rozdział ten jest już dostatecznie długi, a mały człowieczek jest osobistością znakomitą, będzie wyrazem szacunku dla niego i wygodą dla nas, jeżeli pozwolimy mu przemawiać w rozdziale następnym.

Rozdział dwudziesty pierwszy w którym mały człowieczek zajmuje się swoim ulubionym tematem i opowiada historię o dziwacznym kliencie

— Aha — powiedział stary jegomość, którego opisaliśmy w końcu poprzedniego rozdziału. — Któż to mówi o Inn?

— To ja — odpowiedział pan Pickwick. — Zauważyłem, że to bardzo dziwne miejsce.

— Pan? — pogardliwie powiedział stary jegomość. — Cóż pan może wiedzieć o tych czasach, kiedy młodzi ludzie zamykali się w samotnych izdebkach, ażeby czytać i czytać, studiować i studiować, aż im się rozum mieszał od tych studiów? Siły ich ducha tak się wyczerpywały, że nawet wstający ranek ich nie orzeźwiał. Aż umierali niemal z przeciwnego naturze przywiązania do owych suchych ksiąg! Należąc do innej epoki i będąc z innego pokolenia, cóż pan może wiedzieć o tym, ilu z nich zjadły suchoty albo pożarła gorączka? Taki bowiem był rezultat bujnego życia i rozpasanych zabaw w tych pokoikach! A jak pan myśli, ilu ludzi, którzy nadaremnie błagali o litość w przedpokojach adwokatów, szukać musiało potem spokoju w falach Tamizy albo w więzieniach? O, to niezwykle domy! Gdyby płyty, którymi wyłożone są ściany, mogły mówić i posiadały pamięć, i gdyby wyszły z tych ścian i opowiedziały, co wiedzą, byłaby to, zaiste, straszliwa opowieść o życiu! I chociaż teraz Gray's Inn jest miejscem zwyczajnym, naprawdę jest to dzielnica niesamowita i wołałbym usłyszeć wiele najstraszliwszych baśni niż poznać jedną prawdziwą historię tych murów.

Coś tak dziwnego było w nagłym wybuchu energii tego człowieka i w tym, co tę energię wywołało, że pan Pickwick nie zdobył się na żadną uwagę w odpowiedzi. Stary jegomość opanował wybuch gwałtowności i przybierając poprzedni wyraz twarzy, powiedział:

— Spójrzmy na to z innego punktu; z punktu zwykłego, wcale nie romantycznego. Cóż to za wyszukane miejsce tortur! Pomyślcie o tych nędzarzach, którzy wyprzedawali się, zapożyczali, naciągali swych przyjaciół, aby móc się zaciągnąć na listę profesji, która nigdy nie dawała im kawałka chleba. Czekanie, nadzieja, strach, nędza, ubóstwo, rozczarowanie, zamieranie nadziei, koniec kariery, może samobójstwo albo ostatnia nędza, łachmany, pijaństwo... Czyż nie mam racji? — Tu stary człowiek zatarł ręce i prawie radośnie spojrzał przed siebie, że znalazł nowy sposób oświetlenia swego ulubionego tematu.

Pan Pickwick patrzył na starego z wielkim zainteresowaniem, a reszta kompanii uśmiechała się w milczeniu.

— Mówicie o niemieckich uniwersytetach! — ciągnął stary. — Ba, ba! Dość macie chyba romantyki w odległości łokcia od każdego z was! Tylko że o niej nikt nie myśli.

— Nigdy nie sądziłem, że jest coś romantycznego w tym właśnie przedmiocie — rzekł pan Pickwick z uśmiechem.

— Na pewno pan nie myślał! — powiedział stary. — Na pewno! Jeden z moich przyjaciół mawiał: — Cóż dziwnego w tych pokoikach? — Bardzo dziwne to pokoje! — odpowiedziałem. — Wcale nie — odrzekł mój przyjaciel. — Samotne! — powiadam mu. — Nie — odpowiada mój przyjaciel. — I co pan powie? Pewnego ranka mój przyjaciel nagle umarł na apopleksję. Poszedł otwierać drzwi i uderzył głową o skrzynkę do listów. I utkwivszy w niej, pozostał tak osiemnaście miesięcy. Wszyscy myśleli, że wyjechał.

— A jak go znaleziono? — zainteresował się pan Pickwick.

— Ponieważ od dwóch lat nie płacił czynszu, egzekutorzy postanowili wyłamać drzwi. A więc wyłamują zamek, otwierają, a tu straszny, zakurzony szkielet w granatowym surducie, granatowych spodniach i jedwabnych pończochach pada w ramiona tego, który stał pierwszy. Dziwne, co? Chyba dziwne, nie? — Tu mały człowieczek jeszcze bardziej pochylił głowę na bok i z niewymowną radością zatarł ręce.

— Znam także inny wypadek — ciągnął dalej, opanowawszy nieco śmiech. — Zdarzył się on w Clifford's Inn. Pewien hultaj, wynajmujący tam lokal, zamknął się jednego ranka w alkówce i zażył arszeniku. Gospodarz myślał, że uciekł. Otworzył drzwi i wywiesił ogłoszenie. Przyszedł drugi, wynajął, umeblował i zamieszkał. Z jakichś przyczyn nie mógł spać: ciągle był jakiś nieswój i niespokojny. — To okropne — mówi. — Zrobię w tamtym pokoju sypialnię, a tu bawialnię!

Zmienił umeblowanie i odtąd spał bardzo dobrze, ale za to wieczorami nie mógł czytać. Czuł się zdenerwowany, niespokojny, ciągle poprawiał świece i oglądał się dokoła. — Nic nie rozumiem — rzekł pewnego dnia, powróciwszy wieczorem do domu. Wypił szklanek zimnego grogu i oparł się plecami o ścianę, aby mieć pewność, że nic nie stoi za nim. — Nic nie rozumiem — powtórzył. Wtem oczy jego zatrzymały się na drzwiach małego alkierzyka, zawsze zamkniętych. Wtedy dreszcz przebiegł mu po całym ciele. — Nieraz już to odczuwałem — powiada. — Coś jest nie w porządku z tym alkierzem! — Zdobył się na odwagę, wziął w rękę pogrzebacz, otworzył drzwi... aż tu w kącie alkierza stoi trup poprzedniego lokatora, z małą flaszką zaciśniętą w dłoni — a miał twarz!... — Mały człowieczek skończył, obejrzał się dokoła, spoglądając na zdziwione audytorium z uśmiechem pełnym zadowolenia.

— Niezwykłe rzeczy opowiada nam pan — powiedział pan Pickwick, patrząc na twarz staruszka przez okulary.

— Niezwykłe?! — powtórzył staruszek. — Nonsens. Uważa pan to za niezwykłe, ponieważ nie wie pan, o co chodzi. To są rzeczy zabawne, ale nie niezwykłe!

— Zabawne?! — zawołał mimo woli pan Pickwick.

— Zabawne. A może nie? — odpowiedział mały człowieczek z szatańskim błyskiem w oczach; po czym natychmiast zaczął mówić dalej:

— Znałem ja i innego człowieka... niech sobie przypomnę... tak... przed czterdziestu laty... wynajął stare, zniszczone mieszkanko w jednym z najstarszych domów w Inns... Od wielu lat już zamknięte. Mnóstwo babskich plotek przywiązanych było do tego miejsca — rzeczywiście, miejsce to nie było wesołe. Ale lokator był ubogi, a mieszkanie tanie, było to więc wystarczającym powodem, by je wynajął, chociażby było dziesięć razy gorsze. Zmuszono go jednak do zakupu starych gratów, które znajdowały się w tym mieszkaniu... między innymi do kupna wielkiej szafy na papiery, z oszklonymi drzwiami osłoniętymi od wewnątrz firanką. Rzecz zupełnie mu niepotrzebna, żadnych bowiem papierów nie posiadał, wszystko zaś, co miał do ubrania, nosił na sobie, co go bynajmniej zbytnio nie obciążało. Wprowadził się więc z wszystkimi swoimi rzeczami — nie było tego dużo — i cztery krzesła, które miał, ustawił tak, jak gdyby ich było dwanaście. Usiadł sobie wieczorem przed kominkiem i wypił jedną szklanczkę whisky z dwóch galonów, które wziął był na kredyt. Myślał sobie właśnie, czy zapłaci za tę whisky, a jeżeli zapłaci, to kiedy; wtem oczy jego zatrzymały się na szklanych drzwiach szafy. — Ach! — powiada. — Żeby nie potrzebował być kupić tej wstrętnej szafy od tandeciarza, miałbym pieniądze na coś potrzebniejszego. Powiem ci coś, staruszeko — rzekł zwracając się do szafy, ponieważ nie miał z kim mówić. — Gdybym wiedział, że nigdy nie będziesz mi na

nie potrzebna, bez namysłu porąbałbym cię i spalił. — Zaledwie to powiedział, aż tu z szafy wydobywa się coś na kształt jęku. Z początku się przestraszył, ale zaraz potem pomyślał, że to może jęczy młodzieniec, zajmujący sąsiedni pokój, ponieważ młodzieniec ów jada obiady na mieście. Wziął pogrzebacz i poprawił ogień. Jęk się powtórzył. Jedna połowa szklanych drzwi otworzyła się i wewnątrz szafy ukazało bladą postać stojącego tam człowieka. Była to postać wysoka i chuda, a miała wyraz twarzy stroskany i przerażony. Lecz w barwie jej skóry i w całej postawie było coś, co mówiło, że tacy nie chodzą po ziemi. — Kto to? — Nie rzucaj we mnie pogrzebaczem! Gdybyś nawet trafił, pogrzebacz przeszedłby przeze mnie i uderzyłby w ścianę szafy... Jestem duchem. — Więc czego tu chcesz? — mówił lokator. — W tym pokoju — odpowiedział duch — nastąpił mój upadek; i ja, i moje dzieci zostaliśmy żebrakami. W tej szafie przez wiele, wiele lat składano papiery. W tym pokoju, kiedy szalałem z rozpacz i kiedy zagaś dla mnie ostatni promyk nadziei, dwie złe harpie rozszarpały wszystko, co zebrałem w ciągu całego życia, nie pozwalając, aby grosz pozostał dla mego nieszczęśliwego potomstwa. Wystraszyłem je z tego miejsca — i od tego czasu włóczę się po nocach (odżywam tylko wtedy) i odwiedzam miejsca moich klęsk. Mieszkanie to należy do mnie. Zostaw je mnie. — Jeżeli będzie się pan upierał przy tym, by się tu zjawiać — mówił lokator, który podczas przemowy ducha zdążył już oprzytomnieć — to oczywiście z wielką przyjemnością ustąpię panu. Ale, jeśli wolno, chciałbym zadać panu jedno pytanie.

— Proszę, niech pan mówi — poważnie powiedział duch. — Otóż — powiada lokator — nie chodzi mi specjalnie o pana, ale dotyczy to wszystkich duchów, o jakich kiedykolwiek słyszałem. Postępowanie panów wydaje mi się trochę nierozsądne. Panowie macie możliwość zwiedzania najpiękniejszych miejscowości na ziemi — bo chyba dla was nie istnieje przecież przestrzeń — dlaczego więc włóczycie się właśnie po tych miejscach, gdzie byliście najnieszczęśliwsi? — Słusznie! Nigdy nie przyszło mi to na myśl! — powiedział duch.

— Widzi pan — ciągnął lokator — to przecież bardzo niewygodny pokój. Sądząc po tej szafie, śmiało mogę powiedzieć, że jest tu sporo pluskiew; jestem przekonany, że znalazłby pan daleko wytworniejsze *quartier**. Już nie mówię o klimacie Londynu, który jest rzeczywiście bardzo nieprzyjemny. — Ma pan najzupełniejszą rację — grzecznie odparł duch. — Naprawdę nigdy nie przyszło mi to do głowy. Powinienem zmienić klimat! — I rzeczywiście, mówiąc to, zaczął zniknąć: nóg prawie już nie było widać. — Panie, panie! — wołał lokator za znikającym. — Może by był pan łaskaw powiedzieć gentlemanom, którzy włóczą się po starych opuszczonych domach, ażeby zaprzestali tego? Oddałby pan w ten sposób wielką usługę społeczeństwu. — Z wielką chęcią — odpowiedział duch. — Co za głupcy z nas! Naprawdę głupcy! Nie rozumiem, jak mogliśmy być tak tępi. — Z tymi słowami duch zniknął. — I, co najdziwniejsze — dodał mały człowieczek, obrzucając cały stół spojrzeniem — że nigdy nie wrócił.

— Niezłe to opowiadanie, jeżeli prawdziwe — powiedział gentleman ozdobiony mozaikowymi spinkami. I zapalił świeże cygaro.

— Jeżeli! — zawołał mały człowieczek z nieskończenie pogardliwym wyrazem twarzy. — Przypuszczam — rzekł zwracając się do Lowtena — że także moją historię z dziwnym klientem, która zdarzyła mi się, kiedy byłem jeszcze dependentem, nazwie ten pan nieprawdą. Teraz nie dziwiłbym się już niczemu.

* dzielnicę

— Nie będę mówił o tym, czego nie słyszałem — powiedział właściciel mozaikowych ozdób.

— Chciałbym usłyszeć tę opowieść — rzekł pan Pickwick.

— Ach, tak! Niech pan opowie! — dodał Lowten. — Nikt jej nie słyszał oprócz mnie! A ja nie bardzo ją pamiętam.

Stary człowiek rozejrzał się po stole, błysnął oczami groźnie, niesamowicie i jakby z triumfem, że wyczyta na każdej twarzy wyraz zaciekawienia. Po czym potarłszy brodę i utkwivszy wzrok w pułap, jakby w ten sposób chciał zebrać wszystko w pamięci, rozpoczął, co następuje:

OPOWIEŚĆ O DZIWNYM KLIENCIE

— Mniejsza o to, skąd i jak dowiedziałem się o tej historii — zaczął stary. — Gdybym chciał ją opowiedzieć w takim porządku, w jakim do mnie doszła, musiałbym zacząć od środka, a doszedłszy do końca wrócić do początku. Wystarczy, że wiele wypadków rozegrało się w moich oczach. O innych wiem, że rzeczywiście miały miejsce, i żyją jeszcze ludzie, którzy je pamiętają.

Na ulicy Wielkiej, w dzielnicy Borough, koło kościoła św. Jerzego, po tej samej stronie co kościół, stoi, jak to przeważnie wszyscy wiedzą, najmniejsze z naszych więzień za długi, Marshalsea. Chociaż w ostatnich czasach bardzo się zmieniło i niczym nie przypomina brudnego kanału, jakim było przedtem, to nawet w tej zmienionej postaci stanowi małą pokusę dla dziwaków i małą pociechę dla uwięzionych. Osądzony na śmierć zbrodniarz ma tyle powietrza i ruchu w Newgate, co niewypłacalny dłużnik w Marshalsea.

Może to moje dziwactwo, a może nie umiem oddzielić tego miejsca od dawnych wspomnień związanych z nim, ale nie znoszę tej dzielnicy Londynu. Ulica jest szeroka, sklepy obszerne, turkocą przejeżdżające wozy, dzwonią kroki przechodniów, panuje tu hałas jak w handlowej dzielnicy, od rana do nocy, a jednak pomimo to jest tu martwo i niemilo. Ubóstwo i rozpusta przyłgnęły do gwarnych ulic. Nędza i nieszczęście gnieźdzą się w niskim gmachu więziennym. Coś ponurego i smutnego zawisło nad tą dzielnicą — przynajmniej w moich oczach — i nadaje jej koloryt brudu i opuszczenia.

Wiele par oczu, które od dawna zakrył już grób, patrzyło na tę ulicę wesoło, po raz pierwszy przeszedłszy wrota Marshalsea: rozpacz bowiem rzadko kiedy idzie w parze z pierwszym ciosem wymierzonym przez zły los. Człowiek ufa nie wypróbowanym przyjaciom, pamięta, że często ofiarowywali mu się z pomocą, kiedy niczego od nich nie potrzebował. Ma nadzieję (nadzieję, szczęście niedoświadczonych) i jakkolwiek nadzieja ta słabnie po otrzymaniu pierwszego ciosu, po jakimś czasie budzi się jednak to uczucie znowu w jego piersi, zakwita w niej, aż w końcu zwiędnie, zetknąwszy się z rozczarowaniem i zapomnieniem. Jak szybko te same oczy zapadały się w głąb i patrzyły z twarzy wynędzniałej z głodu, zwiędłej z braku słońca, zrozpaczonej w poczuciu, że dla uwięzionego za długi nie ma żadnej nadziei odzyskania wolności! Dawna surowość prawa złagodniała dzisiaj, ale jeszcze i teraz dzieją się rzeczy, od których serce ścisną się boleśnie!

Przed dwudziestu laty chodnik ten wydeptały stopy pewnej matki i jej dziecięcia, co z nastaniem ranka dzień po dniu przychodzili do wrót więzienia. Czasami po noty bóleści i niedostatku zjawiali się przed bramą o godzinę za wcześniej. Wtedy matka brała dziecko

łagodnie w ramiona i szli na most. Podnosiła wysoko maleństwo, żeby mogło się napatrzeć na błyski wody i odbicie słońca na falach, nacieszyć się miłym widokiem, jaki rzeka przedstawiała o tej godzinie. Ale zwykle zsadzała wkrótce malca na ziemię i chowała twarz w szalu, aby zakryć łzy, które zaciemniały jej wzrok. Nigdy bowiem wyraz zainteresowania ani radości nie pojawił się na mizernej twarzyczce. Wspomnienia dziecka były nieliczne i jednostajne; wszystkie wiązały się z nędzą i nieszczęściem rodziców: jak to godzinami siadywało na kolanach matki, z dzieciennym współczuciem patrząc na jej łzy, jak potem samo szło płakać gdzieś w ciemny kącik. Twarda rzeczywistość tego świata — jego najgorsze prywacje, głód i pragnienie, nędza i niedostatek — wszystko to poznało ono od pierwszego dnia życia i pierwszych błysków świadomości, i chociaż chłopak miał wygląd dziecka, brakowało mu wesołego śmiechu, radości i błyszczących oczu malca...

Ojciec i matka spoglądali na dziecko, a potem na siebie, z niepokojem, który bali się nawet wyrazić słowami. Zdrowy, silny mężczyzna, mogący znieść najcięższą pracę i trudy, ginął w atmosferze więziennej. Delikatna i wątła kobieta upadła pod brzemieniem cierpień moralnych i fizycznych. Malutkie serce dzieciny było złamane.

Nadeszła zima, a z nią tygodnie deszczów i chłodów. Nieszczęśliwa kobieta przeniosła się do nędznego mieszkanka w pobliżu więzienia. I chociaż zmianę tę wywołała rosnąca wciąż nędza, czuła się teraz szczęśliwsza, bo była bliżej niego. Przez dwa miesiące ona i jej mały towarzysz czekali codziennie na otwarcie bramy. Pewnego dnia nie przyszła — pierwszy raz. Nadszedł następny poranek i przyszła — ale sama. Dziecko umarło.

Ludzie, którzy zimno mówią o takiej stracie nieszczęśliwych rodziców, ludzie, którzy pocieszają ich, że dziecko przestało cierpieć, im zaś ubędzie kłopotów — ludzie ci nie rozumieją, czym jest taka strata! Milczące spojrzenie, pełne miłości i oddania, kiedy wszystkie inne oczy się odwróciły — to ostoja, pociecha, ukojenie w najgorszym strapieniu! Nie kupisz go za żadne pieniądze, nie zdobędziesz żadnym wysiłkiem! Dziecina godzinami siadywała u stóp rodziców, trzymając w chudych rączkach ich dłonie i cierpliwie podnosząc ku nim swą twarzyczkę. Patrzyli, jak niemal z dnia na dzień gasnęła im w oczach. I chociaż krótkie jej życie było pełne udreki, teraz zaś przeniesiono ją do miejsca spoczynku i radości, której, mimo że była dzieckiem, nigdy nie zaznała — byli przecież jej rodzicami i strata, jaką ponieśli, głęboko wżarła im się w duszę.

Jasne było dla tych, którzy patrzyli w twarz matki, że i jej troski i nieszczęścia przetnie wkrótce śmierć. Towarzysze więzienni jej męża uciekli przed jego nowym nieszczęściem i zostawili mu na wyłączny użytek małą izdebkę, którą przedtem dzielił z dwoma więźniami. Zamieszkała z nim w tej celce i tak płynęło jej życie — bez nadziei, bez radości.

Pewnego wieczora zemdląca w ramionach męża, zaniósł ją więc do otwartego okna, aby ocuciło ją powietrze. Promienie księżyca oświetliły jej rysy w tak szczególny sposób, że zadrżał pod jej ciężarem jak bezsilne dziecko.

— Posadź mnie, Jurku — powiedziała słabo. Zrobił, co kazała, a usiadłszy przy niej, zakrył twarz rękoma i wybuchnął płaczem.

— To bardzo źle, że cię opuszczam, Jurku — powiedziała. — Ale taka jest wola Boga i musisz się jej poddać przez wzgląd na mnie. O! jakże mu dziękuję, że zabrał naszego malca! Jest szczęśliwy, jest w niebie! Cóż począłby bez matki?

— Nie umrzesz, Mario, nie możesz umierać! — zawołał mąż, zrywając się. Zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, gryząc pięści. Potem siadł przy niej i objąwszy ją

ramieniem ciągnął już o wiele spokojniej: — Uspokój się, najdroższa! Proszę, błagam! Jeszcze będziesz żyła!

— Nie, nie, Jurku! — odpowiedziała umierająca kobieta. — Niech mnie pochowają przy moim kochanym chłopczyku, ale obiecaj mi, że jeżeli kiedykolwiek wyjdiesz z tego straszego miejsca i będziesz bogaty, przeniesiesz nas oboje na jakiś wiejski cmentarz, daleko stąd, bardzo daleko, gdzie będziemy mogli leżeć spokojnie! Drogi Jurku! Obiecaj mi!

— Obiecuję! Obiecuję! — zawołał mężczyzna, rzucając się przed nią na kolana. — Mów do mnie, Mario! Powiedz choć słówko! Spojrzyj na mnie!

Urwał. Ramię, które obejmowało jego szyję, nagle zaczęło sztywnieć. Głębokie westchnienie wyrwało się z piersi nieszczęśliwej, wargi poruszyły się, uśmiech zakwitł na twarzy... Ale wargi te były blade, a uśmiech rozwiął się natychmiast. Był teraz sam na świecie. Tej nocy, w ciszy i samotni swego opuszczonego pokoju nieszczęśliwy człowiek klęczał długo przy zwłokach zmarłej małżonki i wzywał Boga na świadka swojej strasznej przysięgi, że od tej chwili poświęci się cały zemście za śmierć żony i dziecka. Że odtąd do ostatniego tchnienia wszystkie siły poświęci temu tylko celowi. Że zemsta jego będzie straszna. Że nienawiść jego nie umrze i nie osłabnie. Że po całym świecie będzie prześladował swoich krzywdzicieli.

Rozpacz bezgraniczna i namiętność prawie nieludzka dokonały takich strasznych zmian w jego twarzy i całej postaci, że towarzysze niedoli z trudem go poznali nazajutrz, gdy ich mijał. Oczy miał przekrwione i błyszczące, twarz śmiertelnie bladą, a postać zgarbioną jak starzec. W przystępie bólu zagryzł dolną wargę tak mocno, że krew spływała mu po brodzie, barwiąc koszulę i chustkę na szyi. Ani jednej łzy, ani jednej skargi... ale niespokojny wzrok i szybkość, z jaką przemierzał dziedziniec, zdradzały gorączkę, która go pożerała.

Ciało żony musi być natychmiast, bez zwłoki, usunięte z celi. Przyjął wyrok spokojnie i uznał konieczność tego zarządzenia. Prawie wszyscy towarzysze niedoli zebrali się, aby wziąć udział w tej ceremonii. Cofnęli się na widok wdowca. Nieszczęśliwy szybko poszedł naprzód i stanął sam jeden na placyku przy bramie, sprzed której usunął się tłum, tknięty nagle delikatnością.

Jacyś ludzie wnieśli na ramionach prostą trumnę. W tłumie zapanowała śmiertelna cisza, przerywana tylko cichymi lamentami bab i odgłosem kroków niosących trumnę. Doszli do miejsca, gdzie stał wdowiec: zatrzymali się. On położył dłoń na trumnie i machinalnie poprawiwszy całun, dał znak, żeby szli dalej. Klucznicy więzienni zdejmowali kapelusze na widok trumny... za chwilę wielka brama zamknęła się za nią... Spojrzał nie widzącymi oczyma na tłum i upadł bez czucia na ziemię.

Chociaż przez wiele tygodni po tym wypadku dniem i nocą nie opuszczała go gorączka, nie odeszła go świadomość straty, jaką poniósł, nie zapomniał o niej ani na chwilę. Sceny zmieniały się przed jego oczyma, krajobrazy płynęły jakby nieprzerwanym strumieniem, wypadki następowały po wypadkach — wszystko tak szybko jak w obłądnie. Ale wszystko to było w ten czy inny sposób związane z tym, co zajmowało jego umysł. Płynął po wielkim, bezkresnym morzu, nad którym wisiało czerwone jak krew niebo; wzburzone fale wściekle uderzały o boki okrętu. Przed nim pokazał się drugi okręt walczący z nawałnicą; żagle na masztach wisiały w strzępach, po pokładzie uwijały się jakieś postacie, od czasu do czasu fala zmywała którąś z nich w morze. Płynęli gnani wichrem z siłą, której nic nie mogłoby się oprzeć. Wreszcie okręt płynący na przedzie zaczął tonąć. Ze spiętrzonych fal wyrwał się krzyk — przejmujący krzyk setek tonących, którzy ślepo

walczyli o życie. Krzyk ten głośzył nawet ryk rozwścieczonych żywiołów, zdawało się, że przenikał niebo i wody. Ale co to? Jakaś biała głowa z twarzą wykrzywioną bólem unosi się nad falami i rozpaczliwie woła o pomoc. Jedno spojrzenie — i nasz bohater rzuca się z okrętu, i płynie do tonącego. Już dopływa. Już jest przy nim. To rysy tamtego! Stary widzi zbliżającą się pomoc i błagalnie wyciąga ramiona. Ale on chwytą go mocno i wpycha w wodę. Niech tonie! Niech tonie! Niech sto razy tonie! Stary walczy coraz słabiej... Nie żyje... Zabił go! Dotrzymał przysięgi!

Sypkie piaski bezkresnej pustyni. Idzie boso, sam. Piasek zasypuje go i oślepia. Delikatne drobne ziarenka zatykają mu pory skóry. Drażni go to do szaleństwa. Olbrzymie masy piasku, nagromadzone przez wiatr i oświetlone palącym słońcem, piętrzą się przed nim jak płomienie kolumny. Kości ludzi, którzy znaleźli śmierć w tej pustyni, leżą pod nogami. Wszystko oświetlone jest jakimś dziwnym blaskiem. Dokąd wzrok jego sięga — nic, tylko obrazy śmierci i grozy... Na próżno chce krzyżeć... język przysechł mu do podniebienia. Na wpół oszalały biegnie przed siebie, czując w sobie jakąś nadprzyrodzoną siłę, przedziera się przez piaski, aż wyczerpany pragnieniem i zmęczeniem rzuca się na ziemię. Dziwny chłód orzeźwia go. Co to za szmer?! Woda! Tak, woda! Jasny strumyk płynie u jego stóp. Pije chciwie i upadłszy na brzeg, z rozkoszą wyprostowuje nogi. Podniósł go odgłos zbliżających się kroków. Stary, siwowłosy człowiek zbliża się do niego. Chce zaspokoić pragnienie. Znowu on! Otacza ramieniem ciało starego, zatrzymuje go. Ten wrywa się, błaga o wodę, o jedną kroplę wody! To uratuje mu życie! Ale on mocno trzyma starego i patrzy na jego powolne konanie. A kiedy martwe ciało opadło mu na piersi, odpycha je nogą.

Gdy opuściła go gorączka i wróciła przytomność, obudził się bogaty i wolny. Dowiedział się, że ojciec, który chciał pozwolić mu umrzeć w więzieniu, który pozwolił umrzeć najdroższemu mu istotom, umrzeć z nędzy i rozpacz, na które medycyna nie zna lekarstwa — ojciec ten umarł. Znalaziono go pewnego dnia o świcie w łóżku. Zrobił wszystko, co mógł, by syn jego stał się żebrakiem, ale dufny w swoje zdrowie i siły, aż do ostatniej chwili, nie napisał aktu wydziedziczenia, a teraz może zgrzyta na tamtym świecie zębami ze złości, wiedząc, że całe jego bogactwo przeszło na syna. Więzień obudził się, żeby to usłyszeć... obudził i dla czegoś więcej: żeby pamiętać, dlaczego żyje, żeby pamiętać, że wrogiem był rodzony ojciec jego żony — człowiek ten wpakował go do więzienia, a kiedy córka i wnuczek na klęczkach błagali go o litość, wyrzucił ich za drzwi! Och, jakże gardził swoją słabością, która nie pozwoliła natychmiast spełnić zemsty!

Kazał się zawieźć z miejsca swojej udręki do cichej miejscowości nad morzem. Nie w nadziei, że odzyska spokój i równowagę ducha, gdyż obie te rzeczy przestały być mu dostępne, ale żeby odzyskać siły i móc myśleć o swoich ukochanych. I tu jakiś zły duch podsunął mu sposobność do wykonania najgorszej, najokrutniejszej zemsty.

Było lato. Pogrążony w smutnych myślach, wychodził nad wieczorem ze swego samotnego mieszkania i wędrując wąską ścieżyną nad urwiskiem, szedł ku skale, która najbardziej odpowiadała stanowi jego ducha. Tam ukrywając twarz w dłoniach, siedział godzinami, czasami aż noc zapadła zupełnie, a długie cienie skał nad jego głową pograżały wszystko w ciemności.

Pewnego wieczora siedział również na swojej ulubionej skale. Od czasu do czasu podnosił głowę, żeby spojrzeć na mewę lub utkwic wzrok w szkarłatnej ścieżce, która, zdawało się, miała swój początek na środku oceanu, a kończyła się tam, gdzie słońce zachodziło... Nagle ciszę przerwał rozpaczliwy krzyk. Nasłuchiwał, czy się nie myli...

krzyk powtórzył się, jeszcze bardziej rozpaczliwy — zerwał się na równe nogi i pobiegł w kierunku, skąd go krzyk dochodził.

Sprawa była jasna: na brzegu leżała garstka odzieży, w niewielkiej odległości od niego sterczała nad falami głowa ludzka... Jakiś stary człowiek wyrывая sobie włosy z głowy biegał po brzegu. Chory, któremu wróciły już siły, zrzucił surdut i pobiegł w stronę morza, mając zamiar skoczyć do wody i ratować tonącego.

— Na litość boską, prędzej, panie! Na pomoc! Na pomoc! Mój syn! Mój jedyny syn! — zawołał starzec rozpaczliwie, biegnąc ku niemu. — Jedyny mój syn umiera w moich oczach!

Usłyszawszy głos starca, nieznajomy zatrzymał się i stanął, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

— Wielki Boże! — zawołał stary człowiek, cofając się — Heyling!

Tamten uśmiechnął się milcząco.

— Heyling! — wołał stary. — Mój drogi! Mój najdroższy! Spójrz! Popatrz! — Nieszczęśliwy ojciec z trudem chwycił powietrze i pokazywał miejsce, gdzie młodzieniec ostatkiem sił walczył o życie.

— Boże! — wołał starzec. — Jeszcze krzyczy! Jeszcze żyje! Heyling! Wyratuj go! Tamten uśmiechnął się znów i stał nieruchomo jak posąg.

— Skrzywdziłem cię! — wołał starzec, padając na kolana i składając ręce. — Zemścij się! Weź moje życie! Zepchnij mnie do wody i jeżeli człowiek może nie walczyć o życie, umrę, nie poruszywszy nogą ani ręką. Zrób to, Heyling, ale nie daj zginać memu chłopcu. Nie pozwól, żeby umarł tak młodo, Heyling!

— Słuchaj — zawołał Heyling, chwytając starca za piersi. — Chcę życie za życie — teraz mogę je wziąć! Dziecię moje umarło w oczach ojca, śmierć jego była o wiele boleśniejsza od śmierci tego młodego potwarzy, który nie wahał się skrzywdzić swojej siostry! Śmiałeś się w oczy swojej córce, kiedy... a teraz, kiedy śmierć dotyka ciebie — cierp! Coś myślał wtedy? — Patrz! Patrz! Napatrz się teraz!

Tu wskazał na morze. Słaby krzyk nad powierzchnią wody. Ostatni rozpaczliwy wysiłek tonącego... fale poruszyły się... i miejsce, w którym zniknął tonący, wyglądało się tak, że trudno było poznać nawet, gdzie się to stało...

W trzy lata później prywatny powóz zatrzymał się przed drzwiami adwokata, który w tych czasach nie cieszył się opinią zbyt skrupulatnego w interesach. Z karety lekkim krokiem wysiadł jakiś gentleman i oznajmił, że chce się widzieć z adwokatem w bardzo ważnej sprawie prywatnej. Chociaż widać było wyraźnie, że nie przeszedł jeszcze wiosny życia, twarz miał bladą, ponurą i smutną. I nie trzeba było przenikliwego wzroku businessmana, aby poznać od razu, że choroby i zmartwienia dokonały większych zmian w jego obliczu, niż mogłyby uczynić lata.

— Chciałbym, żeby pan przeprowadził dla mnie pewien interes — zaczął nowo przybyły. Adwokat skłonił się uniesieniem i spojrzał na wielki pakiet, który przybysz trzymał pod pachą. Gość zauważył to spojrzenie i powiedział:

— Nie jest to zwykła sprawa, a papiery te zdobyłem po wielkich trudach i staraniach. Adwokat znów z niepokojem spojrzał na pakiet. Gość z wolna rozwiązał sznurek, którym obwiązany był pakiet, i zaczął wyciągać rozmaite kwity, zobowiązania oraz kopie innych dokumentów.

— Człowiek, którego nazwisko jest tu wymienione, pożyczył kiedyś na te kwity wielkie sumy pieniędzy. Było to przed kilku laty. Między nim a człowiekiem, od którego pieniądze te pochodziły (a od którego odkupiłem kwity te za sumę trzy lub czterokrotnie

przewyższającą ich wartość), zapadła umowa, że kwity te będą co jakiś czas odnawiane, dopóki nie wygaśnie termin płatności. To nie jest jednak nigdzie wyszczególnione. W ostatnich czasach człowiek ten poniósł wielkie straty. Jeżeli przedstawi mu się od razu te kwity — zbankrutuje.

— Suma sięga wielu tysięcy funtów — powiedział adwokat, rzuciwszy okiem na dokumenty.

— Tak — odparł klient.

— Jakie pan ma plany? — spytał adwokat.

— Plany! — zawołał nieznajomy. — Mam zamiar zastosować każdą ustawę, użyć każdego kruczka, jaki chytróść zdolna jest wymyślić, a łotrostwo w czyn wprowadzić. Uciec się do środków zarówno godnych, jak niegodnych, do najsurowszego prawa komentowanego przez najsprytniejszych specjalistów. Chciałbym, żeby umierał jak ostatni nędzarz i żebrak. Chcę go zrujnować, sprzedać jego majątności, pozbawić domu i dachu nad głową; niech spędzi stare lata w więzieniu i umrze jak pies!

— Ale koszty, kochany panie, koszty tego wszystkiego — powiedział adwokat, otrząsnąwszy się ze zdumienia. — Jeżeli pozywający jest kimś podstawionym, kto będzie płacił?

— Żądaj pan, ile chcesz — powiedział przybysz. Ręce tak mu drżały ze wzruszenia, że z trudem trzymał pakiet. — Żądaj pan, ile chcesz. Nie bój się pan wymienić sumy. Zrozum, człowieku, że nie będę uważał jej za wygórowaną, jeżeli osiągniesz cel!

Adwokat wymienił sporą sumę, na chybił trafił, jako zaliczkę, którą musi pobrać na wypadek ewentualnych strat. Bardziej zresztą chodziło mu o to, żeby się przekonać, jak daleko sięga hojność klienta, niżby otrzymać to, czego żądał. Przybysz wypisał bez słowa czek na całą sumę i wyszedł...

Było to królewskie wynagrodzenie i adwokat przekonawszy się, że można zaufać dziwnemu klientowi, zabrał się poważnie do pracy. Od tego dnia pan Heyling przez dwa blisko lata był codziennym gościem w kancelarii adwokata... Wertował papiery, w miarę jak napływały; czytał je starannie; oczy błyszczały mu z zadowolenia, gdy piszący list błagał o zwłokę, przedkładał, że czeka go nieodwołalna ruina, jeżeli przeciwnicy nie zechcą się ułożyć. Na wszystkie błaganie o trochę wyrozumienia otrzymywał jedną odpowiedź: trzeba płacić. Ziemia, domy, meble — wszystko poszło na wyegzekwowanie licznych pretensji, które stopniowo napływały. A starzec dostałby się do więzienia za długi, gdyby nie udało mu się zmylić czujności policji i uciec.

Nieubłagana nienawiść Heylinga, bynajmniej nie zaspokojona rezultatem dotychczasowej akcji, wzrastała, w miarę jak postępowała ruina jego wroga. Kiedy dowiedział się o ucieczce starego, wściekłość jego nie miała granic. Zgrzytał zębami z gniewu, wrywał sobie włosy i wymyślał tym, którzy mieli czuwać nad starym. Uspokajał się tylko, gdy mu obiecywano ujęcie zbiega. Rozesłano szpiegów we wszystkich kierunkach. Zastosowano wszystkie środki, jakie tylko się nasunęły. Na próżno. Upłynęło pół roku, a stary się nie odnalazł.

Wreszcie kiedyś późną nocą Heyling, którego nie widziano od kilku tygodni, zjawił się nagle w prywatnym mieszkaniu adwokata i kazał mu powiedzieć, że jakiś gentleman ma do niego bardzo pilny interes. Zanim adwokat, który poznał jego głos, zdążył polecić służącej, by poprosiła pana Heylinga, ten wbiegł po schodach i zjawił się w salonie, błądy i zdyszany. Zamknąwszy drzwi, by nikt nie podsłuchał ich rozmowy, upadł na krzesło i powiedział cichym głosem:

— Cicho! Znalazłem go!

— No? — powiedział adwokat. — Doskonale, kochany panie! Doskonale!

— Ukrył się w nędznym mieszkaniu w Campden Town — powiedział Heyling. — Może to dobrze, żeśmy na jakiś czas stracili go z oczu, bo mieszkał tam sam... Samiuteńki, w nędzy! Jest biedny! Bardzo biedny!

— Doskonale — powiedział adwokat. — Oczywiście każe go pan jutro aresztować?

— Tak! — odrzekł Heyling. — Nie! Pojutrze! Pan dziwi się, że odkładam — dodał. — Ale coś sobie przypomniałem. Pojutrze przypada ważna rocznica w jego życiu... niech będzie pojutrze.

— Doskonale! — powiedział adwokat. — Może napiszemy instrukcję dla oficerów policji?

— Nie. Każ mu pan przyjść tu o ósmej wieczorem. Sam z nim pójde.

Spotkali się o umówionej porze. Wsiadli do dorożki i kazali się wieźć na róg Pancras Road, przy której stoi parafialny dom pracy. Już się ściemniło, zanim dojechali. Idąc wzdłuż ślepego muru przy szpitalu weterynaryjnym weszli w małą boczną uliczkę, która w owym czasie nazywała się Małą Kolegialną i która wówczas była zupełnie pusta, otoczona tylko parkanami i placami.

Naciągnawszy na twarz kaptur płaszcza, Heyling zatrzymał się przed najlichszym domkiem i ostrożnie zastukał do drzwi. Natychmiast otworzyła je jakaś stara kobieta. Heyling szepnął do oficera, żeby poczekał na ulicy, i ostrożnie wdrapał się po schodach. Otworzył drzwi frontowego pokoju i wszedł.

Przedmiot jego poszukiwań, nie ustającej nigdy nienawiści, teraz zgarbiony, stary człowiek, siedział przy odrapanym stole, na którym paliła się nędzna świeca. Drgnął na dźwięk otwierających się drzwi i wstał.

— Co jeszcze! Co jeszcze? Jakież jeszcze nieszczęście? — spytał stary. — Czego pan tu chce?

— Słótko zamienić z panem — odpowiedział Heyling. To mówiąc usiadł po przeciwnej stronie stołu i odrzucił kaptur z twarzy.

Staremu jakby odebrało mowę. Opadł na krzesło, splótł ręce i patrzył na przybysza wzrokiem, w którym był strach i groza.

— Akurat przed sześciu laty — zaczął Heyling — upomniałem się o życie, któreś mi pan był winien za życie mojego dziecka. Nad zwłokami pańskiej córki przysięgłem żyć po to, aby się zemścić. Ani na chwilę nie sprzeniewierzyłem się swojej przysiędze. Ale gdybym nawet osłabł, to jedno wspomnienie zboliałych, cichych oczu, gdy umierała, lub wspomnienie wygłodzonej twarzyczki mojego dziecka dodałoby mi nowego bodźca. Pamięta pan chyba pierwszy akt mojej zemsty; dziś nadszedł ostatni. Starzec zadrżał i ramiona opadły mu bezwładnie.

— Jutro opuszczam Anglię — ciągnął Heyling. — Dziś skazuję pana na śmierć za życia — na co pan skazał ją — na bezterminowe więzienie.

Podniósł oczy na twarz starego i umilkł. Potem poświecił mu w twarz, ostrożnie opuścił świecę i wyszedł z pokoju.

— Niech pani pójdzie do starego — powiedział do kobiety, która otworzyła mu drzwi. Potem dał znak oficerowi, żeby z nim wyszedł na ulicę. — Zdaje się, że jest chory.

Stara zamknęła drzwi i szybko pobiegła na górę. Starzec nie żył:

* * *

Pod wielką płytą mogilną, na jednym z najcichszych i najbardziej ustronnych cmentarzy w hrabstwie Kent, na którym bujne kwiaty mieszają się z trawą, tworząc jeden z najpiękniejszych ogrodów w Anglii, spoczywają kości młodej matki i jej miłego dziecka. Ale popioły ojca nie połączyły się z ich popiołami. Od opisanej powyżej nocy adwokat nigdy w życiu nie otrzymał już znaku od swego dziwaczного klienta.

Skończywszy mówić, stary jegomość poszedł zdecydowanym krokiem do wieszadła w kącie pokoju i włożył kapelusz i płaszcz. Potem nie mówiąc słowa, wyszedł. Ponieważ gentleman w mozaikowych spinkach usnął, a większość towarzystwa była zaabsorbowana wesołą czynnością, jaką jest kąpienie roztopionego łożu do szklanek z grogiem, pan Pickwick wycofał się niepostrzeżenie i zapłaciwszy rachunek za siebie i za Sama Wellera, wyszedł w towarzystwie tego gentlemana z gospody „Pod Sroką i Ogarkiem”.

Rozdział dwudziesty drugi

Dzień pana Pickwicka w Ipswich i romantyczna przygoda z damą w średnim wieku i żółtych papilotach

— Czy to są ruchomości twego gubernatora? — zapytał Weller swego syna na trzeci dzień po przytoczonej poprzednio rozmowie, gdy Sam z kufrem i torbą zjawił się na dziedzińcu oberży „Pod Bykiem” w Whitechapel.

— Jakiś ty domyślny! — odparł pan Weller młodszy, składając swe brzemie i siadając na nim. — Gubernator zaraz tu przybędzie.

— Zapewne dorożką? — odrzekł ojciec.

— A tak! Za osiem pensów może przecież kupić sobie to, że go dwie mile trząść będą bezlitośnie — odparł syn. — Jak się ma macocha?

— Szczególnie, Sammy, szczególnie — odrzekł Weller poważnie. — Niedawno zabrnęła pomiędzy metodystów i stała się diabelnie pobożna. To istota zanadto dobra dla mnie. Czuję, że nie jestem jej godzien.

— Ha! — zawołał Sam. — Zbyt wielka skromność z twojej strony.

— Tak jest! — odparł ojciec, westchnąwszy. — Zajmuje się teraz jakimś nowym wynalazkiem: dorośli ludzie rodzą się niby drugi raz. Zdaje mi się, że nazywa to nowym życiem. Bardzo bym chciał zobaczyć, Sammy, jak ten wynalazek funkcjonuje. Bo gdyby twoja macocha naprawdę na nowo się narodziła, zaraz oddałbym ją do mamki. Wiesz, co one zrobiły niedawno? — ciągnął pan Weller po chwili milczenia, przykładając wielokrotnie palec do nosa — wiesz, co one zrobiły niedawno?

— Nie wiem; a co? — odparł Sam.

— Urządziły uroczystą herbatkę. Raz staję przed naszą oberżą i widzę małą kartkę z napisem: „Bilety po dwa szylingi, zgłaszać się do komitetu. Pani Weller, sekretarz”. Wchodzę do domu. Komitet zasiada w pokoju od dziedzińca.

Czternaście kobiet! Chciałbym, żebyś je usłyszał, Sammy! Wydawały zarządzenia, uchwały podatkowe, kontrybucje i tym podobne bzdury. Dobrze. Macocha twoja namawiała mię, bym poszedł na posiedzenie; poszedłem licząc na to, że zobaczę coś śmiesznego. Płacę za bilet. W piątek o szóstej wieczorem wybieram się z żoną, ubrawszy się galanto.

Przychodzimy na pierwsze piętro; tam przygotowano filiżanek na jakieś trzydzieści osób. Gromada kobiet poczyną szeptać spoglądając na mnie, jak gdyby nigdy dotąd nie widziały gentlemana w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat i odpowiedniej tuszy. Wtem słyszę wielki ruch na schodach. Ukazuje się chudy, długi jegomość z czerwonym nosem, w białej chustce na szyi i wyśpiewuje: — Oto idzie pasterz odwiedzić swą wierną trzodę. — Następnie zjawia się jegomość tłusty, biały i uśmiecha się jak mała. — Pocałunek pokoju — powiada pasterz i całuje wszystkie kobiety po kolei. Gdy skończył, zaczyna to samo czerwono nosy. Wtedy przychodzi mi na myśl, że i ja mogę zrobić to samo, zwłaszcza że koło mnie siedzi dama szczególnie przystojna. Ale wtem zjawia się herbata i twoja macocha, która dotąd była zajęta na dole jej przyrządzaniem. Więc zaczęto śpiewać hymn, a potem pić i jeść; ale jak pić i jeść! Chciałbym, byś widział, jak pasterz obrabiał szynkę i ciasta. Czerwono nosy także nie był z tych, których chciałbyś mieć na wikie za ileś tam na miesiąc. Dobrze. Załatwiwszy się z pożywieniem, znowu beczą hymn, potem pasterz zaczyna kazanie. Kazanie piękne, zważywszy zwłaszcza, iż miał już niewątpliwie

początki niestrawności po szynce i ciastach. Wtem zatrzymuje się, ryczy: Gdzie jest grzesznik? Gdzie jest nędzny grzesznik? — Wszystkie kobiety spoglądają na mnie i poczynają wzdychać. To wydało mi się dziwne, ale jeszcze nic nie mówiłem. Po chwili kaznodzieja zatrzymuje się znów, wpatruje się we mnie i mówi: Gdzie jest grzesznik? Gdzie jest nędzny grzesznik? — Kobiety zaczynają znów wzdychać, tylko dziesięć razy głośniej. Mnie zaczyna już trochę rozpierać oburzenie, robię więc parę kroków naprzód i mówię: — Mój przyjacielu, czy to do mnie stosujesz tę obserwację? — A on zamiast przeprosić mnie, jak to się praktykuje między gentlemanami, staje się jeszcze bardziej bezczelny. Nazywa mnie naczyniem, Sammy, naczyniem zatracenia i jakoś tam jeszcze, tak że aż krew się we mnie całkiem wzburzyła. Wydzielam mu wtedy dwa czy trzy szturchańce, tyleż z drugiej strony czerwono-nosemu, potem wynoszę się. Wtedy to chciałbym, byś słyszał wrzaski kobiet, Sammy, gdy wyciągały pasterza spod stołu... — Ale oto i gubernator we własnej osobie.

Rzeczywiście pan Pickwick wysiadł z powozu i wchodził na podwórze.

— Piękny poranek, panie — powiedział pan Weller starszy.

— Bardzo piękny! — odparł pan Pickwick.

— Rzeczywiście bardzo piękny — dodał jakiś rudowłosy jegomość z wścibskim nosem i niebieskimi okularami. Wygramolił się z powozu jednocześnie z panem Pickwickiem. — Pan jedzie do Ipswich?

— Jadę — odpowiedział pan Pickwick.

— Szczególny zbieg okoliczności. Ja również tam jadę!

Pan Pickwick uklonił się.

— Ma pan miejsce na zewnątrz?

Pan Pickwick skłonił się znów.

— Boże wielki! To szczególne! Ja także mam miejsce na imperiale — powiedział czerwonowłosy jegomość, który miał minę ważnego, sprytnego, tajemniczego człowieka (miał również zwyczaj mówiąc pochylać głowę, jak to robią ptaki), uśmiechnął się, jak gdyby udało mu się zrobić odkrycie, które uszczęśliwi cały świat.

— Miło mi, że będę w towarzystwie pana — powiedział pan Pickwick.

— A! — zawołał nowo przybyły. — To doskonale się składa dla nas obu, prawda? Towarzystwo, widzi pan, towarzystwo to... to rzecz zupełnie odmienna od samotności, prawda?

— Jest to prawda, której niepodobna zaprzeczyć — powiedział pan Weller, mieszając się do rozmowy z miłym uśmiechem. — Nazywam to jasnym postawieniem kwestii, jak powiedział hycel, kiedy kucharka zarzuciła mu, że nie jest gentlemanem.

— A! — powiedział czerwonowłosy gentleman, przyglądając się Wellerowi od stóp do głowy. — Czy to pański przyjaciel?

— Właściwie nie — powiedział pan Pickwick przyciszonym głosem. — To mój służący, ale pozwalam mu na pewną swobodę w zachowaniu. Mówiąc między nami, to wielki oryginał i dumny jestem z niego.

— A! — powiedział czerwonowłosy gentleman. — To rzecz gustu... Ja osobiście nie lubię nic oryginalnego. Nie widzę po prostu potrzeby, by istniało coś oryginalnego. Pozwól pan, że zapytam o nazwisko?

— Oto mój bilet wizytowy — odpowiedział filozof, którego poczyniała bawić wścibskość nieznanego.

— A! — rzekł rudowłosy, chowając bilet — pan Pickwick. Bardzo mi miło. A to mój bilet, panie. Nazywam się Magnus. Prawda, że to piękne nazwisko?

— Bardzo piękne — odrzekł pan Pickwick, tłumiąc śmiech.
— A przy tym mam i imię bardzo piękne: Piotr, Piotr Magnus. To dźwięczy pięknie.
— Bardzo pięknie.
— Szczególne są zwłaszcza litery początkowe: P. M, *post meridiem*. Gdy się śpieszę, podpisuję się nieraz na listach do dobrych znajomych po prostu „popołudnie”. To bardzo bawi moich znajomych.

Wtem wszedł stajenny z oznajmieniem, że dyliżans gotów.

— A rzeczy moje już włożone? — zapytał pan Magnus.

— Włożone, panie.

— I czerwona torba?

— I torba, panie.

— I druga torba, w pasy?

— Jest w walizie.

— I paczka w szarym papierze?

— Pod kozłem.

— I skórzane pudło na kapelusze?

— I to jest.

— Więc siadaj pan — rzekł pan Pickwick.

— Za pozwoleniem pana — powiedział pan Magnus — za pozwoleniem pana, panie Pickwick! Nie mogę wyjechać w tym stanie niepewności! Z zachowania się tego człowieka wnioskuje, że pudła nie ma w powozie!

Solenne zapewnienia oberżysty nie zyskały wiary u pana Magnusa, musiano wyciągnąć skórzane pudło spod wszystkich pakunków i dopiero wtedy przekonał się, że rzeczywiście zostało włożone do wozu. Kiedy już się upewnił co do losu swego nakrycia głowy, ogarnęły go nagle złe przeczucia, że zapomniano o czerwonej torbie, następnie, że ukradziono pasiastą torbę, a wreszcie, że paczka w szarym papierze rozwiązała się. W końcu, kiedy się naocznie przekonał o bezpodstawności każdego ze swych przypuszczeń, zgodził się wleźć na imperial, przy czym oznajmił, że teraz, kiedy wszystko już w porządku, czuje się zadowolony i szczęśliwy.

— Trochę pan nerwowy, co? — spytał pan Weller senior patrząc, jak pan Magnus gramoli się na dach dyliżansu.

— Tak... zawsze boję się o drobiazgi... Ale teraz jest mi już dobrze... zupełnie dobrze!

— To całe szczęście — odrzekł pan Weller. — Sammy, dopomóż swemu panu wsiąść! Drugą nogą, panie, tak! Teraz podaj mi pan rękę! Hop! Musiałeś pan być lżejszy, gdyś był przy piersi u matki!

— To bardzo prawdopodobne! — wesoło powiedział pan Pickwick, siadając.

— Skacz na kozioł, Sammy — powiedział Weller. — No, William, otwieraj! Uwaga na sklepienie, panowie! Na głowy, jak się to mówi! Starczy, William! — i dyliżans ruszył w kierunku Whitechapel, ku radości całej gawiedzi tej gęsto zaludnionej dzielnicy.

— Niezbyt miłe sąsiedztwo — powiedział Sam, dotykając ręką kapelusza, od czego zwykle zaczynał rozmowę ze swoim panem.

— Rzeczywiście, Samie! — powiedział pan Pickwick, patrząc na ciasne i ruchliwe uliczki, którymi przejeżdżali.

— Dziwne to, proszę pana — ciągnął Sam — że nędza i ostrygi zawsze idą w parze.

— Nie rozumiem cię, Sam! — powiedział pan Pickwick.

— Chcę powiedzieć, proszę pana — tłumaczył się Sam — że im biedniejsza dzielnica, tym większe wydaje się zapotrzebowanie na ostrygi. Proszę, niech pan spojrzy. Prawie w

każdym domu stragan z ostrygami. Ulica jest formalnie zapchana nimi. Mam wrażenie, że kiedy nędza bardzo dokuczy komu, to wybiega on z mieszkania i z rozpaczą objada się ostrygami.

— Oczywiście — powiedział Weller starszy. — Tak samo jest z marynowanym łososiem.

— To bardzo ciekawe fakty. Nigdy nie zauważyłem ich dotąd — powiedział pan Pickwick. — Na pierwszym postoju zaraz to sobie zanotuję.

Tymczasem dojechali do rogatki przy Mile End. Przez dalsze dwie czy trzy mile panowała głęboka cisza, po czym pan Weller starszy, odwracając się do pana Pickwicka, powiedział:

— A taki szczupak to dobrze sobie żyje.

— Kto? — spytał pan Pickwick.

— Szczupak.

— Co pan rozumie przez słowo szczupak? — zapytał Piotr Magnus.

— Stary mówi o wartowniku przy rogatce — wyjaśnił Weller młodszy.

— A! rozumiem! — powiedział pan Pickwick. — Bardzo ciekawe życie. Bardzo urozmaicone! Bardzo wygodne!

— Wszystko to są ludzie zniechęceni do życia — powiedział pan Weller senior.

— A? — spytał pan Pickwick.

— Tak jest. Odsunęli się od świata i żyją na rogatkach. Trochę dlatego, że szukają samotności, a trochę, żeby mścić się na ludziach przez pobieranie myta.

— Jak Boga kocham! — zawołał pan Pickwick. — Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

— Fakt, proszę pana — powiedział Weller. — Gdyby to byli gentlemani, powiedzielibyśmy, że to mizantropi, ale tak — mówi się po prostu: szczupaki.

Takimi rozmowami, posiadającymi jednocześnie czar rozrywki i pożytku, łagodził pan Weller uciążliwość podróży trwającej większą część dnia. Tematów do rozmowy nigdy nie zabrakło, gdyż jeżeli nawet w elokwencji pana Wellera następowała pauza, natychmiast wypełniały ją gorące domagania się pana Magnusa, który pragnął poznać historię życia wszystkich towarzyszków podróży, przy czym na każdym postoju wyrażał obawę o los dwóch torb, skórzanego pudła na kapelusze i paczki w szarym papierze.

Przy głównej ulicy Ipswich, po lewej stronie drogi, parę kroków za otwartym placem przed ratuszem, znajduje się oberża znana szeroko i daleko jako oberża „Pod Wielkim Białym Koniem”. Nad głównymi jej drzwiami mieści się jego ogromny kamienny wizerunek, przedstawiający czworonożne to zwierzę z rozwianą grzywą i ogonem, podobne nieco do piwowarskiego konia, który dostał pomieszania zmysłów. Oberża ta słynna jest z tego, z czego słynie jakiś nagrodzony na wystawie wół albo zapisany w historii okolicy burak, albo olbrzymi wieprz — mianowicie ze swej potwornej wielkości. Posiada ona cały labirynt korytarzy i mnóstwo pokoi, wilgotnych i źle oświetlonych, tudzież taką samą ilość małych gabinetów. Tu właśnie zatrzymał się dyliżans i tu wysiedli pan Pickwick, Sam i pan Piotr Magnus.

— Czy pan zatrzyma się tu? — zapytał pan Magnus filozofa, zabrawszy wszystkie swe rzeczy.

— Tak jest, panie.

— Boże wielki! — zawołał pan Magnus. — Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się coś równie dziwnego! Ja także tu się zatrzymam. Spodziewam się, że będziemy razem jedli obiad?

— Z przyjemnością! Ale przedtem muszę się dowiedzieć, czy nie ma tu moich przyjaciół. Garson — czy nie ma tu gentlemana nazwiskiem Tupman?

Korpulentny jegomość z serwetką sprzed tygodnia pod pachą i w pończochach z tej samej epoki na nogach, nie śpiesząc się, przerwał swoje zajęcie, które można by określić jako gapienie się na ulicę, i zwrócił się do pana Pickwicka. Przez chwilę przyglądał się gentlemanowi od stóp do głowy, po czym powiedział z emfazą:

— Nie.

— Ani gentlemiana nazwiskiem Snodgrass? — pytał pan Pickwick.

— Nie.

— Ani pana Winkle'a?

— Nie.

— Przyjaciele moi jeszcze nie przyjechali — powiedział pan Pickwick. — Będziemy więc jedli obiad we dwóch. Proszę wskazać nam osobny pokój.

Na to uprzejme żądanie korpulentny człowiek kazał posługaczom wnieść bagaże gentlemanów, a minąwszy długi i ciemny korytarz, wprowadził ich do wielkiego, paskudnie umeblowanego pokoju, w którym mały ogienek na kominku robił bohaterskie wysiłki, by być wesołym, lecz tlił się zaledwie, poddając się smutkowi otoczenia. Po godzinie podano podróżnym kawałek ryby i porcję wołowiny, a gdy sprzątnięto ze stołu, pan Pickwick i pan Magnus przysunęli sobie krzesła do kominka i dla dogodzenia oberżycie zamówili butelkę porto, najgorszego, jakie kiedykolwiek pili, ale za to za najwyższą cenę, jaką kiedykolwiek zapłacili — a dla dogodzenia sobie uraczyli się grogiem.

Pan Magnus z natury był bardzo rozmowny, wpływ grogu zaś tak nań podziałał, że wypowiedział wszystko, co miał na sercu. Nagadawszy się o sobie, swej rodzinie, stosunkach, przyjaciółach i interesach, pan Magnus przez kilka minut wpatrywał się w milczeniu w twarz pana Pickwicka, a potem zapytał wstydliwie:

— A teraz, jak pan myśli, po co tu przyjechałem?

— Daję panu słowo, iż nie potrafię tego odgadnąć; zapewne w jakimś interesie.

— Odgadł pan, ale niezupełnie. No, próbuj pan dalej!

— Wybacz pan, ale doprawdy, że nie potrafię, choćbym myślał całą noc.

— No, no! Chi, chi! — zaśmiał się pan Magnus — co pan powie na to, gdy mu wyjawię, iż przyjechałem oświadczyć się pewnej damie! Chi! chi! chi! Co?

— Odpowiem — odrzekł nasz przyjaciel z najśłodszymszym uśmiechem — odpowiem, iż prawdopodobnie powiesz się panu.

— O! Panie Pickwick! Czy doprawdy pan tak myśli?

— Tak myślę.

— E! Żartuje pan!

— Nie, nie żartuję!

— Otóż powiem panu w sekrecie, iż i mnie się tak zdaje. Nawet powiem panu, chociaż jestem zazdrosny jak tygrys, że dama znajduje się tu, w tej oberży. — To mówiąc, pan Magnus zdjął swoje szafirowe okulary, by mrugnąć okiem, po czym znowu je włożył.

— Więc dlatego — rzekł pan Pickwick z uśmiechem — wybiegał pan co chwila podczas obiadu?

— Ts!... Dlatego. Ale niegłupim iść do niej teraz.

— A to czemu?

— Nie można tak zaraz. Jutro będę miał więcej szans. W torbie podróżnej mam ubranie, a w pudle kapelusz, które, spodziewam się, sprawią wielki efekt.

— O!

— Tak, tak, panie. Nie wierzę, by kto mógł mieć taki frak i taki kapelusz!

Nastąpiło milczenie, pan Magnus pograżył się w zadumie. Po chwili powiedział:

— To cudna istota! Mieszka osiemnaście mil stąd. Dowiedziałem się, że tu dziś przybędzie, i natychmiast postanowiłem skorzystać z tej okoliczności... Moim zdaniem, oberża jest bardzo odpowiednim miejscem, by niezamężnej kobiecie zrobić propozycję małżeńską. W czasie podróży kobieta bardziej odczuwa swe osamotnienie niż u siebie w domu. Co pan o tym myśli?

— Myślę, że to bardzo możliwe — odparł zapytany.

— Ale proszę mi wybaczyć — rzekł pan Magnus. — Z natury jestem bardzo ciekawy; po co pan tu przyjechał?

Rumieniec wystąpił na twarz pana Pickwicka.

— Powód mego tu przybycia — odpowiedział — wcale nie jest przyjemny. Przybyłem tu, by wykazać przewrotność i fałszywość osoby, w której honorze pokładałem całe zaufanie.

— Ach! To niemiła rzecz! To pewno dama! A, a! Łotrzyk z pana! Łotrzyk! Ale nie oddawaj się pan rozpacz. Ja wiem, co to znaczy być zdradzonym; zdarzyło mi się to już kilka razy.

— Dziękuję panu za współczucie w sprawie, którą uważa pan za przyczynę mego wzburzenia — odrzekł filozof, kładąc swój zegarek na stole — ale...

— Nie, nie mówmy o tych przykrych rzeczach — przerwał pan Magnus, a potem spojrzawszy na zegarek, zawołał: — Boże! Już po północy! A ja jeszcze nie śpię! Jutro będę blade wyglądać! Która godzina u pana, panie Pickwick?

— Po dwunastej.

Przerażony tym, pan Magnus zadzwonił na służącą. Gdy wreszcie torba w pasy, torba czerwona, skórzane pudło na kapelusze i paczka w szarym papierze przetransportowane zostały do sypialni, właściciel ich wziął wykładany laską lichtarz i ruszył aż na koniec domu, a tymczasem pan Pickwick i taki sam lichtarz przeprowadzony został przez cały labirynt pogmatwanych korytarzy w przeciwną stronę oberży.

— Oto jest pokój pana — rzekła służąca.

Była to dość duża sala o dwóch łóżkach, w której palił się ogień — w każdym razie znacznie miłsze miejsce pobytu, niż tego mógł się pan Pickwick spodziewać, sądząc po krótkich doświadczeniach poczynionych „Pod Wielkim Białym Koniem”.

— Rozumie się — rzekł pan Pickwick — że w tym drugim łóżku nikt nie śpi.

— Nikt, panie — odrzekła dziewczyna.

— Bardzo dobrze. Powiedz mojemu służącemu, iż go dziś nie potrzebuję. Jutro rano niech mi przyniesie gorącej wody.

Służąca wyszła, a pan Pickwick usiadł w fotelu i zamyślił się. Najpierw pomyślał o swoich przyjaciółkach — kiedy się z nimi zobaczy? Potem myśli jego pobiegły do pani Marty Bardell. A od tej damy, oczywiście, powędrowały do brudnej kancelarii panów Dodsona i Fogga. Od panów Dodsona i Fogga skoczyły po przekątnej w sam środek historii o dawnym kliencie, potem wróciły „Pod Wielkiego Białego Konia” w Ipswich, co ostatecznie przekonało pana Pickwicka, że zasypia. Wstał więc i począł się rozbierać, ale nagle przypomniał sobie, że zostawił zegarek na stole w jadalni.

Był to ulubiony zegarek pana Pickwicka. Nosił go w zaciszu swojej kamizelki dłużej, niż chcielibyśmy mu to na tym miejscu wypominać. Myśl, że mógłby zasnąć nie słysząc jego tykania pod poduszką lub na pantofelku nad łóżkiem, nigdy nie powstała w jego głowie. Ponieważ było już późno, nie chciał dzwonić na służbę. Narzucił surdut, który zdjął przed chwilą, i wzięwszy lichtarz ostrożnie zaczął schodzić na dół.

Im więcej schodów mijał pan Pickwick, wydawało mu się, że jest ich tym więcej. Za każdym razem, gdy natrafiał na wąski korytarz i wieszował sobie, że jest już na parterze, nowa kondygnacja schodów zjawiała się przed jego zdumionymi oczyma. Wreszcie trafił na kamienną sień — pamiętał, że przez nią wszedł do oberży. Przeszedł jeden korytarz po drugim. Zaglądał do każdego pokoju. Wreszcie, gdy już stracił nadzieję i postanowił dać pokój poszukiwaniom, otworzył drzwi pokoju, w którym spędził wieczór, i ujrzał swoją własność leżącą na stole.

Pan Pickwick triumfalnie schwycił zegarek i puścił się w powrotną drogę do sypialni. Ale jeżeli schodzenie po schodach połączone było z wieloma trudnościami i niepewnością, to wchodzenie po nich było o wiele kłopotliwsze. Całe rzędy drzwi, przed nimi trzewiki rozmaitego autoramentu, wielkości i kształtu, krzyżowały się w rozmaitych kierunkach. Kilkanaście razy pan Pickwick ostrożnie kręcił kluczem we drzwiach do jego drzwi podobnych, ale gdy z wewnątrz odpowiadano: — Ki diabeł? — albo: — Czego? — cofał się na palcach z prawdziwie cudowną szybkością. Już ogarniała go rozpacz, gdy nagle zatrzymał się przy drzwiach na wpół otwartych i zajrzał. Nareszcie! W pokoju stały dwa łóżka — doskonale pamięta ich sytuację! a na kominku tlił się ogień. Świeca — nie była długa, gdy mu ją wręczono — stopniała i zagasła właśnie w chwili, gdy wchodził. — Mniejsza o to — powiedział pan Pickwick. — Mogę się rozebrać przy ogniu kominka!

Łóżka stały na prawo i na lewo od drzwi. Od ściany dzieliło je wąskie przejście, akurat tak szerokie, by można było swobodnie wejść i rozebrać się — jeżeli ktoś wolał tę stronę. Stało tam również trzcinowe krzesło. Zasunawszy starannie firanki łóżka od zewnątrz, pan Pickwick przykucnął na twardym krzeselku i leniwie uwolnił się z trzewików i pończoch. Następnie zdjął surdut, kamizelkę, chustkę na szyję i wyjąwszy ostrożnie szlafmycę wsunął ją sobie na głowę, wiążąc pod brodą tasiemki, które zawsze zdobią tę część garderoby. Podczas tej czynności przypominał sobie swoją wędrówkę po korytarzach i roześmiał się tak serdecznie, że zaiste, miło byłoby każdemu patrzeć, jak uśmiech rozjaśnia jego łagodną twarz wychylającą się ze szlafmycy.

„Co za pomysł! — powiedział pan Pickwick do siebie, śmiejąc się tak, że prawie cały schował się w szlafmycę. — Co za pomysł! Zabłądzić w korytarzach i tłuc się po schodach! Nigdy nie zdarzyło mi się nic podobnego! Zabawne! Strasznie zabawne!” Tu pan Pickwick uśmiechnął się znów i nawet miał zamiar roześmiać się, zaczął się też w najlepszym usposobieniu rozbierać dalej, gdy przerwało mu tę czynność zdarzenie wprost niesłychane. Ni mniej, ni więcej tylko do pokoju weszła jakaś osoba i postawiła na stole świecę.

Śmiech, który wykrzywił usta pana Pickwicka, zamienił się w wyraz największego zdumienia. Osoba weszła do pokoju tak szybko i cicho, że pan Pickwick nie miał czasu krzyknąć, żeby przeszkodzić temu. Kto to mógł być? Złodziej? Ktoś, kto widział, jak szedł po schodach z cennym zegarkiem w rękę? Co tu począć?!

Chcąc śledzić tajemniczego gościa, a samemu nie być przez niego widzianym, musiał pan Pickwick wdrapać się na łóżko i wyrzeć przez szparę w firankach. Zdecydował się na ten manewr. Podtrzymując firanki tak, żeby wystawała tylko głowa w szlafmycy, pan Pickwick nałożył okulary i zebrawszy całą swoją odwagę — wyrzwał.

Omam nie zemdlął z przerażenia. Przed zwierciadłem stała dama w średnim wieku, ozdobiona papilotami z żółtej bibułki, które właśnie doprowadzała do porządku. Ze wszystkiego można było wnosić, że nowo przybyła najspokojniej przygotowuje się do spędzenia nocy w tym samym pokoju! Przyniosła ze sobą świecę z abażurkiem i w obawie

przed pożarem postawiła ją w miednicy napełnionej wodą. Świeca ta błyszczała jak olbrzymia latarnia morska w morzu stosunkowo bardzo małym.

„Niech Bóg ma mnie w swojej opiece! Co za okropność” — pomyślał pan Pickwick.

Dama ruszyła się i w tej samej chwili głowa filozofa z szybkością marionetki skryła się za firanki.

„Nigdy nie słyszałem o tak okropnej awanturze — powiedział sobie w duchu biedny pan Pickwick, którego szlafmyca oblała się zimnym potem. — Nigdy! To coś strasznego!”

Jednak nie mogąc oprzeć się chęci zobaczenia, co się dzieje w pokoju, znowu wysunął głowę zza firanek.

Położenie pogarszało się. Dama w średnim wieku ułożywszy starannie włosy ukryła je pod nocnym czepkiem i poczęła patrzeć na ogień w sposób melancholijny i rozmarzony.

„Tak dłużej być nie może — rozumował sobie pan Pickwick. — Z postępowania tej damy wnoszę, że wszedłem nie do swojego pokoju. Jeżeli przemówię, narobi gwałtu w całym domu; jeżeli pozostanę, skutki mogą być jeszcze straszliwsze”.

Pan Pickwick, nie potrzebujemy tego powtarzać, był jednym z najskromniejszych i najdelikatniejszych śmiertelników. Sama myśl, że tej damie pokaże się w szlafmycy, przypawiła go o dreszcz, ale te przekłete tasiemki splątały się w węzeł, którego za żadną cenę nie mógł teraz rozsupłać. A jednak musiał wyjść z ukrycia! Pozostał mu tylko jeszcze jeden wybieg. Ale tu znalazł, iż trzeba raz stanowczo rozwiązać zawilość. Cofnął się więc za firanki i głośno chrząknął:

— Hm, hm!

Na te niespodziewane dźwięki dama drgnęła, ale wkrótce przyszło jej na myśl, iż nie ma powodu do strachu, i gdy pan Pickwick myśląc, iż co najmniej zemdląca z przerażenia, odważył się spojrzeć zza firanek, dama znowu patrzyła w ogień na kominku, melancholijna i rozmarzona.

„Odważna kobieta” — pomyślał pan Pickwick, cofając głowę.

— Hm, hm! — powtórzył raz jeszcze.

Te ostatnie dźwięki, aż nazbyt podobne do tych, którymi dziki olbrzym Blumberbore, jak mówi bajka, zwykle wyrażał mniemanie, iż czas już nakryć do stołu, były zbyt wyraźne, by to można było uważać za przywidzenie wyobraźni.

— Boże! — krzyknęła dama — co to jest!

— To tylko gentleman, pani — odezwał się pan Pickwick zza firanek.

— Gentleman! — zawołała przerażona dama.

„Stało się!” — pomyślał pan Pickwick.

— Mężczyzna w moim pokoju! — krzyknęła dama i rzuciła się ku drzwiom.

Pan Pickwick słyszał szelest sukni, gdy podchodziła do drzwi. Jeszcze chwila, a cały dom będzie na nogach.

— Pani! — zawołał w przystępie rozpacz, pokazując głowę. — Pani!

Wysuwając głowę zza firanek, pan Pickwick nie miał niezawodnie żadnego określonego celu. A jednak ukazanie się jego wywarło dobry skutek. Dama, która już była przy samych drzwiach, na widok filozoficznej szlafmycy cofnęła się w głąb pokoju i ze strachem poczęła przyglądać się panu Pickwickowi, który patrzył na nią także ze strachem.

— Nędzniku! — zawołała wreszcie dama, zasłaniając sobie oczy ręką. — Co pan tu robi?

— Nic, pani!... Nic a nic!... — odpowiedział pan Pickwick z zapalem.

— Nic! — powtórzyła dama, szeroko otwierając oczy.

— Nic, pani! Na honor, nic! — powtórzył pan Pickwick, potrząsając tak energicznie głową, że chwost na szlafmicy tańczył jak opętany. — Czuję się nadzwyczaj zmieszany przemawiając do damy w szlafmicy (tu dama szybko zerwała własny nocny czepek z głowy), schowałbym się pod ziemię ale nie mogę rozwiązać węzła (tu pan Pickwick pociągnął ze straszliwą siłą tasiemki, na dowód prawdy swych słów). Teraz, pani, widoczne jest dla mnie, iż wszedłem do niewłaściwego pokoju. Znajdowałem się tu dopiero od pięciu minut, zanim pani weszła.

— Jeżeli ta niepojęta historia jest prawdziwa — odrzekła dama, łkając gwałtownie — to natychmiast opuści pan ten pokój.

— Owszem, pani, z największą przyjemnością.

— Natychmiast, panie! — powtórzyła dama.

— Oczywiście — szybko potwierdził pan Pickwick. — Ja... ja... jestem niepokieszony — mówił dalej, ukazując się przy łóżku — że jestem mimowolną przyczyną niepokoju pani i wzburzenia; po prostu niepokieszony, pani.

Dama wskazała drzwi.

W tym krytycznym momencie, w położeniu tak kłopotliwym, jeden z wielkich przymiotów pana Pickwicka ukazał się w całej pełni. Chociaż w pośpiechu wsadził sobie kapelusz na szlafmycę, sztylpy i kamasze wziął do rąk, a surdut pod pachę, nic nie zdołało zmniejszyć jego galanterii.

— Nadzwyczaj mi przykro — rzekł, kłaniając się bardzo nisko.

— Jeżeli tak, to wyjdź pan! — odparta dama.

— Natychmiast, pani, w tej chwili — rzekł filozof, otwierając drzwi i upuszczając trzewiki — ale pochlebiam sobie — mówił dalej, podnosząc obuwie i z głębokim ukłonem zwracając się do damy — pochlebiam sobie, że nieskazitelny charakter i szacunek, jaki mam dla płci pani, przemówią za mną...

Ale nie skończył tej sentencji, gdyż dama wypchnęła go na korytarz, zamknęła drzwi i zaryglowała je.

Chociaż filozof nasz mógł odczuwać pewne zadowolenie, iż przykra jego awantura zakończyła się w taki sposób, obecne wszakże jego położenie nie było wcale do pozazdroszczenia.

Znajdował się sam, na pół ubrany na korytarzu nieznanego domu i w nocy. Trudno było przypuszczać, aby wśród ciemności potrafił znaleźć swój pokój, gdy go nie mógł odszukać przy świetle; a gdyby w swych bezowocnych poszukiwaniach narobił gdzieś choćby trochę hałasu, narażał się na zastrzelenie z pistoletu przez jakiegoś nagle przebudzonego podróżnego.

Nie pozostawało mu więc nic innego, jak pozostać tam, gdzie był, aż do świtu.

Toteż zrobiwszy jeszcze kilka kroków, usiadł w kącie, by czekać poranka, jak można najfilozoficzniej.

Ale nie chciało przeznaczenie narażać go na tę nową próbę. Za ledwie kilka minut siedział w kącie, gdy ku wielkiemu swemu przerażeniu ujrzał w korytarzu człowieka ze świecą. Przerażenie to jednak rychło zmieniło się w radość, gdyż w nadchodzącym poznał wiernego swego sługę. Był to rzeczywiście Samuel Weller, który zamierzał udać się na spoczynek. Do tej chwili zabawiał się rozmową z parobkiem, który oczekiwał poczty.

— Sam! — zawołał pan Pickwick, nagle ukazując się — gdzie jest mój pokój?

Sam spojrział na swego pana z największym zdziwieniem i dopiero po trzykrotnie powtórzonym pytaniu zrobił zwrot w lewo i zaprowadził mędrca do pokoju, tak długo szukanego.

— Samie! — rzekł pan Pickwick, kładąc się do łóżka. — Dzisiejszej nocy wydarzyło mi się najciekawsze *qui pro quo*, o jakim kiedykolwiek słyszano.

— Bardzo możliwe, proszę pana! — odpowiedział Sam służebnie.

— I dlatego postanowiłem, choćbym miał sześć miesięcy mieszkać w tym domu, że już nigdy sam nie wyjdę z tego pokoju!

— To najrozsądniejsze postanowienie, jakie pan mógł zrobić! — odpowiedział pan Weller. — Pan powinien koniecznie mieć kogoś przy sobie, kiedy się pan wybiera z wizytą!

— Co chcesz przez to powiedzieć, Samuelu? — spytał pan Pickwick, podnosząc się na łóżku i wyciągając ramię, jak gdyby i on miał coś jeszcze do powiedzenia. Ale nagle zmienił zamiar, odwrócił się i rzucił służącemu: — Dobranoc!

— Dobranoc panu! — powiedział Samuel. Wyszedłszy za drzwi przystanął, pokiwał głową, przeszedł parę kroków, znów przystanął, zgasił świecę, znów pokiwał głową i w końcu udał się do swego pokoju, pogrążony w głębokich medytacjach.

Rozdział dwudziesty trzeci **w którym pan Samuel Weller przygotowuje się do** **energicznego rozegrania meczu Weller–Trotter**

Nazajutrz rano, po nocy, w której panu Pickwickowi przydarzyła się przygoda z damą w średnim wieku i papilotach, w małym pokoju przy stajni siedział pan Weller starszy zajęty przygotowaniem do podróży. Siedział tak doskonale nieruchomo, jakby pozował do portretu.

Możliwe, że kiedyś profil pana Wellera miał wyraźny i ostry zarys, oblicze jego jednak rozlało się z czasem, do czego przyczyniło się dobre życie i skłonność do rezygnacji. Jędrne, mięsiste policzki zajęły w końcu o wiele więcej miejsca, niż im natura przeznaczyła; toteż gdy patrzyłeś na twarz pana Wellera z przodu, zaledwie dojrzeć mogłeś mały koniec rubinowego nosa. Broda jego, z tych samych przyczyn przyjęła ów kształt, jaki zwykle określa się słowem „podwójna”. Cera pana Wellera przedstawiała tę szczególną mieszaninę barw, jaką spotykamy tylko u gentlemanów jego profesji i w nie dopieczonym rostbefie. Szyję miał okręconą chustką podróżną, która zlewała się z jego brodą w sposób tak wyjątkowy, że trudno było rozróżnić, gdzie kończą się fałdy skóry, a gdzie zaczynają się fałdy chustki. Ubrany był w kamizelkę w wielkie czerwone rzuty i w zielony, głęboko wycięty surdut, ozdobiony wielkimi guzikami, z których dwa, przypadające na piersi, tak były szeroko rozstawione, że trudno je było zobaczyć jednocześnie. Włosy, krótkie, szorstkie i czarne, zaledwie wyglądały spod niskiego, brązowego kapelusza. Nogi odziane były w krótkie spodnie do kolan i w brązowe, farbowane buty. Tombakowy łańcuszek od zegarka i wielki klucz z tego samego metalu dyndały swobodnie na kamizelce.

Powiedzieliśmy, że pan Weller zajęty był przygotowaniem do podróży; rzeczywiście, pożywał się. Na stole stał przed nim kufel, talerz zimnej wołowiny i chleb bardzo przyzwoitych rozmiarów. Każdemu z tych przedmiotów Weller kolejno poświęcał swą uwagę z wzorową bezstronnością, gdy wtem dały się słyszeć kroki w korytarzu i syn stanął przed nim.

— Dzień dobry, Sammy — rzekł Weller senior.

Sam sięgnął po kufel z piwem i zamiast odpowiedzi wychylił spory łyk.

— Masz dobry spust — rzekł na to ojciec, zaglądając do wnętrza kufla, który jego pierworodny postawił na wpół wypróżniony na stole — byłaby z ciebie znakomita pijawka, gdybyś się był urodził w tej kondycji.

— Tak, sądzę, że i w tym zawodzie potrafiłbym dokonać czegoś niezwykłego — odpowiedział Sam, żywo zabierając się do wołowiny.

— Bardzo jestem oburzony, Sammy — zaczął znów Weller senior, zakreślając kuflem kółka po stole, by zamieszać resztę piwa — bardzo jestem oburzony tym, że tak cię wyfrycował ten fioletowy smyk. Aż do tego dnia myślałem, że wyrazy „Weller” i „wyfrycowany” nigdy spotkać się nie mogą.

— Z wyjątkiem wypadków, gdy chodzi o wdowy — rzekł Sam.

— Wdowy, Sammy — odrzekł ojciec, mieniąc się nieco — wdowy są wyjątkiem ze wszystkich reguł. Mówiono mi kiedyś, ile to zwyczajnych kobiet warta jest jedna wdowa, gdy chodzi o wyprowadzenie w pole. Zdaje mi się, że dwadzieścia pięć, Sammy, ale bodaj czy nie więcej.

— Dwadzieścia pięć to już piękna liczba — zauważył Sam.

— Zresztą — mówił dalej Weller, nie zwracając uwagi na wtręty Sama — to zupełnie co innego. Wiesz, co powiedział adwokat o tym gentlemanie, co to bijął swoją żonę, gdy był wesół: — W końcu, milordzie, nie jest to nic więcej, tylko słabostka. — Otóż ja powtarzam to samo w zastosowaniu do wdów; jak będziesz miał moje lata, Sammy, to także będziesz tego zdania.

— O! zdaje mi się — odrzekł syn — że nie! Zdaje mi się, że będę mądrzejszy!

— Mądrzejszy! — powtórzył Weller, uderzając pięścią w stół — mądrzejszy! Ale ja znam chłopaka, który nie ma ani czwartej części twojej edukacji, który nawet sześciu miesięcy nie wałęsał się po ulicach... a który, gdyby go tak wyfrycowano jak ciebie, zaczerwieniłby się po same białka! Nie, Sammy — temu by się nie zdarzyło coś podobnego.

Wzburzenie, jakiego doznał Weller wskutek tych refleksji, tak nań podziałało, iż zadzwonił i kazał podać jeszcze jeden kufel piwa.

— No, no! Co tu o tym rozprawiać — zauważył Sam. — Co się stało, to się stało i nie ma na to lekarstwa, jak mówią Turcy, gdy przez omyłkę utną głowę jakiemu niewinnemu. Przyjdzie i na mnie kolej, gubernatorze, a jeżeli kiedy złapię tego Trottera, to popamięta on mnie!

— Spodziewam się — odrzekł Weller z powagą. — Twoje zdrowie, Sammy, i obyś co najprędzej mógł zmyć tę plamę z naszej rodziny.

By uczcić ten toast, potężny stangret przełknął od razu przynajmniej trzy ćwierci z kufła piwa, po czym resztę podał synowi.

— A teraz, Sammy — mówił dalej, spoglądając na ogromny srebrny zegarek zawieszony na grubym miedzianym łańcuchu — muszę pójść do biura po kartę podrózną i zobaczyć, jak załadowano dylizans. Bo dylizanse, Sammy, są jak armaty, które bacznie trzeba ładować, nim się je puści w ruch.

Na ten z dziedziny zajęć ojca wzięty dowcip Weller junior odpowiedział uśmiechem dziecięcej miłości. Jego szanowny życiodawca tak ciągnął dalej:

— Opuzczam cię, Sammy, mój chłopcze; nie wiem, kiedy znów się zobaczymy. Honor rodziny spoczywa w twoim ręku i spodziewam się, że spełnisz swoją powinność. Wiem, że można ci najzupełniej zawierzyć. Przyjm więc tę małą radę od ojca: kiedy ci minie pięćdziesiąt lat i zechcesz się żenić, mniejsza o to, z kim, to czym prędzej zamknij się w osobnym pokoju, gdy go będziesz miał, i natychmiast otruj się. Wiesz, że to rzecz pospolita; nie rób tego głupstwa. Ale otruj się, mój chłopcze, otruj się, potem będziesz mi wdzięczny za radę.

Weller poważnie spoglądał na syna, wymawiając te czule słowa. Potem wykonał ukłon, wysuwając prawą nogę naprzód, a obcasem zataczając półkole, i znikł Samowi z oczu.

Ostatnie rady ojca rozbudziły w Samie mnóstwo ponurych myśli, wyszedł więc z oberży i poszedł ku kościołowi św. Klemensa, by się orzeźwić nieco przechadzką... Jakiś czas chodził samotny po starych zakamarkach, wreszcie znalazł się w jakimś dziedzińcu, a chcąc wrócić, dostrzegł, iż jest tylko jedno wyjście. Zmierzał więc ku niemu, gdy wtem skamieniał na widok zjawiska, które tu zaraz opiszemy.

Sam Weller przypatrywał się domowi i pomimo zamyślenia, od czasu do czasu rzucał zabójcze spojrzenia na zalotne służące otwierające okna, gdy wtem rozwarła się zielona furtka na końcu dziedzińca, a z niej wyszedł jakiś człowiek. Starannie zamknąwszy ją za sobą, zwrócił się szybko w kierunku miejsca, w którym stał Sam.

Otóż, jeżelibyśmy wzięli to jako fakt sam w sobie, nie związany z żadnymi ubocznymi okolicznościami, nie byłoby w tym nic szczególnego. W wielu miejscowościach na kuli ziemskiej ludzie wchodzą na dziedziniec, zamykając za sobą zielone furtki i szybko idą dalej, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Jasne więc jest, że musiało coś być w tym człowieku, w jego zachowaniu lub w jednym i drugim, co zwróciło uwagę pana Wellera.

Czy było tak rzeczywiście — pozostawiamy do rozsądzenia czytelnikowi, ograniczając się jedynie do wiernego opisu wyżej wymienionej osobistości.

Zamknawszy za sobą zieloną furtkę, człowiek ów począł iść szybko, jakeśmy to już powiedzieli, w kierunku Sama. Ujrawszy Sama, zawahał się, jakby nie wiedząc, co począć. Ponieważ zielona furtka była już zamknięta, a dziedziniec miał jeszcze tylko jedno wyjście — to, które było przed nim — zrozumiał, że nie pozostaje mu nic innego, jak przejść koło Sama. Nie zwolnił więc kroku i szedł, patrząc przed siebie.

Co szczególnie uderzało w tym człowieku, to dziwny i obrzydliwy sposób, w jaki wykrzywił sobie twarz. Nigdy żaden twór natury nie potrafił się tak zręcznie maskować w jednej chwili, jak twarz tego człowieka za pomocą mimiki.

— Słowo daję — rzekł Sam do siebie, widząc przybliżającego się jegomościa — że to szczególne! Przysięgłbym, że to on!

Człowiek szedł ciągle, a w miarę jak się przybliżał, twarz jego wykrzywiła się coraz bardziej.

— Przysięgłbym, że te czarne włosy i fioletowe ubranie... ale nie! Pierwszy raz widzę taką fizys!

Podczas tego monologu pana Wellera twarz idącego nabrała demonicznego, ohydneho wyrazu. Lecz musiał przejść obok Sama i dopiero wtedy badawczy wzrok Sama rozpoznał pod tym wykrzywieniem małe oczka Trottera.

— Hej! Jegomość! — zawołał.

Nieznajomy z okropną twarzą zatrzymał się, spojrział z wielkim zdziwieniem po podwórzu, po oknach, słowem — wszędzie, tylko nie w stronę Sama; potem zrobił krok naprzód, ale znów powstrzymało go wołanie:

— Hej, hej! Jegomość!

Niepodobna było nie poznać, skąd głos wychodził; nieznajomy zmuszony był spojrzeć na Sama.

— To ci się nie udało, Hiobie Trotter. No, no! Nie róbmy głupstw. Już z natury nie jesteś zbyt piękny, po co więc psuć sobie jeszcze fizjonomię. Ustawże mi natychmiast twoje ślepia w należytych miejscach, jeżeli nie chcesz, bym ci je wpakował w sam środek mózgu.

Ponieważ było widoczne, że Sam jest usposobiony tak, iż gotów jest wykonać dosłownie, co mówi, pan Trotter nadał swej fizjonomii zwykły wyraz; potem nagle zadrżał z radości i zawołał:

— Co widzę? Pan Walker!

— A! — rzekł Sam. — Cieszysz się, żeś mię spotkał?

— Czy się cieszę! — zawołał Trotter. — Jestem zachwycony! O, panie Walker! Gdybyś wiedział, jak pragnąłem spotkania! Ale to za wiele! Nie mogę powstrzymać mej radości! To za wiele.

Po wyłkaniu tych słów pan Trotter począł wylewać całe morze łez, potem objął Sama rękami za szyję i mocno uściśnął z rozczulenia.

— Na bok łapy! — krzyknął Sam, mocno oburzony takim postępowaniem i na próżno usiłując wyrwać się z objęć swego entuzjastycznego znajomego. — Czego mi tak łyż na grzbiet wylewasz, ty sikawko?

— Bo tak się cieszę, że pana spotkał — odrzekł Hiob rozluźniając objęcia, w miarę jak zmniejszał się gniew Sama. — Ach! Panie Walker, to za wiele!

— Za wiele! I ja tak myślę. No, co mi masz do powiedzenia?

Trotter nie mówił, gdyż mała czerwona chustka była w ciągłym ruchu.

— Mów, co masz powiedzieć, nim ci rozwalę głowę! — powiedział Sam groźnie.

— Co? — zapytał Trotter tonem cnotliwego zdumienia.

— Co masz mi do powiedzenia?

— Ja, panie Walker?

— Nie nazywaj mnie Walkerem; nazywam się Weller, wiesz o tym.

— Niech Bóg ma pana w swojej opiece, panie Walker... chciałem powiedzieć Weller... wiele miałbym do powiedzenia, gdybyś tylko zechciał pan pójść, gdzie byśmy mogli swobodnie nagadać się. Gdybyś pan wiedział, jak pana szukałem!

— O! Wierzę — odrzekł Sam sucho.

— Tak, tak, panie. Daj mi pan rękę, panie Weller.

Sam wpatrywał się przez kilka minut w Hioba, a potem, jakby mu coś szczególnego przyszło na myśl, podał rękę.

— Jak się ma szanowny pan Pickwick? — zapytał Hiob, idąc obok Sama. — O! Co to za godny gentleman, panie Weller. Spodziewam się, iż nie przeziębził się owej okropnej nocy. Przy tych słowach wielka złośliwość błysnęła w oczach Trottera. Sam dostrzegł to i w swej zaciśniętej pięści uczuł gwałtowne świerzbienie, ale pohamował się i tylko odpowiedział, że jego pan ma się dobrze.

— O! Jak mię to cieszy! Czy jest tu?

— A twój pan?

— Niestety! jest tutaj. I co mnie martwi najwięcej, panie Weller, to że prowadzi się gorzej niż kiedykolwiek.

— A!

— O! Aż dreszcz przejmuje! To okropność!

— Na pensji panińskiej?

— Nie, nie! Nie na pensji! — odrzekł Hiob. — Nie na pensji!

— W domu z zieloną furtką? — zapytał Sam, pilnie wpatrując się w twarz Trottera.

— Nie, nie tam! — odpowiedział Trotter niezwykle żywo.

— Ale cóżeś ty tam robił? — zaczął znowu Sam przesywając Trottera wzrokiem. — Możesz zaszedł tam przypadkiem, co?

— Widzisz pan, panie Weller, ja nie boję się wyjawić panu moich sekretów, gdyż jak pan pamięta, od razu przypadliśmy sobie do gustu. Pamięta pan, jak nam wtenczas rano było przyjemnie?

— Pamiętam o tym, pamiętam!

— Otóż — mówił dalej Hiob, przybrawszy ton człowieka zwierającego się z wielkiej tajemnicy — otóż w tym domu za zieloną furtką, panie Weller, jest wiele służących.

— Domyślałam się.

— Tak. Jest tam kuchareczka, która zaoszczędziła sobie trochę grosza, panie Weller, i chciałaby otworzyć mały sklepik korzenny, rozumie pan?

— Nie bardzo.

— Otóż, panie Weller, spotkałem ją w kaplicy, do której chodzę; piękna kapliczka, panie Weller, śpiewają tam psalmy ze zbioru pieśni pobożnych nr 4, te same, jakie mam w mojej książce, którą pan widziałeś u mnie. I zaznajomiłem się z nią, panie Weller; potem zawiązał się między nami mały stosunek, tak że teraz mogę powiedzieć, iż mam nadzieję, że zostanę kupcem korzennym.

— Miły będzie z ciebie korzennik — odrzekł Sam, spoglądając z boku na Trottera z wielkim niesmakiem.

— Główna korzyść w tym — mówił dalej Hiob, którego oczy napełniły się łzami — główna korzyść w tym, iż będę mógł opuścić haniebną służbę u tego nicponia i całkiem poświęcić się lepszemu i cnotliwшему życiu, zgodniejszemu z edukacją, jaką otrzymałem.

— Pięknie musiałeś być edukowany! — powiedział Sam.

— O, bardzo, panie Weller, bardzo! — odpowiedział Hiob. I przypomniał sobie niewinne dziecięce lata, wyjął chustkę i zalał się łzami.

— Musiał być z ciebie miły chłopaczek! Przyjemnie było mieć takiego kolegę w szkole! — ciągnął Sam.

— Tak, panie — westchnął Hiob. — Ubóstwiano mię!

— A! — zawołał Sam. — Wcale się nie dziwię! Jakąż pociechą musiałeś być dla swojej matki!

Przy tych słowach Hiob przyłożył koniec chusteczki do oka, potem do drugiego i znowu zalał się łzami.

— A tobie co się stało? — zawołał Sam z oburzeniem. — To gorzej niż sikawka. Czegoś się rozbeczał? Czyś przypomniał sobie swe łotrostwa?

— Nie mogę pohamować wzruszenia, panie Weller — zaczął Hiob po krótkiej pauzie. — Gdy sobie przypomnę, iż mój pan domyślał się, że widziałem się z panem Pickwickiem, że wyprawił mię pocztą, namówiwszy młodą pannę, by się nie przyznawała do niczego, że zjednał sobie przełożoną pensji! O! Panie Weller! To mię dreszczem przejmuje!

— A! To tak się rzeczy mają!

— A tak, niech mi pan wierzy — odrzekł Hiob.

Rozmawiając w ten sposób doszli do oberży. Wtedy Sam powiedział swemu towarzyszowi:

— Chciałbym zobaczyć się z tobą. Jeżeli będziesz mógł, to przyjdź koło ósmej „Pod Wielkiego Białego Konia”.

— Przyjdę z przyjemnością — rzekł Hiob.

— I dobrze zrobisz — dorzucił Sam z wymownym spojrzeniem — bo w przeciwnym razie pójde się dowiadywać po drugiej stronie zielonej furtki, a to by ci mogło zaszkodzić.

— Niezawodnie przyjdę — powtórzył Hiob i oddalił się, serdecznie uściskawszy rękę Sama.

— Bądź ostrożny, Hiobie Trotter — rzekł cicho Sam spoglądając za odchodzącym — teraz ja mogę ciebie wyfrycować. Bo, jak Bóg na niebie, drugi raz nie dam się wywieść w pole.

— Po tym monologu długo jeszcze ściagał wzrokiem Hioba, aż ten zniknął, potem zaś ruszył do swego pana.

— Wszystko idzie dobrze — powiedział.

— Co idzie dobrze? — zapytał pan Pickwick.

— Znalazłem ich, panie.

— Kogo?

- A pańskiego znajomego i tego fioletowego płaksę.
 - Czy być może! – zawołał pan Pickwick z największą energią. – Gdzie oni są? Gdzie?
 - Tu, panie – rzekł wierny sługa i w czasie rozbierania pana Pickwicka nakreślił panu swemu plan operacyjny, według którego miano działać.
 - Ale kiedy to nastąpi? – zapytał pan Pickwick.
 - Wszystko we właściwym czasie – odparł Sam.
- Czy stało się to we właściwym czasie, czy też nie, o tym czytelnik nasz przekona się później.

Rozdział dwudziesty czwarty **w którym dama w papilotach jest trwożliwa, a pan** **Magnus zazdrosny, co oddaje picwickczyków w szpony** **Prawa**

Zaszedłszy do sali, w której dnia poprzedniego jadł obiad, pan Pickwick zastał tam już pana Magnusa, który przechadzał się mocno wzruszony, i zauważył, że gentleman ten przywdział na siebie większą część garderoby zawartej w dwóch torbach podróżnych i pudle, co się bardzo dodatnio odbiło na jego powierzchowności.

— Dzień dobry panu — rzekł pan Magnus. — Jakże teraz wyglądam?

— Okropnie niebezpiecznie — odrzekł filozof, przypatrując się z uśmiechem ubiorowi konkurenta.

— O! Sądzę, że to poskutkuje, panie Pickwick; posłałem już mój bilet wizytowy.

— Czy tak?

— Tak, i otrzymałem odpowiedź, że ona czekać będzie na mnie o jedenastej. O jedenastej, panie; to znaczy za kwadrans!

— O! to już niedługo!

— Tak, już niedługo... O! Panie Pickwick!

— W takich razach pewność siebie jest ważną rzeczą — rzekł pan Pickwick.

— A tak, panie. Ja mam wielką pewność siebie. Doprawdy, panie Pickwick, nie rozumiem, dlaczego bym miał mieć choć trochę obawy w tym wypadku. Bo zresztą, cóż może być prostsze? Przecież w tym nie ma nic ubliżającego. Jest to sprawa zależna od wzajemnego porozumienia się, nic więcej. Mąż z jednej strony, żona z drugiej. Takie jest moje zdanie, panie Pickwick...

— Zdanie bardzo słuszne. Ale śniadanie czeka na nas, panie Magnus.

Zabrano się do śniadania; lecz pomimo swych przechwałek pan Magnus był widocznie bardzo poruszony, co objawiało się sileniem się na żarty, utratą apetytu, skłonnością do przewrócenia imbryka i niepohamowaną chęcią spoglądania co dwie sekundy na zegar.

— Chi, chi, chi — krztusił się, udając wesołość — już tylko dwie minuty, panie Pickwick. Czy nie jestem blady?

— Nie bardzo.

Nastąpiło krótkie milczenie.

— Powiedz mi pan, panie Pickwick, czy w swoim czasie znajdował się pan kiedy w takim położeniu jak ja dziś?

— Chce pan wiedzieć, czym się kiedy oświadczał? — rzekł pan Pickwick.

— Tak.

— Nigdy! — odrzekł pan Pickwick z wielką energią — nigdy!

— W takim razie nie może pan wiedzieć, jak w takich wypadkach należy postępować! — zauważył pan Magnus.

— O! Mogę mieć o tym pewne wyobrażenie; ale ponieważ nigdy nie robiłem podobnych doświadczeń, nie mogę panu doradzić, byś postępował według moich wskazówek.

Pan Magnus znów spojrzął na zegar; było pięć minut po jedenastej. Potem zwrócił się do pana Pickwicka, mówiąc:

— Mimo to byłbym panu wdzięczny, gdyby zechciał mi pan powiedzieć swoje zdanie o tym.

— Otóż, panie — rzekł uczony uroczystym tonem, który wypowiedziom jego dodawał szczególnej powagi, ilekroć było to wskazane — zacząłbym, panie, od złożenia hołdu wdziękom i przymiotom duszy. Od tego, panie, przeszedłbym do wykazania, że nie jestem godzien...

— Bardzo dobrze! — zawołał pan Magnus.

— Niegodzien, ale jej tylko, rozumie pan?... Uważaj pan na to, gdyż aby okazać, iż nie jestem bezwzględnie niegodny, zrobiłbym krótki przegląd własnej mojej przeszłości i obecnego położenia; z tego, posługując się prawem analogii, wywiódłbym, iż mógłbym być pożądanym przez inne osoby. Następnie rozwoziłbym się nad ogniem mojej miłości i głębią przywiązania. Wtedy może bym próbował ośwładnąć jej ręką.

— Tak, tak, to właściwa chwila — zauważył pan Magnus.

— Potem — mówił pan Pickwick ożywiając się, w miarę jak sam przedmiot coraz wyraźniej mu się przedstawiał — potem przeszedłbym do tego prostego pytania: czy chce pani być moją żoną? Sądzę, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa dama w tej chwili odwróci głowę.

— Czy myśli pan, iż można to wziąć za znak zgody? — przerwał pan Magnus. — Bo, widzi pan, jeżeli ona w tej chwili nie odwróci głowy, to co począć?

— Sądzę, panie, że odwróci. Wtedy ja pochwyliłbym jej rękę i sądzą — ja sądzą — panie Magnus, że uczyniwszy to, a przypuszczając, że nie da odmownej odpowiedzi, odjąłbym z wolna chustkę, którą trzymać będzie przy oczach, jeżeli mnie nie myli słaba moja znajomość natury ludzkiej, i skradłbym całusa z całym zresztą należnym szacunkiem; tak jest, sądzą, że skradłbym, jestem przekonany, że dama w tej samej chwili wyszeptałaby mi do ucha wstydlive przyzwolenie.

Pan Magnus wstał, patrzył przez jakiś czas w milczeniu na pana Pickwicka, potem gorąco uściskał mu rękę i (zegar wskazywał dziesięć minut po jedenastej) jak opętany wybiegł za drzwiami...

Pan Pickwick zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, a gdy wielka wskazówka zegara, idąc jak pan Pickwick, doszła do dwunastej, drzwi nagle otworzyły się. Filozof odwrócił się, by złożyć swe życzenia panu Magnusowi; ale zamiast niego ujrzał wesołą twarz pana Tupmana, wojowniczą postawę pana Winkle'a i natchnione rysy pana Snodgrassa. Gdy pan Pickwick witał się z nimi, wszedł pan Magnus.

— Moi przyjaciele — rzekł filozof — oto jest gentleman, o którym wam mówiłem, pan Piotr Magnus.

— Witam panów — rzekł pan Magnus widocznie w stanie wielkiej egzaltacji. — Panie Pickwick, pozwól pan, że przez chwilę pomówię z panem na osobności.

To rzekłszy pan Magnus wsunął palce w jedną z dziurek ubrania pana Pickwicka i pociągnął go za sobą ku oknu.

— Powinszuj mi pan — powiedział — poszedłem najzupełniej za pańską radą.

— Czy była dobra?

— Nie mogło być lepszej. Ona już jest moją, panie Pickwick.

— Gratuluję panu z całego serca — odrzekł filozof, ściskając rękę swego nowego znajomego.

— Trzeba, byś ją pan zobaczył... Tędy, panie. Panowie pozwolą, że oddalimy się na chwilę.

To mówiąc triumfujący kochanek pociągnął za sobą pana Pickwicka, podszedł z nim do drzwi sąsiedniego pokoju i lekko zapukał.

— Proszę wejść — odezwał się głos kobiety. Weszli.

— Miss Witherfield — rzekł pan Magnus — pozwoli pani przedstawić sobie jednego z moich najlepszych przyjaciół, pana Pickwicka... Panie Pickwick, przedstawiam pana pannie Witherfield.

Dama znajdowała się w drugim końcu pokoju. Pan Pickwick uklonił się, a jednocześnie wyjął z kieszeni okulary i osadził na nosie. Ale zaledwie je tam umieścił, krzyknął ze zdziwienia i cofnął się o kilka kroków. Dama ze swej strony krzyknęła również, zakryła twarz rękami i padła na krzesło... Pan Piotr Magnus, jak skamieniały, spoglądał to na jedno, to na drugie, a twarz wykrzywiła mu się ze zdziwienia i przerażenia.

Ten teatralny efekt był wprost nie do pojęcia... Rzecz zaś cała miała się tak, iż pan Pickwick, założywszy okulary, w przyszłej pani Magnus poznał natychmiast damę, do której pokoju zabłądził przeszłej nocy; dama zaś, gdy tylko pan Pickwick nałożył okulary, poznała fizjonomię, którą w nocy widziała w szlafmocy... Wskutek tego dama krzyknęła, a pan Pickwick zadrżał.

— Co to znaczy, panie Pickwick? Proszę mi powiedzieć, co to znaczy? — zawołał pan Magnus głosem podniesionym i groźnym.

— Na to pytanie nie dam panu odpowiedzi — odrzekł pan Pickwick, nieco urażony gwałtownym tonem pana Magnusa.

— Nie da pan...

— Nie dam, panie... Bez pozwolenia tej damy nie powiem nic takiego, co by mogło ją kompromitować lub budzić w niej niemiłe wspomnienie.

— Miss Witherfield — zaczął znowu pan Magnus — czy zna pani tego pana?

— Czy go znam? — odrzekła z wahaniem dama w średnim wieku.

— Tak, czy pani go zna! Pytam, czy zna go pani? — powtórzył pan Magnus gwałtownie.

— Już go widziałam — wyszeptwała dama...

— Gdzie? — zapytał pan Magnus — gdzie?

— Tego — odrzekła dama podnosząc się i odwracając głowę — tego nie powiedziałabym za całe królestwo...

— Pojmuję panią — przerwał pan Pickwick — i szanuję jej delikatność. Ode mnie nikt się tego nie dowie. Bądź pani pewna.

— Wierzaj mi, pani — zaczął znowu pan Magnus z gorzkim uśmiechem — wierzaj mi, że mając na uwadze stosunki, jakie nas teraz łączą, wygląda to tak, jakby ta sprawa była dla pani dość obojętna, tak jest, pani, dość obojętna.

— Okrutny! — wyszeptwała dama w średnim wieku i poczęła płakać.

Teraz wmieszał się pan Pickwick.

— Niech pan wyrzuty zwraca do mnie... Jeżeli kto ma tu sobie coś do wyrzucenia, to ja, tylko ja.

— A! to pan ma sobie coś do wyrzucenia! Rozumiem! Rozumiem! Teraz żałuje pan swego postanowienia, prawda?

— Jakiego postanowienia? — powtórzył pan Pickwick.

— Tak, panie! O! niech pan na mnie tak nie patrzy. Pamiętam, co mi pan mówił wczoraj wieczorem, że przybył pan tu, by zedrzeć maskę fałszu i obłudy z osoby, w której honorze pokładałeś pan całą ufność. Ach! panie.

Tu pan Magnus wybuchnął szyderczym śmiechem, potem zaś zdjawszy niebieskie okulary, które w przystępie zazdrości poczytał za zbyt cenne, począł okropnie przewracać swymi małymi oczkami.

— Odpowie mi pan za to! — dodał następnie z wielką złością.

— Za co mam odpowiadać? Może zechce mię pan objaśnić — zapytał pan Pickwick.

— Bynajmniej! — odpowiedział pan Magnus, szybko chodząc po pokoju. — Bynajmniej!

Musi być coś bardzo wymownego w tym słowie „bynajmniej”, nie przypominamy bowiem sobie żadnej kłótni, której byliśmy świadkami — czy to w teatrze, czy na ulicy, czy w restauracji, czy gdzie indziej — żeby właśnie w ten sposób nie odpowiadano na najbardziej zaczepne pytania. — I pan uważa się za gentlemana?! — „Bynajmniej!” — Może pan pozwoli, żebym ja zamiast pana mówił z tą damą?! — „Bynajmniej!” — Może pan chce, żebym panu rozwalil łeb? — „Bynajmniej!” — Zauważyłem również, że musi być ukryte jakieś szyderstwo w owym uniwersalnym „bynajmniej”, budzi ono bowiem w indywiduum, do którego jest zwrócone, większe oburzenie niż każda inna otwarta obelga.

Nie będziemy twierdzić, że ów wyraz wywołał w piersi pana Pickwicka takie samo oburzenie, jakie byłby wywołał w każdej innej, prostackiej piersi. Notujemy jedynie fakt, że pan Pickwick otworzył drzwi i zawołał:

— Tupman! Proszę cię! Wejdz tutaj!

Pan Tupman niezwłocznie stawil się, nadzwyczaj zdziwiony.

— Tupman — rzekł pan Pickwick — tajemnica delikatnej natury, dotycząca tej damy, jest powodem nieporozumienia między mną a tym gentlemanem. Ale zapewniam go tu, w twojej obecności, że tajemnica ta wcale nie dotyczy ani jego osoby, ani jego stosunków z tą damą. Po tym, co powiedziałem, nie mam potrzeby nadmieniać ci, iż jeżeli ten gentleman nie będzie wierzył moim oświadczeniom, to będzie to oznaczało, że wątpi o prawdzie słów moich, co poczytam za obrazę osobistą.

To wyrzekłszy pan Pickwick rzucił na pana Magnusa spojrzenie zawierające całą encyklopedię pogrózek.

Czcigodna i pocziwa postać pana Pickwicka oraz przekonywająca siła wymowy, którą odznaczał się ten znakomity mąż, nie byłyby bez wpływu na żaden rozsądny umysł. Ale niestety w tej chwili umysł pana Magnusa nie podlegał władzom rozsądku.

Pan Magnus, zamiast przyjąć, jak należy, wyjaśnienie filozofa, zaczął teraz biegać po pokoju wrywając sobie włosy i nastroił na jeszcze wyższy ton swój gniew i groźby... Chwilowo tylko przerywał te zajęcia, ale to tylko w tym celu, by raz i drugi machnąć pięścią pod samym filozoficznym nosem pana Pickwicka.

Silny prawością swą i niewinnością, zmartwiony tym, iż wplątał tę damę w sprawę tak nieprzyjemną, pan Pickwick był także w usposobieniu mniej niż zwykle pokojowym.

W konsekwencji głosy podniosły się. Padały coraz groźniejsze słowa. Pan Magnus powiedział panu Pickwickowi, że „jeszcze o nim usłyszysz”, na co pan Pickwick z chwalebnią uprzejmością odpowiedział, że „im wcześniej, tym lepiej”. Na to dama w średnim wieku wybiegła przerażona z pokoju, z którego pan Tupman wyciągnął wreszcie pana Pickwicka, zostawiając pana Magnusa samego.

Gdyby dama w średnim wieku więcej obracała się w świecie albo lepiej znała tych, którzy ustalają kanony i zwyczaje towarzyskie, wiedziałaby, że ten rodzaj okrutnych porachunków jest najniewinniejszy. Ponieważ jednak większą część życia spędziła na wsi i nigdy nie czytała sprawozdań z parlamentu, nie była więc obznajmiona z tymi

subtelnościami naszej cywilizacji. Wróciwszy do swego pokoju, starannie zaryglowawszy drzwi, poczęła rozmyślać o scenie, której była świadkiem. W wyobraźni swej widziała już okropny obraz morderstwa, widziała, jak pana Piotra Magnusa, cięższego o ćwierć funta ołowiu w piersiach, wnoszono do oberży na noszach. Im więcej rozmyślała nad tym, tym bardziej się trwożyła. W końcu postanowiła udać się do najwyższej władzy miejscowej i żądać bezzwłocznego aresztowania panów Pickwicka i Tupmana.

Dama w średnim wieku miała wiele powodów, by to uczynić, najważniejszym zaś był ten, iż w ten sposób przekonywała najmocniej pana Magnusa o swym do niego przywiązaniu i o swej dbałości o jego osobę... Znała zbyt dobrze jego zazdrość, by się odważyć na najmniejsze napomknienie o rzeczywistych przyczynach nieporozumienia, sądziła zaś, że usunąwszy pana Pickwicka i nie dopuszczając do dalszych zwad, potrafi złagodzić gniew swego przyszęłego. Więc z głową napełnioną tymi myślami wzięła szal i kapelusz i poszła prosto do mieszkania burmistrza...

Jerzy Nupkins Esq. burmistrz miasta Ipswich, był wielką osobą, tak wielką, iż nawet najlepszy szybkobiegacz nie zdołałby spotkać podobnego mu, choćby szukał od wschodu do zachodu słońca, i to w dniu 21 czerwca, to jest w dniu według kalendarzy najdłuższym w całym roku. Rano tego dnia, o którym była mowa, pan Nupkins był bardzo zirytowany, gdyż w mieście doszło do rewolucji. Chłopcy z największej szkoły uknuli spisek w celu powybijania szyb u jednej z przekupek, wygwizdali strażnika, rzucali kamieniami na policję, która wystąpiła, by stłumić powstanie, była zaś reprezentowana przez człeczynę w butach z wykładanymi cholewami, który to człeczyna pełnił obowiązki policjanta najmniej od pół wieku. Pan Nupkins siedział na kanapie, pałając gniewem i majestatycznie marszcząc brwi, gdy oznajmiono mu, iż jakaś dama chce się z nim rozmówić w interesie osobistym, ważnym i nie cierpiącym zwłoki. Pan Nupkins, przybrawszy postawę spokojną i zarazem groźną, dał rozkaz wprowadzenia damy; rozkaz ten, jak wszystkie rozkazy królów, cesarzy i innych możnych tego świata, został bezzwłocznie wykonany. Miss Witherfield, bardzo wzruszona, stanęła przed wielkim człowiekiem.

— Muzzle! — zawołał urzędnik.

Muzzle był to służący niepoczesnej powierzchowności, z wielkim tułowiem i krótkimi nogami.

— Muzzle!

— Słucham, wasza wielmożność!

— Podaj krzesło i wyjdź z pokoju!

— Słucham, wasza wielmożność!

— Teraz racz pani przedstawić swą sprawę — rzekł burmistrz.

— Bardzo to dla mnie przykre, że muszę mówić o tej sprawie, ale obawiam się, iż odbędzie się tu pojedynek.

— Tu, w Ipswich?

— Tak.

— Pojedynek w Ipswich! — zawołał burmistrz, zdziwiony do najwyższego stopnia. — To być nie może. Nic podobnego nie może się w tym mieście zdarzyć! Czy pani znana jest energia i sprawność władz miejscowych? Czy pani nie słyszała, że czwartego maja bieżącego roku, przybrawszy tylko sześćdziesięciu specjalnych konstablów, rzuciłem się między dwóch bokserów i z narażeniem własnej osoby, wśród rozhukanej tłuszczy, powstrzymałem bójkę między Dumplingiem z Middlesex i Bantamem z Suffolk?

Pojedynek w Ipswich! Nie przypuszczam, by się znalazło dwóch śmiazków, którzy by wazyli się dopuścić takiego gwałtu w tym mieście.

— Na nieszczęście to, co mówię, jest najczystsza prawda — odrzekła dama w średnim wieku. — Byłam obecna przy kłótni.

— To coś niesłychanego! — zawołał zdumiony burmistrz. — Muzzle!

— Słucham, wasza wielmożność!

— Niech tu przyjdzie pan Jinks! Zaraz! Natychmiast!

Muzzle wyszedł.

Błady urzędnik w wieku dojrzałym, z ostrym nosem, lichy odziany i widocznie lichy karmiony, wszedł do pokoju.

— Panie Jinks! — powiedział burmistrz. — Panie Jinks!

— Słucham pana!

— Panie Jinks, ta dama przybyła tu, by zawiadomić nas o pojedynku mającym się odbyć w naszym mieście.

Pan Jinks nie wiedząc, co odpowiedzieć, uśmiechnął się uśmiechem dependenta.

— Z czego się pan śmieje, panie Jinks? — spytał burmistrz.

Pan Jinks natychmiast spowaźniał.

— Panie Jinks — powiedział burmistrz. — Pan jesteś głupi!

Pan Jinks spojrział pokornie na wielkiego człowieka i przygryzł koniec pióra.

— Może pan widzi coś bardzo komicznego w tej wiadomości, ale ja nie! Tu nie ma żadnego powodu do śmiechu!

Wyglodzony człowiek westchnął jak człowiek przekonany, iż rzeczywiście mało ma powodów, by być wesołym. Potem otrzymawszy rozkaz spisania zeznań, usiadł przy biurku.

— To ten Pickwick jest powodem wszystkiego? — zapytał burmistrz, gdy spisano zeznanie.

— Tak jest — odrzekła dama w średnim wieku.

— A ten drugi burzyciel pokoju jak się nazywa?

— Tupman — odrzekł pan Jinks.

— A wyzwany opuścił miasto, jak pani mówi?

— Tak jest — odrzekła dama w średnim wieku, odkaszlnąwszy.

— Bardzo dobrze. To ci dwaj londyńscy awanturnicy przybyli tu, by tępić ludność Jej Królewskiej Mości, sądząc, że ramię sprawiedliwości jest bezwładne w takiej odległości od stolicy! Ale nauczymy ich! Wygotuj pan rozkaz aresztowania, panie Jinks. Muzzle!

— Słucham wasza wielmożność!

— Czy Grummer jest na dole?

— Tak, wasza wielmożność.

— Przyślij go na górę.

Posłuszny Muzzle znikł i prawie natychmiast powrócił z przedstawicielem władzy, który odznaczał się czerwonym nosem, chrypliwym głosem, tabaczkowym surdudem, butami o ogromnych cholewach i błędnym wzrokiem.

— Grummer — zapytał burmistrz — miasto spokojne?

— Dość, wasza wielmożność — rzekł Grummer. — Umysły uspokoiły się, bo chłopcy ze szkoły poszli grać w piłkę.

— Grummer — mówił dalej burmistrz stanowczym tonem — w takich czasach jak obecne skutkują tylko energiczne środki. Jeżeli nie będzie uszanowana władza urzędników królewskich, trzeba odczytać akt o buncie. Jeżeli władza cywilna nie jest w

stanie ochraniać okien, to trzeba, by władza wojskowa ochraniała władzę cywilną i okna. Sądzę, że jest to zgodne z konstytucją, panie Jinks?

— Tak jest, niezawodnie! — odpowiedział pan Jinks.

— Doskonale! — powiedział burmistrz, podpisując rozkaz aresztowania. — Przeprowadzisz mi tych ludzi jeszcze dzisiaj po południu. Grummer! Znajdziesz ich „Pod Wielkim Białym Koniem”. Pamiętaj sprawę Dumplinga z Middlesex i Bantama z Suffolk?

Grummer skinął głową, jak gdyby w ten sposób chciał powiedzieć, że nie zapomni nigdy, co było zresztą bardzo prawdopodobne, ponieważ mu tę sprawę codziennie przypominano.

— Ta sprawa stoi w jeszcze większej sprzeczności z konstytucją! — mówił burmistrz. — Jest jeszcze większym naruszeniem spokoju i pogwałceniem prerogatyw Jej Królewskiej Mości. Chyba się nie mylę, panie Jinks?

— Zagwarantowanych specjalnym paragrafem Magna Charta — powiedział pan Jinks.

— Jest to jeden z największych klejnotów w koronie angielskiej, wymuszony przez baronów na Jej Królewskiej Mości. Chyba się nie mylę, panie Jinks?

— Ani trochę! — odparł Jinks.

— Doskonale — powiedział burmistrz, powstając dumnie. — Prerogatywa ta nie będzie pogwałcona w tej części kraju! Grummer! Dobierz sobie pomoc i wykonaj rozkaz w najkrótszym czasie! Muzzle!

— Jestem, wasza wielmożność!

— Wyprowadź tę damę!

Panna Witherfield oddaliła się pod wrażeniem mądrości i energii burmistrza. Pan Nupkins poszedł na śniadanie. Pan Jinks wszedł w siebie — było to jedyne miejsce, gdzie mógł wejść, posiadał bowiem tylko prawo do małej sofy w nocy. Sofa ta stała w pokoju, który za dnia służył gospodarzom za bawialnię.

Pan Grummer poszedł przelać otrzymane polecenie na innego przedstawiciela Jej Królewskiej Mości, pedela, co było zresztą jego zwyczajem.

Podczas gdy czyniono tak wielkie przygotowania, by utrzymać spokój w posiadłościach Jej Królewskiej Mości, pan Pickwick i jego przyjaciele, nie przewidując gotujących się wypadków, siedzieli przy doskonałym obiedzie i najswobodniejsza wesołość panowała w całym towarzystwie. Właśnie pan Pickwick miał opowiedzieć swe zabawne przygody nocne, gdy otworzyły się drzwi i ukazała się w nich dziwna fizys, która utkwiała błędne oczy w panu Pickwicku. Następnie cały tułów należący do tej dziwnej figury wtoczył się do sali. Fizys, błędne oczy i tułów należały do Grummera.

Miejscowy przedstawiciel władzy postępował legalnie, ale w sposób dość osobliwy. Pierwszą jego czynnością było zamknięcie drzwi od środka, drugą staranne wytarcie sobie twarzy chustką, trzecią włożenie rzeczony chustki do kapelusza, czwartą na koniec wydobyć z kieszeni krótkiej pałeczki z miedzianą koroną, którym to instrumentem skinął na pana Pickwicka niby jakaś zjawą.

Pan Snodgrass pierwszy przerwał milczenie, przez kilka minut wpatrywał się w pana Grummera, potem powiedział z uśmiechem:

— To jest pokój prywatny, mój panie, prywatny pokój...

Grummer potrząsnął głową i odrzekł:

— Nie ma prywatnych pokoi dla Jej Królewskiej Mości, skoro raz przekroczone drzwi od ulicy. Tak mówi prawo. Wielu ludzi utrzymuje, że dom Anglika jest jego twierdzą. Bzdura.

Pickwickczycy spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Który tu jest pan Tupman? — zapytał pan Grummer. — Pana Pickwicka dzięki swej intuicji poznałem sam od razu.

— Ja nazywam się Tupman.

— A ja nazywam się Prawo — odpowiedział Grummer.

— Co? — zapytał pan Tupman.

— Prawo — powtórzył Grummer. — Prawo, władza cywilna i wykonawcza; taki jest mój tytuł. A oto mój rozkaz: Tupman (chrzestne imię *in blanco*), Pickwick (*idem*), jako burzyciele pokoju Jej Królewskiej Mości, na zasadzie statutów i rozporządzeń... Wszystko w porządku. A więc aresztuję was, wyżej rzeczonych Tupmana i Pickwicka.

— Co znaczy to zuchwalstwo? — zawołał pan Tupman, wstając. — Wynoś mi się pan stąd natychmiast!

— Oho! — zawołał Grummer, szybko cofając się ku drzwiom i otwierając je. — Dubbley!

— Jestem! — odezwał się gruby głos z korytarza. I w tejże chwili wsunął się przez drzwi człowiek wysokości sześciu stóp i odpowiedniej objętości.

— Dubbley — powtórzył Grummer — czy inni konstable do szczególnych pouczeń są w pogotowiu?

Dubbley odpowiedział twierdząco.

— Niech wejdzie oddział będący pod twoją komendą!

Dubbley spełnił rozkaz. Pół tuzina drabów z krótkimi pałeczkami zakończonymi miedzianą koroną wpakowało się do pokoju. Pan Grummer schował swą pałeczkę i spojrzał na Dubbleya.

Dubbley schował swą pałeczkę i spojrzał na oddział; oddział schował swe pałeczki i patrzył na panów Tupmana i Pickwicka.

Filozof i jego zwolennicy zerwali się jak jeden mąż.

— Co znaczy to pogwałcenie mieszkania? — zawołał pan Pickwick.

— Kto śmie mnie aresztować? — zapytał pan Tupman.

— Czego tu chcecie, łajdaki? — zapytał pan Snodgrass. Pan Winkle nie powiedział nic, ale spojrzał na Grummera wzrokiem, który by mógł przedziurawić mu mózg i wyjść drugą stroną, gdyby konstabl nie miał głowy twardszej niż żelazo; dzięki tej okoliczności wzrok pana Winkle'a nie spowodował żadnego widocznego skutku.

Gdy wykonawcy prawa spostrzegli, iż pan Pickwick i jego przyjaciele gotowi są stawić opór prawej władzy, natychmiast zakasali rękawy w sposób wielce znaczący, jakby to z natury rzeczy należało do ich zawodu i rozumiało się samo przez się, iż aresztowanych należy najpierw powalić na ziemię, a potem dopiero uprowadzić ze sobą. Demonstracja ta nie uszła uwagi pana Pickwicka. Odbył on na stronie krótką konferencję z panem Tupmanem, następnie zaś oświadczył, iż gotów jest udać się do rezydencji burmistrza, dodał jednak, iż bierze na świadków wszystkich obecnych gentlemanów, jak szkaradnie pogwałcone zostały prawa Anglika, i że będzie żądał zadośćuczynienia, jak tylko odzyska wolność. Usłyszawszy to oświadczenie wszyscy obywatele wybuchnęli głośnym śmiechem — wszyscy z wyjątkiem Grummera, który uważał, że najmniejsza krytyka świętych zarządzeń każdego urzędnika jest rodzajem bluźnierstwa i że nie należy jej tolerować.

Kiedy pan Pickwick podpisał zgodę na poddanie się prawom obowiązującym w jego ojczyźnie, a pokojówki, posługacze, oberżyscy i pocztylioni zaczęli się rozchodzić, zawiedzeni w nadziei na doskonałą zabawę wobec sporu gentlemanów, nastąpiły

trudności, których nie przewidziano, ponieważ pan Pickwick nie chciał iść piechotą do burmistrza.

Pomimo swego szacunku dla władzy pan Pickwick oświadczył stanowczo, iż nie ukaże się na ulicy otoczony jak jaki złoczyńca sługami sprawiedliwości. Równie stanowczo oświadczył pan Grummer, że wobec ogólnego wzburzenia umysłów (było właśnie półświęto i chłopcy nie wrócili jeszcze do domu) nie zgadza się iść drugą stroną ulicy i wziąć od pana Pickwicka słowo honoru, że ten uda się wprost do burmistrza. Tak on, jak i pan Tupman stanowczo odmówili też płacenia za powóz pocztowy. Dysputa trwała długo i stała się bardzo gorąca. Doszło do tego, iż wobec odmowy pana Pickwicka, by pójść piechotą do pana burmistrza, władza wykonawcza była już gotowa użyć bardzo prostego sposobu, to jest zaciągnąć go tam, gdy ktoś z obecnych przypomniał sobie, że na dziedzińcu znajduje się lektyka, zrobiona kiedyś dla pewnego bardzo otyłego gentlemiana cierpiącego na podagrę; dzięki temu środkowi lokomocji, panów Pickwicka i Tupmana będzie można równie dobrze dostawić na miejsce jak nowoczesnym powozem pocztowym, gdyż lektyka łatwo może pomieścić obu delikwentów.

Wydobyto więc i sprowadzono lektykę; panowie Pickwick i Tupman wsiedli do niej i zapuścili firanki, znaleziono kilku tragarzy, po czym cały orszak w bojowym szyku ruszył naprzód. Specjalni konstable otaczali lektykę, przed nią z tryumfem szli Grummer i Dubbley, panowie Snodgrass i Winkle, wzięwszy się pod rękę, postępowali za lektyką, a uliczna hałastrą stanowiła straż tylną.

Mieszkańców miasta, choć nie wiedzących dokładnie, o co chodzi, widowisko to bardzo zbudowało. Upatrywali oni w tym niezmordowane ramię prawa, które spadło z siłą dwudziestu pras hydraulicznych na dwóch łotrów z samej stolicy państwa. Dzięki potężnej maszynie, wprawionej w ruch przez ich własną straż, wpakowano do miejsca bynajmniej nie przestronnego dwóch złoczyńców. Licznymi oznakami uwielbienia witano Grummera prowadzącego pochód z pałeczką w ręku, długie i głośnie były też okrzyki ulicznej hałastry i tak wśród oznak powszechnego uznania orszak posuwał się naprzód, wolno i uroczyście. Sam Weller, ubrany w ranną kurtkę, z czarnymi bufiastymi rękawami, wracał właśnie tą drogą. Był w bardzo złym humorze, gdyż bez żadnego skutku wpatrywał się długi czas w dom za zieloną furtką. Wtem podniósł oczy i ujrzał tłum otaczający przedmiot bardzo przypominający lektykę. Chcąc rozerwać się po niepowodzeniu, jakie go spotkało, stanął na boku, żeby przepuścić hałastrę, a widząc, że czegoś się cieszy, postanowił również cieszyć się, ile się tylko da.

Przeszedł Grummer, przeszedł Dubbley, przeszła lektyka i przeszła eskorta, a Sam wciąż brał udział w radości tłumu. Machał kapeluszem, jak gdyby spotkało go coś niesłychanie miłego (choć nie miał pojęcia, o co właściwie chodziło). Wtem nagle zatrzymał się, ujrzawszy panów Snodgrassa i Winkle'a.

— Co się stało, panowie — zapytał — kogo to wsadzono do tej żałobnej skrzynki?

Dwaj przyjaciele odpowiedzieli jednocześnie, ale głos ich zginął w zgiełku tłumu.

— Kto tam jest w środku? — znowu zapytał Sam.

Dano powtórna odpowiedź. Tym razem Sam usłyszał wyraz: Pickwick.

Tego było mu dość. W jednej chwili bohaterski sługa utorował sobie drogę przez tłum, zatrzymał niosących lektykę i zwrócił się do Grummera:

— Hej! Stary! Coś ty tam upakował w tym pudle?

— Na bok! — zawołał majestatycznie pan Grummer, którego powagę, jak i wielu innych ludzi, wydał teraz wiatr popularności.

— Dajcie mu w łeb, jeżeli nie ustąpi! — zawołał Dubbley.

— Bardzo ci dziękuję — odezwał się Sam — żeś mię raczył zauważyć, a jeszcze bardziej wdzięczny jestem za propozycję temu drugiemu jegomościowi, który wygląda, jakby uciekł z jakiej karawany olbrzymów, ale wolałbym, byście odpowiedzieli na moje pytanie. Jak się pan ma?

Ten ostatni zwrot, ogłoszony z miną protekcyjną, zwrócony był do pana Pickwicka, którego okulary ukazały się zza firanek.

Grummer, oniemiały z oburzenia, mignął przed oczami Sama pałeczką z koroną.

— A! — zawołał Sam — to ładna sztuczka, zwłaszcza korona: bardzo podobna do królewskiej.

— Na bok! — krzyknął znów obrażony dowódca i dla nadania większej siły temu rozkazowi dotknął metalowym symbolem szyi Sama i pochwycił go za rękę.

Bohater nasz odpowiedział na ten komplement powaleniem jego autora na ziemię, wywróciwszy przedtem jednego z niosących lektykę, by mu służył za podściółkę.

Czy pana Winkle'a opanował wówczas jakiś szal na widok takiego czynu, czy też uniósł się męstwem Sama, to rzecz niewyjaśniona; to pewna jednak, iż ujrzawszy padającego Grummera, wykonał napad na jakiegoś malca, stojącego tuż przy nim. Pan Snodgrass, powodowany uczuciem prawdziwie rycerskim, pragnąc nie używać żadnych podstępów, oświadczył głośno, iż zaczyna; toteż został natychmiast przytrzymany, właśnie w chwili, gdy bardzo oględnie zabierał się do zdjęcia surduta. Zresztą, by oddać sprawiedliwość, tak jemu, jak i panu Winkle'owi, musimy tu oświadczyć, iż obaj nie czynili żadnych usiłowań, by się bronić lub wyswobodzić Sama. Ten zaś, choć bronił się energicznie, uległ przewadze i został wzięty do niewoli. Orszak znów się uszykował, tragarze zajęli swe miejsca i wszystko ruszyło dalej.

Przez cały czas trwania tych operacji pan Pickwick nie posiadał się z oburzenia. Z pomocą swego towarzysza zdołał wreszcie podnieść dach lektyki, wy dostał się na siedzenie, podniósł się, ile się dało, i wsparty na ramieniu pana Tupmana, począł przemawiać do tłumu. Brał go na świadka, iż służący jego został pierwszy napadnięty, wymownie rozwodząc się nad brutalnością, z jaką traktowano Sama.

W ten sposób karawana doszła do rezydencji burmistrza. Na przodzie urzędnicy, za nimi więźniowie, przy czym pan Pickwick przemawiał, a tłum krzyczał.

Rozdział dwudziesty piąty **który opisuje, oprócz innych przyjemnych zdarzeń, jak** **majestatyczny i bezstronny był pan Nupkins, jak pan** **Weller szybko odbił piłeczkę rzuconą przez Hioba oraz** **inne zdarzenia, które znajdują się w odpowiednim** **miejscu**

Gwałtowne było oburzenie pana Sama Wellera, gdy go zabrano przemocą. Liczne były też aluzje, które czynił do wyglądu i zachowania pana Grummera oraz jego towarzyszy. Nieustraszone były wyzwania, które rzucał pod adresem sześciu podwładnych *minorum gentium*. Pan Snodgrass i pan Winkle słuchali z ponurym skupieniem ducha potoku wymowy spływającego z ust ich mentora przez otwór w lektyce (pan Tupman czynił bezowocne wysiłki zmierzające do przerwania tego potoku przez zamknięcie lektyki). Ale gniew pana Wellera ustąpił ciekawości, gdy orszak wszedł na podwórze, na którym spotkał był Hioba Trottera. Ciekawość zaś ustąpiła uczuciu zdumienia, gdy potężny Grummer, kazawszy ludziom niosącym lektykę przystanąć, poważnym krokiem ruszył ku zielonej furtce, z której rano wynurzył się Hiob, i pociągnął mocno za rączkę dzwonka. Na ten głos wybiegła ładna i fertyczna pokojówka i podniosła ręce ku niebu na widok buntowniczej postawy więźniów, niemniej jednak zdumiona była potokiem wymowy pana Pickwicka. Potem przywołała Muzzle'a. Muzzle otworzył połowę furtki, żeby mogła wejść lektyka, uwięzieni i konstable, po czym zatrzasnął ją natychmiast przed nosem pospólstwa; oburzona tym, a rozciekawiona hałastrą, ulżyła sobie bijąc w bramę i dzwoniąc przez dobrych parę godzin. W zabawie tej brali udział kolejno wszyscy, z wyjątkiem trzech czy czterech szczęśliwców, którzy odkrywszy w ścianie zakratowane okienko, przez które nic nie było widać, patrzyli przez nie z niezmordowaną wytrwałością, z jaką ludzie płaszcą nosy o szybę apteki, wiedząc, że w głębi prywatnego mieszkania aptekarza umiera pijak przejechany na ulicy przez wóz.

Lektyka zatrzymała się przed kamiennymi schodami wiodącymi do domu i strzeżonymi po obu stronach przez dwa aloesy w zielonych skrzyniach. Wysadzony w tym miejscu, pan Pickwick ze swymi przyjaciółmi został natychmiast przyprowadzony przed oblicze czujnego pana Nupkinsa.

Scena, która się teraz rozegrała, była ogromnie przejmująca i dobrze obliczona na przerażenie winowajców i danie wysokiego wyobrażenia o surowym majestacie prawa. Za ogromnym stołem, w ogromnym krześle, wsparty na ogromnej księdze, zasiadł pan Nupkins, jeszcze bardziej ogromny, jak się zdawało, niż wszystkie te przedmioty razem wzięte. Z boku, przy stole, ukazała się głowa pana Jinksa, zajętego nadawaniem sobie miny człowieka bardzo zajętego. Po wprowadzeniu orszaku Muzzle zamknął drzwi i stanął za krzesłem swego pana, sam zaś pan Nupkins, z wielką powagą odchyliwszy się w tył, badał wzrokiem wprowadzonych delikwentów.

Pan Pickwick, przedstawiciel swych przyjaciół, stał z kapeluszem w ręku, kłaniając się z pełną szacunku grzecznością.

— Co to za jeden? — zapytał pan Nupkins wskazując palcem na filozofa.

— To Pickwick, wasza wielmożność — odrzekł Grummer.

— No, no, daj spokój, stary burczymucho — przerwał Sam, z pomocą łokci wysuwając się ku przodowi — bardzo przepraszam pana, ale ten urzędnik pański nie nadaje się wcale na mistrza ceremonii. To jest — mówił dalej, odpychając Grummera i zwracając się ku burmistrzowi z uprzejmą familiarnością — to jest pan Samuel Pickwick Esq., to pan Tupman, to pan Snodgrass, a dalej, po drugiej stronie, obok niego, pan Winkle, gentlemani bardzo mili w obejściu, z którymi, gdy się pan pozna, będzie to pan uważał za prawdziwą przyjemność. Toteż, im prędzej pan odpędzi tego zakrystiana, tym prędzej staniemy się dobrymi przyjaciółmi. Zresztą, najpierw interes, potem rozrywka — jak powiedział król Ryszard III, gdy w Towerze zamordował już poprzedniego króla, a jeszcze nie podusił jego synów.

Ukończywszy to przemówienie, Sam począł wycierać sobie łokciem kapelusz i kiwnął panu Jinksowi, który słuchał poprzednich słów z niewysłowionym przerażeniem.

— Co to za człowiek, Grummer?! — zawołał burmistrz.

— Bardzo niebezpieczny złoczyńca, wasza wielmożność. Chciał uwolnić więźniów i atakował organa władzy. Dlatego też przytrzymałem go.

— Dobrześ zrobił. To widocznie zuchwały bandyta.

— To mój służący, panie — rzekł pan Pickwick z pewnym oburzeniem.

— A! Służący! — odpowiedział pan Nupkins. — Spisek celem powstrzymania biegu sprawiedliwości i wymordowania jej organów. Służący Pickwicka. Zapisz pan to, panie Jinks!

Pan Jinks zapisał.

— Jak się nazywasz?

— Weller — odpowiedział Sam.

— Doskonale nazwisko! W sam raz do spisu w New Gate! — powiedział pan Nupkins. Był to żart. Więc Jinks, Grummer, Dubbley i konstable oraz Muzzle wybuchnęli śmiechem i śmiali się przez jakieś pięć minut.

— Zapisz pan, panie Jinks! — powiedział burmistrz.

— Przez dwa l, stary krogulcze — dodał Sam.

W tej chwili jeden z konstablów niefortunnie wybuchnął śmiechem, za co burmistrz kazał go niezwłocznie wyrzucić. Niebezpieczna to rzecz w takich wypadkach śmiać się nie na miejscu!

— Gdzie mieszkasz?

— Tam, gdzie jestem — odparł Sam.

— Zanotuj pan to, panie Jinks! — zawołał burmistrz, którego gniew nagle się wzmógł.

— A nie zapomnij pan podkreślić! — dodał Sam.

— To włóczęga, panie Jinks — mówił burmistrz. — Włóczęga według własnego zeznania, nieprawdaż, panie Jinks?

— Niezawodnie, panie burmistrzu!

— A więc aresztuję go. Aresztuję za włóczęgotwo! — powiedział pan Nupkins.

— Bardzo sprawiedliwy i bezstronny jest sąd w tym kraju! — powiedział Sam. — Przydałaby się burmistrzowi koza przynajmniej dwa razy częściej niż innym ludziom!

Usłyszawszy to jeden z konstablów do szczególnych poruczeń wybuchnął głośnym śmiechem, ale natychmiast przybrał minę tak nienaturalnie poważną, że burmistrz bez trudu odgadł, kto się śmiał.

— Grummer! — zawołał burmistrz, czerwony z gniewu. — Jak śmiesz wybierać na konstablów ludzi nieodpowiedzialnych i nieodpowiednich, jak ten tutaj? Jak śmiesz?

— Bardzo mi przykro, wasza wielmożność!

— Przykro! — z wściekłością zawołał burmistrz. — Odpowie mi pan za to zaniedbanie obowiązków, panie Grummer! Muszę dać przykład! Zabrać mi tamtego! Jest pijany. Jesteś pijany.

— Nie jestem pijany, wasza wielmożność! — powiedział konstabl.

— Jesteś pijany — odpowiedział dobitnie burmistrz. — Jak śmiesz twierdzić, że nie jesteś pijany, kiedy ja ci mówię, że jesteś?! Przecież zalatuje od niego rumem! Sam powiedz, Grummer!

— Strasznie, wasza wielmożność! — powiedział Grummer, któremu rzeczywiście zdawało się, że, skądś zalatuje rumem

— Wiedziałem, że jest pijany! — mówił pan Nupkins. — Poznałem to po jego błyszczących oczach; jak tylko wszedł do pokoju! Zauważył pan, jak mu błyszczały oczy, panie Jinks?

— Naturalnie, panie burmistrzu!

— Nie miałem dzisiaj od rana kropli w ustach! — tłumaczył się konstabl, który był najtrzeźwiejszy pod słońcem.

— Jak śmiesz łąć mi w oczy! — oburzył się pan Nupkins.

— Oczywiście, panie burmistrzu — odpowiedział pan Jinks.

— Panie Jinks, aresztuję tego człowieka za użyczenie mi! Napisz pan odpowiedni rozkaz! I konstabl zostałby aresztowany, gdyby nie to, że pan Jinks, doradca pana Nupkinsa, znający prawo lepiej od niego (miał trzyletnią praktykę w biurze jednego z adwokatów miejscowych), powiedział cicho do burmistrza, że tak czynić nie wolno. Wobec tego burmistrz palnął długą mowę i oznajmił, że przez wzgląd na rodzinę konstabla zmienia wyrok i po udzieleniu mu nagany zwalnia go ze służby. Potem przez pół godziny jeszcze łajał konstabla i w końcu kazał mu odejść. Grummer zaś, Dubbley i Muzzle oraz inni konstable szeptem unosili się nad wielkodusznością Nupkinsa.

— Teraz, panie Jinks, niech Grummer złoży przysięgę — rzekł burmistrz.

Grummer został bezzwłocznie zaprzysiężony, a ponieważ gmatwał się, a obiad u pana Nupkinsa był już gotów, więc spisanie zeznań tego znakomitego przedstawiciela władzy odbyło się bardzo szybko. Samowi Wellerowi udowodniono gwałt publiczny, panu Winkle'owi pogróżki, panu Snodgrassowi czynny opór. Po dokonaniu tego burmistrz i pan Jinks odbyli cichym głosem naradę. Następnie burmistrz odkasznął, zamierzając przemówić do pana Pickwicka, gdy ten odezwał się pierwszy:

— Przepraszam pana — powiedział — ale nim wyda pan wyrok, mam prawo żądać, by i mnie także wysłuchano, przynajmniej w kwestii dotyczącej mnie osobiście.

— Milcz pan — zawołał burmistrz — albo każę pana zaprowadzić do więzienia.

— Może pan to uczynić, niemniej jednak mam prawo żądać, by mię wysłuchano, żądać tego będę tak długo, dopóki nie zostaną wyprowadzony siłą.

— Wiwat zasady! — zawołał Sam.

— Sam! Bądź cicho — rzekł pan Pickwick.

— Będę niemy jak przedziurawiony bęben — rzekł Sam.

Pan Nupkins, zdziwiony takim niesłychanym zuchwalstwem, już miał odpowiedzieć z największą surowością, gdy pan Jinks pociągnął go za rękaw i szepnął mu coś do ucha. Widocznie coś mu tłumaczył, gdyż burmistrz po chwili ostrym tonem zapytał tylko pana Pickwicka:

— Co ma pan do powiedzenia?

— Naprzód — odrzekł filozof, rzucając przez okulary na pana Nupkinsa wzrok, od którego ten dostojnik zmieszał się — naprzód chciałbym wiedzieć, dlaczego ja i moi przyjaciele zostaliśmy tu przyprowadzeni?

— Czy mam mu to powiedzieć? — szepnął burmistrz do pana Jinksa.

— Sądzę, że należy powiedzieć — szepnął Jinks.

— Zeznano przede mną pod przysięgą, iż zachodzi obawa, byś się pan tu nie pojedykował, i że ten drugi, Tupman, jest współwinny w tej sprawie; dlatego też... co, panie Jinks?

— Tak, tak — potwierdził Jinks.

— Dlatego też skazuję obu panów na... sądzę, że tak, panie Jinks?

— Tak, panie.

— Skazuję na... na co, panie Jinks? — z niezadowoleniem zapytał burmistrz.

— Na przedstawienie poręczycieli — szepnął Jinks.

— Tak, na przedstawienie poręczycieli, jak miałem powiedzieć, gdy mi przerwał mój sekretarz.

— Pewnych poręczycieli — szepnął znów pan Jinks.

— Żądam dwóch pewnych poręczycieli — dodał burmistrz.

— Obywateli tutejszych — szepnął pan Jinks.

— Muszą to być obywatele tutejsi — powtórzył burmistrz.

— I właściciele nieruchomości; z kaucją po pięćdziesiąt gwinei.

— Żądam od nich dwóch kaucji, każda po pięćdziesiąt gwinei — mówił dalej burmistrz donośnym głosem i z wielką powagą. — Naturalnie muszą to być właściciele nieruchomości.

— Ale, panie — zauważył pan Pickwick, tak samo jak pan Tupman przejęty oburzeniem i zdziwieniem — ale my tu jesteśmy zupełnie obcy i tyle mamy znajomych między właścicielami tutejszych nieruchomości, co ochoty do pojedykowania się.

— Znamy to, znamy! — rzekł burmistrz — czy tak, panie Jinks?

— Tak, panie.

— Czy ma pan co jeszcze do powiedzenia — spytał burmistrz.

Pan Pickwick miał jeszcze bardzo wiele do powiedzenia i powiedziałby to z małym pożytkiem dla swojej sprawy, a z nie większym zadowoleniem burmistrza, gdyby Sam nie był go za rękaw pociągnął na stronę i nie rozpoczął rozmowy tak interesującej, że filozof nie słyszał pytania pana Nupkinsa. Pan Nupkins nie był człowiekiem, który by takie pytanie zadawał dwa razy. Odchrząknął więc w sposób przygotowawczy i ferował wyrok wśród pełnego szacunku milczenia konstablów.

Wyrok skazywał Samuela Wellera na dwie gwinee za pierwszy gwałt i na trzy za drugi, pana Winkle'a na dwie gwinee, pana Snodgrassa na jedną, przy czym wszyscy mieli przysiąc, że nie popełnią gwałtu na żadnym poddanym Jej Królewskiej Mości, zwłaszcza na jej oddanym słudze, panu Danielu Grummerze. Panowie Pickwick i Tupman mieli złożyć poręczenie.

Gdy burmistrz przestał mówić, pan Pickwick nadał swej fizjonomii wyraz uśmiechnięty, zrobił krok naprzód i rzekł:

— Proszę pana burmistrza o udzielenie mi kilkuminutowej rozmowy na osobności. Chodzi o sprawę bardzo ważną dla niego samego.

— Co? — zawołał pan Nupkins.

Pan Pickwick powtórzył swe żądanie.

— Szczególne żądanie! — zawołał burmistrz.

— Proszę o rozmowę na osobności! — powtórzył pan Pickwick z mocą — a ponieważ od mego służącego dowiedziałem się o tym, co mam panu zakomunikować, żądam więc, by i on był obecny przy tej rozmowie.

Burmistrz spojrział na pana Jinksa; pan Jinks spojrział na burmistrza, konstable spojrzeli po sobie. Pan Nupkins zbladł. Może ten Weller, w chwili gdy go sumienie ruszyło, przyznał się do spisku na życie burmistrza! To była straszna myśl! Bo przecież pan Nupkins był oficjalną osobistością. Pomyślał o Juliuszu Cezarze, o panu Percevalu i zbladł jeszcze więcej. Potem spojrział na pana Pickwicka i skinął na pana Jinksa.

— Co pan myśli o tym żądaniu? — spytał cicho.

Pan Jinks nie wiedział, co ma o tym myśleć, ale bojąc się swego patrona, uśmiechnął się tylko w sposób wyrażający powątpiewanie, potem zaś pochylił głowę.

— Panie Jinks — rzekł wtedy burmistrz z powagą — pan jesteś osioł.

Usłyszawszy to lakonicznie wyrażone zapatrywanie, pan Jinks uśmiechnął się jeszcze raz, słabiej niż poprzednio, i odszedł na bok.

Przez pewien czas pan Nupkins zastanawiał się sam, co ma robić, wreszcie wstał z miną stanowczą i wezwał pana Pickwicka i Sama do przyległego pokoju. Tam dał im znak, by podeszli aż do okna, a sam został u wejścia, trzymając się wpółprzymkniętych drzwi, by w razie potrzeby móc się wycofać. Potem oznajmił, iż gotów jest wysłuchać ich oświadczeń.

— Panie — rzekł pan Pickwick — przechodzę prosto do sprawy, gdyż idzie o rzecz, która dotyczy przede wszystkim pańskiej osoby i jego honoru. Mam wszelkie powody, by przypuszczać, iż przyjmuje pan w swoim domu nikczemnego oszusta.

— Dwóch! — przerwał Samuel. — Fioletowy przewyższa wszystkich, jeżeli chodzi o mazgajstwo i oszukaństwo!

— Samie! — powiedział pan Pickwick. — Jeżeli mam rzecz jasno wyłożyć panu burmistrzowi, proszę cię, pohamuj się!

— Bardzo pana przepraszam — powiedział Sam — ale kiedy mowa o tym Hiobie, nie mogę się powstrzymać, żeby nie wtrącić kilku uwag.

— Jednym słowem — ciągnął filozof — proszę powiedzieć, czy mój służący nie myli się przypuszczając, że niejaki kapitan Fitz-Marshall przebywa w domu pana? Pytam pana o to, ponieważ... — ciągnął pan Pickwick widząc, że pan Nupkins chce mu przerwać gestem niezadowolenia — ponieważ wiem, że ten człowiek jest... jest...

— Cicho... ciszej... panie — przerwał pan Nupkins, zamykając drzwi. — Powiada pan, że człowiek ten jest...

— Jest włóczęgą bez żadnych zasad, nędznym awanturnikiem żyjącym na koszt społeczeństwa i oszukującym łatwowiernych...

— Niech nas Bóg ma w swojej opiece! — zawołał pan Nupkins rumieniąc się i zmieniając całkiem swoje zachowanie — niech nas Bóg ma w swojej opiece, panie...

— Pickwick — dopowiedział Sam.

— Panie Pickwick — powtórzył burmistrz — siadaj pan, proszę. Co pan mówi? Kapitan Fitz-Marshall...

— Nie jest ani kapitanem, ani Fitz-Marshall — przerwał Sam. — To komediant nazwiskiem Jingle, a jeżeli kiedy wilk chodził w fioletowym ubraniu, to był nim niezawodnie Hiob Trotter.

— Tak jest — dodał pan Pickwick, odpowiadając na spojrzenie burmistrza. — Jedynym powodem, dla którego przybyłem do Ipswich jest zdemaskowanie tego łotra, o którym mówimy.

Tu pan Pickwick opowiedział krótko wszystkie niegodziwości pana Jingle'a; jak się z nim zaznajomił, jak Jingle uwiódł pannę Wardle, jak chętnie zrzekł się jej za pieniężne wynagrodzenie; jak wplątał pana Pickwicka w nocną wyprawę i jak on, pan Pickwick, czuje się w obowiązku zedrzyć z tego nikczemnika maskę, nazwisko i tytuł przybrane obecnie.

W miarę jak się rozwijało powyższe opowiadanie, wszystka krew, zwykle krążąca w ciele pana Nupkinsa, zbierała się w żyłach jego twarzy aż po końce uszu. Zaznajomił się on z kapitanem na wyścigach w sąsiedztwie, zaprosił go do siebie, przedstawił pani Nupkins i pannie Nupkins. Te, zachwycone długą listą arystokratycznych znajomości kapitana, jego dalekimi podróżami i wykwinnym obejściem, rozpływały się nad nim, występowały z nim wszędzie, chełpiły się przed znajomymi tak, że serdeczni ich przyjaciele, pani Porkenham i panny Porkenham oraz pan Sidney Porkenham, omal nie pękli z zazdrości i rozpacz. A po tym wszystkim okazuje się teraz, iż był to nędzny awanturник, wędrowny aktor i jeżeli nie oszust, to przynajmniej coś tak podobnego do oszusta, iż trudno było dopatrzeć się różnicy. Sprawiedliwe nieba! Co powiedzą teraz Porkenhamowie! Co to będzie za triumf dla Sidneya Porkenhama, którego konkury odrzucono dla kapitana! Jak pan Nupkins ośmielił się spojrzeć w oczy staremu Porkenhamowi na przysłym posiedzeniu sędziów przysięgłych? A jeżeli się rozgłosi, cóż to będzie za materiał dla opozycji!

Nastąpiło długie milczenie.

— Ale z tym wszystkim — zawołał pan Nupkins rozpromieniony na chwilę — są to tylko przypuszczenia. Kapitan Fitz-Marshall ma maniery bardzo wytworne, ale mógł zrobić sobie wielu nieprzyjaciół. Czym pan udowodni prawdziwość swych oskarżeń?

— Niech pan nas obu postawi oko w oko; więcej nie wymagam. Niech stanie przede mną i moimi przyjaciółmi. Czy potrzeba innych dowodów?

— To będzie bardzo łatwo, gdyż kapitan ma tu przyjść dziś wieczorem. Wtedy nie będzie trzeba rozgłaszać całej sprawy w interesie... tylko w interesie tego młodego człowieka. W każdym razie... chciałbym się wpiery porozumieć z panią Nupkins, czy krok taki byłby właściwy. Ale przede wszystkim, panie Pickwick, musimy załatwić sprawę urzędową. Więc zechce pan powrócić do sali.

Gdy się tam zainstalowano, burmistrz zawołał majestatycznie:

— Grummer!

— Jestem — odpowiedział Grummer z uśmiechem faworyta.

— No, no — rzekł burmistrz surowo — to nie miejsce na śmieszki; tu nie ma powodu do śmiechu. Czy zeznanie, które niedawno złożył pan, jest zupełnie zgodne z prawdą? Uważaj pan, co masz odpowiedzieć!

— Wasza wielmożność — wybełkotał Grummer...

— A! Mieszasz się! Panie Jinks, czy pan widzi, jak on się miesza?

— Widzę, panie.

— No, Grummer, powtórz swe zeznanie; ale uprzedzam cię, miej się na ostrożności! Panie Jinks, spisuj pan, co będzie mówił.

Nieszczęśliwy Grummer począł powtarzać swe oskarżenie. Ale pan Jinks tak podchwytował jego wyrazy, burmistrz tak je przekręcał, iż w trzy niespełna minuty Grummer zaplątał się i rzecz tak powikłał, iż pan Nupkins stanowczo oświadczył, że niczemu nie wierzy. Wskutek tego kary zostały zniesione, a pan Jinks znalazł bezzwłocznie dwóch poręczycieli. Po ukończeniu tych czynności Grummer został

oddalony: straszliwy przykład, jak niestała jest wielkość ludzka i jak mało należy ufać łasce tego świata.

Pani Nupkins była kobietą majestatyczną, w turbanie z niebieskiej gazy i kosztownej peruce. Panna Nupkins posiadała wszystko, co było po matce wysokie, z wyjątkiem turbanu, i wszystko, co było fałszywe, z wyjątkiem włosów. Otóż za każdym razem, gdy manifestowanie tych dwóch miłych właściwości stawiało matkę i córkę w niemiłym położeniu, co zdarzało się dość często, obie sprzymierzały się i zwały wszystko na barki pana Nupkinsa. Gdy ten udał się obecnie do swej żony i powtórzył jej to, co słyszał od pana Pickwicka, pani Nupkins przypomniała sobie, iż zawsze podejrzewała coś podobnego, że zawsze mówiła, iż na tym się skończy, ale nigdy nie chciano jej słuchać, że nie wie, doprawdy, za co ją pan Nupkins ma, itd., itd.

— Czy to możliwe! — zawołała panna Nupkins, fabrykując w kątach oczu po jednej łzie bardzo chudych rozmiarów — czy podobna, by mnie narażano na taką śmieszność!

— Podziękuj papie! — odrzekła pani Nupkins. — Ileż to razy prosiłam go, by zasięgnął wiadomości o rodzinie kapitana! Żeby też raz zdobył się na coś stanowczego!

— Ależ moja kochana... — zauważył pan Nupkins.

— Nie mów do mnie, nieznośny człowieku!

— Moja droga! Tak lubiłaś kapitana Fitz-Marshalla, ciągle go zapraszałaś, przy każdej sposobności wprowadzałaś do domów naszych przyjaciół...

— Czyż nie mówiłam, Henryko! — zawołała pani Nupkins, zwracając się do córki z miną kobiety ciężko obrażonej — czyż nie mówiłam, iż twój ojciec wszystko na mnie zwali?...

Tu pani Nupkins zalała się łzami.

— O, papo! — zawołała panna Nupkins tonem wyrzutu i także zalała się łzami.

— Czy tego nie za wiele — łkała pani Nupkins — czy nie za wiele już tego, że zarzuca mi się, iż ja jestem przyczyną wszystkiego, kiedy to on właśnie wystawił nasz dom na śmiech!

— Jak się teraz pokażemy w towarzystwie? — szepnęła panna Nupkins.

— Jak spojrzymy w oczy Porkenhamom?

— Albo Griggom...

— Albo Slummintowkensom? Ale cóż to obchodzi twego ojca! Na tę straszną myśl pani Nupkins zaczęła tak płakać, jak płakać mogą tylko serca rozdarte boleścią, a panna Nupkins poszła w jej ślady.

Łzy pani Nupkins nie przestawały lać się bardzo obficie aż do chwili, kiedy uznała, iż najlepiej będzie poprosić pana Pickwicka z przyjaciółmi, by pozostał u nich aż do przybycia kapitana. Jeżeli wtedy wyda się jego oszustwo, to wypędzi się go z domu, nie rozgłaszając tego powodów; Porkenhamom powie się, by wytłumaczyć jego zniknięcie, iż dzięki wpływom swej rodziny kapitan mianowany został jenerałnym gubernatorem w Sierra Leone albo Saugur-Point, albo w jakimkolwiek innym z tych zdrowych krajów, które zwykle tak zachwycają Europejczyków, iż nie wracają stamtąd prawie nigdy.

Gdy pani Nupkins przestała wylewać łzy, panna Nupkins uczyniła to samo, a pan Nupkins uważał się za szczęśliwego, iż całą rzecz załatwi się według propozycji jego żony. Wskutek tego pan Pickwick i jego przyjaciele zostali przedstawieni damom, następnie zaś zaproszeni na obiad. Co do Sama Wellera, to burmistrz, z właściwą sobie bystrością umysłu, w mgnieniu oka przekonał się, iż był to najlepszy na świecie chłopak, i powierzył go gościnnej opiece pana Muzzle'a, dając mu przy tym specjalny rozkaz, by zaprowadził Sama na dół i należycie go tam przyjął.

— Jak się pan ma? — rzekł Muzzle do Sama prowadząc go do kuchni.

— Ha! Nie zaszła żadna wielka zmiana od czasu, jak widziałem pana sterczącego za krzesłem burmistrza w sali.

— Przepraszam, że nie zwróciłem wtedy na pana uwagi, ale jak pan to zapewne zauważył, nie byliśmy sobie przedstawieni. O! Mój pan bardzo pana polubił.

— To mi figura.

— Prawda?

— Jowialny!

— I znakomity mówca. Jak mu płyną myśli, co?

— Zdumiewająco! Płyną tak szparko i tłumnie, iż stukają się głowami i nie wiadomo nawet, o co idzie.

— To właśnie wielka zaleta stylu jego mowy... Uważaj pan na ostatni stopień. Czy nie zechce pan umyć sobie rąk, nim pójdziemy do dam? Oto umywalnia; ręcznik wisi na kołku za drzwiami.

— Nie szkodzi trochę się opłukać — odrzekł Sam, nacierając ręcznik mydłem. — A dużo jest tu dam?

— W naszej kuchni dwie tylko: kucharka i dziewczyna. Do gorszej roboty mamy chłopca i dziewczkę; ale to jada obiad w pralni.

— A, to jada w pralni? — zapytał Sam.

— Tak, próbowaliśmy to sadzać z nami do stołu, ale nie mogliśmy wytrzymać, dziewczka ma maniery okropnie pospolite, a chłopiec, gdy je, tak kłapie zębami, iż niepodobna wytrzymać.

— A, cóż to za hipopotam!

— To wstrętne! Otóż to, panie Weller, jest najnieznośniejsze na prowincji! Młodzi ludzie są tak źle wychowani. Tędy, panie, tędy...

Tak rozmawiając, Muzzle z najwykwintniejszą grzecznością wprowadził Sama do kuchni.

— Mary — rzekł do ładnej służącej — oto pan Weller, którego nasz pan przysłał z poleceniem, by go przyjęto jak można najgościnniej.

— A wasz pan zna się na tym; w dobre miejsce mnie przysłał — rzekł Sam, spoglądając z uwielbieniem na piękną służącą — ja, gdybym był panem tego domu, zawsze bym był tam, gdzie Mary.

— O, panie Weller! — zawołała Mary, rumieniąc się.

— No, a ja! — zawołała kucharka.

— Ach! Zapomniałem o pani — zawołał Muzzle. — Panie Weller, pozwól pan przedstawić sobie naszą kucharkę.

— Jak się pani ma? — zapytał Sam. — Bardzo mi przyjemnie poznać panią; spodziewam się, iż nasza znajomość będzie długotrwała — jak mówił pewien gentleman do banknotu na pięć funtów szterlingów.

Po prezentacji kucharka i Mary cofnęły się w kąt i szeptały przez dziesięć minut, a gdy wróciły robiąc miny i rumieniąc się, wszyscy zasiedli do stołu.

Swobodne maniery towarzyskie Sama wywarły znakomity wpływ na nowych jego przyjaciół, tak że w połowie obiadu był już z nimi na stopie zupełnie poufalej i, jak można najdokładniej, przedstawił im całą przewrotność Hioba Trottera.

— Nigdy nie mogłam znieść tego człowieka — rzekła Mary.

— To się rozumie — odpowiedział Sam.

— Dlaczego?

— Bo brzydota i przewrotność nigdy się nie zgodzą z wdziękami i cnotą. Nieprawdaż, panie Muzzle?

— Naturalnie.

Na te słowa Mary poczęła śmiać się zapewniając, że śmieje się z kucharki, kucharka zaś zapewniając, że tak nie jest, także zaczęła się śmiać.

— Ach! nie mam szklanki! — rzekła Mary.

— Pijmy razem z mojej — odpowiedział Sam — niech panna przyłoży tu usta, to będzie tak, jakbym ją pocałował przez prokurę.

— Fe, panie Weller.

— Dlaczego fe?

— Fe tak mówić.

— Ba! Nie ma w tym nic złego. To już tkwi w naturze. Nieprawdaż, pani kucharko?

— Niech pan będzie cicho! Pan jest impertynent — odparta zapytana z rozpromienioną twarzą.

Następnie kucharka i Mary poczęły znowu śmiać się do rozpuku, aż ta ostatnia skutkiem piwa, zimnego mięsa i śmiechu tak się zakrztusiła, że omal nie udusiła się. Ten niebezpieczny kryzys przeszła dzięki kilku szturchańcom w plecy oraz innym zabiegom, którymi w sposób wysoce uprzejmy służył jej Sam Weller.

Wśród tego usłyszano gwałtowne dzwonięcie i młody gentleman, posilający się w pralni, poszedł bezzwłocznie otworzyć drzwi. Sam zalecał się do pięknej pokojówki, pan Muzzle robił honory stołu, a kucharka, która przestała na chwilę śmiać się, podniosła właśnie do ust potężny kawał mięsa, gdy drzwi otworzyły się i wszedł pan Hiob Trotter.

Napisaliśmy „wszedł”, ale właściwiej było napisać „ukazał się”. Drzwi otworzyły się i ukazał się Trotter. Byłby wszedł, a nawet miał wejść, gdy wtem ujrzał Sama. Mimo woli cofnąwszy się parę kroków, stanął niemy i nieruchomy i spoglądał ze zdumieniem i przerażeniem na obraz, jaki miał przed oczyma.

— Otóż i on! — zawołał Sam, wstając z radością. — Tylko com tu wspomniał o jegomości; jakże się masz? Dlaczego tak rzadko tu bywasz? Wejdz no, wejdz!

To mówiąc, Sam pochwycił Hioba za fioletowy kołnierz i bez oporu wciągnął do kuchni, potem zamknął drzwi, a klucz wręczył panu Muzzle'owi, który z zimną krwią wsunął go do kieszeni od kamizelki i zapiął surdut.

— A to się dziwnie złożyło! — mówił dalej Sam — mój pan ma przyjemność spotkania twego pana na górze, a ja mam przyjemność spotkania ciebie na dole. Jakże się miewasz? Jakże tam nasz handelek korzenny, co? Doprawdy, mocno się cieszę, że cię widzę. Ty także masz zadowoloną minę. To bardzo dobrze. Prawda, panie Muzzle?

— O tak, tak! — rzekł pan Muzzle.

— Jesteś taki miły — zawołał Sam.

— Taki uprzejmy — dodał Muzzle.

— I tak szczęśliwy, że nas widzisz — rzekł Sam. — No siadajże, siadaj!...

Hiob siadł na krześle przy kominku i zwrócił swe małe oczki na Sama, potem na Muzzle'a, ale nic nie powiedział.

— No, teraz — zaczął znowu Sam — zrób mi tę przyjemność i powtórz tu, przed tymi damami, że jesteś najprzyjemniejszym gentlemanem i najlepiej edukowanym ze wszystkich, którzy kiedykolwiek używali chustek w kratę i zbioru pieśni pobożnych nr 4.

— I którzy kiedykolwiek zamyślali żenić się z kucharkami, ty szubieniczniku! — zawołała kucharka, pełna cnotliwego oburzenia.

— Młodzieńcze — wrzasnął Muzzle, roznamiętniony tymi dwoma napomknieniami — posłuchaj, co ci powiem! Ta oto dama (wskazując na kucharkę) jest moją dobrą przyjaciółką i jeżeli roi ci się w głowie, iż będziesz razem z nią miał sklepik korzenny, to tym ranisz mnie, mój panie, ranisz w najczulsze miejsce, w jakie człowiek może być zraniony. Czy rozumiesz?

Tu Muzzle, który tak jak jego pan miał wielkie wyobrażenie o swym darze wymowy, zatrzymał się, czekając na odpowiedź; ale ponieważ Hiob widocznie nie był do niej usposobiony, Muzzle mówił dalej z ogromną powagą:

— Bardzo jest to prawdopodobne, mój panie, iż pan nie tak prędko będzie potrzebny tam, na górze, ponieważ mój pan rozprawia się właśnie z twoim panem. Więc i my możemy rozmówić się na osobności. Czy pan mnie rozumie?

Pan Muzzle znów zamilkł, czekając na odpowiedź, ale Trotter znów go zawiódł.

— A! Jeżeli tak — zaczął znów Muzzle — przykro mi, lecz muszę załatwić się z tobą wobec tych dam. Niech mnie tłumaczy konieczność. Pokoik za kuchnią jest wolny; jeżeli zechce pan tam pójść, pan Weller będzie nam służył za świadka; tam będziemy mogli dać sobie zadośćuczynienie, dopóki nie zadzwonią. Chodź pan za mną...

Mówiąc to mężny Muzzle zrobił parę kroków ku drzwiom, zdejmując po drodze surdut, by nie tracić czasu.

Ale gdy kucharka usłyszała ostatnie wyrazy śmiertelnego wyzwania i gdy ujrzała Muzzle'a gotującego się do tego szczególnego pojedynku, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się ku Trotterowi, który teraz na próżno usiłował wstać, dała mu policzek, podrapała twarz i wsunawszy obie ręce we włosy, wyrwała mu ich sporą garść. Dokonawszy tego czynu z zapalem natchnionym przez miłość do pana Muzzle'a zdrząła i padła zemdlona pod stół, gdyż była to dama obdarzona uczuciami bardzo delikatnymi.

W tej chwili odezwał się głos dzwonka.

— To na ciebie dzwonią, Hiobie Trotter — rzekł Sam i nim ten miał czas stawić opór lub uwolnić się, nawet nim zdołał zatamować krew płynącą mu z ran, Sam wziął go pod jedną rękę, Muzzle pod drugą i tak, jeden ciągnąc, a drugi popychając, zaprowadzili go po schodach do przedpokoju.

Tu odbywała się bardzo interesująca scena.

Alfred Jingle Esq., inaczej kapitan Fitz-Marshall, stał przy drzwiach z kapeluszem w ręce, uśmiechem na ustach i twarzą bynajmniej nie zmienioną nieprzyjemnym położeniem. Naprzeciw niego stał pan Pickwick, który widocznie udzielał mu lekcji moralności, ponieważ lewa jego ręka była ukryta pod połą surduta, a prawa wyciągnięta, jak to miał zwyczaj robić zawsze, gdy przemawiał, by wywołać wrażenie. Nieco dalej stał pan Tupman, pałając oburzeniem, ale silnie przytrzymywany przez dwóch młodych przyjaciół. Na koniec w głębi pokoju stali: pan Nupkins, pani Nupkins i panna Nupkins, wszyscy z minami dumnymi i ponurymi, pełnymi groźby i oburzenia.

W chwili gdy wprowadzono Hioba, pan Nupkins deklamował z namaszczeniem:

— Cóż mi przeszkadza — mówił — kazać aresztować tych wagabundów jako łotrów i oszustów? Dlaczego unoszę się niepotrzebnym współczuciem? Cóż mi przeszkadza?

— Duma, mój stary, duma — odrzekł Jingle ze spokojem. — Zły efekt, złapaliśmy kapitana! Cha, Cha! Dobra gratka! Doskonała partia dla córki! — Za oszusta. — Rozgłosić to? — Za nic w świecie! Za wiele by gadano, za wiele.

— Nędzniku! — powiedziała pani Nupkins. — Odrzucamy z pogardą pańskie podłe insynuacje.

— Ja zawsze miałam wstręt do niego — dodała Henryka.

— O! Rozumie się. — Słuszny, młody mężczyzna — stary wielbiciel — Sidney Porckenham, bogaty — ale zawsze nie tak bogaty jak kapitan — a więc kosz — kapitan jest niezrównany, wszystkie panny szaleją za nim... Co, Hiobie?! Cha! Cha!

Tu pan Jingle począł śmiać się z całego serca. A Hiob, z zadowoleniem zacierając obie ręce, wydał pierwszy głos od czasu, jak przyszedł. Był to rodzaj cichego, drwiącego śmiechu wynikającego ze szczerego zadowolenia.

— Panie Nupkins — rzekła starsza dama — służący nie potrzebuje słyszeć tej rozmowy. Każ wyprowadzić tych dwóch nędzników.

— Tak, tak, moja droga! Muzzle!

— Jestem, panie.

— Otwórz drzwi.

— Już, panie.

— Wynoście się stąd, nędznicy! — zawołał pan Nupkins wyniosłym tonem.

Jingle uśmiechnął się i poszedł ku drzwiom.

— Stój! — zawołał pan Pickwick.

Jingle stanął.

— Mógłbym — rzekł wtedy pan Pickwick — mógłbym srożej zemścić się za obejście, jakiego doznałem od pana i pańskiego przewrotnego przyjaciela... (Tu Hiob skłonił się z największą grzecznością i przyłożył rękę do serca). Powiadam — ciągnął dalej pan Pickwick, stopniowo roznamietniając się — powiadam, iż mógłbym srożej zemścić się; ale poprzestaję na zdarciu z was maski, ponieważ jest to moim obowiązkiem względem społeczeństwa. Chcę wierzyć, panie, iż nie zapomnisz tego umiarkowania. (W tym miejscu Hiob Trotter z komiczną powagą przyłożył rękę do ucha, jakby obawiał się stracić jeden wyraz z przemówienia pana Pickwicka). Jedno tylko chcę jeszcze dodać — mówił dalej filozof, już bardzo oburzony — a mianowicie, iż poczytuję pana za oszusta... za łotra, za największego łotra, jakiego kiedykolwiek spotkałem... wyjąwszy tego wagabundę w fioletowej liberii...

— Cha, cha! — odrzekł drwiąco Jingle. — Pocziwiec Pickwick — złote serce — dzielny stary — ale nie trzeba tak unosić się — niezdrowo — *adieu!* Nie martw się pan; może jeszcze kiedy spotkamy się. — No, Hiob! w drogę!

Mówiąc to pan Jingle nasunął kapelusz i odszedł spokojnym krokiem. Hiob zatrzymał się, spojrzął dokoła, uśmiechnął się, potem oddawszy panu Pickwickowi drwiący ukłon i spojrzawszy na Sama z trudnym do opisanego bezwstydem, poszedł za swym panem.

— Sam! — zawołał pan Pickwick widząc, że służący jego chce iść za odchodzącymi.

— Słucham pana.

— Zostań tu.

Sam zawahał się.

— Zostań tu — powtórzył pan Pickwick.

— Czy nie mógłbym w ogrodzie poturbować trochę tego Hioba Trottera?

— Nie można!

— Choćby tak trochę... spuścić ze schodów?

— Stanowczo zabraniam...

Przez jedną krótką chwilę, jedyną od czasu, jak był w służbie, Sam miał minę niezadowoloną i nieszczęśliwą. Ale wkrótce przyszedł do siebie, gdyż chytry Muzzle, który ukrył się był za drzwiami, wyskoczył zza nich we właściwej chwili i bardzo zręcznie pchnął na schody pana Jingle'a i jego służę, tak iż obaj potoczyli się na dół aż do samych aloeów.

— Teraz, panie — rzekł pan Pickwick do pana Nupkinsa — teraz, panie, spełniwszy nasze posłannictwo, ja i moi przyjaciele żegnamy pana, dziękując za gościnność. Zapewniam pana w ich i moim imieniu, iż nie przyjęlibyśmy tej gościnności, gdyby nie nakazywało nam tego poczucie naszego obowiązku. Jutro rano powracamy do Londynu; tajemnica pana znajduje się w pewnych rękach.

Zaprotestowawszy w ten sposób przeciw temu, co zaszło rano, pan Pickwick oddał głęboki ukłon damom i pomimo próśb, by został, wyszedł z pokoju ze swymi przyjaciółmi.

— Weź swój kapelusz, Samie — rzekł do służącego.

— Jest pod schodami, proszę pana — powiedział Sam i pobiegł po niego.

Kapelusz gdzieś się zapodział. Sam zmuszony był więc szukać go, a Mary mu przyświecała. Obejrząwszy wszystkie kąty, piękna służąca, zaniepokojona, gdzie by kapelusz mógł się zaprzepaścić, uklękła i przerzuciła wszystkie rupiecie złożone za drzwiami. Było tam bardzo ciasno. Niepodobna było dostać się, nie zamknąwszy wprzód drzwi.

— Mam już! — zawołała wreszcie — czy to ten?

— Zobaczmy — odrzekł Sam.

Mary postawiła świecę na podłodze, ale ponieważ świeca słabo świeciła. Sam zmuszony był także uklęknąć. Zakątek ten był szczególnie ciasny i tak się jakoś stało bez niczyjej winy, wyjąwszy chyba tego, kto dom budował, że Sam i piękna służąca znaleźli się bardzo blisko siebie.

— Tak, to ten — rzekł Sam. — *Adieu*.

— *Adieu* — odrzekła piękna służąca.

— *Adieu* — powtórzył Sam i mówiąc to, upuścił kapelusz, z takim trudem odszukany.

— Jaki pan niezgrabny! — zawołała Mary. — W ten sposób może go pan zgubić drugi raz. — I by go nie zgubił, sama włożyła mu go na głowę.

Twarz pięknej służącej była w tej chwili jeszcze piękniejsza niż zwykle. Otóż, czy z tego powodu, czy też z powodów innej natury, tak się jednak stało, że Sam ją pocałował.

— Spodziewam się, że zrobił pan to nieumyślnie! — zawołała piękna dziewczyna, rumieniąc się.

— Nie, moja droga; ale teraz zrobię to już umyślnie — i pocałował ją powtórnie.

— Sam! — zawołał pan Pickwick z góry.

— Jestem, panie — odrzekł służący, biegnąc po schodach.

— Tak długo siedzisz!

— Coś się stało z drzwiami i nie można było ich otworzyć. Taki był pierwszy rozdział miłości Sama.

Rozdział dwudziesty szósty **zawierający krótkie streszczenie sprawy Bardell contra** **Pickwick**

Osiągnąwszy cel podróży do Ipswich, który polegał na wykryciu niegodziwości pana Jingle'a, pan Pickwick postanowił bezzwłocznie powrócić do Londynu, by się dowiedzieć, co przedsięwzięli przeciw niemu panowie Dodson i Fogg. Przystępując do urzeczywistnienia tego zamiaru z całą przedsiębiorczością swego charakteru, filozof siadł do pierwszego odchodzącego dylizansu nazajutrz po pamiętnych wypadkach, które w całej rozciągłości opisaliśmy w dwóch poprzednich rozdziałach, i tegoż samego dnia wieczorem przyjechał do stolicy, cały i w najlepszym zdrowiu oraz w towarzystwie swych przyjaciół i Sama.

Tu rozstano się na pewien czas. Panowie Snodgrass, Tupman i Winkle udali się do swych mieszkań, by poczynić potrzebne przygotowania do podróży do Dingley Dell; pan Pickwick zaś i Sam stanęli w bardzo dobrej, chociaż starej oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem” na Lombard Street.

Pan Pickwick, zjadłszy obiad, kończył drugi kufel doskonałego portu, obwiązał sobie głowę chustką, nogi wyciągnął ku kominkowi i rozsiadł się wygodnie na krześle, gdy wejście Sama z torbą podróżną wyrwało go ze spokojnych rozmyślań.

— Sam! — zawołał filozof.

— Jestem, panie.

— Myślałem właśnie o tym, iż wiele moich rzeczy pozostało u pani Bardell, przy ulicy Goswell, i że trzeba je stamtąd zabrać.

— Bardzo dobrze — rzekł Weller.

— Złożymy je tymczasem u pana Tupmana, ale przedtem trzeba by to uporządkować. Chciałbym, abyś poszedł na ulicę Goswell i załatwił mi to wszystko.

— Czy zaraz, panie?

— Zaraz... i... zaczekaj no — dodał pan Pickwick, wyjmując pieniądze. — Trzeba zapłacić czynsz. Wprawdzie termin przypada na Boże Narodzenie, ale zapłać teraz, by wszystko było w porządku. Mam prawo wymówić mieszkanie na miesiąc przed terminem. Oto jest kontrakt. Oddasz go pani Bardell. Niech odnajmie lokal, kiedy chce.

— Bardzo dobrze, panie. Więcej nic?

— Nic więcej, Samie.

Sam wolnym krokiem szedł ku schodom, jakby czekał na coś jeszcze. Powoli otworzył drzwi i już miał przekroczyć próg, kiedy pan Pickwick znowu zawołał:

— Sam!

— Jestem, panie — odrzekł służący poważnie.

— Nie będę miał nic przeciwko temu, gdy postarasz się wywieść, jak pani Bardell jest obecnie wobec mnie usposobiona i czy rzeczywiście ten niegodziwy proces ma być prowadzony aż do ostateczności. Mówię ci, iż nie mam nic przeciwko temu, byś się o tym dowiedział, jeżeli będziesz mógł.

Sam skinieniem dał do zrozumienia, iż pojmuje, o co chodzi, i wyszedł z pokoju. Pan Pickwick jeszcze raz nasunął jedwabną chustkę na głowę i przygotował się do drzemki.

Sam szybkim krokiem ruszył spełnić polecenie. Około dziesiątej stanął na ulicy Goswell. W małym pokoju od frontu paliło się kilka świec, a na zasłonie w oknie widać

było cienie dwóch stroików. Pani Bardell przyjmowała. Pan Weller zapukał do drzwi. Po dość długiej pauzie, w czasie której Sam gwizdał jakąś melodię, a właścicielka lokalu próbowała namówić krótką, oporną świecę, by się rozpałała, dały się słyszeć kroki i młody Bardell stanął przed Samem.

— No, młodzieńcze, jakże się miewa mama?

— Dobrze się ma — i ja także — odparł mały.

— Chwała Bogu; powiedz, że chciałbym pomówić z nią, mój ty młody fenomenie.

Wezwany w ten sposób Bardell syn postawił na schodach świecę, z którą był wszedł, i znikł za drzwiami, by oznajmić poselstwo.

Sam tymczasem dostrzegł na oknie dwa kobiece stroiki, które należały do dwóch najserdeczniejszych przyjaciółek pani Bardell. Przybyły one do niej na towarzyską herbatkę i ciepłą przekąskę składającą się z nóżek wieprzowych i smażonego sera. Podczas gdy ser smażył się na małym holenderskim kominku w sposób niesłychanie nęcający, a nóżki wieprzowe dochodziły rozkosznie w cynowej rynce, pani Bardell i dwie jej przyjaciółki pławiły się w plotkach o wspólnych ich znajomych. Młody Bardell przerwał ten zajmujący przegląd, wróciwszy od drzwi i uwiadamiając o przybyciu Sama.

— Służący pana Pickwicka! — zawołała pani Bardell blednąc.

— Boże miłosierny! — wykrzyknęła pani Cluppins.

— Doprawdy, że gdybym nie była tu sama, nigdy bym temu nie uwierzyła! — oświadczyła pani Sanders.

Pani Cluppins była to kobiecina żwawa i wiecznie czymś zajęta. Pani Sanders była znów wysoka, tęga, o poważnej twarzy. One to stanowiły towarzystwo pani Bardell. Pani Bardell uznała za właściwe być wzruszoną, a ponieważ żadna z trzech dam nie wiedziała, czy wypada komunikować się z panem Pickwickiem bez pośrednictwa panów Dodsona i Fogga, więc wszystkie trzy nie wiedziały, co począć. W tym stanie wątpliwości nie pozostawało na razie nic innego, jak obić małego chłopca za to, że zastał Sama we drzwiach. Czująca matka nie zaniedbała więc tego, a chłopak począł wrzeszczeć jakby z nut.

— Nie ogłuszaj mnie, szkaradne stworzenie! — zawołała pani Bardell.

— Nie dręcz twej biednej matki — dodała pani Cluppins.

— Ma ona i bez tego niemało zmartwień — dodała ze współczuciem pani Sanders.

— Ach, biedna owieczka! — zaczęła znowu pani Cluppins.

Podczas tych moralnych rozważań młody Bardell ryczał coraz głośniej.

— Co tu począć? — zapytała pani Bardell.

— Sądzę, że powinna go pani przyjąć, rozumie się, przy świadku — odpowiedziała pani Cluppins.

— Przy dwóch świadkach będzie legalniej — zauważyła pani Sanders, która, jak i jej przyjaciółka, po prostu pękała z ciekawości.

— Więc można go tu wezwać? — zaczęła znów pani Bardell.

Pani Cluppins uznała to za słuszne i zawołała:

— Proszę wejść, panie Weller. Niech pan tylko zamknie za sobą drzwi.

Sam przyjął zaproszenie i wszedł do pokoju, gdzie wyłożył cel swego poselstwa do pani Bardell jak następuje:

— Przykro mi, że robię pani subiekcję, jak mówił raz pewien rozbójnik do starej damy, gdy wpadł do jej domu i przypiekał ją ogniem, ale ponieważ przybyliśmy właśnie do Londynu z moim gubernatorem i wkrótce znów mamy wyjechać, więc chciałem złożyć pani moje uszanowanie.

— Nie może pan odpowiadać za czyny pana Pickwicka — zauważyła pani Cluppins, na której osoba i maniery Sama wywarły wielkie wrażenie.

— Naturalnie — odparła pani Sanders, która rzuciwszy czule spojrzenie na rynek, dokładnie obliczyła w myśli, ile dostałoby się jej ze smakowitych nóżek wieprzowych, gdyby Sama zaproszono na herbatę.

— A zatem — mówił dalej „ambasador”, nie zważając na przerwanie — przyszedłem tu: po pierwsze, żeby wymówić mieszkanie, oto kontrakt; po drugie, żeby zapłacić czynsz, oto pieniądze; po trzecie, by prosić panią o uporządkowanie naszych rzeczy i oddanie ich osobie, którą tu przyślemy; po czwarte, by oznajmić, iż może pani, choćby zaraz, odnająć nasze mieszkanie. To wszystko.

— Pomimo wszystko, co zaszło — rzekła z westchnieniem pani Bardell — zawsze mówiłam i zawsze mówić będę, że pod każdym względem, z wyjątkiem jednego, pan Pickwick postępował jak prawdziwy gentleman. Pieniądze były u niego tak pewne jak w Banku Angielskim.

Mówiąc to pani Bardell przyłożyła chustkę do oczu i wyszła z pokoju, by napisać pokwitowanie.

Sam wiedział, iż najlepiej zrobi, gdy będzie milczał, bo dwie damy niechybnie zagadną go same. Ograniczył się więc do kolejnego oglądania rynki, ścian i podłogi zachowując najzupełniejsze milczenie.

— Biedna kobieta! — zawołała pani Cluppins.

— Biedna istota! — dodała pani Sanders.

Sam nie odpowiedział nic; zmiarkował, iż zmierzają do rzeczy.

— Doprawdy, że serce się kraje — zaczęła znowu pani Cluppins — gdy pomyślę o takiej zdradzie. Nie chcę mówić nic nieprzyjemnego, ale pan Pickwick jest to stary brutal i chciałabym, by był tu i bym mogła powiedzieć mu to w oczy.

— I ja bym chciał, żeby tu był — odrzekł Sam.

— Straszna rzecz patrzeć, jak ta kobieta bierze to sobie do serca, jak niknie, jak nic jej nie cieszy, wyjąwszy chyba to, że widzi swe przyjaciółki, które przychodzą tu czasami jedynie, by ją odwiedzić i rozerwać — dodała pani Cluppins, spoglądając z ukosa na kominek holenderski i cynową rynekę. — To straszne.

— To barbarzyństwo! — dodała pani Sanders.

— Pan Pickwick, człowiek jeszcze młody, jest bardzo bogaty, a gdyby się ożenił, nie dostrzegłby nawet różnicy w wydatkach. Tu nie ma nic na jego wytłumaczenie. Dlaczego nie żeni się z nią? — mówiła dalej pani Cluppins, mieląc wprawnie językiem.

— To właśnie pytanie! — rzekł Sam.

— Pytanie? — rzekła pani Cluppins. — Gdyby o mnie chodziło, wcale bym nie pytała. W każdym razie istnieje prawo i dla nas, biednych kobiet, chociaż mężczyźni chcieliby zrobić nas niewolnicami. Pan Pickwick dowie się o tym na własny koszt, nim będzie o sześć miesięcy starszy.

Po tej pocieszającej uwadze twarz pani Cluppins rozjaśniła się i uśmiechnęła do pani Sanders, która także odpowiedziała uśmiechem.

„Więc sprawa toczy się; nie ulega wątpliwości” — pomyślał Sam, podczas gdy pani Bardell wychodziła z drugiego pokoju.

— Oto pokwitowanie — rzekła miła wdowa — i reszta pieniędzy. Może pan co pozwoli, aby się rozgrzać, tak po starej znajomości.

Sam zmiarkował, że może coś jeszcze wywiedzieć się, i przyjął zaproszenie. Pani Bardell wydobyła więc z małej szafki butelkę, ale była tak głęboko wzruszona, iż zamiast jednego kieliszka nalała cztery.

— Ach, co pani robi? — zawołała pani Cluppins.

— A to roztargnienie! — dodała pani Sanders.

— O, biedna moja głowo! — rzekła pani Bardell, smutno uśmiechając się.

Sam, jak łatwo się domyślić, zrozumiał wszystko, toteż pośpieszył oświadczyć, iż nigdy nic nie pije przed kolacją, chyba że napije się do niego dama. Nastąpiły głośnie śmiechy, w końcu pani Sanders zdecydowała się uczynić zadość temu żądaniu i umaczała usta w kieliszku. Wtedy Sam oświadczył, iż należy pić kolejkę, i wszystkie damy umaczały usta. W końcu pani Cluppins zaproponowała toast — za powodzenie sprawy Bardell *contra* Pickwick — i damy wypróżniły swe kieliszki, po czym stały się bardzo rozmowne.

— Sądzę — rzekła pani Bardell — sądzę, iż pan wie, jak rzeczy stoją, panie Weller?

— Tak, słyszałem o tym — odrzekł Sam.

— Okropna to rzecz, panie Weller — rzekła pani Bardell — gdy człowiek w ten sposób staje się przedmiotem plotek w całym mieście, ale teraz widzę, iż nie mam innego środka. Moi adwokaci, panowie Dodson i Fogg, utrzymują, iż muszę wygrać. W przeciwnym razie nie wiem, co pocznę.

Sama myśl, że pani Bardell może przegrać proces, tak głęboko wzruszyła panią Sanders, iż dama ta uczuła się zmuszona nalać powtórnie swój kieliszek i wypróżnić go bezzwłocznie, czując, jak to potem utrzymywała, że gdyby nie miała na tyle przytomności umysłu, by tak postąpić, niezawodnie zrobiłoby się jej słabo.

— Kiedy, jak pani myśli, może to nastąpić? — zapytał Sam.

— W lutym albo w marcu — odrzekła pani Bardell.

— A ilu będzie świadków! — zawołała pani Cluppins. — A jeżeli oskarżycielka nie wygra, toż to będą złościć się panowie Dodson i Fogg! Przecież oni robią to wszystko przez spekulację, na własne ryzyko!

— Oczywiście — rzekła pani Sanders.

— Ale ona wygra! — zawołała pani Cluppins.

— Spodziewam się — dodała pani Bardell.

— Nie ulega żadnej wątpliwości — dorzuciła pani Cluppins.

— No — rzekł Sam, stawiając swój kieliszek na stole — jeśli o mnie chodzi, to mogę tylko powiedzieć, iż życzę tego pani.

— Dziękuję, panie Weller — odpowiedziała pani Bardell.

— Co się zaś tyczy panów Dodsona i Fogga, robiących takie rzeczy przez spekulację — mówił dalej Sam — oraz wszystkich podobnych im jegomościów tejże profesji *gratis* wciągających ludzi za uszy w procesy, to mogę tylko powiedzieć, iż im życzę takiej nagrody, jaką dałbym im ja sam.

— Ach! — zawołała rozczulona tymi słowami pani Bardell. — Życzę im nagrody, na jaką zasługują wszystkie szlachetne serca.

— Amen! — odpowiedział Sam. — I niech już przy tym zostanie. Życzę dobrej nocy, moje panie.

Ku wielkiej ucieście pani Sanders, pani Bardell pozwoliła Samowi odejść, nie robiąc żadnych aluzji do nówek wieprzowych i smażonego sera, wkrótce więc przy pomocy młodzieńczych sił Bardella syna załatwiono się jak najdokładniej z wszystkimi przysmakami. Dzięki zjednoczonym wysiłkom dania zniknęły bez śladu.

Sam, przybywszy do oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, jak najdokładniej zaraportował swemu panu o przebiegłych manewrach Dodsona i Fogga. Opowiadanie jego na drugi dzień potwierdził w całej rozciągłości pan Perker, z którym filozof nasz odbył naradę. Tymczasem pan Pickwick zaczął robić przygotowania do odjazdu na Boże Narodzenie do Dingley Dell, mając to nad wyraz miłe uczucie, iż za dwa lub trzy miesiące będzie miał w sądzie Common Pleas rozprawę o wypłacenie odszkodowania za złamanie przyrzeczenia małżeństwa. Przy tym wszystko będzie przemawiało za oskarżycielką, co przypisać należy nie tylko sile okoliczności, ale także sprytowi i obrotności panów Dodsona i Fogga.

Rozdział dwudziesty siódmy

Samuel Weller odbywa pielgrzymkę do Dorking i widzi się ze swoją macochą

Ponieważ odjazd pickwickczyków do Dingley Dell miał nastąpić dopiero za dwa dni, Sam, zjadłszy wcześniej obiad „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, począł rozmyślać, jak tu w najlepszy sposób zużytkować wolny czas. Pogoda była prześliczna, a Sam już po dziesięciu minutach rozmyślania poczuł rozwijające się w sercu swym wielkie synowskie przywiązanie. Potrzeba odwiedzenia ojca i złożenia swego uszanowania macosze tak żywo zarysowała się w jego umyśle, iż sam się tym zdumiał, że mu pierwiej nie przyszła do głowy ta moralna powinność. Pragnąc więc jak najprędzej naprawić swe dawne błędy, poszedł do pana Pickwicka i prosił go, by mu pozwolił wykonać ten chwalebny zamiar.

— Z całego serca! — odrzekł filozof, którego oczy napełniły się łzami radości na ten dowód synowskich uczuć Sama. — Z całego serca!

Sam skłonił się z wdzięcznością.

— Cieszę się — rzekł pan Pickwick — że tak dobrze pojmujesz swe synowskie obowiązki.

— Zawsze je tak pojmowałem, panie — rzekł Sam.

— To bardzo pocieszające — zauważył pan Pickwick.

— Niewątpliwie. Jeżeli coś chciałem kiedy od mego ojca, zawsze prosiłem go o to bardzo grzecznie i uprzejmie, ale jeżeli mi tego nie dał, to brałem sam, z obawy, bym się nie dopuścił czego złego, gdy nie będę miał tego, co chcę. W ten sposób uwalniałem go od mnóstwa kłopotów.

— Nie to miałem na myśli, Samie — rzekł filozof, potrząsając głową z lekkim uśmiechem.

— Robiłem to w najlepszej wierze, jak mówił jeden gentleman, który uśmiercił swą żonę, gdyż była z nim nieszczęśliwa.

— Możesz iść, Sam — rzekł pan Pickwick.

— Dziękuję panu.

I oddawszy najpiękniejszy ukłon, a potem przywdziawszy najpiękniejsze swe ubranie, Sam siadł do dyliżansu i pojechał do Dorking.

Zajazd „Pod Markizem Granby” mógł za czasów pani Weller służyć za wzór najlepszym oberżom; był dość przestronny, by goście nie tłoczyli się, i dość ciasny, by się czuć można było jak u siebie. Od ulicy widać było szyld, na którym wyobrazone były barki i głowa gentlemana o apoplektycznym wyglądzie, ubranego w czerwony mundur z niebieskimi wyłogami, kilka zaś plam tego samego koloru nad trójkątnym kapeluszem — wyobrażało niebo. Nieco wyżej znajdowała się para chorągwi, pod ostatnimi zaś guzikami munduru — dwa działa. Wszystko to przedstawiało niezaprzeczenie autentyczny portret pamięci markizy Granby.

Okna oberży ozdobione były doniczkami geranium i szeregiem zaproszonych butelek. Zielone okiennice błyszcząły złotymi napisami, obiecującymi wygodne łóżka i znakomite wina, a doborowe towarzystwo, złożone z chłopców i parobków, którzy wylegiwali się przy drzwiach stajennych, z góry już dawało wyobrażenie, jak znakomite jest piwo i wódka, które sprzedawano w tej oberży. Wysiadając z dyliżansu, Sam okiem wytrawnego

podróżnika przyjrzał się tym szczegółom, świadczącym o pomyślnym stanie oberży, i szybkim krokiem wszedł do środka, wielce zadowolony ze swych spostrzeżeń.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał go jakiś ostry głos kobiecy, gdy stanął przy bufecie. Sam spojrzął w kierunku głosu. Wydała go dama dość potężnej objętości, wygodnie siedząca przy kominku i mieszkciem rozdmuchująca ogień, przy którym gotowała się woda na herbatę. Dama nie była sama, gdyż po drugiej stronie kominka, w staroświeckim fotelu, siedział mężczyzna, ubrany w wytarte czarne ubranie i o tak sztywnym grzbiecie jak poręcz rzeczzonego fotela.

Osobistość ta, która zwróciła na siebie teraz szczególną uwagę Sama, była długa i wysmukła; twarz miała wągrowatą, nos czerwony, a oczy bystre, ale złośliwe, przypominały wzrok grzechotnika. Ubrana była w bardzo krótkie spodnie i bawełniane czarne pończochy, które, jak całe ubranie, było mocno znoszone. Minę miała poważną, a biała chustka pogardliwie zwieszała się jej na kamizelkę zapiętą aż po samą brodę. Na krześle, tuż obok, leżały wytarte rękawiczki, kapelusz z szerokimi kryzami i parasol zielony i bardzo zużyty, którego wystające fiszbiny widocznie równoważyć miały brak rączki u górnego końca. Wszystko to było systematycznie ułożone, co zdawało się oznaczać, iż osobistość z czerwonym nosem, kimkolwiek była, w każdym razie nie miała zamiaru rychło odejść.

By jednak wobec rzeczzonego jegomościa z czerwonym nosem być sprawiedliwym, musimy zauważyć, że bynajmniej nie byłoby to dowodem wielkiego rozsądku, gdyby chciał być teraz odejść. Musiałby bowiem mieć dużo znajomych, gdyby chciał się gdzie indziej czuć równie dobrze jak tu. Ogień skrzył się w kominie, imbryk z wodą kipiał wesoło; na stole wszystko było przyrządzone do herbaty, na patelni przy ogniu piekły się zakąski. Człowiek z czerwonym nosem, uzbrojony w długi widelec, pracował z zajęciem nad przetwarzaniem sporych kawałków chleba na smaczne grzanki. Koło niego stała szklanka z wodą i palący się arak, w którym pływał kawałek cytryny; za każdym razem, gdy podnosił grzanki, by zobaczyć, czy się dobrze przypiekły, czerwono nosy przełykał parę kropli araku, uśmiechając się do damy o potężnych kształtach.

Widok tej sceny tak zajął Sama, iż pozostawił bez odpowiedzi pierwsze pytanie gospodyni, która zmuszona była powtórzyć je trzykrotnie, i to tonem coraz ostrzejszym. Wreszcie zapytał:

— Czy gubernator jest w domu?

— Nie ma go — odpowiedziała pani Weller, gdyż dama ta była właśnie ową niegdyś wdową i jedyną egzekutorką testamentu nieboszczyka Clarka. — Nie, nie ma go i nieprędko wróci...

— Widocznie pojechał? — zapytał znowu Sam.

— Może pojechał, a może i nie — odrzekła pani Weller, smarując masłem kawałek chleba, który przed chwilą ukroił czerwono nosy.

— Nie wiem tego, a co więcej, nic mnie to nie obchodzi. Odmów pan błogosławieństwo, panie Stiggins.

Czerwono nosy spełnił to życzenie i zaraz z dziką żarłocznością rzucił się na zakąski. Widok tego człowieka od pierwszego rzutu oka naprowadził Sama na myśl, że jest to właśnie zastępca pasterza, o którym mówił mu szanowny jego ojciec, ujrawszy zaś, jak jadł, nie miał już żadnej wątpliwości. Uznał więc za konieczne zaraz stanąć na właściwym gruncie, by móc się tu rozkwaterować. Odemknął drzwiczki wiodące za bufet, wszedł tam i powiedział spokojnie:

— Jak się matka miewa?

— A! Sądzę, że to także Weller — odpowiedziała otyła dama spoglądając na Sama z miną nie bardzo życzliwą.

— Niby tak — odrzekł zmieszany Sam — spodziewam się, że ten świątobliwy gentleman przebaczy mi, gdy powiem, iż chciałbym być tym Wellerem, który jest twoim, matko.

Był to komplement obosieczny. Dawał on do zrozumienia, że pani Weller była osobą bardzo miłą, a jednocześnie, że pan Stiggins miał powierzchowność duchownego. Skutki tego też się uwidoczniły i Sam korzystając ze sposobności ucałował macochę.

— Czy dasz pokój! — zawołała pani Weller, odpychając go.

— Fe, młodzieńcze, fe! — rzekł czerwono nosy gentleman.

— Bez urazy, panie, bez urazy! — odpowiedział Sam. — Ale pomimo to ma pan słusność. To jest zabronione, gdy macocha jest młoda i piękna, prawda, panie?

— Wszystko to marność — zauważył pan Stiggins.

— Ach! To prawda! — dodała pani Weller, poprawiając czeppek.

Sam pomyślał to samo, ale wstrzymał język. Zastępca pasterza nie zdawał się być zadowolony z przybycia gościa, a gdy przeszedł pierwszy ogień komplementów, pani Weller także przybrała minę mającą wyrażać, iż chętnie by obeszała się bez tej wizyty. Ale Sam był już tu i nie wypadało go wyrzucić; zaproszono go więc na herbatę.

— Jak się ma ojciec? — zapytał po chwili.

W odpowiedzi na to pani Weller rozłożyła ręce i wzniosła oczy w górę, jak gdyby był to przedmiot za przykry, by o nim można było mówić.

Pan Stiggins westchnął.

— Co się stało temu panu? — zapytał Sam.

— Boli go postępowanie twojego ojca.

— Naprawdę?

— I ma słusność — rzekła pani Weller z powagą.

Pan Stiggins wziął się do drugiej zakąski i westchnął głośno.

— Okropny to grzesznik — mówiła dalej pani Weller.

— Naczynie zatracenia! — zawołał pan Stiggins, odgryzłszy wielki, półkolisty kawałek grzanki i głucho westchnąwszy.

Sam uczył w sobie gwałtowną chętkę dania szturchańca, co by pozwoliło świątobliwej osobie jęczeć z większą słusnością, ale stłumił tę żądzę i tylko zapytał:

— Więc stary zawsze robi swoje?

— O, tak! niestety! — odrzekła pani Weller. — Kamienne ma serce. Co wieczór ten znakomity człowiek... nie marszcz brwi, panie Stiggins; zawsze będę mówiła, żeś pan znakomity człowiek... Co wieczór ten znakomity człowiek spędza tu całe godziny, ale to nie wywiera żadnego wpływu na twego zatwardziałego ojca.

— To szczególne! — zawołał Sam. — Na mnie, gdybym był na jego miejscu, wywarłoby to wpływ nadzwyczajny.

— Młody przyjacielu — rzekł uroczyście pan Stiggins — to fakt, że twój ojciec ma serce zatwardziałe. O, mój młody przyjacielu, któż inny mógłby oprzeć się prośbom szesnastu naszych najmilszych siostr? Któż inny zamknąć by potrafił uszy na wezwanie, by wstąpił do naszego zrzeszenia, które dostarcza dzieciom Murzynów w Indiach Zachodnich flanelowych kaftaników i moralnych chustek do nosa?

— Co to jest moralna chustka do nosa? Nigdy nie widziałem takiego sprzętu — rzekł Sam.

— Jest to chustka łącząca zabawę z nauką, mój młody przyjacielu. Znajdują się na niej wyborne opowiadania, ilustrowane drzeworytami — odparł pan Stiggins.

— A! Wiem! Wiem! Widziałem to na wystawach sklepowych. Są na nich różne wierszyki, czy tak?

Pan Stiggins skinął potakująco głową i zabrał się do trzeciej grzanki.

— I nie dał się namówić tym damom? — zapytał Sam.

— Siedział — odrzekła pani Weller — zapalił fajkę i mówił, że dzieci Murzynów to... jak to on powiedział, panie Stiggins?

— Bzdura — odrzekł z niesłychanym oburzeniem zapytany.

— Powiedział, że dzieci Murzynów to bzdura — powtórzyła smutno pani Weller, po czym oboje z panem Stiginsem poczęli wzdychać na myśl o zatwardziałym grzeszniku.

Opowiedziano by jeszcze wiele innych jego zdrożności, ale ponieważ grzanki już zjedzono, a herbatę wypito, Sam zaś nie okazywał żadnej chęci do odejścia, pan Stiggins przypomniał sobie, iż koniecznie musi się zobaczyć z pasterzem, i wyszedł.

Zaledwie usunięto przybory do herbaty i przekąski, gdy londyński dyliżans wysadził przy drzwiach oberży pana Weller starszego. Wkrótce potem nogi przywiodły go do sali, a oczy oznajmiły mu o przybyciu syna.

— Ha, ha! Sammy! — zawołał ojciec.

— Ha, ha! Stary — odrzekł na to syn i uściślił sobie ręce.

— Rad jestem, że cię widzę — odrzekł Weller starszy. — Jakże, u licha, potrafiłeś poradzić sobie z macochą? Chciałbym mieć tę receptę.

— Cicho! — odrzekł Sam. — Jest w domu, mój stary zuchu.

— Nie słyszy. Zwykle po herbacie schodzi na dół i przez parę godzin biega po domu jak opętana. A zatem możemy sobie odwilżyć nasze wnętrza, Sammy.

To mówiąc Weller starszy przyrządził dwie szklanki grogu i nabił dwie fajki, po czym ojciec i syn zasiedli jeden naprzeciw drugiego przy ogniu. Sam w fotelu z wysokim oparciem. Stary Weller w podobnym i również wygodnym po drugiej stronie kominka. Teraz poczęli z odpowiednią powagą nasycać się podwójną przyjemnością wynikającą z grogu i spotkania się.

— Czy był tu kto? — zapytał Weller starszy po długim milczeniu.

Sam odpowiedział znaczącym pochyleniem głowy.

— Długi chłop czerwono nosy?

Sam powtórzył ten sam znak.

— Miły to człowiek, Sammy — zauważył pan Weller, gwałtownie pociągając dym z fajki.

— Tak się zdaje.

— I bardzo mocny w rachunkach — dodał pan Weller.

— Doprawdy?

— W poniedziałek pożyczą osiemnaście pensów, we wtorek prosi o szylinga dla dopełnienia pół korony, w piątek dokończy drugie pół korony, żeby było okrągłe pięć szylingów, i tak idzie dalej, podwajając się, aż dochodzi do banknotu na pięć funtów szterlingów; jakby znał jakąś piekielną buchalterię, Sammy.

Sam kiwnął głową na znak, że rozumie, co ojciec chce powiedzieć.

— Więc nie daliśmy nic na flanelowe kaftaniki? — zapytał po pauzie, w czasie której obydwaj popijali w milczeniu.

— Naturalnie, że nic. Po co Murzynom flanelowe kaftaniki? Ale, wiesz co, Sammy — dodał pan Weller, zniżając głos i pochylając się — chętnie bym dał piękną sumkę, gdyby

chodziło o zrobienie u nas dla pewnych osób takich kaftanów, w jakie ubierają wariatów. Wypowiedziawszy to zdanie, pan Weller bardzo znacząco mrugnął okiem do swego pierwородnego i powrócił do poprzedniej pozycji.

— W każdym razie szczególny to pomysł posyłać chustki do nosa ludziom nie znającym ich użytku — zauważył Sam.

— Oni zawsze robią jakieś głupstwa. Pewnej niedzieli spacerowałem sobie po ulicy, gdy wtem, kogóż to widzę pod drzwiami kaplicy z niebieskim talerzem w ręku? Nie był to kto inny, tylko twoja macocha. Myślę, że było tam z parę gwinei, same drobniaki, a gdy ludzie wyszli z kościoła, tak poczeli sypać drobnymi, że zdawało się, iż żaden śmiertelny talerz, który kiedykolwiek opuścił warsztat garncarski, wytrzymać by nie potrafił. I jak myślisz, Sammy, co to było?

— Składka na herbatę? — zapytał Sam.

— Nie zgadłeś; była to składka na opłacenie wody dla pasterza.

— Wody dla pasterza?

— Ni mniej, ni więcej. Od trzech kwartałów pasterz nie płacił za wodę ani grosza. Zresztą nie bardzo on jej potrzebuje; nadzwyczaj mało potrzebuje tego płynu... Zna on tylko wodę, która warta jest przynajmniej sześć razy więcej. Ale opłata za wodę nie była uiszczona i poborca zapieczętował mu kran. Idzie tedy mój pasterz do kaplicy, robi ze siebie świętego męczennika, powiada, że pragnie, by poborcy przebaczyło niebo, ale obawia się, iż mu już na tamtym świecie przygotowano niezbyt wygodne miejsce. Wskutek tego kobiety odbywają naradę, śpiewają hymny, mianują twoją macochę prezydentką, zapowiadają składkę na następną niedzielę i wszystko wręczają pasterzowi. Teraz, jeśli nie będzie miał czym opłacać wody aż do samej śmierci — kończył pan Weller — to jestem osłem, a ty drugim.

Potem przez kilka minut palił fajkę w milczeniu; wreszcie dodał:

— Co najgorsze, to, mój chłopcze, to, że ci pasterze zawracają głowy młodym dziewczętom. Niech Bóg ma w opiece ich serduszka! Biedaczki wyobrażają sobie, iż wszystko jest miodem i koniec. A wszystkie są tylko narzędziem, Sammy, wszystkie.

— I ja tak my ślę.

— Tak jest niezawodnie — mówił dalej Weller, poważnie kiwając głową. — A najbardziej mię gniewa to, że widzę, iż tracą czas i młodość na robieniu ubrań dla ludzi o miedzianej cerze, bynajmniej tych ubiorów nie potrzebujących, nigdy zaś nie zajmują się chrześcijanami koloru naturalnego, umiejącymi chodzić w spodniach. Gdybym był wszechwładnym panem, Samie, zaprząłbym kilku takich próżniaków pasterskich do dobrze naładowanych taczek i kazałbym im przez dwadzieścia cztery godziny wtaczać i staczać je po desce szerokości osiemnastu cali. To by im wypędziło te fimfy ze łba.

Wygłosiwszy taką receptę z wielkim namaszczeniem, kiwając przy tym głową i mrugając okiem, pan Weller jednym haustem wychylił swą szklanę i z wrodzoną godnością wysypał popiół z fajki.

Jeszcze nie skończył tej ostatniej czynności, gdy w korytarzu dał się słyszeć ostry głos.

— Otóż i twoja kochana macocha, Sammy — rzekł do syna, i w tej samej chwali wpadła do pokoju pani Weller.

— A! Jesteś już?! — zawołała.

— Jestem, moja droga — odrzekł pan Weller, nalewając sobie szklanę.

— A pana Stigginsa nie było tu? — zapytała pani Weller.

— Nie, moja kochana, nie było — odrzekł pan Weller, węglem zapalając sobie fajkę — co więcej, postaram się nie umrzeć ze zmartwienia, gdy tu więcej nie postanie.

— Och! Ty niepoprawny grzeszniku! — zawołała pani Weller.
— Dziękuję ci, moja droga — odparł Weller senior.
— No, no, ojcie — zauważył Sam — bez tych czułości przed obcymi. Oto właśnie powraca walebnny gentleman.

Usłyszawszy to, pani Weller szybko otarła łzy, które zamierzała wylać, a pan Weller ze zmartwioną miną odsunął swój fotel od kominka.

Pan Stiggins nie kazał się długo prosić na szklankę grogu; potem przyjął drugą, potem trzecią, potem przystał na wzięcie udziału w kolacji, by następnie znowu powrócić do grogu. Siedział po tej samej stronie co Weller starszy, który w chwilach, gdy sądził, że go żona nie widzi, aby ulżyć wewnętrznym swym uczuciom, potrząsał pięścią nad głową walebnego zastępcy. Żart ten tym czystsza sprawiał przyjemność jego synowi, że pan Stiggins nie przestawał pociągać grogu, w szczęśliwej nieświadomości tej ożywionej pantomimy.

Rozmowę podtrzymywała w większej części sama pani Weller i walebnny gentleman, a wszystko obracało się głównie dokoła cnót pasterza, wielkich zalet jego owieczek tudzież dokoła okropnych występków i szkaradnych grzechów reszty ludzi. Czasem tylko pan Weller starszy pozwalał sobie na ironiczne komentarze i niewłaściwe drwiny.

Na koniec pan Stiggins, który, o ile można było wnosić z zewnętrznych oznak, umieścił w sobie tyle grogu, ile tylko się dało, wziął kapelusz i pożegnał się. Sama odprowadził ojciec do sypialnego pokoju. Szanowny ten gentleman, serdecznie ściskając rękę syna, miał, jak się zdawało, zamiar wypowiedzieć kilka filozoficznych uwag, usłyszawszy jednak kroki pani Weller zmienił zamiar i tylko krótko powiedział:

— Dobranoc.

Nazajutrz Sam wstał wcześniej. Zjadłszy naprędce śniadanie, gotował się do odjazdu do Londynu i miał właśnie wychodzić z domu, gdy stanął przed nim ojciec.

— Jedziesz, Sammy? — zapytał.

— Zamierzam właśnie — odparł Sam.

— Chciałbym, byś w jakikolwiek sposób zdołał okiełznać tego Stigginsa i zabrać go ze sobą.

— Czy tak? — zapytał Sam tonem wyrzutu. — Rumienię się, że jesteś moim autorem, stary kapłonie. Dlaczego pozwalasz mu wtykać jego karmazynowy nos do „Markiza Granby”?

— Ponieważ jestem żonaty. Jak się ożenisz, Sammy, wtedy zrozumiesz wiele rzeczy teraz dla ciebie niepojętych. Ale czy warto tracić tyle czasu na uczenie się takich głupstw, jak powiedział pewien sztubak, poznawszy abecadło — to pytanie! Zresztą to zależy od gustu. Co do mnie, gotów jestem powiedzieć, że nie warto.

— W każdym razie — rzekł Sam — bądź zdrow, ojciec.

— Bądź zdrow, Sammy, bądź zdrow.

— Jeszcze słowo — rzekł Sam zatrzymując się. — Gdybym był właścicielem „Markiza Granby” i gdyby to bydle, Stiggins, przyłaziło tak mię objadać, to bym...

— To co byś zrobił? — zapytał Weller z wielką ciekawością — co?

— Zatruliłbym mu grog.

— Ba — zawołał Weller, gorąco ściskając rękę syna — ale czy na pewno zrobiłbyś to, Sammy? Zrobiłbyś?

— Słowo. Z początku nie chciałbym być dla niego okrutny. Zacząłbym od wpakowania go do studni, ale nakryłbym studnię pokrywą, żeby nie dostał kataru; gdybym się jednak przekonał, że łagodne środki nie skutkują, użyłbym innej metody: perswazji.

Weller starszy spojrział na swego syna wzrokiem niewymownego uwielbienia, a potem, uściskawszy mu powtórnie rękę, odszedł powoli, snując rozmaite myśli, które nasunęły mu się wskutek oświadczenia Sama.

Sam patrzył czas jakiś za odchodzącym, aż ten zniknął za zakretem drogi, potem zwrócił się ku Londynowi. Idąc zastanawiał się nad radą, jaką podał ojcu — i czy ojciec usłucha, czy nie? Ale szybko pocieszył się myślą, że tylko czas może na to pytanie odpowiedzieć. Tą samą pociechą chcielibyśmy obdarzyć naszych czytelników.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wesoły rozdział o Bożym Narodzeniu, zawierający także opis wesela i innych zabaw; każda z nich jest dobra w swoim rodzaju, ale nie wszystkie cieszą się szacunkiem w naszych zdegenerowanych czasach

Z pilnością pszczoł i lekkością motyli czterej pickwickczycy zebrali się z rana dnia 22 grudnia owego pamiętnego roku, w którym zostały podjęte i spełnione te (wiernie spisane tutaj) przygody. Boże Narodzenie było za pasem z całym urokiem zabaw i serdecznej gościnności. Stary rok, jak grecki filozof, gromadził dokoła siebie przyjaciół, aby pośród wesołości i biesiadowania odejść z tego świata. Pogodne i wesołe były cztery serca, które wraz z wielu innymi z upragnieniem oczekiwały Gwiazdki.

Niezliczone, zaiste, są serca, dla których Boże Narodzenie jest czasem wesela i radości. Ileż to rodzin, których członkowie rozproszyli się po całym świecie w twardej walce o byt, zbiera się wtedy, przeżywając chwile radości i pogody, będących źródłem czystej i niezmaconej rozkoszy, tak dalekiej od trosk tego świata, że zarówno najbardziej cywilizowane, jak i najdziksze narody zaliczają Boże Narodzenie do chwil najszcześniejszych, niosących błogosławieństwo i ukojenie! Ileż wspomnień, ile uspijonych sympatii budzi dzień Bożego Narodzenia.

Piszemy te słowa — a wiele mil dzieli nas od miejsca, w którym z roku na rok spędzaliśmy ten dzień w gronie najbliższych. Wiele serc, które się wtedy tak radowały, przestało już bić. Wiele oczu, które wtedy patrzyły tak radośnie — zamknęło się. Ręce, któreśmy ściskali — są zimne i martwe. A jednak wspomnienie starego domu, pokoju, głosów, twarzy, uśmiechów, zabaw, najbardziej trywialnych i najmniej znamienitych chwil budzi się w naszych duszach co rok, gdy zbliża się ów dzień, z taką wyrazistością, jakby to, co dawno minęło — działo się wczoraj! Szczęśliwy, szczęśliwy dniu, który potrafisz nas przenosić w czasy dzieciństwa, który potrafisz przypomnieć staremu radość młodości, który sprawiasz, że żeglarz i podróżnik, choć dzielą ich całe mile, w dniu tym wracają do swego rodzinnego domu!

Ale tak zajęliśmy się urokami Gwiazdki, że pozwoliliśmy panu Pickwickowi i jego przyjaciołom marznąć przed dyliżansem w Muggleton (choćby przezornie okryli się płaszczami i szalami). Torby podróżne i walizy już ułożono, a Sam Weller i stajenny siłą się wepchnąć ogromnego szczupaka do kosza, który ten potwór kilkakrotnie przewyższa swymi rozmiarami. Kosz jest pięknie wymoszczony słomą; ustawiono go na pół tuzinie baryłek z ostrygami (wszystko to stanowi własność pana Pickwicka), które umieszczono rzędem na dnie kielni. Twarz filozofa wyrażała żywe zajęcie, tymczasem Sam i stajenny wpychają szczupaka, najpierw głową, potem ogonem, potem płetwami, potem brzuchem, potem wzdłuż, potem wszerz, czemu nieugięty zwierz opiera się, jak może. Wreszcie stajennemu udaje się przypadkiem włożyć szczupaka w sam środek kosza, potem szczupak znika, a razem z nim głowa i ramiona stajennego, który, nie spodziewając się po szczupaku takiej ustępliwości, stracił nagle równowagę ku wielkiemu zadowoleniu służących hotelowych i gapiów. Na ten widok pan Pickwick wybucha niepohamowanym śmiechem, wyjmując z kieszeni szylinga i prosi stajennego, by zechciał wypić za jego zdrowie szklaneczkę grogu. Na to stajenny uśmiecha się, a panowie Tupman, Winkle i

Snodgrass uśmiechają się również. Stajenny i pan Weller znikają na pięć minut, prawdopodobnie po to, aby spełnić życzenie pana Pickwicka, gdyż po powrocie mocno pachną wódką. Stangret siada na kozioł. Weller obok niego, pickwickczycy okrywają sobie nogi płaszczami, nosy wsuwają w szale, stajenni zdejmują okrycia z koni, stangret krzyczy wesoło: — Wio! — i pojechali!

Dyliżans dudni po ulicach, skacze po kamieniach, aż wreszcie wyjeżdża na otwarty gościniec. Koła toczą się po twardym i zmarzniętym gruncie. Konie zachęczone lekkim dotknięciem bata, zaczynają biec kłusa z taką łatwością, jak gdyby wszystko, co im kazano ciągnąć — powóz, pasażerowie, szczupak, baryłki z ostrygami itp. — było nie cięższe od piórka. Zjechali po łagodnej pochyłości, potem wspięli się na wzgórze tak twarde i gładkie jak blok marmuru. Tak ujechali ze dwie mile. Nowe dotknięcie batem i konie puszczają się galopem, wyrzucają głowami, brzęczą uprzężą, jakby rozweselone szybkością jazdy; stangret, trzymając bat i lejce w jednej ręce, drugą zdejmuje kapelusz, kładzie go na kolanach i chustką ociera pot z czoła; trochę dlatego, że tak wypada, a trochę, by pokazać pasażerom, że wcale nie przejmuje się jazdą i że to nic trudnego powozić czwórka, gdy się ma jego doświadczenie! Zrobiwszy to niedbale (inaczej przepadłby cały efekt!), chowa chustkę do kieszeni, nakłada kapelusz, naciąga rękawice, rozstawia łokcie, strzela z bata i konie pędzą jeszcze prędzej niż przedtem.

Kilka małych domków, rozrzuconych po obu stronach gościńca, mówi, że wjeżdżają do miasta lub wsi. W jasnym powietrzu wesoło dzwonią klucze stróża przy rogatce, budzą starego gentlemana siedzącego w powozie. Gentleman spuszcza do połowy okno, wygląda nieco na świat i informuje towarzyszy, że zaraz będzie zmiana koni. Tamci budzą się i postanawiają odłożyć drzemkę, aż znowu ruszą w drogę. Dzwonią łańcuchy rogatki, żona i dzieci rogatkowego wyglądają z chałupy, patrząc na powóz, aż zniknie za zakrętem, po czym dorzucają polan do ognia — niech się rozpali, nim ojciec wróci. Ojciec zaś, wymieniwszy przyjazny ukłon ze stangretem, patrzy długo za powozem, który toczy się szybko w dal.

Wesoło gra trąbka w czystym powietrzu, gdy powóz mknie po źle brukowanych uliczkach małego miasteczka. Stangret rozluźnia lejce, aby móc je zrzucić w chwili, gdy staną konie. Pan Pickwick wychyla głowę z kołnierza płaszcza i przypatruje się woźnicy z wielkim zaciekawieniem. Zauważywszy to, stangret objaśnia pana Pickwicka, jak się miasteczko nazywa i że wczoraj był tu dzień targowy. Pan Pickwick natychmiast dzieli się tymi wiadomościami ze swymi towarzyszami podróży, którzy również wysuwają nosy z kołnierzy płaszczów i rozglądają się po okolicy. Pan Winkle, który siedzi na samym końcu, z jedną nogą w powietrzu, omal nie wypada na ulicę, gdy stangret ostro skręca koło sklepu z serami i wpada galopem na plac targowy. I zanim pan Snodgrass, który siedział przy nim, ochłonął z wrażenia, już wjechali na dziedziniec, gdzie czekają świeże konie okryte derkami. Stangret rzuca lejce i zeskakuje z kozła. Pasażerowie mający miejsca zewnętrzne wysiadają również, z wyjątkiem tych, którzy mają poważne wątpliwości, czy wgramoliliby się z powrotem. Zostają więc, gdzie siedzieli, tupią nogami, żeby się rozgrzać, z zazdrością patrzą na ogień w barze, na gałązki ostrokrzewu zawieszonoego w oknach.

Stajenny wręczył kupcowi zbożowemu mały pakiet, zawinięty w szary papier, który wyjął z torby przewieszzonej przez ramię. Patrzy, czy dobrze zaprzężono konie. Rzuca na ziemię siodło, które przyjechało z Londynu na dachu dyliżansu. Bierze udział w rozmowie stangreta z oberżystą na temat siwej klaczki, która we czwartek odparzyła sobie nogę. Stajenny i Sam Weller zajęli już swoje miejsca z tyłu, stangret wlaźł na kozioł,

gentleman siedzący wewnątrz, który przez cały czas wyglądał przez okno, podniósł z powrotem szybę; zdjęto derki z koni; wszyscy są gotowi do drogi z wyjątkiem dwóch otyłych gentlemanów, których stangret przywołuje z pewną niecierpliwością. Stangret stajenny, Sam Weller, pan Winkle, pan Snodgrass, cała służba oraz gapie (których zebrano się więcej niż wszyscy pozostali razem więci), wszystko to woła na spóźnionych gentlemanów, jak może najgłośniejsze. Odpowiada im wołanie z głębi dziedzińca i pan Pickwick wraz z panem Tupmanem biegną, aż im dech zapiera. Wstąpili na szklaneczkę piwa, a panu Pickwickowi tak zgrabiały ręce, że dobre pięć minut zeszło, zanim zdołał wysupłać szylinga. Stangret mówi z wyrzutem: — No, panowie! — stajenny powtarza za nim jak echo. Stary gentleman siedzący wewnątrz bardzo się dziwi ludziom, którzy wysiadają wiedząc, że czasu jest niewiele, pan Pickwick gramoli się z jednej strony, a pan Tupman z drugiej, pan Winkle krzyczy: — W porządku! — i powóz rusza. Każdy otula się szalem, stawia kołnierz od płaszcza, bruk urywa się nagle, domy znikają i znowu pędzą po otwartym gościńcu, chłodny wiatr dmie im w twarz, a w serca wstępuje spokój.

W taki to sposób dylizans z Muggleton dowiózł pana Pickwicka i jego przyjaciół do Dingley Dell. O wpół do czwartej wylądowali wszyscy, zdrowi i bez szwanku, przed „Błękitnym Lwem”, wypiwszy po drodze należytą ilość piwa i wódki, by się zabezpieczyć od zimna i szronu, okrywającego swymi pięknymi, białymi koronami drzewa i płoty.

Pan Pickwick był właśnie mocno zajęty pilnowaniem, by wylądowano szczupaka, gdy wtem uczuł, iż go ktoś lekko pociągnął za poję. Odwrócił się i poznał ulubionego pазia pana Wardle'a, lepiej znanego czytelnikom naszym pod nazwą pyzatego chłopca.

— Aha! — zawołał pan Pickwick.

— Aha, ha — powtórzył pyzaty chłopak, z zachwytem przypatrując się szczupakowi i ostrzygom. Utył jeszcze więcej.

— No, mój kochany — rzekł filozof — wyglądasz jak rydz.

— Usnąłem trochę przed kominkiem — odrzekł pyzaty chłopiec, którego twarzy dwugodzinny sen nadał barwę cegły. — Mój pan przysłał mię tu z wózkiem po rzeczy państwa. Chciał także przysłać kilka wierzchowych koni, ale ponieważ jest zimno, sądził, że panowie będą woleli iść piechotą.

— Tak, tak, lepiej piechotą — odrzekł szybko pan Pickwick, gdyż przypomniał sobie, jak już raz jechał tą samą drogą. — Sam!

— Jestem, panie.

— Dopomóż służącemu pana Wardle'a ułożyć nasze rzeczy na wózku i usiądź razem z nim; my pójdziemy naprzód.

Wydawszy takie instrukcje pan Pickwick, po załatwieniu rachunku ze stangretem, wraz z przyjaciółmi poszedł wesoło najkrótszą ścieżką.

Sam, który go raz pierwszy w życiu widział pyzatego chłopca, naprzód począł oglądać go ciekawie, nic nie mówiąc. Po należytym obejrzeniu go wziął się do układania pakunków w wózku, na co Joe patrzył najspokojniej, gdyż zdaje się, sprawiało mu to ogromną przyjemność, że Sam tak zwinnie spełnia tę czynność.

— Tak — zawołał wreszcie Sam, rzucając ostatnią sztukę do wózka — to już wszystko.

— Wszystko — zauważył Joe z zadowoleniem — już wszystko...

— Wiesz, mój kochany — rzekł Sam — że można by cię pokazywać za pieniądze.

— Bardzo dziękuję za komplement — odrzekł pyzaty chłopak.

— Nie masz zapewne nic, co by cię dręczyło, prawda? — zapytał Sam.

— Nie, nic, o ile wiem.

— Gdy cię zobaczyłem, wydawało mi się przez chwilę, że dręczy cię nieszczęśliwa miłość do pewnej młodej damy, co? — ciągnął Sam dalej.

Pyzaty chłopak potrząsnął głową.

— Nie? Bardzo mię to cieszy — rzekł Sam. — A lubisz pić?

— Wolę jeść.

— Domyślałem się tego. Ale chciałem powiedzieć, czy nie zechcesz wypić kieliszka czegokolwiek dla rozgrzania sobie żołądeczka?

Chociaż pod tą słoniną może jeszcze nie zmarzeć.

— Ech, nie — rzekł chłopak. — Lubię czasami wypić kieliszek czego dobrego.

— A! Czy tak? No, to chodź.

Dwaj nowi przyjaciele udali się do bufetu, gdzie pyzaty chłopiec nie skrzywiwszy się nawet wychylił z miejsca kielich wódki, co go znakomicie podniosło w opinii Sama. Ten wypił także, po czym obaj poszli do wózka.

— Czy umiecie powozić? — zapytał paż pana Wardle'a.

— Trochę, mój synowcze.

— Weźcie więc to — odrzekł pyzaty chłopiec, oddając Samowi lejce i wskazując boczną drogę — i jedźcie ciągle prosto; nie zmylicie drogi.

To powiedziawszy położył się koło szczupaka, pod głowę podsunął jedną barylękę z ostrygami zamiast poduszki i natychmiast zasnął.

— A to ci młodzieniec bez subiekcji! — powiedział Sam. — Słuchaj, zbudź się, ty baryło! Ale baryła nie dała najmniejszego znaku życia. Sam usiadł więc na przodzie wózka, poruszył lejcami i stary koń powlókł się w kierunku Manor Farm.

Tymczasem pan Pickwick i jego przyjaciele, wprawivszy krew w odpowiednią cyrkulację, wesoło kroczyli naprzód. Droga była ciężka; trawa śliska i zmarznięta, powietrze szczypiące i mroźne. A szybko zapadający szary zmrok („grafitowy” wydaje mi się określeniem odpowiedniejszym, kiedy chodziło o mroźny dzień) sprawiał, że z przyjemnością myśleli o wygodach, jakie czekają ich w domu gościnnego gospodarza. Było to jedno z tych popołudni, kiedy starszym gentlemanom przychodzi na myśl, że dobrze by było zrzucić płaszcze i zabawić się w „skaczącą żabę”. Jesteśmy głęboko przekonani, że gdyby pan Tupman krzyknął: — Hops! — pan Pickwick przyjąłby z ochotą tę propozycję.

Jednak pan Tupman nie krzyknął: — Hops! — i przyjaciele nasi szli dalej w pogodnym nastroju ducha. Na zakręcie dróżki doszły ich uszu pomieszane głosy. Lecz nim zdołali zrobić przypuszczenie, do kogo głosy te należą, już znaleźli się w samym środku towarzystwa, które wyszło im naprzeciw: fakt ten obwieściło pickwickczykowi głośnie hura!, które wyrwało się z ust starego pana Wardle'a, gdy ujrzał naszych przyjaciół.

Był tam pan Wardle, głośno krzyżący i jeżeli to było możliwe, jeszcze weselszy niż zwykle; była Bella i wierny jej Trundle; była wreszcie Emilia i osiem do dziesięciu innych panien przybyłych dla asystowania przy jutrzejszej uroczystości matrymonialnej, wszystkie wesołe, chociaż przejęte ważnością aktu, który miał się dokonać.

Ceremonii prezentacji dokonano rychło, a raczej prezentacja odbyła się bez wszelkich ceremonii. — Pan Pickwick w parę minut potem najswobodniej żartował z pannami, jakby je wszystkie znał był od dziecka; śmiał się z tych, które nie chciały przelazić przez płot, gdy patrzył, albo z tych, które, obdarzone pięknymi nóżkami, stały po kilka minut na samym wierzchu płota, oświadczając, że boją się zrobić najmniejszy choćby ruch. Godne jest uwagi, że pan Snodgrass udzielał panie Emilii nierównie więcej opieki, aniżeli tego wymagały okropności przelazu, chociaż przeszkoda ta wysoka była aż na

cztery stopy i miała tylko kilka stopni. Na koniec zauważono, że pewna młoda panna, mająca czarne oczy i prześliczne buciki obszyte futrem, okropnie krzyczała, gdy pan Winkle podawał jej rękę, aby pomóc jej przejść.

Gdy przewyciężono trudności przełazu i znaleziono się na gładkim gruncie, pan Wardle oznajmił panu Pickwickowi, iż wszyscy razem pójdą obejrzeć urządzenie domu, w którym nowożeńcy zamieszkają po świętach Bożego Narodzenia. Usłyszawszy to, Bella i Trundle poczerwienieli oboje jak pyzaty chłopiec po wyspaniu się przed kominkiem. Tymczasem młoda panienka, czarnooka, w pięknych bucikach z futerkiem, szepnęła coś do panny Emilii, spoglądając filuternie na pana Snodgrassa. Emilia odpowiedziała: — Czyś oszalała? — niemniej jednak poczerwieniała aż po same uszy, aż pan Snodgrass, skromny, jak wszyscy wielcy geniusze, uczuł, jak mu krew uderza do głowy, i zapragnął w głębi swego serca, ażeby rzeczona panienka, wraz ze swymi czarnymi oczami, filuternością i bucikami z futerkiem, znajdowała się w tej chwili w tych dalekich krainach, gdzie rośnie pieprz.

Jeżeli pickwickczycy byli witani tak po przyjacielsku poza domem, to wystawcie sobie, z jaką serdecznością witano ich, gdy przybyli na miejsce! Nawet służący uradowali się ujrzawszy pana Pickwicka, a pokojówka Emma rzuciła na pana Tupmana spojrzenie na wpół wyzywające, a tak ponętne, iż nawet statua Napoleona, umieszczona w przedpokoju, gotowa była nabrać odwagi, zejść z piedestału i uściskać dziewczynę.

Stara dama siedziała w bawialnym pokoju ze zwykłą powagą, nieszczególny jednak miała humor i co za tym idzie, była najzupełniej głucha. Nie wychodziła nigdy o tej porze i jak wiele innych dam tego samego rodzaju, poczytywała za zdradę stanu wobec domu to wszystko, co inni robili, gdy sama już tego robić nie mogła. Teraz siedziała wyprostowana w swym fotelu z miną, jak tylko można, najsurowszą. Ale niech ją tam Bóg ma w swej opiece, zawsze to jeszcze była mina życzliwa.

— Matko — rzekł pan Wardle — oto pan Pickwick, matka pewno go sobie przypomina?

— Daj pokój! — rzekła stara dama z powagą. — Nie dokuczajcie panu Pickwickowi takim starym gratem jak ja. Teraz już nikt się mną nie zajmuje, co zresztą jest bardzo naturalne.

To mówiąc potrząsnęła głową i drżącą ręką poczęła przebierać fałdy sukni.

— O! Niech pani tak nie odpycha starego przyjaciela — rzekł pan Pickwick. — Przybyłem tu umyślnie, by się nagadać z panią do woli i zagrać parę robrów wista. A przy tym pokażemy tym smarkaczom, jak się tańczy menueta.

Stara dama nagle zmiękła, ale nie lubiła okazywać od razu, że ustępuje, poprzestała więc tylko na odpowiedzi:

— Ach! Nie słyszę!

— E! Niech mama przestanie już — zawołał pan Wardle — niech mama da pokój złemu humorowi i niech mama pomyśli o Belli; biedna dziewczyna tak potrzebuje otuchy.

Pocziwa staruszka słyszała to, gdyż usta jej drżały, gdy syn mówił. Ale wiek ma swoje wady umysłowe, więc jeszcze nie udobruchała się. Poczęła tylko miąć suknię i zwróciwszy się do pana Pickwicka, powiedziała:

— O! Panie Pickwick! Inna była młodzież za naszych czasów!

— Niezawodnie! Dlatego też tak lubię wszystkich, na których pozostały jeszcze ślady tych czasów.

To mówiąc zacny nasz przyjaciel pociągnął ku sobie lekko Izabelę i złożył na jej czole pocałunek, a potem usadowił ją na małym taborecie u nóg babki. Natenczas czy to wyraz tej młodej twarzy, patrzącej na nią, przypomniał jej przeszłość, czy też rozczuliła ją

życzliwa dobroduszość pana Pickwicka, słowem — czy z tego, czy z owego powodu, dość, że stara dama zmiękła zupełnie; objęła Bellę za szyję i cały zły humor rozpląnął się w cichych łzach.

Był to przyjemny wieczór. Poważne i uroczyste były robry, które rozgrywali pan Pickwick i stara dama. Nieokiełznana wesołość panowała przy okrągłym stole. Panie oddaliły się dawno, a szklanice starego wina, smakowicie zaprawionego korzeniami, wciąż krążyły w kółko. Mocny był też sen i przyjemne marzenia po tym winie. Dziwne, że marzenia pana Snodgrassa ciągle wiązały się z panną Emilią Wardle, a główną osobą w wizjach pana Winkle'a była młoda dama z czarnymi oczami, z cudownym uśmiechem, w prześlicznych bucikach obszytych futrem...

Na drugi dzień przebudził pana Pickwicka gwar i odgłos kroków, które by mogły wyrwać ze snu nawet samego pyzatego chłopca. Filozof usiadł na łóżku i słuchał. Służące i goście żeńskiego rodzaju uwijali się po całym domu. Tyle ze wszystkich stron żądano gorącej wody, tak błagano to o igły, to o nici, tak wykrzykiwano: — O! Bądź tak dobra, zapnij mi suknię — że pan Pickwick w nieświadomości swej zaczął przypuszczać, iż musiało zajść coś okropnego. Ale z wolna rozjaśniło mu się w głowie i przypomniał sobie, że był to dzień weselny. Okoliczność ważna, ubrał się więc bardzo starannie i poszedł do pokoju, w którym miano jeść śniadanie.

Wszystkie służące, w muślinowych sukienkach, biegały to tu, to tam, w trudnym do opisanego stanie wzruszenia i zakłopotania. Stara dama była ubrana w aksamitną suknię, która od dwudziestu lat nie widziała światła, z wyjątkiem kilku słabych promieni, które zabłąkały się aż do szafy, gdzie wisiała. Pan Trundle promieniał zadowoleniem, można było jednak zauważyć, że mocno jest wzruszony. Co do zacnego gospodarza, temu absolutnie nie udało się udawanie, iż jest spokojny i wesoły. Wyjąwszy dwie czy trzy faworytki, które pozostały na górze i miały zaszczyt oglądania panny młodej i družek, wszystkie inne panny stanęły we łzach i muślinowych sukienkach.

Wszyscy pickwickczycy także przywdziali ubiory odpowiednie do okoliczności. Na koniec na dziedzińcu, przed bramą dały się słyszeć okropne wrzaski, wydawane przez parobków i chłopców należących do folwarku, a z których każdy ozdobiony był na piersiach białą kokardą. Sam przewodniczył tym hałasom zachętą i przykładem, ponieważ doszedł już do wielkiej popularności i tak mu było dobrze w Manor Farm, jakby był poczęty i urodzony na gruntach pana Wardle'a.

Małżeństwo to uprzywilejowany przedmiot żartów, a jednak, prawdę powiedziawszy, nie ma w nim nic tak bardzo żartobliwego. Mówiono tu tylko o samej ceremonii, prosimy jednak, by nie robiono przypuszczeń, że tkwi w tym jakiś ukryty sarkazm skierowany przeciw stanowi małżeńskiemu. Z radością, z nadzieją, jakie przynosi ze sobą małżeństwo, łączy się żal, że trzeba opuścić dom, rodzinę, przyjaciół najpiękniejszego okresu życia, by stawić czoło dalszym kolejom tegoż życia z osobą, której w każdym razie nie znamy jeszcze dokładnie. Ale dość już o tym; nie chcemy czynić tego rozdziału smutnym, a tym bardziej nie chcemy pozwalać sobie na drwiny z małżeństwa.

Powiemy więc krótko, że obrzędu ślubnego dopełnił stary proboszcz w parafialnym kościele w Dingley Dell i że imię pana Pickwicka zapisane jest w księgach kościelnych, do dziś dnia przechowywanych w zakrystii; że panna młoda podpisała się nie bardzo pewną ręką; że podpisy panny Emilii i innych panien są prawie zupełnie nieczytelne; że zresztą wszystko poszło bardzo porządnie i że młode panny osądziły, iż w ogóle ceremonia ta wcale nie jest tak straszna, jak sobie wyobrażały; a jeśli właścicielka czarnych oczu i filuternego uśmiechu uznała za właściwe oświadczyć panu Winkle'owi, że nigdy by się

nie zgodziła na coś tak okropnego, to z drugiej strony mamy wszelkie powody, by przypuszczać, iż myliła się. Do tego wszystkiego dodać musimy, iż pan Pickwick pierwszy ucałował młodą mężatkę i jednocześnie zarzucił jej na szyję gruby złoty łańcuch z zegarkiem z tego samego metalu, przedmioty, których do tej chwili nie widział nikt ze śmiertelników z wyjątkiem jubilera. Na koniec dzwony kościoła zadzwoniły, jak można najweselej, i wszyscy wrócili do domu na śniadanie.

— Gdzie się stawia ciasta, ty młoda szlafmyco? — zapytał Sam pyzatego chłopca, pomagając mu ustawiać na stole te dania, z którymi dnia poprzedniego nie zdołano się jeszcze uporać.

Joe wskazał odpowiednie miejsce.

— Bardzo dobrze — rzekł Sam. — Drugi półmisek na przeciwległym końcu. Teraz wyglądamy poprawnie, jak mówił pewien papa udawszy głowę synowi, który miał zeza.

Czyniąc to znakomite porównanie Sam cofnął się o parę kroków, by przypatrzeć się przygotowaniom do uczy. Jeszcze był pogrążony w tej milej kontemplacji, gdy towarzystwo przybyło z kościoła i wszyscy zasiedli do stołu.

— Wardle — rzekł pan Pickwick, gdy się tylko ulokowano — szklanek wina, na pamiątkę tej uroczystości.

— Z największą przyjemnością, stary kolego — odrzekł pan Wardle. — Joe... przekłety chłopak, znowu śpi!

— Nie, panie, nie śpię — odrzekł pyzaty chłopiec wyłaząc z kąta, w którym objadał się ciastkami.

— Napelnij szklanek pana Pickwicka.

— Słucham pana.

Pyzaty chłopak napelniał szklanek i stanął za krzesłem swego pana, skąd, z pewnego rodzaju radością połączoną z niepokojem, przypatrywał się ruchowi nożów i widelców, tudzież temu, jak wyborowe kawałki przechodziły z półmisków na talerze, a stamtąd do ust biesiadników.

— Niech cię Bóg błogosławi, mój stary przyjacielu — rzekł pan Pickwick.

— I ciebie także, kolego — odrzekł pan Wardle. I obaj wychylili szklanki.

— Pani Wardle — rzekł następnie pan Pickwick — my, starzy, powinniśmy także wypić ze sobą na cześć tej szczęśliwej uroczystości.

Stara dama była w tej chwili w pełni majestatu, gdyż zasiadła uroczysto na pierwszym miejscu za stołem, w aksamitnej sukni, mając po jednej stronie pannę młodą, a po drugiej pana Pickwicka.

Nasz filozof przemówił niezbyt głośno, niemniej jednak usłyszała go od razu i wychyliła kieliszek wina za jego zdrowie i pomyślność. Potem poczciwa staruszka poczęła opowiadać bardzo szczegółowo o swym własnym zamążpójściu, z dodaniem rozprawy o wysokich obcasach i kilku okolicznościach dotyczących życia i przygód śp. pani Tollinglower. W ciągu tego opowiadania śmiała się serdecznie, młode panny śmiały się z nią, pytając potem jedna drugą, dlaczego babcia stała się tak rozmowna. A gdy panny śmiały się, stara dama śmiała się jeszcze głośniejszym oświadczeniem, że historię, którą opowiada, zawsze miano za wyborną, z czego znów wszyscy się śmiali, co podtrzymywało starą damę w najdoskonalszym humorze. Potem pokrajano placek weselny, który obszedł cały stół, a panny odkładały po kawałku na bok, by potem włożyć go pod poduszkę, co pozwala zobaczyć we śnie swego przyszłego męża; wszystko to wywołało mnóstwo żartów i rumieńców.

— Panie Miller, szklaneczkę wina! — rzekł pan Pickwick do swego dawnego znajomego, gentlemana z głową podobną do gruszki.

— Z największą przyjemnością — odrzekł tenże uroczystym tonem.

— Czy pozwolą panowie i mnie przyłączyć się do kompanii? — rzekł stary duchowny.

— I mnie także — dodała jego żona.

— I mnie także! I mnie także! — zawołało z końca stołu dwóch ubogich krewnych, którzy jedli i pili, ile wlaźło, śmiejąc się ze wszystkiego, co kto mówił.

Pan Pickwick, rozpromieniony uprzejmością, wyrażał szczerze swoje zadowolenie po każdym nowym przystąpieniu do toastu, po czym, wstając nagle, zawołał:

— Panowie i panie!

— Słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie! — krzyknął Sam uniesiony ogólną egzaltacją.

— Niech wejdą wszyscy domownicy — rzekł pan Wardle — i dajcie każdemu po szklance wina, by wypił z nami toast. Pickwick! Słuchamy!

Wśród powszechnej ciszy pan Pickwick zaczął:

— Panowie! I panie... Nie... nie, nie powiem: panowie i panie, powiem raczej: moi przyjaciele! Moi kochani przyjaciele — jeżeli damy pozwolą na to...

Tu panu Pickwickowi przerwały huczne oklaski dam, którym zawtórowali mężczyźni, a podczas których właścicielka czarnych oczu wyraźnie oświadczyła, że uściskałaby tego kochanego pana Pickwicka; pan Winkle z wielką galanterią zapytał, czy nie można by zrobić tego przez prokurę, ale młoda czarnooka dama odpowiedziała mu: — Jeszcze czego — chociaż jej odpowiedzi towarzyszyło spojrzenie wyraźnie mówiące: „Spróbuj”.

— Moi kochani przyjaciele! — zaczął znów pan Pickwick — wznoszę zdrowie nowożeńców, niech Bóg im błogosławi! (Łzy i oklaski). Mój młody przyjaciel, Trundle, jest, jak sądzę, zacnym i dzielnym młodzieńcem, a wiem, że jego żona jest bardzo miłą i zacną osobą, zdolną przenieść w inną sferę szczęście, które roztaczała dokoła siebie w ciągu lat dwudziestu w domu rodzicielskim (tu pyzaty chłopiec wybuchnął wielkim płaczem, na co Sam ujął go za kołnierz i wyprowadził z pokoju). Chciałbym — mówił dalej pan Pickwick — chciałbym być dość młody, by zostać mężem jej siostry (oklaski). Ale ponieważ tak nie jest, cieszę się, iż jestem dość stary, by być ojcem obu, aby nie podejrzewano mnie o jakie ukryte zamiary, jeżeli powiem, że je uwielbiam obie, że je szanuję i kocham (oklaski i łkania). Ojciec nowo zaślubionej, mój dobry przyjaciel, tu obecny, jest to charakter szlachetny, i dumny jestem z tego, że go znam (wielki hałas).

Człowiek to zacny, niezależny, serdeczny, gościnny, hojny (wielki krzyk ubogich krewnych przy każdym z tych przymiotników, a zwłaszcza przy dwóch ostatnich). Oby córka jego miała tyle szczęścia, ile on sam jej życzy, oby w spoglądaniu na to szczęście znajdował wszystką rozkosz, jakiej jest godzien. Takie są, jestem tego pewny, życzenia nas wszystkich. Pijmy więc za zdrowie nowożeńców, życząc im długiego życia i wszelkiej pomyślności!

Pan Pickwick przestał mówić wśród prawdziwej burzy oklasków. Szczególnie płuca domowników odznaczały się przy tym swym czynnym i doniosłym udziałem pod dowództwem Sama. Potem pan Wardle wznosił zdrowie pana Pickwicka, a pan Pickwick starej damy. Pan Snodgrass wznosił zdrowie pana Wardle, a pan Wardle pana Snodgrassa. Jeden z ubogich krewnych wznosił zdrowie pana Tupmana, drugi pana Winkle'a, wszyscy uctowali i weselili się aż do tajemniczego zniknięcia dwóch ubogich krewnych pod stołem, co oznajmiło towarzystwu, że czas rozejść się.

W myśl rady pana Wardle'a męska część towarzystwa wybrała się na przechadzkę, by wyparować z siebie wino. Tylko dwaj ubodzy krewni pozostali przez cały dzień w łóżku,

by osiągnąć ten sam rezultat, lecz wobec bezowocności tych usiłowań musieli leżeć dalej. Sam utrzymywał bezustanną wesołość pomiędzy służbą, a pyzaty chłopak kolejno to jadł, to spał...

Obiad był tak serdeczny i hałaśliwy jak śniadanie, potem nastąpił deser i nowe toasty, potem herbata, wreszcie bal.

Największa sala w Manor Farm ma miły wygląd, dobrą długość, ciemne parapety, wysoki gzyms u kominka, a kominek sam takich rozmiarów, że nasze dorożki razem z końmi mogłyby tam wygodnie wjeżdżać. U jej końca, w altanie z zieleni, siadło dwoje skrzypków i jedyna w Muggletonie harfiarka. We wszystkich kątach, wszędzie, gdzie tylko mogły zmieścić się, błyszczały stare, srebrne, ciężkie świeczniki. Dywany zdjęto z podłogi, ogień buchał w ogromnym kominku, wesołe śmiechy i gwar rozlegały się wszędzie.

Jeżeli coś mogło jeszcze podnieść interesujący charakter tej miłej sceny, to nieprawdopodobny fakt, że pan Pickwick ukazał się tym razem bez kamasy, po raz pierwszy w życiu, jak jednogłośnie utrzymują najdawniejsi jego przyjaciele.

— Czy zamierzasz tańczyć? — zapytał go pan Wardle.

— Naturalnie, przecież dlatego ubrałem się odpowiednio — odrzekł filozof, uprzejmie ukazując swe jedwabne pończochy i zgrabne trzewiki.

— Pan w jedwabnych pończochach — zawołał wesoło pan Tupman.

— Dlaczego by nie? — odparł pan Pickwick z ogniem, zwracając się do swego przyjaciela. — Pytam się pana, dlaczego by nie?

— O! W samej rzeczy — odrzekł pan Tupman — nie ma żadnego powodu, byś ich pan nie nosił.

— Tak sędzę, panie, tak sędzę — zawołał pan Pickwick żywo.

Pan Tupman chciał zaśmiać się, ale zauważył, iż dotknął przedmiotu zbyt poważnego. Przybrał więc sam ton poważny i oświadczył, że pończochy są bardzo piękne.

— Spodziewam się — odrzekł na to filozof, ostro wpatrując się w pana Tupmana — spodziewam się, że pan w tych pończochach nie widzi nic nadzwyczajnego?

— O nie, bynajmniej! — pośpieszył odpowiedzieć pan Tupman.

A gdy oddalił się, pan Pickwick przybrał zwykłą swą uprzejmą minę.

— Jesteśmy gotowi — rzekł pan Pickwick, stanąwszy ze starą damą w pierwszej parze i ze trzy razy ruszywszy już z miejsca, w niecierpliwym oczekiwaniu rozpoczęcia tańca.

— No! — zawołał pan Wardle — teraz!

Skrzypce i harfa odezwały się, pan Pickwick posuwicie wystąpił ze swą tancerką, ale przerwały mu powszechne oklaski i głosy: — Stójcie! Stójcie!

— Co to znaczy? — zapytał filozof, wracając na swe miejsce, gdy harfa i skrzypce umilkły.

— Gdzie jest Arabella Allen? — zawołało pół tuzina głosów.

— I Winkle? — dodał pan Tupman.

— Jesteśmy — odrzekł pan Winkle, wychodząc z miłą swą tancerką z wgłębienia u jednego z okien; gdy to mówił, trudno było stanowczo zdecydować, kto z dwojga był mniej zarumieniony: on czy też młoda, czarnooka panna.

— Dziwi mię, dlaczego nie stanąłeś dotąd na swoim miejscu — rzekł doń pan Pickwick z niezadowolaniem.

— Cóż w tym dziwnego? — odrzekł pan Winkle.

— Zresztą masz słusność — powiedział na to pan Pickwick, spoglądając wymownie na Arabelle. — Masz słusność; w każdym razie nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Nie było więcej czasu, by zajmować się tym małym wypadkiem, gdyż w tej chwili ozwały się skrzypce i harfa. Pan Pickwick puścił się w tany najpierw od środka sali, unosząc się ku jej końcowi, aż do kominka, potem znów z powrotem — *poussette* tam, *poussette* tu — długie szurganie — następna para — *change* — powtórzenie całej figury — nowe zaproszenie, by rozpocząć turę.

Potem następna para i znów następna, i jeszcze następna — nie, czegoś tak wspaniałego nigdy nie widziano; a w końcu, gdy zabawa dosięgła szczytu i wszystkich czternaście par w kompletnym zmęczeniu wycofało się wraz ze starą damą, a pani pastorowa zastąpiła babkę, pan Pickwick nie ustępował, chociaż już jego wysiłków nie było potrzeba; i jak długo grała muzyka, on tańczył bezustannie, uśmiechając się do swej tancerki z niesłychaną uprzejmością.

Na długo przed tym, zanim pan Pickwick skończył swój taniec, nowożeńcy wynieśli się cichaczem. Pomimo to jednak po jakimś czasie wszyscy pozostali zasiedli do sutej wieczerzy, po której długo jeszcze biesiadowano za stołem. Toteż gdy pan Pickwick na drugi dzień obudził się dość późno, niejasno tylko przypomniał sobie, iż z osobna i poufnie zaprosił około czterdziestu pięciu osób na obiad do oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, co, jak sam słusznie uznawał, dowodziło w sposób prawie niezaprzeczony, iż ubiegłej nocy nie tylko tańczył.

Następny dzień przeszedł również wesoło, a gdy nadszedł wieczór, Sam zapytał Emmy:

— Więc, mówi panna, że cała rodzina zbierze się na zabawę w kuchni?

— Tak, panie Weller — odrzekła Emma. — Zawsze tak obchodzimy Wigilię Bożego Narodzenia. Nasz pan nie zaniedbałby tego zwyczaju za nic.

— Wasz pan ma w ogóle bardzo zdrowy sąd o wszystkim. Nigdy nie widziałem człowieka tak rozsądnego i takiego skończonego gentlemana.

— Wielka prawda — odrzekł pyzaty chłopiec, mieszając się do rozmowy. — Ma śliczne wieprzki.

A gdy to mówił, pewien rodzaj zachwyty błyszczał mu w oczach.

— A! Przebudziłeś się! — zawołał Sam.

Pyzaty chłopiec kiwnął głową.

— Otóż powiem ci, mój ty młody boa dusicielu — zaczął znowu Sam z naciskiem — że jeżeli nie będziesz spał trochę mniej i jeżeli nie postarasz się mieć trochę więcej ruchu, to gdy staniesz się już mężczyzną, narazisz się na taką samą nieprzyjemność, na jaką naraził się stary gentleman z harcapem.

— Cóż mu się stało? — zapytał Joe niepewnym głosem.

— Zaraz ci powiem. Była to jedna z tak obszernych osobistości, jakich niewiele; po prostu byk tuczny, który od czterdziestu pięciu lat nie widział własnych swych butów.

— Wielki Boże! — zawołała Emma.

— Tak, droga panno, nie widział. I gdyby postawiono przed nim na stole model jego własnych nóg, toby ich nawet nie poznał. Chodził codziennie do swego biura przystrojony w piękny złoty łańcuch, zwieszający mu się prawie na półtorej stopy, i ze złotym zegarkiem w kieszeni, który wart był... boję się, bym nie powiedział za wiele — słowem, który wart był tyle, ile może być wart wielki, gruby, okrągły zegarek, tak samo gruby i okrągły jak ów gentleman, tylko że miał stosunkowo większy cyferblat. — Lepiej byś zrobił, gdybyś nie nosił tego zegarka — mówili mu przyjaciele — zobaczysz, że ci go ukradną. — A chciałbym — powiada — widzieć złodzieja, który by był w stanie wyciągnąć go z kieszeni; bo ja sam, niech mię Bóg ma w swojej opiece — powiada — żadną miarą nie

mogę go stamtąd wydobyć, tak jest tam przyciśnięty, że gdy chcę wiedzieć która godzina, to muszę zaglądać do okna zegarmistrza. — To mówiąc tak się śmiał, że obawiano się, by nie pękł. Tak tedy z głową upudrowaną i harcapem toczył się po ulicy ze swym złotym łańcuchem i zegarkiem, który omal nie rozpląszczył się w kieszeni. A nie było w całym Londynie złodzieja, który by już nie ciągnął za ten łańcuch, ale łańcuch nigdy nie chciał się zerwać, a zegarek wyleźć. Znudziło to w końcu złodziejów, a tłusty gentleman, powracając do domu, śmiał się tak, iż mu się kołysał harcap jakby wahadło wielkiego zegara. Na koniec pewnego dnia, gdy się tak toczył najspokojniej, spostrzega pewnego rzezimieszka, znanego mu z widzenia, idącego z małym chłopcem o bardzo wielkiej głowie. — Znów chcą próbować — pomyślał stary gentleman — ale nie uda im się! — Więc zaczyna drwić sobie, wtem mały chłopiec puszcza rękę złodzieja i uderza starego gentlemana w sam środek brzucha tak silnie, iż ten z bólu omal nie rozpadł się na dwoje. Gentleman poczyną krzyczeć: — Mordercy! — a złodziej mówi mu do ucha: — Już go mam! — Zegarek i łańcuch znikły. A co najgorsze, że od tej pory organa trawienia starego gentlemana zostały nadwerżone na cały dalszy ciąg jego życia. Toteż zapamiętaj to sobie, mój młody żarłoku, i staraj się, byś nie bardzo utył.

Gdy Sam ukończył to moralne opowiadanie, które żywo zajęło pyzatego chłopca, poszli w trójkę do kuchni.

Tu już wszyscy byli zgromadzeni, według dorocznego zwyczaju, ściśle przestrzeganego od niepamiętnych czasów przez przodków pana Wardle'a. Gospodarz własnoręcznie zawiesił ogromną gałąź jemioli na samym środku sufitu, co było powodem mnóstwa scen, zamieszania i walk. Wśród powszechnego gwaru i tłoku pan Pickwick z galanterią, która by przyniosła zaszczyt potomkowi samej pani Tollinglower, ujął starą damę za rękę, podprowadził pod mistyczną gałąź i ucałował z wielkim ugrzecznieniem i uszanowaniem. Stara dama poddała się temu aktowi grzeczności z całą godnością odpowiadającą tak uroczystemu obrzędowi. Ale młode panny nie były tak głęboko przejęte przesądnym uszanowaniem dla starego zwyczaju, może też wyobrażały sobie, że smak pocałunku podnosi to, że niełatwo go otrzymać; krzychały więc, wyrwały się, kryły się po kątach, groziły i błagały, jednym słowem, robiły wszystko, tylko nie uciekały z kuchni, aż do chwili, w której nawet najbardziej przedsiębiorczy gentlemani omal nie zaniechali przedsięwzięcia. Wtedy nagle damy spostrzegły, iż bezużyteczny był dalszy opór, i dobrowolnie pozwoliły się ucałować. Pan Winkle pocałował młodą czarnooką pannę; pan Snodgrass pannę Emilię. Ubodzy krewni ucałowali każdego nie wyłączając najbrzydszych panien, które w powszechnym zamieszaniu mimowolnie same włożyły pod jemiolę. Co do Sama, to ten, nie widząc konieczności podsuwania się aż pod mistyczną gałąź, całował Emmę i inne służące w każdym kącie, gdzie tylko mógł je złapać. Pan Wardle stał przy kominku przypatrując się tej scenie z najwyższym zadowoleniem, pyzaty zaś chłopiec, korzystając ze sposobności, konsumował wszystkie po kolei ciasta, które jedna z bawiących się osób odłożyła sobie na bok.

Na koniec krzyki ucichły, twarze oblał rumieniec, loczki się porozkręcały; pan Pickwick uściskawszy starą damę, jak rzekliśmy wyżej, stanął pod jemiolą z uśmiechem przypatrując się temu, co się dokoła działo. Wtem młoda czarnooka panna, poszeptawszy z kilku innymi pannami, rzuciła się ku filozofowi, pochwyliła go obiema rękami za szyję i serdecznie ucałowała w lewy policzek. Na ten znak tłum młodych panienek otoczył uczonego filantropa i nim ten miał czas zastanowić się i zmiarkować, o co chodzi, od każdej otrzymał pocałunek.

Piękny był to widok: pan Pickwick w środku tej grupy, pociągany to w jedną, to w drugą stronę, całowany w podbródek, w nos, w okulary, podczas głośnych i ochoczych śmiechów. Ale wkrótce widok stał się nierównie piękniejszy, gdy pan Pickwick z zawiązanymi chustką oczami rzucać się począł na ściany, meble i wszelkie sprzęty, zgłębiając z wielkim wdziękiem wszystkie tajemnice ślepej babki aż do chwili, kiedy złowił jednego z ubogich krewnych. Wtedy zajął się wyłącznie uciekaniem od ślepej babki, co wykonywał ze zwinnością wywołującą oklaski całego towarzystwa.

Ubodzy krewni łapali tych, którzy, jak im się wydawało, tego właśnie pragnęli, i pozwolili łapać siebie tym, którzy za długo byli ślepą babką.

Gdy miano dosyć ślepej babki, zaczęto wyciągać rodzynki z płonącego ponczu, a gdy dość już poparzone sobie palce, wszyscy usiedli przy tęgim ogniu, do sutej wieczerzy i ogromnej bowli piwa zmieszanego z winem, nieco mniejszej od zwykłej miednicy, ale w której pieczone jabłka tak nęcąco i wesoło syczały i pękały, że niepodobna było temu się oprzeć.

— Wszystko to — rzekł pan Pickwick — jest bardzo miłe.

— To niezmienny zwyczaj — odrzekł pan Wardle. — Wszyscy słudzy i robotnicy zasiadają z nami razem do stołu w Wigilię Bożego Narodzenia. Tak sobie biesiadujemy wspólnie aż do północy, by powitać przyjście Chrystusowe, i spędzamy czas na zabawach i opowiadaniach. Trundle, mój chłopcze, dorzuć no drzewa!

Miliony iskier buchnęły w kominie, gdy poruszono ognisko, a czerwony płomień rozpostarł ciepło i światło po całej kuchni i każdą twarz oświecił wesoło blaskiem.

— No — powiedział pan Wardle. — Teraz zdałaby się piosenka. Chyba sam ją zaśpiewam w braku lepszego śpiewaka!

— Brawo! — zawołał pan Pickwick.

— Napełnijcie szklanki! — powiedział pan Wardle. — Dobre dwie godziny upłyną, zanim pozwolę wam zobaczyć dno naczynia przez warstwę tego pięknego płynu. Nalejcie! I — śpiewam!

To powiedziawszy wesoły staruszek, bez dalszych wstępów, zaśpiewał sympatycznym, niskim głosem:

PIEŚŃ WIGILIJNA

*Co mi tam wiosna! Niech jej wiatry budzą
Pęki stokrotek, pierwiosnków, sasanek —
Niechaj je karmi swym zdrażliwym deszczem
I niech je mrozi, nim zabłyśnie ranek.
Bo zmienny elf, czego chce, sam nie wie:
Każdej godziny, każdej chwili inny
W twarz ci się śmieje, by śmiech zmienić w grymas
I zwarzyć płatki swej dziatwy niewinnej!*

*Niech letnie słońce w domu swym się kryje,
Nie pójdę za nim do złotej komory!
Niech się zastania chmurą, ja się śmieję
I drwię — bo co mi złe jego humory!
Dzkie szaleństwo, to jest mu najdroższe,*

*Spalone żarem i gorączką, dziecię —
A miłość, nazbyt silna, nie trwa długo,
Wy to najlepiej, smutne serca, wiecie.*

*Noc zniw łagodna, nad którą się pali
Spokojny księżyc, gołębica świata,
Ma dla mnie więcej czaru i uroku
Niż blask południa i płomienie lata.
Ale mnie smutkiem każdy liść przejmuję,
Co, zdarty wichrem, szeleści na drodze;
Więc niech mię jesień swym pięknem nie zwodzi,
Ja się z jej czarem nigdy nie pogodzę!*

*Ja śpiewam krzepkie Boże Narodzenie,
Którego mężne serce wiernie bije.
Napelniam szklankę po brzeg, by radośnie
Wznieść jego zdrowie trzykrotnym: — Niech żyje!
Więc by się śmiało stare jego serce,
Niech ta biesiada czci go i wesele.
Będziemy jeść i pić, dopóki starczy,
I rozstaniemy się — jak przyjaciele.*

*Jeśli dokucza mrozem, zbyt jest szczere
I prawe, by to ukrywać przed nami.
Nie wstyd na twarzy, nawet najdumniejszej,
Zobaczyć znak ten, bo ten znak nie plami.
A więc znów śpiewam, niech głos w pułap bije,
A ściany echem powtórzą me pienie:
Zacny staruszek, tak długo czekany,
Król pór — niech żyje Boże Narodzenie!*

Pieśń oklaskiwano głośno — przyjaciele i podwładni to najlepsze audytorium; ubodzy krewni wpadli w bezgraniczne uniesienie. Znów dorzucono do ognia i znów krząć zaczęły szklanki.

— A to ci sypie śnieg — powiedział jeden z mężczyzn przyciszonym głosem.

— Śnieg? — spytał pan Winkle.

— Zimna, paskudna noc, panie! — odpowiedział tamten. — Wiatr dmie po polach i idą takie straszne, białe chmury!

— Co Jem mówi? — zapytała stara dama. — Czy się co stało?

— Nic, nic, matko! — powiedział pan Wardle. — Powiedział, że jest zadymka i że strasznie zimno. Poznać to po tym, jak huczy w kominie.

— A! — powiedziała stara dama. — Pamiętam taką samą zadymkę, wiele lat temu, akurat na pięć lat przed śmiercią twego ojca. Też było Boże Narodzenie. Pamiętam, że ojciec twój opowiadał nam wtedy historię o złych duchach, które porwały starego Gabriela Gruba.

— Historię o czym? — zainteresował się pan Pickwick.

— Ach, taka sobie historia o starym grabarzu — powiedział pan Wardle. — Tutejsi ludzie przypuszczają, że go porwały duchy.

— Przypuszczają! — zawołała stara dama. — Czyż podobna temu nie wierzyć? Przypuszczają! Słyszałeś chyba od dziecka, że go porwały duchy, i jeszcze nie wiesz, że tak było?

— Dobrze, matko, niech będzie, jak chcesz! — powiedział, śmiejąc się pan Wardle. — Porwały go duchy i skończyło się.

— A nie! Upewniam pana! — powiedział pan Pickwick. — Muszę się dowiedzieć, jak go porwały, dlaczego i — w ogóle wszystko!

Wardle uśmiechnął się, gdyż wszystkie głowy pochyliły się z ciekawością, po czym nalawszy szklanki pewną ręką i wzniosłszy zdrowie pana Pickwicka, zaczął.

Ale niech Bóg ma w swojej opiece naszego wydawcę! Jakiż długi rozdział napisaliśmy! Zapomnieliśmy o takiej drobnej restrykcji, jak „rozdziały” — słowo daję! Musimy więc duchom poświęcić nowy! Dużo miejsca, ale żadnych względów dla duchów, panie i panowie, jeśli łaska!

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Historia o upiorach, które porwały grabarza

W starej wsi klasztornej niedaleko stąd, dawno, dawno temu, tak dawno, że chyba historia ta musi być prawdziwa — bo przecież nasi dziadkowie już w nią wierzyli — mieszkał zakrystian i grabarz w jednej osobie, Gabriel Grub. Nie jest wcale rzeczą konieczną, by ktoś, dlatego tylko, że jest grabarzem i żyje w otoczeniu pomników śmierci, musiał być melancholikiem i człowiekiem ponurym. Spotyka się między nimi najweselszych ludzi na świecie. Sam miałem kiedyś honor przyjaźnić się z karawaniarzem, który w prywatnym życiu, gdy nie spełniał obowiązków, był wesoły jak szczygieł, śpiewał najzartobliwsze piosenki i jednym haustem potrafił wychylić szklanekę czegoś dobrego. Ale Gabriel Grub, jakby dla zaprzeczenia tym możliwościom, był człowiekiem ponurym i smutnym; zadowalał się towarzystwem własnym i starej oplatanej flaszki, którą przechowywał w wielkiej kieszeni swej kapoty. Na każdą zaś wesołą twarz patrzył z trudnym do opisanego wyrazem głębokiej pogardy i złośliwości.

Pewnego dnia wigilijnego, nieco przed zmierzchem, Gabriel wziął do rąk rydel, zapalił latarkę i poszedł na cmentarz. Jutro miał wykończyć grób, a że czuł się tego wieczora jakoś samotnie, przyszło mu na myśl, że może praca go rozerwie. Idąc dobrze znaną sobie drogą, widział przez okna domów zapalone światła w pokojach, ogień trzaskający wesoło i twarze zebrane koło kominka, widział przygotowania do następnego dnia, wdychał apetyczne zapachy, jakie buchały z kuchni. Widok ten gniewem i goryczą napępiał serce Gabriela Gruba. A kiedy na ulicy pokazała się gromadka dzieci, do których natychmiast przyłączyło się jeszcze pół tuzina kędzierzawych główek, i cała ta rozbawiona hałastrą pobiegła na górę bawić się w zwykłe gry świąteczne, Grub uśmiechnął się ponuro, mocniej ścisnął rydel i przyszła mu na myśl szkarlatyna, odra grypa, koklusz i wiele jeszcze innych prawdziwych pociech dla serca grabarza.

W tym miłym usposobieniu szedł dalej. Zgryźliwie odpowiadał na pozdrowienia przechodniów, którzy go od czasu do czasu mijali, wreszcie skręcił w ciemną uliczkę prowadzącą na cmentarz. Gabriel od dawna już cieszył się, że będzie szedł tamtędy, była to bowiem ponura, smutna, a więc miła uliczka; mieszkańcy wioski omijali ją, chyba że słońce mocno świeciło. Ogarnęło go zatem wielkie oburzenie, kiedy zobaczył przed sobą ulicznika wesoło śpiewającego piosenkę! W takim miejscu! W miejscu, które nazywano ulicą Trumienną już w owych zamierzchłych czasach, kiedy włóczyli się po niej ostrzyżeni do skóry, małpiogłowi mnisi! Gabriel przyśpieszył kroku i natknął się na malca, który biegł szybko, żeby połączyć się ze swymi towarzyszami na głównej ulicy, śpiewał zaś trochę dlatego, by dodać sobie odwagi, a trochę dla wprawy! A śpieszył, ile miał tchu w piersiach! Gabriel zapędził chłopaczka w róg zaułka i uderzył go pięć czy sześć razy latarnią po głowie — niech się nauczy modulować głos! Malec uciekł, trzymając się za głowę, teraz śpiewał zupełnie z innego tonu! Gabriel roześmiał się z zadowolenia i wszedł na cmentarz, zamknąwszy za sobą furtkę.

Zdjął kapotę, postawił na ziemi latarnię i wszedł w nie dokończony grób, gdzie pracował kilka godzin z całym poświęceniem. Ale mróz ścisnął ziemię i niełatwo było kopać ją i odrzucać. I chociaż świecił księżyc, był jakoś dziwnie mały i słabo tylko oświecał grób, na który kościółek rzucał cień. W innych wypadkach przeszkody te zepsułyby humor Gabrielowi Grubowi; ale dziś był tak zadowolony z tego, że przeszkodził

malcowi śpiewać, że nie martwił się małymi postępami swojej pracy. Skończywszy na tę noc kopanie, spojrzął w grób i mruknął zabierając swoje narzędzia:

*Wygodne mieszkanie daje boże pole!
Trochę trawy w górze, trochę gliny w dole:
Wygodne mieszkanie, wygodne mieszkanie:
Sześć stóp zimnej ziemi, gdy życia nie stanie!
Jeden kamień w nogach, drugi kamień w głowach,
Ot, pańska uczta robactwu gotowa!*

— Cha! Cha! — zaśmiał się Gabriel Grub, siadając na płaskiej płycie grobowej, gdzie najbardziej lubił odpoczywać. Wyciągnął oplataną flaszkę. — Grób w dzień Gwiazdki! Grób na Gwiazdkę! Gwiazdkowy podarunek! Cha! Cha!

— Cha! Cha! — odpowiedział jakiś głos tuż koło niego.

Gabriel, trochę zaniepokojony, znieruchomiał właśnie w chwili, gdy podnosił flaszkę do ust. Obejrzał się. Coś się działo koło najstarszego pomnika. Nie było już cicho i spokojnie jak zwykle na cmentarzu. W zagłębieniach rzeźby i między kamieniami kościółka błyszczały sople lodowe. Ziemia pokryta była białym całunem — powiedziałbyś, że leżą pod nim zwłoki nieboszczyków. Najmniejszy szmer nie przerywał ciszy tego krajobrazu. Zdawało się, że nawet dźwięki zamierały. Wszędzie panował chłód i cisza.

— To musiało być echo! — powiedział Gabriel, podnosząc flaszkę do ust.

— To nie było echo — odpowiedział głęboki głos.

Gabriel zerwał się i stanął jak przyrośnięty do miejsca — ogarnął go lęk i zdumienie. Oczy jego bowiem zatrzymały się na postaci, na widok której krew ścięła się w żyłach.

Na wysokim nagrobku, tuż przy nim, siedziała dziwna, nieziemska postać; Gabriel poznał natychmiast, że to niemożliwe, by należała do tego świata. Długie, fantastyczne nogi, które z łatwością dosięgnęłyby ziemi, były podkurczone i skrzyżowane w dziwny, fantastyczny sposób; żylaste ramiona były obnażone. Ręce spoczywały na kolanach. Przysadzisty tułów okrywała postrzępiona zasłona. Krótka kurtka zwisała na grzbiecie. Kołnierz pocięty był w kawałki, które upiór związał na kształt krawata. Obuwie jakby jeszcze wydłużało jego nogi. Na głowie miał wysoki jak głowa cukru kapelusz ozdobiony jednym jedynym piórem. Kapelusz pokrywała sadz. Duch miał taką minę, jak gdyby było mu na tym kamieniu bardzo wygodnie i jakby siedział na nim z paręset lat. Wysunął koniec języka i śmiał się do Gabriela Gruba tak, jak tylko duch śmiać się potrafi.

— To nie było echo! — powtórzył duch.

Gabriel Grub stał jak sparaliżowany, nie mógł nic odpowiedzieć.

— Przyszedłem kopać grób, proszę pana — bąknął.

— Kto włóczy się po cmentarzu w taką noc?! — zapytał upiór.

— Gabriel Grub! Gabriel Grub! — zawołał dziki chór głosów, które zdawało się, wypełniały cmentarz. Gabriel obejrzał się, przerażony, i nic nie zobaczył.

— Co masz we flaszcze? — zapytał upiór.

— Holenderską wódkę, panie! — powiedział grabarz, drżąc jeszcze bardziej. Kupił ją bowiem od szmuglerów i przestraszył się, że może ten duch należy do departamentu cel.

— Kto pija wódkę holenderską sam jeden na cmentarzu w taką noc jak ta? — zapytał duch.

— Gabriel Grub! Gabriel Grub! — odpowiedziały znowu głosy.

Duch spojrzął złowrogo na przerażonego grabarza i podniósłszy głos zapytał:

— W takim razie kto jest naszą zdobyczą?

Na to pytanie niewidzialny chór odpowiedział tak zgodnie jak chór śpiewający w kościele przy akompaniamencie organów — chór ten uderzył jak wiatr o uszy grabarza i zamarł w oddali. Ale odpowiedź brzmiała jak poprzednio: — Gabriel Grub! Gabriel Grub!

Duch uśmiechnął się jeszcze bardziej ponuro i zwrócił się do Gabriela:

— I cóż ty na to powiesz, Gabrielu?

Grabarz ustami chwycił powietrze.

— I cóż ty o tym myślisz, Gabrielu? — ciągnął duch, machając nogami po obu stronach pomnika i patrząc na swoje wykrzywione kończyny z takim zadowoleniem, z jakim patrzyłby na parę eleganckich trzewików na Bond Street.

— To — to bardzo ciekawe... sir... — odpowiedział grabarz, prawie nieżywy ze strachu. — Bardzo ciekawe i bardzo piękne... ale chyba pójdę dokończyć moją robotę, jeżeli pan pozwoli!

— Robotę? — zapytał duch. — Jaką znowu robotę?

— Grób, panie! Kopię grób! — wybełkotał grabarz.

— A, grób? — zawołał duch. — Kto kopie groby w dzień, w którym wszyscy weselą się i radują?

I znów tajemnicze głosy odpowiedziały: — Gabriel Grub! Gabriel Grub!

— Obawiam się, że moi przyjaciele upominają się o ciebie — powiedział duch, wypychając językiem policzki, a był to niezwykle język! — Obawiam się, że moi przyjaciele upominają się o ciebie, Gabrielu!

— Dopraszam się łaski pana — jękał się Gabriel. — Nie mają chyba prawa do tego... nie znają mnie... przecież ci gentlemani nigdy mię na oczy nie widzieli!

— Owszem! — odpowiedział duch. — Wszyscy znamy człowieka z ponurą twarzą i złośliwym uśmiechem, który szedł dzisiaj ulicą rzucając złe spojrzenia na dzieci i silnie ścisnął rydel! Znamy człowieka, który uderzył po głowie malca, bo mu w sercu zazdrościł wesołości, na jaką jego nie stać! Znamy go! Znamy!

Tu duch wybuchnął głośnym, dźwięcznym śmiechem, który echo podchwyciło dwudziestokrotnie. Potem potrząsnął nogami, stanął na głowie, albo raczej na czubku swego wysokiego kapelusza, na samym szczycie pomnika: następnie dał szczupaka, upadł u stóp grabarza i usiadł na podkurczonych nogach jak krawiec.

— Ja... ja... muszę już odejść, proszę pana — bełkotał grabarz.

— Odejść? Gabriel Grub chce odejść! Cha, cha, cha!

Kiedy duch się zaśmiał, grabarz zauważył wspaniałą iluminację w kościółku, jak gdyby cały kościółek stanął w płomieniach. Po chwili światło zgasło, organy zagrały uroczyście i na cmentarzu zjawily się gromady duchów, zupełnie podobnych do pierwszego, które zaczęły natychmiast grać w „żabkę” za pomnikami. Nie zatrzymywały się ani na chwilę, skakały przez najwyższe nagrobki z cudowną wprost zręcznością. Pierwszy duch okazał się znakomitym skoczkiem — nikt nie mógł się z nim zrównać! Pomimo że drżał ze strachu, grabarz nie mógł nie zauważyć, że kiedy inni zadowalali się zwykłymi grobowcami, pierwszy wybierał specjalnie wysokie grobowce familijne, otoczone żelazną balustradą, a skakał przez nie z taką łatwością, jakby to były zwykłe kamienie przydrożne.

Gra doszła do najwyższego natężenia. Organy grały coraz szybciej. Duchy skakały coraz częściej. Potrącały się, fikały kozły na ziemi, odbijały się od kamieni grobowych jak piłki. Grabarz czuł, że w głowie mu się miesza od tych skoków, że nogi pod nim drżą, gdy patrzy na migające przed nim duchy. Nagle — król upiorów porwał go za kołnierz i zapadł się z nim pod ziemię.

Kiedy Gabriel Grub złapał wreszcie oddech (od szybkiej jazdy w dół aż go zatchnęło), znalazł się w obszernej pieczarze, którą wypełniały tłumy duchów, wstrętnych i ponurych.

Na samym środku pieczary, na wzniesieniu, siedział jego przyjaciel z cmentarza; obok niego stał Gabriel Grub, znieruchomiąły ze strachu.

— Zimna noc — powiedział król upiorów — bardzo zimna! Szklaneczkę czegoś ciepłego! Żywo!

Na ten rozkaz pół tuzina mniejszych upiorów z wiecznym uśmiechem na twarzach (Gabriel Grub przypuszczał, że to dworacy) szybko zniknęli i wrócili za chwilę, niosąc kielich płynnego ognia. Podano go królowi.

— Aha! — zawołał upiór, który miał przezroczyste policzki i gardło, po czym natychmiast przełknął płomienny napój.

— Ciepły, nie ma co mówić! Poczęstować tym samym pana Gruba!

Nadaremnie biedny grabarz wymawiał się, że nigdy nie pije nic ciepłego w nocy — jeden upiór trzymał go, drugi lał mu płynny ogień w gardło. Całe towarzystwo pokładało się ze śmiechu, gdy grabarz krztusił się, kaszłał i ocierał łzy, które obficie spływały mu z oczu, gdy wychylił pałący napój.

— A teraz — powiedział król upiorów, z fantazją pakując grabarzowi koniec swego wysokiego kapelusza w oko, czym mu sprawił niewymowny ból — teraz pokażcie temu panu parę ilustracji do nieszczęść i smutków — z tych, co to mamy na składzie!

Zaledwie upiór powiedział to, wielka chmura zasłaniająca głąb pieczary usunęła się i ukazała w oddali małe, ale czyste i schludne mieszkanko. Gromadka dzieci bawiła się koło ognia, czepiała się sukni matki i skakała po krzesłach. Matka wstała i rozsunęła firanki, jak gdyby wypatrywała kogoś. Skromna wieczerza stała na stole. Koło kominka postawiono fotel. Ktoś zastukał do drzwi; matka otworzyła, a dzieci klaszcząc w ręce otoczyły ojca. Był zmoczony i zziębnięty, strząsnął śnieg z płaszcza, zaczął się rozbierać. Kiedy zasiadł przy kominku, dzieci otoczyły go kołem, matka przysunęła sobie krzesło, mieli miny szczęśliwe i zadowolone.

Ale nagle obraz zmienił się — prawie niepostrzeżenie. Oto mała sypialnia, w której umiera najładniejsze dziecko. Rumieńce ustąpiły z jego policzków, a blask z oczów. A kiedy grabarz spojrział na nie z życzliwością — rzecz nie znana mu dotychczas — dziecko umarło. Braciszek i siostrzyczki obstąpili łóżeczko i ujęli małe rączki, zimne i sztywne! Odskoczyli ze strachem! Ze zgrozą patrzyli w drobną twarzyczkę! Bo chociaż spokojna była i piękna, widzieli, że dziecko nie żyje i patrzy na nich teraz z nieba, jako aniołek, błogosławi ich...

Znów chmura zasłoniła obraz i znów nastąpiła zmiana. Ojciec i matka byli już starzy i bezsilni... a gromadka otaczająca ich zmniejszyła się prawie o połowę. Ale zadowolenie i radość widać było na każdej twarzy i we wszystkich oczach, gdy zebrani koło kominka wspominali dawne czasy i przeszłość. Powoli, stopniowo zapadł w grób ojciec, a wkrótce ta, która dzieliła z nim wszystkie troski i zmartwienia, poszła za nim. Nieliczna gromadka, która ich przeżyła, klęczy przy grobie i zrasza łzami trawę. Potem wszyscy rozchodzą się — smutni i przygnębieni, ale bez rozpaczki, bez lamentów, gdyż wiedzą, że się kiedyś spotkają. I znów żyją jak inni... wesołość i pogoda wróciły. Chmura zakryła obraz przed wzrokiem grabarza.

— No, i cóż ty na to?! — zapytał upiór, zwracając swoją szeroką twarz do Gabriela. Gabriel mruknął coś w rodzaju, że to bardzo ładne, i zaraz się tego zawstydził, bo upiór utkwiał w nim swoje złe oczy.

— Ty nikczemniku! — zawołał upiór tonem najwyższej pogardy. — Ty nikczemniku! — Widocznie miał ochotę dorzucić coś więcej, ale oburzenie odjęło mu mowę, więc podniósłszy nad głową jedną ze swoich giętkich nóg, wymierzył Gabrielowi Grubowi potężnego kopniaka. Natychmiast wszystkie upiory jak na zawołanie zebrały się koło nieszczęśliwego grabarza i tu na ziemi zaczęły go bić bez litości, zgodnie z obyczajami dworaków, którzy biją, gdy Jego Królewska Mość bije, i głaszczą, gdy Jego Królewska Mość głaszcze.

— Jeszcze mu pokazać — zawołał upiór.

Na ten rozkaz chmura rozstąpiła się i ukazał się żyzny i wspaniały krajobraz — do dzisiaj można go oglądać, gdyż jest to miejsce odległe o pół mili od tej klasztornej wioski. Słońce świeciło na błękitnym niebie, woda błyszczała w jego promieniach, drzewa zdawały się zieleńsze, kwiaty weselsze w tym łagodnym blasku. Woda szumiała radośnie, liście drzew szeptały tajemniczo, ptaki śpiewały na gałęziach, a skowronek gdzieś wysoko obwieszczał, że świt się zbliża. Tak, switało. Wesoły, jasny świt letni. Każdy najmniejszy listek, najdrobniejsze źdźbło trawy czuło, że wstępuje w nie życie. Mrówka wyruszyła na swoją codzienną wędrówkę. Motyle unosiły się i igrały w słońcu. Miliardy owadów rozpościerały swoje przezroczyste skrzydełka i rozkoszowały się krótkim szczęściem. Ludzie ruszali się raźniej, podnieceni urokiem tej sceny. Wszystko tchnęło pięknem i radością.

— Ty nędzniku! — zawołał król upiorów z większą pogardą niż poprzednio. Tu znów kopnął go nogą. I znów dworacy upiora poszli za jego przykładem.

Kilkakrotnie chmura podnosiła się i opadała i wiele nauczył się w ten sposób Gabriel Grub; chociaż ramiona bolały go od kopnięć upiorów, patrzył z zainteresowaniem, którego nic nie było w stanie zmniejszyć. Widział, jak ludzie, którzy ciężko pracowali i zdobywali kawałek chleba w pocie czoła, weseli byli i szczęśliwi. I że nawet najgłupszy człowiek uznać musi, iż słodkie oblicze natury jest nigdy nie wysychającym źródłem radości i wesela. Widział ludzi, których w dzieciństwie wychowywano delikatnie, jak z radością znosili niedostatek, jak wyżsi byli ponad cierpienia, pod których brzemiem inni byliby się ugięli, tylko dlatego, że mieli w swoich duszach źródło szczęścia, spokoju, zadowolenia. Widział niewiasty najdelikatniejsze i najtkliwsze z wszystkich stworzeń boskich, jak przewyciężały smutki, przeciwności i klęski, ponieważ miały we własnych sercach źródła miłości i poświęcenia. I widział ludzi takich jak on sam, których irytuje i gniewa wesołość i szczęście innych ludzi, którzy są jak chwasty ziemi. I przeciwstawiając wszystko, co jest dobrego na ziemi, całemu złu, doszedł do przekonania, że pomimo wszystko dobrą i pożyteczną rzeczą jest ten nasz świat! W tej samej chwili, kiedy tylko sformułował to zdanie, chmura, która zasłoniła ostatni obraz, spadła mu nagle na mózg i Gabriela Gruba ogarnęło zmęczenie. Jeden po drugim duchy mu zniknęły sprzed oczu i w końcu stary zasnął.

Dzień wstał. Gabriel Grub zbudził się. Leżał jak długi na płycie cmentarnej, obok pusta butelka, przy niej leżała kapota, latarnia i rydel — tak jak je rzucił poprzedniego wieczora. Pomnik, na którym zobaczył pierwszego upiora, wznosił się nad nim, a grób, nad którym pracował wczoraj, nie był jeszcze skończony. Z początku zaczął wątpić o realności swoich widzeń, ale ostry ból w ramieniu, kiedy próbował wstać, mówił wyraźnie, że kopano go rzeczywiście. Rozejrzał się dokoła, szukając na śniegu śladów nóg upiorów, ale potem przyszło mu na myśl, że były to przecież duchy i nie mogły pozostawić po sobie śladów. Wstał więc, o ile mu na to pozwalał ból w ramieniu, strzepnął sadz z kapoty i spojrzął na wioskę.

Ale był już innym człowiekiem. Nie mógł myśleć spokojnie, że ma wrócić tam, gdzie go wyśmieją lub zwątpią o jego nawróceniu. Wahał się kilka chwil. A potem zawrócił i poszedł przed siebie — gdzie indziej pracować na kawałek chleba.

Butelkę, rydel i latarnię znaleziono na cmentarzu. Dużo mówiono o tym, jaki los spotkał grabarza, ale wkrótce zgodzono się, że go porwały upiory... Niedługo też czekano: znalazł się wiarogodny świadek, kobieta, która wyraźnie widziała, jak pędził na karym koniu, ślepym na jedno oko, z lwią grzywą i niedźwiedzim ogonem... W końcu święcie w to uwierzono. A nowy grabarz pokazywał nawet ciekawym spory kawałek żelaznej chorągiewki, którą upiorny rumak odłupał uderzeniem kopyta, unosząc Gabriela w powietrze, a którą to relikwię nowy grabarz znalazł w dwa lata później na cmentarzu.

Na nieszczęście historiiom tym zaprzeczył poniekąd fakt, że coś w dziesięć lat później zjawiał się Gabriel Grub we własnej osobie. Był to stary, schorowany, zgarbiony człowiek.

Opowiedział swoją historię proboszczowi i wójtowi. Z biegiem czasu uznano ją za fakt historyczny i w tej formie przetrwała do naszych czasów. Ci, którzy wierzyli w rumaka i chorągiewkę, raz zawiódłszy się, niełatwo uwierzyli w drugą wersję; robili więc domyślne miny, wzruszali ramionami i szeptali, że Gabriel wypił trochę za dużo holenderskiej wódki, a potem upadł na płytę grobową, jego zaś opowiadanie o tym, co widział w pieczarze upiorów, tłumaczyli w ten sposób, że zwiedził kawał świata i zmądrzał. Zdanie to, które swego czasu miało wielu zwolenników, w końcu poszło w zapomnienie.

Ale mniejsza o to! Ponieważ Gabriel Grub do końca życia cierpiał na reumatyzm, z historii tej wyciągamy taki morał (jeżeli nie stać nas na coś jeszcze mądrzejszego): jeżeli człowiek jest odludkiem i w samotności upija się w dzień Bożego Narodzenia, niech upiory nie mają nad nim litości albo niech dadzą mu taką nauczkę, jaką dały Gabrielowi Grubowi w pieczarze!

Rozdział trzydziesty

Jak pickwickczycy zaznajomili się z dwoma młodymi ludźmi należącymi do profesji wyzwolonej, jak swawolili na lodzie i jak skończyła się ich pierwsza wizyta

— No cóż, Samie, czy wciąż jest tak zimno? — zapytał pan Pickwick swego ulubionego służącego, gdy ten w dzień Bożego Narodzenia przyniósł mu rano potrzebną do toalety gorącą wodę.

— Woda w kadzi przybrała prawdziwą maskę lodową.

— Mroźno, Samie — zauważył pan Pickwick.

Piękny czas dla tych, co mają ciepłe ubranie, jak mówił biały niedźwiedź ślizgając się na łyżwach.

— Za kwadrans zejść — rzekł pan Pickwick, zdejmując szlafmycę.

— Bardzo dobrze, panie. Na dole znajdzie pan dwóch rzezignatów.

— Dwóch — co? — zawołał pan Pickwick, podnosząc się na łożku.

— Dwóch rzezignatów — rzekł Sam.

— Co to znaczy „rzezignatów”? — zapytał pan Pickwick, niezupełnie pewny, czy to jest jakaś żywa istota, czy też coś do jedzenia.

— Co? Pan nie wie, co to są rzezignaty? — zapytał Weller. — Myślałem, że wszyscy wiedzą, iż każdy chirurg jest rzezignatem.

— Ach, tak! A więc dwóch chirurgów — rzekł z uśmiechem pan Pickwick.

— Tak, panie — odparł Sam. — Ale ci na dole to jeszcze niezupełnie skończone rzezignaty, ale dopiero w chirurgi zarodku.

— Chcesz zapewne powiedzieć: studenci medycyny?

Sam potwierdzająco kiwnął głową.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekł pan Pickwick. — Tacy młodzi ludzie mają zdanie wyrobione dzięki obserwacjom i rozważaniom, a smak dzięki studiom; bardzo będę rad, gdy ich poznam.

— Pałą cygara przed kominkiem w kuchni — rzekł Sam.

— A! — zawołał pan Pickwick, zacierając ręce — to właśnie lubię; nadmiar żywotności i towarzyskości.

— Jeden z nich — mówił dalej Sam, nie zwracając uwagi na słowa filozofa — położył nogi na stole i ostro popija wódkę; drugi, ten w okularach, jak się zdaje amator mięczaków, postawił sobie między nogami baryłkę ostryg, które otwiera z szybkością parowej maszyny, polyka równie prędko, a skorupami ciska na naszego hipopotama śpiącego w kącie.

— Ekscentryczność geniusza! Samie... możesz odejść.

Sam odszedł; po kwadransie pan Pickwick zszedł na śniadanie.

— Otóż i on! — zawołał stary Wardle. — Pickwick! Przedstawiam ci brata panny Allen, pana Beniamina Allen. My nazywamy go po prostu Ben i ty możesz go tak nazywać, jeżeli chcesz. Ten gentleman to jego przyjaciel, pan...

— Pan Bob Sawyer — odrzekł Benjamin Allen, po czym panowie Bob Sawyer i Benjamin Allen wybuchnęli śmiechem.

Pan Pickwick uklonił się panu Bobowi Sawyerowi, pan Bob Sawyer uklonił się panu Pickwickowi, następnie Ben i jego przyjaciel zajęli się gorliwie jedzeniem, co dało filozofowi możliwość przypatrzenia się im bliżej.

Pan Benjamin Allen był to młodzieniec silnie zbudowany, krępy, o gęstych, czarnych i krótko ostrzyżonych włosach, twarzy białej i nieproporcjonalnie długiej. Prócz tego zdobiła go para okularów i biała chustka na szyi. Poniżej czarnego fraka, zapiętego na wszystkie guziki, posiadał zwykłą ilość nóg w spodniach popielatego koloru, zakończonych parą butów niezbyt starannie wyczyszczonych. Chociaż rękawy fraka były bardzo krótkie, nie było jednak widać ani śladu mankietów, a chociaż szyję miał dość długą, nie pozwolił na skrócenie jej za pomocą kołnierzyka, wskutek czego niepodobna było dojrzeć najmniejszego śladu tej części garderoby. W całości ubiór jego był mocno zużyty i rozsiewał dokoła zapach tanich cygar. Pan Bob Sawyer, okryty niebieskim ubraniem, coś jakby surdudem i jakby paltotem, szerokimi szkockimi spodniami i kamizelą z wyłogami, miał minę mieszczańsko–pretensjonalną i ruchy fanfarońskie, właściwe młodym gentlemanom, we dnie palącym cygara na ulicy, a w nocy wyśpiewującym i hałasującym tamże, nazywającym po imieniu garsonów hotelowych i wykonywującym rozmaite inne tym podobne żartobliwe czynności. Miał grubą laskę z wielką gąlką, wystrzegał się rękawiczek, i w ogóle podobny był do Robinsona Cruzoa.

Takie to dwie znakomitości przedstawiono panu Pickwickowi w dzień Bożego Narodzenia przy śniadaniu.

— Śliczny poranek, panowie — zawołał filozof.

Pan Bob Sawyer lekko kiwnął głową i zażądał od Allena musztardy.

— Panowie przybyli z daleka? — zapytał znów pan Pickwick.

— Z oberży „Pod Błękitnym Lwem” — odrzekł krótko pan Allen. — Bylibyśmy tu jeszcze wczoraj wieczorem, ale wódka „Pod Błękitnym Lwem” jest zanadto dobra, by móc się z nią tak prędko rozstać; prawda, Bob?

— O tak — odrzekł zapytany — cygara i wieprzowe kotlety także.

I dwaj przyjaciele energicznie zaatakowali śniadanie, jak gdyby przypomnienie wczorajszej wieczerzy dodało im nowego apetytu.

— Pałaszuj, Bob — rzekł Allen w sposób zachęcający.

— Chętnie — odparł Bob Sawyer i uczynił to natychmiast, by zaspokoić życzenie przyjaciela.

— Nie ma to jak sekcja, strasznie zaostrza apetyt! — wykrzyknął Bob Sawyer, rozglądając się po stole. Pan Pickwick drgnął lekko.

— *À propos*, Bob — zapytał Ben Allen, biorąc na talerz pół kapłona — czyś już skończył tę nogę?

— Prawie skończyłem, ale bardzo żyłasta jak na nogę dziecka.

— Tak? — rzekł obojętnie Allen.

— Tak — odpowiedział Bob z pełną gębą.

— Ja zapisałem się na łopatkę — zaczął znowu Allen. — Rozdzieliliśmy całego trupa pomiędzy siebie, tylko na głowę nie ma amatora. Może ty ją weźmiesz?

— Dziękuję — odrzekł Bob — za wiele kłopotu.

— Ba!

— Co nie, to nie; mózg to jeszcze... Ale cała głowa!

— Tss, panowie — rzekł pan Pickwick — słyszę, że damy nadchodzą.

I rzeczywiście, w tej chwili damy powróciły z rannej przechadzki w towarzystwie panów Snodgrassa, Winkle'a i Tupmana.

— Ben? Jesteś tu? — zawołała Arabella tonem, w którym było więcej zdziwienia niż radości.

— Jutro zabieram cię do domu, Arabello — rzekł brat.

Pan Winkle zbladł.

— Czy nie zechcesz się przywitać z Bobem Sawyerem? — z wyraźną wymówką zwrócił się student do siostry.

Arabella uprzejmie podała rękę, a gdy pan Sawyer ścisnął ją w sposób bardzo widoczny, pan Winkle uczuł w sercu spazm nienawiści.

— Kochany Ben — zaczęła Arabella, rumieniąc się — czy... czy przedstawiono cię panu Winkle'owi?

— Nie, ale bardzo się będę cieszył, gdy się to stanie — odpowiedział Ben z powagą, po czym oziębło uklonił się panu Winkle'owi.

Przybycie dwóch nowych osób oraz wynikłe stąd przykre położenie Arabelli i pana Winkle'a wywarłoby pewno niemiły wpływ na towarzystwo, gdyby uprzejmość pana Pickwicka i dobry humor gospodarza nie rozwinęły były jednocześnie wszystkich swych czarów. Pan Winkle powoli wkradł się w łaski pana Beniamina Allena i nawet nawiązał przyjacielską rozmowę z panem Bobem Sawyerem, który dzięki wódce, śniadaniu i pogawędce znajdował się w nadzwyczaj żartobliwym usposobieniu. Z wielką werwą opowiadał, jak pewnemu staremu gentlemanowi wyciął narośl na głowie, ilustrując tę miłą anegdotę za pomocą noża do ostryg i bochenka chleba, ku wielkiemu zbudowaniu całego towarzystwa. Potem wszyscy udali się do kościoła, gdzie pan Ben Allen natychmiast usnął, pan Bob zaś usiłował oderwać myśli od rzeczy ziemskich, wycinając na ławce swoje nazwisko wielkimi na cztery całe literami.

— No — powiedział pan Wardle po treściwym śniadaniu, w którym mocne piwo i wiśniówka odegrały najważniejszą rolę — co powiedzielibyście o godzinie ślizgawki? Mamy dość wolnego czasu!

— Bajecznie! — zawołał Beniamin Allen.

— Pysznie! — dodał Bob Sawyer.

— Oczywiście, pan się ślizga, panie Winkle? — zapytał pan Wardle.

— Tak, o tak! — powiedział pan Winkle. — Ale wyszedłem z wprawy.

— Och, proszę, niech się pan ślizga! — prosiła panna Arabella. — Tak lubię patrzeć na łyżwiarzy!

— To takie ładne! — dodała druga panna.

Trzecia powiedziała, że to eleganckie, a czwarta, że jest w tym coś łabędziego...

— Ślizgałbym się z przyjemnością — powiedział pan Winkle, czerwieniąc się — ale nie mam łyżew.

Przeszkodę tę natychmiast usunięto: Trundle miał dwie pary łyżew, a pyzaty chłopiec oznajmił, że pełno ich jest na górze. Pan Winkle powiedział na to, że jest zachwycony, ale wyglądał bardzo nieswojo.

Pan Wardle poprowadził gości nad potężną tafłę lodu. Kiedy Sam i pyzaty chłopiec zmietli śnieg, który napadał w nocy, pan Bob Sawyer przypiął łyżwy ze zręcznością, która panu Winkle'owi wydała się czymś cudownym, po czym lewą nogą zaczął kręcić koła, potem ósemki, nie odpoczywając ani chwili, wreszcie wypisywać na lodzie rozmaite esy-floresy i pokazywać wiele innych, równie zdumiewających sztuk ku wielkiemu zadowoleniu pana Pickwicka, pana Tupmana i dam. Zadowolenie to doszło zenitu, kiedy stary pan Wardle z tymże panem Bobem Sawyerem, a w asyście Beniamina Allena, wykonali jakąś mistyczną ewolucję, którą nazwali „tańcem szkockim”.

Tymczasem pan Winkle, z twarzą i rękoma czerwonymi od zimna, usiłował przymocować sobie łyżwy tyłem do przodu za pomocą bardzo skomplikowanych węzłów. Pomagał mu w tym pan Snodgrass, znający się na łyżwach tyle co Hindus. Wreszcie przy pomocy Sama nieszczęsne łyżwy zostały przymocowane, a pan Winkle postawiony na nogi.

— Teraz — rzekł Sam — niech im pan pokaże, co umiemy.

— Czekaj no, czekaj! — wołał pan Winkle drżąc gwałtownie i chwytając Sama za rękę z energią topielca. — Jak tu ślisko!

— Tak właśnie bywa na lodzie. Niech się pan trzyma! — odparł Sam.

To ostatnie wezwanie Sama spowodowane było nagłym ruchem łyżwiarza, który zdawał się chcieć obie nogi podnieść razem do góry i rozbić lód tyłem głowy.

— Jakieś... jakieś nie bardzo pewne łyżwy, Samie — rzekł pan Winkle, chwiejąc się.

— Sądziłbym, że to raczej gentleman przywiązany do nich nie bardzo jest pewny siebie.

— No, cóż, Winkle! — wołał pan Pickwick, nie wiedząc, co się dzieje. — Zaczynaj! Damy się niecierpliwia.

— Zaraz, zaraz — odrzekł młody człowiek z uśmiechem, na który przykro było patrzeć.

— Już zaczyna! — rzekł Sam, usiłując uwolnić się od pana Winkle'a.

— Zaczekaj no, Samie — szepnął pan Winkle, chwytając się swej podpory jak bluszcz dębu.

— Przypominam sobie, że mam w domu dwa ubrania, których nie używam; dam je tobie, Samie.

— Dziękuję panu.

— Nie uchylaj kapelusza — rzekł żywo pan Winkle — nie puszczaj mnie... Dziś rano chciałem ci dać pięć szylingów na kolędę, dam ci je po obiedzie, Samie.

— Bardzo pan łaskaw.

— Tylko trzymaj mnie, Samie. Tak!... Nie tak prędko, Samie, nie tak prędko!

Pan Winkle, pochylony naprzód, zgięty we dwoje i podtrzymywany przez Sama, sunął po lodzie w sposób bardzo oryginalny, gdy wtem pan Pickwick z drugiego końca stawu zawołał najniewinniej:

— Sam!

— Jestem, panie!

— Chodź tu, potrzebuję ciebie.

— Puść mnie pan! Czy słyszy pan, że mnie mój gentleman woła! Puść mnie pan!

To mówiąc, Sam wyrwał się z objęć pana Winkle'a, nadawszy mu przy tym wielką szybkość. Nieszczęśliwy pan Winkle wpadł pomiędzy innych łyżwiarzy, i to w chwili, gdy pan Bob Sawyer wykonywał figurę niezrównanej piękności, potracił go i obaj upadli na lód. Nadbiegł pan Pickwick. Bob Sawyer stał już na nogach, ale pan Winkle zanadto był przezorny, by uczynić to samo. Siedział na lodzie siląc się na uśmiech, gdy tymczasem każdy rys jego twarzy zdradzał najgłębsze przerażenie.

— Czy pan nie ranny? — zapytał niespokojnie Ben Allen.

— Nie bardzo — odrzekł pan Winkle, rozcierając sobie grzbiet.

— Może panu krew puścić? — zapytał wspaniałomyślny Ben.

— Nie, nie, dziękuję! — odrzekł roztrzęsiony pickwickczyk.

— Co pan powie na to, panie Pickwick? — zapytał Bob Sawyer.

— Zdejm mu łyżwy!

— Zdjąć łyżwy! Ależ dopiero zacząłem! — odezwał się pan Winkle.

— Zdejm mu łyżwy! — powtórzył pan Pickwick z mocą.

Sam w milczeniu wykonał rozkaz.

— Podnieś go! — rzekł pan Pickwick.

Podniesiono pana Winkle'a.

Pan Pickwick odszedł kilka kroków i skinieniem wezwawszy do siebie młodego swego przyjaciela, ostro spojrzał mu w oczy, po czym powiedział cicho, ale dobitnie:

— Pan jesteś błagier!

— Co?! — zapytał pan Winkle z drżeniem.

— Błagier, panie. Powiem nawet więcej: pan jesteś kłamca.

To powiedziawszy, filozof odwrócił się z pogardą i poszedł ku reszcie towarzystwa. Tymczasem w innej stronie stawu Sam wraz z pyzaty chłopcem urządzili sobie także ślizgawkę i wykonywali tam wprost mistrzowskie ewolucje. Sam upodobał sobie nade wszystko ten rodzaj ślizgawki, który nazywa się „pukanką”. Polega on na tym, że jedzie się po lodzie jedną nogą, a drugą co pewien czas odbija się dwukrotnie. Ślizgawka była dobra, a ruch wydał się panu Pickwickowi, który przemarzył, czymś bardzo pożądanym.

— Sądząc z pozorów, doskonale to ćwiczenie, by się rozgrzać — rzekł do pana Wardle'a, który wskutek nieustannych wysiłków ekwilibrystyczno-ślizgawkowych nie mógł już oddychać.

— A tak — rzekł pan Wardle. — Czyś się pan kiedy ślizgał?

— Kiedyś w rynsztoku, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

— Spróbuj teraz — rzekł Wardle.

— Już ze trzydzieści lat nie ślizgałem się!

— Co to znaczy? Furda! — powiedział pan Wardle z energią, która charakteryzowała wszystkie jego poczynania. — Dotrzymam panu towarzystwa! — i poczciwy staruszek pobiegł po lodzie z szybkością dorównującą szybkości Sama Wellera, a o wiele przewyższającą szybkość pyzatego chłopca.

Pan Pickwick spojrzał na niego uważnie, zamyślił się, zdjął rękawiczki i włożył je do kapelusza. Pośliznął się trzy czy cztery razy, zatrzymał się, znów spróbował, wreszcie zaczął się ślizgać z powagą, okropnie rozstawiając nogi. Grzmot okłasków towarzyszył tej próbie.

— Gęsiego, proszę pana! — zawołał Sam.

Całe towarzystwo wzięło udział w tej zabawie: najpierw pan Wardle, potem pan Pickwick, potem Sam, potem pan Winkle, potem pan Sawyer, potem pyzaty chłopiec, a wreszcie pan Snodgrass biegli jeden za drugim, a wkładali w to tyle zapалу, jak gdyby całe ich życie zależało od tej imprezy.

Było to widowisko nader interesujące, gdy patrzyło się na pana Pickwicka biorącego udział w całej tej ceremonii; śledziło tortury niepokoju, z jakim spoglądał na osobę ślizgającą się za nim, czy czasem nie wpadnie na niego; współczuło naszemu filozofowi, w miarę jak zanikały jego siły, a on sam coraz częściej spoglądał na punkt, z którego ekspedycja wyruszyła; gdy się chwyciło swawolny uśmiech, który zakwitał na obliczu pana Pickwicka, kiedy obliczał przebytą przestrzeń, z zapalem doganiając biegnącego przed nim. Brązowe jego kamasze migały wesoło po śniegu, a oczy zza okularów jaśniały weselem i pogodą. A gdy pan Pickwick wywrócił się (co się zdarzało w stosunku jeden do trzech), co za miły widok — pan Pickwick zbierający z uroczym uśmiechem rękawiczki, kapelusz, chustkę. Potem znów zajmował w kolejce swe miejsce z zapalem, którego nic nie mogło ostudzić.

Bawiono się coraz lepiej, ślizgano się coraz szybciej, śmiano coraz głośniejsze, gdy wtem usłyszano okropny trzask. Wszyscy rzucają się do brzegu, damy krzyczą, pan Tupman wrzeszczy. Ogromny kawał lodu znika. Woda bulgocze nad nim, kapelusz, rękawiczki i chustka pana Pickwicka wypływają na powierzchnię. To było wszystko, co z niego zostało. Przestraszonych i rozpaczliwych wyryły się na twarzach obecnych. Mężczyźni zbledli, kobiety mdlały. Pan Snodgrass i pan Winkle chwycili się konwulsyjnie za ręce, przerażonym wzrokiem spoglądając na miejsce, gdzie znikł ich mistrz; a tymczasem pan Tupman, powodowany chęcią udzielenia skutecznej pomocy swemu przyjacielowi, popędził polem jak szalony, krzycząc na cały głos: — Pali się!

Pan Wardle i Snodgrass podeszli ostrożnie do otworu. Pan Bob Sawyer i Ben Allen naradzali się, czy nie należałoby puścić krwi całemu towarzystwu, gdy barki i głowa wynurzyły się spod wody i ukazały się obecnyemu rysowi i okulary pana Pickwicka.

— Tylko chwilę trzymaj się pan nad wodą! Tylko chwilę! — krzyczał pan Snodgrass.

— Tak! Tak! — dodał pan Winkle, głęboko wzruszony. — Zaklinam pana, trzymaj się nad wodą! Zrób to dla mnie!

Zakłęcie to było zbyt słabe, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa pan Pickwick zrobiłby to i dla samego siebie.

— Czy czujesz pod sobą dno? — zapytał pan Wardle.

— Czuję — odrzekł filozof, głęboko oddychając — upadłem na wznak i nie mogłem od razu stanąć na nogi.

O prawdziwość tego twierdzenia świadczyła gruba warstwa gliny pokrywająca widoczną część grzbietu pana Pickwicka. A gdy wkrótce pyzaty chłopiec przypomniał sobie, iż staw w żadnym miejscu nie ma więcej niż cztery stopy głębokości, dokonano cudów odwagi, by wydobyć zablokowanego filozofa. Wśród obryzgiwania się błotem i trzasku lodu dokonano wreszcie tego, że wydobyto z tej niewygodnej pozycji pana Pickwicka, który wreszcie stanął znów na stałym lądzie.

— Ach, Boże! On umrze z przeziębienia! — zawołała panna Emilia.

— Owiń się pan moim szalem, kochany panie — dodała panna Arabella.

— Tak będzie najlepiej! — zauważył pan Wardle — potem biegnij do domu, ile masz siły, i pakuj się do łóżka.

Tuzin szalów podano bezzwłocznie panu Pickwickowi, który owinąwszy się w trzy czy cztery najcieplejsze popędził w towarzystwie Sama do domu, przedstawiając po drodze szczególnie okaz człowieka w wieku dojrzałym, zablokowanego, z odkrytą głową, w kobiecym szalu na ramionach, robiącego bez żadnego widocznego powodu sześć mil na godzinę. Ale w wypadku tak ważnym pan Pickwick nie dbał o pozory. Wkrótce dopadł do bramy Manor Farm, gdzie znajdował się już pan Tupman, który przybył tu przed pięcioma minutami i przyprawił o bicie serca starą damę, gdyż wskutek swej głuchoty zrozumiała, iż zapaliły się sadze w kominie — nieszczęście, które malowało się w jej umyśle w najjaskrawszych barwach, ilekroć ktoś z otoczenia okazał najmniejsze bodaj zaniepokojenie.

Nie tracąc ani chwili, pan Pickwick położył się w ciepłym łóżku. Sam rozniecił na kominku ogień i przyniósł obiad. Wkrótce potem wniesiono wazę ponczu dla uczczenia szczęśliwego wyratowania filozofa. Stary Wardle nie pozwolił mu wstać z łóżka, które uznano za krzesło, i pan Pickwick został jednogłośnie obrany prezydentem zgromadzenia... Potem przyniesiono drugą i trzecią wazę, tak że nazajutrz rano prezydent, przebudziwszy się, nie czuł w sobie najmniejszego symptomu reumatyzmu, co dowodzi, jak trafnie zauważył pan Bob Sawyer, że w podobnych wypadkach nie ma nic

lepszego nad gorący poncz i jeżeli nie sprawia on czasem pożądanego skutku, to tylko dlatego, że pacjent wpada w bardzo popospolity błąd i używa go za mało.

Na drugi dzień wesołe towarzystwo rozjechało się. W młodości nie bierze się tego zbyt poważnie, ale tym boleśniesz są rozstania w późniejszym życiu. Śmierć, egoizm i zmienne koleje losu rozrzucają co dzień po świecie szeroko i daleko niejedną szczęśliwą gromadkę, a chłopcy i dziewczęta nie wracają już więcej. Nie chcemy przez to powiedzieć, że i w tym wypadku było tak samo, chcemy tylko uświadomić czytelników, że poszczególni członkowie towarzystwa rozproszyli się po swych mieszkaniach; pan Pickwick i jego przyjaciele znów wsiedli do dyliżansu w Muggleton; panna Arabella w towarzystwie brata i jego serdecznego przyjaciela odjechała również. Dokąd? Nie wiemy, ale mamy wszelkie powody przypuszczać, iż pan Winkle wiedział.

Przed samym odjazdem Bob Sawyer i pan Benjamin Allen z tajemniczymi minami wzięli pana Pickwicka na bok. Pan Bob Sawyer wetknął panu Pickwickowi palec wskazujący między zębra, a rozwijając przy tym w sposób wysoce żartobliwy swą znajomość anatomii, zapytał:

— Staruszk, gdzie pan rozbił swe namioty?

Pan Pickwick odpowiedział, że obecnie mieszka „Pod Jerzym i Jastrzębiem”.

— Chciałbym, żeby pan mnie odwiedził — rzekł Bob Sawyer.

— Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności — odparł pan Pickwick.

— Mam mieszkanie — rzekł Bob Sawyer, wyciągając bilet — przy gościńcu w Borough blisko Guys, dlatego bardzo dla mnie wygodne. Gdy minie pan kościół św. Jerzego, skręci pan trochę na prawo od gościńca.

— Zorientuję się — rzekł pan Pickwick.

— Niech pan przyjdzie do mnie za dwa tygodnie od przyszłego czwartku i niech pan przyprowadzi ze sobą innych panów — powiedział — odbędzie się u mnie zebranie medyczne.

Pan Pickwick oświadczył, że będzie to dla niego prawdziwą przyjemnością, gdy będzie mógł wziąć udział w zebraniu medycznym. Pan Bob Sawyer zapewnił go, że czas zejdzie bardzo wesoło, a Ben będzie również obecny. Potem uściśnięto sobie ręce i pożegnano się.

W tym miejscu można by nas zapewne zapytać, czy przez ten czas pan Winkle szeptał z Arabellą Allen i czy pan Snodgrass rozmawiał na stronie z panną Emilią Wardle, a jeżeli tak było, to o czym szeptali. Odpowiadamy na to, że w każdym razie żaden z tych dwóch młodych ludzi o tym, co mówił, nie wspomniał ani słowem przed panem Pickwickiem ani przed panem Tupmanem, i to przez całą drogę, że natomiast obaj ciężko wzdychali co trzy minuty i nie chcieli pić ani wódki, ani grogu, i w ogóle wyglądali na bardzo zamyślonych. Jeżeli domyślne czytelniczki nasze mogą wyprowadzić z tego jakie wnioski, to niech je wyprowadzają.

Rozdział trzydziesty pierwszy cały o Prawie i o ludziach profesji prawniczej

Po wszystkich kątach i zaułkach Temple gnieźdzą się brudne i ciemne kancelarie adwokackie. W czasie ferii co rano, a w inne dni do późnego wieczora, z kancelarii i do kancelarii biegnie w pośpiechu, z pliką papierów pod pachą lub w kieszeni, tłum kancelistów adwokackich. Istnieje kilka ich kategorii. *Dependent*, który wpłacił kaucję i w przyszłości będzie obrońcą, ma rachunek u krawca, bywa w towarzystwie, ma jednych znajomych na Gower Street, drugich na Tavistock Square, a podczas każdych wakacji odwiedza ojca posiadającego stajnię wyścigową. Krótko mówiąc, jest to arystokrata między kancelistami adwokackimi. Po nim idzie urzędnik na pensji, który większość swego dochodu — trzydzieści szylingów tygodniowo traci na osobiste przyjemności, przynajmniej trzy razy na tydzień bywa w Teatrze Adelphi, resztę zaś pieniędzy wydaje majestatycznie na cydr i jest nędzną karykaturą mody sprzed sześciu miesięcy. Jest również urzędnik w średnim wieku, kopista, obarczony liczną rodziną, zwykle ubogi i często pijany. Wreszcie pomocnik, chłopaczek, który po raz pierwszy w życiu włożył surdut i patrzy pogardliwie na chłopców ze szkoły; w domu upomina się o „kieszonkowe” i porter i mówi, że nie ma nic nad „życie”. Niepodobna wyliczyć wszystkich odmian, tak są liczne, ale choć są tak bardzo rozmaite, możemy zobaczyć je wszystkie w sąsiedztwie miejsc, o których wspomniałem na początku tego rozdziału.

Owe zakazane dziury są to publiczne biura profesji prawniczej, gdzie pisze się skargi, podpisuje wyroki, wypełnia deklaracje i wprowadza w ruch wiele innych maszynierii, wymyślonych gwoli torturowania poddanych Jej Królewskiej Mości, a ku radości i pożytkowi ludzi uprawiających zawód prawniczy. Po większej części są tu niskie, sklepione lokale. Niezliczone ilości pergaminów, nie ruszanych przynajmniej od wieków, rozsiewają przyjemną woń, do której w ciągu dnia przyłącza się zapach zgnilizny, w nocy zaś zapach wilgotnych płaszców, schnących parasoli i skwierczących świec łojowych.

Około wpół do ósmej wieczorem, coś w dziesięć dni czy w dwa tygodnie po powrocie pana Pickwicka i jego przyjaciół do Londynu, do jednego z takich lokali wbiegł jegomość w brązowym surducie. Długie, starannie uczesane włosy wymykały się spod runda kapelusza. Jasne spodnie tak cienko opinały nogi nad butami *à la* Blücher, że zdawało się, iż kolana lada moment wyswobodzą się z uwięzi. Wyjął z kieszeni długi i wąski pasek pergaminu, na którym urzędnik przyłożył nieczytelną, czarną pieczęć. Następnie wyciągnął cztery paski papieru równego rozmiaru — kopie pergaminowe z wolnym miejscem na nazwiska. Wypełniwszy luki, schował wszystkie dokumenty do kieszeni i wybiegł z biura.

Człowiekiem w brązowym surducie, z kabalistycznymi dokumentami, był nikt inny, tylko nasz stary znajomy od Dodsona i Fogga, Freeman's Court, Cornhill — pan Jackson. Zamiast wrócić do biura, skierował swe kroki do Sun Court i wszedłszy do hotelu „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, zapytał o pana Pickwicka.

— Zawołaj służącego pana Pickwicka, Tomie — powiedziała panna siedząca za bufetem.

— Proszę, niech się pani nie fatyguje — powiedział pan Jackson. — Przychodzę w interesie. Jeżeli zechce mi pani wskazać pokój pana Pickwicka, sam tam pójdę.

— Pańskie nazwisko? — spytał posługacz.

— Jackson — odpowiedział dependent.

Posługacz poszedł na górę, by zaanonsować pana Jacksona. Ale pan Jackson pragnąc oszczędzić mu trudu, pobiegł w ślad za nim i wszedł do pokoju, nim tamten zdążył powiedzieć jedną sylabę.

Dnia tego pan Pickwick zaprosił na obiad swoich trzech przyjaciół. Właśnie wszyscy siedzieli przy kominku popijając wino, kiedy ukazał się pan Jackson.

— Moje uszanowanie panu! — powiedział pan Jackson, kłaniając się panu Pickwickowi.

Pan Pickwick odklonił się z pewnym zdziwieniem, gdyż fizjonomia pana Jacksona wyszła mu z pamięci.

— Przychodzę od panów Dodsona i Fogga — powiedział pan Jackson tonem dobitnym. Pan Pickwick ożywił się przy tych nazwiskach.

— Niech się pan zgłosi do mego adwokata pana Perкера, Gray Inn — powiedział. — Garson! Wyprowadź gentlemana!

— Za pozwoleniem, panie — powiedział swobodnym tonem pan Jackson, kładąc kapelusz na podłogę i wyjmując z kieszeni pasek pergaminu. — Ale w tych wypadkach... osobiście dependent lub agent... w kwestiach prawniczych trzeba się trzymać formalności, prawda?

Tu pan Jackson rzucił okiem na pergamin, potem oparł się rękami o stół i rozejrzawszy się dokoła powiedział z uśmiechem uprzejmym i przekonywującym:

— Nie będziemy się chyba sprzeczać o taką drobnostkę! Który z panów nazywa się Snodgrass?

Na to pytanie pan Snodgrass zadrżał tak wyraźnie i wymownie, że to starczyło za odpowiedź.

— A! domyślałem się! — zawołał pan Jackson jeszcze uprzejmiej. — Mam wręczyć panu dokumencik.

— Mnie?! — zawołał pan Snodgrass.

— To tylko *sub poena* w sprawie Bardell *contra* Pickwick — powiedział pan Jackson, wyciągając jeden zwitek pergaminu i wyjmując szylinga z kieszeni kamizelki. — Termin na następną sesję. Spodziewamy się na 14 lutego. Podciągnęliśmy to pod kategorię spraw specjalnej wagi... Proszę, panie Snodgrass! — To mówiąc, pan Jackson machnął papierem przed oczyma pana Snodgrassa i wsunął mu do ręki dokument i szylinga.

Pan Tupman przyglądał się tym czynnościom z milczącym zdumieniem, kiedy pan Jackson szybko zwrócił się ku niemu:

— Zdaje mi się, że nie jestem w błędzie i że nazywa się pan Tupman?

Pan Tupman spojrział na pana Pickwicka. Ale nie znalazłszy w jego oczach, choć szeroko rozwartych, żadnej zachęty do zaprzeczenia, powiedział:

— Tak jest. Nazywam się Tupman.

— A ten drugi gentleman to pewnie pan Winkle?

Pan Winkle wybełkotał odpowiedź twierdzącą. Wtedy obaj gentlemani zostali obdarzeni przez pana Jacksona kawałkiem papieru i szylingiem.

— Teraz — powiedział dependent — obawiam się, bym nie był natrętny, ale potrzeba mi jeszcze jednej osoby. Mam tu zapisane nazwisko, panie Pickwick: Samuel Weller!

— Garson — zawołał pan Pickwick — zawołaj tu mego służącego! — Garson wyszedł bardzo zdziwiony, a pan Pickwick poprosił pana Jacksona, żeby usiadł.

Nastąpiła przykra pauza, którą wreszcie przerwał niewinnie oskarżony.

— Sądzę — powiedział pan Pickwick czując, że w miarę tego, jak mówi, rośnie jego oburzenie — sądzą, że zamiarem pańskich patronów jest przeciwstawić mi jako świadków moich własnych przyjaciół?

Pan Jackson uderzył się kilka razy wskazującym palcem po nosie, chcąc dać tym do zrozumienia, że nie myśli zdradzić tajemnicy. Zauważył tylko niewinnie:

— Nie wiem. Nie mogę powiedzieć!

— W jakimże innym celu, jeżeli nie w tym wręczono im owe *sub poena*? — nastawał pan Pickwick.

— Doskonale sformułowane pytanie — powiedział Jackson, wolno kiwając głową. — Ale do niczego pana nie doprowadzi. Może pan próbować, ale nie dam z siebie nic wyciągnąć.

Tu pan Jackson uśmiechnął się znów do całego towarzystwa i przyłożywszy wielki palec do nosa, prawą ręką bardzo zgrabnie wykonał ruch przypominający mielenie kawy: była to pantomima bardzo wdzięczna (w owych czasach modna, dziś niestety zapomniana), którą popularnie nazywano „starcieniem na proch”.

— Nie, nie — kończył pan Jackson. — Niech się u Perkera pogłowią, po cośmy wręczyli panom te *sub poena*. Jeżeli nie zgadną — niech czekają procesu!

Pan Pickwick z niesmakiem spojrział na nieproszonego gościa i pewnie by rzucił jakąś straszną anatemę na głowy panów Dodsona i Fogga, gdyby nie przeszkodziło temu nagłe wejście Sama.

— Samuel Weller? — spytał pan Jackson.

— Jest to jedna z największych prawd, jakie w ciągu ostatnich lat udało się panu powiedzieć — powiedział Sam obojętnie.

— *Sub poena* dla pana, panie Weller — powiedział Jackson.

— Jak się to tłumaczy na angielski? — spytał Sam.

— Oto oryginał! — powiedział Jackson, unikając odpowiedzi wprost.

— Gdzie?

— Tutaj! — powiedział Jackson, wymachując pergaminem.

— A więc to jest oryginał? — powiedział Sam. — Bardzo jestem rad, że udało mi się zobaczyć oryginał! To bardzo miła rzecz! — I działa tak kojąco!

— A oto szyling od panów Dodsona i Fogga.

— Bardzo to grzecznie ze strony panów Dodsona i Fogga, którzy znając mnie tak mało przysyłają mi prezenty — powiedział Sam. — Bardzo mi to pochlebia! To bardzo pięknie ze strony panów Dodsona i Fogga, że wynagradzają zasługi wszędzie, gdzie je widzą! Jestem do głębi wzruszony!

To mówiąc, Sam końcem rękawa potarł lewą powiekę, jak to zwykli czynić najlepsi aktorzy w miejscach patetycznych.

Pana Jacksona zdziwiło nieco postępowanie Sama. Ale ponieważ doręczył już przedtem wezwania i nie miał nic więcej do powiedzenia, udał, że nakłada rękawiczkę (jedną jedyną), którą zawsze trzymał w ręku dla zachowania pozorów. Skłoniwszy się, wrócił do swego biura.

Pan Pickwick spał mało tej nocy. Umysł jego otrzymał wielce nieprzyjemne otrzeźwienie w postaci przypomnienia o procesie z panią Bardell. Następnego dnia wcześniej zjadł śniadanie i kazawszy Samowi towarzyszyć sobie, udał się do Gray's Inn.

— Sam! — zawołał pan Pickwick, obejrzawszy się, gdy doszli do Cheapside.

— Słucham pana?

— Którędy?

— Przez Newgate Street.

Pan Pickwick nie od razu skręcił. Przez chwilę patrzył w zamyśleniu w twarz Sama, potem westchnął.

— Co się stało?! — spytał Sam.

— Spodziewają się procesu na czternastego następnego miesiąca.

— Dziwny zbieg okoliczności, proszę pana! — zawołał Sam.

— Dlaczego dziwny?

— Świętego Walentyna, panie — odrzekł Sam. — W sam raz dzień na proces o niedotrzymanie przyrzeczenia małżeństwa!

Uśmiech pana Wellera nie wywołał radości na obliczu jego pana. Pan Pickwick ostro zawrócił i szli dalej w milczeniu.

Upłynął jakiś czas. Pan Pickwick dreptał pierwszy, pogrążony w głębokiej medytacji; za nim szedł Sam z wyrazem twarzy odzwierciedlającym zupełną pogardę dla wszystkiego i wszystkich. W końcu, ulegając właściwej sobie chęci podzielenia się ze swoim chlebodawcą wszystkimi wiadomościami, jakie posiadał, Sam przyspieszył kroku i zrównawszy się z panem Pickwickiem powiedział wskazując na dom, który mijali:

— Bardzo porządna wędliniarnia.

— Na to wygląda — powiedział pan Pickwick.

— Słynna kielbasiarnia.

— Rzeczywiście? — zainteresował się pan Pickwick.

— Rzeczywiście — powtórzył Sam z odcieniem oburzenia. — Ja myślę! Z przeproszeniem pańskich niewinnych oczu. Przecież tutaj nastąpiło przed wielu laty zniknięcie pewnego znakomitego kupca!

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że go zaszlachtowano — powiedział pan Pickwick oglądając się niespokojnie.

— Nie! oczywiście, że nie! — powiedział Sam. — Ale żałuję, że nie powiedziałem tego i wiele więcej jeszcze! Był on właścicielem tej masarni i wynalazł patentowany, nigdy nie tępiący się młynek do kielbas! Mógłby pan wrzucić weń kamień, a zmęłby go równie łatwo jak młode, delikatne dzieciątko! Bardzo był dumny z tej maszyny — no, myślę! Stał sobie w piwnicy i patrzył, jak się wesoło obraca — aż zdjęła go melancholia z tej wesołości! Byłby z niego szczęśliwy człowiek, proszę pana, z racji tej maszyny i dwojga milutkich dzieciaków, gdyby nie żona, skończona jędza! Ciągłe suszyła mu łeb i terkotała nad głową, aż nie mógł dłużej tego wytrzymać! — Coś ci powiem, duszko — powiedział do niej pewnego dnia. — Jak nie zaniechasz tej zabawy — mówi — to niech mnie kaczka kopnie, jeżeli nie machnę się do Hameryki! — Jesteś nygus i łajdak — mówi ona. — W Hameryce takich nie potrzebują. — I jazda dalej. Terkotała mu nad głową ze dwie godziny, a potem pobiegła do pokoiku za sklepem i dalejże wrzeszczyć, że ją do grobu wpędzi! Potem dostała ataku, który trwał ze trzy godziny... takiego ataku, co to się kopie nogami i wrzeszczy! Dobrze! Nazajutrz mąż zginął jak kamfora. Niczego w domu nie brakowało — nawet surdut wisiał na swoim miejscu — więc oczywiście nie pojechał do Hameryki! Na drugi dzień — nie ma go! Tydzień nie ma go. Pani dała ogłoszenia, że jeżeli mąż wróci — przebaczy mu wszystko (co było bardzo liberalne, jako że nie miała mu nic do wybaczenia!). Przeszukano kanały i przez dwa następne miesiące, jak tylko wyłowiono gdzie topielca, niesiono go jak w dym do masarni. Ale żaden z nich się nie nadawał. Więc orzekli, że uciekł od żony, a ona objęła interes. Pewnej soboty wieczorem do masarni wchodzi szczupły staruszek i mówi (a jest okropnie zły): — Pani jest właścicielką tej masarni? — Tak, ja — mówi ona. — Moja pani — mówi on — przyszedłem oznajmić pani,

że ja i moja rodzina nie damy się udławić — tak z łaski na uciechę! I jeszcze coś pani powiem, moja pani — mówi — pozwoli pani, że zwrócę jej uwagę; ponieważ, jak mi wiadomo, używacie do wyrobu wędlin najtańszych części mięsa, więc sędzę, że mięso nie wypada wam drożej od guzików... — Od guzików! — mówi ona. — A od guzików — powiada jej na to mały gentleman. Rozwija papier i pokazuje ze trzydzieści połówek guzików. — Doskonała przyprawa do kiełbas! — mówi. — Guziki od męskich spodni! — To guziki od spodni mego męża — woła ona i dalejże mdleć! — Co! — woła staruszek, blednąc. — Teraz wszystko rozumiem! — woła wdowa.

— W przystępie chwilowego szału zamienił siebie na kiełbasy! — I nie myliła się, proszę pana — ciągnął Samuel, patrząc uważnie w przerażone oblicze pana Pickwicka. — Albo raczej porwały go tryby maszyny. Tak czy inaczej, ów staruszek, który całe życie przepadał za kiełbasami, wybiegł jak niepyszny z masarni i noga jego więcej tam nie pozostała!

Ta opowieść o tajnikach życia prywatnego zaprowadziła pana i sługę do biura pana Perkera. Lowten, uchyliwszy drzwi, rozmawiał z ubogo ubranym jegomościem w butach bez przyszew i rękawiczkach bez palców. Na jego zbiedzonym obliczu czytałeś ślady nędzy i cierpień, niemal rozpacz. Widać zdawał sobie sprawę ze swego ubóstwa, gdyż cofnął się na widok pana Pickwicka.

— To prawdziwe nieszczęście! — powiedział z westchnieniem.

— Prawdziwe! — powtórzył pan Lowten, pisząc ołówkiem na drzwiach swoje nazwisko i natychmiast ścierając je. — Chce pan zostawić mu polecenie?

— A kiedy przypuszcza pan, że wróci? — dopytywał się nieznajomy.

— Nie mam pojęcia — powiedział pan Lowten i mrugnął na pana Pickwicka korzystając, że nieznajomy utkwiał wzrok w ziemię.

— A może bym poczekał na niego? — zapytał nieznajomy, zerkając do biura.

— Ach nie! To daremne! — powiedział Lowten, zasłaniając sobą drzwi. — Nie wróci w tym tygodniu, a kto wie, czy wróci w przyszłym?! Bo jak Perker raz wyrwie się z miasta, to mu się nie spieszy z powrotem!

— Perkera nie ma w mieście! — zawołał pan Pickwick. — A to nieszczęście!

— Niech pan nie odchodzi, panie Pickwick, mam dla pana list! — powiedział Lowten. Ponieważ nieznajomy jakby jeszcze się wahał, Lowten mrugnął na pana Pickwicka, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że to doskonała zabawa, ale jaka — tego nie zgadłby pan Pickwick za cenę swego życia!

— Proszę, niech pan wejdzie, panie Pickwick! A pan, panie Watty, zostawi pan słówko, czy sam się pan pofatyguje?

— Może zechce pan go spytać, czy zrobił coś w mojej sprawie — powiedział nieznajomy. — Na miłość Boga, nie zapomnij pan tego, panie Lowten!

— Nie, nie zapomnę! Proszę, panie Pickwick! Proszę! Do widzenia, panie Watty, śliczna pogoda, co? — a widząc, że pan Watty jeszcze się ociąga, kazał panu Wellerowi wejść za swoim panem i zamknąć drzwi.

— Nie ma chyba na świecie drugiego tak dokuczliwego bankruta jak ten tutaj! — zawołał Lowten, odrzucając pióro ruchem człowieka obrażonego. — Papiery jego tkwią w sądzie niespełna cztery lata, a nie ma tygodnia, żeby przynajmniej dwa razy nie wpadł do nas! Tędy, panie Pickwick! Perker jest i zaraz pana przyjmie. Diabelnie zimno! — dodał. — Stać we drzwiach i tracić czas na ujadanie się z tym nudziarzem! — Rozniecivszy bardzo wielki ogień przy pomocy bardzo małego pogrzebacza, dependent poprowadził pana Pickwicka do prywatnych apartamentów szefa i zaanonsował go.

— A! kochany pan Pickwick! — zawołał mały adwokat, widząc wchodzącego filozofa. — No, kochany panie, co słyhać z procesem? Co porabiają nasi przyjaciele Dodson i Fogg? Nie zasypiają sprawy! Wiem, wiem! O! To ludzie obrotni! Bardzo obrotni!

Kończąc te pochwały, pan Perker zażył szczyptę tabaki w uznaniu obrotności panów Dodsona i Fogga.

— To wielkie łotry! — rzekł pan Pickwick.

— Tak, tak — odpowiedział mały człowieczek. — Zależnie od osobistego zapatrywania. Rzecz jasna, że pan nie zapatruje się na to ze stanowiska profesjonalnego. Zresztą zrobiliśmy, co należy. Zamówiłem pana Snubbina.

— Czy to dobry adwokat? — zapytał pan Pickwick.

— Czy dobry? Wielki Boże! Ależ pan Snubbin to głowa palestry we wszystkich procesach tego rodzaju. Nie potrzebuje pan tego powtarzać, ale między nami mówiąc, pan Snubbin wodzi za nos cały trybunał.

To mówiąc mały człowieczek zażył szczyptę tabaki i mrugnął porozumiewawczo w kierunku pana Pickwicka.

— Przysłali wezwanie moim trzem przyjaciółom — rzekł filozof.

— A! Naturalnie, to ważni świadkowie. Widzieli pana w delikatnym położeniu.

— Ależ czy to moja wina, że się jej źle zrobiło i padła mi na ręce?

— Tak, tak, to bardzo prawdopodobne, kochany panie, bardzo prawdopodobne. Ale kto tego dowiedzie?

Pan Pickwick przeszedł do innego przedmiotu, bo pytanie pana Perkera zbiło go nieco z tropu.

— Wezwali także mego służącego — powiedział.

— Sama? — zapytał Perker.

Pan Pickwick kiwnął głową.

— To jasne, kochany panie. Z góry wiedziałem, że tak zrobią, i mogłem to panu powiedzieć miesiąc temu. Ale jeżeli uparł się pan, by zajmować się na własną rękę tą sprawą, oddawszy ją adwokatowi, to musi się pan przygotować na konsekwencje.

Tu pan Perker podniósł się z wielką godnością i strzepnął nieco tabaki z koszuli.

— A czego chcą od Sama? — spytał pan Pickwick po dwu czy trzech minutach milczenia.

— Chcą z niego wyciągnąć, że posyłał go pan do strony skarżącej, szukając drogi kompromisowego załatwienia sprawy — odrzekł Perker. — To nic ważnego ostatecznie. Wątpię, czy komukolwiek udałoby się coś z niego wydobyć.

— I ja o tym wątpię — rzekł pan Pickwick. I pomimo kłopotów uśmiechnął się na myśl, że Sam będzie figurował jako świadek. — Co pan przedsięwzięmie?

— Jedyną pozostaje nam droga, kochany panie; zażądamy powtórnego przesłuchania świadków, położymy całą ufność w wymowie pana Snubbina, zamydlimy oczy sędziom i spuścimy się na przysięgłych.

— A jeżeli wyrok zapadnie przeciw nam?

Pan Perker uśmiechnął się, zażył wielką szczyptę tabaki, poprawił ogień w kominie, wzruszył ramionami i zachował milczenie.

— Zapewne jest pan zdania, iż w takim razie zapłacę wynagrodzenie i kosztą procesu? — zawołał pan Pickwick, który gniewnie przypatrywał się tej wymownej odpowiedzi. Perker po raz drugi poprawił ogień i odrzekł:

— Tego się obawiam.

— A ja — odrzekł pan Pickwick z energią — oświadczam tu panu, iż mam niezłomne postanowienie nie płacić ani grosza, panie Perker. Ani funt, ani pens z mych pieniędzy nie znajdzie się w kieszeni Dodsona i Fogga. Takie jest moje postanowienie przemyślane i niewzruszone! To mówiąc pan Pickwick z wielką mocą uderzył pięścią w stół, jakby dla potwierdzenia niezłomności swego postanowienia.

— Bardzo dobrze, kochany panie, bardzo dobrze; pan sam najlepiej wie, jak ma postąpić — rzekł pan Perker.

— Rozumie się! — powiedział żywo nasz bohater. — Gdzie mieszka pan Snubbin?

— W Lincoln Inn, Old Square.

— Muszę się z nim zobaczyć!

— Zobaczyć się z panem Snubbinem, kochany panie! — zawołał pan Perker, nadzwyczaj zdziwiony. — Ph, ph, kochany panie, niemożliwe! Zobaczyć się z panem Snubbinem! Czy kto kiedy słyszał coś podobnego? Tego nigdy jeszcze nie było! Bez uprzedniego uiszczenia honorarium za konsultację i wyznaczenia jej terminu! Niemożliwe, kochany panie, niemożliwe! Tego się nie da zrobić!

Pan Pickwick uparł się jednak, że to da się zrobić i że musi się dać zrobić. Rezultat był taki, że w niespełna pięć minut po tym, gdy go zapewniono, że to niemożliwe, adwokat już go prowadził do biura wielkiego Snubbina.

Był to pokój dość obszerny, bez dywanu, z wielkim biurkiem przysuniętym do kominka; sukno, pokrywające biurko, od dawna straciło wszelkie pretensje do swej naturalnej zielonej barwy, kurz i lata nadały mu stopniowo barwę popielatą, z wyjątkiem miejsc zalanych atramentem. Na stole leżało mnóstwo małych pakietów zalakowanych czerwonym lakiem. Za biurkiem siedział starszy już urzędnik, którego oblicze zarówno jak gruby łańcuch przy zegarku zdradzały, jak lukratywną rzeczą jest praktyka u pana Snubbina.

— Mecenas u siebie, panie Mallard? — spytał pan Perker jak można najuprzejmiej, podając mu tabakierkę.

— Tak — odpowiedział pan Mallard. — Ale bardzo zajęty. Spójrzysz pan na te pliki! Nie wydał jeszcze o żadnej z tych spraw swojej opinii, a honoraria wpłacono od dawna! — Tu dependent uśmiechnął się, wziął szczyptę tabaki z namaszczeniem, w którym było zamiłowanie do tabaki i szacunek dla honorariów.

— To się nazywa praktyka! — powiedział pan Perker.

— Tak! — potakiwał dependent, wyjmując własną tabakierkę i częstując nią serdecznie. — A najlepsze w tym wszystkim jest to, że nikt nie potrafi czytać pisma mecenasa, więc choć nawet wyda opinię, klient musi czekać, aż będę miał czas ją przepisać! Cha, cha, cha!

— Wiadomo, komu sprawa mecenasa służy, i wiadomo, że za to muszą płacić klienci! Hm? — powiedział Perker. — Cha, cha, cha! — Na to sekretarz mecenasa roześmiał się także — ale nie głośno, tylko jakoś milcząco, ukradkiem, co się wcale nie podobało panu Pickwickowi. Kiedy człowiek krwawi wewnątrz — rzecz to niebezpieczna dla niego samego. Kiedy śmieje się wewnątrz — rzecz niebezpieczna dla bliźnich!

— Przygotował pan już spis tego, co jestem wam winien? — spytał pan Perker.

— Jeszcze nie!

— Szkoda! — powiedział Perker. — Przygotuj pan rachunek, to przyślę panu czek! Ale mam wrażenie, iż tak jest pan zajęty chowaniem gotowizny, iż zapominasz o dłużnikach, co? Cha, cha, cha! — Ta osobista wycieczka musiała bardzo zabawić dependenta, gdyż znów zaśmiał się w sobie.

— Ale drogi przyjacielu, panie Mallard — powiedział pan Perker, odzyskując nagle powagę i ciągnąc wielkiego męża w kąt pokoju. — Musi pan koniecznie wpłynąć na mecenasa, aby zaraz nas przyjął, mnie i mego klienta!

— No, no! — powiedział pan Mallard. — Wcale nieźle się zaczyna! Widzieć pana mecenasa! Ależ to nonsens! — Pomimo jednak, że uważał propozycję za nonsens, dependent pozwolił odciągnąć się w kąt pokoju, tak żeby nie słyszał go pan Pickwick. Po krótkiej rozmowie, prowadzonej szeptem, dygnitarz poszedł w głąb małego ciemnego korytarza i zniknął w sanktuarium luminarza. Powrócił stamtąd po chwili i krygując się, oznajmił panu Perkerowi i panu Pickwickowi, że wbrew swoim zwyczajom i przyzwyczajeniom mecenas godzi się przyjąć ich zaraz.

Pan Snubbin należał do tych ludzi bladych, wychudłych, zasuszonych, których twarz podobna jest nieco do narożnej latarni. Mógł mieć lat około czterdziestu pięciu albo — jak to mówią w powieściach — pod pięćdziesiątkę. Oczy miał okrągłe, wypukłe, przyćmione. Takie oczy miewają przeważnie ludzie oddający się długie lata mozolnym studiom. Z oczu tych można było wnioskować, że ich właściciel miał krótki wzrok, choćby się nawet nie zauważyło szkieł wiszących mu na szyi na szerokiej, czarnej wstążce. Włosy miał cienkie i rzadkie, co pochodziło po części stąd, że nigdy nie poświęcał wiele czasu na ich uporządkowanie, a po części, że nosił prawniczą perukę, która i teraz spoczywała obok na krześle. Ślady pudru na kołnierzu i batystowej brudnej chustce; koło szyi świadczyły, iż od chwili opuszczenia sądu nie miał czasu zrobić żadnej zmiany w swojej toalecie; stan zaś reszty jego garderoby dowodził wyraźnie, że zmiany nie byłyby wielkie, gdyby nawet miał czas ich dokonać. Księgi prawnicze, stosy papierów, rozpieczętowane listy rozrzucone były na stole bez żadnego ładu. Meble w pokoju były stare i zniszczone. Drzwiczki szafy na książki kiwały się na zawiasach. Za najmniejszym ruchem wznosiły się z dywanu tumany kurzu. Szyby były żółte od brudu i starości. Wszystko w tym pokoju wskazywało nieomylnie, że pan Snubbin był zbyt zaabsorbowany obowiązkami, by dbać o osobisty komfort.

Mecenas zajęty był pisaniem, gdy weszli jego klienci. Przywitał z roztargnieniem pana Pickwicka, kiedy mu go adwokat przedstawił, gestem wskazał na krzesła, pióro umieścił w kałamarzu, objął swoją lewą nogę i czekał, aż do niego przemówią.

— Panie mecenasie — zaczął pan Perker. — Pan Pickwick jest stroną oskarżoną w sprawie Bardell *contra* Pickwick.

— Czy jestem wezwany do tej sprawy?

— Tak jest, panie!

Mecenas skinął głową i znowu czekał.

— Pan Pickwick bardzo pragnie widzieć się z panem pierwaj, nim sprawa jego będzie podjęta, by oświadczyć, iż nie ma żadnych podstaw przeciw niemu w całym tym procesie. Pan Pickwick nigdy nie stanąłby przed sądem, gdyby nie miał przekonania, że sumienie jego jest spokojne, a ręce jego są czyste. Czy dobrze wyłożyłem pańskie zapatrywanie, kochany panie? — mówił pan Perker, zwracając się do filozofa.

— Doskonale!

Mecenas wziął szkła, podniósł je do oczu i przez chwilę przyglądał się ciekawie naszemu bohaterowi. Następnie zwrócił się do pana Perkera i spytał z lekkim uśmiechem:

— Sprawa pana Pickwicka stoi mocno?

Adwokat wzruszył ramionami.

— Ma pan zamiar wzywać świadków?

— Nie.

Uśmiech na obliczu pana Snubbina stał się wyraźniejszy. Adwokat zaczął szybciej kiwać nogą, potem odchyliwszy się w tył na fotelu, chrząknął bardzo wątpliwie.

Te aluzje do przeczuć, jakie pan mecenas żywił co do wyniku sprawy, aczkolwiek słabe, nie uszły uwagi pana Pickwicka. Mocniej nasadził na nos okulary, przez które przypatrywał się demonstrowaniu uczuć adwokata, po czym przemówił z wielką energią, nie zwracając uwagi na znaki i mrugania pana Perkera:

— Życzenie moje, by mię panu przedstawiono w mojej sprawie, wydać się może nadzwyczajne osobie, przez której ręce przechodzi tyle spraw podobnego rodzaju.

Adwokat próbował wpatrywać się w ogień, ale pomimo wszelkich wysiłków nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu. Pan Pickwick mówił dalej:

— Gentlemani pańskiej profesji widzą zawsze rzeczy z najgorszej strony natury ludzkiej. Wszystkie spory, wszystkie złość i wszystkie krzywdy roztaczają się przed panami. Panowie wiecie z doświadczenia, jak można sobie ująć przysięgłych efektem, i naturalnie przypisujecie innym chęć użycia we własnym interesie środków, których wartość znacie, ponieważ używacie ich sami w chwalebny i szlachetny zamiar, by zrobić wszystko na korzyść waszych klientów. Sądzę, iż temu należy przypisać ogólnie rozpowszechnione mniemanie, że jesteście zimni, podejrzliwi, samolubni. Pojmuję dobrze całą niewłaściwość tego, że robię panu podobne oświadczenia w okolicznościach, w jakich się znajduję. A jednak pomimo to, jak powiedział panu mój przyjaciel Perker, przyszedłem tu, by stanowczo oświadczyć panu, iż jestem najzupełniej niewinny w sprawie, którą mi wytoczono, i chociaż znam doskonale wysoką wartość pańskiej nauki, pozwól pan, iż dodam, że gotów jestem zrzec się pomocy pańskiego talentu, jeżeli nie jest pan najzupełniej przekonany o mojej szczerości.

Na długo przed zakończeniem tej przemowy (mówiąc nawiasem, tak charakterystycznej dla pana Pickwicka) adwokat wpadł w swe zwykłe roztargnienie. Po kilku wszakże minutach milczenia wziął znów pióro do ręki i, zdawało się, przypomniał sobie, że klient jego jest obecny, gdyż podnosząc oczy znad papieru, powiedział tonem dość ostrym:

— Kto będzie moim pomocnikiem w tej sprawie?

— Pan Phunky — odpowiedział pan Perker.

— Phunky? Phunky? Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Musi to być młody człowiek.

— Tak, bardzo młody. Przed kilkoma dopiero tygodniami dopuszczono go. Niech pan poczeka, przypomnę sobie — a o ile mię pamięć nie myli: nie więcej niż osiem lat temu został adwokatem.

— Tak i ja przypuszczałem — odrzekł pan Snubbin z tym akcentem ubolewania, z jakim mówi się o biednym dziecku bez opieki. — Panie Mallard! Poślij pan do tego pana... pana...

— Phunky, Holborn Court, Gray's Inn — rzekł Perker.

— Tak, Phunky! Powiedz mu, iż proszę, by się tu pofatygował.

Pan Mallard poszedł, by spełnić zlecenie, a pan Snubbin wpadł znowu w zamyślenie, aż dopóki nie zjawił się pan Phunky.

Był to człowiek w wieku dojrzałym, chociaż początkował dopiero w zawodzie adwokackim. Maniery miał niepewne, trwożliwe, a gdy mówił, wahał się. Wady te wszakże nie były, jak się zdaje, wrodzone, lecz wynikały z pewnego rodzaju niemądrej trwożliwości, przyczyną zaś tego była świadomość, że wskutek braku czy to pieniędzy, czy

opiekunów, czy stosunków, czy też bezczelności, zawsze był „spychany”. Na adwokata patrzył z czcią, a panu Perkerowi złożył głęboki ukłon.

— Nie miałem przyjemności widzieć dotąd pana — rzekł pan Snubbin z wyniosłą uprzejmością.

Pan Phunky skłonił się. Od ośmiu przeszło lat miał on przyjemność co dzień widywać pana Snubbina.

— Jak słyszę, jesteś pan mi wyznaczony do pomocy w tej sprawie — mówił dalej pan Snubbin.

Gdyby pan Phunky był bogaty, posłałby natychmiast po swego dependenta, by się przekonać, czy tak jest rzeczywiście; gdyby był zręczny, przyłożyłby sobie palec do czoła i starałby się przypomnieć sobie, czy w mnóstwie powierzonych mu spraw nie znajdzie się także i ta, ale ponieważ nie był ani bogaty, ani zręczny (w tym przynajmniej sensie), więc poczerwieniał i ukłonił się.

— Czyś pan czytał akta, panie Phunky? — pytał dalej wielki adwokat.

Tu także pan Phunky powinien był oświadczyć, iż nie pamięta, ale ponieważ przejrzał wszystkie papiery i ponieważ od dwóch miesięcy, odkąd wyznaczono go na pomocnika panu Snubbinowi, dzień i noc myślał o tej sprawie, więc poczerwieniał jeszcze bardziej i ukłonił się jeszcze niżej.

— To jest pan Pickwick — rzekł adwokat, piórem wskazując w stronę, gdzie stał filozof.

Pan Phunky skłonił się panu Pickwickowi z całym szacunkiem, potem znów zwrócił głowę ku panu Snubbinowi.

— Może pan pójdzie z panem Pickwickiem — rzekł adwokat — i... przyjmie do wiadomości to, co panu powie. Potem, naturalnie, odbędziemy wspólną nad tym naradę.

Dając w ten sposób do zrozumienia, iż dość mu już zabrano czasu, pan Snubbin stał się znowu bardzo roztargniony, popatrzył przez chwilę przez okulary, potem skinął lekko głową i zajął się robotą leżącą przed nim. Była to szczególnego rodzaju sprawa, nie skończony proces, wytoczony przez osobę zmarłą w zeszłym jeszcze wieku, o zamknięcie pewnej ścieżki wiodącej do miejsca, skąd nigdy nikt nie wracał i dokąd nikt nigdy nie chodził.

Pan Phunky nie chciał nawet słyszeć o tym, że mógłby przejść przez jakiekolwiek drzwi przed panem Pickwickiem i jego adwokatem, upłynęło więc sporo czasu, zanim doszli do skweru. Doszedłszy tam, przechadzali się dość długo roztrząsając sprawę. W rezultacie doszli do przekonania, że trudno przewidzieć, jak wypadnie wyrok: że nikt nie może nic powiedzieć, jak się sprawa skończy, nim się sprawa zacznie; że to wielkie szczęście, iż ubiegli przeciwną stronę i pozyskali dla siebie mecenasa Snubbina. Poza tym mówili wiele innych rzeczy pełnych zwątpień i pociech, jak zwykle w takich chwilach.

Pan Pickwick obudził Sama, który spał od godziny. Pożegnawszy Lowtena skierował się do City.

Rozdział trzydziesty drugi **opisujący o wiele dokładniej, niż to kiedykolwiek czynił** **sprawozdawca dworski, przyjęcie kawalerskie, jakie** **urządził pan Bob Sawyer w swoim mieszkaniu w** **Borough**

Spokój i cisza spowijają Lant Street na przedmieściu Borough i ten spokój i cisza napełniają duszę słodką melancholią. Na ulicy tej zawsze jest sporo domów do wydzierżawienia, jest to ulica boczna, a mrok, który tu zawsze panuje, działa kojąco. Domów przy Lant Street nie można by zaliczyć do domów mieszkalnych pierwszej klasy, w ścisłym znaczeniu tego określenia; pomimo to ludzie chętnie tu mieszkają. Jeżeli ktoś pragnie usunąć się od świata, odgrodzić od jego pokus, zamieszkać tak, żeby nic nie ciągnęło go do wyglądania oknem, radzimy mu zamieszkać na Lant Street.

Szczęśliwe to ustronie zamieszkałe jest przez praczek, kilku introligatorów, dwóch czy trzech agentów urzędu licytacyjnego, wielu pomniejszych urzędników z doków, kilka szwaczek i tyluż krawczyków. Większość tubylców wykazuje dużą skłonność do wynajmowania pokoi umeblowanych i poświęca się zdrowemu i wzmacniającemu zawodowi klepania biedy. W martwej przyrodzie tej okolicy na uwagę zasługują zielone okiennice, napisy: „Do wynajęcia”, miedziane blachy nad drzwiami i uchwyty dzwonek z tegoż samego kruszcu. Główne okazy królestwa zwierzęcego stanowią chłopcy z szynkowni, handlarze sprzedający ciasta i przekupnie pieczonych ziemniaków. Ludność jest koczownicza, znika zwykle przed terminem płacenia czynszu i najczęściej w nocy. Dochody Jej Królewskiej Mości rzadko są pobierane w tej szczęśliwej dolinie. Czynsze są najczęściej tylko problematyczne, a dopływ wody raz po raz zamykany.

Tego wieczora, na który pan Pickwick był zaproszony przez pana Boba Sawyera, młody ten praktyk i przyjaciel jego, pan Ben Allen, siedzieli przed kominkiem na pierwszym piętrze pewnego domu przy opisanej ulicy. Przygotowania do przyjęcia były już jakby ukończone. Parasole z korytarza przeniesiono w ciasny kąt przed drzwiami do pokoju; czepek i szal służącej usunięto z klatki schodowej, tylko dwie pary pantofli stały na macie słomianej przy drzwiach wejściowych, a na gzymsie przy schodach dzielnie sprawowała się świeca o bardzo długim knocie. Pan Bob Sawyer sam zakupił trunki w winiarni na High Street i towarzyszył przeniesieniu ich do domu. Poncz był już przyrządzony w miedzianym rondlu. Mały stolik, nakryty zielonym suknem, sprowadzono od jednego z lokatorów tego samego domu i przeznaczono do gry w karty; szklanki, wypożyczone z pewnej oberży, stały na tacy umieszczonej na klatce schodowej przed drzwiami mieszkania.

A jednak pomimo pozornie zadowolającego stanu tych przygotowań jakaś chmura zaciemniała oblicze pana Boba Sawyera. Siedzący obok niego Ben Allen patrzył na pałący się w kominie węgiel z wyrazem współczucia, które melancholijnie ujawniło się, gdy po długim milczeniu powiedział:

— Przekłeta historia, że też dziś właśnie ma taki kwaśny humor! Mogłaby poczekać do jutra.

— To na złość! Na złość! — odrzekł Bob Sawyer. — Mówi, że jeżeli mam pieniądze, by dawać przyjęcia, to powinienem mieć i na zapłacenie jej rachunku.

— Ile jej się należy? — zapytał Ben Allen.

Rachunek, nawiasem mówiąc, jest najznakomitszym *perpetuum mobile*, jakie kiedykolwiek wymyślił umysł ludzki. Potrafi toczyć się bez przerwy przez najdłuższy żywot ludzki i nigdy sam z siebie nie stanie.

— Tylko za trzy czy cztery miesiące — odparł Bob Sawyer.

Ben Allen odchrząknął rozpaczliwie, po czym skierował badawczy wzrok między dwa pręty kominka i rzekł:

— Diabelnie będzie nieprzyjemnie, jeżeli zaczniesz robić tu gwałt, gdy przyjdą goście.

— Okropnie! — zawołał Bob Sawyer — okropnie!

W tej chwili dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi. Pan Bob Sawyer wymownie spojrzał na swego przyjaciela i gdy mówił: — Proszę wejść — we drzwiach ukazała się nieuczesana głowa służącej, ubranej w czarne pończochy bawełniane i mogącej uchodzić za opuszczoną córkę niezdolnego do pracy zamiatacza ulic, żyjącego w rozpaczliwych warunkach.

— Przepraszam pana Sawyera — rzekła dziewczyna — ale pani Raddle chce z panem mówić.

Jeszcze pan Bob Sawyer nie obmyślił odpowiedzi, gdy dziewczyna znikła nagle, jakby ją kto szarpnął z tyłu, i do drzwi zapukano powtórnie, krótko, stanowczo, jakby chciano powiedzieć: — To jestem ja i teraz ja wejść. — Pan Bob Sawyer spojrzał na swego przyjaciela ze śmiertelnym przerażeniem i znów zawołał: — Proszę wejść!

Pozwolenie to było zbyteczne, gdyż zaproszenia nie wymówiono, a już wpadła do pokoju młoda kobiecina, blada i drżąca z gniewu.

Panie Sawyer! — zawołała, usiłując zachować spokój — niech pan będzie łaskaw zapłacić rachunek. Bardzo będę panu za to zobowiązana, gdyż dziś wieczorem mam płacić czynsz i właściciel czeka właśnie na dole.

To powiedziawszy, młoda kobieta złożyła ręce i utkwiała oczy w ścianie ponad głową pana Boba Sawyera.

— Przykro mi bardzo, pani Raddle, że narażam panią na nieprzyjemności — zaczął Bob z wielką słodyczą — ale...

— O! Nie byłabym tak natrętna — przerwała mała kobieta słodko-kwaśnym głosem — ale właściciel domu czeka. A przy tym przyrzekł mi pan dziś zapłacić rachunek... Wszyscy gentlemani, którzy tu mieszkali, dotrzymywali zawsze słowa, jak to przystoi prawdziwym gentlemanom.

Powiedziawszy to, pani Raddle przygryzła usta i jeszcze uporeczywiej wpatrywała się w ścianę. Widoczne było, iż niewiasta była „pod parą”, jak to stylem wschodnich alegorii określił później sam Bob Sawyer.

— Przykro mi bardzo, pani Raddle — zaczął Bob znowu z jeszcze większym ugrzecznieniem — ale takiego doznałem zawodu dziś w City...

Dziwne miejsce — to City. Znamy całe masy ludzi, którzy zawsze doznają tam zawodu.

— A cóż mi do tego, panie Sawyer? — odrzekła pani Raddle, stojąc mocno na purpurowym kwiecie lichego, kidderrminsterskiego dywanu.

— Nie, nie, nie wątpię — mówił dalej Bob Sawyer, puszczać te słowa mimo uszu — że przed upływem tygodnia będziemy mogli wszystko uregulować, a potem pójdzie już lepiej.

Na to właśnie czekała pani Raddle. Przyszła tu, by zrobić scenę, i niezawodnie zmartwiłaby się, gdyby otrzymała należność. Świetnie też była usposobiana do tego

rodzaju rozrywki, gdyż niedawno zamieniła w kuchni z panem Raddle kilka przygotowanych uprzejmości.

— Sądzi pan, panie Sawyer — rzekła pani Raddle, podnosząc głos ku zbudowaniu sąsiadów — że będę bez końca trzymać lokatora, który zalega z czynszem, nie zwraca pieniędzy, które się dla niego wyklada na świeże masło i cukier w kostkach do śniadania ani za mleko, które mu się stawia pod drzwiami? Czy pan sądzi, że kobieta ucziwa i pracowita, która dwadzieścia lat mieszka przy tej ulicy (dziesięć po tamtej stronie, a dziewięć lat i trzy kwartały w tym domu), nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko rujnować się, by dawać mieszkanie i wikt próżniakom ciągle tylko palącym tytoń i wałęsającym się zamiast pracować, by płacić swoje rachunki? Czy pan sądzi...

— Moja droga pani — rzekł Ben Allen łagodnym głosem.

— Zachowaj pan dla siebie swoje uwagi — rzekła pani Raddle, z uroczystą miną zwracając się do Bena i przerywając nagle gwałtowny strumień swojej wymowy. — Zdaje mi się, że nie ma pan żadnego prawa wtrącać się do rozmowy. Nie panu wynajęłam ten pokój.

— Nie, wiem o tym — odrzekł Ben.

— A więc dobrze — odparła pani Raddle z wyniosłą grzecznością — bardzo dobrze! Niech pan sobie tam, w szpitalu, łamie nogi i ręce biednym ludziom, ale tu się nie wtrąca, bo znajdzie się ktoś, kto gotów panu o tym przypomnieć.

— Ależ pani jest nierozsądna — zawołał Ben.

— Za pozwoleniem, mój młody panie! — wycedziła pani Raddle lodowatym tonem. — Powtórz no pan ten wyraz!

— Ależ... nie chciałem pani obrazić — rzekł Ben Allen, który teraz bać się począł o swoją głowę.

— Za pozwoleniem, mój młody panie! — mówiła dalej pani Raddle jeszcze bardziej rozkazującym i doniosłym głosem — kogo to nazwał pan nierozsądną osobą? Czy pan miał mnie na myśli?

— Ale niechże się pani uspokoi — rzekł pan Benjamin Allen.

— Czy pan miał mnie na myśli, pytam raz jeszcze? — krzyknęła rozwścieczona pani Raddle z pasją otwierając drzwi.

— Ależ naturalnie! — odpowiedział pan Benjamin Allen.

— Tak, naturalnie! — rzekła pani Raddle cofając się ku drzwiom i podnosząc głos do najwyższych tonów na wyłączny użytek pana Raddle przebywającego w kuchni. — Naturalnie! przecież wszyscy wiedzą, że można mnie obrażać w moim własnym domu, bo mój małżonek wyleguje się tam na dole i dba o mnie tyle, co pies o piątą nogę. Powinien by rumienić się (tu pani Raddle poczęła szlochać); powinien by spłonąć ze wstydu widząc, jak pomiatają jego żoną jak najostatniejszą z ostatnich, ci rzeźnicy ciała ludzkiego (nowe szlochy). Tchórz! Bez serca! Naraża żonę na wszystkie krzywdy! Widzicie go! Stary kapłan, boi się nawet wejść tu, by nauczyć moresu tych bandytów. Boi się! Boi!

Tu pani Raddle zatrzymała się, by posłuchać, czy powtórzenie tego wyzwania rozrusza jej lepszą połowę. Widząc jednak, że to się na nic nie zda, poczęła schodzić na dół, szlochając; wtem dwukrotnie zastukano do drzwi od ulicy; wybuchnęła więc histerycznym płaczem i jękami, które udało jej się przeciągnąć tak długo, aż zastukano do drzwi po raz szósty. Natenczas poddając się nieokiełzanej rozpaczyc zaczęła rzucać parasolkami i zniknęła w głębi mieszkania, zamknawszy za sobą drzwi z niebywałym hukiem.

— Czy tu mieszka pan Bob Sawyer? — zapytał pan Pickwick, gdy otwarto drzwi.

— Na pierwszym piętrze, drzwi naprzeciw schodów — odrzekła dziewczyna, która wyrosła wśród praturyłów z Southwark, i po tej wskazówce znikła w kuchni razem ze świecą, głęboko z siebie zadowolona, gdyż sądziła, iż dokonała tego, czego wymagała od niej sytuacja.

Pan Snodgrass, który wszedł ostatni, po wielu bezowocnych usiłowaniach zamknął wreszcie drzwi na łańcuch, następnie zaś pickwickczycy poszli po omacku po schodach i dopiero we drzwiach przyjął ich Bob, który nie wychodził dalej z obawy, by nie spotkać pani Raddle.

— Witam panów — rzekł jeszcze zmieszany student. — Witam panów. Ostrożnie ze szklankami!

Ta ostatnia uwaga zwrócona była do pana Pickwicka, który właśnie kładł swój kapelusz na tacy.

— Przepraszam — zawołał filozof — bardzo przepraszam.

— To nic! — odrzekł gospodarz. — Mieszkam trochę ciasno, ale trzeba być względnym, gdy się przychodzi do kawalera. Proszę wejść. Tego pana zna pan, prawda?

Pan Pickwick uściśnął rękę panu Allenowi, a jego przyjaciele poszli za tym przykładem. Zaledwie goście zasiedli, gdy znowu zapukano do drzwi.

— To zapewne Jack Hopkins — rzekł Bob. — Tak... to on! Chodź, Jack!

Na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki i w drzwiach ukazał się Jack Hopkins w aksamitnej kurtce ozdobionej metalowymi guzikami. Pod spodem miał niebieską koszulę i biały fałszywy kołnierzyk.

— Spóźniłeś się — rzekł Ben.

— Zatrzymano mnie w szpitalu.

— Czy zaszło co ważnego?

— Nic nadzwyczajnego. Taki sobie wypadek, nie najgorszy zresztą.

— Cóż takiego? — zapytał pan Pickwick.

— Człowiek spadł z czwartego piętra, nic więcej. Ale to pyszny casus, po prostu doskonały.

— Zapewne chce pan powiedzieć, że pacjent wróci do zdrowia? — zapytał pan Pickwick.

— Nie — odrzekł obojętnie zapytany — raczej sądzę, że umrze, ale jutro czeka nas piękna operacja. Co to będzie za rozkosz, jeżeli zrobi ją Slasher!

— Więc pan Slasher jest tak znakomitym operatorem?

— Najznakomitszym, jakiego zna świat — odparł Hopkins. — Przeszłego tygodnia odjął nogę dziecku, które podczas operacji zjadło pięć jabłek i jeden piernik. Ale nie na tym koniec; w parę minut potem mały bęben oświadczył, iż jeżeli mu nie rozpoczną zaraz drugiej operacji, to się mamie poskarży.

— Zdumiewa mię pan! — zawołał pan Pickwick.

— O, to jeszcze nic! — powiedział Hopkins. — Prawda, Bobie?

— Tak, tak! — odrzekł Bob.

— Wiesz, Bob — ciągnął pan Hopkins, przelotnie spojrzawszy na zaciekawioną twarz pana Pickwicka. — Mielśmy tamtej nocy dziwne zdarzenie. Przyprawiono dziecko, które połknęło naszyjnik.

— Co połknęło? — przerwał pan Pickwick.

— Naszyjnik — odpowiedział Jack Hopkins. — Nie od razu — nie cały — tego byłoby za wiele — pan nie potrafiłby połknąć naszyjnika — ale dziecko? Cha, cha, cha! — Pan

Hopkins, zdawało się, był niezwykle zachwycony swoim żartem i ciągnął: — Nie, nie cały od razu. Rodzice tego dziecka byli ubodzy. Siostra dziecka kupiła sobie naszyjnik. Zwykły naszyjnik z wielkich, czarnych, drewnianych paciorków. Dziecko, które bardzo lubiło zabawki, złapało naszyjnik, zaczęło go ciągnąć, przerwało i połknęło jeden paciorek. Widocznie mu smakował, bo na drugi dzień połknęło następny.

— Ależ to straszne! — zawołał pan Pickwick. — Bardzo pana przepraszam! Niech pan mówi dalej!

— Ale następnego dnia łyka już dwa. Potem trzy i tak dalej, aż w końcu tygodnia połknęło cały naszyjnik — dwadzieścia pięć paciorków! Siostra, dziewczyna pracująca, która rzadko kiedy pozwalała sobie na kupno świecidełek, mało oczu nie wyplakała. Gdzie go nie szukała! Nie potrzebuję chyba mówić państwu, że nadaremnie! W parę dni później rodzina siada do obiadu. Pieczona baranina i kartofle. Dziecko nie było głodne, więc się bawi w kąciku. Nagle — piekielny hałas! — Jak gdyby mała burza gradowa. — Nie rób tak, moje dziecko! — mówi ojciec. — Ja nic nie robię! — mówi dziecko. — Nie rób tego więcej! — mówi ojciec. Milczenie, a potem znów hałas, jeszcze gorszy! — Jeżeli nie będziesz zwracał uwagi na to, co mówię, mój chłopcze — mówi ojciec — to się znajdziesz w łóżeczku, zanim się spostrzeżesz! I szarpnął dziecko, by wreszcie posłuchało, a tu ci taki hałas, jak nigdy jeszcze przedtem! — Ależ to nie jego wina! — woła ojciec. — Po prostu dostał krupu nie tam, gdzie należy! — Nie, nie! — woła malec. — To tylko naszyjnik! Połknąłem naszyjnik! — Ojciec łapie malca i pędzi do szpitala. Paciorki w brzuchu dzieciaka przez cały czas dzwonią! A ludzie patrzą w niebo i pod nogi, skąd ten dziwny dźwięk? Leży u nas w szpitalu — kończy Jack Hopkins — a paciorki tak mu głośno dzwonią w brzuszku, że musimy go otulać grubą kołdrą, bo pobudziłby nam pacjentów!

— Najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć! — zawołał pan Pickwick z emfazą, uderzając w stół.

— O, to drobnostka! — powiedział Hopkins. — Prawda, Bobie?

— Naturalnie!

— Wierz mi pan, że w naszej profesji zdarzają się nieraz wypadki bardzo dziwne!

— Zupełnie panu wierzę — odparł pan Pickwick.

Nowe pukanie do drzwi oznajmiło przybycie otyłego młodego człowieka, z ogromną głową i w czarnej peruce. Przyprowadził ze sobą młodzika w bardzo ciasnym surducie i o skorbutycznej fizjonomii. Potem przybył gentleman mający koszulę upstrzoną w małe, czerwone kotwice; za nim ukazał się błydy młodzieniec, ozdobiony ciężkim łańcuchem z pozłacanej miedzi. Pojawienie się gentlemana wielce wyelegantowanego, w bardzo czystej bieliźnie i sukiennych bucikach, uzupełniło towarzystwo. Wyciągnięto stół nakryty zielonym sukniem; pierwszą porcję ponczu wniesiono w blaszanym dzbanku, przez trzy godziny oddawano się grze w „dwadzieścia jeden”, po pół pensa za punkt. Raz tylko przyjemna ta gra była przerwana małym nieporozumieniem pomiędzy skorbutycznym młodzieńcem a gentlemanem o czerwonych kotwicach, przy czym pierwszy ujawnił nieprzeparte pragnienie rozbicia nosa drugiemu; ale gentleman noszący na koszuli emblematy nadziei oświadczył, iż nie pozwoli sobie obrażać ani gwałtownemu młodemu człowiekowi o skorbutycznej cerze, ani żadnemu innemu indywiduum udekorowanemu ludzką głową.

Gdy ukończono grę i obliczono wszystkie punkty, pan Bob Sawyer zadzwonił na kolację, ku ogólnemu zadowoleniu, a goście cofnęli się w kąt, gdy ją zastawiano.

Nie była to operacja tak łatwa, jak by się wydawać mogło. Naprzód trzeba było obudzić służącą, głęboko uspioną pod stołem w kuchni. To zajęło trochę czasu, chociaż bowiem obudzono ją, długo nie zdołano doprowadzić do przytomności. Poza tym przekupniowi, u którego zamówiono ostrygi, nie kazano ich otwierać, a wiadomo, jak trudno otwierać ostrygi zwykłym nożem lub widelcem; toteż sprawa szła ciężko i opornie. Wołowina również nie na wiele się przydała, gdyż była niedopieczona, a i o szynce, chociaż wzięto ją z sąsiedniej niemieckiej wędliniarni, można było powiedzieć, że nie zasługiwała na pochwałę.

Za to posiadano sporą ilość porteru i nie mniej sera, ku zadowoleniu wszystkich biesiadników, tym bardziej, że ser był nadzwyczaj ostry. W ogóle kolacja była o tyle dobra, o ile mogła nią być w takich warunkach.

Po jedzeniu postawiono na stole drugi dzban ponczu, paczkę cygar i dwie butelki wódki. Ale tu nastąpiła niesamowita pauza spowodowana okolicznością bardzo zwyczajną w podobnych razach, niemniej jednak kłopotliwą.

Służąca zajęta była myciem szklanek. Zakład szczyił się posiadaniem czterech naczyń tego rodzaju, z czego jednak nie robimy zarzutu krzywdzącego panią Raddle, gdyż wiadomo, że w podobnych zakładach zawsze daje się odczuwać brak szklanek. Szklanki pani domu były wąskie i wysmukłe, pożyczone zaś z sąsiedniej restauracji — wielkie i pękate. To samo mogło już wyjaśnić prawdziwy stan rzeczy; ale służąca przecięła wszelką możliwość choćby dwuznaczności, gdyż od każdego z gości, zanim jeszcze wypił, niemal przemocą zabrała szklankę i mimo interwencji ze strony Boba Sawyera głośno oświadczyła, że kazano jej szklanki zabrać na dół i umyć.

Stwierdzenie to nie mogło wróżyć nic dobrego. Na próżno wyelegantowany gentleman w sukiennych bucikach wysiłał się na dowcip. W chwili gdy szklanki znikły, rozpoczął opowiadanie o tym, jak szczególnie szczęśliwą odpowiedź dała pewna znakomitość polityczna, której nazwiska zapomniał, innej osobistości, także znakomitej, której nazwiska nigdy nie mógł dokładnie się dowiedzieć. Rozwodził się bardzo szczegółowo nad rozmaitymi podrzędnymi okolicznościami, ściśle zresztą związanymi z rzeczoną anegdotą, ale żadną miarą nie mógł dojść do końca i przypomnieć sobie odpowiedzi, chociaż anegdotę tę opowiadał od dziesięciu lat z wielkim powodzeniem.

— Naprawdę! — rzekł w końcu elegant w sukiennych bucikach — to bardzo dziwna historia.

— Wielka szkoda, że pan ją zapomniał — odpowiedział Bob, z niepokojem spoglądając na drzwi, gdyż zdawało mu się, że słyszy szcęk szklanek. — Bardzo żałuję.

— Ja także bardzo żałuję — dodał opowiadający — gdyż jestem pewny, że rozweseliłoby to panów, ale nie martwcie się: sądzę, że najdalej za pół godziny przypomnę sobie.

W tej chwili szklanki powróciły i Bob Sawyer, dotąd bardzo zakłopotany, odpowiedział z uprzejmym uśmiechem, iż byłby rad usłyszeć koniec opowiadania, które w każdym razie jest nadzwyczaj zajmujące.

Widok szklanek przywrócił Bobowi dobry humor, którego brakowało mu od czasu konferencji z gospodynią. Twarz jego rozjaśniła się i znów się rozruszał.

— Teraz, Betsy — rzekł z wielką słodyczą w głosie, rozstawiając szklanki, które służąca postawiła na środku pokoju — teraz, Betsy, pośpiesz się i daj nam gorącej wody.

— Nie ma gorącej wody — odpowiedziała Betsy.

— Jak to? Nie ma gorącej wody?

— Nie ma! Pani powiedziała, iż pan wody nie dostanie.

Zdumienie, jakie wystąpiło na twarzach gości, dodało odwagi, gospodarzowi.

— Natychmiast przynieś gorącej wody! Natychmiast! — zawołał ze spokojem rozpaczy.

— Nie można! Pani Raddle idąc spać zgasiła ogień i zabrała z sobą kociołek — odparła służąca.

— Mniejsza o to! To drobnostka — rzekł pan Pickwick zauważywszy, że twarz Boba zaczyna się mienić — zimna woda jest równie dobra.

— Tak, tak! — dodał Ben Allen.

— Gospodyni moja podlega chwilowym napadom szału — rzekł Bob z lodowatym uśmiechem. — Obawiam się, iż będę zmuszony wymówić mieszkanie.

— Ale nie, nie! — rzekł Beniamin.

— Boję się, iż do tego dojdzie — mówił Bob z heroiczną stanowczością. — Zapłacę, com winien, i wyniosę się jutro rano.

Biedny chłopiec! Jakże gorąco tego pragnął!

Usiłowania Boba, by podnieść się po tym ostatnim ciosie, udzieliły się i towarzystwu. Większa część gości dla ożywienia umysłów tym pilniej zajęła się zimnym grogiem, czego pierwsze skutki ujawniły się wznowieniem nieprzyjaznych kroków między skorbutycznym młodzieńcem a właścicielem koszuli pełnej nadziei. Strony wojujące przez jakiś czas okazywały sobie wzajemną pogardę marszczeniem brwi i sapaniem; w końcu skorbutyczny młodzieniec uznał za właściwe zająć wyraźniejsze stanowisko, co doprowadziło do następującej, już niedwuznacznej wymiany zdań:

— Sawyer! — zawołał skorbutyczny młodzian donośnym głosem.

— Co chcesz, Noddy? — zapytał gospodarz.

— Przykro by mi było stać się przyczyną choćby najmniejszego niepokoju przy stole przyjaciela, a zwłaszcza przy twoim, ale sądzę, iż powinienem skorzystać ze sposobności i oświadczyć panu Gunter, iż nie jest gentlemanem.

— A ja, mój kochany Sawyer — odrzekł na to pan Gunter — bardzo bym się zmartwił, gdybym spowodował najmniejszy hałas na ulicy, przy której mieszkasz, ale obawiam się, że będę zmuszony zaniepokoić twoich sąsiadów i wyrzucić przez okno osobę, która właśnie przemówiła.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał Noddy.

— To, co mówię — odparł pan Gunter.

— Chciałbym więc widzieć, jak to pan zrobi — rzekł pan Noddy.

— Za chwilę poczuje pan nawet.

— Prosiłbym pana o jego bilet.

— Nic z tego nie będzie.

— Dlaczego, panie?

— Bo pan umieściłby mój bilet za lustrem, aby myślano, że odwiedzają go gentlemani.

— Panie, jeden z moich przyjaciół rozmówi się z nim jutro — rzekł Noddy.

— Dziękuję, żeś mnie pan o tym uprzedził, i zawczasu powiem służącej, by pochowała łyżki — odparł Gunter.

W tym miejscu dialogu wmieszali się obecni, przedstawiając obu stronom niewłaściwość — ich postępowania. Wskutek tego pan Noddy oświadczył, iż ojciec jego był równie szanowany jak ojciec pana Guntera, na co pan Gunter odpowiedział, że jego ojciec był tak samo szanowany jak ojciec pana Noddy'ego. A ponieważ podobną deklarację można było uważać za zapowiedź nowych kroków zaczepnych, więc znów nastąpiła interwencja ze strony towarzystwa; wynikiem jej było wiele hałasu, podczas którego pan Noddy zdołał zapanować nad swym uniesieniem i wyznał, iż zawsze miał dla

pana Guntera nieograniczony szacunek. Na to pan Gunter oświadczył, iż prawdę powiedziawszy, woli może pana Noddy'ego niż swego rodzonego brata. Usłyszawszy to pan Noddy podniósł się wspaniałomyślnie i podał rękę panu Gunterowi, który ją z zapalem uściskał, i wszyscy uznali, że sprawa została załatwiona z wielkim honorem dla obu stron.

— Teraz, Bobie — rzekł pan Jack Hopkins — aby nas rozruszać na nowo, proponuję... abyśmy zaśpiewali. — Tu Hopkins wśród głośnych okrzyków zaintonował „Boże, zbaw króla”. Śpiewał, jak umiał najgłośniej, na nową melodię będącą połączeniem „Zatoki Biskajskiej” i „Była sobie raz żabka”. Ponieważ w tych wokalnych produkcjach główna rola przypadła chórowi, każdy zaś z gentlemanów śpiewał na melodię, którą znał najlepiej, efekt był naprawdę wstrząsający.

Gdy chór prześpiewał pierwszą zwrotkę, pan Pickwick podniósł rękę prosząc o głos, a gdy uciszono się, powiedział:

— Przepraszam panów, ale zdaje mi się, iż ktoś krzyczał na dole. Nastąpiła głęboka cisza. Zauważono, że Bob zbladł.

— Zdaje mi się, iż znowu słyszę ten głos — mówił dalej pan Pickwick. — Proszę otworzyć drzwi.

Kiedy otwarto drzwi, znikła wszelka wątpliwość.

— Panie Sawyer! Panie Sawyer! — wołano z drugiego piętra.

— To moja gospodyni — rzekł Bob spoglądając z niepokojem na gości. — Czego pani sobie życzy, pani Raddle?

— Co to znaczy, panie Sawyer? — ozwał się cierpki głos. — Nie dość tego, że muszę z własnej kieszeni płacić za pana i znosić obelgi pańskich przyjaciół, którzy mają być ludźmi z wykształceniem, ale zdaje się, że chce mi pan dom rozwalić i wyprawia pan o drugiej godzinie rano takie wrzaski, że mógłby pan zaalarmować straż pożarną. Wypędź mi pan zaraz tę hałastę.

— Wstydziliby się pan — dodał głos samego pana Raddle, wychodzący jakby spod całego stosu kółder.

— Naturalnie — zawołała czuła jego połowica — bo ty, zmokła kuro, czemu nie pójdziesz sam i nie pozrucasz ich ze schodów! Tak powinien byś zrobić, gdybyś był mężczyzną!

— Zrobiłbym to, moja droga, gdybym był tuzinem mężczyzn — odrzekł małżonek. — Ale w tej chwili oni mają liczebną przewagę...

— Tchórz! — odrzekła pani Raddle z największą pogardą. — Panie Sawyer, czy rozpędzi pan tę hałastę?

— Już idą, idą — odpowiedział nieszczęśliwy Bob. — Sądzę, że najlepiej zrobicie, gdy się rozejdziecie — rzekł następnie do swych przyjaciół — bo doprawdy, zdaje mi się, iż za wiele robimy hałasu.

— Wielka szkoda — rzekł wyelegantowany gentleman — bo właśnie zaczęło nam być tak wesoło.

— Ech! Nie zwracajmy na to uwagi, a zacznijmy lepiej drugą strofę — powiedział Hopkins.

— Nie, dajcie spokój, nie śpiewajcie! — pośpieszył uprzedzić gospodarz. — Piękny to śpiew, ale dość już. Mieszkańcy tego domu są gwałtowni, bardzo gwałtowni.

— Może chcesz, bym poszedł na górę i oporządził gospodarza? — zapytał Hopkins. — Albo począł dzwonić jak na alarm, albo zaczekał na schodach? Rozporządźaj mną. Bobie.

— Dziękuję ci za te dowody przyjaźni — odrzekł nieszczęśliwy Bob — ale sądzę, iż dla uniknięcia zwady najlepiej będzie się rozejść.

— No i cóż, panie Sawyer? — ozwał się znowu cierpki głos pani Raddle. — Czy już się wynoszą ci bandyci?

— Już, już, pani Raddle, szukają kapeluszy. Zaraz odejdą.

— Odejdą! — zawołała pani Raddle, wysuwając przez drzwi swą głowę ozdobioną nocnym czepkiem w tej właśnie chwili, gdy panowie Pickwick i Tupman wychodzili z pokoju. — Odejdą! A po co tu w ogóle przychodzić?

— Moja droga pani — rzekł pan Pickwick, podnosząc głowę.

— Wynos się pan, stary nicponiu — odpowiedziała na to pani Raddle, szybko zdejmując czepkę. — Taki dziad! Mógłby być ich ojcem! Stary rozpustnik! Pan jesteś najgorszy ze wszystkich!

Pan Pickwick uznał za zbyt ciężkie przekonywać o swej niewinności. Zeszedł szybko ze schodów na ulicę, gdzie połączył się z panami Tupmanem, Winkle'em i Snodgrassem. Pan Ben Allen, mocno przybity grogiem i zaszłą sceną, towarzyszył im aż do Mostu Londyńskiego, zwierzywszy się w drodze panu Winkle'owi, jako osobie szczególnie zasługującej na zaufanie, iż gotów jest poderżnąć gardło z wyjątkiem Boba Sawyera każdemu gentlemanowi, który ośmieliłby się zalecać do jego siostry, Arabelli.

Oznajmiwszy gotowość spełnienia z należną stanowczością tego przykrego braterskiego obowiązku, zalał się łzami, nasunął sobie na oczy kapelusz i ruszył z powrotem. Po drodze zatrzymywał się przed każdą bramą na placu Borough i aż do świtu pukał energicznie w przekonaniu, iż stoi przed własnym domem i zapomniał klucza od drzwi.

Gdy goście rozeszli się zgodnie z nieco natrętnym życzeniem pani Raddle, nieszczęśliwy Bob Sawyer został sam, aby zastanowić się nad przypuszczalnymi wypadkami następnego dnia i przyjemnościami następnego wieczora.

Rozdział trzydziesty trzeci

Weller starszy wygłasza kilka krytycznych uwag dotyczących utworów literackich, potem przy pomocy swego syna Samuela wywiązuje się z części długu względem czerwono-nosego gentlemana

Trzynasty lutego, o czym czytelnicy tej autentycznej historii wiedzą równie dobrze jak my sami, był wigilią dnia, w którym miała być sądzona sprawa Bardell *contra* Pickwick. Nużący to był dzień dla Samuela Wellera, który od dziesiątej rano do drugiej po południu ciągle podróżował z hotelu pana Pickwicka do gabinetu pana Perkera i z powrotem, nie dlatego, by było coś do zrobienia, bo odbyto już naradę i postanowiono, jakiej drogi należy się trzymać, ale że pan Pickwick znajdował się w stanie nadzwyczajnego rozdrażnienia i nieustannie posyłał swemu pełnomocnikowi małe bileciki zawierające jedynie takie pytanie: „Kochany Perker! Jak tam idzie?”, na co pan Perker odpowiadał niezmiennie: „Panie Pickwick! Jak można najlepiej”. Faktem zaś jest, że nie mogło iść ani źle, ani dobrze, aż do dnia następnego. Ale ludziom stającym przed sądem lub wzywanych tam po raz pierwszy przebaczyć trzeba chwilową irytację i niepokój, jakiego doznają. Sam wiedział o tym i ulegał słabości natury ludzkiej, wykonując wszystkie rozkazy swego pana z niczym nie zamąconym humorem, stanowiącym jeden z najwybitniejszych i najmiłszych rysów jego charakteru.

Właśnie pokrzepił się był smacznym obiadem i czekał w sali bufetowej na pewną gorącą mieszaninę, której zażycie zalecił mu pan Pickwick celem usunięcia śladów porannego znużenia, gdy najpierw w sieni, potem na schodach, potem w korytarzu, wreszcie w sali oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem” ukazał się chłopak w futrzanej czapce i flanelowej kurtce, którego wszystkie ruchy zdradzały chwalebny ambicję dojścia z czasem do godności masztalerza. Chłopak spojrział dokoła, jakby szukał kogo, do kogo ma polecenie, wobec czego służąca, która nie uważała za nieprawdopodobne, by polecenie to miało jakiś związek z łyżeczkami do herbaty i do czego innego, krzyknęła na chłopaka:

— Hej, ty tam! Co tu robisz?

— Jest tu ktoś, kto się nazywa Sam? — zapytał chłopak cienkim dyszkantem.

— A nazwisko? — zapytał Sam zwracając się do chłopca.

— A czy ja wiem! — odrzekł żywo zapytany.

— Znadtoś dowcipny, mój malcze. Uważaj no tylko, by się dowcip nie obrócił, bo mógłbyś wtenczas dostać jego ostrym końcem. Cóż to znaczy? Przychodzisz do hotelu i pytasz o Sama z uprzejmością dzikiego Indianina?

— Bo mi tak kazał stary.

— Jaki stary? — zapytał Sam z głęboką pogardą.

— Ten, co jeździ po Ipswich i przystaje w naszej oberży — odparł chłopak. — Powiedział mi wczoraj rano, bym poszedł „Pod Jerzego i Jastrzębia” i zapytał o Sama.

— To mój autor — rzekł Sam do panny siedzącej za bufetem. — Obawiam się, że on naprawdę nie zna mego nazwiska. No, młody karczocho, co masz mi jeszcze do powiedzenia?

— Stary powiedział, byście przyszli do nas o szóstej, bo chce widzieć się z wami „Pod Błękitnym Odyńcem” na Leadenhall. Czy mam powiedzieć mu, że tam przyjdziecie?

— Możesz zaryzykować — odrzekł Sam.

Otrzymawszy to pełnomocnictwo, chłopak oddalił się, budząc sąsiednie echa szczęśliwym naśladowaniem piosenek dorożkarskich, co czynił rzeczywiście głosem szerokim i pełnym.

Sam z łatwością otrzymał urlop od pana Pickwicka, gdyż w stanie rozdrażnienia, w jakim znajdował się filozof, nie miał nic przeciwko temu, by być samotnym. Toteż Sam puścił się w drogę na długo przed umówioną godziną, a mając czas, przespacerował się do pałacu mera Londynu. Tu zatrzymał się i z filozoficznym spokojem zajął się oglądaniem niezliczonych kabrioletów i pojazdów wszelkiego rodzaju. Spędziwszy tak z pół godziny, skierował się ku rynkowi Leadenhall przez mnóstwo uliczek i zaułków. Ponieważ pracował nad zabiciem czasu i zatrzymywał się przed każdym prawie przedmiotem, który mu wpadł w oko, nie wyda się więc dziwnym, iż stanął także przed sklepem, gdzie sprzedaje się papier; ale co by bez bliższych wyjaśnień mogło wydawać się dziwne, to to, że zaledwie oczy jego zatrzymały się na pewnych malowidłach wystawionych w oknie, Sam zadrżał, mocno uderzył się prawą ręką po udzie i wykrzyknął:

— Doprawdy, że zapomniałbym jej posłać. Nie przyszło mi do głowy, że jutro właśnie dzień św. Walentyna.

Kolorowany rysunek, na który zwrócone były oczy Sama, gdy to mówił, przedstawiał dwa serca ludzkie jaskrawo wymalowane, osadzone na strzale i piekące się na sutym ogniu. Dwaj ludożercy, męskiego i żeńskiego rodzaju, we współczesnych ubiorach (gentleman w granatowym fraku i białych spodniach, dama w czerwonym płaszczu z takimże parasolem), zbliżali się do tego pieczystego z miną wygłodzoną, po ścieżce wysypanej delikatnym piaskiem. Mały chłopiec, bardzo nieskromny (gdyż za całe ubranie miał tylko parę skrzydeł), doglądał tej kuchni. W głębi widać było dzwonnice kościoła na Langham Place. Słowem, malowidło to przedstawiało miłosny list z rodzaju tych, które nazywa się „Walentynami”. Jak oznajmiono na niewielkiej tablicy, właściciel sklepu podejmował się dostarczenia podobnych wyrobów współobywatelom swoim w każdej żądanej ilości po jednym szylingu i sześć pensów za sztukę.

— Byłbym zupełnie zapomniał posłać jej taki list — powtórzył Sam i wszedł prosto do sklepu. Tam zażądał arkusza najpiękniejszego listowego papieru ze złotymi brzegami i twardego pióra, z zaręczeniem, iż nie będzie pryskać. Otrzymawszy te przedmioty poszedł dalej, ale już nierównie prędzej niż przedtem. Stanąwszy koło rynku Leadenhall, powiódł dokoła wzrokiem i ujrzał szyld, na którym artysta wymalował coś, co miało dalekie podobieństwo do słonia niebieskiego koloru z orlim nosem zamiast trąby. Słusznie przypuszczając, że był to „Błękitny Odyńiec” we własnej osobie, Sam wszedł do wnętrza i zapytał o autora swej osoby.

— Przyjdzie tu chyba za jakie trzy kwadransy — odpowiedziała młoda dama zarządzająca miejscowym gospodarstwem.

— Bardzo dobrze — odrzekł Sam. — Proszę mi dać za dziewięć pensów wódki z gorącą wodą i atramentu.

Gdy przyniesiono wódkę i atrament do osobnego pokoju, młoda dama pieczołowicie przytłumiła ogień, by nie palił się zbyt jasno, i natychmiast odeszła zabierając pogrzebacz, aby uniemożliwić wszelkie próby rozniecienia nędznego płomyka bez uprzedniej wiedzy i zgody oberży „Pod Błękitnym Odyńcem”. Sam zasiadł na krześle koło

pieca, wydobyl z kieszeni papier ze zloconymi brzegami i twarde pióro, starannie obejrzał jego koniec, by się przekonać, że nie ma na nim włosa, wytarł stół z obawy, by pod papierem nie znalazły się okruszyny chleba, zawinął rękawy, wsparł się na łokciach i przygotował się do pisania.

Napisać list nie jest rzeczą łatwą, zwłaszcza dla dam i gentlemanów nie bardzo poświęcających się nauce kaligrafii. W podobnych wypadkach piszący zawsze poczytuje za niezbędne pochylić swoją głowę ku lewemu ramieniu i spoglądając z ukosa na stawiane litery, jednocześnie tworzyć językiem odpowiadające im idealnie kształty. Chociaż jednak tego rodzaju ruchy niezaprzeczenie wielce przyczyniają się do oryginalnej kompozycji, za to z drugiej strony znacznie opóźniają samo pisanie. Już przeszło półtorej godziny Sam wypisywał na papierze drobne litery, małym palcem wycierając te, które się nie udały, i kładąc inne na ich miejscu, gdy zajęcie to przerwało mu wejście szanownego Wellera starszego.

— No, Sammy! — rzekł ojciec.

— No, stary — odrzekł syn, odkładając pióro. — Cóż tam mówi ostatni biuletyn o zdrowiu macochy?

— Pani Weller spędziła noc spokojnie, ale z rana była w szkaradnym humorze. Podpisano pod przysięgą: Tony Weller Esq. Oto ostatni biuletyn, Samie — odrzekł Weller starszy, zdejmując szal.

— Więc nie ma polepszenia?

— Przeciwnie, symptomy coraz gorsze — odpowiedział ojciec, wzruszając ramionami. — Ale co ty tu robisz, Sammy? Chcesz zostać uczonym, co?

— Już skończyłem — odrzekł Sam, nieco zakłopotany — pisałem.

— Widzę, ale spodziewam się, że nie do kobiety?

— Ech! Co tu ukrywać. To Walentyn.

— Co? — zawołał ojciec, którego słowa te, zdawało się, napełniały przerażeniem.

— Walentyn.

— Samiwelu! Samiwelu! — zaczął znowu ojciec tonem wyrzutu — nigdy nie spodziewałem się tego po tobie. Wobec przykładu, jaki dały ci złe skłonności twego ojca, wobec wszystkiego, com ci o tym przedmiocie powiedział, wobec osobistego poznania twej macochy, co starczy za moralną naukę, której człowiek nie powinien zapomnieć do końca życia, nie przypuszczałem, byś mógł to zrobić, Samiwelu! Nie, nigdy nie przypuszczałem.

Były to zbyt przykre uwagi dla nieszczęśliwego ojca, po ich wygłoszeniu przyłożył więc do ust szklankę Sama i duszkiem wypił wszystko, co w niej było.

— No, a teraz jak ci jest, stary? — zapytał syn.

— O, Sammy, jaki to ciężki cios w moim wieku! Na szczęście jestem łykowaty i to mię pociesza — jak mówił stary indyk gospodarzowi, który mu oznajmił, iż musi go zabić i zanieść na targ.

— Co jest ciężkim ciosem?

— Widzieć cię żonatym, Sammy, widzieć, że jesteś ofiarą i w niewinności swojej wyobrazasz sobie, że tak być powinno. To przerażający cios dla serca ojcowskiego, Sammy!

— Głupstwo! Nie myślę się żenić, nie martw się nadaremnie. Każ sobie lepiej podać fajkę; przeczytam ci list.

Nie możemy stanowczo powiedzieć, czy boleść Wellera uległa złagodzeniu dzięki perspektywie fajki, czy też dzięki przekonaniu, iż w rodzinie jego istnieje jakaś fatalna

skłonność do małżeństwa, której na próżno byłoby stawiać opór. Gotowi byśmy niemal przypuszczać, iż szczęśliwy ten rezultat wypłynął jednocześnie z obu tych skombinowanych źródeł pociechy. Weller rzucił okrycie, zapalił fajkę, usiadł plecami do ognia, by czuć jego ciepło, a równocześnie opierać się o gzyms kominka; potem zwrócił ku Samowi twarz znacznie łagodniejszą i wezwał go do bliższych wyjaśnień.

Sam umoczył pióro w kałamarzu, by być gotowym do robienia poprawek, i zaczął z teatralnym patosem:

— Luba...

— Czekaj! — zawołał Weller starszy, ciągnąc za dzwonek. — Dwie szklanki nieomylniej, moje dziecko!

— Zaraz, panie — odrzekła dziewczyna, która z wielką szybkością zjawiała się i znikła, znów się zjawiała i znów znikła.

— Tu, zdaje się, znają twoje gusta — zauważył Sam.

— Znają — odrzekł ojciec. — Przedtem bywałem tu często. No, teraz zaczynaj.

— Luba istoto!...

— Czy to będą może wiersze?

— Nie, nie!

— Tym lepiej. Wiersze to rzecz nienaturalna. Nie ma ani jednego człowieka, który by mówił wierszami, z wyjątkiem zakrystiana w drugi dzień Bożego Narodzenia i tych, co zachwalają Warrena czernidło do butów, rozmaite olejki i tym podobne rzeczy. Nie niżaj się nigdy do mówienia wierszami, mój chłopcze, to dobre dla hołoty. Zacznij no jeszcze raz.

— Luba istoto! Czuję, że serce moje siarczyście...

— „Siarczyście” to nieprzyzwoicie — przerwał Weller, odejmując fajkę od ust.

— Nie, nie, to nie „siarczyście” — rzekł Sam, zwracając list ku oknu — to „ogniście”, tylko że tu zrobił się kleks. Czuję, że serce moje ogniście zapaliło się...

— Bardzo dobrze! Dalej!

— Ogniście zapaliło się i roz... zapomniałem, jaki tu ma być wyraz — rzekł Sam drapiąc się piórem za uchem.

— Więc czemuż nie popatrzysz?

— Właśnie patrzę, ale tu także jest kleks. Widzę r, o, z...

— Może „rozpędziło” — poddał Weller.

— Nie, to „roznamiętniło”, tak.

— To już nie tak wymowne słowo jak „rozpędziło” — rzekł Weller z powagą.

— Tak sądzisz?

— Niezawodnie.

— A mnie się zdaje, iż „roznamiętniło” więcej wyraża.

— Ech, zresztą — rzekł Weller po krótkim milczeniu — może to bardziej czule. Wal dalej, Sammy.

— Moje serce ogniście się rozogniło i roznamiętniło na wspomnienie o tobie, gdyż jesteś ekstrafajn dziewczyna, i chciałbym, by mi kto powiedział, że tak nie jest...

— To piękna myśl — rzekł Weller, odejmując fajkę od ust, by zrobić tę uwagę.

— Sądzę, że niezła — odpowiedział syn, któremu to bardzo pochlebiło.

— Co mi się podoba w twoim stylu, to że nie ma tu żadnych obcych wyrażań, żadnych Wenusów ani nic podobnego. Bo po co to mówić młodej kobiecie, że jest Wenus albo anioł, Sammy?

— Rozumie się: po co?

— Dlaczegoż by nie nazwać jej od razu gryfem albo jednorożcem? Przecież to także, jak wiadomo, są zwierzęta bajeczne!

— Jedno warte tyle, co i drugie.

— Wal dalej, Sammy!

Posłuszny Sam czytał dalej, podczas gdy ojciec jego palił fajkę z wyrazem mądrości i pobłażania, co było szczególnie budujące.

— Nim ciebie ujrzałem, sądziłem, iż wszystkie kobiety są jednakie...

— Są jednakie — zauważył Weller nawiasowo.

— Ale ujrzawszy ciebie, przekonałem się, iż byłem głupi jak korniszon, ponieważ nie ma na świecie osoby, która by tak mi się podobała... Myślę, że należało to wyrazić jakoś dobitniej rzekł Sam, podnosząc głowę.

Weller skinął w milczeniu, syn czytał dalej:

— A zatem korzystam z przywileju, moja kochana Mary — jak mówił pewien gentleman w kłopotach, tylko w nocy wychodzący z domu — by ci powiedzieć, że chociaż widziałem cię tylko jeden raz, obraz twój jest wyryty w moim sercu wyraźniej i lepszymi kolorami, aniżeli gdyby zrobiono go maszyną fabrykującą w dwie minuty portrety z ramkami i haczykiem do wieszania.

— Boję się, czy to nie trąci już poezją — zauważył Weller z powątpiewaniem.

— Nie, nie — odrzekł Sam, zaczynając znów czytać, by uniknąć dalszej dyskusji: — Przyjmij mię, droga Mary, za twego Walentyna i pomyśl o tym, co ci piszę. Moja droga Mary, teraz kończę. — Ot, i wszystko.

— Zdaje mi się, iż zakończenie jest za nagłe, Sammy.

— O nie! Może by chciała, by było dłuższe, ale na tym właśnie polega cały sekret pisania listów.

— No, jest w tym coś. Chciałbym, by twoja macocha miała te same zasady. A czy nie podpiszesz?

— W tym sęk. Nie wiem, jak podpisać.

— Podpisz „Weller” — rzekł właściciel tego nazwiska.

— Nie można. Walentyn nigdy nie podpisuje się własnym nazwiskiem.

— No to podpisz „Pickwick”. To piękne nazwisko i łatwe do wymówienia.

— Doskonale! A gdybym zakończył wierszami, co?

— Nie lubię wierszy, mój chłopcze; w całym moim życiu nie znałem żadnego porządnego stangreta, który by pisał wiersze, z wyjątkiem jednego, który napisał bardzo rozczulające wiersze w dniu, w którym go powieszono za rozbój na drodze, ale to był stangret z Camberwell, więc to się nie liczy.

Ale Sam nie dał sobie wyperswadować poezji i podpisał:

*Miłość przenika
Twojego Pickwicka*

Złożywszy następnie list w sposób bardzo skomplikowany, napisał na nim ukośnie adres:

— Panna Mary, służąca u pana Nupkinsa, burmistrza w Ipswich, Suffolk — potem opatrzył list pieczęcią i włożył go do kieszeni, by odnieść w swoim czasie na pocztę.

Po załatwieniu tej ważnej sprawy pan Weller senior zaczął przedstawiać drugą, dla której wezwał swego spadkobiercę.

— Pierwsza historia dotyczy twego chlebodawcy — powiedział. — Jutro ma być sądzony.

— Niezawodnie.

— Otóż pewno będzie potrzebował świadków, którzy by zaprzysięgli jego obyczaję albo dowiedli alibi. Już ja to wszystko obmyśliłem i chlebodawca może być spokojny. Znalazłem kilku przyjaciół, którzy załatwią mu jedno lub drugie. A co do mnie, to takie jest moje zdanie: dajcie pokój obyczajom i weźcie się do alibi. Nie ma nic lepszego jak alibi. Nic, Sammy!

Pan Weller patrzył bardzo uczenie dokoła, gdy wyrażał tę opinię prawniczą, potem zaś wetknął nos w szklankę i spoza jej brzegu wyglądał ku zdumionemu synowi.

— Ej, co ci jest, stary? Czy myślisz, że gubernator pójdzie do kryminału i że go sądzić będą w Old Bailey?

— To wszystko jedno, mój chłopcze. Mniejsza o to, gdzie go sądzić będą; alibi, w tym rzecz. Za pomocą alibi uratowaliśmy Toma Wildsparka, chociaż oskarżony był o zabójstwo, a wszystkie peruki utrzymywały, iż nic mu nie pomoże. Powiem ci, Sammy, że jeżeli twój chlebodawca nie dowiedzie alibi, to niechybnie zadrze nogi.

Ponieważ starszy pan Weller żywił głębokie i niewzruszone przekonanie, że Old Bailey jest najwyższym sądem państwowym i do jego praw i norm muszą się stosować wszystkie inne, przeto nawet słuchać nie chciał dowodzeń Sama, iż alibi w tym wypadku na nic się nie przyda. Z wielką gwałtownością twierdził, iż wobec tego pan Pickwick padnie ofiarą sądu. Widząc, że nie ma co dalej dyskutować o tym, Sam zmienił przedmiot rozmowy i zapytał, w jakiej to drugiej sprawie szanowny rodzic pragnie zasięgnąć jego zdania.

— Jest to punkt dotyczący polityki domowej, Sammy — odpowiedział Weller. — Znasz Stigginsa?

— Czerwononosego?

— Tego samego. Czerwononosy odwiedza twoją macochę z dobrocią i łaskawością, jakich nigdy nie widziałem. Tak kocha naszą rodzinę, iż gdy odchodzi, nie może przemóc się, by nie zabrać jakiej pamiątki.

— Gdybym był na twoim miejscu — powiedział Sam — dałbym mu coś, co by dziesięć lat popamiętał!

— Zaraz, zaraz! Otóż, jak mówiłem, teraz przynosi zawsze z sobą płaską butelkę, obejmującą około półtorej kwarty, a gdy odchodzi, napelnia ją starannie naszym grogiem ananasowym.

— I na pewno odnosi próżną?

— Zostaje tylko korek i zapach. Co do tego możesz być zupełnie spokojny. Otóż, mój chłopcze! Dziś te próżniaki będą tu odbywać miesięczne posiedzenie sekcji Brick Lane, oddziału Ebenezer, wielkiego towarzystwa wstrzemięźliwości. Miała tam pójść i twoja macocha, ale dostała reumatyzmu i nie może, a ja podchwyciłem dwa bilety, które jej przesłano. Udzieliwszy synowi tej tajemnicy z nadzwyczajnym zadowoleniem, Weller senior zaczął tak szybko mrugać okiem, iż Sam począł przypuszczać, że dostał nerwowej drzączki w prawej powiece.

— No i cóż z tego? — zapytał.

— Ano — mówił dalej ojciec oglądając się na wszystkie strony — my przyjdziemy we właściwym czasie. A pomocnik pasterza nie! Pomocnik nie!

Tu Weller dostał takiego napadu śmiechu, że omal nie udusił się. Przestraszony Sam począł mu rozcierać grzbiet, jakby chciał z niego wykrzesać ogień, po czym odezwał się:

— Doprawdy, że nigdy w życiu nie widziałem podobnego komika. Czegóż tak chichoczesz, korpulencjo?

— Cicho, Sammy — odrzekł Weller, oglądając się dokoła z wielką ostrożnością i mówiąc stłumionym głosem. — Dwaj moi przyjaciele, jeżdżący oksfordzkim traktem i świetni do wszystkich awantur, wzięli pomocnika na holownik i gdy przyjdzie na posiedzenie Ebenezera (co stanie się niezawodnie, gdyż doprowadzą go do samych drzwi i wepchną tam w razie potrzeby), to zgromadzeni przekonają się, iż jest zalany grogiem, jak nigdy nie był „Pod Markizem Granby”, a to już niemało.

Tu Weller powtórnie wybuchnął śmiechem, narażając się niemal na uduszenie.

Nic nie mogło Samowi tak przypaść do gustu jak zdemaskowanie czerwono-nosiego obłudnika, a ponieważ nadchodziła już godzina, o której posiedzenie miało się rozpocząć, więc ojciec z synem bezzwłocznie poszli ku Brick Lane. Po drodze Sam oddał list na pocztę.

Miesięczne posiedzenia filii Brick Lane, oddziału wstrzemięźliwości Ebenezer, odbywały się w miłej i obszernej sali, do której można się było dostać za pomocą pewnej i wygodnej drabiny. Prezydentem był właśnie pan Antoni Humm, nawrócony strażak, obecnie nauczyciel, a przygodnie wędrowny kaznodzieja. Sekretarzem był niejaki pan Janas Mudge, pomocnik blacharski, który był naczyniem bezinteresowności i entuzjazmu, a poza tym sprzedawał herbatę członkom stowarzyszenia. Przed rozpoczęciem zebrania damy, siedząc na taboretach, popijały herbatę, jak mogły najdłużej; wielka drewniana skarbonka stała na zielonym suknie na biurku, przy którym siedział sekretarz, wdzięcznie uśmiechający się przy każdym nowym dodatku do ukrytego wewnątrz skarbonki zbioru miedziaków.

Tego wieczora damy zaczęły od wypicia przerażającej niemal ilości herbaty, ku wielkiemu oburzeniu pana Wellera, który nie zwracając uwagi na znaki Sama, wodził dokoła oczami pełnymi zdziwienia i pogardy.

— Sammy — szepnął do syna — jeżeli niektórym z tych bab nie trzeba będzie robić operacji jako dotkniętym puchliną wodną, to nie jestem twoim ojcem, i basta! Widzisz tę starą babę naprzeciw mnie? Ona utopi się w herbacie.

— Czy nie możesz być cicho? — szepnął Sam.

— Sammy — rzekł znów Weller po chwili, z wyrazem głębokiego wzruszenia — uważaj, co ci powiem, mój chłopcze; jeżeli ten sekretarz jeszcze przez pięć minut będzie tak żarł grzanki i zapijał je gorącą wodą, to niezawodnie pęknie.

— Cóż ci to szkodzi, jeżeli mu się tak podoba? To do nas nie należy — rzekł Sam.

— Jeżeli tak potrwa dłużej — zaczął znów Weller cichym głosem — czuję, iż mój obowiązek, jako człowieka i chrześcijanina, każe mi wstać i powiedzieć parę słów prezydentowi. Tam, na trzecim taborecie, siedzi młoda kobieta, która wypila już piętnaście filiżanek; w oczach rozdyma się.

Nie ma żadnej wątpliwości, że Weller obróciłby w czyn swe życzliwe zamiary, gdyby wielki szmer stukających filiżanek nie oznajmił, że herbata skończona. Po wyniesieniu przyborów i ustawieniu stołu z zielonym sukniem na środku sali posiedzenie zagał bardzo żywy, mały, łysy człowiek w aksamitnych spodniach. Szybko wszedł po stopniach estrady z narażeniem swych cienkich nóżek i przemówił w ten sposób:

— Panie i panowie! Proponuję na przewodniczącego naszego zacnego brata, pana Antoniego Humma.

Na tę propozycję damy zaczęły machać całą kolekcją pięknych chustek, a niespokojny mały człowieczek dosłownie podniósł do góry pana Humma, ująwszy go za barki i

wrzuciwszy w głąb mahoniowego fotela, który ongiś należał do tego rodzaju mebli. Powiewanie chustkami powtórzyło się i pan Humm, który miał twarz bladą i wiecznie spotniałą, powitawszy uprzejmie towarzystwo, z powagą zajął swe miejsce. Następnie mały człowieczek wezwał wszystkich do milczenia; pan Humm zaś powiedział, że za przyzwoleniem braci i siostr sekcji Brick Lane, w tej chwili obecnych, sekretarz tejże sekcji Brick Lane odczyta sprawozdanie. Propozycję tę przyjęto jednogłośnie znów operacją z chustkami.

Gdy sekretarz kichnął w sposób bardzo znaczący, a towarzystwo odchrząknęło, jak to zawsze bywa, gdy ma nastąpić coś ważnego, rozpoczęto czytanie następującego dokumentu:

SPRAWOZDANIE KOMITETU SEKCJI BRICK LANE, ODDZIAŁU EBENEZER WIELKIEGO TOWARZYSTWA WSTRZEMIEŻLIWOŚCI

Komitet prowadził dalej swe prace w ciągu ubiegłego miesiąca i ku wielkiej swej radości podaje wam następujące nowe wypadki nawrócenia się:

H. Walker, krawiec, żonaty, mający dwoje dzieci. Gdy był zamożniejszy, przyznaje, iż pijał portera i piwo. Powiada, iż nie może zaręczyć, by przez dwadzieścia lat nie używał przynajmniej dwa razy na tydzień „psiego nosa”. Komitet nasz, zarządziwszy odpowiednie poszukiwania, wykrył, iż napój powyższy składa się z gorącego portera, goździków, jałowcówki i muszkatołowej gałki (w tym miejscu jedna z pań wzdycha i mówi: Tak! Tak!). Obecnie jest bez roboty i bez pieniędzy; sądzi, że winą tego jest porter (Oklaski), albo też okoliczność, iż nie może ruszać prawą ręką. Nie wie tego z pewnością, ale przypuszcza, iż gdyby przez całe życie pił tylko wodę, kolega jego nie ukłułby go zardzewiałą igłą, co spowodowało bezwład ręki (Huczne oklaski). Teraz nie ma nic do picia oprócz wody i nigdy nie czuje się podchmielony (Potężne oklaski).

Betsy Martin, wdowa, ma tylko jedno dziecko i jedno oko; pracuje na dniówkę jako praczka, drugiego oka nigdy nie miała, ale wie, że matka jej piła mocne piwo podwójne, i nie dziwi jej, że z tego powodu jest jednooką (Huczne oklaski). Sądzi, iż prawdopodobnie miałaby dwoje oczu, gdyby sama wstrzymywała się od napojów spirytusowych (Gwałtowne oklaski). Zwykle zarabiała dziennie szylinga i sześć pensów, kwartę portera i szklanekę wódki; ale od czasu jak należy do sekcji Brick Lane, żąda zawsze dziennie trzy szylingi i sześć pensów (interesujący ten fakt przyjęto z największym uznaniem).

Henryk Beller przez wiele lat urządzał obiady dawane przez korporacje. W owym czasie pijał wiele win zagranicznych. Być może, iż nawet zanosił czasem do domu jedną lub dwie butelki. Nie może tego powiedzieć z pewnością, ale sądzi, że jeżeli zaniósł, to niezawodnie wypił to, co się w butelkach znajdowało. Obecnie czuje się podupadły na duchu i melancholijny, noce miewa niespokojne i odczuwa pragnienie. Przyczyną tego jest wino, które miał zwyczaj pijać (Oklaski). Teraz jest bez pracy i nigdy nie tknie nawet zagranicznych win (Huczne oklaski).

Tomasz Burton dostawia kocie mięso lordowi majorowi, szeryfom oraz wielu członkom rady (nazwisko to przyjęto z zapierającym oddech zainteresowaniem). Ma drewnianą nogę. Doszedł do przekonania, że nogi drewniane są kosztowne, ponieważ zbijają się na kamieniach. Kupował nogi drewniane gorszego gatunku, a wieczorami wypijał szklanekę gorącej wody z dżinem. Czasami dwie (Głębokie westchnienia). Szybko

przekonał się, że nogi drewniane gorszego gatunku są przeważnie spróchniałe i stoczone przez robaki. Wierzył głęboko, że wpływa na to dżin (Długie oklaski). Kupuje od pewnego czasu nogi pierwszego gatunku i pija tylko wodę i lekką herbatę. Nowe nogi służą mu dwa razy dłużej niż stare. Przypisuje to zmianie swoich zwyczajów (Triumfalne okrzyki).

Po odczytaniu tego sprawozdania Antoni Humm zaproponował odśpiewanie pieśni. Mając szczególnie na uwadze duchowo–obyczajowy pożytek, brat Mordlin przystosował piękne słowa:

Któż nie zna go, wioślarza wesołego,

do starej, powszechnie znanej melodii siódmego psalmu, mówca prosi więc, by pieśń tę odśpiewano razem z nim (Powszechnie oklaski). Zarazem korzysta ze sposobności, by wypowiedzieć niezachwiane swe przekonanie, iż pieśń tę napisał śp. pan Didin, gdy poznał błędy swego dawnego życia, a uczynił to w tym celu, by przedstawić korzyści płynące ze wstrzemięźliwości. Jest to śpiew wstrzemięźliwości (Huragan oklasków). Piękny ubiór interesującego młodzieńca, zręczność jego ruchów, zazdrości godny stan ducha, dzięki czemu, mówiąc pięknymi słowami poety:

Przepływa próżen wszelkiej troski

— wszystko to dowodzi, że musiał on pić tylko i jedynie wodę (Oklaski). O, cóż to za stan cnotliwej radości! (Entuzjizm). I jaka nagroda spotkała młodzieńca? Niech wszyscy obecni tu młodzi ludzie zapamiętają to sobie:

Wszystkie dziewczęta w łódź jego się tłoczą.

(Powszechnie oklaski, do których przyłączają się także damy). Co za wymowny przykład! Dziewczęta otaczają młodego wioślarza i towarzyszą mu na drodze obowiązku i wstrzemięźliwości. Ale czy były to tylko dziewczęta niższego stanu, które go cieszyły, pocieszały i umacniały? O nie!

*Najpiękniejsze kobiety, jakie w mieście były,
Łódź jego wieńczyły.*

— jak pięknie powiada poeta (Oszałamiające oklaski). — Płeć łagodna — tu przeprosił pewną damę — zgromadziła się dokoła młodego wioślarza i z pogardą odwróciła się od pijących napoje spirytusowe (Oklaski). Bracia z sekcji Brick Lane to są tacy wioślarze (Oklaski i śmiech). Ta sala to ich łódź; ci słuchacze to dziewczęta, a on (pan Antoni Humm), choć niegodny tego — jest pierwszym wioślarzem! (Bezgraniczny entuzjizm).

— Sammy, co on rozumiał przez „płeć łagodną”? — cicho zapytał pan Weller.

— Kobiety — odrzekł Sam tym samym tonem.

— Co do tego, ma słuszość. Musi być bardzo łagodna, kiedy pozwala wodzić się za nos takiemu cymbałowi.

Sarkastyczne spostrzeżenia starego Wellera przerwało rozpoczęcie pieśni, którą pan Humm podawał po dwa wiersze, by ułatwić śpiewanie tym, którzy nie znali słów. Tymczasem mały łysy człowiek znikł, ale gdy tylko śpiew ukończono, powrócił i począł coś szeptać panu Hummowi z bardzo poważną miną.

— Moi przyjaciele — rzekł następnie pan Humm, podnosząc w górę rękę i znakiem tym wzywając do milczenia te damy, które spóźniły się o parę wierszy i jeszcze je kończyły — moi przyjaciele, delegat sekcji Dorking, brat Stiggins, czeka na dole.

Chustki załopotwały w powietrzu jeszcze silniej, gdyż pan Stiggins był bardzo popularny między damami sekcji Brick Lane.

— Sądzę, że może wejść — rzekł pan Humm, spoglądając dokoła. — Bracie Tadger! Pan Stiggins może wejść i spełnić swe posłannictwo.

Mały człowieczek zbiegł bardzo skwapliwie po schodach, a w chwilę potem usłyszano, jak powracał z wielebnym Stigginsem.

— Idzie, Sammy — szepnął pan Weller, którego twarz nabrała purpurowej barwy, tak mu się chciało śmiać.

— Bądźmy cicho — odrzekł Sam. — Ja sam ledwo mogę się powstrzymać. Słyszę, jak się zatacza.

Gdy Sam to mówił, drzwi się otworzyły i ukazał się brat Tadger, a zaraz za nim wielebny Stiggins. Wejście tego drugiego przyjęto oklaskami, tupaniem nóg i machaniem chustkami. Ale na te wszystkie oznaki uznania Stiggins nie odpowiedział ani słowem, poprzestając na wpatrywaniu się z ogłupiałym uśmiechem w świecę gorejącą na stole i równoczesnym kołysaniem się całym ciałem w sposób dziwnie nieregularny i niepewny.

— Czy ci niedobrze, bracie Stiggins? — zapytał po cichu pan Humm.

— Bardzo mi dobrze, mój panie — odrzekł pan Stiggins głosem tak dzikim, na jaki tylko mógł zdobyć się jego z trudnością obracający się język. — Doskonale mi jest, mój panie!

— Tym lepiej, tym lepiej! — odpowiedział pan Humm, cofając się o kilka kroków.

— Spodziewam się, iż nikt z obecnych nie pozwoli sobie powiedzieć, by mi było źle.

— O, nie! Naturalnie — rzekł pan Humm.

— I nie radzę tego mówić, mój panie, nikomu nie radzę! Podczas tej rozmowy zgromadzenie zachowywało najzupełniejsze milczenie, z pewnym niepokojem czekając na rozpoczęcie przerwane posiedzenia.

— Bracie — rzekł pan Humm z uprzejmym uśmiechem — czy chcesz przemówić do zgromadzenia?

— Nie chcę! — odparł pan Stiggins.

Zgromadzenie podniosło oczy ku niebu i szmer zdziwienia przeleciał po sali.

— Mój panie — zaczął pan Stiggins, rozpinając surdut i mówiąc bardzo głośno — jestem zdania, iż zgromadzenie to spiło się haniebnie. Bracie Tadger! — mówił dalej ze wzrastającą gwałtownością, zwracając się nagle do лыsego człowieka — jesteś pijany jak bela!

To mówiąc pan Stiggins, w chwalebny zamiarze zachęcenia zgromadzenia do wstrzeźliwości i wyłączenia z niego wszelkich niegodnych osób, uderzył pięścią w sam nos brata Tadgera tak trafnie, iż mały sekretarz znikł w mgnieniu oka, zlatując głową naprzód ze schodów wiodących na estradę.

Oratorska ta scena wywołała rozdzierający krzyk kobiet, które tłumnie rzuciły się ku swemu faworytowi, i otoczyły go, by osłonić przed niebezpieczeństwem. Ten dowód czulego przywiązania omal nie stał się fatalny dla pana Humma, który był bardzo popularny, tyle bowiem pobożnych piękności rzuciło mu się na szyję i tak się go trzymało, że omal nie został uduszony. Większa część świec zgasła i słychać było tylko straszny hałas.

— Teraz, Sammy — rzekł Weller, uważnie zdejmując surdut — idź i sprowadź nocnego stróża.

— A co ty będziesz robił tymczasem?

— O mnie nie troszcz się, Sammy. Zajmę się wyrównaniem małego rachunku z tym Stigginsem...

Nim Sam miał czas powstrzymać go, bohaterski starzec dotarł do miejsca, gdzie stał Stiggins, i zaatakował go z wielką zręcznością.

— Chodźmy, stary — rzekł Sam.

— Występuj, ty drabie — wołał Weller, nie zważając na słowa syna i bez dalszej przemowy zaaplikował wielebnemu Stigginsowi potężne uderzenie w głowę, potem zaczął uwijać się koło niego z lekkością godną podziwu u gentlemana w tym wieku.

Widząc, że perswazje jego są bezskuteczne, Sam mocno nasunął na głowę kapelusz, zarzucił surdut ojca na ramię i potężnie schwyciwszy stangreta za pas, siłą ściągnął go po schodach na ulicę. Ale i tu nawet nie wypuścił ojca i nie dał mu spokoju, aż dopiero gdy znaleźli się na rogu ulicy. Tu doszedł ich krzyk zgromadzonego tłumu, który był świadkiem, jak wielebnego pana Stigginsa prowadzono do dobrze strzeżonej kwatery nocnej. A potem mogli słyszeć krzyk, z jakim członkowie sekcji Brick Lane, wielkiego połączonego towarzystwa wstrzeźliwości Ebenezer, rozbiegli się we wszystkich kierunkach.

Rozdział trzydziesty czwarty **w całości poświęcony dokładnemu a prawdziwemu** **sprawozdaniu z pamiętnej rozprawy sądowej Bardell** **contra Pickwick**

— Chciałbym bardzo wiedzieć, co przewodniczący sędziów przysięgłych jadł dzisiaj na śniadanie — powiedział pamiętnego poranka 14 lutego pan Snodgrass, zaczynając rozmowę.

— Mam nadzieję, że dobrze sobie podjadł — rzekł pan Perker.

— Dlaczego? — zapytał pan Pickwick.

— To rzecz bardzo ważna, nadzwyczajnie ważna, kochany panie. Przysięgli zadowolony i w dobrym humorze to rzecz bardzo dla nas dodatnia. Przysięgli niezadowolony i głodni zawsze przychylają się na stronę skarżącą.

— Ależ na miłość boską — zawołał pan Pickwick wielce zdumiony — dlaczego tak jest?

— Nie wiem — odparł zimno mały plenipotent. — Może, by prędzej wyjść. Gdy przysięgli udadzą się na naradę do przyległego pokoju, a nadchodzi godzina obiadowa, przewodniczący ich wydobywa zegarek i mówi: — Wielki Boże! Panowie! Już piąta za dziesięć. A ja zwykle jadam obiad o piątej. — Ja także — mówią inni, wyjąwszy dwóch, którzy jadają o trzeciej i którym zatem wyjść jeszcze pilniej. Przewodniczący przysięgłych uśmiecha się i chowa zegarek.

— No, panowie — mówi — jakże zawyrokujemy? Kto winien? Skarżący czy oskarżony? Co do mnie, zdaje mi się... ale niech to nie wpływa na panów... ja sędzę, że strona skarżąca ma słuszość. — Wskutek tego dwaj lub trzej przysięgli mówią, że i im tak się wydaje, potem wszystko już idzie jednomyślnie, jak z płatka.

— Już po dziesiątej — mówił dalej pan Perker — pora iść do sądu, kochany panie. Gdy toczy się sprawa o naruszenie przyrzeczenia małżeństwa, sala jest zwykle przepełniona. Dobrze by było wziąć powóz, gdyż inaczej spóźnimy się.

Pan Pickwick zadzwonił. Sprowadzono powóz, do którego wsiedli czterej pickwickczycy i pan Perker. W drugim powozie jechali Sam Weller, dependent pana Perkera, pan Lowten i torba z dokumentami...

— Lowten — rzekł plenipotent do swego dependenta, gdy przybyli na miejsce — umieść przyjaciół pana Pickwicka w ławkach: sam pan Pickwick będzie siedział koło mnie. Tędy, kochany panie.

To mówiąc pan Perker schwycił pana Pickwicka za rękaw i poprowadził go ku niskiej ławce, tuż pod pulpitem królewskiego prokuratora, którą zrobiono ku wygodzie plenipotentów, by mogli adwokatom szeptać do ucha potrzebne szczegóły jeszcze w czasie rozprawy. Dla szerokich mas widzów są oni tu niewidoczni, ponieważ ławka ta jest niższa niż ławki dla publiczności i obrońców. Do tej pierwszej zwracają się więc plecami, do sędziów zaś twarzą.

— To zapewne trybuna świadków? — rzekł pan Pickwick, wskazując na lewo pewnego rodzaju katedrę otoczoną mosiężną balustradą.

— Tak jest, kochany panie — odpowiedział pan Perker, wyjmując papiery z torby, którą mu przyniósł Lowten.

— A tam — rzekł pan Pickwick, wskazując na prawo dwie ławki także ogrodzone balustradą — tam siedzą zapewne przysięgli?

— Tak, zgodł pan, kochany panie — odparł Perker, pukając w wieko tabakierki. Poinformowany w ten sposób pan Pickwick z wielkim niepokojem powiódł wzrokiem po sali.

Na galerii zebrał się już tłum widzów, a na ławkach adwokatów cała kolekcja panów w perukach, osób wyróżniających się wielką różnorodnością nosów i bokobrodów, z czego tak słynie angielski stan adwokacki. Pomędzy tymi gentlemanami ci, którzy mieli teczki, trzymali je jak można najwidoczniej i od czasu do czasu pocierali sobie nimi podbródki, by sprawić na widzach tym większe wrażenie. Nie mający tek trzymali pod pachą wielkie tomy w ósemce, oprawne w półskórek, a znane pod techniczną nazwą „cielęca skórka prawnicza”. Inni, nie mający ani tek, ani książek, trzymali ręce w kieszeniach i spoglądali dokoła tak mądrze, jak tylko na to stać ich było, gdy jeszcze inni z ogromnym pośpiechem i niesłychanym poczuciem swej ważności biegali tam i z powrotem, zadowoleni, że budzą tym podziw i zdumienie niewtajemniczonych przybyszów. Wszyscy, ku wielkiemu zdziwieniu pana Pickwicka, podzieleni byli na małe grupy i rozmawiali o nowinach z największym spokojem, jak gdyby sądy ich wcale nie obchodziły.

Uklon pana Phunký’ego, gdy ten zajmował wyznaczone mu przez królewskiego prokuratora miejsce, wyrwał pana Pickwicka z zadumy. Zaledwie filozof mu się odklonił, wszedł pan Snubbin ze swym sekretarzem, panem Mallardem, który postawił przed nim ogromną czerwoną torbę, uściśnął rękę pana Perkera i oddalił się. Następnie weszło jeszcze kilku adwokatów, a pomiędzy nimi jeden z zaczerwienionym nosem przyjaźnie kiwnął głową panu Snubbinowi i powiedział, że ranek jest ładny.

— Kto jest ten jegomość, który witał się z naszym adwokatem i powiedział mu, że ranek jest ładny? — zapytał cicho pan Pickwick swego plenipotentą.

— Pan Buzfuz, adwokat naszej przeciwniczki. A ten gentleman stojący za nim to pan Skimpin, jego pomocnik — odparł Perker.

Pan Pickwick, przejęty oburzeniem na widok takiej niegodziwości, już miał zapytać, jak pan Buzfuz, adwokat przeciwnej strony, ośmiela się mówić jego własnemu adwokatowi, że poranek jest ładny, gdy przerwało mu głośnie wołanie: — Uciszcie się! — po czym bezzwłocznie wszyscy adwokaci powstali. Pan Pickwick odwrócił się i ujrzał wchodzących sędziów.

Pan sędzia Stareleigh, człowiek szczególnie krótki i tak otyły, iż zdawało się, że cały ześrodkował się w twarzy i kamizelce, powitawszy adwokatów, złożył małe swe nóżki pod stołem, a swój trójgraniasty kapelusz na stole. Gdy to zrobił, widać było tylko dwoje oczu, szeroką szkarłatną twarz i blisko połowę bardzo komicznej peruki.

Skoro tylko sędzia zasiadł, woźny stojący przy stole krzyknął tonem komendy: — Uciszcie się! — drugi woźny na galerii powtórzył natychmiast: — Uciszcie się! — tonem cholerycznym; a trzech czy czterech inni woźni krzyknęli: — Uciszcie się! — z wielkim oburzeniem. Następnie gentleman cały ubrany czerwono usiadł trochę niżej niż sędzia i począł czytać listę przysięgłych. Po długim hałasie przekonano się, iż było obecnych tylko dziesięciu przysięgłych specjalnych. Wskutek tego pan Buzfuz zażądał, by liczbę ich dokompletować przez *tales quales*, a gentleman w czarnym ubraniu o władnął bezzwłocznie jednym kupcem korzennym i jednym aptekarzem jako członkami ławy przysięgłych.

— Proszę odpowiedzieć, gdy wywołam nazwiska panów, abym mógł ich zaprzysiąc — rzekł czarno ubrany jegomość.

— Ryszard Upwitch!

— Jestem — zawołał kupiec korzenny.
— Tomasz Groffin!
— Jestem — odparł aptekarz.
— Weźcie Biblię do rąk, moi panowie. Przysięgamy uczciwie i według sumienia.
— Bardzo przepraszam wysoki sąd — odezwał się aptekarz, mężczyzna słuszny, chudy i żółty — ale mam nadzieję, iż wysoki sąd uwolni mnie od zasiadania.
— A dlaczegóż to? — zapytał sędzia Stareleigh.
— Nie mam pomocnika, milordzie — odparł aptekarz.
— To nic nie pomoże. Pan powinien mieć pomocnika.
— Moje środki nie pozwalają na to.
— Pan powinien mieć środki — zawołał sędzia czerwieniąc się, gdyż temperament jego nie znoślił sprzeciwu.
— Wiem, że powinienem mieć, i miałbym, gdyby mi dobrze szło, milordzie, ale tak nie jest.
— Niech ten gentleman złoży przysięgę — rzekł sędzia stanowczo.
— Bardzo dobrze, milordzie — odpowiedział aptekarz — ale nie moją będzie winą, gdy nastąpi jakie nieszczęście.

I przysiągł. Następnie zaś siadając, najspokojniej powiedział:

— Chciałbym nadmienić, że w sklepie mam tylko chłopca, nawet bardzo dobrego chłopca, który jednak zupełnie nie zna się na lekarstwach: nie może nawet rozróżnić soli glauberskiej, kwasu pruskiego i syropu z ipekakuany od laudanum. — Po tej przemowie aptekarz usiadł w wygodnej pozycji i przybrał zadowoloną minę, jakby był na wszystko przygotowany.

Pan Pickwick spoglądał na aptekarza z największym przerażeniem, gdy na sali zrobiło się pewne poruszenie. Pani Bardell, podtrzymywana przez panią Cluppins, została wprowadzona i usadowiona w stanie bliskim omdlenia na drugim końcu ławki zajmowanej przez pana Pickwicka. Pan Dodson podał jej parasol niepospolitej wielkości, a pan Fogg parę rękawiczek, po czym obaj ci panowie ułożyli sobie twarze w sposób niesłychanie współczujący i melancholijny. Za nimi weszła pani Sanders, prowadząc młodego Bardella. Na widok syna czuła matka zadrżała, potem ucałowała go namiętnie, wreszcie wpadłszy w stan osłupienia zapytała swych przyjaciół, gdzie się znajduje. W odpowiedzi na to panie Cluppins i Sanders odwróciły się i poczęły płakać, gdy panowie Dodson i Fogg ze swej strony błagali je, by się uspokoiły. Pan Buzfuz wytarł sobie czoło chustką i rzucił na przysięgłych wzrok, jakby odwoływał się do ich najlepszych uczuć. Sędzia był wyraźnie wzruszony, a wielu widzów poczęło chrząkać, by ukryć swe rozczulenie.

— Bardzo dobry pomysł — szepnął Perker do pana Pickwicka. — O! Dodson i Fogg to zręczni ludzie. To scena niezwykle efektowna, kochany panie, bardzo efektowna.

W czasie gdy pan Perker mówił, pani Bardell przychodziła powoli do siebie, a pani Cluppins, starannie opatrzwszy guziki i pętelki młodego Bardella, postawiła go przed matką, lokując go tak ostentacyjnie, by obudzić litość i współczucie zarówno sędziego, jak przysięgłych. Nie stało się to bez pewnej opozycji ze strony młodego gentlemana, połączonej z mnóstwem łez, gdyż latorośl rodziny Bardellów przeczuwała nieśmiało, iż to wystawienie go przed sędziami jest tylko formalnym prologiem do niedalekiej jego egzekucji, a przynajmniej do zesłania karnego za morze na całe życie doczesne.

— Bardell i Pickwick! — zawołał czarno ubrany gentleman, wywołując sprawę, która była pierwsza na liście.

- Milordzie — rzekł pan Buzfuz — ja występuję w imieniu skarżącej.
- Kto jest pańskim pomocnikiem? — zapytał sędzia. Pan Skimpin skłonił się na znak, że on nim jest.
- Ja, milordzie, występuję w imieniu oskarżonego — rzekł pan Snubbin.
- Czy ma pan kogo do pomocy? — zapytał sędzia.
- Pana Phunky’ego, milordzie.
- Panowie Buzfuz i Skimpin w imieniu skarżącej — rzekł sędzia, zapisując nazwiska.
- W imieniu oskarżonego panowie Snubbin i Monkey.
- Przepraszam, milordzie: Phunky.
- Bardzo dobrze — odparł sędzia. — Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

Tu pan Phunky skłonił się i uśmiechnął, a sędzia odpowiedział mu tym samym; następnie pan Phunky poczerwieniał, usiłując przybrać minę człowieka, który nie wie, iż oczy wszystkich są zwrócone na niego: rzecz, która dotąd nikomu się nie udała i zapewne się nie uda.

— Zaczynamy — rzekł sędzia.

Woźni znowu krzyknęli: — Uciszcie się! — i pan Skimpin streścił sprawę, co zresztą niewiele objaśniło słuchaczy, gdyż ważniejsze szczegóły adwokat zachował dla siebie — i po trzech minutach usiadł, pozostawiając sędziów przysięgłych na tym samym wysokim stopniu mądrości, na którym znajdowali się przedtem.

Wtenczas pan Buzfuz wstał i z całą godnością, jakiej wymagała natura procesu, poszeptał z panami Dodsonem i Foggiem, przywdział tokę, poprawił perukę i zwrócił się do przysięgłych.

Zaczął od oświadczenia, iż nigdy, w całym przebiegu swego zawodu, od pierwszych chwil, gdy się oddał studiom prawniczym, nie przystępował do żadnej sprawy z tak głębokim wzruszeniem i poczuciem tak wielkiej odpowiedzialności, odpowiedzialności, której by nigdy na siebie nie był przyjął, gdyby nie miał przekonania równającego się pewności, iż słuszna sprawa jego klientki, zwiedzionej i obrażonej w najczystszych jej uczuciach, przeważy w umysłach dwunastu inteligentnych, szlachetnych i wspaniałomyślnych gentlemanów, których widzi przed sobą.

Wszystkie mowy adwokackie rozpoczynają się zawsze takimi oświadczeniami, ponieważ pochlebiają one przysięgłym, dając im do zrozumienia, iż są ludźmi, których trudno oszukać. I tym razem skutek nie dał na siebie czekać: wielu przysięgłych poczęło natychmiast robić obszerne notatki.

— Panowie dowiedzieliście się już od mego uczonego przyjaciela — mówił dalej pan Buzfuz, chociaż dobrze wiedział, iż panowie niczego się od jego uczonego przyjaciela nie dowiedzieli — dowiedzieliście się od mego uczonego przyjaciela, iż jest to sprawa o naruszenie obietnicy małżeństwa, w której żądamy odszkodowania za stracone korzyści 1500 funtów szterlingów; ale nie dowiedzieliście się od mego uczonego przyjaciela, ponieważ nie leżało to w atrybucjach mego uczonego przyjaciela, o faktach i okolicznościach towarzyszących tej sprawie. Te fakty i okoliczności usłyszycie ode mnie, fakty stwierdzone przez dwie damy godne zaufania, które przedstawię wam na tej trybunie.

Tu pan Buzfuz, z wymownym naciskiem na słowie „trybunie”, uderzył majestatycznie pięścią w stół, spoglądając przy tym na Dodsona i Fogga, którzy wyraziście okazali swe uwielbienie dla adwokata i oburzenie dla obrońcy strony przeciwnej.

— Oskarżycielka — mówił dalej pan Buzfuz głosem łagodnym i melancholijnym — oskarżycielka jest wdową. Tak jest, panowie, wdową. Śp. Bardell, zaszczytany przez

długie lata szacunkiem i zaufaniem swego monarchy, jako jeden z dozorujących jego królewskie dochody, odszedł cicho i prawie niepostrzeżenie z tego świata, szukając w innym spokoju i wypoczynku, których komora celna nigdy nie daje.

Przy tym poetycznym opisie zejścia pana Bardella (któremu kuflem rozwalono głowę podczas bójki w szynku) głos uczonego adwokata zadrżał i ucichł na chwilę. Potem obrońca zaczął znów z wielkim wzruszeniem:

— Na jakiś czas przed śmiercią upamiętnił on podobiznę swoją w małym chłopczyku. Z tym dziecięciem, jedynym dowodem miłości zmarłego urzędnika, pani Bardell ukryła się przed światem, szukając spokoju przy ulicy Goswell. Tu umieściła w oknie swego pokoju kartkę z napisem zawierającym następujące wyrazy: „Kawalerskie mieszkanie z meblami do wynajęcia. Wiadomość na miejscu”.

Tu pan Buzfuz zatrzymał się, a tymczasem wielu przysięgłych zanotowało tekst tego dokumentu.

— Czy nie było daty na tym ogłoszeniu? — zapytał jeden z przysięgłych.

— Nie, panie, daty nie było — odrzekł adwokat — ale jestem upoważniony do oświadczenia, iż napis ten umieszczony był w oknie oskarżycielki równo przed trzema laty. Zwracam uwagę panów przysięgłych na treść tego dokumentu: „Kawalerskie mieszkanie z meblami do wynajęcia”. Panowie, opinia, jaką sobie pani Bardell wyrobiła o innej płci, była wytworem nieocenionych zalet małżonka, którego utraciła. Oskarżycielka nie miała obawy, nie miała nieufności, nie miała podejrzeń. Cała przepiękna była ufnością. Pan Bardell — mówiła sobie wdowa — pan Bardell był także kiedyś kawalerem; więc u kawalera będę szukać pociechy, podpory, opieki. W kawalerze zawsze widzieć będę mogła coś, co mi przypominać będzie pana Bardella w chwilach, gdy pozyskał moje młode i dziewicze uczucia; odnajmę więc pokój kawalerowi. — Ożywiona tymi pięknymi i czystymi względami (jednymi z najpiękniejszych, na jakie stać naszą ułomną naturę, panowie), samotna i znękana wdowa osuszyła łzy, umeblowała pierwsze piętro, przycisnęła do swego macierzyńskiego łona niewinne dziecię i wywiesiła w oknie znany już wam napis. Czy długo tam wisiał? Nie. Wąż już czuwał, lont był już zapalony, mina gotowa. Napis zaledwie trzy dni był w oknie... tylko trzy dni, panowie, a już istota, chodząca na dwóch nogach i z powierzchowności podobna do człowieka, a nie do potwora, zapukała do drzwi pani Bardell. Zgłosiła się, wynajęła mieszkanie i przeniosła się do niego nazajutrz. Istotą tą był Pickwick; oskarżony Pickwick.

Pan Buzfuz mówił z takim zapalem, że twarz jego stała się karmazynowa. W tym miejscu zatrzymał się, by odetchnąć. Cisza obudziła sędziego Stareleigha, który bezzwłocznie zaczął coś pisać nieumoczonym piórem, przybrawszy minę nadzwyczaj poważną, aby dać przysięgłym do zrozumienia, iż nierównie głębiej myśli, gdy ma oczy zamknięte.

Pan Buzfuz mówił dalej:

— Niewiele mam do powiedzenia o tym człowieku. Osoba to aż nazbyt mało ponętna, a ja tak samo jak i wy, panowie, nie uważam za przyjemne, gdy przychodzi mi patrzeć na egoizm i systematyczną przewrotność.

W tej chwili pan Pickwick, który od pewnego czasu spokojnie robił sobie notatki, zerwał się gwałtownie, jak gdyby w umyśle jego nagle powstało śmiałe postanowienie zbić adwokata Buzfuzę w obecności całego zgromadzenia prześwieatnych sędziów. Ale ostrzegawczy gest pana Perkera powstrzymał go od tego, filozof słuchał więc dalej wywodów uczonego pana z oburzeniem, które stanowiło najzupełniejszy kontrast w porównaniu z twarzami pań Cluppins i Sanders promieniejącymi podziwem.

— Powiedziałem: systematyczną przewrotność, panowie — mówił dalej adwokat spoglądając na pana Pickwicka i zwracając się wprost ku niemu — a kiedy mówię: systematyczną przewrotność, to pozwólcie mi, panowie, oświadczyć oskarżonemu, jeżeli, jak mi powiedziano, tutaj się znajduje, że postąpiłby sobie nierównie właściwiej, nierównie przyzwoiciej, nierównie rozsądniej i mądrzej, gdyby się był powstrzymał od zjawienia się w tym miejscu. Pozwólcie mi uprzedzić go, panowie, że jeżeli pozwoli sobie na jakiegokolwiek oznaki niezadowolenia w tym oto miejscu, które zresztą na nic mu się nie przydadzą, to zażądacie od niego ścisłego wytłumaczenia się; a przy tym pozwólcie, panowie, powiedzieć mu, jak to mu powtórzy sam sędzia, iż adwokat spełniający obowiązek wobec swego klienta nigdy nie pozwoli sobie ani nastraszyć, ani stropić, ani zmusić do milczenia i że wszelkie usiłowania w tym kierunku spadną na głowę sprawcy, czy będzie nim oskarżyciel, czy skarżący, czy nazwisko jego będzie Pickwick, czy Noakes, czy Stoakes, czy Stiles, czy Brown, czy Thompson.

Ta mała dygresja od głównego przedmiotu wywołała pożądany skutek, gdyż zwróciła oczy wszystkich na pana Pickwicka. Pan Buzfuz, zstąpiwszy nieco z moralnych wyżyn, na które się był wygramolił, mówił dalej bardziej praktycznie:

— Dowiodę wam, panowie, że w ciągu dwóch lat pan Pickwick pozostawał stale i bez przerwy w domu pani Bardell; dowiodę, iż przez cały ten czas pani Bardell usługiwała mu, zajmowała się jego potrzebami, przyrządzała mu jedzenie, oddawała jego bieliznę praczce, odbierała ją, naprawiała, słowem — posiadała całe zaufanie swego lokatora. Dowiodę, iż niejednokrotnie dawał on jej małemu synowi po pół pensa, a nawet w pewnych razach po sześć pensów w jednej monecie; dowiodę także świadectwami, których mój uczony przeciwnik nie zdoła unieważnić, dowiodę, powtarzam, iż nawet raz głąskał chłopca po głowie i zapytawszy, ile wygrał w „cetno czy lichy”, zadał mu następane pytanie wielkiej doniosłości: — Czy byłbyś zadowolony, gdybyś znowu miał ojca? — Prócz tego dowiodę wam, panowie, że przed rokiem blisko Pickwick począł nagle wydalać się z domu na dłuższy czas, jak gdyby zamierzał stopniowo zerwać z moją klientką; ale wykażę wam także, iż w epoce tej postanowienie jego nie było jeszcze stanowcze, czy to dlatego, że dobre jego uczucia wzięły górę, jeżeli w ogóle ma dobre uczucia, czy też dlatego, że wdzięki i przymioty mojej klientki zdołały przezwyciężyć w nim nieludzkie zamiary, gdyż dowiodę wam, że pewnego razu, powróciwszy z podróży, zrobił jej zupełnie wyraźną propozycję małżeństwa, postarawszy się wszakże przedtem, by nie było świadka tej uroczystej rozmowy. A jednak jestem w stanie dowieść wam zeznaniami trzech jego przyjaciół, którzy muszą zeznać, choćby nie chcieli, iż tego samego poranka zastali go, gdy trzymał oskarżycielkę w objęciach i usiłował złagodzić jej wzruszenie perswazją i pieszczotami.

Ta część mowy uczonego adwokata wywarła na słuchaczach widoczne wrażenie. On zaś wydobywszy ze swej torby dwa szpargały mówił dalej:

— A teraz, panowie, jeszcze jedno słowo. Na szczęście wyszukaliśmy dwa listy, które, jak zeznaje sam oskarżony, od niego pochodzą, a które więcej mówią niż całe tomy. W listach tych odbija się cały charakter tego człowieka. Nie są one pisane językiem szczerym, wymownym, namiętym, nie ma w nich wyrazów pełnych uczucia. Nie: są ostrożne, przebiegłe, ułożone w słowach dwuznacznych, które jednak, na szczęście, są bardziej przekonywające, niż gdyby zawierały wyrażenia najnamiętniejsze, obrazy najpoetyczniejsze. Listy te należy bardzo ostrożnie badać. Pickwick układał je bowiem w ten sposób, by w błąd wprowadzić każdą trzecią osobę, w której by ręce wpadły. Odczytam wam, panowie, pierwszy z tych listów.

„Garraway, południe. Kochana Pani B.! Kotlety z sosem pomidorowym. Z poważaniem Pickwick”. Kotlety! Sprawiedliwe nieba! I sos pomidorowy! Panowie, czy godzi się szczęście i spokój czulej i niczego nieprzeczuwającej kobiety niszczyć w tak podstępny sposób? Następny list nie ma daty, co już samo przez się jest podejrzane. „Kochana Pani B.! Powrócę do domu dopiero jutro rano: dyliżans spóźnił się”. A dalej zwrot godny specjalnej uwagi. „Niech się pani nie martwi wygrzewaczką”. Wygrzewaczką!

Ależ, panowie, któż by się martwił wygrzewaczką? Kiedyż to spokój czy to mężczyzny, czy kobiety zamącony został przez wygrzewaczkę, która sama przez się jest sprzętem domowym niewinnym, pożytecznym i, dodam nawet, wygodnym? Dlaczegoż to panią Bardell tak mocno zaklina, ażeby się nie martwiła wygrzewaczką? Chyba że (i co do tego nie ma wątpliwości) wyraz ten zawiera aluzję do ukrytego ognia, jest przykrywką dla jakiegoś pieszczotliwego wyrażenia lub obietnicy ubranej w formy zagadkowej korespondencji, przewrotnie obmyślanej przez Pickwicka, przygotowującego nikczemną zdradę, której, przyznać muszę, wytłumaczyć nie potrafię. Wreszcie, co znaczą wyrazy: „Dyliżans spóźnił się”? Nie dziwiłoby mnie, gdyby stosowały się do pana Pickwicka, który oczywiście bardzo się spóźnił w całej tej sprawie; jestem jednak przekonany, że szybkość tego spóźnionego dyliżansu niespodziewanie się zwiększy, gdy wy, panowie, posmarujecie mu koła!

W tym miejscu pan Buzfuz zatrzymał się, aby zobaczyć, czy przysięgli śmieją się z tego żartu, ale ponieważ nikt dowcipu nie zrozumiał, wyjąwszy kupca korzennego, który właśnie dziś rano smarował koła swego wozu, więc uczony adwokat uznał za właściwe przejść na zakończenie znów do tonu sentymentalnego.

— Dość tego, panowie; trudno śmiać się, kiedy serce rozdarte, i źle jest żartować, gdy przebudzą się nasze najgłębsze sympatie. Cała przyszłość i wszystkie nadzieje mojej klientki zniszczone. Że dom jej jest pusty, to nie jest żadną figurą retoryczną. Napis „Do wynajęcia” nie wisi na bramie, a jednak nie ma lokatora. Bezzenni mężczyźni, wśród których wybierać by można, często mijają ulicę Goswell, a jednak nie ma zaproszenia, by się zgłosili do środka. Wszystko jest ponure i milczące w mieszkaniu pani Bardell; nie słyhać nawet głosu jej synka, zarzucił bowiem swe gry niewinne, odkąd jego matka płacze i rozpacza. Nie słyszy on już zwykłego wołania swych kolegów: — Tylko bez szachrajstwa! — stracił całą zręczność, jaką rozwijał dawniej w grze w „cetno czy lichy”. A Pickwick, panowie, Pickwick, niegodny burzyciel tej domowej oazy, która niegdyś zieleniła na pustyni ulicy Goswell, Pickwick, który dziś staje przed wami ze swym piekielnym sosem pomidorowym i nikczemną wygrzewaczką. Pickwick dotąd nosi dumnie swe miedziane czoło i drapieżnie spogląda na ruinę, której jest sprawcą. Odszkodowanie za stracone korzyści, wysokie odszkodowanie, panowie, to jedyna kara, na jaką możecie go skazać, jedyna pociecha, jaką możecie sprawić mojej klientce; i w tej to nadziei odwołuje się ona obecnie do rozsądku, wielkoduszności, taktu, sumienia, bezstronności i współczucia sądu przysięgłych, złożonego z tak zacnych obywateli.

W trakcie tego pięknego zwrotu pan Buzfuz usiadł, a sędzia Stareleigh przebudził się. Po minucie adwokat Buzfuz podniósł się z nową mocą i zażądał, by wezwano Elżbietę Cluppins. Najbliższy woźny zawołał: — Elżbieta Tuppins! — drugi, nieco dalej stojący: — Elżbieta Jupkins! — trzeci wreszcie podszedł ku samym drzwiom i krzyknął: — Elżbieta Muffins!

W tym czasie panowie Dodson i Fogg podprowadzili panią Cluppins ku trybunie świadków. Gdy się tam umieszcila na najwyższym stopniu, pani Bardell stanęła przy niej cokolwiek niżej, trzymając w jednej ręce chustkę do nosa i kalosze swej przyjaciółki, w

drugiej szklaną flaszkę mogącą zawierać około pół funta soli angielskich, na wszelki wypadek. Pani Sanders z oczyma zwróconymi ku sędziemu stanęła koło pani Bardell, trzymając w ręku parasol, a wielki palec umieściwszy wprost na zamku swej torebki, by w razie czego natychmiast wydobyć sole trzeźwiące.

— Pani Cluppins — rzekł pan Buzfuz — proszę, niech się pani uspokoi.

Rozumie się, że po tym wezwaniu pani Cluppins poczęła szlochać tak gwałtownie, że kamień by się wzruszył, okazywała przy tym niepokojące symptomy zbliżającego się omdlenia, gdyż, jak później mówiła, nie mogła zapanować nad swym wzruszeniem.

— Czy przypomina pani sobie — zapytał adwokat Buzfuz po kilku wstępnych, mniej ważnych pytaniach — że znajdowała się pani w pokoju na pierwszym piętrze u pani Bardell, pewnego poranka w lipcu, gdy dama ta porządkowała apartament pana Pickwicka?

— Tak jest, milordzie, i wy, panowie przysięgli — odrzekła pani Cluppins.

— Ale pokój pana Pickwicka był, o ile wiem, na pierwszym piętrze i od strony ulicy?

— Tak, panie — odparła pani Cluppins.

— Co pani robiła w drugim pokoju? — zapytał sędzia.

— Panowie! — zawołała pani Cluppins z przejmującym wzruszeniem — nie chcę panów oszukiwać...

— I dobrze pani robi — rzekł sędzia.

— Znajdowałam się tam bez wiedzy pani Bardell. Wysłam z domu z koszykiem, by kupić trzy funty kartofli, co nie kosztuje więcej niż półczwarta pensa, gdy wtem widzę, że drzwi domu pani Bardell są otwarte. Weszłam tedy, by powiedzieć jej dzień dobry, i przeszedłszy najspokojniej schody, dostałam się do drugiego pokoju i... i...

— I zaczęła pani podsłuchiwać? — wtrącił pan Buzfuz.

— Bardzo pana przepraszam — odparła żywo pani Cluppins — brzydzę się wszelkim podsłuchiwaniami. Ale mówiono bardzo głośno i wyrazy przemocą wdierały się do mych uszu.

— Bardzo dobrze! Pani nie podsłuchiwała, ale słyszała. Jeden z tych głosów był głosem pana Pickwicka?

— Tak jest, panie.

Pani Cluppins zeznawszy, iż słowa pana Pickwicka zwrócone były do pani Bardell, opowiedziała następnie bardzo szczegółowo treść rozmowy, którą czytelnicy już znają. Po czym pan Buzfuz uśmiechnął się i usiadł, a przysięgli przybrali miny myślące, które stały się jednak groźne, gdy pan Snubbin oświadczył, iż nie będzie przesłuchiwał świadka powtórnie, gdyż pan Pickwick twierdzi, że zeznania poprzednie w treści swej są prawdziwe.

Po przełamaniu pierwszych lodów pani Cluppins uznała, że nadeszła pora, by wtajemniczyć sąd w jej własne sprawy domowe... Oznajmiła więc sądowi, że obecnie jest matką ośmiorga dzieci i że ma nadzieję za sześć miesięcy dać panu Cluppinsowi dziewiąte. Na nieszczęście po tym oświadczeniu sędzia przerwał jej opowiadanie w sposób bardzo szorstki, a wskutek tej przerwy dostojna ta dama wraz z panią Sanders zostały wyprowadzone z sali w towarzystwie pana Jacksona.

— Nataniel Winkle! — zawołał pan Skimpin.

— Jestem — odpowiedział pan Winkle słabym głosem, po czym wszedł na trybunę i złożywszy przysięgę, skłonił się sędziemu z wielką czcią.

— Niech pan nie zwraca się do mnie — rzekł na to sędzia... — Patrz pan na przysięgłych, Pan Winkle pośpieszył spełnić ten rozkaz i zwrócił się ku miejscu, w którym

według prawdopodobieństwa znajdowali się przysięgli, gdyż w takim stanie ducha po prostu trudno mu było widzieć coś dokładnie.

Wtenczas zaczął go badać pan Skimpin, młodzieniec lat czterdziestu dwóch lub trzech, wielce obiecujący, który naturalnie bardzo chciał zbić z tropu świadka przychylnie usposobionego do strony przeciwnej.

— Zechce pan teraz podać swe nazwisko jego lordowskiej mości i przysięgłym — powiedział, a potem nachylił głowę, by wysłuchać odpowiedzi, rzucając jednocześnie na przysięgłych wzrok, który zdawał się mówić, iż wobec tego, że pan Winkle ma naturalną skłonność do krzywoprzysięstwa, być może, iż poda nazwisko obce, a nie swoje.

— Winkle — odpowiedział świadek.

— A imię chrzestne? — zapytał sędziega gniewnie.

— Nataniel, milordzie.

— Daniel? Innego imienia pan nie ma?

— Powiedziałem Nataniel, milordzie.

— Nataniel czy Daniel Nataniel?

— Nie, milordzie; tylko Nataniel, nie Daniel.

— Dlaczego powiedział pan Daniel?

— Nie powiedziałem tego, milordzie.

— Powiedział pan — odparł sędziega, surowo zmarszczywszy brwi. — Bo dlaczegóż bym napisał Daniel, gdybyś pan tak nie powiedział?

Tego rodzaju argument nie znosił repliki.

— Pan Winkle ma krótką pamięć, milordzie — wtrącił pan Skimpin, powtórnie spoglądając na przysięgłych — ale spodziewam się, iż znajdziemy sposób, by ją odświeżyć.

— Radzę panu być bardziej uważnym — rzekł sędziega do świadka, spoglądając nań groźnie. Pan Winkle skłonił się, usiłując udawać spokój, od którego był bardzo daleki, co właśnie przy wielkim wzruszeniu, w jakim znajdował się, nadawało mu wygląd oszusta złapanego na gorącym uczynku.

— Teraz, panie Winkle — zaczął znowu pan Skimpin — zechce pan słuchać mnie uważnie, przy czym dla pańskiego dobra proszę, byś zechciał mieć w pamięci napomnienie milorda. Czy jest pan bliskim przyjacielem pana Pickwicka, oskarżonego?

— O ile sobie mogę przypomnieć w tej chwili, znam pana Pickwicka prawie od...

— Niech pan nie daje wymijających odpowiedzi. Jest pan przyjacielem pana Pickwicka czy nie?

— Właśnie chciałem powiedzieć...

— Jeżeli nie będzie pan odpowiadał na pytania, to każę pana uwięzić — rzekł sędziega, podnosząc wzrok od swych notat.

— No, mów pan: tak czy nie? — powtórzył pan Skimpin.

— Tak jest, jestem przyjacielem — powiedział wreszcie pan Winkle.

— A! Jest pan! A dlaczego nie chciał pan powiedzieć tego od razu? Może zna pan i oskarżycielkę?

— Nie znam jej, ale widywałem.

— A! Nie znasz pan, ale widywałeś. Niech pan będzie tak dobry wytłumaczyć panom przysięgłym, co pan przez to rozumie.

— Rozumiem, iż nie znam jej bliżej, ale widywałem ją, bywając u pana Pickwicka przy ulicy Goswell.

— Ile razy widział ją pan?

— Ile razy?

— Tak, panie, ile razy? Powtórzę panu to pytanie jeszcze, jeżeli go pan nie zrozumiał.

I uczony gentleman surowo zmarszczywszy brwi, podparł się pod boki i uśmiechnął się do przysięgłych z miną podejrzliwą.

Przy tej kwestii powstała bardzo budująca kontrowersja, jak zwykle w podobnych wypadkach. Naprzód pan Winkle oświadczył, że jest to dla niego zupełnym niepodobieństwem powiedzieć ściśle, ile razy widział panią Bardell. Wtedy zapytano go, czy widział ją dwadzieścia razy, na co odpowiedział: — Pewno, że więcej. — Czy widział sto razy? — Czy może przysiąc, że widział ją więcej niż pięćdziesiąt razy? — Czy nie jest pewny, iż widział ją najmniej siedemdziesiąt pięć razy — i tak dalej. W końcu doprowadzono badanie do tej konkluzji, iż oświadczone panu Winkle'owi, że dobrze zrobi, gdy więcej będzie zwracał uwagi na to, co mówi. Doprowadziwszy w ten sposób świadka do pewnego stopnia nerwowego rozdrażnienia, badano go dalej, jak następuje:

— Czy przypomina pan sobie, że odwiedził pan oskarżonego Pickwicka pewnego poranka w lipcu?

— Tak jest, przypominam sobie.

— Czy towarzyszył panu wtedy niejaki pan Tupman oraz pan Snodgrass?

— Tak jest, panie.

— Czy panowie ci znajdują się tu?

— Znajdują się tutaj — odrzekł pan Winkle, z niepokojem spoglądając ku miejscu, gdzie siedzieli jego przyjaciele.

— Proszę pana, niech się pan zajmuje mną, a nie swymi przyjaciółmi — rzekł pan Skimpin, rzucając wyraziste spojrzenie na przysięgłych. — Powinni oni złożyć swe zeznania bez poprzedniego porozumienia się z panem, jeżeli to się już nie stało (nowe spojrzenie na przysięgłych). Teraz proszę powiedzieć przysięgłym, coś pan zobaczył wszedłszy do pokoju oskarżonego w dniu, o którym mowa? No, niech pan mówi, prędzej czy później musimy się o tym dowiedzieć.

— Oskarżony, pan Pickwick, trzymał oskarżycielkę w objęciach, objąwszy ją za talię — odrzekł pan Winkle z zupełnie naturalnym wahaniem — oskarżycielka, zdawało się, była omdlała.

— Czy słyszał pan, by oskarżony co mówił?

— Słyszałem, jak nazywał panią Bardell kochaną panią i wzywał, by się uspokoiła, przedstawiając, co by sobie ktoś pomyślał, gdyby ich zastano w takiej sytuacji.

— Teraz, panie Winkle, zadam panu jedno tylko pytanie, prosząc, byś pan pamiętał o napomnieniach milorda. Czy może pan przysiąc, iż pan Pickwick, oskarżony, nie powiedział przy tej sposobności: — Moja pani Bardell, pani jest kochana kobieta, uspokój się pani, jakoś to pójdzie — lub coś podobnego?

— Ja... ja to nie tak rozumiałem — odrzekł pan Winkle zdziwiony genialnym wyjaśnieniem niewielu słów, które powiedział: — Byłem na schodach i nie mogłem dokładnie słyszeć. Wrażenie, jakie mi pozostało, było...

— Ech! — przerwał pan Skimpin — przysięgli nie potrzebują pańskich wrażeń, które, obawiam się, nie mogłyby zadowolić nikogo uczciwego i szczerego. Był pan na schodach i nie słyszał wszystkiego dokładnie; ale nie może pan przysiąc, by pan Pickwick nie użył wyrażen, które przytoczyłem? Czy dobrze zrozumiałem pana?

— Nie, nie mógłbym przysiąc — odrzekł pan Winkle.

Pan Skimpin usiadł z miną triumfującą.

Do tej pory sprawa pana Pickwicka nie szła tak szczęśliwie, by mogła wytrzymać ciężar nowych zarzutów; ponieważ jednak chciano ją ukazać w możliwie najlepszym świetle, więc pan Phuncky podniósł się, by przy powtórnym przesłuchaniu wydobyć choć cokolwiek ważnego z pana Winkle'a. Zobaczymy zaraz, czy rzeczywiście mu się to udało.

— Sądzę, panie Winkle — powiedział — iż pan Pickwick nie jest już młodym człowiekiem.

— O, nie! — odrzekł pan Winkle — mógłby być moim ojcem.

— Powiedział pan memu uczonemu przyjacielowi, że zna pana Pickwicka od dawna. Czy miał pan kiedy powody, by przypuszczać, iż ma on zamiar ożenić się?

— O, nie! Nigdy! — odpowiedział pan Winkle z takim zapałem, że pan Phuncky powinien by był co najprędzej ściągnąć go z trybuny świadków.

Praktyczni juryści utrzymują, iż są dwa rodzaje świadków szczególnie niebezpiecznych: jedni, którzy wszystkiego wypierają się, drudzy, którzy mają za wiele dobrej woli. Przeznaczeniem pana Winkle'a było połączyć oba te rodzaje.

— Idźmy dalej — ciągnął pan Phuncky z miną zadowoloną i pełną ufności. — Czy dostrzegł pan kiedy w postępowaniu pana Pickwicka z inną płcią cokolwiek takiego, co by mogło pana naprowadzić na domysł, iż pan Pickwick nie był bardzo od tego, by się rzec życia kawalerskiego?

— Nie, nigdy!

— Czy w stosunkach z damami postępowanie jego nie było zawsze postępowaniem człowieka, który doszedł już do pewnego wieku, poprzestaje na właściwych sobie zajęciach i rozrywkach, a kobiety traktuje zawsze jak ojciec córki?

— To nie ulega żadnej wątpliwości — odpowiedział pan Winkle szczerze. — To jest... tak... niezawodnie...

— Czy nie dostrzegł pan w postępowaniu jego z panią Bardell lub z jaką inną kobietą czegokolwiek choćby najmniej podejrzanego? — dodał pan Phuncky zamierzając usiąść, gdyż pan Snubbin mrugnął na niego.

— Ale n... n... nie — odrzekł pan Winkle — z wyjątkiem... pewnego tylko zdarzenia... które, jestem tego pewny... łatwo da się wytłumaczyć.

To niefortunne wyznanie nigdy nie wyrwałoby się świadkowi, gdyby nieszczęśliwy pan Phuncky usiadł od razu, gdy pan Snubbin dał mu znak, lub gdyby pan Buzfuz powstrzymał był w samym początku badanie. Ale pan Buzfuz nie myślał uczynić tego, gdyż dostrzegł wzruszenie pana Winkle'a i zręcznie wywnioskował, że klientka jego może na tym skorzystać. W chwili gdy te wyrazy padły z ust świadka, pan Phuncky usiadł, a pan Snubbin pośpieszył, być może zbyt skwapliwie, wezwać pana Winkle'a, by opuścił trybunę. Pan Winkle gotował się do tego z wielkim zadowoleniem, gdy powstrzymał go pan Buzfuz.

— Zaczekaj no pan, panie Winkle — zawołał. Potem, zwracając się do sędziego, powiedział:

— Niech wasza lordowska mość raczy zapytać świadka, w jakich okolicznościach ten gentleman, mogący być jego ojcem, postąpił sobie dwuznacznie z kobietą?

— Panie — rzekł sędzia do nieszczęśliwego i zrozpaczonego pana Winkle'a — czy słyszał pan pytanie uczonego adwokata? Opisz pan wypadek, o którym nadmienileś!

— Milordzie — rzekł pan Winkle głosem drżącym — chciałbym... chciałbym co do tego zachować milczenie.

— Być może — odparł sędzia — ale mówić trzeba. Wśród powszechnego głębokiego milczenia pan Winkle wybełkotał, że jedynym wątpliwym postępkim pana Pickwicka

było to, że znaleziono go o północy w sypialni pewnej damy, co się zakończyło, jak mniemał pan Winkle, zerwaniem małżeństwa projektowanego przez rzeczoną damę i co stało się powodem, jak dobrze wiedział, przymusowego stawienia się pickwickczyków przed Jerzym Nupkinsem, burmistrzem i sędzią pokoju w Ipswich.

— Może pan opuścić trybunę — rzekł wtenczas pan Snubbin. Pan Winkle opuścił też ją bezzwłocznie i pobiegł jak szalony do hotelu, gdzie po kilku godzinach odnalazł go garson, z głową pomiędzy poduszkami sofy, jęczącego w sposób rozdzierający serce.

Następnie Tracy Tupman i August Snodgrass kolejno byli wzywani na trybunę. Obaj potwierdzili zeznania swego nieszczęśliwego przyjaciela i każdego doprowadzono przebiegłymi pytaniami prawie do rozpaczy.

W dalszym ciągu powołano Zuzannę Sanders; była badana przez pana Buzfuzę, a następnie przez pana Snubbina. Ta zawsze wierzyła i powtarzała, że pan Pickwick poślubi panią Bardell. Wiedziała, że przed wypadkami lipcowymi przyszłe małżeństwo pana Pickwicka z panią Bardell było zwykłym przedmiotem rozmów sąsiadów. Słyszała o tym od pani Mudberry, przekupki, i pani Bunkin, praczki. Słyszała, jak Pickwick zapytywał małego chłopca, czy chciałby mieć drugiego ojca. Nie wie, czy pani Bardell знаła się z piekarzem z sąsiedztwa, ale wie, że piekarz był podówczas kawalerem, a teraz ożenił się. Nie może przysiąc na to, że pani Bardell nie była bardzo zajęta piekarzem, ale sądzi, że piekarz nie bardzo zajęty był panią Bardell, gdyż w takim razie nie ożeniłby się z inną osobą. Sądzi, że pani Bardell zemdląła pewnego poranka w lipcu dlatego, iż pan Pickwick żądał, by wyznaczyła dzień ślubu; wie, że sama zupełnie straciła przytomność, gdy mąż jej, pan Sanders, żądał, by wyznaczyła dzień ślubu, i mniema, iż każda osoba, godna nazwiska damy, robi to samo w podobnych okolicznościach.

Na dalsze pytania sędziego pani Sanders odpowiedziała, że gdy pan Sanders zalecał się do niej, otrzymywała od niego listy miłosne jak zazwyczaj damy, że w czasie konkurów pan Sanders często nazywał ją swoją kaczusią, ale nigdy nie nazywał kotлетem ani sosem pomidorowym. Pan Sanders namiętnie lubi kaczkę; być może, że gdyby lubił kotlety i sos pomidorowy, użyłby tych słów dla wyrażenia swych uczuć.

Po tym kapitalnym zeznaniu pan Buzfuz podniósł się z większą niż przedtem powagą i rzekł donośnym głosem:

— Przywołajcie Samuela Wellera.

Nie potrzeba było wcale przywoływać Samuela Wellera, gdyż Samuel Weller już wchodził lekko na trybunę, gdy tylko usłyszał swe nazwisko. Kapelusz swój postawił na podłodze, ręce oparł o balustradę i z miną wielce uprzejmą a jowialną powiódł okiem po zgromadzeniu.

— Jakie jest nazwisko pana? — zapytał sędzia.

— Sam Weller, milordzie — odrzekł ów gentleman.

— Czy pisze się przez W, czy przez V tylko?

— To zależy od gustu i fantazji piszącego, milordzie. Co do mnie, to przez całe swoje życie dwa czy trzy razy tylko miałem sposobność po temu i wtedy pisałem przez V.

Tu dał się słyszeć na galerii głos:

— Tak, tak, Samiwellu! Tak, tak! Niech milord pisze V.

— Któż to sobie pozwala odzywać się do sądu? — zawołał mały sędzia, podnosząc oczy.

— Woźny!

— Jestem, milordzie.

— Przyprowadź tu natychmiast tego człowieka.

— Słucham, milordzie.

Ale ponieważ woźny nie mógł znaleźć nikogo, więc też nikogo nie przyprowadził. Po wielkim poruszeniu wśród wszystkich obecnych, którzy powstali z miejsc, by zobaczyć winowajcę, wszyscy znów usiedli.

Gdy tylko oburzenie sędziego pozwoliło mu mówić, zwrócił się do świadka i zapytał:

— Wie pan, kto to się odezwał?

— Podejrzewam, czy to czasem nie mój ojciec, milordzie.

— Widzi go pan teraz?

— Nie, nie widzę, milordzie — odrzekł Sam, utkwivszy oczy w żyrandol, którym sala była oświetlona.

— Gdybyś mi mógł go wskazać, poleciłbym, by go natychmiast uwięziono — rzekł sędzia. Sam uklonił się z wielkim uznaniem i zwrócił oczy na pana Buzfuz z niczym nie zamięczonym dobrym humorem.

— Teraz, panie Weller... — zaczął pan Buzfuz.

— Jestem, panie — odrzekł Sam.

— Pan jest, jak sądzę, w służbie u pana Pickwicka, oskarżonego w niniejszej sprawie. Niech pan mówi, panie Weller.

— Dobrze, panie, będę mówił. Jestem w służbie u obecnego tu pana Pickwicka i mogę powiedzieć, że to bardzo dobra służba.

— Niewiele do roboty, a wiele do zrobienia, jak myślę — rzekł adwokat tonem żartobliwym.

— A tak! Niezły zarobek, jak mówił pewien żołnierz, skazany na sto pięćdziesiąt kijów.

— Nic nas nie obchodzi, co mówił żołnierz czy ktokolwiek inny — przerwał sędzia.

— Bardzo dobrze, milordzie. — Pan przypomina sobie — zaczął znowu pan Buzfuz — przypomina pan sobie, że zaszło coś godnego uwagi w dniu, w którym został pan przyjęty do służby przez oskarżonego? No, panie Weller, niech pan mówi!

— Przypominam sobie.

— Więc zechce pan opowiedzieć to przysięgłym.

— Tego samego poranka otrzymałem kompletne ubranie, zupełnie nowe. W owym czasie było to zdarzenie bardzo dla mnie ważne.

Słowa te wywołały ogólny śmiech. Sędzia z gniewem zawołał, podnosząc się nieco:

— Panie! Wzywam pana, byś był ostrożny!

— To samo powiedział mi wtedy pan Pickwick. Toteż jak mogłem najostrożniej obchodziłem się z ubraniami. Doprawdy, milordzie!

Przez długie minuty sędzia surowo wpatrywał się w twarz Sama, ale widząc, że rysy jego są najzupełniej spokojne i pogodne, nie powiedział nic, tylko dał znak adwokatowi, by badał dalej.

— Czy chce pan powiedzieć, panie Weller — zaczął pan Buzfuz uroczyście, zakładając rękę na rękę i na pół zwracając się ku przysięgłym, jak gdyby chciał ich zapewnić, że da sobie radę ze świadkiem — czy chce pan powiedzieć, iż nie widział pan oskarżycielki, omdlałej na ręku oskarżonego, jak to zeznali inni świadkowie?

— Nie, panie, nie widziałem. Byłem na korytarzu aż do chwili, gdy mnie przywołano, a wtedy stara dama już odeszła.

— Teraz uważaj pan, panie Weller — mówił dalej pan Buzfuz, maczając ogromne pióro w kałamarzu, by zastraszyć Sama tym, iż będzie zapisywał jego słowa. — Był pan na korytarzu i nie widział pan niczego. Czy ma pan oczy, panie Weller?

— Mam oczy i właśnie dlatego nie widziałem. Gdyby to były takie mikroskopy powiększające przedmioty sto tysięcy milionów razy, to może bym co dojrzał przez drzwi

i schody; ale ponieważ mam tylko zwykłe oczy, to rozumie pan chyba, że wzrok mój wszystkiego dojrzeć nie może.

Na tę odpowiedź, daną w sposób najprostszy i bez najmniejszego śladu rozdrażnienia, widzowie poczęli chichotać, sędzia uśmiechał się, a pan Buzfuz mocno się skonfundował. Po krótkiej naradzie z Dodsonem i Foggiem uczony adwokat zwrócił się znów do Sama i powiedział, usilnie starając się ukryć swe niezadowolenie:

— Teraz, panie Weller, zadam panu inne pytanie i w innej sprawie.

— Jestem na pańskie usługi! — odrzekł Sam ze szczególną uprzejmością.

— Przypomina pan sobie, żeś był pan u pani Bardell pewnego wieczora w listopadzie?

— O! bardzo dobrze.

— Przypomina pan sobie! — rzekł adwokat — odzyskując spokój. — Wiedziałem, że w każdym razie dojdziemy do czegoś.

— I ja także — odrzekł Sam. Widzowie znów zaśmiali się.

— Dobrze. Przypuszczam, że poszedł pan tam, by pomówić trochę o procesie, co, panie Weller?

Adwokat chytrze uśmiechnął się do przysięgłych.

— Poszedłem tam, by zapłacić czynsz, aleśmy także mówili trochę i o procesie.

— A! Mówiliście! — powtórzył pan Buzfuz z twarzą rozpromienioną, licząc na jakieś ważne odkrycie. — Czy zechce pan powiedzieć nam, co się o tym mówiło?

— Z największą przyjemnością. Po kilku uwagach dwóch szanownych dam, które tu dzisiaj składały swe zeznania, zaczęły one uwielbiać szlachetne postępowanie panów Dodsona i Fogga, tych samych gentlemanów, którzy obecnie siedzą tuż koło pana.

To, rozumie się, zwróciło powszechną uwagę na panów Dodsona i Fogga, którzy przybrali możliwie najcnotliwsze miny.

— A! — rzekł pan Buzfuz — więc damy te odzywały się z pochwałami o postępowaniu panów Dodsona i Fogga?

— Tak, panie. Mówiły, że to bardzo wspaniałomyślnie z ich strony, iż podjęli się tego interesu przez spekulację i nic nie żądają za koszta, jeżeli pan Pickwick nie będzie skazany na nie.

Na tę niespodziewaną replikę widzowie wybuchnęli śmiechem, a panowie Dodson i Fogg, mocno poczerwieniawszy, pochylili się do pana Buzfuz i zaczęli mu coś szeptać z wielkim zajęciem.

— Panowie macie zupełną słuszność — odrzekł im adwokat z udanym spokojem. — Niepodobna wydobyć żadnych wyjaśnień od świadka o tak tępym umyśle. Nie będę więc zabierał czasu sądowi zadając inne jeszcze pytania. Może pan odejść, panie Weller.

— Może jeszcze kto z gentlemanów chce mi zadać jakie pytanie? — rzekł Sam, biorąc kapelusz i spoglądając dokoła.

— W każdym razie nie ja, panie Weller. Dziękuję panu — rzekł pan Snubbin, uśmiechając się.

— Może pan odejść — powtórzył pan Buzfuz, niecierpliwie machając ręką.

Wskutek tego Sam odszedł, narobiwszy panom Dodsonowi i Foggowi tyle złego, ile tylko mógł, a o sprawie pana Pickwicka powiedziaławszy jak można najmniej, co sobie z góry postanowił.

— Milordzie — rzekł pan Snubbin — nie mam zamiaru robić jakichś nowych zarzutów, jeżeli może to zaoszczędzić przesłuchania innych świadków, gdy oświadczę, iż pan Pickwick usunął się od interesów i posiada majątek niezależny i znaczny.

— Bardzo dobrze — odrzekł pan Buzfuz.

Natenczas pan Snubbin zwrócił się do przysięgłych i wypalił długą i patetyczną mowę, w której oddał największe pochwały obyczajom i postępowaniu pana Pickwicka. Ale ponieważ czytelnicy nasi niezawodnie wyrobili sobie zdanie o zaletach tego gentlemana nierównie dokładniejsze aniżeli pan Snubbin, nie uznajemy przeto za potrzebne rozwodzić się nad spostrzeżeniami tego uczonego adwokata. Usiłował on udowodnić, że listy pana Pickwicka, przedstawione przez stronę przeciwną, dotyczyły po prostu obiadu i przygotowań w jego mieszkaniu, gdy powróci z wycieczki. Zresztą pan Snubbin mówił, jak mógł najlepiej, na korzyść naszego bohatera i jak to powiadają, zrobił wszystko, co było w jego mocy.

Następnie sędzia Stareleigh streścił sprawę według zwyczajnej formuły. Odczytał przysięgłym mnóstwo notat, mimochodem komentując każde zeznanie. Jeżeli pani Bardell ma słuszość, w takim razie widoczne jest, że pan Pickwick nie ma słuszości. Jeżeli przysięgli są zdania, że zeznania pani Cluppins zasługują na wiarę, to obowiązkiem ich jest uwierzyć im, a jeżeli nie, to nie. Jeżeli uznają, że naruszenie przyrzeczenia małżeństwa nastąpiło rzeczywiście, to powinni skazać pana Pickwicka na odszkodowanie za stracone korzyści w wysokości, jaką uznają za właściwą; ale jeżeli zdaje się im, że naruszenie przyrzeczenia małżeństwa nie nastąpiło, to powinni uwolnić oskarżonego od wszelkich kosztów. Po tej przemowie przysięgli udali się do osobnego pokoju na naradę, a sędzia do swego gabinetu celem pokrzepienia się baraniami kotletami i szklanką sherry.

Upłynął kwadrans niespokojnego oczekiwania. Przysięgli powrócili; wezwano sędziego. Pan Pickwick, poprawiwszy okulary patrzył na przełożonego przysięgłych z bijącym sercem i powstrzymywanym wzruszeniem.

— Gentlemani — zapytał mężczyzna w czarnym ubraniu — czy zgodziliście się na wyrok?

— Zgodziliśmy się — odrzekł przewodniczący przysięgłych.

— Czy wyrokujecie na korzyść oskarżycielki, czy też oskarżonego?

— Na korzyść oskarżycielki.

— Jaką ustanowiliście wysokość wynagrodzenia?

— Siedemset pięćdziesiąt funtów szterlingów.

Pan Pickwick zdjął okulary, starannie je przetrął, włożył do pudełka i wsunął do kieszeni. Następnie złożył również starannie rękawiczki, przy czym pilnie wpatrywał się w przełożonego przysięgłych i machinalnie poszedł za panem Perkerem.

W sąsiedniej sali pan Perker zatrzymał się, by opłacić takse sądową. Tu z panem Pickwickiem połączyli się jego przyjaciele i tu także spotkał filozof panów Dodsona i Fogga zacierających ręce z oznakami żywego zadowolenia.

— No, panie — rzekł pan Pickwick.

— No, panie — rzekł pan Dodson za siebie i swego współnika.

— Panowie wyobrażacie sobie, iż zagarniecie kosztą, czy tak?

Pan Fogg odpowiedział, iż poczytuje to za bardzo prawdopodobne, a pan Dodson uśmiechnąwszy się dodał, że to się zobaczy.

— Mogę panów zapewnić — zawołał z gwałtownością pan Pickwick — iż nie wydobędziecie ze mnie ani jednego pensa, choćbym miał resztę życia przepędzić w więzieniu za długi!

— Oho ho! Namysł się pan jeszcze, nim termin nadejdzie! — rzekł Dodson.

— Chi, chi, chi! — dodał Fogg — zobaczymy!

Niemego z oburzenia pana Pickwicka odprowadzili przyjaciele do powozu zamówionego przez Sama.

Wierny sługa, zamknąwszy drzwiczki, miał już siadać na kozioł, gdy uczuł, że ktoś trąca go w ramię. Odwrócił się i ujrzał przed sobą swego ojca. Twarz starego stangreta była ponura.

Z powagą potrząsnął głową i rzekł tonem wyrzutu:

— Wiedziałem, że tak się stanie, jeżeli w ten sposób poprowadzicie sprawę. O Sammy! Sammy! Dlaczego nie użyliście alibi?...

Rozdział trzydziesty piąty w którym pan Pickwick sądzi, iż najlepiej uczyni, gdy wyjedzie do Bath, co też robi

— Ależ, kochany panie — rzekł mały Perker do pana Pickwicka, gdy przyszedł do niego na drugi dzień rano po wyroku — odłożywszy na bok wszelką irytację, czy na serio nie ma pan zamiaru płacić kosztów procesu?

— Nie zapłacę ani pół pensa — odrzekł pan Pickwick stanowczo — ani pół pensa.

— Niech żyją zasady! — zawołał Sam sprzątający właśnie stół po śniadaniu.

— Sam! — rzekł pan Pickwick. — Bądź tak dobry, idź sobie na dół.

— Idę, panie — odpowiedział Sam, posłuszny temu uprzejmemu wezwaniu.

— Nie, Perker — zaczął znów pan Pickwick bardzo poważnie — moi tu obecni przyjaciele na próżno usiłowali wyperswadować mi to postanowienie. Przeciwnicy moi mogą starać się o uwięzienie mnie, a są dość nickszemni, by uciec się do tego środka. W takim razie ulegnę prawu z najzupełniejszym poddaniem się. Kiedy te łajdaki mogą to zrobić?

— Jeżeli chodzi o odszkodowanie i koszty procesu — odparł Perker — to mogą zażądać egzekucji przy najbliższych sądach przysięgłych, to znaczy najdalej za dwa miesiące, kochany panie.

— Bardzo dobrze. Od dziś aż do tego czasu, mój przyjacielu, nie mówmy nic o tej sprawie. A teraz — ciągnął dalej pan Pickwick, spoglądając po zgromadzonych; z zadowolonym uśmiechem i błyszczącymi oczyma, tak że okulary nie zdołały przytłumić blasku tego uśmiechu — zajmijmy się rozstrzygnięciem pytania: dokąd zwrócimy naszą najbliższą wycieczkę?

Panowie Snodgrass i Tupman zanadto byli przejęci heroizmem swego przyjaciela, by zdobyć się na odpowiedź. Co do pana Winkle'a, to ten nie zapomniał jeszcze wrażenia, jakiego doznał w czasie swoich zeznań w sądzie, by ośmielił się teraz zabrać głos. Więc pan Pickwick czekał na próżno.

— No — powiedział po chwili. — Jeżeli mnie pozostawiacie wybór, to powiem — Bath. Zdaje mi się, iż nikt z nas nie był tam jeszcze.

Rzeczywiście, nikt z nich tam jeszcze nie był. Propozycję gorąco poparł pan Perker sądząc, że bardzo być może, iż nieco rozrywki zbawiennie wpłynie na postanowienie pana Pickwicka i na jego pojęcie o więzieniu za długi. Przyjęto ją więc jednomyślnie, a Sama wyprawiono niezwłocznie „Pod Białego Konia”, by zamówił pięć miejsc w dyliżansie odjeżdżającym nazajutrz o siódmej rano.

Znalazły się jeszcze dwa miejsca wewnątrz i trzy na zewnątrz.

A więc Sam zakupił je wszystkie i wymieniwszy z kasjerem kilka uprzejmości na temat starej półkoronówki, którą tamten wydał mu wreszcie, wrócił „Pod Jerzego i Jastrzębia”, gdzie do samego wieczora pilnie zajmował się pakowaniem ubrania i bielizny tak, żeby zajęły jak najmniej miejsca. Starał się również wynaleźć jakiś taki mechaniczny sposób, by pokrywki trzymały się na pudłach nie mających ani zamków, ani zawiasów.

Następny ranek nie okazał się pomyślny dla podróżników. Był mglisty, ponury, deszcz mżył. Konie dylżansu, który powrócił z City, otaczała taka para, że nie było poza nią widać pasażerów na zewnątrz pojazdu. Roznosiciele dzienników byli przemoknięci i czuć było od nich stęchlizną. Deszcz spływał po kapeluszach sprzedawców pomarańcz, którzy

wsuwając głowy do wnętrza dylizansów, skrapiali siedzących tam w sposób bardzo orzeźwiający. Żydzi zamykali z rozpaczą scyzoryki o pięćdziesięciu ostrzach. Sprzedający przedmioty kieszonkowe trzymali je rzeczywiście w kieszeniach. Ochraniacze na zegarki i widelce do smażenia grzanek sprzedawano za bezcen, a pugilaresy i gąbki oddawano za byle co.

Pozostawiając Samowi obronę bagaży przed siedmioma czy ośmioma tragarzami, którzy rzucili się na nie dziko, gdy tylko kocz się zatrzymał, i przekonawszy się, że pozostaje im jeszcze dwadzieścia pięć minut do odjazdu, pan Pickwick i jego przyjaciele przeszli do poczekalni — ostatniej ucieczki nędzy ludzkiej.

Sala podróżnych w zajeździe „Pod Białym Koniem” nie była, jak łatwo się domyślić, bardzo wykwinтна. Nie byłaby to zresztą poczekalnia, nawet gdyby wyglądała inaczej. Przypominała bawialnię, do której wszedł nieproszony piec kuchenny w towarzystwie zbuntowanych szczypców, łopaty i pogrzebacza. Sala podzielona była przegródkami ku wygodzie podróżnych. Resztę miejsca zajmował zegar, zwierciadło i żywy garson.

Ten mieścił się zwykle w kącie, w rodzaju budy urządzonej do mycia szklanek.

W dniu, o którym mowa, jedną z łóż zajmował mężczyzna o żywych oczach, lat około pięćdziesięciu, łysy, z wielkimi pękami czarnych włosów po bokach i z tyłu głowy, z szerokimi faworytami. Ciemny jego surdut zapięty był pod brodę, obok leżała czapka podróżna ze skóry morskiego cielęcia i zielony płaszcz. Gdy wszedł pan Pickwick, nieznajomy podniósł wzrok znad talerza i spojrzał na niego z miną dumną i pełną godności. Stwierdziwszy, że wygląd filozofa i jego towarzyszy zupełnie go zadowala, zaczął pod nosem mrużyć, dając tym do zrozumienia, że może kto myśli, iż on nie jest pewny siebie, ale w takim razie bardzo się myli.

— Garson! — zawołał po chwili.

— Jestem, panie — ozwał się głos z budy, o której dopiero wspomnieliśmy, następnie zaś ukazał się chłopiec z brudną ścierką i takąż twarzą.

— Jeszcze grzanek.

— Natychmiast, panie — odrzekł garson.

Gentleman z czarnymi faworytami znowu począł mrużyć; potem w oczekiwaniu grzanek zarzucił połę surduta na ręce, położył obie nogi na stojącym obok krześle i zajął się oglądaniem swych butów.

— Gdzie dylizans zatrzymuje się w Bath? — pan Pickwick zapytał słodkim głosem pana Winkle’a.

— Hm! Co? — odezwał się nieznajomy.

— Pytałem mego przyjaciela — powtórzył pan Pickwick, zawsze gotów do rozpoczęcia rozmowy — pytałem, gdzie dylizans zatrzymuje się w Bath. Może pan zechce poinformować mnie w tym względzie.

— Czy pan jedzie do Bath?

— Tak jest, panie.

— A ci panowie?

— Także.

— Ale nie wewnątrz dylizansu, spodziewam się, że nie wewnątrz.

— Nie wszyscy.

— Rozumie się, że nie wszyscy — powiedział z energią nieznajomy. — Zamówiłem tam dwa miejsca; ale jeżeli zechcą wpakować sześć osób w to przeklęte pudło, gdzie jest miejsce tylko dla czterech — to najmę pocztę na ich rachunek. Na to nie pozwolę. Powiedziałem już płacąc za miejsce, że nie pozwolę na to. Wiem, że się tak robi

codziennie; ale mnie na to nie złapią. Co nie, to nie. Ci, którzy mnie znają, wiedzą o tym dobrze.

Tu gniewny gentleman pociągnął za dzwonek bardzo gwałtownie i oświadczył garsonowi, że jeżeli mu nie przyniesie grzanek w przeciągu pięciu sekund, to sam pójdzie do kuchni spytać o przyczynę tego.

— Mój kochany panie — rzekł pan Pickwick — pozwól pan zwrócić sobie uwagę, iż unosi się pan niepotrzebnie. Ja tylko dwa miejsca zamówiłem wewnątrz dyliżansu.

— To mnie bardzo cieszy — odrzekł gentleman. — Cofam moje słowa, proszę mi wybaczyć. Oto mój bilet wizytowy: pozwoli pan, że się przedstawię. — Bardzo mi przyjemnie — odpowiedział pan Pickwick. — Będziemy razem jechać i spodziewam się, iż będzie to dla obu stron niezmiernie miłe.

Naturalnie, że po tej uprzejmej przemowie nastąpiły przyjacielskie powitania. Gniewny gentleman oznajmił potem w zdaniach krótkich, urywanych i dobitnych, że nazywa się Dowler, że jedzie do Bath dla przyjemności, że przedtem służył w wojsku, że obecnie zajmuje się interesami, że utrzymuje się z dochodów, jakie mu jego zajęcia przynoszą, i że osobą, dla której zamówił drugie miejsce, jest pani Dowler, jego żona.

— To piękna kobieta — mówił dalej. — Dumny z niej jestem, i słusznie.

— Będzie nam bardzo miło przekonać się o tym — rzekł pan Pickwick z uśmiechem.

— Sam pan osądzi. Zaznajomię ją z panem. Pani Dowler będzie pana szanowała. Zalecałem się do niej w sposób niezwykły. Pozyskałem ją sobie wskutek dziwnie zuchwałego postanowienia. Tak się rzecz miała. Ujrzałem ją; pokochałem; prosiłem o rękę; odmówiła. — Pani kocha innego? — Oszczędzaj pan moją wstydlivość. — Ja go znam. — Czy tak? — Znam i jeżeli tu dłużej pozostanie, żywcem obedrę go ze skóry.

— O! Do licha! — odruchowo zawołał pan Pickwick.

— I... i pan obdarł go ze skóry? — zapytał pan Winkle, blednąc.

— Napisałem do niego parę słów. Powiedziałem, że to bardzo przykra sprawa. Bo tak było rzeczywiście.

— Spodziewam się — mruknął pan Winkle.

— Napisałem mu, iż dałem słowo, że obedrę go ze skóry żywcem, że mój honor był zaangażowany i że jako oficer Jej Królewskiej Mości nie mam żadnego wyboru; że ubolewam z powodu tej smutnej konieczności, ale że tak stać się musi. To mu trafiło do przekonania; wiedział, że przepisy honoru są bezwzględne. Uciekł, a ja poślubiłem tę młodą osobę. Ale oto dyliżans. To właśnie jej głowa w drzwiczkach.

Kończąc te słowa pan Dowler wskazał na dyliżans, który zatrzymał się. Rzeczywiście, w oknach jego ukazała się dość ładna twarz kobiety ubranej w błękitny kapelusz i widocznie szukającej kogoś wzrokiem w tłumie. Pan Dowler zapłacił należność i szybko wyszedł razem ze swym prochowcem, laską i płaszczem. Pan Pickwick i jego przyjaciele wyszli również, by zapewnić sobie miejsca.

Panowie Tupman i Snodgrass wgramolili się od tyłu, pan Winkle wsiadł już do powozu, a pan Pickwick zamierzał właśnie uczynić to samo, gdy wtem Sam Weler podszedł do swego chlebobdawcy i z miną niezmiernie tajemniczą szepnął, że ma mu coś do powiedzenia.

— No, Sam — rzekł pan Pickwick — co nowego?

— Ładna historia, proszę pana — odparł Sam.

— Cóż takiego? — zapytał pan Pickwick.

— Obawiam się — rzekł Sam — że właściciel tego dyliżansu spletał nam brzydkiego figla.

— W jaki sposób? Czy naszych nazwisk nie umieścił na liście?

— O nie — rzekł Sam — umieścił je nie tylko na liście, ale jedno z nich wymalował nawet na drzwiczkach powozu.

Mówiąc to Sam wskazał na tę część drzwiczek, gdzie zwykle znajduje się nazwisko właściciela. Rzeczywiście, wielkimi, złotymi literami było tu napisane nazwisko „Pickwick”.

— Dziwne to — zawołał pan Pickwick, zdumiony tym zbiegiem okoliczności — naprawdę bardzo dziwne.

— To jeszcze nie wszystko — rzekł Sam, znów kierując uwagę swego pana na drzwiczki dyliżansu — napisali nie tylko „Pickwick”, ale przed tym umieścili jeszcze „Mojżesz”, co jest obelgą w połączeniu z obrazą — jak powiedziała papuga, gdy nie tylko wywieziono ją z ojczyzny, ale jeszcze zmuszono ją później, by się uczyła angielskiego.

— To rzeczywiście wprost zdumiewające — rzekł pan Pickwick — ale jeżeli będziemy tu stać dłużej i gawędzić, to gotowiśmy jeszcze stracić nasze miejsca.

— A pan — pan — nic na to nie robi? — zawołał Sam, w najwyższym stopniu zdumiony spokojem, z jakim pan Pickwick zabierał się do wsiadania.

— A cóż mam zrobić — rzekł pan Pickwick — co mam zrobić?

— Jak to? I nikt za taką bezczelność nie dostanie po nosie? — oburzył się pan Weller, który co najmniej oczekiwał polecenia, by z miejsca wyzwał konduktora i woźnicę na pięści.

— Nie, nie — odparł pan Pickwick skwapliwie — siadaj teraz na swoim miejscu.

— Obawiam się — mruknął Sam, odwracając się — obawiam się, że z moim panem jest coś nie w porządku, inaczej nie byłby taki spokojny. Przypuszczam, że proces nie odebrał mu wigoru; ale coś bardzo mi kiepsko wygląda, bardzo kiepsko.

I frasobliwie potrząsnął głową. Jak bardzo wziął sobie tę sprawę do serca, dowód w tym, że nie odezwał się ani słowem, aż powóz stanął przy kensingtonskiej rogatce. Może mu się w całym jego życiu nie przytrafiło jeszcze, by tak długo milczał.

Poza tym nie zaszło w czasie podróży nic zasługującego na szczególną wzmiankę. Pan Dowler opowiedział kilka anegdot ilustrujących jego osobistą dzielność, a przy każdej wzywał na świadka panią Dowler. Wtedy ta miła dama przytaczała na dodatek pewne szczegóły opuszczone przez pana Dowlera, a może przez skromność przemilczane przez niego; szczegóły te miały zawsze ten cel, by wykazać, iż pan Dowler jest człowiekiem jeszcze bardziej zdumiewającym, niż to wynikało z jego słów. Pan Pickwick i pan Winkle słuchali wszystkiego z podziwem, w przerwach rozmawiając z panią Dowler, osobą, jak się przekonano, bardzo miłą, a nawet czarującą. Tak towarzystwu siedzącemu w powozie bardzo przyjemnie mijał czas rozłożony na opowiadanie pana Dowlera, powaby jego małżonki, dobry humor pana Pickwicka i świetny talent do słuchania pana Winkle’a.

Pasażerom na zewnętrznych miejscach wiodło się jak zwykle. Na początku każdego odcinka między stacjami byli bardzo weseli i rozmowni, w środku jego znużeni i śpiący, a pod koniec bardzo ożywieni i rześcy. Jakiś młody jegomość, ubrany w płaszcz gumowy, palił przez cały dzień cygara, a jakiś drugi młodzian, przyodziany w parodię płaszcza podróżnego, również zapalał całą masę śmierdziaków, nim jednak zaciągnął się drugi raz, już czuł się niedobrze i wyrzucał je, gdy przypuszczał, że nikt tego nie widzi. Trzeci zbierał wiadomości z dziedziny chowu bydła, a jakiś starszy pan, który siedział z tyłu, chwalił się swą znajomością gospodarstwa rolnego. Na każdej stacji wsiadali i wysiadali pasażerowie, niekiedy w bluzach chłopskich, którzy jechali na gapę i siadali obok konduktora, a mogli pysznić się tym, że znali każdego konia i każdego parobka

spotykanego na tym gościńcu. Ponadto robili uwagi o obiedzie i byli zdania, że może nie byłby nawet o pół korony za drogi, gdyby był tylko czas, by go zjeść. W końcu o godzinie siódmej wieczorem pan Pickwick ze swymi towarzyszami i panem Dowlerem z żoną dotarli do hotelu „Pod Białym Jeleniem”, naprzeciw zakładu kąpielowego w Bath. Tu można było wziąć kelnerów, ze względu na ich ubiór, za uczniów szkoły westminsterskiej, choć złudzenie to prędko rozwiało się, gdyż zachowywali się znacznie lepiej niż tamci.

Nazajutrz rano, zaledwie uprzątnięto śniadanie pickwickczyków, garson przyniósł bilet wizytowy pana Dowlera, który prosił o pozwolenie przedstawienia jednego ze swych przyjaciół. Wkrótce potem nadszedł pan Dowler ze swym przyjacielem.

Był to bardzo miły młodzieniec, mogący mieć najwyżej pięćdziesiąt lat. Miał na sobie granatowy frak z błyszczącymi guzikami, czarne spodnie i buty, niemal tak błyszczące jak guziki. Na szyi miał zawieszoną na czarnej wstążce złotą lornetkę, a złotą tabakierkę z wdziękiem obracał między palcami lewej ręki; mnóstwo złotych pierścieni błyszczało mu na palcach, ogromny zaś soliter, oprawny w złoto, jaśniał na żabocie. Miał oprócz tego złoty zegarek i złoty łańcuch ze złotymi breloczkami. Hebanowa jego laska ozdobiona była złotą gałką; bielizna była niezmiernie cienka, biała i wykrochmalona; sztuczny kok na głowie był ze wszystkich możliwych sztucznych koków najlepiej wypomadowany i ułożony. Rysy zdobił nieprzerwany śmiech, a zęby utrzymane były w tak doskonałym porządku, iż z niewielkiej odległości trudno było odróżnić sztuczne od prawdziwych.

— Panie Pickwick — rzekł pan Dowler — przedstawiam panu mego przyjaciela: pan Angelo Cyrus Bantam, Esq., dyrektor kąpielowy; Bantam — pan Pickwick; niech się panowie zaznajomią.

— Witam pana w Bath — powiedział pan Bantam. — Jest to dla nas prawdziwie miła zdobycz. Już dawno, bardzo dawno nie pił pan wód, panie Pickwick. Wieki, panie!

To mówiąc, pan Angelo Cyrus Bantam, Esq., d.k., ujął pana Pickwicka za rękę i kłaniając się mu, potrząsał nią, jak gdyby nie mógł jej puścić.

— Musiało to być bardzo dawno — odrzekł pan Pickwick — gdyż, o ile wiem, nigdy przedtem nie byłem w Bath.

— Nigdy nie był pan w Bath! — zawołał dyrektor i ze zdumieniem puścił rękę filozofa. — Cha, cha, cha! Pan lubi żartować, panie Pickwick! Nieźle. Chi, chi, chi!

— Szczerze panu mówię, iż nigdy tu nie byłem.

— Tak, tak! — odrzekł mistrz ceremonii. — Doskonale! Coraz lepiej! Pan jesteś właśnie gentlemanem, o którym nam mówiono. Znamy już pana, znamy!

„Pewno czytali w tych przeklętych gazetach sprawozdanie z mego procesu” — pomyślał pan Pickwick.

— Tak, tak — zaczął znowu pan Bantam — pan jesteś tym gentlemanem, który mieszka w Clapham Green i stracił władzę w członkach, przeziębivszy się po winie porto, a który wskutek ostrych cierpień, nie mogąc ruszyć się z miejsca, kazał sobie sprowadzić wodę z Bath do Londynu, nagrzać ją do 103 stopni, a gdy wykąpał się, kichnął i wyzdrowiał tego samego dnia.

Pan Pickwick pojął komplement, jaki zawarty był w tym opowiadaniu, ale miał tyle mocy charakteru, że nie przyznał się, by on był tym gentlemanem, tak cudownie uleczonym. Następnie korzystając z chwili, w której pan Bantam umilkł, przedstawił mu swych przyjaciół, panów Tupmana, Winkle'a i Snodgrassa. Przedstawienie to nappełniło dyrektora zakładu kąpielowego rozkoszą i czcią.

— Bantam — rzekł pan Dowler — pan Pickwick i jego przyjaciele są obcy w tym miejscu: trzeba, by podali swe nazwiska.

— Spis znakomitych gości będzie dziś złożony o godzinie drugiej w Sali Źródlanej. Zechce pan zaprowadzić naszych nowych znajomych do tego wspaniałego gmachu i poprosić, by nas zaszczytili swymi podpisami.

— Bardzo dobrze — odrzekł pan Dowler. — Za godzinę wrócę tu. Chodź pan.

— Dziś wieczorem mamy bal w Bath — rzekł dyrektor zakładu kąpielowego, ściskając na odchodnym rękę pana Pickwicka. — Balowe noce w Bath są to chwile skradzione z rajy, chwile zachwyty wywołanego muzyką, pięknnością, wykwintnością, modą, etykietą itd., a przede wszystkim nieobecnością handlarzy, którzy z pojęciem rajy najzupełniej nie dadzą się połączyć, aktorzy co czternaście dni urządzają sobie zebrania w Guildhall w myśl zasady: równi z równymi, co jest bardzo dziwne. Tymczasem adieu!

To powiedziawszy i powtarzając bez końca, iż jest bardzo zadowolony, zachwycony i zaszczycony, Angelo Cyrus Bantam, Esq., d.k., wszedł do eleganckiego powozu czekającego przed drzwiami i odjechał.

O oznaczonej godzinie udał się pan Pickwick wraz ze swymi przyjaciółmi w towarzystwie pana Dowlera do Sali Źródlanej, gdzie zapisali się do zwykłej księgi przyjezdnych — dowód pospolitowania, którym pan Angelo Bantam czuł się poruszony jeszcze bardziej niż poprzednio. Całe towarzystwo miało otrzymać bilety wstępu na bal, ponieważ jednak nie były one jeszcze gotowe, pan Pickwick oświadczył, mimo sprzeciwów pana Angelo Bantama, że o godzinie czwartej przyśle po nie Sama do mieszkania dyrektora przy Queen Square. Dokonawszy potem krótkiej przechadzki po mieście i oświadczywszy jednogłośnie, że ulica Parkowa posiada bardzo wielkie podobieństwo do tych stromych ulic, które się widuje we śnie, a którymi za żadne skarby świata niepodobna iść do góry, wrócili „Pod Białego Jelenia”, skąd wysłano Sama z wyżej wspomnianym poleceniem.

Sam Weller, włożywszy kapelusz lekko i z wielkim wdziękiem, wsunął palce obu rąk w kieszenie kamizelki i poszedł ku Queen Square, wygwizdując po drodze rozmaite popularne melodie, tak jak je w zupełnie nowej redakcji skomponowano dla nowego szlachetnego instrumentu — katarynki. Stanąwszy przed wskazanym sobie domem, przestał gwizdać i mocno zapukał do drzwi, które natychmiast otworzył lokaj, upudrowany i we wspaniałej liberii.

— Czy tu mieszka pan Bantam, kolego? — zapytał Sam, bynajmniej nieolśniony blaskiem przepychu upudrowanego lokaja.

— Na co ci to, młodzieńcze? — odpowiedział wyniośle lokaj.

— Bo jeżeli tak jest, to proszę zanieść mu ten bilet i powiedzieć, iż pan Weller czeka na odpowiedź. Czy chcesz mi zrobić tę przysługę, mój ty sześciorępy? — To powiedziawszy, Sam wszedł z zimną krwią do sieni i usiadł.

Upudrowany lokaj trzasnął gwałtownie drzwiami i zmarszczył brwi z wielką godnością; ale to nie wywarło żadnego wrażenia na Samie, który z miną znawcy zajął się oglądaniem pięknej mahoniowej szafki.

Uprzejmość, z jaką pan Bantam przyjął bilet, widocznie dobrze usposobiła dla Sama upudrowanego lokaja, gdyż powróciwszy, uśmiechnął się do niego przyjaźnie i powiedział, że zaraz otrzyma odpowiedź.

— Bardzo dobrze — odrzekł Sam. — Możesz powiedzieć staremu gentlemanowi, żeby się bardzo nie śpieszył. Nie ma nic nagłego, mój sześciorępy. Jestem już po obiedzie.

— Pan wcześniej jada obiad?

— Żeby raźniej pracować przy wieczerzy — odparł Sam.

— Czy dawno przebywa pan w Bath? Nie miałem przyjemności słyszeć o panu.

— Nie sprawiłem tu jeszcze odpowiedniego wrażenia — odrzekł Sam spokojnie. — Ja i inne osoby, którym towarzyszę, przybyliśmy dopiero wczoraj wieczorem.

— Piękna miejscowość, panie.

— Tak mi się zdaje.

— Dobrze towarzystwo, panie. Słudzy bardzo przyjemni.

— Zdaje się. Uprzejmi chłopcy, nie zadzierają nosa, tylko nie trzeba robić z nimi ceremonii.

— O, tak, tak! — odrzekł upudrowany lokaj sądząc, że to, co Sam powiedział, zawiera przepyszny komplement. — Czy pan zażywa tabakę? — zapytał następnie, podając tabakierkę.

— Tak, ale zawsze kicham.

— O, to nie jest łatwe, przyznaję, ale można dojść do wprawy. Najlepiej uczyć się na kawie. Przez dłuższy czas sam nosiłem kawę. Wygląda całkiem jak tabaka.

Tu gwałtowne dzwonięcie postawiło upudrowanego lokaja wobec nieprzyjemnej konieczności schowania tabakierki do kieszeni i zmusiło do udania się z potulną miną do biblioteki pana Bantama. W tym miejscu zauważymy nawiasem, iż ludzie nie piszący i nie czytający posiadają zawsze niewielki, zazwyczaj pusty pokój, który nazywają biblioteką.

— Oto odpowiedź — rzekł do Sama upudrowany lokaj. — Obawiam się, by nie sprawiła panu subiekcji.

— Niech się pan tym nie trapi — odrzekł Sam, kładąc do kieszeni niewielki list. — Sądzę, że moja natura sprosta temu zadaniu, nie narażając się na wycieńczenie.

— Spodziewam się, że zobaczymy się jeszcze — rzekł upudrowany lokaj, zacierając ręce i odprowadzając Sama do drzwi.

— Bardzo pan łaskaw — odrzekł Sam — ale proszę, niech pan nie wysila nad miarę swej tak miłej osoby. Pamiętaj pan, coś winien społeczeństwu, i nie obarczaj się zbyt dużym trudem. Przez miłość do podobnych sobie zachowaj pan spokój, o ile możesz; pomyśl, jaka byłaby to strata dla ludzkości.

Po tych słowach Sam oddalił się.

— Bardzo oryginalny młodzieniec — powiedział do siebie upudrowany lokaj, mocno zdumiony.

Tegoż samego wieczora, punktualnie dwadzieścia minut przed ósmą, Angelo Cyrus Bantam, Esq., d.k., wysiadł ze swego powozu przed drzwiami sali balowej z tym samym kokiem, tymi samymi zębami, lornetką, łańcuchem, breloczkami, pierścieniami, szpilką i laską, w które był przystrojony z rana. Jediną zmianą w jego ubiorze było, iż miał na sobie frak nieco jaśniejszy, z białą jedwabną podszewką, obcisłe czarne spodnie, białą kamizelkę i był, jeżeli to możliwe, jeszcze więcej wyperfumowany.

Tak przystrojony dyrektor zakładu kąpielowego umieścił się w pierwszym pokoju, by przyjmować gości i wykonywać inne ważne czynności swego zawodu.

Ponieważ w Bath było przepełnienie, ludzie i sześciopensówki sypały się jak z rogu obfitości. W sali balowej, w sali gry, w sali ośmiokątnej, na schodach, w przejściach szmer głosów i szuranie nogami nie ustawały ani na chwilę. Suknie szeleściły, pióra kołysały się, światła błyszczały, klejnoty połyskiwały. Grała muzyka, nie orkiestra do tańca — ta jeszcze grać nie zaczęła — ale muzyka drobnych kroczków, delikatnego i stłumionego śmiechu kobiecego, który tak miło słyszeć czy w Bath, czy gdzie indziej. Błyszczące oczy, ożywione oczekiwaniem, jaśniały z każdego kąta. Gdziekolwiek

spojrzałeś — przez tłum przeciskała się jakaś powiewna postać, a gdy ją straciłeś z oczu — natychmiast zastępowała ją inna, równie powabna, równie czarująca.

W sali, gdzie podawano herbatę, i dokoła stołów do gry zgromadził się tłum oryginalnych starych dam i zgrzybiałych gentlemanów, rozprawiających o małych skandalach dnia z ożywieniem dostatecznie dowodzącym, jaką im to sprawia przyjemność. Wśród tych grup uwijało się kilka szukających zięciów matek, pozornie zajętych rozmową, ale co chwila rzucających niespokojne spojrzenia w stronę córek. Te zaś, pomne na macierzyńskie zalecenia, by wykorzystać jak najlepiej urok młodości, roztaczały całą swoją zalotność zdejmując rękawiczki, bawiąc się szarfami, odstawiając filiżanki i wykonując mnóstwo drobnych ewolucji, nic nie znaczących, ale mogących wiele zdziałać, gdy wykonują je wytrawne znawczynie. Przy drzwiach i w odległych kątach młodzi mężczyźni roztaczali wszelkie odcienie elegancji i głupoty, bawiąc swych rozsądniejszych sąsiadów ogromnymi pretensjami, przekonani, na swoje szczęście, iż są przedmiotem powszechnego podziwu i uwielbienia. Mądre to i litosne zrządzenie opatrności, na które nie może narzekać żaden rozumny człowiek.

Na krzesłach pod ścianami zajęły miejsca niektóre damy niezamężne, w niebezpiecznym już wieku. Nie tańczyły, gdyż nie miały danserów, i nie grały w karty z obawy, by ich nie poczytano za stare. Te były w tym szczęśliwym położeniu, że mogły wszystkich obgadywać, nie myśląc o sobie — powiadamy: wszystkich, gdyż rzeczywiście byli tu wszyscy.

Wszędzie pełno było wesołości, blasku i świetności, wszędzie elegancko ubrani panowie i panie, wspaniałe lustra, błyszczące posadzki, jaśniejące kandelabry. A na każdym planie tego obrazu, przesuając się z miejsca na miejsce z niezwykłą zręcznością, to kłaniając się uniesienie jednemu towarzystwu, to poufale kiwając głową drugiemu, a uprzejmie uśmiechając się do wszystkich, odznaczała się wystrojona osoba Angelo Cyrusa Bantama, Esq., dyrektora zakładu kąpielowego.

— Zejdź pan do sali, gdzie piją herbatę, i każ jej sobie dać za sześć pensów. Gorącą wodę nazywają tu herbatą — rzekł głośno pan Dowler do pana Pickwicka, który szedł naprzód pod rękę z panią Dowler. Pan Pickwick zwrócił się więc ku wskazanej sali. W tej chwili pan Bantam, ujrawszy go, prześliznął się przez tłum i powitał filozofa z wielkim zapałem.

— Kochany panie! To prawdziwy zaszczyt!... Całe Bath jest zachwycone... Pani Dowler! Jesteś pani ozdobą tej sali. Pióra masz pani precudne. Ba—je—czne!

— Czy jest tu kto z towarzystwa? — zapytał pan Dowler pogardliwie.

— Towarzystwo? Wybór, e—li—ta!... Panie Pickwick, czy widzi pan tę damę, w gazowym turbanie?

— Tę starą, tłustą? — zapytał pan Pickwick niewinnie.

— Ts, kochany panie. Tu nikt nie jest ani stary, ani tłusty. To lady Snuphanuph.

— A! — odpowiedział pan Pickwick.

— Ni mniej, ni więcej. Zbliź się pan tu. Widzi pan tego młodego człowieka, bogato ubranego, który podchodzi ku nam?

— Tego z długimi włosami i dziwnie niskim czołem? — zapytał pan Pickwick.

— Tego, tego. To najbogatszy młody człowiek w całym mieście. To młody lord Muttonhead.

— Czy być może?

— Tak, tak! Zaraz pan go usłyszysz. Pewno zechce ze mną porozmawiać. Gentleman z czarnymi wąsami idący obok niego, to szanowny pan Crushton, jego najlepszy przyjaciel. Jak się milord miewa?

— Bardzo tu gorąco, mój Bantamie — odrzekł lord.

— Rzeczywiście, bardzo tu gorąco, milordzie.

— Diabelnie! — dodał znakomity pan Crushton, Po pewnej pauzie, podczas której lord Muttonhead chciał zmieszać pana Pickwicka uparcie wpatrując się w niego, a towarzysz jego rozmyślał nad tym, o czym jego lordowska mość potrafiłaby mówić, pan Crushton zapytał:

— Bantam, czy widziałeś pocztową bryczkę jego lordowskiej mości?

— Ach! Mój Boże! nie widziałem.

— Czy tak? Sądziłem, że wszyscy ją widzieli. Jest to najpiękniejsza i najgustowniejsza rzecz, jaką widziałem kiedykolwiek na kołach. Pomalowana na czerwono; a konie maści kawy ze śmietanką.

— Z prawdziwą skrzynką na listy — dodał pan Crushton.

— Z siedzeniem dla stangreta na przodzie — mówił dalej lord. — Jeździłem nią wczoraj do Bristolu, czerwono ubrany i z dwoma dżokejami z tyłu. Niech mnie Bóg skarże, jeżeli chłopci nie wychodzili ze swych domów i nie pytali mnie, czy nie jestem pocztylionem! To doskonale!

Tu młody lord roześmiał się na całe gardło, a słuchacze, rozumie się, uczynili to samo. Potem lord wziął usłużnego pana Crushtona pod rękę i oddalił się.

— Zachwycający młody człowiek! — rzekł dyrektor do pana Pickwicka.

— Hm! — odrzekł sucho filozof.

Gdy poczyniono wszelkie wstępne kroki i zarządzenia do tańca i gdy wreszcie tańce się rozpoczęły, pan Angelo Bantam poprowadził pana Pickwicka do sali gry.

W chwili gdy tam wchodzili, lady Snuphanuph i dwie inne damy o antycznej powierzchowności smutnie błękały się koło nie zajętego stolika do kart. Gdy tylko ujrzały pana Bantama wprowadzającego pana Pickwicka, spojrzały po sobie wzrokiem, który wyrażał, iż tego im właśnie potrzeba do skompletowania partii.

— Mój kochany Bantam — rzekła lady Snuphanuph ujmującym głosem — znajdź nam kogoś czwartego do wista, tyś taki kochany.

W tej chwili pan Pickwick patrzył w inną stronę, tak że milady mogła wymownym znakiem wskazać na niego.

Mistrz ceremonii zrozumiał ten znak.

— Milady — powiedział — pan Pickwick będzie się uważał za szczęśliwego, jestem tego pewny... Panie Pickwick! Lady Snuphanuph, pani pułkownikowa Wugsby, panna Bolo.

Pan Pickwick oddał ukłon i widząc, że nie ma sposobu wymknąć się, poddał się swemu losowi. Wybrano miejsca i filozofowi naszemu wypadło grać z panną Bolo. Po drugim rozdaniu dwie młode damy przybyły z sali tańca i umieściły się po obu stronach pułkownikowej Wugsby, czekając cierpliwie na ukończenie gry.

— Co tam? — zapytała wreszcie pani Wugsby jednej ze swych córek — co się stało?

— Mamo — szepnęła cichym głosem młodsza i piękniejsza — przyszłam zapytać, czy mogę tańczyć z młodszym panem Crawley?

— Cóż ty sobie myślisz, Joanno? — odrzekła mama z oburzeniem. — Czyż nie powtarzałam ci ze sto razy, że ojciec jego ma wszystkiego osiemset funtów szterlingów dochodu! Doprawdy, że rumienię się za ciebie! Nie, nie, pod żadnym pozorem!

— Mamo — szepnęła druga panna, nierównie starsza od siostry, ale za to nieskończenie głupia i afektowana — przedstawiono mi lorda Muttonhead. Powiedziałam mu, że zdaje mi się, iż nie jestem zaangażowana.

— Dobrze z ciebie dziecko, na tobie można polegać — odpowiedziała pani Wugsby, klepiąc córkę po policzku. — Lord jest niezmiernie bogaty, moja droga.

To mówiąc, pani Wugsby ucałowała swą starszą córkę z wielkim rozczuleniem i zmonitowała młodszą zmarszczeniem brwi, po czym stasowała karty.

Biedny pan Pickwick! Nigdy jeszcze dotąd nie grał z trzema — starymi damami tak biegłymi w wiście. Biegłość ta przerażała go. Gdy zagrał źle, panna Bolo przesywała go wzrokiem; gdy zatrzymywał się dla namysłu, lady Snuphanuph przechylała się na krześle i uśmiechała się, rzucając na panią Wugsby spojrzenie pełne niecierpliwości i politowania, na co ta odpowiadała wzruszeniem ramion i lekkim kaszlem, jakby zapytywała, czy raz wreszcie zdecyduje się zagrać. Przy każdym nowym rozdaniu kart panna Bolo zapytywała ze skrzywioną twarzą i pełnym wyrzutem westchnieniem, dlaczego pan Pickwick nie grał atutów ani bił pików, nie impasował trefli itd., a filozof nie potrafił absolutnie wytłumaczyć się z tych ciężkich zarzutów, bo już zapomniał, jakie miał karty. Ale to jeszcze nie wszystko; nieznajomi nie należący do gry zaglądali mu w karty; tuż obok stołu wszczęła się bardzo ożywiona rozmowa między panem Bantamem i dwiema pannami Matinters, osobami wcale już dojrzałymi, które wdzięczyły się do dyrektora, by im wynalazł tancerzy. Wszystkie te skombinowane okoliczności, w połączeniu z ciągłym szastaniem się mnóstwa osób, były przyczyną, iż pan Pickwick rzeczywiście grał dość źle; oprócz tego nie szła mu karta, tak że ukończywszy grę dziesięć minut po jedenastej, panna Bolo wstała bardzo wzburzona i ze łzami w oczach kazała się odnieść w lektyce do domu.

Pan Pickwick połączył się natychmiast ze swymi przyjaciółmi, którzy jednogłośnie oświadczyli, iż rzadko zdarzało im się przepędzić wieczór tak przyjemnie. Potem powrócili razem „Pod Białego Jelenia”, a filozof, pocieszywszy się wypiciem czegoś rozgrzewającego, prawie zaraz poszedł spać.

Rozdział trzydziesty szósty **w którym przekonamy się, że w znacznej swej części jest** **autentyczną wersją legendy o księciu Bładudzie, oraz** **zapoznamy się z opisem niezwyklego nieszczęścia, jakie** **przytrafiło się panu Winkle'owi**

Ponieważ pan Pickwick zamierzał zabawić w Bath przynajmniej dwa miesiące, uznał więc za konieczne wynająć dla siebie i swych towarzyszy mieszkanie prywatne. Poszczyliło mu się w tym i bez większego trudu wynajął za niewielką cenę górne piętro pewnego domu przy Royal Crescent. Znajdowało się tam więcej pokoi, aniżeli potrzebowali pickwickczycy, wobec tego państwo Dowler wyrazili chęć odnajęcia jednej sypialni i jednego salonu. Propozycję tę przyjęto bardzo chętnie i już na trzeci dzień obydwu towarzystwa ulokowały się w nowym domu.

Wówczas pan Pickwick począł pić wody z wielką pilnością.

Pił je systematycznie: szklanka przed śniadaniem, potem przechadzka; szklanka po powrocie z przechadzki; następnie po szklance co kwadrans; po każdym wypiciu filozof oświadczał najuroczyściej, iż czuje się znacznie lepiej. Cieszyło to mocno jego przyjaciół, chociaż ci nigdy dotąd nie słyszeli, by pan Pickwick uskarżał się na cokolwiek.

Sala Źródłana jest to obszerny pokój ozdobiony korynckimi kolumnami, galerią dla orkiestry, zegarem, posągiem i złożonym napisem, przy którym każdy pijący wodę powinien się zatrzymać, gdyż napis ten poleca względem kuracjuszków nędzę zasługującą na wsparcie. Szeroka bariera oddziela basen marmurowy, z którego posługacz czerpie wodę, podawaną potem w złotych kubkach. Bardzo to budujący i pouczający widok, gdy się patrzy, z jakim przejęciem kuracjusze ją łykają! Zaraz pod ręką są łazienki, w których część towarzystwa może się kąpać. Przygrywająca orkiestra jakby ich chwaliła za to, że to czynią. Jest jeszcze druga sala, do której wwożą chorych panów i panie w tak rozmaitych wózkach i krzesłach, że żądny przygód osobnik, który tam wejdzie, naraża się na utratę kilku palców u nóg. Jest i trzecia sala, dokąd chodzą ludzie szukający spokoju, jest w niej bowiem o wiele ciszej niż w tamtych. Spacerowiczów wszędzie mnóstwo — o kijach lub bez, z laskami lub bez; wszędzie rozbrzmiewa śmiech, wesołość.

Co rano osoby sumiennie pijące wody, pomiędzy którymi naturalnie znajdował się i nasz filozof, zgromadzały się w Sali Źródlanej, połykały przepisaną ilość ćwierćlitrowych szklanek wody i przechadzały się według przepisu. Na promenadzie spotykali się lord Muttonhead, szanowny pan Crushton, owdowiała lady Snuphanuph, pani pułkownikowa Wugsby i całe wyborowe towarzystwo oraz wszyscy, którzy rano piją wodę. Potem udawano się na spacer za miasto piechotą, w powozach lub lektykach, aż w końcu znów zbierano się w Sali Źródlanej. Wtedy mężczyźni przechodzili na chwilę do czytelnicy; a potem wszyscy rozchodzili się do domów. Wieczorem, gdy był teatr, udawano się na widowisko; gdy był bal, spotykano się w sali balowej; gdy nie było ani jednego, ani drugiego, spotykano się dnia następnego. Był to bardzo miły tryb życia, któremu można by tylko zarzucić trochę jednostajności.

Po jednym dniu spędzonym w ten sposób pan Pickwick, którego przyjaciele udali się już na spoczynek, siedział jeszcze nad swymi notatkami, gdy wtem usłyszał lekkie pukanie do drzwi.

— Bardzo przepraszam pana — rzekła właścicielka domu, pani Craddock, wsuwając głowę przez drzwi — czy pan czego nie potrzebuje?

— Nie, pani — odrzekł pan Pickwick.

— Moja córka poszła spać, a pan Dowler jest tak łaskaw, iż przyrzekł czekać na panią Dowler, która dziś wróci późno. Gdyby pan nie miał jakiego zlecenia, to i ja poszłabym spać.

— Bardzo dobrze pani zrobi — odparł pan Pickwick.

— Życzę panu dobrej nocy.

— Dobranoc pani.

Pani Craddock zamknęła drzwi i pan Pickwick wziął się znów do pisania. W niespełna pół godziny skończył. Osuszywszy ostatni arkusz bibułą, pan Pickwick zamknął książkę, otarł pióro o podszewkę swego surduta i otworzył szufladę biurka. Leżało w niej kilka arkuszy listowego papieru, szczelnie zapisanych i złożonych w ten sposób, że tytuł, wykaligrafowany starannym rondem, rzucał się w oczy. Widząc, że nie jest to dokument prywatny, że dotyczy Bath i jest bardzo krótki, pan Pickwick rozłożył rękopis, zapalił świecę, poprawił knot, by mu nie zgasła, nim skończy czytać, i przysunąwszy fotel do kominka czytał, co następuje:

PRAWDZIWA LEGENDA O KSIĘCIU BŁADUDZIE

Nie mniej niż przed dwustu laty na jednej z łazienek publicznych tego miasta widniał napis na cześć jej potężnego fundatora, sławnego księcia Bładuda. Napis ten dziś jest już zatarty.

Wiele, wiele set lat przedtem powtarzano sobie starą legendę o znakomitym księciu, który zaraziwszy się trędem po powrocie z Aten, gdzie zebrał bogate żniwo nauki, opuścił dwór swego królewskiego ojca i żył skromnie pośród rolników i świń. Między tymi świniami, mówi legenda, była jedna poważna i szanowana z wyglądu, dla której książę czuł niemal przyjaźń — był to bowiem mędrzec — za jej myślący i pełen godności sposób zachowania. Wyróżniała się wśród swoich towarzyszy, których chrząkanie było groźne, a ukąszenie bolesne. Młody książę wzdychał głęboko, patrząc na tę majestatyczną świnię. Przychodził mu wtedy na myśl jego królewski ojciec i oczy napęłniały mu się łzami.

Niezwykła ta świnią lubiła kąpać się w głębokim, wilgotnym błocie. I to nie w lecie, jak to czynią dziś wszystkie świnię dla ochłody i jak to czyniły za owych zamierzchłych czasów (dowód to, że słońce cywilizacji już wzeszło wtedy, aczkolwiek świeciło jeszcze słabo) — ale w chłodne dni zimowe. Skórę miała zawsze tak gładką, a ciało tak czyste, że książę postanowił wypróbować oczyszczającą własność wody, w której myła się jego przyjaciółka. Spróbował. Pod czarnym błotem bulgotały źródła Bath. Obmył się i wyzdrowiał. Pośpieszywszy na dwór ojca złożył mu należną cześć, a powróciwszy do miejsca swego uzdrowienia, ufundował Bath i owe sławne do dziś kąpiele.

Obdarzał świnię dawną przyjaźnią, ale niestety, wody bathańskie stały się przyczyną jej śmierci! Raz nieostroźnie wzięła zbyt gorącą kąpiel i — umarł ten filozof natury! Poszła za przykładem Pliniusza, którego również zgubiło pragnienie wiedzy.

Tak głosi legenda. Posłuchajcie, jak się rzecz miała naprawdę. Przed wielu, wielu setkami lat sławny był na całym świecie znakomity i dzielny król Brytyjczyków, Lud Hudibras. Był to potężny monarcha. Ziemia drżała, gdy przechodził: taki był ciężki! Poddani grzali się w słońcu jego oblicza: takie było czerwone i wielkie. Był to rzeczywiście

król w każdym calu. A miał tych cali sporo! Chociaż bowiem nie był bardzo wysoki, miał zdumiewająco wielki obwód i cali, których mu brakowało na wysokość, dopełniał cyrkumferencją. Jeżeli można by z nim porównać któregoś ze zdegenerowanych królów naszych czasów, to chyba o jednym tylko królu Cole można by powiedzieć, że był równie znakomitym potentatem.

Ten poczciwy król miał żonę, a ta żona przed osiemnastu laty powiła syna, którego nazwali księciem Bładudem. Posłano go do seminarium przygotowawczego w dominiach ojca, gdzie przebywał do lat dziesięciu, następnie pojechał kończyć nauki do Aten. A ponieważ w szkołach ateńskich nie dopłacało się za wakacje i nie żądano zabierania uczniów, książę pozostał tam przez lat osiem, a po ośmiu latach ojciec posłał po niego lorda kanclerza, by zapłacił rachunek i przywiózł go do domu. Gdy lord kanclerz uczynił to, natychmiast go spensjonowano.

Gdy król Lud zobaczył, na jakiego przystojnego młodzieńca wyrósł jego syn, zmiarkował, że ważna to rzecz, by się młody niezwłocznie ożenił, iżby dzieci jego utrzymały ród znakomitego króla Luda po wsze czasy. Wyprawił więc specjalne poselstwo, złożone z najznakomitszych ludzi, którzy nie mieli nic do roboty i poszukiwali lukratywnych posad, do swego sąsiada—króla, prosząc go o rękę córki dla Bładuda. Kazał mu przy tym powiedzieć, że uczyni wszystko, żeby zachować przyjaźń dla swego brata i przyjaciela, królewskiego sąsiada, ale jeżeli nie uda im się ułożyć małżeństwa ich dzieci, będzie musiał uciec się do niemiłej konieczności splądrowania jego włości łącznie z wyłupieniem mu oczu. Wtedy tamten król — był z nich dwu słabszy — powiedział, że wielce jest wdzięczny swemu bratu i przyjacielowi za dobroć i wspaniałomyślność i że jego córka gotowa jest poślubić księcia Bładuda na każde jego skinienie. Gdy tylko wiadomość ta doszła do Brytanii, radość zapanowała w całym kraju. Nie słyszałeś innych dźwięków, jak głosy radości i wesela, głównie zaś brzęk pieniędzy wypłacanych ludowi przez skarbnika Jego Królewskiej Mości z racji tej szczęśliwej ceremonii. Przy tej to okazji właśnie król Lud, siedzący na wysokim tronie, podniósł się nagle i zażądał od lorda kanclerza, żeby podano najlepsze wina i przywołano najznakomitszych minstrelów: ten akt łaski ignorancja historyków przez długie wieki przypisywała królowi Cole'owi, jak to nawet opiewają znane strofki:

*Zażądał swej fajeczki, potem kielicha,
A wreszcie trzech swoich skrzypków!*

co jest krzyżącą niesprawiedliwością wobec pamięci króla Luda, a niesmacznym powiększaniem zasług króla Cole'a.

Ale wśród tych uroczystości i festynów jedna tylko osoba nie podzielała ogólnej radości: mówię o księciu Bładudzie we własnej osobie, na którego cześć ludność całego kraju płukała sobie gardła i napychała trzosi. Bo książę Bładud, zapominając o bezsprzecznym prawie ministra spraw zewnętrznych do zakochiwania się w jego imieniu, na przekór wszelkiej dyplomacji i wbrew wszelkim obyczajom zakochał się na swój rachunek całkiem prywatnie w pięknej córce pewnego bogatego ateńczyka.

To, co wam teraz powiem, służyć może za przykład bezgranicznych korzyści, jakie wypływają z cywilizacji i kultury. Gdyby książę żył w naszych czasach, natychmiast poślubiłby przedmiot wyboru swego rodzica, a potem zabrałby się do poważnej roboty, aby zapomnieć choć trochę o brzemieniu, jakie nań spadło. Złamałby serce swojej żony wypróbowaną metodą zaniedbywania i obelg, a gdyby i to nie pomogło i dumna

królewna znosiłaby w milczeniu jego złe traktowanie, pozbyłby się jej, wykreślając ją z listy żyjących. Ale żaden z tych sposobów nie odpowiadał księciu Bładudowi. Poprosił więc ojca o prywatną audiencję i wyznał mu prawdę.

Stary to przywilej królewski — panować nad wszystkim, z wyjątkiem swych namiętności. Król Lud wpadł w straszny gniew, rzucił koronę o podłogę i zaraz ją podniósł (w tych czasach królowie nosili korony na głowach, a nie przechowywali ich w Tower), tupał nogami, tarł czoło, nie mógł się dość nadziwić, że jego własny syn buntuje się przeciw niemu, a wreszcie zawoławszy strażę kazał księcia zamknąć w wysokiej wieży — środek, do którego uciekali się królowie starej daty, gdy ich inklinacje matrymonialne nie pokrywały się z inklinacjami synów.

Kiedy książę Bładud siedział już kilka miesięcy w wieży, mając przed oczyma tylko wysoką ścianę, a w perspektywie długie lata więzienia, zaczął opracowywać plan ucieczki, co po paru miesiącach przygotowań udało mu się doprowadzić do skutku. Przedtem jednak utopił nóż do krajania mięsa w sercu strażnika, aby oszczędzić nieszczęśliwemu odpowiedzialności za ucieczkę księcia (miał dzieci) i srożej kary z rąk rozwścieczonego króla.

Monarcha szalał, dowiedziawszy się, że syn uciekł. Łamał sobie głowę, na kim by wyładować swój gniew i ból! Szczęśliwie przypomniał sobie lorda kanclerza, który przywiózł księcia z Aten, i za jednym zamachem obciął mu pensję i głowę.

Tymczasem młody książę, przemyślnie przebrany, wędrował piechotą przez rozległe posiadłości swego rodzica. Pocięchą i podporą w tych trudach była mu słodka myśl o młodej atence, niewinnej przyczynie wszystkich jego nieszczęść. Pewnego dnia zatrzymał się w małej wiosce. Słyszac wesołe śmiechy i patrząc na tańce zbliżył się i spytał jednego z uczestników, co to znaczy.

— Nie wiesz nic, cudzoziemcze, o ostatniej proklamacji naszego monarchy?

— O proklamacji? Nie! O jakiej proklamacji mówisz? — spytał książę, od dawna bowiem szedł tylko bocznymi ścieżkami i nie wiedział, co się dzieje na gościńcach.

— Jak to?! — spytał wieśniak. — Przecież panna, z którą chciał się żenić nasz książę, wyszła za mąż za znakomitego magnata, swego rodaka. Nasz król z racji tego zdarzenia ogłosił szereg festynów. Teraz naturalnie książę Bładud wróci i ożeni się z księżniczką, którą mu ojciec wybrał! Mówią, że jest piękna jak jutrzienka! Pańskie zdrowie! Niech żyje król!

Książę nie chciał dłużej słuchać. Uciekł i zaszył się w gęsty las. Szedł dzień i noc: w promieniach gorącego słońca i w blasku zimnego księżycy, w żarze dziennym i chłodzie nocy, o różowym świetle i błękitnym zmroku... Tak dalece nie myślał o tym, co robi, że chcąc dojść do Aten, trafił do Bath.

Wtedy nie było jeszcze miasta w miejscu, gdzie obecnie stoi Bath. Nigdzie śladu osiedla ludzkiego, które godne byłoby tej nazwy. Ale kraj był tak samo piękny, te same przecinały go łąki, te same wspaniałe kanały migotały w oddali. Te same góry, jak zgryzoty życia, widniały na widnokręgu, tracąc w porannej mgłę swoją zwykłą surowość. Wzruszony pięknem tej okolicy, książę rzucił się na ziemię i obmył swoje popuchnięte nogi we własnych łzach.

— Och! — zawołał nieszczęsny Bładud, załamując ręce i wznosząc oczy do nieba. — Gdybyż tu był kres moich wędrówek! Gdybyż te łzy, którymi oplakuję niespełnione nadzieje i wzgardzoną miłość, płynąć mogły zawsze!

Życzenie to zostało wysłuchane. Były to czasy bogów pogańskich, którzy lubili chwytać ludzi za słowa z szybkością zdumiewającą. Ziemia rozstała się pod nogami księcia.

Wsiąkł w błoto. Skorupa ziemska zamknęła się nad nim na zawsze, z wyjątkiem tego miejsca, gdzie spadły jego gorące łzy, które od tej chwili wciąż jeszcze ciekną.

Zauważono, że od tego czasu wiele starszych dam i gentlemanów, którym nie udało się znaleźć odpowiednich partii, oraz wiele młodzieży szukających ich, przyjeżdża rokrocznie do Bath pić wody, z których czerpią siłę i pociechę. Jest to najlepszy dowód skuteczności leż księcia Bładuda i przemawia za prawdziwością tej wersji legendy.

* * *

Pan Pickwick ziewnął kilkakrotnie, gdy skończył czytać ten mały rękopis; złożył go starannie i schował do szuflady, po czym z twarzą wyrażającą niewątpliwie zmęczenie zapalił świecę i udał się do siebie na górę.

Według zwyczaju zatrzymał się przed drzwiami pana Dowlera i zapukawszy lekko, powiedział mu „Dobranoc”.

— A! — zawołał pan Dowler — idzie pan spać? Bardzo bym pragnął uczynić to samo. Co za szkaradny czas! Czy słyszy pan, jak wyje wichry?

— Okropnie! — odrzekł pan Pickwick. — Dobranoc.

— Dobranoc.

Pan Pickwick poszedł do swej sypialni, a pan Dowler znowu zasiadł przed kominkiem, by spełnić nierozsądne przyrzeczenie, że będzie czekać na powrót swej żony.

Mało jest rzeczy tak nieprzyjemnych jak czuwanie i czekanie na kogokolwiek, zwłaszcza gdy osoba, na którą czekamy, bawi się tymczasem w najlepsze. Trudno się opędzić myśli, iż czas, który nam wlecze się tak powoli, osobie tej upływa bardzo szybko, a im więcej o tym myślimy, tym mniej mamy nadziei, by wnet przybyła. Nawet stuk zegara jest wówczas jakby powolniejszy. To zdaje się nam, iż czujemy świerzby w prawym kolanie, to znów w lewym; gdy tylko zmienimy położenie, doznajemy takiego samego uczucia w ramieniu; kurczymy się i wykręcamy na tysiąc sposobów; wtem zaświerzbialo w nosie, który zaczynamy drapać, jakbyśmy go chcieli wyrwać, co też uczynilibyśmy niezawodnie, gdyby tylko było można. Wszystkie te przypadłości nerwowe i wiele innych tym podobnych czynią bardzo wątpliwą przyjemność czuwania, kiedy już wszyscy w domu pokładli się spać.

Takiego też zdania był pan Dowler, który siedząc przy kominku odczuwał cnotliwe oburzenie na nieludzkich tancerzy zmuszających go do niespania. Humor jego wcale przy tym się nie polepszał na myśl, iż to on sam udał ból głowy, by pozostać w domu. W końcu zdrzemnąwszy się wpierw kilkakrotnie, przy czym parę razy pochylił się ku kominkowi iomalże nie poparzył sobie twarzy, pan Dowler postanowił położyć się na chwilę, rozumie się nie dlatego, by spać, ale by myśleć.

— Mam sen bardzo twardy — powiedział do siebie, wyciągając się na łóżku — ale zdaje mi się, że usłyszę, gdy zapukają do drzwi. Tak, tak, będę słyszał... przecież słyszę kroki nocnego stróża... Ach, ach!...

Doszedłszy do tego punktu pan Dowler odwrócił się i usnął głęboko.

W chwili gdy zegar wybijał trzecią, lektyka z panią Dowler zatrzymała się przed domem. Niosło ją dwóch tragarzy: jeden krótki, gruby, drugi wysoki i chudy; w czasie drogi zadawali sobie wiele trudu, by swe ciała, a także i lektykę, utrzymać w położeniu pionowym. Ale na wyższych miejscach i w pobliżu placu wiatr dał i targał tak ohydnie, jak gdyby chciał powyrywać kamienie z bruku, tragarze byli więc ucieszeni, gdy lektykę postawili na miejscu przeznaczenia, i zaczęli mocno pukać do drzwi.

Czekano jakiś czas, ale nikt nie wychodził.

— Hołota spoczywa pewnie w ramionach Purpusa — rzekł krótki tragarz, grzejąc sobie ręce przy pochodni trzymanej przez chłopaka, który ją niósł.

— Mógłby ich szturchnąć, by się obudzili — zauważył drugi.

— Zastukajcie jeszcze raz! — zawołała pani Dowler. — Dwa albo trzy razy.

Niższy, który jak najprędzej chciał się pozbyć swych obowiązków, stanął pod drzwiami i zaczął stukać co miał sił, w partiach po cztery, pięć, osiem i dziesięć uderzeń, gdy natomiast długi stanął na ulicy i patrzył, czy nie zauważy w oknie światła.

Lecz nikt nie wyszedł. Było cicho i ciemno jak przedtem.

— Ach, mój Boże! — zawołała pani Dowler. — Stukajcie jeszcze...

— Czy nie ma tu dzwonka? — zapytał jeden z tragarzy.

— Jest — odpowiedział drugi. — Targam nim już od dawna.

— To tylko rączka — rzekła pani Dowler — drut przerwał się. Ale zmiłujcie się, stukajcie jeszcze.

Znów zaczęło się gwałtowne stukanie, ale z tym samym wynikiem co poprzednio. Cierpliwość długiego wyczerpała się, bił więc nieustannie potężnymi uderzeniami w drzwi niby jakiś obłąkany listonosz.

W końcu pan Winkle począł śnić, iż znajduje się w klubie, którego członkowie robią wielki hałas, a prezydent musi ciągle uderzać w stół, by utrzymać porządek. Potem zdawało mu się, iż jest na licytacji, gdzie nie było nabywców i komisarz sam wszystko kupował. Wreszcie przyszło mu na myśl, iż bardzo możliwe, że ktoś stuka we drzwi od ulicy. By się o tym należycie upewnić, podniósł się z łóżka i słuchał koło dziesięciu minut. Naliczywszy trzydzieści dwa uderzenia przekonał się, iż przypuszczenie jego było słuszne, i bardzo był zadowolony, że jest tak czujny.

— Tap, tap—tap, tap—tap, tap — rozległa się kołatka.

Pan Winkle, niezmiernie zdziwiony, wyskoczył z łóżka i pytał siebie, co by to być mogło, potem prędko wdział pantofle i szlafrok, zapalił małą świecę i szybko zszedł po schodach.

— Na koniec przebudził się ktoś — rzekł tragarz.

— Popędziłbym go biczem — mruknął drugi.

— Kto tam? — zawołał pan Winkle, odsuwając rygiel.

— Nie pytaj, ty barania głowo — gniewnie odparł długi, który nie przypuszczał, by był to kto inny niż służący. — Otwieraj!

— Prędzej tam, ty leniuchu — dodał niski zachęcająco.

Pan Winkle, na pół tylko przebudzony, machinalnie posłuszny temu wezwaniu, otworzył drzwi i popatrzył na ulicę. Pierwsze, co dostrzegł, było czerwone światło pochodni przed lektyką. Przerażony tym niespodziewanym widokiem, sądząc, że się pali, otworzył szeroko drzwi, podniósł swą świecę nad głowę, wyszedł i w osłupieniu patrzył przed siebie, nie mogąc zmiarkować, czy widzi lektykę, czy sikawkę. W tej chwili wiatr zgasił świecę, a pan Winkle wyleciał na ulicę, po czym drzwi z trzaskiem zamknęły się znowu.

— A to się spisał! — zawołał tragarz.

Ale pan Winkle, dostrzegłszy kobiecą twarz w lektyce, cofnął się nagle i zaczął gwałtownie stukać do drzwi, jednocześnie wrzeszcząc na tragarzy jak szalony, by odeszli z lektyką cośkolwiek na stronę.

— Odnieście ją! Odnieście! Mój Boże! Ktoś wychodzi z sąsiedniego domu! Ukryjcie mnie! Ukryjcie choć w lektyce! — wył pan Winkle.

Wymawiając te słowa bez związku, pan Winkle drżał od zimna, gdyż wiatr rozdymał mu szlafrok w sposób bardzo niemiły.

— Jakieś towarzystwo nadchodzi... damy!... Okryjcie mię czymkolwiek!... Stańcie przede mną... — wołał zrozpaczony.

Ale tragarze tak pokładali się od śmiechu, że nie mogli mu udzielić choćby najmniejszej pomocy; tymczasem damy zbliżały się.

Pan Winkle raz jeszcze beznadziejnie zastukał do drzwi, damy znajdowały się o parę tylko domów. Rzucił zgaszoną świecę, którą przez cały czas trzymał nad głową, i wskoczył do lektyki, w której była pani Dowler.

Tymczasem pani Craddock słyszała wołanie i stukanie, włożyła więc na głowę coś bardziej właściwego niż nocny czepek i pobiegła do pokoju od strony ulicy, by przekonać się, czy to pani Dowler; w tej właśnie chwili, gdy wyglądała przez okno, pan Winkle wskakiwał do lektyki. Na ten widok gospodyni krzyknęła przeraźliwie i poczęła wołać na pana Dowlera, by przybył natychmiast i nie dopuścił do ucieczki żony z jakimś gentlemanem.

Na ten krzyk i na tę okropną wiadomość pan Dowler wyskoczył z łóżka jak piłka gumowa i pobiegł do okna pokoju na froncie, gdy tymczasem pan Pickwick zbliżył się także do swojego okna. Pierwszym przedmiotem, jaki zobaczyły ich zdumione oczy, był pan Winkle usiłujący wedrzeć się do lektyki.

— Stróżu nocny! — zawołał pan Dowler z wściekłością — łapaj go! Trzymaj! Wiąż! Ja zaraz zejde! Poderżnę mu gardło! Dajcie mi nóż! Od ucha do ucha, pani Craddock!

Odgrązając się tak okropnie, obrażony małżonek wyrwał się z objęć gospodyni pana Pickwicka, pochwycił mały nóż deserowy i wybiegł na ulicę.

Ale pan Winkle nie czekał na niego. Zaledwie usłyszał straszne pogrożki mężnego Dowlera, wyskoczył z lektyki jak mógł najszybciej i pozostawiając swe pantofle na ulicy, pomknął po placu, ścigany przez nocnego stróża i pana Dowlera. Zakreślając w pogoni tej koło znalazł się znów przy otwartych drzwiach domu pani Craddock; wpadł tam, zatrzaskał drzwi za sobą, potem wbiegł do swej sypialni i zatrzaskał również drzwi, zabarykadował je kufrem, stołem i umywalnią; dokonawszy tego począł pakować najpotrzebniejsze rzeczy, by z brzaskiem dnia uciec.

Tymczasem Dowler piorunował z drugiej strony drzwi nieszczęśliwego pana Winkle'a, oświadczając przez dziurkę od klucza swe nieodwołalne postanowienie poderżnięcia mu gardła nazajutrz rano. W końcu, po wielkim hałasie, wśród którego słyszano głos pana Pickwicka usiłującego przywrócić spokój, mieszkańcy domu rozeszli się do swych sypialni i wszystko ucichło.

Być może, że czytelnicy nasi zapytają, co przez ten czas porabiał Sam Weller? Odpowiemy na to w następnym rozdziale.

Rozdział trzydziesty siódmy **uczciwie przedstawia powody nieobecności pana** **Samuela Wellera, przyjęcie, na które był zaproszony i na** **które poszedł, oraz opowiada, jak otrzymał on od pana** **Pickwicka polecenie natury delikatnej i osobistej**

— Panie Weller — powiedziała pani Craddock z rana w ów obfitujący w wypadki dzień.
— Jest list do pana!

— Bardzo mi przykro — powiedział Sam. — Przypuszczam, że coś się stało, nie przypominam bowiem sobie, by któryś ze znajomych mi gentlemanów posiadał sztukę pisania!

— Może stało się coś nadzwyczajnego! — poddała pani Craddock.

— Rzeczywiście, musiało zajść coś bardzo nadzwyczajnego, jeżeli któryś z moich przyjaciół zdecydował się napisać! — powiedział Sam, z powątpiewaniem kiwając głową.
— Zwykle konwulsje, jak powiedział młodzieniec, gdy dostał ataku. To nie może być od starego — dodał, patrząc w tym kierunku. — Pisze drukowanymi, bo nauczył się pisać z wielkich szyldów po karczmach... To bardzo dziwne! Kto mógł napisać ten list? To mówiąc Sam uczynił to, co czyni większość ludzi, gdy nie wie, od kogo pochodzi list: spojrzął na pieczęć, potem na adres, potem na odwrotną stronę koperty, potem na dopisek, jako na ostatnią deskę ratunku, chociaż mógłby równie dobrze zajrzeć do wnętrza i dowiedzieć się czegoś pewnego.

— Pisany na papierze ze złożonymi brzegami! — powiedział Samuel, rozkładając list.
— I zalakowany brązowym lakiem i kluczem. No jazda! — Robiąc bardzo uroczystą minę pan Weller przeczytał, co następuje:

Dobrane kółko służących w Bath przesyła pozdrowienia panu Samuelowi Wellerowi i upomina się o przyjemność spędzenia w jego towarzystwie miłego wieczoru przy koleżeńskej pogawędce, to jest przy gotowanej baraninie z odpowiednimi dodatkami. Towarzystwo zasiądzie do stołu punktualnie o godzinie wpół do dziesiątej.

Do tego była dodana druga epistoła śpiewająca, jak następuje:

Pan John Smauker, gentleman, który miał zaszczyt spotkać pana Wellera przed paru dniami u ich wspólnego znajomego pana Bantama, ma przyjemność przesłać panu Wellerowi niniejsze zaproszenie. Jeżeli pan Weller zechce przybyć do pana Johna Smaukera o godzinie dziewiątej, to pan John Smauker będzie miał przyjemność przedstawić go towarzystwu.

(podpisano) *John Smauker*

Na kopercie był adres: pan Weller, Esq., u pana Pickwicka, a w nawiasie w lewym kącie, jako instrukcja dla oddawcy — „Bardzo pilne!”.

— Hm! — powiedział Sam. — To brzmi nobliwie! Nigdy nie słyszał, żeby gotowaną baraninę nazywano pogawędką! Ciekawym, jak mówią o pieczeni baraniej!

Nie zastanawiając się jednak dłużej nad tą kwestią, Sam niezwłocznie stanął przed obliczem pana Pickwicka i prosił o urlop na wieczór; udzielono mu go. Otrzymawszy pozwolenie i klucz od bramy Sam Weller wyszedł na chwilę przed oznaczoną porą i wolno poszedł w kierunku Queen Square. Zaledwie tam doszedł, ujrzał upudrowaną głowę pana Johna Smaukera, który oparty o latarnię, palił cygaro w bursztynowej cygarnicze.

— Jak się pan ma, panie Weller? — spytał pan John Smauker, uprzejmie zdejmując kapelusz jedną ręką, a drugą łaskawie kiwając Samowi. — Jak się pan miewa?

— Rozsądnie i zadowolająco! — odpowiedział Sam. — Ale jak pan się czuje, drogi panie?

— Tak sobie! — odpowiedział John.

— Bo pan za ciężko pracuje! — zauważył Sam. — Bałem się o pana! Tak nie można! Tak nie można! Nie powinien pan dawać ucha tym szkodliwym podszeptom pracowitości!

— Nie, to nie to — odpowiedział pan John Smauker. — Boję się, że przeholowałem.

— O, czyżby? — zainteresował się Sam. — To bardzo zły znak!

— Widzi pan, panie Weller, pokusy! — tłumaczył się John.

— Och, naturalnie!

— Jestem zmuszony obracać się w najwyższym towarzystwie! — westchnął Smauker.

— To straszne! — ubolewał nad nim Sam.

— Inaczej nie można! — mówił pan Smauker. — Jeżeli los skazał cię na życie publiczne i wysunął na publiczne stanowisko, wystawiony jesteś na pokusy, od których wolni są inni ludzie! Tak, tak, panie Weller!

— Słowo w słowo to samo mawiał mój wujek, kiedy wystąpił na arenę publiczną — zawołał Sam. — A miał stary gentleman rację! Bo się zapił na śmierć coś w parę kwartałów!

Pan Smauker spojrział głęboko obrażony, że ośmielono się porównać go z tym śp. gentlemanem. Ale ponieważ oblicze Sama wyrażało kamienny spokój, darował mu nietakt i spojrział łaskawiej.

— Może już pójdziemy? — spytał pan Smauker, spojrzawszy na spoczywający w głębi kieszeni mosiężny czasomierz, wyciągany na powierzchnię przy pomocy czarnego sznurka, na którego drugim końcu wisiał mosiężny klucz.

— Możemy — powiedział Sam. — Bo jeszcze przegotują baraninę i będzie po zabawie.

— Pija pan wody? — spytał Smauker, gdy skręcili na High Street.

— Raz spróbowałem

— I co pan sądzi?

— Że paskudna!

— Nie lubi pan szczawy?

— Nawet nie zauważyłem, że to szczawa. Dla mnie po prostu jechała starym żelastwem.

— To się właśnie nazywa szczawa — powiedział John Smauker ze zgorszeniem.

— Jeżeli tak, to się pięknie nazywa — powiedział Sam. — Ale ja nie robię w chemii, więc nie wiem! — I tu ku wielkiemu zgorszeniu Johna Smaukera zaczął gwizdać.

— Przepraszam pana, panie Weller — powiedział Smauker, znękany tą nieco zbyt jaskrawą wesołością. — Zechce pan przyjąć moje ramię?

— Dziękuję! Nie chcę pozbawiać pana pańskiego ramienia! — odrzekł Sam. — Wolę wpakować łapy do kieszeni. Nie sprawi to panu różnicy, prawda? — mówiąc to, Sam wprowadził swoje słowa w czyn i zagwizdał głośniejszym niż przedtem.

— Tędy! — powiedział jego nowy przyjaciel, z widoczną ulgą skręcając w boczną uliczkę. — Zaraz dojdziemy.

— Tak? — spytał Sam, bynajmniej nie wzruszony bliskim spotkaniem z kółkiem dobrych służących.

— Tak — powiedział Smauker. — Niech się pan nic nie boi, panie Weller!

— Nie, nie boję się!

— Zobacz pan kilka ślicznych liberii, panie Weller — ciągnął Smauker. — Może niektórzy z gentlemanów wydadzą się panu z początku trochę nadęci, ale to im przejdzie!

— To bardzo pocziwie z ich strony!

— Widzi pan — powiedział Smauker tonem wspaniałomyślnie protekcyjnym — ponieważ będzie pan w tym towarzystwie obcy, więc z początku będą się pewnie zachowywali trochę z wysoka.

— Ale nie będą dla mnie okrutni, co?

— Nie, nie — odpowiedział pan Smauker, wyjmując tabakierkę z lisią głową i biorąc niuch tabaki ruchem gentlemana, — Są między nami ludzie weseli, którzy potrafią się bawić! Ale nie powinien pan mieć im tego za złe! Nie powinien pan!

— Postaram się znieść taki zaczepty talent!

— Słusznie! — powiedział Smauker, chowając głowę lisa i podnosząc własną. — Będę przy panu!

Tak gawędząc, doszli do małego sklepiku. Pan Smauker wszedł pierwszy. Sam za nim. Znalazłszy się wreszcie za swoim przewodnikiem, Sam rozpoczął natychmiast serię najweselszych grymasów oraz innych demonstracji zdradzających wesoły stan jego ducha.

Minawszy sklepik i powiesiwszy kapelusz na haku, weszli przez ciemny pasaż do małej bawialni. I tu oczom pana Weller przedstawił się wspaniały widok w całej swojej okazałości. Pośrodku pokoju stało kilka zestawionych stołów, przykrytych czterema czy pięcioma obrusami, pochodzącymi z rozmaitych epok i rozmaitych prań, ale udającymi jednolitość, o ile wyżej wymienione okoliczności na to pozwalały. Na obrusach leżały noże i widelce dla sześciu lub ośmiu osób. Niektóre z trzonków od noży były zielone, inne czerwone, jeszcze inne żółte. A ponieważ wszystkie trzonki widelców były czarne, barwy te tworzyły razem bardzo interesującą kombinację. Przed kratą kominka ustawiono talerze dla tyluż osób. Goście grzali się przed kominkiem: rej między nimi wodził otyły, wielki jegomość w czerwonym fraku z długimi połami, w jaskrawopąsowych pantalonach i stosowanym kapeluszu. Widocznie wszedł przed chwilą, gdyż trzymał jeszcze w ręku nie tylko kapelusz, ale i laskę, jaką gentlemani jego profesji piastują zwykle nad dachami karet.

— Mówią mi, że wyglądam kwitnąco! — powiedział posiadacz wspaniałego kapelusza. Smauker podał koniec małego palca prawej ręki jegomościowi we wspaniałym kapeluszu i powiedział, że jest oczarowany, widząc go w tak dobrym zdrowiu.

— Mówią mi, że wyglądam kwitnąco — powtórzył posiadacz wspaniałego kapelusza. — Nic dziwnego! Jeździłem w ostatnich dniach po dwie godziny dziennie z naszą starą. A jeśli ustawiczna kontemplacja namaszczenia, z jakim obnosi swoją odwieczną lawendową szatę, nie wystarcza, żeby człowiek zwątpił o życiu, to niech mi wejdą na moją kwartalną pensję!

Na to całe towarzystwo zaśmiało się bardzo serdecznie, a jeden z gentlemanów w zielonej kurtce z lampasem, jaki noszą stangreci, szepnął sąsiadowi w zielonych pantalonach, że Tuckle jest dziś w „dobrym nastroju”.

— Słuchaj no, Smauker — powiedział Tuckle i coś szepnął mu do ucha.

— Och, zupełnie zapomniałem! — powiedział John Smauker. — Panowie! Mój przyjaciel, pan Weller!

— Przykro mi, że panu zasłaniam ogień, panie Weller! — zawołał Tuckle, skinąwszy Samowi życzliwie. — Mam nadzieję, że panu nie zimno!

— Ani trochę, panie Płomienisty! — odpowiedział Sam. — Tylko skończony zmarzlak czułby zimno w pańskiej obecności! Słowo daję! Gdyby postawiono pana przed kominkiem w karczmie, gospodarz mógłby sporo oszczędzić na węglu!

Ponieważ odpowiedź ta była wyraźnie osobistą aluzją do pąsowego stroju pana Tuckle’a, gentleman ów przez chwilę miał minę majestatyczną, ale potem odszedł od ognia i przyznał, że to wcale nieźle!

— Bardzom wdzięczny za pochlebne zdanie o mnie — zawołał Sam. — Na wszystko przyjdzie kolej! Będzie jeszcze lepiej!

Tu rozmowę przerwało wejście gentlemana w pomarańczowej aksamitnej liberii oraz drugiego w stroju purpurowym i niezwykle długich pończochach. Kiedy nowo przybyli zostali powitani przez zebranych gości, pan Tuckle zarządził, by podawano kolację, czemu reszta towarzystwa przyklasnęła jednogłośnie.

Sklepikarz i jego żona ustawili na stole gotowany udziec barani, na gorąco, z kartoflami, sosem kaparowym i brukwią. Pan Tuckle zajął miejsce honorowe, naprzeciw niego zasiadł gentleman w pomarańczowych aksamitach. Sklepikarz naciągnął białe skórkowe rękawiczki do prania i stanął za krzesłem pana Tuckle’a.

— Harris! — zawołał pan Tuckle rozkazującym głosem.

— Słucham pana! — odpowiedział sklepikarz.

— Włożyłeś rękawiczki?

— Tak jest, proszę pana!

— Podaj nóż!

— Słucham pana!

Sklepikarz spełnił polecenie z oznakami największego szacunku. Podając nóż panu Tuckle’owi ziewnął od ucha do ucha.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — bardzo surowo zwrócił się do niego pan Tuckle.

— Przepraszam pana — powiedział przerażony i zgnębiony sklepikarz. — Nie chciałem... wysnęło mi się... Późno się wczoraj położyłem!

— Powiem ci, co o tobie myślę — powiedział pan Tuckle z naciskiem. — Jesteś ordynarne bydlę!

— Mam nadzieję, panowie — powiedział Harris — że nie będziecie dla mnie bardzo surowi! Jestem panom bardzo wdzięczny za patronowanie mi i proszę o rekomendowanie innym, gdy potrzebują dobrej usługi... Mam nadzieję, że potrafię panów zadowolić!

— Nie bardzo, mój panie! — powiedział Tuckle. — Jeszcze ci do tego daleko!

— Jesteś nieuważny nygus! — powiedział gentleman w pomarańczowych aksamitach.

— Zwykły rzezimieszek! — dodał gentleman w zielonych pantalonach.

— Niewiarygodny blagier! — dodał gentleman w purpurze.

Nieszczęśliwy sklepikarz kłaniał się bardzo nisko, gdy obrzucano go tymi epitetami z tyranią właściwą ludziom małym.

Kiedy już każdy dodał coś od siebie, żeby pokazać swoją wyższość, pan Tuckle zabrał się do krajania baraniny i obdzielania gości.

Zaledwie przystąpiono do najważniejszego punktu programu na ten wieczór, gdy drzwi otworzyły się i wszedł jegomość w błękitnym ubraniu i skórzanych trzewikach.

— Wbrew prawom! Wbrew prawom! — powiedział pan Tuckle. — Za późno! Za późno!

— Nie, nie! Pozytywnie nie mogłem wcześniej! — powiedział gentleman w błękitnym stroju.

— Odwołuję się do kompanii! Sprawa honorowa! Obowiązki galanterii! Teatr!

— Właśnie — powiedział gentleman w pomarańczowym aksamicie.

— Naprawdę, jak Boga mego kocham — powiedział człowiek w błękitnym stroju. — Obiecałem najmłodszej córce, że przyjadę po nią do teatru o dziesiątej! A to taka przemiała dziewczyna, że nie miałem serca nie dotrzymać słowa! Żadna obraza dla kompanii, bo szło o spódnicę! A kiedy w grę wchodzi spódnica — wszystko na bok!

— Od dawna mam wrażenie, że coś się święci w tej materii! — powiedział Tuckle, gdy nowo przybyły zajął miejsce obok Sama. — Zauważyłem parę razy, że coś za bardzo opiera się o twoje ramię, kiedy wsiada do karety albo wysiada z niej!

— Nie powinienesz, Tuckle, nie powinienesz! — zawołał gentleman w błękitach. — To nieładnie! Możem i powiedział do tego czy owego z przyjaciół, że to boska istota i że odrzuciła kilka znakomitych partii! Ale żeby tak zaraz... przed obcymi! A nie! Tuckle, to nieładnie! To nieładnie! Delikatności, przyjacielu, więcej delikatności! — i gentleman w błękitach, zdjawszy chustkę z szyi i odrzuciwszy połę kurtki, zaczął chrząkać i marszczyć się, jakby miał niejedno jeszcze do powiedzenia, ale nie mówi przez poczucie delikatności.

Gentleman w błękitach był to jasnowłosa, prosty jak struna, wyrobiony lokaj, z twarzą żywą i zuchwałą; od razu też zwrócił na siebie uwagę pana Wellera, ale kiedy zaczął z tej beczki, Sam postanowił koniecznie podtrzymać z nim znajomość. Natychmiast więc wmieszał się do rozmowy z tak charakterystyczną dla niego nonszalancją.

— Pańskie zdrowie! Ogromnie mi się podoba to, co pan mówi! Kapitalne!

Błękitny uśmiechnął się, jakby komplement taki nie był dla niego pierwszozną. Spojrzał jednak z uznaniem na Sama i powiedział, że muszą się koniecznie bliżej poznać, bo — bez pochlebstw — Sam ogromnie mu się podoba i bardzo przypadł mu do serca.

— Zazdroszczę panu! — powiedział Sam. — Szczęściarz z pana!

— Jak to pan rozumie? — spytał błękitny.

— Z tą młodą damą, panie — odpowiedział Sam. — Wie, co dobre! Ma gust! — Tu pan Weller przymknął jedno oko i zaczął kiwać głową na obie strony w sposób bardzo pochlebny dla gentlemana w błękitach.

— Boję się, że straszny z pana spryciarz, panie Weller! — powiedział błękitny gentleman.

— Nie, nie! — odrzekł Sam. — Spryt zostawiam panu! To raczej po pańskiej stronie niż po mojej, jak powiedział gentleman stojący za murem do gentlemana stojącego przed murem, kiedy na niego pędził rozwścieczony buhaj!

— Zdaje mi się, panie Weller — mówił błękitny — że nie mogła nie zauważyć moich manier i prezencji!

— Spodziewam się, że potrafiłaby o tym niejedno powiedzieć!

— Czy ma pan coś podobnego? — spytał szczęśliwy gentleman w błękitach, wyjmując z kieszeni kamizelki wykałaczkę.

— Właściwie, to nie — odrzekł Sam. — Nie mamy córek, bobym z pewnością zdobył coś takiego! Tak, jak u nas rzeczy stoją, to przypuszczam, że mógłbym myśleć co najwyżej o markizie... Ale gdyby oświadczyła mi się młoda panna bez tytułu, ale z wielkim majątkiem — powiadam, gdyby wyznała mi swoją gorącą miłość — kto wie? Ale tylko wtedy.

— Naturalnie, panie Weller! — powiedział gentleman w błękitach. — Niepodobna dać sobie każdej zawrócić w głowie! Coś o tym wiemy, panie Weller! My, ludzie światowi! W końcu dobry uniform zrobi swoje, kiedy chodzi o kobiety! Nawiasem mówiąc, to jedno ułatwia takim ludziom, jak pan albo ja, nasz zawód!

— W sednoś pan trafił! Naturalnie! — zawołał Sam.

Kiedy rozmowa przyjaciół doszła do tego punktu, wniesiono szklanki i każdy z gentlemanów zamówił, zanim zamkną karczmy, coś do picia. Gentleman w błękitach i gentleman w pomarańczowych aksamitach, najznakomitsze osobistości w tej kompanii, zamówili sobie „zimny syrop i wodę”, ale co do innych, to widocznie ulubionym ich napojem była gorąca woda z dżinem. Sam nazwał sklepikarza „rozpaczliwym niedojdą” i zażądał wielkiej wazy ponczu: dwie te okoliczności podniosły go znacznie w oczach wszystkich.

— Gentlemani! — zaczął gentleman w błękitach z miną skończonego dandysa. — Mówmy o damach. Dalej!

— Słuchajcie! Słuchajcie! — zawołał Sam. — O młodych dziewczątceczkach!

Tu głośno zawołano: — Do porządku! — i pan John Smauker jako ten, który wprowadził pana Sama do kompanii, poprosił o pozwolenie poinformowania go, że użyty przez niego wyraz jest nieparlamentarny.

— Jaki wyraz? — spytał Sam.

— Dziewcątceczka — powiedział Smauker, marszcząc się groźnie. — My tutaj nie uznajemy takiego różniczkowania!

— Doskonale! — powiedział Sam. — Zmazuję tamto określenie i powiem po prostu „lube istoty”, jeśli oczywiście Płomienisty pozwoli!

Na twarzy jegomościa w zielonych pantalonach odbiło się wahanie, czy można dopuścić, żeby prezesa oficjalnie nazywano Płomienistym, ale ponieważ kompania zachowywała się w ten sposób, jakby jej chodziło o jej prawa, a nie o jego, nie podnosił więc tej kwestii. Człowiek we wspaniałym kapeluszu posapał chwilę, spojrzął przeciągle na Sama, ale widocznie skombinował, że lepiej go nie zaczepiać, bo można oberwać jeszcze więcej.

Po krótkiej pauzie jegomość w haftowanym surducie, sięgającym mu aż do pięt, i w takiejże kamizelce, okrywającej mu nogi do połowy łydki, zmieszał bardzo energicznie swój dżin z wodą i nagłym wysiłkiem podniósł się na równe nogi, oznajmił, że pragnie oświadczyć coś kompanii, na co gentleman w stosowanym kapeluszu odrzekł, że kompania chętnie posłucha, co gentleman w haftowanym surducie ma zamiar jej oznajmić.

— Wiem, że dopuszczam się zbytnej śmiałości, zabierając wobec was głos — zaczął gentleman w długim surducie. — Mam nieszczęście być tylko stangretem i jestem w tym miłym gronie tylko członkiem honorowym, ale czuję się zmuszony, gentlemani — po prostu przyciśnięty do muru! — jeżeli wolno mi użyć tego wyrażenia — donieść o smutnym zdarzeniu, które mi zakomunikowano. Gentlemani, nasz przyjaciel, pan Whiffers (wszyscy spojrzeli na gentlemiana w pomarańczowych aksamitach), nasz

przyjaciel, pan Whiffers, zgłosił rezygnację! Ogólne zdumienie padło na słuchaczy. Każdy z gentlemanów spojrział na sąsiada, a potem podniósł wzrok na stangreta.

— Wolno się panom dziwić — ciągnął stangret. — Nie ośmielę się podać powodów tej niczym nie dającej się okupić straty, ale proszę pana Whiffersa, by sam je wyjawiał ku zbudowaniu i nauce swoich przyjaciół!

Ponieważ głośno aprobowano projekt stangreta, pan Whiffers zaczął się tłumaczyć. Powiedział, że powinien był, być może, trzymać się posady, z której właśnie zrezygnował. Uniform był wprost wspaniały, kobiety w tej rodzinie przyjemne, a obowiązki związane z sytuacją, że się tak wyrazi, niezbyt uciążliwe: głównym jego zadaniem było stać w hallu i wyglądać oknem wraz z innym gentlemanem, który również zgłosił rezygnację. Chętnie oszczędziłby kompanii przykrych i niesmacznych szczegółów, które skłoniły go do jej zgłoszenia, ale ponieważ zażądano tego od niego, nie ma innej alternatywy. — Podawano mu zimne mięso!

Niepodobna opisać obrzydzenia, jakie to wyznanie wywołało u słuchaczy. Głośne okrzyki „hańba!” mieszały się z szemraniem i pomrukami, przynajmniej przez kwadrans.

Pan Whiffers dodał jeszcze, iż obawia się, że z jego własnej winy spotkały go te obelgi: przypomina sobie, że raz zgodził się, by mu podano solone masło do chleba, a drugi raz znowu, biorąc pod uwagę chorobę w domu, zapomniał się tak dalece, że zaniósł węgle aż na drugie piętro! Sądzi jednak, że to szczere wyznanie nie poniży go w oczach przyjaciół, że zrehabilitował się chyba energią, z jaką odpowiedział na ostatnią niesłychaną obelgę.

Wyznanie pana Whiffersa przyjęto z niekłamanym zachwytem, a zdrowie biednego męczennika wypito z bezgranicznym entuzjazmem. Męczennik podziękował i zaproponował zdrowie gościa, pana Wellera. Choć nie zna bliżej tego gentlemana, ale fakt, że jest on przyjacielem pana Smaukera, powinien być dostateczną rekomendacją dla każdego gentlemana wszędzie i zawsze! Z tych to względów wypiłby zdrowie pana Wellera ze wszystkimi należnymi honorami, gdyby przyjaciele jego pili wino. Ponieważ jednak piją dla odmiany gorące napoje i ponieważ nie było rzeczą wskazaną wypijać do dna szklankę za każdym zdrowiem, proponuje, by honory „rozumiano figuralnie”!

Gdy skończył, każdy pociągnął za zdrowie Sama, Sam wypił swoje zdrowie dwiema szklankami ponczu i podziękował zebranyemu pięknym przemówieniem:

— Strasznie wdzięczny wam jestem, moi chłopcy — powiedział Sam, sięgając po poncz w sposób możliwie naturalny — za te tutaj życzenia, które, pochodząc od takich ludzi, są specjalnie pochlebne. Dużom słyszał o was, alem nie myślał, że osobiście potraficie być tacy mili. Mam nadzieję, że weźmiecie się w kupę i nie skompromitujecie swej godności, wychodząc stąd, choć to bardzo miły widok i zawszem na niego patrzył z przyjemnością, kiedym był jeszcze nie wyższy od łaski naszego przyjaciela, pana Płomienistego! A co się tyczy ofiary opresji w żółtej szacie, dufam, że będzie miał gładkie życie, na co zasłużył. Wówczas nie spotkają go już żadne przykrości!

Tu Sam zsiadł z miłym uśmiechem, kompania zaś, głośno pochwaliwszy jego przemówienie, zaczęła się rozchodzić.

— Nie myśli pan chyba zwać? — spytał Sam swego przyjaciela Johna Smaukera.

— Muszę — odrzekł Smauker. — Obiecałem Bantamowi!

— To co innego! — powiedział Sam. — Może i on by zrezygnował, gdyby mu pan skrewił! Ale przecież pan nie odchodzi, panie Płomienisty?

— Owszem, odchodzę! — odrzekł gentleman w stosowanym kapeluszu.

— Nie zostawisz pan chyba za sobą trzech czwartych wazy ponczu! Nie gadaj pan głupstw! — zawołał Sam. — Siadaj pan!

Pan Tuckle nie dał się prosić. Odłożył na bok kapelusz i laskę, które przed chwilą był ujął, i oznajmił, że wypije szklaneczkę z przyjaciółmi!

Ponieważ gentleman w błękitach szedł tą samą drogą co pan Tuckle, więc również został. Kiedy wypito połowę ponczu, Sam kazał przynieść ze sklepu ostryg. Efekt był tak rozweselający, że pan Tuckle, w stosowanym kapeluszu na głowie i z laską w rękę, odtańczył „taniec żab” na stole między talerzami i szklankami, błękitny zaś jegomość akompaniował mu na instrumencie skonstruowanym z kawałka papieru i włosa. Wreszcie, kiedy poncz miał się już ku końcowi — a noc również — postanowili rozejść się do domów. Pan Tuckle oznajmił, że nie wyjdzie na świeże powietrze, jeżeli nie pozwolą mu położyć się na progu. Sam uznał za bezlitosne sprzeciwiać się panu Tuckle’owi, więc pozwolono mu robić, jak chce. Ponieważ stosowany kapelusz mógłby się przy tym pognieść, Sam wsunął go na łeb jegomościowi w błękitach, wsadził mu do ręki laskę pana Tuckle’a i podprowadziwszy pod dom, zadzwonił. Po czym spokojnie udał się do siebie.

* * *

Na drugi dzień rano pan Pickwick, zupełnie ubrany, wcześniej niż zwykle zadzwonił na swego wiernego sługę.

Gdy Sam wszedł, filozof kazał zamknąć drzwi i przemówił:

— Samie, tej nocy wydarzył się tu smutny wypadek, wskutek którego pan Winkle ma powód obawiać się gwałtowności pana Dowlera.

— Tak jest, panie, słyszałem o tym od gospodyni.

— Przykro mi dodawać — mówił dalej filozof, widocznie zaniepokojony i oburzony — iż obawiając się tej gwałtowności pan Winkle wyjechał.

— Odjechał?

— Opuścił ten dom dziś rano, nie powiedziawszy ani słowa i pojechał nie wiadomo dokąd.

— Powinien był pozostać — rzekł Sam tonem stanowczym — niewiele potrzeba, by uśmierzyć tego Dowlera.

— Być może, Samie, że i ja także mam pewne wątpliwości co do jego męstwa; ale jakkolwiek jest, pan Winkle odjechał. Trzeba go odnaleźć Samie, odnaleźć i sprowadzić do mnie.

— A jeżeli nie zechce?

— Trzeba tak zrobić, by zechciał, Samie.

— A któż podejmie się tego? — zapytał Sam z uśmiechem.

— Ty.

— Bardzo dobrze.

Po tych słowach Sam wyszedł z pokoju i wkrótce potem pan Pickwick usłyszał, jak zamykał drzwi od ulicy. Po upływie dwóch godzin powrócił spokojny, jakby spełnił najzwyczajniejsze zlecenie, i powiadomił, że jakaś osoba, bardzo podobna do pana Winkle’a, odjechała rano dyliżansem do Bristolu.

— Samie — rzekł pan Pickwick — nieoceniony z ciebie chłopak. Udasz się w pogoń za nim, Samie.

— Dobrze, panie.

— Jak tylko go znajdziesz, napisz zaraz do mnie. Gdyby usiłował uciec, przytrzymaj go, powal na ziemię, zwiąż. Przekazuję ci całą moją władzę.

— Słucham pana.

— Powiedz mu, że jestem bardzo oburzony i rozgniewany jego niezwykłym postępkiem.

— Słucham pana.

— Powiedz mu, że jeżeli nie wróci tu, do tego domu, wraz z tobą, to powróci ze mną, bo sam pojedę po niego.

— Powiem mu o tym, panie.

— Czy sądzisz, że uda ci się go znaleźć? — mówił dalej pan Pickwick, spoglądając z niepokojem na Sama.

— Znajdę, choćby był nie wiedzieć gdzie — odrzekł Sam z przekonaniem.

— Bardzo dobrze. Więc im prędzej pojedziesz, tym lepiej. Otrzymawszy oprócz tych instrukcji pewną kwotę pieniężną, Sam włożył trochę niezbędnych rzeczy do torby podróżnej i wyniósł się. Ale jeszcze raz zatrzymał się na korytarzu i powoli powracając, otworzył drzwi pokoju pana Pickwicka, a wsunąwszy tylko głowę przez nie, szepnął:

— Panie!

— Cóż tam, Samie?

— Czy dobrze zrozumiałem moją instrukcję?

— Przynajmniej spodziewam się.

— Więc co się tyczy powalenia, to mam to zrozumieć dosłownie?

— Najzupełniej. Zrób, jak uznasz za stosowne.

Sam skinął ze zrozumieniem i cofnąwszy się za drzwi, z lekkim sercem puścił się w drogę.

Rozdział trzydziesty ósmy w którym pan Winkle, chcąc umknąć deszczu, wpada pod rynnę

Nieszczęśliwy gentleman, niewinny powód hałasów, które zaniepokoiły mieszkańców Royal Crescent, spędził noc w wielkim wzburzeniu i opuścił dom, w którym przyjaciele jego spali jeszcze, nie wiedząc dobrze, gdzie ma zwrócić swe kroki. Niepodobna nie uznać i nie pochwalić szlachetnych i filantropijnych uczuć, które nakazywały panu Winkle'owi tak postąpić.

„Jeżeli ten Dowler — tak rozumował — będzie chciał (o czym nie wątpię) spełnić swe pogróżki, będę zmuszony wyzwać go. Ma żonę; żona jest do niego przywiązana i nie może żyć bez niego. O Boże! Gdybym go poświęcił mojemu ślepemu uniesieniu, jakież miałbym później wyrzuty sumienia!”

Przykre te myśli tak oddziaływały na zacnego młodzieńca, iż twarz mu zbladła i kolana trząść mu się zaczęły. Pod wpływem tych rozważań pochwycił torbę podróżną, ukradkiem zeszedł ze schodów, zamknął z najmniejszym jak można hałasem przekłete drzwi od ulicy i szybko oddalił się. W hotelu „Royal” znalazł dyliżans odjeżdżający do Bristolu.

„Wszystko jedno, czy do Bristolu, czy gdzie indziej” — powiedział sobie.

Siadł więc na koźle i przebył odległość między dwoma miastami z szybkością, jakiej tylko można wymagać od koni przebiegających tę przestrzeń dwa lub więcej razy na dzień.

Kwaterę w Bristolu obrał sobie w hotelu „Pod Krzakiem” i postanowił wstrzymać się od wszelkiej komunikacji listownej z panem Pickwickiem, dopóki wściekłości pana Dowlera nie ułagodzi czas, a że nie miał obecnie nic lepszego do roboty, postanowił poświęcić czas zwiedzaniu miasta. Wyszedł więc, a pierwszą uwagą, jaka mu się nasunęła, było to, iż nigdy dotąd nie widział miejsca tak brudnego. Obejrząwszy potem port i katedrę, zapytał o drogę do Clifton i poszedł we wskazanym mu kierunku. Ale jak bruk w Bristolu nie jest ani najgładszy, ani najczystszy ze wszystkich bruków, tak i ulice jego nie są najprostsze. Pan Winkle wkrótce zgubił się więc najzupełniej w tym labiryncie i zaczął szukać przyzwoitego sklepu, gdzie mógłby zasięgnąć dalszych informacji.

Wzrok jego padł na nowo pomalowany dom, który reprezentował coś pośredniego między sklepem a prywatnym mieszkaniem. Czerwona latarnia nad drzwiami wskazywała, że jest to przybytek syna Eskulapa; oprócz tego nad oknem znajdował się napis: „Chirurg”, wymalowany złotymi literami. Sądząc, że tu może zapytać o drogę, pan Winkle wszedł do małego sklepu ozdobionego szufladami i flaszkami ze złotymi napisami. Nie znalazłszy tu żywego ducha, zastukał w ladę półkoroną, żeby zwrócić uwagę osób, które mogły znajdować się w tylnym pokoju. Ten tylny pokój musiał stanowić coś w rodzaju sanktuarium zakładu, ponieważ słowo „Chirurg” było tu znów wypisane, tym razem białymi literami.

Po pierwszym stuknięciu dość głośny szmer, podobny do tego, jaki wydają ścierające się ze sobą rapiery, ustał nagle. Po drugim stuknięciu młody gentleman poważnej powierzchowności, z wielkimi zielonymi okularami na nosie i ogromną książką w ręku, szybkim krokiem wszedł do sklepu i stanąwszy za ladą, zapytał, czego pan Winkle żąda.

— Przykro mi, iż przeszkadzam panu — odrzekł pan Winkle — ale chciałbym prosić, byś mi pan zechciał wskazać...

— Cha, cha, cha! — zawołał uczony gentleman, podrzucając w górę ogromną swą księgę i łapiąc ją bardzo zręcznie, w chwili gdy groziła potłuczeniem wszystkich flaszek stojących na ladzie. — A to doskonale!

Jeżeli nieznajomy stosował te wyrazy do zręcznych ewolucji książką, to miał słusność; ale pan Winkle tak był zdziwiony szczególnym postępowaniem młodego eskulapa, iż szybko począł cofać się ku drzwiom, niesłychanie przerażony tym oryginalnym przyjęciem.

— Jak to? Czy mię pan nie poznaje? — zawołał chirurg. Pan Winkle wybelkotał, iż nie ma przyjemności...

— A! Jeżeli tak, to mogę jeszcze mieć nadzieję! Jeszcze połowa starych kobiet Bristolu może być moimi pacjentkami. A teraz do diabła ze starymi szpargałami!

To wezwanie stosowało się do grubej księgi, którą uczony gentleman cisnął w kąt sklepu; potem zdjawszy zielone okulary, ukazał zdumionym oczom pana Winkle'a prawdziwe rysy Boba Sawyera, Esq., niegdyś studenta w Borough i właściciela prywatnej rezydencji w Lant Street.

— A więc nie poznał mię pan? — zawołał Bob Sawyer, przyjaźnie ściskając rękę pana Winkle'a.

— Nie! Słowo daję, że nie! — odrzekł ten, ściskając rękę pana Sawyera.

— Jak to? Nie widział pan mego nazwiska? — zapytał Bob, zwracając uwagę swego przyjaciela na drzwi zewnętrzne, nad którymi znajdował się napis: „Sawyer, dawniej Nockemorf”.

— Nie zwróciłem na napis uwagi — odrzekł pan Winkle.

— Gdybym był wiedział, że to pan — zaczął znowu Bob — wyskoczyłbym i uściskał go. Ale na honor, myślałem, że to przychodzi poborca podatkowy.

— Naprawdę?

— Tak, tak! Już miałem powiedzieć, że nie ma mnie w domu i że jeżeli jest jakie pismo, to nie omieszka doręczyć go sobie, gdyż poborca podatkowy nie zna mnie, tak samo jak i poborcy należności za gaz i naprawę bruku. Natomiast obawiam się, że poborca kościelny domyśla się, kim jestem, a pobierający takseę za wodę przypuszczalnie nawet wie, gdyż w pierwszym dniu mego pobytu wyrwałem mu ząb. Ale wejdź pan, wejdź!

To mówiąc, Bob popchnął pana Winkle'a do tylnego pokoju, gdzie siedział ni mniej, ni więcej tylko pan Ben Allen we własnej osobie. Bawił się on wytwarzaniem małych okrągłych wkłęsłości w ramach komina, co czynił za pomocą rozpalonego pogrzebacza.

— Doprawdy — zawołał pan Winkle — jest to przyjemność, jakiej się nie spodziewałem. Jakie śliczne macie mieszkanie!

— Niezłe, niezłe — odrzekł Bob. — Otrzymałem dyplom wkrótce po owym sławnym wieczorze, a moi przyjaciele wypróżnili swe sakwy, by mi kupić ten zakład. A więc naciągnąłem na siebie czarny frak, włożyłem okulary i przybyłem tu z miną jak można najuroczystsza.

— I zapewne ma pan piękną klientelę? — zapytał pan Winkle.

— O! Tak drobną, że przy końcu roku cały zysk można by umieścić w małym kieliszku i nakryć listkiem porzeczkowym.

— Żartuje pan. Sam towar...

— Finta, mój kochany panie. Jedna połowa szuflad zupełnie pusta, a druga zupełnie się nie odmyka.

— Żartuje pan!

— To fakt — odrzekł Bob, idąc do sklepu i udowadniając prawdę swego twierdzenia gwałtownym szarpaniem za złożone gałki przy szufladach. — Niech mię licho porwie, jeżeli jest choć jedna rzecz prawdziwa w całym sklepie z wyjątkiem pijawek: a i te były już raz używane...

— Nigdy bym nie przypuszczał! — zawołał pan Winkle pełen zdumienia.

— Ja myślę — odparł Bob. — W przeciwnym razie do czegoż by jej służyły pozory? Ale czego się pan napije? Tego, co i my? Dobrze, Ben, wsadź no rękę do bufetu i sprowadź nam tu patentowaną miksturę na niestrawność.

Benjamin Allen uśmiechnął się i wyciągnął z bufetu czarną butelkę do połowy napełnioną wódką.

— Pan chyba nie dodaje wody? — rzekł Bob do pana Winkle'a.

— Jeszcze jest dość wcześnie — odpowiedział pickwickczyk — i wolałbym domieszać trochę wody, jeżeli pan nie ma nic przeciw temu.

— Bynajmniej, jeżeli sumienie pańskie pozwala na to — odrzekł Bob, przełykając ze smakiem trochę dobroczynnego płynu.

Pan Benjamin Allen wydobył następnie z tej samej skrytki małe miedziane naczynie; Bob mówił, że jest dumny z niego, gdyż ma ono apetyczny wygląd. Gdy w naczyniu tym zagotowano wodę przy pomocy węgla kamiennego wydobywanego ze skrzyni noszącej napis: „Woda sodowa”, pan Bob ochrzcił wódkę i rozmowa ożywiła się. Wtem przerwało ją przybycie młodego chłopca ubranego w szarą liberię, kapelusz ze złotym galonem i trzymającego w ręku przykryty koszyk. Bob bezzwłocznie zwrócił się do niego.

— Tomie, włóżęgo! Chodź tu! (chłopak zbliżył się). Zatrzymywałeś się pewnie przy wszystkich latarniach w Bristolu, ty szkaradny próżniaku!

— Nie, panie — odpowiedział chłopak.

— Pilnuj się — zaczął znów Bob groźnym tonem. — Czy myślisz, że przyjdzie ktoś do chirurga, którego sługa bawi się w rysztołach w piłkę albo puszcza na ulicy latawca? Pamiętaj, byś zawsze miał w poszanowaniu swoją profesję. Czyś poroznosił lekarstwa, próżniaku?

— Poroznosiłem, panie.

— Proszek dla dzieci do wielkiego domu, gdzie mieszka niedawno przybyła rodzina? A pigułki przeczyszczające do starego, gderliwego i podagrycznego gentlemana?

— Zaniósłem, panie.

— Więc zamknij drzwi i pilnuj sklepu.

— No, no! — zawołał pan Winkle, gdy chłopak oddalił się — interesy nie idą tak źle, jak chcieliście we mnie wmówić. Zawsze przecież dostarczacie jakieś lekarstwa.

Bob Sawyer zajrzał do sklepu, by się przekonać, iż nie ma w nim niepowołanych uszu, potem, pochylając się do pana Winkle, rzekł cichym głosem:

— Chłopak zanosí je zawsze pod fałszywym adresem.

Twarz pana Winkle'a świadczyła, iż nie rozumiał tych słów, ale Bob i jego przyjaciel śmiali się jak opętani.

— Pan mnie nie rozumie? — rzekł wreszcie Bob. — Chłopak idzie do pierwszego lepszego domu, dzwoni, rzuca służącemu paczkę bez adresu i odchodzi. Służący niesie paczkę do jadalnego pokoju; pan domu otwiera ją i czyta: „Wypić wieczorem. Pigułki według recepty; mikstura idem. Według przepisów Sawyera, dawniej Nockemorfa itd. itd.” Gentleman pokazuje pakiet swojej żonie, ta czyta napisy i odsyła wszystko służącym; służący także czytają napisy. Na drugi dzień chłopak wraca: — Bardzo przepraszam.

Omyliłem się. Tyle roboty, tyle lekarstw do roznoszenia. Pan Sawyer, dawniej Nockemorf, składa swoje uszanowanie. — Nazwisko pozostaje w pamięci; w tym cała sztuka! To lepsze niż wszelkie ogłoszenia. Mamy jedną flaszkę, która obiegła w ten sposób połowę domów w Bristolu i jeszcze nie skończyła swej wędrówki.

— No, proszę! Teraz rozumiem! — zawołał pan Winkle. — Pyszny pomysł!

— Ho, ho! My z Benem wynaleźliśmy tuzin podobnych — mówił dalej wielki farmaceuta z wielkim zadowoleniem. — Stróż zapalający latarnie otrzymuje osiemnaście pensów na tydzień za to, że targa mój dzwonek przez dziesięć minut za każdym razem, gdy przechodzi мимо mego mieszkania; w niedzielę chłopak mój wpada do kościoła podczas psalmów, właśnie w chwili gdy nikt nie ma nic do czynienia, tylko ogląda się, dokoła; chłopak woła mię z wielkim zakłopotaniem. — Oho! — mówią pobożni — ktoś musiał nagle zachorować; szukają Sawyera, dawniej Nockemorfa, jak ten młody człowiek ma wiele zajęć!

Odkrywszy w ten sposób tajemnicę sztuki lekarskiej, pan Bob Sawyer i jego przyjaciel Ben Allen odchylił się w krzesłach i wybuchnęli hałaśliwym śmiechem. Ulżywszy w ten sposób swemu sercu, znów rozpoczęli rozmowę i dotknęli w niej przedmiotu bezpośrednio obchodzącego pana Winkle'a.

Zdaje się, iż powiedzieliśmy już na innym miejscu, że pan Benjamin Allen zwykle stawał się bardzo sentymentalny, gdy nieco wypił. Nie jest to jedyny wypadek tego rodzaju, jak możemy stwierdzić sami, gdyż mieliśmy nieraz do czynienia z pacjentami dotkniętymi tą samą przypadłością. W tym okresie swego żywota pan Allen miał większą niż zwykle skłonność do sentymentalizmu. Przypadłości te pochodziły stąd, iż już przeszło trzy tygodnie mieszkał u pana Sawyera, który wcale nie odznaczał się wstrzeźliwością i nigdy nie doradzał mu, by się chełpił, iż ma mocną głowę. Przez cały ten czas Benjamin wahał się nieustannie między pijaństwem częściowym a pijaństwem pełnym.

— Mój przyjacielu — rzekł on do pana Winkle'a, korzystając z chwilowej nieobecności Boba, który poszedł do sklepu, aby przystawić pijawki jakiemuś choremu — mój przyjacielu, jestem bardzo nieszczęśliwy!

Pan Winkle wyraził pełne swoje ubolewanie, gdy dowiedział się o tym, i zapytał, czy nie może zrobić coś, by ulżyć nieszczęśliwemu.

— Nie, mój kochany, nie. Czy pamięta pan Arabelle? Moją siostrę Arabelle? Czarnooką panienkę? Nie wiem, czy zwrócił pan na nią uwagę u pana Wardle'a. Nieszpetna dziewczyna, panie Winkle. Może moje rysy przypomną panu jej twarz.

Pan Winkle nie miał, na szczęście, potrzeby uciekać się do tego sztucznego sposobu, by przypomnieć sobie piękną Arabelle, gdyż niezawodnie rysy brata z trudnością przypominałyby ją jego sercu. Odpowiedział zatem ze spokojem, na jaki mógł się zdobyć, iż doskonale pamięta tę młodą osobę, o której mowa, i że ma nadzieję, iż ma się ona dobrze.

Za całą odpowiedź pan Ben Allen rzekł tylko:

— Nasz przyjaciel Bob to dzielny chłopak.

— Tak jest — odpowiedział lakonicznie pan Winkle, który nie bardzo lubił zestawienia tych dwóch imion.

— Ja zawsze przeznaczałem ich dla siebie; są dla siebie stworzeni; przyszli na świat jedno dla drugiego — rzekł pan Allen, uroczyście stawiając szklanę. — To wyraźny palec losu, kochany panie; między nimi jest tylko pięć lat różnicy; oboje urodzili się w sierpniu.

Panu Winkle'owi specjalnie zależało na dowiedzeniu się reszty, wyraził więc swe zdumienie nad tym niezwykłym i wprost cudownym faktem. Wobec tego Ben uroniwszy parę łez mówił dalej, że pomimo całego swego szacunku, poważania i czci, jakie odczuwa dla swego przyjaciela, siostra jego Arabella niewdzięcznie i bez żadnej racji okazywała zawsze Bobowi najwyższą odrazę. — Sądzę — powiedział w końcu — że kryje się w tym jakaś dawniejsza skłonność.

— Czy nie domyśla się pan osoby? — zapytał, drżąc, pan Winkle.

Pan Ben Allen pochwyił pogrzebacz do węgla, bardzo wojowniczo pokręcił nim nad głową, zadał śmiertelny cios jakiejś wymagowanej osobie i zakończył w sposób nader wymowny:

— Chciałbym ją znać. Dałbym jej należycie do zrozumienia, co myślę!

Przez cały ten czas pogrzebacz wirował z większą jeszcze gwałtownością niż przedtem. Wszystko to, jak można domyślić się, było bardzo pocieszające dla pana Winkle'a, który przez kilka minut zachowywał milczenie. W końcu jednak zebrał całą swą odwagę i zapytał czy panna Allen jest obecnie w Kent?

— O! Nie, nie! — odrzekł Ben, stawiając pogrzebacz i przybierając minę bardzo przebiegłą.

— Byłem zdania, iż dom pana Wardle'a nie bardzo jest odpowiedni dla takiej upartej dziewczyny. A ponieważ jestem jej naturalnym opiekunem, gdyż nasi krewni wymarli, sprowadziłem ją tu, by przepędziła kilka miesięcy u starej naszej ciotki, w domu pięknym, choć leżącym na uboczu. Spodziewam się, iż ją to wyleczy. Jeżeli to się nie uda, wywozę ją na jakiś czas za granicę — a potem zobaczymy.

— A... a ta... ciotka... mieszka w Bristolu? — wybełkotał pan Winkle.

— Nie, nie w Bristolu — odrzekł Ben, wskazując palcem poza prawe swe ramię. — Tam mieszka, ale sza! Oto Bob. Ani słowa, mój przyjacielu, ani słowa!

Rozmowa ta, chociaż tak krótka, żywo zaniepokoiła pana Winkle'a. Dawniejsza skłonność, której obawiał się Ben, wzburzyła mu serce. Miałaby on być jej przedmiotem? Czy to dla niego uroczą Arabella wzgardziła dowcipnym Bobem Sawyerem? Czy też miał innego szczęśliwego rywala? Postanowił ją za wszelką cenę odszukać. Ale tu występowała nieprzewidywana wprost przeszkoda, czy bowiem objaśnienie dane przez Bena w wyrazach „tam mieszka” oznaczało trzy tysiące miejsc, czy trzydzieści tysięcy, czy trzykroć sto tysięcy, tego pan Winkle w żaden sposób nie mógł ustalić. Zresztą w tej chwili nie miał czasu myśleć o swej miłości, gdyż przybycie Boba było bezpośrednią zapowiedzią ciepłego jeszcze pasztetu, na który zaproszono pana Winkle'a. Służąca nakryła stół obrusem. Matka chłopaka w szarej liberii przyniosła trzeci nóż i trzeci widelec (gdyż gospodarskie ruchomości pana Sawyera były bardzo nieliczne) i trzej przyjaciele zasiedli do obiadu. Podano piwo, jak zauważył pan Sawyer, „w rodzimych kufkach cynowych”.

Po obiedzie Bob kazał przynieść największy moździerz ze sklepu i przyrzędził w nim poncz z arakiem, mieszając ingrediencje tłuczkiem i wyzyskując w najwłaściwszy sposób swe farmaceutyczne uzdolnienia. Jak wielu kawalerów, posiadał on tylko jedną szklanekę, którą przeznaczono dla pana Winkle'a, jako gościa. Ben Allen otrzymał szklany słoik; co do Boba, to ten poprzestał na kryształowym naczyniu z mnóstwem kabalistycznych napisów, w jakim zwykle aptekarze mieszają płynne lekarstwa. Po tych przedwstępnych czynnościach skosztowano ponczu i stwierdzono, że jest doskonały. Ułożono się, iż Bob Sawyer i Ben Allen mają prawo napełnić dwukrotnie swe naczynia, gdy pan Winkle

napełnił raz swą szklanke, i przeprowadziwszy w ten sposób równouprawnienie pijących, rozpoczęto libację w bardzo dobrym humorze i z wielką serdecznością.

Nie śpiewano wcale, gdyż Bob oświadczył, iż nie licowałoby to z powagą jego zawodu, ale za to rozprawiano i śmiano się tak głośno, iż przechodnie po drugiej stronie ulicy słyszeli niezawodnie hałas w oficynie następcy Nockemorfa. W każdym razie rozmowa trzech przyjaciół widocznie zachwycała młodego chłopca w sklepie i zaostriła jego umysł, gdyż zamiast poświęcić wieczór, jak to zwykł był czynić, wypisywaniu swego nazwiska na ladzie sklepowej, a następnie ścieraniu go, przytulił się do oszklonych drzwi, by w ten sposób słyszeć i widzieć wszystko, co się działo u pryncypała.

Wesołość Boba Sawyera powoli poczęła przechodzić w szal.

Ben Allen ciągle wpadał w sentymentalizm, a poncz ulotnił się prawie zupełnie, gdy wszedł chłopak ze sklepu, oznajmiając, że jakaś kobieta pyta się o pana Sawyera, następcę Nockemorfa. To zakończyło ucztę. Gdy chłopak po raz dwudziesty powtórzył, po co przyszedł, pan Bob Sawyer zrozumiał go nareszcie, zlał sobie głowę wodą, by się choć trochę otrzeźwić, włożył zielone okulary i wyszedł, pan Winkle zaś widząc, iż nie ma sposobu, by nawiązać rozmowę z Benem Allenem o przedmiocie, który go najwięcej obchodził, nie chciał czekać powrotu pana Sawyera i wyniósł się do swego zajazdu.

Niepokój, wywołany rozmaitymi myślami, które mu się nasunęły, gdy wspomniano o Arabelli, był przyczyną, iż płyn przyrządzony w mózdzierzu nie wywarł nań takiego skutku, jakiego można by się było spodziewać w innych okolicznościach. Toteż pan Winkle, wypiwszy w hotelowym bufecie wódkę z wodą sodową, nie poszedł do swego pokoju, ale do miejscowej kawiarni.

W kawiarni siedział przed kominkiem tylko jakiś słuszny gentleman w długim surducie, odwrócony plecami do pana Winkle'a. Ponieważ wieczór był dość zimny, gentleman słysząc, że wszedł nowy gość, przez grzeczność odsunął się nieco od kominka, by mu zrobić miejsce.

Ale jakiego uczucia doznał pan Winkle, gdy ruch ten odkrył mu oblicze mściwego, żądnego krwi pana Dowlera!

Pierwszą jego myślą było pociągnąć jak najmocniej za sznurek najbliższego dzwonka, ale na nieszczęście sznurek znajdował się za krzesłem jego wroga. Mężny młodzieniec zrobił więc machinalnie krok naprzód, by pochwycić za rączkę od sznurka, gdy pan Dowler cofnął się z wielką szybkością i zawołał:

— Panie Winkle! Uspokój się pan! Nie bij mię pan! Nigdy tego nie zniosę! Policzek? Nigdy!

Mówiąc to, pan Dowler miał minę o wiele łagodniejszą, aniżeli pan Winkle mógł się spodziewać po osobie tak porywczej.

— Policzek, panie? — wybełkotał pan Winkle.

— Pohamuj pan swój pierwszy gniew — odrzekł pan Dowler — siądź i wysłuchaj mnie.

— Panie! — zawołał pan Winkle, drżąc na całym ciele — nim zgodzę się na to, by usiąść koło pana lub naprzeciw pana bez trzeciej osoby, wprzód muszę w inny sposób upewnić się o swym bezpieczeństwie. Zeszłej nocy odgrażał mi się pan, odgrażał się pan okropnie!

Tu pan Winkle zatrzymał się i pobladł jeszcze bardziej.

— To prawda — odrzekł pan Dowler, prawie tak blady jak jego antagonistą. — Okoliczności były podejrzone. Zostały wyjaśnione. Szanuję pańską odwagę. Masz pan słuszność. To dowód pańskiej niewinności. Oto moja ręka, uściśnij ją pan.

— Doprawdy, panie Dowler — powiedział pan Winkle, wahając się, czy ma podać rękę, z obawy, by w tym nie krył się jaki podstęp — doprawdy, panie, ja...

— Wiem, co pan chce powiedzieć — przerwał Dowler. — Pan czuje się obrażony. To rzecz naturalna; ja na pańskim miejscu czułbym się także obrażony. Nie miałem słuszności, więc przepraszam pana. Bądźmy przyjaciółmi, niech mi pan wybaczy.

Równocześnie pan Dowler opanował rękę pana Winkle i potrząsając nią silnie, oświadczył, iż poczytuje go za człowieka niezaprzeczonego męstwa, a obecnie ma o nim lepszą jeszcze opinię niż przedtem.

— Teraz — mówił dalej — siadaj pan i opowiedz mi wszystko: w jaki sposób zdołał mnie pan odnaleźć? Kiedy puścił się pan w pogoń za mną? Bądź pan szczery i opowiedz wszystko.

— Stało się to zupełnie przypadkowo — odrzekł pan Winkle, nadzwyczaj zaintrygowany szczególnym i niespodziewanym obrotem, jaki wzięła sprawa — zupełnie przypadkowo.

— To mię bardzo cieszy. Dziś rano, gdy wstałem, zapomniałem zupełnie o moich pogroźkach. Przygoda pańska pobudziła mię raczej do śmiechu. Nie miałem już żadnych wrogich zamiarów i oświadczyłem to.

— Komu?

— Pani Dowler. — Postanowiłeś się zemścić — powiedziała mi żona. — To prawda — odrzekłem. — Bez zastanowienia! — I to prawda — powiedziałem znowu. — Pójdę i przeproszę go. Gdzie on?

— Kto? — zapytał pan Winkle.

— Pan. Poszedłem, ale pana nie znalazłem. Pan Pickwick miał minę ponurą. Potrząsnął głową i powiedział, iż spodziewa się, że żaden gwałt nie będzie popełniony. Zrozumiałem wszystko. Pan czuł się obrażony. Poszedł pan szukać świadka, może pistoletów. „Szlachetna to odwaga — powiedziałem sobie — uwielbiam ją”.

Pan Winkle odkaslnął i począł domyślać się, jak rzeczy stoją: przybrał więc minę poważną.

— Zostawiłem kartkę do pana — mówił dalej pan Dowler. — Wyraziłem w niej moje ubolewanie. To było prawdą. Nagle interesy przygnały mnie tutaj. Pan nie chciał poprzestać na liście i pojechał pan za mną. Żąda pan osobistego wytłumaczenia się. Ma pan słuszność. Teraz wszystko skończone. Interesy także ukończyłem. Jutro powracam, jedź pan ze mną.

W miarę jak rozwijało się opowiadanie pana Dowlera, postawa pana Winkle' a nabierała coraz więcej godności. Tajemniczy i początek ich rozmowy został wyjaśniony; pan Dowler był tak daleki od pojedynku, jak i on sam. Słowem, samochwał ten był tchórzem, jakich mało. Przez okulary swego własnego strachu patrzył na nieobecność pana Winkle'a i chwytając się takiego samego sposobu, postanowił również wynieść się gdzieś w zacisze, dopóki pierwsza burza nie przeminie.

Gdy rzeczywisty stan rzeczy jasno przedstawił się umysłowi pana Winkle'a, rysy tego gentlemana przybrały wyraz bardzo groźny. Oświadczył, iż jest zupełnie zadowolony, ale z taką miną, która przekonała Dowlera, iż gdyby zadowolony nie był, miałyby to straszliwe skutki. Pan Dowler był mu należycie wdzięczny za tę wspaniałomyślność i dwie wojujące strony rozstały się przed nocą, oświadczając sobie wieczną przyjaźń.

Była północ i pan Winkle już od pół godziny był pogrążony we śnie, gdy przebudziło go gwałtowne stukanie do drzwi. Zadrzał, zerwał się i ze strachem zapytał: — Kto tam?

— Proszę pana — rzekła służąca hotelowa — jakiś młody człowiek chce się z panem koniecznie widzieć.

— Młody człowiek? — zawołał pan Winkle.

— Tak jest, panie — odezwał się inny głos za drzwiami — i jeżeli ten interesujący młody człowiek nie będzie bezzwłocznie wpuszczony, to niech się pan nie dziwi, gdy nogi jego ukażą się w pokoju pierwszej anizeli głowa.

Kończąc te słowa, nieznajomy wstrząsnął drzwiami jakby dla nadania większej dobitności swemu powiedzeniu.

— To ty, Samie? — zapytał pan Winkle, wyskakując z łóżka.

— Nie można poznać człowieka, nie widząc jego twarzy — odpowiedział dogmatycznie głos za drzwiami.

Pan Winkle, nie mając już żadnej wątpliwości, odsunął zasuwki i otworzył drzwi. Sam wszedł bardzo szybko, zamknął drzwi na dwa spusty, klucz z powagą schował do kieszeni i obejrzawszy pana Winkle'a od stóp do głowy, powiedział:

— A to pięknie się pan prowadzi!

— Co to znaczy? — zapytał pan Winkle z oburzeniem. — Wyjdź stąd natychmiast! Co to znaczy?

— Co to znaczy? A to doskonale, jak powiedziała pewna dama do pasztetnika, który zamiast pasztetu sprzedawał jej sam tłuszcz; co to znaczy? A to wyborne!

— Otwórz drzwi i zaraz mi się stąd wynoś!

— Wyniosę się stąd, panie, akurat w tej samej chwili co i pan — odrzekł Sam tonem stanowczym i siadł z powagą. — Jeżeli jednak będę zmuszony wziąć pana na plecy, to wyjdę o małą chwilę prędzej. Ale pozwoli mi pan mieć nadzieję, iż nie dojdziemy do tej ostateczności, jak mówił pewien gentleman do upartego ślimaka kłutego szpilką, który mimo to nie chciał wyłazić ze swej skorupy, więc zmuszony był rozgnieść go między drzwiami.

W końcu tej przydługiej mowy Sam; oparł ręce na kolanach i począł wpatrywać się w pana Winkle'a z wyrazem twarzy, z którego można było odgadnąć, iż bynajmniej nie ma ochoty żartować.

— Doprawdy — mówił dalej z wyrzutem — bardzo miły z pana młodzieniec. Wikłasz pan ciągle gubernatora w najrozmaitsze głupstwa, gdy gubernator postanowił robić wszystko według zasad. Pan jesteś gorszy niż Fogg. Oni są aniołami w porównaniu z panem.

Ostatniej tej sentencji towarzyszyło uderzenie po kolanie, po czym Sam założył ręce z miną pogardliwą i pochylił się na krześle, jakby czekając na obronę przestępcy.

— Mój poczciwy Samie — rzekł pan Winkle, podając mu rękę — szanuję twe przywiązanie do mego zacnego przyjaciela. Szczerze mówię, że jestem bardzo zmartwiony tym, iż nabawiłem go niepokoju. No, Samie, no!

Gdy to mówił, zęby szczękały mu z zimna, gdyż całej prelekcji Wellera wysłuchał w nocnym stroju.

— To dobrze — odrzekł Sam gniewnym tonem, ściskając wszakże z szacunkiem podaną sobie rękę — bardzo dobrze, jeżeli kto w końcu przyznaje się, że zawinił. Ale ja, gdybym mógł, tobym nikomu nie robił przykrości; takie jest moje zdanie.

— Rozumie się, Samie, rozumie się. A teraz idź spać, pomówimy o tym jutro.

— Przykro mi, panie, ale nie mogę iść spać.

— Nie możesz?

— Nie, nie mogę — odrzekł Sam potrząsając głową — nie mogę...

— Przecież nie chcesz jechać tej nocy? — zawołał pan Winkle mocno zdziwiony.

— Nie odjadę, chyba żeby pan żądał tego koniecznie... ale pokoju tego także nie mogę opuścić. Rozkazy gubernatora są stanowcze.

— No, no, Samie; muszę zostać tu parę dni, a co więcej, trzeba, żebyś i ty został, by mi dopomóc, gdyż chcę się zobaczyć z pewną damą... panną Allen, Samie. Przypominasz ją sobie? Ale w odpowiedzi na wszystkie te nalegania Sam tylko energicznie potrząsnął głową, odpowiadając stanowczo:

— To być nie może.

Na koniec po wielu argumentach i wywodach ze strony pana Winkle'a, po szczegółowym przedstawieniu wszystkiego, co zaszło podczas ostatniego widzenia się z panem Dowlerem, wierny sługa zawahał się. Wreszcie obie strony zawarły układ, którego główne artykuły przedstawiały się następująco:

Sam oddali się i pozostawi pana Winkle'a w wolnym posiadaniu jego pokoju pod warunkiem, iż wolno mu będzie zamknąć drzwi wejściowe i zabrać klucz ze sobą, z zastrzeżeniem wszakże, iż nie omieszka otworzyć bezzwłocznie w razie pożaru lub jakiegoś analogicznego wypadku; pan Winkle napisze nazajutrz do pana Pickwicka list, który odwiezie mu Dowler, a w którym żądać będzie dla siebie i Samuela pozwolenia na pozostanie w Bristolu, by mogli doprowadzić do skutku zamiar, który obszernie będzie wytłumaczony, jeśli odpowiedź będzie przychylna; strony zawierające umowę pozostają na razie w Bristolu; w razie odmownej odpowiedzi powrócą bezzwłocznie do Bath; na koniec pan Winkle stanowczo zobowiązuje się w oczekiwaniu odpowiedzi nie uciekać ani przez okno, ani przez komin, ani w żaden inny podstępny sposób.

Po należytych zratyfikowaniu tego traktatu Sam zamknął drzwi i wyniósł się. Już zstępował ze schodów, gdy wtem zatrzymał się nagle.

— Ach! — powiedział do siebie, wydobywając klucz z kieszeni i zawracając — zupełnie zapomniałem o powaleniu. Sam gubernator zalecił to... Ba! wszystko jedno! — powiedział po chwili, chowając klucz z powrotem — można to zrobić jutro równie dobrze jak dziś.

Uspokojony widocznie tą uwagą. Sam poszedł dalej po schodach, już bez dalszych wyrzutów sumienia, i wkrótce zasnął głęboko, tak jak i inni mieszkańcy oberży.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Jak Sam Weller, obarczony misją miłosną, wywiązuje się z niej i co z tego wynikło

Przez cały dzień następny Sam pilnował nieodstępnie pana Winkle'a, postanowiwszy sobie nie spuszczać go z oczu, dopóki nie otrzyma instrukcji z kwatery głównej. Nieprzyjemne to było dla więźnia, który był jednak zdania, że lepiej już znosić taki nadzór niż narażać się na porwanie siłą, gdyż wierny sługa wielokrotnie dawał mu do zrozumienia, że poczucie obowiązku łatwo go może zmusić do chwycenia się tego środka. Bardzo jest nawet prawdopodobne, iż Sam skończyłby na tym i dla uspokojenia skrupułów odwiózłby pana Winkle'a do Bath ze związanymi rękami i nogami, gdyby szybka odpowiedź pana Pickwicka na list wręczony przez Dowlera nie uczyniła zbyt czynnym takiego trybu postępowania. Słowem, pan Pickwick wieczorem tegoż dnia stawiał się sam osobiście w hotelu „Pod Krzakiem” i z uśmiechem powiedział zachwyconemu Samowi, iż sprawił się doskonale i nie potrzebuje już wartować przy panu Winkle'u.

— Sądziłem — mówił pan Pickwick do pana Winkle'a, gdy tymczasem Sam zdejmował z niego surdut — sądziłem, że najlepiej zrobię, gdy sam tu przybędę, by się przekonać, jakie pan ma zamiary wobec tej młodej osoby, zanim pozwolę użyć Sama do tej sprawy.

— Zamiary moje są jak najuczciwsze — odrzekł pan Winkle z wielką siłą.

— Pamiętaj pan — zaczął znowu pan Pickwick, którego oczy zwilgotniały — iż spotkaliśmy ją po raz pierwszy u naszego zacnego przyjaciela, pana Wardle'a. Byłoby to złą odpłatą za doznaną gościnność, gdyby pan lekkomyślnie potraktował jego bliską znajomą. Nigdy nie pozwoliłbym na to, nigdy!

— Ja też nigdy nie miałem podobnych myśli! — zawołał z zapalem pan Winkle. — Długo zastanawiałem się nad sobą i czuję, że całe moje szczęście od niej zależy.

— To się nazywa powiedzieć wszystko krótko i węzłowato — dodał pan Weller z przyjemnym uśmiechem.

Pan Winkle, usłyszawszy te słowa, spojrział nieco surowo, pan Pickwick zaś poprosił swego służącego, by nie kpil z najpiękniejszych uczuć ludzkiej natury. Na co Sam odpowiedział, że nigdy nie ośmieliłby się, gdyby zdawał sobie z tego sprawę. Ale ponieważ jest tyle uczuć, więc po prostu nie wie, które z nich ma być to najpiękniejsze!

Pan Winkle opowiedział, co zaszło między nim i krewnym panny Arabelli, panem Beniaminem Allenem. Przyznał się, że celem jego jest zobaczyć się z młodą damą i wyznać jej głębię swoich uczuć. Oznajmił dalej, że jest przekonany — a opiera to przekonanie na tym, co słyszał od Bena Allena — iż panienska przebywa gdzieś w pobliżu Downs. Oto wszystko, co wiedział lub czego się domyślał w tej materii.

Mając tylko tak niejasne wskazówki, gentlemani postanowili wysłać nazajutrz Sama na zwiady. Pan Pickwick zaś i pan Winkle, którzy nie ufali swemu instynktowi odkrywczemu, przejdą się w ciągu dnia po mieście i przypadkiem wpadną do pana Bena Allena, w nadziei, że uda im się coś dowiedzieć o miejscu pobytu młodej damy.

Zgodnie z tym Sam nazajutrz od samego rana puścił się w drogę, bynajmniej nie skonsternowany trudnością swego zadania. Przechodził więc z ulicy na ulicę (chcielibyśmy powiedzieć: z pagórka na pagórek, ale niestety, Clifton jest równe jak stół) i nie spotkał nikogo ani niczego, co mogłoby rzucić najsłabsze choćby światło na tę

sprawę. Liczne były rozmowy, które Sam nawiązał z groomami przeprowadzającymi konie na gościńcach i z niańkami bawiącymi dzieci na łąkach, ale ani z początkowych słów, jakie zamienił, ani z końcowych nie mógł Sam wymiarkować o przedmiocie swoich poszukiwań. Wiele młodych dam mieszka w wielu wielkich i małych domach, a zarówno męska, jak żeńska służba podejrzewała większość tych dam o uczucie dla kogoś lub zdolność obdarzenia kogoś swym uczuciem, jeżeli nadarzy się sposobność. Ale że żadna z tych młodych dam nie nazywała się Arabella Allen, więc po otrzymaniu tych informacji Sam był tak ciemny jak poprzednio.

Idąc przez Downs, Sam walczył z wiatrem i zastanawiał się, czy w tym kraju człowiek zawsze zmuszony jest przytrzymać kapelusz obiema rękami? Wreszcie doszedł do cienistego osiedla, złożonego z kilkunastu domków, które tchnęły spokojem i ciszą. Przed drzwiami stajni, w głębi małej łączki, stał groom w koszuli; groom ten nic nie robił, ale wyraźnie był przekonany, że jest zajęty widłami i taczkami. W tym miejscu pozwolimy sobie zauważyć, że nigdy nie udało nam się widzieć w pobliżu stajni grooma, który w mniejszym czy większym stopniu nie byłby ofiarą podobnych iluzji.

Sam pomyślał, że równie dobrze może porozmawiać z tym groomem jak z innym, zwłaszcza że wędrownka go zmęczyła, a obok tacek leżał wygodny wielki kamień. Przeszedł więc łączkę i zaczął rozmowę z właściwą sobie łatwością i swobodą.

— Dzień dobry, stary przyjacielu!

— Chyba dobre południe — powiedział groom, patrząc kwaśno na Sama.

— Racja, stary przyjacielu! — zawołał Sam. — Miałem na myśli południe!

— Nie powiem, że mi ulżyło na twój widok! — ciągnął zgryźliwy groom.

— To bardzo przykro! Okropnie! — powiedział Sam. — Bo wyglądasz tak wesoło i taką masz rozradowaną minę, że serce rośnie, gdy się patrzy na ciebie!

Ponury groom spojrział jeszcze bardziej ponuro, ale nie tak znowu, żeby to wywarło wrażenie na Samie, który natychmiast spytał z wyrazem wielkiego zainteresowania, czy jego pan nie nazywa się przypadkiem Walker.

— Nie! — odpowiedział groom.

— I nie Brown, co?

— Nie!

— Ani Wilson ?

— Nie! Nie trafiłeś!

— No, tom się omylił i twój pan nie ma zaszczytu mię znać, a myślałem, że i owszem! Nie spodziewaj się po mnie komplementu! — dodał widząc, że groom idzie do stajni i zamyka drzwi. — Bez ceremonii, mój stary! Wybaczam ci!

— Za pół korony gotów jestem rozwalić ci łeb! — powiedział groom, otwierając jedną połowę drzwi.

— Nie mógłbym ci jej ofiarować na tych warunkach — odpalił Sam. — Niewarta ludzkiego życia, przynajmniej dla ciebie. Zrobiłbyś zły interes! Kłaniaj się państwu! Powiedz, niech nie czekają na mnie z obiadem, boby im wystygł!

W odpowiedzi groom mruknął coś w tym rodzaju, że chętnie by zrobił porządeczek z wiadomą osobą, ale zniknął nie wykonawszy tej groźby i zatrzasnął za sobą drzwi, pomijając milczeniem tkliwą prośbę Sama, by na pamiątkę zostawił mu pukiel włosów.

Sam siedział na kamieniu i myślał. Postanowił pukać do każdych drzwi w obrębie pięciu mil od Bristolu. Z łatwością obejdzie od 150 do 200 domów dziennie i w ten niezawodny sposób znajdzie w końcu pannę Arabellę Allen. Ale nagle przypadek rzucił mu pod nogi coś, na co mógłby czekać nadaremnie miesiącami.

Na łączkę, na której siedział, wychodziły trzy czy cztery furtki ogrodowe należące do tyłuż domów, które aczkolwiek stały każdy z osobna, łączyły się ogródkami. Ponieważ ogródki były obszerne, dobrze rozplanowane, wysadzone drzewami, więc domy nie tylko stały dość daleko od siebie, ale właściwie każdy z nich krył się przed innymi. Sam siedział z oczyma utkwionymi w śmietnik sąsiedniego domu, w którym zniknął groom, rozważając w umyśle głębię trudności swego obecnego przedsięwzięcia, gdy furtka otworzyła się i na łączkę wyszła pokojówka trzymając w ręku kilka dywaników, by je wytrzepać.

Sam tak był zajęty własnymi myślami, że prawdopodobnie poprzestałby na tym, by podnieść głowę, spojrzeć na pokojóweczkę i co najwyżej zauważyć, że ma zgrabną figurkę, ale wrodzona galanteria Sama nie mogła znieść spokojnie widoku pokojówki trzepiącej bez niczyjej pomocy dywany, zbyt ciężkie na jej słabe siły. Pan Weller był gentlemanem o wielkiej galanterii (dość szczególnej) i gdy tylko zauważył, na co się zanoszą, wstał z kamienia i podszedł do pokojówki.

— Moja droga! — powiedział kłaniając się z wielkim szacunkiem. — Gotowaś stracić zupełnie linię, gdy będziesz sama trzepać te dywany! Pozwól, że ci pomogę!

Młoda dama, udająca skromnie, że nie zauważyła obecności mężczyzny, odwróciła się na dźwięk głosu Sama: niewątpliwie też odmówiłaby przyjęcia pomocy od obcego (tak twierdziła później), ale spojrzawszy za siebie, krzyknęła. Sam był również zdumiony, gdy w rysach pięknej pokojówki poznał ni mniej, ni więcej tylko rysy swojej Walentynki, pokojówki pana Nupkinsa!

— Ależ to kochana Mary!

— Jakże można tak straszyć ludzi, panie Weller! — zawołała Mary.

Sam Weller nie dał na to słownej odpowiedzi i w ogóle nie możemy dokładnie określić, w jaki sposób odpowiedział. Wiemy tylko, że po chwili Mary szepnęła: — Panie Weller! — i że przedtem jeszcze spadł mu z głowy kapelusz, z czego wnioskować musimy, że wymieniono kilka pocałunków.

— Jakże pan tu trafił? — spytała Mary, gdy rozmowa, w której nastąpiła wyżej wymieniona przerwa, została na nowo podjęta.

— Przyjechałem do ciebie, najdroższa! — powiedział pan Weller, pozwalając namiętności zapanować tym razem nad prawdomównością.

— A skąd wiedziałeś, że tu jestem? — spytała Mary. — Kto mógł ci powiedzieć, że zmieniłam w Ipswich służbę i żeśmy potem wszyscy zjechali tutaj? Kto to mógł panu powiedzieć, panie Weller?

— W tym właśnie sęk! — zawołał Sam mrużąc oko. — Kto mi mógł powiedzieć, hę?

— Chyba nie Muzzle, co?

— Nie — powiedział Sam, poważnie kiwając głową. — Nie Muzzle!

— Więc chyba kucharka! — mówiła Mary.

— A, kucharka! — odrzekł Sam.

— No, nigdy czegoś podobnego nie słyszałam! — zawołała Mary.

— Ani ja! — powiedział Sam. — Ale, droga Mary — tu gesty Sama stały się bardzo serdeczne

— ale, droga Mary, mam tu jeszcze inny interes do załatwienia. Mój gubernator ma przyjaciela, pana Winkle'a, pamiętasz go? — Tego w zielonym surducie? — powiedziała Mary. — Owszem, pamiętam!

— Otóż jest strasznie zakochany. Faktycznie chodzi jak błędny, stracił głowę do reszty!

— O! — przerwała Mary.

— Tak, ale nic mu nie będzie, jeżeli uda nam się znaleźć jego damę! — tu Sam, robiąc liczne dygresje na temat piękności Mary i mąk, jakie przeżył, odkąd się ostatni raz widzieli, wiernie opisał jej stan, w którym znajduje się obecnie pan Winkle.

— Nigdy bym nie przypuszczała! — zawołała Mary.

— Ani ty, ani nikt w ogóle! — powiedział Sam. — Nigdy i nikt! Więc łączę jak ten Żyd — może o nim słyszałaś, Mary? Niespokojny duch, nigdy nie spał, tylko łąził z miejsca na miejsce! Więc i ja łączę i szukam tej panny Arabelli Allen.

— Kogo? — zainteresowała się Mary.

— Panny Arabelli Allen!

— Dobry Boże! — zawołała Mary, wskazując na furtkę, którą zamknął ponury groom. — Ależ to właśnie ten dom! Mieszka tutaj od sześciu tygodni! Ich młodsza, która również usługuje panience, opowiedziała mi to wszystko kiedyś, jakeśmy robiły pranie, z rana, nim państwo wstali!

— Co, tamta furtka?

— Tamta!

Pan Weller był tak wzruszony otrzymanością tej informacji, że musiał szukać oparcia w pięknej swej towarzyszce. Wymienili między sobą drobne dowody miłości, zanim ochłonął na tyle, że mógł wrócić do poprzedniego tematu.

— No — powiedział wreszcie Sam. — Jeżeli to nie jest walka kogutów, to ciekawym, co jest walką kogutów, jak powiedział lord major, kiedy sekretarz Jego Królewskiej Mości zaproponował po obiedzie zdrowie jego żony. Tamte drzwi! Mam do niej polecenie i muszę koniecznie je spełnić! Jeszcze dzisiaj!

— A!! — powiedziała Mary. — Ale nie możesz zrobić tego teraz, bo panna wychodzi do ogrodu tylko wieczorem i zawsze na krótko, i nigdy bez starej damy!

Sam zastanowił się chwilę, po czym ułożył następujący plan postępowania: wróci tu dziś wieczorem, kiedy Arabella z pewnością wyjdzie na przechadzkę. Mary wpuści go do swego ogrodu. Sam przejdzie przez mur i będzie mógł zza wielkiej gruszy obserwować, co robi panna Allen. Spełni polecenie i postara się, żeby wyznaczyła panu Winkle'owi spotkanie następnego wieczora, o tej samej porze. Ułożywszy to wszystko z wielkim pośpiechem, Sam pomógł Mary w trudnej czynności składania dywanu.

Nie jest to rzecz tak niewinna, jak się z początku wydaje, to trzepanie małych dywaników! Ostatecznie, jeżeli trzepanie nie jest niczym złym, to składanie w każdym razie należy do czynności zdradliwych. Dopóki trzepie się dywan i obie strony stoją od siebie na odległość długości dywanika, jest to zabawka wielce niewinna. Ale gdy się zacznie składanie i przestrzeń między składającymi maleje do połowy, potem do jednej czwartej, do jednej szesnastej albo i do jednej trzydziestej drugiej, gdy dywanik jest dostatecznie długi, natenczas składanie zaczyna być niebezpieczne! Nie wiemy dokładnie, ile dywaników złożono owego dnia, ale możemy śmiało twierdzić, że ile było dywaników, tyle razy Sam pocałował piękną Mary.

Pan Weller chłodził się w pobliskiej oberży do zmroku, po czym wrócił na łączkę. Kiedy Mary wpuściła go do ogródka, nie szczędząc mu przestróg, żeby zważał na całość swoich nóg i rąk, Sam wdrapał się na gruszę i czekał przyjścia panny Arabelli.

Czekał tak długo, że zaczynał wątpić, czy ów szczęśliwy moment nadejdzie, gdy nagle usłyszał na żwirze odgłos lekkich kroków i pokazała się panna Arabella, która w zadumie przechadzała się po ogrodzie. Gdy zbliżyła się do gruszy, Sam, chcąc ją uprzedzić o swojej obecności, zaczął wydawać ciche, diaboliczne dźwięki, zrozumiałe, być może, dla damy w

pewnym wieku, która od wczesnego dzieciństwa cierpi na kombinację krupę, kokluszę i zapalenia gardła.

Młoda dama rzuciła zaniepokojone spojrzenie w kierunku, skąd dochodziły te straszne dźwięki. Niepokój jej bynajmniej nie ustąpił, gdy zobaczyła między gałęziami męską postać. I byłaby z pewnością uciekła i zaalarmowała cały dom, gdyby strach nie odjął jej nóg. Upadła na ogrodową ławkę, która na szczęście stała w pobliżu.

— Gotowa zemdleć! — zawołał Sam bardzo zaniepokojony. — Że też te młode damy zawsze muszą mdleć, kiedy nikt ich o to nie prosi! Pani! Pani! Panno Rzeźniacka! Pani Winkle! Niech pani nie mdleje!

Mniejsza o to, co przywołało do życia pannę Arabellę! Może był to magiczny dźwięk nazwiska pana Winkle'a, może świeże powietrze, a może znajomy głos Sama! Podniosła głowę i spytała omdlewającym głosem:

— Kto to? Czego pan tu chce?

— Tss! — powiedział Sam, zeskoczył z muru i przycisnął się do niego, starając się zrobić jak najbardziej płaskim. — To ja, panienko!

— Służący pana Pickwicka! — poważnie powiedziała panna Arabella.

— Ten sam, proszę pani! — powiedział Samuel. — Pan Winkle schnie z rozpaczy! Faktycznie, proszę pani!

— A! — zawołała panna Arabella i przysunęła się do muru.

— A jakże! — ciągnął Sam. — Zeszłej nocy tośmy myśleli, że trzeba go będzie związać! Tak szalał. I powiedział, że jeżeli nie zobaczy pani najdalej jutro wieczorem, to pozwoli nazwać siebie bardzo brzydko, jeżeli się w ogóle nie utopi!

— Ach, nie, nie, panie Weller! — zawołała Arabella, załamując ręce.

— Tak powiedział! — ciągnął dalej Sam. — A to człowiek honorowy, takie mam przynajmniej o nim mniemanie; jak coś powie — skończone! Dowiedział się o wszystkim od tych rzeźniaków z obcęgami!

— Od mego brata! — zawołała panna Arabella, przypomniawszy sobie określenie Sama.

— Nie wiem dokładnie, który z nich jest pani bratem, czy ten brudniejszy?

— Tak, tak, panie Weller! — powiedziała Arabella. — Ale niech pan powie wszystko!

— Więc proszę pani, dowiedział się wszystkiego od niego. A zdanie mego gubernatora jest takie, że jeżeli pani nie zechce widzieć pana Winkle'a, to rzeźniaki wpakują mu do łba ekstraporcję ołowiu, co utrudni znacznie rozwój jego mózgu!

— Och! w jaki sposób mogę przeszkodzić tym strasznym nieporozumieniom?! — zawołała Arabella.

— Jest podejrzenie, że dawniejsza miłość wpływa na upór pani — powiedział Sam. — Niech się pani lepiej zobaczy z panem Winkle'em.

— Ale jak? Kiedy? — zawołała Arabella. — Nie śmiem sama opuścić tego domu! Mój brat jest taki niedobry, taki nierozsądny! Czuję, że się pan musi dziwić, iż w taki sposób z panem rozmawiam, panie Weller, ale... jestem bardzo nieszczęśliwa, bardzo! — tu panna Arabella zapłakała tak gorzko, że Sam poczuł przypływ rycerskich uczuć.

— I pani dziwić się może, że mówię z nią tak otwarcie — powiedział Sam z przejęciem. — Ale zapewniam panią, że gotów jestem zrobić wszystko, by sprawa poszła gładko. A jeżeli zajdzie potrzeba wyrzucenia którego z rzeźniaków, albo i obu, za okno, służę chętnie! — to mówiąc, Sam zakasał rękawy, chcąc dać w ten sposób do zrozumienia, że gdyby któryś z tych panów spadł przypadkiem z muru, Sam gotów natychmiast przystąpić do dzieła.

Chociaż te oznaki gotowości bardzo jej pochlebiały, Arabella rezolutnie odrzuciła ofertę pana Samuela. (Sam uważał, że postąpiła lekkomyślnie). Przez jakiś czas nie chciała naznaczyć widzenia panu Winkle'owi. Ale w końcu, gdy rozmowie groziło już przerwaniem przez osobę trzecią, szybko dała mu do zrozumienia (nie szczędząc dowodów wdzięczności), iż nie jest rzeczą wyłączoną, że nazajutrz będzie wieczorem w ogrodzie o godzinę później niż dzisiaj. Sam doskonale zrozumiał sens tych słów. Arabella, obdarzywszy go jednym ze swoich najpiękniejszych uśmiechów, oddaliła się wdzięcznie, pozostawiając Sama pod wrażeniem swojej piękności zarówno duchowej, jak i cielesnej.

Zeszedłszy ostrożnie z muru i nie omieszkawszy poświęcić nieco czasu swoim własnym sprawom tego samego autoramentu, pan Weller jak najszybciej udał się do hotelu „Pod Krzakiem”, gdzie jego długa nieobecność wywołała mnóstwo domysłów i pewnego rodzaju niepokój.

— Musimy być ostrożni — powiedział pan Pickwick, wysłuchawszy opowieści Sama. — Nie ze względu na nas, ale na młodą damę. Musimy być chytry!

— My?! — zawołał pan Winkle z naciskiem.

Wyraz zgorszenia, jakie to „my” wywołało na obliczu pana Pickwicka, natychmiast roztopił się we właściwej mu łagodności. Odpowiedział:

— A my! Pojadę z tobą!

— Pan? — zawołał pan Winkle.

— Ja — łagodnie odpowiedział pan Pickwick. — Pozwalając ci na zobaczenie się z sobą, młoda dama popełniła może bardzo naturalny, ale niemniej nieostrożny krok. Jeżeli jednak przy waszym widzeniu będę ja, milczący przyjaciel, który mógłby być ojcem was obojga, nigdy obmowa nie spadnie na jej głowę!

Gdy to mówił, oczy pana Pickwicka błyszczały słuszną dumą, że jest aż tak przewidyjący. Pan Winkle był niezmiernie wzruszony delikatnością starszego pana dla jego *protégée* i ujął rękę swego przyjaciela z uczuciem powagi graniczącej ze czcią.

— Pojedzie pan! — zawołał pan Winkle.

— Pojadę! — odrzekł pan Pickwick. — Sam, przygotuj mój popielaty płaszcz i szal i zamów pojazd na jutro wieczorem — nieco wcześniej niż potrzeba, obyśmy się przypadkiem nie spóźnili!

Sam dotknął kapelusza na znak, że poważnie bierze te zarządzenia, i pośpieszył poczynić odpowiednie przygotowania.

Koc zajechał o oznaczonej porze. Pan Weller, posadziwszy pana Pickwicka i pana Winkle'a wewnątrz, zajął miejsce obok stangreta. Zatrzymali się o pół mili od miejsca naznaczonego na *rendez-vous* i kazawszy woźnicy czekać, poszli piechotą.

Gdy doszli do tego punktu wyprawy, pan Pickwick, wśród wielu uśmiechów i innych oznak wielkiego zadowolenia, wyjął z jednej kieszeni płaszcza ślepa latarkę, w którą się zaopatrzył specjalnie na tę chwilę i której zalety mechaniczne z przejściem tłumaczył panu Winkle'owi ku niemałemu zdziwieniu nielicznych spotykanych przechodniów.

— Szkoda, że jej nie miałem podczas poprzedniej mojej nocnej ekspedycji do ogrodu, co? — spytał wesoło pan Pickwick, zwracając się do Sama, który kroczył za nimi.

— Dobra sztuczka, gdy się umie z nią obchodzić! — powiedział Sam. — Ale niekiedy nie chce się być widzianym, to chyba lepiej, gdy się zgasi świecę!

Uwaga Sama zaskoczyła pana Pickwicka, gdyż schował latarkę do kieszeni i szli dalej w milczeniu.

— Tędy! — powiedział Sam. — Pan pozwoli, że pójdę pierwszy! Oto łączka!

Poszli przez łąkę. Było już dość ciemno. Pan Pickwick raz czy dwa wyciągnął latarkę i rzucił przed siebie małą smugę światła, mającą stopę średnicy. Przyjemnie było na to patrzeć, ale otaczające przedmioty wydawały się w tym świetle jeszcze ciemniejsze.

Nareszcie doszli do wielkiego kamienia. Tu Sam poradził swemu panu i panu Winkle'owi, żeby usiedli na chwilę, on zaś poszedł na zwiady, czy Mary jeszcze czuwa.

Po pięciu minutach Sam wrócił mówiąc, że furka jest otwarta i wszystko w porządku. Idąc za nim ostrożnie, panowie Pickwick i Winkle wkrótce znaleźli się w ogródku. Tu każdy z nich powtórzył kilkakrotnie „sza!”, co uczyniwszy zastanowili się, co należy robić dalej.

— Czy panna Allen jest już w ogrodzie, Mary? — spytał pan Winkle, bardzo wzruszony.

— Nie wiem, proszę pana — odpowiedziała piękna pokojówka. — Najlepiej niech pan Weller podsadzi pana Winkle'a na drzewo, a pan Pickwick zechce może łaskawie patrzeć, czy ktoś nie idzie łąką, a ja popilnuję ogrodu z drugiej strony! Wielki Boże! A co to takiego?

— Ta ślepa latarka zgubi nas wszystkich! — zawołał Sam, niezadowolony. — Niech pan uważa, co pan robi, proszę pana! RzUCA pan światła akurat w okna bawialni!

— A niech cię! — zawołał pan Pickwick. — Dalibóg nie chciałem!

— A teraz oświetla pan sąsiedni dom! — upomniał Sam.

— A niech cię! — zawołał pan Pickwick, odwracając się znowu.

— Teraz rzUCA pan światło na stajnię! Jeszcze pomysła, że się pali — utyskiwał Sam. — Może pan zgasi latarkę?

— Nigdy nie widziałem takiej latarki! nigdy w życiu! — powiedział pan Pickwick, głęboko zdumiony efektem, jaki wywołuje jego czynność. — Nigdy nie widziałem równie silnego reflektora!

— Okaze się pan niebawem o wiele za silny dla nas, jeżeli będzie pan nim w dalszym ciągu w ten sposób manipulował! — odpowiedział Sam, a pan Pickwick po wielu próbach zgasił wreszcie latarkę. — Słyszę kroki młodej damy... No panie Winkle, jazda!

— Czeka! Czeka! Ja muszę z nią najpierw pomówić! Podsadz mnie, Sam!

— Służę panu! — powiedział Sam, opierając się głową o mur i w ten sposób robiąc ze swoich pleców rodzaj platformy. — Pan będzie łaskaw wstąpić na tę doniczkę i hop—siup!

— Boję się, że się złamiesz, Sam! — powiedział pan Pickwick.

— Nic mi nie będzie! — zawołał Sam. — Niech pan poda memu panu rękę, panie Winkle! Mocniej, panie, mocniej, mamy czas!

Gdy Sam tak mówił, pan Pickwick ze zręcznością zdumiewającą u gentlemana w tym wieku i tej wagi wgramolił się na plecy Sama. Sam podniósł się ostrożnie i pan Pickwick dosięgnął prawie wierzchołka muru, gdy pan Winkle trzymał go mocno pod kolanami. W ten sposób ostatecznie okulary znalazły się nad murem.

— Kochanie! — powiedział pan Pickwick, spojrzawszy za mur i dojrzawszy w oddali Arabelle. — Nie bój się! To tylko ja!

— Och, niech pan odejdzie, panie Pickwick! Proszę, niech wszyscy odejdą! — powiedziała Arabella. — Tak strasznie się boję! Kochany, drogi panie, niech pan zejdzie! Jeszcze pan spadnie i zabije się!

— Nie bój się, kochanie — uspokajał pan Pickwick panienkę. — Nie ma najmniejszego powodu do obaw! Trzymaj się, Sam! — dodał, spojrzawszy w dół.

— Słucham pana! Ale proszę bardzo, nie rozmawiaj pan dłużej, niż koniecznie potrzeba! Pan jest trochę ciężki!

— Jeszcze tylko chwileczkę, Samie! — odrzekł pan Pickwick. — Chciałem ci tylko powiedzieć, moje dziecko, że nigdy bym nie pozwolił memu młodemu przyjacielowi na widzenie się z tobą ukradkiem, gdyby sytuacja, w której się znajdujesz, umożliwiła inną alternatywę. Jeżeli sytuacja, jaka się przez to wytworzyła, jest dla ciebie przykra, moje dziecko, to pociesz się, że ja jestem obecny! Tylko to chciałem ci powiedzieć, moje dziecko!

— Jestem panu naprawdę bardzo wdzięczna za pańską dobroć i delikatność! — zawołała Arabella, ocierając łzy chusteczką. Powiedziałyby jeszcze coś więcej może, gdyby nie to, że pan Pickwick zniknął z wielką szybkością, a to z tego powodu, że zrobił fałszywy krok na plecach Sama, co sprawiło, iż znalazł się nagle na ziemi. Zerwał się jednak natychmiast i prosząc pana Winkle'a, by skrócił, jak tylko może, rozmowę, pobiegł na łąkę trzymać straż, z zapalem i szybkością łąki młodzieńczą. A pan Winkle, podniecony ważnością sytuacji, w jednej chwili był już na murze, zdążywszy przedtem powiedzieć Samowi, żeby pilnował swego pana.

— Nie troszcz się pan o mego pana! Zajmę się nim — zawołał Sam.

— Gdzie on jest? Co robi? — niepokoił się pan Winkle.

— Na jego stare kamasze! — zawołał Sam spoglądając na łąkę. — Trzyma straż na łące razem ze swoją ślepą latarnią! Jak poczciwy, stary faun! Nigdy w życiu nie widział takiego poczciwiny! Niech mnie kaczki, jeżeli nie wierzę, że jego serce urodziło się dwadzieścia pięć lat później niż jego ciało!

Pan Winkle nie słuchał pochwał na cześć swego przyjaciela. Zeskoczył z muru. Rzucił się do nóg panny Arabelli, upewniając ją o szczerości swoich uczuć z elokwencją godną samego pana Pickwicka.

W tym samym czasie, o parę domów dalej, starszy gentleman o twarzy uczonego siedział w swojej bibliotece. Pisał dzieło filozoficzne, a od czasu do czasu zwilżał gardło i orzeźwiał myśli szklaneczką klaretu, który nalewał z butelki o wielce szanownym wyglądzie. Pisząc stary jegomość spoglądał to na dywan, to na sufit, to na ściany. A kiedy nie znajdował natchnienia ani na dywanie, ani na suficie, ani na ścianach, wyglądał oknem.

Podczas jednej z takich pauz w natchnieniu starszy jegomość spojrział bezmyślnym wzrokiem w ciemność i bardzo się zdziwił zauważywszy błyszczące światło w niewielkiej odległości nad ziemią; światło to zjawiało się, to znikowało. Fenomen powtórzył się — i to nie raz, i nie dwa! Wreszcie uczony gentleman odłożył pióro i zaczął zastanawiać się, jak wyjaśnić to dziwne zjawisko.

To nie meteory. Za nisko na meteor! I nie świetliki! Za wysoko na świetliki! Nie fajerwerki, nie muchy ogniste — więc co? Co to może być? Jakiś dziwny i niezwykły fenomen natury, którego żaden filozof na świecie jeszcze nie zaobserwował! Coś, co natura właśnie jemu pozostawiła do wykrycia, żeby mógł unieśmiertelnić swoje nazwisko! Przepelniony tymi myślami, uczony znów schwycił za pióro i opisał zwięzłe to niebywałe zjawisko, zanotowawszy dzień, godzinę i minutę, w której je zauważył: szczegóły te miały tworzyć dokładne dane dotyczące niezwykłego odkrycia oraz miały być dowodem wielkiej wiedzy, która w zdumienie wprawi wszystkich uczonych astronomów, jacy kiedykolwiek żyli na cywilizowanych obszarach tego globu.

Rzucił się w fotel i pogrążył w rozmyślaniach nad owym zjawiskiem i swoją przyszłą wielkością. Mistyczne światło zajaśniało wyraźniej niż poprzednio: tańczyło po łące, biegło z jednego końca na drugi, poruszając się po orbicie tak ekscentrycznej jak orbita komety.

Uczony był kawalerem. Nie miał żony, z którą mógłby podzielić się swoim odkryciem. Więc zawołał służącego.

— Pruffle! — powiedział. — Dzieje się coś bardzo dziwnego w przestworzach! Widzisz? — tu uczony pokazał okno, w którym znowu mignęła smuga światła.

— Widziałem, proszę pana!

— I cóż ty na to, Pruffle?

— Co o tym myślę, proszę pana?

— Tak. Wychowałeś się w tych stronach. Jak myślisz, skąd to światło, co?

Uczony uśmiechnął się, już naprzód wiedząc, że Pruffle nie znajdzie odpowiedniego wytłumaczenia.

— Chyba złodzieje! — powiedział wreszcie Pruffle.

— Głupi jesteś! Możesz odejść!

— Dziękuję panu! — odpowiedział Pruffle i wyszedł.

Ale uczony nie mógł znieść myśli, że fenomen, którym pragnął obdarzyć świat, a o którym Pruffle, rodem z tej okolicy, nigdy nie słyszał, zostanie nie wyjaśniony. Włożył więc kapelusz i wyszedł do ogrodu, zdecydowany zbadać zjawisko u samego źródła.

Otóż na krótko przedtem, nim uczony zeszedł do grodu, pan Pickwick jak mógł najszybciej, przebiegł łąkę, wszczynając fałszywy alarm, że ktoś nadchodzi, przy czym nie omieszkał przypadkiem odsłonić latarki. Natychmiast po alarmie pan Winkle przelazł przez płot, a panna Arabella wbiegła do domu. Furtkę zamknięto i trzej awanturnicy pobiegli przez łąkę, gdy nagle zatrzymał ich widok uczonego, który właśnie wychodził z ogródka.

— Zatrzymajmy się na chwilę! — szepnął Sam, który oczywiście biegł na przodzie. — Pan będzie łaskaw poświecić!

Pan Pickwick uczynił, jak mu kazano, a Sam widząc głowę mężczyzny, ostrożnie wynurzającą się w odległości kilku kroków, gruchnął w nią pięścią, tak że z głuchym dźwiękiem uderzyła o furtkę. Uczyniwszy to z wielką zręcznością i pośpiechem pan Weller zarzucił sobie pana Pickwicka na plecy i mając za sobą pana Winkle'a puścił się przez łąkę ze zdumiewającą szybkością, jeżeli się weźmie pod uwagę ciężar, jaki musiał nieść.

— Złapał pan już oddech?! — spytał Sam, gdy dobiegli końca łąki.

— Tak, tak! Zupełnie! — odpowiedział pan Pickwick.

— Więc zmiatajmy! — powiedział Sam, zsadzając swego chlebobdawcę. — Weźmiemy pana między siebie. Mamy niecałą milkę! Zdaje mi się, że wygrał pan los, proszę pana! Sypmy!

Tak zachęcany, pan Pickwick uczynił możliwie najlepszy użytek ze swoich nóg. Powiem wam w zaufaniu, że nigdy nie widziano, by po tej łące biegły czarne kamasze w stylu równie dobrym, jak to czyniły kamasze pana Pickwicka w tej właśnie sytuacji.

Kocz czekał, konie były wypoczęte, droga doskonała, woźnica chętny. Całe towarzystwo przybyło szczęśliwie do hotelu „Pod Krzakiem”, zanim pan Pickwick ostatecznie złapał oddech.

— Zaraz do domu, proszę pana! — powiedział Sam, gdy kocz stanął przed drzwiami mieszkania. — Ani chwili na ulicy po takim marszu! Przepraszam pana — dodał, zdejmując kapelusz i zwracając się do pana Winkle'a: — Mam nadzieję, że nie było żadnych dodatkowych trudności?!

Pan Winkle pochwyił dłoń swego skromnego przyjaciela i szepnął mu na ucho: — Wszystko dobrze. Sam! Wszystko dobrze! — Na to Sam na znak, że zrozumiał, trzy razy

uderzył się po nosie, uśmiechnął się, skrzywił i wszedł do domu z miną wyrażającą zupełne zadowolenie.

Co do uczonego, ten wytłumaczył w sposób bardzo naukowy, że owo dziwne światło było efektem elektrycznym. Jako dowód podawał, że światło tańczyło przed jego oczyma, gdy wychylił głowę zza furtki, a potem poraziło go na dobry kwadrans. Tłumaczenie to przyjęły wszystkie towarzystwa naukowe i powszechnie uznano, że uczonego jest rzeczywiście źródłem wiedzy.

Rozdział czterdziesty **pokazuje panu Pickwickowi nowe i wcale ciekawe sceny** **wielkiego dramatu „Życie”**

Reszta okresu, który pan Pickwick postanowił spędzić w Bath, nie obfitowała w fakty natury materialnej. Zbliżały się Zielone Świątki. W końcu tygodnia pan Pickwick z przyjaciółmi wrócił do Londynu. Starszy gentleman, oczywiście w towarzystwie wiernego Sama, pojechał wprost do swego mieszkania „Pod Jerzym i Jastrzębiem”.

Trzeciego dnia z rana, kiedy wszystkie zegary w City wybiły już — bardzo indywidualnie zresztą — godzinę dziewiątą, co w sumie czyniło około dziewięciuset uderzeń, a Sam wyszedł odetchnąć świeżym powietrzem na George Yard, nagle przed bramę zajechał jakiś dziwaczny, świeżo pomalowany wehikuł. Wskoczył z niego, zręcznie rzuciwszy lejce siedzącemu z tyłu olbrzymiemu mężczyźnie, jakiś dziwaczny z wyglądu człowieczek, który, zdawało się, był stworzony dla tego pojazdu, a pojazd dla niego.

Pojazd nie był właściwie ani gigiem, ani stanhopem. Nie był również tym, co się popularnie nazywa *dog-cart*, różnił się od wolantu jak również od kabrioletu. A jednak miał w sobie coś z tych wszystkich środków lokomocji. Pomalowany był na kolor jaskrawożółty, szprychy kół i dyszel na czarno. A miejsce dla powożącego, wysłane poduszkami, górowało wysoko nad oparciem. Koń był gniady, poczciwy z wyglądu. Ale miał w sobie coś nieprzyjemnego i fałszywego, podobnie jak jego pan i wehikuł.

Pan był to mężczyzna pod czterdziestkę, brunet ze starannie podkręconymi wąsami. Był ubrany niezwykle wspaniale, po prostu obwieszony klejnotami, przynajmniej trzy razy większymi niż te, jakie zwykle noszą gentlemani; koroną zaś wszystkiego był szeroki płaszcz. W chwili gdy wysiadał, włożył lewą rękę do jednej kieszeni płaszcza, prawą zaś wyciągnął z drugiej wielką i jaskrawą chustkę do nosa, którą wytarł pyłek z butów, po czym przebiegł dziedziniec.

Nie uszło uwagi Sama, iż jak tylko jegomość ów wysiadł z wehikułu, natychmiast zbliżył się nędznie odziany gentleman w szerokim płaszczu zapinanym na guziki rozmaitego kalibru i stanął przy wehikule. Mając coś więcej niż podejrzenie co do celu odwiedzin owego jegomościa, Sam poszedł za nim „Pod Jerzego i Jastrzębia” i wyminąwszy rezolutnie podejrzane indywiduum, zagroził sobą drzwi.

— No, kawalerze! — powiedział tonem rozkazującym jegomość we wspaniałym płaszczu, jednocześnie torując sobie drogę.

— O co chodzi? — spytał Sam skrupulatnie oddając mu pchnięcie.

— No, no! Tylko bez tego, mój poczciwczu! Ze mną tak nie można! — powiedział gentleman w płaszczu i zbladł z gniewu. — Smouch!

— Co się stało? — spytał jegomość w brązowym płaszczu, który podczas tego krótkiego dialogu zdążył przebiec podwórze.

— Ten młodzieniec mi ubliżył! — powiedział gentleman w okazałym płaszczu, popychając Sama.

— Tylko bez tych sztuczek! — warknął Smouch, dając Samowi o wiele silniejszego kuksańca.

Kuksaniec wywołał efekt oczekiwany przez jegomościa, albowiem gdy Sam, który zawsze lubił odplacać za komplementy, starał się przycisnąć jegomościa do muru,

pryncypał jego prześliznął się przez drzwi i wszedł do baru. Wtedy Sam wymieniwszy z panem Smouchem kilka epitetów, pobiegł za pryncypałem.

— Jak się masz, kochanie! — pryncypał, błyszcząc swobodą z Botany Bay i wdziękiem z South Wales, zwrócił się do młodej damy siedzącej za barem. — Gdzież tu pokój pana Pickwicka?

— Zaprowadź pana — powiedziała dama do posługacza, nie obdarzając nawet spojrzeniem wspaniałego jegomościa.

Posługacz wskazał schody, więc okazały jegomość poszedł dalej, mając za sobą Sama, który idąc po schodach wykonywał liczne gesty wyrażające bezgraniczne oburzenie i pogardę, ku niezwyklej ucieście innych służących i przygodnych widzów.

Pan Smouch, którego dusił kaszel, w pozie wyczekującej pozostał na korytarzu.

Pan Pickwick był jeszcze pogrążony w głębokim śnie, kiedy ów nieproszony gość wszedł w towarzystwie Sama do pokoju. Szmer, który sprawiło ich wejście, obudził filozofa.

— Wody do golenia, Samie! — powiedział, nie otwierając oczu.

— Tak, tak, ogolimy pana — rzekł nieznajomy, odsuwając firanki łóżka. — Mam rozkaz aresztowania pana na żądanie wdowy Bardell. Oto jest zarządzenie wydane przez sąd, Common Pleas; a oto mój bilet. Sądzę, że pojedzie pan ze mną.

To mówiąc, oficer szeryfa, gdyż taki był tytuł nieznajomego, poklepał przyjaźnie po ramieniu pana Pickwicka, rzucił na stolik przy łóżku bilet i wyjął z kieszeni złotą wykałaczkę do zębów.

— Moje nazwisko jest Namby — mówił następnie dalej, gdy tymczasem pan Pickwick wyjmował spod poduszki okulary i zakładał je na nos — Namby, aleja Bell, ulica Coleman.

W tym miejscu Sam, który na chwilę wpadł w prawdziwe osłupienie, począł mocno wpatrywać się w kapelusz, którego pan Namby nie zdjął, w końcu zaś zapytał:

— Czy pan kwakier?

— Zaraz dowiesz się, kim jestem — odrzekł oburzony oficer. — Nauczę ja ciebie z czasem grzeczności.

— Dziękuję — odrzekł Sam. — Ja nauczę pana od razu.

To mówiąc, jednym machnięciem ręki wyprawił kapelusz pana Namby'ego na drugi koniec pokoju, i to tak gwałtownie, iż o mało nie poleciała za nim złotą wykałaczką.

— Zwracam na to pańską uwagę — zawołał zbity z tropu oficer, przyszedłszy nieco do siebie. — Zostałem napadnięty w pokoju pana przez pańskiego sługę podczas wykonywania obowiązków służbowych. Biorę pana za świadka!

— Niech pan niczemu nie przyświadcza — przerwał Sam — niech pan mocno zamknie oczy. Chętnie wyrzuciłbym kapelusz za okno, ale nie mógłby już niżej upaść.

— Samie! — zawołał pan Pickwick z niezadowolaniem, gdy tymczasem służący jego robił rozmaite wojownicze gesty — jeżeli raz jeszcze odezwiesz się lub jeżeli wyrządzisz najmniejszą przykrość tej osobie, natychmiast cię odprawię.

— Ależ panie!

— Milcz i podnieś kapelusz!

Pomimo surowego zgromienia Sam stanowczo odmówił podniesienia kapelusza, a ponieważ oficerowi szeryfa było spieszo, więc w końcu podniósł go sam. Nie obeszło się przy tym bez całego potoku pogróżek, które Sam przyjmował z największym spokojem, poprzestając na zwróceniu uwagi pana Namby'ego na to, że jeżeli by znowu przysłała mu chęć włożenia kapelusza na głowę, to mu go wyprawi do Indii Wschodnich. Pan Namby

mając na uwadze, iż tego rodzaju operacja mogłaby być dla niego czymś niepożądanym, postanowił nie narażać przeciwnika na zbyt wielką pokusę, przywołał więc swego pomocnika i wyjaśnił mu, że aresztowanie zostało dokonane i że ma tylko czekać, dopóki pan Pickwick nie ubierze się, po czym wyszedł. Pomocnik usiadł na krześle i czekał cierpliwie na ukończenie toalety pana Pickwicka; potem posłano Sama po powóz, którym udano się na Coleman Street.

Podróż nie była na szczęście zbyt długa, gdyż pan Smouch, który nie miał nadzwyczajnego daru konwersacji, był ze względu na szczupłą przestrzeń powozu niezbyt miłym towarzyszem. Wkrótce powóz wjechał w bardzo ciemną ulicę i stanął przed domem, którego wszystkie okna były zakratowane. Front jego zdobił napis: „Namby, oficer szeryfa Londynu”. Kiedy drzwi wejściowe otwarł gentleman, który mógłby uchodzić za rodzzonego brata pana Smoucha i który z racji swego urzędu zaopatrzone był w ogromny klucz, pan Pickwick wprowadzony został do sali.

Sala ta odznaczała się tylko świeżym piaskiem, którym posypana by podłoga, i zapachem tytoniu napełniającym powietrze. Gdy pan Pickwick wszedł, uklonił się trzem osobom znajdującym się tam i posłał Sama po pana Perkera, po czym usiadł w kącie, z ciekawością spoglądając na swych towarzyszy.

Jeden z nich był to młodzieniec około dwudziestu lat; chociaż była dopiero godzina dziesiąta, pił on wodę z jałowcówką i palił cygaro, któremu to zajęciu, o ile można było wnosić z jego rysów, musiał już poświęcić dwa lub trzy ostatnie lata swego życia. Naprzeciw niego, poprawiając butem ogień w kominku, siedział inny młody człowiek, może trzydziestoletni, niski, o rysach pospolitych, twarzy żółtej i chrapliwym głose, posiadający tę znajomość świata i miłą swobodę w obejściu, których nabywa się w salach bilardowych i szynkowniach. Trzeci więzień, już w pewnym wieku, ubrany był w bardzo stary czarny frak; twarz miał bladą, oczy błędne. Ten chodził ciągle po pokoju, zatrzymując się czasami przed oknem z wielkim niepokojem, jak gdyby czekał na kogoś. Potem znów poczynął chodzić.

— Może by chciał pan dzisiaj użyć mojej brzytwy, panie Ayresleigh? — rzekł mężczyzna siedzący przy ogniu, mrugnawszy okiem na młodego człowieka, swego przyjaciela.

— Dziękuję panu — odrzekł więzień w pewnym wieku. — Spodziewam się, że za parę godzin będę wolny.

Potem szybko podszedł do okna, a powróciwszy westchnął głęboko i wyniósł się z pokoju. Dwaj inni więźniowie poczęli się głośno śmiać.

— Nigdy nie widziałem takiego dziwaka! — zawołał gentleman, który chciał pożyczyć swej brzytwy i nazywał się Price. — Nigdy Zdanie to potwierdził energicznym zaklęciem i znowu zaczął śmiać się wraz z młodzieńcem widocznie uważającym go za doskonały wzór.

— Czy da pan wiarę — rzekł następnie pan Price do pana Pickwicka — że ten pocziwina, który od ośmiu dni już tu siedzi, nie golił się jeszcze ani razu! Tak jest pewny, że wyjdzie za pół godziny, iż woli, jak powiada, ogolić się u siebie w domu.

— Biedny człowiek! — rzekł pan Pickwick. — Czy może mieć jakąś nadzieję, że się stąd wydostanie?

— Nadzieję? Ani cienia. Założyłbym się, że i za dziesięć lat nie wyjdzie. To powiedziawszy pan Price pogardliwie strzepnął palcami i zadzwonił.

— Przynieś mi listowego papieru i szklankę grogu, Crookey — rzekł do dozorca, który, sądząc z ubioru i całego wyglądu, był czymś pośrednim między zbankrutowanym

hodowcą bydła a niewypłacalnym dzierżawcą. — Muszę napisać do ojca, a bez odpowiedniej podniety nie potrafię przemówić staremu do sumienia.

Zbyteczne jest nadmieniać, że młodzieniec zachwycił się tą przemową i ze śmiechu omal nie dostał spazmów.

— To doskonale! — zawołał.

— O! Pan ma spryt — rzekł pan Price — musiał pan widzieć kawał świata...

— Trochę — odrzekł młodzieniec. Widział on świat przez brudne okna szynkowni.

Nie w smak poszły panu Pickwickowi takie rozmowy, jak również miny i maniery obu rozmawiających. Właśnie miał się spytać, czy nie można by dostać osobnego pokoju, gdy weszło kilka osób dość przyzwoitej powierzchowności. Ujrawszy je pan Price rzucił cygaro w ogień i powiedział cicho do swego kompana, iż panowie ci przyszli go uwolnić, po czym odszedł z nimi w kąt pokoju.

Zdaje się wszakże, iż uwolnienie to nie szło tak gładko, jak sobie wyobrażał, gdyż wywiązała się długa rozmowa, której pewne ustępy o rozmaitych wybrykach i niejednokrotnym przebaczeniu nie mogły nie obić się o uszy pana Pickwicka. W końcu najstarszy z przybyłych zrobił bardzo niedwuznaczną aluzję do pewnej ulicy, zwanej Whitecross, przy czym młodzieniec, pomimo swej pozornej zuchowatości i znajomości świata, oparł głowę o stół i począł gorzko płakać.

Zadowolony tym skonfundowaniem młodzieńca, pan Pickwick zadzwonił i wkrótce został zaprowadzony do osobnego pokoju, ozdobionego dywanem, stołem, krzesłami, sofą, lustrem i mnóstwem starych sztychów. Tam, w czasie gdy mu przygotowywano śniadanie, miał przyjemność słyszeć nad głową panią Namby grającą na fortepianie. Razem ze śniadaniem pojawił się pan Perker.

— Aha, kochany panie! — zawołał mały pełnomocnik. — Na koniec wsadzono pana! No, no! Nie bardzo nas to martwi, gdyż przekona się pan o niedorzeczności pańskiego postanowienia. Ułożyłem wykaz kosztów i opłat i dobrze będzie, gdy nie odkładając, uporządkujemy to. Jak pan myśli, kochany panie? Czy sam pan napisze zlecenie do wypłaty, czy też ja to mam zrobić?

To mówiąc, Perker zacierał ręce z przesadnym zadowoleniem, ale po chwili, gdy zauważył wyraz twarzy pana Pickwicka, z niepokojem spojrział na Sama.

— Perker — rzekł filozof — proszę cię, nie mówmy o tym. Nie widzę potrzeby zostawać tu dłużej i dziś jeszcze przeniosę się do więzienia.

— Nie może pan przenosić się do Whitecross, kochany panie — zawołał mały pełnomocnik — to niepodobna! Po sześćdziesiąt łóżek w jednej sypialni, a bramy są zamknięte przez szesnaście godzin w ciągu doby!

— Więc pójdę do innego więzienia, jeżeli to być może — odrzekł pan Pickwick — jeżeli nie, to urządzę się, jak będę mógł najlepiej.

— To już niech pan wybierze więzienie przy Fleet Street.

— Dobrze. Pojadę tam po śniadaniu.

— Powoli, powoli, kochany panie — rzekł zacny pełnomocnik.

— Nie ma potrzeby tak bardzo śpieszyć się tam, skąd każdy rad by wyrwać się jak najprędzej. Trzeba wpierw otrzymać *habeas corpus* i załatwić wiele innych formalności.

— Bardzo dobrze — odparł pan Pickwick z niczym niewzruszoną cierpliwością. — Więc o drugiej zjemy tu befsztyki. Zajmij się tym, Samie.

Pan Pickwick pozostał niewzruszony pomimo przedstawień i wywodów pana Perkera. Befszyki ukazały się i znikły we właściwym czasie. Następnie czekano parę godzin na

pana Namby'ego, który miał u siebie na obiedzie parę dystyngowanych osób i w żaden sposób nie mógł ich opuścić.

Dwóch było sędziów w Sergeant's Inn: jeden przy King's Bench, drugi przy Common Pleas. Jeżeli sądzić można po ilości dependentów uwijających się z papierami, to mieli oni mnóstwo spraw do załatwienia. Kiedy dojechali do niskiego sklepu tworzącego wjazd do Inn, Perker zatrzymał się na chwilę przy woźnicy omawiając z nim kwestię zapłaty i reszty. Pan Pickwick stanął nieco z boku i z ciekawością przypatrywał się ludziom, którzy wchodzili i wychodzili z bramy.

Ludzie, którzy zajęli uwagę pana Pickwicka, byli to przeważnie nędznie odziani mężczyźni, którzy dotykali kapeluszy na widok każdego adwokata i zdawali się mieć tutaj interesy, ale jakie, tego pan Pickwick nie mógł odgadnąć. Ciekawi byli to ludzie! Jeden szczupły, trochę kulawy, w czarnym ubraniu i białej chusteczce na szyi. Drugi wysoki, barczysty, ubrany podobnie, z szyją owiązaną szeroką czerwoną chustką. Trzeci drobny pijaczyna z twarzą porytą pryszczami. Wałęsali się z rękami założonymi w tył, a co pewien czas któryś z nich szeptał coś na ucho gentlemanowi biegnącemu z papierami. Pan Pickwick przypomniał sobie, że przechodząc tędy, nieraz już ich widział. Pałała go ciekawość, do jakiej profesji mogą należeć ci próźniacy.

Właśnie miał zwrócić się z tym pytaniem do pana Namby'ego, który stał za nim, wymachując palcem z olbrzymim pierścieniem, kiedy nadbiegł Perker mówiąc, że nie ma czasu do stracenia. Zaledwie pan Pickwick zrobił kilka kroków, podszedł do niego kulejący jegomość i uprzejmie dotknąwszy kapelusza, podał mu bilet, który pan Pickwick, nie chcąc go obrazić, grzecznie wziął i schował do kieszeni kamizelki.

— No — powiedział pan Perker, oglądając się, czyjego towarzysze idą za nim. — Tędy, moi panowie! Czego pan tu chce?!

To ostatnie pytanie zwrócone było do kulawego, który nie zauważony przez pana Pickwicka, przyłączył się do towarzystwa. W odpowiedzi kulawy znów dotknął kapelusza i wskazał na filozofa.

— Nie, nie — z uśmiechem powiedział pan Perker. — Nie potrzebujemy pana, nie potrzebujemy!

— Przepraszam — odrzekł kulawy — gentleman wziął mój bilet. Mam nadzieję, że pan zechce skorzystać z moich usług! Ten pan kiwnął na mnie. Tylko ten pan ma głos! Pan kiwnął na mnie, prawda?

— Ph, ph! Nonsens! — zawołał Perker. — Pan nie potrzebuje niczyich usług, prawda, panie Pickwick? Omyłka! Omyłka!

— Ten gentleman podał mi bilet — powiedział pan Pickwick, wyciągając bilet z kamizelki — więc go schowałem, bo mi się zdawało, że o to mu chodzi! Byłem nawet ciekawy, co to takiego, i chciałem przeczytać w wolnej chwili! Ja...

Mały adwokat wybuchnął głośnym śmiechem i zwróciwszy bilet kulawemu, powiedział, że to nieporozumienie, panu Pickwickowi zaś szepnął, kiedy kulas odszedł, że to poręczyciel.

— Co takiego?! — zawołał pan Pickwick.

— Poręczyciel!

— Poręczyciel?!

— Tak, kochany panie, jest ich tu z pół tuzina! Poręczy za pana każdą sumę, a zażąda tylko pół korony! Ciekawy zawód, co?! — mówił pan Perker, biorąc niuch tabaki.

— Co?! — zawołał pan Pickwick. — Mam przez to rozumieć, że ci ludzie sterczą tu po to, by znaleźć sposobność do złożenia przed sądem fałszywego zeznania? Że żyją z

krzywoprzysięstwa?! Za pół korony! — powiedział pan Pickwick, zgorzony tym odkryciem.

— Drogi panie, nie nazwałbym tego krzywoprzysięstwem w ścisłym tego słowa znaczeniu! — powiedział mały adwokat. — Mocne słowo, kochany panie, bardzo mocne! Wykręt prawny, drogi panie, tylko wykręt prawny! — to mówiąc, adwokat wzruszył ramionami, wziął szczyptę tabaki, uśmiechnął się, wziął znów szczyptę i skierował się do biura sędziego.

Był to pokój wyjątkowo brudny, z bardzo niskim sufitem i obdrapanymi ścianami, a tak ciemny, że chociaż dzień był pogodny, na stole paliły się wielkie świece. Drzwi w głębi prowadziły do prywatnych apartamentów sędziego. Koło tych drzwi kręcił się cały tłum adwokatów i ich pomocników, których wzywano kolejno. Za każdym razem, gdy wypuszczano jedną partię, druga rzucała się ku drzwiom, a ponieważ między tymi, którzy już widzieli sędziego, a tymi, którzy na niego czekali, wywiązywała się rozmowa, przeto panował tu hałas, jaki tylko mógł panować w tak obszernym lokalu.

Lecz rozmowy gentlemanów nie były jedynymi dźwiękami, jakie wypełniały uszy obecnych. W drugim końcu pokoju za barierą stał urzędnik w okularach, który przyjmował zaprzysiężone deklaracje. Co pewien czas inny urzędnik odnosił wielkie pliki tych dokumentów do podpisu sędziemu. Ponieważ liczba pomocników adwokackich, których rzeczą było zaprzysięć, była bardzo znaczna, a było rzeczą niemożliwą zaprzysięgać ich wszystkich naraz, panowie ci bili się formalnie i dokoła urzędnika w okularach tworzył się tłum nie mniejszy niż przed drzwiami teatru na przedstawienie galowe, na którym ma być Jej Królewska Wysokość. Inny znowu urzędnik co pewien czas wyteżał płuca, by wywołać nazwiska gentlemanów już zaprzysiężonych, w celu wręczenia im deklaracji podpisanych przez sędziego: dawało to powód do nadprogramowej wrzawy i zamieszania. Ponieważ wszystko to działo się jednocześnie, powstał taki harmider, że większego nie mógłby sobie życzyć najruchliwszy i najbardziej lubiący wrzawę człowiek. Byli jeszcze i inni — ci, którzy czekali na pozwy, czyje przyjęto, czy nie, o czym informowano na drugim końcu sali, przy czym wywoływano nazwisko adwokata strony przeciwnej — na dowód, że nazwisko jego było podane do wiadomości pozywającego.

Na przykład tuż koło pana Pickwicka stał oparty o ścianę praktykant adwokacki, chłopak czternastoletni o wysokim tenorku, a obok niego starszy dependent mówiący basem.

Wbiegł urzędnik z pliką papierów i stanął przed nim.

— Sniggie i Blink! — zawołał tenorek.

— Porkin i Snob! — ryczał bas.

— Stumpy i Deacon! — wołał nowo przybyły.

Nikt nie odpowiedział. Gdy wszedł następny urzędnik, wszyscy trzej rzucili się ku niemu. On zaś wywołał nową firmę. Wtedy ktoś inny znów wywołał inne nazwisko i tak w kółko.

Przez cały ten czas jegomość w okularach pracował w pocie czoła, zaprzysięgając dependentów. Udzielał niezmiennie tych samych informacji, bez intonacji i pauz, zawsze w tych samych słowach:

— Weź pan Księgę w prawą rękę pańskie nazwisko i pański podpis przysięga pan że pańska deklaracja jest prawdziwa tak mi dopomóż Bóg szylinga nie mam reszty proszę zmienić!

— No, Samie! — powiedział pan Pickwick. — Mam nadzieję, że przygotowali *habeas corpus*.

— Tak — powiedział Sam. — Chciałbym, żeby już raz przynieśli tę sztukę. Nudno tu czekać! Przez ten czas przynajmniej z pół tuzina dostało już habeasy!

Jak sobie Sam wyobrażał, że wyglądać powinien habeas corpus — nie wiemy. W tej chwili wszedł pan Perker i zabrał pana Pickwicka.

Po załatwieniu odpowiednich formalności osoba pana Pickwicka powierzona została opiece woźnego, a to w celu odesłania jej do więzienia przy Fleet Street i zatrzymania w nim do chwili, w której odszkodowanie za stracone korzyści i koszty wynikłe z procesu Bardell *contra* Pickwick nie zostaną całkowicie opłacone.

— Nieprędko doczekacie się tego — powiedział pan Pickwick, uśmiechając się. — Samie, sprowadź inny powóz. Perker, żegnam cię, kochany przyjacielu.

— Pójdę z panem, gdyż trzeba pana należycie ulokować.

— Przyznam się, że wolałbym zostać tylko z Samem. Gdy się urządzę, zawiadomię pana o tym i będę czekał na niego. Aż do tego czasu rozstańmy się.

To rzekłszy, pan Pickwick wszedł do powozu wraz z woźnym, Sam umieścił się na koźle i odjechali.

— Szczególny człowiek! — rzekł pan Perker do swego dependenta, wkładając rękawiczki.

— Jaki doskonały fałszywy bankrut byłby z niego! — dodał pan Lowten. — Ten wyprowadzałby w pole komisarzy!

Pełnomocnik nie był, zdaje się, bardzo zbudowany uwagami swego dependenta nad charakterem pana Pickwicka, gdyż odszedł, nic nie powiedziawszy.

Powóz wiozący pana Pickwicka dosłownie włókł się po Fleet Street, jak zwykle wynajmowane powozy; stangret utrzymywał, iż konie biegną raźniej, gdy widzą inne konie przed sobą, i dlatego jechał za jakimś wozem; gdy ten stawał, stawał i powóz. Pan Pickwick siedział naprzeciw woźnego, który trzymając swój kapelusz między kolanami i pogwizdując, patrzył ciągle przez okno.

Czas robi cuda; przy pomocy tego potężnego starca nawet wynajęty powóz ujedzie milę. Tak się też stało i teraz. Pan Pickwick wysiadł przed bramą więzienia.

Woźny poszedł przodem, ciągle oglądając się poza siebie, by być pewnym, że pan Pickwick idzie za nim. Skierowali się na lewo, i przeszli do przedsionka, z którego potężne drzwi, znajdujące się naprzeciw wchodowych a strzeżone przez barczystego odźwiernego z kluczami w ręku, prowadziły do więzienia.

Tu zaczekali, aż woźny odda papiery, panu Pickwickowi zaś oznajmiono, że ma tu pozostać tak długo, aż odbędzie się ceremonia znana wśród wtajemniczonych pod nazwą „zdejmowania portretu”.

— Jak to, zdejmowania portretu? — zapytał pan Pickwick.

— Dla zapamiętania rysów pana — odrzekł odźwierny. — O! My mamy w tym wielką wprawę. Zdejmujemy portret w bardzo krótkim czasie. Niech pan sobie wygodnie usiądzie.

Pan Pickwick był posłuszny temu wezwaniu. Gdy usiadł, Sam oparłszy się o poręcz krzesła powiedział mu cicho, iż „zdejmowanie portretu” znaczy tylko, iż rozmaici stróże więzienni będą go oglądali, by następnie móc odróżnić go od osób, które będą przychodziły do niego w odwiedzinach.

— Chciałbym, Samie — rzekł pan Pickwick — by ci artyści przyszli jak najprędzej, bo miejsce to nie bardzo przypada mi do gustu.

— Przyjdą zapewne niebawem — odparł Sam. — Widzi pan, tu jest zegar drewniany.

— Widzę.

— I klatka na ptaki; więzienie w więzieniu, prawda?

W chwili gdy Sam robił te filozoficzne spostrzeżenia, pan Pickwick dostrzegł, że artystyczne posiedzenie już się zaczęło. Barczysty odźwierny usiadł niedaleko naszego bohatera i co pewien czas spoglądał na niego niedbale, słuszny zaś i chudy mężczyzna umieścił się naprzeciw niego i ukrywając ręce pod połami surduta, bardzo uważnie wpatrywał się panu Pickwickowi w twarz. Trzeci gentleman, widocznie w złym humorze, bo odwołano go od herbaty i teraz dojadać jeszcze musiał chleb z masłem, umieścił się także koło filozofa i wsparłszy się pod boki oglądał go bardzo szczegółowo; na koniec dwa inne indywidua studiowały jego rysy w zamyśleniu i z wielką uwagą. Pan Pickwick drżał niejednokrotnie podczas tej operacji i wiał się na krzesła, ale nie zrobił żadnej uwagi nikomu, nawet Samowi, który pochylony na poręczy krzesła, rozmyślał częściowo nad położeniem swego pana, częściowo zaś nad przyjemnością, jakiej by doznał atakując po kolei wszystkich tych stróżów więziennych, gdyby tylko to nie sprzeciwiało się prawu i publicznemu spokojowi.

Po sportretowaniu oznajmiono panu Pickwickowi, że może wejść do więzienia.

— Gdzie będę spać tej nocy? — zapytał.

— Doprawdy — odrzekł barczysty odźwierny — że na dzisiejszą noc, to sam nie wiem. Jutro rano znajdzie się dla pana miejsce przy innym więźniu; wtedy będzie panu wygodnie. Pierwszą noc zwykle przepędza się tu, jak się uda; ale nazajutrz wszystko się ułoży.

Po długiej rozprawie okazało się, że jeden ze stróżów ma do odstąpienia łóżko na noc, pan Pickwick pośpieszył więc skorzystać z tego.

— Jeżeli pan chce, mogę pana tam zaraz zaprowadzić — rzekł stróż. — Nie jest bardzo wielkie, ale śpi się w nim znakomicie. Tędy, panie.

Poszli na wewnętrzny dziedziniec i krótkimi schodami zeszli na dół. Klucz przekrecono za nimi i po raz pierwszy w życiu pan Pickwick znalazł się w murach więzienia za długi.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Co się przydarzyło panu Pickwickowi w więzieniu za długi, kogo tam widział i jak spędził noc

Tom Roker, gentleman towarzyszący naszemu filozofowi, zwrócił się na prawo i przez furtkę wszedł po kilku schodach do galerii niskiej, długiej, wąskiej i brudnej, wyłożonej kamiennymi płytami i oświetlonej tylko dwoma oknami na dwóch końcach.

— To są — rzekł ów gentleman, wsuwając ręce do kieszeni i niedbale spoglądając na pana Pickwicka przez ramię — to są schody do sali.

— A! — odrzekł pan Pickwick, spuszczać oczy, by przypatrzeć się schodom, ciemnym i wilgotnym, wiodącym jakby do podziemia — tam znajdują się zapewne piwnice, w których więźniowie przechowują swoje zapasy węgla. Brzydkie to miejsce, ale założyłbym się, że wygodne.

— Spodziewam się, że wygodne, kiedy ludzie tam żyją i nawet nieźle żyją; niech mi pan wierzy.

— Mój przyjacielu — odrzekł pan Pickwick — nie chcesz chyba powiedzieć przez to, iż ludzkie istoty rzeczywiście mieszkają w tych nędznych lochach?

— Nie chcę powiedzieć? — zawołał ze zdumieniem pan Roker. — A dlaczegoż bym nie chciał powiedzieć?

— Więc żyją tam ludzie? — zawołał pan Pickwick.

— A tak, żyją! A nawet bardzo często umierają. I czemuż by nie? Cóż by mógł kto mieć przeciw temu? Czy żyją! Alboż to złe miejsce?

Ponieważ pan Roker mówiąc to, zwrócił się ku panu Pickwickowi w sposób bardzo gniewny i niemal z oburzeniem wymruczał kilka wysoce nieprzyjaznych zdań o jego oczach, członkach i krwi, filozof nasz nie uznał za właściwe przedłużać rozmowy. Po chwili pan Roker zaczął wstępować na inne schody, tak samo brudne jak poprzednie; za nim szedł pan Pickwick z Samem.

Doszedłszy do nowej galerii takich samych rozmiarów pan Roker zatrzymał się, by odetchnąć i powiedział:

— To kawiarnia. Wyżej jest trzecie piętro, a nad nim strych. Pokój, w którym pan przepędzi dziś noc, nazywa się salą dozorców. Chodźmy tędy.

Powiedziawszy to wszystko jednym tchem, pan Roker wraz ze swoimi towarzyszami znowu wstąpił na schody.

Schody te były oświetlone przez kilka nisko osadzonych okien, które wychodziły na plac wysypany żwirem, otoczony wysokim murem zaopatrzonym w kozły hiszpańskie. Był to, jak objaśnił pan Roker, „plac balowy”, a według informacji tego gentlemana, w innej części więzienia, przytykającej do Farringolon Street, znajdowało się podobne, lecz mniejsze podwórze, zwane „placem malowanym”, gdyż na jego murach można było dawniej widzieć podobizny okrętów pod pełnym żaglem i tym podobne dzieła sztuki, którymi uwiecznili się zamknięci tu malarze.

Gdy pan Roker zakomunikował o tym, raczej dlatego tylko, by ulżyć sobie opowiadaniem o tym ważnym szczególe, aniżeli by objaśnić pana Pickwicka, przeszedł w inną galerię i skręcił w bocznicę u samego jej końca; tu otworzył drzwi i ukazał pokój o bynajmniej niepociągającym wyglądzie, gdzie stało osiem lub dziewięć łózek.

— To, panie — rzekł pan Roker, stojąc w drzwiach i spoglądając na pana Pickwicka z triumfującą miną — to, panie, jest pokój.

Ale fizjonomia pana Pickwicka okazywała tak mało zadowolenia na widok tego lokalu, że pan Roker przeniósł swój wzrok na Samuela Wellera, zachowującego dotychczas pełne godności milczenie. Uczynił to zapewne w nadziei, iż znajdzie więcej zrozumienia w twarzy Sama.

— To pokój, młodzieńcze! — powtórzył.

— Widzę — odrzekł Sam, kiwając głową przyjaźnie.

— Nie spodziewał się pan znaleźć w tym miejscu takiego pokoju, co? — mówił dalej pan Roker.

Sam zamiast odpowiedzi przymknął jedno oko z wielką swobodą i wprawą, co mogło oznaczać, że i spodziewał się, i nie spodziewał, zależnie od tego, jak to sobie zechce tłumaczyć obserwator. Wykonawszy ten manewr Sam otworzył oko i zapytał, które mianowicie z tych dziwnych łóżek radzi zająć i na którym, według optymistycznego mniemania pana Rokera, śpi się tak znakomicie.

— To tutaj — rzekł pan Roker wskazując w jednym kącie na stare, zardzewiałe łóżko żelazne. — Tu zaśnie każdy, czy chce, czy nie chce.

— Proszę! — rzekł Sam, patrząc na ten mebel z najwyższym wstrętem. — Zapewne — mówił dalej, spoglądając na swego pana spod oka w nadziei, iż ten zawaha się w swym postanowieniu na widok tego wszystkiego — zapewne inni gentlemani, którzy tu śpią, są prawdziwymi gentlemanami?

— Rozumie się. Jeden z nich wypija dwanaście kwart piwa dziennie i nie przestaje palić fajki, nawet gdy je.

— To musi być niezwykle człowiek! — zauważył Sam.

— O! Pierwsza klasa! — odrzekł pan Roker.

Bynajmniej nie wzruszony tą wiadomością, pan Pickwick oznajmił z uśmiechem, iż postanowił wypróbować zalety tego łóżka. Pan Roker powiedział na to, iż może iść spać, kiedy mu się podoba, bez żadnych formalności i bez uprzedniego zawiadomienia, po czym odszedł, pozostawiając go z Samem w galerii.

Zaczynało ciemnieć, to znaczy w tym miejscu, gdzie nigdy nie było widno, zapalono kilka płomieni gazowych, może przez grzeczność dla nadchodzącej nocy. Ponieważ było dość ciepło, więc niektórzy z mieszkańców licznych pokoików, leżących po prawej i lewej stronie galerii, pootwierali drzwi. Przechodząc galerią pan Pickwick z zajęciem i ciekawością zaglądał do ich wnętrza. Tu czterech czy pięciu opasłych mężczyzn, których zaledwie można było dojrzeć za kłębami dymu tytoniowego, krzyczało i kłóciło się przy na wpół wypróżnionych szklankach piwa i grało bardzo brudnymi kartami. Tam biedny, samotny starzec, pochylony nad żółkłymi i podartymi papierami, wypisywał po raz setny przy słabym świetle łojówki długi spis swoich żalów, w nadziei, iż zdoła to dotrzeć do jakiejś znacznej osoby... która może nawet nie spojrzy na nie, której serce nigdy się tym nie przejmie. W trzecim pokoju jakiś mężczyzna wraz z żoną urządzał na ziemi nędzne postanie dla najmłodszego ze swych licznych dzieci. W czwartym, piątym, szóstym i siódmym znów karty, piwo i dym tytoniowy.

W samej galerii, a zwłaszcza na schodach, wałęsało się bez celu mnóstwo ludzi, jedni dlatego, że ich pokoiki były puste i samotne, drudzy znów, że ich były pełne i duszne. Większa jednak część dlatego, że trapił ich niepokój i sami nie wiedzieli, co z sobą począć.

Byli tu przedstawiciele wszystkich klas, od rzemieślnika w kaftanie z grubego barchanu aż do zrujnowanego utracjusza w kaszmirowym szlafroku z dziurą na łokciu.

Ale wszyscy byli podobni do siebie pod jednym względem: mieli miny niespokojne, spłoszone jak pojmana zwierzyzna, a zarazem tak bezwstydne i fanfarońskie, że trudno wprost opisać. Ale każdy, jeżeli tylko zechce, może je z łatwością zobaczyć, wystarczy bowiem wejść do pierwszego lepszego więzienia za długi, spojrzeć na byle jaką grupę i obserwować ją z takim zainteresowaniem, jak to czynił pan Pickwick.

— Co mnie zastanawia, Samie — rzekł filozof, oparłszy się o żelazną poręcz schodów — co mnie zastanawia, to że uwięzienia za długi właściwie nie uważa się za karę.

— Tak pan sądzi? — odparł pan Weller.

— Czy widzisz, jak ci ludzie piją i hulają? Niepodobna, by więzienie bardzo ich martwiło.

— Niezawodnie panie. Ci się tym nie martwią. Dla takich tu co dzień święto, bo mają portera, kręgle. Ale są inni, którym to bardzo dolega: biedacy, którzy nie mogą ani pić piwa, ani grać w kręgle, którzy modliliby się, gdyby mogli, i których serce krwawi, gdy ich tu zamkną. Ot, powiem panu, iż dla takich, którzy ciągle wałęsali się po szynkach, więzienie wcale nie jest karą; a tych znowu, którzy ciągle pracowali, zanadto przygnębia. Nie ma równości, jak mawia mój ojciec, gdy mu nie przyrządzą grogu pół na pół z wódką; nie ma równości i dlatego to nic niewarte.

— Sądzę, że masz słuszość, Samie — rzekł pan Pickwick po kilku chwilach namysłu — zupełną słuszość.

— Może znajdzie się przypadkiem jakiś uczciwy człowiek, który sobie tu upodoba — mówił Sam dalej — lecz przypominam sobie jednego tylko, a mianowicie pewnego umorusanego człeczynę w brązowym fraku. Ale to była siła przyzwyczajenia.

— Któż to był?

— Otóż tego właśnie nikt nie wiedział — odparł Sam.

— Cóż on zrobił?

— Ha! To samo, co wielu innych znakomitych ludzi jego czasów. Miał za duże wydatki, a nie umiał dochodów swych utrzymać z nimi w zgodzie.

— Czyli, innymi słowy, miał długi.

— Tak, i wskutek tego po jakimś czasie znalazł się tu. Nie chodziło o wiele, o dziesięć funtów szterlingów plus pięć funtów kosztów. Mimo to jednak przesiedział tu, nie wychodząc na krok, całych siedemnaście lat. Jeśli dostał trochę zmarszczek, to nie było ich widać, bo jego twarz i brązowy frak były pod koniec tak samo brudne jak na początku. Była to poczciwa istota, spokojna, nikomu nie zawadzająca, biegająca ciągle za interesami do tego, to owego lub grająca w karty i zawsze przegrywająca. W końcu dozorca więzienia bardzo go polubili i całymi wieczorami gawędzili z nim w swoich pokojkach. Pewnego wieczora, gdy był sam z jednym ze swych przyjaciół, który właśnie miał straż, powiedział nagle: — Wiesz, Billu, że nie widziałem rynku od siedemnastu lat. — Wiem — odpowiedział strażnik, paląc fajkę. — Chciałbym go widzieć choćby przez parę minut, Billu — powiada. — Nie wątpię o tym — mówił strażnik, puszczając dym. — Billu! — zawołał nagle umorusany człowiek — przyszła mi do głowy fantazja. Pozwól, bym jeszcze raz zobaczył rynek przed śmiercią, a jeśli nie dostanę apopleksji, powrócę punktualnie za pięć minut. — A co będzie, jak dostaniesz apopleksji? — pyta strażnik. — No to co? — odrzekł człeczyna — odniosą mnie tu; mam przecież w kieszeni bilet wizytowy: nr 20, schody do kawiarni. — Rzeczywiście tak było; gdy chciał zaznajomić się z jakimś nowym przybyszem, wyjmował zwykle z kieszeni mały pomięty kawałek papieru z wyżej wymienionym napisem; wskutek tego nazywano go Numerem Dwudziestym. Strażnik bystro spojrział mu w oczy, a potem powiedział z wielce uroczystą miną; —

Dwudziesty Numerze, zawierzam ci. Przecież nie zechcesz nabawić kłopotu staremu przyjacielowi. — Nie, mój kochany, mam przecież coś tu, w tym miejscu — odrzekł człeczyna, z całą siłą uderzając się w lewą stronę brązowego fraka i wylewając po jednej łzie z każdego oka, co było rzeczą nadzwyczajną, gdyż nigdy dotąd ani jedna kropla nie spłynęła po jego twarzy. Uściśnął rękę strażnika i poszedł.

— I więcej nie wrócił? — spytał pan Pickwick.

— Tym razem nie zgadł pan. Wrócił na dwie minuty przed terminem, okropnie zagniewany, gdyż omal go nie rozjechano. Powiedział, że do czegoś podobnego nie jest przyzwyczajony i niech go powieszają, jeżeli nie poskarży się lordowi majorowi. W końcu uspokojono go jakoś, ale przez następne pięć lat ani nosa nie wytknął za drzwi więzienne.

— A po upływie tego czasu zapewne umarł — rzekł pan Pickwick.

— Nie, panie, przyszła mu fantazja skosztować piwa w jednym szynku tuż koło więzienia i począł tam chodzić co wieczór, zawsze najregularniej powracając na kwadrans przed zamknięciem bramy. Wszystko szło świetnie. W końcu tak sobie zaczął pozwalać, iż zapomniał, co to czas, i powracał coraz później, tak że pewnej nocy stary jego przyjaciel już miał zamykać bramę i nawet raz przekręcił klucz, gdy wtem na zewnątrz odezwał się głos: — Jeszcze chwilkę, Billu. — Jak to, Numerze Dwudziesty — rzekł strażnik — toś jeszcze nie wrócił? Byłem pewny, że jesteś od dawna na miejscu. — Nie — odpowiedział człeczyna, uśmiechając się.

— No, to powiem ci, mój przyjacielu — rzekł strażnik z przyganą w głosie, z wolna otwierając drzwi — powiem ci, iż z wielką przykrością zauważyłem, żeś wlaź w złe towarzystwo. Nie chcę cię martwić — powiada — ale jeżeli nie wystarcza ci znajomość z ludźmi przyzwoitymi i nie będziesz wracać w odpowiednim czasie, to, jak mnie widzisz, w ogóle cię nie wpuszczę do środka. — Mały człeczyna zaczął drżeć i trząść się i od tego czasu noga jego nie powstała poza więzieniem.

Podczas tego opowiadania pan Pickwick z wolna szedł po schodach. Przeszedłszy się potem kilka razy po podwórzu, prawie pustym w tym czasie, powiedział, że czas już iść spać, i polecił Samowi, by na tę noc znalazł sobie miejsce w jakiej pobliskiej oberży, nazajutrz zaś przyszedł wcześniej, aby sprowadzić rzeczy spod „Jerzego i Jastrzębia”. Sam wysłuchał tego rozkazu z całą, na jaką go stać było, uległością, ale równocześnie z bardzo widocznym niezadowoleniem. Próbował nawet wmówić w swego pana, że może by było właściwiej, gdyby przespał się gdziekolwiek na dziedzińcu więziennym, widząc jednak, że pan Pickwick jest zupełnie głuchy na tego rodzaju napomknienia, ostatecznie był zmuszony odejść.

Nie można tego przemilczeć, że i sam pan Pickwick czuł się bardzo nieswojo i był ogromnie przygnębiony — nie dla braku towarzystwa, gdyż w więzieniu było pełno ludzi, a butelka wina mogła mu zjednać towarzystwo kilku dystygowanych gentlemanów z pominięciem formalnego przedstawienia; czuł się jednak zupełnie samotny w tym niesfornym tłumie, a myśl o wiecznym więzieniu bez nadziei uwolnienia odebrała mu pogodę ducha. Mimo to nie pomyślał nawet o tym, by odzyskać wolność czyniąc zadość chciwości takich łotrów, jak Dodson i Fogg.

W takim usposobieniu wszedł do galerii kawiarnianej i zaczął się przechadzać. Miejsce to było nieznośnie brudne, zapach tytoniu dusił prawie. Mieszkańcy nieustannie trzaskali drzwiami, gdy wchodzili lub wychodzili, a szum ich rozmów i odgłos kroków dudniły bez przerwy w galerii. Jakaś młoda kobieta z dzieckiem na ręku, które było tak wychudzone i wynędzniałe, że nie mogło raczkować, chodziła po galerii z mężem, gdyż nie było innego miejsca, gdzie by się mogli zobaczyć. Gdy przechodzili koło pana Pickwicka, usłyszał, jak

kobieta gorzko łkała, a raz wybuchnęła tak głośnym płaczem, że musiała oprzeć się o ścianę, a mąż wziął dziecko na ręce i próbował ją uspokoić.

Filozof nasz nie mógł znieść tego i poszedł do swego pokoju.

Chociaż sala dozorców była bardzo niewygodna i pod tym względem stała nierównie niżej od pierwszego lepszego więziennego szpitala na prowincji, w obecnej jednak chwili miała przynajmniej tę zaletę, iż była zupełnie pusta. Pan Pickwick usiadłszy na swym żelaznym łóżku począł obliczać, ile rocznego dochodu może przynosić dozorcóm taka szkaradna nora. Przekonawszy się drogą wyliczeń, iż daje więcej aniżeli niejedna przedmiejska ulica, zapytał następnie sam siebie, co wpłynęło na niewielką muszkę łażącą mu po ubraniu, że wybrała na miejsce pobytu źle przewietrzane więzienie, mając tyle innych przyjemniejszych możliwości.

Zastanawiając się nad tym coraz głębiej, doszedł do przekonania, że owad musiał dostać pomieszania zmysłów. Stwierdziwszy to poczuł wreszcie, że mu się zbiera na sen, wy dobył więc z kieszeni szlafmycę, którą wziął z sobą jeszcze rano, powoli rozebrał się i wsunawszy się w łóżko zasnął głęboko.

— Brawo, Zefirze! Ślicznie to zrobiłeś! Doskonale! Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie powinieneś być w operze! Hura!

Te wykrzykniki, powtarzane kilkakrotnie i coraz hałaśliwiej przy akompaniamencie głośnego śmiechu, wyrwały pana Pickwicka ze snu, który trwał nie dłużej niż pół godziny, choć jemu wydawało się, że minęło trzy lub cztery tygodnie.

Zaledwie ustał hałas, gdy podłoga sali zatrzęsała się tak gwałtownie, że okna i łóżka zadrżały. Pan Pickwick przestraszył się, siadł na łóżku i przez kilka minut ze zdumieniem przypatrywał się scenie, która się przed nim rozgrywała.

Na środku pokoju mężczyzna w zielonym fraku, aksamitnych spodniach i szarych pończochach wykonywał z wdziękiem i lekkością najdziwaczniejsze skoki, co w połączeniu z jego kostiumem czyniło nader osobliwe wrażenie. Inny mężczyzna, widocznie mocno pijany i rzucony na łóżko przez swych towarzyszy, siedział na nim otulony kołdrą i śpiewał niesłychanie sentymentalnie jakąś komiczną śpiewkę. Trzeci wreszcie, także siedzący na łóżku, oklaskiwał obydwu artystów z miną głębokiego znawcy i zachęcał ich, głośno wyrażając swe uznanie, czym właśnie zbudził pana Pickwicka. Ostatnia ta osoba przedstawiała znakomity obraz człowieka, którego w całej jego okazałości widzieć można tylko w takich miejscach. Można okazy takie spotkać czasami w stanie niedoskonałym koło stajen i szynków, ale do pełnego rozwoju dochodzą tylko w więziennych cieplarniach, jakby naumyślnie urządzonych dla nich przez prawodawstwo w tym chwalebny cel, by rasa ta nie zaginęła.

Był to dorodny chłop, cery oliwkowej, z długimi, czarnymi włosami i gęstymi faworytami schodzącymi się pod brodą. Nie miał zakietu, gdyż cały dzień grał w piłkę, a odchylony kołnierz koszuli ukazywał potężne rozmiary jego karku. Na głowie miał zwykłą czapkę francuską za osiemnaście pensów, z jaskrawymi chwościami, które bardzo harmonizowały ze zwykłą bluzą barchanową. Jego nogi, długie i słabe, zdobiła para spodni oksfordzkich, nadających się znakomicie do tego, by symetrię jego członków ukazać we właściwym świetle. Ponieważ były niedbale zasznurowane, a do tego niezupełnie zapięte — opadały więc wdzięcznymi fałdami na buciki, przydeptane o tyle, że widać było brudne, białe pończochy. Całą jego postawę znamionowała pewnego rodzaju łobuzerska, włóczęgowska żywość i nadęta filuterność, która warta była przynajmniej funt złota.

On był pierwszym, który dostrzegł, że pan Pickwick przypatruje się im. Mrugnął więc na Zefira i z drwiącą powagą wezwał, by nie budził gentlemana.

— Niech Bóg ma tego znakomitego gentlemana w swej opiece teraz i na wieki wieków! — zawołał Zefir, odwracając się i udając największe zdziwienie. — Czy gentleman już się obudził? O, Szekspirze! Jakże się panu powodzi? Cóż porabiają Maria i Sara? No i ta przemiła stara dama? Cóż, panie? Czy nie byłby pan łaskaw do pierwszego pakunku, jaki pan odeśle, włożyć moje ukłony i napisać, że byłbym je prędzej odesłał, gdybym się nie bał, że mogłyby popękać na wozie? Dobrze, mój panie?

— Nie nudź gentlemana pustymi grzecznościami, kiedy widzisz, że umiera z pragnienia! — zawołał jowialny mężczyzna z faworytami. — Lepiej zapytaj go, czego by sobie życzył.

— Do pioruna! Zapomniałem o tym! Czego się pan napije? Wina porto czy kseresu? Mogę panu także zalecić piwo. A może też chce pan łyknąć portera? Pozwól mi pan, bym miał to szczęście zawiesić pańską szlafmycę!

Mówiąc to orator zerwał rzeczony przedmiot z głowy pana Pickwicka i w okamgnieniu osadził go na czole pijanego draba, który ani na chwilę nie przerwał swego melancholijnego zawodzenia, przekonany zapewne, iż zachwycą nim całe towarzystwo.

Pomimo dowcipu, jaki tkwi w zerwaniu komuś szlafmycy i osadzeniu jej na głowie nieznanego brudasa, był to niewątpliwie żart dość natrętny. Zapatrując się na rzecz z tego punktu widzenia, pan Pickwick, nie zawiadamiając uprzednio o swych zamiarach, błyskawicznie wyskoczył z łóżka i potężnie palnął Zefira w brzuch, pozbawiając go w ten sposób znacznej ilości powietrza, które było związane z tym uroczym imieniem, po czym odebrał swoją szlafmycę, włożył ją sobie na głowę i śmiało stanął w postawie obronnej...

— Teraz — zawołał dysząc zarówno z gniewu, jak i niesłychanego wysiłku — występujcie obaj! Obaj razem!

Po tym śmiałym wyzwaniu zacny gentleman nadał zaciśniętym pięściom ruch obrotowy, by zaimponować przeciwnikom tą demonstracją własnej gotowości.

Czy to z powodu wielce skomplikowanego sposobu, w jaki pan Pickwick wyskoczył z łóżka, by się rzucić na tancerza, czy też z powodu niezwyklej odwagi, jaką okazał — mniejsza o to, dość, że wywarł wielkie wrażenie na swych przeciwnikach, gdyż ci, zamiast popełnić morderstwo, jak się tego filozof spodziewał, zatrzymali się, spojrzeli po sobie i w końcu wybuchnęli śmiechem.

— No, no, zuch z pana! — rzekł Zefir. — Właż pan do łóżka, bo się nabawisz reumatyzmu. Spodziewam się, że nie ma pan do mnie żalu — mówił dalej, podając panu Pickwickowi rękę, mogącą całkowicie zapełnić jedną z rękawic blaszanych, jakie widzimy nad sklepami rękawiczników.

— Bynajmniej — odrzekł pan Pickwick dość rażno, teraz bowiem, gdy przeszło wzburzenie, poczuł zimno w nogach.

— Zrób pan i mnie ten honor — rzekł gentleman z faworytami, również podając mu swą prawicę.

— Z wielką przyjemnością — odpowiedział filozof, włączając do łóżka i ściskając podane rękę.

— Nazywam się Smangle — rzekł gentleman z faworytami.

— A! — odpowiedział pan Pickwick.

— A ja Mivins — rzekł gentleman w pończochach.

— Bardzo mnie to cieszy — odparł pan Pickwick.

— Hm — zakaszłał pan Smangle.

— Czy pan co powiedział? — zapytał pan Pickwick.

— Nie — odpowiedział tamten.

— Widocznie zdawało mi się — zauważył pan Pickwick.

Wszystko to odbywało się bardzo grzecznie i miło; aby utrzymać się na jeszcze bardziej przyjaznej stopie, pan Smangle zapewnił wielokrotnie pana Pickwicka, że ma głębokie uszanowanie dla uczuć gentlemiana, co rzeczywiście głośno przemawiało na jego dobro, gdyż nie było najmniejszego powodu, by przypuszczać, że uczucia te zna z własnego doświadczenia.

— Przyszedł pan tu przez podwórze? — zapytał pan Smangle.

— Przez co? — zapytał pan Pickwick.

— Przez podwórze, ulica Portugalska, pan chyba wie?

— Nie — odparł pan Pickwick.

— Może zabrakło panu pieniędzy? — pytał dalej pan Smangle.

— O, nie! — odrzekł pan Pickwick. — Odmówiłem zapłacenia kosztów procesu i odszkodowania i to mnie tu zaprowadziło.

— A mnie — zawołał pan Smangle — zgubił papier.

— Był pan księgarzem? — zapytał niewinnie pan Pickwick.

— Uchowaj Boże! Nigdy tak nisko nie upadłem; w żadne handlarstwa nie wdawałem się. Gdy mówię papier, to chcę tym powiedzieć weksel!

— A, teraz pana rozumiem — rzekł pan Pickwick.

— No, gentleman musi umieć znosić nieszczęścia — dodał pan Smangle. — Ale cóż stąd, że jestem w więzieniu? Czy jestem przez to uboższy?

— Przeciwnie — wtrącił pan Mivins i miał słuszość. Pan Smangle był nawet bogatszy, gdyż przygotowując się do swego nowego mieszkania nabył bezpłatnie pewną ilość biżuterii, która dawno już powędrowała do lichwiarza.

— No, no! Wszystko to bardzo sucha robota — zawołał znów pan Smangle. — Warto by przepłukać gardło odrobiną ciepłego wina. Mivins pójdzie po nie, ja pomogę pić, a kto do nas przybył ostatni, ten zapłaci. Ja właśnie nazywam to bezstronnym i gentelmańskim podziałem pracy.

Nie chcąc narażać się na nową kłótnię pan Pickwick przystał na tę propozycję, dał pieniądze panu Mivinsowi, który nie tracąc czasu pobiegł do kawiarni, gdyż było już około jedenastej.

— Słuchaj pan — rzekł cicho pan Smangle do pana Pickwicka, gdy tylko znikł jego przyjaciel — ile mu pan dałeś?

— Pół suwerena.

— To bardzo miły jegomość, no i gentleman... diabelnie miły... nie znam lepszego kolegi od niego, ale...

Tu pan Smangle zatrzymał się i potrząsnął głową.

— Przecież pan nie przypuszcza, by sobie przywłaszczył te pieniądze? — zapytał pan Pickwick.

— O, nie! Broń Boże, tego nie mówię. Wyraźnie powiedziałem, iż jest to bardzo miły gentleman... ale sądzę, że nie wadziłoby pójść za nim i dopilnować, aby po drodze nie nadpił wina albo nie zgubił reszty. Chodź no tu pan! Wyleźże pan i zobacz, co robi gentleman, który dopiero co wyszedł.

Wezwanie to odnosiło się do jakiegoś małego, nieśmiałego człowieka, którego cały wygląd zdradzał wielkie ubóstwo, a który dotąd leżał skurczony na łóżku oszołomiony swym nowym położeniem.

— Wie pan, gdzie jest kawiarnia? Zejdź pan tam i... albo nie!... Wie pan, jak go złapiemy! — zawołał chytrze pan Smangle.

— Jak? — zapytał pan Pickwick.

— Powiedz pan, niech za resztę kupi cygar. Doskonały pomysł! Biegnij pan! Cygara nie przypadną — mówił dalej pan Smangle — w razie potrzeby ja je wypalę.

Manewr ten był pomysły i przeprowadzony z takim spokojem i obojętnością, że pan Pickwick nie sprzeciwiłby się temu, nawet gdyby miał możliwość. Wkrótce pan Mivins powrócił, niosąc sherry, które pan Smangle rozlał do małych kubeczków; zauważył przy tym, robiąc aluzję do siebie, że nie jest to sytuacja odpowiednia dla gentlemana, i co do niego, wcale nie jest dumny z tego, że musi pić z kubka. Na dowód czego wychylił prawie połowę zawartości flaszki.

Z tą chwilą w sali dozorców zapanowała wzorowa harmonia. Pan Smangle zabawiał towarzystwo, opowiadając rozmaite romantyczne przygody, w które był zamieszany; ciekawe te opowieści dotyczyły głównie pewnej cudnej Żydówki i pewnego konia czystej rasy. Obie te istoty były niezwyklej urody i zaliczyć je można do najpiękniejszych zjawisk tego świata.

Na długo przed ukończeniem tego opowiadania pan Mivins już chrapał na swoim łóżku, rzucając trwożliwego gentlemana i pana Pickwicka na pastwę doświadczeń pana Smangle'a. Opowiadanie pana Smangle'a nie zbudowało jednak należycie dwóch wyżej wymienionych gentlemanów. Pan Pickwick drzemał już dłuższą chwilę, kiedy mu się nagle wydało, że pijany gentleman zaczął znowu śpiewać, ale Smangle, wylewając mu kufel zimnej wody na głowę, dał mu delikatnie do zrozumienia, że towarzystwo nie jest w muzycznym nastroju. Pan Pickwick zasnął wreszcie, zdając sobie niejasno sprawę, że pan Smangle opowiada jakąś długą historię, której pointa polegała na tym, że kiedyś udało mu się (fakt to skonstatowany i zapisany) „objechać” pewną skargę i pewnego gentlemana.

Rozdział czterdziesty drugi **podobnie jak poprzedni, dowodzi słuszności starego** **przysłowia, że nigdy nie możesz przewidzieć, z kim** **będiesz spał; zawiera również dziwne i zdumiewające** **polecenie, jakie pan Pickwick dał Samowi**

Otworzywszy oczy nazajutrz rano, pan Pickwick ujrzał najpierw Samuela Wellera siedzącego na małym, czarnym kufrze i z wielkim zajęciem przypatrującego się wspaniałej figurze wesołego pana Smangle'a, gdy natomiast ten, siedząc na pół ubrany na swym łóżku, wysiłał się bezskutecznie, by zmusić Sama do spuszczenia oczu. Powiadamy: bezskutecznie, gdyż Sam, obejmując jednym spojrzeniem nogi, głowę, twarz i faworyty pana Smangle'a, nie przestawał go oglądać z żywym zadowoleniem, lecz tak samo dbał o wrażenie, jakie to sprawiało na panu Smangle'u, jak gdyby patrzył na drewnianą statuetkę albo wypchaną figurę.

— Chcesz, widzę, poznać, kim jestem? — zapytał pan Smangle, marszcząc czoło.

— Mógłbym przysiąc, że się nie mylę! — wesoło zawołał Sam.

— Nie bądź pan impertynencki dla gentlemana, mój panie! — powiedział pan Smangle.

— Za nic w świecie! — odpowiedział Sam. — Jeżeli zechce mi pan powiedzieć, kiedy gentleman się obudzi, będę się zachowywał ekstra fajnie! — Ta uwaga, która pozwalała domyślać się, że Sam wątpił, czy pan Smangle jest gentlemanem, rozgniewała pana Smangle'a.

— Mivins! — zawołał z wściekłością.

— Co tam? — spytał tamten gentleman ze swego łóżka.

— Co to za diabeł?

— Właśnie — powiedział Mivins, wysuwając nos spod kołdry — właśnie chciałem o to zapytać ciebie. Ma tu jakiś interes?

— Nie! — odpowiedział Smangle.

— Więc zrzuć go ze schodów i zapowiedz, żeby się nie ośmielił wstać, zanim nie przyjdę go kopnąć! — powiedział pan Mivins. Po udzieleniu tej przyjacielskiej rady znów zaczął drzemać. Ponieważ powyższa rozmowa zdradzała nieomyślne symptomy, że może zejść na tory osobiste, pan Pickwick uznał za właściwe przerwać ją.

— Samie! — zawołał.

— Słucham pana!

— Nie zaszło nic nowego od wczoraj?

— Nic ważnego, panie — odrzekł Sam, nie przestając wpatrywać się w faworyty pana Smangle'a. — Wilgoć i gorące powietrze sprzyjają, zdaje się, w sposób niepokojący rozrostowi rozmaitego zielska; poza tym wszystko idzie swoim trybem.

— Podaj mi czystą bieliznę.

Uspokojenie i zamiary pana Smangle'a, chociaż bardzo nieprzyjemne, uległy złagodzeniu, gdy zajrzał do wnętrza kufra podróżnego przyniesionego przez Sama. Zmieniło to zdanie jego nie tylko o panu Pickwicku, ale i o Samie. Wskutek tego korzystając ze sposobności, oświadczył tonem donośnym, iż poczytuje Sama za oryginała

czystej krwi i co za tym idzie, za jednego z ludzi, jakich szczególnie lubi. Co do pana Pickwicka, to w pierwszej chwili poczuł do niego sympatię bez granic.

— Czy mogę panu czym służyć, drogi panie? — zapytał.

— Zdaje się, że nie, dziękuję — odrzekł filozof.

— Może pan potrzebuje odesłać bieliznę do praczki? Znam tu doskonałą praczkę w sąsiedztwie. Przychodzi do mnie dwa razy na tydzień... Na Jowisza! Jakże to szczęśliwie się składa! Dziś właśnie ma przyjść! Mogę oddać pańskie rzeczy razem z moimi! Nie mówmy o trudzie: cóż to znaczy trud? Cóż byłaby warta ludzkość, gdyby gentleman w nieszczęściu nie zadał sobie trochę trudu, by dopomóc drugiemu gentlemanowi znajdującemu się w takim samym położeniu?

Tak mówił pan Smangle i jednocześnie przysuwał się do kufra, jak można najbliżej, rzucając spojrzenia pełne i najżywszej, i najbardziej bezinteresownej życzliwości.

— Może ma pan co dać chłopcu do wyczyszczenia? — zapytał.

— Nic a nic — odrzekł Sam, wyręczając pana Pickwicka. — Może by było jednak przyjemnej dla obu stron, gdyby jeden z nas zabrał się do szczotkowania — jak powiedział pewien bakałarz, gdy młodzi gentlemani nie chcieli dać się oćwiczyć.

— A nie ma pan nic, co bym mógł włożyć razem z moimi rzeczami do skrzynki i oddać pracze? — zapytał znowu pan Smangle, z niesmakiem odwracając się od Sama i patrząc wprost na pana Pickwicka.

— Nic — odrzekł Sam — obawiam się, że pańska skrzynka jest nabita pańskimi własnymi rzeczami.

Słowom tym towarzyszyło wyraziste spojrzenie na tę część ubrania pana Smangle'a, która zwykle świadczy o umiejętności praczki. Wskutek tego gentleman ten odwrócił się rezygnując, na razie przynajmniej, z widoków na garderobę i sakiewkę pana Pickwicka, w złym humorze wyszedł na dziedziniec, na lekkie a zdrowe śniadanie, składające się z dwóch cygar kupionych wczoraj za pieniądze pana Pickwicka.

Pan Mivins nie palił, jego rachunek zaś w miejscowym sklepiku dosięgał już samego dołu stronicy księgi rachunkowej. Ponieważ kupiec nie chciał za nic odwrócić na drugą stronę tej wielkiej księgi, pan Mivins pozostał w łóżku, by, jak mówił, śniadać z Morfeuszem.

Pan Pickwick zjadł śniadanie w małym pokoiku obok kawiarni, noszącym obiecującą nazwę „ukrytego kąta”. Każdy gość w tym „ukrytym kącie” za nieznaczną opłatą korzystał z tego przywileju, że mógł słuchać wszystkich rozmów w kawiarni. Potem pan Pickwick wysłał Sama po sprawunki i udał się do pana Rokera, aby porozmawiać o swym przyszłym pomieszczeniu.

— A! pan Pickwick — rzekł ten gentleman, przeglądając ogromną księgę. — Miejsca i wygod nam nie zabraknie. Dam panu bilet kątem do nru 27 na trzecim piętrze.

— Bilet jaki? — zapytał filozof.

— Bilet kątem. Czy pan nie rozumie?

— Przyznam się, że nie! — rzekł pan Pickwick, uśmiechając się.

— Ależ to jasne jak dzień. Będzie pan mieszkał kątem pod nrem 27, w towarzystwie innych gentlemanów.

— Ilu ich jest? — zapytał pan Pickwick niepewnym głosem.

— Trzech...

Pan Pickwick odkaszlnął.

— Jeden duchowny — mówił dalej pan Roker, pisząc coś na małym kawałku papieru — drugi rzeźnik.

— Kto? — zapytał pan Pickwick.

— Rzeźnik! — powtórzył pan Roker, uderzając piórem o stół, aby mu przeszła ochota do robienia kleksów. — To musiał być swego czasu zabijaka! Neddy, pamiętasz Toma Martina? — Słowa te były zwrócone do drugiego mieszkańca tego pokoiku, który właśnie pracował nad zeszkrobaniem błota z trzewików przy pomocy scyzoryka o dwudziestu pięciu ostrzach.

— No myślę! — powiedziało to indywiduum z naciskiem.

— Jak mi życie mile! — podjął pan Roker, kiwając głową na obie strony i wodząc nieobecny wzrokiem po oknie, jak gdyby nagle przypomniały mu się jakieś rozkoszne sceny z dzieciństwa. — Wydaje mi się, że to dopiero wczoraj zbił na kwaśne jabłko tragarza węgla, tam w porcie! Widzę go jeszcze wyraźniej, jak idzie między dwoma strażnikami trochę oszołomiony tym zajściem, z plasterkiem na prawym oku, a za nim kroczy ten jego buldog! Jak w książce z obrazkami. Co to za śmieszna rzecz ten czas, prawda, Neddy?

Gentleman, do którego zwrócone były te słowa, widocznie milczący i nietowarzystki z natury, odpowiedział tylko mruknięciem. Pan Roker oderwał się od poetyckiego toku myślenia i powracając do prozy życia, ujął pióro.

— Zna pan trzeciego? — zapytał pan Pickwick, nie bardzo zadowolony z przyszłych towarzyszy.

— Co to za Simpson, Neddy? — zapytał pan Roker towarzysza.

— Jaki Simpson?

— No, ten spod dwudziestego siódmego, na trzecim piętrze, z którym ten gentleman ma razem mieszkać!

— Ach, ten! — zawołał Neddy. — Nic szczególnego! Przedtem był współnikiem kuglarza, potem zwyczajnym oszustem!

— Tak i ja myślałem! — powiedział pan Roker, wręczając panu Pickwickowi mały skrawek papieru. — Oto bilet dla pana!

Zakłopotany filozof wyszedł rozmyślając nad tym, co ma teraz począć. W końcu postanowił przynajmniej zobaczyć ludzi, z którymi chciano go umieścić, udał się więc na trzecie piętro.

Błądząc długo po galerii i mozoląc się nad odczytywaniem w ciemności numerów na drzwiach, spotkał nareszcie chłopca z szynkowni i zapytał go, gdzie jest numer 27.

— Piąte drzwi — odrzekł chłopak — na drzwiach jest wymalowany gentleman na szubienicy z fajką w ustach.

Kierując się tą wskazówką pan Pickwick poszedł dalej, odnalazł portret wzmiankowanego gentlemana, w którego twarz zapukał najpierw lekko, a potem mocniej. Ale gdy kilkakrotnie powtarzał tę operację na próżno, zdecydował się w końcu zajrzeć do wnętrza.

W pokoju znajdował się tylko jeden jego mieszkaniec, wychylony za okno na tyle, na ile pozwalały prawa równowagi, i zabawiający się tym, że próbował pluć na kapelusz jednemu ze swych przyjaciół znajdujących się na dziedzińcu. Pan Pickwick nie mogąc oznajmić o swym przybyciu ani kaszlem, ani kichaniem, ani stukaniem, ani żadnym innym podobnym sposobem, w końcu zbliżył się do okna i pociągnął lekko za połą wychylone indywiduum. Indywiduum to z wielką szybkością cofnęło głowę i plecy, obejrzało pana Pickwicka od stóp aż do głowy i z gryźliwym tonem zapytało, czego, u diabła, sobie życzy.

— Jeżeli się nie mylę, to tu jest nr 27 — rzekł filozof spoglądając na swą kartę.

— No i cóż z tego?

— Przychodzę tu, ponieważ dano mi ten bilet.

— Pokaż pan.

Pan Pickwick pokazał bilet.

— Nie mógł też Roker wsadzić pana gdzie indziej? — rzekł z niezadowoleniem pan Simpson (gdyż on to był).

Pan Pickwick w pełni podzielał to zapatrywanie, ale uważał, że rozsądniej będzie zachować milczenie.

Pan Simpson pomyślał przez chwilę, potem wysunął głowę za okno, gwizdnął przeciągle i kilka razy coś zawołał. Co to znaczyło, pan Pickwick nie mógł zrozumieć, domyślił się jednak, że to przezwisko pana Martina, a to dlatego, że kilku gentlemanów stojących na dole zaczęło krzyczeć: — Panie rzeźnik! — naśladując ton, jakim ludzie tego zawodu zwykle zawiadamiają o swojej obecności na targu.

Najbliższe zdarzenia potwierdziły przypuszczenia pana Pickwicka. W kilka minut potem do pokoju wszedł mężczyzna niezwykle na swój wiek otyły, w niebieskiej rzeźnickiej bluzie i ogromnych butach. Idąc, sapał jak miech; za nim szedł ktoś drugi, w mocno połatanym ubraniu, usiłując na próżno zapiąć frak, przy którym brakowało guzików i pętelek. Twarz miał czerwoną i wyglądał na pijanego kapelana, czym rzeczywiście był. Obaj obejrzeni bilet pana Pickwicka, przy czym jeden z nich powiedział: — Ph! — a drugi: — Hm! — Wyraziwszy swoje uczucia w ten wielce dobitny sposób, spojrzeli na pana Pickwicka, potem na siebie wśród bardzo niemilego milczenia.

— To dopiero nieznośne! I właśnie teraz, kiedyśmy się tak dobrali! — powiedział kapelan, patrząc na trzy brudne materace, zwinięte i rzucone w kąt; zajmowały one w ciągu dnia jeden róg pokoju i tworzyły rodzaj wzniesienia, na którym stała zwykła, glinianą, żółta miednica i miseczka na mydło, ozdobiona niebieskim kwiatkiem. — To dopiero nieznośne!

Pan Martin wyraził to samo zapatrywanie w sposób o wiele dobitniejszy, pan Simpson wygłosił mnóstwo przymiotników, którym nie towarzyszył ani jeden rzeczownik, po czym zabrał się do płukania jarzyn na obiad.

Przez ten czas pan Pickwick rozglądał się po pokoju niemożliwie brudnym i nie do zniesienia pachnącym stęchlizną. Ani śladu mebli, dywanu, firanek lub zasłon. Nie było nawet szafy. Prawda, że nie było również nic, co by można do niej schować, nawet gdyby istniała. Sporo jednak było w tym pokoju rozmaitych przedmiotów niewielkich rozmiarem i znaczeniem, a mianowicie kawałki mięsa, okruchy chleba i sera, mokre gałgany, trzonki od noży i widelców itp. Przedmioty te nie robią miłego wrażenia, gdy pokrywają podłogę izby mającej służyć za sypialnię, jadalnię i pracownię trzem nic nie robiącym drabom.

— Może da się to jakoś ułożyć — powiedział wreszcie rzeźnik po długim milczeniu. — Ile pan żąda odstepnego?

— Przepraszam pana — odpowiedział pan Pickwick. — Nie rozumiem. Co pan powiedział?

— Ile pan żąda za to, żeby pójść stąd precz? — spytał rzeźnik.

— Zwykła taksa to dwa szylingi i sześć pensów. Bierze pan trzy szylingi?

— ...I ławkę — dodał jegomość z miną duchownego.

— Mniejsza o to! — powiedział Martin. — To tylko różnica dwóch pensów!

— Cóż pan na to? Zapłacimy panu trzy szylingi tygodniowo.

— I postawimy galon piwa! — dodał pan Simpson. — Jazda!

— Który wypić można zaraz! — uzupełnił kapelan. — No?

— Tak mało znam przepisy, jakie w tym miejscu obowiązują — powiedział pan Pickwick — że nie rozumiem dokładnie, o co chodzi. Czy mógłbym mieszkać gdzie indziej?

Usłyszawszy to rzeźnik spojrział ze zdumieniem na swoich towarzyszy. Wtedy każdy z tych gentlemanów palcem lewej ręki wskazał poza lewe ramię. Tego rodzaju ruch ma wiele wdzięku, gdy go wykona jednocześnie kilka dam i gentlemanów. Wyraża on lekki sarkazm, pełen dowcipu i dobrego humoru.

— Czy mógłby pan?! — powtórzył Martin z uśmiechem politowania.

— Gdybym tak mało miał doświadczenia życiowego jak pan, zjadłbym własny kapelusz i połknął sprzączki od butów! — zawołał jegomość z miną duchownego.

— Ja również! — powtórzył pan Simpson.

Po tym krótkim wstępie trzech kamraci objaśnili pana Pickwicka, że pieniądze w więzieniu znaczą tyleż, co pieniądze poza więzieniem, że za pieniądze dostanie wszystko, czego zapragnie. Jeżeli więc przypadkiem posiada pieniądze i jest nie od tego, żeby je wydać, i jeżeli tylko życzy sobie mieć osobny pokój dla siebie, to nie dłużej niż za pół godziny będzie miał zupełnie umeblowany i urządzony pokój.

Potem towarzystwo rozstało się ku ogólnemu zadowoleniu obu stron. Pan Pickwick znów poszedł do pana Rokera; trzech zaś towarzysze udali się do kawiarni, by przepić pięć szylingów, gdyż jegomość z miną duchownego był na tyle przezorny, że pożyczył je od filozofa. Gdy pan Pickwick oświadczył panu Rokerowi, po co przyszedł, ten zawołał śmiejąc się:

— Wiedziałem, że tak będzie! Czy nie mówiłem tego, Neddy?

Posiadacz uniwersalnego scyzoryka także zaśmiał się.

— Wiedziałem, że zażąda pan innego pokoju! Wiem, że i meble będą potrzebne; wszystko to mogę panu wynająć.

— Bardzo dobrze.

— Na schodach po drodze do kawiarni jest przepyszny pokój należący obecnie do pewnego więźnia kanclerstwa: będzie pana kosztować jednego funta na tydzień. Sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu.

— Bynajmniej.

— Więc chodź pan ze mną — rzekł żywo pan Roker, biorąc kapelusz. — Wszystko załatwimy w pięć minut.

Tak się też stało. Więzień kanclerstwa siedział w tym miejscu dość długo, by utracić przyjaciół, mienie, szczęście i w zamian uzyskać prawo do posiadania osobnego pokoju. Ale ponieważ często spotykała go ta przykrość, że nie miał co jeść, chętnie więc przystał na odstąpienie swego pokoju panu Pickwickowi za dwadzieścia szylingów tygodniowo.

Podczas zawierania tej umowy filozof ze smutnym zainteresowaniem przypatrywał się temu biedakowi. Był to człowiek słusznego wzrostu, wychudły, trupio blady, w czarnym surducie i dziurawych pantoflach. Policzki miał zapadłe, usta bez krwi. Żelazny ząb osamotnienia i niedostatku gryzł go powoli w ciągu dwudziestu lat.

— Gdzie się pan teraz podzieje? — zapytał go pan Pickwick, kładąc na stole należne za tydzień pieniądze.

Więzień skwapliwie pochwycił je i odpowiedział, iż nie wie jeszcze, musi zobaczyć, dokąd będzie mógł przenieść łóżko.

— Obawiam się — rzekł pan Pickwick — iż będzie pan zmuszony mieszkać w miejscu hałaśliwym i przeludnionym. Proszę więc pana, byś rozporządzał tym pokojem jak

swoim własnym, gdy będzie pan potrzebował spokoju lub gdy cię przyjdą odwiedzić przyjaciele.

— Przyjaciele! — zawołał więzień głuchym głosem. — Gdybym leżał w trumnie zakopanej w błotnistej fosie tego więzienia, nie mógłbym być więcej zapomnianym i opuszczonym niż teraz! Jestem człowiekiem umarłym, umarłym dla świata i nikt nie ma dla mnie nawet tego współczucia, jakie przypada w udziale tym, którzy stanęli przed sądem Boga. Przyjaciele! Całe moje życie upłynęło w więzieniu i gdy umrę, nie znajdzie się nikt, by podnieść rękę nad moim łóżkiem i powiedzieć: — Bogu niech będzie chwała; już nie cierpi więcej!

Niezwykły blask, jakim podniecenie opromieniło twarz starca, zgasł, gdy tylko przestał mówić. Rozpaczliwym ruchem załamał dłonie i pośpiesznie wyszedł z pokoju.

— Ech, ech! Bryka jeszcze czasami! — rzekł pan Roker z uśmiechem. — Są oni jak słonie: czasem czują to jeszcze i to ich wprowadza w szal.

Zrobiwszy tę uwagę świadczącą o głębokim zrozumieniu, pan Roker tak szybko zajął się urządzeniem wszystkiego dla wygody pana Pickwicka, iż w niedługim czasie znalazł się dywan, sześć krzeseł, stół, łóżko, szafa, maszyna do herbaty i tym podobne niezbędne przedmioty. Wszystko to miało kosztować najwyżej dwadzieścia siedem szylingów i sześć pensów tygodniowo.

— Może pan potrzebuje jeszcze czego? — zapytał pan Roker spoglądając dokoła z wielkim zadowoleniem i pobrzękując w ręku pieniędzmi otrzymanymi za pierwszy tydzień.

— Tak — odrzekł pan Pickwick, który od kilku minut rozmyślał głęboko. — Czy można tu znaleźć ludzi, którzy mogliby wykonywać w mieście moje polecenia i w ogóle załatwiać moje sprawy?

— To znaczy: nie więźniów?

— Tak, bo muszą także wychodzić do miasta.

— Dobrze — rzekł pan Roker. — Jest tu jeden biedak, który ma przyjaciela w oddziale dla ubogich; bardzo będzie rad, gdy go się użyje do tego. Od dwóch miesięcy lata wszędzie, dokąd go posła. Mam go przywołać?

— Owszem... ale zaczekaj pan... nie... Powiedział pan: oddział dla ubogich? Ciekaw jestem zobaczyć to... sam pójdę.

Oddział dla ubogich w więzieniu za długi jest to, jak już świadczy sama nazwa, miejsce pobytu najniezwyklejszych i najbiedniejszych dłużników. Więzień, który oświadczy, iż chce, by go umieszczono w oddziale dla ubogich, nie płaci nic i otrzymuje niewielką ilość żywności z datków składanych na ten cel co pewien czas przez osoby litościwe. Przed kilkoma laty można było jeszcze widzieć w ścianie więzienia przy Fleet Street rodzaj klatki żelaznej, w której siedział człowiek o twarzy wygłodzonej, potrzęsający co chwila skarbonką i wołający ponurym głosem: — Pamiętajcie o biednych dłużnikach! — To, co zebrano w ten sposób, jeżeli co zebrano, dzielono między ubogich więźniów, którzy kolejno siadywali w klatce. Chociaż zwyczaj ten zniesiono i klatka zniknęła, jednak położenie biednych więźniów nie uległo zmianie. Dziś nie pozwalamy, by się odwoływali do współczucia przechodzących, ale dla zbudowania przyszłych pokoleń pozostawiamy w swej mocy słuszne i dobroczynne prawa, pozwalające na to, by najgorszych przestępców ubierano i karmiono, gdy tymczasem dłużnik nie mający pieniędzy skazany jest na śmierć głodową. Bez przesady; nie ma tygodnia, aby w naszych więzieniach za długi biedacy ci nie byli wydani na powolne tortury śmierci głodowej, gdyby nie przychodzili im w pomoc współwięźniowie.

Rozważając to wszystko, pan Pickwick szedł w górę po wąskich schodach, na których opuścił go Roker; refleksje nad losem tych ludzi tak go wzburzyły, że gdy wpadł do uprzednio wskazanego mu pokoju dla biednych, nie od razu zorientował się, gdzie jest i po co przyszedł.

Jednak na widok tego pomieszczenia opamiętał się; ale gdy wzrok jego padł na człowieka skulonego przy lichym ogniu, kapelusz wypadł mu z rąk. Pan Pickwick stanął nieruchomo i skamieniał.

Tak, w lachmanach, bez surduta i kamizelki, w podartych spodniach, perkalowej koszuli, żółtej i podartej, z długimi włosami spadającymi mu na oczy, z twarzą skrzywioną od bólu i zapadłą z głodu — siedział tu pan Alfred Jingle! Wsparłszy głowę na dłoń, wpatrywał się uparcie w ogień, a cała jego postać świadczyła o nędzy w najokropniejszej jej postaci. Obok niego, oparty a ścianę, stał barczysty właściciel ziemski i starym biczem otrząpywał sobie but zdobiący jego prawą nogę; lewa była obuta w pantofel. Konie, psy i hulanki spowodowały jego ruinę. U jedynego buta miał jeszcze zardzewiałą ostrogę, którą czasem pruł powietrze, trzaskając potężnie z bicza i wydając okrzyki, jakimi zwykle jeździec zachęca konia; widocznie w wyobraźni brał udział w jakichś szalonych wyścigach z przeszkodami. Biedaczysko! Na żadnych wyścigach odbytych na najlepszym koniu swej kosztownej stajni nie przebiegłby ani w połowie tak szybko ziemskiej swej drogi, jak się to stało tu, w więzieniu przy Fleet Street, gdzie bieg swego życia zakończył. W innej stronie pokoju jakiś starzec siedział na drewnianym stołku i wlepił oczy w podłogę. Głęboka rozpacz zorała mu twarz. Dziewczynka, mała wnuczka, usiłowała go rozerwać tysiącem niewinnych pieszczot; ale starzec nic nie widział i nie słyszał. Głos, który ongi był muzyką dla jego ucha, oczy, które były jego światłem, nie wzruszyły go teraz. Jego członki chwiały się bezwolnie, a jego umysł jakby tknął paraliż.

W innym kącie dwóch czy trzech mężczyzn rozmawiało głośno. Jakaś kobieta o wychudłej twarzy i błędnym wzroku, żona więźnia, podlewała w doniczce nędzne resztki wyschłej rośliny, która nigdy już nie miała się zazielenić; aż nazbyt prawdziwy to obraz obowiązku, który ją tu przywiódł.

Tacy to ludzie przedstawili się oczom pana Pickwicka, gdy ze zdumieniem spoglądał dokoła. Usłyszawszy szybkie kroki kogoś wchodzącego, obudził się z zadumy i zwrócił się ku drzwiom. W nowo przybyłym, pomimo lachmanów, brudu i nędzy, rozeznał nieobce mu rysy Hioba Trottera.

— Pan Pickwick! — zawołał Hiob głośno.

— Ha! — krzyknął nań Jingle, zrywając się ze swego miejsca. — Pan... tak, tak! dziwne miejsce... szczególna rzecz! Zasłużyłem na to: dobrze się stało.

Mówiąc to, pan Jingle wsunął ręce w miejsce, gdzie zwykle bywają w spodniach kieszenie, i zwiesiwszy głowę na piersi, znów opadł na krzesło.

Pan Pickwick był do głębi wzruszony; obaj ci ludzie wyglądali tak nędznie! Krótkie spojrzenie, jakie pan Jingle mimo woli rzucił na mały kawałek surowej baraniny przyniesionej przez Hioba, wyraźniej aniżeli dwugodzinne opowiadanie ukazało panu Pickwickowi, do czego doszedł były kapitan Fitz-Marshall. Filozof spojrzał na pana Jingle'a wzrokiem łagodnym i powiedział:

— Chciałbym z panem pomówić na osobności. Chodź pan ze mną na chwilę.

— Proszę bardzo — odrzekł Jingle, wstając pośpiesznie. — Ale daleko nie ujdę. Zresztą, tu nie trzeba się obawiać długiej podróży.

Park otoczony wysokim murem. Piękna miejscowość, malownicza, ale nie rozległa. Wejście otwarte. Rodzina zawsze w mieście. Dozorca piekielnie baczny.

— Zapomniał pan wziąć surdut — rzekł pan Pickwick, idąc po schodach.

— Ach tak!... Wisi na kołku... U pewnej krewnej... ciotki ze strony matki. Nie można było zrobić inaczej. Trzeba jeść; pan wie, potrzeba naturalna... i tego...

— Co pan mówi?

— Surdut poszedł na ochotnika, kochany panie, ostatni surdut. Ba! Co się stało, to się stało. Żyłem parą butów dwa tygodnie! tydzień jedwabnym parasolem z rączką z kości słoniowej; tak jest, słowo honoru! Spytaj pan Hioba, on wie wszystko.

— Trzy tygodnie żył pan parą butów i parasolem — zawołał pan Pickwick z przerażeniem, gdyż podobne wypadki znał tylko z opowiadań o rozbitkach i z książki Constable'a.

— Tak, tak! — powtórzył pan Jingle, kiwnąwszy głową. — Kwity mam przy sobie, nędzne sumy, grosze, na zastaw nic nie dają, złodzieje.

— A! — zawołał pan Pickwick, któremu wielce ulżyło to wyjaśnienie. — Teraz rozumiem. Zastawiłeś pan swoje rzeczy.

— Wszystkie — Hiob także — wszystką bieliznę — ba! — w ten sposób oszczędność — nie trzeba prania — wkrótce nic nie będzie — położyć się i umrzeć z głodu — śledztwo — anatomia — biedny więzień — nędza — nie trzeba rozgłaszać — przysięgli — dostawcy więzienni — bez hałasu — śmierć naturalna — kondukt ubogiego — dobrze zasłużony — wszystko się skończyło — spuszczać zasłonę.

Jingle wypowiedział tę dziwną treść swego przyszełego życia ze zwykłą lakonicznością, usiłując rozmaitymi grymasami naśladować uśmiech. Ale pan Pickwick łatwo dostrzegł, iż cała ta obojętność była tylko udana, kiedy bowiem spojrzał mu prosto w twarz, ale bez gniewu, przekonał się, iż Jingle miał wilgotne oczy.

— Poczciwy człowiek — zaczął znów Jingle, ściskając rękę filozofa i odwracając głowę. — Pies niewdzięczny — głupio jest płakać — nie można inaczej — gorączka szkaradna — słaby — głodny — wszystko to zasłużone — ale cierpi bardzo! O, bardzo!

Nie mogąc dłużej utrzymać pozorów, a może już zmęczony i zniechęcony, komediant siadł na schodach i zakrywszy sobie twarz rękami zaczął cicho płakać jak dziecko.

— No, no — zawołał pan Pickwick z wielkim wzruszeniem. — Zobaczę, co będzie można zrobić dla pana, gdy poznam lepiej pańskie dzieje. Hiob! Chodź tu!... Gdzie on jest?

— Jestem tu, panie! — odrzekł Hiob, ukazując się na schodach. Powiedzieliśmy o nim już dawniej, że miał za dobrych czasów oczy bardzo wpadnięte. Obecnie, w biedzie, zdawało się, iż ich wcale nie ma.

— Jestem, panie — rzekł Hiob.

— Chodź no tu — zaczął pan Pickwick, usiłując przybrać surową minę, pomimo czterech dużych łez, które staczały mu się po kamizelce. — Masz!

Masz — co? Według zwyczaju przyjętego w świecie powinno to być tęgie uderzenie pięścią, a przynajmniej — tacy już są ludzie — dobry szturchaniec. Pana Pickwicka swego czasu najniegodziwiej przecież wyprowadził w pole ten wyrzutek, który teraz znajdował się w jego mocy. Ale czy powiedzieć prawdę? Było to coś brzęczącego, co z kieszeni kamizelki pana Pickwicka przeszło do rąk Hioba. A to, że pan Pickwick dobrem opłacił za zło, to rozjaśniło oczy naszego zacnego starego przyjaciela i sprawiło, że serce jego było mocno, gdy śpiesznie odchodził.

Przyszedłszy do swego pokoju, znalazł tam Sama, który przyglądał się wykwintnemu urządzeniu z ponurą miną. Stanowczo zdecydowany przeciwdziałać temu, by jego pan długo tu pozostawał, poczytywał sobie za moralny obowiązek wyrażać niezadowolenie ze wszystkiego, co tu robiono, mówiono, zamysłano i planowano.

— No, Samie?

— No, panie?

— Dość wygodnie, co?

— Nieźle — odrzekł Sam, pogardliwie rzucając wzrokiem dokoła.

— Czyś widział pana Tupmana i innych naszych przyjaciół?

— Widziałem, panie, przyjdą tu jutro. Dziwię się tylko, że dziś tu nie przybyli — zauważył.

— Przyniosłeś mi rzeczy, których żądałem? Zamiast odpowiedzi Sam wskazał palcem na rozmaite paczki, ułożone porządnie w jednym kącie pokoju.

— Bardzo dobrze — rzekł pan Pickwick, a po chwili wahania dodał: — Słuchaj no, Samie, coś ci powiem...

— Słucham pana.

— Samie — zaczął pan Pickwick bardzo uroczyście. — Czulem od samego początku, że miejsce to nie jest odpowiednie dla młodego człowieka.

— I dla starego również — odparł pan Weller.

— Masz zupełną słuszość. Ale starzy mogą wpaść tu czasami wskutek własnej nieroztropności i łatwowierności, a młodzi przez egoizm tych, którym służą. Dla takich młodych ludzi pod każdym względem lepiej będzie, gdy tu nie zostaną. Czy rozumiesz mnie, Samie?

— Nic nie rozumiem — odrzekł służący z głupia frant.

— Ale zastanów się tylko.

— Dobrze, panie — odrzekł Sam po krótkim milczeniu — zdaje mi się, iż wiem, do czego pan zdąża; a jeżeli wiem, do czego, to moim zdaniem tego już nadto — jak mówił stangret do śnieżnej zawiei, która nie pozwalała mu jechać.

— Uważam, że mię pojmujesz, Samie. Jak powiedziałem, nie chcę, byś przez całe lata wałęsał się po tym miejscu; poza tym jest to niedorzecznością, by człowiek uwięziony za długi trzymał służącego. Trzeba, byś mię na jakiś czas opuścił...

— O! Na jakiś czas! — powtórzył Sam z wielkim sarkazmem.

— Tak, dopóki tu pozostaję. Będę ci płacił pensję, a którykolwiek z moich trzech przyjaciół chętnie weźmie cię do siebie, choćby przez szacunek dla mnie. Jeżeli kiedy opuszczę to miejsce, Samie — mówił dalej pan Pickwick z udaną wesołością — daję ci słowo, iż natychmiast powrócisz do mnie.

— A teraz ja panu powiem — odrzekł Sam głosem poważnym i uroczystym. — Nic z tego nie będzie, więc nie ma co o tym mówić.

— Samie, mówię to zupełnie poważnie. Postanowiłem...

— Postanowił pan? Bardzo dobrze! I ja postanowiłem! Powiedziawszy te słowa stanowczym głosem, Sam bardzo ostrożnie osadził sobie kapelusz na głowie i szybko wyszedł z pokoju.

— Samie! — zawołał za nim pan Pickwick. — Samie, chodź tu jeszcze.

Ale Sam zniknął w długiej galerii.

Rozdział czterdziesty trzeci w którym Samuel Weller wpada w złe interesy

W wielkiej sali, źle oświetlonej, a jeszcze gorzej przewietrzanej, przy ulicy Portugalskiej, Lincoln's Inn Fields, dwóch, trzech lub czterech gentlemanów w perukach zasiada prawie przez cały rok za brudnymi pulpitemi, zbudowanymi na wzór tych, jakich używają sędziowie w tym kraju; różnią się od nich tylko tym, że nie są polerowane. Po prawej ich ręce znajduje się ława adwokatów, po lewej miejsce dla niewypłacalnych dłużników, a mnóstwo brudnych twarzy przed nimi. Gentlemani ci to komisarze Trybunału Bankrutów, a sala, w której siedzą, to sam Trybunał.

Dziwaczny los sprawił, że od niepamiętnych czasów bezdomni ubodzy mieszkańcy Londynu uważali tę salę za miejsce schronienia i codziennych spotkań. Zawsze jest pełna. Wyziewy piwa i wszelkich napojów spirytusowych wznoszą się ciągle do sufitu, tam zgęszczają się od zimna i deszczem spływają po ścianach; widzi się tu w jednym dniu więcej starego odzienia niż na żydowskiej tandecie w Hondsmith przez cały rok. A niegolonych i niemytych twarzy jeszcze więcej, aniżeli mogła ogolić i obmyć cała dzielnica cyrulików, od Whitechapel do Tyburn, od wschodu do zachodu słońca.

Nie należy przypuszczać, że którykolwiek z tych ludzi ma tu najmniejszy choćby interes lub jest w ten czy inny sposób związany z miejscem, do którego czuje tak nieprzewyciężony pociąg. Gdyby tak było, nie mielibyśmy się czemu dziwić, że tu ciągną. Jedni drzemią przez większą część posiedzenia, inni przynoszą nędzny obiad w chustkach lub podartych kieszeniach i zajadają, słuchając rozpraw. Ale nigdy nie zanotowano, by który z nich był osobiście zainteresowany sprawą rozstrzyganą przez Trybunał. Zawsze jednak siedzą od początku do końca posiedzenia. Gdy deszcz pada, wszyscy przychodzą przemokli, a wtedy para wydobywająca się z ich ubrań przypomina wyziewy trzęsawiska.

Obserwator, który by przybył tu przypadkiem, mógłby sądzić, że jest to świątynia bóstwa brudu. Nie ma tu ani jednego posługacza, ani jednego woźnego, który by nosił ubranie specjalnie na niego robione, nie ma ani jednej twarzy, która by miała wygląd zdrowy i świeży; wyjątek stanowi pewien stary i siwy jak gołąb odźwierny o czerwonej twarzy, a i ten, ma się wrażenie, jak wiśnia stoczona przez robactwo i wrzucona do wódki zawdzięcza swój dobry wygląd sztuce, która go zaszuszyła i zabalsamowała, gdyż z natury nie mógłby mieć do takiego wyglądu żadnej pretensji. Nawet peruki adwokatów są źle upudrowane i ufryzowane.

Ale największą miejscową osobliwością są niezaprzeczenie pełnomocnicy zasiadający przy wielkim stole poniżej komisarzy. Zawodowe ruchomości możniejszych z tych gentlemanów składają się z niebieskiej torby na papiery i młodego pisarka, zwykle Żydka. Ci ludzie nie mają żadnych stałych siedzib, gdyż omawiają sprawy w szynkowniach lub na dziedzińcu więziennym, gdzie wydzierają sobie interesantów, jak konduktorowie omnibusów. Twarze mają opuchłe, a jeżeli można podejrzewać w nich jakie skłonności, to chyba do opilstwa i szacherki. Ich mieszkania mieszczą się po największej części na przedmieściach, tzw. *rules*, leżących w promieniu jednej mili od obelisku na St. George Fields. Ich twarze nie są pociągające, a maniery nienadzwyczajne.

Pan Salomon Pell, jeden z członków tej świetnej korporacji, był to człowiek opasły i bladej. Frak jego wydawał się to zielonego, to brunatnego koloru, zależnie od tego, jak

padało nań światło, a ozdobiony był aksamitnym kołnierzem, posiadającym taką samą właściwość. Czoło miał wąskie, twarz szeroką, głowę dużą, a nos wykrzywiony w jedną stronę, jak gdyby natura, oburzona złymi skłonnościami, które w nim odkryła zaraz po urodzeniu, dała mu szturchańca w tę część ciała. Pan Pell był astmatykiem o krótkiej szyi i oddychał przede wszystkim właśnie tym nosem; tak więc braki w urodzie natura wyrównywała użytecznością.

— Jestem pewny, że wydobędę go z kłopotu — mówił pan Pell.

— Czy tak? — zapytała osoba, do której zwrócone było to zdanie.

— Najpewniejszy — odrzekł pan Pell. — Ale wie pan, że gdyby udał się do jakiego pokątnego adwokata, tobym wcale nie ręczył za skutki.

— A! — odrzekła ta sama osoba, otworzywszy gębę.

— Nie, nie ręczyłbym — powtórzył pan Pell, zaciskając usta, marszcząc brwi i tajemniczo potrząsając głową.

Miejscem, gdzie się toczyła powyższa rozmowa, był szynk znajdujący się naprzeciw Trybunału Bankrutow, osobą zaś, do której przemawiał pan Pell, był nie kto inny, tylko pan Weller senior. Przybył on tu, by nieść pociechę i otuchę jednemu ze swych przyjaciół, którego proces likwidacyjny miał się odbyć w tym dniu, a którego zastępcę prawnego pytał w tej chwili o zdanie.

— A Jerzy gdzie jest? — zapytał stary Weller.

Pan Pell ruchem głowy wskazał pokój w głębi. Pan Weller udał się tam niezwłocznie i został przywitany w sposób serdeczny i bardzo dla siebie pochlebny przez pół tuzina swoich kolegów po fachu, którzy ucieszyli się z jego przyjścia. Uczciwy bankrut, który hołdował popłatnej, ale ryzykownej namiętności trzymania zbyt wielu koni, co doprowadziło go do obecnych trudności — wyglądał bardzo dobrze i, zapewne dla złagodzenia wzruszenia, zajadał wędzone rybki i popijał je porterelem.

Przywitanie pana Wellera z kolegami odbyło się ściśle według ceremoniału obowiązującego w zawodzie. Polegało ono na potrząśnięciu prawej pięści przy jednoczesnym kiwnięciu w powietrzu małym palcem. Zналиśmy kiedyś znakomitych dwóch stangretów (teraz już nie żyją, niebożątka!) którzy byli bliźniętami i kochali się serdecznie i szczerze. Przez dwadzieścia cztery lata mijali się dzień w dzień na gościńcu do Dover i nigdy nie witali się inaczej. Gdy jeden z nich umarł, drugi wkrótce z tęsknoty poszedł za nim!

— No i cóż, Jerzy! — spytał Weller, zdejmując surdut i siadając z właściwą sobie powagą. — Jakże tam? Wewnątrz pełno, zewnątrz pomyślnie?

— Nieźle, nieźle — odrzekł uczciwy bankrut.

— Siwą klacz dałeś komu pod opiekę?

Jerzy kiwnął głową potakująco.

— Dobrze. A powozy?

— Są w miejscu pewnym — odparł Jerzy, odrywając głowy pół tuzinowi rybek od razu i połykając je bez ceremonii.

— Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! — rzekł Weller. — Tylko patrzeć w tył, gdy się jedzie po stromej drodze. A lista podróźnych?

Pan Pell, odgadując myśl Wellera oświadczył, że inwentarz aktywów i pasywów jest tak jasny, jak tylko można wyjaśnić piórem i atramentem.

Pan Weller wyraził swoje zadowolenie, a potem zwracając się ku panu Pellowi i wskazując Jerzego, zapytał:

— A kiedy na niego przyjdzie kolej?

— No — odparł pan Pell — on jest na liście trzeci, przypuszczam więc, że za pół godziny przyjdzie na niego kolei. Dałem mojemu pisarzowi polecenie, aby tu przyszedł i doniósł, gdy rozprawa się zacznie.

Weller obejrzał adwokata od stóp do głowy z wielkim uznaniem i rzekł z uczuciem:

— Czego się pan napije?

— Doprawdy, pan tak łaskaw... właściwie nie mam zwyczaju... jeszcze tak wcześnie... no, niech będzie kieliszek araku — wykrztusił w końcu pan Pell.

Kelnerka uprzedziła już polecenie, postawiła przed panem Pellem szklankę wódki i oddaliła się. Wówczas pan Pell, spoglądając po zgromadzonych, przemówił w te słowa:

— Panowie! Wszelkich pomyślności waszemu koledze! Nie lubię chwalić się, panowie, nie mam tego zwyczaju, nie mogę jednak nie nadmienić, iż gdyby przyjaciel panów nie był tak szczęśliwy i nie udał się do mnie... ale nie powiem tego, com miał powiedzieć... Panowie! Zdrowie wasze!

Wychyliwszy od razu kieliszek, pan Pell cmoknął językiem i wielce zadowolony z siebie, spojrzął po zgromadzonych stangretach, w oczach których uchodził za pewnego rodzaju wyrocznie.

— Zaraz — zaczął znowu — cóż to miałem powiedzieć?

— Miałeś pan powiedzieć, iż nie odmówisz drugiego kieliszka — rzekł pan Weller z żartobliwą powagą.

— Cha, cha, cha! Nieźle! Nieźle! Chociaż to jeszcze za wcześnie... ale niech już będzie i druga edycja... Hm!

Ostatni wykrzyknik zamienił się w uroczysty i pełen godności kaszel, do którego pan Pell uważał za stosowne uciec się, zauważywszy u niektórych słuchaczy niewłaściwą skłonność do śmiechu.

— Panowie — zaczął znowu — nieboszczyk lord kanclerz bardzo mnie cenił.

— I nieraz mu powierzał ważne sprawy — wtrącił pan Weller.

— Słuchajcie, słuchajcie! — zawołał klient pana Pella. — I dlaczegoż miałyby być inaczej?

— Tak, rzeczywiście — zauważył mężczyzna z niesamowicie czerwoną twarzą, który dotychczas nie odzywał się i nie wyglądał bynajmniej na kogoś, kto chciałby powiedzieć coś więcej. — Dlaczegoż by nie?

Szmer uznania przeszedł po zebranych.

— Przypominam sobie, panowie, że pewnego dnia jedząc z nim obiad... dwóch nas tylko obiadowało, ale wszystko było tak wspaniale urządzone, jak gdyby dwadzieścia osób miało siąść do stołu... Wielka pieczęć leżała z boku na etażerce po prawej stronie kanclerza, a po lewej słuszny mężczyzna, w peruce i zbroi, pilnował berła z gołą szablą i w jedwabnych pończochach... Tak, moi panowie, jest zawsze w nocy i we dnie. Wtem kanclerz mówi mi:

— Pell, bez żadnej fałszywej skromności! — Pell, ty jesteś człowiek zdolny, kogo zechcesz, przeprowadzisz przez Trybunał Bankrutów. Twój kraj. Pell, powinien być z ciebie dumny. — Milordzie — odpowiedziałem — pan mi pochlebiaz. — Pell — odrzekł lord kanclerz — jeżeli pochlebiam ci, to niech mnie diabli wezmą...

— Tak powiedział? — wtrącił Weller.

— Tak!

— W takim razie parlament powinien by go ukarać za to, że kłął; i gdyby kanclerz był prostym biedakiem, pewno by go wsadzono do kozy — odezwał się pan Weller.

— Ale, kochany panie... on mówił mi to w pełnym zaufaniu.

— W czym?

— W pełnym zaufaniu.

— No, to co innego — odrzekł Weller, pomyślawszy chwilę. — Jeżeli mówił w pełnym zaufaniu, żeby go diabli wzięli, to co innego.

— Rozumie się, że co innego — rzekł pan Pell. — Różnica aż nazbyt widoczna, jak to zaraz zobaczymy.

— To zmienia kwestię — zauważył pan Weller. — No, mów pan dalej.

— Nie, nie będę mówił dalej — odrzekł Pell głosem stłumionym i poważnym. — Przypomniał mi pan, że była to rozmowa prywatna... prywatna i poufna, panowie. Moi panowie, ja jestem człowiekiem zawodu. Być może, że przez to urosłem w oczach moich kolegów, ale być może, że tak nie jest. Prawie wszyscy wiedzą o tym. Nic nie powiem. W tym pokoju padły już uwagi, które uwłaczały sławie mego szlachetnego przyjaciela. Przepraszam panów, ale byłem nieostrożny... Wiem, że nie powinienem mówić o takich rzeczach bez jego zezwolenia. Dziękuję panu, żeś mię przestrzegł.

Tak usprawiedliwiając się, pan Pell wsunął rękę w kieszeń i ze straszną determinacją począł przebierać w niej trzema półpensówkami, marszcząc przy tym brwi.

Zaledwie powziął ten cnotliwy zamiar, gdy pisarek i niebieska torba, dwaj nierozłączni towarzysze, wpadli do sali i powiedzieli (w każdym razie powiedział pisarek, gdyż niebieska torba nie brała udziału w tej przemowie), iż sprawa Jerzego zaraz się rozpocznie. Na wiadomość o tym całe towarzystwo wybiegło na ulicę i pośpieszyło do sali, by tam za pomocą szturchańców na prawo i na lewo wywalczyć sobie miejsce. Operacja taka trwa zwykle od dwudziestu do trzydziestu minut.

Pan Weller, ufny w swą siłę, rzucił się od razu w sam środek tłumu z rozpaczliwym postanowieniem dostania się za wszelką cenę na dobre miejsce; ale skutek zupełnie odpowiedział jego oczekiwaniom; jakaś niewidzialna osoba, której nastąpił na nogę, wbiła mu kapelusz aż po samą brodę, gdyż zapomniał go zdjąć. Osoba ta pożałowała swej porywczosci, w tej samej bowiem chwili wydała kilka nieartykułowanych okrzyków zdziwienia, pochwyciła za rękę stangreta, wyprowadziła go z sali i po dużym wysiłku zdjęła mu kapelusz.

— Samiwel! — zawołał Weller, ujrzawszy światło dzienne, a z nim razem i swego wybawcę. Sam kiwnął głową.

— To ty jesteś tym miłym chłopcem, który pomny swych obowiązków — rzekł pan Weller — swemu rodzonemu ojcu na jego stare lata wbija kapelusz na głowę!

— A skąd miałem wiedzieć, że to ty! Czy myślisz, że mogłem cię poznać po ciężarze twoich nóg?

— Prawda i to, Samiwelu — odrzekł Weller, zupełnie ułagodzony. — Ale co ty tu porabiasz? Twój gubernator nic tu nie zyska. Tu nie unieważnią wyroków, nie unieważnią, Sammy!

I Weller potrząsnął głową z jurydyczną powagą.

— Cóż to za babskie gadanie! — zawołał Sam. — Ciągłe ze swoim wyrokiem i alibi! Kto ci tu mówi o wyroku?

Weller nic nie odpowiedział, ale powtórnie potrząsnął głową w jeszcze bardziej uczony sposób.

— Nie ruszaj tak mózgownicą, jeżeli nie chcesz, by ci wyskoczyła z zawiasów — mówił dalej zniecierpliwiony Sam. — Gadaj teraz rozumnie. Szukałem cię wczoraj wieczór „Pod Markizem Granby”.

— A markizę widziałeś? — zapytał Weller, wzdychając.

— Widziałem.

— Jakże wygląda moje kochanie?

— Bardzo dziwnie. Zdaje mi się, że gubi się powoli rumem i innymi medykamentami tego rodzaju.

— Tak myślisz, Sammy? — zapytał Weller poważnym tonem.

— Tak myślę — odparł syn.

Weller pochwycił rękę syna; uściśnął ją, potem puścił; podczas tej manipulacji rysy jego nie wyrażały ani obawy, ani smutku, ale raczej jakąś słodką, rozkoszną nadzieję. Ciężar oddania, a nawet radości przemknął przez jego twarz, gdy mówił:

— Nie jestem tego zupełnie pewny, Sammy, nie chcę więc nazbyt oddawać się nadziei, by potem nie rozczarować się, ale zdaje mi się, mój chłopcze, zdaje mi się, że pasterz zachorował na wątrobę.

— Czy źle wygląda? — zapytał Sam.

— Nadzwyczaj blade, z wyjątkiem nosa, który jest bardziej czerwony niż zwykle. Apetyt ma nieszczerólny, ale pije znakomicie.

W chwili gdy to mówił, przyszedł panu Wellerowi na myśl rum, gdyż przybrał minę zamyśloną i ponurą, ale prędko się jej pozbył, jak to zdradzała doskonała alfabet jego mimiki, czego używał tylko wówczas, gdy był zadowolony.

— A teraz do rzeczy — rzekł Sam. — Otwórz dobrze uszy i nie przerywaj, dopóki nie skończę.

Po tej krótkiej przedmowie Sam treściwie opisał ostatnią dziwną swą rozmowę z panem Pickwickiem.

— Biedny człowiek! — zawołał Weller starszy. — Sam jeden i nikt nawet mu nie współczuje! Tak być nie może, Sammy! Tak być nie może!

— Ba! Wiedziałem o tym, zanim tu przyszedłem.

— Oni go przecież zjedzą na surowo, Sammy!

Sam kiwnął głową na znak, że podziela to zdanie.

— A jeżeli nie zjedzą, to wyjdzie tak oskubany, iż własni przyjaciele nie poznają go. Pieczony gołąbek nie jest niczym w porównaniu z nim.

Sam powtórzył gest.

— Tak być nie może, Sammy! — mówił dalej Weller poważnie.

— I tak nie będzie — odrzekł Sam.

— Naturalnie, że nie! — ciągnął Weller.

— Wiesz, że prorokujesz jak prawdziwa Ośła Juka z czerwoną twarzą w książce za sześć pensów — rzekł Sam.

— Co to za Ośła Juka?

— Mniejsza o to; wystarczy, żebyś wiedział, że to nie stangret.

— Znałem jednego masztalerza tego nazwiska — rzekł Weller, pomyślawszy nieco.

— To nie ten: mój był prorokiem.

— Co to jest prorok? — zapytał Weller, badawczo wpatrując się w twarz syna.

— Człowiek, który przepowiada, co ma się stać — odparł Sam.

— Chciałbym go znać, Sammy. Może by rzucił trochę światła na tę chorobę wątroby, o której mówiłem ci przed chwilą. Ale że już nie żyje i nikomu nie zostawił swego interesu, więc nie ma co mówić. Mów dalej, Sammy — dodał z westchnieniem Weller.

— Otóż — zaczął Sam — wyprorokowałeś, co się stanie z gubernatorem, gdy będzie sam siedział w więzieniu. Czy nie ma jakiego sposobu, żeby zaradzić temu?

— Nie, Sammy, nie ma — odrzekł Weller, zamyślony.

— Żadnego sposobu?

— Żadnego. Chyba... — W tej chwili blask wewnętrznego światła rozjaśnił mu twarz. Zniżył głos aż do szeptu i przyłożywszy usta do ucha swej latorośli mówił: — Chyba wynieść go obwiniełego w materac albo przebrać za starą babę z zielonym woalem.

Oba te pomysły Sam odrzucił z niespodziewaną wzdargą i znów powtórzył pytanie.

— No, jakże tu radzić — rzekł stary woźnica — kiedy nie chce, byś został przy nim? To nie da się zrobić — nie da.

— Otóż ja ci powiem, jak. Pożycz mi dwadzieścia pięć funtów szterlingów.

— I po co?

— Zobaczysz. Być może, iż w pięć minut po pożyczeniu zażądasz zwrotu tych pieniędzy; ja może powiem, że nic z tego nie będzie, zachowam się wobec ciebie grubiańsko; a ty, ty będziesz zdolny kazać aresztować swego syna za tak drobną kwotę; będziesz zdolny wtrącić go do więzienia, ojczy wyrodny!

Po tych wyrazach ojciec z synem zamienili między sobą cały kodeks chytrych mrugań i tym podobnych ruchów telegraficznych, po czym Weller starszy usiadł na kamieniu i począł śmiać się tak mocno, iż cała twarz mu poczerwieniała.

— Cóż to za głupi stary zwierz! — zawołał Sam, oburzony tą stratą czasu. — Cóżś usiadł tu i wykrzywasz gębę na kołatkę do drzwi, jakby nie było nic innego do roboty? Gdzie jest moneta?

— W kasie, Samie, w kasie — odrzekł Weller, przybierając zwykłą minę. — Potrzyмай no kapelusz, Samie.

Oddawszy kapelusz, Weller całym ciałem pochylił się na bok i zręcznym ruchem zapuścił prawą swą rękę w ogromną kieszeń, z której wydobył po niemałym wysiłku i sapaniu wielki in octavo pugilares związany grubym rzemykiem. Z pugilaresu tego wyjął naprzód dwa postronki do biczka, trzy czy cztery sprzączki, małą torebkę z próbką owsa i wreszcie zwój banknotów bardzo brudnych, spośród których wybrał żadaną kwotę i podał Samowi.

— A teraz, Sammy — powiedział, umieściwszy z powrotem w pugilaresie postronki, sprzączki, torebkę z owsem i resztę pieniędzy i zasunawszy pugilares w głąb bezdennej kieszeni — teraz, Sammy, powiem ci, że znam pewnego gentlemana, który resztę interesu załatwi nam w okamgnieniu. To filar prawa, Sammy, ma mózg aż w końcach palców, jak żaba; przyjaciel lorda kanclerza; tylko powie mu się, co potrzeba, a zamkną cię choćby na całe życie.

— Za pozwoleniem — przerwał Sam — tego sobie nie życzę.

— Czego?

— Żadnych środków niekonstytucyjnych! Po *perpetuum mobile* nie ma piękniejszego wynalazku niż *habeas corpus*. Czytałem to nieraz w dziennikach.

— Ale cóż to ma do rzeczy?

— To właśnie, że chcąc popierać ten wynalazek życzę sobie być uwięzionym według *habeas corpus*; ale żadnych konszachtów z kanclerzami! To już nie takie zdrowe!

Przychyliwszy się w tym punkcie do zdania syna, pan Weller natychmiast odszukał uczonego Pella i oświadczył mu, że życzy sobie otrzymać niezwłoczny rozkaz uwięzienia niejakiego pana Samuela Wellerza za dług dwudziestu pięciu funtów szterlingów i koszta. Wydatki, wynikłe z tego powodu, będą niezwłocznie zwrócone panu Pellowi.

Adwokat był bardzo wzburzony, gdyż niewypłacalny hodowca koni został skazany na natychmiastową likwidację pretensyj. Chwalił on nadzwyczajne przywiązanie Sama do swego pana, oświadczył, że mu to w zupełności przypomina jego własne uczucie oddania

dla jego przyjaciela, kanclerza, i zaprowadził starszego Wellera natychmiast do Temple, by tam zaprzysiąc słusność jego wiarygodności — akt, którego dokonano przy pomocy niebieskiej torby niesionej i teraz przez pisarczyka.

Tymczasem Sam, którego ojciec oficjalnie przedstawił przyjaciołom jako swego potomka, był traktowany z wyraźnym wyróżnieniem i proszony, by zechciał przy okazji wziąć udział w uczcie. Sam daleki był oczywiście od odrzucenia tej propozycji.

Wesołość gentlemanów tej sfery jest zwykle stateczna i spokojna. Ale obecna chwila była wyjątkowo radosna, więc też humor wzrósł we właściwym stosunku. Po kilku, powiedziałbym, hałaśliwych toastach na cześć głównego komisarza i pana Pella, który tego dnia wykazał tak niezwykły spryt, jegomość z twarzą cętkowaną, w błękitnym szalu na szyi, zaproponował, by ktoś z obecnych zaśpiewał. Proponowano, żeby cętkowany jegomość, stęskniony do śpiewu, sam zaśpiewał. Ale cętkowany odmówił z miną uroczystą i jakby obrażoną. Wtedy, jak się to zwykle dzieje, przyszło niemal do kłótni.

— Gentlemani! — zawołał koniarz. — Zamiast psuć harmonię tego rozkosznego zebrania, może by pan Samuel Weller zechciał coś zaśpiewać?

— Słowo daję! — powiedział Sam. — Nie przywykłem śpiewać bez akompaniamentu. Ależ czegoż nie oddam za spokój — jak powiedział pewien jegomość przyjmując posadę w latarni morskiej.

Po tym wstępie pan Samuel Weller natychmiast rozpoczął ową dziką i wspaniałą legendę, którą pozwalamy sobie zacytować przypuszczając, że nie wszyscy ją znają. Zwracamy szczególną uwagę na monosylaby na końcu drugiego i czwartego wiersza, co nie tylko pozwala śpiewakowi wziąć szerszy oddech, ale przyczynia się do jednolitości rytmu.

ROMANS

1

*Jechał pan Turpin polem przez Hounslow,
A dzielna pod nim kla—acz.
Patrzy — kareta gościńcem sunie:
Czy biskup, czy kto zacz?
Więc pędem rusza, w drodze jej staje
I wsadza w okno łeb;
A biskup rzecze: „Jak jajem jaje,
Pan Turpin to czy kiep?
A biskup rzecze: „Jak jajem jaje,
Pan Turpin to czy kiep?*

CHÓR

*A biskup rzecze: „Jak jajem jaje,
Pan Turpin to czy kiep?*

2

*A Turpin: „Zjesz mi z kulą te słowa,
Abyś z nich miał zy-ysk”,
I w zęby wepchnął mu swój pistolet,
I wsadził nabój w py-ysk!
Woźnica, co się na żartach nie znał,
Hejże! W konie i w krzyk!
Lecz dostał kulą w plecy, nim szczeznął.
Tak wstrzymał go pan Dick.*

CHÓR

(sarkastycznie)

*Lecz dostał kulą w plecy, nim szczeznął —
Tak wstrzymał go pan Dick.*

— Powiedziałbym, że piosenka na czasie! — zawołał gentleman z cętkowaną twarzą. —
Pytam o nazwisko owego stangreta!

— Tego nikt nie wie! — odrzekł Sam. — Nie znaleziono w kieszeni biletu wizytowego!

— Oponuję przeciwko mieszaniu do rozmowy polityki! — ciągnął cętkowany jegomość.

— Stwierdzam, że w tym towarzystwie śpiewa się piosenki polityczne. I, co więcej,
kłamliwe! Powiadam, że stangret nie uciekł! Ale że umarł... umarł jak amen w pacierzu! I
nie pozwolę, by mi kto zaprzeczył!

Ponieważ cętkowany mówił z wielką energią i przejęciem, ponieważ zdania
towarzystwa na ten temat były podzielone, już w powietrzu wisiała nowa kłótnia, kiedy
na szczęście wszedł pan Weller w towarzystwie pana Pella.

— Wszystko idzie doskonale! — rzekł stary stangret.

— O czwartej — rzekł pan Pell — przyjdą tu aresztować pana. Spodziewam się, że nie
uciekiesz, gdy przyjdą! Cha! Cha!

— Może mój okrutny papa zmięknie do tego czasu! — bąknął Sam, strojąc komiczne
miny.

— O, nie! — odrzekł Weller.

— Błagam cię, ojcze! — mówił dalej Sam.

— Za nic w świecie! — odparł nieubłagany wierzyciel.

— Będę ci spłacać po sześć pensów miesięcznie!

— Nie chcę!

— Cha, cha, cha! To doskonale! — zawołał pan Pell, układając rachunek wydatków. —
Bardzo zabawny przypadek, doprawdy! Beniaminie! Przepisz to — rzekł do swego
dependenty, po czym znów uśmiechnął się, wskazując Wellerowi wysokość sumy. —
Dziękuję — dodał następnie, odbierając brudne banknoty, które stangret wydobyl z
pugilaresu. — Trzy funty dziesięć szylingów, a jeden funt dziesięć szylingów, to czyni pięć
funtów szterlingów. Bardzo dziękuję, panie Weller. Syn pana to bardzo interesujący
młody człowiek; to bardzo piękny rys jego charakteru, naprawdę, bardzo piękny — dodał
pan Pell ze słodkim uśmiechem, spoglądając po towarzystwie i chowając pieniądze.

— Znakomita farsa — rzekł Weller, śmiejąc się donośnie — prawdziwy syn
marnotrawny.

— Marnotrawny, panie — poprawił łagodnie pan Pell — mówi się: syn marnotrawny.

— Mniejsza o to, jak się mówi! — odrzekł stangret poważnie. — Wiem, o co chodzi, a jakbym nie wiedział, zapytałbym pana.

W tej chwili przybył urzędnik, który miał dokonać aresztowania. Sam stał się tak popularny, iż wszyscy gentlemani znajdujący się w szynkowni postanowili doprowadzić *go in corpore* do więzienia. Wyszli więc: urzędnik na czele, za nim wierzyciel z dłużnikiem pod rękę, a na końcu ośmiu tęgich stangretów, którzy tworzyli straż tylną. Przy kawiarni „Sergeant s Inn” cały pochód zatrzymał się, by napić się czegoś dla odświeżenia, a po załatwieniu prawnych formalności ruszono dalej.

Przy Fleet Street powstał mały nieład, spowodowany żartobliwością ośmiu gentlemanów z tylnej straży, którzy uparli się, by iść po czterech w szeregu. Postanowiono na razie, iż gentleman z cętkowaną twarzą pozostanie w tyle celem poboksowania się z pewnym komisjonerem i że przyjaciele zabiorą go, wracając. Tylko ten jeden drobny wypadek zdarzył się po drodze. Stanąwszy u drzwi więziennych, orszak na wezwanie wierzyciela krzyknął trzy razy „hura!”, po czym wszyscy uściskawszy rękę Sama, odeszli.

Gdy powierzono go formalnie dozorcóm więzienia Floty, ku ogromnemu zdumieniu pana Rokera, a nawet ku wzruszeniu flegmatycznego Neddy’ego, Sam poszedł prosto do pokoju swego pana i zapukał.

— Proszę wejść! — odrzekł pan Pickwick. Sam wszedł, zdjął kapelusz i uśmiechnął się.

— A! Sam! poczciwy chłopak! — rzekł pan Pickwick, widocznie zadowolony z jego przybycia. — Nie miałem zamiaru urazić cię tym, co powiedziałem wczoraj. Połóż swój kapelusz, Samie, muszę ci to wyjaśnić dokładniej.

— Czy nie można by odłożyć tego na później, proszę pana?

— I owszem. Ale dlaczegóż by nie zaraz?

— Wolałbym później.

— Ale dlaczego? — zapytał pan Pickwick.

— Bo... — zaczął Sam z wahaniem.

— Bo co? — zapytał Pickwick trochę przerażony. — Mów wyraźnie, Samie.

— Bo... bo mam tu mały interes, który chciałbym załatwić.

— Interes? — zawołał filozof.

— Nic tak ważnego, proszę pana.

— A! jeśli tak, to możesz mnie naprzód wysłuchać.

— Wolałbym pierwiej załatwić ten interes — odrzekł Sam, wahając się. Pan Pickwick nie powiedział nic, ale dziwił się coraz bardziej.

— Chodzi o to... — rzekł Sam i znów zatrzymał się.

— No, mówże!

— No, chodzi o to — powtórzył Sam z wysiłkiem — że przede wszystkim muszę tu znaleźć sobie łóżko.

— Łóżko? — zawołał pan Pickwick zdumiony.

— Tak, łóżko dla siebie, jestem uwięziony, dziś po południu aresztowano mnie za długi.

— Ty, za długi! — zawołał pan Pickwick, padając na krzesło.

— Tak, panie, za długi, i człowiek, który mię wsadził, nie wypuści mnie stąd, dopóki pan tu będzie.

— Co ty mówisz?

— Co mówię? Będę więźniem choćby czterdzieści lat!... I bardzo się z tego cieszę. Gdybym siedział w Newgate, byłoby to to samo. No! Powiedziałem! Skończone!

Powtórzywszy te wyrazy kilkakrotnie z wielkim naciskiem, Sam, wzburzony, rozmiądzzył nogą swój kapelusz stojący na podłodze, potem założył ręce na piersiach i począł wpatrywać się w twarz swego pana.

Rozdział czterdziesty czwarty
opisuje różne zdarzenia w więzieniu przy Fleet Street
oraz tajemnicze postępowanie pana Winkle'a; mówi
również, w jaki sposób nieszczęśliwy więzień
kanclerstwa odzyskał wolność

Pan Pickwick był zanadto wzruszony przywiązaniem Sama, by mu wyrazić swe niezadowolenie z nieogłędnego kroku, jakim było dobrowolne pójście do więzienia na nieokreślony czas. Jedyńm punktem, przy którym wytrwale obstawał, było to, że żądał nazwiska wierzyciela, ale Sam uparł się i za nic w świecie nie chciał mu tego powiedzieć.

— To się na nic nie przyda — powtarzał — to istota złośliwa, mściwa, skąpa, serce, którego nie sposób zmiękczyć, jak się wyraził pewien cnotliwy wikary o gentlemanie cierpiącym na wodną puchlinę, który wołał zapisać swój majątek żonie anizeli oddać na kościół.

— Doprawdy, Samie, kwota jest tak mała, że nic łatwiejszego, jak ją zapłacić. Ponieważ postanowiłem zatrzymać cię przy sobie, powinienesz być zwrócić uwagę na to, iż byłbyś mi nierównie przydatniejszy, gdybyś mógł wychodzić poza te mury.

— Bardzo jestem panu wdzięczny, ale nie przystałbym na to.

— Na co nie przystałbyś, Samie?

— Za nic w świecie nie upokorzyłbym się, by prosić o łaskę takiego niemiłosiernego nieprzyjaciela jak mój wierzyciel.

— Ależ to nie jest żadna łaska, kiedy mu się oddaje jego pieniądze — osądził pan Pickwick.

— Przepraszam pana, ale byłoby dla niego wielką łaską, gdybym mu zapłacił żadaną sumę, na co nie zasługuje. Tak się ma rzecz, proszę pana.

Tu pan Pickwick ze zmieszana miną zaczął drapać się w nos, a Sam uznał, że postąpi rozsądnie, gdy zmieni temat rozmowy.

— Trzymam się swego postanowienia dla zasady — zauważył Sam. — Podobnie jak pan! To przypomina mi owego jegomościa, który popełnił samobójstwo dla zasady, musiał pan o tym naturalnie słyszeć. — Tu pan Weller przerwał i spojrzał wesoło na swego pana.

— Nie ma w tym nic naturalnego, Samie — powiedział pan Pickwick mimo woli uśmiechając się, chociaż nie uwolnił się jeszcze od zmieszania, w jakie go wprawiło wyznanie Sama. — Opowiadanie o tym gentlemanie nigdy nie doszło do moich uszu!

— Nie?! — zawołał Sam. — To mnie dziwi, proszę pana! Był to urzędnik w jakimś biurze!

— Urzędnik? — powtórzył pan Pickwick.

— Tak — potwierdził Sam — i do tego bardzo przyjemny jegomość. Jeden z tych schludnych i miłych gentlemanów, którzy w słotę wsadzają nogi w kalosze i których jedynym przyjacielem od serca jest kamizelka na zajęczym futrze! Oszczędzał pieniądze z zasady, kładł codziennie czystą koszulę z zasady, nigdy nie rozmawiał z żadnym ze swoich krewnych — też z zasady, a także z obawy, by nie pożyczili od niego pieniędzy! A poza tym miał naprawdę niezwykle miły charakter! Z zasady strzygł się co dwa tygodnie i z zasady niszczył tę samą ilość garniturów rocznie: trzy stare odsyłał krawcowi! Ponieważ

był też bardzo systematyczny, jadał dzień w dzień obiad w tej samej jadłodajni, zawsze to samo, i zawsze wybierał najlepsze kęski, na co nieraz skarżyła się gospodyni! Wchodząc, mówił: — Proszę o „Post”, jak tylko tamten pan skończy! Poszukaj no dla mnie „Timesa”, Tomaszu! I obejrzyj no się za „Morning Herald”! A nie zapomnij zamówić „Chronicle”! — A potem siedzi i patrzy na zegar jak sroka w gnat i zrywa się na jaki kwadrans przedtem, nim chłopiec przynosi gazety, aby pierwszy mu je zabrać, i czyta je z takim przejęciem i zapałem, że to aż gości drażniło, zwłaszcza jednego kłótliwego jegomościa, z którego nawet garson nie spuszczał oka, bo się bał, że kogoś nożem dźgnie! No i co pan powie? Zajmował najlepsze miejsce na jakie trzy godziny i zamawiał tylko obiad, a potem drzemał i szedł do kawiarni na następną uliczkę, gdzie wypijał filiżankę kawy i zjadał cztery racuszki, po czym szedł do siebie na Kensington i kładł się spać. Pewnej nocy schwyliły go boleści, wezwał lekarza. Lekarz przyjeżdża w zielonym wehikule zaopatrzonym w drabinę *à la* Robinson Crusoe, a to dlatego, by lekarz mógł wysiąść, a stangret nie potrzebował złażyć z kozła, bo wszyscy by widzieli, że ma tylko liberyjną kurtkę, a portki zwykłe! — Co panu? — pyta lekarz. — Bardzo jestem chory! — mówi pacjent. — Co pan jadł? — pyta znów lekarz. — Wołowinę! — mówi pacjent. — A co pan zjadł ostatnio? — pyta lekarz. — Racuszki! — mówi pacjent. — A, jesteśmy w domu! — powiada lekarz. — Zaraz przyślę panu pudełko pigulek i żeby mi się pan nie ważył jadać ich więcej! — Czego nie jadać? — pyta pacjent. — Pigulek? — Nie, racuszków! — Dlaczego? — pyta pacjent i aż siada na łóżku. — Codziennie, z zasady, od piętnastu lat zjadam wieczorem po cztery racuszki!

— No, to radzę panu zmienić zasady! — powiada lekarz. — Racuszki są bardzo zdrowe — powiada pacjent. — Racuszki nie są zdrowe — powiada lekarz z wściekłością. — Ale bardzo tanie — powiada pacjent. — I bardzo sytne, jeżeli weźmie się pod uwagę ich cenę! — Ale panu wypadną drogo — powiada lekarz. — Bardzo drogo, jeżeli będzie je pan jadał! Cztery racuszki co wieczór i będzie z panem koniec za pół roku! — Pacjent patrzy mu prosto w twarz i powiada: — Jest pan tego pewien? — Stawiam na kartę moją zawodową reputację! — woła lekarz. — Ile racuszków na jednym posiedzeniu zabiłoby mię? — Nie wiem! — powiada lekarz. — Myśli pan, że racuszków za pół korony wystarczy? — Chyba! — odpowiada lekarz. — A za trzy szylingi na pewno? — Naturalnie! — odpowiada lekarz. — Dobranoc! — Następnego dnia chory wstaje, każe zapalić na kominku, sprowadza sobie racuszków za trzy szylingi, zjada wszystkie i idzie na piwo do Abrahama.

— I po cóż to zrobił? — zawołał pan Pickwick bardzo poruszony tragicznym zakończeniem tego opowiadania.

— Po co to zrobił, proszę pana? — odpowiada Sam. — Ależ dla poparcia swojej zasady, że racuszki są zdrowe i żeby pokazać, że nikomu nie pozwoli dmuchać sobie w kaszę!

Takimi to anegdotkami zabawiał Sam swego pana kłopotącego się, gdzie Sam przepędzi noc. Wreszcie widząc, że wszystkie jego uwagi są bezskuteczne, pan Pickwick przystał na to, by Sam ulokował się u pewnego łysego łatacza butów w małym pokoiku na trzecim piętrze.

Do tego skromnego apartamentu Sam zaniósł materac, kołdrę i poduszkę, wynajęte u pana Rokera, a gdy się wyciągnął na tym zaimprovizowanym łóżku, tak mu było dobrze, jakby się wychowywał w więzieniu i jakby cała jego rodzina wegetowała tam od trzech generacji.

— Czy zawsze palicie fajkę, gdy się kładzecie spać, stary kogucie? — zapytał Sam swego gospodarza, gdy obaj ułożyli się na swych łóżkach do snu.

— Zawsze, młody kochinchińczyku — odrzekł szewc.

— Czy można zapytać was, dlaczego ścielicie sobie pod tym stołem sosnowym?

— Bo nim się tu dostałem, byłem przyzwyczajony sypiać pod baldachimem, a stół oddaje mi taką samą usługę — odparł szewc.

Podczas tej rozmowy Sam leżał wyciągnięty na swoim materacu w jednym kącie pokoju, a szewc na swoim w drugim. Pokoik był oświetlony jedną świeczką i fajką szewca błyszczącą pod stołem jak rozżarzony węgiel. Rozmowa powyższa, chociaż tak krótka, usposobiła Sama przychylnie do gospodarza. Wskutek tego Sam wsparł się na łokciach i począł mu się przypatrywać uważnie.

Był to człowiek bladej — wszyscy zresztą szewcy są blade — miał brodę rozczochraną — wszyscy latacze butów mają takie brody — ale twarz jego, chociaż pomarszczona i wykrzywiona, znamionowała dobry humor, a oczy musiały niegdyś mieć bardzo wesoły wyraz, gdyż i teraz jeszcze iskrzyły się. Szewc miał ze sześćdziesiąt lat życia i Bóg wie ile lat więzienia; dziwne więc było, gdy się widziało w jego rysach dotąd jeszcze pewne ślady wesołości. Wzrostu był niewielkiego; w ustach trzymał dużą fajkę, a paląc ją, spoglądał na gorejącą świecę z zadowoleniem prawdziwie godnym zazdrości.

— Czy dawno już tu jesteście? — zapytał Sam po kilku minutach milczenia, które od pewnego czasu zaczęło mu ciążyć.

— Dwanaście lat — odrzekł szewc, żując zębami ustnik fajki.

— Zapewne dlatego, żeście zlekceważyli rozporządzenie sądu? — zapytał Sam. Szewc skinął głową.

— Dobrze — odparł Sam poważnie. — Dlaczego trwacie przy tym tak uparcie i pozwalacie, że to drogie życie mija wam w tym lombardzie na ludzi? Dlaczego nie ustąpicie i nie oświadczycie kanclerstwu, że żałujecie, iż zlekceważyliście sąd, i obiecujecie, że nigdy już tego nie zrobicie?

Szewc przesunął fajkę w kąt ust, uśmiechnął się, przesunął ją z powrotem na dawne miejsce i trwał w milczeniu.

— Dlaczego nie zrobicie tego? — pytał Sam natarczywie.

— Ach — rzekł szewc — nie rozumiesz tego. No, jak myślisz, co mnie zniszczyło?

— Ba!... — rzekł Sam, poprawiając światło. — Sądzę, żeście narobili długów, prawda?

— Nigdy nie byłem dłużny ani szeląga — odparł tamten — zgaduj dalej.

— No to możecie kupowali domy, co mówiąc delikatnie, dowodzi pomieszenia zmysłów; a możecie budowali nowe domy, co w języku medycyny oznacza nieuleczalną chorobę?

Szewc potrząsnął głową i powiedział:

— Zgaduj pan dalej!

— Nie sądzą, byście się bawili w procesy — mówił Sam.

— Nigdy w życiu — odparł szewc. — Zostałem zrujnowany wskutek otrzymania spadku.

— O, ba, ba! Na to mnie złapiecie! Ja sam chciałbym mieć jakiego bogatego nieprzyjaciela, który by chciał mnie w ten sposób zgubić. Niechby zgubił.

— Byłem pewny, że nie będziesz mi wierzyć — odrzekł szewc, paląc fajkę z filozoficznym spokojem. — I ja bym także nie wierzył, gdybym był na twoim miejscu, a jednak tak jest.

— Jak do tego doszło? — zapytał Sam na wpół już przekonany spojrzeniem, które rzucił mu szewc.

— Było to tak. Pewien stary gentleman, dla którego robiłem buty na prowincji i z którego krewną ożeniłem się (już umarła, Bogu dzięki; niech ją Bóg błogosławi), dostał apopleksji i wyniósł się.

— Dokąd? — zapytał Sam, którego liczne zdarzenia tego dnia uczyniły trochę sennym.

— A czy ja wiem? — odparł szewc, który delektując się teraz fajką, mówił przez nos. — Umarł.

— A cóż dalej?

— Dalej? Zostawił pięć tysięcy funtów szterlingów.

— To bardzo pięknie z jego strony.

— Mnie zapisał tysiąc, gdyż byłem mężem jego krewnej. Rozumiesz?

— Bardzo dobrze — mruknął Sam.

— A ponieważ otoczony był przez mnóstwo synowców i synowic, ciągle kłócących się między sobą, więc gentleman ten mnie uczynił wykonawcą swej ostatniej woli i mnie oddał wszystko do rozporządzenia, abym to potem legalnie rozdzielił pomiędzy nich.

— Co rozumiecie przez słowa: do rozporządzenia?— zapytał Sam budząc się. — Jeśli nie była to gotówka, to po co to?

— To jest takie prawnicze określenie, nic więcej — odparł szewc.

— Nie pomyślałem o tym — rzekł Sam potrząsając głową. — W tym lokalu nie ma wiele do rozporządzenia. No, jedź dalej.

— Otóż — ciągnął szewc — gdym się zabierał do legalizowania testamentu, synowcy i synowice, którzy byli bliscy rozpaczy, że nie dostaną wszystkiego, wyrobili *caveat*.

— Co to takiego?

— To taki instrument prawniczy, który tyle znaczy, jakby kto powiedział: nie damy!

— Rozumiem, pewno z tej rodziny co i *habeas corpus*. Dalej.

— Ale widząc, że nie zdołają porozumieć się między sobą i że wobec tego nie będą mogli obalić testamentu, cofnęli *caveat*, a ja wypłaciłem każdemu jego część. Zaledwie to zrobiłem, gdy oto jeden z synowców zażądał obalenia testamentu. W kilka miesięcy potem sprawa dostała się w ręce pewnego głuchego gentlemana urzędującego w małym pokoiku w oficynie, niedaleko Paul's Churchyard; gdy czterej adwokaci wpadli na niego i nakręcili mu w głowie, namyślał się dzień czy dwa, przewertował sześć grubych tomów i wydał wyrok, iż testator nie był zupełnie normalny i wobec tego powinienem wszystko wypłacić powtórnie z dołączeniem kosztów. Apeluję. Sprawa przechodzi przez trzech czy czterech bardzo zaspanych gentlemanów, którzy przysłuchiwali się już rozprawie w pierwszej instancji, gdzie grali rolę adwokatów. Cała różnica polegała na tym, że tu nazywali się doktorami, a w innym sądzie delegatami, co dość trudno zrozumieć. Ci z całym szacunkiem zatwierdzają wyrok wydany przez głuchego gentlemana. Wskutek tego znalazłem się w tym lokalu, gdzie jesteśmy teraz i gdzie pozostanę do końca życia. Moi adwokaci dawno już weszli w posiadanie całego mego tysiąca funtów, co się zaś tyczy zasady, jak oni to nazywają, i kosztów, to siedzę tu za dziesięć tysięcy i będę tu siedział, aż załatam ostatnie me buciki. Kilku panów mówiło, że poruszą moją sprawę w parlamencie, i myślę, że zrobiliby to, ale nie mieli chęci przyjść do mnie, a ja nie miałem pozwolenia, by pójść do nich. A moje długie listy znudziły ich i tak sprawa moja upadła. To jest cała prawda, jak na sądzie Bożym, ni joty mniej ani więcej, jak to wie bardzo dobrze z pięćdziesiąt osób w tych murach i poza nimi.

Szewc zamilkł, by zobaczyć, jakie wrażenie wywarło opowiadanie jego na Samie. Ten już spał. Więc szewc wytrząsnął popiół z fajki, postawił ją koło siebie, westchnął, nakrył się kołdrą i zasnął.

Na drugi dzień rano, gdy Sam żwawo czyścił ubranie i obuwie swego pana w pokoju szewca, a pan Pickwick siedział sam przy śniadaniu, zapukano lekko do jego drzwi. Zaledwie miał czas powiedzieć: — Proszę wejść — gdy ukazała się głowa okolona włosami i okryta wełnianą czapeczką, w której bez trudu rozpoznać można było osobistą własność Smangle'a.

— Jak zdrowie pańskie? — zapytała ta godna osoba przy towarzyszeniu jednego lub dwóch tuzinów ukłonów. — Czy oczekuje pan kogo dziś rano? Trzech panów bardzo dżentelmeńsko ubranych pyta na dole o pana i puka do wszystkich drzwi, tak że członkowie tutejszego kolegium, którzy musieli otwierać, bardzo się na nich rzucali.

— Mój Boże, jacy niemądrzy — rzekł pan Pickwick, powstając. — Tak, to są zapewne moi przyjaciele, na których wczoraj czekałem.

— Przyjaciele pana? — zawołał Smangle, chwytając za rękę pana Pickwicka. — Dość tego! Od tej chwili są oni i moimi przyjaciółmi... i Mivinsa także... Ten Mivins to diabelnie miły i dżentelmeński człowiek, co? — z uczuciem kończył pan Smangle.

— Doprawdy — rzekł pan Pickwick z pewnym wahaniem — tak mało znam tego pana, że...

— Wiem — odrzekł Smangle, klepiąc go po ramieniu. — Z czasem pozna go pan lepiej; będzie pan nim zachwycony. Ten człowiek, panie — mówił dalej pan Smangle z uroczystą miną — ma talent komiczny, który by przyniósł zaszczyt nawet teatrowi Drury Lane.

— Czy tak?

— Tak, na Jowisza! gdybyś go pan słyszał, jak naśladuje cztery koty w beczce! To są niebywale cztery koty, dają słowo honoru. Przy tym nadzwyczajnie przystojny. Nie można nie lubić człowieka posiadającego takie cnoty. Jedną ma tylko wadę — słabostkę raczej — o której wspomniałem już panu.

W tym miejscu pan Smangle począł kiwać głową w sposób poufały i oczekujący potwierdzenia. Pan Pickwick czuł, że powinien coś powiedzieć; spoglądając więc z niecierpliwością na drzwi powiedział: — A.

— O tak! — podchwycił pan Smangle z głębokim westchnieniem. — Człowiek ten to najmiłszy towarzysz, po prostu nie ma miłszego. Ma tylko tę drobną wadę: gdyby mu się zjawił cień jego dziadka, to pożyczyłby od niego osiemnaście pensów.

— Czy być może?! — zawołał pan Pickwick.

— Tak, panie, a gdyby miał możność wywołać ten cień powtórnie, to po upływie dwóch miesięcy i trzech dni poprosiłby powtórnie o taką samą sumę.

— Dziwny rys charakteru — rzekł pan Pickwick — ale my tu rozmawiamy, a przyjaciele moi szukają mnie i nie wiedzą, co z sobą począć.

— Zaraz ich panu sprowadzę — odrzekł pan Smangle, idąc ku drzwiom. — Żegnam pana, nie będę panu przeszkadzał, gdy tu przyjdą... *À propos...*

Wyrzekłszy ten ostatni wyraz pan Smangle zatrzymał się nagle, znów zamknął drzwi już na wpół otwarte i powracając na palcach, rzekł cicho do ucha panu Pickwickowi:

— Czy nie zrobiłoby to panu trudności, gdybyś mi pożyczył pół korony do końca przyszłego tygodnia?

Pan Pickwick ledwie mógł powstrzymać uśmiech, zachował jednak zwykłą swą powagę, wyjął pół korony i położył ją na rękę panu Smangle'owi, który wykonawszy cały szereg gestów i ruchów zalecających utrzymanie w tajemnicy tego misterium, znikł i wkrótce powrócił z trzema przyjaciółmi pana Pickwicka. Następnie odkasznawszy trzykrotnie i tyleż razy skinąwszy głową na znak, że nie zapomni o swym długu, uściśnął przybyłym rękę w sposób niebywale uprzejmy i wyniósł się.

— Moi drodzy przyjaciele — rzekł pan Pickwick, witając kolejno panów Tupmana, Winkle'a i Snodgrassa, gdyż oni to byli — cieszę się bardzo, iż was widzę.

Triumwirat był bardzo rozczulony. Pan Tupman pochylił głowę żałośnie, pan Snodgrass wydobył chustkę z nieukrywaniem wzruszenia, pan Winkle podszedł do okna i głośno westchnął.

— Dzień dobry panom — rzekł Sam, który właśnie wszedł w tej chwili z ubraniami i obuwiem. — Precz z melancholią — jak powiedział pewien uczeń, gdy umarła mu nauczycielka. Witam panów w tej akademii.

— Ten szaleniec Sam — rzekł pan Pickwick, klepiąc Sama po głowie, gdy ów ukląkł i zapinał mu kamasze — ten szaleniec kazał się aresztować, by być razem ze mną.

— Co? — zapytali jednocześnie trzej przyjaciele.

— Tak, panowie — rzekł Sam — jestem... niech pan spokojnie siedzi... jestem uwięziony, moi panowie.

— Uwięziony! — zawołał pan Winkle z ogromnym zdumieniem.

— No, panie — rzekł Sam, spoglądając w górę. — Co tam nowego?

— Spodziewam się, Samie... to jest... nic, nic... — rzekł szybko pan Winkle.

Było coś tak dziwnego w zachowaniu pana Winkle'a, iż pan Pickwick spojrzął po dwóch swych przyjaciółach, jakby żądając od nich wyjaśnienia.

— Nic nie wiemy — odpowiedział głośno pan Tupman na to nieme zapytanie. — Winkle od dwóch dni jest bardzo wzburzony i zupełnie nie ten co zwykle. Obawiamy się, iż mu się coś musiało stać, ale on stanowczo temu zaprzecza.

— Nic — rzekł pan Winkle, rumieniąc się — doprawdy, iż nic mi się nie stało, niech mi pan wierzy, że nic. Będę tylko musiał na jakiś czas wyjechać w prywatnym interesie, a spodziewałem się, iż pozwoli mi pan zabrać Sama.

Twarz pana Pickwicka wyrażała teraz jeszcze większe zdziwienie.

— Sądzę — mamrotał dalej pan Winkle — że Sam przystałby na to, ale teraz jest to niemożliwe, ponieważ jest uwięziony. Będę musiał sam pojechać.

Gdy pan Winkle mówił to, pan Pickwick czuł, że palce Sama drżały, gdy mu przypinał kamasze, jak gdyby był zdziwiony lub wzruszony. Gdy pan Winkle przestał mówić, Sam podniósł głowę, aby spojrzeć na niego, i chociaż wymiana spojrzeń trwała tylko chwilę, obaj widocznie porozumieli się.

— Samie! — zawołał żywo pan Pickwick. — Czy wiesz, co to wszystko znaczy?

— Nic nie wiem — odrzekł Sam, który począł znów zapinać kamasze z wielką gorliwością.

— Czy na pewno, Samie?

— To pewne, że aż do tej chwili o niczym nie słyszałem. Jeżeli czynię pewne przypuszczenia — mówił dalej Sam, spoglądając na pana Winkle'a — to nie mam prawa mówić o nich, gdyż mogę być w błędzie.

— A ja nie mam prawa wtrącać się w interesy mego przyjaciela, chociaż jesteśmy na tak poufalej stopie — rzekł pan Pickwick po krótkim milczeniu. — Powiem tylko, że nic nie rozumiem. No, dajmy temu spokój.

Następnie pan Pickwick sprowadził rozmowę na inny temat, dzięki czemu pan Winkle poczuł się swobodniejszy, choć wciąż był daleki od dawnej swej beztroski. Przyjaciele nasi mieli sobie tyle rzeczy do powiedzenia, że ranek szybko minął, a gdy około trzeciej Sam postawił na stole pieczeń baranią i ogromny pasztet, nie mówiąc już o mnóstwie rozmaitych jarzyn i kuflach z porterem, poustawianych na krzesłach, na łóżku i w innych

miejscach, wszyscy poczuli wilczy apetyt, chociaż jadło było sporządzone w obmierzłej kuchni więziennej, gdzie kupowano mięso i pieczono pasztet.

Po porterze postawiono parę butelek doskonałego wina, które pan Pickwick kazał przynieść z kawiarni w Doctors' Commons. Prawdę powiedziawszy, owa para butelek oznaczała co najmniej trzy pary, gdyż zanim je wyprózniono, dzwonek dawał już znać, że obcy muszą cię wynosić z więzienia.

Jeżeli postępowanie pana Winkle'a było niezrozumiałe rano, to potem, gdy pod naporem wezbranych uczuć i pod wpływem swego udziału w ilości wypitego wina żegnał się z panem Pickwickiem, stało się wprost nienaturalne. Pozostał w tyle, aż panowie Tupman i Snodgrass znikli, a potem, ściskając rękę filozofa z wyrazem twarzy, w którym spokój rozpaczliwego postanowienia walczył z bólem, powiedział przez zęby:

— Dobranoc, drogi panie.

— Niech cię Bóg prowadzi, kochany chłopcze — odrzekł pan Pickwick, serdecznie ściskając rękę swego młodego przyjaciela.

— Czekamy! — zawołał pan Tupman z galerii.

— Zaraz, zaraz! — odrzekł pan Winkle. — Dobranoc.

— Dobranoc — powtórzył pan Pickwick.

Powiedziano już sobie pół tuzina „dobranoc”, a pan Winkle ciągle jeszcze trzymał rękę filozofa i wpatrywał się w niego z dziwnym wyrazem twarzy.

— Co się panu stało? — zapytał w końcu pan Pickwick, którego ręka bolała od potrząsania.

— Nic, nic.

— Więc dobranoc — powtórzył raz jeszcze, usiłując uwolnić rękę.

— Mój przyjacielu, mój dobroczyńco, mój zacny towarzyszu — szeptał pan Winkle, powtórnie chwytając jego dłoń — nie sądź mnie pan zbyt surowo, gdy dowiesz się, do jakich ostateczności zmusiły mnie nieprzewidywane przeszkody...

— No i cóż? — zawołał pan Tupman ukazując się w drzwiach.

— Jeżeli nie wyjdziemy, to nas tu zamkną.

— Idę, już idę! — powtórzył pan Winkle i jakby zadając sobie gwałt, wyrwał się z pokoju pana Pickwicka.

Nasz filozof z niemym zdziwieniem pobiegł za nim wzrokiem wzdłuż korytarza, gdy wtem Sam ukazał się na schodach i chwilę poszeptał z panem Winkle'em.

— Nie zapomni pan? — powtórzył głośno.

— O, nie!

— Życzę wszystkim pomyślności. Bardzo bym chciał pojechać z panem, ale, naturalnie, pryncypał przede wszystkim.

— Masz słuszość, to ci przynosi zaszczyt — rzekł pan Winkle.

Tak rozmawiając obaj zeszli ze schodów.

„To dziwne! — pomyślał pan Pickwick powróciwszy do swego pokoju. — Co się stało temu młodemu człowiekowi?...”

Myślał nad tym jakiś czas, gdy nagle głos dozorczy więziennego, pana Rokera, zapytał, czy wolno wejść.

— Naturalnie! — powiedział pan Pickwick.

— Przyniosłem panu bardziej miękką poduszkę zamiast tamtej, którą pan miał poprzedniej nocy!

— Dziękuję! — powiedział pan Pickwick. — Pozwoli pan szklaneczkę wina?

— Bardzo pan uprzejmy! — powiedział pan Roker, przyjmując szklanę. — Za pańskie!

— Dziękuję! — odrzekł pan Pickwick.

— Przykrą wiadomość mam panu do zakomunikowania, proszę pana — powiedział pan Roker. — Źle jakoś z pańskim gospodarzem! — Potem odstawił szklankę i począł oglądać rondo swego kapelusza, jakby miał zamiar włożyć go z powrotem na głowę.

— Co?! Więzień kanclerstwa? — zawołał pan Pickwick.

— Niedługo on już będzie więźniem kanclerstwa! — powiedział Roker obracając kapelusz w taki sposób, jak gdyby chciał koniecznie odczytać w nim firmę.

— Pańskie słowa mrozą mi krew w żyłach! — powiedział pan Pickwick. — Co pan chce przez to powiedzieć?!

— Od dawna ma już suchoty! — powiedział pan Roker, ważąc kapelusz na jednym palcu. — Sądzę, że wszędzie by go to spotkało — tu czy gdzie indziej! Zabrano go dziś do infirmerii. Doktor powiada, że trzeba podtrzymać w nim siły. A dyrektor kazał mu od siebie posłać wina, chleba itd. To przecież nie wina dyrektora, sam pan wie!

— Naturalnie! — szybko odpowiedział pan Pickwick.

— Ale się boję — mówił pan Roker kiwając głową — że to już koniec. Założyłem się z Neddym o trzy półpensówki, że kipnie, ale cofnął się, i słusznie! Dziękuję panu. Dobranoc!

— Zaraz? — zawołał pan Pickwick. — Gdzie jest infirmeria?

— Nad pańskim pokojem — powiedział pan Roker. — Zaprowadzę pana. — Pan Pickwick zerwał się szybko i bez słowa poszedł za nim.

Dozorca wskazywał mu drogę w milczeniu. Ostrożnie otworzył ostatnie drzwi i wpuścił pana Pickwicka. Był to obszerny, pusty, nagi pokój, w którym stał szereg łóżek. Na jednym z nich leżał cień człowieka: blady, upiorny, wycieńczony. Oddech jego był ciężki, krótki i jakiś chrapliwy. Przy łóżku siedział niski, otyły człowieczek w fartuchu łatacza butów; człowieczek ten przy pomocy okularów w rogowej oprawie czytał na głos Biblię.

Chory położył dłoń na ręce swego pielęgniarza i dał mu znak, by przestał czytać. Tamten odłożył książkę na łóżko.

— Otwórz okno! — prosił chory.

Otworzył okno. Hałas przejeżdżających wozów i karet, turkot kół, krzyki mężczyzn i chłopców, cały ów gwar wielkiego tłumu przejętego i życiem, i własnymi interesami wpadł do pokoju. Czasami gwar ten tłumiał głośny śmiech. Gdzieś zrywała się wesoła piosenka, by potem zginąć w szumie kroków i głosów. Uderzenie potężnych fal życia przepływającego tuż obok. Melancholijnie brzmiały te dźwięki w uszach cichego słuchacza, o ileż jednak melancholijniej dla uszu człowieka, który czuwał przy łożu konającego!

— Nie ma tu nic powietrza! — jęczał ochryple i cicho. — Powietrze jest tu skażone. A takie było świeże, kiedy przechadzałem się przed laty! Przed laty! Ale staje się ciężkie i nie do zniesienia w tych murach! Nie mam czym oddychać!

— Razem oddychaliśmy nim już od dawna! — mówił stary. — I jakoś się żyło!

Zapanowała krótka cisza. Pan Pickwick i Roker podeszli do łóżka. Chory ujął obydwoma rękami dłoń swego towarzysza niedoli, ściskając ją mocno i serdecznie.

— Mam nadzieję — powiedział wreszcie tak cicho, że trzeba było nachylić się nad samym łóżkiem, by zrozumieć ruch jego bladych warg — mam nadzieję, że mój Sprawiedliwy Sędzia nie zapomni, co przecierpiałem tu na ziemi! Dwadzieścia lat, mój przyjacielu, dwadzieścia lat w tym okropnym grobie! Serce mi pękało, gdy umarło moje dzieciątko, a ja nie mogłem go nawet ucałować w jego małej trumience! Odtąd

samotność moja w tym nieustannym zgiełku straszna była i potworna! Niech Bóg mi przebaczy! On patrzył na moją samotną, smutną śmierć!

Splótł ręce i szepcząc coś, czego już nie zdołali posłyszeć, zapadł w sen — z początku tylko sen, gdyż widzieli, że się uśmiecha.

Poszeptali coś ze sobą, potem dozorca pochylił się nad poduszkami i szybko odskoczył.

— Wolny już, na Boga! — powiedział.

Wolny. Ale taki był podobny do umarłego za życia, że nie zauważyli, kiedy umarł...

Rozdział czterdziesty piąty **w którym opisano czule spotkanie Samuela Wellera z** **jego rodziną. Pan Pickwick zwiedza mały świat, który** **zamieszkuje, i postanawia w przyszłości nie zadawać się** **z nim**

W kilka dni po swym uwięzieniu uporządkowawszy bardzo starannie pokój swego pana i stwierdziwszy, że pan Pickwick siedzi nad swymi papierami, Sam wyszedł, by przepędzić jak można najlepiej jedną lub dwie godziny. Ponieważ ranek był piękny, Sam uznał, że flaszka porteru, wypita na świeżym powietrzu, rozjaśni mu świat nie gorzej niż inna rozrywka, na jaką mógł sobie pozwolić.

Doszedłszy do tej konkluzji skierował się do bufetu, kupił portera, dostał onegdajszą gazetę, wyszedł na dziedziniec do kręgielni i począł bawić się w sposób bardzo metodyczny i celowy. Naprzód pociągnął łyk porteru i zwróciwszy oczy na jedno okno, spojrział nader platonicznie na pewną młodą damę zajęłą skrobaniem ziemniaków. Potem wziął gazetę i rozłożył ją tak, by na wierzchu była kronika policyjna; a ponieważ jest to praca trudna i wytężająca, zwłaszcza podczas wiatru, więc gdy tego dokonał, pociągnął znów łyk porteru. Następnie przeczytał dwa wiersze gazety i zatrzymał się, by popatrzeć na grających w kręgle. Po ukończeniu partii krzyknął z uśmiechem: — Bardzo dobrze! — i spojrział dokoła, by się przekonać, czy te uczucia dzielają inni widzowie. To pociągnęło za sobą potrzebę powtórnego spojrzenia w okno; a ponieważ młoda dama, która wciąż w nim stała, jeszcze skrobała ziemniaki, Sam, kierując się kanonami grzeczności, mrugnął do niej okiem i za jej zdrowie łyknął znów piwa. Rzuciwszy potem gniewne spojrzenie jakiemuś chłopcu, który temu postępowaniu Sama przypatrywał się szeroko otwartymi oczyma, założył wreszcie nogę na nogę i wzięwszy gazetę w dwie ręce, zagłębił się w czytaniu.

Zaledwie wprawił się w potrzebny mu teraz stan skupienia, gdy zdało mu się, że z odległej galerii doszło go jego nazwisko. Nie było to złudzenie, gdyż niebawem poczęło ono przebiegać z ust do ust i w parę sekund całe powietrze drżało od słowa „Weller”.

— Tu! — odpowiedział stentorowym głosem. — Co tam takiego? Kto mnie potrzebuje? Czy przybył umyślnie posłaniec z doniesieniem, że spaliła się moja willa?

— Wołają pana do rozmównicy — odpowiedziano.

— Niech pan przypilnuje mojej gazety i kufla — poprosił Sam.

— Idę już. Jak Boga kocham, gdyby mnie wołano na Sąd Ostateczny, nie byłoby tyle wrzawy.

Słowa te podkreślił, uderzając lekko po głowie wspomnianego wyżej młodziana, który nie spodziewając się, by wołana osoba była tak blisko, ze wszystkich sił wołał: — Weller! — Sam przebiegł podwórze i po schodach wpadł do rozmównicy. Stanąwszy tu, ujrzał naprzód u dołu schodów swego kochanego ojca, który trzymając kapelusz w ręku, wrzeszczał co pół minuty:

— Weller!

— Czego tak ryczysz? — zapytał Sam, gdy stary zawołał raz jeszcze. — Poczzerwieniałeś jak szklarz wydmuchujący butelki. Co się stało?

— A! — odrzekł ojciec. — Obawiałem się, czyś nie wyszedł na przechadzkę do parku, Sammy.

— No! — odrzekł Sam. — Nie drwij sobie tak z ofiary swego kutwiarstwa. I zabieraj się z tych schodów. Czego tu sterczysz? Przecież tu nie moje mieszkanie!

— Chcę ci opowiedzieć wyborny kawał! — zawołał Weller, wstając.

— Czeka! — rzekł Sam. — Ubieliłeś się na plecach.

— No to oczyść mnie — rzekł pan Weller, gdy syn strzepywał już kurz z jego pleców. — Byłby to niezwykły wypadek, gdyby tu ktoś miał na sobie coś białego. Prawda, Sammy? — Ponieważ, mówiąc to, był bliski nowego napadu śmiechu. Sam pośpieszył powściągnąć go i rzekł:

— Uspokój się! Takiego starego wariata jeszcze świat nie widział. Czego tak ryczysz?

— Sammy — rzekł Weller, cofając się o dwa kroki, otwierając usta i podnosząc brwi. — Zgadnij, kto tu przybył ze mną, Samiwelu?

— Pan Pell? — rzekł Sam.

Weller potrząsnął głową, a policzki wydeły mu się tłumionym śmiechem.

— Może cętkowany? — zgadywał Sam.

Pan Weller zaprzeczył.

— Więc któż?

— Twoja macocha, Sammy — zawołał otyły stangret w ostatniej chwili, bo gdyby tego nie zrobił, policzki pękłyby mu niezawodnie, tak były wydęte. — Twoja macocha, Sammy, i czerwonoosy. I czerwonoosy! Cha, cha, cha!

Po tych słowach pan Weller dostał ataku śmiechu, a Sam patrzył na niego ze złośliwym uśmiechem, który powoli rozlał się mu na całym obliczu.

— Przybyli, by przemówić ci do sumienia, Sammy — rzekł pan Weller, ocierając sobie oczy.

— Tylko nic im nie wspominaj o wyrodnym wierzycielu.

— Jak to? Nie wiedzą, kto nim jest?

— Ani trochę.

— Gdzie są? — rzekł Sam, zaśmiewając się ze starym na wyścigi.

— W pokoju koło kawiarni. Myślisz, że czerwonoosy pójdzie gdzieś, gdzie nie ma trunków? Nigdy, mój drogi, nigdy. Odbyliśmy piękny spacer dziś rano — mówił Weller dalej. — Zaprzągnąłem mego starego siwka do starego wózka, który należał do pierwszego męża mojej żony. Dla pasterza postawiono w nim fotel i niech mnie diabli wezmą — tu pan Weller spojrział z pogardą — jeżeli nie przystawiono schodków, by się mógł na wóz wgramolić.

— Nie może być!

— Ba! Tak było! Chciałbym, abyś był widział, jak przy wsiadaniu trzymał się mocno poręczy, jakby się bał, by nie spaść z wysokości sześciu stóp i nie rozbić się w kawałki. Wreszcie wlaź jakoś szczęśliwie; ale obawiam się — obawiam się, Sammy — że go trzęsło mocno, zwłaszcza na zakrętach.

— Pewno zawadziłeś o jeden i drugi słupek?

— Zdaje mi się, że tak, Sammy. Zdaje mi się, że zawadziłem o kilka nawet — odrzekł Weller, mrugając okiem. — W ciągu podróży zlatywał parę razy z krzesła.

Tu Weller zaczął kołysać głową na boki, wydając jakieś stłumione chrapanie, któremu towarzyszyło mocne wydeucie policzków. Symptomy te poważnie przeraziły jego syna.

— Nie bój się, Sammy, nie bój się! — rzekł starszy gentleman, gdy po wielu grymasach i konwulsyjnych tupnięciach złapał wreszcie oddech. — Jest to tylko taki sobie cichy śmiech, do którego się wprawiam.

— Jeżeli tak, to nie próbuj go zbyt często, bo zdaje się, że to niebezpieczny wynalazek.

— Ach! — odrzekł Weller, a łzy mu spływały po twarzy — byłoby mi to bardzo na rękę, gdybym mógł się do niego przyzwyczaić. Uniknąłbym w ten sposób wielu kłótni z twoją macochą. Ale obawiam się, że masz słuszność; jest to zanadto bliskie apopleksji, zanadto, Samiwelu.

Tak rozmawiając, doszli do pokoju koło kawiarni, gdzie Sam wszedł niebawem, przystanąwszy wprzód na chwilę, by przez ramię rzucić chytre spojrzenie na swego rodzica, który wciąż Jeszcze chichotał.— Bardzo jestem matce wdzięczny — rzekł Sam, uprzejmie witając damę — za te odwiedziny. Jak się macie, pasterzu?

— Ach, Samuelu! — zawołała pani Weller. — To okropność!

— Wcale nie, matko; nieprawdaż, pasterzu?

Pan Stiggins podniósł ręce do góry i przewrócił oczy tak, iż widać było tylko białka lub raczej żółtka, ale nie dał słownej odpowiedzi.

— Czy temu gentlemanowi źle się zrobiło? — zapytał Sam macochy, rzucając na nią spojrzenie, które prosiło o wyjaśnienie.

— Zaczny człowiek martwi się tym, że cię tu widzi — powiedziała pani Weller.

— Czy tylko to? — rzekł Sam. — Jego postępowanie napawa mię troską, czy też nie zapomniał przypadkowo ostatnich ogórków, jakie jadł, posypać pieprzem. Siadaj pan, za siedzenie nie płaci się — jak powiedział pewien król, gdy odprawił ministra.

— Młodzieńcze — rzekł pan Stiggins górnolotnie — obawiam się, że nawet więzienie nie nauczyło cię jeszcze pokory.

— Przepraszam bardzo — odparł Sam — ale co pan był łaskaw powiedzieć?

— Obawiam się, młodzieńcze, że charakter twój nie stał się pokorniejszy wskutek tej próby — rzekł Stiggins głośno.

— Bardzo pan łaskaw — odparł Sam. — Mam wrażenie, że z natury nie należę do pokornych owieczek. Bardzo jestem panu zobowiązany za jego dobre mniemanie o mnie.

W tym miejscu rozmowy dał się słyszeć głos nieprzyzwoicie podobny do wybuchu śmiechu od strony krzesła, gdzie siedział pan Weller, wskutek czego jego połowica, szybko zorientowawszy się w miejscowych warunkach, uznała za swój obowiązek zagrozić atakiem nerwowym.

— Weller — zawołała — proszę tu! (Stary stangret siedział w kącie).

— Dziękuję ci, moja kochana, ale i tu mi dobrze — odparł pan Weller. Usłyszawszy tę odpowiedź pani Weller zalała się łzami.

— Co się matce stało? — zapytał Sam

— O, Samuelu! — odrzekła dama. — Twój ojciec unieszczęśliwia mnie. Czy nic go już nie poruszy?

— Słyszysz, ojcze! — zawołał Sam. — Pani mówi, że nic cię już nie poruszy.

— Bardzo dziękuję za tę czułą troskę, ale zdaje mi się, iż byłbym bardzo poruszony, gdybym mógł dostać fajkę. Czy znajdzie się tu jaka fajka, mój chłopcze?

Słyszając to, pani Weller jeszcze obficiej zalała się łzami, a pan Stiggins jęknął.

— Oho! Nieszczęśliwemu gentlemanowi znów się źle zrobiło — rzekł Sam. — Gdzie pana boli?

— Zawsze w tym samym miejscu, młodzieńcze — rzekł pan Stiggins — zawsze w tym samym.

— A gdzie to? — zapytał Sam z głupia frant.

— Tu, w moim sercu, młodzieńcze — odrzekł pan Stiggins, przykładając parasol do kamizelki.

Na tę rozczulającą odpowiedź pani Weller, nie mogąc opanować wzruszenia, wybuchnęła głośnym łkaniem oświadczając, że czerwono nosy jest człowiekiem świętym, na co pan Weller senior stłumionym głosem ważył się powiedzieć, że musi być przedstawicielem połączonych gmin: świętego Szymona od zewnątrz i świętego Walkera od wewnątrz.

— Obawiam się, droga matko — rzekł Sam — że ten gentleman z wykrzywioną gębą musiał poczuć pragnienie na ten smutny widok. Prawda, matko?

Zacna dama spojrzała na pana Stigginsa, czekając odpowiedzi. Ten zaś, wielokrotnie wywróciwszy oczami, ścisnął sobie gardło prawą ręką, dając tym do zrozumienia, iż czuje pragnienie.

— Samuelu — rzekł ponuro pan Weller — obawiam się, iż jego uczucia przyprawiły go o pragnienie.

— Co pan najchętniej pije? — zapytał Sam.

— O! Mój młody przyjacielu — rzekł pan Stiggins — napoje to tylko marność.

— To prawda, wielka prawda! — szepnęła pani Weller, potakując.

— Tak jest — odrzekł Sam. — Ale jaka z tych marności najwięcej przypada panu do smaku? Która jest pańską ulubioną marnością?

— O! Mój młody przyjacielu! — odparł pan Stiggins — ja gardzę wszystkimi. Ale jeżeli jest jaka mniej wstrętna od innych, to płyn, który nazywa się arakiem; gorący, mój przyjacielu, i z trzema kawałkami cukru na szklanke!

— Przykro mi, panie, ale tej marności nie pozwalają sprzedawać w tym zakładzie.

— O! Serca zatwardziałe! — zawołał pan Stiggins. — O złościwości ohydna nieludzkich prześladowców!

To powiedziawszy, świątobliwy człowiek znowu począł przewracać oczyma, uderzając się parasolem w kamizelkę. Na jego usprawiedliwienie powiemy, że teraz oburzenie jego było szczere i nie udane. Gdy pani Weller i czerwono nosy skończyli wyrzekać na ten nieludzki zwyczaj i rzucali na jego sprawcę całą masę pobożnych i świętych przekleństw, pan Stiggins opowiedział się za butelką wina porto dobrze ogrzanego, z cukrem i korzeniami, gdyż jego zdaniem jest to mieszanina dogadzająca jego żołądkowi i mniej mama aniżeli inne. W czasie gdy przyrządzano tę miksturę, czerwono nosy i pani Weller spoglądali na stangreta, wydając głębokie westchnienia.

— No, Sammy — rzekł Weller — spodziewam się, iż cię rozweseliła nasza wizyta. Bardzo pouczająca i wesoła rozmowa, prawda?

— Jesteś bezbożnik — rzekł Sam — i proszę cię, byś się nie zwracał do mnie z takimi bezwstydnymi uwagami.

Niezbyt zbudowany tą odpowiedzią, starszy pan Weller wykrzywił twarz w szerokim grymasie. Ponieważ nieugięcie trwał przy swoim karygodnym zachowaniu, dama i pan Stiggins zamknęli oczy i niespokojnie zaczęli wiercić się na krzesłach. Pan Weller pozwolił więc sobie na inne jeszcze sztuczki, wyrażające chęć rozbicia nosa wielebnemu pasterzowi, chęć, której zaspokojenie ulżyłoby bardziej jego sercu, ale żadne z tych dwojga nie dostrzegło jego gestów. Dopiero pan Stiggins poruszywszy się, gdy przyniesiono grzane wino, gwałtownie potracił głową o zaciśniętą pięść stangreta, którą pan Weller przez kilka minut wywijał koło ucha pasterza w odległości dwóch cali.

— Cóż to ojciec wysuwasz rękę po szklanę, jakby jaki dziki człowiek! — zawołał Sam z wielką przytomnością umysłu. — Nie widzisz, żeś potracił gentlemana?

— To nienaumyślnie, Sammy — odrzekł Weller, nieco zmieszany tym zdarzeniem.

— Panie — rzekł Sam do wielbego Stigginsa, rozcierającego sobie głowę — użyj no pan raczej wewnętrznego lekarstwa. Co pan sądzi o tej gorącej marności?

Pan Stiggins nie dał odpowiedzi słownej, ale za to czyni były wymowne; skosztował zawartości szklanki, którą Sam postawił przed nim, położył parasol na ziemi, znów przelknął trochę płynu, dwa lub trzy razy posuwając z zadowoleniem ręką po żołądku. Wreszcie wypił wszystko od razu, mlasnął językiem i podsunął szklanę, by otrzymać drugą porcję.

Pani Weller również nie zaniedbała zająć się tą mieszaniną. Zaczynała od oświadczenia, iż nie może wypić ani kropelki, potem wypła małą kropelkę, potem wielką kroplę, potem znaczną ilość kropeł; a ponieważ czułość jej była widocznie z tego rodzaju substancji, które łatwo rozpuszczają się w spirytusie, więc po każdej kropli gorącego wina ronila jedną łzę, aż uczucia jej tak się rozplynęły, że w końcu nic z nich nie pozostało.

Starszy pan Weller okazywał w rozmaity sposób swój wstręt do tych podobnych oznak i wypowiedzi. Gdy więc pan Stiggins po drugiej szklance o tej samej treści zaczął smutno wzdychać, pan Weller dał wyraz swemu niezadowoleniu w sposób bardzo otwarty za pomocą całej serii różnych gniewnych pomruków i uwag.

— Samiwelu, mój chłopcze — szepnął na koniec do syna po długiej i uważnej obserwacji swej żony i pana Stigginsa — czy się też coś nie popsulo w twej macosze i panu Stigginsie?

— Jak to rozumiesz?

— Myślę, że wszystko, co piją, zdaje się, nie idzie im na dobre, ale natychmiast przemienia się w ciepłą wodę i wypływa oczami. Wierz mi, Sammy, iż to jest jakaś wada organiczna.

Wypowiedziawszy to uczone zdanie Weller począł mrugać i wykonywać głową rozmaite ruchy, które na nieszczęście zostały spostrzeżone przez jego żonę. Ponieważ dama ta nie wątpiła, że odnoszą się one albo do niej, albo do pana Stigginsa, albo do nich obojga, poczuła się bardzo słaba i kto wie, co by się było stało, gdyby pan Stiggins nie podniósł się, jak mógł, i nie zaczął prawić kazania dla zbudowania obecnych, a zwłaszcza Sama. Wzywał go w słowach pełnych wzruszenia, by był ostrożny w tym miejscu potępionym. By wyrzekł się wszelkiej hipokryzji i dumy i by we wszystkim naśladował jego (Stigginsa), wtedy bowiem, wcześniej czy później dojdzie do konkluzji takiej, do jakiej doszedł pan Stiggins, a mianowicie, że jest on najzacniejszą i najszlachetniejszą istotą, natomiast wszyscy jego przyjaciele — to beznadziejne łajdaki i nicponie! Które to przeświadczenie, dodał, nie mogło nie budzić w nim najgłębszego zadowolenia!

Zaklinał go nade wszystko, by wystrzegał się pijaństwa, które upodabnia człowieka do świni, bowiem zatrute opary napojów spirytusowych odbierają człowiekowi pamięć i mącą myśli. Na nieszczęście, w tym miejscu kazania wielbnemu i czerwono-nosemu gentlemanowi zaplątał się język, a oratorskie ruchy zmusiły do chwycenia za poręcz krzesła z obawy stracenia równowagi.

Pan Stiggins nie prosił swoich słuchaczy, by mieli się na baczności przed tymi fałszywymi prorokami i przeklętymi kpiarzami z religii, którzy nie mając dość rozumu, by pojąć pierwsze jej zasady, ani dość serca, by odczuć jej kanony, są bardziej niebezpieczni dla społeczeństwa od zwykłych zbrodniarzy. Żerując na najciemniejszych i najmniej oświeconych, bluźniąc temu, co najświętsze, deprawują najlepsze sekty, do

których należą najlepsi ludzie. Ponieważ jednak leżał jakiś czas na krześle, oparty o poręcz, zamknąwszy jedno oko i zmrużywszy drugie, jest rzeczą prawdopodobną, że myślał to wszystko, tylko po prostu nie chciał tego mówić.

W czasie tego kazania pani Weller płakała rzewnymi łzami; Sam, usiadłszy na krześle jak na koniu i umieściwszy ramiona na oparciu, spoglądał na kaznodzieję wzrokiem słodkim i łagodnym, co chwila zerkając porozumiewawczo na ojca, który z początku był zachwycony, ale potem usnął w połowie przemówienia.

— Brawo! Doskonale! — zawołał widząc, że pasterz po skończonej mowie naciąga swe dziurawe rękawiczki, a w trakcie tego palce wychodzą mu przez dziury aż po same kostki.
— Doskonale!

— Spodziewam się, że ci to wyjdzie na dobre — rzekła pani Weller.

— I ja się tego spodziewam — odrzekł Sam.

— Chciałabym, by taki sam wpływ wywarło to i na twego ojca — rzekła pani Weller.

— Dziękuję ci, moja droga — odrzekł Weller. Jakież skutek wywarło to na tobie, moja kochana?

— Bezbożnik! — zawołała pani Weller.

— Człowiek zbłąkany — dodał pan Stiggins.

— Jeżeli nie będę miał lepszego światła, jak to wasze księżycowe — rzekł pan Weller starszy

— to obawiam się, że wiecznie będę jechał ciemnym dylizansem, aż na zawsze wezmę rozbrat z drogą żywota. Ale teraz, moja droga, jeśli siwek dłużej będzie stać przy żłobie, to w powrotnej drodze nie będzie się na mnie oglądać i, być może, zrzuci fotel razem z pasterzem na jakiś płot.

Usłyszawszy to pan Stiggins wstał, wziął kapelusz i parasol i począł przeć do odjazdu, wobec czego pani Weller wstała również, a Sam, odprowadziwszy ich aż do bramy więziennej, pożegnał z wielkim uszanowaniem.

— *Addio*, Samiwelu — rzekł stary pan.

— Co znaczy: *addio*? — zapytał Sam.

— Tyle co: bądź zdrow!

— Nic ci lepszego nie przyszło do głowy? — zapytał Sam. — No, bywaj, stary gracie.

— Sammy — rzekł stary Weller na odchodnym do syna, oglądając się na wszystkie strony — moje uszanowanie pryncypałowi i poradź mu, niech się namyśli nad tym, co ci powiem, i da mi potem znać. Ja i pewien stolarz ułożyliśmy plan, jak go stąd wydobyć. Fortepian, Sammy! Fortepian... — powtórzył raz jeszcze, trącając syna ręką w piersi i cofając się parę kroków.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Falszywy fortepian, Samiwelu — odrzekł Weller jeszcze bardziej tajemniczo. — Fortepian, który pryncypał wynajmie, ale który nie będzie grać.

— Na cóż więc się przyda?

— Każę powiedzieć memu przyjacielowi, stolarzowi, by go sobie zabrał — wyjaśnił pan Weller. — Teraz rozumiesz?

— Nic — zapewnił Sam.

— Nic przy tym nie ryzykuje — szepnął ojciec. — Może położyć się do fortepianu razem z butami i kapeluszem, a oddychać może przez nogi, bo będą próżne. Mamy dla niego przygotowany okręt wprost do Ameryki. Rząd amerykański nie wyda go, gdy zobaczy, że on ma pieniądze. Pryncypał zostanie tam aż do śmierci pani Bardell albo dopóki Dodsona i Fogga nie powieszają, co pewno prędzej nastąpi niż to pierwsze. Wtedy powróci,

napisze dzieło o Amerykanach, którym opłaci koszta podróży, i jeszcze mu się coś może okroi, jeżeli tylko naleyście obrobi Amerykanów.

Weller skreślił ten ogólny zarys spisku namiętnym szeptem, potem jednak, jakby się obawiał, że dalsza rozmowa osłabi wrażenie, jakie sprawiła ta niesłychana wiadomość, pożegnał syna pozdrowieniem stangretów i zniknął.

Zaledwie zdołał Sam odzyskać zwykły swój spokój po tajemniczych zwierzeniach ojca, gdy ukazał się pan Pickwick.

— Samie — rzekł filozof — mam zamiar przejść się po więzieniu i chciałbym, byś mi towarzyszył. Ale patrz no — dodał uśmiechając się — oto nadchodzi więzień, którego znamy.

— Który, panie? Czy ten gentleman brodaty, czy ten interesujący jegomość w niebieskich pończochach?

— Ani jeden, ani drugi. Ktoś z twoich starych przyjaciół.

— Z moich przyjaciół?

— O! Pewny jestem, że go dobrze pamiętasz, bo inaczej miałbyś o wiele gorszą pamięć, niżbym przypuszczał. Ale cicho!... Ani słowa!... Otóż i on.

Podczas tej rozmowy nadszedł pan Jingle. Nie miał już tak nędznej powierzchowności jak przedtem: ubrany był w suknie na wpół tylko poszarzałe, wykupione dzięki panu Pickwickowi z niewoli lombardu. Włosy miał podcięte, a bieliznę czystą; ale jeszcze był bardzo blady i chudy. Włókł się powoli, opierając się na lasce, i łatwo było domyślić się, że bieda i choroba mocno mu się dały we znaki i że wciąż jeszcze bardzo był osłabiony. Gdy pan Pickwick witał się z nim, Jingle zdjął kapelusz i gdy ujrzał Sama, wydawał się bardzo upokorzony i zawstydzony.

Tuż za nim szedł Hiob Trotter, który w katalogu swych wad nie miał przynajmniej braku wierności i przywiązania do swego pana. Był jeszcze brudny i w łachmanach, ale policzków nie miał już tak zapadłych jak przed kilkoma dniami, przy pierwszym spotkaniu z panem Pickwickiem. Zdejmując kapelusz przed naszym dobroczynnym starym przyjacielem, wypowiedział parę urywanych słów o wdzięczności i wymamrotał coś o uratowaniu go od głodowej śmierci.

— Dobrze, dobrze! — odrzekł filozof, przerywając mu niecierpliwie. — Idź za mną. Samie. Chcę pomówić z panem Jingle'em. Czy może pan iść bez mojej pomocy?

— O tak — sługa pana — ale nie bardzo prędko — nogi chwieją się — głowa oszołomiona — wszystko w kółko — rodzaj trzęsienia ziemi.

— No, podaj mi pan ramię — rzekł pan Pickwick.

— Nie, nie, niemożliwe... sam pójdę — rzekł pan Jingle.

— Dzieciństwo! Wesprzyj się pan na mnie, chcę tego — odparł pan Pickwick.

Widząc, że pan Jingle, zmieszany, nie wie, co robić, pan Pickwick sam wziął go pod rękę i powiódł ze sobą, nie tracąc próżnych słów.

Przez cały ten czas twarz Sama wyrażała największe zdumienie, jakie tylko wyobrazić sobie można. Spoglądając kolejno w najgłębszym milczeniu to na pana Jingle'a, to na Hioba, cicho powiedział w końcu przez zęby: — To być nie może! — Powtórzywszy te słowa kilkanaście razy, jakby od tego ćwiczenia oniemiał, z gniewem, zmieszaniem i zdumieniem począł znów patrzeć to na jednego, to na drugiego.

— No, Samie — rzekł pan Pickwick, oglądając się.

— Idę, panie — odrzekł pan Weller idąc mechanicznie za swym panem, wciąż jednak nie odwracał oczu od Hioba Trottera, który w milczeniu szedł koło niego.

Hiob przez jakiś czas oczy miał spuszczone, a Sam, którego wzrok wprost przylgnał do twarzy Trottera, wpadał na spotykanych ludzi, przewracał małe dzieci, potykał się o schody i bariery, jakby niedowidział, aż Hiob spojrzał spode łba i powiedział:

— Jak się pan ma, panie Weller!

— To on! — zawołał Sam i doszedłszy do tego przeświadczenia, uderzył się rękami po udach i wyraził swe uczucie długim i donośnym gwizdnięciem.

— Bardzo się zmieniłem, panie Weller! — rzekł Hiob.

— I mnie się tak zdaje — odrzekł Sam, z nieukrywanym zdziwieniem przypatrując się łachmanom Hioba. — Ale to zła zmiana — jak powiedział chłop, gdy dwa podejrzone szylingi i sześć pensów drobnymi dostał za dobre pół korony.

— Ma pan słuszość — zawołał Hiob, pochyliwszy głowę. — Ale minął czas udawania. Łzy, panie Weller — dodał z wyrazem chwilowej złośliwości — łzy to nie jedyny i nie najlepszy dowód nieszczęścia i bólu.

— O pewno! — zauważył Sam dobitnie.

— Można wywołać sztucznie — ciągnął Trotter.

— Bardzo słusznie. Są osoby, które mają zawsze łzy w pogotowiu i mogą wylewać je na zawołanie.

— Tak, ale są rzeczy, które nie przychodzą na zawołanie, panie Weller, a zbyt bolesny to proces, gdy się je chce sztucznie wywołać.

To mówiąc Hiob wskazał na swe blade, zapadłe policzki i odsunawszy rękaw, odkrył ramię tak wychudzone, iż zdawało się, że złamie się za lada dotknięciem.

— Cóżś ty robił? — zawołał Sam, cofając się.

— Nic — odparł Hiob.

— Nic?

— Już od wielu tygodni nic nie robię... ale jem i piję niemal tyleż.

Sam powiódł wzrokiem po przezroczyściej twarzy Trottera i po całej tej nieszczęśliwej postaci, a potem pochwycając go za rękę, począł ciągnąć żywo za sobą.

— Gdzie mnie pan ciągnie? — jęknął Hiob, na próżno usiłując wyrwać się z potężnych rąk niegdyś nieprzyjaciela.

— Chodź! Chodź! — powtórzył Sam, nie dając innych wyjaśnień, a po chwili, gdy stanęli przed bufetem, zamówił kufel portera.

— Teraz — powiedział — wypij mi to do ostatniej kropli i przewróć kufel do góry dnem, bym się przekonał, żeś zużył całe lekarstwo.

— Ależ kochany panie Weller — sprzeciwiał się Hiob.

— Pij! — krzyknął Sam rozkazująco.

Wezwany w ten sposób Trotter przyłożył kufel do ust i wychylił go małymi, ledwo widocznymi łykami, aż do dna. Raz tylko, ale tylko raz, zatrzymał się, by odetchnąć, ale ust nie odejmował od kufła, który w parę chwil potem trzymał odwrócony w wyciągniętej ręce. Nic nie spadło na podłogę prócz kilku kropel szumowin, które odrywały się od brzegu i leniwie kapały.

— Dobrze! — zawołał Sam. — Jakże ci teraz?

— Lepiej! Daleko lepiej! — odparł Hiob.

— Naturalnie — rzekł Sam z głębokim przeświadczeniem — to tak, jakbyś wpuszczał gaz do balonu. Gołym okiem widzę, że ci po tej operacji lepiej się zrobiło. Cóż powiesz o drugim kufłu tych ziółek?

— Bardzo panu dziękuję, ale powiem, że źle by mi zrobił.

— No, a co powiesz o czymś pożywniejszym?

— Dzięki pańskiemu godnemu chlebowodcy mamy na obiad pieczeń baranią z ziemniakami, tak że gotowanie zostało nam oszczędzone.

— Co? Pryncypał opiekuje się wami? — zawołał Sam ze zdumieniem.

— Tak, panie Weller. I więcej jeszcze: gdy mój pan był bardzo chory, pryncypał wziął dla nas pokój — przedtem mieszkaliśmy w jakiejś psiej budzie — i opłacił go. Co nocy przychodził odwiedzać mego pana, aby nikt tego nie widział. Panie Weller — mówił dalej Hiob, tym razem z prawdziwymi łzami w oczach — takiemu człowiekowi gotów bym służyć, dopóki bym nie zdechł u jego nóg.

— No, no, mój kochany, obejdzie się bez tego! — krzyknął Sam.

Hiob Trotter spojrział na niego zdziwiony.

— Powiadam ci, że obejdzie się bez tego, mój chłopcze — powtórzył Sam bardzo stanowczo.

— Nikt mu nie będzie służyć prócz mnie. A ponieważ doszliśmy do tego — ciągnął dalej, płacąc za piwo — wyjawię ci pewien sekret. Nigdy nie słyszałem ani w żadnej książce historycznej o tym nie czytałem, ani nie widziałem na żadnym obrazie anioła w kamaszach i z okularami; nie, nawet w teatrze, o ile sobie przypominam, chociaż tam z innych względów można by to zrobić; ale pomimo to, Hiobie, powiadam ci, że jest to anioł czystej krwi... i niech kto ośmieli się utrzymywać, że widział kogoś lepszego!

Wygłosiwszy to wyznanie, które potwierdził licznymi ruchami rąk i głowy, Sam włożył resztę pieniędzy do kieszeni i poszedł szukać pana Pickwicka, przedmiotu swej oracji.

Pan Pickwick stał wciąż jeszcze z panem Jingle'em na „placu balowym” i żywo z nim rozmawiał nie zwracając uwagi na otaczające ich wielobarwne grupy, choć zasługiwały na to, by przynajmniej z ciekawości przyjrzeć im się nieco.

— Zatem — powiedział w końcu, widząc, że Sam i Trotter nadchodzą — zobaczy pan, jak się ułoży z pańskim zdrowiem, a tymczasem zastanowi się pan. Gdy będzie się pan czuł dość mocny, zrób mi pan obliczenie. Pomyślę o tym i potem omówię to z panem. Teraz proszę iść do swego pokoju, bo jest pan znużony i nie powinien pan narażać wątego jeszcze zdrowia.

Pan Alfred Jingle, który nie miał już w sobie ani iskry dawnej żywości, ani nawet owej ponurej wesołości, jaką udawał przy pierwszym spotkaniu z panem Pickwickiem, uklonił się bardzo nisko, nie mówiąc ani słowa, i z wolna oddalił się, skinąwszy na Hioba, by szedł za nim.

— Samie! — powiedział pan Pickwick, spoglądając dokoła z zadowoleniem. — Prawda, że to bardzo dziwna scena?

— Bardzo! — odpowiedział Sam. — Cuda jeszcze się nie skończyły! — dodał do siebie. — Jeżeli się nie mylę, Jingle również użyje sikawki!

Miejsce, w którym stał pan Pickwick, była to przestrzeń między murami, takich rozmiarów, że można na niej było grać w palanta. Jeden bok tworzył oczywiście mur, drugi — ta część więzienia, która wychodziła (raczej wychodziłaby, gdyby nie przeszkadzał mur) na katedrę św. Pawła. Mnóstwo dłużników wałęsało się po tym placu lub siedziało w rozmaitych pozach. Większość z nich czekała na wiadomość z Trybunału Bankrutów, że „mogą odejść”. Inni byli skazani na ściśle określone terminy, które starali się w rozmaity sposób skrócić. Jedni byli ubodzy, drudzy zamożni, prawie wszyscy — brudni, nieliczni — czyści. Ale wszyscy chodzili z kąta w kąt. Męczyli się, pragnęli wydostać się z więzienia z równym skutkiem i energią jak zwierzęta w menażerii.

Przez okno wychodzące na tę promenadę wyglądało kilkanaście osób. Jedni rozmawiali ze znajomymi tam w dole, inni bawili się w piłkę z awanturnikami stojącymi na zewnątrz więzienia, inni znów patrzyli na grających w palanta i przysłuchiwali się okrzykom chłopców. Brudne kobiety w przydeptanych pantoflach szły w tę i tamtą stronę, przeważnie od kuchni umieszczonej w głębi. Dzieci wrzeszczały, bawiły się i biły. Krzyki graczy mieszały się z wieloma innymi dźwiękami. Wszędzie panował zgiełk i hałas — z wyjątkiem nędznej szopy w głębi dziedzińca, gdzie w spokoju spoczywało nieruchome ciało nieszczęśliwego więźnia kanclerstwa, zmarłego poprzedniej nocy w oczekiwaniu śledztwa, którym go mamiono. Ciało! Jest to określenie prawne na nigdy nie znający spokoju, wirujący splot trosk, nadziei, rozczarowań, miłości, które tworzą żywego człowieka. Prawo miało jego ciało. Oto leżało zawinięte w całun, straszne świadectwo tkliwego miłosierdzia.

— Chce pan zobaczyć pokój świstaków? — spytał Hiob Trotter.

— Co to znaczy? — odpowiedział pan Pickwick.

— Pokój świstaków? — wtrącił pan Weller.

— Co to, Samie? — spytał pan Pickwick. — Czy to ptaszarnia?

— Niech Bóg zachowa! — zawołał Hiob. — To tam, gdzie sprzedają spirytus! — Tu pan Trotter wytłumaczył pokrótce, że wobec tego, iż w więzieniach surowo zabraniano handlować napojami wysokowymi, które tak bardzo cenią gentlemani i damy tam zamknięte, więc kilku sprytnych dozorców wpadło na ten znakomity pomysł, by pozwolić niektórym więźniom, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem, zaopatrzyć się w dżin na własne ryzyko i własny użytek.

— Zwyczaj ten powoli zakradł się do wszystkich więzień za długi! — powiedział pan Trotter.

— Ma to tę dobrą stronę, że dozorczy wyłapują każdego, kto uprawia ten handel bez pozwolenia, nie opłacając się, a kiedy wiadomość o tym dostanie się do gazet, jeszcze ich chwalą za spryt! Dwie pieczenie na jednym rożnie: odstrasza się innych od handlu i podnosi własną godność.

— Czytasz pan jak z nut, panie Weller! — powiedział Trotter.

— Czyż nigdy nie robią rewizji w tych pokojach? Nigdy nie znajdują napojów? — pytał pan Pickwick.

— Naturalnie! — powiedział Hiob. — Ale dozorczy zawsze się przewidzą o tym i dają znać, komu potrzeba. I pan dostanie, jak pan odpowiednio zagwizdże.

Tu Hiob zastukał w pewne drzwi i natychmiast ukazała się w nich rozczochna głowa. Właściciel wpuścił naszych przyjaciół i zaraz zamknął drzwi, przy czym uśmiechnął się. Sam uśmiechnął się również, Trotter także. Pan Pickwick myśląc, że tak widocznie wypada, śmiał się już do końca wizyty.

Gentleman z rozczochną głową wydawał się bardzo zadowolony z tego sposobu załatwienia interesu „na milcząco”. Wyjął spod poduszki płaską flaszkę, zawartości mniej więcej ćwierci litra, nalał dwie szklanki, które Hiob i Sam wysuszili w sposób bardzo zręczny.

— Jeszcze? — zapytał świstający gentleman.

— Nie! — odpowiedział Hiob.

Pan Pickwick zapłacił, otworzono drzwi i wszyscy wyszli. Rozczochny jegomość uśmiechnął się przyjacielsko do pana Rokera, który właśnie nadchodził.

Następnie pan Pickwick błąkał się dość długo po wszystkich schodach i korytarzach oraz obszedł raz jeszcze całe podwórze. Na każdym kroku, w każdej osobie zdawało mu

się, że widzi albo Mivinsa, albo Smangle'a, albo duchownego, albo rzeźnika, gdyż cała ludność więzienia złożona była po większej części z indywidualów tego rodzaju. Po wszystkich kątach, najlepszych i najgorszych, te same wspólne cechy, ten sam brud, ten sam nieład, ten sam hałas. Wszędzie gwarne i nieustanne krzątanie się; ludzie cisnący się i przewalający jak cienie w jakimś złym śnie.

— Dość się już napatrzyłem — rzekł filozof, gdy powrócił do siebie i rzucił się na krzesło. — Głowa mię boli od tych scen, a serce nie mniej. Odtąd będę więźniem we własnym pokoju.

I pan Pickwick wytrwał niezłomnie przy tym postanowieniu. Przez całe trzy miesiące nie ruszył się poza swój pokój, a tylko w nocy, gdy większość współwięźniów spała albo zapijała się w swych pokojach, wymykał się, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Zdrowie jego poczęło widocznie cierpieć od tego ścisłego zamknięcia się. Ale ani wielokrotne prośby Perkera i przyjaciół, ani jeszcze liczniejsze ostrzeżenia i napomknienia Samuela Wellera nie zdołały na jotę zmienić jego niezłomnego postanowienia.

Rozdział czterdziesty szósty **opowiada o delikatnych uczuciach panów Dodsona i** **Fogga oraz o tym, że ci gentlemani nie byli pozbawieni** **zmysłu komizmu**

Mniej więcej na tydzień przed końcem lipca ujrzano na ulicy Goswell pędzącą dorożkę (numeru nie zauważono). Siedziały w niej trzy osoby prócz stangreta, który cisnąć się musiał na małym koźle. Na fartuchu wisiały dwa szale należące do dwóch przykrytych nim dam. Między tymi damami, ściśnięty do bardzo niewielkich rozmiarów, stał jegomość zastraszony i zahukany, który ilekroć ośmielił się zrobić jakąś uwagę, narażał się na natychmiastowe skarcenie ze strony którejś z groźnych pań. Obie damy i jegomość dawali stangretowi sprzeczne rozkazy, zmierzające jednak do tego, by zajechać przed dom pani Bardell. Wysoki jegomość, w przeciwieństwie do obu dam i ku ich oburzeniu, twierdził, że są to drzwi zielone, nie żółte.

— Stańcie przed domem z zielonymi drzwiami! — mówił jegomość.

— Ach, ty przewrotna istoto! — wołała jedna z groźnych pań. — Jedźcie pod dom z żółtymi drzwiami!

Na to stangret, który tak raptownie zatrzymał konia przed domem z zielonymi drzwiami, że zachodziła obawa, iż rumak uderzy zadem o dorożkę, na nowo puścił go truchtem, po czym odwrócił się.

— Gdzie więc mam w końcu stanąć? — niecierpliwił się. — Umówcie się państwo jakoś między sobą! Pytam się po prostu: gdzie mam stanąć?!

Tu spór na nowo wybuchnął z jeszcze większą siłą niż poprzednio. A ponieważ jednocześnie mucha ucięła konia w nos, stangret pod pozorem odpędzenia jej ulżył sobie, śmigając konia batem przez łeb.

— O, tyle zachodu — powiedziała jedna z groźnych pań. — Tamte żółte drzwi!

Ale kiedy dorożka zajechała z fantazją przed dom z żółtymi drzwiami, czyniąc więcej hałasu (jak z dumą stwierdziła jedna z dam) od prywatnej karety i kiedy już stangret zsiadł z koźła, by pomóc zsiąść paniom — mała okrągła główka imię pana Tomasza Bardella pokazała się w oknie domu z czerwoną bramą — o parę budynków od miejsca, przed którym stanęli.

— Głupia historia! — powiedziała wyżej wymieniona dama rzucając zjadliwe spojrzenie na gentlemana.

— To nie moja wina, moja droga! — odrzekł.

— Nie mów do mnie, głuptasie, nie odzywaj się do mnie! — odpowiedziała dama. — Dom z czerwonymi drzwiami, stangrecie! Och! Jeżeli kiedy istniała kobieta hańbiona i obrażana przez złośliwego nicponia, któremu sprawia specjalną przyjemność torturowanie własnej żony — ja jestem tą kobietą!

— Powinieneś się pan wstydzić, panie Raddle! — powiedziała druga dama, znajoma nasza, pani Cluppins.

— Co ja zrobiłem? — dziwił się Raddle.

— Nie mów do mnie, nie odzywaj się do mnie, brutalu, bo jeszcze gotowa zapomnieć, że jestem kobietą, i uderzę cię! — powiedziała pani Raddle.

Podczas tego dialogu woźnica zaprowadził konia za uzdę pod dom z czerwonymi drzwiami, które właśnie otwierał młody pan Bardell. Oto delikatny i wytworny sposób zajeżdżania przed dom przyjaciółki! Żadnego zajeżdżania z turkotem i hałasem!

Żadnego wyskakiwania z dorożki! Żadnego pukania do drzwi! Żadnego odpinania fartucha w ostatniej chwili z obawy, by się suknie damskie nie zabrudziły! Wreszcie ten woźnica, który podał paniom szale — zupełnie jakby ich prywatny stangret!

— No, Tommy — spytała pani Cluppins. — Jakże się miewa twoja kochana mateczka?

— O, bardzo dobrze! — odpowiedział młody pan Bardell. — Jest w saloniku. Gotowa. Ja także jestem gotów! — powiedział pan Tommy i wsadziwszy rękę w kieszenie, skoczył na najwyższy stopień schodów.

— Czy będzie ktoś jeszcze? — spytała pani Cluppins, poprawiając pelerynę.

— Będzie pani Sanders! — odpowiedział Tommy. — No i ja!

— Cóż to za chłopak! — zawołała mała pani Cluppins. — Myśli tylko o sobie! Słuchaj, Tommy!

— No? — spytał pan Tomasz.

— Kto będzie jeszcze, kochasiu? — spytała pani Cluppins mimochodem.

— Będzie pani Rogers! — powiedział młody pan Bardell, przy czym szeroko otworzył oczy.

— Co?! Dama, która wynajęła mieszkanie?! — zawołała pani Cluppins.

Pan Bardell głębiej wsadził rękę w kieszenie i kiwnął głową dokładnie trzydzieści pięć razy, by potwierdzić, że ta właśnie dama, a nie kto inny.

— O Boże! — zawołała pani Cluppins. — Ależ to całe przyjęcie!

— Gdyby pani wiedziała, co jest w kredensie! — powiedział młody Bardell.

— Cóż tam jest, Tommy? — pieszczotliwie spytała pani Cluppins. — Powiedz mi, Tommy, wiem, że mi powiesz!

— Nie, nie powiem! — powiedział Tommy, potrząsając głową i znów uciekając na najwyższy stopień schodów.

— Nieznośny bęben! — zawołała pani Cluppins. — Byle tylko człowieka sprowokować! Chodź, Tommy, powiedz swojej kochanej Cluppy!

— Mama nie kazała — odrzekł pan Tomasz. — Ja też mam dostać kawałek! — Uradowany tą obietnicą chłopak zaczął kręcić młynka z dziecinnym przejęciem.

Przypatrywanie się tym igraszkom dziecięcym wypełniło czas, który państwu Raddle zeszedł na układach z woźnicą w sprawie zapłaty, zakończonych zwycięstwem jego żądań. Nadbiegła pani Raddle.

— Co się stało, Mary Annie? — spytała pani Cluppins.

— Ach, zawsze jakieś kłopoty! — odpowiedziała pani Raddle.

— Raddle to nie mężczyzna! Wszystko spada zawsze na moją głowę.

Nie było to sprawiedliwe w stosunku do biednego Raddle'a, którego ta poczciwa dama już na początku dyskusji odsunęła od wszelkich wpływów, surowo nakazawszy: — Trzymaj język za zębami. — Nie miał jednak możliwości wystąpić w swojej obronie, gdyż pani Raddle zaczęła zdradzać nieomylnie oznaki natychmiastowego zemdlenia. Dojrzały to przez okno pani Sanders, pani Bardell, lokatorka oraz służąca lokatorki, wybiegły więc natychmiast i wprowadziły ją do mieszkania. Mówiły wszystkie jednocześnie i darzyły ją oznakami największej życzliwości i współczucia, jak gdyby była najnieszczęśliwszą istotą między śmiertelnikami. Zaprowadzono panią Raddle do bawialni i ułożono na sofie. Dama z pierwszego piętra pobiegła na pierwsze piętro i wróciła z flaszczką soli

trzeźwiających, po czym objąwszy panią Raddle za szyję, przytknęła jej flaszkę do nosa, aż biedna ofiara złości męskiej prychając i krztusząc się, oznajmiła, że jest jej lepiej.

— Biedactwo! — zawołała pani Rogers. — Wiem, co czuje!

— Biedactwo — powtórzyła pani Sanders. — Ja także! — Po czym wszystkie damy westchnęły unisono, stwierdziły unisono, że wiedzą coś o tym i że współczują pani Raddle z głębi serca. Nawet służąca lokatorki, mająca trzynaście lat i trzy stopy wzrostu, mruzczała coś życzliwie.

— Ale co się stało? — pytała pani Bardell.

— Co tak panią zdekonfituowało? — pytała pani Rogers.

— Ublizono mi... — cicho szepnęła pani Raddle, damy zaś spojrzały z wyrzutem na pana Raddle'a.

— Ależ faktycznie... — zaczął nieszczęśliwy jegomość, wysuwając się naprzód. — Kiedyśmy podjechali pod te drzwi, wynikła dyskusja z woźnicą... — głośny jednak krzyk, który wyrwał się jego małżonce przy dźwięku tych słów, uniemożliwił dalsze wyjaśnienia.

— Lepiej zostaw ją samą, Raddle! — powiedziała pani Clupins. — Nie przyjdzie do siebie, póki ty tu będziesz!

Wszystkie damy zgodziły się z tą opinią. Pana Raddle'a wypchnięto więc z pokoju i poradzono mu, by poszedł przejść się po dziedzińcu. Po kwadransie pani Bardell oznajmiła mu, że może wejść, ale musi być bardzo ostrożny w postępowaniu z małżonką. Wie, że pan Raddle nie chce jej dokuczać, ale Mary Annie daleka jest od tego, by można ją nazwać silną, jeżeli więc nie będzie się miał na baczości, to może ją stracić, sam nie wiedząc kiedy, co w przyszłości może być dlań źródłem przykrych refleksji, itd., itd. Wszystkiego tego pan Raddle wysłuchał bardzo pokornie i wrócił do pokoju cichy jak trusia.

— Przecież państwo jeszcze się nie znają! — zawołała pani Bardell. — Coś podobnego! Pan Raddle, pani Rogers. Pani Cluppins, pani Raddle!

— Siostra pani Cluppins — dodała pani Sanders.

— Co? Naprawdę? — wołała pani Rogers uprzejmie. Lokatorka miała służącą, w jej pozycji towarzyskiej wypadało więc być raczej uprzejmą niż serdeczną. — Och, czy być może?!

Pani Raddle uśmiechnęła się słodko. Pan Raddle skłonił się, a pani Cluppins oznajmiła, że bardzo jej miło poznać damę, o której słyszała tyle pochlebnych rzeczy... Komplement ten pani Rogers przyjęła bardzo pobłaźliwie.

— No, panie Raddle — powiedziała pani Bardell. — Musi być pan strasznie dumny, że na pana i na Tommy'ego spada zaszczyt prowadzenia tylu dam aż do Hampstead. Jak pani uważa, pani Rogers?

— Och, naturalnie! — zawołała pani Rogers, po czym wszystkie damy powtórzyły jednogłośnie: — Och, naturalnie!

— Naturalnie! — odpowiedział pan Raddle, zacierając ręce i zdradzając nikłą chęć rozpozgodzenia się. — Słowo daję, powiedziałem, jakeśmy jechali dorożką...

Na dźwięk tego wyrazu, przypominającego tyle przykrych przejść, pani Raddle przyłożyła chusteczkę do oczu i wydała stłumiony jęk. Pani Bardell spojrzała więc surowo na pana Raddle, aby dać mu do poznania, że lepiej niech już milczy, po czym z odpowiednią miną kazała służącej pani Rogers podać wina!

Był to moment okazania skarbów zawartych w kredensie: talerzy z pomarańczami i ciastkami oraz butelki starego, zwietrzałego porto (szyling i dziesięć pensów), które wraz z butelką słynnego indyjskiego sherry (czternaście pensów) zostało zakupione dla

uczczenia lokatorki i wyjęte z odpowiednim gestem, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich obecnych. Pani Cluppins przeżyła chwile przykrej konsternacji, gdy mały Tommy wyjechał z opowiadaniem, jak to go indagowała, „co zawiera kredens”, lecz zostało to szczęśliwie przerwane za pomocą wręczenia smarkaczowi pół szklaneczki starego porto, które wychylił natychmiast, ryzykując w ten sposób swoje życie. Po czym wszyscy udali się na poszukiwanie Hampstead. Odnaleziono je z łatwością i już w parę godzin później całe towarzystwo siedziało w hiszpańskiej herbaciarni. Nieszczęśliwy pan Raddle znów o mały włos nie doprowadził swojej żony do zemdlenia: ni mniej, ni więcej, tylko zamówił siedem porcji herbaty, a cóż łatwiejszego (zgodnie stwierdziły wszystkie damy) jak to, by Tommy pił z filiżanki jednej z pań — albo nawet ze wszystkich — kiedy się garson odwróci?! Oszczędzono by jedną herbatę!

Nie było jednak na to rady i wniesiono tacę z siedmioma filiżankami herbaty, siedmioma talerzykami i tyluż porcjami chleba z masłem. Panią Bardell jednogłośnie obrano przewodniczącą, pani Rogers usiadła po jej prawicy, pani Raddle po lewicy i zabrano się do jedzenia z wielkim zadowoleniem.

— Jak piękna jest wieś — zawołała pani Rogers. — Całe życie chciałabym mieszkać na wsi!

— Och, to nie dla pani! — zawołała pani Bardell szybko, przerażona możliwością utraty lokatorki. — To nie dla pani!

— Och, mam wrażenie, że pani jest za ruchliwa i za bardzo towarzyska, by móc lubić wieś!

— dodała mała pani Cluppins.

— Może... może... — przyznała lokatorka z pierwszego piętra.

— Dla ludzi samotnych... o których nikt się nie troszczy... o których nikt nie dba... których życie ciężko doświadczyło... — powiedział pan Raddle, ożywiając się nieco — wieś nadaje się doskonale. Wieś jest dla ludzi o zranionych duszach...

Otóż, ze wszystkich rzeczy na świecie, jakie mogły przyjść na myśl nieszczęśnikowi, ta była najgorsza! Oczywiście pani Bardell wybuchnęła płaczem i musiano ją natychmiast odprowadzić na bok. Wrażliwy synek zaczął, naturalnie, ryczeć za jej przykładem.

— Czy uwierzyłby kto, moja pani! — zawołała dumnie pani Raddle, zwracając się do lokatorki z pierwszego piętra — że kobieta może być żoną takiego bezdusznego stworzenia, które od rana do nocy obraża tylko uczucia niewieście?!

— Moja droga — powiedział pan Raddle. — Moja droga, ja naprawdę... nie miałem zamiaru...

— Nie miałeś zamiaru! — powiedziała pani Raddle pogardliwie. — Wynoś się! Nie mogę patrzeć spokojnie na takiego brutala!

— Nie powinnaś się irytować, Mary Annie — powiedziała pani Cluppins. — Powinnaś koniecznie więcej dbać o siebie, czego nigdy nie robisz! Idź, idź sobie, Raddle, bo ją zmartwisz jeszcze więcej!

— Radzę panu wypić samemu herbatę! — powiedziała pani Rogers, znów stosując flaszkę z solami.

Pani Sanders, która według swego zwyczaju była bardzo zajęta chlebem z masłem, wypowiedziała tę samą radę i pan Raddle wycofał się posłusznie.

Potem biesiadnicy mieli nieco trudu z wywindowaniem młodego pana Bardella, który był trochę za duży na tę operację, na ręce matki — przy czym noga młodzieńca trafiła do filiżanki, co spowodowało małe zamieszanie między filiżankami i talerzykami. Ale przypadki omdlenia, jeżeli zdarzają się w wyłącznie damskim towarzystwie, nie trwają

długo; a więc wyściskawszy nieco i skrzyczawszy synka, pani Bardell przyszła do siebie, posadziła go na krześle, wyraziła zdumienie, że mogła być tak głupia, i wypła łyk herbaty.

Nagle usłyszano turkot powozu. Damy podniosły głowy i ujrzały dorożkę podjeżdżającą pod bramę ogrodową.

— Jeszcze ktoś przyjechał! — zawołała pani Sanders.

— Jakiś gentleman — dodała pani Cluppins.

— Ależ to... — wykrzyknęła pani Bardell — to pan Jackson, młody dependent od panów Dodsona i Fogga. Czyżby pan Pickwick wypłacił odszkodowanie?

— A może chce się żenić? — napomknęła pani Cluppins.

— Jakże ten gentleman długo nie przychodzi! — zawołała pani Sanders. — Czemu się nie pośpieszy?

Tymczasem pan Jackson odwrócił się od dorożki, gdzie zamienił parę słów z jakimś źle ubranym mężczyzną w czarnych spodniach, który razem z nim wysiadł z powozu i trzymał długi kij bukowy w ręku — i podszedł, poprawiając sobie włosy, do miejsca, gdzie siedziały damy.

— Co nowego, panie Jackson? — zapytała pani Bardell z widocznym wzruszeniem. — Czy się coś stało?

— Nic, pani, nic — odrzekł pan Jackson. — Jak się panie miewają? Przepraszam, że przeszkadzam, ale prawo, moje panie, prawo...

To mówiąc pan Jackson uśmiechnął się, oddał ukłon całemu towarzystwu i powtórnie poprawił włosy. Pani Rogers szepnęła do pani Raddle, że jest to rzeczywiście bardzo miły młodzieniec.

— Byłem na ulicy Goswell — mówił dalej pan Jackson — ale dowiedziawszy się, że panie tu znaję, wziąłem powóz i przyjechałem. Moi pryncypałowic potrzebują pani natychmiast, pani Bardell.

— O, mój Boże! — zawołała pani Bardell, przestraszona tą niespodziewaną wiadomością.

— Tak jest — odrzekł pan Jackson, przygryzając usta. — Sprawa bardzo ważna i bardzo nagła, której niepodobna odkładać.

Dodson wyraźnie mi to powiedział, Fogg także. Dlatego zatrzymałem powóz, by odwieźć panią do Londynu.

— To dziwne! — zawołała pani Bardell.

Wszystkie damy zgodziły się, iż było to bardzo dziwne, ale jednocześnie uznały także, iż musi to być sprawa bardzo ważna, bo przecież panowie Dodson i Fogg nie przysyłałiby inaczej do Hampstead. W końcu dodały, że wobec ważności sprawy pani Bardell zrobi najlepiej, gdy pojedzie natychmiast do swych adwokatów.

Pani Bardell bynajmniej nie było nieprzyjemnie, że jej przyjaciele po prawie wzywali ją z takim pośpiechem. Sądziła, iż to w ogóle, a w szczególności w oczach lokatorki z pierwszego piętra, znacznie ją podniesie, co pochlebiało jej próżności. Z początku niby wzdragała się trochę, ale potem oświadczyła, iż pojedzie, w końcu zaś dodała zapraszającym tonem:

— Panie Jackson, może się pan pokrzepi czymś po przejażdżce?

— Doprawdy, pani, nie mamy czasu do stracenia — odparł pan Jackson — a przy tym mam tam znajomego — dodał, wskazując na mężczyznę z bukową laską.

— Poproś pan swego znajomego, by także tu przyszedł — rzekła pani Bardell. — Zawołaj go pan tutaj!

— Nie... dziękuję pani! — odrzekł pan Jackson, nieco zakłopotany. — On nie jest przyzwyczajony do towarzystwa dam; zawsze w nim głupieje. Jeżeli pani będzie tak dobra i każe garsonowi zanieść mu coś do picia... nie jestem pewny, czy przyjmie, ale spróbować można.

Podczas tego palce pana Jacksona igrały koło jego własnego nosa, by dać tym do zrozumienia słuchaczom, iż mówi ironicznie.

Bezwłocznie wyprawiono garsona do głupawego gentlemana, który się zgodził coś wypić. Pan Jackson także coś wypił, a damy, przez prostą grzeczność wobec gościa, również coś wypily. Następnie pan Jackson oświadczył, iż czas jechać, wobec czego pani Sanders, pani Cluppins i mały Bardell wsiedli do powozu, gdyż w myśl porozumienia mieli towarzyszyć pani Bardell, reszta zaś towarzystwa została pod opieką pani Raddle.

— Izaak — rzekł pan Jackson, gdy pani Bardell zabierała się do wsiadania, i spojrzał na swego znajomego, który siedział na koźle i palił cygaro.

— Co, panie?

— To jest pani Bardell.

— O! Dawno już o tym wiedziałem!

Gdy pani Bardell usadowiła się w powozie, pan Jackson umieścił się przy niej i konie ruszyły. Po drodze pani Bardell przez cały czas podziwiała domyślność znajomego pana Jacksona.

„Jacy ci prawnicy są sprytni — myślała — jak od razu poznają ludzi!”

Po jakimś czasie, gdy panie Sanders i Cluppins usnęły, Jackson powiedział do wdowy: — Wie pani, że koszty procesu to przykra rzecz; mam na myśli koszty procesu pani.

— Przykro mi, że nie możecie ich panowie otrzymać — odpowiedziała pani Bardell. — Ale cóż! Jeżeli pańscy pryncypałowie robią takie rzeczy przez spekulację, to muszą się czasem narazić także na straty.

— O ile jednak wiem, po procesie dała pani panom Dodson i Fogg rewers na wysokość kosztów — rzekł Jackson.

— Prosta formalność — odparła pani Bardell.

— Tak — rzekł sucho pan Jackson — prosta formalność, prosta formalność.

Powóz toczył się dalej; pani Bardell zdrzemnęła się również i przebudziło ją dopiero zatrzymanie się powozu.

— Jak to?! — zawołała. — Czy jesteśmy już w Freeman's Court?

— Właściwie nie tam jedziemy — odrzekł pan Jackson. — Zechce pani wysiąść.

Pani Bardell zrobiła to, gdyż jeszcze niezupełnie się ocknęła. Znalazła się w dziwnym miejscu: przed nią był mur, w murze brama, a wewnątrz gazowe światło.

— No, szanowne panie! — zawołał mężczyzna z bukową laską, zaglądając do powozu i trącając panią Sanders — wysiadajcie! Pani Sanders obudziła swą przyjaciółkę i wszyscy wysiedli; pani Bardell, wsparta na ramieniu pana Jacksona, weszła do bramy prowadząc swego małego synka za rękę.

Pokój, do którego następnie udały się damy, był jeszcze dziwniejszy aniżeli wejście do budynku. Było tam mnóstwo ludzi, którzy ciekawie przyglądali się damom.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała pani Bardell, zatrzymując się.

— To jeden z naszych zakładów publicznych — odrzekł pan Jackson, szybko przeprowadzając ją przez drzwi. Potem, odwróciwszy się, by zobaczyć, czy inne damy idą za nimi, zawołał: — Izaak! Uważaj!

— Bądź pan spokojny — odrzekł mężczyzna z bukową laską.

Drzwi szybko zamknęły się, po czym wszyscy zeszli o parę schodów w dół.

— Nareszcie jesteśmy! — zawołał pan Jackson, triumfalnie spoglądając dokoła. — Przybyliśmy zdrowo i cało, co, pani Bardell?

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytała dama, której serce mocniej zabiło, nie wiadomo dlaczego.

— Nic szczególnego! — odrzekł pan Jackson, odprowadzając ją nieco na stronę. — Tylko niech się pani nie przeraża. Nie ma człowieka delikatniejszego nad Dodsona i bardziej ludzkiego niż Fogg. Ale było ich obowiązkiem, pani, zabezpieczyć sobie zwrot kosztów i nałożyć egzekucję. Zrobili jednak wszystko, co mogli, by oszczędzić wrażliwość pani. Jak pocieszającą będzie dla pani myśl, że wszystko poszło tak gładko! Jest pani przy Fleet Street w więzieniu za długi. Życzę pani dobrej nocy.

To powiedziawszy pan Jackson szybko oddalił się wraz z mężczyzną z bukową laską. Wtenczas inny mężczyzna, z kluczem w ręce, dotychczas przypatrujący się wszystkiemu, poprowadził oszołomione damy innymi małymi schodami, prowadzącymi do jakiejś bramy. Pani Bardell głośno krzyczała, Tommy wył, pani Cluppins zaczęła drzeć, a pani Sanders uciekła bez ceremonii, gdy ujrzała pana Pickwicka właśnie używającego wieczornej przechadzki; tuż obok niego stał Sam Weller, który spostrzegłszy panią Bardell, zdjął kapelusz z drwiącą grzecznością, gdy natomiast jego pan odwrócił się z oburzeniem i wyszedł.

— Daj pan pokój tej biednej kobiecie — rzekł strażnik do Sama — dopiero co przybyła.

— Uwięziona? — zawołał Sam, szybko nakładając kapelusz. Na czyje żądanie? Za co? Mów, stary?

— Na żądanie Dodsona i Fogg. Egzekucja za koszty procesu.

— Hiobie! Hiobie! Chodź tu! — krzyknął Sam, rzucając się w korytarz. — Biegnij po pana Perkera, Hiobie! Powiedz mu, że potrzebny jest tu natychmiast. A to gratka! Z tego może wyniknąć coś dobrego! Hura! Gdzie pryncypał?

Ale nikt nie odpowiedział na to pytanie, gdyż Hiob dowiedziawszy się, o co chodzi, popędził wnet jak szalony, a pani Bardell tym razem zemdląła naprawdę.

Rozdział czterdziesty siódmy

głównie poświęcony doczesnym sprawom pp. Dodsona i Fogga — Ukazanie się pana Winkle'a w nadzwyczajnych okolicznościach — Dobroć pana Pickwicka okazuje się większą aniżeli jego upór

Hiob Trotter pędził ulicami, torując sobie drogę to środkiem, to na chodnikach, to w rynsztokach, pomiędzy mnóstwem koni, powozów i ludzi. Nie zważając na przeszkody biegł, nie zatrzymując się ani na chwilę, dopóki nie stanął przed bramą Gray's Inn. Ale pomimo całego jego pośpiechu biuro pana Perkera było już zamknięte od pół godziny, gdy Hiob zatrzymał się przed nim. Zanim odszukał kobietę posługującą w biurze, która mieszkała przy córce, zamężnej za woźnym sądowym mieszkającym pod pewnym numerem, na jakiejś ulicy, tuż poza jakimś browarem, gdzieś poza Gray's Inn Lane, już tylko piętnaście minut pozostało do zamknięcia bramy więzienia. Następnie trzeba było jeszcze odszukać pana Lowtena w tylnym pokoju oberży „Pod Sroką”, tak iż zaledwie Hiob załatwił sprawę i opowiedział, z czym przysłał go Sam Weller, zegar począł wybijać dziesiątą.

— Ach! — zawołał pan Lowten. — Nie będziesz mógł wrócić dziś do więzienia. A może masz klucz, mój kochany?

— Niech się pan o mnie nie troszczy — odrzekł Hiob — prześpię się gdziekolwiek, ale czy nie byłoby dobrze zobaczyć pana Perkera dziś jeszcze, by zaraz jutro rano mógł zjawić się na miejscu?

— Widzisz, mój kochany — rzekł Lowten, pomyślawszy chwilę — gdyby to chodziło o kogo innego, to pan Perker wcale nie byłby rad, że go tak późno niepokoją, ale ponieważ chodzi tu o pana Pickwicka, sądzę, że mogę wziąć dorożkę na koszt biura i pojechać do niego.

Po tej decyzji Lowten wziął kapelusz, poprosił o wybranie innego prezydenta na czas jego chwilowej nieobecności, podszedł do najbliższego postoju dorożek, wybrał powóz i kazał woźnicy jechać na plac Montague, Russel Square.

Pan Perker wydawał w tym dniu obiad, o czym świadczyło światło za oknami bawialni, tony nowego, wielkiego fortepianu oraz oszołamiające zapachy potraw przenikające schody i sień. Ponieważ równocześnie przybyli przypadkowo ze wsi do miasta bardzo cenieni klienci, na ich więc powitanie zebrało się miłe towarzystwo, na które złożyli się: pan Snicks, sekretarz zakładu ubezpieczeń na życie, pan Prosee, doskonały doradca prawny, trzech adwokaci, jeden komisarz sądowy, pewien adwokat do spraw specjalnych z Temple, pewien młody gentleman o małych oczach i jego uczeń, który napisał bystrą książkę w sprawie ustawy o legatach, upstrzoną niesłychaną ilością odnośników i cytat, oraz wiele wybitnych, a nawet wprost znakomitych osób. Od tego towarzystwa oderwał się pan Perker, gdy szepnięto mu, że przyszedł jego dependent. Udał się więc do jadalni, gdzie ujrzał pana Lowtena i Hioba Trottera w ponurym półmroku rozsiewanym przez lampę kuchenną postawioną na stole, z należną wzdargą dla dependentów i wszelkich związanych z nimi spraw, przez gentlamana, który poniżył się do tego, że za kwartalne wynagrodzenie pojawiał się w krótkich spodniach aksamitnych i wełnianych pończochach.

— Cóż tam nowego? — zapytał, wchodząc. — Czy nadeszły jakie ważne listy?
— Nie, panie — odparł Lowten — ale jest posłaniec od pana Pickwicka.
— Od Pickwicka? — zawołał mały człowieczek, żywo zwracając się ku Hiobowi. — Cóż to się stało?

— Dodson i Fogg uwięzili panią Bardell za koszty procesu — rzekł Hiob.

— Niemożliwe! — zawołał pan Perker, wkładając ręce do kieszeni i opierając się o kredens.

— Tak jest rzeczywiście — odrzekł Hiob. — Zdaje się, iż wydała im rewers na wysokość kosztów zaraz po ukończeniu sprawy.

— Na Jowisza! — zawołał pan Perker, wyjmując obie ręce i uderzając pięścią jednej z nich w dłoń drugiej. — Na Jowisza! To są najzręczniejsi spryciarze, jakich kiedykolwiek widziałem!

— I najpodlejsze łotry, jakich udało mi się w życiu spotkać — dodał Lowten.

— No tak — dorzucił pan Perker. — Ale niepodobna ich na czymś złapać!

— To prawda, sir, niepodobna ich złapać. — Tu uczeń i mistrz zamilkli na parę minut, jakby zastanawiali się nad najwspanialszym i najgenialniejszym wynalazkiem, jaki wymyślić może rozum ludzki. Gdy przyszli do siebie po tym niemym zachwycie, Hiob Trotter opowiedział resztę tego, co mu polecono. Pan Perker w zamyśleniu kiwał głową. W końcu spoglądając na zegar powiedział:

— Jutro, punkt o dziesiątej, będę tam. Sam ma zupełną słuszość, powiedz mu to ode mnie. Pozwoli pan szklankę wina, Lowten?

— Dziękuję panu.

— To znaczy „tak”, jak wnoszę — odrzekł mały adwokat, biorąc z kredensu butelkę i dwie szklanki.

Ponieważ Lowten rzeczywiście myślał „tak”, nie powiedział nic więcej na ten temat, lecz zwracając się do Hioba zapytał go cichym głosem, tak jednak, by adwokat słyszał, czy widzi, jak zdumiewająco podobny jest portret pana Perkera zawieszony nad kominkiem. Hiob, oczywiście, potwierdził. Gdy nalano wino, Lowten wypił za zdrowie pani Perker i jej dzieci, a Hiob za zdrowie pana Perkera. Ponieważ lokaj w krótkich aksamitnych spodniach i wełnianych pończochach nie uważał za swój obowiązek wyprowadzić gości i dlatego uparcie nie reagował na wzywające go dzwonki, obaj gentlemani musieli wyjść sami. Adwokat powrócił do salonu, Lowten „Pod Srokę”, a Hiob poszedł na targowisko Covent Garden i przepędził noc w koszu na warzywa.

Nazajutrz o umówionej godzinie wesoły mały adwokat zapukał do drzwi pana Pickwicka. Sam otworzył mu je z pośpiechem.

— Pan Perker! — zawołał, zwróciwszy się do filozofa, który zadumany siedział przy oknie, potem zaś dodał: — Jak to dobrze, żeś pan wstąpił do nas przypadkiem. Zdaje mi się, iż pryncypał ma z panem do pomówienia.

Pan Perker rzucił Samowi porozumiewawcze spojrzenie, by mu dać do zrozumienia, iż nic nie powie, że posyłano po niego. Potem skinął na Sama i szepnął mu parę słów do ucha.

— Doprawdy? Czy być może?! — zawołał Sam, cofając się ze zdumieniem.

Pan Perker uśmiechnął się i kiwnął głową. Sam spojrzął na małego adwokata, potem na pana Pickwicka, potem na sufit, potem znów na pana Perkera, uśmiechnął się, potem wybuchnął śmiechem, chwycił za kapelusz i znikł bez dalszych wyjaśnień.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał pan Pickwick, ze zdumieniem spoglądając na pana Perkera. — Co się stało Samowi?

— O, nic, nic — odrzekł mały adwokat — ale przysuń no pan, kochany panie, swoje krzesło do stołu, mam z panem wiele do pomówienia.

— Co to za papiery? — zapytał znów pan Pickwick widząc, że pan Perker położył na stole cały pęk akt związanych czerwonym sznurkiem.

— To są papiery procesu Bardell *contra* Pickwick — odpowiedział mały pełnomocnik rozwiązując sznurek zębami.

Filozof odsunął nogą krzesło, rzucił się na nie, założył ręce i gniewnie spojrział na pana Perkera, jeśli pan Pickwick w ogóle potrafił spojrzeć gniewnie.

— Pan nie lubi słuchać o tej sprawie? — rzekł pan Perker, wciąż zajęty rozwiązywaniem węzła.

— Rzeczywiście, nie! — odparł pan Pickwick.

— Przykro mi — ciągnął pan Perker — bo właśnie ona będzie przedmiotem naszej rozmowy.

— Panie Perker! — zawołał pan Pickwick żywo — o tej sprawie nigdy nie może być między nami mowy.

— Ba, ba! kochany panie — odrzekł pełnomocnik, mocując się z węzłem i bokiem spoglądając na swego klienta — my musimy o niej pomówić. Dlatego tylko tu przyszedłem. Czy pan gotów jest wysłuchać, co powiem, kochany panie? Niech się pan nie śpieszy: jeżeli nie jest pan usposobiony do tego, to poczekam. Przyniosłem z sobą ranne gazety i będę na rozkazy, kiedy się panu spodoba. Niech i tak będzie.

Mówiąc to mały pełnomocnik założył nogę na nogę i udawał, że czyta „Timesa” z wielkim spokojem i uwagą.

— Zresztą — rzekł pan Pickwick z westchnieniem, które skończyło się jednak uśmiechem — mów pan, co ma pan do powiedzenia. Z pewnością znów ta sama historia?

— Z tą różnicą, kochany panie — odrzekł pan Perker, składając gazetę i wsuwając ją do kieszeni — że pani Bardell, oskarżycielka, znajduje się obecnie w tych murach, mój panie.

— Wiem o tym — odparł pan Pickwick.

— Bardzo dobrze. Sądzę, że wie pan także, jak się tu dostała, to znaczy, za co i na czyje żądanie?

— Wiem... to jest słyshałem od Sama — odrzekł pan Pickwick z udaną obojętnością.

— Sądzę, że Sam opowiedział całą rzecz dokładnie, przynajmniej tak bym śmiało przypuszczać. Otóż teraz, kochany panie, zadam panu naprzód takie pytanie: czy ta kobieta ma tu pozostać?

— Tu pozostać? — powtórzył pan Pickwick.

— Tu pozostać, kochany panie — odrzekł pan Perker, wychylając się na krzesło i ostro wpatrując się w swego klienta.

— Czemu pan mnie o to pyta? Przecież zależy to od Dodsona i Fogga. Wie pan o tym dobrze.

— Wcale o tym nie wiem — odparł stanowczo pan Perker. — To nie zależy bynajmniej od Dodsona i Fogga. Zna pan tych ludzi, drogi panie, równie dobrze jak ja. To zależy wyłącznie od pana.

— Ode mnie? — zawołał pan Pickwick i zerwał się z krzesła, po czym natychmiast usiadł z powrotem.

Mały pełnomocnik dwukrotnie stuknął w dno tabakierki, otworzył ją, zażył wielką szczyptę tabaki, zamknął tabakierkę i powoli powtórzył: — Od pana.

— Powiadam panu — mówił dalej z przekonaniem zaczerpniętym jakby z tabakierki — powiadam panu, kochany panie, że natychmiastowe uwolnienie pani Bardell lub

dożywotnie jej uwięzienie zależy od pana tylko, od pana jednego. Niech mnie pan wysłucha do końca, kochany panie, i niech się pan tak nie unosi, gdyż to nie doprowadzi do niczego, a zaszkodzi pańskiemu zdrowiu. Powiadam tedy — mówił dalej mały adwokat, wyszczególniając każde zdanie na osobnym palcu — powiadam tedy, że tylko pan może ją wydobyć z tej otchłani nędzy, a nie może pan uczynić tego inaczej, jak płacąc koszty procesu tym łajdakom z Freeman's Court. No, niech mi pan łaskawie pozwoli spokojnie wygadać się.

Podczas tego przemówienia twarz pana Pickwicka przechodziła najprzeróżniejsze przemiany, w końcu zaś filozof chciał zapewne wybuchnąć straszliwym oburzeniem, powstrzymał jednak ten wybuch, jak mógł, a pan Perker, wzmocniwszy swą argumentację nową szczyptą tabaki, mówił, jak następuje:

— Widziałem dziś rano tę kobietę. Opłaciwszy koszty procesu, może pan w zupełności uwolnić się od płacenia odszkodowania, a prócz tego (co pewno w oczach pana będzie motywem nierównie ważniejszym) otrzyma pan dobrowolne zeznanie, napisane własnoręcznie przez panią Bardell w formie listu do mnie, że ci ludzie, Dodson i Fogg, ponoszą winę za proces. Oni to naprowadzili panią Bardell na pomysł procesu, ukazując jej niezwykle nęcące perspektywy. Dalej zaś otrzyma pan oświadczenie, że pani Bardell mocno ubolewa nad tym, iż służyła za narzędzie dokuczenia panu, i że prosi mię, bym się wstawił do pana i wyjednał jej przebaczenie.

— Jeżeli zapłacę za nią koszty! — zawołał pan Pickwick z oburzeniem. — A to mi piękny warunek!

— Tu nie ma żadnego „jeżeli”, kochany panie — odrzekł z triumfem pan Perker. — Oto jest list, o którym mówiłem. Przyniosła mi go dziś rano o dziewiątej do biura jakaś dama, nim jeszcze przybyłem do więzienia i mogłem się zobaczyć z panią Bardell; ręczę panu honorem! Mały adwokat wyszukał między papierami rzeczony list, położył go przed panem Pickwickiem i przez następne dwie minuty napychał sobie nos tabaką.

— Czy to już wszystko, co mi pan miał do powiedzenia? — zapytał łagodnie pan Pickwick.

— Nie, jeszcze nie wszystko — odparł pan Perker. — Nie mogę jeszcze w tej chwili powiedzieć, czy wydanie rewersu na koszty, charakter pozornej umowy i dowód, jaki daje całe zachowanie się w czasie procesu, byłyby wystarczające, by wnieść skargę o znowę w celach oszukańczych. Obawiam się, że nie, gdyż Dodson i Fogg są zanadto chytry. Ale w każdym razie wszystkie te fakty razem wzięte uwolnią pana od wszelkich zarzutów w oczach ludzi rozsądnych. A teraz, kochany panie, pozostawiam to w zupełności do pańskiej decyzji: te okrągło biorąc sto pięćdziesiąt funtów szterlingów są dla pana niczym. Ława wypowiedziała się przeciwko panu; jej orzeczenie było niesłuszne, lecz przysięgli rozstrzygnęli tak, jak uważali za słuszne, i wyrok wypadł na pańską niekorzyść. Otóż nadarza się sposobność ukazania się w świetle nierównie korzystniejszym, aniżeli gdy pan będzie trwał przy pozostaniu w więzieniu. Bo, wierz mi pan, w oczach ludzi, którzy pana nie znają, stałość jego wydaje się tylko niewłaściwym i występny uporem. Czy może pan wahać się i nie korzystać ze sposobności, która przywróci panu wolność, zdrowie, przyjaciół, powróci pana jego zajęciom i zabawom, wyzwoli jego wiernego sługę z więzienia równającego się dożywotniemu, a przede wszystkim, która pozwoli panu zemścić się wspaniałomyślnie? Wiem, że będzie to w zupełności odpowiadało pańskiemu sercu, gdy pozwoli pan tej kobiecie wyjść z jaskini nędzy i rozpusty, w której, moim zdaniem, nigdy by nie należało zamykać żadnego mężczyzny, a tym bardziej kobiety, jeżeli nie chce się popełniać barbarzyństwa. Otóż pytam pana, nie jako jego doradca

prawnym, ale jako szczerzy przyjaciel, czy pozwoli pan wymknąć się sposobności do zrobienia tego dobrego, dla tego tylko nędznego względu, że sto pięćdziesiąt funtów szterlingów przejdzie do kieszeni dwóch łotrów, których to nie uczyni przecież szczęśliwymi? Owszem, im więcej zarobią w ten sposób, tym więcej będą chcieli zarabiać i wskutek tego wplączą się z czasem w jakieś lajdactwo i zginą. Przedstawiłem panu te moje uwagi bardzo słabo, bardzo niedokładnie, ale proszę pana, niech kochany pan zastanowi się nad nimi i niech pan je przetrawi; cierpliwie będę czekał na odpowiedź.

Nim pan Pickwick zdobył się na tę odpowiedź, nim pan Perker zażył dwudziestą część swej tabakierki, czego wymagało tak długie przemówienie, usłyszano na korytarzu jakieś szepty, a potem słabe pukanie do drzwi.

— Ach, mój Boże! — zawołał pan Pickwick, widocznie wzruszony przemówieniem swego przyjaciela. — Jakże to nieznośne, że nam przerywają! Kto tam?

— Ja, panie — odrzekł Sam wsuwając głowę.

— Nie mam czasu w tej chwili, Samie, jestem zajęty.

— Przepraszam pana — odparł Sam — ale jest tu dama, która, jak utrzymuje, ma coś bardzo ważnego panu do powiedzenia.

— Nie mogę przyjąć żadnej damy — odrzekł pan Pickwick, któremu na myśl przychodziły tylko postacie w rodzaju pani Bardell.

— Sądzę, że tak nie jest — odrzekł Sam potrząsając głową. — Gdyby pan wiedział, kto to jest, to zdaje mi się, że zmieniłby pan ton — jak mówił krogulec do śpiewającej pliszki.

— Więc któż to? — zapytał pan Pickwick.

— Może pan sam zobaczy? — odparł Sam trzymając drzwi przymknięte, jak gdyby za nimi znajdowało się jakieś ciekawe zwierzę.

— Niech i tak będzie — odrzekł filozof spoglądając na pana Perkera.

— No! Więc zaczyna się — zawołał Sam. — Muzyka naprzód! Podnoście zasłonę! Wchodzą spiskowcy!

To mówiąc, Sam otworzył na oścież drzwi, a w nich ukazał się pan Nataniel Winkle prowadzący pod rękę młodą damę, która w Dingley Dell nosiła trzewiki z futerkiem, a która w obecnej chwili przedstawiała bardziej ponętne niż zwykle połączenie koronek, zmieszania, rumieńców i liliowego jedwabiu.

— Panna Arabella Allen! — zawołał pan Pickwick, wstając z krzesła.

— Nie, drogi przyjacielu: pani Winkle — odpowiedział młody człowiek, ukląkłszy — przebacz nam, zacny nasz przyjacielu, przebacz!

Pan Pickwick zaledwie wierzył własnym oczom i może by wziął to wszystko za złudzenie, gdyby nie uśmiechnięta twarz pana Perkera i oczywista obecność Sama oraz pięknej panny służącej, którzy w głębi, zdawało się, z wielkim zadowoleniem spoglądali na scenę odbywającą się na pierwszym planie.

— O, panie Pickwick — rzekła Arabella drżącym głosem i jakby przerażona jego milczeniem — czy przebaczy mi pan moją nieroztropność?

Pan Pickwick nie odpowiedział na to pytanie, ale szybko zdjął okulary i chwytając za obie ręce młodą damę, ucałował ją wielką ilość razy (może nawet większą, niż okoliczności wymagały), następnie zaś, trzymając ją ciągle za ręce, powiedział panu Winkle'owi, że jest bardzo ryzykanckim łotrem, każąc mu zresztą wstać. Pan Winkle, który od kilku minut tarł sobie nos brzegiem kapelusza w sposób znamionujący wielką skruchę, wyprostował się, a pan Pickwick poklepawszy go po ramieniu, podał z zapalem rękę małemu adwokatowi. Ten znów, ze swej strony, by nie pozostać w tyle w komplementach, jakich wymagały okoliczności, uściskał z całego serca młodą mężatkę i

piękną jej służącą; potem, uściskawszy równie serdecznie rękę panu Winkle'owi, uzupełnił demonstrację swego zadowolenia tym, iż zażył taką ilość tabaki, jaka by starczyła, aby pół tuzina zwyczajnie skonstruowanych nosów kichało przez całe życie.

— Ależ, moje drogie dziecko — rzekł pan Pickwick — jakże to wszystko się stało? Siadaj i opowiadaj mi całą historię. Perker! Jaka ona śliczna! — mówił dalej zacny człowiek, wpatrując się w Arabellę z takim zadowoleniem i dumą, jakby była jego własną córką.

— Prześliczna, kochany panie. Gdybym nie był żonaty, zazdrościłbym ci, szczęśliwy urwisie. — Po tych słowach pan Perker poklepał pana Winkle'a po ramieniu, po czym obaj zaczęli się śmiać, ale nie tak głośno jak Sam Weller, który właśnie pofolgował swym uczuciom, całując pod osłoną drzwi kredensu piękną służącą.

— Samie — rzekła Arabella z najśłodszym uśmiechem, jaki sobie można wyobrazić — nigdy nie zdołam okazać ci dość wdzięczności. Nigdy nie zapomnę twoich usług w ogrodzie w Clifton.

— Nie mówmy o tym, droga pani — odrzekł Sam — ja tylko dopomagałem naturze; jak powiedział doktor matce pewnego chłopca, który umarł wskutek puszczenia krwi.

— Mary, siadaj, moja kochana — rzekł pan Pickwick, przerywając ten komplement. — No, a teraz powiedzcie mi, jak dawno pobraliście się?

Arabella, zmieszana, spojrzała na swego pana i męża, ten zaś odpowiedział:

— Dopiero przed trzema dniami.

— Dopiero przed trzema dniami! A cóżeś ty robił przez ostatnie trzy miesiące?

— A tak! — przerwał pan Perker. — Jak pan wytłumaczysz takie lenistwo? Widzi pan, że pan Pickwick tylko temu się dziwi, że się to nie stało prędzej.

— Tak się składało — odrzekł pan Winkle, spoglądając na rumieniącą się młodą kobietę — że długo musiałem namawiać Belle, by uciekła ze mną, a gdy już zdołałem namówić, upłynęło znów wiele czasu, nim się nadarzyła sposobność po temu. Zresztą Mary musiała przedtem wypowiedzieć służbę na miesiąc z góry, a nie mogliśmy obejść się bez jej pomocy.

— Na honor! — zawołał pan Pickwick, który znowu włożył okulary i kolejno spoglądał to na Arabellę, to na pana Winkle'a z wyrazem najwyższego zadowolenia i życzliwości, jaki tylko gorące serce i głęboka przyjazna sympatia mogą nadać ludzkiemu obliczu — na honor! Postępowałeś bardzo systematycznie. A czy brat twój wie o tym, moja droga?

— Ach, nie! — odpowiedziała Arabella, blednąc. — Drogi panie Pickwick, tylko od pana, tylko z pańskich ust może się o tym dowiedzieć. Mój brat jest tak gwałtowny, tak uprzedzony... tak przychylny swemu przyjacielowi, Sawyerowi — dodała, spuszczaając oczy — że okropnie obawiam się skutków...

— Tak... tak — dodał pan Perker z powagą. — Trzeba, byś się pan tym zajął, kochany panie. Dwaj młodzi ludzie uszanują pana, ale kogo innego nawet słuchać nie zechcą. Pan jeden może uprzedzić nieszczęście. To gorące głowy, gorące głowy!

I mały adwokat zażył groźnie szczyptę tabaki, przybrawszy minę pełną zwątpienia i niepokoju.

— Ale, moje dziecko — rzekł pan Pickwick do Arabelli — zapominasz, że jestem uwięziony.

— O, nie! Nie zapominam! Nigdy nie zapomniałam o tym! Nigdy nie przestawałam myśleć, jak wiele pan musi cierpieć w tym szkaradnym miejscu. Ale spodziewam się, iż dla naszego szczęścia uczyni pan to, czego nie chciał uczynić dla samego siebie. Jeżeli brat mój dowie się o wszystkim z ust pana, pewna jestem, że się pogodzimy. To jedyny

mój krewny, panie Pickwick, i jeżeli pan nie wstawi się za mną, obawiam się, że i tego utracę. Źle postąpiłam, wiem o tym, bardzo źle...

Tu biedna Arabella ukryła twarz w chustce i poczęła gorzko płakać.

Wrodzona dobroć pana Pickwicka z trudnością zdołała oprzeć się tym łzom, ale gdy pani Winkle osuszywszy je, poczęła go błagać swoim najśłodszym, pieszczotliwym głosem, zawahał się, co ma robić, i poczuł się nieswojo, co można było poznać z tego, iż począł nerwowym ruchem wycierać szkła swych okularów, nos, kamasze, głowę i spodnie.

Korzystając z tych symptomów wahania, pan Perker, z którym młoda para już się widziała, przypomniał z adwokacką zręcznością, iż pan Winkle senior nie wie jeszcze o ważnym kroku, jaki zrobił jego syn; że przyszła egzystencja tego syna zależy zupełnie od stałych i niesłabnących uczuć miłości i przywiązania, jakie zachowa dla niego rzeczony Winkle senior; że uczucia te będą prawdopodobnie na szwank narażone, jeśli ten ważny wypadek będzie się dłużej taić przed nim; że pan Pickwick, gdy uda się do Bristolu, by zobaczyć się z panem Allenem, może zarazem wstąpić do Birmingham i spotkać się z panem Winkle'em seniorem; na koniec, że pan Winkle senior zupełnie słusznie uważać może pana Pickwicka za mentora i opiekuna swego syna; że wobec tego wypada panu Pickwickowi, a nawet jest obowiązkiem jego honoru, w ustnej rozmowie zawiadomić go o stanie rzeczy, jako też wyjaśnić swój udział w tej sprawie.

W tym miejscu wywodów pana Perkera, a bardzo w porę, przybyli panowie Tupman i Snodgrass. Ponieważ musiano im opowiedzieć, co zaszło, wraz z tym, co przemawiało za i przeciw, przytoczono raz jeszcze wszystkie argumenty, które każdy z nich roztrząsał teraz na swój sposób i stosownie do swego poglądu na świat. W końcu zebrani zbili i odparli wszystkie wywody pana Pickwicka, a ponieważ groziło niebezpieczeństwo, że mu zbiją i odeprą rozum, pan Pickwick objął Arabellę, oświadczył, że jest przemiałą istotą, że nie wie sam, jak się to stało, ale od pierwszego spojrzenia serdecznie ją polubił — i że wreszcie nie ma dość siły, by sprzeciwić się szczęściu młodej pary, niech więc z nim robią, co im się podoba.

Gdy tylko Sam usłyszał o tym, że pan Pickwick ustąpił, po pierwsze wyprawił niezwłocznie Trottera do szanownego pana Pella, by zażądać swego uwolnienia, które jego mądry ojciec złożył na piśmie w ręce znakomitego prawnika na wszelki wypadek. Po drugie, tenże Sam wymienił wszystką swoją gotówkę na dwadzieścia pięć galonów znakomitego portera, które rozdzielił na „placu balowym” pomiędzy więźniów; potem począł biegać po więzieniu krzycząc „hura!”, dopóki nie stracił głosu, po czym powrócił w zupełności do zwykłego swego filozoficznego spokoju i skupienia.

O trzeciej po południu pan Pickwick rzucił ostatnie spojrzenie na swój mały pokoik i z pewną trudnością przecisnął się przez tłum dłużników tłoczących się dokoła, by mu uściśnąć rękę. Gdy zszedł ze schodów, odwrócił się raz jeszcze, a twarz jego zajaśniała niebiańskim blaskiem, gdyż w tym tłumie bladych i wychudzonych postaci nie było ani jednej, która by nie doznała jego dobroczynnego współczucia.

— Perker — rzekł on do małego adwokata, skinąwszy na pewnego młodego człowieka, by się zbliżył — oto właśnie jest pan Jingle, o którym ci mówiłem.

— Bardzo dobrze, kochany panie — odrzekł pełnomocnik spoglądając na pana Jingle'a badawczym wzrokiem. — Zobacz mnie pan jutro i spodziewam się, iż przez całe życie będzie pan pamiętał, co panu powiem.

Jingle skłonił się z uszanowaniem, drżąc uściśnąć rękę, którą mu podał pan Pickwick, i oddalił się.

— Hioba zna pan już? — rzekł filozof, wskazując go panu Perkerowi.

— Znam, znam tego łotra — odrzekł pan Perker wesoło. — Idź teraz za twym panem i staw się tu jutro o pierwszej, czy słyszysz? Czy nie ma mi pan jeszcze czego do powiedzenia, panie Pickwick?

— Nic więcej — rzekł pan Pickwick. — Samie, czy oddałeś pocztę, którą zostawiłem dla twojego starego współlokatora?

— Oczywiście, panie — rzekł Sam. — Ryczał jak wół i powiedział, że bardzo to szlachetnie z pańskiej strony, że o nim pan nie zapomniał, pragnąłby tylko, by mu pan mógł zastrzyknąć galopujące suchoty, gdyż stary jego przyjaciel, z którym współżył tak długo, umarł; i teraz nie potrafi już znaleźć sobie innego.

— Biedny człowiek — rzekł pan Pickwick. — Bądźcie zdrowi, moi przyjaciele, i niech Bóg ma was w swej opiece.

Gdy zacy ten człowiek wypowiedział te słowa pożegnania, tłum podniósł głośny krzyk i wielu poczęło cisnąć się naprzód, by raz jeszcze uścisnąć mu rękę. Ale pan Pickwick ujął Perkera pod ramię i opuścił więzienie bardziej smutny aniżeli wówczas, gdy doń przybył. Iluż nieszczęśliwych tam pozostawił! I ilu z nich wciąż jeszcze pozostaje!

Towarzystwo zgromadzone w oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem” spędziło przyjemnie wieczór, nazajutrz zaś rano to gościnne siedlisko opuściły dwa serca, lekkie i wesołe, których właścicielami byli pan Pickwick i Sam Weller. Pierwszy umieścił się szybko w wygodnym powozie pocztowym, drugi lekko siadł na tylnym miejscu zewnętrznym.

— Panie! — zawołał Sam do pana Pickwicka.

— Czego chcesz? — spytał pan Pickwick, wysuwając głowę przez okno.

— Żałuję, że te szkapy nie siedziały ze trzy miesiące w więzieniu przy Fleet Street.

— Dlaczego, Samie? — zapytał pan Pickwick.

— Ano, proszę pana! — powiedział Sam, zacierając ręce — biegłby wtedy jeszcze prędzej!

Rozdział czterdziesty ósmy **w którym opisano, jak pan Pickwick przy pomocy Sama** **usiłował zmiękczyć serce pana Beniamina Allena i** **złagodzić wciekłość pana Roberta Sawyera**

Pan Ben Allen i pan Bob Sawyer siedzieli w pokoiku doktorskim za sklepem i zajęci byli jedzeniem cielęciny oraz tworzeniem projektów na przyszłość, a rozmowa ich, rzecz naturalna, dotyczyła klienteli, którą rzeczony Bob już posiadał, jako też widoków zdobycia w przyszłości dostatecznych dochodów, by utrzymać się z tej zaszczytnej profesji.

— Zdaje mi się, że jest to wciąż jeszcze wątpliwe — rzekł Bob.

— Co, mianowicie? — zapytał Ben, pokrzepiając swe siły umysłowe haustem piwa. — Co jest wątpliwe?

— No, te widoki.

— Całkiem zapomniałem — rzekł Ben. — Piwo mi dopiero przypomniało, że całkiem zapomniałem. Tak, to dość wątpliwe.

— To szczególnie, jak w tym mieście ubodzy mną się opiekują! — zaczął znowu Bob powoli.

— Pukają do moich drzwi całą noc i biorą lekarstwa w takiej ilości, że dawniej uważałbym to za niemożliwe, z wytrwałością godną lepszej sprawy przystawiają sobie wezykatorie i pijawki, przyczyniając się do pomnożenia gatunku tych ostatnich w sposób wprost zastraszający. Popatrz, Ben, sześć takich wekselków, wszystkie wystawione w tym samym dniu i wszystkie dla mnie.

— To bardzo pocieszające — rzekł pan Allen przysuwając talerz, by jeszcze nałożyć sobie pieczeni cielęcej.

— Zapewne — odparł Bob — ale wolałbym w każdym razie pozyskać zaufanie pacjentów, którzy by mogli pozbyć się jednego lub dwóch szylingów. Zresztą o takiej klienteli myślałem, gdy dawałem ogłoszenie; teraz rzeczywiście mam klientelę... klientelę bardzo liczną... ale na tym koniec.

— Bobie — rzekł Allen, kładąc nóż i widelec i wpatrując się w twarz swego przyjaciela. — Bobie, ja ci powiem, co należy zrobić.

— Na przykład?

— Trzeba, byś jak najprędzej stał się panem tysiąca funtów szterlingów Arabelli.

— Trzyprocentowe skonsolidowane akcje bankowe, zapisane obecnie na jej imię w księdze lub w księgach gubernatora i Kompanii Banku Angielskiego — dodał Bob Sawyer, używając technicznych terminów.

— Tak właśnie. Może je podjąć po dojrzeniu do pełnoletności albo gdy wyjdzie za mąż. Do pełnoletności brakuje jej jeszcze rok, ale jeżeli masz spryt, to za miesiąc może zostać twoją żoną.

— Śliczna to i przemiła istota, Benie — odparł Robert Sawyer — jedną ma tylko, o ile wiem, wadę, ale, na nieszczęście, ta jedna polega na braku gustu. Nie kocha mnie.

— Sądzę, że ona sama nie wie, kogo kocha — odrzekł Ben Allen pogardliwym tonem.

— Być może, ale wie, kogo nie kocha, a to ważniejsze.

— Chciałbym — zawołał Ben Allen, zaciskając zęby i mówiąc jak dziki wojownik rozdzierający surowe wilcze mięso własnymi pazurami, a nie jak młody cywilizowany

gentleman jedzący cielęcinę przy pomocy noża i widelca — chciałbym wiedzieć, czy jest gdzie taki nędznik, który by ośmielił się starać o jej względy. Sądzę, że bym go zasztyletował, Bobie.

— A ja — rzekł Bob Sawyer, przerywając długi łyk porteru i z zawziętą miną spoglądając na kufel — ja, gdybym go spotkał, wsadziłbym mu kulę w sam brzuch; gdyby zaś to nie wystarczyło, uśmierciłbym go, wyjmując mu ją.

Beniamin, milczący i zadumany, patrzył na swego przyjaciela przez kilka minut, potem zapytał:

— Nigdy nie oświadczyłeś się jej, Bobie?

— Nigdy, bo wiedziałem, iż to do niczego nie doprowadzi.

— A więc zanim minie dwadzieścia cztery godziny, musisz to zrobić — odparł Ben z rozpaczliwym spokojem. — Albo będzie twoją żoną, albo... powie, dlaczego nie chce nią być. Użyję całej mej władzy.

— Ha! Zobaczymy! — rzekł pan Bob Sawyer.

— Tak, mój przyjacielu, zobaczymy! — powtórzył Ben z gniewnym uporem. Potem umilkł, a po chwili rzekł drżącym od wściekłości głosem: — Kochałeś ją od dzieciństwa, jeszcze gdyśmy razem byli w szkole, już wtenczas robiła miny i lekceważyła twe młodociane uczucia. Pamiętasz pewno, jak jednego dnia z całym zapalem młodzieńczej namiętności prosiłeś ją, by przyjęła od ciebie jabłko i dwa biszkopty z anyżem starannie owinięte w okładkę twego zeszytu?

— Przypominam sobie doskonale — odparł Bob.

— I nie przyjęła, prawda?

— Nie przyjęła. Powiedziała, że za długo trzymałem pakiet w kieszeni od spodni i jabłko okropnie się rozgrzało.

— Tak, tak — odrzekł Allen ponuro. — Potem zjedliśmy je sami, gryząc na przemian, jeden po drugim.

Melancholijnym zmarszczeniem brwi Bob dał do zrozumienia, że i tę okoliczność doskonale przypomina sobie, po czym dwaj przyjaciele na kilka minut pogrążyli się w rozmyślaniach, każdy o swoich sprawach.

W czasie gdy panowie Bob Sawyer i Ben Allen wygłaszali te słowa, a chłopaka w szarej liberii, pełnego zdziwienia, że obiad trwa tak długo, trapiły smutne przeczucia dotyczące resztek cielęcej pieczeni, na które ostrzył sobie zęby — zielony powóz, zaprzężony w jednego konia ciemnej maści, toczył się z wolna po ulicach Bristolu. Tronował na nim woźnica z nadąsaną miną, mający spodnie jak groom, poza tym jednak odziany w zwykły strój stangreta. Zjawiska takie są czymś zwykłym, gdy właścicielką powozu jest stara dama, która lubi oszczędność. W powozie siedziała też rzeczywiście stara dama, właścicielka i posiadaczka wehikułu.

— Marcinie! — zawołała stara dama do nadąsanego woźnicy.

— A co? — zapytał nadąsany stangret, podnosząc rękę do kapelusza.

— Do pana Sawyera.

— Tam właśnie jadę.

Stara dama skinęła głową, zadowolona z domyślności nadąsanego woźnicy, a nadąsany woźnica zdzielił batem konia, po czym wszyscy ruszyli w kierunku domu pana Boba Sawyera.

— Marcinie — rzekła dama, gdy powóz stanął przed sklepem pana Sawyera, niegdyś Nockemorfa.

— Słucham — odparł Marcin.

— Powiedz chłopcu, by wyszedł i potrzywał konia.

— Ja już sam potrzywam — odpowiedział Marcin, kładąc bicz na dach powozu.

— Nie, nie możesz pod żadnym warunkiem: twoje świadectwo będzie wiele znaczyło, musisz więc wejść ze mną. W czasie rozmowy nie śmiesz mnie odstępować. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— A więc, na co czekamy jeszcze?

— Na nic — odparł Marcin.

To powiedziawszy, Marcin zsiadł powoli z kozła, przywołał chłopca w szarej liberii, otworzył drzwiczki, spuścił schodki i włożywszy do wnętrza karety rękę w łosiowej rękawiczce, wyciągnął damę z taką obojętnością, jak gdyby był to nesesor.

— O, Boże! — zawołała dama — teraz, gdy jestem na miejscu, strach mnie ogarnia. Cała drzę, Marcinie.

Marcin kaszlnął w rękawiczkę, ale innych oznak współczucia nie okazał, stara dama uspokoiła się więc i pokuśtykała schodami do Boba Sawyera i Bena Allena, gdzie też dążył pan Marcin. Gdy weszła do sklepu pana Boba Sawyera, panowie Bob Sawyer i Ben Allen, którzy tymczasem usunęli wszelkie spirytualia i porozsypywali śmierdzące medykamenty, by usunąć zapach tytoniu, wypadli na jej spotkanie z oznakami zachwytu i zadowolenia.

— Jakże ciotka dobra, że przyjechała do nas — zawołał Benjamin. — Pan Sawyer, moja ciocia!... Mój przyjaciel, pan Bob Sawyer, o którym ciotce mówiłem... Ciocia wie, dlaczego...

Tu Ben Allen, który w tej chwili nie był zupełnie trzeźwy, wymówił imię Arabelli głosem, jak mniemał, cichym, ale w rzeczywistości tak donośnym, że wszyscy to słyszeli, choćby nawet nie chcieli.

— Drogi Benjaminie — rzekła dama, która miała krótki oddech i drżała teraz całym ciałem — nie przestraszaj się, moje dziecię... ale sądzę, iż lepiej będzie, gdy się rozmówię z panem Sawyerem na osobności... tylko chwilę...

— Bobie — rzekł Ben — zaprowadź ciotkę do pokoju.

— Natychmiast — odrzekł Bob poważnym głosem. — Proszę pani, tędy. Niech pani będzie spokojna; jestem pewny, że potrafimy temu w krótkim czasie zaradzić. Tędy, szanowna pani. Słucham.

To mówiąc Bob Sawyer podprowadził starą damę do fotela, zamknął drzwi, przesunął krzesło, usiadł na nim i czekał opisu symptomów choroby obliczając, ile na niej zarobi.

Pierwszą czynnością starej damy było wielokrotne potrząsanie głową i zalenie się łzami.

— Rozdrażnione nerwy — rzekł chirurg ze współczuciem. — Spirytus kamforowy trzy razy na dzień, a wieczorem napój uspokajający.

— Nie wiem, jak zacząć, pan Sawyer. To tak ciężko, tak przykro...

— Niech pani nie zaczyna. Mniej więcej wiem, co pani chce powiedzieć: cierpienie umiejscowione w głowie, prawda?

— Ach! Sądzę, że raczej w sercu — rzekła dama z głębokim westchnieniem.

— To nie jest niebezpieczne — odparł Bob Sawyer. — Główna rzecz — żołądek.

— Panie Sawyer! — zawołała dama, drgnąwszy.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości, szanowna pani — mówił dalej Bob z miną niezmiernie uczoną. — Lekarstwo, zażyte we właściwym czasie, łatwo by temu zapobiegło.

— Panie Sawyer — zawołała dama jeszcze bardziej oburzona — pańskie zachowanie się wobec kobiety w moim położeniu jest impertynencją albo też nie domyśla się pan, po co przyjechałam! Gdyby dzięki medycynie lub roztropności ludzkiej można było uprzedzić to, co się stało, naturalnie, że zrobiłabym to. Ale wolę rozmówić się z moim synowcem — dodała dama, wstając nagle i niecierpliwie obracając trzymaną w ręku torebkę.

— Proszę zatrzymać się na chwilę. Obawiam się, iż nie zrozumiałem pani dobrze. O co właściwie chodzi?

— Moja synowica, panie, siostra przyjaciela pana...

— Dobrze, pani — przerwał Bob zniecierpliwiony, gdyż stara dama, mimo nadzwyczajnego wzruszenia, cedziła słowa przez zęby, jak to zwykle robią stare damy. — Dobrze, pani...

— Opuściła mój dom, panie Sawyer, przed czterema dniami, pod pozorem odwiedzenia mojej siostry, drugiej swej ciotki, utrzymującej wielką pensję trzy mile stąd, w lewo, gdzie rośnie wielkie drzewo i stoi dębowa brama — rzekła stara dama i zamilkła, by otrzeć łzy.

— A niech tam diabli porwą dębową bramę! — zawołał Bob, w przerażeniu niepomny na swą doktorską godność. — Niech pani mówi prędzej, błagam panią. Trochę więcej pary.

— Dziś rano — zaczęła dama bardzo powoli — dziś rano...

— Powróciła, jak sądzę — przerwał Bob żywo — powróciła?

— Nie, nie powróciła, ale napisała.

— I co pisze? — zapytał Bob, zniecierpliwiony.

— Pisz, panie Sawyer... i na to proszę przygotować Beniamina z wolna i stopniowo, panie Sawyer, pisze, że... List mam w kieszeni, ale zostawiłam okulary w powozie, a znalezienie bez nich odpowiedniego miejsca zajęłoby zbyt dużo czasu. Jednym słowem pisze, że wyszła za mąż.

— Co? — zapytał lub raczej wybełkotał Bob.

— Wyszła za mąż — powtórzyła stara dama.

Bob nie słuchał dalej, ale wypadł z pokoju do sklepu i zawołał stentorowym głosem:

— Ben! Czy słyszysz? Drapnęła!

Pan Ben Allen, którego głowa zwisała przynajmniej niżej kolan, gdyż najspokojniej drzemał za ladą, usłyszawszy tę przerażającą wiadomość rzucił się na Marcina i okręciwszy rękę szalem milczącego woźnicy, wyraził nieodwołalne życzenie uduszenia go na miejscu. Zamiar ten zaczął nawet w czyn wprowadzać z szybkością, którą daje rozpacz, a która przekonywała zarazem o wielkiej jego sile fizycznej i chirurgicznej zręczności.

Marcin, z natury małomówny i niewiele liczący na swój oratorski talent, przez kilka sekund ze spokojną i wesołą twarzą poddawał się tej operacji, ale zauważywszy, że operowany w ten sposób rychło straciłby na zawsze możliwość otrzymania pensji, odszkodowania itd., wybełkotał kilka słów bez związku i jednym uderzeniem pięści powalił pana Beniamina Allena na ziemię, zmuszony był jednak podążyć bezzwłocznie za nim w tym samym kierunku, gdyż młody człowiek nie puścił jego szala, co nie pozostawiało operowanemu żadnego wyboru. Obaj więc szamotali się na ziemi, gdy drzwi do sklepu otworzyły się i towarzystwo powiększyło się o dwie najmniej spodziewane tu osoby: o pana Pickwicka i Sama Wellera.

Pierwszym przypuszczeniem Sama, gdy ujrzał te zapasy, było, że Marcin został wynajęty przez zakład Sawyera, dawniej Nockemorfa, gwoli przyjęcia jakiegoś

gwałtownego lekarstwa lub jakiejś trucizny, lub nowo wynalezionego na nią antidotum, lub też gwoli jakiegokolwiek innego eksperymentu w interesie medycyny, by zaspokoić gorące pragnienie wiedzy płonące w piersiach młodych jej czcicieli. Nie pozwalając sobie na żadną interwencję, stał najzupełniej obojętnie, z największym spokojem czekając na rezultat uczonego doświadczenia. Ale nie tak było z panem Pickwickiem: rzucił się z właściwą sobie energią pomiędzy zdumionych bojowników i wielkim głosem wezwał obecnych, by rozdzielili walczących.

To doprowadziło do opamiętania Boba Sawyera, który stał jak sparalizowany widząc wściekłość swego przyjaciela. Przy jego pomocy pan Pickwick postawił Bena Allena na nogi. Co do Marcina, to znalazłszy się sam na podłodze, podniósł się bez niczyjej pomocy i spojrzął dokoła w milczeniu.

— Panie Allen — zapytał pan Pickwick — co się stało?

— To pana nic nie obchodzi — odrzekł Ben z wyzywającą wyniosłością.

— Co mu jest? — zapytał filozof, zwracając się do Boba. — Czy czasem nie chory?

Zanim Bob zdobył się na odpowiedź, Ben Allen pochwycił rękę pana Pickwicka i szepnął boleśnie:

— Moja siostra, kochany panie, moja siostra!

— O! Tylko tyle? — odrzekł Pickwick. — Ta sprawa, mam nadzieję, da się rychło ułożyć. Siostra pana jest w bezpiecznym miejscu i ma się dobrze, kochany panie. Właśnie przybyłem tu...

— Bardzo przepraszam pana... — przerwał Sam, który właśnie zajrzał przez szklane drzwi — przepraszam, że przerywam tę zajmującą rozmowę, jak mówił król wyrzucając parlament za drzwi; ale tam, w drugim pokoju, odbywa się eksperyment nie mniej ciekawy. Jakaś stara dama leży na podłodze i zdaje się czeka, by jej zrobiono sekcję albo galwanizowano ją, albo w ogóle zastosowano do niej jaki inny wynalazek, wskrzeszający i naukowy.

— Zapomniałem! — zawołał Ben Allen — to moja ciotka!

— Boże wielki! — wykrzyknął pan Pickwick. — Biedna kobieta! Powoli, Samie, powoli.

— Szczególna sytuacja dla członka rodziny — zauważył Sam, sadzając damę na krześle.

— Teraz, mistrzu rzeźnicatów, przynieś trzeźwiące specyfiki.

To wezwanie było skierowane do chłopca w szarej liberii, który polecił powóz opiece stróża ulicznego i przybiegł, by zobaczyć, co znaczy ten hałas. Dzięki staraniom zarówno chłopaka, jak i Sama, Boba i Bena wkrótce przywrócono starą damę do życia. Wtenczas pan Allen, zwracając się w stanie półprzytomny do pana Pickwicka, zapytał go, co chciał powiedzieć, gdy w tak niepokojący sposób przerwano mu.

— Sądzę, że znajdują się tu tylko przyjaciele? — odrzekł filozof odkaszlnąwszy, spoglądając na milczącego człowieka o nadąsanej twarzy, do którego należał powóz wraz z koniem o ciemnej maści.

To przypomniało Bobowi Sawyerowi, że chłopak w szarej liberii z szeroko rozwartymi oczami i wytężonym słuchem przypatruje się im. Podniósłszy więc początkującego chemika za kołnierz i tym uproszczonym sposobem wydaliwszy go za drzwi, pan Sawyer skinął głową, by mówił, nie zważając na nic.

— Siostra pana, kochany panie — rzekł pan Pickwick, zwracając się do pana Bena Allena — znajduje się w Londynie, zdrowa i szczęśliwa.

— Nie o to mi chodzi, mój panie — odrzekł czuły brat, machnąwszy pogardliwie ręką. — Nie to jest moim celem.

— Ale jej mąż będzie dla mnie celem! — zawołał Bob. — Będzie celem o dwadzieścia kroków, a ja już oporządzę tego łotra.

Były to wyrazy pełne prawdziwej rycerskości, ale Bob Sawyer, farmaceuta, osłabił nieco ich działanie, gdyż dodał kilka ogólnych uwag a miażdżeniu głów, wydrapywaniu oczu itd.

— Powoli — zawołał pan Pickwick — zamiast występować z takimi pogroźkami, niech pan lepiej spokojnie zastanowi się nad winą gentlemana, o którym mowa, a zwłaszcza niech pan pamięta, iż jest to mój przyjaciel!

— Co? — zawołał Bob Sawyer.

— Jak się nazywa! — wrzasnął Ben Allen.

— Pan Nataniel Winkle — odparł pan Pickwick stanowczo.

Na te słowa Beniamin starannie rozgniół swe okulary obcasem buta, a potem zebrał kawałki i umieściwszy je w trzech rozmaitych kieszeniach, założył ręce, przygryzł usta i groźnie spojrzął na łagodne i spokojne rysy pana Pickwicka. W końcu zawołał:

— A więc to pan, nikt inny, tylko pan, doradziłeś i sfabrykowałeś to małżeństwo!

— Zdaje mi się — dodała ciotka — że służący tego pana kręcił się koło mego domu i chciał przekupić moją służbę. Marcinie!

— Co takiego? — zapytał nadąsany stangret, występując naprzód.

— Czy to ten sam młody człowiek, którego widziałeś na ulicy i o którym mówiłeś mi dziś rano?

Marcin, który, jak już powiedzieliśmy, był z natury lakoniczny, zbliżył się do Sama i kiwnąwszy głową, mruknął: „Tak”. Sam zaś, który nigdy nie był dumny, uśmiechnął się do niego jak do znajomego, gdyż poznał w nim zgryźliwego grooma, po czym w grzecznych wyrazach oświadczył, iż widział już gdzieś tę fizjonomię.

— A ja — zawołał Ben Allen — jaomalże nie udusiłem wiernego sługi! Panie Pickwick! Jak pan śmiał pozwolić temu drabowi na to, by brał udział w uwięzieniu mojej siostry. Żądam od pana wytłumaczenia!

— Tak! — zawołał Bob z gwałtownością — wytłumacz się pan!

— To spisek! — wykrzyknął Ben.

— To podstępne, nikczemne oszustwo! — dodał Bob.

— Haniebna łobuzeria! — zawołała dama.

— Czyste łajdactwo! — osądził Marcin.

— Ależ wysłuchajcie mnie, proszę! — rzekł pan Pickwick, gdy pan Ben Allen upadł na krzesło, na którym zwykle puszczał swym pacjentom krew, i ukrył twarz w chustce. — Ja nie brałem w tym żadnego udziału z wyjątkiem tego, że raz byłem obecny przy ich spotkaniu. Nie mogłem przecież przeszkodzić temu, że się kochali, a to, co zrobiłem, zrobiłem w przekonaniu, że moja obecność usunie wszelki, choćby najlżejszy cień, jaki mógłby paść na nich. Więcej nie miałem z tym styczności. O zamiarze pobrania się nic nie wiedziałem. Proszę jednak zauważyć — dodał natychmiast filozof — proszę zauważyć, iż nie mówię wcale, że przeszkadzałbym temu, gdybym był widział.

— Słyszycie? Słyszycie? — zawołał Ben.

— Sądzę, że wszyscy słyszą — mówił dalej pan Pickwick, spokojnie spoglądając dokoła — i sądzę, że usłyszą również to, co dalej powiem — dodał donośnym głosem i z zarumienioną twarzą. — Słyszysz pan zapewne i to, że, po zasięgnięciu informacji, mówię panu, iż nie ma pan prawa rozkazywać uczuciom swej siostry. Powinien pan być raczej dążyć do tego, by odnosząc się do niej przyjaźnie i delikatnie, zastąpić jej innych

krewnych, których od dzieciństwa nie znała. Co do mego młodego przyjaciela, to powiem tylko, iż pod względem majątkowym i pozycji społecznej znajduje się on w położeniu przynajmniej równym siostrze pana, jeżeli nie lepszym, i że stanowczo nie chcę słyszeć nic więcej o tym, jeżeli rozmowa nie przybierze natychmiast tonu przyzwoitego i umiarkowanego.

— Chciałbym jeszcze dodać parę uwag do tego, co powiedział mój czcigodny przedmówca — oświadczył Sam występując naprzód. — Jedno z indywidualów tu obecnych nazwało mnie drabem.

— To nie ma nic wspólnego ze sprawą — zawołał pan Pickwick.

— Bądź tak dobry i milcz.

— Nie chcę też nic mówić o tej sprawie — rzekł Sam — ale powiem tylko to. Może gentleman mniema, iż istniała jakaś dawna miłość; otóż powiem, że nic podobnego nie było, gdyż młoda dama zawsze utrzymywała, że go nie cierpi. Więc właściwie nikt go nie wysadził z siodła i prawdę powiedziawszy, powinno by mu być wszystko jedno, czy z młodą damą ożenił się pan Winkle, czy kto inny. Sądzę, że to uspokoi gentlemana.

Po tych pocieszających uwagach Sama Wellera nastąpiła krótka pauza, po czym Ben Allen uniósł się z krzesła i zażądał, by mu się Arabella nigdy nie pokazywała na oczy, pan Bob zaś, mimo pochlebnych zapewnień Sama, poprzysiągł, iż zemści się straszliwie na szczęśliwym małżonku.

Ale właśnie w chwili gdy sprawa przybierała tak groźny obrót, pan Pickwick znalazł niespodziewanego a potężnego sprzymierzeńca w osobie starej damy, na której widocznie wywarła wielkie wrażenie obrona synowicy przez pana Pickwicka. Stara dama przystąpiła do Bena Allena i odważyła się zrobić kilka pocieszających uwag, które streściły się w tym, iż wielkie to szczęście, że się nie stało jeszcze gorzej; że im mniej będzie się mówić o tym, tym lepiej; że prawdę powiedziawszy, trudno dowieść, by to, co się stało, było wielkim nieszczęściem; że co się stało, to się nie odstanie; że trzeba znieść to, czemu nie można przeszkodzić.

Potem przez dłuższy czas wygłaszała tym podobne sentencje, zarówno nowe, jak przekonywające.

Na to wszystko Ben Allen odpowiedział tylko, iż nie jest bynajmniej jego zamiarem ubliżyć ciotce albo jakiegokolwiek innej obecnej tu osobie, lecz to nie zmienia niczego i muszą mu pozwolić działać według jego własnego natchnienia, a on chce mieć przyjemność nienawidzenia swej siostry do grobowej deski, a nawet i potem jeszcze.

Gdy postanowienie to zostało obwieszczane najmniej pięćdziesiąt razy, stara dama nagle powstała, spojrzała w sposób wysoce majestatyczny i zapytała, co takiego zrobiła, że odmawiają jej tu uszanowania należnego jej wiekowi oraz stanowisku i że zmuszona jest w ten sposób przemawiać do własnego synowca, którego pamięta od dwudziestu pięciu lat, tj. od czasu jego urodzenia, którego znała, kiedy nie miał jeszcze żadnego zęba, nie mówiąc już o tym, iż była obecną, gdy mu pierwszy raz ostrzyżono włosy, tudzież przy innych ważnych ceremoniach z czasów, gdy był dzieciakiem: zdarzenia, które są dość ważne, by uzasadnić jej pretensje do miłości, posłuszeństwa i oddania jej synowca.

Gdy zacna dama egzorcyzmowała w ten sposób Bena Allena, pan Pickwick wyszedł z Bobem do tylnego pokoju, gdzie ten podczas żywej rozmowy wielokrotnie przykładał do ust pewną czarną butelkę, pod której wpływem twarz jego poczęła stopniowo przybierać spokojny, a nawet jowialny wyraz. W końcu wyszedł nawet z pokoju z tą samą butelką w ręce i oznajmiwszy, iż przykro mu, że postępował jak szaleniec, wznosił toast za zdrowie i pomyślność pana i pani Winkle, i że nie tylko nie zazdrości im szczęścia, ale chce być

pierwszym, który im złoży życzenia. Usłyszawszy to Ben Allen zerwał się z krzesła, pochwycił czarną butelkę i również wychylił toast tak serdecznie, że od mocnego likieru twarz jego stała się tak czarna jak flaszka. W końcu butelka poszła z rąk do rąk i została wypróżniona, po czym nastąpiło ogólne ściskanie sobie rąk i prawienie grzeczności, a nawet pan Marcin z metalowym obliczem pozwolił sobie na uśmiech.

— A teraz — rzekł Bob, zacierając ręce — musimy wesoło przepędzić wieczór.

— Przykro mi — rzekł na to pan Pickwick — ale muszę wrócić do zajazdu. Od niejakiego czasu odzwyczaiłem się od ruchu, a podróż mię zmęczyła.

— Przynajmniej napije się pan herbaty, panie Pickwick — rzekła stara dama z niewysłowioną słodyczą.

— Bardzo dziękuję pani, ale nie mogę.

Faktem jest, że wzrastające współczucie starej damy było głównym powodem, który zniewolił pana Pickwicka do usunięcia się. Myślał wciąż o pani Bardell i widok ciotki napawał go trwogą.

Ponieważ nie można było zmusić pana Pickwicka, by został, postanowiono, na jego własną propozycję, że pan Ben Allen będzie mu towarzyszył w podróży do starego pana Winkle'a i że powóz zajedzie przed dom dokładnie o godzinie dziewiątej rano następnego dnia. Filozof pożegnał się więc i w towarzystwie Sama Wellera odjechał do hotelu „Pod Krzakiem”. Jest rzeczą godną uwagi, że gdy Marcin zegnał się z panem Wellerem, oblicze jego wykrzywił grymas i równocześnie Marcin uśmiechnął się i zaklął; ci, co znali tego gentlemana, mówią, iż w ten sposób chciał stwierdzić, że towarzystwo pana Wellera jest mu bardzo miłe i że prosi o honor podtrzymywania z nim stosunków w przyszłości.

— Czy mam zamówić oddzielny pokój? — zapytał Sam, gdy dojechali do hotelu.

— Nie — odpowiedział pan Pickwick. — Ponieważ zjadłem obiad w kawiarni i zaraz pójdę spać, jest to niepotrzebne! Zobacz no, kto jest w poczekalni dla podróżnych.

Pan Weller poszedł na zwiady i wrócił z wiadomością, że siedzi tam tylko gentleman z jednym okiem. Gentleman ten popija z gospodarzem „biszof”.

— Napiję się z nimi — powiedział pan Pickwick.

— Bardzo śmieszny pasażer ten jednooki — powiedział Sam, prowadząc pana Pickwicka. — Nabija w butelkę starego, aż tamten w końcu nie wie, czy stoi na nogach, czy na głowie!

Kiedy pan Pickwick wszedł, rzeczony indywiduum siedziało w głębi pokoju, paląc wielką fajkę, a oczy jego utkwione były w okrągłą twarz gospodarza, starego jegomościa, któremu musiał właśnie opowiadać jakąś niezwykłą historię, gdyż stary co chwila wykrzykiwał: — Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym! Najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem! Nigdy bym nie myślał, że to prawda! — Te i tym podobne okrzyki zdumienia co chwila wyrzywały mu się z ust.

— Sługa! — odezwał się jednooki do pana Pickwicka. — Piękna noc, co?

— Rzeczywiście — powiedział pan Pickwick, gdy służący postawił przed nim małą flaszkę wódki i szklanę gorącej wody.

W czasie gdy pan Pickwick mieszał wodę z wódką, jednooki rozejrzał się uważnie po pokoju i wreszcie powiedział:

— Zdaje mi się, że już pana widziałem.

— Nie przypominam sobie pana — odrzekł pan Pickwick.

— Tak myślę — odrzekł jednooki. — Pan mnie nie zna, ale ja znam dwóch pańskich przyjaciół, którzy stali w gospodzie „Pod Srebrnym Pawiem” w czasie wyborów w Eatanswill!

— Doprawdy? — zawołał pan Pickwick.

— A tak! — mówił jednooki. — Wspomniałem im o pewnej małej przygodzie, jaka się zdarzyła memu przyjacielowi Tomowi Smartowi. Może opowiadali to panu?

— I nieraz! — uśmiechnął się pan Pickwick. — To pański wuj, prawda?

— Nie, tylko przyjaciel mego wuja — odpowiedział jednooki.

— To był niezwykle człowiek, ten pański wujek! — wmieszał się do rozmowy gospodarz.

— I jak tak myślę — odpowiedział jednooki. — Opowiedziałbym panom historię wprost zdumiewającą!

— Naprawdę? — zawołał pan Pickwick. — Niech pan koniecznie opowie!

Jednooki komiwojażer nalał sobie szklanekę grzanego wina i wychylił ją, po czym zaciągnął się ze swojej duńskiej fajki. Zawołał Sama Wellera, który stał przy drzwiach, by i on posłuchał, jeżeli chce, ponieważ nie będzie opowiadał tajemnic, utkwiał spojrzenie w gospodarzu i zaczął — co znajdziemy w następnym rozdziale.

Rozdział czterdziesty dziewiąty zawierający opowieść o wuju komiwojazer

— Mój wuj, panowie — zaczął jednooki komiwojazer — był to najweselszy, najzabawniejszy i najsympatyczniejszy jegomość z tych, którzy kiedykolwiek żyli. Żałuję, żeście go nie znali, panowie! Ale może to i lepiej, żeście go nie znali, moi panowie, bo gdybyście go znali, toby was już nie było na świecie, gdyż zgodnie z obowiązującymi prawami natury, nie żylibyście albo bliscy bylibyście śmierci, co na jedno wychodzi, bo siedzielibyście w domu i nie bywali w towarzystwie, a ja nie miałbym przyjemności rozmawiać z wami jak w tej chwili! Panowie! Żałuję, że wasi ojcowie i matki nie znali mego wuja! Kochaliby go bezgranicznie, zwłaszcza sympatyczne mamusie! Wiem! Jeżeli jakie cnoty dominowały w tym człowieku, to było to zamiłowanie do ponczu i śpiewów przy stole. Wybaczcie, że zastanawiam się melancholijnie nad tymi wygasłymi cnotami: ale takiego człowieka jak mój wuj nie spotkacie co dzień!

Uważałem zawsze za bardzo pochlebne dla charakteru mego wuja, panowie, że przyjaźnił się z człowiekiem tej miary, co Tom Smart, z firmy Bilson i Slum, Cateaton Street, City. Mój wuj pracował dla Tiggina i Welpsa, ale przez dłuższy czas miał tę samą marszrutę co i Tom Smart. I pierwszej zaraz nocy, jak się poznali, wuj mój polubił Toma, Tom polubił wuja. Nie znali się jeszcze nawet pół godziny, a już się założyli o nowy kapelusz, kto z nich wypije prędzej półkwaterek ponczu. Wuj mój wypił prędzej, ale za to Tom pobił go, pijąc większymi łykami. Więc kazali podać dwa świeże półkwatki, wypili swoje zdrowie i zostali przyjaciółmi na zawsze. Jest palec losu w tych rzeczach, gentlemani, trudno!

Co do osobistego wyglądu, wuj mój był trochę krótszy niż ludzie zwykłego wzrostu. Ale był też nieco tęższy, niż zwykle bywają ludzie, i może twarz jego była trochę czerwieńsza niż inne. Miał najweselszą twarz, jaką kiedykolwiek widzieliście, gentlemani: coś z *Puncha*, ale nos i broda ładniejsze. Oczy błyszczwały mu zawsze wesoło, a jego uśmiech — nie, nie, nie było to jakieś bezmyślne skrzywienie warg, ale prawdziwy, nie robiony, szczery uśmiech nie schodził mu z ust! Kiedyś wyleciał z gigu i rymnął głową o kamień. Leżał więc z twarzą tak poharataną, że używając jego własnego wyrażenia, gdyby go zobaczyła rodzona matka, z pewnością by go nie poznała. Rzeczywiście, panowie, kiedy pomyślę, jak wyglądał, sądzę, że nie poznałaby go matka, bo umarła, kiedy wuj miał dwa lata i siedem miesięcy, myślę więc, gdyby nawet nie poharatał sobie twarzy, matka zdziwiłaby się bardzo zobaczywszy jego nożyska, nie mówiąc już o czerwonym obliczu! Tak czy inaczej, leży sobie wuj, a jak mi sam potem nieraz opowiadał, człowiek, który go podniósł, mówił, że wuj nie przestawał się uśmiechać, kiedy zaś odzyskał przytomność, to przede wszystkim wybuchnął śmiechem, potem objął młodą dziewczynę, która trzymała przed nim miednicę, a wreszcie zażądał baranich kotletów z piklami! Bardzo lubił marynowane orzechy, panowie! Mawiał, że jedzone bez octu podnoszą smak piwa.

Wielkie podróże mego wuja przypadły na czas spadania liści: wtedy odbierał należności i przyjmował nowe zamówienia na północy; jeździł z Londynu do Edynburga, z Edynburga do Glasgow, z Glasgow do Edynburga i z powrotem do Londynu. Chcę przez to powiedzieć, że do Edynburga wracał dla własnej przyjemności. Jeździł tam na tydzień, żeby odwiedzić starych przyjaciół. Jadł pierwsze śniadanie z jednym, lunch z drugim, obiad z trzecim, kolację z czwartym i tak mu schodził tydzień jak z bicza trzask! Nie wiem,

panowie, czy braliście kiedy udział w prawdziwym, treściwym śniadaniu szkockim, by potem zająć na kilka tuzinów ostryg i kilka kufelków piwa, z paroma kieliszkami wódki na deser. Jeżeli tak – to mi przyznacie, że trzeba nie lada głowy, by potem mieć jeszcze siły na obiad i kolację!

Ale jak was kocham, wszystko to było niczym dla mego wuja! Taki był zaprawiony, że dla niego była to zabawka dziecinna! Opowiadał mi sam, że mógł codziennie spotykać się ze Szkotami i o własnych siłach wracał do domu! A jednak Szkoci mają najmocniejsze głowy i najmocniejsze poncze, jakie można spotkać, panowie, między dwoma biegunami! Słyszałem, że jeden drab z Glasgow pił z drabem z Dundee przez piętnaście godzin. Obaj upili się w tym samym momencie, co stwierdzono dokładnie, ale żaden z nich nie miał o to pretensji!

Pewnego wieczora, coś na dwadzieścia cztery godziny przed terminem odjazdu do Londynu, wuj odwiedził dom swego starego przyjaciela, wójta Mac i jeszcze jakieś cztery sylaby, mieszkającego w Edynburgu. Oprócz wójta była jego żona i wójtowe trzy córki, i wójtowy dorosły syn, i trzech tęgich barczystych Szkotów, których wójt zaprosił na ucztę, by pomagali rozweselać mego wuja. Kolacja była wspaniała. Wędzony łosoś, fiński łupacz, głowa barania i *haggis* – znana szkocka potrawa, panowie! Wuj mawiał o tej potrawie, że jest dla żołądka Kupidyna!

I jeszcze wiele innych smacznych rzeczy, zapomniałem nazw, ale wiem, że były smaczne! Panny były przyjemne i ładne, gospodyni jedna z najmilszych istot na świecie. Wuj mój był w doskonałym humorze! Skutek był taki, że młode damy chichotały i pischwały po cichu, stara dama śmiała się głośno, a gospodarz i goście rechotali przez cały czas, aż im oczy na wierzch wyłaziły. Nie pamiętam, ile kieliszków wychylił każdy po kolacji, i wiem tylko tyle, że około pierwszej po północy syn gospodarza uparł się, aby przypomnieć sobie pierwszą strofkę piosenki „Willi przyniósł butlę wody!”, a ponieważ wuj jeszcze przed pół godziną był zupełnie do rzeczy, postanowił, że czas do domu; zwłaszcza że pili od siódmej, więc obawiał się, by nie zasiedzieć się i wrócić o przyzwoitej porze. Ale przyszło mu na myśl, że nie wypada wyjść tak zaraz. Więc obrał siebie prezesem zgromadzenia, przygotował porządną szklanę, wstał, zaproponował, by obecni wypili jego zdrowie, zwrócił się do siebie samego z bardzo czułą przemową i z zapalem wychylił toast! Nikt nie drgnął! Więc wuj nalał sobie jeszcze odrobinę – niech nie wietrzeje – wpakował obydwoma rękami kapelusz na łeb i machnął się do domu.

Noc była zimna i wietrzna, kiedy wuj wyszedł z mieszkania wójta. Nasadziwszy mocno kapelusz, by mu nie spadł, wuj włożył ręce do kieszeni i spojrzawszy przed siebie, przyjrzał się uważnie pogodzie. Chmury płynęły na księżyc z niebywałą szybkością: to go zupełnie zasłaniały, to znowu odsłaniały tak, że w całym majestacie oświecał przedmioty, to znów go przesłaniały, z niebywałą szybkością pogrążając wszystko w mroku. – Nic z tego! – mówi wuj do pogody tonem obrażonego. – Taka pogoda wcale nie jest odpowiednia dla mej podróży! Nie ujdzie! – dodał z naciskiem. Powtórzywszy to kilka razy, kiwnął się, z trudem utrzymał równowagę – trochę mu się kręciło w głowie od patrzenia na księżyc – ale poszedł wesoło dalej.

Dom wójta stał na Canongate, a mój wuj szedł na drugi koniec Leith Walk, to znaczy przeszło milę drogi! Po obu stronach strzelały ku niebu dwa rzędy wysokich domów o gładkich, zimnych ścianach i oknach, które wyglądały jak zagasłe oczy. Sześć, siedem, osiem pięter miały domy. Piętro wznosiło się nad piętrem – na podobieństwo domków z kart, jakie budują dzieci. Cień od nich padał na drogę czyniąc ciemność jeszcze ciemniejszą. Gdzieś w oddali migało kilka latarń oliwnych, ale wskazywały one tylko

wejście do wąskich zaułków albo miejsce, gdzie zaczynały się schody prowadzące na wyższe piętra. Patrząc na to wszystko z miną człowieka, który zna to zbyt dawno, by uważać za godne uwagi, wuj mój szedł środkiem ulicy, włożywszy palce w dziurki od kamizelki, a gdy czasem ogarniała go chęć śpiewania, natenczas czynił to tak głośno, że uczciwi mieszkańcy spokojnych domów budzili się, przerażeni, i leżeli, drżąc na swoich posłaniach, aż dźwięki umilkły w oddali. Uspokoiwszy się, że to tylko zwykły pijak z gatunku tych, co to „nigdy do domu!”, otulali się w kołdry i zasypiali.

Opisuję szczegółowo, jak to wuj szedł środkiem ulicy z palcami w dziurkach od kamizelki, albowiem, panowie, jak nieraz mi to powtarzał (a miał zupełną rację!), nie byłoby nic zajmującego w historii, gdyby nie to, że się zaczęła tak zupełnie jakby nigdy nic...

Panowie! Wuj mój szedł z palcami w dziurkach od kamizelki, zająwszy dla siebie jedną całą ulicę i śpiewając albo długą pieśń, albo krótką strofkę pijacką, albo gdy jedno i drugie zmęczyło go, gwizdząc pod nosem, aż doszedł do North Bridge, gdzie styka się nowa wieża ze starą. Tu przystanął i przez chwilę przyglądał się dziwnym smugom światła, jakie oba te budynki rzucały na siebie. Latarnie paliły się tak wysoko, że wyglądały jak gwiazdy — jedna na murach Zamku, druga na Calton Hill; rzekłbyś, że umieszczono je na zamkach zawieszonych w powietrzu. Stare, malownicze miasto leżało w dole, w cieniu i mroku. Pałaców i kaplicy strzegł w dzień i noc, jak mawiał stary przyjaciel mego wuja, Dwór Artura, czuwając jak dobry, ponury geniusz nad starożytnym miastem. Powiadam, panowie, że wuj zatrzymał się w tym miejscu i rozejrzał się. Następnie pochwaliwszy pogodę, która poprawiła się nieco, chociaż księżyc zaszedł, kroczył dalej majestatycznie jak przedtem. Trzymał się środka ulicy z wielką godnością i miał taką minę, jak gdyby czekał na to, że spotka kogoś, kto ma takie same pretensje jak i on. Niestety, nie było nikogo, kto by zadowolił to marzenie. Szedł więc dalej, z palcami w kamizelce, łagodny jak jagnię.

Doszedłszy do końca Leith Walk, wujek miał już tylko minąć niewielką przestrzeń dzielącą go od wąskiej uliczki, która prowadziła wprost do jego kwatery. Otóż na tej przestrzeni znajdowała się w owych czasach zagroda należąca do pewnego kołodzieja, który miał kontrakt z urzędem pocztowym na skupywanie starych, zużytych dylizansów. Otóż mój wuj, który bardzo lubił dylizanse, stare, młode i takie w średnim wieku, postanowił nałożyć drogi tylko po to, by rzucić na nie okiem. Pamiętał, że w zagrodzie stoi ich przynajmniej pół tuzina — wszystkie zresztą w bardzo nędznym stanie. Wuj, panowie, był to entuzjasta, człowiek zapalny. Widząc, że nie może dobrze zajrzeć przez szpary w parkanie, przełaził przez ogrodzenie i usiadłszy sobie na starej osi wozu, oddał się rozmyśleniom nad dylizansami z miną poważną i skupioną.

Mogło być tych wehikułów z tuzin, a może i o trzy więcej — mój wuj nigdy nie znał dokładnie ich liczby, a że był bardzo skrupulatny, więc wołał o tym nie mówić — stały sobie jeden przy drugim w wielce oplakanym stanie. Drzwiczki odjęto z zawiasów. Obicia zdarte. Zaledwie tu i ówdzie wisiał na gwoździu jakiś nędzny strzep. Latarnie zabrano, farba spłowiła, żelastwo zardzewiało. Wiatr wył między szparami, a deszcz, który się zbierał na dachu, melancholijnymi kroplami spadał do wnętrza. Były to szkielety umarłych pojazdów i w tym miejscu, o tej porze, miały w sobie coś upiornego.

Wuj oparł głowę na rękach i zaczął myśleć o tych rozmaitych ludziskach, którzy jechali ongi, przed wielu laty, tymi starymi pojazdami stojącymi teraz milcząco i cicho. Myślał o tych wszystkich ludziach, którym te pokiereszowane wehikuly przynosiły noc w noc, dzień po dniu, przez wiele lat w pogodę i w słotę, dawno oczekiwane wieści, wyglądane z

utęsknieniem posyłki, zapewnienia o zdrowiu i szczęściu, wiadomości o chorobie i śmierci. Kupiec, kochanek, żona, wdowa, matka, student, najmniejsze nawet dziecko — wszyscy biegli na dźwięk trąbki pocztyliona — jakże niecierpliwie wypatrywali przyjazdu starego dylizansu! Gdzież oni wszyscy?! Co się z nimi wszystkimi stało?!

Panowie! Wuj zapewnia, że wszystko to myślał w owej chwili, ale coś mi się wydaje, że musiał to gdzieś później wyczytać, bo opowiadał wyraźnie, że zapadł jakby w sen, siedząc na owej starej osi zepsutego wozu pocztowego, gdy nagle zbudził go zegar kościelny, który wydzwonił drugą. Otóż myślenie nigdy nie było specjalnością mego wuja i gdyby myślał o tym wszystkim, co potem opowiadał, to zajęłoby mu to wiele więcej czasu niż do godziny drugiej. Jestem więc zdania, panowie, że wuj wpadł w rodzaj odrętwienia i że w ogóle o niczym nie myślał!

Niech zresztą będzie, jak chce, ale zegar wydzwonił drugą. Wuj przebudził się, przetarł oczy i zerwał się, przerażony.

Gdy tylko zegar wybił drugą, cały ów spokojny i milczący dziedziniec stał się nagle bardzo ożywiony. Drzwiczki znalazły się na zawiasach, obicia na swoim miejscu, żelazne części błyszcząły jak nowe, farba odświeżona, latarnie naprawione, na każdym siedzeniu poduszki i oparcia, pocztylioni kładli paczki do pudeł, posługacze lali wodę na nowe koła. Uwijało się tu mnóstwo ludzi, przymocowując dyszle do każdego wozu. Pasażerowie nadchodzili, oddawali swoje walizki; przyprowadzano konie. Słowem, jasne było, że lada chwila wozy ruszą w drogę. Panowie! Wuj otwierał na ten widok oczy tak szeroko, że do końca życia nie mógł się dość nadziwić, iż udało mu się je później zamknąć!

— No! — odezwał się jakiś głos i ktoś dotknął ramienia wuja. — Kupił pan bilet! Radzę zająć miejsce!

— Ja kupiłem?! — mówi wuj i ogląda się zdumiony.

— Naturalnie!

Wuj, panowie, nie mógł wymówić słowa — taki był tym zdziwiony! Najśmieszniejsze ze wszystkiego było to, że chociaż zebrało się tylu ludzi i chociaż co chwila pokazywali się inni, nie mówili, skąd się wzięli. Zdawało się, że w jakiś niewytłumaczony sposób zjawiają się z powietrza czy z ziemi i znikają tak samo tajemniczo. Kiedy portier włożył do karety bagaż i otrzymał zapłatę, odchodził. Ale zanim wujek obejrzał się, już skądś zjawiało się całe mnóstwo innych, niosących tak ciężkie tłumoki, że się pod nimi uginali. Strój pasażerów był jakiś dziwaczny! Szerokie, wielkie płaszcze z bufiastymi rękawami, bez kołnierzy. I peruki, panowie, peruki z warkoczami! Wuj mój nie mógł nic z tego zrozumieć.

— Wsiada pan czy pan nie wsiada? — spytała osobistość, która przedtem odezwała się do mego wujka. Ubrana była jak pocztylion, w olbrzymiej peruce, w płaszczu z bufiastymi rękawami; w jednej ręce trzymała latarkę, w drugiej pistolet, który przytykała do piersi. — Wsiadasz czy nie wsiadasz, Jack Martin? — dodała, świecąc memu wujkowi w twarz.

— Halo! — zawołał wujek cofając się. — To trochę zbyt bezceremonialnie!

— Tak jest w spisie pasażerów! — zimno odpowiedział pocztylion.

— A czy nie ma tam małego słówka *pan*? — mówił wuj, bo czuł, panowie, że gdyby pocztylion wiedział, z kim ma do czynienia, to nie opuściłby *pan*.

— Nie, nie ma żadnego *pan*!

— Przejazd opłacony? — pyta wuj.

— Naturalnie! — mówi tamten.

— Opłacony? opłacony? — powtarza wuj. — No, to nie ma rady! Który dylizans?

— Ten! — powiada pocztylion i pokazuje stary dylizans Londyn–Edynburg, w którym już spuszczone stopnie i otworzono drzwiczki. — Czekać pan! Są jeszcze inni pasażerowie! Nie pchaj się pan pierwszy!

Ledwie to powiedział, oczom mego wuja ukazał się młody człowiek w pudrowanej peruce i błękitnej kurtce szamerowanej srebrem, z szerokimi połami. Wujek, panowie, znał się na materiałach, ponieważ Tiggin i Welps pracowali przy drukowanych perkalikach. Człowiek ten miał krótkie pantalony i rodzaj sztylpów na jedwabnych pończochach i nosił buty ze sprzączkami. Mankiety miał wykończone kryzą, na głowie trójgraniasty kapelusz, a przy boku szpadę. Poły ubrania wisiały mu do kolan, a końce krawata opadały mu do pasa. Podszedł poważnie do drzwiczek dylizansu, zdjął kapelusz i trzymał go jakiś czas nad głową na wysokości ramienia; wysunął przy tym mały palec u prawej ręki, jak to czasami czynią wytwornisie pewnego gatunku trzymając filiżankę herbaty. Potem zsunął obie nogi, uklonił się bardzo nisko i dopiero wtedy nałożył kapelusz. Wuj miał właśnie zamiar wystąpić naprzód, lecz bardzo był poruszony, gdy zauważył, że te atencje skierowane są nie do niego, ale do młodej damy, która w tej chwili właśnie pokazała się na stopniu. Ubrana była w niemodną, uszytą z zielonego aksamitu suknię z długim gorsecikiem. Nie miała na głowie kapelusza, panowie, tylko czarny jedwabny kapturek, ale nim wsiadła do dylizansu, obejrzała się dokoła, pokazawszy przy tym tak piękną twarz, jakiej mój wuj nigdy przedtem nie widział — nawet na obrazkach! Weszła do dylizansu, jedną ręką podtrzymując suknię. I jak opowiadał zawsze mój wujek (przy czym nie omieszkał nigdy zaklinać się, że mówi prawdę), nie uwierzyłby nigdy, że mogą istnieć równej piękności nogi i ręce, gdyby nie patrzył na nie własnymi oczyma!

Ale spojrzawszy na młodą damę wuj zauważył, że patrzy na niego błagalnie i że wydaje się zastraszone i przerażone. Zauważył również, że młodzian w pudrowanej peruce, aczkolwiek bardzo uprzejmy i ugrzecznony, objął ją wpół przy wsiadaniu i wsiadł zaraz po niej. Przyłączył się do nich jakiś podejrzanego wyglądu jegomość w brązowej peruce i jaskrawym ubraniu, z wielką szpadą i w wysokich butach. Usiadł on obok młodej damy, która wtuliła się w kąć dylizansu; wujek od razu zmiarkował, że to jakaś ciemna historia, że coś się święci, jak zwykł był mawiać w takich okolicznościach! W jednej chwili zdecydował się przyjść z pomocą młodej damie, gdyby potrzebowała pomocy.

— Śmierć i błyskawice! — zawołał młody gentleman i dotknął ręką szpady, gdy mój wujek wsiadł do dylizansu.

— Krew i pioruny! — ryknął drugi gentleman. To mówiąc wyciąga szpadę i bez dalszych ceremonii napada na wuja. Wuj nie miał przy sobie broni, ale bardzo zręcznie zerwał gentlemanowi jego trójgraniasty kapelusz i nastawił go tak, że szpada przedziurawiła go w samym środku. Wtedy ścisnął ją pomiędzy brzegami kapelusza i czeka.

— Dźgnij go z tyłu! — zawołał podejrzanego jegomość do towarzysza, usiłując wyrwać wujkowi swoją szpadę.

— Nie radzę! — zawołał wuj, pokazując koniec buta gestem bardzo groźnym. — Wyrzuję mu ze łba mózg, jeżeli go ma, albo przetnę skórę, jeżeli mózgu nie ma! — Tu wuj natężywszy się wyrwał gentlemanowi z rąk szpadę i wyrzucił ją przez okno. Na co młodszy z jegomościów znów zawołał: — Śmierć i błyskawice! — i groźnie położył rękę na szpadzie, ale jej nie wyciągnął. Może, jak z uśmiechem mawiał wuj, może bał się przestraszyć młodą damę!

— Moi panowie! — powiada wuj, siadając swobodnie. — Nie życzę tu sobie żadnej śmierci, z błyskawicami czy bez błyskawic, zwłaszcza w towarzystwie damy, a co do

piorunów i krwi, mieliście tego dość jak na jeden dzień! Więc, panowie, proszę zająć swoje miejsca i jazda! Hej tam, posługacz! Proszę podnieść szczyryk gentlemiana!

Zaledwie wuj to powiedział, w oknie dylizansu ukazał się pocztylion ze szpadą gentlemiana w ręku. Podniósł latarkę i poważnie spojrzął w twarz wujkowi, a wuj, ku swemu zdumieniu, przekonał się, że za oknem kręci się całe mnóstwo pocztylionów i każdy badawczo patrzy na niego. Nigdy w życiu nie widział takiego morza białych twarzy, czerwonych ciał i badawczych oczu, jak w ów dzień!

„Najdziwniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek zdarzyła!” — myśli wuj.

— Pozwoli pan, że mu zwrócę kapelusz?

Podejrzany jegomość w milczeniu odebrał swój trójgraniasty kapelusz, spojrzął na dziurę z zajęciem i cisnął go wreszcie na czubek peruki z godnością, której efekt osłabił ponurym mruknięciem i zdjęciem po chwili owego nakrycia głowy.

— W porządku! — zawołał pocztylion i ruszyli z miejsca. Wuj wyjrzał oknem, gdy wyjeżdżali z dziedzińca, i zobaczył, że wszystkie inne dylizanse jeżdżą sobie w kółko po dziedzińcu z niewielką szybkością, bo jakie pięć mil na godzinę. Strasznie to oburzyło mego wujka, panowie! Jako człowiek interesu uważał, że karetki pocztowe nie są na to, by się nimi bawić, i postanowił napisać skargę do urzędu pocztowego, jak tylko wróci do Londynu!

Ale w owej chwili myśli jego były zupełnie zajęte młodą damą, która siedziała w kącie dylizansu, z głową wtuloną w kapturek płaszcza. Gentleman w błękitnym ubraniu siedział naprzeciw niej. Gentleman w jaskrawym ubraniu obok niej. Obaj nie spuszczała z niej oka. Jeżeli odważyła się choćby poruszyć fałdy kapturka, podejrzany jegomość natychmiast uderzał się po rękojęści szpady, a wujek odgadywał z jego gniewnego mruczenia (nie mógł go widzieć, bo było ciemno), że gotów damę połknąć jak nic. To coraz więcej gniewało mego wujka, więc postanowił, żeby tam nie wiedzieć co, położy temu kres. Wuj uwielbiał bowiem piękne oczy, ładne twarzyczki, zgrabne nóżki i małe stopy. Słowem — kochał tę płeć! To już rodzinne, panie! Ja — również!

Liczne były sposoby, którymi wujek starał się zwrócić uwagę damy albo wciągnąć tajemniczych jegomościów w rozmowę. Wszystko na próżno! Gentlemani nie chcieli mówić, dama nie śmiała! Co pewien czas wujek wychylał się oknem, by zobaczyć, dlaczego tak wolno jadą. Wołał, aż ochrypl w końcu — nikt mu nie odpowiadał! Więc oparł się o poręcz i myślał o cudnej twarzy i drobnych stopach. To właśnie było najlepsze! Czas biegł niepostrzeżenie i wuj nie głowił się już, dokąd jedzie i w jaki sposób dostał się w podobną sytuację. Nie dlatego, żeby go to martwiło — nie! Wuj był na wszystko gotowy, odważny gentleman, co się i samego diabła nie ulęknie!

Nagle dylizans stanął.

— Halo! — zawołał wuj. — Co się, u diabła, stało?

— Wszyscy wysiadać! — woła pocztylion.

— Wysiadać? Tutaj? — pyta wuj.

— Tutaj! — odpowiada pocztylion.

— Ani mi się śni! — woła wuj.

— Doskonale! Więc zostań pan, gdzie jesteś! — odpowiada pocztylion.

— Zostanę! — mówi wujek.

— Zostań! — mówi pocztylion.

Inni pasażerowie przysłuchiwali się tej rozmowie z wielką ciekawością, a widząc, że wujek postanowił zostać, młody gentleman wysiadł i podał rękę damie. Podejrzany jegomość obejrzał uważnie dziurę w swoim trójgraniastym kapeluszu. Przechodząc obok

wujka młoda dama upuściła mu na kolana jedną z rękawiczek i szepnęła ledwo dosłyszalnym głosem: — Pomocy!

— Panowie! Wuj z takim pośpiechem wyskoczył z dylizansu, że aż stopnie trzasnęły!

— Namyslił się pan? — zapytał pocztalion, widząc wuja. Wuj spojrział na niego. Przez chwilę przyszło mu na myśl, czy nie dobrze by było wyrwać pocztalionowi pistolet z łapy, wypalić w twarz jegomościowi z wielkim mieczem, zdzielić resztę towarzystwa pałąką po łbie i uciec z młodą damą. W następnej chwili jednak wyrzekł się tego planu uważając, że jest zbyt melodramatyczny w wykonaniu, i poszedł za dwoma tajemniczymi jegomościami, którzy mając między sobą młodą damę, weszli do wielkiego domu stojącego przed nimi. Weszli na korytarz, wuj za nimi.

Wuj mówi, że ze wszystkich zrujnowanych i opuszczonych miejsc, jakie kiedykolwiek widział, to wydało mu się najbardziej opuszczone. Dom wyglądał tak, jakby kiedyś był wielkim zajazdem. Ale dach zapadł się w wielu miejscach, schody były zmurszałe, pokieraszowane, połamane. W ostatnim pokoju, do którego weszli, było palenisko i kominek czarny od dymu. Ale wesoły płomień nie ogrzewał go w tej chwili! W palenisku leżało nieco białego popiołu ze spalonych polan, ale wewnątrz kominka było zimne, ciemne.

— No — powiada wuj, obejrzawszy się. — Dylizans, który wlecze się z szybkością sześciu mil na godzinę, a potem wybiera postój w takim miejscu — to nieczysta sprawa! Musimy zawiadomić kogo należy! Podam to do gazet!

Wuj powiedział to głośno, chcąc w ten sposób zmusić tajemniczych gentlemanów do rozmowy. Ale żaden z nich nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, szeptali coś do siebie i krzywili się, patrząc na niego. Dama znajdowała się w drugim końcu pokoju i wujek miał wrażenie, że kiwa na niego rączką — jak gdyby prosząc o pomoc.

Wreszcie obaj nieznajomi zbliżyli się nieco i rozmowa się nawiązała.

— Nie wiesz, zdaje się, mój poczcivcze, że to prywatny pokój? — powiada jegomość w błękitnym ubraniu.

— Nie, nie wiedziałem, mój poczcivcze! — mówi wuj. — Ale jeżeli ma to być prywatny pokój, to jakże miły i zaciszny musi być ogólny! — To mówiąc wuj siada na krześle z wysoką poręczą i patrzy na gentlemana z taką miną, że tylko za nią Tiggin i Welps powinni mu byli dać materii na ubranie — i to dokładnie tyle, ile potrzeba, ani całą mniej.

— Wyjdź pan z tego pokoju! — wołają obaj gentlemani i chwytają za szpady.

— Co takiego? — pyta wuj udając, że nie rozumie — o co chodzi?

— Opuść pan pokój albo jesteś trup! — mówi podejrzany jegomość, wyjmując swoją wielką szpadę i wywijając nią w powietrzu.

— Skończyć z nim! Skończyć z nim! — woła jegomość w błękitnym ubraniu i odskakuje kilka kroków. — Skończyć z nim! — Dama wydała lekki okrzyk.

Otóż, panowie, wuj zawsze odznaczał się zimną krwią i przytomnością umysłu. Przez cały czas, gdy tamci mu grozili, wuj stał z obojętną miną i oglądał się za jakąś bronią albo innym środkiem obrony i w chwili kiedy tamci wyciągnęli szpady, wuj zauważył koło kominka stary rapier w zardzewiałej pochwie. Jednym susem wuj znalazł się koło kominka, złapał rapier, wyjął go z pochwy, machnął tego nad głową, krzyknął na damę, żeby mu nie wchodziła w drogę, rzucił krzesło w łeb temu w błękitnym ubraniu, a pochwę w tego w jaskrawym ubraniu i korzystając z ich konsternacji, runął na nich na chybił trafił.

Panowie! Znacie starą historię o młodym Irlandczyku, który, gdy go zapytano, czy umie grać na skrzypcach, odpowiedział, że pewnie, ale nie na pewno, bo nigdy jeszcze nie miał skrzypiec w rękę? Można to zastosować do mego wuja i jego szermierczych zdolności. Nigdy przedtem nie miał w ręce szpady, z wyjątkiem jednego razu, kiedy grał Ryszarda III w teatrze amatorskim, ale i przy tej okazji umówił się z Richmondem, że się schowa za kulisy i nie będzie go wcale widać! Ale teraz musiał wuj walczyć z dwoma doświadczonymi szermierzami! Napierać, odpierać, atakować, bronić się i umykać, zręcznie i umiejętnie, chociaż do tej chwili nigdy tego nie robił! Najlepszy to dowód, ile jest prawdy w starym przysłowiu, że człowiek nigdy nie wie, co potrafi, nim spróbuje!

Walka była strasznie hałaśliwa! Kombatanci klęli jak kawalerzyści, a szpady ich robiły tyle hałasu, co wszystkie noże na rynku Newport, gdyby nimi uderzać o siebie! Kiedy walka doszła do największego napięcia, dama (prawdopodobnie dlatego, żeby dodać odwagi memu wujkowi) zrzuciła kapturek z głowy i ukazała oblicze tak cudnej piękności, że wuj gotów był walczyć z pięćdziesięcioma wrogami, byle zdobyć jej uśmiech i umrzeć dla niego! I przedtem już dokazywał cudów, ale gdy zobaczył jej twarzyczkę, walczył jak oszalały olbrzym.

W tej samej chwili młodzieniec w błękitnym ubraniu odwrócił się, a zobaczywszy, że młoda dama ma odkrytą twarz, wydał okrzyk zazdrości i gniewu, zadał jej cios w samo serce, na co mój wuj krzyknął tak, że aż cały budynek zadrżał! Dama odskoczyła lekko i schwyciwszy koniec szpady błękitnego, zanim zdążył odzyskać równowagę, pchnęła go na ścianę i odwróciwszy szpadę przygwoździła nią błękitnego mocno i na fest. Był to wspaniały przykład dla wuja! Wuj krzyknął z triumfem, zmusił swego przeciwnika, by skoczył w tym samym kierunku, i wpakowawszy stary rapier w sam środek wielkiej róży na kamizelce gentlemiana, przygwoździł go obok jego towarzysza! Stali tak sobie, moi panowie, machając rękoma i nogami, jak owe figurki poruszane sznurkiem! Mój wuj często powtarzał później, że to najpewniejszy sposób pozbycia się nieprzyjaciela! Ale i kosztowny, bo się traci jedną szpadę na każdego draba!

— Konie! Konie! — wołała dama biegnąc do mego wujka i zarzucając mu swoje wspaniałe ramiona na szyję. — Uciekajmy! Może jeszcze uda nam się uciec!

— Może? — pyta wuj. — Czy jeszcze jest kto do zabicia, ślicznotko? — Wujek nie był z tego bardzo zadowolony, bo uważał, że po takiej walce przydałoby się trochę gruchania we dwoje.

— Nie mamy chwili do stracenia! — mówi ona. — „On” (tu pokazuje na tego w błękitnym) jest jedynym synem potężnego markiza Filletoville’a!

— Obawiam się, kochanie, że nigdy nie odziedziczy tytułu po ojcu — powiada wuj, patrząc zimno na młodego gentlemiana, który stał przy ścianie w wyżej opisanej pozie. — Zabiłaś dziedzica, najdroższa!

— Ci łajdacy pozbawili mię domu i przyjaciół! — wołała młoda dama, a twarz jej oblał rumieniec oburzenia. — Ten łajdak miał mię poślubić wbrew mojej woli!

— Przekłeta niech będzie jego podłość! — zawołał, patrząc z pogardą na dziedzica Filletoville’a.

— Jak pan mógł domyślić się z tego, co pan widział — ciągnęła dama — gotowi byli mnie zabić, gdybym zawołała o pomoc! Jeżeli ich wspólnicy odkryją nas tutaj, przepadliśmy! Za dwie minuty może być za późno! Konie! — z tymi słowami, wzruszona przeczuciem tego, co się stać może, i wycieńczona zabiciem młodego markiza Filletoville’a zemdląca i padła w ramiona mego wujka. Wuj porwał ją na ręce i wyniósł

przed dom. Dylizans stał przed gankiem zaprzężony w cztery długoogoniaste, kare, dobrze spasionie konie.

Panowie! Przypuszczam, że nie uwłaczam pamięci mego wuja twierdząc, że chociaż był kawalerem, nieraz już trzymał w objęciach niewiastę. Mam nawet podejrzenie, że chętnie całował kelnerki. Złapano go nawet raz czy dwa, jak ścisnął gospodynię w bardzo niedwuznaczny sposób. Wspominam te okoliczności, by zaznaczyć, że musiała to być niezwykła dama, skoro tak podziałała na mego wuja. Mówił, że kiedy wróciła do przytomności i spojrzała na niego swymi wielkimi, czarnymi oczyma, a długie jej włosy muskały jego ramię, zrobiło mu się tak dziwnie, że aż nogi ugięły się pod nim. Ale któż potrafi patrzeć obojętnie w piękne czarne oczy? Ja nie, panowie! Boję się patrzeć w pewne znane mi oczy! Wiem, co to znaczy!

— Nie opuścisz mię nigdy? — szepnęła młoda dama.

— Nigdy! — odrzekł wuj. I mówił szczerze.

— Mój drogi obrońco! — zawołała dama. — Drogi, kochany, dzielny obrońco!

— Ach, nie mów, pani! — zawołał wuj.

— Dlaczego? — pyta ona.

— Bo usta twoje są tak piękne, gdy mówisz, że obawiam się, iż będę brutalny i pocałuję cię! Młoda dama podniosła rękę, jak gdyby chciała zagrozić wujkowi, by tego nie robił, i powiedziała — nie, nic nie powiedziała, tylko się uśmiechnęła. Kiedy patrzysz na najcudniejsze wargi na świecie i widzisz, jak się uśmiechają — jeżeli jesteś pochylony tuż nad nimi i nikt nie patrzy — nie możesz wyrazić swego zachwytu nad ich barwą i kształtem, nie pocałowawszy choćby jeden raz! Wujek mój uczynił to i szanuję go za to!

— Co? — zawołała młoda dama, przerażona. — Turkot kół i rzenie koni?

— Tak — powiada wuj. Dobrze miał ucho na turkot kół i stuk kopyt końskich. Ale miał wrażenie, że tyle koni i kół zbliża się z daleka, iż niepodobna było określić ich ilości.

— Gonia nas! — zawołała młoda dama, składając ręce. — Gonia nas! Cała moja nadzieja w panu!

Tyle było strachu w jej cudnej twarzy, że mój wuj zdecydował się w jednej chwili. Wsadził damę do karety, prosił, by się nic nie bała, raz jeszcze przycisnął usta do jej warg i poradziwszy, by zamknęła okna, bo zimno, wskoczył na kozioł.

— Czekaj, ukochany! — zawołała młoda dama.

— Co się stało? — pyta wuj już z kozła.

— Chciałam z tobą pomówić! Tylko jedno słowo! Jedno słowo, najdroższy!

— Mam zejść? — pyta wuj. Dama nie odpowiada, tylko się uśmiecha. Wuj w jednej chwili był już przy niej.

— Co się stało, kochanie? — pyta wuj, zaglądając przez okno karety. Dama pochyliła się w tej samej chwili i wujek stwierdził, że jest jeszcze piękniejsza! Stał przy niej bliźutko, panowie, więc musiał dokładnie widzieć!

— Co się stało, ukochana? — pyta wujek.

— Nie będziesz nikogo kochał poza mną? — pyta ona — Nigdy się z nikim nie ożenisz? Wujek przysiągł uroczyście, że się nigdy nie ożeni, a wtedy cofnęła główkę i zamknęła okno. Wskoczył na kozioł, rozstawił łokcie, wziął lejce, schwycił za bat, który leżał na dachu, i pomknął poganiając cztery dzielne, długoogoniaste kare rumaki z szybkością pięćdziesięciu mil angielskich na godzinę! A stary dylizans sunął za nim... Aż się kurzyło!

Hałas za nimi wzmagął się. Im prędzej pędził stary dylizans, tym prędzej pędziła pogoń. Hałas był piekielny, ale wszystko zagłuszał krzyk młodej damy: — Prędzej, prędzej!

Mknęli obok ciemnych drzew, jak pióra gnane przez wiatr! Domy, bramy, kościoły, rozmaitego rodzaju inne przedmioty mijali z hałasem i turkotem. Ale pogoń zbliżała się coraz bardziej, a młoda dama coraz głośniej krzyczała: — Prędziej! Prędziej! — Tu mój wuj uderzył mocno butem — i przekonał się, że jest już świt, a on siedzi na starym kole edynburskiego dylizansu, mokry i zziębnięty, i uderza nogami, żeby się rozgrzać! Zsiada i ogląda się za piękną damą! Niestety! Dylizans nie miał ani drzwi, ani siedzenia... Stare pudło, i tyle!

Oczywiście, wuj wiedział, że to jakaś tajemnicza historia i że wszystko odbyło się tak, jak pamiętał. Zdębiał przypomniawszy sobie przysięgę złożoną pięknej damie: z tego powodu odmówił kilku zamożnym gospodyniom i umarł jako kawaler. Zawsze powtarzał: co to za dziwna rzecz, że w taki prosty sposób (po prostu dlatego, że przelazł przez płot!) dowiedział się, iż duchy karek, stangretów i pasażerów odbywają co noc takie cudaczne podróże! Dodawał przy tym, że pewnie jest jedynym żyjącym człowiekiem, który brał udział w tych niesamowitych ekskursjach! Myślę, że miał słuszość, panowie! Przynajmniej ja nie słyszałem o żadnym innym!

* * *

— Ciekaw jestem, co takie duchy karek pocztowych mogą wozić w kufrach? — zapytał gospodarz, który wysłuchał wszystkiego z wielkim zajęciem.

— Listy umarłych, oczywiście! — odparł komiwojażer.

— Prawda! Naturalnie! — odrzekł gospodarz. — Że też mi to nie przyszło do głowy!

Rozdział pięćdziesiąty

Jak pan Pickwick wywiązał się ze swej misji i jak znalazł sprzymierzeńca

Konie stały się nazajutrz punktualnie kwadrans przed dziewiątą. Pan Pickwick zajął miejsce wewnątrz powozu. Sam usiadł w tyle, na zewnątrz, po czym pocztylionowi polecono udać się do mieszkania pana Boba Sawyera, by zabrać Bena Allena.

Gdy zajechano przed drzwi z czerwoną latarnią, gdzie widniał napis: „Sawyer; niegdyś Nockemorf”, pan Pickwick wysunął głowę i ze zdziwieniem ujrzał, iż mały chłopak w szarej liberii zamyka okiennice. O tak wczesnej godzinie było to rzeczą niezwykłą i nie odpowiadającą naturze zajęcia pana Sawyera, filozof powziął więc natychmiast dwa przypuszczenia: albo umarł jakiś dobry przyjaciel lub pacjent pana Boba, albo też pan Bob ogłosił niewypłacalność.

— Co się stało? — zapytał pan Pickwick chłopca.

— Nic, panie — odrzekł zapytany, rozdziawiając w uśmiechu gębę od ucha do ucha.

— Wszystko dobrze! — zawołał Bob, ukazując się nagle na progu z małą, brudną, skórzaną torbą podróżną w ręce oraz z grubym płaszczem i szalem przewieszonym przez ramię. — Jadę z wami.

— Pan? — zawołał pan Pickwick.

— Tak! Będzie to po prostu wyprawa. Hej, Samie! Uważaj!

Zaapelowawszy w ten sposób do uwagi Sama, którego twarz wyrażała wielkie zdumienie z powodu takiego stanowczego postępowania, Bob rzucił mu swą torbę, którą pan Weller umieścił pod siedzeniem. Po dokonaniu tego Bob, przy pomocy chłopca, włożył przemocą w nieco ciasny płaszcz i wsunąwszy następnie głowę do powozu, zaczął się głośno śmiać.

— Doskonały żart! — zawołał, ocierając sobie połą płaszcza łzy.

— Ależ, kochany panie — odrzekł pan Pickwick z pewnym zakłopotaniem — nie spodziewałem się, że będzie pan nam towarzyszył.

— W tym właśnie cała sztuka! — odparł pan Sawyer. — No, i cały żart!

— A! To żart? — zapytał pan Pickwick.

— Rozumie się. Rzecz w tym, że pozostawiam mój interes, by sam siebie wydobył z kłopotu, kiedy nie chciał wydobyć mnie.

Objaśniwszy w taki sposób fenomen zamykania okiennic, pan Sawyer wskazał na aptekę i znowu zaczął się śmiać.

— Jak to? Więc pozostawia pan swoich chorych, nie oddawszy ich wprzód pod opiekę innego lekarza? — zawołał pan Pickwick poważnym tonem.

— Dlaczegoż by nie? — odrzekł Bob. — Jeszcze oszczędzam na tym, bo ani jeden mi nie płaci. A przy tym — dodał zniżając głos do poufnego szeptu — i chorzy na tym także skorzystają, bo prawie nie mam lekarstw, a nie mogąc ich teraz kupić, byłbym zmuszony dawać wszystkim kalomel — co by niejednemu nie wyszło na dobre. A tak wszystkim będzie lepiej.

W odpowiedzi tej była logika i filozofia, jakiej pan Pickwick nie spodziewał się. Pan Pickwick odetchnął tylko głębiej, a potem powiedział, ale już nie tak stanowczo:

— Ależ ten powóz, kochany panie, może pomieścić tylko dwie osoby, a przyrzekałem już zabrać pana Allena.

— Niech się pan o mnie nie troszczy; już o tym pomyślałem... Usiądę z Samem za powozem. Popatrz pan: ten napis umieszczę na drzwiach sklepu: „Sawyer, dawniej Nockemorf. Zgłosić się naprzeciwko, do pani Cripps”. Pani Cripps — to matka tego małego chłopaka.

„Bardzo mi przykro — powie pani Cripps — ale musiał wyjechać — wezwano go dziś rano na konsylium z najsławniejszymi chirurgami — nie mogli sobie dać rady bez niego — okropna operacja”. Otóż spodziewam się — dodał w końcu Bob — że doskonale mi to zrobi. Jeśli wiadomość o tym dostanie się do miejscowych dzienników, stanę się wziętym lekarzem. Ale oto i Ben! No! Siadajmy!

Po tej szybko wypowiedzianej przemowie. Bob wepchnął swego przyjaciela do powozu, odsunął na bok poczytliona, zamknął drzwiczki, podniósł stopień, nakleił napis na drzwiach, zamknął je, schował klucz, potem wskoczył na tylne siedzenie obok Sama i dał poczytlionowi sygnał do odjazdu; wszystko to uczynił z taką szybkością, że zanim pan Pickwick mógł się ostatecznie zdecydować, czy ma z sobą wziąć Boba, czy nie, powóz toczył się już na dobre; w ten sposób pan Bob Sawyer został formalnym członkiem jadącego towarzystwa.

Dopóki powóz posuwał się ulicami Bristolu, wesoły Bob miał na nosie swe zielone okulary i zachowywał odpowiednią powagę, poprzestając na szeptaniu jakichś dowcipów do wyłącznego użytku i radości Sama. Ale jak tylko wyjechano na gościniec, pozbył się od razu i okularów, i zawodowej powagi i zaczął wyrabiać rozmaite figle, tak że aż zwrócił uwagę przechodniów, a powóz wraz z jego zawartością uczynił przedmiotem więcej niż powszechnej ciekawości. Najniewinniejszym i najmniej hałaśliwym z tych figlów było przeraźliwe naśladowanie trąbki pocztowej i rozpostarcie karmazynowej chustki przywiązanej do końca laski na kształt sztandaru, którym powiewał z różnymi gestami — wręcz zaczepnymi albo świadczącymi o pewności siebie.

— Nie rozumiem — rzekł pan Pickwick, przerywając poważną rozmowę z Benem Allenem o przymiotach pana Winkle’a i pani Arabelli — nie rozumiem, co wszyscy przechodzący widzą w nas tak nadzwyczajnego, iż się tak oglądają.

— Może im się podoba ten piękny powóz — odrzekł Ben z pewną dumą — nie zawsze można widzieć taki ekwipaż.

— I to być może — powiedział pan Pickwick, udobruchany tym przypuszczeniem, ale zobaczywszy przez okno, że spojrzenia przechodzących bynajmniej nie wyrażają zdumienia połączonego z szacunkiem i że przechodnie wymieniają rozmaite znaki porozumiewawcze z podróżnymi siedzącymi zewnątrz powozu, pan Pickwick począł sobie uświadamiać, iż demonstracje te mogą mieć jakiś daleki związek z jowialnym humorem Boba Sawyera.

— W każdym razie, spodziewam się — rzekł filozof — że nasz żartobliwy przyjaciel nie popełnia tam żadnej niedorzeczności.

— O, nie! — odrzekł Ben Allen. — Bob to najspokojniejsza w świecie istota, o ile nie wypił trochę za dużo.

W tej chwili usłyszano przydługie naśladowanie trąbki, po którym bezzwłocznie nastąpiły wesołe okrzyki i długie wycie, widocznie wychodzące z gardła i piersi „najspokojniejszej w świecie istoty”, a mówiąc wyraźniej — pana Boba Sawyera. Pan Pickwick i Ben zamienili wiele mówiące spojrzenia i pierwszy z nich zdjął kapelusz i wychylił się połową ciała przez okno, co w końcu pozwoliło mu dojrzeć żartobliwego swego przyjaciela.

Pan Bob Sawyer siedział nie z tyłu, ale na dachu powozu, z nogami rozkraczonymi tak, jak mu to pozwalała jego własna wygoda; na głowie miał kapelusz Sama włożony na bakier, w jednej ręce trzymał ogromny kawał chleba z masłem, a w drugiej ogromną plecioną butelkę i z głębokim zadowoleniem przemawiał to do jednego, to do drugiego, raz po raz przerywając monotoność tych czułości okrzykami i wrzaskami oraz wymianą krótkich, ale soczystych słów z pierwszymi lepszymi przechodniami. Karmazynowy sztandar przymocowany był bardzo pieczołowicie do oparcia, a pan Sam Weller siedział zdobny w kapelusz Boba i ciężko pracował nad drugim kawałkiem chleba z masłem, ale czynił to z tak pogodnym obliczem, że wyczytać z niego było można całkowite i pełne uznanie dla tego niezwykłego postępowania.

I tego wystarczyłoby, żeby zirytować człowieka o takim poczuciu przyzwoitości jak pan Pickwick, ale nie na tym miały się skończyć jego udręki, w tej bowiem chwili minął ich dyliżans pocztowy pełen pasażerów wewnątrz i zewnątrz i ci pasażerowie wyraźnie demonstrowali swoje najwyższe zdumienie. Równie niemiłe były pozdrowienia pewnej rodziny irlandzkiej, która szła równo z powozem i przez cały czas żebrała. Nieprzyjemne zwłaszcza było zachowanie się głowy owej rodziny, który wziął wyczyny Boba za rodzaj politycznej czy triumfalnej manifestacji.

— Panie Sawyer! — krzyknął pan Pickwick mocno urażony — panie Sawyer!

— A co! — odpowiedział miły chłopiec, pochylając się ku jednej stronie powozu z największym spokojem.

— Czyś pan oszalał?

— Wcale nie, jestem tylko wesóły.

— Wesóły! Zdejm mi pan natychmiast tę skandaliczną czerwoną chustkę! Stanowczo żądam tego. Samie! Odbierz mu ją!

Nim Sam zdobył się na ten krok. Bob Sawyer dobrowolnie spuścił sztandar, umieścił go w kieszeni, przyjacielsko skinął głową panu Pickwickowi, otarł otwór flaszki i przyłożył ją do ust, dając w ten sposób, bez uciekania się do niepotrzebnej przemowy, do zrozumienia panu Pickwickowi, że tym toastem życzy mu zdrowia i wszelkiej pomyślności. Wykonawszy to Bob zatknął starannie korek, spojrzął na pana Pickwicka z wielką przyjaźnią i począł zajadać chleb z masłem oraz uśmiechać się.

— No, panie! — zawołał filozof, którego chwilowy gniew nie mógł sprostać niewzruszonemu spokojowi Boba — nie rób pan takich niedorzeczności.

— Nie, nie — odrzekł uczeń Eskulapa, zamieniając kapelusze z Samem — robiłem to nie w złej myśli, ale podróż tak mię ożywiła, iż nie mogłem się powstrzymać.

— Pomyśl pan, co ludzie powiedzą na to — mówił dalej pan Pickwick przekonywającym tonem. — Miejsze pan wzgląd na przyzwoitość!

— O, rozumie się — odrzekł Bob. — Nic już więcej nie zrobię i będę spokojny, drogi panie! Poprzestając na tym zapewnieniu pan Pickwick cofnął się w głąb powozu i opuścił okno. Ale zaledwie rozpoczął na nowo przerwana rozmowę, gdy go do pewnego stopnia przestraszyło pojawienie się jakiegoś nieprzejrystego ciała o podłużnej postaci po drugiej stronie okna; ciało to wielokrotnie uderzało w szybę, jakby prosiło o wpuszczenie.

— A to co znowu? — zawołał pan Pickwick.

— To coś podobnego do flaszki — odrzekł Ben Allen, przypatrując się temu przedmiotowi z wielkim zajęciem przez okulary. — To, zdaje się, własność Boba.

Było to przypuszczenie zupełnie trafne, gdyż Bob Sawyer, przywiązawszy butelkę do końca laski, pukał nią w okno wzywając w ten sposób swych przyjaciół, by na znak niewzruszonej przyjaźni i pełnej między nimi harmonii zechcieli zbadać jej wnętrze.

— Co tu robić? — zapytał pan Pickwick — jest to pomysł jeszcze niedorzeczniejszy niż poprzedni.

— Sądzę, że najlepiej będzie, gdy weźmiemy flaszkę i zatrzymamy u siebie — rzekł Ben.
— Zasłużył na to, by mu spłatać takiego figla.

Ponieważ pan Pickwick w zupełności podzielał tę opinię, powoli więc opuścił okno, odwiązał butelkę od laski, do której była przywiązana, po czym laska została cofnięta do góry. W tej chwili usłyszano serdeczny śmiech Boba.

— Co to za wesoły chłopiec — rzekł pan Pickwick, oglądając flaszkę znajdującą się w rękach towarzysza podróży.

— O! Bardzo wesoły! — odpowiedział Ben.

— Nie można się długo gniewać na niego — zauważył pan Pickwick.

— Nie, nie można.

Podczas tej krótkiej wymiany zdań pan Pickwick w roztargnieniu odkorkował butelkę.

— Co to jest? — zapytał obojętnie pan Allen.

— Sam nie wiem — odpowiedział z równą obojętnością pan Pickwick. — Ale zdaje mi się, że to pachnie ponczem.

— Czy tak? — rzekł Ben.

— Przynajmniej tak mi się zdaje — powiedział pan Pickwick, który zawsze bronił się przed możliwością powiedzenia nieprawdy. — Dopóki nie spróbowałem, z całą pewnością nie mogę tego twierdzić.

— To niech pan spróbuje — rzekł Ben. — W ten sposób przekonamy się, o co właściwie chodzi.

— Tak pan sądzi! Ha! Jeżeli pan życzy sobie tego, to nie mam nic przeciwko temu.

Zawsze gotów czynić zadość pragnieniom swych przyjaciół, pan Pickwick dość długo próbował zawartość flaszki, aż wreszcie pan Allen zapytał go trochę niecierpliwie:

— I cóż to jest?

— To szczególne! — odparł filozof, mlaskając ustami — nie jestem jeszcze zupełnie pewny, ale... (tu łyknął raz jeszcze), ale tak. To poncz!

Ben Allen spojrzał na pana Pickwicka, pan Pickwick spojrzał na Bena Allena. Pan Ben Allen uśmiechnął się: pan Pickwick zachował zwykłą swą powagę, potem zaś powiedział z całą surowością:

— Pański przyjaciel zasługuje na to, byśmy mu wypili wszystko, do ostatniej kropli.

— Jestem tego samego zdania — zauważył Ben Allen.

— Czy tak? A więc za jego zdrowie! — rzekł pan Pickwick. To rzekłszy, znakomity nasz przyjaciel pociągnął z niesłychaną energią z flaszki, po czym wręczył ją Beniaminowi, który nie kazał się prosić i poszedł za jego przykładem. Uśmiech rozjaśnił twarze obydwóch, a poncz znikł powoli i ku wielkiemu zadowoleniu podróżników.

— W każdym razie — rzekł pan Pickwick, przełykając ostatnie krople — pomysły jego są rzeczywiście bardzo zabawne.

— O, tak! — odrzekł Ben Allen. I by dowieść, że Bob był jednym z najprzyjemniejszych i najweselszych kolegów, pan Ben Allen począł bawić pana Pickwicka długim opowiadaniem, jak to przyjaciel jego pewnego razu wypił tak wiele, że dostał gorączki i musiał sobie ogolić głowę. Opowiadanie o tym zajmującym wypadku trwało jeszcze, gdy powóz zatrzymał się przed oberżą „Pod Dzwonem” w Berkeley Heath, gdzie zmieniono konie.

— Może tu zjemy obiad? — zapytał Bob, zaglądając w okno.

— Obiad? — odparł pan Pickwick. — Przejechaliśmy przecież dopiero dziewiętnaście mil, a mamy przejechać osiemdziesiąt siedem i pół.

— Dlatego właśnie musimy nabrać sił, aby móc sprostać niewygodom podróży — zauważył Bob Sawyer.

— Ależ to niemożliwe jeść obiad o wpół do dwunastej — rzekł pan Pickwick, patrząc na zegarek.

— Mniejsza o to! — zawołał Bob — możemy to nazwać lunchem! Hej! Garson! Lunch na trzy osoby. Konie mają jeszcze postać z kwadrans w stajni. Dawajcie wszystko, co macie na zimno, parę butelek porteru i najlepszą maderę.

Wydawszy te rozkazy z wielką precyzją i donośnym głosem, Bob Sawyer wszedł do oberży, by dopilnować ich wykonania. W pięć minut powrócił z oznajmieniem, iż wszystko gotowe i w doskonałym gatunku. Jakość lunchu usprawiedliwiała w zupełności te pochwały i nie tylko ten gentleman, ale także Ben Allen i pan Pickwick dali tego dowody. Pod auspicjami tej trójki wyprózniono flaszki porteru i madery, a gdy zaprzężono konie i wszyscy pasażerowie zajęli miejsca, oplatana flaszka Boba znów została napełniona najlepszym ekwiwalentem dawnego ponczu, jaki w tak krótkim czasie można było otrzymać, trąbka zatrąbiła, a czerwony sztandar powiewał w najlepsze, już bez najmniejszego sprzeciwu ze strony pana Pickwicka.

W Tewkesbury zatrzymano się na obiad, pito porto, maderę i porter. W końcu napełniono znowu flaszkę po raz czwarty. Pod skombinowanym wpływem tych trunków pan Pickwick i Allen usnęli, a Bob Sawyer i Sam wyśpiewywali przez całą drogę bardzo wesołe duety.

Ściemniło się już zupełnie, kiedy pan Pickwick mógł wreszcie podnieść się na tyle, by spojrzeć w okno. Samotne, przydrożne dworki, ciemne zarysy mijanych przedmiotów, wokoło zapadający mrok, pokryte pyłem i kurzem ścieżki, czerwone ogniska w oddali, smugi czarnego dymu wznoszące się z wysokich kominów i zaciemniające wszystko dokoła, blask dalekich świateł, ciężkie wozy jadące gościńcem, naładowane żelastwem lub innym towarem, wszystko to mówiło, że są niedaleko wielkiego miasta Birmingham.

Gdy z turkotem jechali przez wąskie uliczki prowadzące do serca tego ruchliwego centrum, oczy i uszy nie mogły się dość nadziwić ożywieniu, jakie tu panowało. Ulice zatłoczone były ludźmi pracy. Echo pracy odbijało się o każdy dom. Światła błyskały w owalnych oknach każdego piętra, a szum, turkot kół i stuk kopyt końskich wprawiały w drżenie mury. Ogniska, które widzieli z daleka, paliły się dumnym płomieniem w piecach wielkich fabryk i w zakładach przemysłowych. Stuk młotów, syk pary, dudnienie maszyn — oto muzyka, która rozlegała się z każdego zaułka.

Pocztylion mknął już szybko przez ulice koło pięknych i jasno oświetlonych sklepów ciągnących się od krańców miasta do oberży „Królewskiej”, a pan Pickwick jeszcze nie zdążył należycie zastanowić się nad delikatną misją, która go tu sprowadziła.

Obecność pana Boba Sawyera bynajmniej nie ułatwiała tej delikatnej misji i nie zmniejszała trudności, jakie należało pokonać. Prawdę powiedziawszy, pan Pickwick czuł, że obecność pana Boba, aczkolwiek bardzo miła i przyjemna, nie jest zaszczytem, o który by się ubiegał. Chętnie poświęciłby pewną sumę na to, by wesoły chirurg znajdował się teraz o jakie pięćdziesiąt mil od Birmingham.

Filozof nasz nie znał osobiście pana Winkle’a starszego, chociaż parę razy odpisał mu na listy, udzielając zadowolających odpowiedzi co do charakteru i postępowania jego syna. Czuł więc, że złożenie pierwszej wizyty w towarzystwie Bena Allena i Boba Sawyera, niezłe podpitych, nie jest wcale środkiem, który by przychylnie usposobił ojca Nataniela.

— Bądź co bądź — powtarzał pan Pickwick dla dodania sobie odwagi — muszę zrobić, co będę mógł! Solennie przyrzekłem synowi, że dziś jeszcze zobaczę się z ojcem. Jeżeli młodzieńcy uprą się towarzyszyć mi, będę się starał, jak można, skrócić wizytę. Zresztą, sądzę, iż, dla własnego honoru, zechcą zachowywać się przyzwoicie!

Zaledwie pocieszył się w ten sposób, wehikuł stanął przed drzwiami oberży „Królewskiej”. Kiedy Sam obudził w końcu Bena Allena i wyciągnął go za kołnierz, pan Pickwick mógł wysiąść. Zaprowadzono ich do przyzwoitego pokoju, a pan Pickwick natychmiast zapytał posługacza, gdzie mieszka pan Winkle.

— Niedaleko stąd — powiedział posługacz. — Jakie pięćset kroków, panie, jest magazyn pana Winkle’a, nad kanałem, panie. A prywatne mieszkanie, ach! do prywatnego mieszkania również nie będzie nawet pięciuset kroków! — Tu posługacz zgasił świecę, by mieć sposobność znów zapalić ją i w ten sposób umożliwić panu Pickwickowi następne pytanie, jeżeli pan Pickwick pytać zechce.

— Czym mogę służyć? — zapytał posługacz zrozpaczony milczeniem pana Pickwicka.
— Herbatka? Kawa? Obiad?

— Nie, dziękuję!

— Słucham pana. Może zamówić kolację?

— Jeszcze nie teraz!

— Słucham pana! — Posługacz podszedł do drzwi, ale zatrzymał się i zapytał z wielkim namaszczeniem:

— Mam przysłać pokojówkę?

— Możesz, jeżeli chcesz!

— Jeżeli pan chce!

— I przyniesiesz wody sodowej! — zawołał Bob Sawyer.

— Wody sodowej? Piorunem! — I jakby mu ciężar spadł z pleców, że wreszcie dano mu jakieś zlecenie, posługacz natychmiast ulotnił się. Posługacze nigdy nie biegają ani chodzą. Posiadają dziwny i tajemniczy sposób ulatniania się z pokoiów, znany tylko im wyłącznie! Ponieważ woda sodowa zbudziła w panu Benie Allenie pewne słabe oznaki życia, przeto pozwolił sobie umyć twarz i zgodził się, by Sam oczyścił mu suknie. Gdy pan Pickwick i Sawyer usunęli nieład w ubraniu, spowodowany podróżą, wszyscy trzej udali się do pana Winkle’a. Bob Sawyer zatruwał po drodze powietrze wyziewami tytoniu.

W spokojnej, bocznej ulicy, o ćwierć mili od oberży wznosił się stary dom z czerwonej cegły. Drzwi, do których wchodziło się po trzech stopniach, miały u góry napis: „M. Winkle”. Schody były bardzo białe, cegły bardzo czerwone, a cały dom był nadzwyczaj czysty i schludny. Zegar wybił dziesiątą, gdy znajomi nasi zapukali do rzeczonych drzwi. Ładna służąca zjawiała się na odgłos pukania i cofnęła się, gdy ujrzała trzech nieznajomych.

— Czy pan Winkle jest u siebie? — zapytał pan Pickwick.

— Je kolację — odpowiedziała dziewczyna.

— Oddaj mu, moje dziecię, ten bilet i przeproś, że przychodzę tak późno, ale bardzo mi na tym zależy, by się zobaczyć z nim dziś jeszcze; dopiero przed chwilą przyjechałem.

Służąca patrzyła z niepokojem na pana Boba Sawyera, który za pomocą różnych dziwnych grymasów wyrażał podziw dla jej wdzięków, potem rzuciła okiem na wiszące w sieni kapelusze i płaszcze i zawołała inną dziewczynę, by pilnowała drzwi, po czym poszła na górę. Posterunek ten został jednak niebawem złuzowany, gdyż powróciła służąca i przeprosiwszy naszych znajomych za to, że zatrzymała ich na ulicy, wprowadziła do pokoju będącego w połowie biurem, a w połowie garderobą. Główne jego meblowanie

stanowiły biurko, umywalnia, zwierciadło do golenia, chłopiec do zdejmowania butów, taboret, cztery krzesła i stary zegar. Nad gzymsem kominka widać było drzwi do żelaznej kasy wpuszczonej w ścianę, a kilka półek z książkami i kalendarz ścienny oraz sporo warstw zakurzonego papieru zdobiło ściany.

— Przepraszam pana, iż musiał pan czekać za drzwiami — rzekła młoda dziewczyna zapalając lampę i zwracając się do pana Pickwicka z uprzejmym uśmiechem.

— Nie ma za co, kochane dziecię! — powiedział pan Pickwick.

— Nie jesteśmy obrażeni! — dodał Bob, wesoło rozwierając ramiona i skacząc w rozmaite strony, by nie mogła wyjść z pokoju.

Młodej damy nie bawiły wcale te igraszki, gdyż jasno wyraziła swoje zdanie o panu Bobie Sawyerze, mówiąc, że jest „nieznośną kreaturą”, a gdy zaczepki pana Boba stały się śmielsze, zakryła twarz rękoma i wybiega z pokoju nie szczędząc okrzyków oburzenia i wstępu.

Pozbawiony jej towarzystwa, Bob Sawyer zaczął myszkować po biurku, odsuwać szuflady, próbować zamka kasy, odwrócił kalendarz „twarzą do ściany”, naciągał buty pana Winkle’a seniora i robił ze sprzętami znajdującymi się w pokoju inne tym podobne dowcipne eksperymenty napełniające trwogą i oburzeniem pana Pickwicka, ale pobudzające do hałaśliwej wesołości pana Bena Allena.

Na koniec drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł niewielki staruszek w tabaczkowym fraku, z głową i twarzą, które, pominiawszy łysinę, były prawdziwym przeciwieństwem głowy i twarzy pana Winkle’a juniora, i trzymał w jednej ręce bilet pana Pickwicka, w drugiej zaś srebrny lichtarz.

— Witam pana — rzekł staruszek do pana Pickwicka, stawiając lichtarz i podając mu rękę. — Bardzo rad jestem, że widzę pana. Proszę siadać. A ten gentleman?

— Jest to mój przyjaciel, pan Sawyer — odpowiedział pan Pickwick — a także przyjaciel syna pańskiego.

— A! — rzekł pan Winkle senior, rzucając dość niechętnie spojrzenie na Boba. — Jak się pan czuje?

— Jak ryba w wodzie — odpowiedział Bob.

— Ten drugi gentleman — zaczął pan Pickwick, ten drugi gentleman, jak pan się przekona przeczytawszy list, który mu wręczę, jest bliskim krewnym... lub raczej serdecznym przyjacielem pańskiego syna. Nazwisko jego jest Allen.

— Ten gentleman? — zapytał pan Winkle, wskazując biletem na Bena, który zasnął na krześle i tak się pochylił, iż widać było tylko stos pacierzowy i kołnierz surduta.

Pan Pickwick zamierzał właśnie odpowiedzieć na to pytanie wyliczeniem imienia pana Beniamina Allena wraz z jego szanownym zawodem oraz innych znakomitych zalet tego młodzieńca, gdy dowcipny Bob, aby przyjaciela swego doprowadzić do przytomności, tak uszczypnął go w ramię, że Ben krzyknął i zerwał się, ale spostrzegłszy, że ma przed sobą osobę nieznaną, przystąpił do pana Winkle’a, bardzo serdecznie uściśnął mu rękę, co trwało z pięć minut, wybełkotał kilka na wpół zrozumiałych frazesów o tym, że mu niesłychanie miło poznać pana Winkle’a, i zapytał go uprzejmie, czy chce się od razu napić po tak długiej podróży, czy też woli poczekać na obiad. Potem usiadł i począł wodzić dokoła tak błędnym wzrokiem, jak gdyby nie miał najmniejszego pojęcia o tym, gdzie się znajduje, czego też rzeczywiście nie wiedział.

Wszystko to stawiało pana Pickwicka w bardzo kłopotliwym położeniu, tym bardziej że pana Winkle’a seniora widocznie dziwiło niepomiernie takie ekscentryczne, by nie

powiedzieć nieprzyzwoite, zachowanie jego towarzyszy. Aby położyć temu kres, wyjął list z kieszeni i podając go powiedział:

— Jest to list od pańskiego syna. Z niego dowie się pan, iż szczęście i przyszłość Nataniela zależą od dobrotliwego i ojcowskiego przyjęcia treści tego listu. Bardzo mię pan zobowiąże, gdy przeczyta pan ten list ze spokojem, a następnie zechce pan ze mną pomówić o tym przedmiocie w tonie i duchu, w jakim tego rodzaju sprawy omawiać należy. Jak ważna jest pańska decyzja dla syna pańskiego i z jakim niepokojem jej oczekuje, o tym niech świadczy to, że ośmieliłem się panu złożyć wizytę bez uprzedniego porozumienia o tak późnej godzinie i — dodał pan Pickwick rzucając przelotne spojrzenie na swych towarzyszy — w tak nieprzychylnych okolicznościach.

Po tym preludium pan Pickwick wręczył zdziwionemu staruszkowi cztery szczelnie zapisane stronicie najdelikatniejszego, najcieńszego papieru listowego, a sam usiadł znów w fotelu i począł przypatrywać się panu Winkle'owi pełen niepokojem, ale zarazem z przeświadczeniem uczciwego człowieka, który wie, że nie zrobił nic, co wymagałoby usprawiedliwienia lub ukrywania.

Stary kupiec przed rozpieczętowaniem listu obejrzał go na wszystkie strony, poddał mikroskopowemu badaniu znak na pieczętce lakowej, potem podniósł oczy na pana Pickwicka; wreszcie przysunąwszy krzesło do lampy, usiadł przy biurku, rozłamał pieczętkę, otworzył list, podniósł go wysoko do światła i zabrał się do czytania.

Właśnie w tej chwili Bob Sawyer, który od dłuższego czasu nie popisał się ani razu swoim dowcipem, położył sobie ręce na kolanach i przybrał grymas kłowna, jak to widzimy na portretach śp. Grimaldiego. Na nieszczęście, tak się złożyło, że pan Winkle, zamiast zagłębić się w czytaniu, jak to Bob przypuszczał, spojrzął ponad list i zobaczył nie kogo innego, tylko Boba Sawyera. Słusznie wywnioskowawszy, że wspomniany grymas przedrzeźnia jego osobę, utkwiał wzrok w Bobie tak groźnie, iż rysy uwieczniane na płótnie przez nieboszczyka Grimaldiego stopniowo zaczęły tracić cały swój komizm, a natomiast wyrażać wielkie zmieszanie i pokorę.

— Czy pan mówił coś do mnie? — zapytał pan Winkle po chwili groźnego milczenia.

— Nie, panie — odrzekł Bob, teraz w niczym już niepodobny do kłowna, ale za to bardzo zaczerwieniony.

— Czy jest pan tego pewny?

— O tak! Najzupełniej pewny!

— Miło mi dowiedzieć się o tym — odrzekł starzec z wielką powagą — ale patrzył pan na mnie?

— Przepraszam bardzo, ale nie patrzałem — odparł Bob z wyszukaną grzecznością.

— To bardzo mnie cieszy — rzekł pan Winkle senior.

Pan Pickwick przypatrywał mu się z wielkim napięciem, gdy z ostatnich linii pierwszej stronicy przeszedł na najwyższe drugiej, z ostatnich drugiej na najwyższe trzeciej, z ostatnich trzeciej na najwyższe czwartej. Żadna jednak zmiana na twarzy nie mogła służyć za klucz do uczuć, z jakimi przyjął wiadomość o małżeństwie syna, która, jak pan Pickwick wiedział, mieściła się w pierwszych sześciu liniach.

Pan Winkle, jak powiedzieliśmy, przeczytał list do ostatniego wyrazu. Potem złożył go starannie i właśnie w chwili, kiedy pan Pickwick spodziewał się wielkiego wybuchu uczuć, umoczył pióro w atramencie i zapytał tak spokojnie, jak gdyby chodziło o rzecz najprostszą w świecie:

— Jaki jest adres Nataniela?

— Chwilowo oberża „Pod Jerzym i Jastrzębiem” — odpowiedział pan Pickwick.

- „Pod Jerzym i Jastrzębiem”. Gdzież to jest?
- George Yard, Lombard Street.
- W City?
- Tak.

Stary gentleman napisał metodycznie adres na liście, włożył go do biurka, zamknął biurko, włożył klucz do kieszeni i rzekł:

— Zapewne nie ma mi pan nic więcej do powiedzenia, panie Pickwick?

— Zupełnie nic, drogi panie! — zawołał nasz filozof z niemiłym zdziwieniem. — Nic zupełnie! Ale czyż nie zechce pan wypowiedzieć mi swego zdania o kroku tak ważnym w życiu syna? Czy nie zechce pan za moim pośrednictwem oświadczyć zapewnienia o pańskiej niezmiennej miłości i dalszym wspomaganium? Czyż nie poleci mi pan, bym uspokoił jego żonę? Proszę się nad tym zastanowić, kochany panie!

— Właśnie chcę to zrobić. Obecnie nic powiedzieć nie mogę. Jestem człowiekiem interesu, panie Pickwick; nie decyduję na gorąco w żadnej sprawie, a ta, o ile ją znać mogę, nie bardzo mi się podoba. Tysiąc funtów, panie Pickwick, to niewiele.

— Ma pan słusność — wyrwał się Ben Allen, który właśnie ocknął się i przypomniał sobie, że swoje tysiąc funtów przepuścił bez najmniejszej trudności. — Jest pan bardzo rozsądnym człowiekiem. Bobie! Ten człowiek ma dobrze w głowie!

— Cieszę się bardzo, że pan wyraża się o mnie z takim uznaniem — odpowiedział pan Winkle, pogardliwie spoglądając na pana Allena, który z powątpiewaniem potrząsał głową. — To pewna, panie Pickwick — mówił dalej — że kiedy pozwoliłem memu synowi podróżować jakiś czas, by poznał świat i ludzi (co czynił pod pańskimi auspicjami), aby nie wszedł w życie jak żółtodziób, który dopiero co wymknął się ze szkoły i przez pierwszego lepszego dał się wodzić za nos, to nigdy podobnego wypadku nie uwzględniałem w mym rachunku. Syn mój wie o tym bardzo dobrze i jeśli teraz cofnę swą pomoc, nie będzie miał prawa dziwić się temu. Zresztą, dowie się jeszcze, co należy. Dobrej nocy! Małgorzato! Otwórz panom drzwi.

Przez ten czas Bob Sawyer szturchał Bena, by powiedział coś pojednawczego; Ben podniósł się i nie czekając długo, przemówił zwięźle, ale dobitnie:

— Panie — zaczął utkwivszy błędne oczy w panu Winkle’u i mocno gestykulując — pan... pan powinieneś wstydzić się swego postępuku.

— Rzeczywiście — odparł pan Winkle — jako brat tej młodej osoby, jest pan najlepszym sędzią w tej sprawie. Ale dość tego. Ani słowa więcej, panie Pickwick. Dobranoc panu.

To rzekłszy, stary kupiec wziął lichtarz i otworzył drzwi, grzecznie wskazując na korytarz.

— Pożaluje pan swego postępuku — rzekł pan Pickwick zaciskając zęby, by powstrzymać swój gniew, gdyż wiedział, jak ważne jest to pociągnięcie dla jego młodego przyjaciela.

— W tej chwili — odpowiedział pan Winkle ze spokojem — jestem wręcz przeciwnego zdania. Dobranoc panom.

Pan Pickwick wyszedł na ulicę bardzo oburzony. Pan Bob Sawyer, zupełnie zgnębiony stanowczością starego gentlemana, poszedł za jego przykładem. Kapelusz pana Bena Allena potoczył się po schodach, a osoba pana Allena poszła w ślad za nim. Trzej towarzysze poszli w milczeniu i bez kolacji spać. Przed zaśnięciem pan Pickwick powiedział sobie, że gdyby był wiedział, jakim formalistą jest pan Winkle senior, nigdy nie podjąłby się podobnej misji.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Pan Pickwick spotyka starego znajomego i tej to szczęśliwej okoliczności Czytelnik zawdzięcza sprawę nadzwyczaj interesującą, a dotyczące dwóch mężów wielkiego znaczenia i potęgi

Ranek, który ukazał się oczom pana Pickwicka o godzinie ósmej następnego dnia, nie był obliczony na to, by podnieść go na duchu lub zmniejszyć depresję, w jaką wpadł po wczorajszej nieudanej misji. Niebo ciemne było i ponure, powietrze wilgotne i mgliste, ulice mokre i śliskie. Dym wisiał leniwie nad kominami, jak gdyby brakło mu odwagi unieść się w górę, a deszcz siąpił wolno i smutno, jak gdyby nie chciało mu się nawet padać. Na dziedzińcu przed stacją kogut kołysał się na jednej nodze, pozbawiony zwykłegożywienia. Pod niski dach przybudówki schronił się osioł z taką miną, jak gdyby nosił się z zamiarem popełnienia samobójstwa. Na ulicach nie widziałeś nic prócz parasoli i nie słyszałeś nic prócz uderzania kropel deszczu.

Przy śniadaniu prawie nie rozmawiano. Nawet pan Bob Sawyer odczuwał tego dnia wpływ pogody i skutki poprzednich wzruszeń. Według jego własnego kwiecistego określenia był „przyćmiony”. Pan Ben Allen również, pan Pickwick również.

W napięciu oczekiwania, że się w końcu nieco wypogodzi, przeczytano kilkakrotnie ostatecznie pisma londyńskie z zainteresowaniem dobrze znanym w chwilach ostatecznego przygnębienia. Każdy cal dywanu został przemierzony z podobną wytrwałością. Oknem wyglądano jedynie z obowiązku. Wszelkie możliwe poruszane w rozmowie tematy — wyczerpały się. Wreszcie koło południa pan Pickwick widząc, że się nie zanosi na żadną zmianę, rezolutnie zadzwonił i kazał zaprzęgać.

Chociaż drogi były grząskie, a deszcz rozpadał się jeszcze gwałtowniej, chociaż w okna karety uderzały grudy błota i strumienie wody, a jazda dla pasażerów wewnątrz wehikułu była prawie tak przykra jak dla siedzących zewnątrz, ruch i poczucie, że się coś robi, okazały się czymś nieskończenie wyższym od siedzenia w nudnym pokoju, patrzenia na nudny deszcz padający na nudne ulice; wszyscy przyznali zgodnie, iż dobrze robią, że jadą, i nie mogli się sobie dość nadziwić, dlaczego odkładali odjazd, mogąc odjechać już od dawna.

Kiedy stanęli w Coventry, by zmienić konie, buchająca z nich para stała się tak gęsta, że spoza niej nie było widać chłopca stajennego, słyszano tylko jego głos, którym oznajmił, że należy mu się złoty medal przy następnym rozdawaniu nagród przez Human Society za to, że zdjął pocztylionowi kapelusz, ponieważ woda lała się z niego strumieniami, co groziło (mówił ów niewidzialny jegomość) zatopieniem jego (pocztyliona), gdyby stajenny nie był człowiekiem wielkiej przytomności umysłu i przez zdjęcie kapelusza i wytarcie twarzy słomą nie uratował mu życia.

— Bardzo przyjemnie! — powiedział pan Bob Sawyer, stawiając kołnierz płaszcza i zakrywając usta szalikiem w celu umiejscowienia oparów wódki, którą właśnie przełknął.

— Bardzo! — przyznał grzecznie Sam.

— Nie mówisz tego szczerze! — powiedział Bob.

— Nie wiem, czy to konieczne, jeżeli już pan był szczery — odrzekł Sam.

— To żadna wymówka! — powiedział Bob.

— Tak, panie — odrzekł Sam. — Dobrze jest, jak jest, jak powiedział młody szlachcic, gdy przyznano mu pensję, ponieważ dziadek wuja jego matki podał kiedyś ogień Jego Królewskiej Mości, bo miał przy sobie krzesiwo!

— Niezły powód! — powiedział pan Bob pobłaźliwie.

— Młody szlachcic powtarzał to co kwadrans do końca swego życia! — dodał Sam. — Czy wzywano pana kiedy — zapytał Sam, zniżając głos do tajemniczego szeptu — czy wzywano pana kiedy, odkąd pan został rzezignatem, do pocztyliona?

— Nie przypominam sobie! — odrzekł Bob.

— A widział pan kiedy, grasując (jak się to mówi o duchach) po szpitalu, pocztyliona? — pytał Sam dalej.

— Nie, nie przypominam sobie! — odrzekł Bob.

— Nigdy nie widział pan na cmentarzu mogiły pocztyliona ani trupa pocztyliona? — indagował go Sam w dalszym ciągu.

— Nie! — odrzekł Bob. — Nigdy!

— Nigdy! — z triumfem zawołał Sam: — I nigdy pan nie zobaczy! Jest coś jeszcze, czego nie widział nikt w świecie; zdechłego osła! Nikt nigdy nie widział zdechłego osła, z wyjątkiem gentlemana w czarnych jedwabnych pantalonach, którego znała młoda niewiasta, właścicielka kozy. Ale to był francuski osioł, więc trzeba do niego przykładać inną miarę!

— No, a co to ma wspólnego z pocztylionem? — spytał Bob.

— Bardzo dużo! — powiedział Sam. — Nie będę szedł tak daleko, by zacząć od tego, jak to czyni wielu rozumnych ludzi, że i pocztylion, i osioł są nieśmiertelni. Ale ja powiadam, że jak tylko poczują, że z nimi szlus — obaj dają nura nie wiadomo dokąd i ślad po nich zanika. Co się z nimi dzieje — nikt nie wie! Przypuszczam jednak, że idą szukać przyjemności na tamtym świecie, bo na tym nie widziano jeszcze, by pocztylion albo osioł mieli jaką przyjemność! Wykładaniem tej ciekawej teorii i popieraniem jej wieloma faktami i danymi statystycznymi Sam Weller skracał sobie czas podróży po Dunchurch, gdzie otrzymano suchego pocztyliona i świeże konie. Następną stacją było Daventry, potem Towcester.

A gdy wyjeżdżali z każdej z tych stacji, lało jeszcze gorzej, niż gdy zajeżdżali przed nią.

— Powiadam — odezwał się Bob Sawyer, zaglądając w okno karety, gdy stanęli przed oberżą „Pod Głową Saracena” w Towcester — że tak dalej nie pójdzie!

— Jak Boga kocham! — zawołał pan Pickwick, budząc się z drzemki. — Obawiam się, że pan zmókł!

— Doprawdy! Rzeczywiście — odpalił Bob. — Tak, odrobinę! Czuję niemilą wilgoć!

Bob wyglądał jak zmokła kura, gdyż woda spływała mu z płaszcza, z rękawów, z kolan, z kołnierza. Cała jego postać tak błyszczała od wilgoci, że można ją było wziąć za kawał ceraty.

— Trochę zmokłem — przyznał Bob, otrząsając się i pryskając wodą naokoło jak pies nowofundlandzki, który tylko co wylazł z kąpieli.

— Sądzę, że niepodobna jechać w nocy! — powiedział pan Ben.

— Nie ma mowy! — powiedział Sam Weller, mieszając się do rozmowy. — To po prostu okrucieństwo wymagać czegoś podobnego od zwierząt! Mają tutaj łóżka, proszę pana — dodał, zwracając się do pana Pickwicka. — Zajazd czysty i wygodny. Za pół godzinki mogą sporządzić smaczny obiadek, proszę pana! Parę ptaszków i smaczny kotlecik, groszek francuski, torciki, różne delikatesy. Radziłbym panu zatrzymać się, gdzie stoimy. Radzę słuchać — jak mawiał pewien lekarz!

Na szczęście ukazał się właściciel oberży „Pod Głową Saracena”, potwierdzając informacje pana Wellera dotyczące urządzeń jego zakładu; poparł też zdanie Sama co do złego stanu dróg, wątpliwości, czy na następnej stacji dostanie świeże konie, dodając zapewnienie, że przez całą noc będzie lało — pewne to jak śmierć! — że rano będzie taki sam — z tą samą śmiertelną pewnością! — oraz poruszył inne tematy nieobce właścicielom zajazdów.

— Dobrze — powiedział pan Pickwick. — Ale muszę koniecznie wysłać list do Londynu, by go wręczono jutro raniutko! Jeżeli nie znajdę posłańca, muszę jechać!

Gospodarz uśmiechnął się z zadowoleniem. Nic łatwiejszego! Gentleman owinie list w szary papier i wyśle go pocztą nocną albo nocnym dyliżansem z Birmingham! Jeżeli gentlemanowi chodzi o to, by list został zaraz doręczony, niech napisze na kopercie: „Doręczyć zaraz”, co wystarczy. Jeszcze lepiej, jeżeli gentleman dopisze: „Oddawcy dać pół korony za odniesienie”.

— Dobrze! — powiedział pan Pickwick. — Zostajemy!

— Światła, John! I napalić na kominku! Gentlemani przemokli — zawołał gospodarz. — Tędy, panowie! Proszę się nie troszczyć o pocztyliona, panowie! Przyślę go, kiedy panowie zażądacie! John, świece!

Przyniesiono świece, zapalono na kominku, dorzucono kilka polan. W dziesięć minut później garson rozkładał już na stole biały obrus, zaciągnięto firanki, ogień trzeszczał wesoło i wszystko przybrało taki wygląd (jak zwykle zresztą w każdej gospodzie angielskiej), jak gdyby od dawna oczekiwano podróżnych i przygotowano wszystko dla ich wygody już poprzedniego dnia.

Pan Pickwick zajął miejsce przy bocznym stoliku i nakreślił parę słów do pana Winkle'a, zawiadamiając go, że zatrzymała ich niepogoda i że następnego dnia będą z pewnością w Londynie. Przedtem nie chce mówić o rezultacie swojej wyprawy. List ten szybko włożono do koperty i odesłano do baru przez pana Wellera.

Sam zostawił list pod opieką gospodyni i osuszywszy się przed ogniem w kuchni, szedł ściągać swemu panu przemokłe buty, gdy nagle zatrzymał go widok łysego gentlemana, który siedział nad stosem gazet przy stoliku. Czytał z przejęciem jakiś artykuł, przy czym marszczył nos i wykrzywił twarz, co nadawało mu majestatyczny wyraz bezbrzeżnej pogardy.

— Ho, ho! — zawołał Sam. — Znam skądciś ten łeb i te rysy! Okulary i daszek również! Eatanswill — albo jestem kiep!

Sam rozkaszał się nagle, a to dlatego, by zwrócić uwagę gentlemana. Gentleman spojrzał, podniósł głowę i okazał głębokie i myślące rysy pana Potta z „Gazety Eatanswillskiej”.

— Przepraszam pana — powiedział Sam, zbliżając się. — Mój pan jest tutaj!

— Ts! Ts! — zawołał pan Pott, wciągając Sama do izby i zamykając drzwi z wyrazem tajemniczego niepokoju i przejęcia.

— Co się stało, proszę pana? — spytał Sam rozglądając się bezmyślnie.

— Ani mi się waż szepnąć, jak się nazywam! — zawołał pan Pott. — To okolica „żółtych”! Gdyby rozwścieczona ludność dowiedziała się, że tu jestem, rozszarpano by mię na kawałki!

— Nie, doprawdy? — spytał Sam.

— Padłbym ofiarą ich wściekłości — ciągnął pan Pott. — A jakże twój pan, młodzieńcze?

— Zatrzymał się tu na nocleg z kilkoma przyjaciółmi, w drodze do miasta! — odrzekł Sam.

— Czy i pan Winkle należy do nich? — zapytał pan Pott, marszcząc lekko czoło.

— Nie, proszę pana! Pan Winkle nie rusza się teraz z domu. Ożenił się.

— Ożenił się! — zawołał pan Pott bardzo gwałtownie. Potem umilkł i dodał wolno mściwym głosem: — To mu się należało!

Dawszy upust złości i bezlitosnemu triumfowi nad pokonanym wrogiem pan Pott zapytał, czy pan Pickwick i jego przyjaciele należą do „błękitnych”. Otrzymał zadowolającą odpowiedź od Sama, który wiedział o tym akurat tyle, co i pan Pott, pan Pott zgodził się pójść do pokoju pana Pickwicka, gdzie przyjęto go bardzo serdecznie. Natychmiast postanowiono też zjeść wspólnie obiad.

— Jakże tam sprawy w Eatanswill? — spytał pan Pickwick, gdy pan Pott usiadł przy ogniu, a całe towarzystwo zrzuciło przemokłe obuwie i wciągnęło suche pantofle. — Czy „Niepodległość” jeszcze istnieje?

— „Niepodległość” — odrzekł pan Pott — wciąż jeszcze prowadzi swój niecny i nędzny żywot, pogardzana i nienawidzona nawet przez tych nielicznych, którzy wiedzą o jej marnym istnieniu. Zduszona własnym plugastwem, które tak popierała. Oślepiąca i ogłuszająca wyziewami brudu, który wyhodowała. Wstrętna ta szmata, nie zdająca sobie, na szczęście, sprawy ze swego upadku, grzęźnie szybko w zdradliwym błocie, łudząc się, że daje twarde i nowoczesne podstawy niższym warstwom społeczeństwa. Błoto, w którym grzęźnie, podnosi się już nad jej głowę i wkrótce pochłonie ją na zawsze!

Wygłosiwszy ów manifest (wyjątek z artykułu wstępnego sprzed tygodnia!), z wielką siłą przekonania, wydawca zatrzymał się, by złapać oddech, i spojrzał majestatycznie na pana Boba Sawyera.

— Jest pan młodym człowiekiem, panie! — powiedział pan Pott. Bob przytaknął.

— Pan również! — zwrócił się pan Pott do pana Allena. Bob przyjął do wiadomości ten delikatny wyrzut.

— I obaj wyznajecie szczerze te zasady, które przez tyle lat głosiłem ku zbudowaniu i pożytkowi mieszkańców tego królestwa? — poddał pan Pott.

— Doprawdy nie wiem — powiedział Bob Sawyer. — Ja...

— Przyjaciół pański, panie Pickwick, nie dał się chyba zatruć? — zawołał pan Pott. — Jest „błękitny”!

— Nie, nie — powiedział pan Bob. — Jestem obecnie pewnego rodzaju tęczą. Wszystkie barwy!

— Chwiejny, chwiejny! — uroczyście oznajmił pan Pott. — Żałuję, że nie mogę pokazać panu serii pięciu artykułów, jakie ukazały się w „Gazecie Eatanswillskiej”. Ośmielałem się twierdzić, że niebawem oprze pan swoje poglądy na zdrowych zasadach „błękitnych”!

— Przypuszczam, że w końcu zupełnie zsinieję! — powiedział pan Bob.

Pan Pott spojrzał nieufnie na pana Boba, potem zwrócił się do pana Pickwicka.

— Widział pan, oczywiście, artykuły literackie, które ukazały się w „Gazecie” w ostatnich trzech miesiącach, a które narobiły tyle hałasu... powiedziałbym — uniwersalnego hałasu na całym świecie!

— Byłem tak zajęty różnymi sprawami w ostatnich czasach — tłumaczył się pan Pickwick — że nie mogłem śledzić...

— Szkoda! Powinien pan był śledzić! — surowo powiedział pan Pott. — Poprawię się — powiedział pan Pickwick.

— Artykuły te pojawiły się w formie obszernego przeglądu z zakresu metafizyki w Chinach — powiedział pan Pott.

— O! — zawołał pan Pickwick. — Pańskie pióro, mam nadzieję?

— Pióro mego krytyka — z godnością odpowiedział pan Pott.

— Zawily temat, powiedziałbym — rzekł pan Pickwick.

— Ogromnie! — odrzekł pan Pott, robiąc bezgranicznie uczoną minę. — Nagłowił się nad nim, że pozwolę sobie użyć wyrażenia technicznego. Na moje żądanie przeczytał nawet „Encyclopaedia Britannica”.

— Naprawdę? — zawołał pan Pickwick. — Nie wiedziałem nawet, że bezcenne to dzieło zajmuje się również metafizyką w Chinach!

— Owszem, panie — powiedział pan Pott, kładąc rękę na kolanie pana Pickwicka i spoglądając z uśmiechem intelektualnej wyższości. — Czytał o metafizyce pod literą „M”, a o Chinach pod „C” i skombinował jedno z drugim. Rozumie pan?

Oblicze pana Potta tchnęło takim dostojeństwem na wspomnienie potężnych wyników owego naukowego przedsięwzięcia, że minęło parę dobrych chwil, zanim pan Pickwick mógł podjąć rozmowę. Wreszcie, gdy oblicze redaktora przyjęło stopniowo wyraz właściwej mu moralnej supremacji, pan Pickwick ośmielił się podtrzymać rozmowę, pytając:

— Czy wolno zapytać, jaka wielka sprawa zagnała pana tak daleko od domu?

— Ta sama sprawa, która przyświeca mi we wszystkich moich pracach — odrzekł pan Pott. — Dobro kraju!

— Przypuszczam, że to sprawy publiczne — powiedział pan Pickwick.

— Tak, panie — odrzekł pan Pott — tak. — Tu nachyliwszy się nad panem Pickwickiem, szepnął: — Jutro moi przeciwnicy urządzają w Birmingham bal. Z kolacją!

— Dobry Boże! — zawołał pan Pickwick.

— Tak, panie, z kolacją! — dodał pan Pott.

— Nie mówi pan chyba serio! — zawołał pan Pickwick. Pan Pott przytaknął złowróżbnie. Chociaż pan Pickwick udawał, że wiadomość ta wielce go zdumiała, tak jednak mało był uświadomiony politycznie, że nie mógł zdać sobie sprawy, dlaczego fakt ten ma być trzymany w takiej tajemnicy. Zauważywszy to, pan Pott wyciągnął ostatni numer „Gazety Eatanswillskiej” i odwołał się do poniższego artykułu:

POKĄTNE KNOWANIA ŻÓŁTKÓW

Gad współczesności ziele zatrutym jadem, starając się bezskutecznie skazić szanowne nazwisko naszego elekta, czcigodnego pana Slumkeya — tego samego Slumkeya, o którym pisaliśmy na długo przedtem, nim objął swoje odpowiedzialne i wyjątkowe stanowisko, że przyjdzie dzień, kiedy pan Slumkey stanie się jednocześnie najpiękniejszą ozdobą i najszczytniejszą dumą naszego kraju! Nasz współczesny gad, jakeśmy powiedzieli, wydrwiwa dar złożony naszemu sławnemu kompatriocie przez oczarowanych wyborców: mosiężny kubełek na węgle — przy czym zaznacza, że sam obdarowany złożył anonimowo na ten cel przez zaufanego przyjaciela prawie trzy czwarte potrzebnej sumy. Czyż ten podły gad nie rozumie, że jeżeli to prawda, pan Slumkey ukazuje się w jeszcze piękniejszym świetle (jeśli to możliwe)! Czyż nawet gadzinowa tępota nie potrafi pojąć, że ta delikatna i subtelna pomoc wyświadczona ciału wyborczemu pozyskać musi panu Slumkeyowi nawet serca i dusze tych

współmieszkańców, których wartość moralna da się porównać z wartością świni? Czyli, innymi słowy, którzy nie upadli tak nisko jak nasz przeciwnik?! Oto podłość naszych przewrotnych „żółtych”! Ale to jeszcze nie wszystko! Zdrada czyha za murami! Twierdzimy na podstawie niezbitych dowodów, prosząc cały naród o wzięcie nas pod swoje opiekuńcze skrzydła, twierdzimy, że w całej pełni trwają przygotowania do balu „żółtych”, mającego się odbyć w jednym z „Żółtych Miast”, będącym sercem i duszą „żółtych”! Prowadzić go będzie żółty mistrz ceremonii! Uświetnią go swoją obecnością trzej żółci członkowie parlamentu, a prawo wejścia da posiadanie żółtego biletu! Bardzośmy nasolili naszemu żółtemu kompatriocie? Niech się pocieszy! Niech pęknie z bezsilnej złości, gdy pióro nasze pisze te słowa: Będziemy na balu!

* * *

— Tak, panie — powiedział pan Pott, składając gazetę — tak się rzeczy mają!

Ponieważ w tej samej chwili gospodarz i garson wnieśli obiad, pan Pott położył palec na wargach na znak, że składa swoje życie w ręce pana Pickwicka i że powierzył mu swoją tajemnicę. Pan Ben Allen i pan Bob Sawyer, którzy zdrzemnęli się podczas odczytywania artykułu i dyskusji, jaka się po nim wywiązała, zerwali się na dźwięk magicznego słowa: — Obiad! — który doszedł ich uszu. Zasiedli doń z systemem trawiennym podnieconym przez apetyt, ze zdrowym zapalem, pełni oczekiwania.

W czasie obiadu i podczas sjeisty, która po nim nastąpiła, pan Pott przeszedł na tematy domowe i poinformował pana Pickwicka, iż powietrze eatanswillskie nie służyło jego żonie i dama ta wyjechała w objazd do rozmaitych kąpiel w celu ozdrowienia na duchu i ciele. Była to delikatna wersja faktu, iż pani Pott wprowadziła wreszcie w czyn swoją stałą pogroźkę separacji i działając przez brata, porucznika, rozstała się z małżonkiem, przy czym pan Pott zobowiązał się do wypłacania jej połowy dochodów czerpanych z wydawania i sprzedaży „Gazety Eatanswillskiej”.

W czasie gdy wielki pan Pott poruszał ten i inne tematy, ożywiając rozmowę różnymi wyjątkami ze swoich własnych elukubracji, jakiś dziwaczny jegomość zapukał z okna dyliżansu, który zatrzymał się przed zajazdem i wyładowywał paczki, czy może liczyć na odpowiednie wygody, w postaci łóżka i pościeli, jeżeli zatrzyma się na nocleg.

— Niewątpliwie, proszę pana — mówił gospodarz.

— Rzeczywiście? Mogę na to liczyć? Mogę liczyć? — dopytywał się jegomość, widocznie podejrzliwy z natury.

— Niewątpliwie, proszę pana — mówił gospodarz.

— Dobrze — powiedział nieznajomy: — Stangret! Zostaję! Posługacz! Waliza!

Życząc pozostałym pasażerom dobrej nocy w sposób nieco zgryźliwy, nieznajomy wysiadł. Był to przykrótki jegomość, z czarnymi, twardymi włosami, przyciętymi najeża, czyli „a la szczotka”, i stojącymi sztywno i równo na głowie. Wygląd miał pompatyczny i groźny, sposób bycia stanowczy, oczy surowe i niespokojne, a całe zachowanie zdradzało silną wiarę w siebie i świadomość swojej wyższości.

Nieznajomy został wprowadzony do pokoju zajmowanego uprzednio przez patriotycznego pana Potta. Garson zauważył ku swemu niepomiernemu zdumieniu, że zanim zdążył zapalić świecę, nieznajomy wyciągnął spod kapelusza plik gazet i zaczął je czytać z wyrazem tłumionej wściekłości, jaka przed godziną jeszcze paraliżowała majestatyczne rysy pana Potta. Garson zauważył również, że gdy gniew pana Potta wywołała „Niepodległość”, nieznajomy gniewał się na „Gazetę Eatanswillską”.

— Przyślij gospodarza — powiedział nieznajomy.

— Słucham pana!

Przysłany gospodarz zjawił się.

— Pan jest gospodarzem? — zapytał nieznajomy.

— Tak, proszę pana!

— Zna mnie pan?

— Nie mam przyjemności! — odparł gospodarz.

— Nazywam się Slurk! — ciągnął nieznajomy.

Gospodarz z lekka pochylił głowę.

— Slurk! — powtórzył gentleman. — Teraz wiesz pan, kim jestem?

Gospodarz podniósł głowę, spojrział na sufit, potem na gentlemana i uśmiechnął się niewyraźnie.

— Znasz mnie, człowieku? — pytał nieznajomy.

Gospodarz zebrał się na odwagę i odparł:

— Nie, nie znam pana.

— Dobre nieba! — zawołał nieznajomy, tłukąc pięścią w stół. — I to jest popularność! Gospodarz cofnął się o krok do drzwi; nieznajomy nie spuszczał z niego oczu.

— Oto — powiedział nieznajomy — wdzięczność za całe lata pracy i znoju dla dobra mas! Przyjeżdżam zziębnięty i mokry! Rozentuzjasmowany tłum nie wita mnie przy wjeździe! Dzwony kościelne milczą! Nawet brzmienie mego nazwiska nie budzi żadnego oddźwięku w sprzedajnych piersiach! Dość! — dodał pan Slurk, przechadzając się po pokoju. — To wystarczy człowiekowi, by złamał pióro i rzekł się roli obrońcy tych niewdzięczników!

— Mówił pan: brandy i woda? — wtrącił gospodarz, chcąc przerwać dialog.

— Rum! — gniewnie zawołał pan Slurk. — Macie tu gdzie ogień?

— Możemy napalić tutaj! — odrzekł gospodarz.

— Pójdę spać, nim się ogrzeje! — zawołał pan Slurk. — Jest kto w kuchni?

— Żywej duszy. Ale pali się doskonały ogień. Wszyscy się już rozeszli, dom zamknięto na cztery spusty.

— Wypiję swój rum z wodą w kuchni, przy ognisku kuchennym — powiedział pan Slurk. Zabrawszy kapelusz i gazety, poszedł za gospodarzem do skromnej izby i rzuciwszy się na fotel przy kominie, przybrał, jak poprzednio, wściekłą minę i zaczął czytać.

Trzeba wypadku, że demon niezgody, włócząc się po oberży „Pod Głową Saracena”, dojrzał pana Slurka siedzącego wygodnie przy kominku i pana Potta, nieco podnieconego winem, w sąsiednim pokoju. Wobec tego demon wśliznął się do wyżej wymienionego apartamentu z niebywałą szybkością i umiejscowił się w głowie pana Boba Sawyera, po czym zmusił go (on, demon) do wypowiedzenia następujących słów:

— Zgapiliśmy się! Ogień wygasł! Strasznie tu zimno, co?

— Rzeczywiście — powiedział pan Pickwick, otrząsając się.

— Czy nie dobrze by było wypalić cygaro w kuchni, co? — poddał pan Bob, wciąż kuszony przez wyżej wymienionego demona.

— Rzeczywiście, należałoby — powiedział pan Pickwick. — Jak pan sądzi, panie Pott?

Pan Pott ziewnął w odpowiedzi. Wszyscy czterej podróżni udali się więc ze szklankami w rękę do kuchni, a na czele stąpił Sam Weller.

Nieznajomy wciąż czytał. Podniósł głowę i oniemiał. Pan Pott również.

— Co się stało? — szepnął pan Pickwick.

— Gad! — zawołał pan Pott.

— Co za gad? — zapytał pan Pickwick, oglądając się trwożnie, by nie nadepnąć jeśli już nie na węża, to przynajmniej na karalucha lub pająka.

— Ten gad! — szepnął pan Pott, chwytając pana Pickwicka za ramię i pokazując mu oczyma nieznanomego. — Ten gad Slurk! Z „Niepodległości”.

— Może się cofniemy... — szepnął pan Pickwick.

— Nigdy, panie! — powiedział pan Pott, gotując się z gniewu jak prawdziwy garnek. — Nigdy! — Z tymi słowy pan Pott zajął miejsce po przeciwnej stronie kominka i wyciągnawszy paczkę gazet, zaczął czytać siedząc naprzeciw swego wroga.

Pan Pott — naturalnie — czytał „Niepodległość”, a pan Slurk — oczywiście „Gazetę Eatanswillską”. Każdy z nich wyrażał swą pogardę dla elukubracyj wroga głośnym śmiechem i ironicznymi drwinami, operując takimi słowami jak: — Bzdury! — Podłość! — Barbaria! — Humbug! — Bandytyzm! — Błoto! — Brudy! — Ślina! — Ciepła woda! — i innymi uwagami krytycznymi tegoż pokroju.

Zarówno pan Ben Allen, jak pan Bob Sawyer śledzili owe oznaki nienawiści i gniewu z niekłamana rozkoszą, którą wyrażali puszczeniem wielkich kłębow dymu z cygar. Z chwilą gdy wyżej przytoczony potok wyzwisk stracił na sile, pan Bob Sawyer zwrócił się do pana Slurka z pytaniem:

— Czy mogę prosić o gazetę, gdy pan skończy?

— W tej szmacie nie znajdzie pan nic, czym mógłby pan zaspokoić swoją ciekawość! — powiedział pan Slurk, uśmiechając się satanicznie do pana Potta.

— Za chwilę będę panu służył tym piśmidłem — powiedział pan Pott, który pobladł z gniewu i zaczął się jękać. — Cha, cha, cha! Uśmieje się pan z zuchwalstwa tego draba!

Słowa „szmata” i „drab” powiedziane były ze specjalnym naciskiem, a oblicza obu redaktorów przybrały wyraz zaczepny.

— Rubasność tego nędznika jest wprost ohydna! — powiedział pan Pott, podając gazetę Bobowi i wykrzywiając się w kierunku Slurka.

Tu pan Slurk wybuchnął śmiechem i składając gazetę w ten sposób, by móc odczytać nową kolumnę, powiedział, że ten półgłówek jest naprawdę ogromnie zabawny.

— Bezwstydnny głupiec! — powiedział pan Pott, stając się z czerwonego purpurowy.

Czytał pan kiedy bzdury tego pana? — zapytał pan Slurk Boba.

— Nigdy — powiedział Bob. — Straszna marnota, co? — Ohydne! Ohydne! — odrzekł pan Slurk.

— Słowo daję! Tego już za wiele! — zawołał na to pan Pott udając, że ciągle czyta.

— Jeżeli potrafi pan przebrnąć przez bezmiar złośliwości, podłości, kłamstw, łgarstw, kalumnii i hipokryzji — ciągnął pan Slurk, podając gazetę panu Bobowi — to wynagrodzi to panu śmiech z głupoty tego niegramatycznego gryzipiórka!

— Co pan powiedział? — spytał pan Pott, drżąc z wściekłości. — Czy do pana mówiłem? — odpalił pan Slurk.

— Ten pan powiedział: niegramatyczny gryzipiórek! — wyjaśnił pan Bob.

— Tak, panie, tak — odpowiedział pan Slurk. — I niebieski ptak, na dodatek! Cha, cha, cha! Pan Pott nie odpowiedział ani jednym słowem na tę żartobliwą obelgę, ale ruchem niewy— muszonym zmiął egzemplarz „Niepodległości”, rzucił ją pod nogi, podeptał, opluł z miną wielce dostojną i wrzucił w ogień.

— Oto odpowiedź! — powiedział pan Pott, odchodząc od kominka. — W taki sam sposób postąpiłbym z gadem, który zapisuje tę szmatę, gdyby nie prawa mego kraju, które przywykłem szanować!

— Nie krępuj się pan! — zawołał pan Slurk. — Nie krępuj się! Zrób z nim, co chcesz! Nie zasłaniaj się prawem! No, jazda!

— Słuchajcie! Słuchajcie! — zawołał Bob Sawyer.

— Czy może być coś piękniejszego?! — zawołał Ben Allen.

— Proszę! Proszę! — zachęcał pan Slurk.

Pan Pott rzucił spojrzenie tak pełne wzgardy, że ugięłyby się pod nim nawet kotwica.

— Proszę! Proszę! — coraz głośniej wołał pan Slurk.

— Nie chcę! — odpowiedział pan Pott.

— A, pan nie chce? Nie chce pan? — dopytywał się pan Slurk kuszącym głosem. — Słyszycie, panowie! Nie chce! Nie boi się, nie! Ale nie chce! Cha, cha, cha!

— Uważam pana — powiedział pan Pott, poruszony tym sarkazmem — uważam pana za gadzinę! Uważam, że jest pan kreaturą, która przez swoje podłe, bezwstydne zachowanie znalazła się poza nawiasem społeczeństwa! W sensie politycznym i prywatnym uważam pana po prostu za zwykłą zmię!

Oburzony „niepodległy” nie czekał końca tego oskarżenia. Schwyciwszy swoją torbę podróżną, wypełnioną różnymi ruchomymi przedmiotami, cisnął ją w pana Potta właśnie w chwili, gdy Pott odwrócił się, a ponieważ w tym kącie torby znajdowała się twarda szczotka do włosów, rozległo się głośne uderzenie i pan Pott zwałił się na podłogę.

— Panowie! — krzyknął pan Pickwick. — Panowie! — zawołał widząc, że pan Pott chwyta za łopatkę od węgli. — Panowie! Umiygujcie się. Na miłość Boga! Sam! Na pomoc! Ratujcie, kto może!

Wydając te i tym podobne okrzyki, pan Pickwick rzucił się między walczących i dostał łopatką w jeden bok, a torbą w drugi.

Nie wiemy, czy to nienawiść tak oślepiła tłumaczy uczuć publicznych miasta Eatanswill (obaj byli za sprawiedliwością!), czy też zrozumieli korzyści wynikające z wmieszania się między nich osoby trzeciej, na którą spadną wszystkie razy, dość że nie zwrócili najmniejszej uwagi na pana Pickwicka i walczyli dalej przy pomocy torby i łopatki. Pan Pickwick ucierpiałby też немало z powodu swego humanitaryzmu, gdyby wierny Sam, zwabiony krzykami swego pana, nie okręcił głowy pana Potta workiem od mąki i worka owego nie zaciągnął mocno aż na plecy potentata.

— Odbierzcie tamtemu torbę! — zawołał Sam do pana Bena Allena i pana Boba Sawyera, którzy uwijali się po pokoju z lancetami, gotowi wpakować je pierwszej napotkanej osobie, która nawinie się im pod rękę.

— Oddawaj, pokrako, bo się z tobą porachuję! Nieco przerażony tą groźbą i zmęczony walką, przedstawiciel „Niepodległości” pozwolił się rozbroić. Pan Weller odebrał łopatkę Pottowi i uwolnił go od worka, mówiąc z naciskiem:

— A teraz obaj pójdziecie do łóżka albo sam was ułożę z zakneblowanymi ustami! Wtedy możecie wrzeszczeć ile wlezie! Pan będzie łaskaw tędy, proszę pana!

Tu Sam zwrócił się do pana Pickwicka i wskazał mu drogę, a obaj wrodzy redaktorzy zostali zaprowadzeni przez gospodarza do łóżek pod eskortą Boba i Bena. Odchodząc mruzcili coś groźnie i zapowiadali śmiertelną walkę na jutro. Namysłiwszy się jednak, doszli obaj do przekonania, że daleko lepiej potrafią to zrobić — w druku. Więc Eatanswill rozbrzmiewało echem ich walki — na papierze!

Odjechali nazajutrz oddzielnymi dyliżansami, zanim reszta pasażerów się obudziła. A ponieważ pogoda poprawiła się, więc i nasi podróżni odjechali do Londynu.

Rozdział pięćdziesiąty drugi **opisujący ważną zmianę w rodzime Wellerów i** **przedwczesny upadek czerwono-nosego**

Uważając, że jest rzeczą delikatności nie przedstawiać młodej pary panu Benowi Allenowi i panu Bobowi Sawyerowi bez uprzedniego przygotowania, i chcąc równocześnie oszczędzać Arabelle, pan Pickwick zaproponował, by on i Sam zatrzymali się w pobliżu oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, młodzi zaś ludzie poszukali sobie kwatery gdzie indziej. Wszyscy zgodzili się na ten układ: pan Ben i pan Bob udali się do znanej sobie garkuchni na krańcach Borough, gdzie za dawnych czasów nazwiska ich nieraz figurowały u szczytu długich i zawiłych rachunków zapisanych kredą.

— Ach, to pan, panie Weller! Dzień dobry, panie Weller! — zawołała piękna pokojówka, spotkawszy Sama w korytarzu.

— Dla mnie zawsze jest dzień dobry, gdy pannę widzę — odpowiedział Sam zostając nieco w tyle, by pan jego nic nie słyszał. — O! Jakie z panny śliczne stworzenie!

— Ależ panie Weller! Co też pan mówi? Niech mi pan da spokój!

— Czemu mam dać spokój, moja droga?

— A temu, co pan robisz!... Puśćże mnie pan! — dodała piękna dziewczyna, uśmiechając się; po czym odpychając Sama do ściany, oświadczyła, że pomiał jej czepek i potargał włosy. — Nie daje pan sobie powiedzieć — dodała — że od trzech dni czeka tu na pana list. Przysłano go zaraz po pańskim wyjeździe, a na kopercie napisano: „pilne”.

— Gdzież ten list, moja droga?

— Wzięłam go, inaczej pewno by zginął. Ale doprawdy, nie jest pan wart tego.

Po tych słowach i po wielu małych, zalotnych, miłych wątpliwościach i obawach, czy aby nie zgubiła go, Mary wydobyła z za prześlicznego swego gorsu list i podała Samuelowi. Ten naprzód ucałował go z wielką galanterią i szacunkiem.

— Oho! — zawołała Mary, poprawiając sobie chustkę na gorsie i udając, że nie wie, o co chodzi — czy nie zakochał się pan w tym liście?

Sam odpowiedział tylko wzrokiem, o którego wyrazie żaden opis nie może dać najsłabszego nawet wyobrażenia, potem usiadłszy koło Mary pod oknem otworzył list i przejrzał jego treść.

— Oho! — zawołał — a to co znaczy?

— Spodziewam się, że nic złego? — rzekła Mary, spoglądając mu przez ramię.

— Niech Bóg błogosławi twoje piękne oczy! — rzekł Sam, odwracając się.

— Nie troszcz się pan o moje oczy, a lepiej czytaj, co tam napisane! — odparła piękna pokojówka, patrząc przy tym tak zalotnie, że niepodobna było oprzeć się temu.

Sam orzeźwił się pocałunkiem i począł czytać, co następuje:

*Markis Gran
w Dorken Ftorek*

Mój kochany Sammy.

Bardzo mi przykro, że mam pszyjemność donieść ci smutną wiadomość rze twoja macocha zaziębila się bo siedziała na trawie wilgotnej w deszcz czekając na pasteża ktury nie mugł przyjsć wcześniej arz puzno noco bo golił wode z wutkom i czekał arz

wytrzezwieje doktor powiedział rze gdyby napila się gorącej wody z wutko po a nie pszet wszystko było by dobrze zara nasmarowano jej jak należy koła rzeby mogła jechać dalej i ojciec twuj miał nadzieje rze wyjdzie ztego jak zafsze ale ona zle wzienla zakrent i wywalila odrazu chociaz doktor zara dat jej lekarstwo ale za to zdało się do luftu i zaplacila ostatnie rogakowe dwadzieścia minut po szustej wczoraj wieczur skruciwszy swoją podrurz może rze jechała bez wielkiego bagarzu twuj ojciec rze jeżeli zechcesz mię odwiedzić Sammy to wezmie to za wielkom upszejmość bo jestem bardzo samotny Samileju. P. S. Hce rzeby tak twoje imię napisać a ja muwie rze tak to niedobze a on powiada jest durzo do omówienia i twuj gubernator nie bendzie kszzyw a pewnościom nie bendzie znam go lepiej i kłaniaj się odemnie i jestem twuj piekielnie Tony Veler.

— Dziwny list — rzekł Sam. — Kto tu z tego może być mądry?

To nie ojca ręką, wyjąwszy podpis. Ten nabazgrał sam, bo litery jak konie.

— Może kazał napisać komu, a potem podpisał — zauważyła piękna pokojówka.

— Zaczekaj no panna trochę — odpowiedział Sam, raz jeszcze przeglądając list. — Tak, tak, ma panna słusność. Gentleman, który to napisał, pisał o tym nieszczęściu jak należy, ale nadszedł mój ojciec, zaczął mu zaglądać przez ramię i wszystko pomieszał przez swoje dodatki. On tak zawsze robi. Masz słusność, kochana Mary.

Uspokoiwszy się co do tego punktu, Sam jeszcze raz odczytał list i teraz dopiero zrozumiawszy dokładnie jego treść, złożył go i powiedział smutno:

— A więc biedna kobiecina umarła. Szkoda: nie miałyby złego charakteru, gdyby ci „pasterze owieczek” dali jej spokój. Bardzo mię to zasmuciło.

Sam powiedział te słowa tak poważnie, iż piękna Mary spuściła oczy i także bardzo spoważniała.

— No — zawołał w końcu Sam z lekkim westchnieniem, kładąc list do kieszeni — tak stać się musiało i stało się. Nie ma na to rady, jak powiedziała pewna stara dama, poślubiwszy swego lokaja. Nieprawdaż, Mary?

Mary pochyliła głowę i westchnęła.

— Teraz muszę prosić imperatora o urlop.

Mary znów westchnęła. List tak był rozczulający.

— *Adieu!* — rzekł Sam.

— *Adieu!* — odpowiedziała piękna pokojówka, odwracając głowę.

— Podasz mi przecież rękę na pożegnanie.

Piękna dziewczyna podała mu rękę, bardzo drobną, chociaż była to ręką pokojówki. Potem wstała, by odejść.

— Niedługo zabawię — rzekł Sam.

— Pana nigdy nie ma w domu — odpowiedziała Mary trochę niechętnie, odwracając głowę.

— Zaledwie pan wróci, zaraz znów wyjeżdża.

Sam pociągnął ku sobie garderobianą piękność i począł jej coś szeptać. Nie trwało długo, a Mary przestała odwracać twarz i znów zaczęła na niego patrzeć. Gdy się rozstali, musiała zająć do swego pokoiku, by tam poprawić sobie po raz drugi czepek i włosy, zanim pokaże się swjej rozkazodawczyni. Gdy w tym celu wchodziła po schodach, lekko stąpając, uszczęśliwiła Sama mnóstwem pozdrowień i uśmiechów, rzucanych przez barierę.

— Zabawię najwyżej dzień lub dwa, panie — powiedział Sam do pana Pickwicka zawiadomiwszy go o stracie, jaką poniósł jego ojciec.

— Zabaw, ile wypadnie, mój kochany — odrzekł filozof — z góry pozwałam ci na to.
Sam uklonił się.

— Powiedz twemu ojcu, że jeżeli mogę mu się jakoś przydać w obecnym jego położeniu, to gotów jestem zrobić wszystko, co będzie w mojej mocy — dodał pan Pickwick.

— Bardzo dziękuję panu, powiem mu.

Po takich zapewnieniach o obustronnej przychylności i obustronnym zrozumieniu pan i sługa rozstali się.

Była siódma wieczorem, gdy Samuel Weller wysiadł z dyliżansu idącego przez Dorking, o kilkaset kroków od „Markiza Granby”. Wieczór był zimny i smutny, mała ulica ciemna i pusta i nawet mahoniowa twarz szlachetnego i mężnego markiza, kołysanego przez wiatr, miała wyraz jakby bardziej niż zwykle ponury i melancholijny. Firanki w oberży były pozapuszczane, okiennice częściowo pozamykane; przed drzwiami nie było ani śladu próżniaków, którzy zwykle tu się gromadzili; wszystko było smutne i puste.

Widząc, że nie ma nikogo, kogo by się można zapytać, jak i co się stało, Sam wszedł po cichu do domu i wkrótce ujrzał szanownego swego ojca.

Wdowiec siedział przy niewielkim, okrągłym stole w pokoiku za bufetem i palił fajkę, z oczyma wlepionymi w ogień. Widocznie pogrzeb odbył się w dniu dzisiejszym, gdyż szarfa z krepy, długa na półtora łokcia, zdobila jeszcze kapelusz, który pan Weller miał na głowie, i niedbale spadała na oparcie krzesła. Weller był tak zamyślony, iż Sam na próżno wołał go kilkakrotnie po imieniu. Stary ciągle palił fajkę, z nieruchomą i spokojną twarzą, i obejrzał się dopiero wówczas, gdy syn położył mu w końcu rękę na ramieniu.

— Sammy — rzekł wtedy — dobrze, żeś przyszedł.

— Odzywałem się już kilka razy — odrzekł Sam wieszając kapelusz — aleś mnie nie słyszał.

— Tak — odrzekł stangret, znów w zamyśleniu wpatrując się w ogień — marzyłem, Sammy.

— A o czymże tak myślałeś? — zapytał syn, przysuwając sobie krzesło do kominka.

— Myślałem o niej — odparł wdowiec i zwrócił głowę w stronę cmentarza w Dorking, by dać tym do zrozumienia, iż słowa jego odnoszą się do zmarłej pani Weller.

— Nie spodziewałem się — mówił dalej, z wielką powagą wpatrując się w syna, jakby chciał zapewnić, iż to, co powie, chociaż brzmi nieprawdopodobnie, jest jednak całkowicie prawdą — nie spodziewałem się, by, pomimo wszystko, tak mię to obeszło, że odjechała.

— Powinno cię obejść — rzekł Sam.

Weller kiwnął głową i znów utkwiał oczy w ogień, otoczył się obłokiem dymu i zapadł w głębokie rozmyślenia. Po długim milczeniu zaczął, odganiając ręką dym:

— Ach, mówiła jeszcze tak mądrze, Sammy.

— Co mówiła?

— Myśle... wówczas, kiedy leżała chora — odparł stary.

— Ale co takiego?

— Zaraz ci powiem: „Weller — powiedziała mi — obawiam się, iż nie byłam dla ciebie taka, jak powinnam była być. Ty jesteś dobry człowiek, z najlepszym sercem — mogłam stworzyć ci o wiele przyjemniejszy dom. Teraz, kiedy już za późno — powiedziała — przekonywam się, iż jeżeli kobieta zamężna chce być miłą Bogu, to naprzód powinna wypełniać wszystkie swe obowiązki w domu, aby tym, którzy ją otaczają, uczynić życie szczęśliwym i przyjemnym. Może wprawdzie chodzić do kościoła, do kaplicy czy gdzie

tam, ale nie może uważać, że w ten sposób opłaci swe lenistwo albo sobkostwo, albo coś jeszcze gorszego. Ja postępowałam przeciwnie i traciłam czas i pieniądze dla ludzi używających czasu i pieniędzy na jeszcze gorsze cele. Ale gdy mnie już nie stanie, Wellerze, sądzę, że pozostanę w twojej pamięci taka, jaka byłam z natury, przed poznaniem tych ludzi”. „Zuzanno” — powiedziałem jej. Właściwie nie wiedziałem, co powiedzieć, Samiwelu, bo byłem bardzo wzruszony. Nie ma co temu przeczyć. — „Zuzanno — powiedziałem — jedno z drugim wzięwszy, byłaś bardzo dobrą żoną, więc nie mówmy o tym. Nabierz odwagi, moja kochana, a dożyjesz jeszcze tego, że rozwalę głowę temu Stigginsowi”. Uśmiechnęła się na te słowa, Samiwelu — rzekł stary stangret, tłumiąc fajką westchnienie — ale pomimo to umarła.

Po trzech czy czterech minutach, podczas których zacny pan Weller senior nieustannie kiwał powoli głową, uroczyście paląc przy tym fajkę, Sam odważył się na kilka słów pociechy:

— No, ojczy, wszyscy pomrzemy, jeden prędzej, drugi później.

— Tak, wszyscy, Sammy — rzekł pan Weller.

— Tak już zarządziła opatrność — rzekł Sam.

— Naturalnie — odpowiedział ojciec, kiwając głową na znak potwierdzenia — bo w przeciwnym razie cóż by robili przedsiębiorcy pogrzebowi?

Wpadłszy na nieograniczone pole przypuszczeń i domysłów z racji tej ostatniej refleksji, stary Weller położył fajkę i poprawił ogień z zamyśloną miną.

Gdy był tym zajęty, tłuściuchna kucharka w żałobie, dotąd porządkująca coś na bufecie, wsunęła się do pokoju i ukłoniwszy się kilkakrotnie Samowi stanęła w milczeniu za krzesłem Wellera, oznajmiając mu swą obecność lekkim kaszlem, po którym, gdy go nie zauważono, nastąpił mocniejszy.

— A to co? — zawołał stangret, odsuwając pośpiesznie swe krzesło i odwracając się tak prędko, iż upuścił pogrzebacz. — Cóż tam?

— Napije się pan może filiżankę herbaty, kochany panie Weller? — zapytała tłuściutka kucharka przymilnym głosem. — Nie chcę — odpowiedział krótko stangret. — Niech pani idzie na spacer... — Tu nagle zatrzymał się i dodał cicho: — gdzie pieprz rośnie.

— Ach, jak to nieszczęście zmienia ludzi! — zawołała kucharka, podnosząc oczy w górę.

— Ale przynajmniej nie doprowadzi mnie do zmiany stanu — mruknął Weller.

— Doprawdy, nigdy nie widziałam człowieka z takimi humorami — rzekła otyła kucharka.

— To nic nie szkodzi! To dla mego dobra, jak mówił pewien uczeń pocieszając się, gdy go oćwiczono — rzekł pan Weller.

Tłuściuchna kucharka potrząsnęła głową z wielkim współczuciem i zwracając się do Sama zapytała, czy nie sądzi, iż ojciec jego powinien jakoś zebrać się w sobie i walczyć ze swym przygnębieniem.

— Sam pan widzi, panie Samuelu — dodała — a ja mówiłam mu to jeszcze przedwczoraj, że prędko poczuje się samotny i że nie potrafi tego znieść; ale powinien dać sobie z tym jakoś radę; bo to pewne, iż szczerze go żalujemy i gotowiśmy zrobić wszystko, by mu było dobrze. Bo nie ma przecież takiej sytuacji w życiu, by nie można było jej polepszyć, jak mi mówiła jedna bardzo godna osoba, gdy umarł mój mąż.

Tu tłuściutka oratorka, przyłożywszy rękę do ust, znów odkaszlnęła i czule spojrzała na Wellera.

— W tej chwili nie potrzebuję gadaniny pani — rzekł stangret głosem poważnym i stanowczym — proszę więc być tak dobrą i odejść!

— Dobrze, dobrze, panie Weller! Mówiłam do pana, kierując się jedynie miłością chrześcijańską.

— O tak, wiem — rzekł pan Weller. — Samuelu, pokaż pani drogę i zamknij drzwi.

Aluzja ta nie poszła na marne, gdyż tłuściutka kucharka bezzwłocznie wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Wtedy Weller, spocony, znów padł na krzesło i zawołał:

— Sammy! Jeżeli pozostanę tu choć tydzień, tylko jeden tydzień, mój chłopcze, to jestem pewny, że ta kobieta wyda się za mnie gwałtem.

— Tak jest w tobie zakochana? — zapytał Sam.

— Co tam zakochana! Nigdzie nie mogę ukryć się przed nią. Gdybym był zamknięty w żelaznej skrzyni z patentowanym zamkiem, to i wtedy znalazłaby sposób, by dostać się do mnie.

— To wspaniale być tak pożądanym! — zauważył Sam z uśmiechem.

— Nie bardzo mi to pochlebia, Sammy — odrzekł Weller, poprawiając ogień. — To okropne położenie. Po prostu nie mogę siedzieć w domu. Zaledwie twoja biedna macocha zamknęła oczy, już jedna baba przysłała mi słoik konfitur, druga słoik korniszonów, trzecia ugotowała dzban rumianku i wręczyła mi go własnoręcznie.

Tu Weller zatrzymał się z oznakami wielkiego niesmaku, a potem dodał zniżając głos:

— Wszystko to były wdowy, Sammy, z wyjątkiem tej z rumiankiem, która była pięćdziesięcioletnią panną.

Sam odpowiedział swemu ojcu łobuzerskim spojrzeniem, a stary stangret począł rozbijać wielki kawał węgla z tak mściwym wyrazem, jakby to była głowa jednej z wyżej wymienionych wdów.

— Jednym słowem — powiedział w końcu — nigdzie nie czuję się bezpiecznie, tylko na koźle.

— Dlaczego miałbyś tam czuć się bezpieczniej aniżeli gdzie indziej? — zapytał Sam.

— Bo stangret jest to istota uprzywilejowana — odrzekł Weller, wpatrując się w syna.

— Bo stangret może, nie budząc podejrzania, robić to, czego inny człowiek robić nie może; bo stangret może być na najprzyjaźniejszej stopie z osiemdziesięcioma tysiącami podróźnych płci pięknej, a nigdy nikt nie pomyśli, że może mieć chęć do żeniaczki z którąś z nich. Czy jest jaki inny śmiertelnik, który by to mógł o sobie powiedzieć, Sammy?

— Tak, w tym coś jest — odrzekł Sam z zamyśloną miną.

— Gdyby twój pryncypał był stangretem, myślisz, że przysięgli zasądziłiby go?! Nigdy! nawet gdyby doszło do ostateczności. Nigdy nie byłiby go zasądzili.

— Dlaczego? — spytał Sam z powątpiewaniem.

— Dlaczego?! Bo to byłoby przeciwne ich sumieniu. Prawdziwy stangret to coś pośredniego między człowiekiem żonatym a kawalerem. I każdy rozsądny człowiek to rozumie.

— Chcesz powiedzieć, że każda ich kocha, a żadna nie wykorzystuje sytuacji... Może... — powiedział Sam.

Weller kiwnął głową, potem dodał:

— Czemu tak się dzieje, sam nie wiem. Ale tak jest. Stangret, który objeżdża swoje stacje, ma tyle miłych przymiotów, że wszystkie młode dziewczęta we wszystkich miastach, przez które przejeżdża, zawsze oglądają się za nim, ba, powiedziałbym, że

niemal modłą się do niego. Dlaczego, nie wiem, ale wiem, że tak jest. To jest prawo natury, *dispensarium** opatrności, jak zwykła była mawiać twoja biedna macocha.

— Dyspozycja — zauważył Sam, poprawiając ojca.

— Bardzo dobrze, Samie, niech będzie dyspozycja; powiedziałem *dispensarium*, bo wszędzie tak napisano, gdzie dostaje się lekarstwa za darmo i trzeba tylko przynieść flaszkę. Więcej nie mówię.

Po tych słowach pan Weller napełnił fajkę i zapalił ją, po czym przybierając znów wyraz zamyślenia, ciągnął dalej:

— Dlatego też, mój chłopcze, ponieważ nie widzę korzyści z pozostawania tu i narażania się na ożenienie gwałtem i ponieważ nie chcę się rozstawać z najprzyjemniejszymi członkami naszego towarzystwa, postanowiłem jeździć dalej starym dyliżansem i przenieść się z powrotem „Pod Dziką Dziewczynę”, która jest moim naturalnym żywiołem.

— A cóż będzie z zakładem? — zapytał Sam.

— Zakład, mój chłopcze, ze wszystkim, co do niego należy, sprzedam i tak jak życzyła sobie twoja macocha przed śmiercią, dwieście funtów z sumy otrzymanej za sprzedaż umieści się na twoje imię w tych... jakże to nazywają się te historie?

— Jakie historie?

— Te, co to co dzień podnoszą się i spadają w City?

— Omnibusy?

— Nie, te, co ciągle są w ruchu i ciągle płaczą się z długiem państwowym, bonami skarbowymi itd.?

— A! Papiery wartościowe?

— Tak, tak! Papiery wartościowe. Dwieście funtów szterlingów umieścimy w tych funduszach na twoje imię, w obligacjach na cztery i pół procent, Sammy.

— Bardzo to pięknie ze strony macochy, że pamiętała o mnie, bardzo jej jestem za to wdzięczny — rzekł Sam.

— Resztę złoży się na moje imię, a gdy wybiorę się w swoją ostatnią podróż, tobie się to dostanie. Więc uważaj, abyś od razu nie przepuścił wszystkiego, mój chłopcze, i uważaj, by jaka wdowa nie zwietrzyła twoich pieniędzy, bo jesteś zgubiony.

Dawszy synowi tę ojcowską przestrożę, Weller rozpogodził nieco czoło. Widocznie ulgę mu przyniosło, iż powiedział synowi, co chciał.

— Ktoś puka — rzekł Sam po chwili.

— Niech sobie puka — rzekł Weller z godnością.

Sam nie ruszył się. Zapukano powtórnie, potem znów, potem pukano bez przerwy, tak że Sam w końcu zapytał, czy może wpuścić pukającą osobę.

— Ts! — szepnął Weller, patrząc z przerażeniem — nie zważaj na to, Sammy, może znów jaka wdowa.

Ponieważ nie zwracano uwagi na pukanie, po niejakiem czasie niewidzialny gość spróbował sam otworzyć drzwi i zajrzeć do pokoju. Wtedy ukazała się nie głowa kobieca, ale długie czarne włosy i czerwona twarz pana Stigginsa.

Staremu stangretowi fajka wypadła z ręki.

Wielebny gentleman otworzył drzwi ruchem prawie niedostrzegalnym, aż szpara była dość wielka, by przepuścić chuderławą postać, po czym wśliznął się do pokoju i równie cicho zamknął drzwi. Następnie, zwróciwszy się do Sama, podniósł ręce i oczy do sufitu

* *dispensary* (łac. *Dispensarium*) ang. Apteka, poradnia, *dispensation* — zeządenie Opatrzności (Przyp. red.)

na znak niepokieszonego smutku, który go ogarnął z powodu rodzinnego nieszczęścia Wellerów; potem wziął z kąta wielki fotel, zaniósł go przed kominek, usiadł i wydobywszy z kieszeni chustkę, przyłożył ją do oczu.

Gdy to się działo, Weller siedział nieruchomo, z wytrzeszczonymi oczyma, oparłszy rękę o kolana, a cała jego postawa wyrażała bezgraniczne zdumienie. Sam, siedząc naprzeciw ojca, w milczeniu i z ogromną ciekawością czekał na dalszy przebieg tej sceny.

Pan Stiggins przez kilka minut trzymał chustkę przy oczach, wielokrotnie wydając bolesne jęki. Potem, pokonawszy swój smutek z ogromnym wysiłkiem, włożył chustkę do kieszeni, zapiął guziki, poprawił ogień, potarł sobie ręce i spojrzał na Sama.

— O, mój młody przyjacielu! — zawołał, przerywając milczenie, ale głosem bardzo cichym.

— Cóż to za okropne zmartwienie i boleść. Sam lekko pochylił głowę.

— I dla męża złości także! O! Od tego krwawi serce wybrańca bożego!

Samowi zdawało się, że ojciec jego coś mruknął o nosie wybrańca, który także można zakrwawić, ale pan Stiggins nie dosłyszał tego.

Wielebny przesunął sobie krzesło do Sama.

— Nie wiesz, młody człowieku — powiedział — czy nie zapisała czego dla Emanuela?

— Co to jest? — zapytał Sam.

— Kaplica... nasza kaplica... nasza trzoda, kochany panie.

— Nic nie zapisała ani dla trzody, ani dla pasterza, ani dla żadnego bydła, nawet dla psa nic nie zapisała — odrzekł Sam stanowczo.

Pan Stiggins podejrzliwie spojrzał na Sama, a potem na starego Wellera, który zamknął oczy, jakby spał. Po chwili przesunął krzesło jeszcze bliżej i zapytał znów:

— A dla mnie nic, panie Samuelu?

Sam potrząsnął głową.

— Pomyśl pan tylko, może przecież coś — rzekł Stiggins, blady jak papier. — Przypomnij pan sobie, panie Samuelu; nic, nawet na pamiątkę?

— Nic, co by warte było choćby tyle, co pański stary parasol...

— Może — zaczął znowu pan Stiggins z wahaniem po kilku minutach namysłu — może poleciała mnie opiece męża złości, panie Samuelu?

— To być może, wnosząc z tego, co mi powiedział. Niedawno właśnie mówił o panu — odparł Sam.

— Doprawdy? — zawołał pan Stiggins, nabierając otuchy. — Ach! Może się odmieni! Będziemy mogli bardzo wygodnie żyć razem, panie Samuelu. Gdy pan wyjedzie, będę się opiekował jego sprawami — a z pewnością będę się opiekował dobrze.

Wydawszy z głębi piersi długie westchnienie pan Stiggins zatrzymał się, czekając na odpowiedź. Sam pochylił głowę, a Weller wydał jakiś niezwykły głos, który nie był ani jękiem, ani warczeniem, ani chrapaniem, ale w którym, zdawało się, zawarte były wszystkie te odcienie.

Ośmielony tym głosem, który wziął za oznakę skruchy lub wyrzutów sumienia, pan Stiggins spojrzał dokoła, zatarł ręce, zapłakał, uśmiechnął się, znów zapłakał, a potem z wolna przeszedłszy przez pokój wziął szklankę z dobrze sobie znanej półki i ostrożnie włożył do niej cztery kawałki cukru. Po spełnieniu tej pierwszej czynności znów spojrzał dokoła i westchnął ponuro. Następnie posunął się wilczym krokiem ku bufetowi i powracając z tą samą szklanką, do połowy napełnioną arakiem, przybliżył się do wesóło kipiącego na kominku kociołka, przyrządził sobie grog, zamieszał, skosztował, usiadł, pociągnął długi łyk i zatrzymał się, by odetchnąć.

Weller, który czynił różne dziwne i niezwykle wysiłki, by udawać śpiącego, nie zdradził się żadnym ruchem podczas wszystkich tych czynności; ale gdy pan Stiggins zatrzymał się, by odetchnąć, rzucił się na niego, wyrwał mu szklankę z rąk, bryznął w twarz resztą grogu, szklankę cisnął w kominiek i porwawszy wielebnego gentlemana za kołnierz, zaczął go bić i kopać, przy czym każdemu ruchowi nogi towarzyszyły mocne, choć bez związku przekleństwa na wszystkie członki pana Stigginsa, na jego oczy i jego ciało.

— Sammy! — zawołał potem, zatrzymawszy się na chwilę. — Osadź no mi należycie kapelusz na głowie!

Jako posłuszny syn, Sam osadził ojcu kapelusz ozdobiony czarną krepu, a dzielny stangret zaczął thuc pana Stigginsa jeszcze energiczniej niż przedtem, powłókł go przez salę, sień i drzwi aż na ulicę, przy czym uderzenia nogami nie ustawały ani na chwilę przez całą drogę, a gwałtowność ich, zdawało się, zwiększała się coraz bardziej.

Pyszny to był i wesoły widok, gdy czerwono nosy, drżąc całym ciałem, wił się w żyłastych rękach Wellera, gdy tymczasem uderzenia nogą następowały po sobie ze zdumiewającą szybkością. Ale widok stał się jeszcze wspanialszy, gdy potężny stangret po przewyciężeniu rozpaczliwego oporu swej ofiary zanurzył głowę pana Stigginsa w stągiew pełną wody i trzymał ją tam, dopóki delikwent omal się nie udusił.

— Masz — rzekł na koniec, pozwalając wielebnemu wydobyć głowę ze stągwi i zadając mu ostatnie, energiczne uderzenie nogą. — Przyślij mi tu jeszcze kilku takich próżniackich pasterzy, a zrobię z nich miazgę, a potem utopię. Sammy, pomóż mi wejść do domu i nalej szklankę wódki. Zadyszałem się, mój chłopcze.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci **opisujący ostateczne rozstanie z panem Jingle'em i** **Hiobem Trotterem, zawierający opis pamiętnego** **poranku poświęconego interesom w Gray's Inn Square, a** **zakończonego kilkakrotnym stukaniem do drzwi pana** **Perkera**

Gdy pan Pickwick po długim przygotowaniu i licznych zapewnieniach zawiadomił Arabellę o niezadowolającym wyniku swojej wizyty u pana Winkle'a starszego w Birmingham, nadmieniając przy tym, iż nie ma najmniejszego powodu, by oddawać się rozpacz, biedna kobieta załżała się łzami, wyrzucając sobie, iż stała się powodem nieporozumienia między ojcem a synem.

— Moje drogie dziecię — rzekł z dobrocią pan Pickwick — tyś temu nie winna. Trudno było przewidzieć, iż pan Winkle tak źle odniesie się do małżeństwa swego syna. A jestem pewny — dodał, wpatrując się w jej piękną twarz — iż nawet nie przypuszcza, jakiej sobie odmawia radości.

— Ach! Kochany panie Pickwick, cóż my pocniemy, gdy on nie przestanie się na nas gniewać?

— Będziemy cierpliwie czekać, aż się opamięta, moje kochane dziecię — rzekł z zadowoleniem pan Pickwick.

— Ale cóż zrobi Nataniel, gdy ojciec odmówi mu swej pomocy?

— W takim razie, moja droga, gotów jestem założyć się, iż znajdzie jakiego innego przyjaciela, który mu dopomoże do utorowania sobie drogi w świecie — odparł filozof.

Znaczenie tej odpowiedzi było dość jasne, by Arabella zrozumiała ją. Rzuciła się więc panu Pickwickowi na szyję, serdecznie go ucałowała i zapłakała jeszcze mocniej.

— No, no, uspokój się, pani — rzekł filozof, biorąc ją za obie ręce — poczekam jeszcze kilka dni i zobaczymy, czy odpisze lub da Natanielowi jaką inną odpowiedź. Jeżeli nie da żadnej, to mam w głowie tuzin planów, z których każdy zapewni wam szczęście. Uspokój się, moja droga.

To powiedziawszy, pan Pickwick uścisnął rękę Arabelli i poprosił ją, by przestała płakać, gdyż może tym zmartwić męża. Gdy tylko Arabella, najlepsza w świecie istota, usłyszała to, schowała chustkę; a gdy przyszedł pan Winkle, powitała go z tym samym uśmiechem i tymi samymi błyszczącymi oczami, które na początku ich znajomości zawładnęły jego sercem.

— Przykre jest położenie tego młodego małżeństwa — powiedział do siebie pan Pickwick rankiem następnego dnia. — Muszę iść do Perkera i zasięgnąć jego rady!

Ponieważ panu Pickwickowi bardzo się śpieszyło pomówić o tej sprawie, jak również załatwić swoje rachunki z pocziwym panem Perkerem, kazał prędko podawać śniadanie i tak szybko wykonał swój zamiar, że nim wybiła dziesiąta, już był w biurze.

Brakowało całych dziesięciu minut do dziesiątej, a pan Pickwick szedł już po schodach prowadzących do mieszkania adwokata. Dependenci jeszcze nie nadeszli, więc filozof nasz skracał sobie czas wyglądaniem przez okno.

Jasne światło październikowego poranku nawet starym domom nadawało wesoły wygląd; niektóre brudne okna miały wygląd prawie przyjemny, gdy padały na nie

promienie słońca. Tłumy dependentów adwokackich pokazywały się i znikwały w rozmaitych zaułkach. Każdy z nich patrzył na zegar ratuszowy i zwalniał lub przyspieszał kroku w zależności od pory, w jakiej nominalnie zaczynały się jego godziny biurowe; panowie „od wpół do dziesiątej” stawali się nagle bardzo ruchliwi, panowie zaś „od dziesiątej” — bardzo arystokratycznie powolni. Zegar wydzwonił dziesiątą, urzędnicy przyspieszyli kroku, jeden chciał wyminąć drugiego. Wszędzie rozlegało się echo odmykanych i zamykanych drzwi. W każdym oknie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, pokazywały się głowy. Portierzy zajmowali miejsca przy drzwiach. Gospodynie w przydeptanych pantoflach biegly na miasto. Pocztylion chodził od domu do domu. Wszędzie zawrzało życie.

— Wczesny z pana ptak, panie Pickwick! — zawołał jakiś głos.

— A, pan Lowten! — powiedział filozof, oglądając się i poznając starego znajomego.

— Trochę za gorąco, by spacerować — powiedział pan Lowten.

— Tak można by sądzić po panu — powiedział pan Pickwick, patrząc na purpurowe oblicze dependenta.

— Miałem kawał drogi — objaśnił pan Lowten. — Biło wpół, kiedy byłem jeszcze przy poligonie! Ale zdażyłem przed nim, więc mniejsza o to!

Pocieszywszy się tą refleksją, pan Lowten wyjął klucz, otworzył biuro, schował klucz do kieszeni i wyjął listy, które pocztylion wrzucił do skrzynki, po czym wprowadził pana Pickwicka do biura. Tu w mgnieniu oka uwolnił się od marynarki, włożył stare ubranie, które chował w biurku, powiesił kapelusz, poukładał kilka stosów papierów i dokumentów w równoległe rzędy i założywszy pióro za ucho, zatarł ręce z miną wielce zadowoloną.

— Jużem gotów, jak pan widzi — powiedział. — Zdjąłem kurtkę spacerową, przebrałem się po biurowemu — jak chce, niech przychodzi! Ma pan przy sobie szczyptę tabaki?

— Nie — odpowiedział pan. Pickwick.

— Mocno żałuję! — powiedział pan Lowten. — Mniejsza o to! Skoczę po butelkę wody sodowej! Czy nie wyglądam trochę „nie tego” koło oczu?

Indywiduum, do którego zwrócone były te słowa, przyjrzało się panu Lowtenowi z pewnej odległości, po czym stwierdziło, że koło oczu nie ma nic „nie tego”.

— Bardzom rad! — zawołał pan Lowten. — Zabawiliśmy się wczoraj zbyt długo „Pod Ogarkiem”, a zawsze potem czuję się niewyraźnie... Pan Perker zajmuje się już pańską sprawą!

— Jaką sprawą? — zapytał pan Pickwick. — Kosztami procesu z panią Bardell?

— Nie, sprawą tego jegomościa, za którego weksel płaciliśmy na pański rachunek po dziesięć szylingów za sto, aby, jak pan wie, wydobyć go z więzienia Fleet Street i wyprawić do Demerary.

— A! Pana Jingle’a! — zawołał żywo pan Pickwick. — Jakże poszło?

— Wszystko już ułożone. Nasz agent w Liverpoolu pisze, iż niejednokrotnie doznawał uprzejmości od pana, gdyż pan zajmował się jeszcze interesami, i że wyśle pana Jingle’a do Ameryki, jeżeli pan poleci to zrobić.

— Bardzo mię to cieszy — rzekł pan Pickwick.

— Ale — dodał pan Lowten, skrobiąc pióro po odwrotnej stronie, by zrobić nowe nacięcie — ale ten drugi, cóż to za wrażliwy pan?

— Jaki drugi?

— Ten służący czy przyjaciel... ten... pan wie przecież: Trotter.

— Ba! — zawołał pan Pickwick — o nim zawsze myślałem coś wprost przeciwnego.

— I ja także. Sądziłem z tego wyłącznie, co o nim wiedziałem. Ale to dowodzi tylko, jak łatwo można się mylić. Co by pan powiedział na to, gdyby Trotter pojechał do Ameryki?

— Co? Nie chce przyjąć tego, co mu tu dają? — zawołał pan Pickwick.

— Nie chce. Kiedy pan Perker powiedział, że daje mu osiemnaście szylingów, i obiecał mu podwyżkę, jeżeli będzie się starał, zlekceważył to zupełnie — odrzekł pan Lowten. — Powiedział, że musi jechać z tamtym. Uprosil Perkera, żeby raz jeszcze napisał i żeby przyjęto go na tę samą fermę. Perker powiada, że nawet w połowie nie będzie im tak dobrze jak przestępcom w Nowej Południowej Walii, jeżeli zjawiają się porządnie ubrani...

— Co za szaleństwo! — zawołał pan Pickwick z błyskiem w oczach. — Co za szaleństwo!

— To, panie, gorzej niż szaleństwo! — odrzekł pan Lowten pogardliwie. — To ciężka głupota. Mówi, że to jego jedyny przyjaciel, że całą duszą jest do niego przywiązany itd. Przyjaźń to piękna rzecz! Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi „Pod Ogarkiem”, zwłaszcza przy grogu i gdy każdy płaci za siebie! Ale diabła by tam chciał się kto poświęcać dla innych! Człowiek powinien mieć tylko dwa rodzaje przywiązania: pierwsze do zaimka osobowego w pierwszej osobie, drugie do dam w ogólności! Taki jest mój system! Cha, cha, cha!

Pan Lowten zakończył śmiechem pół drwiącym, pół wesołym, który nagle urwał się na dźwięk kroków pana Perkera. Na ten dźwięk bardzo zręcznie usiadł na krześle i zaczął zapamiętane machać piórem.

Przywitanie pana Pickwicka z jego doradcą prawnym było serdeczne i ciepłe. Zaledwie jednak klient usiadł w fotelu adwokata, gdy jakiś głos spytał, czy pan Perker przyjmuje.

— To, panie, jeden z naszych wagabundów — rzekł pan Perker — czy chce pan widzieć?

— Jak pan myśli? — rzekł pan Pickwick z wahaniem.

— Ja myślę, że tak będzie najlepiej. No, panie, jak się tam pan nazywa... proszę wejść.

Na to zaproszenie weszli panowie Jingle i Hiob Trotter, ale ujrzawszy pana Pickwicka stanęli, zmieszani.

— No? — spytał pan Perker. — Nie znacie tego gentlemana?

— Mamy powody znać — powiedział pan Jingle występując naprzód. — Panie Pickwick — wysoce zobowiązani — uratował pan życie — zrobił ze mnie człowieka — nigdy pan tego nie pożałuje, panie...

— Miło mi to słyszeć od pana — odrzekł pan Pickwick. — Teraz wygląda pan lepiej.

— Wszystko z łaski pana. Wielka zmiana. Więzienie Jej Królewskiej Mości jest niezdrowe, bardzo niezdrowe.

Pan Jingle był ubrany skromnie i przyzwoicie, podobnie jak Hiob stojący za nim i wpatrujący się w pana Pickwicka.

— Kiedy jedziecie do Liverpoolu? — zapytał pan Pickwick.

— Dziś o siódmej wieczorem — rzekł Hiob, występując naprzód — dyliżansem pocztowym z City.

— Macie już miejsca?

— Tak jest — rzekł Hiob.

— Więc jesteś zdecydowany jechać? — zapytał pan Pickwick.

— Tak, proszę pana.

— Co do pana Jingle'a — rzekł pan Perker głośno, zwracając się do pana Pickwicka — to ułożyliśmy się, że co trzy miesiące będzie mu się potrącać pewną kwotę z jego pensji celem opłacenia wydatków, co nastąpi w ciągu roku. Jestem stanowczo przeciwny, byś

pan, mój drogi panie, robił dla niego coś, na co nie zasłużył pracowitością i dobrym prowadzeniem.

— Rozumie się — przerwał pan Jingle stanowczo.

— Uwaga słuszna — człowiek praktyczny — sądzi zdrowo, bardzo zdrowo.

— Zaspokajając wierzycieli, wykupując zastawione suknie, żywiąc go w więzieniu, opłacając przejazd do Ameryki, stracił pan już około pięćdziesięciu funtów... — mówił dalej pan Perker nie zwracając uwagi na to, co powiedział pan Jingle.

— Nie stracił! — zawołał energicznie pan Jingle — wszystko będzie zapłacone — będę pracował jak koń — może żółta febra — to trudno — ale jeżeli nie...

Tu pan Jingle zatrzymał się, uderzył mocno dłonią po kapeluszu, podniósł rękę do oczu, potem usiadł.

— Chce przez to powiedzieć — dodał Hiob — że jeżeli go nie zabierze żółta febra, to zapłaci wszystko. Jeżeli będzie żył, panie Pickwick, to dotrzyma słowa; daję na to moją rękę. Jestem pewien, że dotrzyma — powtórzył Hiob z wielkim zapalem — przysięgam.

— Dobrze, dobrze — odrzekł pan Pickwick, który rzucił Perkerowi kilkadziesiąt karcących spojrzeń, by mu dać do poznania, że nie życzy sobie wyliczania swych dobrodziejstw, na co jednak mały adwokat nie zwracał najmniejszej uwagi. — Radzę panu tylko — dodał z uśmiechem, zwracając się do pana Jingle'a — byś pan nie brał udziału w takich niezwykłych meczach krokietowych i nie zadawał się z sir Tomaszem Blazo. Wtenczas, nie wątpię, że nie straci pan zdrowia. Pan Jingle uśmiechnął się, ale miał minę trochę głupią, więc pan Pickwick zmienił temat rozmowy.

— Nie wie pan przypadkiem, co się stało z drugim naszym przyjacielem, tym skromniejszym, którego widziałem w Rochester?

— Z ponurym Jimmym? — spytał pan Jingle.

— Tak.

Pan Jingle pokiwał głową.

— Mądry łotr — zabawny facet — genialny kpiarz — brat Hioba.

— Brat Hioba! — zawołał pan Pickwick. — Tak, teraz nawet widzę podobieństwo.

— Często myślą nas — powiedział Hiob z chytrym uśmiechem w kątach ust. — Ale ja byłem zawsze poważniejszy od niego. Wyemigrował do Ameryki, proszę pana, za bardzo dał się tu we znaki, żeby mu pozwolili żyć spokojnie! I więcej nie dał o sobie znaku życia!

— To tłumaczy, dlaczego nigdy nie otrzymałem obiecanych „Kartek z prawdziwego życia”, które miał mi dostarczyć w ów dzień, kiedy to podejrzewano, że popełnił samobójstwo — powiedział pan Pickwick z uśmiechem. — Na Rochester Bridge! Nie potrzebuję pytać, czy jego posępne usposobienie było udane, czy szczerze!

— On potrafi wszystko udać — powiedział Hiob. — Pańskie szczęście, proszę pana, że się pan tak tanio od niego wykupił! Przy bliższym poznaniu mógł być nawet niebezpieczniejszy od... od... — Hiob spojrzał na pana Jingle'a, zawahał się i dodał: — ode mnie nawet!

— Obiecująca rodzinka, panie Trotter — powiedział pan Perker, zalakowując napisany właśnie list.

— Tak, panie — odpowiedział Hiob. — I bardzo!

— No — powiedział mały adwokat z uśmiechem — mam nadzieję, że pan nie spełni nadziei pokładanej w panu! Proszę oddać ten list agentowi po przybyciu do Liverpoolu i jeśli mi wolno radzić, nie dajcie się panowie zbyt szybko poznać w Indiach Zachodnich. Jeżeli zmarnujecie tę sposobność, zasługujecie obaj na stryczek, który, według mnie, słusznie wam się należy! A teraz zostawcie nas z panem Pickwickiem, mamy ze sobą

jeszcze inne interesy, a czas jest drogi! — To mówiąc Perker spojrział na drzwi, starając się jak można skrócić pożegnanie.

Ze strony pana Jingle'a nie trwało ono długo. W krótkich słowach podziękował adwokatowi za życzliwość i szybkość, z jaką pokierował jego interesami, potem zwróciwszy się do swego dobroczyńcy stał przez kilka chwil jakby niezdecydowany, co ma zrobić lub powiedzieć. Hiob położył kres tej sytuacji skłoniwszy się nisko i z wdzięcznością panu Pickwickowi, po czym uprzejmie ujął pod rękę swego przyjaciela i wyprowadził go.

— Godna para! — powiedział pan Perker, gdy drzwi zamknęły się za nimi.

— Mam nadzieję, że tym się staną — odrzekł pan Pickwick. — Jak pan przypuszcza? Czy jest możliwe, że ich nawrócenie będzie stałe?

Perker wzruszył ramionami z powątpiewaniem, ale widząc przerażone i rozczarowane spojrzenie pana Pickwicka powiedział:

— Oczywiście, że to możliwe! W obecnej chwili są bezwzględnie skruszeni i dobrze pamiętają, co niedawno wycierpieli. Co się z nimi stanie, gdy pamięć tego osłabnie, nie możemy odgadnąć ani pan, ani ja! W każdym razie, kochany panie — dodał Perker kładąc rękę na ramieniu pana Pickwicka — pański czyn przynosi panu zaszczyt bez względu na skutek, jaki za sobą pociągnie. Czy ten rodzaj uczynności, tak dalekowzroczny i wspaniałomyślny, że aż rzadko stosowany, może być nazwany prawdziwym miłosierdziem, czy omamieniem siebie samego, pozostawiam do rozstrzygnięcia mądrzejszym ode mnie. Ale nawet gdyby te dwa draby zaraz jutro dokonały napadu bandyckiego, sąd mój o pańskim czynie nie ulegnie zmianie.

Wypowiedziawszy powyższe uwagi, w ów uroczysty i natchniony sposób, właściwy gentlemanom jego profesji, pan Perker przysunął sobie krzesło do biurka i wysłuchał opowieści pana Pickwicka o uporze pana Winkle'a seniora.

— Dajcie mu tydzień do namysłu! — rzekł mały adwokat, proroczo kiwając głową.

— Czy myśli pan, że ustąpi?

— Rozumie się. Jeżeli nie, niech go przekona ta młoda dama, od czego każdy inny, a nie pan, byłby zaczął zaraz na początku — odparł pan Perker.

Wygłosiwszy tę sentencję pan Perker zażył ogromny niuch tabaki, wzruszając ramionami na dowód, jak wysoko ceni odnośne zdolności młodych dam. Wtem w pierwszym pokoju dały się słyszeć głosy, a następnie zapukał pan Lowten.

— Proszę wejść! — rzekł mały adwokat.

Dependent wszedł i zamknął za sobą drzwi z tajemniczą miną...

— Co tam? — zapytał pan Perker.

— Pytają o pana.

— Kto?

Lowten spojrział na pana Pickwicka i kaszlnął.

— Mów pan, kto o mnie pyta?

— Panowie Dodson i Fogg.

— Ach, prawda! — zawołał pan Perker spoglądając na zegarek. — Umówiłem się z nimi, by przyszli tu o pół do dwunastej celem zakończenia pańskiej sprawy, panie Pickwick. Dałem im rewers, za który przysłali mi pańskie zwolnienie z więzienia. Przychodzą bardzo nie w porę. Cóż pan zrobi teraz ze sobą, drogi panie? Może zechce pan przejść do drugiego pokoju?

Ponieważ tym „drugim pokojem” był właśnie pokój, w którym czekali panowie Dodson i Fogg, pan Pickwick odpowiedział, że zostanie tu, gdzie jest. Zwłaszcza że nie on, tylko

panowie Dodson i Fogg powinni wstydzić się spojrzeć mu w twarz, co pan Perker powinien wziąć pod rozwagę — powiedział pan Pickwick z twarzą zaczerwienioną i odpowiednim tonem.

— Bardzo dobrze, panie — odrzekł pan Perker. — Ale jeżeli pan przypuszcza, że Dodson i Fogg okażą skrucę i żal dlatego, że muszą panu czy komu innemu spojrzeć w twarz, to jest pan największym optymistą, jakiego kiedykolwiek widziałem. Lowten! Niech ci panowie wejdą.

Lowten znikł uśmiechając się, a po chwili wrócił, by według obowiązujących form wprowadzić firmę: najpierw Dodsona, potem Foggą.

— Sądzę, że panowie znacie już pana Pickwicka — rzekł pan Perker wskazując piórem w kierunku, gdzie siedział filozof.

— Jak się pan ma, panie Pickwick! — zawołał Dodson donośnym głosem.

— Jak się pan ma! — powtórzył Fogg. — Przypuszczam, że dobrze. Mam wrażenie, że znam pana — dodał biorąc krzesło i rozglądając się dokoła z uśmiechem.

Pan Pickwick skinął lekko głową i widząc, że Fogg wyjmuje z kieszeni papiery, cofnął się we wnękę okna.

— Pan Pickwick nie potrzebuje się oddalać — rzekł Fogg do pana Perkera, uwalniając papiery z czerwonego sznurka i uśmiechając się jeszcze przyjemniej — pan Pickwick zna tę sprawę dość dokładnie. Między nami nie ma tajemnic, cha, cha, cha!

— Niewiele w każdym razie — dodał Dodson — cha, cha, cha!

Potem obaj sprzymierzeni roześmiali się z zadowoleniem i wesoło, jak czynią ludzie, którzy mają otrzymać pieniądze.

— Pan Pickwick będzie musiał zapłacić za swoją ciekawość — rzekł pan Fogg z wrodzonym humorem, gdy porządkował papiery. — Suma kosztów wynosi sto trzydzieści trzy funty, sześć szylingów i cztery penty, panie Perker.

Panowie Perker i Fogg zajęli się sprawdzaniem rachunków celem ustalenia zysków i strat i obracali kartki, a pan Dodson wielce uprzejmie odezwał się do pana Pickwicka:

— Nie wygląda pan obecnie tak dobrze jak wówczas, gdy miałem zaszczyt widzieć pana ostatni raz.

— Bardzo być może — odrzekł pan Pickwick, który już rzucił na obydwóch łobuzów tysiące piorunujących spojrzeń, co jednak nie sprawiło najmniejszego wrażenia — w ostatnich czasach byłem prześladowany przez łotrów.

Pan Perker kaszlnął głośno i spytał pana Pickwicka, czyby nie zechciał przeczytać porannych gazet. Ale pan Pickwick stanowczo odmówił.

— Racja! — powiedział pan Dodson. — Założę się, żeś pan miał wiele przykrości w więzieniu! Straszne tam towarzystwo! Gdzie pan mieszkał, panie Pickwick?

— Miałem pokój na tym samym piętrze, co kawiarnia — objaśnił nie posiadający się z oburzenia pan Pickwick.

— Naprawdę? Zdaje się, że to najsympatyczniejsza część gmachu.

— Rzeczywiście — sucho odpowiedział pan Pickwick.

Zimna krew tego nędznika mogła podziałać dość podniecająco na gentlemana o wybuchowym temperamencie. Pan Pickwick nadludzkim wysiłkiem powstrzymał swój gniew. Ale gdy pan Perker wypisał przekaz na całą sumę, a Fogg schował go do kieszeni od kamizelki z triumfalnym uśmiechem na swoim obleśnym obliczu, który to uśmiech natychmiast znalazł odzwierciedlenie na twarzy pana Dodsona, filozof poczuł, że krew uderza mu do głowy.

— Panie Dodson! — powiedział pan Fogg, chowając notes i naciągając rękawiczki — jestem na pańskie rozkazy!

— Służę panu — odpowiedział pan Dodson wstając.

— Jestem bardzo rad — powiedział pan Fogg, ułagodzony nieco posiadaniem przekazu — że miałem sposobność poznać pana, panie Pickwick! Przypuszczam, że nie myśli pan już o nas tak nieżyczliwie jak wtedy, gdyśmy się po raz pierwszy widzieli!

— Mam nadzieję! — powiedział pan Dodson tonem obrażonej cnoty. — Pan Pickwick miał sposobność poznać nas lepiej! Bez względu na to, co pan sądzi o ludziach naszej profesji, zapewniam pana, że nie czuję doń żalu ani nie chcę się mścić za uczucia, jakie uważał pan za stosowne okazać nam w naszym biurze na Freeman's Court, Cornhill, o czym raczył wspomnieć mój wspólnik.

— Nie, nie! — dodał pan Fogg tonem wybaczącym.

— Postępowanie nasze mówi samo za siebie i usprawiedliwi nasze stanowisko jak w tym, tak w każdym wypadku. Pracujemy w naszym zawodzie od lat już kilku, szanowny panie, i cieszymy się poważaniem wielu bardzo szanownych klientów. Do widzenia panu!

— Do widzenia panu, panie Pickwick! — powiedział pan Fogg. To mówiąc, włożył parasol pod pachę, zdjął rękawiczkę z prawej ręki i wyciągnął dłoń do gotującego się z gniewu pana Pickwicka.

Filozof natychmiast schował obie ręce do kieszeni i obrzucił go wzrokiem pełnym bezgranicznej pogardy.

— Lowten! — zawołał w tej chwili pan Perker. — Otwórz drzwi.

— Zatrzymaj się pan! — zawołał pan Pickwick. — Teraz ja chcę mówić.

— Mój kochany panie — przerwał mały adwokat, który przez cały ten czas stał jak na rozżarzonych węglach — zakończmy tę sprawę. Proszę pana, panie Pickwick...

— Panie! — odpowiedział żywo pan Pickwick — nikt mnie nie zmusi do milczenia. Panie Dodson — mówił dalej — pan zwrócił się do mnie z pewnymi uwagami.

Dodson odwrócił się, pochylił grzecznie głowę i uśmiechnął się.

— Tak, z pewnymi uwagami... — ciągnął dalej pan Pickwick, zadyszany. — Wspólnik pana podał mi rękę, a obaj panowie posługiwaliście się w stosunku do mnie wybaczącym, wspaniałomyślnym tonem, co jest taką bezczelnością, jakiej nawet u panów nie spodziewałem się.

— Co, panie? — zapytali razem Dodson i Fogg.

— Czy wiecie, że padłem ofiarą waszych haniebnych sposobów i sztuczek? Czy wiecie, iż jestem właśnie tym, którego uwięziliście i ograbiliście? Czy wiecie, iż jesteście pełnomocnikami pani Bardell?

— Wszystko to jest nam wiadome — odrzekł Dodson.

— Wiadome! — dodał Fogg uderzając się, może przypadkiem, po kieszeni...

— Widzę, że pamięć o tym miła jest panom — powiedział pan Pickwick, usiłując uśmiechnąć się z goryczą, co mu się zresztą nie udało. — Chociaż dawno już chciałem panom dobitnie wytłumaczyć, co o nich myślę, wyrzekłbym się tej przyjemności przez wzgląd na mego przyjaciela, Perkera, gdyby nie trudny do zniesienia ton panów i ta bezczelna poufałość!... Powtarzam: bezczelna poufałość! — dodał odwracając się do pana Fogg'a ruchem tak gniewnym, że Fogg uważał za stosowne jak najszybciej cofnąć się w kierunku drzwi.

— Zastanów się pan, co mówisz! — zawołał pan Dodson, który, aczkolwiek ważniejsza osobistość od swego towarzysza, przezornie ukrył się za plecami Fogg'a i mówił nad jego głową, błady jak kreda. — Pozwól mu, niech cię obraża, Fogg! Nie odpowiadaj mu!

— Nie mam tego zamiaru — odpowiedział pan Fogg, cofając się trochę dalej jeszcze, ku wielkiemu zadowoleniu swego partnera, który w ten sposób znalazł się poza obrębem biura.

— Jesteście — mówił dalej pan Pickwick, podchwytnąc nić przerwanej mowy — jesteście parą doskonale dobranych złodziei, łotrów, oszustów!

— Czy to już wszystko? — wmieszał się pan Perker.

— Wszystka się w tym zawiera! — odrzekł pan Pickwick. — Łotry, oszuści!

— Dobrze, dobrze — powiedział adwokat pojednawczym tonem. — Moi kochani panowie, pan Pickwick powiedział wszystko, co miał do powiedzenia! Teraz proszę, byście wyszli. Czy drzwi otwarte, Lowten?

Lowten uśmiechnął się i potwierdził.

— Więc żegnam panów, do widzenia, do widzenia, proszę panów, proszę panów! Panie Lowten! Drzwi! — mówił mały adwokat, wypychając Dodsona i Foggę za drzwi. — Tędy, kochani panowie, tędy proszę, nie zatrzymujcie się, tędy, Lowten, drzwi, dlaczego nie otwiera pan drzwi?!

— Jeżeli jest prawo w Anglii — powiedział pan Dodson patrząc na pana Pickwicka i nakładając kapelusz — zapłaci nam pan za to!

— Złodzieje! — krzyknął pan Pickwick.

— Pamiętaj pan! Drogo za to zapłacisz!

—...Łotry, oszuści! — wołał za nimi pan Pickwick, nie zwracając najmniejszej uwagi na groźby.

— Bandyci! — wołał pan Pickwick wybiegając na schody, którymi schodzili obaj adwokaci.

— Bandyci! — wołał pan Pickwick wrywając się panom Perkerowi i Lowtenowi i biegnąc do okna.

Gdy cofnął głowę od okna, twarz jego była uśmiechnięta, rozpromieniona i pogodna. Spokojnie wszedł do biura i oświadczył, że wielki kamień spadł mu z serca i obecnie czuje się bardzo zadowolony.

Perker milczał przez chwilę, potem wziął niuch tabaki z tabakierki, posłał Lowtena po nowy zapas tabaki i dopiero wtedy wybuchnął śmiechem, który wstrząsał nim przez dobre pięć minut.

Gdy się wreszcie uspokoił, oznajmił, że czuje, iż powinien bardzo się gniewać, ale nie może o tej sprawie myśleć poważnie, a jak będzie mógł, to pomyśli!

— Teraz, kochany panie — powiedział pan Pickwick — musimy załatwić ze sobą rachunki!

— W taki sam sposób jak tamte? — zapytał pan Perker, na nowo wybuchając śmiechem.

— Niezupełnie — powiedział pan Pickwick, wyciągając notes i serdecznie ściskając dłoń plenipotenty. — Miałem na myśli rachunki finansowe. Zrobił pan dla mnie bardzo wiele — nigdy panu za to nie będę w stanie zapłacić! I nie chcę zapłacić! Wolę być pańskim dłużnikiem!

Po tym wstępie dwaj przyjaciele zagłębili się w bardzo poważne i zawile rachunki, które przedstawił pan Perker, a pan Pickwick natychmiast uregulował z oznakami wielkiej wdzięczności i życzliwości.

Zaledwie skończyli, rozległo się silne pukanie do drzwi. Nie było to zwykle podwójne pukanie, ale nieprzerwany szereg jednostajnych uderzeń, jak gdyby pukający bez przerwy ruszał rękami lub zapomniiał, co robi.

— A to co takiego? — zdumiał się Perker.

— Zdaje mi się, że pukają do drzwi! — odrzekł pan Pickwick, jak gdyby ktoś mógł mieć co do tego najmniejszą wątpliwość.

Pukający dał odpowiedź głośniejszą, niż dać mógł jakimikolwiek słowami, nie przestając pukać — coraz głośniej i coraz mocniej.

— Słowo daję! — zawołał pan Perker, chwytając za dzwonek. — Poruszymy cały gmach! Panie Lowten, słyszy pan pukanie?

— Zaraz otworzę, proszę pana! — odpowiedział dependent.

Zdawało się, że pukający słyszy odpowiedź i pragnie dać dowód, iż nie może czekać długo. Wyraził to hałasem nie do zniesienia.

— To niemożliwe! — zawołał pan Pickwick, zatykając sobie uszy.

— Spiesz się pan, panie Lowten, bo nałożą nam karę! — zawołał pan Perker.

Pan Lowten, który właśnie mył ręce w ciemnej alkowie, pobiegł do drzwi i otworzywszy je ujrzał to, co opisujemy w następnym rozdziale.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

zawiera szczegółowe sprawozdanie z pukania oraz inne rzeczy, między innymi ciekawe dane dotyczące pana Snodgrassa i pewnej młodej damy, a pozostające w związku z tą historią

Przedmiot, który przedstawił się oczom zdumionego dependenta, był to chłopiec — cudownie tłusty chłopiec — ubrany za grooma, stojący na słomiance, z oczyma przymkniętymi, jak gdyby spał. Pan Lowten nigdy w życiu nie widział tak pyzatego chłopca. A postawa pukającego i jego śpiąca mina były czymś wręcz przeciwnym temu, czego było można po takim pukaniu oczekiwać! Nic więc dziwnego, że się zdumiał.

— Co się stało? — spytał pan Lowten.

Dziwny chłopiec nie odpowiedział, ale kiwnął się kilka razy i wydał z siebie dźwięk podobny do chrapnięcia.

— Skąd się tu wziąłeś? — pytał dependent.

Chłopiec nie odpowiedział. Sapał jak miech, ale trwał w miejscu nieruchomo.

Dependent powtórzył pytanie trzy razy i już miał zamknąć drzwi, kiedy chłopiec nagle podniósł głowę, otworzył oczy, otrząsnął się i zrobił ruch, jak gdyby znowu chciał się zabrać do pukania. Widząc otwarte drzwi obejrzał się, zdumiony, i spojrzął na pana Lowtena.

— Czego, u diabła, tak się dobijasz? — gniewnie spytał pan Lowten.

— Jak to tak? — spytał chłopiec śpiącym i niewyraźnym głosem.

— Jak pijany pocztalion! — wypalił pan Lowten.

— Bo mi pan kazał stukać, aż otworzą, żebym czasami nie zasnął! — odpowiedział pyzaty chłopiec.

— Dobrze — odrzekł dependent. — Od kogo przychodzisz?

— Jest na dole.

— Kto?

— Pan. Kazał zapytać, czy pan w domu.

Pan Lowten uważał za stosowne wychylić się przez okno. Ujrzawszy w powozie starego, rzeńskiego gentlemana, dał mu znak, by przyszedł na górę. Stary gentleman lekko wyskoczył z karety.

— To twój pan, ten w karecie? — zapytał Lowten. Chłopiec skinął głową.

Dalsze wyjaśnienia były zbyteczne, jegomościem tym okazał się bowiem pan Wardle, który wbiegł po schodach, minął Lowtena i wpadł do pokoju pana Perkera.

— Pickwick! — zawołał pan Wardle. — Podaj mi rękę, mój chłopcze! Dopiero wczoraj dowiedziałem się, że osadzono cię w klatce! Jakże pan mógł dopuścić do tego, panie Perker?

— Nie mogłem nic na to poradzić, mój panie! — odrzekł pan Perker z uśmiechem i zażył tabaki. — Pan nie wie, jaki to uparciuch!

— Wiem, wiem, naturalnie! — odpowiedział pan Wardle. — Ale strasznie się cieszę, że go widzę, i nieprędko zgodzę się stracić go z oczu!

To mówiąc pan Wardle raz jeszcze uściśnął rękę pana Pickwicka, potem pana Perkera i rzucił się na fotel. Wesoła i czerwona jego twarz jaśniała jak zawsze zdrowiem i dobrym humorem.

— A to śliczne historie się tutaj dzieją! Daj no tabaki, Perker. To dopiero czasy!

— O czym myślisz? — zapytał pan Pickwick.

— O tym, że widocznie wszystkie dziewczęta, razem i z osobna, potraciły głowy. Zaraz powiecie, że to nic nowego, i chociaż może to rzeczywiście nic nowego, to w każdym razie jest to prawda.

— Chyba nie przyjechał pan po to wyłącznie do Londynu, by nam to powiedzieć, mój drogi panie? — zapytał pan Perker.

— Nie, nie tylko po to — odparł pan Wardle — chociaż to jest głównym powodem mojej podróży. Jak się ma Arabella?

— Bardzo dobrze — odrzekł pan Pickwick. — Jestem pewny, że się ucieszy, gdy cię zobaczy.

— A! Czarnooka kokietka! Sam miałem chęć ożenić się z nią i w tych wariackich czasach strugać wariata. No, ale i z tego jestem zadowolony. Bardzo mnie to cieszy.

— Skąd dowiedziałeś się o tym? — zapytał pan Pickwick.

— Rozumie się, że od moich córek. Arabella napisała do nich przedwczoraj, że potajemnie i bez zezwolenia swego teścia wyszła za mąż za obecnego swego męża, lecz pan Pickwick wyjechał, by uzyskać pozwolenie ojca na coś, czego już nie może zmienić. Usłyszawszy to uznałem, że nadarza się dobra sposobność dania małej nauki moim pannom i wskazania im, jak okropną jest rzeczą, gdy dzieci zawierają małżeństwa bez zezwolenia rodziców. Ale gdzie tam! Nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia. Powiedziały, że daleko okropniejsze jest to, że wesele odbyło się bez druzek.

Tu stary gentleman zaczął się śmiać, a gdy naśmiał się do woli, mówił dalej:

— Ale to bynajmniej jeszcze nie wszystko. To dopiero połowa miłosnych spisków, które potworzono. Od sześciu miesięcy stąpaliśmy po minach, a teraz miny w końcu wybuchły!

— Co chcesz pan przez to powiedzieć? — zapytał pan Pickwick, blednąc. — Spodziewam się, że nie potajemne małżeństwo.

— Nie, nie — odrzekł pan Wardle. — Tak źle jeszcze nie jest!

— Więc cóż? Czy jestem zainteresowany w tej sprawie? — dopytywał się filozof.

— Mam mu odpowiedzieć na to pytanie, Perker? — spytał pan Wardle.

— Jeżeli przez to nie kompromituje pan siebie, kochany panie!

— Więc dobrze! Jesteś zainteresowany!

— Jak to? — zapytał filozof z niepokojem. — W jaki sposób?

— Z ciebie taki zapalony młodzieniec, że doprawdy boję się mówić. Ale jeżeli pan Perker zechce usiąść między nami, by zapobiec nieszczęściu, to może się odważyć.

Zamknawszy drzwi i pokrzepiwszy się nową szczyptą tabaki pana Perkera, stary gentleman rozpoczął opowiadanie w następujący sposób:

— Rzec się ma tak: córka moja Bella... Bella, co wyszła za pana Trundle'a... wiecie?

— Wiemy, wiemy! — zawołał niecierpliwie pan Pickwick.

— Nie zrażajcie mnie na samym początku. Córka moja Bella siadła tedy koło mnie przedwczoraj wieczór, gdy Emilia poszła spać z bólem głowy po odczytaniu listu Arabelli; otóż Bella powiedziała: — Cóż myślisz o tym, ojcze? — Spodziewam się, moja kochana, że wszystko pójdzie dobrze — odpowiedziałem. A trzeba wam wiedzieć, że odpowiedziałem tak, ponieważ siedziałem przed dobrym ogniem, popijając sobie grog w spokoju ducha, a

wiedziałem, że wystarczy, bym tylko czasem rzucił słówko, aby szczebiotała bez końca. Bo moje dziewczęta to żywe portrety ich nieboszczki matki, a teraz, gdy jestem stary, chętnie przesiaduję z nimi. Ich głosy i ich spojrzenia przypominają mi najszcześniejszy okres w moim życiu i na chwilę czynią mnie znów tak młodym, jakim byłem wówczas, chociaż serce już nie może być tak lekkie. — To prawdziwe małżeństwo z miłości — zaczęła Bella po chwili milczenia. — Tak jest, drogie dziecię — odrzekłem — ale takie małżeństwa nie zawsze się udają...

— Ja twierdzę przeciwnie! — zawołał pan Pickwick z ogniem. — Zakonotuj to sobie.

— Bardzo dobrze, będziesz sobie twierdził, co ci się podoba, gdy przyjdzie na ciebie kolej, a teraz nie przerywaj.

— Przepraszam — rzekł pan Pickwick.

— Przebaczam ci — odparł pan Wardle. — Ojczy — powiedziała Bella, rumieniąc się nieco — przykro mi, że jesteś takiego zdania o małżeństwie z miłości. — Źle się wyraziłem — odrzekłem, klepiąc ją po policzku, na co tylko taki stary jegomość jak ja może sobie bezkarnie pozwolić — źle, bo i twoja matka wyszła za mąż z miłości, i ty także.

— Ja nie to miałam na myśli — przerwała Bella — chciałam pomówić z tobą, ojczy, o Emilii. Pan Pickwick drgnął.

— A tobie co znowu? — zapytał Wardle, przerywając opowiadanie.

— Nic, nic — odrzekł filozof — mów dalej.

— Nigdy nie umiałem zmyślić żadnego opowiadania — rzekł szybko pan Wardle. — Prędzej czy później musi wyjść sztydło z worka, a gdy wylezie, znacznie oszczędza to czas. Krótko mówiąc: Bella zebrała się w końcu na odwagę, by mi powiedzieć, że Emilia jest bardzo nieszczęśliwa, że od ostatniego Bożego Narodzenia prowadzi korespondencję z naszym młodym przyjacielem Snodgrassem i że w poczuciu obowiązku postanowiła z nim uciec naśladowując chwalebny postępek swej przyjaciółki. Czując jednak pewne w tym względzie skrupuły, ponieważ byłem niezłym ojcem, uznała, iż wypada zrobić mi ten zaszczyt i zapytać, czy też nie mam nic przeciwko temu, by się pobrali w sposób zwyczajny i pospolity. A teraz, mój kochany Pickwicku, jeżeli możesz doprowadzić swe oczy do ich zwyczajnych rozmiarów i poradzić mi, co mam z tym zrobić, to będę ci bardzo zobowiązany.

Ten dziwny sposób, w jaki poczciwy stary gentleman odezwał się, był zupełnie na miejscu, gdyż twarz Pickwicka wyrażała ogromne zdumienie i zmieszanie, co zrobiło bardzo komiczne wrażenie.

— Snodgrass!... Od Bożego Narodzenia? — te słowa wybiegły w końcu z ust stropionego pana Pickwicka.

— Oczywiście, że od Bożego Narodzenia — odparł pan Wardle. — Wszystko to jest dość wyraźne, a my musieliśmy nosić bardzo kiepskie okulary, jeśliśmy dotąd tego nie zauważyli.

— Naprawdę, że nie rozumiem — rzekł pan Pickwick, zamyślony — po prostu nie rozumiem.

— Ale to nietrudno zrozumieć! — zawołał jowialny Wardle. — Gdybyś był młodszy, byłbyś już dawno wtajemniczony we wszystko. A poza tym — mówił stary gentleman z pewnym wahaniem — trzeba wam wiedzieć, że ja, nie wiedząc o niczym, od czterech czy pięciu miesięcy nalegałem nieco na Emilię, by przyjęła rękę jednego z naszych sąsiadów, oczywiście, jeśli go może pokochać, bo nigdy nie zamierzałem jej zmuszać. Jestem pewny, że ona, jak zwykle dziewczyna, by podnieść własną wartość i spotęgować uczucia Snodgrassa, przedstawiła mu to w bardzo ponurych barwach i że następnie oboje doszli

ostatecznie do przekonania, iż są parą okrutnie prześladowanych kochanków i że pozostaje im wobec tego tylko potajemne małżeństwo albo śmierć. Teraz pytanie: co tu zrobić?

— A cóżeś zrobił? — zapytał pan Pickwick.

— Ja?

— To znaczy, coś zrobił, gdy ci to wszystko powiedziała pani Trundle?

— O, rozumie się, że narobiłem głupstw.

— Oczywiście — wtrącił pan Perker, który słuchał rozmowy, kręcąc łańcuszkiem od zegarka, drapiąc się po nosie i okazując inne oznaki zniecierpliwienia. — To bardzo naturalne: Ale jakiego rodzaju głupstw narobił pan?

— Naprzód okropnie się rozgniewałem i tak tym przestraszyłem moją matkę, że aż się rozchorowała.

— To bardzo rozumne — zauważył pan Perker — a potem co, kochany panie?

— Zrzedłem i wściekałem się przez cały następny dzień, aż w końcu, zmęczony tym, że trapię wszystkich i samego siebie wzięłem powóz w Muggleton i przyjechałem tu pod pozorem, by Emilia odwiedziła Arabellę.

— Więc panna Wardle jest tu? — zapytał pan Pickwick.

— Oczywiście — odparł Wardle — i w tej chwili powinna być w hotelu „Osborne”, na Adelphi, jeżeli twój przedsiębiorczy przyjaciel nie porwał jej, gdym wyszedł.

— Pogodziliście się? — zapytał pan Perker.

— Wcale nie. Emilia przez cały czas robi miny i płacze, a tylko wczoraj wieczorem, między podwieczorkiem a kolacją zabrała się z wielką ostentacją do pisania listu. Ja udałem, że nie zauważyłem tego.

— Czy chcecie wysłuchać mego zdania o tej sprawie? — zapytał pan Perker, spoglądając kolejno to na zamyśloną twarz pana Pickwicka, to na niespokojne rysy pana Wardle’a i energicznie zażywając swej ulubionej tabaki.

— Naturalnie — odpowiedział pan Wardle, spoglądając na Pickwicka.

— Oczywiście — rzekł pan Pickwick.

— Otóż moim zdaniem — zaczął mały adwokat, wstając i odsuwając krzesło — najlepiej zrobicie, gdy się stąd wyniesiecie. Przejedźcie się albo przejdźcie piechotą, jak wam będzie wygodniej, boście mnie znudzili. Na przechadzce pomówcie o całej sprawie; a jeżeli od razu wszystkiego nie ułożycie, to powiem wam, co należy zrobić, gdy się zobaczymy po raz drugi.

— Naprawdę, doskonała rada! — zawołał pan Wardle nie wiedząc, czy się ma śmiać, czy gniewać.

— Ba, ba! Kochany panie! Znam ja was lepiej niż wy sami siebie — odparł pan Perker.

— Wiem, żeście już wszystko sobie ułożyli.

To mówiąc, mały adwokat szturchnął tabakierką najpierw w pierś pana Wardle’a, a potem w kamizelkę pana Pickwicka, po czym wszyscy trzej poczęli śmiać się, a zwłaszcza ostatni dwaj gentlemani, którzy uściśnieli sobie ręce bez żadnego wyraźnego powodu.

— Będzie pan dziś u mnie na obiedzie, Perker! — rzekł pan Wardle.

— Nie mogę obiecywać! Nie mogę obiecywać! — odpowiedział pan Perker — ale w każdym razie wpadnę wieczorem!

— Czekam o piątej — powiedział pan Wardle. — Joe!

Dobudziwszy się Joe’ego, obaj przyjaciele odjechali powozem pana Wardle’a. Powóz ten miał z tyłu oparcie dla pyzatego chłopca, gdyby bowiem nie to humanitarne urządzenie, Joe niezawodnie wypadłby i zabiłby się na pierwszym zakręcie.

Przybywszy „Pod Jerzego i Jastrzębia” dowiedzieli się, że Arabella i jej pokojówka kazały sobie sprowadzić powóz i pojechały na Adelphi, otrzymały bowiem wiadomość od Emilii, że bawi w mieście. Ponieważ Wardle miał jeszcze interesy do załatwienia, odesłał więc powóz z pyzaty chłopcem do hotelu i kazał powiedzieć, że on i pan Pickwick przyjdą na obiad o piątej.

Obarczony tym zleceniem pyzaty chłopiec spał sobie wygodnie w powozie jak w łóżku, nie zwracając uwagi na wyboje i kałuże. Cudownym zrządzeniem losu zbudził się sam, bez niczyjej pomocy, gdy powóz stanął. Otrząsnął się, by doprowadzić do jakiego takiego stanu swoje władze umysłowe, i polazł po schodach.

Otóż, czy ów wstrząs, zamiast otrzeźwić pyzatego chłopca, wprowadził zamęt do jego głowy, czy też sprawił to nagły napływ myśli i nowych idei, dość, że pyzaty chłopiec zapomniał o zwykłych ceremoniach, czy (co również jest możliwe) po prostu zdrzemnął się, idąc po schodach, wszedł bowiem do saloniku, nie zapukawszy poprzednio. Tam ujrzał natychmiast gentlemana, który siedział na kanapie i obejmował pewną młodą damę, gdy tymczasem Arabella i jej piękna pokojówka udawały, że z wielkim zajęciem wyglądają oknem. Na ten widok pyzaty chłopiec pisnął, panie krzyknęły, a gentleman zaklął! — wszystko to odbyło się niemal jednocześnie.

— Czego tu chcesz, nędzniku? — zawołał gentleman. Nie potrzebujemy dodawać, że był to pan Snodgrass. Pызaty chłopiec, bardzo wystraszony, zdobył się tylko na jedną odpowiedź:

— Panienko!

— Czego chcesz, głuptasie? — zapytała Emilia, odwracając głowę.

— Mój pan i pan Pickwick przyjdą na obiad o piątej — powiedział pyzaty chłopiec.

— Wynoś się! — zawołał pan Snodgrass do zdumionego chłopca.

Arabella, Emilia, pan Snodgrass i pokojówka niezwłocznie udali się na naradę w kątek pokoju i szeptali coś parę minut, gdy tymczasem pyzaty chłopiec drzemał.

— Joe — powiedziała Arabella z czarującym uśmiechem. — Jak się masz, Joe?

— Joe! — zawołała panna Emilia. — Poczciwy z ciebie chłopak! Nie zapomnę o tobie!

— Joe — powiedział pan Snodgrass, zbliżając się do zdziwionego chłopca i podając mu rękę.

— Nie poznałem cię w pierwszej chwili. Masz pięć szylingów!

— I ja ci będę winna piątkę — dodała Arabella — na rachunek dawnej znajomości! — I obdarzyła korpulentnego młodzieńca nowym czarującym uśmiechem.

Ponieważ pyzaty chłopiec myślał powoli, więc z początku zdziwił się tymi nagłymi oznakami przyjaźni i obejrzał się trwożliwie. Wreszcie twarz jego rozjaśniła się od ucha do ucha, schował do każdej kieszeni po pół koronie, a za nią całą łapę i wybuchnął końskim śmiechem; pierwszy i jedyny raz w życiu.

— Widzę, żeś nas zrozumiał! — powiedziała Arabella.

— Trzeba mu zaraz dać coś zjeść — powiedziała Emilia.

Pызaty chłopiec o mało nie roześmiał się znowu, usłyszawszy te słowa. Mary poszeptowała jeszcze chwilę z państwem, po czym odezwała się:

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to razem zjemy obiad!

— Dobrze! — gorąco powiedział pyzaty chłopiec. — Mają tu doskonały pasztet!

Z tymi słowy pyzaty chłopak poszedł po schodach, a za nim piękna pokojówka, czarując wszystkich posługaczy i narażając się na gniew wszystkich pokojówek.

Znalazł się pasztet, o którym pyzaty chłopiec mówił z takim uczuciem, a prócz tego kawał wołowiny, półmisek kartofli i flaszką porteru.

— Niech pani siada — powiedział pyzaty chłopak. — Ależ to pyszna wsuwa! Taki jestem głodny!

Rzuciwszy parę razy łakomym wzrokiem po stole, pyzaty chłopiec zajął miejsce u szczytu, Mary zaś naprzeciw niego.

— Pozwoli pani kawałek? — zapytał pyzaty chłopiec, zagłębiając w pasztet nóż i widelec.

— Kawaleczek, jeśli pan łaskaw — odrzekła Mary.

Pyzaty chłopiec ukrajał dla Mary kawałeczek, a sobie kawał pasztetu i już miał go podnieść do ust, gdy nagle z rąk wypadły mu widelec i nóż. Chłopak odsunął krzesło i opuściwszy ręce na kolana zawołał:

— Jaka pani śliczna!

Było to powiedziane głosem zachwyconym, a więc nie miało w sobie nic zatrważającego. A jednak w spojrzeniu pyzatego chłopca było coś tak kanibalskiego, że komplement ten wydał się Mary co najmniej dwuznaczny.

— Panie Joe! — zawołała Mary rumieniąc się. — Co to ma znaczyć?

Pyzaty chłopiec wolno przyjął poprzednią pozycję i w odpowiedzi westchnął głęboko. Przez chwilę milczał, zamyślony, potem pociągnął łyk porteru. Dokonawszy tego, znowu westchnął i zabrał się z zapalem do pasztetu.

— Bardzo ładna panienka ta panna Emilia! — powiedziała Mary po jakimś czasie.

Właśnie pyzaty chłopiec skończył jeść pasztet, utkwił więc spojrzenie w Mary i odpowiedział:

— Znam ładniejszą!

— Nie może być!

— Może być! — zawołał pyzaty chłopiec z niezwykłym ożywieniem.

— Jak się nazywa?

— A jak pani?

— Mary.

— Ona tak samo — odrzekł pyzaty chłopiec. — Pani jest tą panną — pyzaty uśmiechnął się mówiąc ten komplement i zrobił coś pośredniego między „zezem” i „okiem”, co według wszelkiego prawdopodobieństwa miało być kokieterijnym zerknięciem.

— Pan nie powinien tak do mnie mówić — zawołała Mary. — Pan tak nie myśli!

— Nie myślę? — zapytał pyzaty chłopiec. — Ale mówię!

— No, dobrze!

— Czy pani często będzie tu przychodzić?

— Nie — odrzekła Mary, potrząsając głową. — A dlaczego pan pyta?

— Och! — powiedział pyzaty chłopiec. — To szkoda! Gdyby pani nie wyjeżdżała, raczylibyśmy się doskonałymi obiadkami!

— Może czasem będę przyjeżdżać dla pańskiej przyjemności — powiedziała Mary gładząc obrus. — Jeżeli pan wyświadczy mi pewną łaskę!

Pyzaty chłopiec przeniósł wzrok z pasztetu na wołowinę, jak gdyby w jego umyśle słowo „łaska” było w ten czy w inny sposób związane zjedzeniem. Potem wyjął jedną półkoronówkę i przyjrzał się jej uważnie.

— Zrozumiał mnie pan? — zapytała Mary, patrząc mu chytrze w twarz. Pyzaty chłopiec znów spojrzał na półkoronówkę i powiedział niewyraźnie:

— Nie...

— Panie proszę, by pan nic nie mówił starszemu panu, że tamten młody pan był na górze... I ja proszę pana o to samo!

— Tylko tyle? — spytał pyzaty chłopiec z widoczną ulgą, chowając półkoronówkę do kieszeni. — Naturalnie, że nie powiem!

— Widzi pan — tłumaczyła Mary. — Pan Snodgrass bardzo kocha pannę Emilię, a panna Emilia bardzo kocha pan Snodgrassa, ale gdyby starszy pan się o tym dowiedział, wywiózłby was wszystkich do jakiegoś zapadłego kąta i tyle byśmy was widzieli!

— Nie, nie powiem — stanowczo powiedział pyzaty chłopiec.

— Strasznie pan jest kochany — zawołała Mary. — Ale na mnie czas! Muszę iść na górę i ubrać moją panią do obiadu!

— Niech pani jeszcze nie odchodzi! — prosił Joe.

— Muszę! — odrzekła Mary. — Do widzenia, tymczasem!

Pyzaty chłopiec ze zręcznością słonia rozpostarł ramiona, by objąć i pocałować Mary. Ale ponieważ nie trzeba było wielkiej zwinności, by mu się wymknąć, piękna Mary uciekła, zanim się spostrzegł. Wtedy sentymentalny młodzieniec zabrał się do wołowiny i zjadłszy dobry funt, zasnął.

Na górze tyle miano do omówienia, tyle robiono planów ucieczki i potajemnego ślubu na wypadek, gdyby pan Wardle w dalszym ciągu trwał w okrutnym uporze, że pozostało zaledwie pół godziny do obiadu, kiedy pan Snodgrass zaczął się żegnać. Panie poszły do sypialni przebrać się, a pan Snodgrass wziął kapelusz i skierował się ku schodom. Zaledwie jednak wyszedł za drzwi, usłyszał donośny głos pana Wardle'a, a przechyliwszy się przez okno klatki schodowej, ujrzał go w towarzystwie innego gentlemana. Nie znając rozkładu domu, pan Snodgrass cofnął się szybko do pokoju, który właśnie opuścił, a cofając się jeszcze dalej, trafił do sypialni pana Wardle'a i ostrożnie zamknął drzwi właśnie wtedy, gdy osoby, które dojrzał przed chwilą, weszły do bawialni. Byli to panowie Wardle, Winkle, Pickwick i Benjamin Allen — bez trudu poznał ich wszystkich po głosach.

— Całe szczęście, że się zdobyłem na tyle przytomności umysłu, by przed nimi uciec — powiedział pan Snodgrass i na palcach podszedł do drugich drzwi. — Muszą wychodzić również na korytarz, więc wymknę się niepostrzeżenie!

Ale jedna okoliczność przeszkodziła mu się wymknąć niepostrzeżenie: drzwi zamknięte były na klucz, a klucz wyjęto...

— Garson — rzekł pan Wardle, zacierając ręce. — Dziś dacie nam najlepszego wina, jakie macie!

— Podam najlepsze, proszę pana!

— A paniom powiedz, że już jesteśmy!

— Słucham pana!

Pan Snodgrass szczerze i gorąco pragnął, by damy wiedziały, że i on jest tu także! Miał zamiar szepnąć przez dziurkę od klucza: „Garson”, ale potem przestraszył się, że może przyjść niewłaściwy garson. Przypomniał sobie również, że przed paru dniami w sąsiednim hotelu znaleziono pewnego gentlemana w bardzo podobnej sytuacji (wypadek ten pod rubryką „Z policji” szczegółowo podały poranne dzienniki), usiadł więc, drżąc, na walizce.

— Na Perkera nie będziemy czekać ani minuty — powiedział stary gentleman. — Przyjdzie o piątej albo wcale nie. Więc nie warto czekać! A! Arabella!

— Moja siostra! — zawołał pan Ben Allen, obejmując ją bardzo dramatycznie.

— A, Ben! Ale jakże cię czuć tytoniem! — zawołała Arabella, krztusząc się.

— Naprawdę? — rzekł pan Benjamin Allen. — Czuć mię tytoniem? Bardzo być może.

Było to rzeczywiście bardzo możliwe, gdyż właśnie z dwunastoma studentami medycyny odbyło się w małej bawialni, gdzie był duży kominek, wielkie wspólne zebranie, na którym palono co niemiara.

— Bardzo się cieszę, że cię widzę — rzekł pan Ben Allen. — Daj ci Boże wszystko jak najlepsze!

— Ach — odrzekła młoda kobieta, nadstawiając mu twarz do pocałunku — tylko nie ściskaj mnie tak mocno, bo mi pomniesz suknie.

Po tej scenie pojednania pan Ben Allen, rozczulony porterelem i cygarami, spojrział dokoła przez wilgotne okulary.

— A mnie nic się nie dostanie?! — zawołał pan Wardle, otwierając ramiona.

— Owszem — szepnęła Arabella, przyjmując pieśczoły i serdeczne gratulacje pana Wardle'a — ale pan jest zły, okrutny, bez serca. Pan jest potworem!

— A ty jesteś mała buntownica! — odparł pan Wardle tym samym tonem. — Powinien bym zabronić ci bywać w moim domu!

Osoby, które wychodzą za mąż bez pozwolenia, należy wyłączyć z towarzystwa! Ale mniejsza o to — dodał stary gentleman. — Obiad na stole! Usiądź przy mnie! Joe! Ależ ten przekłety chłopak nie śpi!

Ku wielkiemu zdumieniu swego pana pyzaty chłopiec miał wygląd niezwykle przytomny. Oczy jego były szeroko otwarte i nie zdradzały chęci do szybkiego zamknięcia się, nic też nie nasuwało przypuszczenia, że się wkrótce zamkną. Ruchy jego były tak szybkie, że to samo mogło wzbudzić podejrzenie. Za każdym razem, gdy spojrzenie jego spotkało Arabellę lub Emilię, pyzaty chłopiec wykrzywił się i uśmiechał. Pan Wardle mógłby przysiąc, że raz nawet pyzaty chłopiec mrugnął...

Tę zmianę w zachowaniu pyzatego chłopca wywołało nagle wzbudzone poczucie ważności oraz to, że go młode damy dopuściły do tajemnicy. Uśmiechy, grymasy i mrugnięcia miały być zapewnieniem, że się na nim nie zawiodą i mogą polegać na jego dyskrecji. Jednak wszystkie te znaki raczej budziły, niż usypiały podejrzliwość, więc Arabella raz po raz dawała mu znaki głową, na co pyzaty chłopiec odpowiadał wzmożonym mruganiem, grymasami i wykrzywianiem się.

— Joe — powiedział pan Wardle, bezskutecznie przeszukawszy kieszenie. — Przynieś moją tabakierkę! Leży na sofie!

— Nie ma jej tam, proszę pana — odrzekł Joe.

— Ach! Przypominam sobie — zawołał pan Wardle — położyłem ją na toalecie dzisiaj rano! Kopnij no się do sypialni i przynieś!

Pyzaty chłopiec poszedł i wrócił z tabakierką i twarzą tak bladą, jakiej nie widziano jeszcze u tego chłopca!

— Co się stało temu chłopcu? — zapytał pan Wardle.

— Nic mi się nie stało — nerwowo odpowiedział pyzaty chłopiec.

— Widziałeś ducha koło kominka? — zapytał pan Wardle.

— A może sobie dodał ducha, pijąc? — rzekł pan Allen.

— Bodaj czy pan nie zgadł — powiedział pan Wardle. — On jest chyba pijany!

Pan Ben Allen powiedział, że Joe pewnie się upił, a że się znał na ludziach pijanych, więc pan Wardle upewnił się w swoich podejrzeniach, które męczyły go już od godziny, że pyzaty chłopak chyba się upił.

— Nie spuszczać z niego oka przez jakiś czas — powiedział pan Wardle. — Zobaczmy, czy rzeczywiście jest pijany!

Nieszczęśliwy chłopiec zamienił za ledwie kilka słów z panem Snodgrassem: pan Snodgrass prosił Joe'ego, aby go w jakiś sposób wybawił, potem kazał mu wracać z tabakierką, by zbyt długa jego nieobecność nie wzbudziła podejrzeń. Joe pokręcił się chwilę z bardzo podejrzaną miną i poszedł na poszukiwanie Mary.

Ale Mary ubrawszy swoją panią poszła do domu, pyzaty chłopak wrócił więc do pokoju jeszcze bardziej markotny niż poprzednio.

Wardle i Allen wymienili spojrzenia.

— Joe! — zawołał pan Wardle.

— Słucham pana!

— Dokąd idziesz?

Pyzaty chłopiec spojrzał beznadziejnie po wszystkich obecnych i mruknął, że wcale nie miał zamiaru wyjść.

— A, nie miałeś zamiaru, co? Podaj ten ser panu Pickwickowi — powiedział pan Wardle.

Pan Pickwick, w dobrym zdrowiu i doskonałym humorze, był niebywale miły przez cały czas obiadu. Właśnie zajęty był wielce energiczną rozmową z Emilią i panem Winkle'em; uprzejmie pochylił głowę, kurtuazyjnie, w gorączce dyskusji, kiwał lewą ręką i cały roztopił się w miłych uśmiechach. Wziął kawałek sera z talerza i miał zamiar podjąć przerwana rozmowę, gdy pyzaty chłopiec palcem wskazał poza siebie, jakby chciał coś napomknąć, przy czym wykrzywił się najszkaradniej, jak umiał.

— A to co? — zawołał zaniepokojony filozof. — Co to ma być? — Urwał, bo pyzaty chłopiec cofnął się nagle i udał — a może nie udał — że zasnął.

— Co takiego? — zapytał pan Wardle.

— Twój Joe jest dziś bardzo dziwny! — powiedział pan Pickwick patrząc niechętnie na pyzatego chłopca. — Bardzo to przykre, ale naprawdę chwilami obawiam się, czy nie dostał bzika!

— Och, panie Pickwick! Niech pan tego nie mówi! — zawołały jednogłośnie Arabella i Emilia.

— Oczywiście, nie jestem tego pewien — ciągnął pan Pickwick wśród ogólnego milczenia i konsternacji — ale jego zachowanie, choćby względem mnie, było naprawdę niepokojące. O! — zawołał nagle pan Pickwick — przepraszam panie! Wsadził mi jakiś ostry przedmiot w łydkę! Naprawdę staje się niebezpieczny!

— Upił się! — zawołał pan Wardle wściekłością. — Zadzwońcie! Zawołajcie służbę! Upił się!

— Nie upiłem się — ryczał pyzaty chłopiec padając na kolana, gdy pan Wardle porwał go za kołnierz. — Nie upiłem się!

— Więc zwariowałeś! To jeszcze gorzej! Zawołajcie służbę!

— Nie zwariowałem! Jestem przy zdrowych zmysłach! — zaczął wołać pyzaty chłopiec prawie z płaczem.

— Więc po jakiego diabła wpakowałeś panu Pickwickowi w łydkę jakiś ostry przedmiot? — surowo zapytał pan Wardle.

— Nie chciał na mnie patrzeć — tłumaczył pyzaty chłopiec — a ja muszę mu coś powiedzieć!

— Co chciałeś powiedzieć panu Pickwickowi? — spytało jednocześnie z tuzin głosów. Pyzaty chłopiec spojrzał na drzwi sypialni i wytarł palcami parę łez.

— Co chciałeś powiedzieć? — pytał pan Wardle potrząsając nim.

— Czekaj pan! — zawołał pan Pickwick. — Pozwól, niech ja go wybadam. Co mi chciałeś powiedzieć, moje dziecko?

— Chciałem coś panu szepnąć! — odpowiedział pyzaty chłopiec.

— Chciałeś ugryźć pana w ucho! — zawołał pan Wardle. — Niech pan do niego nie podchodzi! Zadzwoń pan! Niech go stąd zabiorą! W chwili gdy pan Winkle miał już pociągnąć za dzwonek, powszechne zdumienie powstrzymało go od tej czynności, gdyż drzwi od sypialnego pokoju otworzyły się, a uwięziony kochanek wszedł do sali, mocno zaczerwieniony ze wstydu, i oddał ukłon całemu towarzystwu.

— Do stu piorunów! A to co? — zawołał pan Wardle puszczając kołnierz pyzatego chłopca i cofając się o parę kroków.

— Panie — rzekł pan Snodgrass — byłem ukryty w sypialnym pokoju od czasu pańskiego powrotu.

— Emilio, moje dziecko — rzekł pan Wardle tonem wyrzutu — wiesz, jak nie lubię wszelkich ukrywań i kłamstw! Na to nie zasłużyłem, doprawdy!

— Drogi ojcze — odrzekła Emilia. — Arabella wie, każdy tu wie, Joe wie, że nie przykładałam do tego ręki. Auguście! Na miłość boską, wytłumacz się!

Pan Snodgrass, któremu nie o takie posłuchanie chodziło, począł opowiadać, w jaki sposób znalazł się w tak przykrym położeniu, jak nie chcąc wywołać zatargu domowego, usiłował sam uniknąć spotkania z panem Wardle'em, jak mu się zdawało, że wymknie się przez inne drzwi, ale te były zamknięte, wskutek czego był zmuszony pozostać tu wbrew swej woli. Położenie jego było bardzo przykre, ale nie żałuje tego, gdyż korzysta teraz ze sposobności, by oznajmić zgromadzonym tu wszystkim przyjaciółom, iż głęboko i szczerze kocha córkę pana Wardle'a, że dumny jest z tego, iż może powiedzieć, że panna Emilia podziela to uczucie, że chociażby tysiące mil ich rozdzielały, choćby cały ocean toczył między nimi swe fale, on nie zapomni nigdy itd., itd.

To powiedziawszy ukłonił się powtórnie, wziął kapelusz i podszedł ku drzwiom.

— Stój pan! — krzyknął Wardle. — Dlaczego, do wszystkich tysięcy...

— Fur beczek — podchwycił pan Pickwick z obawy, by nie nastąpiło coś gorszego.

— Niech będzie fur beczek — mówił dalej pan Wardle, podchwytując wyrażenie — dlaczego do wszystkich tysięcy fur beczek nie powiedział pan tego naprzód mnie?

— Albo czemu mnie się nie zwierzyłeś? — dorzucił pan Pickwick.

— Mój Boże — zaczęła Arabella, podejmując się obrony — po co te wszystkie pytania? Zwłaszcza ze strony pana, panie Wardle, który, jak wiemy, kierując się swym starym i zachłannym sercem, przeznaczałeś dla Emilii pewnego znacznie bogatszego sąsiada, a który przy tym jesteś tak gwałtowny i opryskliwy, że wszyscy boją się pana oprócz mnie. Podaj pan rękę panu Snodgrassowi i każ mu, na miłość boską, dać coś zjeść, bo widzi pan, jaki jest wygłodzony! A potem każ pan przynieść te doskonałe wina, bo dopiero wtedy jest pan znośniejszy, kiedy wypije przynajmniej dwie butelki.

Pocciwy, stary gentleman lekko pociągnął Arabellę za ucho, potem ucałował ją bez najmniejszego skrupułu, wreszcie uściśnął swoją córkę z wielkim uczuciem i podał rękę panu Snodgrassowi.

W jednym punkcie — powiedział wesoło — Arabella ma niezawodnie słusność: zadzwoń, niech przyniosą wina.

Razem z winem pojawił się pan Perker. Pan Snodgrass dostał na boku coś do zjedzenia, a potem siadł obok Emilii, już bez najmniejszej opozycji ze strony pana Wardle'a. Wieczór minął bardzo wesoło. Szczególnie pan Perker odznaczał się dobrym humorem. Opowiadał mnóstwo komicznych historii i śpiewał poważną pieśń, która

zrobiła prawie tak komiczne wrażenie jak owe historyjki. Arabella była czarująca, pan Wardle bardzo jowialny, pan Pickwick bardzo spokojny, pan Ben Allen bardzo hałaśliwy, kochankowie bardzo milczący, pan Winkle bardzo gadatliwy, a całe towarzystwo bardzo ożywione.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Pan Salomon Pell przy pomocy komitetu stangretów porządkuje interesy pana Wellera starszego

— Samiwelu — rzekł pan Weller zwracając się do syna nazajutrz po pogrzebie — znalazłem go. Byłem pewny, że tam być musi.

— Co znalazłeś? — zapytał Sam.

— Testament twojej macochy, Sammy, według którego należy tak zarządzić, jak ci wczoraj mówiłem, a mianowicie co do funduszków.

— Jak to, więc ci nie powiedziała, gdzie był schowany? — zapytał Sam.

— Ani pisała — odparł pan Weller: — Zajęci byliśmy usuwaniem naszych małych nieporozumień, a ja starałem się jakoś jej dogodzić i rozweselić ją, więc zupełnie o tym zapomniałem. Zresztą nie wiem, czybym pytał, choćbym i pamiętał — dodał pan Weller — bo to głupia rzecz, Sammy, nudzić kogoś gadaniem o majątku, gdy dana osoba leży chora. To tak jakbyś pomagając podróżnemu, który spadł z wierzchu dyliżansu, wsunął rękę do jego kieszeni i pytał z westchnieniem, jak się czuje.

Wyjaśniewszy w ten obrazowy sposób swoją myśl, Weller otworzył pugilares i wydobyl z niego arkusz listowego papieru, dość brudnego i zabazgranego dziwnym pismem.

— To jest ten dokument, Sammy. Znalazłem go w małym imbryku od herbaty, na półce w bufecie. Tam zawsze chowała banknoty, zanim się z nią ożeniłem. Ze sto razy widziałem, jak podnosiła pokrywkę, by płacić rachunki. Biedna istota, mogłaby śmiało napęlić testamentami wszystkie imbryki w całym domu i nic by jej to nie zaszkodziło, bo mało używała herbaty w ostatnich czasach z wyjątkiem zgromadzeń towarzystwa wstrzeźliwości, gdzie zawsze piją naprzód herbatę, by podtrzymać ducha.

— Cóż w nim jest? — zapytał Sam.

— To, com ci już powiedział, mój chłopcze: „Przekaz na dwieście funtów szterlingów memu pasierbowi, Samuelowi, a cała reszta majątku, w każdej postaci i rodzaju, memu mężowi, panu Tony Wellerowi, którego mianuję moim wykonawcą testamentu”.

— I to wszystko?

— Wszystko. A ponieważ wszystko jest w porządku i ku memu i twemu zadowoleniu, my zaś jesteśmy jedynymi zainteresowanymi stronami, więc sędzę, że możemy najspokojniej rzucić ten świstek w ogień.

— Co robisz, wariacie? — zawołał Sam, chwytając testament w chwili, gdy ojciec, w swej nieświadomości, miał go już cisnąć do kominka. — A to piękny z ciebie wykonawca testamentu!

— Dlaczego by nie? — zapytał Weller, zwracając się szybko do syna z pogrzebaczem w ręce.

— Dlaczego? Dlatego, że testament musi być sprawdzony, uprawomocniony, zaprzysiężony, słowem — powinien przejść wszelkie formalności.

— Naprawdę? — zapytał Weller starszy.

Sam wziął testament, włożył go ostrożnie do kieszeni i spojrzeniem odpowiedział, że tak jest naprawdę.

— W takim razie powiem ci — zaczął znowu pan Weller, pomyślawszy chwilę — że to jest coś dla bliskiego przyjaciela kanclerza. Pell musi tu wetknąć swój nos. To jedyny

człowiek do załatwienia wszelkich prawnych trudności. Nie tracąc czasu zaraz przedstawimy wszystko Trybunałowi Bankrutów.

— Nigdy nie widziałem takiej pomyłonej starej głowy! — zawołał Sam. — Ciągłe w niej się płaczą jakieś trybunały, bankruty, wszelkiego rodzaju alibi i tym podobne głupstwa. Weź lepiej porządny surdut i chodźmy do miasta załatwić całą sprawę, zamiast mówić tu o rzeczach, których nie rozumiesz.

— Bardzo dobrze, Sammy. Na wszystko się zgadzam, co prowadzi do załatwienia sprawy, ale uważaj, co ci powiem, mój chłopcze: w rzeczach prawnych nie masz jak Pell.

— Ja też nic nie mam przeciw niemu — rzekł Sam.

— A więc zaczekaj chwilę — odrzekł Weller, zapiąwszy halsztuk przed małym lusterkiem wiszącym na oknie i z wielkim trudem wciągając na siebie wierzchnie ubranie. — Gdy będziesz tak stary jak twój ojciec, nie tak łatwo potrafisz wleźć w surdut jak teraz.

— Gdyby mi to trudniej przychodziło niż teraz, to niech mnie powiesz, jeżelibym go kiedy nosił — odparł Sam.

— Tak myślisz teraz — odrzekł Weller z powagą właściwą jego wiekowi — ale przekonasz się, że nabierzesz więcej rozumu, gdy nabierzesz ciała. Otyłość i mądrość, Sammy, zawsze idą w parze.

Wypowiedziawszy tę wiekopomną prawdę, będącą wynikiem długoletnich osobistych spostrzeżeń i doświadczeń, pan Weller za pomocą zręcznego ruchu ciałem zdołał zapiąć najniższy guzik u surduta, zgodnie z jego przeznaczeniem. Potem, wypocząwszy przez chwilę, by zaczerpnąć oddechu, oczyścił kapelusz rękawem i oświadczył, że jest gotów.

— Ponieważ cztery głowy warte więcej niż dwie, Samiwelu — rzekł, gdy jechali do Londynu

— i ponieważ majątek twojej macochy to łakoma rzecz dla gentlemiana handlującego prawem, więc weźmiemy z sobą kilku z moich przyjaciół, którzy bez trudu dadzą sobie z nim radę, gdyby pozwolił sobie ma jakąś nieprawidłowość. Weźmiemy dwóch z tych, którzy cię kiedyś odprowadzali do więzienia. To najlepsi znawcy koni, jakich kiedykolwiek w życiu moim widziałem.

— A czy tacy sami znawcy adwokatów? — zapytał Sam.

— Człowiek, który zdrowo sądzi o komach, sądzi zdrowo o wszystkim — odpowiedział Weller tak dogmatycznym tonem, iż Sam nie ośmielił się zaprzeczyć temu aforyzmowi. Zgodnie z tą zasadą zabrano z sobą po drodze jednego puciołowatego i dwóch niezmiernie otyłych stangretów, co pan Weller uczynił zapewne w myśl tego, że otyłość i mądrość zawsze chodzą w parze. Towarzystwo udało się potem do szynku przy ulicy Portugalskiej, skąd niezwłocznie posłano do pana Salomona Pella.

Posłaniec zastał go w sądzie, lecz przy niezbyt wyętej pracy, bo przy zimnej przekąsce składającej się z grzanek i kurczęcia. Ledwie posłaniec oznajmił mu, po co przyszedł, pan Pell, włożywszy do kieszeni przekąskę razem z rozmaitymi dokumentami, ruszył w drogę tak żwawo, że stanął w oberży, zanim posłaniec zdołał opuścić gmach sądu.

— Gentlemani — rzekł, wchodząc do sali i dotykając kapelusza — witajcie. Mówię to nie dlatego, by wam pochlebiać, ale nie ma na świecie drugich pięciu osób, dla których bym dziś wyszedł z trybunału.

— Tyle zajęcia? — zapytał Sam.

— Po same uszy, jak mi zwykł był mawiać nieboszczyk lord kanclerz, gdy go powoływano do Izby Lordów, gdzie stawiano mu różne pytania. Nie odznaczał się on

zbyt zdrowiem, a takie pytania bardzo mu szkodziły na serce. Nieraz myślałem, doprawdy, że nie wytrzyma.

Tu Pell pochylił głowę i umilkł. Weller trącił łokciem swego sąsiada, by zwrócić jego uwagę na to, jakich wysokich znajomych ma prawnik, po czym zapytał, czy praca wywarła jakiś zły wpływ na zdrowie jego znakomitego przyjaciela.

— Nigdy nie mógł przyjść do siebie — odrzekł zapytany. — Myślę, że to go dobiło. — Pell — mawiał mi często — w jaki sposób, u diabła, możesz wytrzymać tyle pracy? Doprawdy, że to dla mnie zagadka! — Szczerze mówiąc — odpowiadałem — ja sam nie wiem. — Pell — dodawał kanclerz, wzdychając i patrząc na mnie jakby z zazdrością... ale z zazdrością przyjacielską, gentlemani, czystą, przyjacielską zazdrością, w której nie ma nic złego. — Pell — mówił — doprawdy jesteś zdumiewającym człowiekiem. — On, gentlemani! Gdybyście go znali, z pewnością bardzo byście go polubili. Przynieś mi araku za trzy pensy, moja kochana.

Zwróciwszy to ostatnie zdanie do kelnerki, pan Pell westchnął, spojrział na swe buty, potem na sufit, wreszcie powiedział:

— W każdym razie człowiek mojej profesji nie powinien myśleć o prywatnej rozmowie, gdy wezwany jest do udzielenia pomocy prawnej. Nie mogę jednak nie nadmienić, że odkąd widzieliśmy się ostatni raz, zaszedł bardzo melancholijny i oplakany wypadek.

Doszedłszy do słowa „opłakany”, pan Pell wyjął chusteczkę, ale otarł nią tylko kroplę rumu, która mu zawisała na górnej wardze.

— Czytałem o tym w „Advertiser”, panie Weller — ciągnął pan Pell. — Dobry Boże! Tylko pięćdziesiąt dwa lata... Pomyśl pan!

Smutne te refleksje zwrócone były do jegomości z cętkowaną twarzą, którego spojrzenie pan Pell pochwycił przypadkiem, na co jegomość z cętkowaną twarzą, który w ogóle miał ponury pogląd na świat, poruszył się niezręcznie na krześle i oznajmił, że o ile jemu wiadomo, rzeczywiście tak pisano. Uwaga ta, zawierająca subtelną aluzję do czegoś, na co trudno znaleźć argument, została pominięta milczeniem.

— Słyszałem, że to była piękna niewiasta, panie Weller — ciągnął pan Pell ze współczuciem.

— Tak, panie — odrzekł pan Weller, który nie bardzo lubił mówić o tej materii, uważał jednak, że adwokat, dzięki znajomości z lordem kanclerzem, musi się znać na dobrym wychowaniu. — Bardzo piękna niewiasta, panie! Była wdową, jak ją poznałem!

— To ciekawe — powiedział pan Pell, oglądając się dokoła — pani Pell była również wdową!

— To rzeczywiście bardzo interesujące! — przyznał jegomość z cętkowaną twarzą.

— Bardzo dziwny zbieg okoliczności — podjął pan Pell.

— Wcale nie dziwny — odrzekł niechętnie pan Weller. — Czy to jedna kobieta wychodzi za mąż?

— Słusznie, słusznie, panie Weller, ma pan najzupełniejszą słusność! Pani Pell była bardzo elegancką i wykształconą niewiastą, jej maniery były przedmiotem zachwyty całego sąsiedztwa! Dumny byłem patrząc, jak ta niewiasta tańczy! W ruchach jej było coś tak solidnego i godnego, a zarazem taka lekkość! Powiadam panom — wcielenie prostoty! Ach, czasy! czasy! Przepraszam, że pana o to pytam, panie Samuelu: czy pańska macocha była wysoka?

— Nie bardzo — odparł Sam.

— Pani Pell była wysoka — powiedział pan Pell. — Wspaniała niewiasta, szlachetna w każdym calu, z nosem jakby stworzonym, by rozkazywać. Bardzo była do mnie

przywiązana, panowie! A jaka przy tym ustosunkowana! Brat jej matki, moi panowie, miał około ośmiuset funtów rocznie!

— Tak — powiedział pan Weller, raczej znużony tą przydługą dyskusją — a teraz przystąpimy do interesu.

Słowa te były najśłodsza muzyką dla uszu Pella. Od samego początku starał się odgadnąć, czy wezwano go tylko, by wypić szklankę ponczu lub grogu, czy też dla oddania mu jakiego innego hołdu, a teraz wątpliwości ustąpiły, choć z jego strony nie było żadnego w tym względzie nacisku. Położył więc kapelusz na stole, a oczy mu błyszcząły, gdy mówił:

— Cóż to za sprawa, hm? Czy który z gentlemanów życzy sobie ogłosić się bankrutem? Zażądamy orzeczenia sądowego, a takie przyjacielskie orzeczenie sądowe załatwia wszystko, musicie wiedzieć. My tu wszyscy żyjemy w przyjaźni.

— Podaj no mi dokument, Sammy — rzekł pan Weller do syna, a wziąwszy dokument zwrócił się do adwokata i dodał: — Żądamy wytryfikacji tego.

— Weryfikacji, kochany panie, weryfikacji — zauważył pan Pell.

— Niech i tak będzie — odrzekł Weller cierpko — weryfikacja czy wytryfikacja, na jedno wyjdzie. Jeżeli pan mnie nie rozumie, to znajdzie się drugi, co mnie zrozumie.

— Bez urazy, panie Weller — odrzekł pan Pell łagodnie. — Pan, jak widzę, jesteś wykonawcą — dodał spojrzawszy na papier.

— Tak, panie — odparł pan Weller.

— A ci gentlemani są zapewne legatariuszami? — rzekł znów Pell z uprzejmym uśmiechem.

— Nie, Sammy jest jedynym lokotariuszem — odrzekł Weller. — Ci gentlemani to moi przyjaciele, którzy przyszli dopilnować, by wszystko było zrobione jak należy; rodzaj arbitrów.

— O! Bardzo dobrze! Nic nie mam przeciw temu. Ale prosiłbym o zaliczkę pięciu funtów, zanim zacznę. Cha! cha! cha!

Ponieważ komitet zdecydował, że pięć funtów można zaryzykować, pan Weller wypłacił żadaną sumę. Następnie wywiązała się długa dyskusja o niczym, w której pan Pell dowiódł ku ogólnemu zadowoleniu gentlemanów umiających patrzeć w przyszłość, że gdyby nie powierzono mu tej sprawy, wszystko poszłoby na opak z powodów, których nie podawał bliżej, ale które niemniej jednak były niewątpliwe. Następnie prawnik zjadł trzy kotlety z odpowiednim dodatkiem piwa i wódki — na rachunek przyszłych dochodów. Wreszcie wszyscy udali się do Doctors' Commons.

Na drugi dzień powtórzono wizytę w Doctors' Commons, gdzie miano wiele do roboty z pewnym parobkiem powołanym na świadka, który upił się i ku wielkiemu zgorszeniu prokuratora i pełnomocnika nie chciał złożyć innej przysięgi, tylko świecką. Następnego tygodnia znowu trzeba było udać się do Doctors' Commons, potem do urzędu opieki nad sierotami, potem trzeba było zredagować kontrakt sprzedaży oberży, ratyfikować rzeczony kontrakt, spisać inwentarz, zjeść niemało śniadań i obiadów tudzież zrobić wiele innych rzeczy, zarówno korzystnych, jak i potrzebnych, przy czym zagryzmołono tyle papieru, że pan Salomon Pell i jego pisarek, a nawet ich niebieska torba, tak się wypełnili, iż trudno było poznać, że to ten sam człowiek, ten sam pisarek i ta sama torba, których oglądać można było przed paroma dniami w okolicach ulicy Portugalskiej.

W końcu, gdy wszystko już zostało uporządkowane, wyznaczono dzień dla sprzedaży oberży i zamienienia gotówki na papiery funduszów publicznych, co stało się za pośrednictwem maklera papierów państwowych, pana Wilkinsa Flashera Esq., w pobliżu

Banku miasta Londynu. Polecił go pan Salomon Pell. Był to pod pewnym względem dzień uroczysty i zainteresowane osoby przystroїły się odpowiednio. Pan Weller kazał się ufrizować, a ubranie wyczyścił ze szczególną pieczołowitością. Jegomość z cętkowaną gębą zatknął sobie w butonierce wspaniałą georginię z liśćmi, a ubrania dwóch innych przyjaciół przyozdobione były w bukiety laurowe i inne niewiedzące ziele. Wszyscy przywdziali paradne suknie, pozapinali się po samą szyję i włożyli na siebie możliwie największą ilość ubrania, co od czasu wynalezienia dylizansów należało i należy w pojęciu stangretów do najwyższej elegancji.

Pan Pell czekał o oznaczonej godzinie w umówionym miejscu. Nawet on włożył rękawiczki i czystą koszulę, bardzo przetartą koło kołnierza i mankietów od częstego prania.

— Za kwadrans druga — powiedział pan Pell patrząc na zegar. — Jeżeli spotkamy się z panem Flasherem kwadrans po drugiej, będziemy w sam czas!

— Co byście, panowie, powiedzieli, gdybyśmy tak wstąpili na jedno piwko? — spytał jegomość z cętkowaną twarzą.

— I kawałek zimnej wołowiny — dodał drugi stangret.

— Albo kilka ostryg — poddał trzeci jegomość, ochrypli i na bardzo krótkich nóżkach.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — zawołał pan Pell. — Miałożby to być uczczeniem pana Wellera, że wszedł w posiadanie majątku! Cha, cha, cha!

— Bardzo mi przyjemnie, panowie — rzekł pan Weller. — Sammy, zadzwoń no!

Sammy usłuchał. A ponieważ z podaniem portera, wołowiny i ostryg nie zwlekano, przeto złożyło się wcale niezłe śniadanie. Że wszyscy brali w nim czynny udział, nie potrzebuję chyba mówić. Ale jeżeli kto okazał większe zdolności od innych, to właśnie stangret z ochryplym głosem, który suto polał octem ostrzygi i nie zachłysnął się nawet.

— Panie Pell — powiedział pan Weller starszy, mieszając szklankę gorącej wody z wódką (przed każdym gościem postawiono szklankę). — Panie Pell, ja sam myślałem, by jakoś uczcić ten dzień, ale Sammy szepnął mi...

Tu pan Samuel Weller, który w milczeniu pożerał ostrzygi, zawołał bardzo głośno:

— Słuchajcie!

—...szepnął mi — ciągnął pan Weller starszy — że należałoby użyć tych płynów na wzniesienie pańskiego zdrowia, żeś pan, panie Pell, tak zręcznie i umiejętnie rzecz przeprowadził. Pańskie!

— Stój! — zawołał jegomość z twarzą cętkowaną. — I wszyscy niech na mnie patrzą!

To mówiąc cętkowany wstał, a za nim inni gentlemani. Cętkowany spojrział na towarzystwo i wolno podniósł rękę, po czym wszyscy obecni (nie wyłączając cętkowanego) wciągnęli powietrze i przyłożyli szklanki do warg. Cętkowany znów poruszył ręką i wszystkie szklanki wypróżniły się. Niepodobna opisać wrażenia, jakie robi podobna ceremonia. Jest ona jednocześnie poważna, uroczysta, budująca i pełna *grandeur*.

— Moi panowie — powiedział pan Pell. — Mogę tylko powiedzieć, że taki dowód zaufania jest bardzo miły człowiekowi mego zawodu. Nie chcę okazać się egoistą, panowie, ale mogę tylko powiedzieć, iż rad jestem, żeście się do mnie zwrócili: ze względu na was. Tyle tylko. Gdybyście się zwrócili do człowieka mniej wyrobionego ode mnie, zapewniam was z całą stanowczością, że znaleźlibyście się na Queen Street. Żałuję, że mój szanowny przyjaciel już nie żyje i nie może powiedzieć, jak wybrnąłem z tej sprawy. Nie mówię tego powodowany dumą, nie zawracałbym wam głowy podobnymi rzeczami! Zawsze możecie mię tu znaleźć, ale gdyby mnie tu przypadkiem nie było — oto

mój adres! Przekonacie się, że żądania moje są rozsądne i niewygórowane, że nikt nie jest życzliwiej usposobiony do swych klientów, a przy tym znam się cokolwiek na swojej specjalności! Jeżeli panowie zechcą polecić mię swoim przyjaciołom, będę niezmiernie zobowiązany, a oni również, gdy poznają mię bliżej! Wasze zdrowie, panowie!

To powiedziawszy, pan Salomon Pell położył przed każdym gościem pana Weller'a drukowaną kartkę z adresem, po czym spojrział znów na zegar i oznajmił, że czas ruszać. Wtedy pan Weller uregulował rachunek i cała paczka — doradca, świadkowie, wykonawca testamentu i obdarowany — udali się do City.

Biuro pana Wilkinsa Flashera Esq. znajdowało się na pierwszym piętrze o trzy domy od Banku Angielskiego. Dom pana Wilkinsa Flashera Esq. był na Brixton Surrey. Koń pana Wilkinsa Flashera Esq. stał w wynajętej stajni, groom pana Wilkinsa Flashera Esq. został właśnie posłany na West End. Dependent pana Wilkinsa Flashera Esq. poszedł na obiad. Więc pan Wilkins Flasher Esq. osobiście zawołał „proszę!”, kiedy pan Pell i jego przyjaciele zastukali do drzwi.

— Dzień dobry panu! — powiedział pan Pell kłaniając się pokornie. — Chcielibyśmy załatwić z panem małą transakcyjkę.

— Proszę, proszę — zawołał pan Flasher. — Wejdźcie, panowie! Służę za chwilę!

— Dziękujemy panu — powiedział pan Pell. — Nie śpieszno nam. Niech pan siada, panie Weller.

Pan Weller usiadł na krześle, Sam na skrzyni, świadkowie usiedli, gdzie który mógł, i zabrali się do oglądania kalendarza oraz kilku ogłoszeń wiszących na ścianie z taką ciekawością, jak gdyby to były arcydzieła starych mistrzów.

— Gotów jestem założyć się o pół tuzina flaszek klaretu — powiedział pan Flasher Esq., podejmując rozmowę, którą przerwało wejście pana Pella.

Słowa te były zwrócone do szykownego młodzieńca, który nasunął kapelusz aż na prawy wąż i łapką zabijał na biurku muchy. Wilkins Flasher Esq. kołysał się na krześle bardzo zręcznie, przebijając pudełko opłatków scyzorykiem, którym co pewien czas rzucał w sam środek czerwonego opłatka, przyczepionego na etykietce. Obaj ci panowie mieli bardzo wycięte kamizelki, bardzo wykładane kołnierze przy koszulach, bardzo niskie trzewiki, bardzo wielkie pierścionki, bardzo małe zegareczki, bardzo grube łańcuchy i bardzo wyperfumowane chustki do nosa.

— Nigdy nie zakładałem się o pół tuzina, tylko o tuzin — odpowiedział tamten.

— Zrobione, Simmery, zrobione! — zawołał pan Flasher.

— Pamiętaj! — powiedział tamten.

— Oczywiście — odpowiedział pan Wilkins Flasher Esq. i wpisał to złotym ołówkiem do małego notesika, co również zrobił pan Simmery, również w małym notesiku i złotym ołówkiem.

— Widzę, że jest już wzmianka o Bofferze — zauważył pan Simmery. — Biedak. Wyrzucili go!

— Założę się o dziesięć gwinei przeciw pięciu, że sobie poderżnie gardło! — powiedział pan Wilkins Flasher Esq.

— Zrobione! — zawołał Simmery.

— Stój! — powiedział pan Wilkins. — Zmieniam zdanie! Może się powiesić!

— Doskonale! — powiedział pan Simmery, wyjmując notes i ołówek. — Godzę się i na to! Nie mam żadnych pretensji! Niech będzie i tak! Powiedzmy, popełni samobójstwo?

— To jest zabije się!

— Doskonale! — powiedział pan Simmery. — Flasher, pięć gwinei przeciw dziesięciu, że Boffer się zabije! W jakim czasie?

— Dwa tygodnie, powiedzmy! — poddał pan Flasher.

— Za długo — powiedział pan Simmery, zabijając muchę. — Powiedzmy — tydzień.

— Powiedzmy polubownie, dziesięć dni?

— Dobrze. Niech będzie dziesięć dni!

A więc zapisano do notesika, że Boffer zabije się w ciągu dziesięciu dni, w przeciwnym zaś razie Wilkins Flasher Esq. ma wręczyć Frankowi Simmery'emu Esq. sumę dziesięciu gwinei. A jeżeli Boffer zabije się w ciągu tych dziesięciu dni. Frank Simmery Esq. płaci Wilkinsowi Flasherowi Esq. pięć gwinei.

— Bardzo żałuję, że wpadł! — powiedział Wilkins Flasher. — Kapitalnie dawał jeść!

— I miał doskonale porto — dodał pan Simmery. — Muszę posłać jutro służącego, kiedy go będą licytowali, niech kupi parę butelek dla mnie!

— Takiś sprytny! — zawołał pan Wilkins Flasher Esq. — Poślę także mojego! Założę się, że kupi lepiej i taniej!

— Zrobione!

Znowu zapisano coś w notesikach złotymi ołówkami. Pan Simmery po zabiciu kilkunastu much i zrobieniu kilku zakładów pobiegł do Stock Exchange, by dowiedzieć się, co tam słychać.

Wilkins Flasher Esq. mógł już teraz wysłuchać, co mu miał do powiedzenia pan Pell, a wypełniwszy odpowiedni papier, zażądał, by całe towarzystwo poszło z nim do banku, co też uczyniono. Pan Weller i jego trzech przyjaciele przyjmowali to wszystko z największym zdumieniem, Sam zaś z obojętnością, której nic nie mogło poruszyć.

Przeszedłszy ruchliwy i gwarny dziedziniec i minawszy dwóch odźwiernych ubranych tak, że sam ich widok mógł wywołać pożar, weszli do biura, gdzie sprawa miała być załatwiona. Tu pan Pell i pan Flasher opuścili na jakiś czas towarzystwo, by zająć do urzędu opieki.

— Co to za biuro? — zapytał cętkowany jegomość pana Wellera starszego.

— Biuro doradców prawnych — rzekł wykonawca testamentu.

— A cóż to za gentlemani siedzą przy biurkach? — zapytał jegomość z chrypką.

— Sądzę, że to zredukowani doradcy prawni — odrzekł pan Weller. — Czy tak, Sammy?

— Jak to, myślisz, że zredukowany doradca może żyć? — spytał Sam z pogardą.

— Skądże mam wiedzieć? — powiedział pan Weller. — Tak wyglądają. Więc któż to taki?

— Urzędnicy.

— Dlaczegoż wszyscy jedzą chleb z szynką?!

— Może to jest ich obowiązek — powiedział Sam. — Zapewne należy to do systemu, bo cały dzień tylko to robią.

Weller i jego przyjaciele zastanawiali się przez chwilę nad tą szczególną właściwością angielskiego systemu finansowego, gdy Pell i pan Wilkins Flasher Esq., powróciwszy, zaprowadzili ich do biura, na którym, na wielkiej tablicy, było napisane ogromne „W”.

— A to na co? — spytał pan Weller, zwracając uwagę pana Pella na ten napis.

— Pierwsza litera nazwiska nieboszczki! — odrzekł pan Pell.

— Tak być nie może — rzekł stangret zwracając się do arbitrów. — To nie jest w porządku! Nasze nazwisko zaczyna się od V!

Arbitrowie wyrazili zdanie, że sprawa nie może być legalnie załatwiona pod literą „W” i niezawodnie wszystko odwlekłoby się na jaki dzień lub dwa, gdyby nie stanowcza i na pierwszy rzut oka bezceremonialna postawa Sama, który schwycił ojca za połą, wciągnął go do biura i zmusił do podpisania wszystkiego, co należało. Przy umiejętności pana Wellera okazało się to pracą tak trudną i żmudną, że obecny przy tym urzędnik miał czas obrać i zjeść trzy jabłka.

Ponieważ pan Weller starszy nalegał na to, by oberża została niezwłocznie sprzedana, więc z banku poszli wszyscy na giełdę, po krótkiej zaś chwili Wilkins Flasher Esq. wrócił z czekiem na firmę Smyth, Payne i Smyth na pięćset trzydzieści funtów szterlingów, jako część renty przekazanej przez panią Wellerwą mężowi. Dwieście funtów Sama zostało przepisane na jego imię. Wilkins Flasher Esq., otrzymawszy komisowe, niedbale włożył pieniądze do kieszeni i poszedł z powrotem do biura.

Zrazu pan Weller uparł się, by wypłacono mu wszystko w suwerenach.

Ale gdy arbitrowie wyjaśnili mu, że w takim razie musiałby kupić mały worek, by miał w czym zanieść pieniądze do domu, zgodził się przyjąć sumę w banknotach pięciofuntowych.

— Mój syn — powiedział pan Weller, gdy wyszli z banku — mój syn i ja mamy dzisiaj po południu ważny interes do załatwienia, chciałbym więc zakończyć nasze rachunki. Może wstąpimy gdzieś, gdzie nam nie będą przeszkadzać.

Znaleziono zaciszny pokój, wysłuchano sprawozdania pana Pella, wyrażono swoją o nim opinię. Sam sprawdzał rachunki, niektóre pozycje zostały zakwestionowane przez arbitrow. Ale pomimo zapewnień pana Pella, że są zbyt bezwzględni wobec niego, był to jeden z najlepszych interesów, jaki udało mu się zrobić w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Po załatwieniu wszystkich formalności arbitrowie pożegnali się, gdyż musieli tej samej nocy wyjechać z miasta. Salomon Pell, widząc, że nic nie da się już wycygnąć — ani do jedzenia, ani do picia — pożegnał się przyjaźnie i pan Weller został sam z synem.

— Samiwelu! — powiedział pan Weller, chowając notes do kieszeni. — Mam tu w pugilaresie tysiąc sto osiemdziesiąt funtów szterlingów, licząc w tym już i odstępne za dzierżawę oberży. Teraz, mój chłopcze, idźmy „Pod Jerzego i Jastrzębia”!

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Ważna konferencja pana Pickwicka z Samuelem Wellerem w obecności jego ojca — Przybycie gentlemana w tabaczkowym fraku

Pan Pickwick siedział samotnie i rozmyślał o wielu rzeczach, między innymi, w jaki sposób mógłby pomóc młodemu małżeństwu, którego niepewna przyszłość była powodem nieustannej jego troski i zmartwienia, gdy Mary wpadła szybko do pokoju i zbliżywszy się do stołu, powiedziała z ożywieniem:

— Proszę pana! Pan Samuel jest na dole i zapytuje, czy może wejść ze swoim ojcem.

— Naturalnie — odpowiedział pan Pickwick.

— Dziękuję panu — powiedziała Mary, idąc ku drzwiom.

— Sam jest tu niedawno, co? — zapytał pan Pickwick.

— Niedawno, proszę pana — zapewniła Mary gorąco. — Przyszedł przed chwilą! Powiedział, że już nie będzie prosił więcej urlop!

Mary albo spostrzegła się, że oznajmiła tę ostatnią nowinę z większym zapałem, niż wymagała tego konieczność, albo zauważyła życzliwy uśmiech na obliczu pana Pickwicka, bo nagle zamilkła. Spuściła głowę i zaczęła się przyglądać swemu malutkiemu fartuszkowi bardzo uważnie, z o wiele większym zajęciem, niż należało.

— Powiedz mu, niech zaraz przyjdzie! — powiedział pan Pickwick. Mary, najwyraźniej bardzo zadowolona, wybiegła z pokoju.

Pan Pickwick przeszedł się parę razy tam i z powrotem, gładząc podbródek. Potem powiedział do siebie głosem melancholijnym i łagodnym:

— Ha! Będzie to najlepsza nagroda za jego wierność. Niech tak się stanie, w imię Boże. Taki już los starych kawalerów, że muszą patrzeć, jak otaczające ich osoby zawierają inne związki i oddalają się. Nie mam prawa żądać, by ze mną stało się inaczej. Nie, nie! — dodał weselej — byłoby to egoizmem i niewdzięcznością. Powinienem się cieszyć, że mi się nadarza sposobność, by się nim zająć. Bardzo się cieszę.

Pan Pickwick był jeszcze pogrążony w tych rozmyślaniach, gdy zapukano do drzwi trzy czy cztery razy, zanim pukanie usłyszał. Filozof szybko usiadł, przybrał wesoły wyraz twarzy i zawołał:

— Proszę wejść.

Po chwili ukazał się Sam Weller w towarzystwie ojca.

— Cieszę się, żeś powrócił, Samie. Jak się pan ma, panie Weller?

— Bardzo dobrze, dziękuję panu — odrzekł wdowiec. — Spodziewam się, że i panu dobrze się wiedzie?

— O, doskonale! Dziękuję panu.

— Chciałbym zamienić z panem parę słów, jeżeli może mi pan udzielić jakich pięciu minut — rzekł pan Weller.

— Dlaczegoż by nie? — rzekł pan Pickwick. — Samie, podaj ojcu krzesło.

— Dziękuję ci, Samiwelu, mam już — rzekł pan Weller, biorąc sobie krzesło. — Bardzo dziś mamy piękny dzień — dodał stary gentleman, kładąc kapelusz na podłodze, zanim usiadł.

— Bardzo piękny, jak na tę porę — odpowiedział pan Pickwick.

— Prześliczna pogoda, dawno takiej nie pamiętam — zaczął znów pan Weller. Doszedłszy do tego punktu rozmowy, dostał gwałtownego napadu kaszlu, a gdy kaszel ustał, zaczął głową i mruganiem dawać znaki, to groźne, to błagalne, swemu synowi, który uparcie ich nie dostrzegał.

Pan Pickwick zauważywszy, że stary woźnica jest zakłopotany, udał, iż bardzo jest zajęty rozcinaniem książki, i czekał cierpliwie, aż Weller wyjaśni cel swojej wizyty.

— Nigdy nie widziałem tak nieznośnego chłopca jak ty, Sammy — powiedział wreszcie wdowiec, spoglądając na syna z wielkim oburzeniem. — Nigdy w życiu.

— Cóż on zrobił? — zapytał pan Pickwick.

— Nie chce zacząć, panie. Wie dobrze, że nie umiem należycie wyrazić się, gdy trzeba powiedzieć coś szczególnego, a stoi jak słup. Widzi, że ugrzązł na samym początku drogi, że zajmuje panu jego cenny czas, robi ze mnie śmieszna figurę, że się aż wstydzić muszę, a nie chce mi dopomóc ani słowem. To nie po synowsku, Samiwelu — dodał, ocierając pot z czoła — wcale nie po synowsku.

— Powiedziałeś, że chcesz mówić — odrzekł Sam — a skądże mogłem wiedzieć, że ugrzęzniesz, zanim jeszcze zaczniesz?

— Widziałeś dobrze, że nie mogę ruszyć z miejsca, że jadę złą drogą, że włożę między płoty, rowy i tym podobne historie, a nie chcesz mi podać ręki, by pomóc. Wstydzę się za ciebie, Samiwelu.

— Rzecz ma się tak, proszę pana — zaczął Samuel z ukłonem — mój ojciec podniósł swój fundusz...

— Bardzo dobrze, Samiwelu! Bardzo dobrze! — przerwał Weller, kiwając z zadowoleniem głową. — Nie miałem zamiaru być dla ciebie surowy, Sammy! Bardzo dobrze! Tak należało zacząć! Teraz dojdziemy do końca!

Pan Weller kiwnął kilkanaście razy głową dla okazania swojej wdzięczności i ze skupioną miną czekał na dalsze sprawozdanie Sama.

— Możesz usiąść, Samie — powiedział pan Pickwick widząc, że się zanosi na dłuższą rozmowę, niż przypuszczał.

Sam znowu się skłonił i usiadł. Gdy ojciec obejrzał się, ciągnął dalej:

— Ojciec podniósł pięćset trzydzieści funtów!

— Wszystko skonsolidowane — dodał pan Weller starszy.

— To nieważne, czy skonsolidowane, czy nie — powiedział Sam. — Pięćset trzydzieści funtów, tyle wynosi suma, co?

— Gadasz jak z nut. Samie — powiedział pan Weller.

— Do tego dołączył sumę ze sprzedaży oberży i domu...

— Statki, zapasy, dzierżawa oberży... — dodał Weller.

—...co stanowi razem — ciągnął Sam — tysiąc sto siedemdziesiąt funtów.

— Naprawdę? — zdumiał się pan Pickwick. — Cieszę się, że pan zrobił tak dobry interes!

— Niech pan zaczeka jedną minutę — rzekł Weller, błagalnie wznosząc rękę. — Wal dalej, Samiwelu.

— I bardzo życzę sobie — zaczął Sam z widocznym wahaniem — życzę sobie bardzo ulokować tę kwotę w pewnym miejscu, bo jeżeli będzie ją nosił przy sobie, to albo pożyczyc ją pierwszemu lepszemu, albo wyda wszystko na konie, albo zgubi gdzie pugilares w drodze, słowem — w ten czy inny sposób zrobi z siebie mumię egipską.

— Bardzo dobrze, Samiwelu — przerwał Weller z takim zadowoleniem, jak gdyby syn oddawał najwyższe pochwały jego rozsądkowi i przezorności. — Bardzo dobrze.

— Otóż z tych powodów — mówił Sam dalej, mnąc swój kapelusz — stary zebrał wszystkie pieniądze... i przyszedł tu ze mną, by powiedzieć... to jest, by ofiarować... czyli, innymi słowami...

— By powiedzieć — zawołał Weller zniecierpliwiony — że moneta ta na nic mi się nie przyda. Będę teraz regularnie jeździł dyliżansem i po prostu nie wiem, gdzie by ją podziąć, chyba że będę płacił konduktorowi, by mi jej pilnował, albo włożę w jaką kieszeń w dyliżansie, co by mogło się stać pokusą dla przejeżdżających. Jeżeliby pan zechciał się nią zaopiekować, tobym był panu wielce obowiązany. Może — dodał Weller, wstając i szepcząc do ucha panu Pickwickowi — może posłuży ona do spłacenia części tej kary sądowej... Słowem, proszę, byś pan zechciał zatrzymać ją u siebie, dopóki jej nie zażądam.

To rzekłszy Weller położył swój pugilares na kolanach pana Pickwicka, chwycił za kapelusz i wybiegł z pokoju z szybkością, której nie można było spodziewać się po człowieku takiej tuszy.

— Samie! Zatrzymaj go! — zawołał pan Pickwick śpiesznie. — Biegnij i zaraz mi go tu przyprowadź! Panie Weller! Stój pan!

Sam zrozumiał, iż nie może nie usłuchać rozkazu pana Pickwicka. Pochwycił więc ojca za ramię, gdy ten chciał już schodzić na dół, i przyprowadził go z powrotem.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł filozof, biorąc go za rękę — takie zaufanie wzrusza mię.

— Nie ma powodu, proszę pana — odrzekł Weller z uporem.

— Ale zapewniam pana, mój przyjacielu, iż mam więcej pieniędzy, niż mi potrzeba. Daleko więcej, aniżeli człowiek w moim wieku wydać może.

— Nikt nie wie, ile może wydać, dopóki nie spróbuje — filozoficznie zauważył pan Weller.

— Być może, ale ponieważ nie chcę robić takiej próby, nie mogę więc przypuszczać, by mi zabrakło pieniędzy, i proszę, byś pan wziął je z powrotem, panie Weller.

— Bardzo dobrze — odparł stary stangret z kwaśną miną. — Tylko uważaj, Samiwelu, co mówię: zrobię z tymi pieniędzmi jakiś krok rozpaczliwy, zupełnie rozpaczliwy, Samiwelu!

— Tego nie radzę! — odrzekł Sam.

Weller pomyślał chwilkę, potem zapiął surdut ze stanowczą miną i powiedział:

— Wydzierzawię roгатkę.

— Co?! — zawołał Sam.

— Rogatkę — odrzekł Weller, zaciskając zęby. — Będę celnikiem przy roгатce. Pożegnaj swego ojca, Samiwelu. Resztę życia poświęcę roгатce.

Była to groźba tak straszliwa, a Weller wypowiedział ją tak stanowczo i tak głęboko był zmartwiony odmową pana Pickwicka, iż zacny filozof po krótkim namyśle powiedział:

— No, no, panie Weller, zatrzymam pańskie pieniądze. Rzeczywiście, może będę umiał lepiej ich użyć niż pan.

— Rozumie się! — odrzekł Weller wypogadzając czoło. — O to mi chodziło.

— Nie mówmy o tym więcej — odrzekł pan Pickwick, chowając pugilares do biurka. — Serdecznie jestem panu zobowiązany. A teraz niech pan usiądzie, chciałbym zasięgnąć pańskiej rady.

Wewnętrzny śmiech, wywołany przez szczęśliwe zakończenie sprawy, który nie tylko wykrzywił twarz pana Wellera, ale wprawił w drżenie jego ramiona, nogi i cały korpus (co

wystąpiło wyraźnie podczas chowania pugilaresu do biurka), ustąpił miejsca najmajestatyczniejszej powadze, gdy Weller usłyszał te słowa.

Potężny stangret miał minę niezwykle myślącą, ale zarazem i zdumioną, gdy pan Pickwick zaczął w następujący sposób:

— Nie jest pan, jak sędzę, wielkim zwolennikiem małżeństwa?

Weller potrząsnął głową. Nie był po prostu w stanie przemówić, gdyż myśl, iż może jaka niegodziwa wdowa zawróciła głowę panu Pickwickowi, sparaliżowała mu język.

— Idąc tu po schodach — mówił filozof dalej — zapewne zauważył pan pewną młodą dziewczynę?

— Widziałem — odpowiedział Weller krótko.

— Co pan o niej sądzi? Mówiąc szczerze, czy podoba się panu?

— Zbudowana dobrze, więź proporcjonalna, miarę trzyma — odrzekł stangret z miną znawcy.

— Tak, tak, to ładna dziewczyna, ale co pan sądzi o jej zachowaniu z tego, co pan widział?

— Hm! Ruchy dobre, panie, posuwiste.

Pan Pickwick nie bardzo rozumiał, co Weller chciał przez to powiedzieć, ale z tonu domyślił się, iż były to ulubione wyrażenia stangreta, gdy chciał kogoś pochwalić, i dlatego był tak zadowolony, jakby otrzymał pozytywną odpowiedź.

— Ta dziewczyna bardzo mnie interesuje — powiedział pan Pickwick. Weller odkasznął.

— Chcę przez to powiedzieć, iż interesuje mnie o tyle, że chciałbym, by była szczęśliwa, rozumie mnie pan?

— Najzupełniej — odrzekł Weller, który nie rozumiał nic a nic.

— Dziewczyna ta jest zakochana w Samie.

— W Samiwelu? — zapytał ojciec.

— Tak.

— To rzecz naturalna — rzekł po chwili namysłu — to rzecz naturalna, ale trochę niepokojąca. Trzeba, by Sam miał się na ostrożności.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał pan Pickwick.

— Musi uważać, by jej nic nie przyrzekać — odparł pan Weller. — Musi uważać, by w chwili czułości nie przyrzekł jej czego, co by potem mogło służyć za pretekst do procesu o złamanie przyrzeczenia małżeństwa. Z tymi rzeczami igrać nie można, panie Pickwick. Kobiety, kiedy raz na kogo zarzucą się, to już potem nie wiadomo, jak się wywikłać. Ani się człowiek obejrzy, a już go złapały. Ja tak samo ożeniłem się pierwszy raz, panie Pickwick, a Samiwel jest następstwem tego błędu.

— Nie bardzo mi pan dodaje tym otuchy — rzekł pan Pickwick — ale sędzę, że najlepiej załatwić tę rzecz od razu. Nie tylko ta młoda dziewczyna jest zakochana w pańskim synu, ale i Samiwel jest w niej zakochany, panie Weller.

— A to miłe rzeczy dla ojcowskiego ucha! — odezwał się pan Weller.

— Przekonałem się o tym niejednokrotnie — mówił dalej filozof, nie zważając na wykrzyknik Wellera — i nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Teraz wyobraź pan sobie, że chciałbym, by się pobrali, i zająłbym się ich losem. Co pan myśli o tym, panie Weller?

Najpierw Weller skrzywił się okropnie, usłyszawszy propozycję zmierzającą do małżeństwa człowieka, którym się bądź co bądź interesował; ale gdy pan Pickwick przedstawił mu całą rzecz kładąc nacisk na fakt, że Mary nie jest wdową, stary stał się

przystępniejszy, tym bardziej że Mary przypadła mu do gustu i, mówiąc nawiasem, nawet zerkał na nią wcale nie po ojcowsku. W końcu oświadczył więc, iż nie chce bynajmniej sprzeciwiać się życzeniom pana Pickwicka i zawsze z przyjemnością pójdzie za jego radą. Wtedy nasz zacny przyjaciel przywołał swego służącego.

— Samie — powiedział odkaszlnąwszy — twój ojciec i ja rozmawialiśmy tu o tobie.

— O tobie, Samiwelu — powtórzył Weller tonem protekcyjnym.

— Nie jestem tak ślepy, Samie — mówił dalej filozof — by od dawna nie dostrzec, iż do pokojówki pani Winkle czujesz coś więcej niż przyjaźń.

— Słyszysz, Samiwelu? — dodał Weller równie arbitralnym tonem, co przedtem.

— Sądzę, panie — odrzekł Samiuel, zwracając się do pana Pickwicka — iż nie ma w tym nic złego, gdy młody człowiek okazuje pewne względy młodej dziewczynie, która niewątpliwie jest ładna i przyzwoita.

— Oczywiście — rzekł pan Pickwick.

— Ani odrobiny — dodał Weller głosem przyjaznym, ale poważnym.

— Nie tylko, że nie widzę nic złego w tej rzeczy tak naturalnej — zaczął znów pan Pickwick

— ale chciałbym poprzeć twoje zamiary i pomóc ci. Dlatego to rozmawiałem z twoim ojcem, a ponieważ jestem zdania...

— Wobec tego, że rzeczona osoba nie jest wdową — wtrącił Weller w formie komentarza.

— I wobec tego, że osoba ta nie jest wdową — powtórzył z uśmiechem pan Pickwick — pragnę okazać ci wdzięczność za twe przywiązanie umożliwiając ci poślubienie tej dziewczyny i chcę zająć się tym, byś mógł zapewnić swej rodzinie niezależny byt. Dumny będę — mówił dalej pan Pickwick, którego głos, drżący dotąd, powrócił znów do swego normalnego brzmienia — dumny będę i szczęśliwy, gdy będę mógł twoje dalsze życie uczynić przedmiotem mej wdzięczności i żywej troski.

Przez kilka minut trwało głębokie milczenie, po którym Sam przemówił głosem cichym i przerywanym, pomimo to jednak stanowczym:— Bardzo jestem panu obowiązany za tę propozycję prawdziwie godną pana, ale nic z tego.

— Nic z tego! — zawołał pan Pickwick ze zdumieniem.

— Samiwelu? — zawołał Weller z godnością.

— Powiadam, że nic z tego — powtórzył Sam głosem nieco podniesionym. — Bo cóż by się z panem stało?

— Mój kochany chłopcze — rzekł pan Pickwick — zmiany, które ostatnio zaszły w życiu moich przyjaciół, zmienią zupełnie i mój tryb życia w przyszłości. A przy tym starzeję się i potrzebuję wypoczynku i spokoju. Podróże moje skończyły się, Samie.

— Skąd to można wiedzieć, panie? — odparł Sam. — Teraz się panu tak wydaje, ale przypuśćmy, że zmieni pan zdanie, co jest bardzo możliwe, gdyż ma pan w sobie ogień dwudziestopięcioletniego młodzieńca, cóż wtedy zrobi pan beze mnie? Nie, panie, to nie może być, nie może!

— Bardzo dobrze, Samiwelu! W tym, co mówisz, jest wiele racji — zauważył Weller zachęcającym tonem.

— Mówię to po długim namyśle, Samie, i z przekonaniem, że dotrzymam słowa — powiedział pan Pickwick, poważnie potrząsając głową. — Skończyłem z tamtym, nie będę już podróżował.

— Bardzo dobrze — powiedział Sam. — Tym bardziej będzie pan potrzebował kogoś, kto pana rozumie i potrafi koło pana chodzić i pana rozweselić. Jeżeli chce pan mieć

bardziej obytego służącego, wolna wola, panie, niech go pan weźmie. Ale z pensją czy bez pensji, za wikt czy bez wikt, za opierunek czy bez opierunku, za pańską zgodą czy bez pańskiej zgody, Sam Weller, taki, jakim go pan wziął z gospody w Borough, zostanie przy panu. Niech będzie, co ma być, a tak będzie! A jak się to komu nie podoba, gwizdź na to!

W końcu tej deklaracji, ogłoszonej z wielkim wzruszeniem przez Sama, ojciec zerwał się z krzesła i zapomniawszy o wszelkich względach na czas, miejsce i przyzwoitość, podniósł kapelusz do góry i trzykrotnie krzyknął:

— Hura!

— Mój kochany Samie — rzekł pan Pickwick, gdy pan Weller usiadł, nieco zawstydzony swym entuzjazmem — mój kochany Samie, powinien byś też mieć wzgląd i na tę dziewczynę.

— Ja, panie, mam wzgląd na nią. Opowiedziałem jej, w jakim znajduję się położeniu, a ona przyrzekła mi czekać, aż będę się mógł z nią ożenić. Spodziewam się, iż dotrzyma słowa

(gdyby nie dotrzymała, to nie byłaby kobietą, jakiej mi potrzeba, a w takim razie nie będzie czego żałować!). Pan zna mnie dawno. Jestem zdecydowany i nic nie zmieni mego postanowienia.

Któż by mógł zwalczać takie postanowienie? W każdym razie nie pan Pickwick. Bezinteresowne przywiązanie tych dwóch skromnych przyjaciół napępiało w tej chwili pana Pickwicka większą dumą i radością aniżeli dziesięć tysięcy zapewnień przyjaźni najznakomitszych osób w świecie.

W czasie gdy ta rozmowa odbywała się w pokoju pana Pickwicka, przy drzwiach oberży zatrzymał się mały jegomość w tabaczkowym fraku, a za nim szedł służący z walizeczką. Zamówiwszy sobie łóżko na noc, jegomość zapytał garsona, czy niejaka pani Winkle mieszka tutaj, na co garson odpowiedział oczywiście twierdząco.

— Czy jest sama? — zapytał jegomość.

— Zdaje mi się, że tak — odpowiedział garson. — Zaraz zawołam jej pokojówkę...

— Nie potrzebuję pokojówki — szybko zawołał jegomość. — Zaprowadź mnie do jej pokoju, nie anonsując!

— Ależ panie?

— Czyś głuchy?

— Nie, proszę pana!

— Więc słuchaj uważnie, jeśli łaska. Słyszysz, co mówię?

— Słyszę, proszę pana.

— Doskonale! Zaprowadź mnie do pokoju pani Winkle, nie anonsując!

To mówiąc staruszek wsunął garsonowi pięć szylingów i szybko spojrzął mu w oczy.

— Doprawdy, panie — powiedział garson. — Nie wiem, czy...

— I tak przecież zrobisz to, co mówię! — powiedział jegomość. — Więc lepiej zrób od razu! Oszczędzi to nam drogiego czasu!

Było coś tak spokojnego i stanowczego w mowie starca, że garson wsadził pięć szylingów do kieszeni i bez słowa zaprowadził go na górę.

— Ten pokój? — zapytał staruszek. — Możesz odejść!

Garson odszedł dziwiąc się, kto by to mógł być i czego mógł tu chcieć? Staruszek zaczął, aż garson zniknie mu z oczu, po czym zapukał.

— Proszę! — powiedziała Arabella.

— Hm, głos miły — mruknął starszy — ale to jeszcze nie! — To mówiąc, otworzył drzwi i wszedł. Arabella, która siedziała z robótką, wstała i spojrzała na nieznanego nieco zmieszana, ale ze zmieszaniem było jej bardzo do twarzy.

— Proszę, niech pani nie wstaje — powiedział nieznanomy, zamykając drzwi. — Pani Winkle, jeżeli się nie mylę?

Arabella skinęła głową.

— Która wyszła za męża za Nataniela Winkle'a, syna kupca z Birmingham? — mówił dalej nieznanomy, przypatrując się jej z wyraźnym zaciekawieniem.

Arabella znów skinęła głową i niespokojnie spojrzała dokoła, jakby chciała kogo przywołać na pomoc.

— Widzę, że moja wizyta dziwi panią — rzekł stary.

— Nie mogę temu zaprzeczyć — odpowiedziała młoda kobieta.

— Pozwoli pani, że wezmę sobie krzesło — rzekł nieznanomy, siadając i najspokojniej wyjmując z kieszeni okulary. — Pani mnie nie zna? — mówił dalej, wpatrując się w nią tak uważnie, że poczuła się nieswojo.

— Nie, panie — odrzekła nieśmiało.

— Tak — rzekł stary, lekko kołysząc lewą nogą. — Pani nie może mnie znać. Ale może zna moje nazwisko?

— Bardzo pana przepraszam — odpowiedziała Arabella drżąc cała, chociaż nie wiedziała dlaczego. — Czy nie zechce mi go pan przypomnieć?

— Zaraz, droga pani, zaraz — odpowiedział nieznanomy, który wciąż jeszcze nie odrywał oczu od jej twarzy. — Pani niedawno wyszła za męża?

— Tak, panie — rzekła Arabella ledwo dosłyszalnym głosem, po czym odłożyła robótkę; lecz zdenerwowanie jej jeszcze wzrosło, gdy myśl, która jej już przedtem zaświtała, zaczęła się jej narzucać coraz silniej.

— Nie zwracając uwagi mężowi swemu na to, iż wypada naprzód powiadomić o tym jego ojca, od którego w zupełności zależy? Arabella przyłożyła chustkę do oczu.

— Nie zadawczy sobie nawet tyle trudu, by się jaką boczną drogą dowiedzieć, co stary myśli o tej sprawie, która przecież i jego może w wysokim stopniu interesować? — ciągnął dalej nieznanomy.

— Temu nie mogę zaprzeczyć — rzekła Arabella.

— I nie będąc ze swej strony w stanie zapewnić mężowi dostatecznych dochodów, które by mogły być rekompensatą za środki utrzymania, jakich oczywiście nie cofnięto by mu, gdyby ożenił się w myśl życzeń jego ojca? — dodał stary gentleman. — Chłopcy i dziewczęta nazywają to bezinteresownym przywiązaniem, aż dopóki sami nie mają chłopców i dziewcząt, a wtenczas patrzą na to innym, nie tak pogodnym okiem.

Arabella gorzko płakała, a na swe usprawiedliwienie przytoczyła, że jest młoda i niedoświadczona. Tylko miłość skłoniła ją do tego kroku, a niemal od dzieciństwa pozbawiona była rad i opieki rodziców.

— To źle — zaczął znów stary, ale już łagodniejszym tonem — to bardzo źle. To było romantyczne, ale to nie jest godne człowieka interesu, to głupie.

— Ja sama jestem temu winna, tylko ja — odrzekła biedna Arabella, płacząc.

— Nonsens! Sądzę, że pani jest temu niewinna, iż on się w pani zakochał... Ale zresztą — dodał nieznanomy, wpatrując się w Arabellę — i on nie bardzo winien: bo co mógł innego zrobić?

Czy ten mały komplement, czy może dziwny sposób, w jaki go stary pan wypowiedział, czy wreszcie inny ton w stosunku do Arabelli — znacznie bardziej przyjazny niż przedtem

— czy też wszystkie te trzy okoliczności razem sprawiły, że pani Winkle uśmiechnęła się przez łzy.

— Gdzie jest mąż pani? — zapytał nagle stary, chcąc ukryć uśmiech, który omal nie rozjaśnił jego twarzy.

— Spodziewam się go lada chwila... Namówiłam męża, by się trochę przeszedł dziś rano. Bardzo jest nieszczęśliwy i przygnębiony tym, że nie ma wiadomości od ojca.

— Przygnębiony? — rzekł stary pan. — A dobrze mu tak!

— Przez wzgląd na mnie — powiedziała Arabella. — A mnie znowu jest tak przykro ze względu na niego! Ja, i tylko ja, jestem odpowiedzialna za to, co się stało!

— Niech się nim pani tak bardzo nie przejmuje — odparł stary gentleman. — Dobrze mu tak. Bardzo mię to cieszy, jeśli chodzi o jego osobę.

Zaledwie stary pan wymówił te słowa, gdy na schodach dały się słyszeć kroki, które, zdawało się, i Arabella, i nieznajomy poznali od razu. Staruszek zbladł, lecz zadał sobie trud, by wyglądać spokojnie, po czym wstał, gdy pan Winkle wszedł do pokoju.

— Ojciec! — zawołał, cofając się.

— A tak, ojciec — odrzekł stary. — No, co mi masz do powiedzenia? Pan Winkle milczał.

— Myślę, że wstydzisz się swego postępowania? — ciągnął stary dalej. Pan Winkle wciąż jeszcze nic nie mówił.

— Czy wstydzisz się swego postępowania? — powtórzył stary. — Odpowiadaj: tak czy nie?

— Nie, ojciec — odrzekł pan Winkle obejmując Arabellę — nie wstydzę się ani za siebie, ani za moją żonę.

— Doprawdy?! — zawołał stary ironicznie.

— Przykro mi, że zrobiłem coś, czym mogłem osłabić życzliwość ojca dla mnie, ale muszę powiedzieć zarazem, iż nie mam powodów, by wstydzić się mego wyboru, tak jak ojciec nie może mieć powodów, by wstydzić się takiej synowej.

— Daj mi rękę, Natanielu — powiedział staruszek wzruszonym głosem. — A ty chodź, niech cię uściskam, mój aniele! Bo pomimo wszystko, śliczna z ciebie synowa!

Po paru minutach pan Winkle poszedł po pana Pickwicka i przedstawił go swemu ojcu, po czym obaj gentlemani przez dobre pięć minut ściskali sobie ręce.

— Panie Pickwick — rzekł staruszek otwarcie i bez ceremonii. — Serdecznie dziękuję panu za pańską dobroć dla mego syna! Jestem żywego charakteru, a gdy był pan u mnie, byłem zirytowany niespodzianą wiadomością. Teraz przekonałem się osobiście, jak rzeczy stoją, i jestem bardzo zadowolony. Czy mam pana przeprosić, panie Pickwick?

— O, bynajmniej — zawołał pan Pickwick. — Gdyż obecnie zrobił pan to, czego brakowało do mego szczęścia.

Tu nastąpiło nowe ściskanie rąk, trwające przez nowe pięć minut, oraz wzajemne komplementy, które poza tym, że były komplementami, miały tę szczególną wartość, że były szczerze. Sam odprowadził ojca, jak mu nakazywał obowiązek, do „Belle Sauvage”, a wróciwszy spotkał na podwórzu pyzatego chłopca, który przyniósł list od panny Emilii Wardle.

— Słuchaj no — powiedział Joe, wyjątkowo jak na niego rozmowny. — Śliczna dziewczyna z tej Mary, co? Bardzo ją kocham.

Pan Weller nie odpowiedział ani słowa, ale nadzwyczaj zdziwiony tym, co usłyszał, zrazu wpatrywał się w pyzatego chłopca około minuty, potem wziął go za kołnierz,

odprowadził do rogu ulicy, kopnął kolaniem w sposób niewinny i najzupełniej ceremonialny, po czym pogwizdując, wrócił do hotelu.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy **w którym Klub Pickwicka zostaje rozwiązany, a wszystko** **kończy się ku zadowoleniu wszystkich**

Przez cały tydzień po przybyciu pana Winkle'a starszego z Birmingham pan Pickwick i Sam po całych dniach nie bywali w oberży, przychodząc tylko na obiad, a jeden i drugi mieli poważne i tajemnicze miny, zupełnie niezgodne z ich charakterem. Widoczne było, iż przygotowuje się jakiś ważny wypadek, ale gubiono się w domysłach, jakiej może być natury. Niektórzy, między nimi pan Tupman, skłonni byli przypuszczać, że pan Pickwick myśli o ożenku, lecz myśl ta została przez damy odrzucona w sposób stanowczy. Inni skłaniali się do mniemania, że nosi się z projektem wielkiej podróży i że obecnie zajęty jest przygotowaniem do niej. Temu jednak kategorycznie zaprzeczył Sam, który po krzyżowych pytaniach, zadanych mu przez Mary, oświadczył niedwuznacznie, że nowych podróży pan Pickwick nie podejmie. Wreszcie, gdy wszyscy przyjaciele przez sześć dni na próżno suszyli sobie głowy, postanowiono jednogłośnie wezwać pana Pickwicka do wytłumaczenia swego postępowania i zapytać go wprost, dlaczego tak stroni od miłego towarzystwa zdziwionych przyjaciół.

W tym celu pan Wardle zaprosił wszystkich na obiad na Adelphi, a gdy karafka dwa razy okrążyła gości, postawił to wielkie pytanie:

— Mój kochany Pickwicku! Radzi byśmy dowiedzieć się, czym mogliśmy cię obrazić, że tak stronisz od nas i poświęcasz cały wolny czas jakimś samotnym wycieczkom.

— Chcecie wiedzieć? — odrzekł pan Pickwick. — To dziwne, właśnie dziś chciałem wam to wyjaśnić. Daj mi więc wina, a zaspokoję waszą ciekawość.

Butelka obeszła kolejkę z niezwykłą szybkością, a pan Pickwick z wesołym uśmiechem spojrział kolejno w twarze przyjaciół i tak zaczął:

— Wszystkie zmiany, jakie w naszym towarzystwie zaszły w ostatnich czasach (mówię tu o małżeństwach już zawartych oraz o tych, które będą zawarte, wraz ze skutkami, jakie to za sobą pociąga), zniewoliły mnie do pomyślenia o planie mego własnego życia w przyszłości. Postanowiłem osiąść w okolicy Londynu, w jakim zaciszu pięknym i przyjemnym. Znalazłem dom, jakiego było mi trzeba, kupiłem go i urządziłem tak, że mogę się wprowadzić, kiedy zechcę. Zamierzam przenieść się tam możliwie jak najszybciej i mam nadzieję, że będę mógł jeszcze spędzić kilka lat w tym miłym ustroniu, ciesząc się za życia towarzystwem moich przyjaciół i pewny, iż po śmierci będę żył w ich wspomnieniach.

Tu pan Pickwick zatrzymał się. Dokoła stołu przebiegł pomruk łagodny i smutny.

— Dom, który kupiłem — mówił dalej pan Pickwick — znajduje się w Dulwich, w najpiękniejszej miejscowości, jaką można znaleźć w okolicach Londynu. Mam wielki ogród, a samo mieszkanie jest urządzone nie tylko wygodnie, ale nawet, mogę powiedzieć, z pewnym wykwintem. Sami to zresztą osądzicie. Sam będzie mi towarzyszył. Za radą Perkera zgodziłem gospodynię, kobietę bardzo starą, i przyjmę jeszcze tyle służby, ile będzie mi potrzeba. Chciałbym jednak, by to moje ustronie uczczono jakąś uroczystością, którą chętnie bym u siebie widział. Jeśli mój przyjaciel Wardle nie ma nic przeciwko temu, to prosiłbym go, by zaślubiny jego córki odbyły się w moim domu, i to w tym dniu, w którym obejmę go w posiadanie. Szczęście młodych ludzi — mówił pan

Pickwick, wzruszony — było zawsze największą rozkoszą mego życia. Serce moje odmłodnieje, gdy pod moim dachem spełnią się najgorętsze życzenia moich przyjaciół.

Tu pan Pickwick znów zatrzymał się, wzruszony. Emilia i Arabella głośno płakały.

— Osobiście i pisemnie — mówił dalej filozof — porozumiałem się z naszym klubem i zawiadomiłem go o mych zamiarach. Podczas długiej mojej nieobecności zakradła się tam niezgoda. Moje usunięcie się i rozmaite inne okoliczności przyspieszyły tylko jego rozwiązanie. Klub Pickwicka już nie istnieje

— Nigdy nie będę żałował — dodał pan Pickwick z powagą — że ostatnie dwa lata poświęciłem przestawianiu z różnymi gatunkami i odmianami ludzkich charakterów. Wydawać się to może komuś rzeczą błahą — bo jest czymś zupełnie nowym. Poprzednie lata zeszyły mi na robieniu majątku i na interesach. Nie uświadamiałem sobie natenczas, że wiele z tego, na co patrzyłem, rozszerzyło moje horyzonty i zapłodniło umysł. Jeżeli niewiele zrobiłem dobrego, to sądzę, że jeszcze mniej zrobiłem złego. Dlatego przypuszczam, że u schyłku życia wszystkie moje przygody będą mi źródłem miłych wspomnień. A teraz, drodzy przyjaciele, niech was Bóg błogosławi!

To rzekłszy, pan Pickwick nalał sobie szklanekę i drżącą ręką podniósł ją do ust, a oczy jego napełniły się łzami, gdy ujrzał, iż nagle wszyscy wstali, by go uczcić.

* * *

Przygotowania przedślubne pana Snodgrassa i pana Wardle'a nie zajęły wiele czasu. Narzeczony nie miał ani ojca, ani matki, a podczas swej małoletności pozostawał pod opieką pana Pickwicka, który najdokładniej znał stan jego interesów. Rachunki złożone przez pana Pickwicka panu Wardle'owi najzupełniej zadowolili tego gentlemana, zresztą wszystkie rachunki byłyby go zadowolili, gdyż zacny człowiek miał serce przepelnione radością i weselem. Dał on Emilii piękny posąg i postanowiono, że ślub odbędzie się za cztery dni. Ten krótki termin do rozpaczy doprowadził trzy krawcowe i jednego krawca!

Kazawszy założyć do karety pocztowe konie, stary pan Wardle pojechał nazajutrz po swoją matkę. Kiedy z wrodzoną sobie gwałtownością zakomunikował starej damie wiadomość, natychmiast zemdląca. Odzyskawszy przytomność kazała zapakować suknię z jedwabnego brokatu i opowiedziała kilka szczegółów dotyczących ślubu najstarszej córki lady Tollinglower, która wyszła za mąż w podobnych okolicznościach. Opowiadanie zajęło koło trzech godzin i nie zostało nigdy skończone.

Należało jeszcze powiadomić o tym, co się stało, panią Trundle, ponieważ jednak była w stanie błogosławionym, mąż miał jej sam to powiedzieć, by się zbytnio nie przejęła wiadomością. Widocznie nie zaszkodziło jej to wzruszenie, gdyż natychmiast napisała do Muggleton, zamawiając sobie nową pelerynę i jedwabną suknię, przy czym oznajmiła, że będzie na weselu. Na to pan Trundle wezwał lekarza, a lekarz oświadczył, że pani Trundle wie najlepiej, jak się czuje, na co znowu pani Trundle powiedziała, że czuje się dość silna i postanowiła być na weselu; na co znowu lekarz, człowiek rozumny i dyskretny, który wiedział, co potrzeba jemu, a co innym, powiedział, że gdyby pani Trundle została w domu, to zmartwienie mogłoby jej więcej zaszkodzić niż jazda, lepiej więc niech jedzie. I pojechała. Lekarz przezornie zapisał jej pół tuzina recept na drogę na wszelki wypadek.

Gwoli większego zamieszania pan Wardle otrzymał polecenie, by wręczyć dwa liściki dwu młodym damom, które miały wystąpić jako drużny. Otrzymałszy zaproszenie, obie młode damy zaczęły desperować, że nie mają co na siebie włożyć i że nie ma również czasu, by coś zrobić.

Okoliczność ta, zdaje się, nappełniła obu ojców młodych dam niesłychaną radością. Ostatecznie odświeżono stare sukienki, uszyto nowe kapelusiki i obie młode damy wyglądały tak pięknie, jak tylko można. A ponieważ podczas ceremonii płakały w odpowiedniej chwili i cieszyły się w odpowiednim czasie, zachowanie ich wszystkim się niezmiernie podobało.

W jaki sposób ubodzy krewni dostali się do Londynu, czy szli piechotą, czy przyjechali dyliżansem, czy uczepili się karety, czy nieśli jeden drugiego na zmianę, nie wiadomo. Przybyli tam jednak jeszcze przed panem Wardle'em. Pierwszymi osobami, które w ów pamiętny dzień zastukały do drzwi pana Pickwicka, byli ubodzy krewni, cali w uśmiechach i czystych kołnierzach.

Przywitano ich serdecznie, gdyż bogactwo czy ubóstwo nie grało roli dla pana Pickwicka. Nowi służący okazali się uosobieniem zręczności i ruchliwości. Z Samem trudno było rywalizować w dowcipie. Mary jaśniała urodą i pięknymi wstążkami.

Oblubieniec, który od paru dni nie wychodził z domu, pojechał na spotkanie oblubienicy do Dulwich Church w asyście pana Pickwicka, pana Bena Allena, pana Boba Sawyera i pana Tupmana. Na koźle jechał Sam Weller, ubrany w nową liberię umyślnie na ten dzień wymyśloną, z wielką kokardą w klapie — dar pani jego serca. Przywitali ich pan Wardle, państwo Winkle, narzeczona, druhny i państwo Trundle. Po skończonej ceremonii wszyscy udali się na śniadanie do pana Pickwicka, gdzie ich już oczekiwał mały pan Perker.

Tu ostatecznie rozwiały się wszystkie chmurki. Wszystkie oblicza promieniały. Słysząc było wokoło tylko życzenia i pochwały. Wszystko tu było prześliczne! Łąka przed domem, ogródek za domem, jadalnia, sypialnia, bawialnia, pralnia, a nade wszystko pokój do pracy, pełny malowideł, wygodnych foteli, starych gablotek, śmiesznych stoliczków, niezliczonych ksiąg, wielkich okien wychodzących na piękną łąkę, usianą tu i ówdzie małymi domkami skrytymi wśród drzew. A dywany, a firanki, a sofy, a fotele! Wszystko tu było tak wygodne, tak wykwintne, że nie wiadomo było, co najbardziej podziwiać!

Pośród wszystkich tych pięknych rzeczy stał pan Pickwick z twarzą opromienioną uśmiechem, któremu nikt nie był w stanie się oprzeć: ani mężczyzna, ani niewiasta, ani dziecko. Zdawało się, że pan Pickwick był najszcześliwszy ze wszystkich: co chwila ścisnął komuś rękę — czasami dwa razy temu samemu, a kiedy nie miał kogo ścisnąć, zacierał dłonie z wyrazem niewysłowionej radości, oglądał się na każdy okrzyk zdumienia czy zadowolenia i obdarzał wszystkich uradowanym spojrzeniem.

Oznajmiono, że śniadanie podano. Pan Pickwick prowadził starą damę (która bez przerwy mówiła o lady Tollinglower) na miejsce honorowe. Wardle siadł na przeciwnym końcu stołu. Reszta — gdzie kto chciał. Sam stanął za krzesłem swego pana. Śmiech i rozmowy ustały. Pan Pickwick, odmówiwszy modlitwę, zrobił małą pauzę i obejrzał się. Łzy płyną mu przy tym z oczu łzy radości!

Niech nam wolno będzie pożegnać naszych przyjaciół w jednej z owych rzadkich chwil niczym nie zmaconego szczęścia, które, o ile ich szukamy, zjawiają się czasem, by rozjaśnić nasze doczesne życie. Są na ziemi mroczne cienie, ale światło jest silniejsze, choćby przez sam kontrast. Niektórzy ludzie lepiej widzą w ciemności niż za dnia — jak sowy i nietoperze. My, którzy nie posiadamy takich optycznych zdolności, wolimy rzucić ostatnie spojrzenie na naszych przyjaciół w jednej z owych chwil, gdy słońce świeci najjaśniej.

Jest losem większości ludzi, którzy żyją na świecie i osiągają wybitne stanowiska, że nawiązują prawdziwe przyjaźnie i z biegiem czasu tracą je. Jest losem wszystkich

autorów i kronikarzy, że tworzą wyimaginowanych przyjaciół, by stracić ich po skończeniu swojej twórczej pracy. Ale to nie wyczerpuje jeszcze miary nieszczęść, gdyż nieraz żąda się od autora, by opowiedział, co się z wszystkimi stało.

Posłuszni temu zwyczajowi, bezsprzecznie złemu, podajemy krótką biograficzną notatkę o dalszych kolejach losu gości i znajomych pana Pickwicka.

Państwo Winkle, przywróceniu przez ojca do łask, wkrótce po opisanych wypadkach przenieśli się do małego domku w odległości niecałej mili od pana Pickwicka. Pan Winkle, który pracuje jako korespondent swego ojca w City, zmienił swój dawny strój na zwykłe ubranie Anglika i wygląda obecnie, jak przystało na chrześcijanina.

Państwo Snodgrassowie osiedli w Dingley Dell, gdzie kupili sobie niewielką posiadłość, raczej dla przyjemności niż dla zysku. Pan Snodgrass bywa czasami roztargniony i dotąd uchodzi za wielkiego poetę między swymi znajomymi, chociaż wiemy, iż nigdy nic nie napisał dla podtrzymania tej opinii. Ale znamy niejedną osobistość słynną w filozofii i literaturze, i innych dyscyplinach, której wysoka wziętość nie na lepszych opiera się podstawach.

Pan Tupman, gdy przyjaciele jego pożenili się, a pan Pickwick przeniósł się do swego własnego domku, zamieszkał w Richmond, gdzie mieszkał poprzednio. Latem przechadza się po tarasie z miną młodzieńczą i ujmującą, dzięki której jest przedmiotem uwielbienia wielu dam w pewnym już wieku, zamieszkujących tę okolicę. Ale nigdy już się nikomu nie oświadczył. Pan Bob Sawyer najpierw ogłaszał się w gazetach, a potem pojechał do Bengalu w towarzystwie pana Bena Allena. Obaj dostali posady chirurgów w Kompanii Wschodnioindyjskiej, obaj mieli po czterdzieści razy żółtą febrę, wobec czego postanowili spróbować, czy nie wyjdzie im na zdrowie pewna wstrzemięźliwość. Odtąd mają się dobrze.

Pani Bardell znów odnajmuje pokoje rozmaitym kawalerom. Zarabia na tym nieźle, ale nie wytacza już procesów o złamanie przyrzeczenia małżeństwa. Adwokaci jej, panowie Dodson i Fogg, ciągle mają nawał pracy, z której ciągną wielkie dochody, i pożyczani są za najsprytniejszych między zręcznymi.

Sam Weller dotrzymał słowa i przez dwa lata był jeszcze kawalerem. Po dwóch latach, gdy gospodyni pana Pickwicka zmarła, filozof podniósł do tej godności Mary pod warunkiem, że niezwłocznie wyjdzie za mąż za Sama, co też spełniła bez szemrania. Mamy wszelkie powody przypuszczać, że związek ten nie był bezowocny, ponieważ w ogrodzie pana Pickwicka często można widzieć, jak bawi się dwóch ładnych chłopczyków.

Weller starszy jeździł dylizansem przez rok jeszcze. Potem wskutek napadów podagry zmuszony był do opuszczenia kozła raz na zawsze. Na szczęście, pieniądze powierzone panu Pickwickowi zostały tak dobrze umieszczone, że wystarczają mu na przyzwoite życie i utrzymanie w doskonałej oberży niedaleko Shooter's Hill. Jest tam szanowany jak wyrocznia; chełpi się przyjaźnią z panem Pickwickiem i zachował niczym nie przezwycięzony wstręt do wdów.

Pan Pickwick wciąż mieszka w swym nowym domu. Wolne chwile poświęca porządkowaniu pamiętników, które przedstawia następnie sekretarzowi tego ongi znakomitego klubu, lub słucha, gdy mu Sam czyta głośno, i cieszy się, jak zwykle, jego uwagami, których ten nigdy nie szczędzi. Z początku nabawiała go pewnego kłopotu prośby to pana Snodgrassa, to pana Winkle'a, to pana Trundle'a, by trzymał do chrztu ich dzieci. Ale obecnie przywykł do tej ceremonii i wykonywa ją jak coś bardzo zwykłego. Nigdy nie miał powodu żałować tego, co uczynił dla pana Jingle'a. Obaj bowiem, zarówno pan Alfred Jingle, jak i pan Hiob Trotter, stali się porządnyimi członkami

społeczeństwa, ale za nic w świecie nie chcą powrócić na widownię dawnych swych czynów i pokus. Pan Pickwick podupał nieco na siłach, ale umysł jego pozostał jak dawniej młodzieńczy. Często widzieć go można, jak podziwia obrazy w Dulwich Gallery lub przechadza się w pogodny dzień po okolicy. Znają go dobrze ubodzy w całym sąsiedztwie i nigdy nie omieszkają zdjąć kapelusza, gdy przechodzi. Sąsiedzi, a zwłaszcza dzieci, uwielbiają go. Co rok bywa na wielkim zebraniu rodzinnym u pana Wardle'a.

W podróży tej, jak w ogóle w każdej okoliczności, towarzyszy mu wierny Sam, gdyż między panem a sługą istnieje wzajemne i głębokie przywiązanie, które tylko śmierć rozerwie.